



STEPHEN
KING
CZTERY PO PÓŁNOCY

O książce

**Jak wygląda świat, w którym czas zmienia kierunek,
a o północy otwierają się drzwi do tego co najstraszniejsze?**

W czasie nocnego lotu z Los Angeles do Bostonu grupa pasażerów budzi się i odkrywa, że zniknęła większość ich towarzyszy podróży oraz załoga, a samolotem steruje autopilot.

Życie znanego pisarza zmienia się w koszmar, gdy na progu jego domu zjawia się człowiek, który zarzuca mu popełnienie plagiatu.

Plakat w czytelni w amerykańskim miasteczku głosi: „Strzeż się bibliotecznej policji. Grzeczne dzieci oddają książki w terminie”. A co dzieje się z tymi niegrzeczными?

Pewien chłopiec dostaje na swoje piętnaste urodziny nawiedzony aparat, który – niezależnie od tego, co się fotografuje – robi to samo zdjęcie: groźnego psa chcącego się uwolnić z obrazkowego świata.

**CZTERY MINIPOWIEŚCI MISTRZA GROZY,
W KTÓRYCH RZECZYWISTOŚĆ PRZEPLATA SIĘ
Z SURREALISTYCZNYM KOSZMAREM.**

STEPHEN KING

CZTERY PO PÓŁNOCY

Z angielskiego przełożyli

RAFAŁ LISOWSKI
ROBERT WALIŚ
DANUTA GÓRSKA
ANDRZEJ SZULC



Wydanie elektroniczne

STEPHEN KING

Wybitny pisarz amerykański, nazywany Królem Horroru, został w 2003 r. uhonorowany prestiżową nagrodą literacką National Book. Światową sławę przyniosła mu wydana w 1973 r. powieść **Carrie**. Kolejne utwory — powieści, zbiory opowiadań i komiksy — opublikowano w setkach milionów egzemplarzy i przełożono na kilkadziesiąt języków. Są wśród nich tak znane książki, jak: **Lśnienie, Sklepik z marzeniami, Bastion, Zielona Miła, Desperacja, Komórka, Uciekinier, Pod kopułą, Czarna bezgwiezdna noc, To, Cujo, Pan Mercedes, Znalezione nie kradzione** i ośmiotomowy cykl fantasy **Mroczna Wieża**.

Proza Kinga należy do najczęściej ekranizowanych, a wśród reżyserów, którzy podejmowali się tego zadania, znaleźli się Brian de Palma, Stanley Kubrick czy David Cronenberg.

Pod pseudonimem Richard Bachman King opublikował siedem powieści.

Na podstawie **Pana Mercedesesa** — odznaczonego Edgar Allan Poe Award dla najlepszego kryminału 2014 r. — powstaje miniserial w reżyserii Jacka Bendera (twórcy *Lost*).

www.stephenking.com
www.stephenking.pl

Tego autora w Wydawnictwie Albatros

ROSE MADDER
DOLORES CLAIBORNE
GRA GERALDA
DESPERACJA
REGULATORZY
SKLEPIK Z MARZENIAMI
BEZSENNOŚĆ
ZIELONA MIŁA
MARZENIA I KOSZMARY
KOMÓRKA
CZWARTA PO PÓŁNOCY
CHUDSZY
TO
BASTION
OCZY SMOKA
PO ZACHODZIE SŁOŃCA
CZTERY PORY ROKU
UCIEKINIER
CZARNA BEZGWIEZDNA NOC
CUJO
PODPALACZKA
ROK WILKOŁAKA
MROCNIA POŁOWA
WOREK KOŚCI
DZIEWCZYNA, KTÓRA KOCHAŁA TOMA GORDONA
NOCNA ZMIANA
ŁOWCA SNÓW
OSTATNI BASTION BARTA DAWESA
BLAZE
PAN MERCEDES

ZNALEZIONE NIE KRADZIONE

MROCZNA WIEŻA

ROLAND
(oraz SIOSTRZYCZKI Z ELURII)
POWOŁANIE TRÓJKI
ZIEMIE JAŁOWE
CZARNOKSIĘŻNIK I KRYSZTAŁ
WIATR PRZEZ DZIURKĘ OD KLUCZA
WILKI Z CALLA
PIEŚŃ SUSANNAH
MROCZNA WIEŻA

Powieści graficzne MROCZNA WIEŻA

NARODZINY REWOLWEROWCA
DŁUGA DROGA DO DOMU
ZDRADA
UPADEK GILEAD
BITWA O JERICHO HILL
POCZĄTEK PODRÓŻY

Wkrótce

SIOSTRZYCZKI Z ELURII
BITWA O TULL

Wyłącznie jako audiobook i e-book

Stephen King, Joe Hill
W WYSOKIEJ TRAWIE

Stephen King, Stewart O'Nan
TWARZ W TŁUMIE

Tytuł oryginału:
FOUR PAST MIDNIGHT

Copyright © Stephen King 1990
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Andrzej Kuryłowicz s.c. 2014

Polish translation copyright © Rafał Lisowski & Robert Waliś
& Danuta Górka & Andrzej Szulc 2015

Książka ukazała się wcześniej pod tytułem „4 po północy”

Redakcja: Katarzyna Dziedzic

Ilustracja na okładce: Dariusz Kocurek

Opracowanie graficzne okładki: Wydawnictwo Albatros Andrzej Kuryłowicz s.c.

ISBN 978-83-7985-223-9

Wydawca

WYDAWNICTWO ALBATROS ANDRZEJ KURYŁOWICZ S.C.

Hłonda 2a/25, 02-972 Warszawa

www.wydawnictwoalbatros.com



Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych — jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Przygotowanie wydania elektronicznego: Magdalena Wojtas, [88em](#)

*Na pustyni
Ujrzałem stwora, bestię nagą.
Przykucnął,
Żarł serce
Trzymane na dłoni.*

*Spytałem: – Dobrze, przyjacielu?
– Gorzkie ono, gorzkie – odpowiedział.
Ale mi smakuje,
Bo jest gorzkie
I to serce moje.*

Stephen Crane
(przeł. Andrzej Szuba)

*Będę cię całował, mała, będę cię przytulał,
Zrobię to, co obiecałem,
W północną godzinę.*

Wilson Pickett

SPIS TREŚCI

Równo północ

LANGOLIERY

UKRYTE OKNO, UKRYTY OGRÓD

BIBLIOTECZNY POLICJANT

PIES Z APARATU

RÓWNO PÓŁNOC:

Wstęp

No proszę – jesteście w komplecie. Wszystkim udało się wrócić. Mam nadzieję, że cieszycie się z tego, że tu jesteście, co najmniej w połowie tak bardzo jak ja. To mi przypomina pewną historię, a ponieważ opowiadaniem historii zarabiam na życie (i dbam, żeby nie zwariować), podzielę się nią z wami.

Na początku roku – piszę te słowa pod koniec lipca 1989 roku – leżałem rozciągnięty na kanapie przed telewizorem i oglądałem mecz Boston Red Sox z Milwaukee Brewers. Do odbicia szykował się Robin Yount z Brewersów, a bostońscy komentatorzy zachwycali się tym, że ma dopiero trzydzieści kilka lat.

– Czasami się wydaje, że Robin pomagał Abnerowi Doubledayowi¹ wytyczać linie boiska – powiedział Ned Martin, kiedy Yount stawał naprzeciw Rogera Clemensa.

– Właśnie – zgodził się Joe Castiglione. – Dołączył do Brewersów chyba tuż po szkole średniej. Gra w tej drużynie od siedemdziesiątego czwartego roku.

Usiadłem na kanapie tak gwałtownie, że prawie oblałem się pepsi-colą. Zaraz, zaraz, pomyślałem. Chwileczkę, do cholery! Przecież ja w siedemdziesiątym czwartym wydałem swoją pierwszą książkę! To wcale nie było tak dawno temu! Co to za pieprzenie o Abnerze Doubledayu?

I wtedy dotarło do mnie, że postrzeganie upływu czasu – temat stale powracający w historiach, które tu przeczytacie – jest kwestią nadzwyczaj indywidualną. Rzeczywiście, z mojej subiektywnej perspektywy publikacja *Carrie* wiosną 1974 roku (książka wyszła akurat dwa dni przed rozpoczęciem sezonu baseballowego, kiedy to nastoletni Robin Yount zagrał pierwszy

mecz dla Milwaukee Brewers) wydaje się niezbyt odległa – ot, wystarczy się obejrzeć – ale istnieją też inne sposoby liczenia czasu, a niektóre z nich wskazują, że piętnaście lat to naprawdę bardzo dużo.

W 1974 roku prezydentem był Gerald Ford, a Iranem wciąż dyrygował szach. Żył jeszcze John Lennon, a także Elvis Presley. Donny Osmond śpiewał z braćmi i siostrami wysokim, piskliwym głosem. Wynaleziono już domowe magnetowidy, ale były trudno dostępne. Eksperci przewidywali, że kiedy zyskają popularność, opracowany przez Sony format Betamax prędko wdepcze w ziemię swego rywala, znanego jako VHS. Myśl, że wkrótce ludzie zaczną wypożyczać popularne filmy tak samo, jak kiedyś wypożyczały książki w bibliotekach, dopiero majaczyła na horyzoncie. Ceny benzyny osiągnęły niebotyczny pułap: czterdzieści osiem centów za galon zwykłej i pięćdziesiąt pięć za galon bezołowiowej².

Na mojej głowie i brodzie wtedy jeszcze nie pojawiły się pierwsze siwe włosy. Moja córka, w tej chwili studentka drugiego roku, miała cztery lata. Najstarszy syn, który teraz jest wyższy ode mnie, gra na harmonijce i nosi bujne loki do ramion godne Sammy'ego Hagara, właśnie przestawiał się na pieluchomajtki. Z kolei najmłodszy, obecnie grający na pierwszej bazie i jako miotacz mistrzowskiej drużyny Małej Ligi baseballu, przyszedł na świat dopiero trzy lata później.

Czas ma taką dziwną plastyczną właściwość, a wszystko wcześniej czy później do nas wraca. Wsiadając do autobusu, oczekujesz, że zawiezie cię niezbyt daleko – może na drugi koniec miasta, nie dalej – aż tu nagle: jasna cholera! Lądujesz na drugim kontynencie. Czy ta metafora wydaje wam się odrobinę naiwna? Mnie też, ale najlepsze, że to w ogóle bez znaczenia. Zagadka czasu jest w swej istocie tak idealna, że nawet równie dziecinne spostrzeżenia jak powyższe zachowują pewien osobliwy, przejmujący wydźwięk.

Przez te lata nie zmieniło się jedno – główny chyba powód, dla którego czasem wydaje mi się (Robinowi Yountowi zapewne

również), że czas w ogóle nie upływa. Wciąż robię to samo: piszę historie. I wciąż jest to nie tylko coś, co umiem, ale i coś, co kocham. Nie zrozumcie mnie źle – kocham żonę i dzieci, jednak nadal ogromną przyjemność sprawia mi odnajdywanie owych osobliwych bocznych dróg i podążanie nimi, aby odkryć, kto tam mieszka, co robi, komu to robi, a może nawet dlaczego. Nadal kocham tę dziwność oraz cudowne chwile, kiedy obrazy nagle stają się jasne, a wydarzenia układają w spójny wzór. Każda opowieść jest jak wąż. To zwinna bestia, więc czasem wymyka się z rąk, ale gdy już ją uchwycę, trzymam mocno... i jest to fantastyczne uczucie.

W 1990 roku, kiedy ukaże się niniejsza książka, w branży fantazjowania będę robił już od szesnastu lat. W połowie tego okresu, czyli już długo po tym, jak – wskutek procesu, którego do dziś w pełni nie pojmuję – zostałem naczelnym straszycielem Ameryki, wydałem książkę pod tytułem *Cztery pory roku*. Był to zbiór czterech niepublikowanych wcześniej krótkich powieści, w tym trzech niebędących opowieściami grozy. Wydawca przyjął go w dobrej wierze, ale chyba nie bez wątpliwości. Ja również je miałem. Jak się okazało, niepotrzebnie się martwiliśmy. Czasem autorowi zdarza się opublikować książkę, której pisany jest szczęśliwy los, i tak właśnie było z *Czterema porami roku*.

Na podstawie jednej z tych historii, *Ciała*, nakręcono film (*Stań przy mnie*) i całkiem nieźle sobie radził... To pierwszy prawdziwy sukces ekranizacji mojej twórczości od czasu *Carrie* (filmu, który wszedł na ekrany, kiedy Abner Doubleday i wiecie już kto wytyczali linie tamtego boiska). Rob Reiner, reżyser *Stań przy mnie*, jest jednym z najodważniejszych, najmądrzejszych filmowców, jakich kiedykolwiek spotkałem, i czuję się dumny, że mogłem z nim współpracować. Zabawne jest to, że firma, którą pan Reiner założył po sukcesie *Stań przy mnie*, nosi nazwę Castle Rock Productions... Dla wielu moich wiernych czytelników powinna ona brzmieć znajomo.

Cztery pory roku podobały się także większości krytyków. Prawie wszyscy potraktowali napalmem po jednej

z minipowieści, ale ponieważ każdy chciał spalić inną, uznałem, że bezkarnie mogę ich zignorować... co też uczyniłem. Takie postępowanie nie zawsze jest możliwe; kiedy w większości recenzji *Christine* sugerowano, że to wyjątkowo okropna książka, z niechęcią doszedłem do wniosku, że pewnie rzeczywiście nie jest tak dobra, jak się spodziewałem (co nie powstrzymało mnie jednak przed pobieraniem tantiem). Znam pisarzy, którzy twierdzą, że nie czytają recenzji swojej twórczości lub że te krytyczne ich nie dotyczą. Dwóm z nich nawet wierzę. Sam jednak jestem inny – zamartwiam się perspektywą złych recenzji, a gdy się zdarzą, bardzo je przeżywam. Nie przygnębiają mnie jednak na długo; zabijam wtedy kilkoro dzieci i parę starszych pań i znów jestem radosny jak skowronek.

Najważniejsze, że *Cztery pory roku* spodobały się czytelnikom. Nie przypominam sobie ani jednego listu z tamtego okresu, w którym ktoś beształby mnie za napisanie tekstu niebędącego opowieścią grozy. Wręcz przeciwnie, większość czytelników mówiła, że co najmniej jedna z tych historii rozbudziła ich emocje, skłoniła do przemyśleń, wywołała uczucia. Właśnie te listy są prawdziwą zapłatą za dni (a jest ich mnóstwo), kiedy słowa przychodzą z trudem, a natchnienie jest liche albo nie ma go wcale. Niech Bóg błogosławi i strzeże Wiernego Czytelnika; usta mogą mówić, ale żadna opowieść nie istnieje bez ucha, które chciałoby słuchać.

To było w 1982 roku. W tym samym, kiedy Milwaukee Brewers, prowadzeni przez – jasne, zgadliście – Robina Younta, zdobyli jedyny w swej historii tytuł mistrzów American League. Yount skończył ów sezon ze średnią uderzeń 0,331, huknął dwadzieścia dziewięć *home runs* i uznano go za najbardziej wartościowego gracza American League.

To był dobry rok dla nas obu, starych przyków.

Książki *Cztery pory roku* nie zaplanowałem; przyszła na świat sama z siebie. Cztery długie historie, które się na nią złożyły, powstały w różnych momentach na przestrzeni pięciu lat. Okazały się zbyt długie, żeby je wydać jako opowiadania, ale

odrobinę za krótkie na publikację jako oddzielne powieści. Ów zbiór to nie tyle wielkie osiągnięcie, ile raczej statystyczna osobliwość – niczym mecz, w którym miotacz nie pozwoli pałkarzom na żadne odbicie, albo jak skompletowanie przez pałkarza całego *cycle* (czyli uderzeń, po których dotrze na pierwszą, na drugą i na trzecią bazę oraz zaliczy *home run* w tym samym spotkaniu). Sukces i aprobatą *Czterech pór roku* sprawiły mi wielką przyjemność, ale składając maszynopis do wydawnictwa Viking Press, odczuwałem też wyraźny żal. Wiedziałem, że to dobra książka, ale również – że prawdopodobnie już nigdy w życiu nie opublikuję podobnej.

Jeśli oczekujecie, że powiem teraz: „Cóż, myliłem się”, muszę was rozczarować. Książka, którą właśnie trzymacie w rękach, zasadniczo różni się od tej wcześniejszej. *Cztery pory roku* składały się z trzech historii „głównego nurtu” oraz jednej z motywami nadprzyrodzonymi, natomiast wszystkie cztery teksty w niniejszym zbiorze to opowieści grozy. W większości są też nieco dłuższe od tych z *Czterech pór roku* i powstały głównie w ciągu dwóch lat, kiedy to rzekomo udałem się na pisarską emeryturę. Być może różnią się dlatego, że zrodziły się w umyśle, który zwrócił się, przynajmniej chwilowo, ku mroczniejszym tematom.

Takim tematem jest na przykład czas i jego niszczycielski wpływ na ludzkie serce. A także przeszłość, cienie rzucane przez nią na teraźniejszość – cienie, w których czasem rosną rzeczy nieprzyjemne, a jeszcze gorsze chowają się... i tyją.

Jednakże nie wszystkie moje zainteresowania uległy zmianie, a większość przekonań tylko się utrwaliła. Nadal wierzę w siłę ludzkiego serca i w zasadniczą wagę miłości; nadal wierzę, że ludzie mogą tworzyć więzi i że duchy zamieszkujące nasze ciała czasem się stykają. Nadal wierzę, że cena owych więzi jest potwornie, wręcz niewyobrażalnie wysoka... i że ich wartość znacznie przerasta koszt, który trzeba ponieść. Nadal chyba wierzę w nadejście Białego, w to, że trzeba znaleźć sobie bastion... i bronić go aż do śmierci. To staromodne przekonania

i zainteresowania, ale skłamałbym, mówiąc, że już ich nie posiadam. Albo że one nie posiadają mnie.

Wciąż jednak kocham dobre historie. Kocham ich słuchać i kocham je opowiadać. Może wiecie, a może nie (i może was to nie obchodzi), że zapłacono mi mnóstwo pieniędzy za wydanie niniejszej książki, a także dwóch kolejnych. Ale jeśli wiecie i was to obchodzi, to wiedzcie również, że za samo napisanie tekstów do tej książki nie dostałem ani centa. Jak wszystkiemu, co dzieje się samoczynnie, aktowi pisania obojętny jest pieniądz. Świetnie mieć pieniądze, ale gdy w grę wchodzi tworzenie, lepiej nie myśleć o nich zbyt wiele. To spowalnia cały proces.

Mój sposób opowiadania historii chyba trochę się zmienił (mam nadzieję, że teraz jestem w tym lepszy, ale to już oczywiście powinien samodzielnie ocenić każdy czytelnik), lecz należało się tego spodziewać. Kiedy Brewersi grali o tytuł w 1982 roku, Robin Yount grał na pozycji łącznika. Teraz jest środkowozapolowym. To chyba oznacza, że trochę zwolnił... ale wciąż wyłapuje prawie wszystko, co leci w jego stronę.

Mnie to wystarczy. Wystarczy mi całkowicie.

Ponieważ bardzo wielu czytelników ciekawi źródło poszczególnych historii albo ich miejsce w szerszej perspektywie twórczości pisarza, każdą z minipowieści poprzedziłem krótkim wstępem, w którym wyjaśniam jej powstanie. Może zainteresują was te notki, ale nie musicie ich czytać, jeśli nie chcecie. Dzięki Bogu, nie jest to szkolne zadanie i nie czeka was potem kartkówka.

Na koniec powtórzę: jak przyjemnie być tutaj, żyć, mieć się dobrze i znowu z wami rozmawiać... wiedząc, że wy również tu jesteście, również żyjecie, cali i zdrowi, i że czekacie na wyprawę w inne miejsce – gdzie być może ściany mają oczy, drzewa mają uszy, a coś bardzo nieprzyjemnego próbuje wydostać się ze strychu i zejść na dół do ludzi. To coś nadal mnie interesuje... ale obecnie jeszcze bardziej interesują mnie owi ludzie, którzy być może się tego czegoś spodziewają, a może nie.

Zanim sobie pójdę, jestem wam jeszcze winien wynik tamtego meczu. Brewersi pokonali Red Soxów. Clements wyautował Robina Younta przy jego pierwszym podejściu... ale za drugim razem Yount (który według Neda Martina pomagał Abnerowi Doubledayowi wytyczać linie pierwszego boiska do baseballu) posłał piłkę w lewe zapole, tak że odbiła się wysoko od ściany zwanej „Green Monster”, dobiegł do drugiej bazy i pozwolił zapunktować dwóm kolegom.

Robin chyba jeszcze nie porzucił gry.

Ja też nie.

Bangor, Maine
Lipiec 1989

LANGOLIERY

Przełożył Rafał Lisowski

Dla Joego, który także boi się latać

PIERWSZA PO PÓŁNOCY

Przedmowa do *Langolierów*

Historie przychodzą do mnie w różnych chwilach i miejscach – w samochodzie, pod prysznicem, na spacerze, nawet kiedy stoję samotnie na imprezie. Kilka razy przyszły we śnie. Bardzo rzadko zdarza się jednak, żebym zaczął pisać, gdy tylko wpadnę na jakiś pomysł, nie prowadzę też „zeszytu z pomysłami”. Niezapisywanie pomysłów wynika z instynktu samozachowawczego. Miewam ich mnóstwo, ale tylko nieliczne bywają dobre, toteż chowam je wszystkie do swoistej szuflady w mojej głowie. Te złe w końcu ulegają tam samozniszczeniu, zupełnie jak taśma z instrukcjami na początku każdego odcinka *Mission: Impossible*. Te dobre nie. Od czasu do czasu, kiedy otwieram ową szufladę, żeby sprawdzić, co w niej zostało, spogląda na mnie stamtąd garstka pomysłów, każdy z jednym wyraźnym obrazem.

W przypadku *Langolierów* był to obraz kobiety, która przyciska rękę do pęknięcia w szybie samolotu pasażerskiego.

Na nic się nie zdało przekonywanie samego siebie, że niewiele wiem o komercyjnych samolotach pasażerskich. Oczywiście tak właśnie sobie powiedziałem, lecz obraz i tak powracał, ilekroć otwierałem szufladę, żeby wrzucić tam kolejny pomysł. Doszło do tego, że czułem perfumy tej kobiety (to było L'Envoi), widziałem jej zielone oczy, słyszałem szybki, przestraszony oddech.

Pewnej nocy, kiedy leżałem w łóżku, na granicy snu, zrozumiałem, że ta kobieta jest duchem.

Pamiętam, że wtedy usiadłem, spuściłem stopy na podłogę i zapaliłem światło. Siedziałem tak przez chwilę, niewiele myśląc

o czymkolwiek... przynajmniej z pozoru. Pod maską ów gość, który tak naprawdę kieruje za mnie całą robotą, już skwapliwie porządkował blat i przygotowywał się do ponownego odpalenia maszyn. Nazajutrz zacząłem – albo raczej on zaczął – pisać tę historię. Zajęło mi to mniej więcej miesiąc i przyszło najłatwiej ze wszystkich tekstów w niniejszej książce. Po drodze wszystko układało się gładko i naturalnie. Raz po raz zdarza się, że i historie, i dzieci przychodzą na świat niemal bez bólów porodowych; z tą opowieścią tak właśnie było. Ze względu na apokaliptyczny klimat podobny do mojego wcześniejszego opowiadania pod tytułem *Mgła* każdy rozdział poprzedziłem nagłówkiem w tym samym staromodnym, rokokowym stylu. Po skończeniu tego tekstu czułem się niemal równie dobrze jak wtedy, gdy go zaczynałem... co zdarza się bardzo rzadko.

Jestem leniwy, jeśli chodzi o zbieranie materiałów, ale tym razem bardzo się starałem odrobić pracę domową. Uporządkować fakty, a potem ich nie pomieszać pomagało mi trzech pilotów: Michael Russo, Frank Soares i Douglas Damon. Gdy już obiecałem, że nic nie zepsuję, byli naprawdę w porządku.

Czy nie ustrzegłem się błędów? Wątpię. Nie udało się to nawet wielkiemu Danielowi Defoe; w *Robinsonie Crusoe* nasz bohater rozbiera się do naga, płynie do statku, z którego niedawno uciekł... a potem napełnia kieszenie rzeczami mającymi pozwolić mu przeżyć na bezludnej wyspie. Jest też pewna powieść (tytuł i nazwisko pisarza litościwie pominę) o nowojorskim metrze, gdzie autor najwidoczniej wziął boksy motorniczych za publiczne toalety.

Moje standardowe zastrzeżenie brzmi następująco: wszystko, co zgadza się z rzeczywistością, jest zasługą panów Russo, Soaresa i Damona, a wszystko, co mija się z prawdą, to moja wina. Te słowa nie wynikają bynajmniej z czczej uprzejmości. Błędy rzeczowe zwykle nie są skutkiem błędnych informacji, lecz nieumiejętności zadawania właściwych pytań. W przypadku samolotu, na którego pokład wejdziecie za moment, pozwoliłem

sobie tu i ówdzie na pewną swobodę; chodzi jednak o rzeczy drobne, ponieważ wydały mi się niezbędne dla fabuły.

No dobrze, tyle ode mnie; zapraszam na pokład.

Wzbijmy się w nieprzyjazne niebo.

ROZDZIAŁ 1

**Zła wiadomość dla kapitana Engle'a.
Ślepa dziewczynka. Zapach kobiety.
Gang Daltonów przyjeżdża do Tombstone.
Dziwny los lotu numer 29.**

1

Brian Engle zatrzymał samolot L-1011 linii American Pride pod wyjściem numer 22 i wyłączył sygnalizację ZAPIĄĆ PASY dokładnie o godzinie 22.14. Przeciągle syknął, a potem rozpiął pasy barkowe.

Nie pamiętał, kiedy ostatnio po zakończeniu lotu czuł taką ulgę – i takie zmęczenie. Paskudnie łupało mu w głowie i miał bardzo konkretne plany na wieczór. Żadnych drinków w saloniku dla pilotów, żadnej kolacji ani nawet kąpieli po powrocie do Westwood. Zamierzał runąć do łóżka i spać przez czternaście godzin.

Lot American Pride numer 7 – flagowy kurs z Tokio do Los Angeles – był opóźniony najpierw z powodu wiatrów przeciwnych, a potem typowych zatorów na lotnisku LAX... które Engle uważał za chyba najgorszy port lotniczy w Ameryce, jeśli nie liczyć Logana w Bostonie. Na domiar złego w końcowej fazie trasy pojawił się problem z ciśnieniem w kabinie. Z początku był on drobny, a potem stopniowo narastał, aż w końcu zrobiło się strasznie. Doszło do tego, że maszynie zagrażała gwałtowna dekompresja... ale na szczęście już się nie pogorszyło. Czasami tego typu sytuacje w nagły i tajemniczy sposób stabilizują się same z siebie i tak właśnie stało się tym razem. Pasażerowie, którzy w tej chwili wysiadali przednim wyjściem, nie mieli

zielonego pojęcia, jak niewiele brakowało, żeby dzisiejszy lot z Tokio zakończyli w postaci pasztetu z człowieka, ale Brian był tego świadom... i przyprawiło go to o diabelny ból głowy.

– Ten rżęch idzie wprost na diagnostykę – odezwał się do drugiego pilota. – Już o tym wiedzą i orientują się, w czym problem, prawda?

Tamten skinął głową.

– Nie podoba im się to, ale wiedzą – odpowiedział.

– Gównu mnie obchodzi, Danny, czy im się podoba, czy nie. Mało brakowało.

Danny Keene przytaknął. Zdawał sobie z tego sprawę.

Brian westchnął, a potem roztarł dłonią kark. Łeb bolał go jak chory ząb.

– Może robię się za stary do tej roboty.

Oczywiście od czasu do czasu każdy mówi coś takiego o swojej pracy, zwłaszcza po ciężkiej zmianie, i Brian świetnie wiedział, że wcale nie jest za stary – miał czterdzieści trzy lata, czyli właśnie wchodził w najlepszy okres dla pilota. Mimo to dzisiaj prawie wierzył w swoje słowa. Boże, ależ był zmęczony.

Ktoś zapukał do drzwi kokpitu. Nawigator Steve Searles obrócił się w fotelu i otworzył je, nie podnosząc się z miejsca. W wejściu stał mężczyzna w zielonej marynarce American Pride. Wyglądał jak kontroler kart pokładowych, ale Brian wiedział, że nim nie jest. To John (a może James) Deegan, zastępca szefa American Pride na lotnisku LAX.

– Kapitan Engle?

– Tak?

W Brianie od razu uruchomiły się wewnętrzne mechanizmy obronne i ból głowy się nasilił. Pierwsza myśl, zrodzona nie z logiki, ale z napięcia i ze zmęczenia, była taka, że spróbują zrzucić na niego odpowiedzialność za dziurawy samolot. Paranoja, wiadomo, ale był w paranoicznym nastroju.

– Obawiam się, że mam dla pana złą wiadomość, kapitanie.

– Chodzi o ten wyciek? – Brian powiedział to zbyt ostrym tonem, więc kilku wysiadających pasażerów aż się obejrzało, ale

już było za późno, żeby coś na to poradzić.

Deegan pokręcił głową.

– Chodzi o pańską żonę.

Przez moment Brian nie miał pojęcia, o czym tamten mówi. Stał tylko z rozdziawionymi ustami i czuł się nadzwyczaj głupio. W końcu go olśniło. Oczywiście mówił o Anne.

– To moja była żona. Wzięliśmy rozwód półtora roku temu. Co z nią?

– Zdarzył się wypadek – oznajmił Deegan. – Niech pan lepiej pozwoli na górę do mojego gabinetu.

Brian patrzył na niego z zaciekawieniem. Po trzech długich, napiętych godzinach wszystko to wydawało się dziwnie nierzeczywiste. Ugryzł się w język, żeby nie powiedzieć Deeganowi, że jeśli to jakieś brednie w stylu *Ukrytej kamery*, to niech się pieprzy. Ale oczywiście nie mogło o to chodzić. Władze linii lotniczych nie gustują w dowcipach, zwłaszcza kosztem pilotów, którzy właśnie cudem uniknęli tragedii w powietrzu.

– Co z Anne? – usłyszał własny głos. Tym razem powtórzył pytanie łagodniej. Miał świadomość, że drugi pilot przygląda mu się z ostrożnym współczuciem. – Wyszła z tego cało?

Deegan spuścił wzrok na swe błyszczące buty i Brian już wiedział, że chodzi o bardzo niedobłą wiadomość. Że Anne z pewnością nie wyszła z tego cało. Wiedział, ale nie mógł w to uwierzyć. Miała dopiero trzydzieści cztery lata, była zdrowa, dbała o dobre nawyki. Nieraz odnosił również wrażenie, że jego była żona jest jedynym poczytalnym kierowcą w Bostonie... a może w całym stanie Massachusetts.

Potem usłyszał, że zadaje inne pytanie, i naprawdę tak właśnie było – jakby do jego umysłu wkroczył ktoś obcy i używał jego ust jako megafonu.

– Czy ona nie żyje?

John czy James Deegan rozejrzał się, może szukając wsparcia, ale przy wyjściu z samolotu stała tylko jedna stewardesa, która życzyła wsiadającym pasażerom miłego pobytu w Los Angeles i raz po raz zerknęła nerwowo w stronę kokpitu. Zapewne

obawiała się o rozszczelnienie, co przyszło do głowy Brianowi – że z jakiegoś powodu to załogę obwinia się za wyciek, przez który ostatnie godziny lotu stały się takim koszmarem. Deegan mógł liczyć tylko na siebie. Znów spojrzał na Briana i skinął głową.

– Tak, niestety. Pozwoli pan ze mną, kapitanie?

2

Kwadrans po północy Brian Engle zajmował miejsce w fotelu 5A samolotu linii American Pride, lot numer 29 – flagowego kursu z Los Angeles do Bostonu. Za mniej więcej piętnaście minut miał się rozpocząć nocny lot. Brian pamiętał swoją wcześniejszą myśl, że jeśli nie LAX jest najbardziej niebezpiecznym portem lotniczym w Ameryce, to na pewno lotnisko Logana. Teraz, w skrajnie nieprzyjemnych okolicznościach, nadarzała się okazja doświadczenia obu tych miejsc w odstępie ośmiu godzin: w Los Angeles wylądował jako pilot, w Bostonie wylądował zaś jako pasażer z darmowym biletem.

Jego ból głowy, teraz znacznie gorszy, niż gdy zakończył lot numer 7, jeszcze się nasilał.

Pożar, pomyślał Brian. Cholerny pożar. Gdzie były wykrywacze dymu, na litość boską? Przecież to nowy budynek!

Uświadomił sobie, że przez ostatnie cztery czy pięć miesięcy prawie nie myślał o Anne. Przez pierwszy rok po rozwodzie zdawało mu się, że nie myśli o niczym innym, tylko o tym, co ona robi, co ma na sobie i oczywiście z kim się spotyka. Kiedy wreszcie zaczął zdrowieć, potoczyło się to bardzo szybko... jakby wstrzyknięto mu antybiotyk na ożywienie ducha. Dostatecznie dużo naczytał się o rozwodach, by wiedzieć, co jest zazwyczaj tym ożywiającym czynnikiem: nie antybiotyk, ale inna kobieta. Innymi słowy, efekt klina.

W życiu Briana nie pojawiła się inna kobieta – przynajmniej na razie. Odbył kilka randek i jeden ostrożny stosunek płciowy (nabrał przekonania, że w epoce AIDS każdy pozamałżeński

stosunek płciowy musi być ostrożny), ale innej kobiety nie było. Po prostu... wyzdrowiał.

Patrzył, jak pozostali pasażerowie wchodzą na pokład. Młoda blondynka szła w towarzystwie dziewczynki w ciemnych okularach. Mała trzymała ją za łokieć. Kobieta mruknęła coś do podopiecznej, a ta natychmiast obróciła się w kierunku jej głosu – i Brian zrozumiał, że jest niewidoma. Wyczytał to z ruchu głowy. Zabawne, stwierdził, jak wiele może zdradzić taki drobny gest.

Anne... Nie powinieneś teraz myśleć o Anne?

Ale jego zmęczony umysł wciąż uciekał od tego tematu – Anne, która była kiedyś jego żoną; Anne, jedynej kobiety, którą w gniewie uderzył; Anne, która teraz nie żyła.

Chyba mógłby ruszyć w trasę z wykładami dla rozwiedzionych mężczyzn. Ba, dla rozwiedzionych kobiet również. Temat jego wystąpień brzmiałby: *Rozwód i sztuka zapominania*.

Idealny moment na rozwód przychodzi tuż po czwartej rocznicy ślubu – mówiłby. Spójrzcie na mnie. Następny rok przeżyłem w czyścicu, wciąż się głowiłem, w jakim stopniu to moja wina, a w jakim jej, czy miałem prawo tak bardzo naciskać w kwestii dzieci – bo w naszym przypadku właśnie to była ta wielka sprawa, żaden dramat w stylu narkotyków albo zdrady, ot, stara, znana śpiewka, dzieci kontra kariera – a potem nagle w mojej głowie pojawiła się winda ekspresowa; była w niej Anne i pojechała w dół.

Tak. Pojechała w dół. I przez ostatnie kilka miesięcy Brian praktycznie wcale o niej nie myślał... nawet kiedy przychodziła pora comiesięcznej zapłaty alimentów. Kwota była bardzo rozsądna i cywilizowana; Anne sama zarabiała rocznie osiemdziesiąt tysięcy dolarów brutto. Przelewu dokonywał prawnik, więc stanowiło to jedynie kolejną pozycję w zestawieniu finansowym, drobne dwa tysiące dolarów wciśnięte między rachunek za prąd a ratę kredytu za mieszkanie.

Brian patrzył, jak przejściem między fotelami idzie tyczkowaty nastolatek w jarmułce, niosąc pod pachą futerał na

skrzypce. Chłopak wydawał się zarazem nerwowy i podniecony, w jego oczach przeglądała się przyszłość. Brian mu zazdrościł.

W ostatnim roku małżeństwa nawarstwiło się mnóstwo goryczy i złości, aż wreszcie, mniej więcej cztery miesiące przed końcem, stało się: ręka Briana poszła w ruch, zanim mózg zdążył ją powstrzymać. Nie chciał o tym pamiętać. Anne wypła za dużo na imprezie i kiedy wrócili do domu, ostro dała mu popalić.

„Przestań zawracać mi tym głowę, Brianie. Daj mi wreszcie spokój. Koniec z gadaniem o dzieciach. Jak chcesz zbadać nasienie, to idź do lekarza. Ja pracuję w reklamie, a nie przy robieniu dzieci. Mam dość tego twojego samczego piep...”

To wtedy ją uderzył, mocno, prosto w twarz. Cios uciał ostatnie słowo z brutalną precyzją. Stali w mieszkaniu, w którym później miała umrzeć, i patrzyli na siebie, oboje bardziej zszokowani i przestraszeni, niż byli skłonni przyznać (choć teraz, gdy siedział na miejscu 5A i patrzył, jak pasażerowie lotu numer 29 wchodzą na pokład, Brian to przyznawał, wreszcie przyznawał to przed samym sobą). Anne dotknęła ust, które zaczęły krwawić. Uniosła ku niemu palce.

„Uderzyłeś mnie” – powiedziała. W jej głosie nie było gniewu, lecz zdziwienie. Przyszło mu do głowy, że zapewne po raz pierwszy ktokolwiek dotknął w gniewie jakiegokolwiek części ciała Anne Quinlan Engle.

„Tak” – powiedział. „Uderzyłem. I uderzę znowu, jeżeli się nie zamkniesz. Dość tego, skarbie, nie będziesz mnie już chłostać tym swoim językiem. Lepiej się zamknij. Ostrzegam cię dla twojego dobra. Dość tego. Jak chcesz mieć w domu kogoś do pomiatania, to kup sobie psa”.

Małżeństwo kulało jeszcze przez kilka miesięcy, ale tak naprawdę skończyło się w momencie, kiedy ręka Briana weszła w chwilowy kontakt z policzkiem Anne. Sprowokowała go – Bóg mu świadkiem, że go sprowokowała – mimo to oddałby wiele, żeby cofnąć tę jedną nieszczęsną sekundę.

Na pokład wlewali się już ostatni pasażerowie, a on niemal obsesyjnie myślał o perfumach Anne. Dokładnie pamiętał ich

zapach, ale nie nazwę. Lissome? Lithsome? Na litość boską, może Lithium? Wciąż mu się wymykała. Dostawał szału.

Tęsknię za nią, pomyślał z przygnębieniem. Teraz, gdy odeszła na zawsze, tęsknię za nią. Niesamowite, prawda?

Lawnboy? Taka głupia nazwa, jak kosiarka?

Skończ już, powiedział własnemu umysłowi. Odpuść sobie.

W porządku, odparł umysł. Nie ma sprawy, mogę przerwać. Mogę przerwać, kiedy zechcę. Może Lifebuoy? Nie, to mydło. Przepraszam. Lovebite, jak malinka? Lovelorn, jak usychający z miłości?

Brian zapiął pas, oparł się w fotelu, zamknął oczy i poczuł woń perfum, których nie potrafił nazwać.

Właśnie wtedy odezwała się do niego stewardesa. Oczywiście. Brian Engle miał teorię, że personel pokładowy jest szkolony – być może na tajnym kursie podyplomowym – żeby czekać, aż pasażer zamknie oczy, i dopiero wtedy oferować mu jakąś zbędną usługę. I oczywiście upewnić się, że zasnął, zanim się go obudzi, by zapytać, czy nie potrzebuje koca lub poduszki.

– Przepraszam... – zaczęła, ale zaraz urwała.

Zobaczył, że jej wzrok biegnie od epoletów na ramionach jego czarnej marynarki do leżącej na sąsiednim siedzeniu czapki z bezsensownym bągrodem podobnym do jajecznicy.

Zastanowiła się i zaczęła od nowa:

– Przepraszam, panie kapitanie, życzy pan sobie kawy albo soku pomarańczowego?

Lekko rozbawiło go to, że zdołał zbić ją z tropu. Stewardesa wskazała stolik w przedniej części kabiny, tuż pod niedużym kwadratowym ekranem do wyświetlania filmów. Stały na nim dwa kubelki z lodem. Z każdego wystawała smukła zielona szyjka butelki.

– Oczywiście mam też szampana.

Brian rozważał

(Love Boy, też nie to, ale blisko)

szampana, ale tylko przez moment.

– Nie, dziękuję – rzucił. – Za obsługę w trakcie lotu również. Chyba aż do Bostonu będę spał. Jak pogoda?

– Chmury na sześciu tysiącach metrów od Wielkich Równin aż po Boston, ale to nie problem. Polecimy na jedenastu tysiącach. Aha, otrzymaliśmy sygnały o zorzy polarnej nad pustynią Mojave. Może warto jeszcze nie zasypiać.

Uniósł brwi.

– Żartuje pani. Zorza polarna nad Kalifornią? O tej porze roku?

– Tak nas poinformowano.

– Ktoś chyba łyka za dużo tanich leków – powiedział Brian, a ona się zaśmiała. – Dziękuję, chyba się jednak zdrzemnę.

– Dobrze, panie kapitanie. – Wahala się jeszcze przez moment.

– To pan jest tym pilotem, który właśnie stracił żonę, prawda?

Ból głowy pulsował i warczał, ale Brian zmusił się do uśmiechu. Ta kobieta, w zasadzie ledwie dziewczyna, nie miała złych intencji.

– Byłą żonę, ale poza tym się zgadza. To ja.

– Proszę przyjąć kondolencje.

– Dziękuję.

– Czy kiedyś z panem latałam?

Uśmiech Briana na moment powrócił.

– Wątpię. Już piąty rok kursuję na trasach zagranicznych. – A potem, ponieważ nie wiedzieć czemu wydawało się to konieczne, podał jej rękę. – Brian Engle.

Uścisnęła ją.

– Melanie Trevor.

Raz jeszcze się do niej uśmiechnął, a potem znowu oparł się w fotelu i zamknął oczy. Pozwolił sobie nieco odpłynąć, ale nie zasnął – ogłoszenia przed startem, a potem rozbieg i tak by go obudziły. Będzie dość czasu na spanie, gdy już znajdą się w powietrzu.

Lot numer 29, jak większość nocnych lotów, rozpoczął się punktualnie – Brian uważał, że to jedna z ich niewielu zalet. Znajdowali się w boeingu 767, wypełnionym w nieco ponad

połowie. Oprócz Briana w pierwszej klasie było jeszcze sześciu pasażerów. Żaden nie wyglądał na pijaka ani awanturnika. To dobrze. Może drogę do Bostonu naprawdę uda się przespać.

Cierpliwie przyglądał się Melanie Trevor, gdy wskazywała wyjścia, demonstrowała, jak w razie spadku ciśnienia korzystać z małej złotej maski (tę procedurę sam niedawno przypominał sobie w myślach, i to w sporym pośpiechu) oraz jak nadmuchać kamizelkę ratunkową umieszczoną pod fotelem. Kiedy samolot wzbił się w powietrze, stewardesa znowu do niego podeszła, by raz jeszcze zapytać, czy nie przynieść czegoś do picia. Zaprzeczył ruchem głowy, podziękował, a potem wcisnął guzik opuszczający oparcie. Zamknął oczy i prędko zasnął.

Nigdy więcej nie zobaczył Melanie Trevor.

3

Po mniej więcej trzech godzinach od startu lotu numer 29 zbudziła się mała dziewczynka, Dina Bellman, i spytała swoją ciotkę Vicky, czy może napić się wody.

Ciotka nie odpowiedziała, więc Dina powtórzyła pytanie. Gdy odpowiedź nadal nie padła, dziewczynka wyciągnęła rękę, żeby dotknąć ramienia cioci, ale była prawie pewna, że dłoń napotka tylko pusty fotel, i tak właśnie się stało. Doktor Feldman mówił, że u dzieci niewidomych od urodzenia często wykształca się wysoka wrażliwość – niemalże radar – która pozwala wyczuć obecność lub nieobecność osób w bezpośredniej bliskości. Ale Dina nie potrzebowała jego informacji. Wiedziała, że to prawda. Nie zawsze działało, lecz zazwyczaj tak... zwłaszcza gdy chodziło o jej widzącego opiekuna.

Na pewno poszła do toalety i zaraz wróci, pomyślała Dina, a mimo to poczuła niejasny niepokój. Nie obudziła się od razu; to był powolny proces, trochę jak stopniowe wypływanie na powierzchnię po zanurkowaniu w jeziorze. Gdyby w ciągu ostatnich dwóch czy trzech minut ciocia Vicky, która siedziała

przy oknie, otarła się o nią, żeby opuścić swoje miejsce, Dina powinna była to poczuć.

Zatem wyszła wcześniej, uznała dziewczynka. Pewnie musiała na dłużej. To nic wielkiego, Dino. Albo może zatrzymała się po drodze i z kimś rozmawia.

Tylko że Dina wcale nie słyszała, żeby w głównej kabine dużego samolotu ktokolwiek rozmawiał; rozbrzmiewało tylko równe, ciche buczenie silników odrzutowych. Niepokój dziewczynki narastał.

W jej głowie odezwał się głos panny Lee, jej terapeutki (tyle że Dina zawsze myślała o niej jako o swej nauczycielce od niewidzenia): „Nie bój się bać, Dino – od czasu do czasu wszystkie dzieci się boją, zwłaszcza w całkiem nowych sytuacjach. A szczególnie dzieci niewidome. Uwierz, dobrze o tym wiem”. I Dina rzeczywiście wierzyła, bo panna Lee także nie widziała od urodzenia. „Nie pozbywaj się strachu... ale też mu się nie poddawaj. Usiądź spokojnie i pomyśl, jak rozwiązać problem. Zdziwisz się, jak często to działa. Zwłaszcza w całkiem nowych sytuacjach”.

To zdecydowanie pasowało do okoliczności. Dina po raz pierwszy leciała samolotem, w dodatku wielkim odrzutowcem transkontynentalnym z wybrzeża na wybrzeże.

„Pomyśl, jak rozwiązać problem”.

Obudziła się w nieznanym miejscu i odkryła, że jej widząca opiekunka zniknęła. Oczywiście, że coś takiego budzi niepokój, nawet jeśli ta nieobecność jest tylko chwilowa – przecież w samolocie na wysokości jedenastu tysięcy metrów opiekunka Diny na pewno nie postanowiła skoczyć sobie na tacos, bo zaburczało jej w brzuchu. A co do ciszy w kabinie... cóż, w końcu to nocny lot. Pozostali pasażerowie pewnie śpią.

Wszyscy? – spytała z powątpiewaniem zaniepokojona cząstka umysłu Diny. WSZYSCY śpią? Czy to możliwe?

Potem sobie odpowiedziała: film. Ci, którzy nie zasnęli, na pewno oglądają film wyświetlany w trakcie lotu. Naturalnie.

Dziewczynkę zalała niemal namacalna fala ulgi. Ciocia Vicky mówiła, że będą wyświetlać *Kiedy Harry poznał Sally* z Billym Crystalem i Meg Ryan. Sama zamierzała go obejrzeć... oczywiście pod warunkiem, że nie zaśnie.

Dina delikatnie przesunęła dłonią po fotelu cioci w poszukiwaniu słuchawek, ale nie było ich tam. Zamiast tego palce dziewczynki namacały książkę w miękkiej oprawie. To na pewno jeden z romansów, które ciocia Vicky tak lubiła czytać – opowieści o czasach, kiedy mężczyźni, jak mawiała, byli mężczyznami, a kobiety nie.

Palce Diny podążyły nieco dalej i napotkały coś jeszcze – gładką, drobnoziarnistą skórę. Po chwili odnalazły suwak, a zaraz potem pasek.

To była torebka cioci Vicky.

Niepokój dziewczynki powrócił. Na fotelu cioci nie leżały słuchawki, była natomiast torebka. Znajdowały się w niej wszystkie czeki podróżne oprócz dwudziestki, którą Dina miała schowaną głęboko we własnej torebce – wiedziała o tym, bo słyszała, że mama i ciocia rozmawiały o czekach przed wyjściem z domu w Pasadenie.

Czy idąc do toalety, ciocia zostawiłaby torebkę na siedzeniu? Czy postąpiłaby tak, skoro jej towarzyszka podróży nie tylko nie ma jeszcze dziesięciu lat i śpi, ale jest też niewidoma?

Dina w to wątpiła.

„Nie pozbywaj się strachu... ale też mu się nie poddawaj. Usiądź spokojnie i pomyśl, jak rozwiązać problem”.

Nie podobał jej się jednak ten pusty fotel ani cisza w samolocie. Oczywiście mogło być tak, że większość pasażerów spała, a pozostali zachowywali się jak najciszej przez wzgląd na nich, ale i tak jej się to nie podobało. W głowie dziewczynki zbudziło się zwierzę, takie z bardzo ostrymi kłami i pazurami, i zaczęło warczeć. Wiedziała, jak to zwierzę się nazywa: panika. Jeśli szybko nad nim nie zapanuje, może zrobić coś, czym zawstydzi i siebie, i ciocię.

Kiedy już będę widzieć, pomyślała, kiedy lekarze w Bostonie wyleczą mi oczy, skończą się takie głupstwa.

To z pewnością prawda, lecz w tej chwili zupełnie nie pomagało.

Nagle Dina przypomniała sobie, że kiedy usiadły, ciocia Vicky wzięła ją za rękę, zwinęła jej wszystkie palce poza wskazującym, a potem pokierowała ten palec w kierunku krawędzi fotela. Znajdowały się tam przyciski – tylko kilka, nieskomplikowanych, łatwych do zapamiętania. Po włożeniu słuchawek dwa małe kółka pozwalały przestawiać kanały audio oraz regulować głośność. Mały prostokątny guzik włączał lampkę nad fotelem. „To ci się nie przyda” – powiedziała ciocia Vicky i było słyhać, że się uśmiecha. „Przynajmniej na razie”. Ostatni przycisk, kwadratowy, służył do wezwania stewardesy.

Palec Diny dotknął go i przesunął się po lekko wypukłej powierzchni.

Czy naprawdę chcesz to zrobić? – zapytała dziewczynka samą siebie i natychmiast sobie odpowiedziała: Tak, chcę.

Wcisnęła guzik i usłyszała cichy dzwonek. Potem czekała.

Nikt nie przyszedł.

Słyszała tylko wieczny na pozór szept silników odrzutowych. Nikt nic nie mówił. Nikt się nie śmiał (chyba jednak ten film nie jest taki zabawny, jak sądziła ciocia). Nikt nie kasłał. Sąsiedni fotel, fotel cioci Vicky, wciąż był pusty, a nad Diną nie pochyliła się stewardesa – osnuta pokrzepiającą powłoką perfum, szamponu i słabiutkiej woni makijażu – żeby spytać, czy coś przynieść: może przekąskę albo kubek wody.

Tylko cichy, równy pomruk silników.

Zwierzę zwane paniką ujadało głośniejsz niż kiedykolwiek. Żeby z nim walczyć, Dina spróbowała skoncentrować ten swój radar tak bardzo, żeby zmienił się w swoistą niewidzialną białą laszkę, którą mogłaby sięgnąć ze swego miejsca pośrodku kabiny. Była w tym dobra; czasem, kiedy bardzo się skupiała, niemal jej się wydawało, że widzi oczami innych ludzi. Jeśli wystarczająco mocno o tym myślała, wystarczająco tego pragnęła. Pewnego

razu opowiedziała o tym uczuciu pannie Lee, a ta zareagowała niespodziewanie ostro. „Niewidomi często fantazjują o dzieleniu wzroku” – powiedziała. „A zwłaszcza niewidome dzieci. Nigdy nie popełniaj tego błędu, Dino: nie polegaj na tym wrażeniu. Inaczej wylądujesz na wyciągu, bo zlecisz po schodach albo wpadniesz pod samochód”.

Dlatego Dina odłożyła na bok próby „dzielenia wzroku”, jak mówiła o tym panna Lee, a w rzadkich chwilach, kiedy znów opanowywało ją to uczucie – że widzi świat, chwiejny, pełen cieni, ale prawdziwy, oczami matki albo cioci Vicky – starała się je odegnać... tak jak ktoś, kto się obawia, że zaczyna wariować, wypiera podszepty widmowych głosów. Teraz jednak się bała i dlatego zaczęła szukać innych ludzi, próbowała ich wyczuć, lecz ich nie znalazła.

Przerażenie pęczniało, zwierzę zwane paniką ujadało bardzo głośno. Czują, że w jej gardle wzbiera płacz, więc zacisnęła zęby, żeby go zdusić. Bo nie byłby to płacz ani jęk; gdyby pozwoliła, z jej piersi wyrwałby się krzyk donośny niczym syrena alarmowa.

Nie będę krzyczeć, powiedziała sobie z mocą. Nie będę krzyczeć, nie zawstydzę cioci Vicky. Nie będę krzyczeć, nie obudzę tych, którzy śpią, i nie wystraszę pozostałych, żeby przybiegli i mówili: „Patrzcie na tę małą, wystraszoną dziewczynkę, patrzcie na tę małą, wystraszoną niewidomą dziewczynkę”.

Teraz jednak jej radar – ten, który oceniał przeróżne, nawet niewyraźne, sygnały sensoryczne i czasem naprawdę dawał poczucie, że Dina widzi oczami innych ludzi (nieważne, co mówiła panna Lee) – potęgował strach, zamiast go łagodzić.

Bo podpowiadał jej, że wokół niej nie ma nikogo.

Absolutnie nikogo.

Brian Engle miał bardzo zły sen. Znowu pilotował samolot American Pride lot numer 7 z Tokio do Los Angeles, ale tym razem wyciek był znacznie większy. W kokpicie zawisło namacalne poczucie katastrofy. Steve Searles płakał, jedząc ciastko z kruszonką.

„Skoro jesteś taki zdenerwowany, to dlaczego jesz?” – zapytał go Brian. Kabinę wypełniał ostry gwizd jak z czajnika. To na pewno dźwięk rozszczelnienia, uznał. Niemądre rozumowanie – rozszczelnienie niemal zawsze jest ciche, dopóki nie nastąpi gwałtowna dekompresja – ale w snach wszystko jest możliwe.

„Bo uwielbiam te ciastka, a już nigdy więcej ich nie zjem” – odpowiedział Steve, łkając jeszcze głośniej.

Potem nagle ostry gwizd ustał. Pojawiła się uśmiechnięta stewardesa – akurat Melanie Trevor – i z ulgą w głosie oznajmiła, że wyciek znaleziono i załatano. Brian wstał, a następnie ruszył za nią do kabiny pasażerskiej, gdzie Anne Quinlan Engle, jego była żona, stała w niewielkiej wnęce, z której usunięto fotele. Obok niej nad oknem widniał tajemniczy i trochę złowieszczy napis: TYLKO SPADAJĄCE GWIAZDY. Litery były czerwone, w kolorze niebezpieczeństwa.

Anne miała na sobie ciemnozielony kostium stewardesy American Pride, co zdziwiło Briana – przecież pracowała w agencji reklamowej w Bostonie i na „stewki”, z którymi latał jej mąż, zawsze patrzyła z góry, znad swojego wąskiego, arystokratycznego nosa. Przyciskała dłoń do pęknięcia w kadłubie.

„Widzisz, kochanie?” – rzekła z dumą. „Wszystko naprawione. Nieważne, że mnie uderzyłeś. Wybaczylam ci”.

„Nie rób tego, Anne!” – krzyknął, ale było już za późno. Na jej dłoni pojawiło się wgłębienie w kształcie pęknięcia w kadłubie. Powiększało się, w miarę jak różnica ciśnień bezlitośnie wysysała rękę. Najpierw wciągnęło środkowy palec, potem serdeczny, wskazujący i wreszcie mały. Rozległo się głośne pyknięcie, jakby nadgorliwy kelner wyszarpnął korek od szampana, i przez szparę w kadłubie przeszła cała dłoń.

Mimo to Anne nadal się uśmiechała.

„To L’Envoi, kochanie” – powiedziała, kiedy zniknęło jej ramię. Włosy wyrywały się spod spinki, która trzymała je z tyłu, i mglistą chmurą powiewały wokół twarzy. „Zawsze używałam tych perfum, nie pamiętasz?”.

Pamiętał... teraz pamiętał. Tyle że teraz to nie miało znaczenia.

„Anne, wracaj!” – krzyknął.

Ciągle się uśmiechała, kiedy jej rękę powoli wsysało w pustkę na zewnątrz samolotu.

„Brianie, to wcale nie boli – uwierz”.

Rękaw zielonego żakietu American Pride zaczął furkotać. Brian widział ciało Anne wysysane w postaci gęstawej białej galarety. Przypominało klej.

„L’Envoi, pamiętasz?” – zapytała Anne wciągana w szparę, a teraz Brian znów to słyszał: dźwięk, który poeta James Dickey nazwał niegdyś „przepastnym dzikim gwizdem przestrzeni”. Robił się coraz głośniejszy, w miarę jak sen ciemniał, a jednocześnie coraz rozleglejszy. Stał się nie krzykiem wiatru, lecz ludzkiego głosu.

Brian gwałtownie otworzył oczy. Na moment zdezorientowała go siła snu, ale tylko na moment – był przecież zawodowcem wykonującym na co dzień pracę o wysokim stopniu ryzyka, wymagającą dużej odpowiedzialności i szybkich reakcji. Leciał lotem numer 29, a nie numer 7, nie z Tokio do Los Angeles, ale z Los Angeles do Bostonu, gdzie Anne już nie żyła – zginęła nie jako ofiara rozszczelnienia w samolocie, lecz pożaru w swoim mieszkaniu przy Atlantic Avenue, niedaleko nabrzeża. Jednakże dźwięk nie ustawał.

To był piskliwy krzyk małej dziewczynki.

5

– Niech ktoś się do mnie odezwie – prosiła cichym, wyraźnym głosem Dina Bellman. – Przepraszam, ale moja ciocia zniknęła,

a ja jestem niewidoma.

Nikt nie odpowiedział. Czterdzieści rzędów i dwie przegrody przed nią kapitan Brian Engle śnił o tym, że jego nawigator płacze i zajada ciastko z kruszonką.

Słyszała tylko nieprzerwany pomruk silników odrzutowych.

Na myśli Diny znów padł cień paniki, więc przysła jej do głowy tylko jedna rzecz, która pomogłaby przegonić ten strach: rozpięła pas, wstała i ostrożnie wyszła do przejścia między fotelami.

– Halo? – odezwała się głośniejszym głosem. – Halo, jest tu ktoś?

Wciąż nikt nie odpowiadał. Dina zaczęła płakać. Mimo to posępnie wzięła się w garść i powoli ruszyła przejściem po lewej stronie samolotu. Licz uważnie, ostrzegła jakaś cząstka jej umysłu. Licz, ile rzędów mijasz, bo inaczej się zgubisz i nie wrócisz na miejsce.

Zatrzymała się tuż przed rzędem, który zajmowały z ciocią Vicky, i wyciągnęła ręce z rozczapierzonymi palcami. Wiedziała, że w tym fotelu siedzi jakiś mężczyzna, ponieważ ciocia odezwała się do niego tuż przed startem. Gdy odpowiedział, jego głos dobiegał z miejsca wprost przed Diną. Wiedziała to; ustalanie, skąd dobiegają głosy, stanowiło część jej życia, coś równie zwyczajnego jak oddychanie. Śpiący pasażer na pewno się wzdrygnie, gdy dotkną go rozłożone palce Diny, ale ona przestała się już przejmować takimi rzeczami.

Tylko że fotel był pusty.

Zupełnie pusty.

Dina znów się wyprostowała, policzki miała mokre, w głowie pulsowało jej ze strachu. Chyba nie poszli do toalety razem? Oczywiście, że nie.

Może są tu dwie toalety. W tak dużym samolocie muszą przecież być.

Tylko że to również bez znaczenia.

Ciocia Vicky nie zostawiłaby torebki choćby nie wiadomo co. Dina była o tym przekonana.

Powoli ruszyła przed siebie, zatrzymując się przy każdym kolejnym rzędzie. Wyciągała ręce w kierunku najbliższych foteli, najpierw po lewej, a potem po prawej stronie.

Na jednym z siedzeń namacała kolejną torebkę, na następnym chyba aktówkę, na kolejnym długopis i notatnik. W dwóch innych fotelach natrafiła na słuchawki. Na tych drugich znajdowało się coś lepkiego. Dina potarła palcem o palec, a potem skrzywiła się i wytarła je o kawałek materiału na zagłówku fotela. To była woskowina uszna. Dziewczynka nie miała wątpliwości, rozpoznała tę charakterystyczną obrzydliwą konsystencję.

Powoli brnęła naprzód, nie dbając już o subtelność poszukiwań. To bez znaczenia. Nikogo nie dźgnęła w oko, nie uszczypnęła w policzek, nie pociągnęła za włosy.

Każdy sprawdzany fotel okazywał się pusty.

Niemożliwe, myślała gorączkowo. Po prostu niemożliwe! Przecież kiedy wsiadałyśmy, ludzie byli wszędzie! Słyszałam ich! Wyczuwałam! Czułam ich zapach! Gdzie oni są?

Nie wiedziała, ale rzeczywiście ich nie było: nabierała co do tego coraz większej pewności.

W pewnej chwili, podczas gdy spała, jej ciocia wraz z całą resztą pasażerów lotu numer 29 zniknęła.

Nie! – zawołała racjonalna część jej umysłu głosem panny Lee. *Nie, Dino, to niemożliwe! Skoro wszyscy zniknęli, kto pilotuje samolot?*

Dziewczynka szła szybciej, ściskając krawędzie foteli, szeroko otwierała ślepe oczy za ciemnymi szklami, rąbek jej różowej sukienki trzepotał. Straciła rachubę, lecz w narastającym zaniepokojeniu uporczywą ciszą już się tym nie przejmowała.

Znowu stanęła i wyciągnęła ręce w kierunku fotela po prawej. Tym razem namacała włosy... ale w zupełnie niewłaściwym miejscu. Włosy leżały na siedzeniu – jak to możliwe?

Zacisnęła na nich dłoń... i je uniosła. Nagle z przerażeniem uświadomiła sobie prawdę.

To są włosy, zrozumiała, ale ich właściciela nie ma. To skalp. Trzymam w ręku skalp martwego człowieka.

Właśnie wtedy Dina Bellman otworzyła usta i wydała z siebie wrzask, który wyrwał ze snu Briana Engle'a.

6

Albert Kaussner siedział przy barze i pił whisky marki Branding Iron. Po prawej miał braci Earpów, Wyatta i Virgila, a po lewej Doca Hallidaya. Właśnie zamierzał wznieść toast, gdy do Sergio Leone Saloon wpadł mężczyzna z drewnianą nogą.

– Gang Daltonów! – zawołał. – Gang Daltonów zajechał do Dodge!

Wyatt odwrócił się do niego ze spokojem. Twarz miał pociągłą, opaloną i przystojną. Bardzo przypominał Hugh O'Briana.

– Jesteśmy w Tombstone, Muffin – powiedział. – Weź no się, cholera, w garść.

– Nieważne, gdzie jesteśmy, oni zajechali! – krzyknął Muffin. – I są wściekli, Wyatt! Baaardzo, baaardzo wściekli!

Jakby na dowód tych słów na ulicy rozległy się wystrzały – ciężki huk wojskowych rewolwerów kalibru .44 (zapewne skradzionych) mieszał się z wyższym trzaskiem karabinów Garand.

– Przestań trząść portkami, Muffy – rzucił Doc Halliday i uniósł kapelusz.

Alberta wcale nie zdziwiło, że Doc wygląda jak Robert De Niro. Zawsze uważał, że jeśli ktoś jest idealny do roli dentysty suchotnika, to właśnie De Niro.

– Co o tym myślicie, chłopcy? – zapytał Virgil Earp, rozglądając się. On nie był podobny do nikogo.

– Chodźmy – odezwał się Wyatt. – Dość już mam tych przeklętych Clantonów.

– Daltonów, Wyatt – wtrącił cicho Albert.

– Niechby to był nawet i John Dillinger z Pretty Boy Floydem, mam to gdzieś! – krzyknął Wyatt. – Jesteś ze mną czy nie, Ace?

– Jestem z tobą – odparł Albert Kaussner cichym, lecz groźnym tonem urodzonego mordercy. Jedną rękę opuścił na rękojeść swego rewolweru Buntline Special z długą lufą, drugą zaś podniósł, żeby się upewnić, czy jarmułka dobrze leży mu na głowie. Leżała jak trzeba.

– W porządku, chłopcy – powiedział Doc. – Chodźmy skopać tyłki Daltonom.

Wszyscy czterej ramię w ramię wyszli przez uchylne drzwi saloonu w tej samej chwili, gdy dzwon kościoła baptystów w Tombstone zaczął bić południe.

Daltonowie nadjeżdżali galopem główną ulicą miasteczka, strzelając w szyby i fasady. Beczkę na deszczówkę przed Sklepem i Niezawodnym Warsztatem Rusznikarskim Duke'a przerobili na fontannę.

Jako pierwszy czterech mężczyzn stojących na zakurzonej ulicy zobaczył Ike Dalton. Odwinęli poły surdutów, by mieć swobodny dostęp do rewolwerów. Ike ostro ściągnął konia, tak że zwierzę z rzeniem wspięło się na tylne nogi. Gęsta piana chlapała mu wokół wędzidła. Ike Dalton wyglądał zupełnie jak Rutger Hauer.

– Kogo my tu mamy! – parsknął. – Toż to Wyatt Earp i jego brat mięczak, Virgil.

Obok Ike'a zatrzymał się Emmett Dalton (który wyglądał jak Donald Sutherland po miesiącu nieprzespanych nocy).

– I ten pedzio dentysta, ich koleżka – warknął. – Kto jeszcze ma ochotę... – Wtedy spojrzął na Alberta i zbladł. Z jego ust zniknął uśmiezek.

Obok swych dwóch synów stanął Paw Dalton. Paw bardzo przypominał Slima Pickensa.

– Chryste – szepnął. – Toż to Ace Kaussner!

Z kolei obok Pawa zatrzymał wierzchowca Frank James. Twarz miał barwy brudnego pergaminu.

– Co, do diaska, chłopcy?! – zawołał. – Chętnie łupię miasteczka w nudne dni, ale nikt mi nie powiedział, że tu będzie Żyd z Arizony!

Albert „Ace” Kaussner, znany od Sedalii po Steamboat Springs jako Żyd z Arizony, zrobił krok naprzód. Jego dłoń zawisła nad rękojeścią buntline’a. Splunął w bok tytoniem, nie spuszczać zimnych szarych oczu z twardzieli, którzy siedzieli w siodłach sześć metrów przed nim.

– No dalej, chłopcy, tylko spróbujcie – powiedział. – Jak dobrze liczę, w piekle jest jeszcze pełno miejsca.

Gang Daltonów złapał za broń w tej samej chwili, gdy ostatni dzwon ogłaszający południe poniósł się z wieży kościoła baptystów w Tombstone w rozgrzane pustynne niebo. Ace sam chwycił rewolwer, szybko jak błyskawica, a kiedy odciągał kurek i posyłał w gang Daltonów chmurę śmierci kalibru .45, mała dziewczynka przed wejściem do hotelu Longhorn zaczęła krzyczeć.

Niech ktoś zamknie tego bachora, pomyślał Ace. O co jej w ogóle chodzi? Nad wszystkim panuję. Nie na darmo nazywają mnie najszybszym starozakonnym na zachód od Missisipi.

Ale krzyk trwał, rozrywał powietrze i sprawiał, że ciemniało. Wszystko zaczęło się rozsypywać.

Przez moment Ace nie był nigdzie – zagubiony w ciemności, w której kawałki snu opadały i wirowały. Jedyнным stałym elementem pozostał ten straszliwy krzyk; brzmiał jak pisk przepełnionego czajnika.

Albert otworzył oczy i rozejrzał się. Siedział w fotelu w przedniej części kabiny pasażerskiej lotu numer 29. Z końca kabiny przejściem między fotelami szła dziewczynka, miała z dziesięć, a może dwanaście lat, różową sukienkę, a na nosie okulary przeciwsłoneczne.

Gwiazda filmowa czy jak? – pomyślał, ale i tak się bał. To niedobry koniec jego ulubionego snu.

– Hej! – zawołał, ale cicho, tak by nie zbudzić innych pasażerów. – Hej, mała! O co chodzi?

Dziewczynka raptownie odwróciła głowę w kierunku jego głosu, a jej ciało obróciło się chwilę później. Wpadła na jeden z foteli umieszczonych po cztery w rzędzie pośrodku kabiny. Uderzyła udami, odbiła się, a potem przeleciała do tyłu przez podłokietnik siedzenia po lewej. Wylądowała tam z nogami w powietrzu.

– Gdzie są wszyscy?! – krzyczała. – Pomocy! Pomocy!

– Halo, stewardesa! – zawołał zaniepokojony Albert, rozpinając pas.

Wstał z fotela, odwrócił się w stronę krzyczącej dziewczynki... i znieruchomiał. Patrzył teraz na tył samolotu, a to, co zobaczył, sprawiło, że skamieniał.

Już chyba nie muszę się martwić, że pobudzę innych pasażerów, to było pierwsze, co przyszło mu do głowy.

Z perspektywy Alberta cała główna kabina boeinga 767 była pusta.

7

Brian Engle już prawie dotarł do przegrody oddzielającej pierwszą klasę od klasy biznesowej, gdy uświadomił sobie, że pierwsza klasa jest całkowicie pusta. Przystanął na moment, a potem ruszył dalej. Może inni też wstali, żeby sprawdzić, co się dzieje.

Oczywiście wiedział, że to nieprawda; dostatecznie długo przewoził pasażerów, żeby poznać ich grupową psychikę. Gdy komuś odbija, tylko nieliczni – jeśli w ogóle – są skłonni się ruszyć. Większość podróżujących drogą powietrzną wyrzeka się indywidualnego działania, gdy tylko wejdzie na pokład, usiądzie w fotelu i zapnie pasy. Po wykonaniu tych prostych czynności wszelka odpowiedzialność za rozwiązywanie problemów spada na barki załogi. Personel lotniczy mówi o pasażerach „gęsi”, ale tak naprawdę to owce... co załozde zwykle całkiem odpowiada. Dzięki temu nad nerwowymi jednostkami łatwiej jest zapanować.

Ale ponieważ Brianowi nie przychodziła do głowy inna choć trochę sensowna odpowiedź, zignorował własną wiedzę i brnął dalej. Wciąż oplatały go strzępy snu, dlatego część umysłu wierzyła, że to Anne tak wrzeszczy, że znajdzie ją w połowie kabiny pasażerskiej z ręką przyciśniętą do pęknięcia w kadłubie samolotu, pęknięcia pod tabliczką z napisem: TYLKO SPADAJĄCE GWIAZDY.

W części biznesowej znajdował się zaledwie jeden pasażer, starszy pan w trzyczęściowym brązowym garniturze. Jego łysina łagodnie połyskiwała w blasku lampki do czytania. Dłonie, opuchłe od artretyzmu, złożył równo na klamrze pasa. Mocno spał i głośno chrapał, nie zważając na całe zamieszanie.

Brian wpadł do części ekonomicznej kabiny i tam wreszcie znieruchomiał, oszołomiony poczuciem niedowierzania. Zobaczył nastolatka stojącego niedaleko małej dziewczynki, która wpadła w fotel po lewej stronie samolotu, mniej więcej w jednej czwartej jego długości. Chłopak jednak nie patrzył na nią; gapił się w głąb kabiny, z ustami otwartymi tak szeroko, że szczeka opadła mu prawie do okrągłego wycięcia T-shirtu z Hard Rock Cafe.

Pierwsza reakcja Briana była mniej więcej taka sama jak Alberta Kaussnera: O Boże, cały samolot jest pusty!

Potem po prawej stronie samolotu zobaczył kobietę, która wstała, żeby sprawdzić, co się dzieje. Miała skołowaną, zapuchniętą twarz osoby gwałtownie zbudzonej z głębokiego snu. W połowie długości kabiny w jednym ze środkowych foteli młody mężczyzna w swetrze z okrągłym wycięciem wyciągał szyję w kierunku dziewczynki i patrzył na nią matowym, obojętnym wzrokiem. Inny, około sześćdziesiątki, podniósł się z fotela niedaleko Briana, a teraz stał niezdecydowany. Miał na sobie czerwoną flanelową koszulę i wyglądał na absolutnie oszołomionego. Z nieuporządkowaną burzą poskręcanych włosów kojarzył się z szalonym naukowcem.

– Kto się tak wydziera? – zapytał Briana. – Panie, jakiś kłopot z samolotem? Chyba nie spadamy, co?

Dziewczynka przestała krzyczeć. Wykaraskała się z fotela, na którym wylądowała, a potem potoczyła się w przeciwną stronę. Chłopak złapał ją w samą porę; poruszał się z otumaniałą powolnością.

Gdzie się podziali ludzie? – pomyślał Brian. Boże, gdzie oni się podziali?

Stopy niosły go jednak naprzód, w stronę dziewczynki i nastolatka. Po drodze minął inną śpiącą osobę, mniej więcej siedemnastoletnią dziewczynę. Rozchyłała usta w niezbyt atrakcyjnym grymasie, oddychała długimi, suchymi haustami.

Brian dotarł do nastolatka oraz dziewczynki w różowej sukience.

– Człowieku, gdzie oni są? – zapytał Albert Kaussner. Obejmował ramieniem płaczące dziecko, ale nie patrzył na nie; wzrokiem wciąż krążył tam i z powrotem po opustoszałej kabinie. – Wylądowaliśmy gdzieś, kiedy spałem, i wszyscy powysiadali?

– Moja ciocia zniknęła! – zawołała dziewczynka, płacząc. – Moja ciocia Vicky! Myślałam, że samolot jest pusty! Że zostałam sama! Gdzie moja ciocia? Ja chcę do cioci!

Brian na moment przed nią przyklęknął, aby ich twarze znalazły się na jednej wysokości. Okulary przeciwsłoneczne przypomniały mu, że widział ją wcześniej, gdy wchodziła na pokład w towarzystwie blondynki.

– Wszystko w porządku – powiedział. – Wszystko w porządku, młoda damo. Jak się nazywasz?

– Dina – wyłkała. – Nie mogę znaleźć cioci. Jestem niewidoma, nie widzę jej. Obudziłam się i jej miejsce było puste...

– Co się dzieje? – zapytał młody człowiek w swetrze. Zignorował i Briana, i małą, zwracając się ponad jego głową do chłopaka w T-shircie z Hard Rock Cafe oraz starszego mężczyzny we flanelowej koszuli. – Gdzie reszta pasażerów?

– Wszystko w porządku, Dino – powtórzył Brian. – Są tu inni ludzie. Słyszysz ich?

– T-tak. Słyszę. Ale gdzie ciocia Vicky? I kogo zabili?

– Zabili? – powtórzyła ostrym tonem kobieta z prawej strony kabiny. Brian podniósł wzrok i zobaczył, że jest młoda, ciemnowłosa, ładna. – Kogoś zabili? Porwali nas?

– Nikogo nie zabili – odparł. Przynajmniej miał co powiedzieć. Dziwnie się czuł: jego mózg był jak łódka spuszczone z cumy. – Uspokój się, kochanie.

– Namacałam jego włosy! – nie ustępowała Dina. – Ktoś mu obciął włosy!

W połączeniu z całą resztą wydarzeń to już było zbyt dziwaczne, więc Brian zlekceważył jej słowa. Z uderzającą siłą przemówiła do niego wcześniejsza myśl Diny: kto, do jasnej cholery, pilotuje ten samolot?

Brian wstał.

– Muszę iść do przodu – zwrócił się do starszego mężczyzny w czerwonej koszuli. – Proszę zostać z małą.

– Dobrze – odparł tamten. – Ale co się dzieje?

Dołączył do nich kolejny mężczyzna. Miał około trzydziestu pięciu lat, wyprasowane dżinsy i koszulę z grubej bawełny. W przeciwieństwie do pozostałych sprawiał wrażenie zupełnie spokojnego. Wyjął z kieszeni okulary w rogowej oprawie, rozłożył je, trzymając za jeden zausznik, i włożył na nos.

– Wygląda na to, że brakuje nam kilku pasażerów, czyż nie? – zauważył. Jego brytyjski akcent był niemal tak nieskazitelny jak jego koszula. – A co z załogą? Czy ktoś wie?

– To właśnie chcę sprawdzić – odrzekł Brian, po czym znowu ruszył naprzód.

Gdy dotarł do czoła części ekonomicznej, obrócił się i szybko policzył ludzi. Do gromadki stłoczonej wokół dziewczynki w ciemnych okularach dołączyło jeszcze dwoje pasażerów. Jednym była nastolatka, która jeszcze niedawno tak spokojnie spała; teraz chwiała się na nogach jak pijana albo upalona trawką. Drugim był starszawy jegomość w wytartej sportowej marynarce. W sumie osiem osób. Brian dodał do tego siebie oraz faceta w klasie biznesowej, który zapewne wciąż drzemał w najlepsze.

Dziesięć osób.

Na litość boską, gdzie pozostali?

Ale to nie pora, żeby się tym martwić – w tej chwili były ważniejsze problemy. Brian pognał naprzód, ledwie zerkając na łysego gościa, który spał w klasie biznesowej.

8

Część dla personelu pokładowego wciśnięta między ekran a pierwszą klasę była pusta. Pokładowa kuchnia także, tam jednak Brian zobaczył coś ogromnie niepokojącego: wózek z napojami stał przy przeciwległym rogu, obok drzwi toalety po prawej stronie. Na dolnej półce znajdowało się kilka używanych szklanek.

Zamierzano podać napoje, pomyślał. Kiedy to się stało – czymkolwiek „to” było – właśnie wyciągnięto wózek. Przedtem zebrano używane szklanki. Cokolwiek się więc wydarzyło, musiało nastąpić w ciągu półgodziny od startu, może nieco później... Czy stewardesa nie wspominała o turbulencjach nad pustynią? Chyba tak. I jeszcze to dziwne pieprzenie o zorzy polarnej...

Przez moment Brian dałby głowę, że tę ostatnią wzmiankę usłyszał we śnie – była dostatecznie dziwaczna – ale gdy się zastanowił, nabrał pewności, że Melanie Trevor rzeczywiście to powiedziała.

Mniejsza z tym, ale co tu się stało? Co, na Boga?

Nie wiedział. Wiedział natomiast, że widok porzuconego wózka z napojami budzi w nim olbrzymie, zabobonne przerażenie. Przeszło mu przez głowę, że tak właśnie musieli się czuć pierwsi ludzie, którzy wkroczyli na pokład dryfującej *Mary Celeste*, gdy ujrzeli całkiem opustoszały statek pod pełnymi żaglami: kapitański stół zastawiono do kolacji, wszystkie liny starannie zwinięto, a na pokładzie dziobowym w fajce jakiegoś marynarza tliła się jeszcze reszтка tytoniu...

Brian z ogromnym wysiłkiem odegnał te paraliżujące myśli, a potem podszedł do drzwi między częścią dla personelu pokładowego a kokpitem. Zapukał. Tak jak się obawiał, nie było odpowiedzi. I choć wiedział, że to bezcelowe, zwinął dłoń w pięść i zabębnił.

Nic.

Szarpnął za klamkę. Nie drgnęła. Standardowa procedura w czasach nieprzewidzianych wycieczek do Hawany, Libanu czy Teheranu – drzwi mogli otworzyć tylko piloci. Brian umiał pokierować tym samolotem... ale nie stąd.

– Halo! – zawołał. – Halo, panowie! Otwórzcie!

Ale przecież zdawał sobie sprawę, że to bez sensu. Zniknął personel pokładowy; zniknęli prawie wszyscy pasażerowie; Brian Engle gotów był się założyć, że dwuosobowa załoga boeinga 767 również zniknęła.

Sądził, że samolot American Pride, lot numer 29, kieruje się na wschód na autopilocie.

ROZDZIAŁ 2

**Ciemność i góry. Skarby. Nos gościa w swetrze.
Nie szczekają psy. Panika jest zabroniona.
Zmiana kursu.**

1

Brian poprosił starszego mężczyznę w czerwonej koszuli, żeby zaopiekował się Diną, lecz gdy tylko dziewczynka usłyszała kobietę z prawej strony samolotu – tę o ładnym, młodym głosie – przywiązała się do niej z zastraszającą gorliwością; przylgnęła do niej i nieśmiało, ale z determinacją szukała jej dłoni. Po wielu latach spędzonych z panną Lee Dina umiała bez pudła rozpoznać głos nauczycielki. Ciemnowłosa kobieta dość ochoczo wzięła ją za rękę.

– Mówiłaś, że masz na imię Dina, kochanie?

– Tak. Jestem niewidoma, ale po operacji w Bostonie zaczną widzieć. Chyba zaczną. Lekarze mówią, że mam siedemdziesiąt procent szans na częściowe odzyskanie wzroku i czterdzieści na pełne. Jak się pani nazywa?

– Laurel Stevenson – odpowiedziała ciemnowłosa kobieta. Jej spojrzenie nadal lustrowałoabinę, a twarzy nie chciała opuścić początkowa mina: mieszanka otępienia i niedowierzania.

– Laurel to od kwiatka, prawda? – spytała Dina. Mówiła z gorączkowym ożywieniem.

– Mhm – odparła Laurel.

– Przepraszam – wtrącił mężczyzna z brytyjskim akcentem, ten w okularach z rogowymi oprawkami. – Idę na przód samolotu do naszego przyjaciela.

– Pójdę z panem – postanowił ten w czerwonej koszuli.

– Chcę wiedzieć, co tu się dzieje! – zawołał raptownie tamten w swetrze z okrągłym wycięciem. Twarz miał trupio bladą z wyjątkiem dwóch plam koloru na policzkach, jaskrawych jak natarte różem. – Chcę wiedzieć natychmiast!

– Wcale mnie to nie dziwi – odparł Brytyjczyk, a potem ruszył naprzód.

Mężczyzna w czerwonej koszuli poszedł za nim. Wyglądająca na otumanioną nastolatka przez chwilę wlokła się ich śladem, a później zatrzymała się przed przegrodą między klasą ekonomiczną a biznesową, jakby nie bardzo wiedziała, gdzie jest.

Starszawy jegomość w wytartej sportowej marynarce podszedł do okna po lewej stronie, nachylił się i wyjrzał.

– Co pan widzi? – zapytała Laurel Stevenson.

– Ciemność i góry – odpowiedział.

– Góry Skaliste? – spytał Albert.

Mężczyzna w wytartej sportowej marynarce skinął głową.

– Tak sędzę, młody człowieku.

Albert również postanowił ruszyć do przodu. Miał siedemnaście lat, był diablo bystry i jemu także przyszło do głowy Pytanie o Największą Tajemnicę Wieczoru: kto kieruje samolotem?

Uznał jednak, że to bez znaczenia... przynajmniej chwilowo. Lecieli spokojnie, co oznaczało, że ktoś ten samolot pilotuje, a nawet gdyby się okazało, że nie ktoś, ale coś – innymi słowy autopilot – nie mogli na to nic poradzić. Jako Albert Kaussner był uzdolnionym skrzypkim – acz nie geniuszem – w drodze na studia w Berklee College of Music. Jako Ace Kaussner natomiast był (przynajmniej w swoich snach) najszybszym starozakonnym na zachód od Missisipi, łowcą nagród, który robi sobie wolne w soboty, nigdy nie kładzie się z butami na łóżku i na piaszczystym szlaku zawsze jednym okiem wypatruje korzyści, a drugim dobrej koszernej kawy. Sądził, że Ace pozwala mu uciec przed opiekuńczością kochających rodziców, którzy nie pozwolili mu grać w Małej Lidze baseballu, bo mógłby uszkodzić swe zdolne dłonie, a każde najmniejsze siąknięcie nosem brali za

początek zapalenia płuc. Był skrzypkiem rewolwerowcem – ciekawe połączenie – ale nie miał pojęcia o pilotowaniu samolotów. A ta dziewczynka powiedziała coś, co jednocześnie go zaintrygowało i zmroziło mu krew w żyłach: „Namacałam jego włosy! Ktoś mu obciął włosy!”.

Albert odłączył się od Diny i Laurel (mężczyzna w wytartej sportowej marynarce przeszedł na prawą stronę samolotu, żeby wyrzeć przez okno, a ten w swetrze z okrągłym wycięciem udał się naprzód za całą resztą, buńczucznie mrużąc oczy) i śladami dziewczynki ruszył przejściem po lewej.

„Ktoś mu obciął włosy!” – to były słowa Diny. Kilka rzędów dalej Albert zobaczył, co miała na myśli.

2

– Drogi panie, mam błogą nadzieję, że czapka pilota, którą dostrzegłem na jednym z siedzeń w pierwszej klasie, należy do pana – powiedział Brytyjczyk.

Brian, który stał przed zamkniętymi drzwiami z pochyloną głową i rozmyślał gorączkowo, zdrygnął się zaskoczony i obrócił na pięcie, kiedy Brytyjczyk odezwał się za jego plecami.

– Nie chciałem panu napędzić strachu – dodał tamten łagodnie. – Nazywam się Nick Hopewell. – Wyciągnął rękę.

Brian ją uścisnął. Właśnie wtedy, wykonując swoją część tego odwiecznego rytuału, uświadomił sobie, że to musi być sen. Wywołały go straszny lot z Tokio i wiadomość o śmierci Anne.

Część jego umysłu wiedziała, że to nieprawda, podobnie jak wiedziała, że krzyk dziewczynki nie miał związku z opustoszałą pierwszą klasą, ale Brian uchwycił się tej myśli tak samo jak tamtej wcześniejszej. Okazała się pomocna, więc czemu nie? Cała reszta wydawała się zwariowana – i to tak bardzo, że rozmyślając o tym, zaczynał gorączkować. Poza tym nie było czasu na rozmyślenia, po prostu nie było. Jak się okazało, ta świadomość również przyniosła mu ulgę.

– Brian Engle – przedstawił się. – Miło mi pana poznać, chociaż okoliczności są... – Bezsilnie wzruszył ramionami. Jakie właściwie są te okoliczności? Nie przyszedł mu do głowy żaden przymiotnik, który odpowiednio by je opisał.

– Dość osobliwe, nieprawdaż? – podsunął Hopewell. – Na razie chyba lepiej o nich nie myśleć. Załoga odpowiada?

– Nie. – Brian, sfrustrowany, gwałtownie walnął pięścią w drzwi.

– Spokojnie, spokojnie – uciszył go Hopewell. – Niech mi pan opowie o swojej czapce. Nie wyobraża pan sobie, z jaką ulgą i satysfakcją zwracałbym się do pana „kapitanie Engle”.

Brian uśmiechnął się wbrew sobie.

– Rzeczywiście jestem kapitanem – potwierdził. – Ale w tych okolicznościach chyba możesz mi mówić Brian.

Nick Hopewell chwycił jego lewą dłoń i ucałował z pasją.

– Wolę mówić ci „Zbawco”. Będzie ci to przeszkadzać?

Brian odchylił głowę i parsknął śmiechem. Nick również. Stali przed zamkniętymi drzwiami w niemal pustym samolocie i śmiali się dziko. Właśnie wtedy dotarli tam mężczyzna w czerwonej koszuli oraz ten w swetrze z okrągłym wycięciem. Patrzyli na Briana i Nicka jak na wariatów.

3

Albert Kaussner przez dłuższą chwilę trzymał włosy w prawej dłoni, przypatrując im się w zamyśleniu. W świetle lamp sufitowych były czarne i błyszczące – naprawdę porządna grzywa – nic więc dziwnego, że śmiertelnie wystraszyły dziewczynkę. Alberta też by wystraszyły, gdyby nie mógł ich zobaczyć.

Rzucił perukę z powrotem na siedzenie, zerknął na torebkę na sąsiednim fotelu, a potem, uważnie, na przedmiot leżący obok niej. To była zwyczajna złota obrączka. Podniósł ją, obejrzał i odłożył na miejsce. Ruszył powoli na tył samolotu. Oszołomienie, którego doznał w ciągu niecałej minuty, sprawiło,

że całkiem zapomniał o tym, kto kieruje samolotem i jakim cudem wylądują, jeśli to autopilot.

Pasażerowie lotu numer 29 zniknęli, ale pozostawili po sobie fantastyczne – a czasem zastanawiające – skarby. Biżuterię Albert znajdował na prawie każdym fotelu, głównie obrączki, ale też pierścionki z brylantami, szmaragdami i rubinami. Były także kolczyki, zwykle tanie, ale trafiło się również parę – na jego oko – całkiem kosztownych. Mama Alberta miała kilka przyzwoitych, jednak przy tych tutaj wyglądałyby jak z kiermaszu rzeczy używanych. Były naszyjniki, spinki do mankietów, bransoletki z nazwiskiem. Oraz zegarki, zegarki, zegarki. Od timexów po rolexy, było ich co najmniej dwieście, leżały na fotelach, pod fotelami, między fotelami. Migotały w świetle.

Było też co najmniej sześćdziesiąt par okularów. W oprawkach drucianych, rogowych, złotych. Skromne, szpanerskie i takie ze strasami w zausznikach. Ray-bany, polaroidy i foster granty.

Były klamry pasków, przypinki i stosy drobniaków. Żadnych banknotów, natomiast z jedno-, pięcio-, dziesięcio- i dwudziestopięciocentówek spokojnie uzbierałoby się czterysta dolarów. Były też portfele – mniej niż torebek, ale i tak kilkanaście, od plastikowych po wykonane z drogiej skóry. Były scyzoryki. Był co najmniej tuzin kalkulatorów.

A także rzeczy dziwniejsze. Albert podniósł walcowaty przedmiot cielistej barwy i przyglądał mu się przez dobre pół minuty, zanim stwierdził, że to naprawdę jest wibrator, i pośpiesznie go odłożył. Była nieduża złota łyżka na cienkim złotym łańcuszku. Były, tu i ówdzie, jasne drobinki metalu na fotelach i podłodze, głównie srebrne, ale również złote. Podniósł kilka, żeby potwierdzić przypuszczenia zadziwionego umysłu: to koronki i plomby z ludzkich zębów. Wreszcie, w jednym z tylnych rzędów, Albert znalazł dwa maleńkie stalowe pręty. Patrzył na nie przez chwilę, zanim pojął, że są to gwoździe chirurgiczne i że ich miejsce jest nie na podłodze niemal

opustoszałego samolotu pasażerskiego, lecz w kolanie bądź ramieniu któregoś z podróżnych.

Odkrył jeszcze jednego pasażera, młodego brodacza rozciągniętego na dwóch fotelach w ostatnim rzędzie. Chrapał głośno i cuchnął jak browar.

Dwa miejsca dalej Albert znalazł urządzenie przypominające rozrusznik serca.

Stał teraz w ogonie maszyny i patrzył w przód, wzdłuż długiego pustego kadłuba.

– Co tu się, kurwa, dzieje? – zapytał cichym, drżącym głosem.

4

– Chcę informacji, co tu się dzieje! – zażądał mężczyzna w swetrze z okrągłym wycięciem.

Wmaszerował do pomieszczenia dla personelu pokładowego na przedzie pierwszej klasy niczym korporacyjny najeźdźca dokonujący wrogiego przejęcia.

– Obecnie? Właśnie zamierzam sforsować zamek w tych drzwiach – wyjaśnił Nick Hopewell, wbijając w gościa w swetrze jasne spojrzenie. – Wygląda na to, że załoga samolotu abdykowała wraz z pozostałymi, ale i tak mamy szczęście. Mój nowy znajomy jest pilotem, który akurat z nami leciał...

– Ktoś tu chyba naprawdę odleciał – odparł ten w swetrze – i zamierzam ustalić kto, daję słowo. – Przepchnął się obok Nicka, nie zaszczycając go spojrzeniem, i zatrzymał się tak, że twarzą niemal dotykał nosa Briana, agresywnie jak sportowiec, kiedy wyklóca się z sędzią. – Pracujesz pan dla American Pride, kolego?

– Tak – odrzekł Brian. – Ale może na razie zostawmy to na boku. Teraz najważniejsze...

– Już ja panu powiem, co jest najważniejsze! – ryknął gość w swetrze. Mgielka śliny wylądowała na policzkach Briana, tak że musiał zdusić w sobie nagłą i silną ochotę złapania tego jełopa za gardło i sprawdzenia, jak bardzo można mu obrócić głowę, zanim w środku coś trzaśnie. – O dziewiątej rano w Prudential

Center mam spotkanie z przedstawicielami Bankers International! Również o dziewiątej! Kupiłem bilet na ten samolot w dobrej wierze i nie zamierzam się spóźnić! Proszę mi natychmiast wyjaśnić trzy rzeczy: kto zezwolił na nieprzewidziane lądowanie, kiedy spałem, gdzie się odbyło i dlaczego?!

– Oglądał pan *Star Treka*? – spytał nagle Nick Hopewell.

Gość w swetrze, czerwony z wściekłości, obrócił się do niego. Jego mina wyraźnie wskazywała, że uważa Brytyjczyka za szaleńca.

– O czym pan mówi, do cholery?

– To wspaniały amerykański serial – odrzekł Nick. – Z gatunku science fiction. Opowiada o zgłębianiu nowych światów, takich jak ten, który najwidoczniej gnieździ się w pańskiej głowie. A jeśli natychmiast nie zamkniesz pan swojego durnego pyska, to z chęcią zademonstruję na panu słynny wolkański chwyt obezwładniający Spocka.

– Jak pan śmie tak do mnie mówić?! – warknął ten w swetrze.

– Pan wie, kim ja jestem?

– Oczywiście. Jest pan głupim gnojkiem, który pomylił swoją kartę pokładową z dyplomem Pana i Władcy Wszechświata. Do tego jest pan wystraszony. To żaden grzech, jednakże stoi nam pan na drodze.

Twarz gościa w swetrze tak bardzo nabiegła krwią, że Brian zaczął się bać, że zaraz wybuchnie mu głowa. Widział kiedyś film, w którym coś takiego się zdarzyło. Nie chciał oglądać tego samego na żywo.

– Jak pan śmie tak do mnie mówić! Pan nawet nie jest obywatelem amerykańskim!

Nick Hopewell ruszył się tak prędko, że Brian ledwie dostrzegł, co się dzieje. Jeszcze przed chwilą facet w swetrze wrzeszczał Nickowi prosto w twarz, a ten stał spokojnie obok Briana z rękami na biodrach w wyprasowanych dżinsach. Teraz zaś nos gościa w swetrze tkwił między palcem wskazującym a środkowym prawej dłoni Brytyjczyka.

Ten w swetrze spróbował się wyrwać. Nick zacisnął palce, a potem lekko obrócił nadgarstek takim gestem jak przy nakręcaniu budzika. Tamten zawył.

– Mogę ci go złamać – ostrzegł Nick. – Nic prostszego.

Gość w swetrze próbował się odchylić. Bezradnie okładał dłońmi ramię Brytyjczyka. Nick znów obrócił nadgarstek. Tamten znowu zawył.

– Chyba mnie nie usłyszałeś. Mogę ci złamać nos. Rozumiesz? Jeśli tak, to daj sygnał. – Obrócił nadgarstek po raz trzeci. Tym razem ten w swetrze nie zawył, ale wręcz wrzasnął.

– O kurde – mruknęła z tyłu dziewczyna wyglądająca na upaloną. – Chwył za nos.

– Nie mam czasu na rozmowy o służbowych spotkaniach – powiedział cicho Nick do gościa w swetrze. – Ani na użeranie się z histerią, która udaje agresję. Mamy tu dziwną, paskudną sytuację. A ty, szanowny panie, najwyraźniej nie pomożesz nam jej rozwikłać, więc nie zamierzam dopuścić, żebyś utrudniał. Dlatego teraz wyślę cię z powrotem do części dla pasażerów. Ten pan w czerwonej koszuli...

– Don Gaffney – wtrącił tenże. Wyglądał na równie zdziwionego jak Brian.

– Dziękuję – odparł Nick. Wciąż trzymał nos gościa w swetrze w niesamowitym uchwycie. W jednym zgniecionym nozdrzu Brian dostrzegł teraz strużkę krwi. Nick przyciągnął mężczyznę bliżej i odezwał się do niego ciepłym, poufałym tonem: – Pan Gaffney będzie twoim opiekunem. Po powrocie do kabiny pasażerskiej, mój gnojkwaty przyjacielu, zajmiesz swoje miejsce i porządnie się przypniesz. Później, gdy pan kapitan się upewni, że nie wlecimy w jakąś górę, w budynek albo w inny samolot, być może szerzej omówimy naszą obecną sytuację. Na razie jednak twój wkład w dyskusję nie jest konieczny. Rozumiesz wszystko, co do ciebie powiedziałem?

Gość w swetrze wydał z siebie zboląły, wściekły ryk.

– Jeśli rozumiesz, bądź tak miły i unieś kciuk.

Tamten podniósł wyprostowany kciuk. Brian zauważył, że ma starannie wymanikiurowany paznokieć.

– Świetnie – rzekł Nick. – Jeszcze jedno. Kiedy puszcę twój nos, możesz poczuć chęć zemsty. Taki odruch jest zupełnie zrozumiały. Ale przekucie go w czyn byłoby wielkim błędem. Pamiętaj, że to, co zrobiłem z twoim nosem, równie dobrze mogę ci zrobić z jajami. Tak je nakręcić, że kiedy puszcę, zaczniesz fruwać po kabinie jak dziecięcy samolocik. Liczę, że pójdziesz z panem... – Spojrzał pytająco na mężczyznę w czerwonej koszuli.

– Gaffneyem – powtórzył tenże.

– Gaffneyem, racja. Bardzo przepraszam. Liczę, że pójdziesz z panem Gaffneyem. Nie będziesz protestował. Nawet nie spróbujesz pyskować. Jeżeli piśniesz choćby słówko, trafi ci się okazja do spenetrowania nieznanymi dotąd kręgów cierpienia. Wyprostuj kciuk, jeśli rozumiesz.

Gość w swetrze pomachał kciukiem z takim entuzjazmem, że przez moment wyglądał jak autostopowicz z biegunką.

– No to pysznie! – odparł Nick i puścił jego nos.

Tamten zrobił krok do tyłu. Patrzył na Nicka Hopewella wściekłym, zdumionym wzrokiem – przypominał kota, na którego ktoś właśnie wylał wiadro zimnej wody. Sama wściekłość nie zrobiłaby na Brianie wrażenia. Zdumienie sprawiło jednak, że trochę współczuł gościowi w swetrze. Sam przecież był mocno zdumiony.

Ten w swetrze podniósł rękę do nosa, żeby się upewnić, że nadal go ma. Z obu nozdrzy ciekły wąskie strużki krwi, nie szersze niż pasek, który się odrywa przy otwieraniu paczki papierosów. Opuścił palce z zakrwawionymi opuszkami i patrzył na nie z niedowierzaniem. Otworzył usta.

– Ja tam bym siedział cicho – poradził mu Don Gaffney. – Koleś nie żartuje. Niech pan lepiej idzie ze mną.

Wziął gościa w swetrze za ramię. Ten chwilę się opierał. Znowu otworzył usta.

– Kiepski pomysł – rzuciła dziewczyna wyglądająca na upaloną.

Gość w swetrze zamknął usta i pozwolił, żeby Gaffney poprowadził go w głąb pierwszej klasy. Raz spojrzął przez ramię – wzrok miał oszołomiony, oczy szeroko otwarte – a potem ponownie otarł nos palcami.

Tymczasem Nick zupełnie stracił nim zainteresowanie. Właśnie patrzył przez okno.

– Chyba jesteśmy nad Górami Skalistymi – powiedział. – I to, zdaje się, na bezpiecznej wysokości.

Brian na moment również wyjrzał. Rzeczywiście ujrzał Góry Skaliste, na oko środek pasma. Wysokość szacował na jedenaście tysięcy metrów. A więc tyle, ile zapowiedziała Melanie Trevor. Czyli wszystko w porządku... przynajmniej na razie.

– Chodź – odezwał się Brian. – Pomóż mi wyważyć drzwi.

Nick podszedł do niego.

– Brianie, czy podczas tej operacji to ja mogę być kapitanem? Mam trochę doświadczenia.

– Nie krępuj się. – Brian zaczął się zastanawiać, skąd u tego faceta doświadczenie w wykręcaniu ludziom nosów i wyważaniu drzwi. Domyślał się, że to długa historia.

– Dobrze byłoby wiedzieć, jak wytrzymały jest zamek – rzekł Nick. – Jeżeli uderzymy za mocno, wparujemy do kokpitu niczym wystrzeleni z katapulty. Wolałbym nie wpaść na coś, na co lepiej nie wpadać.

– Nie mam pojęcia – odparł szczerze Brian. – Ale chyba niezbyt wytrzymały.

– W porządku. Stań twarzą do mnie. Ty wycelujesz w drzwi prawym ramieniem, a ja lewym.

Brian zajął odpowiednią pozycję.

– Będę odliczał – powiedział Nick. – Pchniemy razem na trzy. Zaprzyj się nogami. Jest większa szansa na wyważenie drzwi, jeśli uderzymy nisko. Nie atakuj ich z całej siły. Mniej więcej pół na pół. Jeśli nie wystarczy, zawsze można powtórzyć. Rozumiesz?

– Tak.

Dziewczyna, która chyba zdążyła się już trochę obudzić i bardziej kontaktowała, zapytała:

– Pewnie nie zostawiają tu klucza pod wycieraczką albo coś w tym stylu?

Nick spojrzał na nią zaskoczony, a potem znowu na Briana.

– Zostawiają tu gdzieś klucz?

Brian pokręcił głową.

– Niestety. Zabezpieczenie antyterrorystyczne.

– Oczywiście – odrzekł Nick. – Oczywiście. – Zerknął na dziewczynę i puścił do niej oko. – Ale i tak dobrze kombinujesz.

Uśmiechnęła się do niego niepewnie.

Nick znów odwrócił się do Briana.

– Dobra. Gotowy?

– Gotowy.

– No to pysznie. Raz... dwa... trzy!

Ruszyli na drzwi, a tuż przed uderzeniem pochyłili się, doskonale zgrani. Ustąpiły z absurdalną łatwością. Między częścią dla personelu pokładowego a kokpitem znajdował się występ – o co najmniej osiem centymetrów za niski, żeby nazwać go stopniem. Brian uderzył o niego krawędzią buta i przewróciłby się na bok, gdyby Nick nie chwycił go za ramię. Gość był szybki jak kot.

– No to pysznie – powiedział, bardziej do siebie niż do Briana.

– Sprawdźmy, z czym mamy do czynienia.

5

Kokpit był pusty. Zaglądając do środka, Brian dostał gęsiej skórki na karku i ramionach. Doskonale jest wiedzieć, że boeing 767 potrafi przebyć tysiące kilometrów na autopilocie, w oparciu o dane wprowadzone do inercyjnego systemu nawigacji – Bóg Brianowi świadkiem, że sam pokonał w ten sposób olbrzymie odległości – ale zobaczyć dwa puste fotele to już zupełnie inna sprawa. W ciągu całej kariery nigdy nie widział pustego kokpitu.

A teraz taki oglądał. Stery poruszały się same, wykonując maleńkie korekty niezbędne, żeby utrzymać maszynę na przewidzianym kursie do Bostonu. Wszystkie kontrolki świeciły na zielono. Dwa skrzydełka samolotu na wskaźniku znajdowały się powyżej linii sztucznego horyzontu. Za małymi, pochylonymi do przodu oknami miliard gwiazd migotał na niebie wczesnego poranka.

– O kurde – stęknęła cicho nastolatka.

– Rety! – zawołał w tej samej chwili Nick. – Spójrz no, brachu.

– Wskazał kubek niedopitej kawy na konsoli przy lewym podłokietniku fotela pilota.

Obok kubka leżało nadjedzone ciastko z kruszonką, które gwałtownie przypomniało Brianowi jego sen. Mocno się wzdrygnął.

– Cokolwiek się zdarzyło, zdarzyło się szybko – zauważył. – Popatrz tam. I tam.

Najpierw wskazał siedzenie fotela kapitana, a potem podłogę pod fotelem drugiego pilota. W blasku lampek kontrolnych migotały dwa zegarki: odporny na ciśnienie rolex i elektroniczny pulsar.

– Gdyby ktoś potrzebował zegarka, to ma w czym wybierać – odezwał się głos za nimi. – Na tyłach jest ich masa.

Brian obejrzał się i zobaczył Alberta Kaussnera, schludnego i bardzo młodego, w czarnej jarmułce oraz T-shircie z Hard Rock Cafe. Obok stał ów starszawy jegomość w wytartej sportowej marynarce.

– Naprawdę? – zapytał Nick. Chyba po raz pierwszy stracił opanowanie.

– Zegarki, biżuteria, okulary – odparł Albert. – I torebki. Ale najdziwniejsze... że tam są rzeczy, które, dałbym głowę, pochodzą z wnętrza ludzi. Na przykład gwoździe chirurgiczne i rozruszniki serca.

Nick spojrzał na Briana Engle'a. Mocno pobladł.

– Do tej pory wychodziłem mniej więcej z tego samego założenia co nasz niegrzeczny i gadatliwy kolega – powiedział. –

Że samolot z jakiegoś powodu gdzieś wylądował, kiedy spałem. I że nie wiedzieć czemu większość pasażerów i załogę wylądowano.

– Obudziłem się, gdy tylko zaczęłoby się schodzenie – rzekł Brian. – To nawyk. – Odkrył, że nie potrafi oderwać wzroku od pustych foteli, niedopitej kawy i nadjedzonego ciastka.

– Ja powiedziałbym o sobie to samo – dodał Nick. – Dlatego uznałem, że dosypano mi czegoś do napoju.

Nie mam pojęcia, jak ten facet zarabia na życie, pomyślał Brian, ale na pewno nie handluje używanymi samochodami.

– Do mojego na pewno nic nie dosypano – powiedział. – Bo nic nie piłem.

– Ja też nie – rzucił Albert.

– Tak czy inaczej, maszyna na pewno nie wylądowała i nie wystartowała, kiedy spaliśmy – poinformował ich Brian. – Samolot może latać na autopilocie, a concorde może tak nawet wylądować, ale do startu potrzeba człowieka.

– Zatem nie lądowaliśmy – podsumował Nick.

– Nie.

– To gdzie oni się podzieli?

– Nie wiem – odparł Brian.

Podszedł do fotela pilota i usiadł.

6

Samolot American Pride, lot numer 29, rzeczywiście znajdował się na wysokości jedenastu tysięcy metrów, tak jak poinformowała Melanie Trevor, na kursie 90. Za godzinę lub dwie miało się to zmienić, gdy maszyna skreśli nieco na północ. Brian wziął książkę map nawigatora, spojrzął na wskaźnik prędkości lotu i wykonał kilka szybkich obliczeń. Potem włożył słuchawki.

– Denver, tu lot numer dwadzieścia dziewięć American Pride, odbiór.

Przestawił przełącznik... i nic nie usłyszał. Absolutnie nic. Ani szumu, ani gwaru, ani kontroli naziemnej, ani innych samolotów. Sprawdził ustawienia transpondera: 7700, jak należy. Przestawił przełącznik z powrotem na nadawanie.

– Denver, zgłoś się, tu lot numer dwadzieścia dziewięć American Pride, powtarzam, American Pride ciężki, mam problem, Denver, mam problem.

Przestawił urządzenie na odbiór. Słuchał.

Potem zrobił coś, od czego Albertowi „Ace’owi” Kaussnerowi serce zaczęło mocniej bić ze strachu: nasadą dłoni uderzył w pulpit sterowniczy tuż poniżej radia. Boeing 767 to zaawansowany, nowoczesny samolot pasażerski. Tutaj nie uruchamia się urządzeń w taki sposób. Pilot właśnie potraktował ten sprzęt jak używane radio kupione na aukcji charytatywnej, które po przyniesieniu do domu nie chce działać.

Brian ponownie spróbował połączyć się z Denver. I nie dostał żadnej odpowiedzi. Absolutnie żadnej.

7

Dotąd Brian był otumaniały i ogromnie zdumiony. Teraz na dodatek zaczynał się bać – i to bardzo. Do tej pory na strach nie miał czasu. Wolałby, żeby tak pozostało... ale nic z tego. Przełączył radio na pasmo awaryjne i spróbował ponownie. Bez odpowiedzi. To mniej więcej tak, jakby zadzwonić na policję na Manhattanie i usłyszeć głos z taśmy, że wszyscy wyjechali na weekend. Kiedy wzywa się pomoc na paśmie awaryjnym, reakcja zawsze jest szybka.

W każdym razie aż do dziś, pomyślał Brian.

Przełączył się na UNICOM, gdzie prywatni piloci otrzymują wskazówki dotyczące lądowania na małych lotniskach. Bez odpowiedzi. Słuchał... i zupełnie nic nie słyszał. Co było po prostu niemożliwe. Prywatni piloci szwargoczą jak ptaszki na drutach telefonicznych. Babka w piperze dopytuje się o pogodę. Facet w cessnie wykituje za sterami, jeżeli ktoś nie zadzwoni w jego

imieniu do żony, by powiedzieć jej, że przywiezie trzy osoby na kolację. A goście w learze chcą, żeby dziewczyna z recepcji na lotnisku w Arvadzie powiadomiła pasażerów ich lotu czarterowego, że spóźnią się piętnaście minut, ale niech nie panikują, bo i tak zdążą na mecz do Chicago.

Brian jednak tego nie słyszał. Jakby wszystkie ptaszki odfrunęły i druty telefoniczne zostały puste.

Przełączył się z powrotem na pasmo awaryjne FAA.

– Denver, zgłoś się! Zgłoś się natychmiast! Tu lot AP numer dwadzieścia dziewięć, odpowiedzcie, do cholery!

Nick dotknął jego ramienia.

– Spokojnie, chłopie.

– Pies nie szczeka! – parsknął Brian rozpaczliwie. – To niemożliwe, ale prawdziwe! Chryste, co oni, kurwa, narobili? Rozpętali wojnę jądrową?

– Spokojnie, Brianie – powtórzył Nick. – Wyluzuj i powiedz, co to znaczy, że pies nie szczeka.

– To znaczy Denver! Ten pies! I pasmo awaryjne FAA! Ten pies! I UNICOM, ten pies też! Jeszcze nigdy... – Przeszawił inny przełącznik. – Proszę bardzo! To pasmo średniofalowe. Na tej częstotliwości ludzie powinni skakać jeden przez drugiego jak żaby na rozgrzanym chodniku, a ja gówno słyszę. – Znów coś przełączył, a potem spojrzał na Nicka i Alberta Kaussnera, którzy stłoczyli się wokół niego. – Nie ma radiolatarni VOR z Denver!

– Czyli?

– Czyli nie mam radia, nie mam radiolatarni nawigacyjnej z Denver, natomiast tablica rozdzielcza mówi mi, że wszystko działa. Co jest bzdurą. Musi być.

W głowie Briana pojawiła się okropna myśl. Wynurzała się niczym rozdęte zwłoki wypływające na powierzchnię rzeki.

– Ej, młody, wyjrzyj przez okno – poprosił. – Z lewej strony. Powiedz mi, co widzisz.

Albert Kaussner wyjrzał. Patrzył bardzo długo.

– Nic – powiedział. – Zupełnie nic. Tylko koniec Gór Skalistych i początek równin.

– Żadnych świateł?

– Żadnych.

Brian podniósł się; nogi miał jak z waty. Długo tak stał, patrząc w dół.

Wreszcie Nick Hopewell odezwał się cicho:

– Denver nie ma, prawda?

Na podstawie map oraz pokładowych instrumentów nawigacyjnych Brian wiedział, że powinni teraz przelatywać niecałe osiemdziesiąt kilometrów na południe od Denver... jednak w dole widział tylko ciemny, monotony krajobraz wyznaczający początek Wielkich Równin.

– Tak. Denver nie ma.

8

W kokpicie nastąpiła chwila absolutnego milczenia, a potem Nick Hopewell odwrócił się do publiki, która teraz składała się z Alberta, mężczyzny w wytartej sportowej marynarce i młodej dziewczyny. Z werwą klasnął w dłonie niczym wychowawca w przedszkolu. Gdy się odezwał, przypominał go także z głosu.

– Dobra, ludziska! Wracać na swoje miejsca. Potrzebujemy tutaj trochę ciszy.

– Przecież jesteśmy cicho – całkiem słusznie zaprotestowała dziewczyna.

– Jak sądzę, temu panu chodzi nie tyle o ciszę, ile o odrobinę prywatności – rzekł mężczyzna w wytartej sportowej marynarce. Mówił kulturalnie, ale nie spuszczał z Briana łagodnego, zaniepokojonego spojrzenia.

– Właśnie o to mi chodzi – potwierdził Nick. – Można prosić?

– Będzie z nim wszystko dobrze? – zapytał cicho ten w wytartej sportowej marynarce. – Chyba się zdenerwował.

Nick odpowiedział mu równie poufnym tonem:

– Tak, będzie dobrze. Sam tego dopilnuję.

– Chodźcie, dzieci – rzekł mężczyzna w wytartej sportowej marynarce. Jedną ręką objął dziewczynę, a drugą Alberta. –

Idziemy usiąść. Nasz pilot ma co robić.

Jeśli chodzi o Briana Engle'a, nie musieli zniżać głosu nawet na chwilę. Był jak ryba żerująca w strumieniu, kiedy po niebie przelatuje stadko ptaków. Może ich głosy docierają do ryby, ona jednak nie przywiązuje do nich wagi. Zajmował się sprawdzaniem kolejnych pasm radiowych, przełączał się z jednego punktu nawigacyjnego na kolejny. Wszystko na nic. Nie było Denver, nie było Colorado Springs, nie było Omaha. Zniknęły.

Czuł, że pot spływa mu po policzkach niczym łzy, czuł, że koszula lepi mu się do pleców.

Na pewno cuchnę jak świnia, pomyślał. Albo...

Wtedy coś mu zaświtało. Przełączył się na pasmo lotnictwa wojskowego, chociaż przepisy wyraźnie tego zabraniały. Dowództwo Strategicznych Sił Powietrznych praktycznie rządziło w Omaha. Oni na pewno nie zerwali łączności. Może każą mu spieprzać z ich częstotliwości, może pogrożą zgłoszeniem go do FAA, ale on przyjmie to z radością. Pewnie jako pierwszy powiadomi ich, że całe Denver najwyraźniej wyjechało na wakacje.

– Kontrola sił powietrznych, kontrola sił powietrznych, tu American Pride lot numer dwadzieścia dziewięć, mamy problem, i to spory, słyszycie mnie? Odbiór.

Tu także nie czekał pies.

Właśnie wtedy Brian poczuł, że głęboko w czeluściach jego umysłu coś – jakby zasuwka – zaczyna ustępować. Właśnie wtedy poczuł, że cała zorganizowana struktura myśli powoli zsuwa się w mroczną otchłań.

9

Wówczas Nick Hopewell zacisnął dłoń wysoko na jego ramieniu, w pobliżu karku. Brian podskoczył w fotelu i o mało nie krzyknął. Gdy obrócił głowę, napotkał twarz Nicka może pięć centymetrów od własnej.

Teraz to mnie złapie za nos i zacznie wykręcać, pomyślał.

Nick nie złapał go za nos. Odezwał się cicho, ale z mocą, wpatrując się w Briana nieruchomym wzrokiem.

– Widzę ją w twoich oczach, przyjacielu... ale nie musiałem w nie zaglądać, żeby wiedzieć, że tam jest. Słyszę ją w twoim głosie i widzę w tym, jak siedzisz w fotelu. Posłuchaj mnie teraz, i to uważnie: panika jest zabroniona.

Brian wpatrywał się w Nicka, zmrożony tym jego błękitnym spojrzeniem.

– Rozumiesz mnie? – zapytał Anglik.

Brian odezwał się z dużym wysiłkiem:

– Nick, pracy takiej jak moja nie dostają ludzie, którzy panikują.

– Wiem o tym, ale to wyjątkowa sytuacja. Pamiętaj jednak, że na pokładzie jest co najmniej kilkanaście osób, więc twoje zadanie się nie zmieniło: masz sprowadzić ich na ziemię w jednym kawałku.

– Nie musisz mi mówić, jakie mam zadanie! – warknął Brian.

– Niestety musiałem, ale z ulgą stwierdzam, że wyglądasz już o sto procent lepiej.

Nie tylko wyglądał lepiej; zaczynał się też lepiej czuć. Nick trafił w jego najbardziej czuły punkt: poczucie odpowiedzialności. Dokładnie tam, gdzie zamierzał, zrozumiał Brian.

– Co ty robisz na co dzień? – zapytał nieco drżącym głosem.

Nick odchylił głowę i się roześmiał.

– Młodszy attaché, ambasada Wielkiej Brytanii, staruszku.

– Mów do mnie jeszcze.

Nick wzruszył ramionami.

– Cóż... tak przynajmniej mam w papierach i myślę, że to wystarczy. Inaczej musieliby chyba napisać: „Mechanik Jej Królewskiej Mości”. Naprawiam rzeczy, które wymagają naprawy. Tak jak w tej chwili ty.

– Dziękuję, ale jestem naprawiony – odparł Brian z rozdrażnieniem.

– No to pysznie. Co zamierzasz zrobić? Dasz radę nawigować bez tych tam sygnałów z ziemi? Nie zderzysz się z innym samolotem?

– Mogę nawigować, używając tylko instrumentów pokładowych – odparł Brian. – A co do innych samolotów... – Wskazał na ekran radaru. – To ustrojstwo mówi, że żadnych nie ma.

– Ale mogą być – zauważył łagodnie Nick. – Może spieprzyły się radary i łączność radiowa, przynajmniej chwilowo. Wspomniałeś o wojnie jądrowej. Myślę, że gdyby nastąpiła wymiana pocisków nuklearnych, tobyśmy wiedzieli. Ale to nie znaczy, że nie doszło do jakiegoś wypadku. Czy słyszałeś o tak zwanym impulsie elektromagnetycznym?

Brian na moment przypomniał sobie Melanie Trevor. „Aha, otrzymaliśmy sygnały o zorzy polarnej nad pustynią Mojave. Może warto jeszcze nie zasypiać”.

Czy właśnie o to chodziło? O jakieś kuriozalne zjawisko pogodowe?

Przypuszczał, że nie można tego wykluczyć. Ale czemu w takim razie nie słyszał szumu radiowego? I dlaczego na ekranie radaru nie było interferencji fal? Skąd ta martwa pustka? Poza tym Brian wątpił, żeby zorza polarna spowodowała zniknięcie stu pięćdziesięciu do dwustu pasażerów.

– Niezły z ciebie mechanik – powiedział w końcu. – Ale to raczej nie IEM. Wszystkie urządzenia pokładowe, włącznie z żyrobusolą, działają prawidłowo. – Wskazał wyświetlacz kompasu elektronicznego. – Gdybyśmy doświadczyli impulsu elektromagnetycznego, to maleństwo kompletnie by ześwirowało. Tymczasem równo wskazuje kurs.

– No dobrze. Czy zamierzasz lecieć dalej do Bostonu?

„Czy zamierzasz...?”

Właśnie wtedy Briana opuściła resztką paniki. Zgadza się, pomyślał. Teraz to ja jestem kapitanem tej maszyny... i ostatecznie wszystko do tego się sprowadza. Powinieneś być mi

o tym przypomnieć od razu, przyjacielu, zaoszczędziłbyś nam obu kłopotów.

– Na lotnisko Logana o świcie, bez wiedzy, co się dzieje na dole i w całej reszcie świata? Nie ma mowy.

– Więc dokąd się kierujemy? A może potrzebujesz trochę czasu, żeby to przemyśleć?

Brian nie potrzebował czasu. Teraz uświadamiał sobie kolejne rzeczy do zrobienia.

– Już wszystko wiem – oznajmił. – I chyba pora na rozmowę z pasażerami. W każdym razie z tymi nielicznymi, którzy tu zostali.

Sięgnął po mikrofon i właśnie wtedy łysy mężczyzna, dotąd śpiący w sekcji biznesowej, wetknął głowę do kokpitu.

– Czy ktoś z panów byłby tak uprzejmy i powiedział mi, gdzie się podział cały personel tego samolotu? – zapytał zrzędliwie. – Miło mi się drzemało... ale teraz poproszę kolację.

10

Dina Bellman czuła się znacznie lepiej. Dobrze mieć wokół siebie ludzi, czuć ich pokrzepiającą obecność. Siedziała w małej grupce z Albertem Kaussnerem, Laurel Stevenson oraz mężczyzną w wytartej sportowej marynarce, który przedstawił się jako Robert Jenkins. Jak wyjaśnił, był autorem ponad czterdziestu powieści kryminalnych i właśnie leciał do Bostonu, gdzie miał się spotkać z fanami na konwencie.

– A teraz – powiedział – znalazłem się w centrum tajemnicy tak osobliwej, że sam nie śmiałybym jej wymyślić.

Ta czwórka siedziała w środkowych fotelach w przedniej części kabiny pasażerskiej. Mężczyzna w swetrze z okrągłym wycięciem zajmował miejsce po prawej, kilka rzędów dalej. Przyciskał chusteczkę do nosa (który właściwie przestał krwawić już kilka minut temu) i w milczeniu gotował się we własnym sosie. Opodal siedział Don Gaffney i nerwowo go pilnował. Odezwał się tylko raz, żeby spytać gościa w swetrze, jak się

nazywa. Ten nie odpowiedział. Wbił tylko w Gaffneya nienawistne spojrzenie znad zmiętego bukietu swej chusteczki.

Gaffney nie pytał już więcej.

– Czy ktoś ma choćby blade pojęcie, co tu się dzieje? – zapytała Laurel niemal błagalnym tonem. – Po raz pierwszy od dziesięciu lat jadę na prawdziwy urlop, a tu coś takiego.

Kiedy to powiedziała, Albert akurat patrzył wprost na nią. Zauważył, że gdy rzuciła wzmiankę o pierwszym prawdziwym urlopie od dziesięciu lat, jej wzrok nagle uciekł w prawo i raptownie zamruwała trzy czy cztery razy, jakby do oka wpadł jej paproch. W głowie Alberta zrodziła się myśl tak silna, że graniczyła z pewnością: ta pani kłamie. Z jakiegoś powodu ona kłamie. Przyjrzał się jej uważniej i nie dostrzegł niczego niezwykłego – oto kobieta o gasnącej urodzie, kobieta, która błyskawicznie przestaje być dwudziestolatką i stacza się ku wiekowi średniemu (dla Alberta ten bez dwóch zdań zaczynał się od trzydziestki), kobieta, która już wkrótce będzie bezbarwna i niewidzialna. Teraz jednak nabrała barw; jej policzki płonęły. Nie wiedział, co oznacza to kłamstwo, ale na moment odświeżyło jej urodę, czyniąc ją prawie piękną.

Powinna częściej kłamać, pomyślał. A potem, zanim on lub ktokolwiek inny zdążył odpowiedzieć, w głośnikach rozległ się głos Briana:

– Panie i panowie, mówi kapitan.

– Gówno, nie kapitan – warknął ten w swetrze.

– Zamknij się! – krzyknął Gaffney z drugiej strony przejścia.

Ten w swetrze popatrzył na niego z zaskoczeniem, a potem się uspokoił.

– Jak z pewnością państwu wiadomo, mamy do czynienia z niezwykle dziwną sytuacją – ciągnął Brian. – Nie muszę jej wyjaśniać; wystarczy się rozejrzeć, żeby ją zrozumieć.

– Ja nie rozumiem nic – mruknął Albert.

– Wiem też kilka innych rzeczy. Obawiam się, że raczej nie poprawią państwu humoru, ale ponieważ dotyczy to nas wszystkich, chcę być z państwem absolutnie szczerzy. Nie mam

łączości z ziemią. Mniej więcej pięć minut temu powinniśmy zobaczyć z okien światła Denver. Nie zobaczyliśmy. W tej chwili jestem gotów wyciągnąć z tego tylko taki wniosek, że ktoś tam na dole zapomniał zapłacić za prąd. I dopóki nie dowiemy się więcej, uważam, że na tym właśnie wniosku powinniśmy wszyscy przestać.

Na chwilę zamilkł. Laurel trzymała Dinę za rękę. Albert cicho gwizdnął z wrażenia. Robert Jenkins, autor kryminałów, sennie patrzył w przestrzeń, opierając dłonie na udach.

– To wszystko złe wieści – podjął Brian. – Z kolei dobre są takie: maszyna jest nieuszkodzona, mamy dużo paliwa, a ja jestem wykwalifikowany do pilotowania tego modelu samolotu. I do lądowania. Jak sądzę, wszyscy się zgodzimy, że bezpieczne wylądowanie to nasz priorytet. Dopóki nie nastąpi, nie możemy zrobić nic innego. Zapewniam, że do tego doprowadzę. Na koniec chcę państwa poinformować, że celem naszego lotu jest teraz Bangor w stanie Maine.

Gość w swetrze gwałtownie usiadł w fotelu.

– Cooo?! – ryknął.

– Pokładowe instrumenty nawigacyjne działają doskonale, ale nie mogę powiedzieć tego samego o sygnałach naprowadzających VOR, z których również korzystamy. W tych okolicznościach postanowiłem nie wlatywać w przestrzeń powietrzną nad lotniskiem Logana. Nie zdołałem skontaktować się drogą radiową z nikiem ani na ziemi, ani w powietrzu. Wydaje się, że urządzenia radiowe samolotu działają, lecz w tej sytuacji nie mogę polegać na pozorach. Międzynarodowy Port Lotniczy w Bangor ma następujące zalety: krótkie podejście biegnie nad lądem, a nie nad wodą; o godzinie ósmej trzydzieści, kiedy powinniśmy tam dotrzeć, ruch powietrzny będzie dużo słabszy, zakładając, że w ogóle będzie; wreszcie port lotniczy w Bangor, gdzie dawniej mieściła się baza sił powietrznych Dow, ma najdłuższy komercyjny pas startowy na Wschodnim Wybrzeżu. Nasi przyjaciele z Francji i Wielkiej Brytanii lądują tam concorde'ami, kiedy nie mogą się dostać do Nowego Jorku.

Gość w swetrze zawył:

– O dziewiątej rano mam ważne spotkanie służbowe w Prudential Building i ZABRANIAM LĄDOWAĆ NA JAKIMŚ GÓWNIANYM LOTNISKU W MAINE!!!

Na dźwięk jego głosu Dina podskoczyła, a potem skuliła się ze strachu i przycisnęła policzek do piersi Laurel Stevenson. Nie płakała – przynajmniej na razie – ale Laurel czuła, że zaczyna jej drgać klatka piersiowa.

– SŁYSZYSZ MNIE? – ryczał ten w swetrze. – LECĘ DO BOSTONU PRZEPROWADZIĆ OGROMNĄ TRANSAKCJĘ I ZAMIERZAM DOTRZEĆ TAM NA CZAS! – Odpiął pas i zaczął się podnosić. Policzki miał czerwone, a czoło białe, jak z wosku. Jego puste spojrzenie było dla Laurel przerażające. – ZROZUMIA...

– Bardzo pana proszę – odezwała się kobieta. – Dziewczynka się pana boi.

Gość w swetrze obrócił głowę i teraz to niepokojące, puste spojrzenie padło właśnie na nią.

– DZIEWCZYNKĄ SIĘ BOI? SKRĘCAMY NA JAKIEŚ ZAPYZIAŁE LOTNISKO NA ZADUPIU, A PANI SIĘ PRZEJMUJE, ŻE...

– Siadaj i stul pysk albo cię strzelę – warknął Gaffney, wstając z miejsca.

Był co najmniej o dwadzieścia lat starszy od gościa w swetrze, ale przy tym znacznie cięższy i szerszy w klatce piersiowej. Podwinął rękawy czerwonej flanelowej koszuli aż po łokcie, a gdy zacisnął pięści, mięśnie jego przedramion nabrzmiały. Przypominał drwala, który dopiero szykuje się do emerytury.

Gość w swetrze uniósł górną wargę, obnażając zęby. Ów psi grymas przeraził Laurel, gdyż odniosła wrażenie, że mężczyzna wcale nie zdaje sobie sprawy z tego, że się krzywi. Jako pierwsza zaczęła się zastanawiać, czy nie mają do czynienia z wariatem.

– Sam raczej nie dasz rady, tatulu – powiedział.

– Nie będzie musiał – wtrącił się łysy mężczyzna z sekcji biznesowej. – Sam cię dzielę, jeśli się nie zamkniesz.

Albert Kaussner zebrał się na odwagę i wypalił:

– Ja też, ty bucu. – Wypowiadając te słowa, doznał wielkiej ulgi. Czuł się tak, jakby przestąpił linię na piasku, dołączając do obrońców Alamo.

Gość w swetrze rozejrzał się. Jego warga znów uniosła się i opadła w tym dziwnym psim grymasie.

– Rozumiem. Rozumiem. Wszyscy przeciwko mnie. Proszę bardzo. – Usiadł i powiódł po nich rozjuszonym wzrokiem. – Ale gdybyście cokolwiek wiedzieli o rynku południowoamerykańskich obligacji...

Nie dokończył. Na poręczy sąsiedniego fotela leżała serwetka. Chwycił ją, obejrzał, a potem zaczął skubać.

– Wcale nie musi tak być – powiedział Gaffney. – Nie urodziłem się brutalem, drogi panie, i nie mam ku temu skłonności. – Laurel odniosła wrażenie, że stara się być miły, lecz nie ukrył nieufności, a może i gniewu. – Proszę lepiej usiąść i się odprężyć. Niech pan patrzy pozytywnie! Linie lotnicze pewnie zwrócą panu pełną kwotę za ten lot.

Gość w swetrze przelotnie spojrział na Dona Gaffneya, a potem znowu skupił się na serwetce. Przestał ją skubać, a zaczął rwać na długie paski.

– Czy ktoś umie obsługiwać ten piecyk w kuchni? – zapytał łyśy jak gdyby nigdy nic. – Chcę kolację.

Nikt mu nie odpowiedział.

– Tak właśnie myślałem – rzucił ze smutkiem. – Żyjemy w erze specjalizacji. To wstyd dla ludzkości.

Po tej filozoficznej konstatacji wrócił do klasy biznesowej.

Laurel spojrzała w dół i zobaczyła, że pod ciemnymi okularami w wesołych czerwonych oprawkach z plastiku policzki Diny Bellman są mokre od łez. Kobieta zapomniała, przynajmniej chwilowo, o własnym strachu i konsternacji i przytuliła dziewczynkę.

– Nie płacz, kochanie, ten pan po prostu się zdenerwował. Już mu lepiej.

Jeśli można tak powiedzieć o facecie, który siedzi w fotelu jak zahipnotyzowany i rwie serwetkę na strzępy, pomyślała.

– Boję się – szepnęła Dina. – W jego oczach wszyscy jesteśmy potworami.

– Nie sądzę – odparła Laurel zaskoczona i trochę zbita z tropu.
– Skąd ci to przyszło do głowy?

– Nie wiem – powiedziała Dina.

Lubiła tę kobietę – polubiła ją, kiedy tylko usłyszała jej głos – ale nie zamierzała jej wyjaśniać, że przez moment widziała ich wszystkich, włącznie z sobą samą, wpatrzonych w tego pana, który głośno krzyczy. Była w jego głowie – nazywał się pan Tooms, pan Tunney albo jakoś tak – i dla niego oni wszyscy wyglądali jak podłe, samolubne trolle.

Gdyby przyznała się do czegoś takiego pannie Lee, ta stwierdziłaby, że Dina oszalała. Dlaczego ta dopiero poznana kobieta miałaby być inna?

Wobec tego Dina nie powiedziała nic.

Laurel pocałowała ją w policzek. Pod jej ustami skóra dziewczynki była rozpalona.

– Nie bój się, kochanie. Lot jest całkiem spokojny, czujesz? A za parę godzin znów bezpiecznie wylądujemy na ziemi.

– To dobrze. Ale ja chcę do cioci Vicky. Jak pani myśli, gdzie ona jest?

– Nie wiem, skarbie – odparła Laurel. – Choć bardzo chciałabym to wiedzieć.

Dina znów pomyślała o twarzach, które widział ten pan, co głośno krzyczy: złych, okrutnych twarzach. I o jej własnej, tak jak on ją postrzegał: świńskiej buzi dziecka o oczach ukrytych za wielkimi czarnymi szklami. Wtedy jej odwaga prysła i dziewczynka się rozplakała. Laurel od jej przejmującego, chrapliwego szlochu pękało serce. Tulila małą, bo tylko to przyszło jej do głowy, a wkrótce sama też płakała. Płakały razem przez prawie pięć minut, aż wreszcie Dina zaczęła się uspokajać. Laurel spojrzała na szczupłego chłopaka, który miał na imię Albert albo Alvin – nie pamiętała – i okazało się, że on też ma mokre oczy. Zauważył jej spojrzenie i czym prędzej spuścił wzrok na swoje ręce.

Dina zaszlochała raz jeszcze, a potem tylko leżała z głową na piersi Laurel.

– Płacz chyba nie pomoże, prawda?

– Chyba nie – zgodziła się kobieta. – Może spróbujesz zasnąć?

Dziewczynka westchnęła. To był nieszczęsny, wodnisty dźwięk.

– Nie dam rady. Przecież już spałam.

Nie musisz mi o tym mówić, pomyślała Laurel. Samolot American Pride, lot numer 29, mknął dalej na wschód z prędkością ośmiuset kilometrów na godzinę, jedenaście tysięcy metrów nad ciemnym brzuchem Ameryki.

ROZDZIAŁ 3

Metoda dedukcji. Przypadki i statystyka. Hipotetyczne możliwości. Ciśnienie w głębinach. Problem Bethany. Zaczyna się schodzenie.

1

– Godzinę temu ta dziewczynka powiedziała coś ciekawego – odezwał się nagle Robert Jenkins.

Tymczasem owa dziewczynka znowu zasnęła, mimo wątpliwości, czy jej się to uda. Albert Kaussner również drzemał; być może wrócił na legendarne ulice Tombstone. Futerał na skrzypce, wcześniej leżący w schowku nad siedzeniem, trzymał teraz na kolanach.

– He?! – mruknął, prostując się w fotelu.

– Przepraszam – powiedział Jenkins. – Spałeś?

– Nie – odparł Albert. – Nie zmrużyłem oka.

Na potwierdzenie tych słów skierował ku mężczyźnie obie wielkie, przekrwione gałki oczne. Pod dolnymi powiekami miał ciemnawe cienie. Jenkinsowi kojarzył się z szopem praczem, którego zaskoczono w trakcie plądrowania śmietnika.

– Co powiedziała? – spytał chłopak.

– Mówiła panie Stevenson, że nie zaśnie, bo już spała. Wcześniej.

Albert zerknął na Dinę.

– A jednak zasnęła – zauważył.

– Widzę, ale nie o to chodzi, drogi chłopcze. Zupełnie nie o to chodzi.

Albert zastanawiał się, czy nie powiedzieć panu Jenkinsowi, że Ace'owi Kaussnerowi, najszybszemu starozakonnemu na zachód od Missisipi i jedynemu Teksańczykowi, który przeżył

bitwę o Alamo, nie w smak, gdy ktoś mówi do niego „drogi chłopcze”, postanowił jednak puścić to płazem... przynajmniej chwilowo.

– Więc o co?

– Ja też spałem. Uderzyłem w kimono, jeszcze zanim kapitan, to znaczy ten pierwotny, wyłączył sygnalizację „zakaz palenia”. Mam tak od zawsze. W pociągu, autobusie, samolocie... zasypiam jak dziecko, gdy tylko uruchomią silnik. A ty, drogi chłopcze?

– Co ja?

– Ty też spałeś, prawda?

– No, spałem.

– Wszyscy spaliśmy. A ludzie, którzy zniknęli, nie.

Albert zastanowił się nad tym.

– No... może.

– Nonsens – rzucił Jenkins niemalże jowialnie. – Ja historie z dreszczykiem piszę zawodowo. Dedukcja to, można powiedzieć, mój chleb powszedni. Nie sądzisz, że gdyby ktoś nie spał, kiedy wyeliminowano tych wszystkich ludzi, to zaczęłyby się wydzierać wniebogłosy i nas pobudził?

Albert przemyślał to.

– Chyba rzeczywiście – przyznał. – Może oprócz tego faceta na samym końcu. Jego nie obudziłaby nawet syrena przeciwlotnicza.

– W porządku, wyjątek odnotowany. Ale nikt nie krzyczał, prawda? I nikt nie jest w stanie opowiedzieć pozostałym, co się wydarzyło. Dedukuję więc, że usunięci zostali tylko ci pasażerowie, którzy nie spali, oczywiście wraz z załogą.

– Aha. Może i tak.

– Wyglądasz na stroskanego, drogi chłopcze. Z twej miny można wyczytać, że ta idea, mimo swojego uroku, nie do końca cię przekonuje. Mogę spytać dlaczego? Czy coś przeoczyłem? – Z miny Jenkinsa można było wyczytać, że uważa to za niemożliwe, ale matka tak go wychowała, że trzeba być uprzejmym.

– Sam nie wiem – odparł Albert szczerze. – Ile nas jest? Jedenaście osób?

– Tak. Licząc jegomościa z tyłu, tego w stanie śpiączki, jest nas jedenaścioro.

– Jeśli pan ma rację, to chyba powinno być więcej.

– Czemu?

Albert zamilkł, uderzony nagłym, jaskrawym obrazem z dzieciństwa. Wychowywał się w teologicznej strefie mroku; jego rodzice nie byli ortodoksyjni, lecz nie byli też agnostykami. On i jego bracia przestrzegali większości tradycji żywieniowych (albo praw, albo cokolwiek to było), mieli bar micwę, dorastali nauczeni tego, kim są, skąd pochodzą i co to wszystko znaczy. Z wizyt w synagodze w dzieciństwie Albert najlepiej zapamiętał historię ostatniej plagi, która nawiedziła faraona – okrutnej daniny zebranej przez bożego mrocznego anioła poranka.

Oczyrna wyobraźnia widział teraz tego anioła, jak kroczy nie przez Egipt, lecz przez ten samolot, i przyciska większość pasażerów do swej straszliwej piersi... nie dlatego, że nie skropili odrzwi (lub może foteli) krwią baranka, ale że...

Że co? Dlaczego?

Albert nie wiedział, ale i tak się wzdrygnął. Wolałby, żeby ta okropna historia nie przyszła mu do głowy. Wypuść pasażerów moich, aby mi służyli, pomyślał. Tylko że to wcale nie było śmieszne.

– Albercie? – Głos pana Jenkinsa dobiegł jakby z daleka. – Albercie, czy wszystko w porządku?

– Tak. Tylko się zamyśliłem. – Chłopak odchrząknął. – Gdyby wszyscy śpiący pasażerowie zostali... no, wie pan... ominięci, byłoby tu co najmniej sześćdziesiąt osób. Albo więcej. W końcu to nocny lot.

– Drogi chłopcze, czy kiedykolwiek...

– Może pan do mnie mówić „Albercie”? Tak mam na imię.

Jenkins poklepał go po ramieniu.

– Przepraszam. Naprawdę. Nie chciałem traktować cię protekcjonalnie. Jestem zdenerwowany, a kiedy się denerwuję,

wycofuję się... niczym żółw chowający głowę do skorupy. Tylko że ja wycofuję się ku fikcji literackiej. Jak sądzę, odgrywałem Phila Vance'a. To detektyw, naprawdę wybitny, powołany do życia przez nieżyjącego S.S. Van Dine'a. Pewnie nie czytałeś jego książek. Mało kto je dziś czyta, a szkoda. W każdym razie przepraszam.

– Nie ma za co – odparł Albert skrępowany.

– Albertem jesteś i Albertem odtąd pozostaniesz – przyrzekł Robert Jenkins. – Zamierzałem spytać, czy kiedykolwiek leciałeś w nocy.

– Nie. Pierwszy raz lecę na drugi koniec kraju.

– A ja owszem. Wielokrotnie. Kilka razy oparłem się naturalnym skłonnościom i przez pewien czas nie spałem. Zwłaszcza kiedy byłem młodszy, a loty głośniejsze. Wyjdę pewnie na dinozaura, gdy się przyznam, że swój pierwszy lot transkontynentalny odbyłem na pokładzie samolotu śmigłowego linii TWA, który miał dwa międzylądowania... na tankowanie. Wiem z obserwacji, że niewiele osób zasypia w pierwszej godzinie lotu... a potem zasypiają wszyscy. Przez pierwszą godzinę ludzie zajmują sobie czas oglądaniem krajobrazu, rozmową z małżonkami lub towarzyszami podróży, drinkiem albo i dwoma...

– Chce pan powiedzieć, że się oswajają – wtrącił chłopak.

Wyjaśnienia pana Jenkinsa brzmiały całkiem sensownie, choć akurat Albert oswajał się nader krótko; był tak podekscytowany podróżą i czekającym go nowym życiem, że przez ostatnie kilka nocy prawie nie spał. W rezultacie zapadł w sen, gdy tylko boeing oderwał się od ziemi.

– Wiją sobie gniazdka – zgodził się Jenkins. – Zwróciłeś może uwagę na wózek z napojami przed kokpitem, dro... Albercie?

– Zauważyłem go.

Jenkinsowi świeciły się oczy.

– W rzeczy samej, można go było albo zauważyć, albo się o niego przewrócić. Ale czy prawdziwie zwróciłeś na niego uwagę?

– Chyba nie, skoro pan widział coś, czego ja nie dostrzegłem.

– To nie oko zwraca uwagę, Albercie, ale rozum. Rozum wyćwiczony w dedukcji. Żaden ze mnie Sherlock Holmes, niemniej istotnie, zauważyłem, że wózek dopiero co wyciągnięto z niedużej wnęki, w której się go przechowuje, na dolnej półce zaś wciąż stały używane szklanki po napojach podanych przed lotem. Na tej podstawie wydedukowałem, co następuje: samolot wystartował bez przygód, wznosił się na wysokość przelotową i na szczęście uruchomiono autopilota. Następnie kapitan wyłączył sygnalizację „zapiąć pasy”. Jeśli dobrze odczytuję znaki, było to mniej więcej pół godziny po starcie, czyli około pierwszej w nocy czasu Los Angeles. Gdy sygnalizacja zgasła, stewardesy wstały i przystąpiły do pierwszego zadania: podania koktajli około stu pięćdziesięciu pasażerom na wysokości mniej więcej siedmiu tysięcy metrów. Tymczasem kapitan zaprogramował autopilota tak, by wyrównał lot na jedenastu tysiącach metrów i skierował się na wschód, azymut taki a taki. Nieliczni pasażerowie, dokładnie nasza jedenastka, zasnęli. Część pozostałych może drzemała (lecz nie dość głęboko, żeby uchronić się przed tym, co nastąpiło), ale reszta nawet nie zmrużyła oka.

– Wili sobie gniazdka – wtrącił Albert.

– Właśnie! Wili gniazdka! – Jenkins urwał, a potem dodał, nie bez melodramatycznej nuty: – I wtedy to się stało!

– Co się stało? – spytał Albert. – Ma pan jakąś teorię?

Jenkins długo nie odpowiadał, a gdy wreszcie się odezwał, w jego głosie nie było już entuzjazmu. Słuchając go, Albert zrozumiał, że pod tą nieco teatralną fasadą Robert Jenkins jest równie wystraszony jak on. Odkrył jednak, że wcale mu to nie przeszkadza; dzięki temu starszawy autor kryminałów w złachanej sportowej marynarce wydał mu się bardziej autentyczny.

– Zagadka zamkniętego pokoju jest kwintesencją narracji dedukcyjnej – powiedział Jenkins. – Sam napisałem kilka historii tego typu, a szczerze mówiąc, nawet więcej niż kilka, ale nie sądziłem, że przyjdzie mi taką przeżyć.

Albert patrzył na niego i nie wiedział, co odpowiedzieć. Przypomniało mu się opowiadanie o Sherlocku Holmesie pod tytułem *Nakrapiana przepaska niesie śmierć*, w którym jadowity wąż dostał się do słynnego zamkniętego pokoju przez przewód wentylacyjny. Nieśmiertelny Sherlock nie musiał nawet rozbudzić wszystkich szarych komórek, żeby rozwikłać tę sprawę.

Ale nawet gdyby schowki nad siedzeniami samolotu były pełne jadowitych węży – wręcz nimi wypchane – to gdzie się podziały ciała? Gdzie ciała?! Alberta znów ogarnął strach, zdawał się pełznąć od nóg ku wnętrzościom. Chłopak pomyślał, że jeszcze nigdy w życiu nie czuł się mniej podobny do słynnego rewolwerowca Ace'a Kaussnera.

– Gdyby chodziło tylko o samolot – ciągnął cicho Jenkins – chyba zdołałbym obmyślić jakiś scenariusz... Bądź co bądź, w ten sposób od dwudziestu pięciu lat zarabiam na chleb. Chcesz usłyszeć jeden z nich?

– Czemu nie.

– A więc dobrze. Powiedzmy, że tajna rządowa organizacja, taka jak Sklepik, postanowiła przeprowadzić eksperyment i padło właśnie na nas. Celem eksperymentu, zważywszy na okoliczności, może być udokumentowanie wpływu olbrzymiego stresu umysłowego i emocjonalnego na grupę przeciętnych Amerykanów. Oni, to znaczy naukowcy, pompują więc do układu wentylacyjnego w samolocie bezwonną substancję nasenną...

– Jest coś takiego? – spytał Albert zafascynowany.

– Ależ naturalnie – odparł Jenkins. – Dla przykładu diazolin. Albo metoprominol. Pamiętam czasy, kiedy czytelnicy mający się za „poważnych” śmiali się z powieści Saxa Rohmera o doktorze Fu Manchu. Nazywali je melodramatyczną histerią w najgorszym stylu. – Jenkins powoli pokręcił głową. – Dziś, wskutek badań biologicznych oraz paranoi agencji takich jak CIA i DIA, żyjemy w świecie, który mógłby posłużyć za najgorszy koszmar Saxa Rohmera. Diazolin, właściwie gaz paraliżujący, byłby tu najlepszy. Ponoć działa bardzo szybko. Po wpuszczeniu go do

kabiny wszyscy zasypiają, oprócz pilota, który oddycha czystym powietrzem przez maskę.

– Ale... – zaczął Albert, lecz Jenkins z uśmiechem uniósł dłoń.

– Wiem, jakie masz zastrzeżenie, i mogę na nie odpowiedzieć. Pozwolisz?

Chłopak skinął głową.

– Pilot ląduje, powiedzmy, na tajnym lotnisku w Nevadzie. Pasażerów, którzy nie spali, kiedy wpuszczono gaz, a także, ma się rozumieć, stewardesy, wynoszą groźni ludzie w białych skafandrach rodem z *Tajemnicy Andromedy*. Natomiast pasażerowie, którzy wtedy spali, wśród nich ja i ty, mój młody przyjacielu, po prostu drzemią dalej, tyle że trochę mocniej. Kapitan kieruje samolot z powrotem na właściwy pułap i kurs. Włącza autopilota. Gdy maszyna dociera nad Góry Skaliste, działanie gazu powoli ustaje. Diazolin to tak zwany czysty środek, nie pozostawia zauważalnych następstw. Innymi słowy, nie ma po nim kaca. Przez interkom pilot słyszy, że dziewczynka woła ciocię. Wie, że mała zbudzi pozostałych. Pora rozpocząć eksperyment. Wstaje więc, wychodzi z kokpitu i zamyka za sobą drzwi.

– Jak to możliwe? Od zewnątrz nie ma klamki.

Jenkins lekceważąco machnął dłonią.

– Nic prostszego, Albercie. Używa paska taśmy klejącej, lepłą stroną na zewnątrz. Kiedy zamek zaskoczy od środka, drzwi są zamknięte.

Na twarzy Alberta zaczął rozkwitać uśmiech uznania – a potem zastygł.

– W takim razie pilot byłby jednym z nas – stwierdził chłopak.

– I tak, i nie. W moim scenariuszu, Albercie, pilot to pilot. Ten, który zrzędzeniem losu akurat leciał do Bostonu. Ten, który siedział w pierwszej klasie niecałe dziesięć metrów od drzwi kokpitu, kiedy zaczęła się chryja.

– Kapitan Engle – powiedział Albert cichym, przerażonym głosem.

Jenkins – tonem zarazem usatysfakcjonowanym i pełnym samozadowolenia, niczym profesor geometrii po napisaniu „c.b.d.o.” pod wyjątkowo trudnym twierdzeniem – powtórzył:

– Kapitan Engle.

Obaj nie zauważyli, że gość w swetrze wpatruje się w nich rozgorączkowanymi lśniącoymi oczami. Wyjął magazyn linii lotniczych z kieszonki przed sobą, ściągnął z niego okładkę i zaczął ją powoli rwać na długie pasy. Z trzepotem opadały na podłogę, gdzie dołączały do skrawków serwetki wokół jego brązowych mokasynów.

Usta mężczyzny poruszały się bezdźwięcznie.

2

Gdyby Albert studiował Nowy Testament, zrozumiałby, co czuł Szaweł, najzacieklejszy prześladowca pierwszych chrześcijan, gdy w drodze do Damaszku łuski spadły mu z oczu. Patrzył na Roberta Jenkinsa z promiennym entuzjazmem, a w jego umyśle prysły wszelkie resztki snu.

Rzeczywiście, kiedy człowiek przemyślał sprawę – lub gdy ktoś taki jak pan Jenkins, wyraźnie tęga głowa, mimo że nosił wytartą marynarkę, przemyślał ją za człowieka – wszystko było zbyt oczywiste, by to zlekceważyć. Między pustynią Mojave a Górami Skalistymi zniknął prawie cały personel lotu American Pride numer 29... ale jeden z nielicznych ocalałych pasażerów okazał się – tu niespodzianka! – innym pilotem American Pride, który, jak sam mówi, jest „wykwalifikowany do pilotowania tego modelu samolotu. I do lądowania”.

Jenkins bacznie przypatrywał się Albertowi, a teraz się uśmiechnął. W tym uśmiechu mało było wesołości.

– Kuszący scenariusz – rzekł. – Czyż nie?

– Będziemy go musieli obezwładnić, gdy tylko wylądujemy – powiedział Albert, gorączkowo drapiąc się w policzek. – Pan, ja, pan Gaffney i tamten Anglik. Wygląda na twardziela. Tylko że... może on też jest w to wplątany? No, wie pan, w roli ochroniarza

kapitana Engle'a. Na wypadek gdyby ktoś wszystko rozszyfrował, tak jak pan. – Jenkins otworzył usta, żeby coś powiedzieć, lecz nim zdążył się odezwać, Albert nadawał dalej: – Trzeba ich będzie obu wziąć za fraki. W jakiś sposób. – Rzucił panu Jenkinsowi lekki uśmiech; uśmiech Ace'a Kaussnera. Chłodny, pewny siebie, niebezpieczny. Uśmiech człowieka, który jest szybszy niż błyskawica i dobrze o tym wie. – Może nie jestem największym mózgowcem świata, ale nie będę niczym królikiem doświadczalnym.

– Tylko że to się nie klei – rzekł łagodnie Jenkins.

Albert zamrugał.

– Co?

– Scenariusz, który ci właśnie opisałem. Nie klei się.

– Ale przecież... sam pan powiedział...

– Powiedziałem, że gdyby chodziło tylko o samolot, zdołałbym obmyślić scenariusz. I obmyśliłem. Całkiem niezły. Taki pomysł na książkę mój agent na pewno zdołałby sprzedać. Niestety, nie chodzi tylko o samolot. Może Denver było gdzieś w dole, ale jeśli tak, to pogasły tam wszystkie światła. Śledziłem naszą trasę, posługując się zegarkiem, i mogę ci już powiedzieć, że chodzi nie tylko o Denver. Omaha, Des Moines... w ciemności nie ma po nich śladu, mój chłopcze. Nie widziałem absolutnie żadnych świateł. Żadnych farm, żadnych magazynów zboża ani punktów przeładunkowych, żadnych bramek na autostradach. Rozumiesz, nocą widać to wszystko, a dzięki nowym systemom oświetleniowym o dużym natężeniu widać wręcz doskonale, nawet z wysokości dziesięciu kilometrów. Teraz ziemia jest kompletnie czarna. Naprawdę wierzę, że mogłaby istnieć agencja rządowa do tego stopnia nieetyczna, żeby nas wszystkich odurzyć i obserwować reakcje. Przynajmniej hipotetycznie. Nie wierzę natomiast w to, że ktokolwiek, nawet Sklepik, zdołałby przekonać wszystkich ludzi na trasie naszego przelotu do zgaszenia świateł, by wywołać w nas poczucie, że jesteśmy całkiem sami.

– No... to może wszystko jest na niby – zasugerował Albert. – Może stoimy na ziemi, a wszystko, co widać przez okno, jest, wie pan, projekcją. Widziałem kiedyś film, w którym było coś takiego. Jenkins z żalem wolno pokręcił głową.

– Film na pewno był ciekawy, ale wątpię, żeby udało się to w rzeczywistości. No, chyba że nasza teoretyczna tajna agencja doprowadziła do perfekcji ultrapanoramiczny ekran trójwymiarowy. Cokolwiek się tu dzieje, nie rozgrywa się wyłącznie na pokładzie tego samolotu, Albercie, i tu właśnie dedukcja bierze w łeb.

– Ale przecież pilot! – zawołał chłopak gorączkowo. – Jakim cudem znalazł się tutaj akurat we właściwym miejscu i czasie?

– Czy jesteś kibicem baseballu, Albercie?

– E? Nie. Czasem oglądam Dodgersów w telewizji, ale generalnie to nie jestem.

– Pozwól zatem, że opowiem ci o chyba najbardziej niesamowitej danej statystycznej w sporcie, który karmi się danymi statystycznymi. W tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym siódmym roku Ted Williams docierał do bazy przy szesnastu kolejnych podejściach. Ciągnęło się to w sumie przez sześć meczów. W tysiąc dziewięćset czterdziestym pierwszym Joe DiMaggio zaliczył dobre odbicia w pięćdziesięciu sześciu kolejnych spotkaniach, ale wyczyn DiMaggio błędnie wobec osiągnięcia Williamsa, którego prawdopodobieństwo oceniono na mniej więcej dwa miliardy do jednego. Kibice baseballu lubią mówić, że seria DiMaggio nigdy nie zostanie pobita. Nie zgadzam się z tym. Założę się natomiast, że jeśli za tysiąc lat ludzie nie przestaną jeszcze grać w baseball, rekord Williamsa nadal będzie obowiązywał.

– Co to wszystko znaczy?

– Że obecność kapitana Engle'a na pokładzie naszego samolotu uważam ni mniej, ni więcej, tylko za przypadek, zupełnie jak szesnaście udanych podejść Teda Williamsa. A zważywszy na naszą sytuację, nazwałbym ten przypadek bardzo szczęśliwym. Gdyby życie, Albercie, przypominało

powieść kryminalną, w której zbieg okoliczności jest zakazany, a bohaterom nie wolno zbyt wiele zawdzięczać szczęściu, wszystko byłoby dużo bardziej eleganckie. Odkryłem jednak, że w prawdziwym życiu zbieg okoliczności to nie wyjątek, lecz reguła.

– Więc co się dzieje? – szepnął Albert.

Jenkins wydał z siebie przeciągłe, niespokojne westchnienie.

– Obawiam się, że nie jestem właściwą osobą, żeby odpowiedzieć na takie pytanie. Szkoda, że nie lecą z nami Larry Niven ani John Varley.

– Co to za jedni?

– Pisarze science fiction – odparł Jenkins.

3

– Pewno nie czytujesz science fiction, prawda? – zapytał nagle Nick Hopewell.

Brian obrócił się, żeby na niego spojrzeć. Nick siedział cicho w fotelu nawigatora, odkąd Brian przejął stery samolotu niemal dwie godziny temu. Słuchał w milczeniu, jak Brian nieprzerwanie próbuje skontaktować się z kimś – kimkolwiek – na ziemi lub w powietrzu.

– W dzieciństwie uwielbiałem – odparł Brian. – A ty?

Nick się uśmiechnął.

– Mniej więcej do osiemnastych urodzin mocno wierzyłem, że Trójca Święta to Robert Heinlein, John Christopher i John Wyndham. Siedzę tu sobie, brachu, i powtarzam w głowie te wszystkie stare historie. Rozmyślam o różnych takich cudach jak pętla czasu, tunele czasoprzestrzenne i najazdy kosmitów.

Brian pokiwał głową. Ulżyło mu, że nie tylko on ma szalone myśli.

– No bo tak właściwie nie mamy przecież żadnej pewności, że tam na dole cokolwiek zostało, prawda?

– Rzeczywiście – zgodził się z nim Brian. – Nie mamy.

Nad Illinois niskie chmury przesłoniły ciemną bryłę ziemi pod samolotem. Brian był przekonany, że to ciągle ziemia – Góry Skaliste wyglądały uspokajająco znajomo, nawet z wysokości jedenastu tysięcy metrów – ale oprócz tego niczego nie był pewien. Warstwa chmur mogła się ciągnąć aż do Bangor. Bez kontaktu z kontrolą lotu nie mógł tego sprawdzić. Odgrywał w głowie różne scenariusze, a najbardziej nieprzyjemny wyglądał tak: wyłonią się z chmur i odkryją, że wszelki ślad ludzkiego istnienia – włącznie z lotniskiem, na którym zamierzał wylądować – zniknął. Gdzie wtedy posadzi maszynę?

– Najtrudniejsze zawsze wydawało mi się czekanie – powiedział Nick.

Najtrudniejsze w czym? – zastanawiał się Brian, ale nie zapytał.

– A gdybyśmy tak zeszli na półtora kilometra? – zaproponował nagle Anglik. – Żeby szybko rzucić okiem. Może widok paru miasteczek i autostrad nas uspokoi.

Brian już to rozważał. Bardzo chciałby to zrobić.

– Kuszące – odparł. – Ale nie mogę.

– Dlaczego?

– Wciąż przede wszystkim jestem odpowiedzialny za pasażerów. Pewnie wpadliby w panikę, nawet gdybym wcześniej im wyjaśnił, co zamierzam. Myślę zwłaszcza o naszym hałaśliwym przyjacielu, któremu śpieszy się na spotkanie w Prudential Building. O tym, któremu wykręciłeś nos.

– Dam sobie z nim radę – odrzekł Nick. – I z każdym innym, kto zacznie się wściekać.

– Nie wątpię – powiedział Brian – ale nie widzę powodu, żeby niepotrzebnie ich straszyć. Wcześniej czy później i tak wszystkiego się dowiemy. Przecież nie możemy tak latać wiecznie.

– Święta prawda, brachu – przyznał oschle Nick.

– Może mimo wszystko zdecydowałbym się na ten manewr, gdybym wiedział, że zdołam zejść poniżej pułapu chmur na tysiąc dwieście, tysiąc pięćset metrów, ale bez kontaktu

z kontrolą ruchu powietrznego i innymi samolotami nie mam tej pewności. Nie wiadomo nawet, jaka tam na dole jest pogoda, i nie mówię wyłącznie o normalnych zjawiskach. Możesz się ze mnie śmiać...

– Wcale się nie śmieję, brachu. W ogóle mi nie do śmiechu, daję słowo.

– Wyobraźmy sobie, że to naprawdę była pętla czasu jak w opowiadaniu science fiction. Co by się stało, gdybyśmy po zejściu pod chmury zobaczyli stado brontozaurów pasących się na polu jakiegoś farmera, a zaraz potem rozerwałyby nas na strzępy cyklon albo usmażyła burza z piorunami?

– Myślisz, że to naprawdę możliwe? – spytał Nick.

Brian przyjrzał mu się uważnie, próbując stwierdzić, czy to pytanie było sarkastyczne. Nic na to nie wskazywało, ale nie mógł być pewien. Bądź co bądź, Brytyjczycy słyną z ironicznego poczucia humoru.

Już chciał powiedzieć, że widział coś bardzo podobnego w starym odcinku *Strefy mroku*, uznał jednak, że bynajmniej nie zyska w ten sposób na wiarygodności.

– To chyba bardzo mało prawdopodobne, ale rozumiesz, o co mi chodzi: nie wiemy, z czym mamy do czynienia. Możemy uderzyć w całkiem nową górę na terenie dawnego stanu Nowy Jork. Albo w inny samolot. Cholera, może nawet w statek kosmiczny. W końcu jeśli to pętla czasu, równie dobrze jak do przeszłości mogliśmy trafić w przyszłość.

Nick wyjrzał przez okno.

– Wygląda na to, że niebo mamy do swojej dyspozycji.

– Tu, na górze, owszem. Ale na dole... kto wie. A „kto wie” to dla pilota bardzo niepewna ocena. Jeśli te chmury utrzymają się aż do Bangor, przelecę nad miastem i dalej nad Atlantyk. Pod pułap chmur zejdem, zawracając. Będziemy mieli większe szanse, kiedy po raz pierwszy obniżymy lot nad wodą.

– Czyli na razie po prostu lecimy dalej.

– Otóż to.

– I czekamy.

- Znowu trafiłeś.
- Nick westchnął.
- Cóż, ty tu jesteś kapitanem.
- Brian się uśmiechnął.
- Trzeci raz w dziesiątkę.

4

W głębokich rowach w dnie Oceanu Indyjskiego i Spokojnego są ryby, które żyją i umierają, nigdy nie zobaczywszy słońca i nie poczuwszy jego promieni. Te fantastyczne stworzenia krążą w głębinach niczym widmowe balony, rozświetlone od wewnątrz własnym blaskiem. Wyglądają delikatnie, ale to istne cuda biologii, zbudowane tak, aby znosić ciśnienie, które człowieka w mgnieniu oka zgniotłoby na placek. Ich największa siła jest jednak również ich słabością. Są więźniami własnych kosmicznych ciał, na zawsze skazanymi na życie w mrocznych głębinach. Jeśli zostaną złapane i wyciągnięte ku powierzchni, ku słońcu, po prostu eksplodują. Zniszczy je nie zewnętrzne ciśnienie, ale jego brak.

Craig Toomy wychowywał się we własnym mrocznym rowie, żył we własnej atmosferze wysokiego ciśnienia. Jego ojciec był dyrektorem w Bank of America, stale poza domem, karykaturą nadambitnej jednostki z osobowością typu A. Swego jedynego syna cisnął równie mocno jak siebie. Historie na dobranoc, które opowiadał mu we wczesnym dzieciństwie, napawały Craiga przerażeniem. Nic zresztą dziwnego, bo Roger Toomy chciał obudzić w sercu chłopca właśnie strach. Większość tych historii dotyczyła rasy potwornych istot zwanych langolierami.

Ich zadanie, ich misję w życiu (w świecie Rogera Toomy'ego wszystko miało jakieś zadanie, wszystko miało poważną pracę do wykonania), stanowiło polowanie na leniwe dzieci marnujące czas. Już w dniu swych siódmych urodzin Craig sam był oddaną, nadambitną jednostką z osobowością typu A, zupełnie jak tatuś. Już wtedy postanowił, że jego nigdy nie dopadną langolierzy.

Świadectwo inne niż piątkowe było nie do przyjęcia. Piątka z minusem stawała się tematem wykładu pełnego przestróg przed życiem spędzonym na kopaniu rowów albo opróżnianiu śmietników, czwórka natomiast skutkowałą karą – zwykle polegającą na tym, że Craig przez tydzień miał zakaz opuszczania pokoju. Mógł wychodzić tylko do szkoły i na posiłki. Skrócenie kary za dobre sprawowanie nie wchodziło w grę. Z drugiej zaś strony za nadzwyczajne osiągnięcia – na przykład kiedy wygrał międzyszkolne zawody w dziesięcioboju – nie dostawał analogicznej nagrody. Gdy pokazał ojcu medal za to zwycięstwo – przyznany mu na apelu w obecności wszystkich uczniów – ten tylko na niego zerknął, stęknął pod nosem i wrócił do lektury gazety. Craig miał dziewięć lat, kiedy ojciec zmarł na zawał. Trochę mu nawet ulżyło, że generał Patton z Bank of America zszedł z tego świata.

Matka Craiga była alkoholizką i panowała nad piciem tylko ze strachu przed mężczyzną, za którego wyszła. Kiedy Roger Toomy poszedł do piachu, gdzie nie mógł już szukać i tłuc jej butelek ani bić jej po twarzy i krzyczeć, żeby, na litość boską, wzięła się w garść, Catherine Toomy zaczęła poważnie podchodzić do życia. Na zmianę tłamsiła syna czułością i paraliżowała brakiem akceptacji, zależnie od tego, ile ginu buzowało akurat w jej krwiobiegu. Zachowywała się dziwnie, a czasem wręcz kuriozalnie. W dniu dziesiątych urodzin Craiga włożyła mu zapałkę między palce stopy, zapaliła, a potem odśpiewała *Happy Birthday*, podczas gdy ogień powoli zbliżał się do ciała chłopca. Zapowiedziała, że jeśli spróbuje strząsnąć zapałkę albo ją odkopnąć, odda go do SIEROCINCA. Groźba SIEROCINCA powracała często, kiedy Catherine Toomy się spała. „Powinnam cię tam oddać” – powiedziała, przypalając zapałkę, która sterczała spomiędzy palców jej zapłakanego syna niczym cieniutka świeczka urodzinowa. „Jesteś taki sam jak twój ojciec. On nie umiał się bawić i ty też. Jesteś nudziarzem, Craiguniu”. Skończyła śpiewać i zdmuchnęła ogień, zanim zdążył na dobre opalić skórę między drugim a trzecim palcem stopy chłopca. On

jednak nigdy nie zapomniał tego żółtego płomienia, wygiętego czerniejącego drewnianka i coraz większego żaru, podczas gdy jego matka fałszowała: „Happy birthday, Craiguniu, happy birthday to yooooou” monotonnym, bełkotliwym pijackim głosem.

Ciśnienie.

Ciśnienie w głębinach.

Craig Toomy wciąż dostawał same piątki i wciąż spędzał dużo czasu w swoim pokoju. Miejsce, które kiedyś było jego Coventry, stało się jego azylem. Głównie się tam uczył, ale czasem – gdy robiło się bardzo źle, gdy czuł się przyparty do muru – wyrывał z zeszytu kartkę za kartką i darł na wąskie paski. Wypuszczał je na podłogę, gdzie zbierały się na rosnącym kopcu, i tępo patrzył w przestrzeń. Te momenty nie zdarzały się jednak często. Jeszcze nie wtedy.

Liceum ukończył z wyróżnieniem i wygłosił mowę pożegnalną w imieniu uczniów. Matka nie przyszła. Była pijana. Zarządzanie na UCLA ukończył z dziewiątym wynikiem na roku. Matka nie przyszła. Była martwa. W mrocznym rowie, który istniał w samym centrum jego serca, Craig szczerze wierzył, że w końcu przyszyły po nią langolierzy.

Rozpoczął pracę w Desert Sun Banking Corporation of California w ramach programu szkolenia kadry kierowniczej. Radził sobie bardzo dobrze, co nie mogło dziwić: bądź co bądź, Craig Toomy był zbudowany tak, by dostawać same piątki, by prosperować pod ciśnieniem panującym w mrocznych głębinach. A czasem, po jakimś małym niepowodzeniu w pracy (w tamtych czasach, raptem pięć lat temu, wszystkie niepowodzenia były małe), wracał do swojego mieszkania w Westwood, niecały kilometr od miejsca, gdzie Brian Engle miał zamieszkać po rozwodzie, i godzinami rwał kartki papieru na drobne kawałki. Takie epizody stopniowo stawały się coraz częstsze.

Przez te pięć lat Craig gnał korporacyjną ciężarówką jak chart za mechanicznym zającem. Przy automacie z wodą krążyły

plotki, że może zostać najmłodszym wiceprezesem w chlubnej czterdziestoletniej historii Desert Sun. Ale niektóre ryby są zbudowane tak, że mogą się wznieść tylko na ściśle określony poziom. Jeśli przekroczą ową granicę, eksplodują.

Osiem miesięcy temu Craigowi Toomy'emu po raz pierwszy powierzono indywidualną odpowiedzialność za duży projekt – co jest korporacyjnym odpowiednikiem pracy magisterskiej. Projekt ten został przygotowany przez dział obligacji. Obligacje – zagraniczne i śmieciowe (co często na jedno wychodziło) – były specjalnością Craiga. Plan zakładał zakup ograniczonej liczby południowoamerykańskich obligacji wysokiego ryzyka – czasem określanych mianem nieściągalnych – zgodnie ze starannie wyznaczonym harmonogramem. Za tą koncepcją stała uzasadniona teoria, zważywszy na ograniczoną dostępność gwarancji wykupu takich obligacji oraz znacznie wyższe ulgi podatkowe z obrotu takimi obligacjami generującego zysk (Wuj Sam wychodził z siebie, żeby skomplikowana struktura południowoamerykańskiego zadłużenia nie zaważyła się jak domek z kart). Tylko że należało to zrobić ostrożnie.

Craig Toomy przedstawił śmiały plan. Słyszając go, wielu drapało się w głowę. Oś stanowił duży zakup różnych obligacji argentyńskich, powszechnie uważanych za najgorsze z najgorszych. Craig argumentował zdecydowanie i przekonująco, przedstawiał fakty, liczby i prognozy, które dowodziły, że argentyńskie obligacje są znacznie pewniejsze, niż się wydają. Jednym zdecydowanym ruchem, przekonywał, Desert Sun może się stać najważniejszym – i najbogatszym! – nabywcą obligacji zagranicznych na zachodzie Stanów. Jak tłumaczył, zarobione pieniądze będą znacznie mniej istotne od długoterminowej wiarygodności, którą w ten sposób zyskają.

Po długich dyskusjach – chwilami bardzo burzliwych – wizja Craiga dostała zielone światło. Po zakończonym spotkaniu Tom Holby, starszy wiceprezes, wziął go na stronę, żeby złożyć mu gratulacje... i udzielić przestrogi.

„Jeśli na koniec roku budżetowego wszystko wyjdzie tak, jak przewidujesz, będziesz oczkiem w głowie całej firmy. Ale jeśli nie, znajdziesz się w centrum niezłego huraganu. Przez najbliższe parę miesięcy lepiej zbuduj sobie dobry schron”.

„Nie potrzebuję schronu, panie prezesie” – odparł Craig z pewnością siebie. „Po tym wszystkim potrzebna mi będzie lotnia. Przed nami zakup stulecia. To jak odkrycie diamentów na targu staroci. Sam pan zobaczy”.

Tego wieczoru wrócił do domu wcześniej, a gdy tylko zatrzasnął za sobą drzwi i zamknął je na trzy zamki, przebojowy uśmiech zniknął z jego twarzy. Zastąpił go niepokojący wyraz pustki. W drodze do domu Craig kupił trochę czasopism. Zaniósł je do kuchni, ułożył przed sobą równiutko na stole i zaczął drzeć na długie, wąskie paski. Robił to przez ponad sześć godzin. Rwał tak długo, aż „Newsweek”, „Time” i „US News & World Report” leżały w strzępach na podłodze wokół jego stóp. Mokasyny od Gucciego były całkowicie zasypane. Craig wyglądał jak jedyny człowiek ocalały z eksplozji w fabryce taśm do dalekopisu.

Proponowany przez niego zakup obligacji – zwłaszcza tych argentyńskich – stanowił znacznie większe ryzyko, niż przyznawał. Craig przeforsował swój plan, wyolbrzymiając jedne fakty, tuszując inne... a niektóre zupełnie zmyślając. Tych ostatnich było nawet całkiem sporo. Potem wrócił do domu, godzinami rwał papier na strzępy i zastanawiał się, dlaczego to zrobił. Nie wiedział o istnieniu w rowach oceanicznych ryb, które żyją i umierają, nigdy nie ujrzawszy słońca. Nie wiedział, że są zarówno ryby, jak i ludzie, dla których najgroźniejsze nie jest wcale ciśnienie, ale jego brak. Wiedział tylko tyle, że poczuł nieodpartą chęć nabycia tych obligacji, przyklejenia sobie tarczy strzelniczej do własnego czoła.

Teraz zaś leciał na spotkanie z przedstawicielami pięciu dużych korporacji bankowych w bostońskim Prudential Center. Będzie dużo porównywania notatek, dużo spekulacji o przyszłości światowego rynku obligacji, dużo dyskusji o zakupach z ostatnich szesnastu miesięcy i o skutkach owych

zakupów. A zanim pierwszy dzień trzydniowej konferencji dobiegnie końca, wszyscy oni dowiedzą się tego, co Craig Toomy wiedział już od dziewięćdziesięciu dni: wartość obligacji, które nabył, spadła do niecałych sześciu centów za dolara. Wkrótce potem szefowie Desert Sun odkryją resztę prawdy: Craig kupił ich ponad trzy razy więcej, niż wynikało z pełnomocnictwa. Ponadto zainwestował w nie co do grosza wszystkie własne oszczędności... choć to akurat nie będzie ich obchodziło.

Któż wie, co czuje ryba złapana w morskich głębinach i szybko wyciągana na powierzchnię – w stronę blasku słońca, którego istnienia nigdy nie podejrzewała? Czy nie jest możliwe, że jej ostatnie chwile wypełnia nie strach, ale uniesienie? Że odczuwa druzgoczącą realność tego ciśnienia dopiero wtedy, gdy zaczyna go brakować? Że myśli – o ile, ma się rozumieć, ryba jest zdolna do myślenia – w radosnym szale: „Wreszcie jestem wolna od tego ciężaru!”, zaledwie na kilka sekund przed tym, zanim eksploduje? Zapewne nie. Być może ryby z owych mrocznych głębin nic nie czują, w każdym razie nie w rozpoznawalny przez nas sposób, a już na pewno nie myślą... ale ludzie owszem.

Wchodząc na pokład samolotu American Pride, lot numer 29 do Bostonu, zamiast wstydu Craig Toomy odczuwał przede wszystkim olbrzymią ulgę i jakąś gorączkową, paniczną radość. Wkrótce eksploduje – i odkrył, że ma to gdzieś. W zasadzie wręcz nie mógł się doczekać. Czuł, że w miarę wynurzania się ku powierzchni ciśnienie przestaje napierać na każdą cząstkę jego ciała. Po raz pierwszy od wielu tygodni nie rwał papieru. Zasnął, zanim jeszcze samolot odłączył się od rękawa, i spał jak dziecko, dopóki ta ślepa smarkuła nie zaczęła się drzeć.

Teraz zaś mówili mu, że wszystko się zmieniło, a to po prostu niedopuszczalne. To niedopuszczalne. Już przecież ugrzązł w sieci, już przecież czuł, że wynurza się w zawrotnym tempie, a jego skóra napręża się, usiłując zrównoważyć różnicę ciśnienia. Nie mogli teraz zmienić zdania i wrzucić go z powrotem w głębinę.

Bangor?

Bangor w Maine?

O nie. Nic z tych rzeczy.

Craigowi Toomy'emu coś świtało – że większość pasażerów lotu numer 29 zniknęła, ale to go nie obchodziło. Oni nie mieścili się w tym, co ojciec nazywał zawsze SZERSZĄ PERSPEKTYWĄ. W SZERSZEJ PERSPEKTYWIE mieściło się spotkanie w Prudential Center.

Ten szalony pomysł, żeby zboczyć do Bangor... Kto to właściwie wymyślił?

To pomysł pilota, oczywiście. Pomysł Engle'a. Tak zwanego kapitana.

Właśnie, Engle... Engle może się mieścić w SZERSZEJ PERSPEKTYWIE. Może być wręcz AGENTEM WROGA. Craig czuł to w sercu, odkąd Engle odezwał się przez interkom, ale w tym przypadku nie musiał przecież polegać tylko na sercu? Absolutnie nie musiał. Przysłuchiwał się rozmowie chudego chłopaka z facetem w szmatławej sportowej marynarce. W kwestii ubrań ten człowiek miał co prawda koszmarny gust, ale to, co mówił, brzmiało dla Craiga Toomy'ego sensownie... przynajmniej do czasu.

„W takim razie pilot byłby jednym z nas” – powiedział chłopak.

„I tak, i nie” – odparł facet w szmatławej sportowej marynarce. „W moim scenariuszu pilot to pilot. Ten, który zrzędzeniem losu akurat leciał do Bostonu. Ten, który siedział w pierwszej klasie niecałe dziesięć metrów od drzwi kokpitu”.

Innymi słowy Engle.

A tamten drugi, który wykręcił nos Craigowi, ewidentnie był z nim w zмовie. Robił za kogoś w stylu agenta bezpieczeństwa, na wypadek gdyby ktoś się połapał.

Craig niewiele dłużej przysłuchiwał się rozmowie między chłopakiem a facetem w szmatławej sportowej marynarce, bo mniej więcej wtedy facet zaczął bełkotać od rzeczy o tym, że Denver, Des Moines i Omaha zniknęły. Myśl, że trzy duże amerykańskie miasta mogłyby tak po prostu przestać istnieć,

była kompletnie z kosmosu... co wcale nie znaczy, że z kosmosu było wszystko, co mówił ten stary.

Oczywiście, że to eksperyment. W tym stwierdzeniu bynajmniej nie było nic głupiego, w żadnym razie. Ale pomysł starego, że królikami doświadczalnymi są wszyscy pasażerowie, to już kolejny idiotyzm.

Ja, pomyślał Craig. To ja. Ja jestem królikiem doświadczalnym.

Przez całe życie czuł się jak królik doświadczalny w takim właśnie eksperymencie. *Drodzy panowie, rzecz jest w proporcji: stosunku ciśnienia do sukcesu. Właściwa proporcja przyniesie niespodziewany rezultat. Jaki rezultat? To pokaże nam badany, pan Craig Toomy.*

Wtedy jednak Craig Toomy zrobił coś, czego się nie spodziewali, czego nigdy nie śmiały zrobić żadne psy, koty ani świnki morskie: powiedział, że się wycofuje.

Ale nie może pan tego zrobić! Ekspłoduje pan!

Czyżby? W porządku.

Teraz zaś stało się to dla niego jasne. Ci pozostali są albo niewinnymi świadkami, albo statystami, których zatrudniono, żeby nadać temu teatrykowi niezbędne pozory wiarygodności. Całe to zdarzenie zaaranżowano w jednym, jedynym celu: by nie dopuścić Craiga Toomy'ego do Bostonu, nie pozwolić mu wypisać się z eksperymentu.

Ale ja im pokażę, pomyślał. Wyrwał kolejną kartkę z magazynu linii lotniczych i spojrzął na nią. Widniało tam zdjęcie szczęśliwego mężczyzny, który ewidentnie nigdy nie słyszał o langolierach, który nie wiedział, że czają się wszędzie, za każdym drzewem i krzewem, w każdym cieniu, tuż za horyzontem. Szczęśliwy mężczyzna siedział za kierownicą auta wynajętego w Avisie i jechał wiejską drogą. Reklama informowała, że po okazaniu w biurze Avisu karty lojalnościowej American Pride praktycznie dadzą ci samochód za darmo, a na dokładkę może jeszcze hostessę z teleturnieju, żeby go za ciebie prowadziła. Craig zaczął odrywać pasek z boku błyszczącej

reklamy. Powolny, przeciągły dźwięk był zarazem nieznośny i nadzwyczaj kojący.

Już ja im pokażę, że kiedy mówię, że się wycofuję, to wiem, co mówię.

Upuścił pasek papieru na podłogę i zaczął odrywać kolejny. Ważne, żeby rwać wolno. Ważne, żeby każdy pasek był tak wąski, jak to tylko możliwe, ale nie za wąski, bo wtedy traci się kontrolę i pasek się skończy, zanim dojdzie się do krawędzi strony. Żeby udało się za każdym razem, niezbędne są dzielne dłonie i bystry wzrok. *A ja je mam. Lepiej w to uwierzcie. Oj, lepiej uwierzcie.*

Drr-rap.

Może będę musiał zabić pilota.

Dłonie Craiga zatrzymały się w pół strony. Spojrzał w okno i ujrzał własną długą, bladą twarz nakładającą się na mrok.

Może też będę musiał zabić Anglika.

Craig Toomy nigdy w życiu nikogo nie zabił. Czy byłby do tego zdolny? Z ogromną ulgą stwierdził, że tak. Oczywiście nie wtedy, kiedy znajdowali się w powietrzu; Anglik był bardzo szybki, bardzo silny, a tu, na górze, brakowało niezawodnej broni. Natomiast gdy wylądują?

Tak. Jeśli będę musiał, to tak.

Bądź co bądź, konferencję w Prudential Center zaplanowano na trzy dni. Wyglądało na to, że Craig już nie uniknie spóźnienia, ale przynajmniej zdoła je wytłumaczyć: został odurzony i porwany przez agencję rządową. To ich oszołomi. Już teraz widział te zszokowane miny, kiedy przed nimi stanie, miny trzystu bankierów z całego kraju, którzy zebrali się, żeby rozmawiać o obligacjach i zadłużeniu, a zamiast tego usłyszą brudną prawdę o tym, czego dopuszcza się rząd. *Przyjaciele, zostałem porwany przez...*

Drr-rap.

...i udało mi się uciec dopiero, gdy...

Drr-rap.

Jeśli będę musiał, zabiję ich obu. Mogę nawet zabić wszystkich.

Dłonie Craiga Toomy'ego znowu poszły w ruch. Oderwał pasek do końca, upuścił na podłogę, a potem zajął się następnym. W czasopiśmie było wiele stron, każda strona to wiele pasków, co oznaczało, że czeka go mnóstwo pracy, zanim samolot wylądaje. Ale nie martwił się tym.

Craig Toomy to typ faceta, dla którego nie ma rzeczy niemożliwych.

5

Laurel Stevenson nie zasnęła ponownie, zapadła natomiast w lekką drzemkę. Jej myśli – które w tym wyciszonym stanie przypominały sny – skupiły się na prawdziwym powodzie jej wyjazdu do Bostonu.

„Po raz pierwszy od dziesięciu lat jadę na prawdziwy urlop” – powiedziała, ale to było kłamstwo. Zawierało drobny pierwiastek prawdy, wątpiła jednak, czy wypowiedziała je wiarygodnie; nie wychowano jej na kłamcę, miała więc kiepską technikę. Przy czym, jak przypuszczała, pasażerów wciąż obecnych w samolocie i tak to raczej nie obchodziło. Nie w tej sytuacji. Wyprawa do Bostonu, żeby się spotkać – i najprawdopodobniej przespać – z mężczyzną, którego jeszcze nigdy nie widziała, bladła wobec podróży samolotem, z którego zniknęli prawie wszyscy pasażerowie i cała załoga.

Droga Laurell!

Ależ nie mogę się doczekać naszego spotkania. Kiedy wyjdiesz z samolotu, nie będziesz nawet musiała zerkać na moją fotografię. Wystarczy, że rozejrzysz się za facetem, który unosi się gdzieś pod sufitem – takie będę miał motyle w brzuchu...

Nazywał się Darren Crosby.

Nie musiała patrzeć na fotografię; to akurat była prawda. Nauczyła się na pamięć jego twarzy, podobnie jak większości listów. Pytanie brzmiało: dlaczego? Nie знаła odpowiedzi. Nawet się nie domyślała. Oto kolejny dowód na słuszność spostrzeżenia

J.R.R. Tolkiena: musisz mieć się na baczności, ilekroć wychodzisz z domu, bo chodnik przed domem to tak naprawdę droga, która prowadzi cały czas naprzód. Jeśli nie uważasz... cóż... może po prostu cię ponieść, skończysz jako obca osoba w obcej krainie i nie będziesz mieć pojęcia, jak tam trafiłeś.

Laurel powiedziała wszystkim, dokąd jedzie, ale nikomu – dlaczego ani co chce tam robić. Była absolwentką Uniwersytetu Kalifornijskiego z dyplomem magistra bibliotekoznawstwa, żadną tam modelką, ale ładnie zbudowaną i całkiem miłą dla oka. Miała niewielki krąg serdecznych przyjaciół, którzy osłupieliby na wieść o jej planach: że wybiera się do Bostonu i zamieszka u mężczyzny znanego tylko z korespondencji, mężczyzny znalezione go za pośrednictwem obszernego działu ogłoszeń osobistych w czasopiśmie „Przyjaciele i Kochankowie”.

Szczerze mówiąc, sama też osłupiała.

Darren Crosby mierzył sto osiemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, ważył osiemdziesiąt kilogramów i miał ciemnoniebieskie oczy. Lubił szkocką whisky (ale nie w nadmiarze), miał kota o imieniu Stanley, był zdeklarowanym heteroseksualistą, absolutnym dżentelmenem (a w każdym razie tak twierdził) i uważał, że Laurel to najpiękniejsze imię, jakie w życiu słyszał. Zdjęcie, które jej przysłał, przedstawiało człowieka o miłej, szczerzej, inteligentnej twarzy. Laurel odnosiła wrażenie, że Darren jest typem mężczyzny, który wyglądałby złowrogo, gdyby nie golił się dwa razy dziennie. I to wszystko, co o nim wiedziała.

Przez ostatnie kilka lat korespondowała z paroma mężczyznami – chyba miała takie hobby – ale nigdy nie sądziła, że wykona następny krok – ten krok. Przypuszczała, że pociągało ją między innymi jego drwiące, autoironiczne poczucie humoru, była jednak boleśnie świadoma tego, że prawdziwa przyczyna nie tkwi wcale w Darrenie, ale w niej. Czyż najbardziej nie pociągało jej własne niezrozumiałe pragnienie, żeby postąpić niezgodnie ze swoją naturą? Żeby polecieć w nieznane z nadzieją, że trafi w nią ten właściwy piorun?

Co ty wyrabiasz? – ponownie spytała samą siebie.

Samolot wpadł w lekkie turbulencje, a potem lot znowu się uspokoił. Laurel otrząsnęła się z drzemki i rozejrzała. Zobaczyła, że nastolatka zajęła miejsce w tym samym rzędzie, po drugiej stronie przejścia, a teraz wyglądała przez okno.

– Co widzisz? – zapytała Laurel. – Cokolwiek?

– No, słońce wzeszło, ale to wszystko – odparła dziewczyna.

– A ziemia?

Laurel nie mogła wstać i popatrzeć sama. Dina wciąż opierała o nią głowę, więc kobieta nie chciała jej budzić.

– Nie widać. Pod nami wszędzie chmury. – Nastolatka się rozejrzała. Jej wzrok zdążył się już rozjaśnić, a twarz odzyskała trochę, choć nie za wiele, koloru. – Nazywam się Bethany Simms. A ty?

– Laurel Stevenson.

– Myślisz, że wszystko będzie dobrze?

– Myślę, że tak – powiedziała Laurel, a potem niechętnie dodała: – Mam nadzieję.

– Boję się tego, co może być pod chmurami – przyznała Bethany. – Ale i tak bałam się już wcześniej. Bostonu. Moja matka nagle stwierdziła, że to świetny pomysł, żebym spędziła parę tygodni u cici Shawny, chociaż za dziesięć dni zaczyna się szkoła. Pewnie plan był taki, że gdy wyjdę z samolotu, ciocia od razu zrobi numer.

– Jaki numer?

– Nie przechodzisz przez start, nie otrzymujesz dwustu dolarów, trafiasz na najbliższy odwyk i zaczynasz dochodzić do siebie – odparła Bethany. Przeczesała palcami swoje krótkie ciemne włosy. – Było już tak dziwnie, że mam wrażenie, że teraz jest po prostu dalszy ciąg. – Uważnie zmierzyła Laurel wzrokiem, a potem dodała z absolutną powagą: – To się dzieje naprawdę, no nie? Bo wiesz, już się uszczypnęłam. Nawet parę razy. Nic się nie zmieniło.

– Wszystko jest prawdziwe.

– Wcale się takie nie wydaje. Zupełnie jak w głupim filmie katastroficznym. *Lotnisko 1990* albo coś w tym stylu. Cały czas wypatruję pary starych aktorów w stylu Wilforda Brimleya i Olivii De Havilland. Powinni się spotkać w tym całym zamęcie i zakochać, wiesz?

– Chyba z nami nie lecą – powiedziała Laurel ponuro.

Spojrzały sobie w oczy i prawie się roześmiały. Gdyby to zrobiły, mogłyby się zaprzyjaźnić... ale nie. Jednak nie.

– A ty, Laurel? Też masz problem jak z filmu katastroficznego?

– Niestety nie – odpowiedziała kobieta... i teraz naprawdę zaczęła się śmiać. Bo niczym czerwony neon zaświeciła jej w głowie myśl: O, ty kłamczucho!

Bethany zakryła usta dłonią i zachichotała.

– Jezu – odezwała się po chwili. – Najbardziej popieprzona sytuacja świata, no nie?

Laurel pokiwała głową.

– Właśnie. – Zamilkła, a potem spytała: – Naprawdę potrzebujesz iść na odwyk, Bethany?

– Nie wiem. – Dziewczyna znów odwróciła się do okna. Jej uśmiech zniknął, a głos był ponury. – Może i tak. Myślałam, że to tylko zabawa, ale teraz sama nie wiem. Chyba wymknęło mi się spod kontroli. Ale wysłali mnie jak świnię na rzeź.

– Przykro mi – powiedziała Laurel.

Było jej jednak żal również samej siebie. Zdążyła ją adoptować ta niewidoma dziewczynka; drugie przybrane dziecko to już za dużo. Teraz, kiedy na dobre się obudziła, zrozumiała, że się boi – bardzo się boi. Nie chciała zostać wybawczynią tej młodej, jeśli zacznie odstawiać historię rodem z filmu katastroficznego. Po tej myśli Laurel znów się roześmiała, nie mogła się opanować. To naprawdę najbardziej popieprzona sytuacja świata. Autentycznie.

– Mnie też – rzuciła Bethany. – Ale to chyba zły moment, żeby się tym martwić, co?

– Chyba rzeczywiście.

- W tamtych filmach pilot nigdy nie znikał, prawda?
- Nie przypominam sobie.
- Już prawie szósta. Zostało dwie i pół godziny.
- Tak.
- Jeżeli świat jeszcze tam jest, to już coś – powiedziała Bethany. Znowu uważnie spojrzała na Laurel. – Pewnie nie masz przy sobie trawki, co?
- Obawiam się, że nie.
- Bethany wzruszyła ramionami, a potem posłała Laurel zmęczony uśmiech, który okazał się dziwnie ujmujący.
- To masz nade mną przewagę – rzuciła. – Ja się tylko obawiam.

6

Jakiś czas później Brian Engle ponownie sprawdził kurs, prędkość lotu, dane nawigacyjne oraz mapy. Na koniec spojrzał na zegarek. Były dwie minuty po ósmej.

– No – odezwał się do Nicka, nie obracając się – chyba już pora. Wóz albo przewóz.

Wyciągnął rękę i włączył sygnalizację ZAPIĄĆ PASY. Rozległ się cichy, przyjemny dzwonek. Następnie uruchomił interkom i chwycił mikrofon.

– Panie i panowie, tu ponownie kapitan Engle. Obecnie znajdujemy się nad Oceanem Atlantyckim, mniej więcej pięćdziesiąt kilometrów na wschód od wybrzeża Maine. Niebawem rozpoczniemy schodzenie nad rejon Bangor. W zwyczajnych okolicznościach nie włączałbym tak wcześnie sygnalizacji „zapiąć pasy”, ale nasze okoliczności bynajmniej nie są zwyczajne, a matka zawsze mi mówiła, że ostrożność to lepsza strona odwagi. W tym duchu proszę, żeby wszyscy mieli starannie zapięte pasy. Warunki pod nami nie wyglądają zbyt groźnie, ale ponieważ nie mam komunikacji radiowej, pogoda będzie dla nas wszystkich pewną niespodzianką. Liczyłem na to, że chmury się rozwieją, i nad Vermontem rzeczywiście

widziałem kilka dziur, ale niestety znów się pozamykały. Z doświadczenia pilota mogę państwu powiedzieć, że chmury, które widzimy w dole, raczej nie wskazują na bardzo złą pogodę. Myślę, że w Bangor będzie pochmurno i może trochę padać. Rozpocznam schodzenie. Proszę zachować spokój; wszystkie kontrolki są zielone, a tu, w kokpicie, nadal obowiązują rutynowe procedury.

Brian nie zawracał sobie głowy programowaniem autopilota na zniżanie lotu; rozpoczął tę czynność sam. Powoli zawrócił samolot po szerokim łuku, a potem fotel pod nim lekko nachylił się do przodu, kiedy boeing 767 zaczął wolno opadać ku chmurom zawieszonym na wysokości tysiąca dwustu metrów.

– Bardzo to było pokrzepiające – powiedział Nick. – Powinieneś być politykiem, brachu.

– Wątpię, żeby w tej chwili pasażerowie czuli się pokrzepieni – odparł Brian. – Ja na pewno nie.

W rzeczywistości bał się tak bardzo, jak jeszcze nigdy za sterami samolotu. W porównaniu z tą sytuacją rozszczelnienie podczas lotu z Tokio wydawało się drobną usterką. Serce w piersi biło mu mocno i powoli niczym żałobny bęben. Przełknął ślinę i usłyszał, że coś pstryknęło mu w gardle. Samolot zszedł poniżej dziewięciu tysięcy metrów i nadal zniżał lot. Bezkształtne białe chmury znajdowały się już bliżej. Ciągnęły się od horyzontu po horyzont niczym parkiet dziwacznej sali balowej.

– Chłopie, ja sram ze strachu – powiedział Nick Hopewell osobliwym, chrapliwym głosem. – Na Falklandach widziałem, jak giną ludzie, sam dostałem kulkę w nogę i na pamiątkę mam kolano z teflonu, a w Bejrucie, w osiemdziesiątym drugim, samochód pułapka o mało nie rozerwał mnie na strzępy, ale jeszcze nigdy nie bałem się tak jak teraz. Najchętniej wziąłbym cię za łeb i kazał wznieść się z powrotem. Tak wysoko, jak tylko się da.

– Nic by to nie dało – odrzekł Brian. Jego ton nie był już opanowany; Brian słyszał w nim bicie swego serca, przez co głos

minimalnie drgał. – Pamiętaj, co wcześniej mówiłem: nie możemy tak latać wiecznie.

– Wiem. Ale boję się tego, co jest pod chmurami. Albo czego tam nie ma.

– Cóż, przekonamy się o tym razem.

– Nijak tego nie unikniemy, prawda, chłopie?

– Nijak.

Boeing 767 zszedł poniżej ośmiu tysięcy metrów i nadal zniżał lot.

7

Wszyscy pasażerowie znajdowali się w części ekonomicznej kabiny pasażerskiej; dołączył do nich nawet ten łysy mężczyzna, który przez większość lotu uparcie trzymał się swego miejsca w klasie biznesowej. Nie spał nikt z wyjątkiem brodacza na samym końcu. Słyszeli, jak chrapie beztrosko, i przez moment Albert Kaussner bardzo mu zazdrościł, bo sam chciałby zbudzić się dopiero wtedy, gdy będą już bezpiecznie na ziemi, i powiedzieć to, co pewnie powie wtedy brodacz: „Gdzie my jesteśmy, do cholery?”.

Oprócz tego słychać było tylko ciche drr-rap... drr-rap... drr-rap – to Craig Toomy rwał na strzępy magazyn linii lotniczych. Siedział z butami zasypianymi stertą pasków papieru.

– Może pan przestać? – zapytał Don Gaffney. Głos miał napięty i zmęczony. – Szału zaraz dostanę.

Craig obrócił głowę. Spojrzał na niego dużymi, śliskimi, pustymi oczami i z powrotem się odwrócił. Uniósł stronę, nad którą właśnie pracował, a była to akurat wschodnia połówka mapy kursów American Pride.

Drr-rap.

Gaffney otworzył usta, żeby coś powiedzieć, a potem gwałtownie je zamknął.

Laurel obejmowała ramieniem Dinę. Dziewczynka oburącz ścisnęła wolną rękę Laurel.

Albert siedział z Robertem Jenkinsem tuż przed Gaffneyem. Przed nimi z kolei siedziała ta dziewczyna z krótkimi ciemnymi włosami. Patrzyła przez okno, tak spięta, jakby ciało miała zdrutowane. Miejsce w rzędzie przed nią zajmował łysy z klasy biznesowej.

– No, przynajmniej wreszcie wrzucimy coś na ruszt – powiedział głośno.

Nikt mu nie odpowiedział. Główna kabina jakby zatrzasnęła się w sztywnej skorupie napięcia. Albert Kaussner czuł, że każdy włos na jego ciele stoi na baczność. Próbował sięgnąć po pokrzepiającą maskę Ace'a Kaussnera, owego księcia pustyni, barona rewolweru, ale nie mógł go odnaleźć. Ace wybrał się na wakacje.

Chmury były już znacznie bliżej. Przestały wydawać się płaskie; Laurel widziała ich puchate krągłości i łagodne zagłębienia wypełnione wczesnoporannym cieniem. Zastanawiała się, czy Darren Crosby wciąż jest tam na dole, czy czeka na nią cierpliwie gdzieś w hali American Pride terminalu przylotów na lotnisku Logana. Niezbyt się zdziwiła, odkrywszy, że niespecjalnie ją to obchodzi. Jej wzrok znów przyciągnęły chmury i całkowicie zapomniała o Darrenie Crosbym, który lubił szkocką whisky (ale nie w nadmiarze) i twierdził, że jest absolutnym dżentelmenem.

Wyobraziła sobie rękę, wielką zieloną rękę, która nagle wystrzeliwuje spod chmur i chwyta boeinga tak, jak zagniewane dziecko chwyta zabawkę. Wyobraziła sobie, że ta ręka ściska samolot, zobaczyła żółte jęzory eksplodującego paliwa, gdy buchają spomiędzy palców, i na chwilę zamknęła oczy.

Nie lećmy tam na dół! – chciała krzyknąć. Błagam, nie lećmy tam na dół!

Ale jaki mieli wybór? Jaki?

– Bardzo się boję – powiedziała Bethany Simms wątłym, niewyraźnym głosem. Przesiadła się na jeden z foteli w części środkowej, zapięła pas i mocno przycisnęła dłoń do brzucha. – Chyba zemdleję.

Craig Toomy spojrział na nią, a potem zaczął odrywać kolejny pasek od mapy kursów. Po chwili Albert rozpiął swój pas, wstał, usiadł obok Bethany i ponownie się przypiął. Gdy tylko to zrobił, dziewczyna chwyciła go za rękę. Jej skóra była zimna niczym marmur.

– Wszystko będzie dobrze – zapewnił, usiłując zabrzmieć jak człowiek twardy i nieulękły, zabrzmieć jak najszybszy starozakonny na zachód od Missisipi. Zabrzmiał jednak jak Albert Kaussner, siedemnastoletni uczeń gry na skrzypcach, który lada moment zsika się w portki.

– Mam nadzieję... – zaczęła Bethany, a potem boeing zaczął podskakiwać. Dziewczyna krzyknęła.

– Co się stało? – zapytała Dina cienkim, nerwowym głosem. – Czy z samolotem jest coś nie tak? Rozbijemy się?

– Nie w...

W głośnikach odezwał się głos Briana:

– Moi drodzy, to zwykła lekka turbulencja. Proszę się nie denerwować. Gdy wlecimy w chmury, czeka nas parę gorszych wybojów. Większość z państwa już to kiedyś przeżyła, więc zachowajcie spokój.

Drr-rap.

Don Gaffney znowu spojrział na mężczyznę w swetrze z okrągłym wycięciem i poczuł nagłe, niemal obezwładniające pragnienie, żeby wyrwać magazyn z rąk tego pomyłonego sukinsyna i zacząć go nim okładać.

Chmury były już bardzo blisko. Na ich białej powierzchni tuż pod samolotem Robert Jenkins widział czarny kształt boeinga. Wkrótce maszyna ucałuje własny cień i zniknie. Jenkins jeszcze nigdy w życiu nie miał przecucia, teraz jednak go nawiedziło, absolutne i pewne: kiedy przebijemy się przez chmury, zobaczymy coś, czego jeszcze nigdy nie widział żaden człowiek. To będzie coś zupełnie niewiarygodnego... lecz będziemy zmuszeni w to uwierzyć. Nie będziemy mieli wyjścia.

Dłonie Roberta Jenkinsa zacisnęły się w pięści na podłokietnikach. Kropla potu skapnęła mu do oka. Zamiast ją

otrzeć, usiłował pozbyć się pieczenia, mrugając. Jego ręce wydawały się przygwożdżone do fotela.

– Wszystko będzie dobrze? – zapytała gorączkowo Dina. Dłonie splotła z dłońmi Laurel. Były drobne, ale ścisnęły z niemal bolesną siłą. – Naprawdę będzie dobrze?

Laurel wyjrzała przez okno. Boeing 767 ocierał się już brzuchem o wierzchołki chmur, a za szybą przemknęły pierwsze kłęby waty cukrowej. Maszyną znów kilka razy szarpnęło i Laurel musiała zacisnąć gardło, żeby zdusić jęk. Po raz pierwszy w życiu było jej niedobrze ze strachu.

– Mam nadzieję, kochanie – powiedziała. – Naprawdę mam nadzieję, ale nie wiem.

8

– Co masz na radarze, Brianie? – spytał Nick. – Coś niecodziennego? W ogóle cokolwiek?

– Nie – odparł Brian. – Tylko to, że na dole jest świat. Nic więcej. Jesteśmy...

– Zaczekaj – poprosił Nick. Jego głos był napięty, zduszony, jakby zwarło mu się gardło i mówił teraz przez maleńki otwór. – Wzbij się z powrotem. Przemyślmy to. Poczekajmy, aż chmury się rozstąpią...

– Za mało mamy czasu i za mało paliwa. – Brian nie odwracał wzroku od przyrządów. Samolot znowu zaczął podskakiwać. Brian automatycznie dokonał korekt. – Trzymaj się. Wchodzimy.

Pchnął ster do przodu. Wskazówka wysokościomierza pod szklaną szybą zaczęła obracać się szybciej. Boeing wleciał w chmury. Przez moment wystawał jeszcze jego ogon, rozciął puchatą powierzchnię niczym płetwa rekina. Po chwili on także zniknął i niebo pozostało puste... jakby żadnego samolotu nigdy tam nie było.

ROZDZIAŁ 4

**W chmurach. Witamy w Bangor. Oklaski.
Zjeżdżalnia i taśmociąg. Nie dzwonią telefony.
Craig Toomy odłącza się od wycieczki.
Przestroga niewidomej dziewczynki.**

1

W głównej kabinie słoneczny blask zastąpiła szarość późnego wieczoru, a samolotem zaczęło mocniej rzucać. Po wyjątkowo silnym wstrząsie Albert poczuł nacisk na prawym ramieniu. Obrócił się i zobaczył, że spoczywa na nim głowa Bethany, ciężka jak dojrzała dynia w paździeniku. Dziewczyna zemdląła.

Samolot znów podskoczył, a w pierwszej klasie rozległ się głuchy łomot. Tym razem wrzasnęła Dina, a Don Gaffney zawołał:

– Co to było?! Na litość boską, co to było?!

– Wózek z napojami – odparł Bob Jenkins cichym, suchym głosem. Spróbował odezwać się głośniejszym, by wszyscy go usłyszeli, lecz okazało się, że nie może. – Został na zewnątrz, pamiętacie? Musiał przejechać...

Samolot skoczył jak na kolejce górskiej i opadł z drażniącym trzaskiem. Wózek z napojami przewrócił się hałaśliwie. Rozprysło się szkło. Dina znowu krzyknęła.

– Wszystko dobrze – powiedziała gorączkowo Laurel. – Nie ściskaj mnie tak mocno, kochanie, wszystko w porządku...

– Błagam, nie chcę umierać! Ja nie chcę umierać!

– To zwykłe turbulencje, moi drodzy. – Głos Briana w głośnikach wydawał się spokojny... ale Bob Jenkins miał poczucie, że słyszy w nim ledwie skrywane przerażenie. – Zachowajcie...

Kolejny straszliwy, wibrujący wstrząs. Kolejny brzęk, gdy z wywróconego wózka z napojami wypadło jeszcze więcej szklanek i małych buteleczek.

– ...spokój – dokończył Brian.

Po lewej ręce Dona Gaffneya, po drugiej stronie przejścia: drr-
rap.

Gaffney odwrócił się w tamtą stronę.

– Skończ z tym natychmiast, skurwysynu, albo resztę tej gazety wepchnę ci do gardła.

Craig spojrział na niego bez wyrazu.

– Tylko spróbuj, stary ośle.

Samolot znowu podskoczył i opadł. Albert pochylił się nad Bethany w kierunku okna. Jej piersi miękko przycisnęły się do jego ramienia i po raz pierwszy w ciągu ostatnich pięciu lat to wrażenie nie przegoniło z jego głowy wszystkich innych myśli. Spoglądał przez okno, rozpaczliwie wypatrywał przerwy w chmurach, usiłował wywołać ją siłą woli.

Widział tylko odcienie ciemnej szarości.

2

– Jak wysoko nad ziemią są te chmury, chłopie? – spytał Nick.

Teraz, odkąd znaleźli się w chmurach, wydawał się spokojniejszy.

– Nie wiem – odparł Brian. – Niżej, niż na to liczyłem, tyle ci powiem.

– Co będzie, kiedy skończy ci się miejsce?

– Jeżeli przyrządy mylą się choć odrobinę, wylądujemy w oceanie – rzekł Brian bezbarwnie. – Ale wątpię. Jeśli po zejściu na sto pięćdziesiąt metrów wciąż nic nie będzie widać, wzbijemy się z powrotem i polecimy do Portlandu.

– Może już teraz powinniśmy tak zrobić.

Brian pokręcił głową.

– Tam pogoda prawie zawsze jest gorsza niż tutaj.

– To może Presque Isle? Tam przecież jest baza dalekiego zasięgu Dowództwa Strategicznych Sił Powietrznych.

Brian miał tylko moment, żeby pomyśleć, że ten facet naprawdę wie znacznie więcej, niż powinien.

– Poza zasięgiem. Rozbilibyśmy się w lesie.

– Czyli Boston też jest poza zasięgiem.

– Właśnie.

– To zaczyna mi wyglądać na strasznie zły pomysł, brachu.

Samolot uderzył w kolejny niewidoczny prąd turbulencji i zatrzęsł się jak bardzo zmarznięty pies. Dokonując niezbędnych korekt, Brian słyszał ciche krzyki z kabiny i bardzo chciał zapewnić pasażerów, że to nic, że boeing 767 zniesie turbulencje dwadzieścia razy gorsze. Prawdziwym problemem było, jak wysoko nad ziemią są chmury.

– Jeszcze nie wypadamy z gry – powiedział Brian.

Wysokościomierz wskazywał sześćset pięćdziesiąt metrów.

– Ale naprawdę kończy nam się miejsce.

– My... – Brian urwał. Zalała go fala ulgi, która była jak dotyk chłodnej dłoni. – No i już – oznajmił. – Wyłaniamy się.

Chmury przed czarnym dziobem boeinga raptownie rzedyły. Po raz pierwszy od przelotu nad Vermontem Brian ujrzał wiotkie rozdarcie w białawoszarym dywanie. Widział przez nie ołowianą taflę Oceanu Atlantyckiego.

– Panie i panowie – powiedział do mikrofonu – wkrótce wydostaniemy się z chmur, wtedy turbulencje powinny ustać. Za kilka minut usłyszycie stuknięcie od spodu samolotu. To będzie podwozie. Zostanie wypuszczone i zablokowane. Kontynuuję schodzenie w kierunku Bangor.

Wyłączył nadawanie, a potem na moment odwrócił się do mężczyzny w fotelu nawigatora.

– Nick, życz mi szczęścia.

– Oj, życzę ci, brachu. Życzę ci szczerze.

Laurel patrzyła przez okno z zapartym tchem. Teraz chmury rozwiewały się szybko. Ocean dostrzegła serią krótkich mrugnięć: fale, grzywy, a potem duży kawał skały sterczący z wody niczym kieł martwego potwora. Mignęło też coś pomarańczowego, co mogło być boją.

Przelecieli nad niewielką wyspą obrośniętą drzewami. Pochyliwszy się i wyciągnąwszy szyję, Laurel wprost przed samolotem dostrzegła wybrzeże. Przez niekończące się czterdzieści pięć sekund widok przesłaniały jej cienkie smugi chmur. Gdy w końcu się rozwiały, boeing znajdował się nad lądem. Przelecieli nad polem, nad kawałkiem lasu, chyba nad stawem.

Ale gdzie domy? Gdzie drogi, samochody, budynki, przewody wysokiego napięcia?

Nagle z piersi Laurel wyrwał się krzyk.

– Co się stało?! – pisnęła Dina. – O co chodzi? Co się dzieje?

– Nic! – zawołała triumfalnie Laurel. W dole zobaczyła wąską drogę wiodącą do małej nadmorskiej osady, która z góry wyglądała jak zabawkowe miasteczko z zabawkowymi samochodzikami przy głównej ulicy. Widziała wieżę kościoła, lokalną żwirownię, boisko baseballowe. – Nic się nie stało! Wszystko tam jest! Wszystko nadal tam jest!

Za jej plecami odezwał się Robert Jenkins. Jego głos był spokojny, opanowany i bardzo zaniepokojony.

– Droga pani – powiedział. – Obawiam się, że jest pani w błędzie.

4

Długi biały samolot pasażerski wolno sunął nad ziemią pięćdziesiąt pięć kilometrów na wschód od Międzynarodowego Portu Lotniczego w Bangor. Na jego ogonie widniały duże, dumne cyfry: 767. Na kadłubie, literami pochylonymi do tyłu, co miało kojarzyć się z szybkością, wypisano nazwę: AMERICAN PRIDE. Po obu stronach dziobu znajdował się symbol tych linii

lotniczych: duży czerwony orzeł. Rozpostarte skrzydła ptaka pokrywały niebieskie gwiazdy, pazury miał zgięte, a łeb lekko pochylony. Podobnie jak maszyna, którą zdobił, orzeł zdawał się podchodzić do lądowania.

Lecąc w kierunku miejskiego kompleksu w dole, samolot nie rzucał cienia; nie padał deszcz, ale poranek był szary i pochmurny. Otworzył się brzuch maszyny. Opuściło się podwozie. Koła zablokowały się pod kadłubem i kabiną pilota.

Samolot American Pride, lot numer 29, schodził w kierunku Bangor. Po drodze pochylił się lekko w lewo; kapitan Engle mógł już wizualnie korygować kurs, więc to zrobił.

– Widzę! – krzyknął Nick. – Widzę lotnisko! Mój Boże, cóż za piękny widok!

– Skoro widzisz, to znaczy, że nie siedzisz na swoim miejscu – odparł Brian, nie obróciwszy głowy. Teraz nie miał czasu się obracać. – Zapnij pasy i zamknij się.

Widok pasa lotniska rzeczywiście był piękny.

Brian wycelował weń dziób samolotu i kontynuował ślizg, schodząc z trzystu na dwieście pięćdziesiąt metrów. W dole, pod skrzydłami boeinga, przesuwał się na pozór nieskończony las sosnowy. Wreszcie ustąpił miejsca bezładnym skupiskom budynków – niespokojny wzrok Briana automatycznie odnotował typowe nagromadzenie moteli, stacji benzynowych i restauracji z fast foodem – w końcu przelecieli nad rzeką Penobscot i znaleźli się w przestrzeni powietrznej Bangor. Brian ponownie spojrzął na konsolę, odnotował zielone kontrolki klap, po czym raz jeszcze spróbował połączyć się z lotniskiem... chociaż wiedział, że to na nic.

– Wieża Bangor, tu lot numer dwadzieścia dziewięć – powiedział. – Zgłaszam sytuację awaryjną. Powtarzam, zgłaszam sytuację awaryjną. Jeśli macie ruch na pasie, sprzątnijcie mi go z drogi. Podchodzę do lądowania.

Zerknął na wskaźnik prędkości lotu w samą porę, by zobaczyć, że wskazówka schodzi poniżej dwustu dwudziestu kilometrów na godzinę, czyli prędkości, która teoretycznie

zmuszała go do lądowania. W dole rzadziejące drzewa ustąpiły miejsca polu golfowemu. Przez moment widział zielony znak Holiday Inn, a potem mknęły ku niemu światła na końcu drogi startowej – gdzie wielkimi białymi literami wymalowano liczbę 33.

Światła nie były ani czerwone, ani zielone.

Były martwe.

Brian nie miał czasu o tym myśleć. Nie miał czasu myśleć, co się stanie, jeśli nagle wprost przed nimi na pas wytoczy się jakiś learjet albo mała, tłusta doyka. Nie miał czasu zrobić nic innego, tylko posadzić maszynę.

Przelecieli nad krótką wstęgą żwiru i chwastów, a potem dziesięć metrów pod samolotem rozwijał się betonowy pas. Minęli pierwsze białe pasy, a potem zaczęły się ślady hamowania – zostawione tak daleko chyba przez odrzutowce Gwardii Narodowej.

Brian łagodnie kierował boeinga ku pasowi startowemu. Tuż pod nimi mignęły drugie białe linie... a potem poczuli łagodne stuknięcie, kiedy podwozie dotknęło ziemi. Teraz boeing sunął drogą startową numer 33 z prędkością stu dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę, z lekko uniesionym dziobem i skrzydłami przechylonymi pod łagodnym kątem. Brian maksymalnie wysunął klapy i odwrócił ciąg. Kolejne stuknięcie, jeszcze łagodniejsze niż to pierwsze, nastąpiło, gdy opuścił dziób.

Potem samolot zwalniał: ze stu dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę do stu sześćdziesięciu, ze stu sześćdziesięciu do stu trzydziestu, ze stu trzydziestu do sześćdziesięciu, z sześćdziesięciu do prędkości, z jaką może biec człowiek.

Stało się. Wylądowali.

– Rutynowe lądowanie – rzucił Brian. – Nic wielkiego.

Powoli, z drzeniem, wypuścił z płuc powietrze – i całkowicie zatrzymał maszynę dobre czterysta metrów od najbliższej drogi kołowania. Jego szczupłym ciałem nagle wstrząsnęły drgawki. Uniósłszy rękę do twarzy, starł obfitą garść ciepłego potu. Spojrzał na swoją dłoń i roześmiał się słabo.

Na ramieniu poczuł rękę.

– Dobrze się czujesz, Brianie?

– Tak – odparł, a potem znowu sięgnął po mikrofon. – Panie i panowie – powiedział – witamy w Bangor.

Z tyłu samolotu usłyszał wiwaty i znowu parsknął śmiechem.

Nick Hopewell się nie śmiał. Pochylony nad fotelem Briana, patrzył przez okno kokpitu. Nic nie poruszało się na sieci pasów startowych, nic nie poruszało się na drogach kołowania. Po płycie lotniska nie śmigwały tam i z powrotem ciężarówki ani wozy służb bezpieczeństwa. Widział kilka pojazdów, widział wojskowy transportowiec C-12, który stał na zewnętrznej drodze kołowania, oraz boeinga 727 linii Delta przy jednym z rękawów, wszystkie jednak były nieruchome jak posągi.

– Dziękuję za powitanie, przyjacielu – odezwał się cicho Nick.

– Moja głęboka wdzięczność bierze się z faktu, że najwyraźniej możemy liczyć tylko na twoje. To lotnisko jest absolutnie wyludnione.

5

Mimo ciszy radiowej Brian nie był skłonny uwierzyć w osąd Nicka, ale kiedy zajechał między dwa rękawy terminalu pasażerskiego, nie mógł już wierzyć w nic innego. Nie chodziło nawet o sam brak ludzi ani o to, że żaden samochód służb bezpieczeństwa nie wyjechał sprawdzić, skąd niespodziewanie wziął się boeing 767; panowała tak absolutnie martwa atmosfera, jakby Międzynarodowy Port Lotniczy w Bangor stał opuszczony od tysiąca albo i stu tysięcy lat. Pod skrzydłem samolotu Deltę stał wózek bagażowy zaprzęgnięty do jeepa, a na nim tu i ówdzie leżało kilka walizek. Właśnie w to miejsce stale wracał wzrok Briana, kiedy podprowadził maszynę tak blisko terminalu, jak tylko się odważył, i tam ją zatrzymał. Te kilkanaście bagaży przypominało starożytne artefakty odkopane na miejscu prastarego, niegdyś wspaniałego miasta. Ciekawe, czy facet,

który odkrył grobowiec Tutanchamona, czuł się tak samo jak ja teraz, pomyślał Brian.

Zgasił silniki i przez moment siedział w bezruchu. Nie było słycać nic oprócz cichego szeptu pomocniczego zespołu napędowego – jednego z czterech – na tyłach samolotu. Dłoń Briana pobiegła w kierunku przełącznika z oznaczeniem ZASILANIE WEWNĘTRZNE. Dotknął go, a potem cofnął rękę. Nagle poczuł, że nie chce całkowicie wyłączać maszyny. Nie miał powodu, by tego nie robić, ale głos instynktu był bardzo silny.

Poza tym, stwierdził, nikt tu raczej nie będzie narzekał na marnowanie paliwa... którego zresztą i tak niedużo już zostało do zmarnowania.

Potem rozpiął pasy i wstał.

– Co teraz, Brianie? – zapytał Nick.

Również się podniósł i Brian dopiero teraz spostrzegł, że Anglik jest od niego o dobre dziesięć centymetrów wyższy. Pomyślał: ja tu dowodziłem. Dowodziłem, odkąd wydarzyła się ta dziwna rzecz – albo, mówiąc dokładniej, odkąd odkryliśmy, że się wydarzyła. Ale to się chyba zaraz zmieni.

Stwierdził, że wcale się tym nie przejmuję. Zejście boeingiem w chmury kosztowało go całą odwagę, ale nie oczekiwał podziękowań za to, że zachował zimną krew i zrobił swoje; odwaga była jedną z rzeczy, za które mu płacą. Pamiętał, że niegdyś pewien pilot powiedział mu: „Brianie, płacą nam rocznie sto tysięcy dolarów albo i więcej tak naprawdę tylko z jednego powodu. Wiedzą, że w karierze prawie każdego pilota trafia się trzydzieści czy czterdzieści sekund, kiedy rzeczywiście może coś zmienić. Płacą nam za to, żeby nas nie zamurowało, kiedy te sekundy w końcu przyjdą”.

Mózg mógł sobie mówić, że trzeba zejść w dół bez względu na chmury, że przecież nie ma innego wyboru; końcówki nerwowe i tak wywrzaskiwały to samo stare ostrzeżenie, nadawały telegraficznie ten sam elektryzujący strach przed nieznanym. Kiedy nadszedł decydujący moment, nawet Nick – kimkolwiek był i cokolwiek robił na ziemi – chciał oddalić się od chmur.

Wymagał od Briana, żeby zrobił to, co musi. On oraz wszyscy na pokładzie wymagali, żeby Brian w ich imieniu utrzymał nerwy na wodzy. Teraz zaś wylądowali, a pod chmurami nie było potworów; tylko ta dziwna cisza i jeden porzucony wózek bagażowy pod skrzydłem boeinga 727.

Więc jeśli chcesz przejąć rolę kapitana, mój przyjacielu od wykręcania nosów, to masz moje błogosławieństwo, pomyślał Brian. Jeśli chcesz, pozwolę ci nawet nosić moją czapkę. Ale dopiero kiedy opuścimy samolot. Dopóki ty i reszta gęsi nie staniecie na ziemi, jestem za was odpowiedzialny.

Nick zadał mu jednak pytanie i chyba zasługiwał na odpowiedź.

– Teraz wysiądziemy z samolotu i zobaczymy, co jest grane – powiedział Brian. Ruszył do wyjścia, prawie ocierając się o Anglika.

Nick powstrzymał go, kładąc mu rękę na ramieniu.

– Myślisz...

Brian poczuł nietypowy przypływ gniewu. Strząsnął dłoń Nicka.

– Myślę, że teraz wysiądziemy z samolotu – odparł. – Nikt nie wysunie nam rękawa ani nie podstawi schodów, więc musimy skorzystać ze zjeżdżalni awaryjnej. A potem to ty będziesz myślał. Brachu.

Przepchnął się do pierwszej klasy... i o mały włos nie przewrócił o leżący na boku wózek z napojami. Było mnóstwo potłuczonego szkła, a w powietrzu unosiła się silna woń alkoholu, od której łzawiły oczy. Brian przeszedł nad wózkiem. Nick dogonił go w tylnej części pierwszej klasy.

– Brianie, jeśli powiedziałem coś, co cię uraziło, to przepraszam. Wykonałeś piekielnie dobrą robotę.

– Nie uraziłeś mnie. Po prostu w ciągu ostatnich dziesięciu godzin musiałem się zmagać z wyciekami nad Pacyfikiem, dowiedziałem się, że moja była żona zginęła w głupim pożarze mieszkania w Bostonie i że ktoś zlikwidował Stany Zjednoczone. Jestem trochę wypruty.

Przemierzył klasę biznesową i wszedł do części klasy ekonomicznej. Przez moment panowała absolutna cisza; wszyscy siedzieli nieruchomo, kierowali ku niemu zbiegające twarze i patrzyli w niemej konsternacji.

Potem Albert Kaussner zaczął bić brawo.

Po chwili dołączył do niego Bob Jenkins... i Don Gaffney... i Laurel Stevenson. Łysy mężczyzna rozejrzał się, a później on również zaczął klaskać.

– O co chodzi? – zapytała Dina. – Co się dzieje?

– Przyszedł kapitan – wyjaśniła Laurel i popłakała się. – Kapitan, który bezpiecznie sprowadził nas na ziemię.

Wtedy i Dina zaczęła bić brawo.

Brian patrzył na nich w osłupieniu. Do oklasków dołączył stojący z tyłu Nick. Rozpięli pasy, wstali z miejsc i klaskali. Nie biły brawa tylko trzy osoby: Bethany, która zemdląca, brodacz, który wciąż chrapał w tylnym rzędzie, oraz Craig Toomy, który powiódł po nich wszystkich dziwnym, księżycowym spojrzeniem, a potem zaczął rwać kolejny pasek czasopisma.

6

Brian się zaczerwienił – to było strasznie głupie. Uniósł ręce, ale oni jeszcze przez jakiś czas wciąż nie przestawali.

– Panie i panowie, proszę... proszę... zapewniam, wykonaliśmy całkowicie rutynowe lądowanie...

– Jejku, to nic wielkiego, proszę pani – odezwał się Bob Jenkins, całkiem nieźle naśladując Gary’ego Coopera.

Obok niego Bethany ocknęła się, zamrugła i rozejrzała się oszołomiona.

– Wylądowaliśmy i żyjemy, prawda? – zapytała. – O Boże! Super! Myślałam, że już po nas!

– Proszę... – powtórzył Brian.

Uniósł ręce wyżej i nagle zrobiło mu się dziwnie, bo czuł się jak Richard Nixon przyjmujący nominację swojej partii na kolejne cztery lata. Musiał się powstrzymać przed nagłym

wybuchem śmiechu. Nie mógł tak zareagować; pasażerowie by tego nie zrozumieli. Potrzebowali bohatera i wybrali właśnie jego. Uznał, że, czemu nie, może zaakceptować tę rolę... i ją wykorzystać. Bądź co bądź, wciąż jeszcze musiał wyprowadzić ich z samolotu.

– Chciałbym prosić o uwagę!

Wszyscy kolejno przestawali klaskać i patrzyli na niego wyczekująco. Wszyscy oprócz Craiga, który nagłym, zdecydowanym ruchem rzucił magazyn na podłogę. Rozpiął pas, wstał z miejsca i wyszedł do przejścia, rozkopując nogami hańdę pasków papieru. Marszcząc czoło w skupieniu, zaczął grzebać w schowku bagażowym nad fotelem.

– Wyjrzeli państwo przez okna, zatem wiedzą państwo tyle samo co ja – powiedział Brian. – Większość pasażerów i cała załoga tego samolotu zniknęła, kiedy spaliśmy. Już to zakrawa na szaleństwo, ale teraz najwyraźniej mamy do czynienia z jeszcze bardziej obłądną sytuacją. Wygląda na to, że zniknęło także mnóstwo innych ludzi... logika jednak podpowiada, że gdzieś jacyś musieli pozostać. My przeżyliśmy, więc na pewno przeżyli też inni.

Autor kryminałów Bob Jenkins szepnął coś pod nosem. Albert go usłyszał, ale nie zrozumiał słów. Częściowo obrócił się w kierunku pisarza, kiedy ten ponownie wymamrotał te same dwa słowa. Tym razem chłopak je wychwycił: „Fałszywa logika”.

– Według mnie najlepszym rozwiązaniem będzie zajęcie się wszystkim krok po kroku. Krok pierwszy to opuszczenie samolotu.

– Kupiłem bilet do Bostonu – oznajmił Craig Toomy spokojnym, racjonalnym tonem. – I do Bostonu chcę dolecieć.

Nick wyszedł zza pleców Briana. Craig spojrział na niego i zmrużył oczy. Przez moment znów wyglądał jak kocur w złym humorze. Nick uniósł rękę ze zgiętymi palcami i zwarł dwa z nich, jakby ścisnął komuś nos. Craig Toomy, który już kiedyś musiał trzymać między palcami stopy płonąca zapalną, podczas

gdy matka śpiewała mu *Happy Birthday*, natychmiast zrozumiał to przesłanie. Zawsze był bystrym uczniem. I mógł poczekać.

– Musimy skorzystać ze zjeżdżalni awaryjnej – poinformował Brian. – Więc chciałbym powtórzyć z państwem procedury. Proszę słuchać uważnie, a potem ustawić się gęsiego i udać się za mną na przód samolotu.

7

Cztery minuty później przednie drzwi samolotu American Pride, lot numer 29, otworzyły się do środka. Przez otwór poniósł się szmer cichych rozmów i zaraz jakby zamilkł w chłodnym, nieruchomym powietrzu. Rozległ się syk, a później w wejściu nagle rozkwitł duży kłęb pomarańczowego materiału. Przez moment przypominał dziwny słonecznik. Opadając, rósł i pęczniał, nabierając kształtu wydętej prążkowanej zjeżdżalni. Kiedy jej spód uderzył o płytę lotniska, dało się słyszeć ciche stuknięcie, a potem zjeżdżalnia po prostu zwisała z samolotu niczym wielki pomarańczowy nadmuchiwany materac.

Brian z Nickiem stali na czele krótkiej kolejki w przejściu po lewej stronie pierwszej klasy.

– Z powietrzem na zewnątrz jest coś nie tak – odezwał się cicho Nick.

– Jak to? – spytał Brian, a potem jeszcze bardziej zniżył głos. – Zatrute?

– Nie... przynajmniej nie sędzę. Ale nie ma zapachu, nie ma smaku.

– Oszalałeś – odparł Brian niespokojnie.

– Nie, nie oszalałem. Tu jest lotnisko, chłopie, a nie jakaś cholerna łączka. A czujesz ropę albo gaz? Bo ja nie.

Brian pociągnął nosem. Nie poczuł nic. Jeśli powietrze było zatrute – w co nie wierzył, ale jeśli nawet – to wolno działającą toksyną. Na razie płuca wchłaniały je i nic się nie działo. A jednak Nick miał rację. Brakowało zapachu. Tej drugiej, bardziej nieuchwytniej właściwości, którą Anglik nazwał

smakiem... jej również nie było. Powietrze za otwartymi drzwiami smakowało absolutnie neutralnie. Jak z puszki.

– Coś nie w porządku? – zapytała nerwowo Bethany Simms. – To znaczy... jeśli tak, to nie jestem pewna, czy chcę o tym wiedzieć, ale...

– Wszystko w porządku – odrzekł Brian. Policzył głowy, doliczył się dziesięciu, po czym znowu zwrócił się do Nicka: – Ten facet z tyłu dalej śpi. Myślisz, że powinniśmy go obudzić?

Nick zastanawiał się przez moment, a potem zaprzeczył.

– Lepiej nie. Nie uważasz, że dość już mamy problemów, żeby na dodatek niańczyć kolesia na kacu?

Brian uśmiechnął się szeroko. Był tego samego zdania.

– Tak, sądzę, że masz rację. W porządku, Nick, idź pierwszy. Przytrzymaj dół zjeżdżalni. Ja pomogę reszcie.

– Może lepiej ty idź przodem. Na wypadek gdyby mój krzykliwy przyjaciel znów zaczął się awanturować z powodu nieprzewidzianego postoju.

Brian zerknął na mężczyznę w swetrze z okrągłym wycięciem. Stał na końcu kolejki, trzymając w ręku wąską teczkę ozdobioną monogramem, i tępo wpatrywał się w sufit. Poziom ekspresji na jego twarzy można by porównać z tą u manekina w domu towarowym.

– Nie będzie z nim problemów – powiedział. – Bo mam gdzieś, co robi. Może iść albo tu zostać, wszystko mi jedno.

Nick uśmiechnął się szeroko.

– Jak dla mnie może być. Wielki exodus czas rozpocząć.

– Zdjąłeś buty?

Nick uniósł parę czarnych mokasynów z koźłej skóry.

– Dobra, ruszaj. – Następnie Brian zwrócił się do Bethany: – Przyglądaj się uważnie, ty jesteś następna.

– O kurde, nie cierpię takich rzeczy.

Mimo to stanęła blisko Briana i patrzyła z obawą, jak Nick Hopewell stawia czoło zjeżdżalni. Skoczył, unosząc jednocześnie obie nogi, przez co wyglądał jak na trampolinie. Wylądował na tyłku i zsunął się na sam dół. Zrobił to bardzo sprawnie,

podstawa zjeżdżalni ledwie drgnęła. Stopy w skarpetkach zetknęły się z płytą lotniska, Nick wstał, obrócił się i skłonił żartobliwie, zakładając ręce za plecami.

– Łatwizna! – zawołał. – Następny, proszę!

– To ty – powiedział Brian. – Bethany, prawda?

– Tak – odparła dziewczyna nerwowo. – Chyba nie dam rady. Przez trzy semestry oblewałam WF, aż w końcu pozwolili mi jeszcze raz zaliczyć zajęcia z gospodarstwa domowego.

– Poradzisz sobie – uspokoił ją Brian. Zauważył, że ludzie korzystają ze zjeżdżalni bez ponaglania i z dużo większym entuzjazmem, kiedy zagrożenie jest widoczne: na przykład dziura w kadłubie albo pożar silnika. – Buty zdjęte?

Bethany miała zdjęte buty – stare różowe trampki – ale i tak próbowała wycofać się od drzwi i jaskrawopomarańczowej zjeżdżalni.

– Może gdybym najpierw się napiła...

– Pan Hopewell trzyma zjeżdżalnię, wszystko będzie dobrze – zapewniał Brian, ale zaczynał się bać, że będzie musiał ją popchnąć.

Nie chciał tego robić, jednak jeśli dziewczyna zaraz nie skoczy, nie będzie miał wyboru. Nie wolno odsyłać pasażerów na koniec kolejki, żeby poczekali, aż wróci im odwaga. To nie wchodzi w grę, kiedy trzeba skorzystać ze zjeżdżalni awaryjnej. Inaczej wszyscy chcieliby iść na koniec.

– Dalej, Bethany – odezwał się nagle Albert. Trzymał pod pachą futerał na skrzypce, który zabrał ze schowka nad fotelem.

– Umieram ze strachu, ale jak ty skoczysz, to ja też będę musiał.

Spojrzała na niego zaskoczona.

– Dlaczego?

Całą twarz miał czerwoną.

– Bo jesteś dziewczyną – odparł po prostu. – Wiem, jestem seksistowską świnią, ale taka prawda.

Bethany popatrzyła na niego jeszcze przez chwilę, a potem roześmiała się i odwróciła w stronę zjeżdżalni. Brian postanowił

ją popchnąć, jeżeli znów się obejrzy lub cofnie, ale tego nie zrobiła.

– Kurde, szkoda, że nie mam trawy – powiedziała i skoczyła.

Widziała manewr Nicka z wyprostowaniem nóg, wiedziała więc, co należy robić, ale w ostatniej chwili zabrakło jej odwagi i spróbowała je podwinąć. W rezultacie, zsuwając się po sprężystej powierzchni zjeżdżalni, przewróciła się na bok. Brian był pewien, że z niej wypadnie, ale dziewczyna sama spostrzegła niebezpieczeństwo i zdołała się przetoczyć. Pomknęła po pochylni na prawym boku, jedną ręką trzymała się za głowę, a bluzka podwinęła jej się prawie pod kark. Potem złapał ją Nick i zeszła na płytę lotniska.

– O rany – wydyszała. – Znowu czuję się dzieckiem.

– Nic ci nie jest? – zapytał Anglik.

– Nie. Może trochę zlałam się w majtki, ale wszystko w porządku.

Uśmiechnął się do niej, a potem znów odwrócił się w stronę zjeżdżalni.

Albert przepraszająco spojrzał na Briana i podał mu futerał ze skrzypcami.

– Może pan potrzymać? Boję się, że jeśli spadnę ze zjeżdżalni, to się zniszczą. Rodzice by mnie zabili. To gretsch.

Brian wziął instrument. Twarz miał spokojną i poważną, ale w duszy się śmiał.

– Mogę zobaczyć? Tysiąc lat temu sam grałem na skrzypcach.

– Jasne – odparł Albert.

Zainteresowanie wpłynęło na niego uspokajająco... czyli właśnie tak, jak chciał Brian. Rozpiął trzy zatrzaski i otworzył wieko. Skrzypce rzeczywiście były marki Gretsche, i to wcale nie z dolnej półki tej prestiżowej firmy. Brian domyślał się, że są warte tyle co mały samochód.

– Coś pięknego – powiedział, po czym szybko zagrał cztery nuty: *Mój pies ma pchły*. Wybrzmiały pięknie i dźwięcznie. Zamknął futerał. – Zaopiekuję się nimi. Obiecuję.

– Dziękuję. – Albert stanął w drzwiach i odetchnął głęboko. – Do boju! – jęknął cicho, a potem skoczył.

Dłonie schował pod pachy – ochrona rąk przed uszkodzeniem była u niego tak głęboko zakorzeniona, że stała się odruchem. Wylądował na zjeżdżalni z wyprostowanymi nogami i zgrabnie zjechał na dół.

– Dobra robota! – pochwalił Nick.

– Bułka z masłem – odparł Ace Kaussner z przeciągłym akcentem, zszedł na ziemię, a potem prawie potknął się o własne nogi.

– Albercie! – zawołał z góry Brian. – Łap!

Wychylił się, położył futerał ze skrzypcami na środku zjeżdżalni, a potem go wypuścił. Albert złapał go dobre kilkanaście centymetrów przed końcem, wziął pod pachę i się wyprostował.

Jenkins, skacząc, zamknął oczy i zjechał przechylony na jednym cherlawym pośladku. Nick zwinnie obszedł zjeżdżalnię z lewej i chwycił pisarza w ostatniej chwili, czym uratował go przed bolesnym upadkiem na beton.

– Dziękuję, młody człowieku.

– Nie ma za co, brachu.

Następny był Gaffney, a po nim ten łyсы. Później w drzwiach stanęły Laurel i Dina Bellman.

– Boję się – powiedziała Dina cienkim, drżącym głosem.

– Wszystko będzie dobrze, kochanie – odrzekł Brian. – Nawet nie musisz skakać. – Położył dłonie na ramionach dziewczynki i obrócił ją tak, że stała twarzą do niego i plecami do wyjścia. – Daj mi ręce, opuszczę cię na zjeżdżalnię.

Ale Dina schowała dłonie za plecami.

– Pan nie. Chcę, żeby to zrobiła Laurel.

Spojrzał na młodą ciemnowłosą kobietę.

– Zrobi to pani?

– Zrobię – odparła. – Jeśli powie mi pan jak.

– Dina już wie. Niech pani opuści ją za ręce. Kiedy już będzie leżeć na brzuchu z równo ułożonymi nogami, może zjechać

prosto na dół.

Ręce małej były zimne w dłoniach Laurel.

– Boję się – powtarzała dziewczynka.

– Kochanie, będzie zupełnie jak na zjeżdżalni na placu zabaw – powiedział Brian. – Na dole złapie cię ten pan z angielskim akcentem. Czeka na ciebie z rękami ułożonymi jak łapacz na meczu baseballowym. – Choć przecież, pomyślał, ona nie ma prawa wiedzieć, co to znaczy.

Dina spojrzała na niego jak na głupka.

– Nie zjeżdżalni się boję, ale tego miejsca. Dziwnie pachnie.

Laurel, która nie czuła nic oprócz zapachu własnego nerwowego potu, spojrzała bezsilnie na Briana.

– Kochanie – przyklęknął przed niewidomą dziewczynką na jedno kolano – musimy wysiąść z samolotu. Wiesz o tym, prawda?

Soczewki jej ciemnych okularów zwróciły się ku niemu.

– Dlaczego? Dlaczego musimy wysiąść? Przecież tam nikogo nie ma.

Brian i Laurel wymienili spojrzenia.

– Cóż – odparł pilot – nie przekonamy się o tym, dopóki nie sprawdzimy, prawda?

– Ja już to wiem – oznajmiła Dina. – Nic nie czuć i nic nie słychać. Ale... ale...

– Ale co? – zapytała Laurel.

Dina się zawahała. Chciała dać im do zrozumienia, że to nie sposób opuszczenia samolotu nie daje jej spokoju. Nieraz już bywała na zjeżdżalni, a poza tym ufała Laurel. Wiedziała, że kobieta jej nie wypuści, jeśli to będzie niebezpieczne. Coś tu było nie w porządku i właśnie tego się obawiała – tego, co nie w porządku. Nie ciszy i nie pustki. Może miało to związek z ciszą i pustką, ale było w tym coś więcej.

Coś było nie w porządku.

Dorośli jednak nie wierzą dzieciom, zwłaszcza dzieciom niewidomym, a już szczególnie niewidomym dziewczynkom. Chciała ich ostrzec, że nie mogą tu zostać, że tu jest

niebezpiecznie, że muszą znów uruchomić samolot i odlecieć. Ale co wtedy powiedzą? „Dobra, jasne, Dina ma rację, wszyscy z powrotem na pokład”? Oczywiście, że nie.

Sami zobaczą, pomyślała. Zobaczą, że tu jest pusto, a wtedy wrócimy do samolotu i polecimy gdzieś indziej. Gdzieś, gdzie nie będzie wrażenia, że coś jest nie w porządku. Wciąż mamy czas.

Chyba.

– Nieważne – rzuciła do Laurel głosem cichym i zrezygnowanym. – Opuść mnie.

Kobieta ostrożnie opuściła ją na zjeżdżalnię. Po chwili Dina patrzyła na nią z dołu – tylko że tak naprawdę ona wcale nie patrzy, pomyślała Laurel, przecież ona nie może patrzeć – z nogami rozłożonymi na pomarańczowej pochylni.

– W porządku, Dino? – zapytała Laurel.

– Nie – odparła dziewczynka. – Nic tu nie jest w porządku.

I zanim kobieta zdążyła ją puścić, Dina sama wyswobodziła dłonie. Zsunęła się na dół, gdzie chwycił ją Nick.

Następna była Laurel. Zwinnie zeskoczyła na pochylnię, a zjeżdżając, pruderyjnie przytrzymała spódnicę. Zostali już tylko Brian, śpiący pijak z tyłu samolotu oraz Sweter z Okrągłym Wycięciem, ów radosny, drący kartki imprezowicz.

„Nie będzie z nim problemów” – powiedział wcześniej Brian. „Bo mam gdzieś, co robi”. Teraz odkrył, że to jednak nieprawda. Facet miał nie po kolei w głowie i chyba wiedziała o tym nawet ta dziewczynka, chociaż była niewidoma. Co będzie, jeśli go tu zostawią, a on dostanie szau? I jeśli w szale postanowi zdemolować kokpit?

I co z tego? Przecież i tak nigdzie nie polecisz, pomyślał Brian. Zbiorniki są prawie puste.

Mimo wszystko nie podobała mu się ta perspektywa, i to nie tylko dlatego, że boeing 767 jest sprzętem wartym miliony dolarów. Być może odczuwał niejasne echo tego, co zobaczył w twarzy Diny, kiedy po zjechaniu ze zjeżdżalni podniosła głowę. Wydawało się, że coś tu jest nie w porządku, i to bardziej, niż na to wyglądało... co go przerażało, bo nie wiedział, czy to w ogóle

możliwe, że mogłoby być gorzej. Samolot natomiast był w porządku. Nawet mimo prawie pustych zbiorników paliwa należał do świata, który Brian znał i rozumiał.

– Pańska kolej, przyjacielu – powiedział tak uprzejmie, jak potrafił.

– Zdaje pan sobie sprawę, że doniosę na pana z powodu tego wszystkiego, prawda? – odparł Craig Toomy dziwnie łagodnym tonem. – Zdaje pan sobie sprawę, że pozwę pańskie linie lotnicze o trzydzieści milionów dolarów, a pan będzie głównym pozwanym?

– Ma pan do tego prawo, panie...

– Toomy. Craig Toomy.

– Panie Toomy – powtórzył Brian. – Czy pan rozumie, co nas spotkało?

Craig przez moment patrzył przez otwarte drzwi – patrzył na opustoszałą płytę lotniska oraz szerokie, lekko polaryzujące okna terminalu na drugiej kondygnacji, skąd nie wypatrywali przyjezdnych szczęśliwi krewni i znajomi, a podróżni nie czekali tam niecierpliwie, aż ich lot zostanie wywołany.

Oczywiście, że rozumiał. To langoliery. Przyszły po wszystkich głupich, leniwych ludzi, tak jak zapowiadał ojciec.

– W dziale obligacji Desert Sun Banking Corporation mówią na mnie Mrówka – powiedział Craig wciąż łagodnym głosem. – Wiedział pan o tym? – Zamilkł na chwilę, najwyraźniej czekając na odpowiedź Briana. Ten milczał, więc Craig mówił dalej: – Oczywiście, że nie. Tak samo jak pan nie wie, jak ważne jest to spotkanie w Prudential Center w Bostonie. I nic to pana nie obchodzi. Ale coś panu powiem, kapitanie: od wyników tego spotkania mogą zależeć losy gospodarki wielu państw. Spotkania, na którym sprawdzą listę obecności, a mnie nie będzie.

– To wszystko bardzo interesujące, panie Toomy, ale naprawdę nie mam czasu...

– Czasu! – wrzasnął Craig. – Co pan, do cholery, wie o czasie? Proszę mnie zapytać! Proszę zapytać! Ja coś o tym wiem! Ja

o czasie wiem wszystko! Czas się kończy, drogi panie! Czas się, kurwa, kończy!

Do diabła z tym, wypchnę tego obłąkanego sukinsyna, pomyślał Brian, ale zanim zdążył to zrobić, Craig Toomy odwrócił się i skoczył. Wzorowo wyprostował nogi, przyciskając teczkę do piersi. Brian miał szalone skojarzenie ze starą telewizyjną reklamówką Hertza, w której O.J. Simpson frunie po lotnisku w garniturze i krawacie.

– Czas się kończy jak cholera! – krzyknął Craig, zjeżdżając.

Ośłaniał pierś teczką niczym tarczą, a nogawki spodni podwinęły się, ukazując czarne podkolanówki człowieka sukcesu.

– Jezu, pieprzony świr – mruknął Brian.

Zatrzymał się na szczycie zjeżdżalni, jeszcze raz spojrzął na pokrzepiający, znajomy świat samolotu... i skoczył.

8

Dziesięć osób stało w dwóch małych grupkach pod olbrzymim skrzydłem boeinga 767 z czerwono-niebieskim orłem na dziobie. W jednej grupie byli Brian, Nick, łyсы mężczyzna, Bethany Simms, Albert Kaussner, Robert Jenkins, Dina, Laurel i Don Gaffney. W pewnej odległości od nich, tworząc własną grupę, stał Craig Toomy, znany także jako Mrówka. Pochylił się i z pedantyczną koncentracją wygładził zagniecenia na spodniach, używając do tego lewej ręki. Prawą dłoń mocno zaciskał na ręczce teczki. Potem po prostu stał i rozglądał się szeroko otwartymi, obojętnymi oczami.

– Co teraz, kapitanie? – spytał z werwą Nick.

– Ty mi to powiedz. A raczej nam.

Nick patrzył na niego przez chwilę z lekko uniesioną brwią, jakby chciał się upewnić, że Brian mówi poważnie. Pilot pochylił głowę o centymetr. To wystarczyło.

– No, myślę, że na początek dobrze by było wejść do terminalu – rzekł Nick. – Jak się tam najszybciej dostać? Jakiś pomysł?

Brian ruchem głowy wskazał sznur wózków bagażowych zaparkowanych pod nawisem głównego terminalu.

– Zgaduję, że nie mając dostępu do rękawa, najszybciej będzie przez taśmociąg bagażowy.

– W porządku. To co, panie i panowie? Spacererek?

Nie było daleko, ale Laurel, która prowadziła za rękę Dinę, pomyślała, że to najdziwniejszy marsz w jej życiu. Oczyma wyobraźni widziała ich z góry: dziesięć kropek brnących powoli przez rozległą betonową pustynię. Nie wiał wiatr. Nie śpiewały ptaki. W oddali nie warczały motory, nienaturalnej ciszy nie rozerwał żaden ludzki głos. Nawet dźwięk ich kroków wydawał się jej niewłaściwy. Na nogach miała szpilki, ale zamiast żwawego stukotu, do jakiego przywykła, zdawała się słyszeć tylko ciche, tępe dudnienie.

„Zdawała się”. Pomyślała, że to kluczowe słowa. W tej dziwnej sytuacji wszystko zdaje się dziwne. To przez beton, nic więcej. Na betonie szpilki brzmią inaczej.

Ale przecież nie po raz pierwszy chodziła w szpilkach po betonie. Nie pamiętała, żeby kiedykolwiek brzmiały właśnie tak jak teraz. Tak jakby... blado. Bezsilnie.

Dotarli do zaparkowanych wózków bagażowych. Nick lawirował wśród nich na czele pochodu, a potem zatrzymał się przy nieczynnym taśmociągu, który wyłaniał się z otworu zasłoniętego kurtyną z gumowych pasów. Zakręcał szerokim łukiem nad płytą lotniska, gdzie stali zwykle bagażowi rozładowujący walizki, po czym wracał do terminalu przez drugi otwór przesłonięty gumą.

– Po co te gumowe paski? – zapytała nerwowo Bethany.

– Pewnie chronią przed zimnym wiatrem – odparł Nick. – Wetknę tam głowę, żeby się rozejrzeć. Bez strachu, zaraz wracam.

I zanim ktokolwiek zdążył odpowiedzieć, wdrapał się na taśmociąg i zgarbiony ruszył ku jednemu z otworów. Tam ukląkł i wsunął głowę w gumową kotarę.

Usłyszemy gwizd, a potem stukot, pomyślał szaleńczo Albert, a gdy go wyciągniemy, nie będzie miał głowy.

Nie rozległ się ani gwizd, ani stukot. Kiedy Nick wrócił, głowę wciąż miał na miejscu, a minę zamysłoną.

– Droga wolna – oznajmił. Teraz jego radosny ton wydawał się Albertowi sztuczny. – Chodźcie, przyjaciele. Jeśli ktoś napotka kogoś i tak dalej...

Bethany się wzdrygnęła.

– Tam ktoś jest? Proszę pana, czy tam są trupy?

– Żadnych nie widziałem, panienko – odparł Nick, rezygnując z udawanej beztroski. – Cytowałem tylko staruszka Bobby’ego Burnsa, bo chciałem być dowcipny. Obawiam się, że zamiast zabawnie wyszło niesmacznie. W rzeczywistości nie widziałem nikogo. Ale chyba właśnie tego się spodziewaliśmy, prawda?

Owszem... lecz ta wiadomość i tak była dla wszystkich mocnym ciosem. Dla Nicka, wnioskując z jego tonu, także.

Po kolei wdrapywali się na taśmociąg i czołgali za Anglikiem przez kurtynę z gumowych pasów.

Dina zatrzymała się tuż przed otworem i odwróciła głowę do Laurel. Na ciemnych szklach jej okularów błysnęło mgliste światło, na moment zmieniając je w lustro.

– Tu jest naprawdę bardzo nie w porządku – powtórzyła, po czym precyzyjnie się na drugą stronę.

9

Kolejno wyłonili się w głównym terminalu Międzynarodowego Portu Lotniczego w Bangor – niczym egzotyczny bagaż pełznący po nieruchomym taśmociągu. Albert pomógł Dinie zejść, a potem wszyscy stanęli i rozglądali się w niemym zdumieniu.

Szok i niedowierzanie po przebudzeniu się w samolocie, który magicznie opróżnił się z ludzi, zdążyły minąć; teraz miejsce oszołomienia zajęło wrażenie obcości. Żadne z nich nie było dotąd na kompletnie wyludnionym lotnisku. Stoiska

wypożyczalni samochodów świeciły pustką. Monitory przylotów i odlotów – czarne i martwe. Nikt nie stał przy stanowiskach linii Delta, United, Northwest Air-Link czy Mid-Coast Airways. Olbrzymi zbiornik pośrodku terminalu, nad którym rozciągnięto transparent z napisem KUPUJCIE HOMARY Z MAINE, wypełniała woda, ale nie było w niej ani jednego homara. Pod sufitem nie paliły się jarzeniówki, a niewielka ilość światła wpadająca przez drzwi po drugiej stronie starczała mniej więcej do połowy długości dużej hali, więc grupka pasażerów lotu numer 29 stała ściśnięta w nieprzyjemnym mroku.

– No dobrze – odezwał się Nick. Chciał, by w jego głosie słychać było werwę, ale zabrzmiał w nim tylko niepokój. – Sprawdźmy telefony, dobrze?

Ruszył w kierunku ciągu automatów, tymczasem Albert udał się do stanowiska wypożyczalni samochodów Budget. W przegródkach na tylnej ścianie zobaczył teczki z nazwiskami BRIGGS, HANDLEFORD, MARCHANT, FENWICK i PESTLEMAN. W każdej z pewnością znajdowała się umowa wypożyczenia, a także mapa środkowego Maine, na której strzałką z napisem JESTEŚ TUTAJ zaznaczono Bangor.

Ale gdzie jesteście tak naprawdę? – zastanawiał się Albert. I gdzie są Briggs, Handleford, Marchant, Fenwick i Pestleman? Czy zostali przeniesieni do innego wymiaru? A może gdzieś w Maine grają Grateful Dead i wszyscy pojechali na koncert?

Tuż za jego plecami coś sucho zaszurało. Albert o mało nie wyskoczył z siebie. Obrócił się gwałtownie, chwytając skrzypce jak pałkę, i zobaczył Bethany, która właśnie przytykała zapalną do papierosa.

Uniosła brwi.

– Wystraszyłam cię?

– Odrobinę. – Albert opuścił skrzypce i rzucił jej blady, zawstydzony uśmiech.

– Przepraszam. – Strząsnęła zapalną, rzuciła ją na podłogę, a potem mocno zaciągnęła się papierosem. – Nareszcie.

Przynajmniej dzięki temu mi lepiej. W samolocie się nie odważyłam, bałam się, że coś wybuchnie.

Podszedł do nich Bob Jenkins.

– Wiesz, ja rzuciłem palenie z dziesięć lat temu.

– Tylko bez kazań – odparła Bethany. – Coś mi mówi, że jeśli wyjdziemy z tego żywi i nie zwariujemy, to będę słuchać kazań przez miesiąc. Calutki. Od rana do wieczora.

Jenkins uniósł brwi, ale nie poprosił o wyjaśnienie.

– Tak właściwie chciałem spytać, czy mogę się poczęstować – przyznał. – To chyba doskonały moment, żeby odnowić znajomość z dawnymi nałogami.

Bethany uśmiechnęła się i podetknęła mu paczkę marlboro. Jenkins wziął papierosa, a ona mu przypaliła. Zaciągnął się i zaczął kasłać. Wykrztusił z siebie istną serię sygnałów dymnych.

– Pan rzeczywiście miał niezłą przerwę – oceniła rzeczowo Bethany.

Jenkins przytaknął.

– Ale szybko znów się przyzwyczaję. Oto właśnie prawdziwe przekleństwo nałogu. Czy zwróciliście uwagę na zegar?

– Nie – odrzekł Albert.

Jenkins wskazał ścianę nad drzwiami męskiej i damskiej toalety. Umieszczony tam zegar zatrzymał się na godzinie 4.07.

– Pasuje – rzucił mężczyzna. – Wiemy, że lecieliśmy już jakiś czas, kiedy nastąpiło... z braku lepszego słowa nazwijmy to Zdarzeniem. Czwarta siedem czasu Wschodniego Wybrzeża to pierwsza siedem czasu Los Angeles. Czyli już wiemy, kiedy to się stało.

– O kurczę, super – skomentowała Bethany.

– Tak. – Jenkins nie zauważył nutki sarkazmu w jej głosie lub celowo ją zignorował. – Ale z tym jest coś nie w porządku. Szkoda, że nie ma słońca. Wtedy byłbym pewien.

– Jak to? – spytał Albert.

– Zegary, przynajmniej te elektroniczne, są do niczego. Brak zasilania. Ale gdyby świeciło słońce, moglibyśmy orientacyjnie

ustalić godzinę po długości naszych cieni. Mój zegarek pokazuje za kwadrans dziewiątą, ale mu nie ufam. Wydaje mi się, że jest później. Nie mam dowodu i nie umiem tego wytłumaczyć, ale tak mi się wydaje.

Albert zastanowił się nad tym. Rozejrzał się, po czym zwrócił się do Jenkinsa:

– Wie pan co? Rzeczywiście. Jakby dochodziła pora lunchu. Czy to nie wariactwo?

– Nie wariactwo, tylko jet lag – wtrąciła Bethany.

– Nie zgadzam się – odrzekł Jenkins. – Lecieliśmy z zachodu na wschód, młoda damo. Przesunięcie czasowe, którego doznają podróżujący w tym kierunku, działa w przeciwną stronę: wydaje im się, że jest wcześniej.

– Chciałbym zapytać pana o coś, co mówił pan w samolocie – powiedział Albert. – Kiedy kapitan stwierdził, że gdzieś muszą być inni ludzie, pan mruknął: „Fałszywa logika”. Nawet dwa razy. Ale mnie to się wydaje dość jasne. My spaliśmy i wciąż tu jesteśmy. Skoro to coś nastąpiło o... – Albert zerknął na zegar – czwartej siedem miejscowego czasu, to tutaj musieli wtedy spać prawie wszyscy.

– Tak – przyznał Jenkins bez emocji. – Więc gdzie teraz są?
Albert był skonsternowany.

– No...

Rozległ się huk. To Nick z dużą siłą odwiesił słuchawkę jednego z telefonów, ostatniego w długim ciągu automatów. Wypróbował każdy z nich.

– Kłapa – oznajmił. – Wszystkie głuche. Brianie, do nieszczekających psów możesz dodać niedzwoniące telefony.

– To co teraz zrobimy? – zapytała Laurel.

W swoim głosie usłyszała żalną nutę i poczuła się bardzo mała, bardzo zagubiona. Obok niej Dina obracała się powoli. Wyglądała jak ludzka antena radarowa.

– Chodźmy na górę – zaproponował łysy. – Tam musi być restauracja.

Wszyscy na niego spojrzeli. Gaffney parsknął.

– Pan myślisz tylko o jednym!

Łysy popatrzył na niego spod uniesionej brwi.

– Po pierwsze, mam imię i nazwisko: Rudy Warwick – powiedział. – A po drugie, z pełnym żołądkiem ludzie lepiej myślą. – Wzruszył ramionami. – Prawo natury.

– Uważam, że pan Warwick ma rację – przyznał Jenkins. – Wszystkim nam przydałby się posiłek... a poza tym może na piętrze znajdziemy wskazówki, które pomogą wyjaśnić, co się stało. Sądzę nawet, że znajdziemy je tam na pewno.

Nick wzruszył ramionami. Nagle wydał się zmęczony i zdezorientowany.

– Czemu nie? – odparł. – Cholera, zaczynam się czuć jak Robinson Crusoe.

Luźną grupą ruszyli w stronę windy, która również nie działała. Albert, Bethany i Bob Jenkins szli razem na końcu.

– Pan coś wie, prawda? – spytał nagle Albert. – O co chodzi?

– Możliwe, że wiem – rzekł Jenkins. – A możliwe, że nie. Chwilowo zachowam to dla siebie... ograniczając się do jednej sugestii.

– Jakiej?

– Nie dla ciebie; dla tej młodej damy. – Jenkins spojrzał na Bethany. – Oszczędzaj zapalki. Oto moja sugestia.

– Co? – Dziewczyna zmarszczyła czoło.

– Słyszałaś, co powiedziałem.

– No, chyba słyszałam, ale nie wiem, co to miało znaczyć. Na górze pewnie jest kiosk. Tam będzie mnóstwo zapalek. I jednorazowych zapalniczek też.

– Zgadzam się – przyznał Jenkins. – A jednak radzę je oszczędzać.

On znowu zgrywa Phila Christiego czy jak mu tam było, pomyślał Albert.

Właśnie miał powiedzieć to głośno i poprosić Jenkinsa, by pamiętał, że nie znajdują się w jednej z jego książek, kiedy Brian Engle zatrzymał się u stóp schodów ruchomych tak gwałtownie,

że Laurel musiała mocno szarpnąć Dinę za rękę, żeby niewidoma dziewczynka na niego nie wpadła.

– Niech pan trochę uważa, dobrze? – odezwała się. – Ta mała nie widzi, jeśli pan tego jeszcze nie dostrzegł.

Brian ją zignorował. Rozglądał się po grupce uchodźców.

– Gdzie pan Toomy?

– Kto? – spytał łysy mężczyzna, Warwick.

– Ten facet, który śpieszył się na spotkanie w Bostonie.

– Kogo to obchodzi? – odparł Gaffney. – Krzyżyk mu na drogę.

Ale Brian był zaniepokojony. Nie podobało mu się, że Toomy się odłączył i poszedł własną drogą. Nie wiedział dlaczego, ale zupełnie mu się to nie podobało. Zerknął na Nicka. Ten wzruszył ramionami i pokręcił głową.

– Nie zauważyłem, kiedy odszedł, chłopie. Byłem zajęty telefonami. Przykro mi.

– Toomy! – zawołał Brian. – Craig Toomy! Gdzie pan jest?!

Bez odpowiedzi. Trwała tylko ta dziwna, przytłaczająca cisza. I wtedy Laurel coś zauważyła, coś, co ją zmroziło. Brian przyłożył dłonie do ust i krzyknął w górę schodów. W tak wysokiej hali powinno roznosić się echo.

Ale go nie było.

Żadnego echa.

10

Podczas gdy pozostali byli zajęci na dole – dwoje nastolatków i ten stary pierdziel stali przy stanowisku wypożyczalni, a reszta patrzyła, jak angielski zbir sprawdza telefony – Craig Toomy cicho niczym mysz wdrapał się po nieczynnych schodach ruchomych. Dokładnie wiedział, dokąd się kierować; dokładnie wiedział, czego tam szukać.

Szedł żwawym krokiem przez dużą poczekalnię, kołysząc teczką na wysokości prawego kolana. Nie zwracał uwagi ani na puste siedzenia, ani na pusty bar Czerwony Baron. Na końcu sali

wisiała tablica nad wejściem do szerokiego, ciemnego korytarza. Widniały na niej napisy:

WYJŚCIE 5 PRZYLOTY MIĘDZYKRAJOWE
SKLEPY BEZCŁOWE
KONTROLA CELNA
OCHRONA LOTNISKA

Już prawie znalazł się na początku tego korytarza, gdy znowu zerknął przez szerokie okno na płytę lotniska... i zwolnił kroku. Podszedł do szyby i popatrzył na zewnątrz.

Nie widział tam niczego oprócz pustego betonu i nieruchomego nieba, mimo to otwierał oczy coraz szerzej, a do jego serca wkradał się strach.

Nadchodzą – powiedział mu nagle martwy głos. To był głos ojca, przemawiał z małego, udręczonego mauzoleum, które kryło się w mrocznym zakątku serca Craiga Toomy'ego.

– Nie – szepnął Craig i to słowo zakwitło kłębem pary na szkle tuż przed nim. – Nikt nie nadchodzi.

Byłeś niegrzeczny. Gorzej, byłeś leniwy.

– Nie!

Tak. Miałeś wyznaczone spotkanie, ale się wymigałeś. Uciekłeś. I to dokąd. Już nie mogłeś wybrać nic głupszego niż Bangor w Maine.

– To nie moja wina – wymamrotał Craig. Ścisnął rączkę teczki z niemal bolesną siłą. – Zabrali mnie wbrew woli. Oni... oni mnie zmusili!

Nie było odpowiedzi. Tylko fala dezaprobaty. Craig znowu wyczuwał ciężącą na nim presję, straszliwą, nieustanną presję, ciśnienie w głębinach. Wewnętrzny głos nie musiał mu mówić, że nie ma żadnych wymówek; Craig sam o tym wiedział. Wiedział od dawna.

ONE tu były... i wrócą. Wiesz o tym, prawda?

Wiedział. Langolierzy wrócą. Wrócą po niego. Wyczuwał je. Nigdy ich nie widział, ale wiedział, jakie będą straszliwe. Czy był w tej wiedzy osamotniony? Nie sądził.

Sądził, że może ta ślepa dziewczynka też coś wie o langolierach.

Ale to nie miało znaczenia. Liczyło się tylko dotarcie do Bostonu – zanim langolierzy przybędą do Bangor ze swej straszliwej, przeklętej nory, żeby pożreć Craiga żywcem, wrzeszczącego z bólu. Musi dotrzeć na spotkanie w Prudential Center, musi powiedzieć, co zrobił, a wtedy będzie...

Wolny.

Będzie wolny.

Oderwał się od okna, oderwał się od pustki i bezruchu, po czym dał nura w korytarz pod tablicą. Minął puste sklepy, nie oglądając się na nie. W końcu dotarł do drzwi, których szukał. Tuż nad wizjerem wisiała na nich nieduża prostokątna tabliczka. Napis brzmiał: OCHRONA LOTNISKA.

Musi dostać się do środka. W jakiś sposób musi się tam dostać.

To wszystko... całe to szaleństwo... nie musi mnie dotyczyć. Nie muszę mieć z nim nic wspólnego. Już nie.

Wyciągnął rękę i dotknął klamki biura ochrony lotniska. Pusty wyraz na jego twarzy zastąpiła czysta determinacja.

Żyłem w stresie długo, bardzo długo. Odkąd miałem siedem lat? Nie – myślę, że zaczęło się jeszcze wcześniej. Właściwie żyłem w stresie, odkąd pamiętam. To najnowsze szaleństwo to tylko kolejna odmiana. Zapewne jest tak, jak mówił ten człowiek w znoszonej sportowej marynarce: to jest próba. Agenci tajnej agencji rządowej albo groźnej obcej potęgi przeprowadzają próbę. Ale ja postanawiam nie uczestniczyć w kolejnych próbach. Nie obchodzi mnie, czy kieruje nimi mój ojciec, matka, dziekan wydziału zarządzania, czy rada nadzorcza Desert Sun Banking Corporation. Postanawiam nie uczestniczyć. Postanawiam uciec. Postanawiam dotrzeć do Bostonu i dokończyć to, co przedsięwziąłem, gdy przedstawiłem plan kupna argentyńskich obligacji. W przeciwnym razie...

Ale wiedział, co się stanie w przeciwnym razie.

Oszaleje.

Obrócił klamkę. Nie drgnęła, ale gdy ze złością lekko ją popchnął, drzwi się uchyliły. Albo ich nie domknięto, albo zamek otworzył się, kiedy wysiadł prąd i wyłączyły się systemy zabezpieczeń. Craigowi było to obojętne. Najważniejsze, że nie zniszczy sobie ubrania, usiłując przecisnąć się przez kanał wentylacyjny albo coś w tym stylu. Wciąż zamierzał stawić się na spotkaniu przed końcem dnia, więc nie chciał dotrzeć na nie umazany smarem. Jedną z prostych, bezwzględnych prawd życiowych brzmi: goście w brudnych garniturach nie są wiarygodni.

Craig pchnął drzwi i wszedł do środka.

11

Brian i Nick jako pierwsi weszli na szczyt schodów ruchomych. Pozostali zebrali się wokół nich. Znajdowała się tam główna poczekalnia lotniska w Bangor, duże pudło pełne plastikowych siedzeń (do niektórych podłokietników przymocowano telewizory na monety), zdominowane przez ścianę polaryzujących okien od podłogi po sufit. Tuż po lewej stronie znajdowały się kiosk oraz punkt kontrolny do wejścia numer 1; z kolei po prawej były bar Czerwony Baron i restauracja Siódme Niebo. Za restauracją zaczynał się korytarz, który prowadził do biura ochrony lotniska oraz części przylotów międzynarodowych.

– Chodźcie... – zaczął Nick, a Dina mu przerwała:

– Czekaście.

Odezwała się zdecydowanym, nagłym tonem i wszyscy spojrzeli na nią z zaciekawieniem.

Puściła rękę Laurel i uniosła obie dłonie. Zatknęła kciuki za uszy i rozłożyła palce niczym wachlarze. A potem po prostu stała, nieruchomo jak słup, w tej nietypowej i dość dziwnej pozie nasłuchiwania.

– Co... – zaczął Brian, a Dina powiedziała:

– Ćśś!

To był gwałtowny syk nieznośny sprzeciwu.

Odwróciła się lekko w lewo, zatrzymała, a potem obróciła w przeciwną stronę, aż wreszcie białe światło z okien padło wprost na nią, zmieniając jej i tak już bladą twarz w coś widmowego i niesamowitego. Zdjęła ciemne okulary. Jej oczy były duże, brązowe i nie do końca pozbawione wyrazu.

– Tam – powiedziała cichym, sennym głosem, a Laurel poczuła, że strach muska jej serce lodowatymi palcami. Nie była w tym osamotniona. Bethany przyciskała się do niej z jednej strony, a Don Gaffney przysunął się z drugiej. – Tam... czuję światło. Podobno to właśnie znaczy, że mogę odzyskać wzrok. Zawsze czuję światło. Jak ciepło w mojej głowie.

– Dino, co... – zaczął Brian.

Nick trącił go łokciem. Twarz miał ściągniętą, czoło – poznaczone zmarszczkami.

– Cicho bądź, chłopie.

– Światło jest... tam.

Dina powoli się oddaliła; dłonie wciąż trzymała rozłożone przy uszach, a łokcie skierowane do przodu, żeby wyczuć cokolwiek, co stanie na jej drodze. Szła w ten sposób, dopóki nie znalazła się może pół metra od okna. Wtedy powoli wyciągnęła rękę, aż palcami dotknęła szkła. Wyglądały jak czarne rozgwiazdy na tle białego nieba. Wydała z siebie cichy, żaloszny pomruk.

– Szyba też jest nie w porządku – powiedziała, wciąż sennym głosem.

– Dino... – zaczęła Laurel.

– Ćśś... – szepnęła dziewczynka, nie odwracając głowy. Stała przy oknie niczym małe dziecko, które czeka, aż ojciec wróci z pracy. – Coś słyszę!

Na dźwięk wyszeptanego zdania lęk, niewyrażony słowem, niewyrażony myślą, przemknął przez umysł Alberta Kaussnera. Chłopak poczuł ucisk na ramiona; spojrział w dół i stwierdził, że skrzyżował ręce na piersiach i mocno się obejmuje.

Brian nasłuchiwał ile sił. Słyszał własny oddech oraz oddechy pozostałych... ale nic oprócz tego. To tylko jej wyobraźnia,

pomyślał. Nic więcej.

A jednak się zastanawiał.

– Co takiego? – spytała Laurel z przejęciem. – Co słyszysz, Dino?

– Nie wiem – odparła dziewczynka, nie odwracając się od okna. – Coś bardzo cichego. Wydawało mi się, że słyszę to już po wyjściu z samolotu, ale stwierdziłam, że tylko mi się wydaje. A teraz słyszę to lepiej. Słyszę nawet przez szybę. Brzmi... trochę jak trzeszczenie płatków ryżowych zalanych mlekiem.

Brian spojrział na Nicka i zapytał cicho:

– Słyszysz coś?

– Ni cholery – odrzekł Anglik równie cicho. – Ale ona jest niewidoma. Wykorzystuje słuch na dwieście procent.

– Moim zdaniem to histeria – rzekł Brian. Szeptał, ustami niemalże dotykając ucha Nicka.

Dina odwróciła się od okna.

– „Słyszysz coś?” – powiedziała przedrzeźniająco. – „Ni cholery. Ale ona jest niewidoma. Wykorzystuje słuch na dwieście procent”. – Zamilkła, po czym dodała: – „Moim zdaniem to histeria”.

– Dino, o czym ty mówisz? – zapytała Laurel, zdeorientowana i wystraszona.

Nie usłyszała cichej rozmowy Briana z Nickiem, mimo że stała znacznie bliżej niż dziewczynka.

– Ich zapytaj – odparła Dina. Głos jej drżał. – Nie oszalałam! Jestem niewidoma, ale nie szalona!

– W porządku – rzucił wstrząśnięty Brian. – W porządku, Dino. – A potem zwrócił się do Laurel: – Rozmawiałem z Nickiem. Usłyszała nas. Usłyszała nas spod okna.

– Masz świetny słuch, skarbie – powiedziała Bethany.

– Słyszę to, co słyszę – odparła dziewczynka. – I słyszę coś na zewnątrz. Tam. – Wskazała palcem na wschód, przez szybę. Omiotła ich niewidzącym wzrokiem. – Coś złego. To okropny dźwięk, straszny dźwięk.

Don Gaffney odezwał się z wahaniem:

– Pomogłoby nam, panienko, gdybyś wiedziała, co to jest. Być może.

– Nie wiem – odrzekła Dina. – Ale wiem, że teraz jest bliżej. – Drżącą dłonią znów włożyła ciemne okulary. – Musimy stąd uciekać. I to szybko. Bo coś się tu zbliża. Coś złego, co brzmi jak płatki ryżowe.

– Dino – odezwał się Brian. – Samolot, którym przylecieliśmy, prawie nie ma paliwa.

– To go zatankujcie! – wrzasnęła dziewczynka piskliwie. – Coś się zbliża, nie rozumie pan? Zbliża się, a jeśli nie uciekniemy, zanim tu dotrze, to zginiemy! Wszyscy zginiemy!

Głos jej się łamał i zaczęła płakać. Nie była wróżką ani medium, tylko małą dziewczynką zmuszoną przeżywać strach w niemal zupełnej ciemności. Ruszyła ku nim chwiejnym krokiem, całkiem straciwszy panowanie nad sobą. Laurel złapała ją, zanim Dina wpadła na sznury wyznaczające drogę do punktu kontrolnego, i mocno przytuliła. Próbowwała uspokoić dziewczynkę, ale ostatnie słowa rozbrzmiewały echem w jej zagubionym, zszokowanym umyśle: *Jeśli nie uciekniemy, zanim tu dotrze, to zginiemy.*

Wszyscy zginiemy.

12

Craig Toomy usłyszał, jak gdzieś z tyłu smarkuła znowu zaczyna się drzeć, ale nie zwracał na nią uwagi. To, czego szukał, znalazł w trzeciej kolejnej szafce. Na drzwiczkach widniało wytłoczone na taśmie nazwisko MARKEY. Drugie śniadanie pana Markeya – długa kanapka wystająca z brązowej papierowej torby – leżało na górnej półce. Cywilne buty pana Markeya stały równo na dolnej. Między półkami na haku wisiały gładka biała koszula oraz pas z kaburą. Z kabury wystawała rękojeść służbowego rewolweru pana Markeya.

Craig odpiął zapięcie, a potem go wyciągnął. Nie znał się na broni – może to kaliber .32, może .38 albo i .45 – ale nie był głupi,

więc po chwili gmerania otworzył bębenek. Wszystkie sześć nabojów znajdowało się na swoim miejscu. Zatrzasnął bębenek i pokiwał głową, gdy usłyszał ciche pstryknięcie; następnie obejrzał uważnie okolice kurka i obie strony kolby. Szukał bezpiecznika, lecz nigdzie go nie znalazł. Oparł palec na spuście i napiął go, aż zobaczył, że kurek i bębenek drgnęły. Kiwnął głową z zadowoleniem.

Obrócił się i oto bez ostrzeżenia opanowało go najsilniejsze poczucie samotności, jakiego doświadczył w dorosłym życiu. Broń jakby nabrała ciężaru, a ręka, w której ją trzymał, opadła. Teraz Craig stał zgarbiony, w prawej dłoni dyndała jego teczka, a w lewej rewolwer ochroniarza. Na jego twarzy malował się wyraz skrajnego nieszczęścia. Naraz wróciło do niego wspomnienie czegoś, o czym nie myślał od lat: dwunastoletni Craig leżał w łóżku, cały drżał, a po jego twarzy ciekły gorące łzy. W drugim pokoju wieża stereo grała na cały regulator, a matka fałszywym, zapijaczonym głosem wtórowała Merrilee Rush: „Mów mi: aniele... poranka, skar-bie... dotknij policzka... nim odejdiesz, skar-bie...”.

Leżał w łóżku. Drżał. Płakał. Nie wydawał żadnego dźwięku. I myślał: Dlaczego nie możesz mnie kochać i dać mi spokoju, mamó? Dlaczego nie możesz po prostu mnie kochać i dać mi spokoju?

– Nie chcę nikomu zrobić krzywdy – mruknął Craig Toomy przez łzy. – Nie chcę, ale to... to nie do przyjęcia.

Po drugiej stronie pomieszczenia stał ciąg monitorów, wszystkie wygaszone. Przez chwilę, gdy na nie patrzył, próbowała do niego dotrzeć prawda o tym, co się stało, co wciąż się działo. Przez chwilę już prawie sforsowała skomplikowany system jego neurotycznych osłon i wdarła się do schronu przeciwlotniczego, gdzie toczył swe życie.

Wszyscy zniknęli, Craiguniu. Cały świat zniknął, zostałeś tylko ty i ci ludzie, którzy z tobą lecieli.

– Nie – jęknął i runął na jedno z krzesel wokół pokrytego laminatem kuchennego stołu, który stał pośrodku pomieszczenia.

– Nie, to nieprawda. To po prostu nieprawda. Odrzucam tę myśl. Odrzucam ją całkowicie.

Były tu langolierzy i jeszcze wrócą – powiedział ojciec. Zagłuszył głos matki, zawsze go zagłuszał. *Lepiej, żeby cię tu wtedy nie było... bo jak nie, to wiesz, co się stanie.*

Oczywiście, że wiedział. Zjedzą go. Langolierzy go zjedzą.

– Ale ja nie chcę nikomu zrobić krzywdy – powtórzył drętwym, zrozpaczonym głosem.

Na stole leżał grafik dyżurów odbity na powielaczu. Craig wypuścił teczkę i położył rewolwer na blacie. Potem wziął grafik, przez moment patrzył na niego niewidzącym wzrokiem, a później zaczął odrywać długi pasek od lewego brzegu.

Dr-rap.

Wkrótce był już jak zahipnotyzowany, a stos cieniutkich pasków – chyba tak cienkich jak nigdy – zaczął sfruwać na stół. Ale nawet wtedy zimny głos ojca nie całkiem go opuścił:

Bo jak nie, to wiesz, co się stanie.

ROZDZIAŁ 5

**Kartonik zapalek. Przygoda z kanapką z salami.
Kolejny przykład metody dedukcji.
Żyd z Arizony gra na skrzypcach.
Jedyny dźwięk w mieście.**

1

Lodowatą ciszę, która nastąpiła po przestrodze Diny, przerwał wreszcie Robert Jenkins.

– Mamy kilka problemów – oznajmił chłodnym tonem wykładowcy. – Jeśli Dina coś słyszy, a po tej niezwyklej demonstracji jestem skłonny w to uwierzyć, przydałoby się wiedzieć co. To jeden z problemów. Kolejnym jest brak paliwa w samolocie.

– Tam stoi boeing siedemset dwadzieścia siedem – powiedział Nick. – Podstawiony wprost pod rękaw. Brianie, umiesz pilotować ten model?

– Tak.

Nick spojrzał na Boba, rozłożył ręce i wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć: Proszę bardzo, jeden supeł rozplątany.

– Przyjmując, że wystartujemy, dokąd powinniśmy polecieć? – podjął Jenkins. – Oto problem numer trzy.

– Daleko – odparła natychmiast Dina. – Daleko od tego dźwięku. Musimy uciec od tego dźwięku i od tego, co go wydaje.

– Jak myślisz, ile mamy czasu? – spytał łagodnie Bob Jenkins. – Ile mamy czasu, zanim to coś tu dotrze, Dino? Czy umiesz to stwierdzić?

– Nie – odpowiedziała dziewczynka z bezpiecznego azylu ramion Laurel. – Chyba jest jeszcze daleko. Chyba jeszcze mamy czas. Ale...

– W takim razie sugeruję postąpić dokładnie tak, jak radził pan Warwick – rzekł Bob. – Chodźmy do restauracji, coś przegryziemy i ustalimy, co dalej. Jedzenie rzeczywiście korzystnie wpływa na to, co monsieur Poirot nazywa małymi szarymi komórkami.

– Nie możemy czekać – odezwała się płacząco Dina.

– Piętnaście minut – rzucił Bob. – Nie więcej. Nawet w twoim wieku powinnaś wiedzieć, że praktyczne działanie zawsze musi być poprzedzone praktycznym myśleniem.

Albert nagle zrozumiał, że autor kryminałów ma własne powody, żeby iść do restauracji. Małe szare komórki pana Jenkinsa działały prawidłowo – lub przynajmniej on w to wierzył – a po tym, jak w samolocie pisarz dokonał niepokojąco trafnej oceny sytuacji, Albert gotów był zaryzykować i mu zaufać. On chce nam coś pokazać albo coś udowodnić, pomyślał.

– Na pewno możemy poświęcić kwadrans – naciskał Bob.

– No... – odparła niechętnie Dina. – Chyba tak...

– Doskonale – rzekł Bob z werwą. – Zatem postanowione.

Ruszył przez salę w stronę restauracji, jakby uznał za oczywiste, że inni podążą za nim.

Brian i Nick wymienili spojrzenia.

– Lepiej za nim chodźmy – powiedział cicho Albert. – On zna się na rzeczy.

– Na jakiej rzeczy? – zapytał Brian.

– Właściwie nie wiem, ale może to być rzecz, o której warto się dowiedzieć.

Albert ruszył za pisarzem; Bethany za Albertem; pozostali poszli za nimi, a Laurel poprowadziła Dinę za rękę. Dziewczynka była bardzo blada.

2

Restauracja Siódme Niebo okazała się właściwie bufetem. Znajdowały się tam chłodnia z napojami i kanapkami, a także blat ze stali nierdzewnej biegnący wzdłuż długiego

podgrzewacza z przegródkami. Wszystkie przegródki były puste i nieskazitelnie czyste. Na grillu ani śladu tłuszczu. Szklanki – typowe, jak to w stołówkach, z grubymi, pofalowanymi ściankami – stały w równych piramidkach na półkach w głębi, a obok nich szeroki wybór jeszcze solidniejszych stołówkowych naczyń.

Robert Jenkins czekał przy kasie. Gdy nadeszli Albert i Bethany, zapytał:

– Mogę jeszcze jednego papierosa?

– Rany, ale z pana sęp! – odparła dziewczyna, mimo wszystko życzliwym tonem.

Wyjęła paczkę i wytrząsnęła jednego marlboro. Jenkins wziął papierosa, a gdy wyciągnęła również kartonik zapalek, dotknął jej dłoni.

– Skorzystam z tych, dobrze?

Przy kasie stała miska z kartonikami zapalek reklamującymi LaSalle Business School. Napis na kartce obok naczynia brzmiał: DLA NASZYCH PRZYJACIÓŁ BEZ OGNIA. Bob sięgnął po taki kartonik, otworzył go i wyjął tekturową zapalną.

– Jasne – powiedziała Bethany. – Ale dlaczego?

– Tego się zaraz dowiemy – odrzekł.

Zerknął na pozostałych. Przyglądali mu się, stojąc w półkolu – wszyscy oprócz Rudy’ego Warwicka, który zapuścił się w głąb bufetu i badał zawartość chłodni.

Bob potarł zapalną o draskę. Łebek zostawił na niej biały ślad, ale się nie zapalił. Pisarz spróbował po raz drugi, z tym samym efektem. Za trzecim razem tekturowa zapalną się zgięła. Zresztą większość palnej substancji i tak się już starła.

– No, no – mruknął Bob zupełnie bez zdziwienia. – Chyba są mokre. Weźmy zapalną ze spodu, dobrze? Te przecież muszą być suche.

Sięgnął na dno miski, wysypując przy tym na blat kilka kartoników z wierzchu. Albertowi wszystkie wydawały się zupełnie suche. Za jego plecami Nick i Brian znów wymienili spojrzenia.

Bob wyłowił inny kartonik zapalek, wyciągnął jedną i spróbował odpalić. Bez powodzenia.

– Jasny gwint – mruknął. – Wygląda na to, że napotkaliśmy kolejny problem. Mogę pożyczyć twoje zapalaki, Bethany?

Dziewczyna podała mu je bez słowa.

– Chwileczkę, brachu – odezwał się Nick powoli. – Co pan takiego wie?

– Tylko tyle, że konsekwencje naszej sytuacji są jeszcze szerzej zakrojone, niż sądziliśmy – odrzekł Bob. Oczy miał dość spokojne, ale twarz, w której były osadzone, wyglądała mizernie. – I wydaje mi się, że wszyscy popełniliśmy chyba jeden duży błąd. To zrozumiałe w takich okolicznościach... ale sądzę, że póki nie skorygujemy swego myślenia w tej kwestii, nie możemy oczekiwać postępów. Nazwałbym to błędną perspektywą.

Warwick właśnie do nich wracał. Wybrał sobie zapakowaną kanapkę oraz butelkę piwa. Te zdobycze wyraźnie go ucieszyły.

– Co jest grane, drodzy państwo?

– Nie mam pojęcia – odparł Brian. – Ale wcale mi się to nie podoba.

Bob Jenkins wyjął zapalarkę z kartonika Bethany i odpalił ją za pierwszym razem.

– Ach – westchnął, po czym zbliżył ogień do czubka papierosa.

Zapach dymu wydał się Brianowi bardzo ostry, bardzo słodki, i po chwili zrozumiał dlaczego: z wyjątkiem lekkiej woni płynu po goleniu Nicka oraz perfum Laurel był to jedyny zapach, który czuł. Gdy się nad tym zastanowił, uznał, że oprócz tego czuje jeszcze pot współpasażerów.

Bob nadal trzymał w dłoni płonąca zapalarkę. Odgiął wierzch kartonika wyjętego z miski, odsłaniając wszystkie łebki, a następnie zbliżył do nich ogień. Bardzo długo nic się nie działo. Przesuwał ogień tam i z powrotem, ale nie chciały się palić. Pozostali patrzyli zafascynowani.

Wreszcie rozległo się słabe „psss” i kilka zapalek na moment ożyło. Właściwie nie zapłonęły; jedynie zaświeciły się słabo, po

czym zgasły. Wzbiło się kilka smużek dymu... dymu zupełnie pozbawionego zapachu.

Bob powiódł wzrokiem po obecnych i uśmiechnął się ponuro.

– To i tak lepiej, niż myślałem – powiedział.

– No dobrze – rzekł Brian. – Proszę nam wyjaśnić. Wiem...

W tym właśnie momencie Rudy Warwick wrzasnął z obrzydzeniem. Dina pisnęła cicho i mocniej przytuliła się do Laurel.

Rudy przed chwilą rozpakował kanapkę – chyba z serem i salami – i ugryzł duży kawałek. Teraz wypluł go na podłogę i skrzywił się z odrazą.

– Zepsuta! – krzyknął. – O cholera! Obrzydlistwo!

– Zepsuta? – powtórzył Bob Jenkins. Oczy świeciły mu się jak dwie niebieskie elektryczne iskierki. – Och, wątpię. W dzisiejszych czasach przetworzone mięsa mają tyle konserwantów, że zaczynają się psuć dopiero po ośmiu godzinach leżenia na słońcu. A dzięki zegarom wiemy, że chłodnia nie ma prądu od niecałych pięciu godzin.

– Może to nie tak – odezwał się Albert. – Przecież sam pan mówił, że wydaje się, jakby było później, niż pokazują nasze zegarki.

– Owszem, ale nie sądzę... Panie Warwick, czy chłodnia była jeszcze zimna, kiedy ją pan otworzył?

– Zimna nie, ale chłodna – odrzekł Rudy. – W każdym razie kanapka jest zjebana. Za przeproszeniem drogich pań. Proszę. – Podetknął ją Jenkinsowi. – Jeżeli panu wydaje się dobra, to niech pan sam spróbuje.

Bob przyglądał się kanapce i chyba zbierał się na odwagę, a potem ugryzł z nienapoczętego końca mały kawałek. Albert widział, że przez jego twarz przemknął wyraz obrzydzenia, ale pisarz nie od razu pozbył się jedzenia. Przeżuł raz... drugi... a potem odwrócił się i odpluł w dłoń. Na wpół przeżuty kawałek wyrzucił do śmietnika pod półką z przyprawami, a następnie cisnął tam resztę kanapki.

– Nie zepsuta, tylko bez smaku – powiedział. – Ale to nie wszystko. Nie miała nawet konkretnej konsystencji. – Zdegustowany, skrzywił się podświadomie. – Mawiamy, że różne rzeczy są nijakie: niedoprawiony biały ryż, gotowane ziemniaki... Ale chyba nawet najbardziej nijakie jedzenie ma nieco smaku. Ta kanapka nie miała go w ogóle. Jakbym żuł papier. Nic dziwnego, że pomyślał pan, że jest zepsuta.

– Bo była – powtórzył łysy z uporem.

– Proszę spróbować piwa – zachęcił go Bob. – Nie powinno być zepsute. Ma kapsel, piwo w zakapslowanej butelce nie psuje się nawet niechłodzone.

Rudy spojrział z namysłem na butelkę budweisera, którą trzymał w ręku, a potem pokręcił głową i podał ją Bobowi.

– Już nie chcę – powiedział. Popatrzył na chłodnię. Wzrok miał zły, jakby podejrzewał Jenkinsa o to, że zrobił mu mało zabawny kawał.

– Wypiję, jeśli będę musiał – rzekł Bob. – Ale już raz poświęciłem swoje ciało dla nauki. Czy ktoś inny spróbuje tego piwa? Sądzę, że to bardzo ważne.

– Niech mi pan je da – odezwał się Nick.

– Nie. – To był Don Gaffney. – Ja je wezmę. Na Boga, przyda mi się łyk piwa. Pijałem już ciepłe, nie będę wybrzydzał.

Wziął butelkę, odkręcił kapsel i wychylił. Po chwili obrócił się i parsknął tym łykiem na podłogę.

– Jezu! – jęknął. – Zwietrzałe! Zwietrzałe jak diabli!

– Naprawdę? – spytał Bob pogodnie. – Dobrze! Świetnie! Coś, co wszyscy możemy zobaczyć!

Błyskawicznie obiegł ladę i zdjął z półki szklanę. Gaffney postawił butelkę obok kasy, więc gdy Bob Jenkins ją podniósł, Brian przyjrzał jej się uważnie. Na szyjce nie zostało ani trochę piany. Zupełnie jakby tam była woda, pomyślał.

Ale to, co nalał Bob, nie wyglądało jak woda; wyglądało jak piwo. Zwietrzałe piwo. Bez piany. Do szklanki przywarło kilka małych bąbelków, ale nie strzelały ku powierzchni.

– No dobrze – rzekł powoli Nick. – Zwietrzało. To się zdarza. W fabryce źle nałożą kapsel, więc gaz ucieka. Każdemu trafił się kiedyś zwietrzały browar.

– Ale jeśli dodać do tego kanapkę bez smaku, to już o czymś świadczy, czyż nie?

– Niby o czym? – prychnął Brian.

– O tym za chwilę. Najpierw zajmijmy się zastrzeżeniem pana Hopewella, dobrze? – Odwrócił się, oburącz chwycił parę szklanek (kilka kolejnych spadło z półki i roztrzaskało się o podłogę), po czym zaczął ustawiać je wzdłuż lady, zwinnie niczym barman. – Przynieście mi więcej piwa. I jeszcze jakieś napoje.

Albert i Bethany ruszyli do chłodni, skąd każde wybrało na chybił trafił cztery czy pięć butelek.

– Czy on zwariował? – zapytała cicho Bethany.

– Nie sądzę – odparł Albert. Mniej więcej wyobrażał sobie, co chce im zademonstrować pisarz, i nie podobała mu się ta wizja. – Pamiętasz, jak ci powiedział, żebyś oszczędzała zapalki? Wiedział, że stanie się coś takiego. Właśnie dlatego tak mu zależało na przyjeździe do restauracji. Chciał nam to pokazać.

3

Grafik dyżurów był podarty na czterdzieści wąskich pasków, a langolierzy się zbliżały.

Craig czuł ich nadejście w głębi umysłu – więcej ciężaru.

Więcej nieznośnego ciężaru.

Czas już iść.

Wziął broń i teczkę, wstał i wyszedł z pomieszczenia ochrony. Szedł powoli, ćwicząc po drodze: „Nie chcę was zastrzelić, ale zrobię to, jeśli będę musiał. Zabierzcie mnie do Bostonu. Nie chcę was zastrzelić, ale zrobię to, jeśli będę musiał. Zabierzcie mnie do Bostonu”.

– Zrobię to, jeśli będę musiał – mamrotał, wracając do poczekalni. – Zrobię to, jeśli będę musiał. – Jego palec znalazł

kurek rewolweru i go odciągnął.

W połowie drogi przez salę uwagę Craiga znowu przyciągnęło blade światło, które wpadało przez okna, więc obrócił się w tamtą stronę. Czuł, że tam są. Langolierzy. Zjadły wszystkich bezużytecznych, leniwych ludzi, a teraz wracały po niego. Musiał dostać się do Bostonu. To jedyny sposób, jaki znał, żeby uratować resztę siebie... bo śmierć zadana przez langolierzy byłaby straszliwa. Naprawdę straszliwa.

Powoli podszedł do okien, ignorując – przynajmniej chwilowo – odgłosy wydawane przez pozostałych pasażerów, dochodzące zza jego pleców.

4

Bob Jenkins nalał odrobinę zawartości każdej z butelek do oddzielnych szklanek. Wszystkie napoje były równie zwietrzałe jak to pierwsze piwo.

– Teraz jest pan przekonany? – zapytał Nicka.

– Tak – odpowiedział Anglik. – Jeśli pan wie, co tu się dzieje, to niech pan mówi. Proszę, niech pan gada.

– Mam pewien pomysł – rzekł Bob. – Nie jest on... Obawiam się, że nie jest szczególnie pokrzepiający, ale należę do ludzi, którzy uważają, że na dłuższą metę wiedza zawsze jest lepsza, bezpieczniejsza od niewiedzy, nawet jeśli zrozumienie pewnych faktów w pierwszej chwili wywołuje przerażenie. Czy brzmi to sensownie?

– Nie – odparł natychmiast Gaffney.

Bob wzruszył ramionami z lekkim gorzkim uśmiechem.

– Tak czy owak, podtrzymuję swoje zdanie. A zanim powiem coś jeszcze, proszę, aby wszyscy rozejrzeli się i powiedzieli mi, co widzą.

Pasażerowie zaczęli patrzeć wkoło, tak mocno koncentrując się na stołach i krzesłach, że nikt nie zauważył Craiga Toomy'ego, który stał na drugim końcu poczekalni, plecami do nich, i wyglądał na płytę lotniska.

– Nic – odezwała się wreszcie Laurel. – Przykro mi, ale nic nie widzę. Widocznie pan ma lepszy wzrok niż ja.

– Bynajmniej. Widzę to samo, co pani: nic. A przecież lotniska są otwarte przez całą dobę. To coś, to Zdarzenie, nastąpiło zapewne w najspokojniejszej chwili dwudziestoczworgodzinnego cyklu, ale i tak trudno mi uwierzyć, że nie było tu co najmniej kilku osób pijących kawę i być może jedzących wczesne śniadanie. Ludzi z obsługi naziemnej. Personelu lotniczego. Garstki przesiadkowiczów, którzy postanowili zaoszczędzić parę groszy, spędzając czas między północą a szóstą rano w terminalu zamiast w pobliskim motelu. Gdy tylko zszedłem z taśmociągu, czułem się zupełnie dezorientowany. Dlaczego? Bo lotniska nigdy nie bywają całkowicie puste, tak samo jak komisariaty policji czy posterunki straży pożarnej. A teraz rozejrzyjcie się ponownie i zadajcie sobie pytanie: gdzie są niedojedzone posiłki, gdzie niedopite napoje? Pamiętacie wózek w samolocie z brudnymi naczyniami na dolnej półce? Pamiętacie nadgryzione ciastko i napoczętą kawę obok fotela pilota? Tu nic takiego nie ma. Gdzie jakikolwiek ślad, że kiedy nastąpiło Zdarzenie, w ogóle ktoś tu był?

Albert znów się rozejrzał, a potem powiedział powoli:

– Nie ma fajki na pokładzie dziobowym, prawda?

Bob przyjrzał mu się uważnie.

– Co takiego? Co powiedziałeś, Albercie?

– W samolocie myślałem o statku, o którym kiedyś czytałem – rzekł wolno chłopak. – Nazywał się *Mary Celeste* i ktoś zauważył go, jak płynął przed siebie bez celu. No... właściwie to nie do końca płynął, bo w książce napisali, że statek był pod pełnymi żaglami, ale ci, którzy go odnaleźli, po wejściu na pokład odkryli, że wszyscy ludzie zniknęli. Pozostały jednak ich rzeczy, na kuchence gotowało się jedzenie. Na pokładzie dziobowym ktoś nawet znalazł fajkę. Ciągle się paliła.

– Brawo! – zawołał Bob niemal gorączkowo.

Teraz wszyscy patrzyli na niego i dlatego nikt nie zobaczył Craiga Toomy'ego, który zbliżał się ku nim powoli. Rewolwer

znaleziony w biurze nie był już wycelowany w podłogę.

– Brawo, Albercie! Trafiłeś w sedno! Historia zna też inne słynne zniknięcie: całej kolonii osadników na wyspie Roanoke... chyba u wybrzeży Karoliny Północnej. Wszyscy wyparowali, ale zostawili ślady ognisk, zagracone domy, odpady. A teraz, Albercie, pójdź krok dalej. Czym jeszcze różni się to miejsce od naszego samolotu?

Przez moment twarz Alberta była zupełnie bez wyrazu, a potem w jego oczach błysnęło zrozumienie.

– Pierścionki! – zawołał. – Torebki! Portfele! Pieniądze! Gwoździe chirurgiczne! Tu nie ma takich rzeczy!

– Zgadza się – powiedział cicho Bob. – Zgadza się w stu procentach. Jak mówisz, nie ma tu takich rzeczy. Były natomiast w samolocie, gdy zbudziliśmy się my, ocalali, prawda? W kokpicie znaleźliśmy nawet kawę i niedojedzone ciastko. Czyli odpowiednik dymiącej fajki z pokładu dziobowego.

– Pan myśli, że wlecieliśmy w inny wymiar, prawda? – zapytał Albert. Jego głos był pełen lęku. – Jak w opowiadaniach science fiction.

Dina przechyliła głowę na bok i przez moment uderzająco przypominała Nipperę, psa ze starych etykiet wytwórni płytowej RCA Victor.

– Nie – odrzekł Bob. – Myślę...

– Uważajcie! – krzyknęła gwałtownie Dina. – Coś sły...

Ale było za późno. Odkąd Craig Toomy przewyciężył obezwładniający go paraliż, poruszał się szybko. Nick i Brian ledwie zdążyli się odwrócić, gdy chwycił Bethany ramieniem za gardło i pociągnął ją do tyłu. Wycelował rewolwer w jej skroń. Dziewczyna jęknęła z przerażeniem.

– Nie chcę jej zastrzelić, ale zrobię to, jeśli będę musiał – wydyszał Craig. – Zabierzcie mnie do Bostonu. – Jego oczy nie były już puste; rzucały na wszystkie strony spojrzenia pełne przerażenia i paranoicznej inteligencji. – Słyszycie? Zabierzcie mnie do Bostonu!

Brian ruszył w jego stronę, ale Nick, nie odrywając wzroku od Craiga, położył mu dłoń na piersi.

– Spokojnie, chłopie – powiedział cicho. – Nie byłoby to bezpieczne. Nasz przyjaciel jest nieźle zbzikowany.

Bethany wiała się skrępowana przez Craiga.

– Pan mnie dusi! Niech pan przestanie!

– O co chodzi? – jęknęła Dina. – Co się dzieje?

– Uspokój się! – wrzasnął Craig do Bethany. – Przestań się wiercić! Bo zmusisz mnie, żebym zrobił coś, czego nie chcę zrobić!

Przytknął rewolwer do jej skroni. Dziewczyna wciąż się szarpała i nagle Albert zrozumiał, że ona wcale nie wie, że ten człowiek ma broń – nie wie, chociaż tamten przyciska jej lufę do głowy.

– Uspokój się, dziewczyno! – rzucił Nick. – Przestań się opierać!

Albert po raz pierwszy w życiu nie tylko zaczął myśleć na jawie jak Żyd z Arizony, ale poczuł, że musi działać jak ta legendarna postać. Nie spuszczać oczu z szaleńca w swetrze z okrągłym wycięciem, powoli podniósł futerał skrzypiec. Złapał oburącz jego węższą część. Toomy na niego nie patrzył; przeskakiwał wzrokiem od Briana do Nicka, a ręce miał pełne – i to całkiem dosłownie – Bethany.

– Nie chcę jej zastrzelić... – znów zaczął mówić, a potem jego ramię przesunęło się w górę, bo dziewczyna szarpnęła się i uderzyła go pośladkiem w krocze. Korzystając z okazji, natychmiast wbiła mu zęby w nadgarstek. – Au! – wrzasnął. – Auuu!

Jego uchwyt zelżał i Bethany mu się wyślizgnęła. Albert skoczył naprzód i uniósł futerał, kiedy Craig wycelował w dziewczynę. Twarz mężczyzny była wykrzywiona z bólu i gniewu.

– Albert, nie! – wrzasnął Nick.

Craig Toomy zobaczył zbliżającego się Alberta i obrócił ku niemu broń. Przez moment chłopak patrzył prosto w lufę i było

zupełnie inaczej niż w jego snach i fantazjach. Zaglądać w lufę to jak zaglądać do otwartego grobu.

Możliwe, że popełniłem błąd, pomyślał, a potem Craig pociągnął za spust.

5

Zamiast eksplozji rozległo się ciche pyknięcie – jak w starej wiatrówce, nic więcej. Albert poczuł, że coś uderzyło go w pierś okrytą T-shirtem z Hard Rock Cafe, zdążył zrozumieć, że został trafiony, a potem spuścił futerał na głowę Craiga. Solidne grzmotnięcie przebiegło mu aż po ramionach, a w umyśle nagle odezwał się oburzony głos ojca: *Co to ma być, Albercie? Tak się nie postępuje z drogim instrumentem muzycznym!*

Wewnątrz futerału skrzypce podskoczyły, wydając z siebie zdziwione brzdęknięcie. Jeden z mosiężnych zatrzasków zarył w czole Toomy'ego, krew trysnęła niesamowitą fontanną. Pod mężczyzną ugięły się kolana i runął przed Albertem z prędkością windy ekspresowej. Chłopak zobaczył, jak oczy zapadają mu się w głąb czaszki, a potem Craig Toomy leżał u jego stóp nieprzytomny.

Na moment głowę Alberta wypełniła szalona, ale cudowna myśl: Na Boga, nigdy w życiu nie grałem lepiej! A potem zorientował się, że nie jest w stanie zaczerpnąć oddechu. Odwrócił się do pozostałych i kąciki ust uniosły mu się w bladym, trochę zmieszanym uśmiechu.

– Chyba mnie kropnęli – powiedział Ace Kaussner, a później cały świat poszarzał i pod nim również ugięły się kolana.

Padł na podłogę na futerał ze skrzypcami.

6

Był nieprzytomny przez niecałe pół minuty. Kiedy się ocknął, Brian z zaniepokojoną miną klepał go lekko po policzkach. Obok

klęczała Bethany i patrzyła na Alberta lśnjącymi oczami, które mówiły: „Mój bohaterze!”. Za nią Dina Bellman nadal płakała w ramionach Laurel. Albert spojrział na Bethany i poczuł, że jego serce – najwyraźniej wciąż całe – pęcznieje.

– Żyd z Arizony znowu w siodle – wymamrotał.

– Co takiego, Albercie? – zapytała dziewczyna, głaszcząc jego policzek.

Jej dłoń była cudownie miękka, cudownie chłodna. Albert stwierdził, że się zakochał.

– Nic – odpowiedział, a potem Brian znowu klepnął go w twarz.

– Nic ci nie jest, młody? – spytał. – Nic ci nie jest?

– Chyba nie – odparł Albert. – Może pan przestać? I mam na imię Albert. Dla przyjaciół Ace. Bardzo jestem ranny? Jeszcze nic nie czuję. Udało się zatamować krwawienie?

Nick Hopewell przykucnął obok Bethany. Na twarzy miał skonsternowany uśmiech niedowierzania.

– Chyba będziesz żył, brachu. Jeszcze nigdy czegoś takiego nie widziałem... a widziałem sporo. Wy, Amerykanie, jesteście tak niemądrzy, że nie da się was nie kochać. Wyciągnij rękę, dam ci coś na pamiątkę.

Albert wyciągnął dłoń, nie mogąc opanować drżenia, a Nick coś do niej włożył. Chłopak uniósł przedmiot do oczu i zobaczył, że to pocisk.

– Wziąłem go z podłogi – wyjaśnił Nick. – Nawet nie jest zniekształcony. Musiał cię trafić prosto w tors, bo masz ślad prochu na koszulce, a potem się odbił. Niewypał. Widocznie Bóg cię lubi, chłopie.

– Myślałem o zapalkach – powiedział Albert słabym głosem. – Wydawało mi się, że może rewolwer w ogóle nie wypali.

– Postąpiłeś bardzo odważnie i bardzo niemądrze, mój chłopcze – odezwał się Bob Jenkins. Jego twarz była trupio blada, jakby sam zaraz miał zemdleć. – Nigdy nie wierz pisarzom. Słuchaj ich, oczywiście, ale nigdy im nie wierz. Mój Boże, a gdybym się mylił?

– Niewiele brakowało – rzucił Brian i pomógł chłopcu wstać. – Zupełnie jak wtedy, kiedy przypalił pan inne zapalki, te z miski. Impetu starczyło na wypchnięcie pocisku z lufy. Trochę więcej energii i Albert miałby kulę w płucu.

Chłopak znów dostał zawrotów głowy. Zachwiał się na nogach, a wtedy Bethany natychmiast objęła go ramieniem wokół pasa.

– Moim zdaniem to było bardzo odważne – powiedziała, patrząc na niego wzrokiem pełnym wiary, że Ace Kaussner sra diamentami z platynowej dupy. – Po prostu niesamowite.

– Dzięki – odrzekł Ace z opanowanym (choć ociupinkę zamroczonym) uśmiechem. – Nic takiego.

Najszybszy izraelita na zachód od Missisipi zdawał sobie sprawę z tego, że przywiera do niego niebagatelna ilość dziewczęcego ciała, a jego posiadaczka pachnie tak ładnie, że aż trudno wytrzymać. Nagle sam poczuł się świetnie. Tak dobrze, że chyba nigdy w życiu nie czuł się lepiej. Potem przypomniał sobie o skrzypcach, więc schylił się po futerał. W ścianie zrobiło się głębokie wgniecenie, a jeden z zatrzasków się otworzył. Były na nim włosy oraz krew i Albert poczuł, że coś powoli przewraca mu się w żołądku. Otworzył futerał, by zajrzeć do środka. Instrument chyba był cały. Chłopak cicho westchnął.

Potem pomyślał o Craigu Toomym i wtedy ulgę zastąpił niepokój.

– Słuchajcie, chyba gościa nie zabiłem, prawda? Nieźle go zdzieliłem.

Spojrzał w stronę Craiga, który leżał przy drzwiach restauracji. Obok niego klęczał Don Gaffney. Albert nagle poczuł, że zaraz znów zemdleje. Na twarzy i czole Toomy'ego było mnóstwo krwi.

– Żyje – powiedział Don. – Ale jest kompletnie nieprzytomny.

Albert, który w swoich snach odstrzelił więcej twardzieli niż Clint Eastwood, poczuł, że zbiera mu się na wymioty.

– Jezu, ile krwi!

– To nic nie znaczy – uspokoił go Nick. – Rany głowy zwykle mocno krwawią. – Dołączył do Dona, chwycił nadgarstek Craiga i sprawdził puls. – Nie zapominaj, że on przystawił lufę do głowy tej dziewczyny, brachu. Gdyby strzelił z tej odległości, mógłby ją załatwić. Pamiętasz tego aktora, który parę lat temu zabił się ślepakiem? Pan Toomy sam to sobie zgotował. Nie przejmuj się tak. – Puścił rękę Craiga i wstał. – A poza tym – dodał, wyciągając sporą garść papierowych serwetek z dozownika na jednym ze stołów – puls ma mocny i równy. Sądzę, że ocknie się za parę minut i tylko łeb go będzie bolał. Sądzę również, że z myślą o tej radosnej chwili warto przedsięwziąć pewne środki ostrożności. Panie Gaffney, wygląda na to, że stoły w tej tam speluncie o dziwo wyposażono w obrusy. Przyniesie pan parę? Chyba dobrze by było związać ręce panu Zabierzcie Mnie do Bostonu.

– Czy to naprawdę konieczne? – zapytała cicho Laurel. – Przecież ten człowiek jest nieprzytomny i krwawi.

Nick przycisnął prowizoryczny opatrunek z serwetek do rany Craiga Toomy’ego i podniósł wzrok na kobietę.

– Laurel, prawda?

– Tak.

– No więc, Laurel, nie owijajmy w bawełnę. Facet jest szalony. Nie mam pojęcia, czy to ta nasza przygoda tak na niego wpłynęła, czy sam taki wyrósł jak Topsy z *Chaty wuja Toma*, wiem natomiast, że jest niebezpieczny. Zamiast Bethany złapałby Dinę, gdyby tylko była bliżej. Jeśli go nie zwiążemy, następnym razem może tak właśnie robi.

Craig jęknął i słabo pomachał rękami. Bob Jenkins odsunął się od niego, gdy tylko ranny zaczął się ruszać, chociaż rewolwer był teraz bezpiecznie zatknięty za pasek spodni Briana Engle’a. Laurel zrobiła to samo, ciągnąc za sobą Dinę.

– Czy ktoś zginął? – zapytała nerwowo dziewczynka. – Nikt nie zginął, prawda?

– Nie, kochanie.

– Powinam była usłyszeć go wcześniej, ale słuchałam tego pana, który brzmi jak nauczyciel.

– Nie martw się, Dino – powiedziała Laurel. – Ostatecznie wszystko jest w porządku. – Spojrzała na pusty terminal i jej własne słowa nabrały szyderczego wydźwięku. Tutaj nic nie było w porządku. Absolutnie nic.

Don wrócił z obrusami w czerwono-białą kratę, po jednym w każdej dłoni.

– Doskonale – rzekł Nick.

Wziął jeden z nich i szybko, wprawnie ukręcił z niego sznur. Przygryzł go pośrodku, żeby się nie rozwinął, a potem przewrócił Craiga na drugą stronę, jakby ten był omletem.

Craig krzyknął i zamrugął.

– Czy pan musi być taki brutalny? – zapytała ostro Laurel.

Kiedy Nick na nią spojrzał, natychmiast spuściła wzrok. Nie mogła się powstrzymać przed porównaniem oczu Nicka Hopewella z tymi na fotografiach, które przysyłał jej Darren Crosby. Z szeroko osadzonymi, jasnymi oczami w przystojnej – choć niewyróżniającej się – twarzy. Ale i same oczy raczej się nie wyróżniały, nieprawdaż? I czyż oczy Darrena nie miały pewnego, może wręcz dużego wpływu na to, że w ogóle zdecydowała się na tę podróż? Czyż, baczenie im się przyjrzawszy, nie uznała, że są to oczy mężczyzny, który umie się zachować? Mężczyzny, który wycofa się, gdy usłyszy, że ma się wycofać?

Wchodziła na pokład samolotu American Pride, lot numer 29, mówiąc sobie, że to jej wielka przygoda, jej ekstrawaganckie tango z romantyczną miłością – że pod wpływem impulsu jedzie przez cały kontynent, by rzucić się w ramiona nieznajomego bruneta. Czasem jednak człowiek znajduje się w kłopotliwym położeniu, w którym nie sposób dłużej unikać prawdy, i Laurel czuła, że wygląda ona następująco: wybrała Darrena Crosby'ego, ponieważ jego zdjęcia i listy wskazywały na to, że niewiele się różni od łagodnych chłopców i mężczyzn, z którymi spotykała się, odkąd skończyła mniej więcej piętnaście lat, chłopców i mężczyzn, którzy szybko uczyli się wycierać buty w wycieraczkę, gdy przychodzili w deszczowy wieczór, chłopców i mężczyzn, którzy nieproszeni sami chwyтали ścierkę, żeby

pomóc w zmywaniu, chłopców i mężczyzn, którzy cię puszcza, jeśli tylko każesz im to zrobić dostatecznie ostrym tonem.

Czy znalazłaby się tej nocy na pokładzie samolotu American Pride, gdyby zdjęcia zamiast ciemnoniebieskich oczu Darrena przedstawiały łagodne oczy Nicka Hopewella? Wątpliwe. Przypuszczała, że wysłałaby mu uprzejmą, lecz dosyć chłodną wiadomość – „Szanowny Panie, dziękuję za odpowiedź oraz zdjęcie, ale coś mi mówi, że nie bylibyśmy dla siebie właściwi” – a potem dalej szukałaby mężczyzny takiego jak Darren. Poza wszystkim innym oczywiście wątpiła, żeby mężczyźni w typie pana Hopewella w ogóle czytali czasopisma dla samotnych, nie wspominając o umieszczaniu tam ogłoszeń. Niemniej jednak oto była z nim teraz, w tej dziwnej sytuacji.

Cóż... chciała przeżyć przygodę, tylko jedną przygodę, zanim wiek średni zacznie się na dobre. Czy nie tak? Owszem. Zatem właśnie udowadniała, że Tolkien miał rację – wczoraj wieczorem wyszła z domu tak jak zawsze i proszę bardzo, gdzie wylądowała: w dziwnej, posępnej wersji Fantasylandu. Ale to rzeczywiście przygoda. Awaryjne lądowania... opustoszałe lotniska... szalenciec z rewolwerem. Przygoda, bez dwóch zdań. Naraz w głowie Laurel pojawiła się myśl, którą przeczytała przed laty: „Uważaj, o co się modlisz, bo może się spełnić”.

Jakież to prawdziwe.

I jakże mieszało w głowie.

Natomiast w oczach Nicka Hopewella nie było zmieszania... ale nie było także litości. Laurel drżała na ich widok i nie miało to w sobie nic romantycznego.

Jesteś pewna? – szepnął głos, ale natychmiast go stłumiła.

Nick wyszarpnął dłonie Craiga spod ciała i złączył mu nadgarstki na plecach. Craig znowu jęknął, tym razem głośniej, i zaczął się lekko szarpać.

– Spokojnie, mój drogi kolego – powiedział Nick łagodnie. Sznurem z obrusa dwukrotnie owinął mu dół przedramion i mocno je zawiązał. Craig poruszył łokciami i wydał z siebie dziwny słaby okrzyk. – Gotowe! – oznajmił Nick, wstając. –

Obwiązany elegancko jak indyk na Boże Narodzenie. Mamy nawet zapasowy obrus, gdyby ten słabo trzymał. – Przysiadł na skraju jednego ze stołów i spojrzał na Boba Jenkinsa. – No dobrze, więc co pan mówił, gdy panu tak bezczelnie przerwano?

Pisarz spojrzał na niego z otępieniem i niedowierzaniem.

– Słucham?

– Proszę mówić dalej – zachęcił Nick. Można by pomyśleć, że to zaciekawiony słuchacz na wykładzie, a nie mężczyzna siedzący na stole na opustoszałym lotnisku i opierający nogi tuż obok związanego człowieka, który leży w kałuży własnej krwi. – Właśnie dotarliśmy do porównania naszego samolotu do *Mary Celeste*. Ciekawa myśl, swoją drogą.

– I mam po prostu... mówić dalej? – spytał Bob oszołomiony. – Jak gdyby nigdy nic?

– Dajcie mi wstać! – krzyknął Craig. Jego słowa częściowo tłumiała gruba wykładzina dywanowa na podłodze restauracji, ale i tak brzmiał nader żywo jak na człowieka pięć minut wcześniej ogłuszonego futerałem skrzypiec. – Natychmiast dajcie mi wstać! Domagam się, żeby...

Wtedy Nick zrobił coś, co zszokowało wszystkich, nawet tych, którzy wcześniej widzieli, że wykręcił Craigowi nos niczym kurek od wanny. Kopnął leżącego mężczyznę w żebra. W ostatniej chwili osłabił impet nogi... ale tylko trochę. Craig stęknął boleśnie, a potem się zamknął.

– Jeszcze raz zaczniesz, chłopie, to ci te żebra połamię – zagroził Anglik ponuro. – Wyczerpałeś moją cierpliwość.

– Halo! – zawołał oszołomiony Gaffney. – Dlaczego pan to...

– Posłuchaj pan! – Nick rozejrzał się. Po raz pierwszy zniknęła taktowna fasada; w jego głosie wibrowały gniew i niepokój. – Potrzebna wam pobudka, chłopcy i dziewczęta, a ja nie mam czasu, żeby to robić delikatnie. Ta dziewczynka, Dina, mówi, że jesteśmy tu w niebezpieczeństwie, i ja jej wierzę. Mówi, że coś słyszy, coś, co chyba się zbliża, i w to również wierzę. Ja sam głównie słyszę, ale nerwy mi skaczą jak tłuszcz na gorącej blasze, a nie przywykłem tego lekceważyć. Sądzę, że rzeczywiście coś się

zbliża, i wątpię, że będzie nam chciało sprzedać szczotki do odkurzacza lub ubezpieczenie na życie. Więc teraz albo będziemy się patyczkować z tym świrem, albo spróbujemy zrozumieć, co nas spotkało. To zrozumienie niekoniecznie uratuje nam życie, ale jestem coraz bardziej przekonany, że jego brak może je bardzo szybko zakończyć. – Skierował wzrok na dziewczynkę. – Powiedz, że się mylę, Dino, jeżeli tak uważasz. Posłucham cię, i to z chęcią.

– Nie chcę, żeby zrobił pan krzywdę panu Toomy’emu, ale myślę, że ma pan rację – przyznała Dina cichym, drżącym głosem.

– W porządku – odrzekł Nick. – Zgoda. Bardzo się postaram już więcej nie robić mu krzywdy... ale niczego nie obiecuję. Zaczniemy od czegoś bardzo prostego. Ten facet, którego związałem...

– Toomy – wtrącił Brian. – Nazywa się Craig Toomy.

– Dobrze. Pan Toomy jest szalony. Może jeśli wrócimy do normalności albo znajdziemy to miejsce, do którego udali się wszyscy ludzie, zdołamy zapewnić mu pomoc. Ale chwilowo możemy mu pomóc wyłącznie przez unieszkodliwienie go, co właśnie zrobiłem przy znaczącej, acz lekkomyślnej pomocy Alberta. Czy ktoś z państwa jest innego zdania?

Nikt nie odpowiedział. Reszta pasażerów boeinga patrzyła na Nicka z niepokojem.

– W porządku – rzucił Anglik. – Panie Jenkins, niech pan mówi dalej.

– Ja... nie przywykłem do... – Bob wyraźnie starał się pozbierać. – W książkach zabiłem pewnie dość osób, żeby zapęłnić wszystkie miejsca w naszym samolocie, ale to, co się właśnie wydarzyło, to pierwszy akt przemocy, jaki widziałem na własne oczy. Przepraszam, jeśli... no... źle się zachowałem.

– Uważam, że świetnie pan sobie radzi – powiedziała Dina. – I lubię pana słuchać. Lepiej się wtedy czuję.

Bob popatrzył na nią z wdzięcznością i uśmiechnął się.

– Dziękuję, Dino. – Włożył ręce do kieszeni, rzucił stroskane spojrzenie na Craiga Toomy’ego, a potem powiódł wzrokiem w głąb pustej poczekalni. – Chyba wspomniałem już o podstawowym błędzie w naszym rozumowaniu – powiedział w końcu. – Oto on: myśląc o skali Zdarzenia, wszyscy założyliśmy, że coś się stało z resztą świata. To zrozumiałe założenie, zważywszy, że nam nic się nie stało, podczas gdy inni ludzie, w tym reszta pasażerów, z którymi wsiedliśmy do samolotu w Los Angeles, najwyraźniej zniknęli. Ale dowody, które mamy przed sobą, nie potwierdzają tego przypuszczenia. To, co się stało, spotkało nas i tylko nas. Jestem pewien, że znany nam świat trwa sobie dalej w najlepsze. To my, brakujący pasażerowie, jedenaścioro ocalałych z lotu numer dwadzieścia dziewięć, zaginęliśmy.

7

– Może jestem głupi, ale nie rozumiem, do czego pan zmierza – odezwał się po chwili Rudy Warwick.

– Ja też nie – przyznała Laurel.

– Wspomnieliśmy o dwóch słynnych zniknięciach – powiedział cicho Bob. Teraz chyba słuchał go nawet Craig Toomy... a przynajmniej przestał się szarpać. – Do jednego, w przypadku *Mary Celeste*, doszło na morzu. Do drugiego w kolonii Roanoke, blisko morza. Przychodzą mi do głowy jeszcze dwa takie zdarzenia związane z samolotami: zniknięcie pilotki Amelii Earhart nad Oceanem Spokojnym oraz kilku samolotów marynarki wojennej nad odcinkiem Atlantyku znanym jako Trójkąt Bermudzki. To było chyba w czterdziestym piątym albo szóstym roku. Odebrano zniekształconą transmisję od pilota głównej jednostki i natychmiast wysłano samoloty ratunkowe z bazy na Florydzie, ale nigdy nie odnaleziono ani maszyn, ani ich załóg.

– Słyszałem o tym przypadku – odezwał się Nick. – Chyba właśnie stąd wzięła się zła sława Trójkąta.

– Nie, tam zagięło mnóstwo innych statków i samolotów – wtrącił Albert. – Czytałem na ten temat książkę Charlesa Berlitz. Bardzo interesującą. – Rozejrzył się. – Tylko nie myślałem, że sam zostanę jednym z jej bohaterów, jeśli wiecie, co mam na myśli.

– Nie wiem, czy nad terenem Stanów Zjednoczonych kiedykolwiek zniknął samolot – rzekł Jenkins. – Ale...

– W przypadku małych maszyn zdarzało się to wielokrotnie – oznajmił Brian. – A raz, mniej więcej trzydzieści pięć lat temu, zniknął samolot pasażerski z ponad setką ludzi na pokładzie. W pięćdziesiątym piątym czy szóstym. Należał do linii TWA albo Monarch, nie pamiętam. Leciał do Denver z San Francisco. Pilot nawiązał kontakt z wieżą w Reno, absolutnie rutynowy, a potem słuch po nim zagiął. Oczywiście przeprowadzono poszukiwania, ale... nic. – Brian widział, że wszyscy patrzą na niego ze swoistą straszliwą fascynacją, i zaśmiał się nieswojo. – Lotnicze opowieści o duchach – mruknął z nutą skruchy w głosie. – Brzmi jak podpis pod rysunkiem Gary’ego Larsona.

– Założę się, że wszyscy oni przelecieli na drugą stronę – mruknął Bob. Znow zaczął drapać się w policzek. Wydawał się wstrząśnięty, niemal przerażony. – Chyba że znaleziono ciała...?

– Proszę, niech pan nam powie, co pan wie albo czego się pan domyśla – odezwała się Laurel. – Skutki tego... tego czegoś... naprawdę dają się człowiekowi we znaki. Jeżeli prędko nie usłyszę jakichś odpowiedzi, to możecie mnie związać i położyć obok pana Toomy’ego.

– Nie schlebiaj sobie – powiedział Craig wyraźnie, acz dość niejasno.

Bob zaszczycił go jeszcze jednym niespokojnym spojrzeniem, a potem chyba pozbierał myśli.

– Tu nie ma bałaganu, a w samolocie owszem. Tu nie ma prądu, a w samolocie jest. Naturalnie to niczego nie przesądza, bo samolot ma własne niezależne źródło energii, podczas gdy tutaj prąd płynie z jakiejś elektrowni. Ale pomyślmy o zapałkach. Bethany leciała samolotem i jej zapałki są w porządku. Natomiast te z miski nie chciały się zapalić. Rewolwer, który wziął pan

Toomy, jak mniemam z biura ochrony lotniska, ledwie wypalił. Domyślam się, że gdybyśmy przetestowali latarkę na baterię, okazałoby się, że również nie działa. A nawet jeśli tak, to bardzo krótko.

– Ma pan rację – przyznał Nick. – I wcale nie musimy szukać latarki, żeby potwierdzić tę teorię. – Wskazał w górę. Na ścianie za kuchennym grillem znajdowała się lampa awaryjna. Nie paliła się, podobnie jak światła na suficie. – Zasilana z akumulatora. Kiedy wysiada prąd, uruchamia ją światłoczuły przekaźnik. Jest tu dostatecznie ciemno, żeby to nastąpiło, ale tak się nie stało. Co oznacza, że albo zawiódł obwód przekaźnika, albo akumulator zdechł.

– Przypuszczam, że jedno i drugie – rzekł Bob Jenkins. Powoli podszedł do drzwi restauracji i wyjrzał na zewnątrz. – Znaleźliśmy się w świecie, który wydaje się cały i w zupełnie dobrym stanie, ale najwidoczniej to świat niemal wyczerpany. Napoje gazowane są zwietrzałe. Jedzenie nie ma smaku. Powietrze nie pachnie. My wciąż mamy zapachy, czuję na przykład perfumy Laurel i wodę po goleniu pana kapitana, ale wszystko inne straciło woń.

Albert podniósł szklankę z piwem i mocno wciągnął powietrze. Uznał, że woń jest, ale bardzo, bardzo słaba. Równie odległe wspomnienie o zapachu dawałby płatek kwiatu, który przez lata tkwił między kartkami książki.

– To dotyczy też dźwięków – ciągnął Bob. – Są płaskie, jednowymiarowe, zupełnie bez rezonansu.

Laurel przypomniała sobie zgaszony stukot obcasów na betonie oraz brak echa, kiedy kapitan Engle przyłożył dłoń do ust i zawołał pana Toomy'ego.

– Albercie, czy mogę cię prosić, żebyś zagrał coś na skrzypcach? – spytał Bob.

Chłopak spojrział na Bethany. Uśmiechnęła się i skinęła głową.

– Dobrze. Jasne. Właściwie to sam jestem ciekaw, jak brzmią, po... – Zerknął na Craiga Toomy'ego. – No, wiecie.

Otworzył futerał, krzywiąc się, gdy jego palce dotknęły zatrzasku, który zostawił ranę na czole Craiga, a potem wyjął skrzypce. Przez moment pieścił je dłońmi, po czym wziął do prawej ręki smyczek i podłożył instrument pod brodę. Stał tak przez moment, rozmyślając. Jaka muzyka będzie właściwa w tym nowym, dziwnym świecie, w którym nie dzwonią telefony i nie szczekają psy? Ralph Vaughan Williams? Strawiński? Mozart? Może Dvořák? Nie. To wszystko nie pasowało. Wreszcie go olśniło i zaczął grać *Someone's in the Kitchen with Dinah*.

W połowie piosenki jego smyczek zadrżał, a wreszcie znieruchomiał.

– Chyba jednak uszkodziłeś sobie skrzypki, kiedy zdzielłeś nimi tego gościa – zauważył Don Gaffney. – Brzmiały, jakby je ktoś wypchał watą.

– Nie – odparł powoli Albert. – Skrzypcom nic się nie stało. Poznają, jak leżą w dłoni i jak zachowują się struny... ale tu chodzi o coś jeszcze. Czy może pan tu podejść? – Gaffney zbliżył się i stanął obok niego. – Niech pan się nachyli do skrzypiec, jak najbardziej się da. Nie... nie aż tak, bo wydlubię panu oko smyczkiem. O właśnie. Doskonale. Proszę posłuchać teraz.

Albert zaczął grać, śpiewając w duchu tak jak niemal zawsze, gdy wykonywał tę tandetną, lecz niesamowicie wesołą melodię do tańca:

*Singing fee-fi-fiddly-I-oh,
Fee-fi-fiddly-I-oh-oh-oh-oh,
Fee-fi-fiddly-I-oh,
Strummin' on the old banjo.*

– Zauważył pan różnicę? – spytał, skończywszy.

– Z bliska brzmi dużo lepiej, jeśli o to ci chodzi – przyznał Gaffney. Patrzył na Alberta z prawdziwym uznaniem. – Dobry jesteś, młody.

Chłopak uśmiechnął się do niego, ale tak naprawdę mówił do Bethany Simms:

– Czasami, kiedy mam pewność, że mój nauczyciel muzyki nie słyszy, gram stare kawałki Led Zeppelin. Wtedy to dopiero skrzypce się gotują. Można by się zdziwić. – Spojrzał na Boba. – W każdym razie wszystko pasuje do pana teorii. Im bliżej się podejdziesz, tym muzyka lepiej brzmi. To z powietrzem jest coś nie tak, nie z instrumentem. Nie przewodzi dźwięków, jak powinno, dlatego brzmią tak samo, jak smakowało piwo.

– Są nijakie – stwierdził Brian.

Chłopak skinął głową.

– Dziękuję, Albercie – powiedział Bob.

– Nie ma za co. Mogę już schować skrzypce?

– Oczywiście. – Pisarz mówił dalej, gdy tymczasem chłopak odłożył instrument do futerału i wytarł serwetką zbrukane zatrzaski oraz własne palce. – Smak i dźwięk to niejedyne niewłaściwe elementy sytuacji, w której się znaleźliśmy. Spójrzcie, dla przykładu, na chmury.

– Co z nimi? – spytał Rudy Warwick.

– Nie poruszyły się, odkąd tu przybyliśmy, i sądzę, że już się nie poruszą. Myślę, że zjawiska pogodowe, do których wszyscy przywykliśmy, albo ustały, albo zwalniają jak nienakręcony zegarek. – Bob zamilkł na chwilę. Nagle wydał się stary, bezsilny, wystraszony. – Jak powiedziałby pan Hopewell, nie owijajmy w bawełnę: tutaj wszystko jest nie w porządku. Dina pewnie odczuła to najsilniej, bo jej zmysły są bardziej rozwinięte niż nasze, w tym ów dziwny, niejasny, nazywany szóstym zmysłem, sądzę jednak, że do pewnego stopnia wszyscy odnieśliśmy takie wrażenie. Tu jest po prostu nie w porządku. I tak oto dochodzimy do sedna sprawy. – Odwrócił się do swych słuchaczy. – Niecały kwadrans temu mówiłem, że czuję się tak, jakby była pora lunchu. Teraz wydaje mi się, że jest znacznie później: trzecia po południu, może czwarta. Mój żołądek domaga się nie śniadania, lecz podwieczorku. Mam straszliwe przeczucie, że na dworze zacznie się ściemniać, zanim nasze zegarki za kwadrans wskażą dziesiątą rano.

– Do rzeczy, chłopie – wtrącił Nick.

– Sądzę, że tu chodzi o czas – powiedział cicho Bob. – Nie o inny wymiar, jak sugerował Albert, ale o czas. Wyobraźmy sobie, że raz po raz w strumieniu czasu pojawia się dziura. Nie pętla, ale pęknięcie. Rozdarcie w materii czasu.

– W życiu nie słyszałem czegoś bardziej popieprzonego! – wykrzyknął Don Gaffney.

– Amen – poparł go z podłogi Craig Toomy.

– O nie – odparł stanowczo Bob. – Jeżeli chce pan czegoś popieprzonego, to proszę sobie przypomnieć, jak brzmiały skrzypce Alberta z odległości dwóch metrów. Albo proszę się rozejrzeć. Niech się pan tylko rozejrzy, panie Gaffney. To, co nas spotykało... gdzie trafiliśmy... to jest dopiero popieprzone.

Don zmarszczył czoło i wsadził ręce do kieszeni.

– Proszę mówić dalej – odezwał się Brian.

– Dobrze. Nie twierdzę, że na pewno mam rację. Proponuję zaledwie hipotezę, która pasuje do naszej sytuacji. Powiedzmy, że takie rozdarcia w materii czasu pojawiają się raz po raz, ale głównie nad niezaludnionymi miejscami, czyli oczywiście nad oceanem. Nie potrafię zgadnąć przyczyny, ale to logiczne przypuszczenie, zważywszy, że właśnie tam najczęściej dochodzi do zniknięć.

– Zjawiska pogodowe nad wodą niemal zawsze są inne od tych nad lądem – zauważył Brian. – To może być to.

Bob kiwnął głową.

– Prawda to czy nie, warto myśleć w taki sposób, osadzając rzecz w kontekście, który wszyscy znamy. Może chodzi o coś podobnego do rzadkich zjawisk pogodowych, o jakich czasem się słyszy: odwróconych tornad, kolistych tęcz, gwiazd w ciągu dnia. Może te rozdarcia w czasie pojawiają się i znikają przypadkowo, a może przemieszczają się niczym fronty i układy baryczne, ale bardzo rzadko trafiają się nad lądem. Każdy statystyk powie wam jednak, że jeśli coś może się zdarzyć, wcześniej czy później się zdarzy, powiedzmy zatem, że wczoraj wieczorem takie rozdarcie pojawiło się nad lądem... a my mieliśmy to szczęście, że w nie wlecieliśmy. Nieznana właściwość tej meteorologicznej

anomalii nie pozwala podróżować przez nie żywym istotom, chyba że akurat śpią.

– Ojejku, jak w bajce! – burknął Gaffney.

– Zgadzą się całkowicie – odezwał się z podłogi Craig.

– Zamknij jadaczkę – warknął na niego Gaffney.

Craig zamrugał, a potem uniósł górną wargę w wątlwym grymasie drwiącego uśmiechu.

– To by pasowało – przyznała cicho Bethany. – Czuję się tak, jakbyśmy rozstroili się... ze wszystkim.

– Co się stało z załogą i pasażerami? – zapytał Albert. Brzmiał, jakby go mdliło. – Skoro samolot przeleciał i my też, to co się stało z nimi?

Wyobraźnia podsunęła mu odpowiedź w formie nieodpartego obrazu: setki ludzi spadają z nieba, furkoczą krawaty i spodnie, podciągnięte spódnice odsłaniają bieliznę i pasy do pończoch, zsuwają się buty, długopisy (te, które nie zostały na pokładzie, ma się rozumieć) wystrzeliwują z kieszeni; ludzie machają rękami i nogami, usiłują krzyczeć w rozrzedzonym powietrzu; ludzie, którzy zostawili w samolocie portfele, torebki, drobne, a w co najmniej jednym przypadku rozrusznik. Widział, jak uderzają o ziemię niczym bomby niewybuchy, rozgniatają krzaki, wzniesają chmurki kamienistego pyłu, odciskają na pustynnym podłożu kształty swoich ciał.

– Domyślam się, że zostali unicestwieni – powiedział Bob. – Całkowicie wyparowali.

Dina w pierwszej chwili nie rozumiała; potem pomyślała o torebce cioci Vicky, gdzie wciąż były czeki podróżne, i zaczęła cicho płakać. Laurel skrzyżowała ręce na ramionach dziewczynki i mocno ją przytuliła. Tymczasem Albert gorączkowo dziękował Bogu, że jego matka w ostatniej chwili zmieniła zdanie i postanowiła jednak nie towarzyszyć mu w podróży na wschód.

– W wielu przypadkach ich rzeczy zniknęły razem z nimi – ciągnął pisarz. – Możliwe, że niektóre portfele i torebki zostały, ponieważ wyjęli je w chwili... Zdarzenia. Ale trudno być tego

pewnym. Nie dostrzegam żadnej prawidłowości w tym, co zniknęło, a co zostało. Chyba najbardziej myślę tu o peruce.

– Właśnie – przytaknął Albert. – Albo na przykład te gwoździe chirurgiczne. Wątpię, żeby gość, do którego należały, wyjął je sobie z ramienia albo kolana, bo mu się nudziło i chciał się nimi pobawić.

– Zgoda – wtrącił Rudy Warwick. – To był dopiero początek lotu. Za wcześnie, żeby aż tak się nudzić.

Bethany spojrzała na niego zaskoczona, a potem parsknęła śmiechem.

– Pochodzę z Kansas i ten element przypadku kojarzy mi się z letnimi tornadami w moich rodzinnych stronach – powiedział Bob. – Potrafiły zrównać z ziemią dom na farmie, ale nie tknąć wygodki. Albo roznieść stodołę, nie zrywając ani jednej dachówki z silosu, który stał tuż obok.

– Przejdź pan do sedna, chłopie – ponaglił Nick. – Nie wiem, do jakiego czasu trafiliśmy, ale nie mogę się oprzeć wrażeniu, że jest już późna pora dnia.

Brian przypomniał sobie Craiga Toomy’ego, pana Muszę Dotrzeć do Bostonu, kiedy stał u szczytu zjeżdżalni i krzyczał: „Czas się kończy! Czas się, kurwa, kończy!”.

– W porządku – rzekł Bob. – Do sedna. Przyjmijmy, że istnieje coś takiego jak rozdarcia czasu i że wlecieliśmy w jedno z nich. Sądzę, że trafiliśmy do przeszłości i odkryliśmy szpetną prawdę o podróżach w czasie: nie można pojawić się dwudziestego drugiego listopada tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego trzeciego roku w składnicy książek w Dallas i udaremnić zamachu na Kennedy’ego; nie można obejrzeć, jak budowano piramidy albo splądrowano Rzym; nie można osobiście zbadać ery dinozaurów. – Uniósł ręce z wyprostowanymi dłońmi, jakby chciał ogarnąć cały milczący świat, w którym się znaleźli. – Dobrze się rozejrzyjcie, drodzy współpodróżnicy w czasie. Oto przeszłość. Jest pusta, jest cicha. To świat, a może wręcz wszechświat mający tyle sensu i znaczenia co porzucona puszka po farbie. Sądzę, że wykonaliśmy absurdalnie krótki skok w czasie, być może

cofnęliśmy się o zaledwie kwadrans... przynajmniej początkowo. Ale świat wokół nas wyraźnie się pruje. Bodźce czuciowe znikają. Elektryczność już zniknęła. Pogoda jest taka, jaka była w chwili skoku. Wydaje mi się jednak, że o ile cały świat zwalnia, o tyle czas skręca się swoistą spiralą... zacieśnia się sam wokół siebie.

– Czy to nie może być przyszłość? – zapytał ostrożnie Albert.

Bob Jenkins wzruszył ramionami. Nagle zaczął wyglądać na bardzo zmęczonego.

– Nie mam oczywiście pewności, bo skąd? Ale nie sądzę. Miejsce, w którym się znaleźliśmy, wydaje się stare, głupie, słabe, bez znaczenia... Wydaje się... sam nie wiem...

Wtedy odezwała się Dina. Wszyscy spojrzeli na nią.

– Wydaje się skończone – powiedziała.

– Tak – odrzekł Bob. – Dziękuję, moja droga. Właśnie tego słowa szukałem.

– Proszę pana?

– Tak?

– Pamięta pan, jak mówiłam o tamtym dźwięku? Znowu go słyszę. – Zamilkła na moment. – Zbliża się.

8

Wszyscy zamilkli, twarze mieli ściągnięte i zasluchane. Brianowi wydawało się, że coś słyszy, ale stwierdził, że to bicie jego serca. Albo po prostu wyobraźnia.

– Chcę znowu podejść do okien – oznajmił nagle Nick.

Przestąpił nad leżącym Craigiem, nawet nie zerkając w dół, po czym bez słowa wymaszerował z restauracji.

– Halo! – zawołała Bethany. – Ja też chcę iść!

Albert ruszył za dziewczyną; większość pozostałych potoczyła się za nimi.

– A wy? – spytał Brian Laurel i Dinę.

– Ja nie chcę – odparła mała. – Już stąd dobrze słyszę. – Zawiesiła głos, po czym dodała: – Ale chyba niedługo będę słyszeć jeszcze lepiej, jeżeli stąd nie pójdziemy.

Brian spojrział na Laurel Stevenson.

– Zostanę z Diną – powiedziała cicho kobieta.

– W porządku – odrzekł. – Trzymajcie się z dala od pana Toomy’ego.

– „Trzymajcie się z dala od pana Toomy’ego” – zadrwił wściekle Craig ze swego miejsca na podłodze. Z trudem obrócił głowę i poruszył oczami, żeby popatrzeć na Briana. – Nie ujdzie to panu na sucho, kapitanie Engle. Nie wiem, w co wy gracie z tym swoim kolegą Angolem, ale jeszcze za wszystko bekniecie. Jeżeli w ogóle kiedyś trafi pan za stery, to co najwyżej samolotu przemycającego nocami kokainę z Kolumbii. Przynajmniej wreszcie zgodnie z prawdą będzie pan mógł mówić znajomym, że jest odlotowym pilotem.

Brian już miał odpowiedzieć, ale uznał, że nie warto. Nick twierdził, że ten człowiek przynajmniej chwilowo jest niepoczytalny, a on się z nim zgadzał. Dyskutowanie z szaleńcem to zajęcie bezcelowe, a więc strata czasu.

– Zachowamy dystans, niech się pan nie martwi – obiecała Laurel. Zaprowadziła Dinę do jednego z małych stolików i tam z nią usiadła. – Nic nam nie będzie.

– W porządku – odrzekł Brian. – Proszę krzyczeć, gdyby próbował się uwolnić.

Laurel uśmiechnęła się blado.

– Ma pan to jak w banku.

Brian się schylił, sprawdził obrus, którym Nick związał ręce Craiga, a potem ruszył przez poczekalnię, by dołączyć do pozostałych przy wysokich oknach.

9

Zaczął to słyszeć, zanim jeszcze przemierzył pół hali, a gdy stanął obok reszty pasażerów, nie mógł dłużej wierzyć, że to złudzenie słuchowe.

Ta mała ma naprawdę doskonały słuch, pomyślał Brian.

Dźwięk był nikły – przynajmniej dla niego – ale wyraźny i rzeczywiście zdawał się dochodzić ze wschodu. Dina mówiła, że brzmi jak płatki ryżowe po zalaniu mlekiem. Brianowi przypominał raczej szum radiowy – taki wyjątkowo ostry szum, który zdarza się czasem w okresach dużej aktywności Słońca. Co do jednego natomiast musiał zgodzić się z Diną: to brzmiało źle.

Czuł, że w reakcji na ten dźwięk jeżą mu się włosy na karku. Gdy spojrzął na towarzyszy, na wszystkich twarzach widział taki sam wyraz strachu i konsternacji. Nick panował nad sobą najlepiej, a dziewczyna, która bała się skorzystać ze zjeżdżalni – Bethany – wyglądała na najbardziej zaleknioną, każdy jednak słyszał w tym dźwięku to samo.

Coś złego.

Coś, co się zbliżało. Prędko.

Nick odwrócił się do niego.

– Co o tym sądzisz, Brianie? Jakies pomysły?

– Nie. Nawet najmniejszego. Wiem tylko tyle, że to jedyny dźwięk w mieście.

– Na razie nie w mieście, ale chyba już niedługo – odparł Don.

– Chciałbym tylko wiedzieć, ile to jeszcze potrwa.

Znowu zamilkli, wsłuchani w równy, syczący trzask ze wschodu.

Chyba prawie wiem, co to za dźwięk, pomyślał Brian. Nie płatki w mleku, nie szum radiowy, ale... co? Gdyby nie był taki cichy...

Wcale nie chciał się przekonać. Nagle to sobie uświadomił, i to bardzo wyraźnie. Ten dźwięk do szpiku kości przepełniał go odrazą.

– Naprawdę musimy stąd uciekać! – odezwała się Bethany. Jej głos był donośny i drżący. Albert objął ją w pasie ramieniem, a ona oburącz chwyciła jego dłoń. Zrobiła to z paniczną siłą. – Musimy uciekać natychmiast!

– Tak – zgodził się z nią Bob Jenkins. – Ona ma rację. Nie wiem, co to za dźwięk, ale jest okropny. Musimy się stąd wydostać.

Wszyscy patrzyli na Briana, a on pomyślał: Chyba znowu jestem kapitanem. Ale nie na długo. Oni nie rozumieli. Nawet Jenkins, mimo swych bystrych dedukcji, nie rozumiał, że nigdzie się stąd nie ruszą.

Cokolwiek wydawało ten dźwięk, było w drodze i kiedy tu dotrze, zastanie ich. Nie da się tego uniknąć. Brian Engle rozumiał przyczynę tego faktu, nawet jeśli jako jedyny... i nagle pojął, co musi czuć zwierzę schwytane w pułapkę, słysząc równe, coraz bliższe dudnienie butów myśliwego.

ROZDZIAŁ 6

W potrzasku. Zapałki Bethany. Droga dwukierunkowa. Eksperyment Alberta. Zmierzch. Ciemność i ostrze.

1

Brian odwrócił się do pisarza.

- Mówi pan, że musimy stąd uciec, tak?
 - Owszem. Musimy uciekać tak szybko, jak tylko...
 - I dokąd proponuje pan się wybrać? Do Atlantic City? Miami Beach? Club Med?
 - Sugeruje pan, kapitanie, że nie mamy dokąd się udać. Sądzę i wierzę, że to nieprawda. Mam pomysł.
 - Mianowicie?
 - Za moment. Najpierw proszę mi odpowiedzieć na pytanie. Czy jest pan w stanie zatankować samolot? Czy w ogóle można to zrobić bez prądu?
 - Myślę, że tak. Powiedzmy, że z pomocą kilku sprawnych ludzi dałbym radę. Co wtedy?
 - Wtedy wystartujemy – odrzekł Bob. Na jego twarzy pokrytej głębokimi zmarszczkami lśniły kropelki potu. Wyglądały jak krople przejrzystego oleju. – Ten dźwięk, ten chrzęst, dochodzi ze wschodu. Rozdarcie czasu znajdowało się kilka tysięcy kilometrów na zachód stąd. Gdybyśmy wrócili po pierwotnym kursie... czy to możliwe?
 - Tak – potwierdził Brian.
- Nie wyłączył pomocniczego zespołu napędowego, co oznaczało, że program w komputerze inercyjnego systemu nawigacji pozostał nietknięty. Był to dokładny zapis podróży, którą właśnie odbyli – od chwili, gdy samolot American Pride

oderwał się od ziemi, aż do lądowania w Maine. Wystarczyło nacisnąć przycisk, by nakazać komputerowi odwrócenie tej trasy; naciśnięcie kolejnego, już w powietrzu, uruchomiłoby autopilota, który poleciał tym szlakiem. Inercyjny system nawigacji Teledyne odtworzył podróż z dokładnością do najdrobniejszych skrętów.

– Mógłbym to zrobić, ale po co?

– Bo może rozdarcie wciąż tam jest. Nie rozumie pan? Może zdołamy przelecieć przez nie z powrotem!

Zdumiony Nick popatrzył na Boba w skupieniu, a potem odwrócił się do Briana.

– Może w tym coś jest, chłopie. Może akurat.

Umysł Alberta Kaussnera podążył nieistotnym, acz fascynującym tropem: jeśli rozdarcie wciąż tam było i jeśli ich samolot znajdował się wtedy na typowej wysokości i trasie, czyli na czymś w stylu podniebnej alei wschód–zachód, to być może między godziną 1.07 a teraz (cokolwiek to „teraz” oznaczało) przez tę dziurę przeleciały inne samoloty. Być może inne samoloty właśnie lądowały lub już wylądowały na opustoszałych amerykańskich lotniskach, inni pasażerowie i członkowie załóg włączyli się oszołomieni...

Nie, pomyślał. Nam na pokładzie trafił się pilot. Jaka jest szansa, żeby się to powtórzyło?

Przypomniał sobie, co pan Jenkins mówił o szesnastu kolejnych podejściach Teda Williamsa, i zadrżał.

– Może tak, a może nie – powiedział Brian. – Zresztą to nie ma znaczenia, bo tym samolotem i tak nigdzie nie polecimy.

– Dlaczego nie? – zapytał Rudy. – Można go zatankować, więc nie rozumiem...

– Pamięta pan zapałki? Te z miski w restauracji? Te, które nie chciały się palić?

Rudy patrzył tępo, natomiast na twarzy Boba Jenkinsa pojawił się wyraz straszliwego przerażenia. Pisarz przyłożył dłoń do czoła i cofnął się o krok. Zdawał się kurczyć na ich oczach.

– Co? – odparł Rudy. Patrzył na Briana spod zmarszczonych brwi. Ta mina wyrażała zarazem dezorientację i podejrzliwość. – Co to ma do...

Ale Nick wiedział.

– Nie rozumiesz? – spytał cicho. – Nie rozumiesz, chłopie? Skoro akumulatory nie działają, skoro zapalki się nie palą...

– ...to paliwo też nie zapłonie – dokończył Brian. – Będzie tak samo zużyte jak wszystko inne w tym świecie. – Spojrzał kolejno na każdą z osób. – Równie dobrze mógłbym zatankować samolot melasą.

2

– Czy któraś z was, drogie damy, słyszała o langolierach? – zapytał nagle Craig. Jego ton był swobodny, niemal dziarski.

Laurel podskoczyła, a potem spojrzała w kierunku pozostałych, którzy wciąż stali przy oknach i rozmawiali. Dina tylko odwróciła się w kierunku głosu Craiga, najwyraźniej wcale niezaskoczona.

– Nie – powiedziała spokojnie. – Co to takiego?

– Nie rozmawiaj z nim, Dino – szepnęła Laurel.

– Słyszałem to – oznajmił Craig miłym tonem. – Wiesz, nie tylko Dina ma tu dobry słuch.

Laurel poczuła wypieki na twarzy.

– Zresztą i tak nie zrobiłbym krzywdy temu dziecku – mówił dalej Craig. – Tak samo jak tamtej dziewczynie. Po prostu się boję. Ty nie?

– Tak – odparła Laurel. – Ale kiedy ja się boję, nie biorę zakładników i nie strzelam do nastolatków.

– Ale na ciebie nie rzuciła się cała pierwsza linia Los Angeles Rams – rzekł Craig. – A ten Anglik... – Zaśmiał się. Jego śmiech w tym cichym miejscu był niepokojąco wesoły, niepokojąco normalny. – Cóż, powiem tylko tyle: jeśli myślisz, że ja jestem szalony, to znaczy, że jemu w ogóle się nie przyjrzałaś. Ten człowiek ma piłę spalinową zamiast mózgu.

Laurel nie wiedziała, co powiedzieć. Na pewno nie było tak, jak to opisywał Craig Toomy, ale kiedy mówił, wydawało się, że właśnie tak być powinno... a to, jak opisał Anglika, wydawało się, niestety, bliskie prawdy. Oczy tego mężczyzny... i ten kopniak w żebra pana Toomy'ego, kiedy już leżał związany... Laurel się wzdrygnęła.

– Co to są langolierzy, proszę pana? – zapytała Dina.

– Cóż, zawsze sądziłem, że to tylko bajka. – Craig nadal mówił pogodnym tonem. – Ale teraz zaczynam się zastanawiać... bo ja też to słyszę, młoda damo. O, tak.

– Ten dźwięk? – spytała cicho Dina. – Ten dźwięk to langolierzy?

Laurel oparła dłoń na jej ramieniu.

– Naprawdę wolałabym, żebyś przestała z nim rozmawiać, kochanie... Zaczynam się przez niego denerwować.

– Dlaczego? Przecież jest związany.

– Tak, ale...

– No i zawsze możesz zawołać pozostałych.

– No, myślę...

– Chcę się dowiedzieć o langolierach.

Craig z pewnym wysiłkiem obrócił głowę, żeby na nie spojrzeć, i wtedy Laurel poczuła nieco owego uroku i siły osobowości, które pozwoliły mu utrzymać się na ścieżce szybkiego awansu, w miarę jak rozpracowywał scenariusz wysokiego ciśnienia napisany dla niego przez rodziców. Poczula to, chociaż leżał na podłodze, ręce miał związane za plecami, a na czole i lewym policzku zasychające ślady własnej krwi.

– Mój ojciec mówił, że langolierzy to małe istoty, które żyją w szafach, kanałach i innych ciemnych miejscach.

– Jak elfy? – zapytała Dina.

Craig zaśmiał się i pokręcił głową.

– Obawiam się, że są dużo mniej przyjemne. Ojciec mówił, że langolierzy to sierść, zęby i szybkie nóżki, a dlatego takie szybkie, mówił, żeby dogonić niedobre dzieci, choćby nawet prędko dreptały.

– Proszę przestać – powiedziała chłodno Laurel. – Pan ją straszy.

– Wcale nie – odparła Dina. – Umiem odróżniać bajki. To po prostu ciekawe. – Jej twarz zdradzała jednak coś więcej niż zaciekawienie. Dziewczynka była skupiona, zafascynowana.

– Prawda? – Craig był wyraźnie zadowolony z jej zainteresowania. – Laurel chyba chce powiedzieć, że to ją straszą. Trafiałem, Laurel? Wygrałem cygaro? Jeśli tak, poproszę takie marki El Producto. Tanie white owle mnie nie interesują. – Znowu się zaśmiał. Laurel nie odpowiedziała, więc po chwili kontynuował: – Ojciec mówił, że langolierów są tysiące. To konieczne, bo przecież po świecie drepczą miliony niedobrych dzieci. Tak zawsze o tym mówił. Przez całe życie nie widział, żeby dziecko biegło. Zawsze dreptały. Chyba lubił to słowo, bo wskazuje na bezsensowny, bezcelowy, bezproduktywny ruch. Natomiast langolierzy... one biegną. One mają cel. Można by wręcz powiedzieć, że langolierzy są uosobieniem celu.

– Co niedobrego zrobiły te dzieci? – zapytała Dina. – Co takiego, że goniły je langolierzy?

– Wiesz, Dino, bardzo się cieszę, że o to zapytałaś – odrzekł Craig. – Bo kiedy mój ojciec mówił, że ktoś jest niedobry, miał na myśli, że jest leniwy. Leniwy człowiek nie mógł się mieścić w SZERSZEJ PERSPEKTYWIE. Wykluczone. W moim domu albo mieściłeś się w SZERSZEJ PERSPEKTYWIE, albo OBIJAŁEŚ SIĘ W PRACY, a to najgorsze, co może być. W porównaniu z OBIJANIEM SIĘ W PRACY podejrzenie komuś gardła jest drobnym grzeszkiem. Ojciec mówił, że jeśli nie mieścisz się w SZERSZEJ PERSPEKTYWIE, przyjdą po ciebie langolierzy i już w niczym nie będziesz się mieścić. Mówił, że pewnej nocy, leżąc w łóżku, usłyszysz, że nadchodzą... zbliżają się, chrzęszcząc i mlaszcząc... i dopadną cię, nawet jeśli zaczniesz dreptać. Bo mają szybkie...

– Dość tego – przerwała mu Laurel. Jej ton był suchy i stanowczy.

– Ale ten dźwięk tam jest – odparł Craig. Patrzył na nią wzrokiem jasnym, niemal łobuzerskim. – Temu nie zaprzeczysz. Ten dźwięk naprawdę tam j...

– Proszę przestać albo sama pana czymś uderzę.

– W porządku. – Craig przewrócił się na plecy, skrzywił się, a potem obrócił jeszcze bardziej, na drugi bok, plecami do nich. – Człowiek zaczyna mieć dość ciągłego bicia, kiedy leży związany jak proszę.

Tym razem Laurel poczuła na twarzy już nawet nie wypieki, ale żar. Przygryzła wargę i nic nie powiedziała. Miała ochotę się rozpłakać. Jak sobie z tym poradzić? Jak?! Ten człowiek najpierw wydawał się kompletnie obłąkany, a teraz sprawia wrażenie najnormalniejszego w świecie. Tymczasem cały świat – tę SZERSZĄ PERSPEKTYWĘ pana Toomy'ego – szlag trafił.

– Na pewno bał się pan taty, prawda?

Zaskoczony Craig obejrzał się na Dinę. Znow się uśmiechnął, lecz tym razem inaczej. To był smętny uśmiech pełen bólu, niewyglądony przez dział public relations.

– Tym razem to ty wygrałaś cygaro, panienko. Umierałem ze strachu.

– Nie żyje?

– Tak.

– Czy OBIJAŁ SIĘ W PRACY? Czy dopadły go langoliery?

Craig długo się zastanawiał. Pamiętał, że powiedziano mu, że ojciec miał zawał w swoim gabinecie. Kiedy sekretarka zadzwoniła przez interkom, żeby zaprosić go na spotkanie pracowników o dziesiątej, ale nie otrzymała odpowiedzi, weszła i znalazła go martwego na dywanie, z wybałuszonymi oczami i pianą schnącą na ustach.

Czy ktoś ci to powiedział? – pomyślał nagle Craig. Że miał wybałuszone oczy i pianę na ustach? Naprawdę ktoś ci to powiedział – może matka, kiedy była pijana – czy to tylko twoje pobożne życzenia?

– Proszę pana? Dopadły go?

– Tak – odparł Craig w zamyśleniu. – Chyba się obijał i chyba go dopadły.

– Proszę pana...

– Co?

– Ja nie jestem taka, jaką pan mnie widzi. Nie jestem brzydka. Nikt z nas nie jest.

Spojrzał na nią zaskoczony.

– Skąd możesz wiedzieć, jak cię widzę, niewidoma panienko?

– Mógłby się pan zdziwić – odrzekła Dina.

Laurel odwróciła się do niej, nagle jeszcze bardziej zaniepokojona niż dotąd... ale oczywiście nie było na co patrzeć. Ciemne okulary dziewczynki udaremniały zaspokojenie ciekawości.

3

Pozostali pasażerowie stali po drugiej stronie poczekalni, wsłuchani w ten cichy terkot, i nic nie mówili. Wydawało się, że nie zostało już nic do powiedzenia.

– Co teraz zrobimy? – zapytał Don.

Jakby się skurczył w swej czerwonej koszuli drwala. Albert miał wrażenie, że i ta koszula straciła trochę tej radośnie samczej jaskrawości.

– Nie wiem – odparł Brian.

Czuł w trzewiach straszliwą niemoc. Patrzył na samolot, który przez pewien czas był jego samolotem. Uderzały go czyste linie i gładkie piękno maszyny. Boeing 727 linii Delta, stojący po lewej stronie przy rękawie, wyglądał przy niej jak niemodna matrona. Tak ci się podoba, pomyślał Brian, bo już nigdy nie poleci, to wszystko. Zupełnie jakbyś na moment dostrzegł piękną kobietę na tylnym siedzeniu limuzyny – wydaje ci się jeszcze piękniejsza niż w rzeczywistości, bo wiesz, że nie jest twoja i nigdy nie będzie.

– Brianie, ile paliwa zostało? – zapytał nagle Nick. – Może tutaj tempo spalania jest inne. Może zostało więcej, niż myślisz.

– Wszystkie wskaźniki działały jak należy – odpowiedział Brian. – Lądując, miałem niecałe trzysta litrów paliwa. Żeby dolecieć tam, gdzie to się stało, potrzebowalibyśmy co najmniej dwudziestu pięciu tysięcy litrów.

Bethany wyjęła paczkę papierosów i poczęstowała Boba. Pokręcił głową. Wzięła papierosa do ust, wyciągnęła kartonik zapalek, a potem potarła jedną z nich.

Nie zapaliła się.

– O kurczę – jęknęła Bethany.

Albert spojrział na nią. Dziewczyna spróbowała znowu... i znowu... i znowu. Nic. Popatrzyła na niego przestraszona.

– Daj – poprosił. – Ja spróbuję.

Wziął kartonik z rąk dziewczyny i wyrwał inną zapalną. Potarł nią o draskę na odwrocie. Nic się nie stało.

– To się rozprzestrzenia – stwierdził Rudy Warwick.

Bethany zalała się łzami. Bob podał jej chusteczkę.

– Moment – powiedział Albert i spróbował ponownie. Tym razem zapalnik zapłonął... ale płomyk był słaby, chwiejny, apatyczny. Chłopak przyłożył go do drżącego czubka papierosa Bethany, a wtedy nagle stanął mu przed oczami wyraźny obraz: znak, który przez ostatnie trzy lata codziennie mijał, jadąc na rowerze z przerzutkami do liceum w Pasadenie. UWAGA – mówił znak – DROGA DWUKIERUNKOWA.

Co to, u diabła, znaczy?

Nie wiedział... przynajmniej na razie. Był jedynie pewien, że jakaś myśl chce się wydostać, ale chwilowo utknęła w trybach.

Strząsnął zapalnik. Natychmiast zgasła.

Bethany zaciągnęła się papierosem, a potem się skrzywiła.

– Faj! Smakuje jak ostatnie świństwo.

– Dmuchnij mi dymem w twarz – poprosił Albert.

– Co?

– Dobrze usłyszałaś. Dmuchnij.

Gdy spełniła prośbę, chłopak wciągnął powietrze. Dawniej słodkawa woń była teraz przytłumiona.

To się rozprzestrzenia.

UWAGA: DROGA DWUKIERUNKOWA.

– Wracam do restauracji – oznajmił Nick. Wydawał się przybity. – Ten Kasjusz, wyblady i śliski, nie powinien być zbyt długo sam na sam z paniami.

Brian ruszył za nim, a inni poszli za jego przykładem. Albert pomyślał, że jest coś śmiesznego w tym, że poruszają się takimi falami – zachowywali się jak krowy, które czują burzę.

– Chodź – powiedziała Bethany. – Idziemy.

Wrzuciła niedopalonego papierosa do popielniczki i otarła oczy chusteczką Boba. Potem wzięła Alberta za rękę.

Znajdowali się w połowie poczekalni, a on patrzył na tył czerwonej koszuli pana Gaffneya, gdy nagle znów go to uderzyło, tym razem mocniej: UWAGA, DROGA DWUKIERUNKOWA.

– Czeka! – krzyknął.

Nagle chwycił Bethany w pasie, przyciągnął do siebie, przyłożył twarz do jej szyi i mocno wciągnął powietrze.

– Ojeju! Ledwie się poznaliśmy! – zawołała dziewczyna. Potem zaczęła chichotać bezbronne i zarzuciła mu ręce na szyję.

Albert, chłopak, którego naturalna nieśmiałość zwykle zniknęła tylko w snach na jawie, nie zwracał na to uwagi. Znów głęboko wciągnął powietrze przez nos. Zapach jej włosów, potu i perfum wciąż był, ale słaby, bardzo słaby.

Wszyscy się rozejrzeli, lecz Albert puścił już Bethany i biegł z powrotem do okien.

– O rany! – jęknęła dziewczyna. Wciąż lekko chichotała, a przy tym się rumieniła. – Dziwny koleś!

Albert spojrział na ich samolot i zobaczył to samo, co Brian zauważył kilka minut wcześniej: był czysty, gładki, niemal niemożliwie biały. W głuchoj ciszy na dworze zdawał się wibrować.

Chłopaka nagle olśniło. Myśl eksplodowała w jego głowie niczym fajerwerk. Jej sedno było jasną, rozżarzoną kulą; konsekwencje promieniowały od niej jak ogniste cekiny i przez moment Albert dosłownie zapomniał o oddychaniu.

– Albercie? – odezwał się Bob. – Albercie, co się sta...

– Panie kapitanie! – krzyknął chłopak. W restauracji Laurel wyprostowała się jak struna, a Dina zacisnęła palce na jej ramieniu niczym szpony. Craig Toomy obrócił głowę. – Panie kapitanie, niech pan tu przyjdzie!

4

Na zewnątrz dźwięk był głośniejszy.

Brianowi przypominał szum radiowy. Nick Hopewell uważał, że jest jak szelest silnego wiatru wśród suchych traw w tropikach. Albertowi, który zeszłego lata pracował w McDonalddie, kojarzył się ze skwierczeniem frytek w głębokim tłuszczu, natomiast Bobowi Jenkinsowi – z gnieceniem papieru w odległym pomieszczeniu.

We czterech przeczołgali się przez kurtynę z gumowych pasów, a potem zeszli do strefy wyładunku bagaży i słuchali odgłosu tego, co Craig Toomy nazwał langolierami.

– Jest dużo bliżej? – zapytał Nicka Brian.

– Nie wiem. Tak brzmi, ale oczywiście wcześniej znajdowaliśmy się wewnątrz.

– Chodźcie – rzucił Albert niecierpliwie. – Jak dostaniemy się z powrotem na pokład? Trzeba się wspiąć po zjeżdżalni?

– To nie będzie konieczne – odparł Brian, wskazując schodki na kółkach po drugiej stronie wyjścia numer 2.

Ruszyli w tamtą stronę. Ich buty apatycznie stukały o beton.

– Wiesz, że mamy nikłą szansę, prawda, Albercie? – spytał po drodze Brian.

– Tak, ale...

– Lepsza nikła szansa niż żadna – dokończył za niego Nick.

– Po prostu nie chcę, żeby bardzo się rozczarował, jeśli się nie uda.

– Niech pan się nie martwi – wtrącił Bob cicho. – Ja będę dostatecznie rozczarowany za nas wszystkich. Pomysł chłopaka jest logiczny. Powinien się sprawdzić... choć zdajesz sobie

sprawę, Albercie, że w grę mogą wchodzić czynniki, których jeszcze nie odkryliśmy, prawda?

– Tak.

Dotarli do schodków. Brian kopniakiem zwolnił hamulce na kołach. Nick zajął miejsce przy uchwycie sterującym z lewej poręczy, a Brian chwycił za ten z prawej.

– Mam nadzieję, że wciąż jeżdżą – powiedział.

– Powinny – rzekł Bob Jenkins. – Część albo wręcz większość zwykłych zjawisk fizycznych i chemicznych nie przestała obowiązywać: nasze organizmy przetwarzają powietrze, drzwi otwierają się i zamykają...

– Nie zapominajmy o grawitacji – wtrącił Albert. – Ziemia dalej przyciąga.

– Przestańmy o tym gadać i po prostu spróbujmy – uciął Nick.

Schodki potoczyły się z łatwością. Dwaj mężczyźni pchali je po płycie lotniska w kierunku boeinga 767, a Albert i Bob szli za nimi. Jedno z kółek rytmicznie skrzypiało. Oprócz tego jedynym dźwiękiem był nieustanny cichy chrzęst, terkot i chrzęst zza wschodniego horyzontu.

– Spójrzcie na niego – rzucił Albert, gdy zbliżali się do samolotu. – Tylko na niego spójrzcie. Nie widzicie? Nie widzicie, że on jest dużo bardziej tutaj niż wszystko inne?

Odpowiedź nie była konieczna, więc nikt jej nie udzielił. Wszyscy to widzieli. Niechętnie, niemal wbrew własnej woli, Brian zaczynał myśleć, że chłopak naprawdę może mieć rację.

Postawili schodki pod kątem między awaryjną pochylnią a kadłubem maszyny, tak że ich ostatni stopień znajdował się tylko o długi krok od otwartych drzwi.

– Ja pójdę pierwszy – zarządził Brian. – Nick, kiedy wciągnę zjeżdżalnię, ty i Albert ustawcie schodki w lepszej pozycji.

– Tak jest, kapitanie. – Anglik wprawnie zasalutował, przykładając knykcie palców wskazującego i środkowego do czoła.

Brian parsknął.

– Młodszy attaché – mruknął, po czym wbiegł po schodkach.

Po chwili wciągnął zjeżdżalnię do samolotu za linkę, a następnie wychylił się, by popatrzeć, jak Nick i Albert ostrożnie manewrują schodkami, tak by górny stopień znalazł się tuż pod przednimi drzwiami boeinga.

5

Teraz niańczeniem Craiga zajmowali się Rudy Warwick i Don Gaffney. Bethany, Dina i Laurel stały przy oknach w poczekalni i wyglądały na zewnątrz.

– Co oni robią? – zapytała Dina.

– Schowali zjeżdżalnię i podstawili schodki – powiedziała Laurel. – Teraz wchodzi na górę. – Spojrzała na Bethany. – Na pewno nie wiesz, co planują?

Dziewczyna pokręciła głową.

– Wiem tylko tyle, że Ace... to znaczy Albert... o mało nie oszalał. Chciałabym wierzyć, że to dziki pociąg seksualny, ale chyba nie. – Zamilkła, uśmiechnęła się, a potem dodała: – Przynajmniej jeszcze nie. Mówił coś o tym, że samolot jest bardziej tutaj. A moje perfumy mniej tutaj, co pewnie nie spodobałoby się Coco Chanel czy jak jej tam. I jeszcze coś o drodze dwukierunkowej. Nic nie zrozumiałam. Nawijał bez sensu.

– A ja chyba wiem – odezwała się Dina.

– Co takiego podejrzewasz, skarbie?

Dziewczynka jedynie pokręciła głową.

– Mam nadzieję, że się pośpieszą. Bo biedny pan Toomy ma rację. Langolierzy się zbliżają.

– Dino, to tylko wymysł jego ojca.

– Może kiedyś to rzeczywiście była bajka – odparła Dina, odwracając się niewidzącymi oczami z powrotem w stronę okien. – Ale teraz już nie.

6

– Dobra, Ace – powiedział Nick. – Zaczynamy przedstawienie.

Albertowi waliło serce i trzęsły się dłonie, kiedy stawiał cztery elementy swego eksperymentu na półce w pierwszej klasie, gdzie tysiąc lat temu, na drugim końcu kontynentu, kobieta nazwiskiem Melanie Trevor opiekowała się pudełkiem soku pomarańczowego i dwiema butelkami szampana.

Brian patrzył uważnie, jak chłopak układa tam kartonik zapalek, butelkę budweisera, puszkę pepsi oraz kanapkę z masłem orzechowym i dżemem z restauracyjnej chłodni. Ta ostatnia była zawinięta w plastikową folię.

– No dobrze – rzekł Albert i odetchnął głęboko. – Zobaczmy, co tutaj mamy.

7

Don wyszedł z restauracji i zbliżył się do okien.

– Co się dzieje?

– Nie wiemy – odpowiedziała Bethany. Zdołała wymusić ogień z kolejnej zapalki, więc znowu paliła papierosa. Gdy odjęła go od ust, Laurel spostrzegła, że dziewczyna oderwała filtr. – Weszli do samolotu, wciąż tam są i to już cała historia.

Don przez kilka sekund patrzył za okno.

– Świat na zewnątrz wygląda inaczej. Nie umiem powiedzieć dlaczego, ale tak jest.

– Światło gaśnie – zauważyła Dina. – Na tym polega różnica. – Głos miała spokojny, ale w jej drobnej twarzy były tylko samotność i strach. – Czuję, że gaśnie.

– To prawda – przyznała Laurel. – Dzień zaczął się dopiero dwie, trzy godziny temu, a znów robi się ciemno.

– Wiecie, cały czas mi się wydaje, że to jest sen – powiedział Don. – Że to mój najgorszy koszmar w życiu, ale niedługo się obudzę.

Laurel pokiwała głową.

– Co z panem Toomym?

Don zaśmiał się bez wesołości.

- Nie uwierzycie.
- W co? – zapytała Bethany.
- Poszedł spać.

8

Craig Toomy oczywiście wcale nie spał. Ludzie, którzy zasypiają w krytycznej chwili, jak ten gość, co miał stać na straży, kiedy Jezus modlił się w Ogrójcu, z całą pewnością nie mieszczą się w SZERSZEJ PERSPEKTYWIE.

Obserwował obu mężczyzn spod nie do końca przymkniętych powiek i usiłował sprawić siłą woli, żeby jeden z nich sobie poszedł, a może nawet obaj. W końcu ten w czerwonej koszuli rzeczywiście odszedł. Warwick, ten łyśy ze sztuczną szczęką, zbliżył się i nachylił. Craig pozwolił, żeby oczy do końca mu się zamknęły.

- Ej – odezwał się Warwick. – Ej, śpisz?

Craig leżał nieruchomo, nie otwierał oczu, równo oddychał. Przeszło mu przez myśl, żeby udać ciche chrapanie, ale uznał, że lepiej nie.

Warwick szturchnął go w bok.

Craig nie podniósł powiek i dalej równo oddychał.

Łyśy wyprostował się, zrobił krok nad Toomym, a potem stanął w drzwiach restauracji, skąd patrzył na pozostałych. Craig uchylił powieki i upewnił się, że Warwick jest odwrócony plecami. Bardzo cicho i bardzo ostrożnie zaczął poruszać nadgarstkami w górę i w dół zawiązanego w ósemkę obrusa, którym były spętane. Sznur z materiału już teraz wydawał się luźniejszy.

Craig wykonywał krótkie ruchy, wpatrując się w plecy Warwicka, gotów zastygnąć i zamknąć oczy, jeśli tylko będzie się wydawać, że tamten chce się odwrócić. Siłą woli chciał sprawić, żeby łyśy tego nie zrobił. Chciał się uwolnić przed powrotem tamtych dupków z samolotu. Zwłaszcza angielskiego dupka, który wykręcił mu nos, a potem kopał go leżącego. Ten angielski

dupek nieźle go związał; dzięki Bogu to tylko sznur z obrusa, a nie nylonowa lina. Wtedy byłby bez szans, a tak...

Gdy jeden z węzłów popuścił, Craig zaczął obracać nadgarstki. Słyszał, jak zbliżają się langolierzy. Zanim tu dotrą, zamierzał się stąd wydostać i być już w drodze do Bostonu. W Bostonie będzie bezpieczny. W sali konferencyjnej pełnej bankierów nie ma miejsca na dreptanie.

I niech Bóg ma w opiece każdego – mężczyznę, kobietę czy dziecko – kto spróbuje stanąć mu na drodze.

9

Albert wziął do ręki zapalki, które zabrał z miski w restauracji.

– Dowód rzeczowy A – powiedział. – Zaczynamy.

Wyrwał zapalkę i potarł. Drżące dłonie zawiodły go i trafił łebkiem dobre pięć centymetrów nad szorstką draską przyklejoną wzdłuż dolnej krawędzi kartonika. Zapalka się zgięła.

– Cholera! – krzyknął Albert.

– Chcesz, żebym... – zaczął Bob.

– Spokojnie – wtrącił Brian. – To jego pokaz.

– Bez nerwów, Albercie – powiedział Nick.

Chłopak wyrwał następną zapalkę, uśmiechnął się blado, a potem potarł o draskę.

Nie zapaliła się.

Potarł ponownie.

Nie zapaliła się.

– No to po sprawie – skwitował Brian. – Nie ma nic...

– Poczulem zapach – oznajmił Nick. – Poczulem zapach siarki! Ace, spróbuj z inną!

Zamiast tego Albert po raz trzeci potarł tą samą zapalką o szorstką draskę... i tym razem zapłonęła. I nie skończyło się na tym, że łatwopalna główka zajarzyła się, po czym zgasła; ogień

przybrał znajomy kształt łezki, niebieskiej przy podstawie i żółtej na czubku, a potem zaczął trawić kartonowy patyczek.

Chłopak podniósł wzrok, na twarzy miał dziki uśmiech.

– Widzicie? – powiedział. – Widzicie?!

Strząsnął zapałkę, upuścił i wyciągnął kolejną. Ta zapaliła się za pierwszym razem. Odgiął wierzch kartonika i przyłożył płomień do pozostałych łebków tak samo jak Bob Jenkins w restauracji. Tym razem wszystkie zapłonęły z suchym sykiem. Albert zdmuchnął je niczym urodzinowe świece. Potrzebował do tego dwóch prób.

– Widzicie? – powtórzył. – Rozumiecie, co to znaczy? Droga dwukierunkowa! Przywieźliśmy ze sobą nasz czas! Tam na zewnątrz jest przeszłość... no i chyba w ogóle wszędzie na wschód od dziury, z której przylecieliśmy... ale tutaj wciąż jest teraźniejszość! Wciąż zamknięta w tym samolocie!

– Sam nie wiem – powiedział Brian, ale nagle wszystko znów wydało mu się możliwe.

Czuł dziwą, niemal niepokonaną ochotę, żeby wziąć chłopaka w ramiona i poklepać go po plecach.

– Brawo, Albercie! – zawołał Bob. – Piwo! Spróbuj piwa!

Chłopak odkręcił kapsel, a tymczasem Nick wyłowił niestłuczoną szklanekę z resztek wokół wózka z napojami.

– Gdzie dym? – zapytał Brian.

– Dym? – rzucił Bob ze zdziwieniem.

– No, właściwie to nie dym, ale zwykle po otwarciu piwa w szyjce zbiera się coś podobnego.

Albert pociągnął nosem, po czym podetknął butelkę Brianowi.

– Niech pan powącha.

Brian zrobił to i zaczął się uśmiechać. Nie mógł się powstrzymać.

– Na Boga, pal licho dym, rzeczywiście pachnie piwem.

Nick podsunął szklanekę. Albert z zadowoleniem stwierdził, że Anglikowi też trochę drży ręka.

– Nalewaj – powiedział Nick. – Szybko, chłopie, mój konował powiada, że napięcie źle robi na pikawkę.

Albert nalał piwo i natychmiast zrzędył im miny.
Było zwietrzałe. Kompletnie zwietrzałe. W szklance do whisky, którą znalazł Nick, wyglądało jak próbka moczu.

10

- Chryste Panie, ciemno się robi!
- Ludzie przy oknach obrócili się, gdy podszedł do nich Rudy Warwick.
- Miał pan pilnować świra – powiedział Don.
- Zniecierpliwiony Rudy machnął ręką.
- Śpi jak zabity. Chyba walnięcie w łeb trzepnęło nim mocniej, niż myśleliśmy. Co tam się dzieje? I dlaczego tak szybko się ściemnia?
- Nie wiemy – odparła Bethany. – Ściemnia się i już. Myśli pan, że ten dziwny koleś zapadł w śpiączkę albo coś w tym stylu?
- Nie wiem. Ale jeśli tak, to wreszcie przestaniemy się nim przejmować, co? Chryste, ależ ten dźwięk jest upiorny! Jak banda naćpanych termitów w szybowcu z balsy. – Rudy chyba po raz pierwszy zapomniał o jedzeniu.
- Dina podniosła wzrok na Laurel.
- Lepiej zajrzyjmy do pana Toomy’ego – odezwała się. – Martwię się o niego. Na pewno się boi.
- Skoro jest nieprzytomny, Dino, to nic nie możemy...
- Wątpię, czy jest nieprzytomny – odrzekła cicho dziewczynka. – Wątpię nawet, czy śpi.
- Przez chwilę Laurel patrzyła na małą w zamyśleniu, a potem wzięła ją za rękę.
- Dobrze – powiedziała. – Chodźmy zobaczyć.

11

Węzeł, którym Nick Hopewell oplótł prawy nadgarstek Craiga, wreszcie był na tyle luźny, żeby dało się wyciągnąć dłoń. Craig

zsunął nią pętlę wokół lewej ręki. Prędko się podniósł. Ból przeszył mu głowę, aż się zachwiał. Przed oczami stanęły mu czarne kropki, a potem powoli się rozmyły. Zrozumiał, że terminal zaczyna tonąć w mroku. Zapadała przedwczesna noc. Chrząst, terkot i chrząst langolierów był teraz znacznie wyraźniejszy, może dlatego, że słuch Craiga dostroił się do tego dźwięku, a może dlatego, że znajdowały się już bliżej.

Po drugiej stronie terminalu dostrzegł dwie sylwetki, wysoką i niską, które odłączyły się od pozostałych i ruszyły w kierunku restauracji. To ta kobieta z jędrzowatym głosem oraz ślepa dziewczynka o brzydkiej, nadętej twarzy. Nie mógł pozwolić, by podniosły alarm. Byłoby bardzo niedobrze.

Cofnął się od plamy krwi na wykładzinie, w której wcześniej leżał, i nie spuszczał wzroku z nadchodzących postaci. Nie mógł uwierzyć, jak szybko zapada zmrok.

W ladę na lewo od kasy wpuszczono koszyki ze sztucami, ale to wszystko plastikowy szajs, dla niego bezużyteczny. Craig obszedł kasę i dostrzegł coś znacznie lepszego: nóż rzeźnicki na blacie obok grilla. Wziął go, a potem schował się za kasą i patrzył, jak się zbliżają. Dziewczynce przyglądał się ze szczególnym zainteresowaniem. Ona dużo wiedziała... może aż za dużo. Pytanie: skąd posiadała tę wiedzę?

To ciekawe pytanie.

Naprawdę ciekawe.

12

Nick patrzył to na Alberta, to na Boba.

– No dobrze – powiedział. – Zapalki działają, a browar nie. – Postawił szklanę piwa na blacie. – Co to ozna...

Ni stąd, ni zowąd na dnie naczynia pojawił się mały kłęb bąbelków. Uniosły się szybko, rozprzestrzeniły i zmieniły w ciekłą pianę. Nick szeroko otworzył oczy.

– Najwyraźniej potrzeba chwili, żeby rzeczy wróciły do normy – stwierdził sucho Bob. Wziął piwo, wypił i oblizał usta. –

Doskonałe – oznajmił. Wszyscy przyglądali się misternej koronce piany na ściance naczynia. – Mogę powiedzieć z pełnym przekonaniem, że to najlepsze piwo, jakie w życiu piłem.

Albert nalał do szklanki więcej. Tym razem się speniło; piana przelała się przez krawędź i ściekła po zewnętrznej stronie. Brian sięgnął po naczynie.

– Jesteś pewien, że chcesz to zrobić, brachu? – zapytał Nick z szerokim uśmiechem. – Czy wy aby nie mawiacie: „Nie później picie niż na dobę przed zmianą w kokpicie”?

– W przypadku podróży w czasie ta zasada zostaje zawieszona – odparł Brian. – Możesz to sprawdzić w procedurach. – Przechylił szklankę, wypił i roześmiał się na głos. – Miał pan rację – zwrócił się do Boba. – Cholera, najlepsze piwo świata. Albercie, spróbuj pepsi.

Chłopak otworzył puszkę, wszyscy usłyszeli znajomy trzask, filar setek reklam napojów gazowanych. Wypił duży łyk. Kiedy opuścił puszkę, uśmiechał się od ucha do ucha... ale miał też łzy w oczach.

– Panowie, również pepsi-cola jest dziś warta polecenia – powiedział niskim tonem kelnera, a potem wszyscy zaczęli się śmiać.

13

Don Gaffney dogonił Laurel i Dinę, gdy wchodziły do restauracji.

– Pomyślałem, że lepiej... – odezwał się i zaraz zamilkł. Rozejrzał się. – O, cholera. Gdzie on jest?

– Nie... – zaczęła Laurel, ale tuż obok niej Dina Bellman szepnęła:

– Cicho!

Wolno obróciła głowę niczym reflektor niedziałającego szperacza. Przez moment w restauracji nie było żadnego dźwięku... a przynajmniej żadnego, który słyszałaby Laurel.

– Tam – powiedziała w końcu Dina, wskazując kasę. – Tam się chowa. Za czymś.

– Skąd wiesz? – spytał Don chrapliwym, nerwowym głosem. – Nie słyszę...

– A ja tak – odparła spokojnie Dina. – Słyszę drapanie jego paznokci o metal. I bicie jego serca. Bardzo szybkie i bardzo mocne. On umiera ze strachu. Strasznie mi go żal.

Nagle puściła dłoń Laurel i zrobiła krok naprzód.

– Dina, nie! – krzyknęła kobieta.

Dziewczynka nie zwracała na nią uwagi. Szła w kierunku kasy z wyprostowanymi rękami, szukając palcami możliwych przeszkód. Wydawało się, że cienie sięgają ku niej, że chcą ją omotać.

– Panie Toomy? Niech pan wyjdzie. Nie chcemy panu zrobić krzywdy. Niech się pan nie boi...

Zza kasy dobiegł jakiś dźwięk. Był to wysoki, zawodzący krzyk. Słowo albo coś, co próbowało być słowem, ale nie miało w sobie ani krzty poczytalności.

– Tyyyyyyyyyyyyyyy...

Craig podniósł się z kryjówki, oczy mu płonęły; uniósł rzeźnicki nóż, nagle zrozumiał, że to ona, że ona jest jedną z nich, że za tymi ciemnymi szklami jest jedną z nich, nie tylko langolierem, ale i hersztem langolierów, tym, który przyzywa pozostałe, przyzywa je swymi ślepyimi, martwymi oczami.

– Tyyyyyyyyyyyyyyy...

Ruszył na nią z wrzaskiem. Don Gaffney odepchnął Laurel, prawie powalając ją na podłogę, i skoczył naprzód. Ruszał się szybko, lecz niewystarczająco szybko. Craig Toomy był szalony i sam przemieszczał się z prędkością langoliera. Pędził do Diny biegiem. On nie dreptał.

Dina nie próbowała się odsunąć. Spojrzała ze swej ciemności w jego ciemność i wyciągnęła ręce, jakby chciała go objąć i ukoić.

– ...yyyyyyyyyyyyyy...

– Wszystko dobrze, panie Toomy – powiedziała. – Niech się pan nie b...

I wtedy Craig wbił nóż rzeźnicki w jej pierś, a potem pędem minął Laurel i, nadal wrzeszcząc, pognął do terminalu.

Dina przez moment stała nieruchomo. Jej dłonie odnalazły drewnianą rączkę, która sterczała z przodu sukienki, palce zatrzepotały na niej badawczo. Potem powoli z wdziękiem osunęła się na podłogę, stając się po prostu kolejnym cieniem w narastającym mroku.

ROZDZIAŁ 7

**Dina w ciemnej dolinie.
Najszybszy toster na wschód od Missisipi.
Wyścig z czasem.
Nick podejmuje decyzję.**

1

Albert, Brian, Bob i Nick podawali sobie kanapkę z masłem orzechowym i dżemem. Każdy zjadł po dwa kęsy i już jej nie było... lecz zanim to nastąpiło, Albert stwierdził, że nigdy nie miał w ustach lepszego żarcia. Jego żołądek natychmiast się obudził i zaczął domagać się więcej.

– Myślę, że naszemu łysemu przyjacielowi, panu Warwickowi, właśnie to spodoba się najbardziej – rzekł Nick, przełykając. Spojrzał na Alberta. – Jesteś geniuszem, Ace. Wiesz o tym, prawda? Absolutnym geniuszem.

Chłopak zaczerwienił się uradowany.

– To nic takiego – powiedział. – Odrobina tego, co pan Jenkins nazywa metodą dedukcji. Jeśli zderzą się dwa strumienie płynące w przeciwnych kierunkach, mieszają się i powstaje wir. Zobaczyłem, co się dzieje z zapalkami Bethany, i przyszło mi do głowy, że tutaj może być podobnie. I jeszcze ta jaskrawoczerwona koszula pana Gaffneya. Zaczęła tracić kolor. Dlatego pomyślałem, że skoro poza samolotem rzeczy zaczynają blaknąć, to może gdyby je zanieść do samolotu...

– Nie chcę przerywać – wtrącił cicho Bob – ale jeśli zamierzamy spróbować wrócić tam, skąd przylecieliśmy, chyba czym prędzej powinniśmy wyruszyć. Martwią mnie dźwięki, które słyszymy, ale nie tylko one. Samolot nie jest systemem zamkniętym. Boję się, że wkrótce zacznie tracić swoją... swoją...

– Integralność czasową? – podsunął Albert.

– Tak. Dobrze powiedziane. Paliwo, które wpompujemy do zbiorników, teraz pewnie się zapali... ale za parę godzin być może już nie.

Brianowi przyszła do głowy nieprzyjemna myśl: paliwo może przestać się palić w pół drogi, kiedy boeing będzie się znajdował na jedenastu tysiącach metrów. Otworzył usta, żeby to powiedzieć... ale je zamknął. Po co zasiewać w ich głowach tę wątpliwość, skoro nic nie można poradzić?

– Od czego zaczynamy? – spytał krótko, rzeczowo Nick.

Brian przemyślał cały proces. Będzie trochę niezręcznie, zwłaszcza z ludźmi, których doświadczenie z samolotami prawdopodobnie zaczyna się i kończy na sklejanju modeli, sądził jednak, że to wykonalne.

– Na początek uruchomimy silniki i podkołujemy jak najbliżej do tej Deltę. Wtedy zgaszę prawy silnik, a lewy zostawię włączony. Mamy szczęście. Nasz boeing siedemset sześćdziesiąt siedem ma zbiorniki paliwa w skrzydłach oraz system APU, pomocniczych zespołów napędowych, który...

Dobiegł ich ostry, paniczny wrzask – rozdarł cichy terkot w tle niczym zgrzyt widelca o łupkową płytę. Zaraz po nim rozległy się kroki na schodkach. Nick obrócił się w ich kierunku, unosząc rękę w geście, który Albert rozpoznał natychmiast; w szkole widział, jak taki ruch ćwiczyli pasjonaci wschodnich sztuk walki. To klasyczna pozycja obronna w taekwondo. Po chwili w drzwiach pojawiła się blada, przerażona twarz Bethany. Nick opuścił rękę.

– Chodźcie! – krzyknęła Bethany. – Szybko!

Ciężko dysząc, zatoczyła się do tyłu. Przez moment Albert i Brian myśleli, że spadnie po stromych stopniach i złamie kręgosłup. Nick skoczył naprzód, złapał ją za kark i wciągnął do samolotu. Bethany chyba nie zdawała sobie sprawy z tego, jak niewiele brakowało. Jej rozpalone ciemne oczy odcinały się od białego owalu twarzy.

– Błagam, chodźcie! Dźgnął ją! Ona chyba umiera!

Nick położył dłonie na jej ramionach i nachylił się, jakby zamierzał ją pocałować.

– Kto kogo dźgnął? – zapytał bardzo cicho. – Kto umiera?

– Ja... ona... pan T-T-Toomy...

– Bethany, powiedz „talerz”.

Dziewczyna spojrzała na niego przerażonym, nierozumiejącym wzrokiem. Brian patrzył na Nicka, jakby ten oszalał.

Anglik lekko potrząsnął Bethany.

– Powiedz „talerz”. Szybko!

– T...t...talerz.

– Talerz i szklanka. Powtórz, Bethany.

– Talerz i szklanka.

– Brawo. Lepiej ci?

Kiwnęła głową.

– Tak.

– Świetnie. Jeśli znów zaczniesz tracić panowanie nad sobą, natychmiast powiedz „talerz”, to dojdiesz do siebie. No dobrze, kogo dźgnął Toomy?

– Tę małą. Dinę.

– Jasna cholera. W porządku, Bethany. A teraz... – Nick gwałtownie podniósł głos, widząc, że za plecami dziewczyny Brian rusza w stronę drzwi, a Albert tuż za nim: – Nie! – krzyknął tak głośno i ostro, że obaj się zatrzymali. – Stać, kurwa!

Brian był na dwóch misjach w Wietnamie i znał dźwięk niepodważalnego rozkazu. Zahamował tak gwałtownie, że Albert uderzył twarzą w jego plecy. Wiedziałem, pomyślał. Wiedziałem, że przejmie dowodzenie. To była tylko kwestia czasu i okoliczności.

– Czy wiesz, jak to się stało i gdzie teraz jest nasz nieszczęsny towarzysz podróży? – spytał Nick dziewczynę.

– Facet... facet w czerwonej koszuli powiedział...

– Dobra. Nieważne. – Anglik zerknął na Briana. Oczy miał czerwone z wściekłości. – Cholerni głupcy zostawili go samego. Założę się o własną emeryturę. To już się nie powtórzy. Nasz pan

Toomy wykręcił swój ostatni numer. – Znowu spojrzał na dziewczynę. Miała spuszczoną głowę, włosy żałośnie opadały jej na twarz, łapała powietrze dużymi haustami. – Bethany, czy ona żyje? – spytał Nick łagodnie.

– Nie... Nie... Nie...

– Bethany, talerz.

– Talerz! – krzyknęła i spojrzała na niego załzawionymi, zaczerwienionymi oczami. – Nie wiem. Żyła, kiedy... no, wie pan... kiedy pobiegłam po was. Może już umarła. Strasznie ją załatwił. Jezu, dlaczego musiał nam się trafić pieprzony psychol? Jakby bez niego nie było dość kłopotów.

– I nikt z was, którzy mieliście go pilnować, nie wie, dokąd uciekł po tym ataku. Czy tak?

Zakryła twarz dłońmi i zaczęła łkać. To wystarczyło za całą odpowiedź.

– Niech pan nie będzie dla niej taki surowy – powiedział cicho Albert i objął dziewczynę w pasie.

Oparła głowę na jego ramieniu i zaczęła jeszcze bardziej płakać.

Nick łagodnie odsunął ich na bok.

– Gdybym dla kogoś miał być surowy, Ace, to dla siebie samego. Powinienem był tam zostać. – Odwrócił się do Briana. – Wracam do terminalu. Ty nie. Pan Jenkins niemal na pewno ma rację: jest już niewiele czasu. Wolę nie myśleć o tym, jak bardzo niewiele. Uruchom silniki, ale na razie nie ruszaj samolotu. Jeśli mała żyje, będą potrzebne schodki, żeby ją tu wnieść. Bob, na dół schodów. Będziesz wypatrywał tego gnoja, Toomy’ego. Albercie, ty idziesz ze mną.

A potem powiedział coś, co wszystkich zmroziło:

– Prawie bym wolał, żeby już nie żyła, niech mi Bóg wybaczy. To by nam oszczędziło czasu.

Dina żyła, nie była nawet nieprzytomna. Laurel zdjęła jej okulary, żeby zetrzeć pot z twarzy dziewczynki. Oczy Diny, ciemnobrązowe i bardzo duże, patrzyły niewidzącym wzrokiem w niebieskozielone oczy kobiety. Za nią Don i Rudy stali ramię w ramię, nerwowo zerkając w dół.

– Przepraszam – po raz piąty powiedział Rudy. – Naprawdę myślałem, że on jest kompletnie nieprzytomny.

Laurel go zignorowała.

– Jak się czujesz, Dino? – zapytała cicho.

Nie chciała patrzeć na drewniany trzonek, który wystawał z sukienki dziewczynki, ale nie mogła oderwać wzroku. Było bardzo mało krwi, przynajmniej na razie; wokół miejsca, gdzie weszło ostrze, powstał krąg wielkości małej filiżanki, to wszystko.

Na razie.

– Boli – powiedziała Dina słabym głosem. – Trudno mi oddychać. I piecze.

– Nic ci nie będzie – zapewniła Laurel, ale jej wzrok ciągle wracał do uchwytu noża.

Dziewczynka była bardzo drobna i Laurel nie mogła zrozumieć, dlaczego ostrze nie przebiło jej na wylot. Nie mogła zrozumieć, dlaczego mała jeszcze nie umarła.

– ...uciekać – wycedziła Dina.

Skrzywiła się, a wtedy strużka gęstej krwi spłynęła z kącika jej ust i pociekła po policzku.

– Nie próbuj mówić, kochanie. – Laurel odgarnęła mokry lok z jej czoła.

– Musicie uciekać – nie ustępowała Dina. Mówiła prawie szeptem. – I nie wińcie pana Toomy’ego. On... on się boi, nic więcej. Boi się ich.

Don rozejrzył się gniewnym wzrokiem.

– Jak znajdę tego sukinsyna, to mnie się będzie bał – warknęła, zaciskając pięści. W gęstniejącym mroku zaśnił sygnet. – Pożałuje, że nie urodził się martwy.

Wtedy do restauracji wszedł Nick, a za nim Albert. Anglik bez słowa przeprosin odepchnął Rudy'ego Warwicka i przyklęknął obok Diny. Jego jasne spojrzenie na moment zatrzymało się na trzonku noża, po czym przebiegło na twarz dziewczynki.

– Cześć, słoneczko. – Mówił pogodnie, lecz jego wzrok pociemniał. – Widzę, że masz klimatyzację. Nie bój nic, wkrótce będziesz zdrowa jak ryba.

Dina lekko się uśmiechnęła.

– Jaka ryba? – szepnęła.

Gdy się odezwała, z jej ust znów popłynęła krew. Laurel widziała ją na zębach dziewczynki. Zaczynało jej się robić niedobrze.

– Nie wiem, na pewno jakaś fajna – odrzekł Nick. – Zaraz obróć ci głowę na bok. Postaraj się nie ruszać.

– Dobrze.

Obrócił głowę Diny, bardzo delikatnie, tak że jej policzek prawie dotykał wykładziny.

– Boli?

– Tak – szepnęła. – Piecze. Boli... przy oddychaniu.

Jej cichy głos stał się zachrypnięty, łamliwy. Z ust płynęła wąska strużka krwi, która zbierała się na wykładzinie raptem trzy metry od miejsca, gdzie zasychała krew Craiga Toomy'ego.

Naraz z zewnątrz dobiegł wizg uruchamianych silników samolotu. Don, Rudy i Albert spojrzeli w tamtą stronę. Nick nie odrywał wzroku od dziewczynki.

– Chce ci się kasłać, Dino? – zapytał łagodnie.

– Tak... nie... nie wiem.

– Lepiej, żebyś nie kasłała. Jeśli poczujesz takie łaskotanie, spróbuj nie zwracać na nie uwagi. I nic więcej nie mów, dobrze?

– Niech pan... nie krzywdzi... pana Toomy'ego. – W jej słowach, choć wyszeptanych, była wielka moc, ogromne napięcie.

– Nie, słoneczko, nawet mi to nie przyjdzie do głowy. Masz to jak w banku.

– Nie... wierzę... panu...

Nachylił się, pocałował ją w policzek i szepnął:

– Ale przecież możesz. To znaczy: wierzyć mi. Tymczasem musisz tylko leżeć spokojnie i pozwolić, żebyśmy wszystkim się zajęli. – Podniósł wzrok na Laurel. – Nie próbowała pani wyjąć noża?

– N-nie. – Przełknęła ślinę. Czowała w gardle gorącą, szorstką gulę. Przełknięcie śliny jej nie poruszyło. – A powinnam?

– Gdyby go pani ruszyła, szanse byłyby nikłe. Czy ma pani doświadczenie pielęgniarskie?

– Nie.

– W porządku, będę mówił, co robić... ale najpierw muszę się dowiedzieć, czy zemdleje pani na widok krwi, i to sporej ilości. Chcę usłyszeć prawdę.

– Nie widziałam dużej ilości krwi od czasu, jak moja siostra wpadła na drzwi i wybiła sobie dwa zęby, kiedy bawiłyśmy się w chowanego. Ale wtedy nie zemdlałam.

– Świetnie. Teraz też pani nie zemdleje. Panie Warwick, proszę mi przynieść sześć obrusów z tej nędznej speluny za rogiem. – Nick spojrzał z uśmiechem na dziewczynkę. – Dino, jeszcze minutka albo dwie i powinnaś się poczuć znacznie lepiej. Młody doktor Hopewell bardzo delikatnie obchodzi się z paniami, zwłaszcza młodymi i ładnymi.

Laurel poczuła nagle i absolutnie absurdalne pragnienie, żeby dotknąć jego włosów.

Co się z tobą dzieje? Ta mała umiera, a ty się zastanawiasz, jakie są w dotyku jego włosy! Przestań! Czy jesteś aż taka głupia?

Cóż, pomyślmy... Na tyle głupia, żeby lecieć na drugi koniec kraju do mężczyzny, którego poznałam przez ogłoszenie w tak zwanym magazynie towarzyskim. Na tyle głupia, żeby planować się z nim przespać, jeśli tylko okaże się w miarę atrakcyjny... oczywiście pod warunkiem, że nie będzie mu cuchnęło z ust.

Och, przestań, Laurel! Przestań!

Tak – zgodził się ten drugi głos w jej głowie. Masz absolutną rację. To szaleństwo mieć takie myśli w takiej chwili, więc

przestanę... ale ciekawe, jaki młody doktor Hopewell byłby w łóżku. Ciekawe, czy byłby delikatny, czy...

Laurel wzdrygnęła się i zaczęła się zastanawiać, czy właśnie tak wygląda początek załamania nerwowego.

– Są bliżej – powiedziała Dina. – Naprawdę... – Zakasłała, a wtedy między jej wargami pojawił się duży pęcherzyk krwi. Rozprysnął się, ochlapując policzki. Don Gaffney coś mruknął i odwrócił wzrok. – ...musicie się śpieszyć – dokończyła.

Nick wciąż uśmiechał się tak samo pogodnie.

– Wiem.

3

Craig pędził przez terminal; zwinnie przeskoczył przez poręcz schodów ruchomych i zbiegł po zastygłych metalowych stopniach, a panika wyła i dudniła mu w głowie głośno jak ocean podczas sztormu; zagłuszała nawet ten drugi dźwięk, to nieustanne żucie, ten chrzęst langolierów. Nikt Craiga nie widział. Gnał przez hol na dole w kierunku drzwi wyjściowych... i wpadł na nie. O wszystkim zapomniał, również o tym, że bez prądu nie działa fotokomórka, która je otwiera.

Odbił się od nich, tracąc dech, i upadł na podłogę. Łykał powietrze niczym ryba w sieci. Leżał tak przez moment, desperacko szukając resztek umysłu, i nagle zorientował się, że wpatruje się w swoją prawą rękę. Była tylko białą plamą w narastającym mroku, ale widział na niej czarne plamki i wiedział, co to jest: krew tamtej dziewczynki.

Tyle że to nie dziewczynka, wcale nie. Tylko tak wyglądała. To herszt langolierów, a bez niej pozostałe już nie... już nie... nie...

Nie co?

Nie znajdą go?

Wciąż jednak słyszał żarłoczny dźwięk ich nadejścia: to niezdolne żucie, jakby gdzieś ze wschodu maszerował szczerp wielkich głodnych insektów.

Szumiało mu w głowie. Ależ był skołowany!

Zobaczył mniejsze drzwi wiodące na zewnątrz, podniósł się i ruszył w ich stronę. Potem stanął. Tam była droga i ta droga na pewno prowadziła poza miasto Bangor, ale co z tego? Bangor go nie obchodził; Bangor z całą pewnością nie mieścił się w legendarnej SZERSZEJ PERSPEKTYWIE. To do Bostonu Craig musiał się dostać. Jeśli tam trafi, wszystko będzie dobrze. Ale co to oznacza? Ojciec by wiedział. To oznacza, że musi PRZESTAĆ DREPTAĆ i NADAŻYĆ ZA PROGRAMEM.

Jego umysł uchwycił się tej myśli, jak rozbitek chwyta się szczątków – wszystko, co unosi się na wodzie, nawet drzwi od sracza, jest bezcenną zdobyczą. Jeśli Craig dostanie się do Bostonu, całe to doświadczenie będzie... będzie...

– Zapomniane – wymamrotał.

Na dźwięk tego słowa w mroku jego głowy zaświecił jasny promień racjonalnej myśli i jakiś głos (być może ojca) wykrzyczał pełne aprobaty: *TAK!!!*

Lecz jak to zrobić? Boston jest za daleko, żeby iść na piechotę, a tamci nie wpuszczą go już do jedyne działającego samolotu. Nie po tym, co zrobił ich ślepej maskotce.

– Ale oni nie wiedzą – szepnął. – Nie wiedzą, że wyświadczyłem im przysługę, bo nie wiedzą, czym ona jest.

Pokiwał głową niczym mędrzec. Jego oczy, wielkie i mokre, lśniły w ciemności.

Schowaj się – podszepnął mu głos ojca. *Schowaj się w samolocie.*

Tak! – dodał głos jego matki. *Schowaj się! To twój bilet, Craiguniu! A jak to zrobisz, inny bilet już nie będzie ci potrzebny, prawda?*

Craig spojrział z powątpiewaniem w stronę taśmociągu bagażowego. Mógł wyjść tamtędy na płytę lotniska, ale co będzie, jeśli postawili strażnika przy samolocie? Pilotowi nie przyszłoby to do głowy – poza kokpitem był ewidentnym idiotą – ale Anglik pomyślał o tym niemal na pewno.

Co zatem zrobić?

Skoro część terminalu od strony Bangor nie wchodziła w grę i ta od strony pasa startowego również, to co miał zrobić i dokąd pójść?

Spojrzał nerwowo na nieczynne schody ruchome. Wkrótce tamci zaczną na niego polować – z pewnością pod przewodnictwem Anglika – a on stał pośrodku hali, odsłonięty jak striptizerka, która właśnie rzuciła w publiczność stringi i osłonki na sutki.

Muszę się schować, przynajmniej na chwilę.

Usłyszał, że na zewnątrz włączają się silniki, ale to go nie zmartwiło; wiedział co nieco o samolotach, więc rozumiał, że Engle nigdzie nie poleci, dopóki nie uzupełni paliwa. Co trochę potrwa. Craig nie musiał się obawiać, że wystartują bez niego.

Przynajmniej na razie.

Schowaj się, Craiguniu. Właśnie to musisz teraz zrobić. Musisz się schować, zanim po ciebie przyjdą.

Obrócił się powoli, wpatrując się w narastający mrok i szukając najlepszej kryjówki. Tym razem zobaczył tabliczkę na drzwiach między stanowiskiem Avisu a Bangor Travel Agency. Napis brzmiał:

SŁUŻBY LOTNISKOWE

I mógł oznaczać prawie wszystko.

Prędko ruszył w tamtą stronę; po drodze nerwowo się oglądał, a potem spróbował otworzyć drzwi. Tak jak w tych do biura ochrony, klamka nie drgnęła, ale uchyliły się, gdy je pchnął. Jeszcze raz zerknął za siebie, nikogo nie zobaczył, wszedł i zamknął drzwi.

Połknęła go zupełna, absolutna ciemność; tutaj był równie ślepy jak ta dziewczynka, którą pchnął nożem. To mu nie przeszkadzało. Nie bał się ciemności; wręcz przeciwnie, raczej ją lubił. Jeśli nie jesteś z kobietą, nikt nie oczekuje, że w ciemności zrobisz coś znaczącego. W ciemności działanie przestaje mieć znaczenie.

A najważniejsze, że odgłos zucia był tutaj przytłumiony.

Craig po omacku powoli szedł naprzód, wyciągał ręce i szurał nogami. Po trzech takich krokach natrafił udem na coś twardego, chyba krawędź biurka. Sięgnął w dół. Tak. Biurko. Przez moment obmacywał je, czerpiąc ukojenie ze znajomych kształtów sztafażu biurowej Ameryki: stosu papierów, tacki na korespondencję, rantu podkładki do pisania, pojemnika ze spinaczami, przybornika na ołówki i długopisy. W ten sposób okrążył biurko, a po drugiej stronie trącił biodrem oparcie fotela. Wszedł między te dwa meble i usiadł. Za biurkiem poczuł się jeszcze lepiej. Poczuł się sobą – spokojny, panujący nad sytuacją. Po omacku odnalazł górną szufladę i otworzył ją. Zaczął szukać jakiejś broni – czegoś ostrego. Jego dłoń niemal natychmiast napotkała nóż do papieru.

Wyjął go, położył na biurku obok lewej ręki i zamknął szufladę.

Siedział tak przez chwilę, słuchając stłumionego dudnienia własnego serca i odległego szumu silników odrzutowych, a potem znów zaczął delikatnie obmacywać blat biurka, aż natknął się ponownie na stos papierów. Podniósł pierwszą kartkę i zbliżył ją do twarzy, ale nie widział nawet najdrobniejszego przebłysku bieli... mimo że trzymał ją wprost przed oczami.

To nic, Craiguniu. Siedz tu sobie po ciemku. Siedz tu i czekaj, aż przyjdzie czas działać. A wtedy...

Ja ci o tym powiem – dokończył ponuro jego ojciec.

– Właśnie – powiedział Craig.

Jego palce pajęczym ruchem popęzły do prawego górnego rogu niewidocznej kartki papieru. Płynnie zaczął ją drzeć.

Drr-rap.

Spokój wypełnił jego umysł niczym chłodna, błękitna woda. Craig wypuścił niewidoczny pasek papieru na niewidoczne biurko, a potem wrócił palcami do górnego brzegu kartki. Wszystko będzie dobrze. Będzie jak trzeba. Zaczął śpiewać pod nosem niemelodyjnym szeptem:

– Mów mi: aniele... poranka, skar-bie...

Drr-rap.

– Dotknij policzka, nim odejdziesz... skar-bie...

Teraz już spokojny, opanowany, siedział i czekał, aż ojciec powie mu, co ma robić, tak jak tyle razy w dzieciństwie.

4

– Posłuchaj uważnie, Albercie – powiedział Nick. – Musimy ją zabrać do samolotu, ale potrzebujemy noszy. W samolocie ich nie ma, ale tu muszą być. Gdzie?

– Kurczę, kapitan Engle wiedziałby to lepiej niż...

– Ale kapitana Engle’a tu nie ma – odparł cierpliwie Nick. – Musimy radzić sobie sami.

Chłopak zmarszczył czoło... a potem przypomniała mu się tabliczka, którą zauważył na dolnym poziomie.

– Służby lotniskowe? – zapytał. – Może być?

– Jeszcze jak! Gdzie to widziałeś?

– Na dole, obok wypożyczalni samochodów.

– W porządku – rzekł Nick. – Zrobimy tak: ty i pan Gaffney zostaliście wyznaczeni na poszukiwaczy noszy i tragarzy. Panie Gaffney, proponuję rozejrzeć się obok grilla za ladą. Sądzę, że znajdzie pan tam jakieś ostre noże. Nasz niemiły przyjaciel zapewne właśnie stamtąd wziął swój. Proszę przynieść jeden dla siebie i jeden dla Alberta.

Don bez słowa ruszył za ladę. Rudy Warwick wrócił z baru Czerwony Baron z naręczem obrusów w czerwono-białą kratę.

– Przepraszam... – zaczął, ale Nick mu przerwał.

Wciąż patrzył na Alberta, a jego twarz była teraz tylko małym białym owalem ponad głębszym cieniem drobnego ciała Diny. Już prawie nastąpiła ciemność.

– Pana Toomy’ego raczej nie spotkacie – powiedział. – Domyślałem się, że uciekł stąd bez broni, w popłochu. Pewnie albo zdążył znaleźć sobie kryjówkę, albo opuścił terminal. Gdybyście go jednak zobaczyli, stanowczo radzę nie wchodzić z nim w starcie, jeśli nie będzie to konieczne. – Popatrzył na Dona, gdy ten wrócił z dwoma nożami rzeźnickimi. – Nie zapominajcie

o swoich priorytetach. Wasza misja nie polega na tym, żeby złapać pana Toomy'ego i oddać go w ręce sprawiedliwości. Macie znaleźć nosze i jak najszybciej je tu przynieść. Musimy się stąd zmywać.

Don podał Albertowi nóż, ale ten pokręcił głową i spojrzał na Rudy'ego Warwicka.

– Mogę zamiast tego wziąć jeden obrus?

Don popatrzył na niego tak, jakby chłopak oszalał.

– Na Boga, po co ci obrus?

– Zaraz pokażę.

Dotąd Albert klęczał przy Dinie. Teraz wstał i wszedł za ladę. Rozglądał się, nie za bardzo wiedząc, czego szuka, ale był przekonany, że zorientuje się, gdy to zobaczy. I rzeczywiście. Na ladzie, w głębi, stał staromodny toster na dwie kromki pieczywa. Chłopak podniósł go, wyszarpnął wtyczkę z kontaktu, a potem, wracając do pozostałych, mocno oplótł kabel wokół urządzenia. Wziął jeden z obrusów, rozłożył go, po czym umieścił toster w rogu. Następnie obrócił go dwukrotnie, owijając końcem materiału jak prezent na Boże Narodzenie. Na rogach zrobił dwa mocne supły, tak że powstało coś w rodzaju koszyczka. Kiedy chwycił luźny koniec obrusa i wstał, toster stał się kamieniem na prowizorycznym pasie.

– W dzieciństwie bawiliśmy się w Indianę Jonesa – wyjaśnił Albert wstydliwie. – Zrobiłem coś w tym stylu i udawałem, że to mój bicz. Raz o mało nie złamałem ręki mojemu bratu Davidowi. Włożyłem do starego prześcieradła ciężarek od okna. To było dosyć idiotyczne. Nie wiedziałem, z jaką siłą uderzy. Ależ wtedy dostałem lanie! Wygląda głupio, za to nieźle działa. Przynajmniej zawsze działało.

Nick spojrzał na prowizoryczną broń Alberta z powątpiewaniem, lecz nic nie powiedział. Skoro dzięki tosterowi zawiniętemu w obrus chłopak, schodząc po ciemku na dół, poczuje się pewniej, niech i tak będzie.

– Dobra, może być. A teraz znajdźcie jakieś nosze. Jeśli nie będzie ich w biurze służb lotniskowych, to poszukajcie gdzie

indziej. Gdybyście nic nie znaleźli w piętnaście minut... nie, lepiej w dziesięć... wracajcie, zaniesiemy ją bez noszy.

– Nie możecie! – zawołała cicho Laurel. – Jeżeli jest krwotok wewnętrzny...

Nick podniósł na nią wzrok.

– I tak już jest. A dziesięć minut to wszystko, co możemy poświęcić.

Laurel otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, żeby się kłócić, ale powstrzymał ją ochryply szept Diny:

– On ma rację.

Don wsunął nóż za pas.

– Chodź, synu – powiedział.

We dwóch przeszli przez terminal i ruszyli po schodach na parter. Po drodze Albert owinął końcówkę obciążonego obrusa wokół dłoni.

5

Nick skupił się z powrotem na dziewczynce.

– Jak się czujesz?

– Bardzo boli – powiedziała Dina słabym głosem.

– Oczywiście, że boli – odrzekł. – I obawiam się, że przy tym, co teraz zrobię, zaboli jeszcze bardziej, przynajmniej przez kilka sekund. Ale nóż wbił ci się w płuco, więc trzeba go wyjąć. Wiesz o tym, prawda?

– Tak. – Spojrzała na niego ciemnymi, niewidzącymi oczami. – Boję się.

– Ja też, Dino. Ja też. Ale to trzeba zrobić. Gotowa?

– Tak.

– Dobra dziewczynka. – Nick nachylił się i delikatnie ucałował ją w policzek. – Dobra, dzielna dziewczynka. To nie potrwa długo, obiecuję. Spróbuj położyć się zupełnie nieruchomo i nie kasłać. Rozumiesz? To bardzo ważne. Spróbuj nie kasłać.

– Spróbuję.

– Pewnie przez chwilę będzie ci się wydawało, że nie możesz oddychać. Albo nawet poczujesz się dziurawa, zupełnie jak przebita dętka. To okropne wrażenie, słoneczko, i może zechcesz się poruszyć albo krzyknąć. Nie możesz tego zrobić. I nie możesz kasłać!

Dina coś odpowiedziała, ale nikt tego nie usłyszał.

Nick przełknął ślinę, szybkim gestem otarł ramieniem pot z czoła i odwrócił się do Laurel.

– Złóż dwa obrusy w kostkę. Bardzo grubo. Klęknij obok mnie. Jak najbliżej. Warwick, zdejmij pasek.

Rudy natychmiast zaczął wykonywać polecenie.

Nick znów popatrzył na Laurel. Ponownie uderzyła ją siła jego spojrzenia, choć tym razem to wcale nie było nieprzyjemne.

– Teraz chwycę rączkę noża i go wyciągnę. Jeśli nie zahaczył o żebro, a sądząc z pozycji, raczej nie, powinien wyjść jednym powolnym, płynnym ruchem. Gdy tylko go wyjmę, odsunę się, dając ci swobodny dostęp do klatki piersiowej Diny. Przyłóżysz do rany jeden z tych tamponów i przyciśniesz. Mocno. Masz się nie przejmować tym, że zrobisz jej krzywdę albo że za bardzo gnieciesz i mała nie może oddychać. Ma w płucu co najmniej jedną perforację, a założę się, że dwie. To właśnie tym musimy się martwić. Rozumiesz?

– Tak.

– Kiedy już przyłóżysz tampon, podniosę Dinę, a ty nie przestawaj naciskać. Jeżeli zobaczymy krew z tyłu sukienki, pan Warwick przyłoży drugi tampon z tyłu. Potem oba zepniemy jego paskiem. – Nick spojrzał na Rudy’ego. – Kiedy zawołam, masz mi go dać. Nie każ mi prosić dwa razy.

– Dobrze.

– Nick, czy widzisz wystarczająco dobrze, żeby to zrobić? – zapytała Laurel.

– Chyba tak – odparł Anglik. – Mam nadzieję. – Znowu popatrzył na Dinę. – Gotowa?

Dziewczynka coś wymamrotała.

– W porządku. – Nick głęboko wciągnął powietrze, a potem je wypuścił. – Jezu, dopomóż.

Zacisnął długie, smukłe palce na trzonku noża, jakby dzierzył kij baseballowy. Pociągnął. Dina wrzasnęła. Z jej ust obficie bryzgnęła krew. Laurel w napięciu pochylała się nad dziewczynką, więc nagle fontanna krwi oblała jej twarz. Kobieta odskoczyła.

– Nie! – krzyknął na nią Nick, nie odwracając głowy. – Nie waż mi się zmięknąć! Ani mi się waż!

Laurel znowu zgięła się nad małą. Trzęsa się i tłumiała mdłości. Ostrze, srebrny trójkąt lśniący w głębokim mroku, wyłoniło się z ciała Diny i zamigotało w górze. Klatka piersiowa niewidomej dziewczynki unosiła się i opadała, a z zasysającej powietrze rany dobiegał nieziemski gwizd.

– Teraz! – stęknął Nick. – Dociskaj! Najmocniej, jak umiesz!

Laurel się nachyliła. Przez moment widziała krew lejącą się z otworu w piersi Diny, a potem zakryła ranę. Obrus pod jej dłońmi niemal natychmiast zrobił się ciepły i mokry.

– Mocniej! – warknął na nią Nick. – Mocniej naciskaj! Zatkaj ją! Zatkaj ranę!

Laurel wreszcie zrozumiała, co to znaczy, że ktoś się rozsypał, bo teraz właśnie niewiele jej do tego brakowało.

– Nie mogę! Złamię jej żebra, jeżeli...

– Pieprzyć żebra! Musisz zatkać ranę!

Laurel przechyliła się na kolanach i przeniosła cały ciężar ciała na dłonie. Czowała wilgoć przelewającą się powoli przez jej palce, mimo że grubo złożyła obrus.

Anglik odrzucił nóż i pochylił się tak bardzo, że twarzą prawie stykał się z Diną. Dziewczynka miała zamknięte oczy. Podniósł jej jedną powiekę.

– Chyba nareszcie straciła przytomność – powiedział. – Nie jestem pewien, bo jej oczy są dziwne, ale na Boga, mam taką nadzieję. – Włosy opadły mu na czoło. Odrzucił je nerwowym ruchem głowy i spojrział na Laurel. – Dobrze ci idzie. Tak trzymaj, dobra? Teraz ją obrócę. Nie przestawaj naciskać.

– Ile krwi! – jęknęła Laurel. – Czy ona się udławi?
– Nie wiem. Naciskaj. Jest pan gotów, panie Warwick?
– Chryste, mam nadzieję – wychrypiął Rudy.
– Dobra. Zaczynamy. – Nick wsunął dłonie pod prawą łopatkę Diny i wykrzywił twarz. – Jest gorzej, niż myślałem – mruknął. – Znacznie gorzej. Ona jest cała mokra!

Zaczął powoli podnosić małą, kontrując napór Laurel. Dina wydała z siebie stłumiony, chrapliwy jęk. Z jej ust wystrzeliła pecyna na wpół zaschniętej krwi i rozprysnęła się na podłodze. Laurel usłyszała bębnienie deszczu krwi o wykładzinę pod dziewczynką.

Nagle cały świat zaczął odpływać.

– Naciskaj! – krzyknął Nick. – Nie przestawaj!

Ale ona mdlała.

Do kolejnego kroku popchnęła ją świadomość, co pomyśli sobie o niej Nick Hopewell, jeśli naprawdę zemdleje. Wywaliała język między zęby jak dziecko, które robi głupią minę, a potem ugryzła najsilniej, jak mogła. Ból był wyrazisty i przejmujący; słony smak własnej krwi natychmiast wypełnił jej usta, jednak wrażenie, że świat odpływa niczym duża leniwa ryba w akwarium, ustało. Laurel znów znajdowała się tu i teraz.

Nagle z dołu dobiegł skowyt bólu i zaskoczenia. Po nim nastąpił chrapliwy okrzyk. Zaraz potem zabrzmiał głośny, przenikliwy krzyk.

Rudy i Laurel obrócili się w tamtą stronę.

– Chłopak! – odezwał się Rudy. – Chłopak i Gaffney! Oni...

– Jednak znaleźli pana Toomy'ego – stwierdził Nick. Jego twarz była skomplikowaną maską znamionującą wysiłek. Ściągnięta na szyi naprężyły się niczym stalowe linki. – Możemy tylko mieć nadzieję...

Z dołu dobiegł łomot, a potem ktoś straszliwie zawył z bólu. Następnie rozległa się seria stłumionych stuknięć.

– ...że panują nad sytuacją. Teraz im nie pomożemy. Jeśli przerwiemy to, co robimy, dziewczynka umrze na pewno.

– Ale to chyba ten młody!

– Nic nie poradzimy. Natychmiast wsuwaj tampon pod dziewczynkę, Warwick, albo skopię ci tyłek.

6

Don pierwszy zszedł po schodach ruchomych, a potem zatrzymał się na chwilę, żeby poszukać czegoś w kieszeni. Wyjął kwadratowy przedmiot, który lekko błyszczał w ciemności.

– Moja zapalniczka Zippo – powiedział. – Myślisz, że jeszcze działa?

– Nie wiem – odrzekł Albert. – Możliwe, że tak... przez chwilę. Niech pan jej lepiej nie używa, chyba że będzie trzeba. Oby działała. Bez niej nic nie zobaczymy.

– Gdzie są te służby lotniskowe?

Albert wskazał drzwi, przez które pięć minut wcześniej wszedł Craig Toomy.

– Tam.

– Myślisz, że otwarte?

– Tylko w jeden sposób można się o tym przekonać – odpowiedział chłopak.

Ruszyli przez terminal. Don wciąż szedł przodem, z zapalniczką w prawej dłoni.

7

Craig usłyszał, jak nadchodzą – to z pewnością kolejni słudzy langolierów. Uporał się z tym czymś, co udawało ślepą dziewczynkę, więc z pozostałymi też się upora. Zacisnął dłoń na nożu do papieru, wstał i znowu obszedł biurko.

– Myślisz, że otwarte?

– Tylko w jeden sposób można się o tym przekonać.

Rzeczywiście się o czymś przekonacie, pomyślał Craig. Dotarł do ściany obok drzwi. Wzdłuż niej stały regały pełne dokumentów. Wyciągnął rękę i namacał zawiasy. Dobrze.

Otwierające się drzwi go zasłonią... choć i tak raczej by go nie zobaczyli. Tu było czarno jak w dupie słonia. Craig uniósł nóż do papieru.

– Klamka się nie rusza.

Craig odprężył się... ale tylko na chwilę.

– Niech pan spróbuje pchnąć. – To ten gówniarz mądrała.

Drzwi zaczęły się otwierać.

8

Don wszedł do środka i zamrugał w ciemności. Uniósł zapalniczkę, kciukiem otworzył pokrywkę i pokręcił kółkiem. Błysnęła iskra, knot od razu zajął się niskim płomieniem. Zobaczyli pomieszczenie stanowiące najwyraźniej kombinację biura z magazynem. W kącie znajdował się nieporządny stos walizek, w drugim – kserokopiarka. Ścianę na wprost wypełniały półki, półki zaś były wypełnione przeróżnymi formularzami.

Don wszedł głębiej do pomieszczenia, unosząc nad głową zapalniczkę niczym grotołaz migoczącą świecę w ciemnej jaskini. Wskazał na ścianę po prawej.

– Ej, młody! Ace! Zobacz!

Wisiał tam plakat przedstawiający wstawionego gościa w garniturze, który wytaczał się z baru i patrzył na zegarek. Napis głosił: PRACA JEST PRZEKLEŃSTWEM KLASY PIJĄCEJ. Obok plakatu znajdowała się biała plastikowa skrzynka z dużym czerwonym krzyżem. Pod nią były nosze, oparte o ścianę... takie z kółkami.

Albert nie patrzył jednak ani na plakat, ani na apteczkę, ani na nosze. Wbił wzrok w biurko pośrodku pokoju.

Na blacie zobaczył stertę urwanych pasków papieru.

– Uwaga! – wrzasnął. – Uwaga, on tu j...

Craig Toomy wyszedł z za drzwi i uderzył.

9

– Pasek – rzucił Nick.

Rudy nie ruszył się i nie odpowiedział. Odwracał głowę w stronę drzwi restauracji. Odgłosy z parteru ustały. Teraz słyhać było tylko terkot oraz równe dudnienie silników odrzutowych w ciemności na zewnątrz.

Nick wierzgnął do tyłu jak osioł, trafiając Rudy'ego w brodę.

– Au!

– Pasek! Już!

Rudy niezdarnie upadł na kolana i doskoczył do Nicka, który jedną ręką trzymał Dinę, a drugą przyciskał do jej pleców tampon z obrusa.

– Wsuń pasek pod spód – poinstruował Anglik. Dyszał, pot spływał mu z twarzy szerokimi strugami. – Szybko! Nie mogę jej tak trzymać w nieskończoność!

Rudy wykonał polecenie. Nick opuścił dziewczynkę, sięgnął przez jej drobne ciało i uniósł jej lewe ramię na tyle, żeby wyjąć pasek z drugiej strony. Potem oplótł nim klatkę piersiową Diny i mocno zaciągnął. Wolny koniec wetknął w rękę Laurel.

– Ucisk ma nie słabnąć – powiedział, wstając. – Nie możesz użyć klamry, bo dziewczynka jest zbyt drobna.

– Idziesz na dół? – zapytała Laurel.

– Tak. To chyba wskazane.

– Uważaj. Proszę, uważaj.

Uśmiechnął się do niej i ten nagły błysk białych zębów w mroku był zaskakujący... ale, jak odkryła, bynajmniej nie przerażał. Wręcz przeciwnie.

– Oczywiście. Właśnie tak sobie w życiu radzę. – Opuścił rękę i ścisnął jej ramię. Dłoń Nicka była ciepła, pod jej dotykiem kobieta poczuła lekki dreszcz. – Dobrze się spisałaś, Laurel. Dziękuję.

Już się odwracał, kiedy mała rączka złapała go za nogawkę dżinsów. Spojrzał w dół i zobaczył, że ślepe oczy Diny znowu są otwarte.

– Nie... – zaczęła dziewczynka, a potem kichnęła. Krew trysnęła jej z nosa drobną mgiełką.

– Dino, nie możesz...

– Nie... może go pan... zabić! – powiedziała i nawet w ciemności Laurel widziała, jaki wysiłek sprawia jej mówienie.

Nick popatrzył na nią z troską.

– Słuchaj, ten skurczybyk pchnął cię nożem. Dlaczego tak ci zależy, żeby uratować mu skórę?

Wąska klatka piersiowa dziewczynki napięła się pod pasem. Zakrwawiony tampon z obrusa drgnął. Dina natężyła się i zdołała wypowiedzieć jeszcze jedno zdanie. Wszyscy je usłyszeli; włożyła ogromny wysiłek w to, by mówić wyraźnie.

– Wiem... tylko... że jest nam potrzebny – szepnęła, a potem zamknęła oczy.

10

Craig wbił nóż do papieru w kark Dona Gaffneya aż po uchwyt. Don wrzasnął i upuścił zapalniczkę. Spadła na podłogę i leżała tam, słabo migocząc. Albert krzyknął z zaskoczenia, bo widział, jak Craig idzie za Donem, który teraz zataczał się w stronę biurka, resztką sił usiłując namacać sterczący przedmiot.

Craig jedną ręką złapał nóż, a drugą położył Donowi na plecach. Jednocześnie szarpnął i pchnął, a wtedy Albert usłyszał taki dźwięk, jakby ktoś głodny oderwał udko od wypieczonego indyka. Don znowu krzyknął, tym razem głośniejszym głosem, a potem runął na biurko z wyciągniętymi rękami. Strącił tackę na korespondencję oraz stos formularzy do zgłaszania zagubionego bagażu, które Craig rwał na kawałki.

Craig odwrócił się w stronę Alberta, chlapiąc krwią z noża do papieru.

– Ty też jesteś jednym z nich – wydyszał. – Pieprz się. Jadę do Bostonu i ty mnie nie powstrzymasz. Nikt z was mnie nie powstrzyma.

Potem zapalniczka zgasła i pograżyli się w ciemności.

Albert cofnął się o krok i poczuł na twarzy powiew ciepłego powietrza, kiedy Craig machnął ostrzem tam, gdzie on stał jeszcze przed sekundą. Wolną ręką kołysał po omacku za plecami, przerażony, że wycofa się w kąt, gdzie Craig będzie mógł użyć noża (w bladym, gasnącym świetle zapalniczki wydawało mu się, że to normalny nóż), jak tylko zechce, a broń Alberta okaże się nie dość, że głupia, to jeszcze bezużyteczna. Palce chłopaka odnalazły pustą przestrzeń i wycofał się przez drzwi do holu. Nie czuł się zimny jak głaz; nie czuł się najszybszym starozakonnym po żadnej stronie Missisipi; nie czuł się szybszy niż błyskawica. Czuł się jak wystraszony chłopak, który bezmyślnie wybrał zabawkę z dzieciństwa zamiast prawdziwej broni, bo nie mógł uwierzyć – tak naprawdę uwierzyć – że dojdzie do czegoś takiego, chociaż widział, co ten pomyłony dupek zrobił dziewczynce na górze. Albert czuł swój zapach. Nawet w tym martwym powietrzu czuł swój zapach. To był zjełczały smród strachu.

Craig wyłonił się z pomieszczenia z uniesionym nożem do papieru. Poruszał się w ciemności niczym tańczący cień.

– Widzę cię, synuś – wydyszał. – Widzę cię jak kot.

Popłynął naprzód. Albert wycofywał się tyłem. Jednocześnie zaczął kołysać tosterem, pamiętając, że będzie miał tylko jedną próbę, zanim Toomy ruszy na niego i wbije mu ostrze w gardło albo w pierś.

A jeżeli ten cholerny toster wyleci z koszyczka, zanim go uderzy, pomyślał Albert, to już po mnie.

11

Craig zbliżał się, kołysząc tułowiem niczym wąż wylaniający się z kosza. W kącikach jego ust pojawił się nieobecny uśmiezek, od którego robiły się tam dołeczki. *Tak jest* – odezwał się ponuro jego ojciec ze swej wiecznej fortecy w umyśle Craiga. *Skoro musisz załatwiać ich po kolei, to właśnie to zrobisz. TSO. Pamiętasz, Craig? TSO. Trud Się Oplaca.*

Właśnie, Craiguniu – wtrąciła matka. Zrobisz to, bo musisz to zrobić.

– Przykro mi – mruknął z uśmiechem Craig do bladego chłopca. – Naprawdę bardzo mi przykro, ale muszę to zrobić. Gdybyś zobaczył wszystko z mojej perspektywy, tobyś zrozumiał.

Zbliżył się do Alberta, unosząc nóż do papieru na wysokość oczu.

12

Albert obejrzał się prędko i zobaczył, że wycofuje się w stronę stanowiska United Airlines. Jeszcze kilka kroków i nie będzie mógł wykonać pełnego zamachu. Musiał działać szybko. Zaczął mocniej kołysać tosterem, zaciskając spoconą dłoń na zwiniętym końcu obrusa.

Craig dostrzegł w ciemności ten ruch, ale nie widział, czym ten młody wymachuje. To bez znaczenia. Nie mógł przypisywać temu znaczenia. Zebrał się w sobie i rzucił się naprzód.

– JADĘ DO BOSTONU! – wrzasnął. – JADĘ DO...

Wzrok Alberta przyzwyczajają się już do mroku, więc chłopak zauważył atak Craiga. Toster był teraz z tyłu, ale zamiast szarpnąć nadgarstkiem w przód, by odwrócić jego kierunek, Albert pozwolił, żeby pęd urządzenia pokierował jego ramieniem, i z całej siły zamachnął się w górę, nad głową. Jednocześnie zrobił krok w lewo. Toster na końcu obrusa zatoczył w powietrzu ostry łuk; dzięki sile dośrodkowej mocno tkwił w swym koszyczku. Craig ułatwił Albertowi zadanie, bo szedł naprzód wprost pod opadający ciężar. Toster z ostrym, bezdźwięcznym chrzęstem trafił go w czoło i grzbiet nosa.

Craig zawył z bólu i wypuścił nóż do papieru. Podniósł ręce do twarzy, zataczając się w tył. Krew ze złamanego nosa lała mu się między palcami jak woda z rozbitego hydrantu. Albert był przerażony tym, co zrobił, ale jeszcze bardziej bał się przerwać teraz, kiedy Toomy był ranny. Wykonał krok w lewo i zamachnął się z boku. Toster pomknął w powietrzu i z głośnym hukiem

uderzył Craiga w pierś. Mężczyzna przewrócił się do tyłu, ciągle wyjąc.

Dla Alberta „Ace’a” Kaussnera liczyła się tylko jedna myśl; wszystko inne było fragmentarycznym kłębowiskiem kolorów, obrazów i emocji.

Muszę sprawić, że przestanie się ruszać, inaczej wstanie i mnie zabije; muszę sprawić, że przestanie się ruszać, inaczej wstanie i mnie zabije.

Przynajmniej Toomy wypuścił broń; lśniła teraz na wykładzinie korytarza. Albert przydepnął ją stopą, a potem znów zamachnął się tosterem. Gdy ten spadał, chłopak zgiął się w pasie niczym staromodny lokaj, który wita członka rodziny królewskiej. Ciężar na końcu obrusa grzmotnął w dyszące usta Craiga Toomy’ego. Rozległo się coś jak odgłos szkła kruszonego w chusteczce.

O Boże, pomyślał Albert. To jego zęby.

Craig rzucał się i wił na podłodze. Okropnie było na niego patrzeć, chyba jeszcze gorzej z powodu ciemności. Jego straszliwa żywotność miała w sobie coś potwornego, niezniszczalnego, owadziego.

Dłoń mężczyzny zacisnęła się na mokasyńce Alberta. Chłopak z cichym okrzykiem obrzydzenia zdjął nogę z noża do papieru, a wtedy Craig spróbował go złapać. Pomiędzy oczami jego nos był pękniętą bulwą mięsa. Craig prawie nie dostrzegał Alberta; jego pole widzenia wypełniała olbrzymia biała poświata. W głowie dźwięczał mu wysoki, równy wizg, dźwięk ekranu kontrolnego w telewizji rozkręcony na pełny regulator.

Craig nie mógł już nikomu zrobić krzywdy, ale Albert o tym nie wiedział. W panice jeszcze raz spuścił toster na głowę mężczyzny. Rozległ się metaliczny chrzęst, gdy obluzowały się elementy grzewcze.

Craig przestał się ruszać.

Albert stał nad nim, łykając powietrze, a obciążony obrus dyndał mu w dłoni. Potem zrobił dwa długie chwiejne kroki

w stronę schodów ruchomych, zgiął się wpół i zwymiotował na podłogę.

13

Brian przeżegnał się, a potem podniósł czarną plastikową osłonę, która przykrywała wyświetlacz terminalu inercyjnego systemu nawigacji boeinga 767. W głębi duszy podejrzewał, że będzie gładki i pusty. Przyjrzał mu się uważnie i głęboko odetchnął z ulgą.

OSTATNI PROGRAM WYKONANY

poinformował ekran chłodnymi niebieskozielonymi literami, a poniżej wyświetliło się:

NOWY PROGRAM? T N

Brian wcisnął T, a potem:

ODWRAP29: LAX/LOGAN

Ekran na chwilę ściemniał. Potem:

UWZGLĘDNIĆ ZMIANĘ KIERUNKU W PROGRAMIE ODWROTNYM AP 29? T N

Brian wcisnął T.

OBLICZANIE KURSU ODWROTNEGO

poinformował ekran, a po niecałych pięciu sekundach oznajmił:

PROGRAM GOTOWY

– Panie kapitanie?

Brian się odwrócił. W drzwiach kokpitu stała Bethany. W blasku wewnętrznych świateł wydawała się blada i wymizerowana.

– Jestem teraz trochę zajęty, Bethany.

– Dlaczego oni jeszcze nie wrócili?

– Nie potrafię powiedzieć.

– Pytałam Boba, to znaczy pana Jenkinsa, czy widzi jakiś ruch w terminalu. Powiedział, że nie. A jeśli wszyscy nie żyją?

– Na pewno żyją. Jeżeli dzięki temu lepiej się poczujesz, dołącz do Boba u dołu schodów. Mam tu jeszcze trochę roboty.

Przynajmniej taką mam nadzieję, dodał w myślach.

– Boi się pan? – zapytała dziewczyna.

– Jeszcze jak!

Lekko się uśmiechnęła.

– W sumie się cieszę. Niedobrze bać się całkiem w pojedynkę. Już pana zostawiam.

– Dziękuję. Na pewno niedługo się pojawią.

Wyszła. Brian odwrócił się z powrotem do monitora inercyjnego systemu nawigacji i wpisał:

CZY SĄ PROBLEMY Z TYM PROGRAMEM?

Wcisnął WYKONAJ.

NIE MA PROBLEMÓW. DZIĘKUJEMY ZA LATANIE Z AMERICAN PRIDE.

– Nie ma za co – mruknął Brian i otarł czoło rękawem.

Oby tylko paliwo chciało się palić, pomyślał.

Bob usłyszał kroki na schodkach i szybko się obrócił. To tylko Bethany, schodziła wolno i ostrożnie, ale i tak się niepokoił.

Dźwięk dobiegający ze wschodu stopniowo stawał się coraz głośniejszy.

Bliższy.

– Cześć, Bethany. Mogę dostać papierosa?

Podetknęła mu przetrzebioną paczkę, a potem sama wzięła jednego. Eksperymentalny kartonik zapalek Alberta był wetknięty za celofanowe opakowanie. Pierwsza z nich zapaliła się od razu.

– I co, ani śladu?

– Cóż, to zależy od tego, jakie „ślady” masz na myśli – odrzekł Bob ostrożnie. – Tuż przed twoim przyjściem chyba słyszałem krzyki.

Tak naprawdę słyszał raczej wrzaski – albo wręcz skowyt, jeśli być precyzyjnym – nie widział jednak powodu, by mówić o tym dziewczynie. Wyglądała na równie wystraszoną jak on, a poza tym odniósł wrażenie, że polubiła Alberta.

– Mam nadzieję, że Dinie nic nie będzie – powiedziała. – Ale sama nie wiem. Mocno ją poharatał.

– Widziałaś się z kapitanem?

Bethany przytaknęła.

– Właściwie to mnie wyrzucił. Chyba programuje przyrządy albo coś w tym stylu.

Bob Jenkins z powagą kiwnął głową.

– Mam nadzieję.

Rozmowa się urwała. Oboje spojrzeli na wschód. Spod chrzęstu i przeżuwania wyłaniał się nowy, jeszcze bardziej złowrogi dźwięk: wysoki, nieożywiony wrzask. Był dziwnie mechaniczny, kojarzył się Bobowi z automatyczną skrzynią biegów, w której brakuje smaru.

– To coś jest już dużo bliżej, prawda?

Bob niechętnie przytaknął. Gdy zaciągnął się papierosem, rozżarzona końcówka na moment oświetliła parę zmęczonych, przerażonych oczu.

– Jak pan myśli, co to jest?

Powoli pokręcił głową.

– Drogie dziecko, mam nadzieję, że nigdy się tego nie dowiemy.

15

W połowie długości schodów ruchomych Nick zobaczył postać zgiętą przed ciągiem bezużytecznych automatów telefonicznych. Nie dało się stwierdzić, czy to Albert, czy Craig Toomy. Sięgnął do prawej przedniej kieszeni, przytrzymał ją lewą ręką, żeby uniknąć brzęczenia, i po omacku wybrał dwie ćwierćdolarówki. Prawą dłoń zacisnął w pięść, a monety wsunął między palce, tworząc prowizoryczny kastet. Potem ruszył w głąb holu.

Gdy się zbliżał, postać przy automatach podniosła głowę. Był to Albert.

– Niech pan nie wdepnie w rzygi – powiedział głucho.

Nick wrzucił drobne z powrotem do kieszeni i podbiegł do chłopaka, stojącego z rękami wspartymi o kolana niczym starzec, który stanowczo przecenił swe zdolności gimnastyczne. Czuł ostrą, kwaśną woń wymiocin. Ona, a także przepojony strachem smród potu bijący od Alberta były mu aż nader znajome. Poznał je na Falklandach, a jeszcze lepiej w Irlandii Północnej. Lewym ramieniem objął chłopaka. Ten wyprostował się bardzo powoli.

– Gdzie oni są, Ace? – spytał cicho Nick. – Gaffney i Toomy, gdzie oni są?

– Pan Toomy tam. – Albert wskazał sponiewieraną postać na podłodze. – Pan Gaffney w biurze służb lotniskowych. Chyba obaj nie żyją. Pan Toomy był w biurze. Pewnie za drzwiami. Zabił pana Gaffneya, bo on wszedł pierwszy. Gdybym to ja wszedł pierwszy, zamiast niego zabiłby mnie. – Albert głośno przełknął ślinę. – A potem ja zabiłem pana Toomy’ego. Musiałem. Ruszył na mnie, rozumie pan? Znalazł gdzieś drugi nóż i ruszył na mnie.

Mówił tonem, który ktoś mógłby wziąć za obojętność, ale Nick wiedział lepiej. I bynajmniej nie białe widmo obojętności widział teraz na twarzy chłopaka.

– Potrafisz wziąć się w garść, Ace? – zapytał.

– Nie wiem. Jeszcze nigdy nikogo nie z...z...zabiłem i... – Z piersi Alberta wydobył się stłumiony, żałosny szloch.

– Rozumiem cię – powiedział Nick. – To straszne uczucie, ale można się z nim uporać. Świetnie o tym wiem. I ty się uporasz, Ace. Wiele mil od snu nas dzieli i nie ma czasu na terapię. Dźwięk jest coraz głośniejszy.

Zostawił Alberta i podszedł do sponiewieranej postaci na podłodze. Craig Toomy leżał na boku z częściowo uniesioną ręką, która zasłaniała mu twarz. Nick obrócił go na plecy, spojrzał i gwizdnął cicho. Toomy nadal żył – słysząc było jego chrapliwy oddech – ale Anglik założyłby się o zawartość swego konta bankowego, że tym razem ten człowiek nie udaje. Jego nos nie został po prostu złamany; praktycznie przestał istnieć. Usta były krwawym otworem okolonym resztkami strzaskanych zębów. Głębokie okropne wgniecenie pośrodku czoła wskazywało na to, że Albert twórczo przemodelował mu czaszkę.

– I zrobił to wszystko tosterem?! – mruknął Nick. – Jezus, Maria, Józefie święty. – Podniósł się i odezwał głośno: – Ace, on nie umarł.

Po odejściu Nicka chłopak znowu się skulił. Teraz powoli się wyprostował i zrobił krok w stronę Anglika.

– Nie?

– Sam posłuchaj. Jest nieprzytomny, ale jeszcze dycha. – Ale tak to brzmi, że już chyba niedługo, dodał w myślach Nick. – Zajrzyjmy do pana Gaffneya, może jemu też się upiekło. A co z noszami?

– Hm? – Albert spojrzał na niego takim wzrokiem, jakby mówiono do niego w obcym języku.

– Z noszami – powtórzył cierpliwie Nick po drodze do otwartych drzwi biura służb lotniskowych.

– Znaleźliśmy je – odparł chłopak.

– Naprawdę? Świetnie!

Albert zatrzymał się tuż za progiem.

– Moment – mruknął, po czym przykucnął i zaczął szukać zapalniczki Dona. Namacał ją po chwili. Była jeszcze ciepła.

Wstał. – Pan Gaffney jest chyba po drugiej stronie biurka.

Ruszyli wokół mebla, przestępując nad zrzuconymi papierami oraz tacką na korespondencję. Albert uniósł zapalniczkę i pokręcił kółkiem. Za piątą próbą knot zapłonął i palił się słabo przez trzy czy cztery sekundy. To wystarczyło. Zresztą Nick dosyć już zobaczył w blasku iskier kółka zapalniczki, ale nie chciał tego mówić Albertowi. Don Gaffney leżał na plecach jak długi, z otwartymi oczami i straszliwym zaskoczeniem wciąż wypisanym na twarzy. Jednak mu się nie upiekło.

– Jak to się stało, że Toomy i ciebie nie załatwił? – spytał Nick po chwili.

– Zorientowałem się, że tu jest – wyjaśnił Albert. – Zorientowałem się, jeszcze zanim rzucił się na pana Gaffneya.

Jego głos wciąż był chrapliwy i drżący, ale chłopak czuł się już trochę lepiej. Pomogło, że zobaczył biednego pana Gaffneya – że spojrział mu w oczy, jeśli można tak powiedzieć.

– Usłyszałeś go?

– Nie, zobaczyłem to. Na biurku. – Albert wskazał stertę porwanego papieru.

– Całe szczęście. – W ciemności Nick położył mu dłoń na ramieniu. – Zasługujesz, żeby żyć, chłopie. Zapracowałeś sobie na ten przywilej. Dobra?

– Postaram się – obiecał Albert.

– Koniecznie, staruszk. Zaoszczędzisz sobie masy koszmarów. Rozmawiasz z facetem, który coś o tym wie.

Albert pokiwał głową.

– Trzymaj się, Ace – dodał Nick. – To cała filozofia: trzymaj się, a wszystko będzie dobrze.

– Proszę pana...

– Tak?

– Czy może pan mnie tak nie nazywać? Już... – Głos utknął mu w gardle i Albert gwałtownie odchrząknął. – Już chyba mi się to nie podoba.

Z ciemnej jaskini biura służb lotniskowych wyłonili się pół minuty później. Nick niósł złożone nosze, trzymając je za uchwyt. Dotarłszy do ciągu telefonów, przekazał nosze Albertowi, a chłopak przejął je bez słowa. Obrus leżał na ziemi półtora metra od Toomy'ego, który teraz chrapał, arytmicznie łykając powietrze.

Czas się kończył, czas się, kurwa, kończył, ale Nick musiał zobaczyć to na własne oczy. Musiał.

Podniósł obrus i wyciągnął toster. Jeden z elementów grzewczych utknął w otworze na grzanki, drugi wypadł na podłogę. Pokrętko regulacji czasu oraz rączka, którą opuszcza się pieczywo, odpadły. Róg tosterka był wgięty. W bocznej ścianie znajdowało się głębokie, okrągłe wgłębienie.

To właśnie tą częścią kolega Toomy dostał w nochał, pomyślał Nick. Niesamowite. Potrząsnął tosterem, słuchając grzechotu oderwanych części.

– Toster – powiedział z zachwytem. – Mam znajomych, Albercie, zawodowców, którzy nigdy by w to nie uwierzyli. Sam ledwie wierzę. No bo... toster!

Albert obrócił głowę.

– Niech pan go wyrzuci – odezwał się chrapliwie. – Nie chcę na niego patrzeć.

Nick spełnił jego prośbę, a potem klepnął go po ramieniu.

– Zanieś nosze na górę. Zaraz do was dołączę.

– Co pan chce zrobić?

– Sprawdzę, czy w biurze jest coś jeszcze, co może nam się przydać.

Albert przyglądał mu się przez chwilę, ale w ciemności nie widział jego rysów. W końcu powiedział:

– Nie wierzę panu.

– Nie musisz – odrzekł Nick osobliwie łagodnym tonem. – Idź już, Ace... to znaczy Albercie. Dołączę do was. I nie oglądaj się.

Albert patrzył na niego jeszcze przez moment, po czym powlókł się w górę po zamaryłych schodach ruchomych; głowę

miął spuszczoną, nosze dyndały mu w prawej ręce jak walizka. Nie obejrzał się.

17

Nick odczekał, aż chłopak zniknie w mroku. Potem podszedł do Craiga Toomy'ego i przykucnął nad nim. Toomy nadal był nieprzytomny, ale jego oddech trochę się ustabilizował. Nick podejrzewał, że po tygodniu czy dwóch intensywnej opieki medycznej mógłby się wylizać. Jedno udowodnił z pewnością: miał niesamowicie twardy łeb.

Szkoda, chłopie, że mózg pod spodem taki miękki, pomyślał Nick. Wyciągnął ręce, żeby jedną dłonią zakryć mu usta, a drugą nos – lub to, co z niego zostało. Wystarczyłaby niespełna minuta i nie musieliby się już dłużej przejmować panem Craigiem Toomym. Pozostali oburzyliby się tym straszliwym czynem – nazwaliby go morderstwem z zimną krwią – ale dla Nicka była to ni mniej, ni więcej, tylko polisa ubezpieczeniowa. Toomy, rzekomo zupełnie nieprzytomny, już raz się podniósł i teraz jedna osoba nie żyła, a druga odniosła poważne, może wręcz śmiertelne obrażenia. Bezsensem byłoby ryzykować ponownie.

Chodziło o coś jeszcze. Gdyby Nick zostawił Toomy'ego przy życiu, to właściwie po co? Żeby darować mu krótką chwilę udręczonej egzystencji w martwym świecie? Szansę odetchnięcia konającym powietrzem pod zastygłym niebem, na którym ustały wszelkie zjawiska pogodowe? Okazję spotkania z tym, co zbliża się ze wschodu... zbliża się z dźwiękiem, jaki mogłaby wydawać kolonia gigantycznych żarłocznych mrówek?

Nie. Lepiej mu tego oszczędzić. Przynajmniej będzie bezbolesne.

– To i tak lepszy los niż to, na co sukinsyn sobie zasłużył – powiedział Nick, lecz mimo wszystko się wahał.

Pamiętał, jak dziewczynka spojrzała na niego tymi ciemnymi, niewidzącymi oczami.

„Nie może go pan zabić!” – to nie była prośba; to był rozkaz. Żeby mu go wydać, Dina zaczerpnęła resztkę siły z jakiejś ukrytej rezerwy. „Wiem tylko, że jest nam potrzebny”.

Dlaczego, u diabła, ona tak go chroni?

Nick jeszcze przez chwilę kucał, wpatrując się w zmasakrowaną twarz Craiga Toomy’ego. A kiedy ze szczytu schodów odezwał się Rudy Warwick, Anglik podskoczył, jakby usłyszał głos samego diabła.

– Panie Hopewell? Nick? Idzie pan?

– Za momencik! – rzucił Anglik przez ramię.

Znów wyciągnął dłonie w kierunku twarzy Toomy’ego i znów się zatrzymał, przypomniawszy sobie te jej ciemne oczy.

„Jest nam potrzebny”.

Wstał gwałtownie, pozwalając Craigowi Toomy’emu dalej z bólem łykać powietrze.

– Już idę! – zawołał i lekko wbiegł po schodach ruchomych.

ROZDZIAŁ 8

**Tankowanie. Wczesne światło dnia.
Nadejście langolierów.
Anioł poranka.
Wieczni strażnicy czasu.
Start.**

1

Bethany odrzuciła niemal pozbawionego smaku papierosa i właśnie wchodziła po schodkach, gdy Bob Jenkins zawołał:

– Chyba idą!

Odwróciła się i zbiegła z powrotem. Z otworu bagażowego wyłoniło się kilka ciemnych plam, które teraz pełzły po taśmociągu. Bob i Bethany pobiegli im na spotkanie.

Dina była przypięta do noszy. Jeden koniec trzymał Rudy, a drugi Nick. Posuwali się na kolanach. Bethany słyszała chrapliwy, zziajany oddech łysego mężczyzny.

– Pomogę – zaproponowała mu.

Rudy chętnie przekazał jej swój koniec noszy.

– Postaraj się nie trząść – powiedział Nick, spuszczaając nogi z taśmociągu. – Albercie, idź do Bethany i pomóż wnieść małą po schodach. Musimy trzymać nosze tak prosto, jak tylko się da.

– Co z nią? – zapytała Bethany Alberta.

– Niedobrze – odparł ponuro. – Jest nieprzytomna, ale żyje. Tyle wiem.

– Gdzie Gaffney i Toomy? – spytał Bob, gdy szli przez płytę do samolotu. Musiał nieco podnieść głos, żeby go usłyszano; chrzęst był coraz donośniejszy, a ów jęk uszkodzonej przekładni stawał się dominującą nutą.

– Gaffney nie żyje, a Toomy może już także – odparł Nick. – W tej chwili nie ma czasu. – Zatrzymał się pod samolotem. – Trzymajcie swój koniec wysoko.

Powoli, ostrożnie wspięli się z noszami po schodkach. Nick, pochylony, szedł tyłem, a Albert i Bethany podnieśli drugi koniec na wysokość głowy i szli obok siebie po wąskich stopniach. Bob, Rudy oraz Laurel podążali za nimi. Od powrotu Alberta i Nicka Laurel odezwała się tylko raz: żeby spytać, czy Toomy nie żyje. Gdy Nick odpowiedział, że żyje, przyjrzała mu się uważnie, a potem z ulgą pokiwała głową.

Kiedy Nick dotarł do szczytu schodów i delikatnie wsunął swój koniec noszy do kabiny, Brian stał w drzwiach kokpitu.

– Chcę ją położyć w pierwszej klasie i tak unieść ten koniec, żeby miała głowę w górze – powiedział Anglik. – Da się to zrobić?

– Bez problemu. Przymocuj nosze, przeplatając kilka pasów bezpieczeństwa przez ramę od strony głowy. Widzisz gdzie?

– Tak – rzucił Nick i zwrócił się do Alberta i Bethany: – Wchodźcie. Dobrze wam idzie.

W świetle lamp kabiny krew rozmazana na policzkach i brodzie Diny ostro odcinała się od jej żółtawobiałej skóry. Dziewczynka miała zamknięte oczy; powieki przybrały lekko lawendowy odcień. Pod paskiem, w którym Nick zrobił dodatkową dziurkę, w dużej odległości od pozostałych, prowizoryczny opatrunek był ciemnoczerwony. Brian słyszał oddech małej. Brzmiał jak zasysanie przez słomkę powietrza z dna prawie pustej szklanki.

– Jest źle, prawda? – spytał cicho Brian.

– Dostała w płuco, a nie w serce, więc klatka piersiowa nie wypełnia się krwią tak szybko, jak się obawiałem... ale owszem, jest źle.

– Przeżyje, aż wrócimy?

– Skąd mam wiedzieć, do cholery?! – wrzasnął Nick. – Jestem żołnierzem, nie konowałem!

Pozostali znieruchomieli. Spojrzeli na niego z niepokojem. Laurel znowu poczuła ciarki.

– Wybaczcie – wymamrotał Nick. – Podróże w czasie szargają człowiekowi nerwy. Przepraszam.

– Nie ma za co. – Laurel dotknęła jego ramienia. – Wszyscy jesteśmy w stresie.

Odpowiedział zmęczonym uśmiechem i musnął dłonią jej włosy.

– Jesteś kochana, Laurel, no i masz rację. Chodźmy. Przypniemy małą, a potem zobaczymy, czy można się stąd wynieść.

2

Pięć minut później nasze Diny były już przymocowane do dwóch foteli w pierwszej klasie. Głowę miała wyżej, a nogi opuszczone. Reszta pasażerów zebrała się ciasną gromadką wokół Briana w części dla personelu pokładowego.

– Trzeba zatankować samolot – powiedział kapitan. – Włączę teraz drugi silnik, a potem podjadę jak najbliżej boeinga siedemset dwadzieścia siedem. – Wskazał maszynę linii Delta, która w mroku była tylko szarą plamą. – Ponieważ nasz samolot jest wyższy, mogę nakryć naszym prawym skrzydłem lewe skrzydło Delty. Tymczasem czworo z was przywiezie tu wózek do tankowania. Jeden taki stoi przy sąsiednim rękawie. Widziałem go, zanim się ściemniło.

– Może lepiej obudźmy Śpiącą Królową z końca samolotu. Niech nam pomoże – zaproponował Bob.

Brian zastanowił się, a potem pokręcił głową.

– Ostatnie, czego nam teraz trzeba, to jeszcze jeden wystraszony, dezorientowany pasażer, na dodatek na zabójczym kacu. Zresztą nie będzie nam potrzebny. W ostateczności taki wózek mogą pchać dwaj silni mężczyźni. Widziałem na własne oczy. Upewnijcie się tylko, że dźwignia skrzyni biegów jest na luzie. Wózek ma stanąć pod nachodzącymi na siebie skrzydłami. Zrozumiano?

Wszyscy przytaknęli. Brian przyjrzał im się i stwierdził, że Rudy i Bethany są wciąż zbyt zdyszani po dźwiganiu noszy, żeby się teraz przydać.

– Nick, Bob i Albert, wy pchacie. Laurel, ty kierujesz. Dobrze?

Kiwnęli głowami.

– No to ruszajcie. Bethany, panie Warwick, idźcie z nimi. Odciągnijcie schodki, a kiedy przestawię samolot, dosuńcie je do nakładających się skrzydeł. Do skrzydeł, nie do drzwi. Jasne?

Skinęli głowami. Patrząc na nich, Brian stwierdził, że po raz pierwszy od wylądowania ich spojrzenia są jasne i przejrzyste. Oczywiście, pomyślał. Wreszcie mają co robić. Ja też, dzięki Bogu.

3

Kiedy zbliżali się do wózka do tankowania, który stał na lewo od nieużywanego rękawa, Laurel zorientowała się, że go widzi.

– Boże – odezwała się. – Znowu robi się jasno. Jak dawno temu zapadł zmrok?

– Według mojego zegarka niecałe czterdzieści minut temu – odpowiedział Bob. – Ale mam wrażenie, że poza samolotem mój zegarek niezbyt dokładnie mierzy czas. Zresztą czas nie ma tu chyba większego znaczenia.

– Co będzie z panem Toomym? – zapytała Laurel.

Dotarli do wózka. Był to niewielki pojazd ze zbiornikiem z tyłu, otwartą szoferką oraz grubymi zwojami czarnych węży po obu stronach. Nick objął Laurel w pasie i obrócił twarzą do siebie. Przez moment miała szalone poczucie, że chce ją pocałować, i szybciej zabiło jej serce.

– Nie wiem, co z nim będzie – powiedział. – Wiem tylko tyle, że kiedy przyszło co do czego, postanowiłem zrobić to, czego życzyła sobie Dina. Zostawiłem go nieprzytomnego na podłodze. W porządku?

– Nie – odrzekła trochę niepewnym głosem. – Ale chyba musi wystarczyć.

Uśmiechnął się blado, skinął głową i ścisnął ją w pasie.

– Poszłabyś ze mną na kolację, jeśli wrócimy do Los Angeles?

– Tak – odparła natychmiast. – To kusząca propozycja.

Nick skinął głową.

– Dla mnie też. Ale dopóki nie zatankujemy samolotu, nigdzie nie polecimy. – Zerknął na szoferkę wózka. – Jak myślisz, umiesz wrzucić luz?

Laurel popatrzyła na drążek, który sterczał z podłogi pojazdu.

– Niestety, zawsze jeździłam z automatyczną skrzynią biegów – powiedziała.

– Ja to zrobię. – Albert wskoczył do szoferki, wcisnął sprzęgło i przyjrzał się schematowi na gałce drążka.

Za nim ożył drugi silnik boeinga 767. Oba zaczęły wycieć głośniejsze, kiedy Brian zwiększył moc. Hałas był bardzo duży, ale Laurel stwierdziła, że zupełnie jej to nie przeszkadza. Dzięki temu przynajmniej chwilowo nie słyszała tego drugiego dźwięku. Wciąż chciała spojrzeć na Nicka. Czy on naprawdę zaprosił ją na kolację? Trudno jej było w to uwierzyć.

Albert zmienił biegi, a potem poruszył drążkiem.

– Gotowe – oznajmił, po czym wyskoczył z szoferki. – Wsiadaj, Laurel. Kiedy ruszysz, musisz ostro skrócić w prawo i zatoczyć koło.

– W porządku.

Obejrzała się nerwowo, gdy trzech mężczyzn ustawili się z tyłu pojazdu. Nick stał w środku.

– Wszyscy gotowi? – zapytał. Albert i Bob przytaknęli. – No to... razem!

Bob był gotów pchnąć z całej siły – i mniejsza o ból w krzyżu, który dręczył go od dziesięciu lat – ale wózek potoczył się z absurdalną łatwością. Laurel mocno obróciła sztywną, oporną kierownicę. Żółty pojazd zatoczył ostry łuk na szarym betonie, po czym zaczął jechać w stronę boeinga, powoli zajmującego pozycję na prawo od maszyny linii Delta.

– Różnica między tymi dwoma samolotami jest niesamowita – ocenił Bob.

– Tak – zgodził się z nim Nick. – Miałaś rację, Albercie. Może opuściliśmy teraźniejszość, ale w jakiś dziwny sposób nasz samolot wciąż jest jej częścią.

– I my też – rzekł chłopak. – Przynajmniej na razie.

Turbiny boeinga 767 zamilkły, słyszeli tylko cichy warkot pomocniczych zespołów napędowych – Brian uruchomił już wszystkie cztery. Nie były dostatecznie głośne, żeby zagłuszyć dźwięk dochodzący ze wschodu. Wcześniej charakteryzowała go jakaś niesamowita jednorodność, teraz jednak rozpadał się na fragmenty; zdawało się, że słyhać dźwięki wewnątrz dźwięków, a ich suma zaczynała się układać w coś straszliwie znajomego.

Zwierzęta w porze karmienia, pomyślała Laurel i zadrżała. Tak to właśnie brzmi: jak odgłos żerujących zwierząt przepuszczony przez wzmacniacz i groteskowo spotęgowany.

Poczuła gwałtowne dreszcze, a w jej myśli zaczęła się wkładać panika, której nie mogła kontrolować tak samo jak tego czegoś, co wydawało ów dźwięk.

– Może gdybyśmy to widzieli, moglibyśmy sobie z tym poradzić – powiedział Bob, gdy znów zaczęli pchać wózek.

Albert zerknął na niego i odparł:

– Wątpię.

4

Brian pojawił się w drzwiach boeinga, po czym dał znak Bethany i Rudy'emu, żeby podstawili mu schodki. Gdy to zrobili, stanął na ich szczycie, a następnie wskazał nałożone na siebie skrzydła. Powieźli go w tamtą stronę, a on wsłuchiwał się w nadciągający dźwięk i przypominał mu się film, który oglądał dawno temu w nocnym paśmie. Charlton Heston grał właściciela dużej plantacji w Ameryce Południowej, zaatakowanej przez olbrzymi ruchomy dywan agresywnych mrówek pożerających wszystko na swej drodze – drzewa, trawę, domy, krowy, ludzi. Jaki tytuł miał ten film? Brian nie mógł sobie przypomnieć. Pamiętał tylko tyle, że Heston uciekał się do coraz bardziej

rozpaczliwych sztuczek, żeby zatrzymać mrówki, a przynajmniej je spowolnić. Czy w końcu je pokonał? Tego też nie pamiętał, ale nagle powrócił fragment tamtego snu, niepokojący przez brak związku z czymkolwiek: złowieszczy czerwony napis TYLKO SPADAJĄCE GWIAZDY.

– Stop! – krzyknął do Rudy’ego i Bethany.

Przestali pchać. Brian ostrożnie zszedł po stopniach i zatrzymał się na wysokości spodu skrzydła Delt. Zarówno boeing 767, jak i 727 miały pojedynczy punkt tankowania na lewym skrzydle. Brian patrzył teraz na niewielką kwadratową klapę z napisem DOSTĘP DO ZBIORNIKA PALIWA i SPRAWDZIĆ ŚLUSZĘ PRZED TANKOWANIEM. Jakiś mądrała przykleił na klapie żółtą uśmiechniętą buźkę. To przepełniło czarę surrealizmu.

Albert, Bob i Nick dopchnęli wózek na miejsce, zatrzymali pod skrzydłem i patrzyli z dołu na pilota. Ich twarze były brudnoszarymi kręgami w jaśniejącym mroku.

– Są dwa węże, po jednym z każdej strony! – zawołał do Nicka Brian. – Chcę ten krótki!

Anglik wyciągnął go i podał. Brian, trzymając tą samą dłonią wąż i barierkę schodów, wychylił się, a potem otworzył klapę. Pod nią znajdowała się wtyczka z bolcem sterczącym jak stalowy palec. Wychylił się jeszcze bardziej... i poślizgnął się. Chwycił się poręczy.

– Trzymaj się, chłopie – rzucił Nick, wspinając się po schodkach. – Pomoc nadchodzi. – Zatrzymał się trzy stopnie pod Brianem i złapał go za pasek spodni. – Zrób coś dla mnie, dobrze?

– Co takiego?

– Nie pierdnij.

– Postaram się, ale nic nie obiecuję.

Brian wychylił się ponownie i spojrzał z góry na pozostałych. Rudy i Bethany dołączyli do Boba i Alberta pod skrzydłem.

– Odsuńcie się, chyba że macie ochotę na prysznic z benzyny! – zawołał. – Nie kontroluję śluzu w Delcie, więc może pociec!

Czekając, aż się oddalą, pomyślał: Albo i nie. Równie dobrze zbiorniki tej maszyny mogą być suche jak pieprz.

Wychylił się po raz kolejny. W tym momencie, mocno przytrzymywany przez Nicka, miał do dyspozycji obie ręce. Wepchnął dyszę w otwór do tankowania. Paliwo trysnęło – w tych okolicznościach był to bardzo przyjemny widok – a potem rozległo się ostre metaliczne pstryknięcie. Brian przekręcił dyszę o ćwierć obrotu i słuchał z zadowoleniem, jak paliwo leje się węzłem do wózka, gdzie zawór odetnie jego przepływ.

– Dobra – rzucił, wciągając się z powrotem na schodki. – Na razie wszystko w porządku.

– Co teraz, chłopie? Jak uruchomimy ten wózek? Z akumulatora samolotu czy jak?

– Wątpię, czy to by się udało, nawet gdyby ktoś pamiętał o zabraniu kabli rozruchowych – odparł Brian. – Na szczęście wcale nie trzeba go uruchamiać. W gruncie rzeczy wózek to tylko gadżet do filtrowania i przewozu paliwa. Użyję pomocniczych zespołów napędowych w naszym samolocie, żeby wyssać paliwo z Deltę tak, jak przez słomkę wysysa się lemoniadę ze szklanki.

– Ile to potrwa?

– W optymalnych warunkach, czyli przy napędzaniu zasilaniem naziemnym, można przepompować tonę paliwa na minutę. Ale teraz trudno to ocenić. Nigdy nie tankowałem samolotu przy APU. Coś takiego potrwa co najmniej godzinę. Może dwie.

Przez chwilę Nick nerwowo patrzył na wschód, a potem odezwał się bardzo cicho:

– Zrób coś dla mnie: nie mów tego innym.

– Dlaczego?

– Bo wątpię, żebyśmy mieli dwie godziny. Chyba nie mamy nawet jednej.

5

Dina Catherine Bellman, sama w pierwszej klasie, otworzyła oczy.

I zobaczyła.

– Craig – szepnęła.

6

Craig.

Ale on nie chciał słyszeć swego imienia. Chciał, żeby zostawiono go w spokoju; swego imienia nie chciał słyszeć już nigdy. Gdy ktoś wołał go po imieniu, zawsze działo się coś złego. Zawsze.

Craig! Wstawaj, Craig!

Nie. Nie wstanie. Jego głowa stała się ulem o wielu komorach; ból ryczał i szalał w każdym nieregularnym pomieszczeniu i zakrzywionym korytarzu. Zleciały się pszczoły. Myślały, że już nie żyje. Wdarły się do jego głowy i zmieniły czaszkę w plaster miodu. A teraz... teraz...

Wyczuwają moje myśli i chcą je śmiertelnie uządlić, pomyślał i wydał z siebie krótki bolesny jęk. Jego zakrwawione dłonie powoli otwierały się i zaciskały na wykładzinie holu na parterze terminalu. Dajcie mi umrzeć, błagam, dajcie mi umrzeć.

Craig, musisz wstać! Natychmiast!

To był głos ojca, jedyny głos, któremu Craig nigdy nie potrafił odmówić i od którego nie umiał się odgradzić. Ale teraz mu odmówi. Teraz się od niego odgradzi.

– Odejdź – wychrypiał. – Nienawidzę cię. Idź sobie.

Ból huczał mu w głowie rykiem złotych trąbek. Z trąbek wylatywały chmary pszczół, wściekłych i żądliwych.

Dajcie mi umrzeć, myślał. Dajcie mi umrzeć. To jest piekło. To piekło pełne pszczół i trąbek z big-bandu.

Wstawaj, Craiguniu. Dziś są twoje urodziny i... wiesz co? Jak tylko wstaniesz, ktoś wręczy ci piwo i rąbnie cię przez głowę... bo to jest fanga właśnie dla ciebie!

– Nie – wymamrotał. – Dość bicia. – Jego dłonie przesunęły się po wykładzinie. Spróbował otworzyć oczy, ale powieki zlepiła mu kleista zaschnięta krew. – Nie żyjecie. Oboje nie żyjecie. Nie

możecie mnie bić i nie możecie mnie do niczego zmuszać. Oboje nie żyjecie i ja też chcę nie żyć.

Ale żył. Gdzieś spod tych widmowych głosów dobiegało wycie silników odrzutowych... i ów drugi dźwięk. Dźwięk maszerujących langolierów. Biegnących.

Wstawaj, Craig. Musisz wstać.

Zrozumiał, że to nie jest głos ojca ani głos matki. Jego biedny udręczony umysł sam siebie oszukiwał. To głos z... z...

(z góry?)

z innego miejsca, jasnego, wysokiego miejsca, gdzie ból jest mitem, a ciśnienie snem.

Craig, przyszedł do ciebie – ci wszyscy ludzie, których chciałeś spotkać. Wyjechali z Bostonu i przybyli tutaj. Aż tak jesteś dla nich ważny. Wciąż możesz to zrobić, Craig. Wciąż możesz się wymiksować. Jeszcze masz czas, żeby złożyć papiery i wystąpić z armii swojego ojca... Oczywiście pod warunkiem, że się nie boisz.

– Nie boję się? – zaskrzeczał Craig. – Nie boję się?! Nie wiem, kim jesteś, ale chyba jaja sobie robisz!

Znów spróbował otworzyć oczy. Lepka krew, która spajała powieki, ustąpiła odrobinę, ale nie chciała się rozerwać. Zdołał dźwignąć jedną dłoń do twarzy. Gdy otarła się o resztki nosa, wydał z siebie niski, znużony okrzyk bólu. W jego głowie ryczały trąbki i bzyczały pszczoły. Poczekał, aż najgorszy ból minie, a potem wyprostował dwa palce i uniósł nimi powieki.

Biała poświata wciąż tam była. Tworzyła w mroku dość sugestywny kształt.

Powoli, po trochu, Craig podniósł głowę.

I zobaczył ją.

Stała w poświacie.

To była ta mała dziewczynka, ale jej ciemne okulary zniknęły. Patrzyła na niego, a oczy miała życzliwe.

Chodź, Craig. Wstawaj. Wiem, że ci ciężko, ale musisz wstać. Musisz! Bo oni wszyscy tu są i czekają... Ale nie będą czekać wiecznie. Langolierzy tego dopilnują.

Zobaczył, że ona nie stoi na ziemi. Jej buty unosiły się kilka centymetrów nad podłogą i otaczało ją jasne światło. Okalała ją widmowa poświata.

Chodź, Craig. Wstawaj.

Zaczął się podnosić. Było ciężko. Praktycznie stracił poczucie równowagi i z trudem utrzymywał głowę w pionie – bo przecież wypełniały ją wściekłe pszczoły. Dwukrotnie upadł, lecz za każdym razem znów dźwigał się na nogi, zahipnotyzowany i oczarowany przez świecącą dziewczynkę, jej życzliwe oczy i obietnicę ostatecznego uwolnienia.

Oni wszyscy na ciebie czekają, Craig. Na ciebie.

Czekają na ciebie.

7

Dina leżała na noszach i patrzyła niewidzącymi oczami, jak Craig Toomy unosi się na kolana, przewraca się na bok, a potem znowu próbuje się podnieść. Jej serce przepełniała straszliwa, surowa litość dla tego okaleczonego, złamanego człowieka, tej zbrodniczej ryby, która chciała tylko eksplodować. Na jego zmasakrowanej, skrwawionej twarzy widziała przeraźliwą mieszankę emocji: strachu, nadziei i swoistej bezlitosnej determinacji.

Przykro mi, panie Toomy, pomyślała. Mimo wszystkiego, co pan zrobił, przykro mi. Ale potrzebujemy pana.

A potem znów go zawołała, zawołała go swą umierającą świadomością:

Wstawaj, Craig! Szybko! Za chwilę będzie za późno!

I poczuła, że to prawda.

8

Kiedy dłuższy z dwóch węży został przeciągnięty pod kadłubem boeinga 767 i podłączony do jego punktu tankowania,

Brian wrócił do kokpitu, zwiększył moc APU i rozpoczął pustoszenie zbiorników boeinga 727-400. Patrząc, jak cyfry na wyświetlaczu zawartości prawego zbiornika powoli zbliżają się do dziesięciu tysięcy litrów, czekał w napięciu, aż pomocnicze zespoły napędowe zaczną krztusić się paliwem, które nie chce zapłonąć.

Wyświetlacz wskazywał trzy i pół tysiąca litrów, kiedy Brian usłyszał zmianę w brzmieniu małych silników odrzutowych z tyłu samolotu – stało się szorstkie i udręczone.

– Co się dzieje, chłopie? – zapytał Nick. Znow siedział w fotelu drugiego pilota. Włosy miał w nieładzie, a szykowną wcześniej koszulę pokrywały smugi smaru i krwi.

– Silniki APU spróbowały paliwa z Deltą i w ogóle im nie smakuje – odparł Brian. – Mam nadzieję, że czary Alberta zadziałają, ale sam nie wiem.

Tuż zanim wskaźnik prawego zbiornika osiągnął stan czterech tysięcy litrów, pierwszy pomocniczy zespół napędowy zgasł. Na desce rozdzielczej zapłonęła czerwona lampka WYŁĄCZENIE SILNIKA. Brian trącił przełącznik.

– Co możesz z tym zrobić? – spytał Nick, wstał i zajrzał mu przez ramię.

– Użyć do napędzania pompy trzech pozostałych agregatów pomocniczych i nie tracić nadziei – odparł Brian.

Drugi agregat pomocniczy zgasł pół minuty później, a gdy pilot wyciągnął rękę, żeby go wyłączyć, to samo zrobił trzeci. Razem z nim zgasły światła w kokpicie; teraz słychać było tylko nieregularne sapanie pomp hydraulicznych, a na desce rozdzielczej migotały lampki. Ostatni pomocniczy zespół napędowy ryczał nierówno, przyspieszał i zwalniał, trząsał samolotem.

– Wyłączam wszystko – oznajmił Brian. Własny głos wydawał mu się ostry i napięty, jak głos człowieka, który stracił grunt pod nogami i szybko się męczy, walcząc z prądem. – Musimy poczekać, aż paliwo Deltą dołączy do naszego strumienia czasu, naszej ramy czasowej czy co to tam, kurwa, jest. Dalej tak się nie

da. Mocne przepięcie, zanim wysiądzie ostatnie APU, może wymazać do czysta system nawigacji. Albo nawet go spalić.

Kiedy jednak sięgnął do wyłącznika, rwana nuta silnika nagle zaczęła się uspokajać. Brian odwrócił się do Nicka i patrzył na niego z niedowierzaniem. Ten odpowiedział mu spojrzeniem, a na jego twarzy powoli zagościł szeroki uśmiech.

– Chyba nam się pofarciło, chłopie.

Brian uniósł obie dłonie z zaciśniętymi kciukami i potrząsnął nimi w powietrzu.

– Mam nadzieję – powiedział, po czym obrócił się z powrotem do przyrządów.

Przestawił przełączniki APU numer 1, 3 i 4. Zaczęły pracować płynnie. W kokpicie zapaliły się światła. W kabinie pasażerskiej brzęknęły dzwonki. Nick krzyknął z radości i klepnął Briana po plecach.

Za nimi w drzwiach pojawiła się Bethany.

– Co się dzieje? Wszystko w porządku?

– Myślę, że może mamy szansę – odparł Brian, nie oglądając się na nią.

9

Craig wreszcie zdołał stanąć prosto. Świecąca dziewczynka znajdowała się teraz tuż nad taśmociągami bagażowym. W jej spojrzeniu była nieziemska słodycz i coś jeszcze... coś, za czym tęsknił przez całe życie. Co to było?

Rozpaczliwie szukał odpowiedzi i w końcu sobie uświadomił.

Współczucie.

Współczucie i zrozumienie.

Rozejrzał się i zobaczył, że mrok się rozjaśnia. W takim razie był nieprzytomny przez całą noc, prawda? Nie wiedział. To bez znaczenia. Liczyło się tylko to, że świecąca dziewczynka przyprowadziła ich do niego – bankierów inwestycyjnych, specjalistów od obligacji, maklerów i dealerów. Byli tutaj, domagali się odpowiedzi na pytanie, co takiego porabiał młody

pan Craigunio Toomy, a podniecająca prawda brzmiała: robił machlojki! Właśnie tak – mnóstwo, całą kupę machlojek! A kiedy im to powie...

– Będą musieli mnie puścić... prawda?

Tak – powiedziała. Ale musisz się pośpieszyć, Craig. Musisz się pośpieszyć, bo pomyślą, że już nie przyjdiesz, i odjadą.

Zaczął powoli brnąć przed siebie. Stopy dziewczynki nie poruszały się, ale w miarę jak się do niej zbliżał, niczym miraż sunęła w tył ku gumowym pasom, które wisiały między halą odbioru bagażu a strefą wyładunku na dworze.

I... och, cudownie: uśmiechała się.

10

Wszyscy wrócili już do samolotu, oprócz Boba i Alberta, którzy siedzieli na schodkach i słuchali dźwięku toczącego się ku nim powolną, łamaną falą.

Laurel Stevenson stała w otwartych drzwiach i patrzyła w stronę terminalu, wciąż zastanawiając się, co zrobią z panem Toomym.

– Dina mówi przez sen. Chyba majaczy. Możesz przyjść? – Bethany pociągnęła ją z tyłu za bluzkę.

Laurel weszła do środka. Rudy Warwick siedział naprzeciwko Diny, trzymał ją za rękę i przyglądał się małej z niepokojem.

– Nie wiem – odezwał się zatroskany. – Sam nie wiem, ale chyba od nas odchodzi.

Laurel dotknęła czoła dziewczynki. Było suche i bardzo gorące. Krwotok albo osłabł, albo całkiem ustał, ale oddech Diny żałośnie gwizdał jej w gardle. Krew zaschła wokół ust niczym sos truskawkowy.

– Myślę... – zaczęła Laurel, ale Dina powiedziała całkiem wyraźnie:

– Musisz się pośpieszyć, bo pomyślą, że już nie przyjdiesz, i odjadą.

Laurel i Bethany wymieniły przestraszone spojrzenia.

– Chyba śni jej się ten facet, Toomy – wyjaśnił Rudy. – Raz użyła jego imienia.

– Tak – powiedziała Dina. Miała zamknięte oczy, ale lekko poruszała głowę, jakby kogoś słuchała. – Tak, będę. Będę, jeśli chcesz. Ale pośpiesz się. Wiem, że boli, ale musisz się pośpieszyć.

– Ona majaczy, prawda? – szepnęła Bethany.

– Nie – odparła Laurel. – Chyba nie. Myślę, że... śni.

Wcale nie to jednak myślała. Tak naprawdę myślała, że Dina (widzi)

robi coś innego. Wolała się nie zastanawiać, co to może być, chociaż jakiś pomysł wirował i tańczył w głębi jej umysłu. Wiedziała, że jeśli zechce, może go przywołać, ale tego nie zrobiła. Bo tutaj działo się coś niesamowitego, całkiem niesamowitego, i nie mogła się pozbyć wrażenia, że ma to związek z

(nie zabijajcie go... jest nam potrzebny)

panem Toomym.

– Zostawcie ją – powiedziała Laurel szorstkim tonem. – Zostawcie ją, niech

(robi z nim to, co musi)

śpi.

– Boże, mam nadzieję, że niedługo odlecimy – jęknęła żałośnie Bethany.

Rudy objął ją pocieszająco.

11

Craig dotarł do taśmociągu i upadł na niego. Biała tafla bólu rozsadziła mu głowę, szyję, pierś. Próbował sobie przypomnieć, co go spotkało, i nie potrafił. Zbiegł po nieczynnych schodach ruchomych, schował się w małym pokoiku, siedział w ciemności, drąc kartki papieru... i w tym miejscu pamięć się urywała.

Uniósł głowę. Włosy wpadały mu do oczu. Spojrzał na świecąca dziewczynkę, która siedziała po turecku przed gumowymi paskami, dwa centymetry nad taśmociągiem. Była

najpiękniejszą istotą, jaką w życiu widział; jakże mógł myśleć, że jest jedną z nich?

– Czy jesteś aniołem? – wychrypiał.

Tak – odpowiedziała świecąca dziewczynka, a wtedy radość Craiga zagłuszyła ból. Łzy – jego pierwsze łzy, odkąd stał się dorosłym człowiekiem – zamgliły mu wzrok i powoli pociekły po policzkach. Nagle przypomniał sobie słodki, monotony, pijacki głos matki, gdy śpiewała tę starą piosenkę.

– Czy jesteś aniołem poranka? Będiesz moim aniołem poranka?

Tak, będę. Będę, jeśli chcesz. Ale pośpiesz się. Wiem, że boli, ale musisz się pośpieszyć.

– Tak... – Craig załkał, a potem z zapalem zaczął pełznąć ku niej po taśmociągu.

Każdy ruch wywoływał nowy paroksyzm bólu, który płynął zygzakami przez całe jego ciało; krew kapłała z rozbitego nosa i strzaskanych ust. A mimo to śpieszył się, jak tylko mógł. Przed nim dziewczynka przeniknęła przez gumowe pasy, jakimś cudem wcale ich nie poruszając.

– Dotknij policzka, nim odejdziesz, skarbie – powiedział Craig.

Odchrząknął gąbczastą pecynę krwi i wypluł ją na ścianę, do której przylgnęła niczym wielki martwy pajak, a potem spróbował czołgać się szybciej.

12

Na wschód od lotniska potworny poranek wypełnił się donośnym, rozdzierającym trzaskiem. Bob i Albert wstali; na ich pobladłych twarzach malowały się straszliwe pytania.

– Co to było? – spytał Albert.

– Chyba drzewo – odparł Bob i oblizał usta.

– Przecież nie ma wiatru!

– Racja – przyznał Bob. – Nie ma wiatru.

Hałas stał się teraz ruchomą barykadą rozszczepionych dźwięków. Fragmenty zdawały się wychodzić na pierwszy plan...

a potem znowu się cofały, zanim dało się je zidentyfikować. W pewnej chwili Albert założyłby się, że słyszy, jak coś szczeka, potem zaś to szczekanie... albo ujadanie... albo cokolwiek to było... utonęło w krótkim, nieczystym buczeniu jakby diabelskiej elektryczności. Stały był tylko chrzęst i ten równy, świdrujący jęk.

– Co się dzieje?! – zawołała piskliwie Bethany zza ich pleców.

– Na północy... – zaczął Albert, lecz Bob złapał go za ramię i wskazał palcem.

– Patrzcie! – krzyknął. – Patrzcie tam!

Daleko na wschodzie, na horyzoncie, z północy na południe przez wysokie zalesione wzgórze biegł sznur słupów wysokiego napięcia. Albert zobaczył, że jeden z nich zachwiał się jak zabawka, po czym runął, ciągnąc za sobą plątaninę przewodów elektrycznych. Po chwili upadł następny słup, a potem kolejny i kolejny.

– To jeszcze nie wszystko – powiedział tępo Albert. – Spójrzcie na drzewa. Drzewa trzęsą się jak krzaki.

Ale one nie tylko się trzęsły. Na oczach Alberta i pozostałych zaczęły się przewracać, znikać.

Chrzęst, mlask, chrzęst, łup, SZCZEK!

Chrzęst, mlask, SZCZEK!, łup, chrzęst.

– Musimy się stąd wynosić – zdecydował Bob. Chwycił Alberta. Jego oczy były ogromne, pełne bezmyślnego przerażenia. Ich wyraz bardzo kontrastował z jego szczupłą, inteligentną twarzą. – Chyba musimy wynosić się stąd natychmiast!

Na horyzoncie, może piętnaście kilometrów dalej, wysoka wieża radiowa zadygotała, wychyliła się, a potem runęła i zniknęła wraz z trzęsącymi się drzewami. Teraz czuli, że i ziemia zaczyna wibrować; drżenie biegło po konstrukcji schodków i wprawiało w ruch ich stopy.

– Niech to się skończy! – krzyknęła nagle Bethany, która stała ponad nimi w drzwiach. Zatkła dłońmi uszy. – Błagam, niech to się SKOŃCZY!

Ale fala dźwięku – chrzęszczącego, mlaszczącego, żarłocznego dźwięku langolierów – toczyła się ku nim.

13

– Nie chcę cię denerwować, Brianie, ale ile to jeszcze potrwa?
– Głos Nicka był napięty. – Jakies sześć kilometrów na wschód jest rzeka, widziałem ją, kiedy lądowaliśmy. Myślę, że to, co się zbliża, jest już na drugim brzegu.

Brian zerknął na wskaźniki zbiorników. Jedenaście tysięcy litrów w prawym skrzydle; siedem tysięcy w lewym. Odkąd nie musiał pompować paliwa z Delty przez całą szerokość samolotu, szło szybciej.

– Piętnaście minut – powiedział. Czuł na skroni wielkie krople potu. – Potrzebujemy więcej paliwa, Nick, inaczej rozbijemy się na pustyni Mojave. Potem jeszcze dziesięć minut, żeby się odzepić, wszystko pozapinać i odkołować na pas startowy.

– Nie możesz tego skrócić? Na pewno nie możesz?

Brian pokręcił głową i odwrócił się do konsoli.

14

Craig poczołgał się powoli przez gumowe pasy; czuł, jak suną się po jego plecach niczym bezwładne palce. Wyszedł w biały, martwy blask nowego – i znacznie skróconego – dnia. Dźwięk był straszny, przygniatający, dźwięk inwazji armii kanibali. Nawet niebo zdawało się od niego drżeć i na moment Craig znieruchomiał ze strachu.

Spójrz – powiedział jego anioł poranka i wskazał palcem.

Craig spojrział... i zapomniał o strachu. Za boeingiem 767 linii American Pride, na trójkacie martwej trawy wyznaczanym przez dwie drogi do kołowania i pas startowy, stał długi mahoniowy stół konferencyjny. Lśnił jasno w apatycznym świetle. Przed każdym krzesłem znajdowały się żółty notes, dzbanek wody

z lodem oraz kryształowa szklanka. Wokół stołu siedziało dwudziestu czterech mężczyzn w stonowanych bankierskich garniturach i wszyscy właśnie odwracali się w jego stronę.

Nagle zaczęli klaskać. Wstawali i patrzyli na Craiga, oklaskując jego przybycie. Na jego twarzy zagościł szeroki uśmiech wdzięczności.

15

Dina została sama w pierwszej klasie. Oddychała z wielkim trudem, a jej głos trzeszczał w ściśniętym gardle.

– Biegnij do nich, Craig! Szybko! Szybko!

16

Craig stoczył się z taśmociągu, z koszmarnym hukiem uderzył o beton i natychmiast zerwał się na równe nogi. Ból nie miał już znaczenia. Anioł ich sprowadził! Oczywiście, że sprowadził! Anioły są jak duchy z opowieści o panu Scrooge’u – mogą zrobić, co zechcą! Poświata wokół dziewczynki zaczynała słabnąć, dziewczynka gasła, ale to już się nie liczyło. Sprowadziła jego wybawienie: sieć, w którą wreszcie szczęśliwie się złapał.

Biegnij do nich, Craig! Omiń samolot! Zostaw go! Biegnij do nich natychmiast!

Craig zaczął biec – z początku człapał, powłócząc nogami, ale wkrótce przeszedł w kaleki sprint. W biegu głowa kołysała mu się w górę i w dół jak słonecznik na złamanej łodydze. Biegł ku ponurym, surowym ludziom, którzy byli jego wybawieniem; ludziom, którzy mogliby być rybakami stojącymi w łodzi na drugim końcu niespodziewanego srebrnego nieba i wciągającymi sieci, by sprawdzić, jakież to cuda złowili.

17

Wskaźnik zawartości lewego zbiornika zaczął zwalniać, dotarłszy do dziewięciu i pół tysiąca litrów, a gdy przekroczył dziesięć tysięcy, niemal stanął. Brian zrozumiał, co się dzieje, i szybko przestawił dwa przełączniki, by wyłączyć pompy hydrauliczne. Boeing 727-400 oddał im wszystko, co miał: nieco ponad dwadzieścia jeden tysięcy litrów paliwa. To musiało wystarczyć.

– W porządku – powiedział, wstając.

– Co w porządku? – zapytał Nick, również się podnosząc.

– Odłączamy się i spierdalamy.

Coraz bliższy dźwięk osiągnął ogłuszającą siłę. Z chrzęstem i mlaskiem oraz jękiem przekładni mieszały się trzaski padających drzew i tępy huk walących się domów. Tuż przed wyłączeniem pomp Brian usłyszał łomot, a potem donośny chlupot. Domyślił się, że to most spadł do rzeki, którą widział Nick.

– Pan Toomy! – krzyknęła nagle Bethany. – To pan Toomy!

Nick tuż przed Brianem wyskoczył z kokpitu i wpadł do pierwszej klasy; obaj zobaczyli Craiga, który kuśtykał chybotliwie przez płytę lotniska. Zupełnie zignorował samolot. Jego celem wydawał się pusty trójkąt trawy wyznaczony przez dwie przecinające się drogi kołowania.

– Co on robi? – wydyszał Rudy.

– Mniejsza o niego – odparł Brian. – Nie mamy czasu. Nick, zejdź przede mną po schodach. Przytrzymasz mnie, kiedy będę odczepiał wąż.

Czuł się jak człowiek, który stoi nago na plaży, kiedy wielka fala wzbiera na horyzoncie i pędzi w stronę lądu.

Nick ruszył razem z nim i znów przytrzymał go za pasek, kiedy Brian wychylił się i obrócił dyszę węża. Po chwili ją wyszarpnął i upuścił na płytę, gdzie głucho brzęknęła o beton. Brian zatrasnął klapę baku.

– Chodź – powiedział, gdy Nick wciągnął go z powrotem na schodki. Jego twarz była popielata. – Wynosimy się stąd.

Ale Nick ani drgnął. Zamarł w bezruchu i patrzył na wschód. Skórę miał białą jak papier. Na jego twarzy malował się wyraz surrealistycznego przerażenia. Drgała mu górna warga i w tej chwili przypominał psa zbyt wystraszonego, by warczeć.

Brian powoli podążył za nim wzrokiem; słyszał, że ścięgną szyi skrzypią przy tym niczym zardzewiała sprężyna. Obrócił głowę i patrzył, jak langolierzy wreszcie wyłaniają się zza lewej kulisy.

18

– Zatem rozumieją, panowie – powiedział Craig, podchodząc do pustego krzesła u szczytu stołu i stając przed mężczyznami usadowionymi wokół niego – że brokerzy, z którymi robiłem interesy, nie tylko byli pozbawieni skrupułów. Wielu zostało podstawionych przez CIA, a ich zadanie polegało na znajdowaniu i oszukiwaniu bankierów właśnie takich jak ja, ludzi chcących w pośpiechu wypełnić swój chudy portfel obligacji. Z ich punktu widzenia cel, czyli niewpuszczenie komunizmu do Ameryki Południowej, uświęca wszelkie dostępne środki.

– Jakie zastosował pan procedury, żeby sprawdzić tych ludzi? – zapytał gruby mężczyzna w drogim granatowym garniturze. – Skorzystał pan z usług spółki udzielającej gwarancji wykupu obligacji? A może pański bank zwraca się w takich sytuacjach do określonej firmy audytorskiej?

Jego okrągła twarz z pokaźnym podbródkiem była idealnie ogolona; lśniące policzki zawdzięczał albo dobremu zdrowiu, albo czterdziestu latom picia szkockiej z wodą sodową; w oczach miał bezlitosne odłamki błękitnego lodu. To były wspaniałe oczy, ojcowskie oczy.

Gdzieś z dala od tej sali konferencyjnej na przedostatnim piętrze Prudential Center do Craiga dobiegał potworny hałas. Domyślał się, że to pewnie roboty drogowe. W Bostonie ciągle remontują jakieś drogi; przypuszczał, że w większości niepotrzebnie, że najczęściej to wciąż ta sama historia – ludzie

pozbawieni skrupułów radośnie wykorzystują nieświadomych. To nie miało z nim nic wspólnego. Absolutnie nic. Zadaniem Craiga było uporać się z mężczyzną w granatowym garniturze i już nie mógł się tego doczekać.

– Czekamy, Craig – powiedział prezes jego firmy.

Przez chwilę Craig był zaskoczony – przecież pan Parker nie planował udziału w tym spotkaniu – wkrótce jednak górę wzięła radość.

– Żadnych procedur! – wykrzyczał szczęśliwy wprost w ich zszokowane twarze. – Po prostu kupowałem, kupowałem i kupowałem! Nie stosowałem się do ABSOLUTNIE... ŻADNYCH... PROCEDUR!

Już miał mówić dalej, rozwinąć temat, omówić go naprawdę dogłębnie, ale powstrzymał go jakiś dźwięk. Ten dźwięk nie był oddalony o wiele kilometrów; źródło znajdowało się blisko, bardzo blisko, może nawet w tej sali konferencyjnej.

Rżenie i rąbanie, jakby odgłos suchych, głodnych zębów.

Nagle Craig poczuł olbrzymią potrzebę darcia papieru – jakiegokolwiek. Sięgnął po żółty notes leżący na stole przed jego krzesłem, ale notesu nie było. Stołu też nie. Ani bankierów. Ani Bostonu!

– Gdzie ja jestem? – zapytał cichym, zakłopotanym tonem i zaczął się rozglądać.

Nagle zrozumiał... i je zobaczył.

Langolierzy.

Przybyły po niego.

Craig Toomy zaczął krzyczeć.

19

Brian widział je, ale nie rozumiał, co widzi. W jakiś dziwny sposób opierały się widzeniu; czuł, że jego rozgorączkowany, przeciążony mózg usiłuje przetworzyć napływające informacje, zmienić kształty, które właśnie zaczęły się pojawiać na

wschodnim krańcu pasa startowego numer 21, w coś, co potrafi ogarnąć rozumem.

Z początku były to tylko dwa kształty, jeden czarny, a drugi ciemnopomidorowy.

Czy to są piłki? – spytał jego umysł z powątpiewaniem. Czy to mogą być piłki?

Odniósł wrażenie, że coś pstryknęło wewnątrz jego głowy, i rzeczywiście były to piłki – podobne do piłek plażowych – ale takie, które falowały, kurczyły się i znów rozrastały, jakby oglądane przez mgłę rozgrzanego powietrza. Wytoczyły się z wysokiej uschniętej trawy na skraju pasa startowego numer 21, zostawiając za sobą pokos czerni. W jakiś sposób ścinały trawę...

Nie, zaprzeczył niechętnie jego umysł. Ścinają nie tylko trawę i ty o tym wiesz. Ścinają znacznie więcej niż trawę.

Za sobą zostawiały wąskie linie idealnej czerni. Teraz zaś, gdy wesoło pędziły po białym betonie na końcu pasa startowego, nadal ciągnęły się za nimi ciemne ślady. Ślady te lśniły jak smoła.

Nie, znów niechętnie zaprzeczył jego umysł. Nie smoła. Wiesz, czym jest ta czerń. To nicość. Zupełna nicość. Zjadają znacznie więcej niż powierzchnię pasa.

W ich zachowaniu było coś złośliwie radosnego. Przecięły sobie drogę, wycinając na zewnętrznej drodze kołowania chwiejne czarne X. Odbiły się wysoko, z wielką energią zamieniły się miejscami w powietrzu, a potem pomknęły wprost ku samolotowi.

Wtedy Brian krzyknął, a Nick razem z nim. Pod powierzchnią pędzących piłek majaczyły twarze – straszliwe obce twarze. Skrzyły się, trzęsły i drżały jak stworzone ze świecącego gazu błotnego. Oczy miały formę zaledwie szczątkowych wgłębień, za to usta były ogromne: półkoliste jaskinie okolone rozmazanymi w ruchu zgrzytającymi zębami.

Poruszając się, jadły. Pochłaniały wąskie pasy świata.

Na zewnętrznej drodze do kołowania stała cysterna Texaco. Langolierzy skoczyły na nią; ich zęby pracowały z ogromną szybkością, warczały i zgrzytały, sterczały z niewyraźnych ciał.

Istoty przebiły się przez ciężarówkę, nawet nie zwalniając. Jedna wydrążyła sobie drogę prosto przez tylne koła. Przez chwilę, zanim koła runęły, Brian widział pozostawiony kształt – zupełnie jak kształt mysiej dziury w listwie przypodłogowej z kreskówki.

Drugi langolier skoczył wysoko, na moment zniknął za kanciastą naczepą ciężarówki, a potem przebił się przez środek, zostawiając okolony metalem otwór, z którego buchnął matowobursztynowy strumień paliwa. Langolierzy uderzyły o ziemię, odbiły się jak na sprężynach, znów przecięły sobie drogę i popędziły w stronę samolotu. Pod nimi rzeczywistość łuszczyła się wąskimi pasami, łuszczyło się wszystko, czego dotknęły, a gdy się zbliżały, Brian zrozumiał, że langolierzy nie tylko niczym suwaki rozpinają świat – ale też otwierają głębiny wieczności.

Dotarły na skraj płyty lotniska i tam się zatrzymały. Przez chwilę niepewnie trzęsły się w miejscu, wyglądając przy tym jak te podskakujące kulki nad słowami starych piosenek do wspólnego śpiewania w kinie.

Potem odwróciły się i pomknęły w innym kierunku.

Pomknęły w kierunku Craiga Toomy’ego, który stał, patrzył na nie i krzyczał prosto w biały dzień.

Brian z olbrzymim trudem otrząsnął się z paraliżu. Szturchnął łokciem Nicka, wciąż stojącego nieruchomo parę stopni niżej.

– Chodź! – Nick się nie ruszył, więc Brian mocniej zamachnął się łokciem i uderzył go w czoło. – Mówię: chodź! Rusz dupę! Spadamy stąd!

Na skraju lotniska pojawiały się kolejne czarne i czerwone piłki. Podskakiwały, tańczyły, wirowały... a potem popędziły ku nim.

20

„Nie możesz przed nimi uciec – powtarzał mu kiedyś ojciec – z powodu ich nówek. Ich szybkich nówek”.

Mimo to Craig próbował.

Odwrócił się i ruszył biegiem w stronę terminalu, po drodze rzucając za siebie przerażone spojrzenia. Jego buty stukotały o podłogę. Zignorował boeinga American Pride, który znowu zwiększał moc, i skierował się ku strefie bagażowej.

Nie, Craig – powiedział ojciec – może WYDAJE ci się, że biegniesz, ale to nieprawda. Dobrze wiesz, co robisz: DREPCZESZ!

Za Craigiem oba kuliste kształty przyśpieszyły, skracając dystans bez trudu, z radosną prędkością. Dwukrotnie przecięły sobie drogę niczym para zwariowanych szpanerów w martwym świecie, zostawiając za sobą ostre linie czerni. Toczyły się w ślad za Craigiem, jakieś piętnaście centymetrów od siebie, tworząc za swymi dziwnymi połyskującymi ciałami coś, co przypominało ślady nart w negatywie. Dogoniły go sześć metrów od taśmociągu bagażowego i w ułamku sekundy pożarły mu stopy. Jeszcze przed chwilą żwawo drepczące stopy Craiga były na swoim miejscu; zaraz potem stał się o osiem centymetrów niższy; jego stopy, wraz z drogimi mokasynami Bally, po prostu przestały istnieć. Nie było krwi; palący ruch langolierów natychmiast skauteryzował rany.

Craig nie wiedział, że jego stopy przestały istnieć. Dreptał na kikutach kostek, a gdy pierwszy impuls bólu popłynął w górę nóg, langoliery ostro zawróciły i potoczyły się obok siebie po płycie lotniska. Tym razem ich ślady przecięły się dwukrotnie, tworząc betonowy sierp obrzeżony czernią, podobny do rysunku księżycy w dziecięcej książeczce do kolorowania. Z tym że ten sierp zaczął się zapadać, nie w ziemię – bo pod powierzchnią najwyraźniej jej nie było – ale w zupełną nicość.

Tym razem langoliery podskoczyły razem w idealnej harmonii, po czym obcięły Craigowi nogi w kolanach. Opadł, wciąż usiłując biec, a potem runął jak długi, kiwając kikutami. Dla niego to był już koniec dreptania.

– Nie! – wrzasnął. – Tatusiu, nie! Będę grzeczny! Błagam, spraw, żeby sobie poszły! Będę grzeczny, PRZYSIĘGAM, ŻE OD TEJ PORY BĘDĘ GRZECZNY, JEŚLI TYLKO SOBIE PÓJ...

Potem znów na niego ruszyły, bełkocząc, mamrocząc, bzycząc, jęcząc; widział zamrożony w czasie mechaniczny migot zgrzytających zębów i poczuł rozpalony żar ich szaleńczej, ślepej żywotności na ułamek sekundy, nim zaczęły go rozcinać na przypadkowe kawałki.

Jego ostatnia myśl brzmiała: Jak to możliwe, że ich nóżki są takie szybkie? Przecież one wcale nie mają nó

21

Teraz pojawiały się dziesiątki tych czarnych istot i Laurel zrozumiała, że wkrótce będą ich setki, tysiące, miliony, miliardy. Nawet pomimo wycia silników odrzutowych, które wpadało przez otwarte drzwi samolotu, kiedy Brian odjeżdżał od schodków i skrzydła samolotu Delty, kobieta słyszała ich nieludzki, bełkotliwy wrzask.

Olbrzymie sploty czerni przecinały się na końcu pasa startowego numer 21 – a potem ślady wystrzeliły w stronę terminalu i zaczęły się zbiegać, bo zostawiające je piłki pomknęły w kierunku Craiga Toomy'ego.

Pewnie rzadko trafia im się żywe mięso, pomyślała Laurel i nagle zebrało jej się na wymioty.

Nick Hopewell rzucił jeszcze jedno pełne niedowierzania spojrzenie, a potem zatrzasnął drzwi i zaryglował je. Ruszył z powrotem między fotelami; zataczał się i chwiały jak pijany. Zdawało się, że oczy zajmują całą jego twarz. Krew lała mu się po brodzie; mocno ugryzł się w dolną wargę. Objął Laurel i ukrył piekącą twarz we wgłębieniu, gdzie jej szyja stykała się z barkiem. Ona również go objęła i mocno przytuliła.

22

W kokpicie Brian zwiększył moc tak szybko, jak tylko się odważył, a potem w samobójczym tempie posłał boeinga po

drodze kołowania. Wschodni kraniec lotniska był teraz czarny od nadciągających piłek; koniec pasa startowego numer 21 zniknął całkowicie, a świat znajdujący się za nim ginął. Białe, nieruchome niebo chyliło się tam ponad krajobrazem czarnych kresek i powalonych drzew.

Gdy samolot zbliżał się do końca drogi kołowania, Brian chwycił mikrofon i krzyknął:

– Zapnijcie pasy! Zapnijcie pasy! A jak nie, to się trzymajcie!

Minimalnie zwolnił, po czym skręcił na pas startowy numer 33. Wtedy zobaczył coś, co sprawiło, że jego umysł skulił się i załkał: ogromne płyty świata na wschód od pasa, wielkie, nieregularne fragmenty rzeczywistości, zapadały się pod ziemię niczym windy towarowe, zostawiając za sobą wielkie bezsensowne kawałki pustki.

One zjadają świat, pomyślał Brian. Boże, dobry Boże, one zjadają świat.

Obracała się przed nim cała płyta lotniska; potem samolot American Pride, lot numer 29, znów skierował się na zachód, a przed nim pas startowy numer 33 ciągnął się długi i pusty.

23

Kiedy boeing 767 skręcił na pas startowy, otworzyły się schowki nad fotelami i główną kabinę zasypał zabójczy deszcz bagaży. Bethany nie zdążyła zapiąć pasa i wylądowała na kolanach Alberta Kaussnera. Chłopak nie zważał ani na ciepłą dziewczynę, ani na aktówkę, która odbiła się od wygiętej ściany niecały metr od jego nosa. Widział jedynie rozpedzone ciemne kształty, które gnały na lewo od nich po pasie numer 21, oraz zostawiane przez nie lśniące ślady. Zbiegały się one w olbrzymią plamę czerni tam, gdzie jeszcze niedawno była strefa wylądunku bagaży.

Zbiegają się do pana Toomy'ego, pomyślał, a w każdym razie do miejsca, w którym dopiero co się znajdował. Gdyby nie

wyszedł z terminalu, wybrałyby nasz samolot. Zjadłyby go – razem z nami – od kół w górę.

Za nim Bob Jenkins odezwał się drżącym, zafascynowanym tonem:

– No to teraz wiemy.

– Co?! – krzyknęła Laurel dziwnym, zduszonym głosem, którego sama nie poznawała. Na jej kolanach wylądowała torba podróżna; Nick podniósł głowę, puścił Laurel i bezmyślnie zepchnął torbę między fotele. – Co wiemy?!

– Wiemy, co dzieje się z dniem dzisiejszym, kiedy zmienia się we wczorajszy, co dzieje się z terażniejszością, kiedy zmienia się w przeszłość. Czeka, martwa, pusta i opuszczona. Czeka na nich. Na wiecznych strażników czasu, którzy zawsze biegną tuż za nią i sprzątają bałagan w najefektywniejszy możliwy sposób... pożerając go.

– Pan Toomy o nich wiedział – odezwała się Dina jasnym, sennym głosem. – Pan Toomy mówił, że to langolieri.

Potem silniki odrzutowe osiągnęły pełną moc i samolot pomknął po pasie startowym numer 33.

24

Brian zobaczył, że przed nim dwie piłki mkną w poprzek pasa startowego, złuszczając powierzchnię rzeczywistości parą równoległych śladów, które lśniły niczym wypolerowany heban. Było już za późno, żeby się zatrzymać. Przejeżdżając po tych smugach pustki, boeing zadygotał jak zmarznięty pies, ale Brian zdołał utrzymać go na pasie. Maksymalnie zwiększył ciąg i patrzył, jak wskaźnik prędkościomierza zbliża się do prędkości decyzji.

Nawet teraz słyszał ten szalony dźwięk zucia i pożerania... choć nie wiedział, czy rozbrzmiewa on w jego uszach, czy w skołowanej głowie. I było mu wszystko jedno.

25

Nick pochylił się nad Laurel, żeby wyjrzeć przez okno. Patrzył na terminal Międzynarodowego Portu Lotniczego w Bangor – pocięty, pokrojony, poszatkowany i wydrążony. Budynek zadygotał, złożony teraz jakby z mnóstwa kawałków puzzli, a potem zaczął się sypać w szalone otchłanie ciemności.

Bethany Simms krzyknęła. Czarna kreska pędziła obok boeinga, pożerając krawędź pasa startowego. Nagle skręciła w prawo i zniknęła pod samolotem.

Rozległ się kolejny straszliwy grzmot.

– Trafiło nas?! – krzyknął Nick. – Trafiło nas?!

Nikt mu nie odpowiedział. Błede, przerażone twarze patrzyły przez okna i nikt się nie odezwał. Drzewa przemykały szarozielonymi plamami. W kabinie pilota Brian siedział spięty, pochylony w fotelu, i czekał, aż jedna z tych piłek skoczy przed kokpit i przebije szybę. Ale tak się nie stało.

Na desce rozdzielczej ostatnią czerwoną lampkę zastąpiła zielona. Brian ściągnął wolant i boeing 767 znowu wzbił się w powietrze.

26

W kabinie pasażerskiej czarnobrody mężczyzna o przekrwionych oczach szedł naprzód, zataczając się, i łypał jak sowa na współpasażerów.

– Dolatujemy już do Bostonu? – zapytał głośno. – Mam nadzieję, że tak, bo chcę wrócić do łóżka. Łeb mnie boli jak diabli.

ROZDZIAŁ 9

**Pożegnanie z Bangor.
Lot na zachód przez dnie i noce.
Widzenie cudzymi oczyma. Nieskończona otchłań.
Rozdarcie. Ostrzeżenie. Decyzja Briana.
Lądowanie. Tylko spadające gwiazdy.**

1

Samolot ostro skręcił w lewo, rzucając czarnobrodego na rząd pustych foteli w jednej czwartej długości kabiny pasażerskiej. Mężczyzna powiódł po reszcie pustych miejsc wystraszonymi, szeroko otwartymi oczami, a potem zacisnął powieki.

– Jezu – wymamrotał. – Delirka. Pieprzona delirka. Tak źle to jeszcze nie było. – Rozejrzył się ze strachem. – Teraz będą robaki... gdzie są, kurwa, robaki?

Nie ma robaków, pomyślał Albert, ale tylko poczekaj, aż zobaczysz piłki. Będziesz zachwycony.

– Zapnij pas, chłopie – nakazał Nick. – I zamknij py...

Urwał, patrząc z niedowierzaniem na lotnisko... a raczej na miejsce, gdzie wcześniej się znajdowało. Głównych budynków już nie było, a baza Gwardii Narodowej na zachodnim krańcu właśnie do nich dołączała. Boeing przemieszczał się nad rosnącą otchłanią ciemności, nad wiecznym zbiornikiem, który zdawał się nie mieć końca.

– Dobry Jezu, Nick... – jęknęła Laurel, po czym gwałtownie zakryła oczy dłońmi.

Kiedy lecieli nad pasem startowym numer 33 na wysokości pięciuset metrów, Nick zobaczył, że sześćdziesiąt czy może sto równoległych linii pędzi po betonie, rozkrawając płytę lotniska

na długie pasy, a te zapadały się w pustkę. Przypomniały mu o Craigu Toomym:

Drr-rap.

Po drugiej stronie przejścia Bethany z trzaskiem zaciągnęła zasłonę w oknie przy siedzeniu Alberta.

– Ani mi się waż ją podnieść! – powiedziała karcącym, histerycznym tonem.

– Nie martw się – odparł Albert i nagle przypomniał sobie, że zostawił tam, na dole, skrzypce.

Cóż... teraz to już na pewno po nich. Gwałtownie zakrył dłońmi twarz.

2

Zanim Brian ponownie skręcił na zachód, zobaczył, co znajduje się na wschód od Bangor. Nic. Zupełnie nic. Kolosalna rzeka czerni rozciągała się od horyzontu po horyzont pod białą kopułą nieba. Nie było drzew, nie było miasta, nie było samej ziemi.

Pewnie właśnie tak wygląda latanie w kosmosie, pomyślał i poczuł, że racjonalna myśl wypada z torów, tak jak podczas podróży na wschód. Rozpaczliwie wziął się w garść i zmusił do koncentracji na pilotowaniu samolotu.

Wznosił się szybko, chciał znaleźć się w chmurach, chciał, żeby przesłoniły tę potworną wizję. A potem samolot American Pride, lot numer 29, znów obrał kurs na zachód. Tuż przed wejściem w chmury Brian zobaczył wzgórza, lasy i jeziora rozciągające się na zachód od miasta, zobaczył, jak bezlitośnie rozkrawają je tysiące czarnych pajęczyn. Zobaczył, jak wielkie płyty rzeczywistości bezdźwięcznie opadają w rosnącą paszczę otchłani, i zrobił coś, czego w kokpicie samolotu nie zrobił nigdy w życiu.

Zamknął oczy. Gdy znów je otworzył, znajdowali się w chmurach.

3

Tym razem prawie nie było turbulencji; tak jak przypuszczał Bob Jenkins, zjawiska pogodowe spowolniły niczym mechanizm starego zegara. Po dziesięciu minutach od wejścia w chmury boeing 767 wleciał w jasnoniebieski świat zaczynający się na wysokości pięciu i pół tysiąca metrów. Pasażerowie wymienili nerwowe spojrzenia, a potem skierowali wzrok na głośniki, bo zabrzmiał w nich głos Briana.

– Jesteśmy w powietrzu – powiedział zwyczajnie pilot. – Wszyscy wiecie, co teraz będzie: wracamy dokładnie tą trasą, którą przybyliśmy, licząc na to, że przejście nadal tam jest. Jeśli tak, spróbujemy przez nie przelecieć. – Na chwilę zamilkł, a potem mówił dalej: – Lot powrotny potrwa od czterech i pół do sześciu godzin. Chciałbym określić to precyzyjniej, ale nie mogę. W zwykłych okolicznościach podróż na zachód zazwyczaj trwa dłużej niż na wschód z powodu wiatrów, ale instrumenty pokładowe wskazują, że wiatru w ogóle nie ma. – Milczał przez moment, po czym dodał: – Tu, na górze, nic się nie rusza, tylko my.

Jeszcze przez chwilę interkom był włączony, jakby pilot chciał coś dodać. Potem go wyłączył.

4

– Co tu się dzieje, na Boga? – zapytał drżącym głosem czarnobrody mężczyzna.

Albert patrzył na niego przez chwilę, po czym odparł:

– Chyba nie chce pan wiedzieć.

– Znowu jestem w szpitalu?

Mężczyzna zamrugał ze strachem i Albertowi nagle zrobiło się go żal.

– Jeśli to pomoże, niech pan pomyśli, że tak.

Czarnobrody przyglądał mu się jeszcze przez moment ze straszliwą fascynacją, po czym oznajmił:

– Wracam spać. Natychmiast.

Odchylił się w fotelu i zamknął oczy. Po niecałej minucie jego pierś regularnie podnosiła się i opadała i chrapał pod nosem.

Albert mu zazdrościł.

5

Nick szybko uścisnął Laurel, rozpiął pas i wstał.

– Idę do przodu – powiedział. – Pójdiesz ze mną?

Zaprzeczyła ruchem głowy i wskazała na Dinę.

– Zostanę z nią.

– I tak już nic nie możesz zrobić – odrzekł. – Obawiam się, że teraz wszystko w rękach Boga.

– Wiem, ale i tak chcę zostać.

– W porządku, Laurel. – Łagodnie pogładził jej włosy. – To takie ładne imię. Zaslugujesz na nie.

Podniosła wzrok i uśmiechnęła się do niego.

– Dziękuję.

– Jesteśmy umówieni na kolację, nie zapomniałaś, prawda?

– Nie – odparła, wciąż uśmiechnięta. – I nie zapomnę.

Pochylił się i delikatnie pocałował ją w usta.

– To dobrze – powiedział. – Ja też nie.

Odszedł na przód kabiny, a ona przycisnęła palce do wargi, jakby chciała zatrzymać pocałunek tam, gdzie jego miejsce. Kolacja z Nickiem Hopewellem – z tajemniczym brunetem. Może przy świecach, z butelką dobrego wina. A potem więcej pocałunków – takich prawdziwych. Wszystko brzmiało jak wzięte żywcem z romansów Harlequina, które czasem czytywała. I co z tego? To przyjemne historie, pełne uroczych, niegroźnych marzeń. Odrobina marzeń jeszcze nikomu nie zaszkodziła, prawda?

Oczywiście, że nie. Ale dlaczego czuła, że jej marzenie prawie nie ma szans się ziścić?

Rozpięła pas, przeszła między rzędami i dotknęła dłonią czoła dziewczynki. Wcześniejszy żar gorączki ustąpił; teraz woskowa skóra Diny była chłodna.

„Chyba od nas odchodzi” – powiedział Rudy tuż przed szalonym startem. Teraz Laurel przypomniała sobie te słowa i zabrzmiały w jej głowie potwornie realnie. Dina oddychała płytko, jej pierś ledwie unosiła się i opadała pod paskiem, który mocno przyciskał opatrunek do rany.

Laurel z bezbrzeżną czułością zsunęła włosy z czoła małej i przypomniała sobie tę dziwną chwilę w restauracji, kiedy Dina złapała Nicka za nogawkę dzinsów. „Nie może go pan zabić... jest nam potrzebny”.

Czy to ty nas uratowałaś, Dino? – pomyślała. Czy zrobiłaś z panem Toomym coś, co nas uratowało? Czy sprawiłaś, że oddał za nas życie?

Doszła do wniosku, że może coś takiego rzeczywiście się zdarzyło... i zrozumiała, że jeśli tak, to ta mała dziewczynka, ślepa i ciężko ranna, podjęła w swoim mroku straszliwą decyzję.

Pochyliła się i ucałowała jej chłodne zamknięte powieki.

– Trzymaj się, Dino – szepnęła. – Proszę, trzymaj się.

6

Bethany odwróciła się do Alberta, złapała go za obie dłonie i zapytała:

– Co się stanie, jeśli paliwo znowu się zepsuje?

Spojrzał na nią z powagą i życzliwością.

– Znasz odpowiedź na to pytanie, Bethany.

– Możesz mi mówić Beth, jeśli chcesz.

– Dobrze.

Wyciągnęła papierosy, spojrzała na lampkę ZAKAZ PALENIA i schowała je.

– Tak. Wiem. Rozbijemy się. Koniec pieśni – powiedziała. – I wiesz co?

Albert pokręcił głową, lekko się uśmiechając.

– Jeżeli nie znajdziemy tamtego przejścia, to mam nadzieję, że kapitan Engle nawet nie spróbuje wylądować. Chciałabym, żeby wybrał jakąś ładną, dużą górę i rozbił nas o jej szczyt. Widziałeś,

co się stało z tamtym wariatem? Nie chcę, żeby to samo stało się ze mną.

Wzdrygnęła się, a Albert objął ją ramieniem. Spojrzała mu w oczy.

– Chcesz mnie pocałować?

– Tak – odpowiedział Albert.

– No to lepiej nie zwlekaj. Czas ucieka.

Nie zwlekał. Dopiero po raz trzeci w życiu najszybszy starozakonny na zachód od Missisipi całował się z dziewczyną i było super. Mógłby spędzić całą podróż powrotną zwarty z nią ustami i niczym by się nie martwił.

– Dziękuję – powiedziała i oparła głowę na jego ramieniu. – Tego mi było trzeba.

– Jeśli znów będzie ci trzeba, to poproś.

Spojrzała na niego z rozbawieniem.

– Naprawdę muszę prosić, Albercie?

– Pewno niekoniecznie – odparł przeciągle Żyd z Arizony i wziął się do roboty.

7

Po drodze do kokpitu Nick przystanął, żeby porozmawiać z Bobem Jenkinsem – przyszedł mu do głowy niezwykle paskudny pomysł i chciał o nim pomówić z pisarzem.

– Myśli pan, że te istoty mogą być tu, na górze?

Bob zastanawiał się przez moment.

– Sądząc z tego, co widzieliśmy w Bangor, to chyba nie. Ale trudno mieć pewność, nieprawdaż? W takich okolicznościach wszystko jest możliwe.

– Rzeczywiście. Wszystko możliwe. – Nick myślał o tym przez chwilę. – A to pańskie rozdarcie w czasie? Spróbowałyby pan określić szansę, że znów je znajdziemy?

Bob Jenkins powoli pokręcił głową.

Za nimi odezwał się Rudy Warwick, obu ich zaskakując:

– Mnie pan nie pytał, ale i tak powiem, co myślę. Szansę oceniam na jeden do tysiąca.

Nick się zastanowił. Po chwili na jego twarzy zagościł niespodziewany, promienny uśmiech.

– Całkiem niezłe prawdopodobieństwo, jeśli wziąć pod uwagę alternatywę – powiedział.

8

Niecałe czterdzieści minut później błękitne niebo, po którym leciał boeing, zaczęło ciemnieć. Przybrało barwę indygo, a potem głębokiej purpury. Brianowi, kiedy siedział w kokpicie, obserwował przyrządy i tęsknił za kawą, przypomniawszy sobie stara piosenka: „Gdy szal głębokiej purpury... pada na senne ogrodu mury...”.

Tu, w górze, nie było murów ogrodu, ale widział pierwsze gwiazdy, które lśniły na firmamencie niczym odłamki lodu. To, że dawne konstelacje pojawiały się jedna po drugiej na właściwych miejscach, miało w sobie coś pocieszającego i uspokajającego. Nie wiedział, jak to możliwe, że się nie zmieniły, skoro tyle innych rzeczy było na opak, ale bardzo się z tego cieszył.

– Coraz szybciej się zmienia, prawda? – odezwał się Nick za jego plecami.

Brian odwrócił się do niego w fotelu.

– Rzeczywiście. Szybciej. Myślę, że niedługo „dni” i „noce” będą krótkie jak ruch migawki w aparacie.

Nick westchnął.

– A teraz robimy to, co najtrudniejsze, prawda? Czekamy, co się stanie. I chyba trochę się modlimy.

– Na pewno nie zaszkodzi. – Brian zmierzył Nicka Hopewella przeciągłym spojrzeniem. – Ja leciałem do Bostonu, bo moja była żona zginęła w idiotycznym pożarze. Dinie lekarze obiecali nowe oczy. Bob leciał na konwent, Albert do szkoły muzycznej, Laurel na urlop. A ty po co, Nick? Przyznaj się, godzina już późna.

Anglik długo patrzył na niego w zamyśleniu, a potem się zaśmiał.

– No, czemu nie? – odparł, ale Brian nie był na tyle głupi, by sądzić, że kieruje to pytanie do niego. – Co znaczy klauzula „ściśle tajne”, skoro człowiek przed chwilą widział mordercze piłki, które zwijają świat jak stary dywan? – Roześmiał się ponownie. – Stany Zjednoczone wcale nie mają monopolu na brudne sztuczki i tajne operacje. My, Angole, zdążyliśmy już zapomnieć więcej takich figli, niż wyście kiedykolwiek znali. Robiliśmy numery w Indiach, Afryce Południowej, Chinach i w tej części Palestyny, gdzie powstał Izrael. Wtedy to wdaliśmy się nie z tymi co trzeba w zawody, kto dalej nasika, no nie? Tak czy owak, my, Brytyjczycy, gorąco wierzymy w intrygi, a słynne MI5 to wcale nie koniec, to dopiero początek. Brianie, spędziłem w siłach zbrojnych osiemnaście lat, z czego pięć ostatnich w jednostkach specjalnych. Od tamtej pory wykonywałem różne zadania, niektóre niewinne, a inne cudownie paskudne.

Na zewnątrz było już całkiem ciemno. Gwiazdy świeciły jak cekiny na sukni wieczorowej.

– Byłem właśnie w Los Angeles, wyobraź sobie, że na urlopie – mówił dalej Nick – kiedy skontaktowano się ze mną i kazano lecieć do Bostonu. I to natychmiast. Po czterech dniach łązenia z plecakiem po górach San Gabriel padałem ze zmęczenia. Właśnie dlatego spałem, kiedy nastąpiło Zdarzenie pana Jenkinsa. Widzisz, w Bostonie jest pewien człowiek... albo był... albo będzie (podróże w czasie nieźle komplikują koniugację, nie sądzisz?)... dość ważny polityk. Taki typ, co za kulisami mocno pociąga za sznurki. Ten gość, dla wygody nazwę go O'Banion, jest bardzo bogaty i gorąco popiera Irlandzką Armię Republikańską. Przekazał miliony dolarów na rzecz, jak mawiają niektórzy, ulubionej organizacji charytatywnej Bostonu i ma mnóstwo krwi na rękach. Nie tylko żołnierzy brytyjskich, ale również dzieci na szkolnych boiskach, kobiet w pralniach, niemowląt rozerwanych na strzępy razem z wózkami. To idealista najgroźniejszego typu: taki, który nigdy nie ogląda na własne oczy skutków rzezi, nie

musi patrzeć na urwane nogi w rynsztokach i rozważać swoich czynów w świetle takich doświadczeń.

– Miałeś zabić tego O'Baniona?

– Tylko jeśli to konieczne – odrzekł Nick spokojnie. – Jest bardzo bogaty, ale na tym kłopot się nie kończy. Widzisz, to stuprocentowy polityk, ma więcej palców niż tylko ten, który macza w sprawach Irlandii. Posiada w Ameryce wielu wpływowych przyjaciół, a część z nich to także nasi przyjaciele... Taka już natura polityki: jest pajęczyną koneksji, a zwykle przędą ją ludzie, których miejsce powinno być w pokojach bez klamek. Zabicie O'Baniona wiązałoby się z wielkim ryzykiem politycznym. Ale on ma na boku pewną cizję. To ją miałem zabić.

– W ramach ostrzeżenia – powiedział Brian cicho, z fascynacją.

– Tak. W ramach ostrzeżenia.

Przez prawie minutę obaj mężczyźni siedzieli w kokpicie i tylko na siebie patrzyli. Rozbrzmiewało wyłącznie senne buczenie silników odrzutowych. Oczy Briana były przelężnione, a zarazem wydawały się bardzo młode. Oczy Nicka były tylko zmęczone.

– Jeśli z tego wyjdziemy – odezwał się w końcu Brian – jeśli wrócimy, wykonasz to zadanie?

Nick pokręcił głową, powoli, ale bardzo kategorycznie.

– Sądzę, mój ty stary druhu, że przeżyłem coś, co goście z Kościoła adwentystów nazywają nawróceniem duchowym. Dla synalka pani Hopewell, Nicholasa, to już koniec nocnych skradanek i mokrych robót. Jeśli z tego wyjdziemy, co w tej chwili wydaje mi się średnio prawdopodobne, pewnie przejdę na emeryturę.

– I co będziesz robił?

Nick przez chwilę patrzył na Briana z namysłem, po czym odrzekł:

– Cóż... chyba mógłbym się zapisać na kurs pilotażu.

Brian parsknął śmiechem. Po chwili dołączył do niego synalek pani Hopewell, Nicholas.

Trzydzieści pięć minut później do kabiny pasażerskiej znów zaczęło się wlewać światło dnia. Po trzech minutach wydawało się już, że jest środek poranka; po piętnastu – że południe.

Laurel rozejrzała się i zobaczyła, że niewidzące oczy Diny są otwarte.

Ale czy one były zupełnie niewidzące? Miały w sobie coś takiego, coś wymykającego się opisowi, że Laurel nie przestawała się nad tym zastanawiać. Poczowała, że odzywa się w niej jakieś nieznanne uniesienie, uczucie, które niemal ociera się o strach.

Wyciągnęła rękę i chwyciła dłoń dziewczynki.

– Nie próbuj mówić – powiedziała cicho. – Dino, jeśli jesteś przytomna, nie próbuj mówić. Tylko posłuchaj. Jesteśmy w powietrzu. Wracamy, a ty będziesz cała i zdrowa, obiecuję.

Dłoń Diny zacisnęła się na jej dłoni i po chwili Laurel zrozumiała, że dziewczynka ciągnie ją ku sobie. Nachyliła się nad przypiętymi noszami. Dina odezwała się cichym głosikiem, który kobiecie wydał się idealną miniaturą jej wcześniejszego głosu.

– Nie martw się o mnie, Laurel. Dostałam... czego pragnęłam.

– Dino, nie powinnaś...

Niewidzące brązowe oczy małej obróciły się w stronę głosu kobiety. Na zakrwawionych ustach zagościł leciutki uśmiech.

– Widziałam – powiedział ten cichy głosik, kruchy niczym szkło. – Widziałam oczami pana Toomy'ego. Na początku, a potem na końcu. Na końcu było lepiej. Na początku wszystko wydawało mu się wredne i okropne. Na końcu było lepiej.

Laurel spojrzała na nią w bezsilnym zdumieniu.

Drżąca dłoń Diny puściła rękę kobiety i dotknęła jej policzka.

– Wiesz, on wcale nie był taki zły. – Dziewczynka zakasłała. Z jej ust prysnęły kropelki krwi.

– Proszę cię, Dino... – Laurel nagle odniosła wrażenie, że niemal widzi przez tę ślepą dziewczynkę na wylot, i to uczucie wywołało napad dławiącej, nieokreślonej paniki. – Proszę, nie próbuj już mówić.

Dina się uśmiechnęła.

– Widziałam ciebie – rzekła. – Jesteś piękna, Laurel. Wszystko było piękne... nawet te rzeczy, które były martwe. Cudownie było... no, wiesz... po prostu widzieć.

Wzięła ten swój płyciutki oddech, wypuściła powietrze, a potem zwyczajnie nie zaczerpnęła go ponownie. Jej niewidzące oczy zdawały się teraz patrzeć daleko poza Laurel Stevenson.

– Błagam, Dino, oddychaj – powiedziała Laurel. Chwyciła dłonie dziewczynki i zaczęła je całować raz za razem, jakby pocałunkami mogła przywrócić życie tam, gdzie już go nie było. To nie w porządku, żeby Dina teraz umarła, po tym jak uratowała ich wszystkich; żaden Bóg nie żądałby takiej ofiary, nawet od ludzi, którzy jakimś cudem wyszli poza czas. – Błagam, oddychaj, błagam, błagam, błagam, oddychaj.

Ale Dina nie oddychała. Po bardzo długiej chwili Laurel z powrotem splotła dłonie małej na jej brzuchu i wbiła wzrok w nieruchomą bladą twarz. Czekwała, aż jej własne oczy wypełnią się łzami, lecz łzy nie napłynęły. Serce rozrywał jednak dziki smutek, a w umyśle pulsował przenikliwy, wściekły protest: Nie! To nie fair! To nie jest fair! Cofnij to, Boże! Cofnij to, niech cię szlag, cofnij to, cofnij to natychmiast!

Ale Bóg tego nie cofnął. Silniki odrzutowe pulsowały równo, słońce świeciło jasnym owalem na zakrwawiony rękaw najlepszej sukienki Diny, a Bóg tego nie cofnął. Laurel spojrzała na drugą stronę przejścia między siedzeniami i zobaczyła, że Albert i Bethany się całują. Chłopak dotykał przez koszulkę jednej piersi dziewczyny, lekko, delikatnie, niemal nabożnie. Zdawali się tworzyć rytualny kształt, symboliczne uosobienie życia oraz tej upartej, nieuchwytniej iskry, która niesie to życie naprzód nawet w obliczu najstraszliwszych przeciwności losu. Laurel z nadzieją przeniosła wzrok z nich na Dinę... ale Bóg tego nie cofnął.

Bóg tego nie cofnął.

Ucałowała nieruchomą wypukłość policzka dziewczynki, a potem uniosła dłoń do jej twarzy. Palce zawisły centymetry od

powiek małej.

„Widziałam oczami pana Toomy’ego. Wszystko było piękne... nawet te rzeczy, które były martwe. Cudownie było widzieć”.

– Tak – powiedziała Laurel. – Z tym mogę żyć.

Nie zamknęła oczu Diny.

10

Samolot American Pride, lot numer 29, podążał na zachód przez noc i dzień, przelatywał ze światłości w ciemność, w światłość i znowu w ciemność, jakby przemierzał ogromną, leniwie zmieniającą się paradę tłustych chmur. Każdy cykl był odrobinę krótszy od poprzedniego.

Po nieco ponad trzech godzinach lotu chmury w dole skończyły się dokładnie w tym samym miejscu, gdzie zaczęły się w drodze na wschód. Brian mógłby się założyć, że cały front nie ruszył się nawet o pół metra. Pod nimi Wielkie Równiny rozciągały się milczącym dereszowatym bezmiarem.

– Tu ich nie widać – rzekł Rudy Warwick.

Nie musiał uściślać, co ma na myśli.

– Rzeczywiście – zgodził się Bob Jenkins. – Wygląda na to, że je przegoniliśmy, w przestrzeni albo w czasie.

– Albo i jedno, i drugie – wtrącił Albert.

– Owszem: albo jedno i drugie.

Ale nie była to prawda. Kiedy lecieli nad Górami Skalistymi, w dole znów dojrzeli czarne linie, z tej wysokości cienkie jak niteczki. Mknęły w górę i w dół po nierównych płytach stoków i kreśliły nie całkiem bezsensowne wzory w niebieskoszarym dywanie drzew. Nick stał przy przednich drzwiach samolotu i wyglądał przez osadzony w nich okrągły iluminator. Okienko to osobliwie powiększało obraz, więc Nick wkrótce odkrył, że widzi lepiej, niżby chciał. Na jego oczach dwie czarne linie rozdzieliły się, okrążyły ostry, ośnieżony szczyt, spotkały się po drugiej stronie i przecięły, a potem zbiegły po innym stoku w rozbieżnych kierunkach. Za nimi cały wierzchołek góry zapadł

się, pozostawiając po sobie coś jakby wulkan z dużą, martwą kalderą.

– Jezu z krzyża zdjęty – mruknął Nick i otarł czoło drżącą dłonią.

Gdy przemierzali zachodnie Kolorado w kierunku Utah, znów zaczął nastawać mrok. Zachodzące słońce rzucało pomarańczowoczerwony blask na rozczłonkowany krajobraz, na który nikt z pasażerów nie mógł patrzeć długo; jedno po drugim wszyscy szli za przykładem Bethany i opuszczali zasłony w oknach. Nick na niepewnych nogach wrócił na swoje miejsce, zwiesił głowę i oparł czoło na zimnej dłoni. Po chwili odwrócił się do Laurel, a ona bez słowa wzięła go w ramiona.

Brian musiał patrzeć; okna w kokpicie nie miały zasłon.

Pod nim i przed nim zachodnie Kolorado i wschodni Utah zapadały się w wieczność poszarpanymi fragmentami. Góry, ostańce, stoliwa i przełęcz jedno po drugim przestawały istnieć, gdy langolierzy krzyżującymi się liniami odcinały je od gnijącej materii tej martwej przeszłości, odcinały je i posyłały w ciemne, bezkresne otchłanie wieczności. Tu, na górę, nie dochodził żaden dźwięk i to właśnie wydawało się najstraszniejsze. Krajobraz w dole zniknął tak cicho jak drobinki kurzu.

Nadejście ciemności Brian przyjął niczym akt łaski i przez pewien czas mógł się skupić na gwiazdach. Uczepił się ich kurczowo, z paniczną zawziętością – jedynych prawdziwych rzeczy, które pozostały w tym straszliwym świecie: Orion myśliwy; Pegaz, wielki, skrzący się koń północy; Kasjopeja na swym gwieździstym stolcu.

11

Po półgodzinie znowu weszło słońce i Brian poczuł, że jego poczytalność z drzeniem posuwa się ku krawędzi jego prywatnej otchłani. Świata w dole nie było; całkowicie i bezpowrotnie zniknęły. Pogłębiający się błękit nieba tworzył kopułę nad cyklopowym oceanem czystego, bezdenne go hebanu.

Świat został wyrwany spod trasy lotu numer 29.

Myśl Bethany już wcześniej wpadła do głowy także Brianowi: że gdyby przyszło co do czego, w najgorszym wypadku mógł wprowadzić boeinga w lot nurkowy i rozbić go o górę, kończąc to wszystko raz na zawsze. Ale teraz nie można się już było rozbić o żadne góry.

Teraz nie można się było rozbić o ziemię.

Co z nami będzie, jeżeli nie odnajdziemy tego rozdarcia? – zastanawiał się Brian. Co będzie, jeśli skończy się paliwo? Niech nikt mi nie mówi, że się rozbijemy, bo w to nie uwierzę. Nie można się rozbić o nicłość. Myślę, że po prostu będziemy spadać... i spadać... i spadać. Jak długo? Jak daleko? Jak daleko można spaść w nicłość?

Nie myśl o tym.

Ale jak to niby zrobić? Jak powstrzymać się przed myśleniem o nicości?

Z rozmysłem skupił się na swym arkuszu z obliczeniami. Pracował nad nim, często zaglądając do odczytów systemu nawigacji, dopóki światło na niebie znowu nie zaczęło gasnąć. Obecnie czas między wschodem a zachodem słońca Brian szacował na mniej więcej dwadzieścia osiem minut.

Sięgnął do przełącznika interkomu i otworzył obwód.

– Nick, możesz tutaj przyjść?

Anglik pojawił się w kokpicie po niespełna trzydziestu sekundach.

– Pozaciągali zasłony? – zapytał Brian, zanim Nick przestąpił próg.

– Ma się rozumieć.

– Bardzo słusznie zrobili. Chciałbym, żebyś na razie nie patrzył w dół, jeżeli będziesz w stanie. Za parę minut poproszę cię, żebyś wyjrzał na zewnątrz, a kiedy to zrobisz, pewnie nie powstrzymasz się przed spojrzeniem w dół, ale radzę odwlekać to jak najdłużej. To nie jest... przyjemny widok.

– Zniknęło, prawda?

– Tak. Wszystko.

– Dziewczynka nie żyje. Dina. Laurel była przy niej do końca. Bardzo dobrze to znosi. Polubiła tę małą. Ja też.

Brian skinął głową. Nie zdziwił się – ta rana wymagała natychmiastowej pomocy na ostrym dyżurze, a i wtedy prognoza nie byłaby obiecująca – ale i tak przyjął tę wiadomość z ciężkim sercem. On również lubił Dinę, a przy tym wierzył w to samo, co Laurel – że właśnie jej bardziej niż komukolwiek innemu zawdzięczali, że nadal są przy życiu. Ta mała coś zrobiła z Craigiem Toomym, wykorzystwała go w jakiś dziwny sposób... i Brian czuł, że w głębi duszy Toomy wcale nie miałyby nic przeciwko temu, że tak się nim posłużyła. Dlatego jeśli śmierć Diny potraktować jako omen, to najgorszego rodzaju.

– Nie doczekała się operacji oczu – powiedział.

– Nie.

– Ale z Laurel wszystko dobrze?

– Mniej więcej.

– Podoba ci się, co?

– Tak – odparł Nick. – Mam kumpli, którzy by to wyśmiali, ale rzeczywiście mi się podoba. Jest trochę naiwna, ma jednak charakter.

Brian pokiwał głową.

– Jeżeli wrócimy, życzę wam jak najlepiej.

– Dziękuję. – Nick znowu usiadł w fotelu drugiego pilota. – Rozmyślałem o tym twoim pytaniu. Co zrobię, jeśli wykaraskamy się z tego bagna... oczywiście nie licząc zabrania uroczej Laurel na kolację. Może jednak zajmę się O'Banionem. Dochodzę do wniosku, że on się niewiele różni od naszego kolegi Toomy'ego.

– Dina poprosiła cię, żebyś oszczędził Toomy'ego – przypomniał mu Brian. – Może powinienesz to wziąć pod uwagę.

Nick kiwnął głową – w taki sposób, jakby stała się zbyt ciężka dla jego szyi.

– Może powinienem.

– Słuchaj, Nick. Zawołałem cię tutaj, bo jeśli to rozdarcie naprawdę istnieje, musimy być już blisko. Zaczniemy go wypatrywać razem, ty i ja. Ty patrzysz od środka w prawo, a ja

od środka w lewo. Jeżeli zobaczysz cokolwiek, co przypomina rozdarcie w czasie, daj znać.

Nick spojrzał na niego szeroko otwartymi, niewinnymi oczami.

– A jakiego rozdarcia w czasie szukamy? Takiego ni w pięć, ni w dziewięć, czy raczej z gatunku tych wyjebistych?

– Bardzo śmieszne. – Brian poczuł, że wbrew sobie się uśmiechnął. – Nie mam bladego pojęcia, jak powinno wyglądać ani nawet czy w ogóle jest widoczne. Jeżeli nie jest, będziemy mieli niezły zgryz, jeśli się przesunęło albo zmieniło wysokość. W porównaniu z tym szukanie igły w stogu siana to pestka.

– A radar?

Brian wskazał kolorowy wyświetlacz radaru RCA/TL.

– Jak widzisz, pusto. Zresztą nic dziwnego. Gdyby pierwotna załoga wykryła to cholerstwo na radarze, nie przeleciałaby przez nie.

– Ani gdyby zobaczyła je na własne oczy – dodał Nick ponuro.

– Niekoniecznie. Może zobaczyli je za późno i nie zdążyli ominąć. Samolot pasażerski leci bardzo szybko, a załoga nie spędza całego czasu na wypatrywaniu dziwnych obiektów. Nie musi, od tego jest kontrola naziemna. Po trzydziestu, może trzydziestu pięciu minutach od startu większość zadań załogi jest już wykonana. Samolot wzniósł się w powietrze, opuścił przestrzeń Los Angeles, klakson antykolizyjny został włączony i pika co dziewięćdziesiąt sekund na znak, że działa. Inercyjny system nawigacyjny zaprogramowano, zresztą jeszcze nawet przed startem, więc autopilot wie, co robić. Sądząc po wyglądzie kokpitu, piloci właśnie zrobili sobie przerwę na kawę. Siedzieli tutaj i gadali o najnowszych filmach albo o tym, ile ostatnio przegrali na wyścigach. Gdyby tuż przed Zdarzeniem towarzyszyła im stewardesa, w grę wchodziłaby przynajmniej dodatkowa para oczu, ale wiemy, że żadnej nie było. Kiedy to się stało, ci dwaj pili kawę i jedli ciastka, a stewardesy przygotowywały się do podania napojów pasażerom.

– Nader szczegółowy scenariusz – stwierdził Nick. – Próbujesz przekonać mnie czy siebie?

– W tej chwili będę zadowolony, jeśli przekonam kogokolwiek.

Nick uśmiechnął się i podszedł do okna po prawej stronie. Jego wzrok mimowolnie uciekł w dół, tam gdzie powinna być ziemia; uśmiech najpierw zastygł na jego twarzy, a potem z niej zniknął. Kolana się pod nim ugięły i musiał przytrzymać się grodzi, żeby złapać równowagę.

– Kurza dupa – stęknął cichym, zatrwożonym głosem.

– Niezbyt miły widok, prawda?

Nick spojrział na Briana. Jego oczy zdawały się dryfować pośrodku bladej twarzy.

– Przez całe życie, kiedy ktoś mówił „wielkie nic”, zawsze myślałem o Australii, ale nie miałem racji – rzekł. – To właśnie jest wielkie nic, tam na dole.

Brian szybko zerknął raz jeszcze na system nawigacji i na mapy. Na jednej z nich wcześniej zakreślił na czerwono niewielkie kółko; w tej chwili znajdowali się na skraju wyznaczonej w ten sposób przestrzeni powietrznej.

– Czy możesz zrobić to, o co poprosiłem? Jeśli nie, powiedz. Duma to luksus, na który nie...

– Oczywiście, że mogę – mruknął Nick. Oderwał wzrok od wielkiej czarnej jamy pod samolotem i popatrzył po niebie. – Chciałbym tylko wiedzieć, czego właściwie szukam.

– Myślę, że kiedy to zobaczysz, od razu będziesz wiedział – odparł Brian. Zamilkł, a potem dodał: – Jeśli zobaczysz.

12

Bob Jenkins siedział z rękami ciasno skrzyżowanymi na piersiach, jakby marzył. Po części rzeczywiście było mu zimno, ale nie od fizycznego chłodu. Dreszcz płynął z jego głowy.

Coś było nie tak.

Nie wiedział, co takiego, ale coś na pewno. Coś było nie na swoim miejscu... albo zagubione... albo zapomniane. A może popełniono błąd lub niedługo miał on zostać popełniony. To poczucie dręczyło go niczym ból niedostatecznie zlokalizowany, żeby go rozpoznać. Wrażenie, że coś jest nie tak, już niemal krystalizowało się w samodzielny myśl... a potem znowu pierzchało niczym małe, nie do końca oswojone zwierzę.

Coś nie tak.

Albo nie na miejscu. Albo zagubione.

Albo zapomniane.

Przed nim Albert i Bethany tulili się uspokojeni. Za nim Rudy Warwick siedział z zamkniętymi oczami i poruszał ustami. W dłoni zaciskał różaniec. Po drugiej stronie przejścia Laurel Stevenson siedziała obok Diny, trzymała ją za rękę i lekko głaskała.

Nie tak.

Bob uchylił zasłonę w oknie, wyjrzał na zewnątrz i natychmiast znów ją zaciągnął. Ten widok na pewno nie pomoże mu w racjonalnym myśleniu; prędzej je uniemożliwi. To, co rozciągało się pod samolotem, było absolutnym szaleństwem.

Muszę ich ostrzec, pomyślał. Muszę. Postępują zgodnie z moją hipotezą, ale jeśli ta hipoteza jest błędna – i niebezpieczna – to muszę ich ostrzec.

Ale przed czym?

Na odpowiedź ponownie już prawie padło światło jego skoncentrowanej myśli, a potem się wymknęła, stając się tylko cieniem wśród innych cieni... ale takim o dzikich, świecących oczach.

Nagle Bob rozpiął pas i wstał.

Albert się obejrzał.

– Dokąd pan idzie?

– Do Cleveland – odparł szorstko pisarz, po czym ruszył między rzędami w kierunku tyłu samolotu, wciąż usiłując namierzyć źródło wewnętrznego alarmu.

13

Brian oderwał wzrok od nieba – na którym znowu zaczynało świtać – na tyle, żeby zerknąć na odczyt wskazań systemu nawigacji oraz na kółko na mapie. Zbliżali się do przeciwległego końca zaznaczonego obszaru. Jeśli rozdarcie czasu wciąż tam było, wkrótce musieli je zobaczyć. W przeciwnym razie powinien chyba wyłączyć autopilota, zawrócić i wykonać jeszcze jeden przelot na trochę innej wysokości i po nieco innym kursie. To by diabelnie skomplikowało sytuację z paliwem, którego już teraz zostało niewiele, lecz ponieważ cała sprawa i tak pewnie była beznadziejna, nie miało to większego...

– Brian? – Głos Nicka brzmiał niepewnie. – Brian, chyba coś widzę.

14

Bob Jenkins dotarł na tył samolotu, obrócił się na pięcie, po czym powoli ruszył w drogę powrotną. Mijał kolejne rzędy pustych siedzeń, oglądał przedmioty leżące na fotelach i na podłodze przed nimi: torebki... okulary... zegarki na rękę... zegarek kieszonkowy... dwa starte sierpowate kawałki metalu, zapewne fleki... plomby dentystyczne... obrączki ślubne...

Coś jest nie tak.

Czyżby? Czy naprawdę, czy też jego przemęczony umysł zamartwia się bez powodu? Może to mentalny odpowiednik przeforsowanego mięśnia, który ciągle drga?

Zostaw to, radził sam sobie, ale nie był do tego zdolny.

Jeśli coś rzeczywiście jest nie w porządku, dlaczego tego nie widzisz? Czyż nie opowiadałeś temu chłopcu, że dedukcja to twój chleb powszedni? Czyż nie napisałeś czterdziestu powieści kryminalnych, w tym dwunastu naprawdę całkiem dobrych? Czyż Newgate Callender nie nazwał *Śpiącej madonny* „arcydziełem logiki”, kiedy...

Bob Jenkins stanął jak wryty, szeroko otwierając oczy. Utkwił je w fotelu po lewej stronie, niedaleko frontu kabiny. W tym fotelu czarnobrody mężczyzna znów spał i głośno chrapał. W głowie Boba nieśmiało zwierzątko znów zaczęło niepewnie wychylać się na światło. Tylko że wcale nie okazało się małe, jak przypuszczał. To był jego błąd. Czasem nie dostrzega się czegoś, bo jest za małe, kiedy indziej zaś – ignoruje się to, co zbyt duże, zbyt oczywiste.

Śpiąca madonna.

Śpiący człowiek.

Otworzył usta, żeby krzyknąć, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Miał zaciśnięte gardło. Trwoga siadła mu na piersi niczym olbrzymi goryl. Jeszcze raz spróbował krzyknąć i wydusił z siebie tylko cienki pisk.

Śpiąca madonna, śpiący człowiek.

Oni – ci, którzy przeżyli – wszyscy spali.

Teraz, z wyjątkiem brodacza, nie spał nikt.

Bob po raz kolejny otworzył usta, po raz kolejny usiłował krzyczeć i po raz kolejny nie zdołał.

15

– Jezu święty o poranku – szepnął Brian.

Rozdarcie w czasie znajdowało się około stu pięćdziesięciu kilometrów przed nimi, może siedem czy osiem stopni na prawo od dziobu boeinga. Jeśli się w ogóle przesunęło, to nieznacznie; Brian przypuszczał, że drobna różnica jest efektem niewielkiego błędu nawigacji.

Była to romboidalna dziura w rzeczywistości, ale nie czarna otchłań. Pulsowała bladym różowofioletowym światłem niczym zorza polarna. Brian widział po drugiej stronie gwiazdy, lecz one także falowały. Szeroka biała smuga oparów powoli wypływała, a może wręcz przeciwnie – wlewała się do tego kształtu, który wisiał na niebie. Przypominała dziwną, eteryczną szosę.

Możemy wlecieć wprost po niej, pomyślał Brian z podnieceniem. To lepsze niż sygnał naprowadzający!

– Dobra nasza! – zawołał, zaśmiał się jak wariat i podniósł zaciśnięte pięści.

– Ma co najmniej trzy kilometry szerokości – szepnął Nick. – Mój Boże, Brianie, jak myślisz, ile samolotów tędy przeleciało?

– Nie wiem – odparł pilot – ale założę się o strzelbę i psa, że tylko my mamy szansę wrócić. – Włączył interkom. – Panie i panowie, znaleźliśmy to, czego szukaliśmy. – W jego głosie dźwięczały radość i ulga. – Nie za bardzo wiem, co się teraz stanie, ani jak, ani dlaczego, ale namierzyliśmy wielki włącz na niebie. Skieruję samolot w sam środek. Wspólnie przekonamy się, co jest po drugiej stronie. Teraz chciałbym, żeby wszyscy zapięli pasy i...

Właśnie wtedy Bob Jenkins ruszył jak szalony między rzędami, wydzierając się na cały głos:

– Nie! Nie! Wszyscy zginiemy! Trzeba zawrócić! Niech pan zawraca!

Brian obrócił się w fotelu i wymienił z Nickiem zdziwione spojrzenia.

Anglik rozpiął pas i wstał.

– To Bob Jenkins – powiedział. – Najwyraźniej nieźle się zdenerwował. Rób swoje, ja się nim zajmę.

– Dobrze – odparł Brian. – Trzymaj go z dala ode mnie. Nie chciałbym, żeby rzucił się na mnie w niewłaściwym momencie i wpakował nas w krawędź tego czegoś.

Wyłączył autopilota i przejął stery boeinga. Podłoga przechyliła się lekko w prawo, kiedy skręcił w kierunku podłużnego, lśniącego otworu. Zdawał się on przesuwac po niebie, aż w końcu znalazł się na wprost dziobu maszyny. Brian słyszał teraz dźwięk, który mieszał się z pomrukiem silników odrzutowych: głębokie dudnienie kojarzące się z gigantycznym silnikiem Diesla na jałowym biegu. Gdy zbliżali się do rzeki oparów – teraz widział, że wlewa się do otworu, a nie z niego wypływa – zaczął dostrzegać w niej przeblęski barw: zieleni,

błękitu, fioletu, czerwieni, cukierkowego różu. To pierwszy prawdziwy kolor, który widzę w tym świecie, pomyślał.

Za nim Bob Jenkins przebiegł pędem przez pierwszą klasę, pokonał wąski korytarz prowadzący do części dla personelu pokładowego... i wpadł prosto w ramiona przygotowanego na to Nicka.

– Spokojnie, chłopie – powiedział kojąco Anglik. – Wszystko będzie dobrze.

– Nie! – Bob szarpał się jak szalony, ale Nick trzymał go z taką łatwością, z jaką można trzymać szarpiącego się kotka. – Nie, pan nie rozumie! On musi zawrócić! Musi zawrócić, zanim będzie za późno!

Nick odciągnął pisarza od drzwi kokpitu i zaprowadził z powrotem do pierwszej klasy.

– Tu sobie usiądziemy i zapniemy pasy, dobrze? – rzekł, nadal kojącym, przyjacielskim tonem. – Może kapkę rzuć.

Do Briana głos Nicka docierał tylko jako niewyraźny szmer. Kiedy wprowadził maszynę na szeroki strumień oparów, który sunął w głąb rozdarcia w czasie, odniósł takie wrażenie, jakby samolot chwyciła wielka, niezwykle silna dłoń i ochoczo pociągnęła go naprzód. Przypomniawszy sobie wyciek podczas lotu z Tokio do Los Angeles oraz to, jak szybko powietrze ucieka przez otwór w kabinie pod ciśnieniem.

Zupełnie jakby przez ten otwór wyciekał cały świat – albo to, co z niego zostało, pomyślał Brian, a potem powróciło do niego tamto dziwne, złowrogie hasło ze snu: TYLKO SPADAJĄCE GWIAZDY.

Rozdarcie znajdowało się teraz wprost przed dziobem boeinga i gwałtownie rosło.

Wlatujemy, pomyślał Brian. Boże, dopomóż, naprawdę wlatujemy.

Bob ciągle się szarpał, kiedy Nick jedną ręką przyciskał go do fotela w pierwszej klasie, a drugą zapinał mu pas. Pisarz był drobnym, chudym mężczyzną, nawet nasiąknięty wodą nie ważyłby więcej niż sześćdziesiąt parę kilo, ale panika dodawała mu energii, więc Nick miał z nim dużo kłopotu.

– Naprawdę wszystko będzie dobrze, brachu – powiedział Anglik. W końcu zdołał mu zapiąć pas. – Przecież w tamtą stronę też nic nam się nie stało.

– Ale wtedy wszyscy spaliśmy, ty cholerny głupcze! – wyrzeszczał mu w twarz Bob. – Nie rozumiesz? WSZYSCY SPALIŚMY! Musisz go powstrzymać!

Nick znieruchomiał, sięgając po własny pas. To, co mówił pisarz – co próbował mu powiedzieć cały czas – nagle uderzyło w niego jak wór cegieł.

– O Boże – szepnął. – Dobry Boże, gdzie myśmy mieli głowy?

Zerwał się z fotela i popędził do kokpitu.

– Brian, czekaj! Zawracaj! Zawracaj!!!

17

Zbliżając się do rozdarcia, Brian wpatrywał się w nie jak zahipnotyzowany. Nie było turbulencji, ale wrażenie olbrzymiej siły, pędu powietrza wpadającego w otwór niczym rwąca rzeka, uległo nasileniu. Spojrzał na przyrządy i stwierdził, że prędkość lotu boeinga gwałtownie rośnie. Potem Nick zaczął krzyczeć, po chwili zaś był już za nim, chwycił go za ramiona, wpatrywał się w rozdarcie, które pęczniało przed dziobem samolotu, a coraz głębsze barwy tańczyły na jego czole i policzkach, przez co wyglądał jak człowiek patrzący przez okno witrażowe w słoneczny dzień. Równe dudnienie stało się teraz mrocznym grzmotem.

– Zawracaj, Brianie, musisz zawrócić!

Czy Nick miał powód to mówić, czy może panika Boba okazała się zaraźliwa? Nie było czasu na podjęcie racjonalnej

decyzji; został tylko ułamek sekundy, żeby odwołać się do milczących mechanizmów instynktu.

Brian Engle złapał wolant i ostro obrócił go w lewo.

18

Nickiem rzuciło przez kokpit i cisnęło o gródź; rozległ się obrzydliwy trzask oznaczający złamanie ręki. W głównej kabynie bagaże, które powypadały ze schowków nad siedzeniami, kiedy Brian wjeżdżał na pas startowy w Bangor, znów zaczęły latać, uderzały niczym grad o zakrzywione ściany i z łomotem odbijały się od okien. Czarnobrody mężczyzna wystrzelił z fotela jak szmaciana lalka i zdążył tylko jęknąć niewyraźnie, a potem grzmotnął głową o podłokietnik i runął w przejściu jako bezładna płatanina kończyn. Bethany krzyknęła, Albert mocno ją przytulił. Dwa rzędy dalej Rudy Warwick szczelniej zwarł powieki, silniej zacisnął różaniec i szybciej się modlił, a pod nim wychylał się fotel.

Teraz to dopiero były turbulencje; boeing zmienił się w deskę surfingową ze skrzydłami, chybotął się, kręcił i szarpał w chwiejnym powietrzu. Impet sprawił, że Brian na moment wypuścił wolant, a potem znowu go chwycił. Jednocześnie maksymalnie zwiększył ciąg; w odpowiedzi turbosprężarki samolotu zawarczały mocą rzadko słyszaną poza hangarami diagnostycznymi linii lotniczych. Turbulencje się nasiliły; maszyną brutalnie rzucało w górę i w dół, skądś dobiegł morderczy jęk nadwyreżonego metalu.

W pierwszej klasie Bob Jenkins kurczowo chwycił się podłokietników. W otępieniu dziękował Anglikowi za to, że zdołał go przypiąć. Czuł się jak przywiązany przez wariata do drążka pogo z napędem odrzutowym. Samolot ponownie podskoczył, przechylił się niemal pionowo na lewe skrzydło, a wtedy z ust Boba wystrzeliła sztuczna szczęka.

Wlatujemy? Słodki Jezu, wlatujemy?

Nie miał pojęcia. Wiedział tylko, że świat stał się roztrzęsionym, rozdygotanym koszmarem... ale on wciąż w nim był.

Przynajmniej na razie wciąż w nim był.

19

Turbulencje nadal się nasilały, podczas gdy Brian prowadził boeinga w poprzek szerokiego strumienia oparów, który wlewał się do rozdarcia w czasie. Otwór wciąż pęczniał przed dziobem samolotu, a jednocześnie przesuwiał się w prawo. Potem, po kolejnym, wyjątkowo silnym wstrząsie, opuścili bystry prąd i znaleźli się w spokojniejszym powietrzu. Rozdarcie czasu zniknęło po prawej stronie. Minęli je... Brian bał się myśleć, jak bardzo nieznacznie.

Zakręcał dalej, ale już pod mniej drastycznym kątem.

– Nick! – zawołał, nie obracając się. – Nick, nic ci nie jest?

Nick wstał powoli, prawą rękę przyciskając do brzucha lewą dłonią. Twarz miał bardzo bladą i zaciskał zęby w grymasie bólu. Z jego nozdrzy ciekły cienkie strużki krwi.

– Bywało lepiej, chłopie. Chyba złamałem rękę. To dla mnie nie pierwszozna. Uciekliśmy, prawda?

– Uciekliśmy – potwierdził Brian. Samolot nadal zakręcał dużym łukiem. – I zaraz mi powiesz dlaczego, chociaż przylecieliśmy tu z tak daleka. Obyś miał dobre wytłumaczenie, bo i złamana ręka ci nie pomoże.

Sięgnął do przełącznika interkomu.

20

Laurel otworzyła oczy, kiedy Brian zaczął mówić. Na swych kolanach odkryła głowę Diny. Delikatnie pogłaskała włosy dziewczynki, a potem poprawiła ją na noszach.

– Moi drodzy, tu kapitan Engle. Bardzo przepraszam. Było gorąco, ale nic już nam nie grozi. Powtarzam, że znaleźliśmy to,

czego szukaliśmy, ale...

Nagle się rozłączył.

Pasażerowie czekali. Bethany Simms łkała z twarzą na piersi Alberta. Za nimi Rudy wciąż odmawiał różaniec.

21

Brian przerwał transmisję, kiedy spostrzegł, że obok niego stoi Bob Jenkins. Pisarz dygotał, miał mokrą plamę na spodniach, a jego twarz była dziwnie zapadnięta, czego Brian wcześniej u niego nie dostrzegł... poza tym jednak chyba nad sobą panował. Za nim Nick osunął się ciężko na fotel drugiego pilota. Krzywił się z bólu i wciąż zginał rękę. Zaczynała puchnąć.

– O co tu chodzi, do cholery? – zapytał stanowczo Brian, zwracając się do Boba. – Jeszcze trochę turbulencji i rozpieprzyłoby nas na tysiąc kawałków.

– Czy mogę coś przez to powiedzieć? – spytał pisarz, wskazując przełącznik z napisem INTERKOM.

– Tak, ale...

– To poproszę.

Brian chciał zaprotestować, lecz zmienił zdanie. Znów włączył obwód.

– Proszę bardzo, można mówić. – A potem dodał: – I oby miał pan dobre wytłumaczenie.

– Posłuchajcie mnie wszyscy! – zawołał Bob. Z tyłu dobiegła piskliwa skarga sprzężenia zwrotnego. – Musieliśmy...

– Niech pan mówi normalnym tonem – upomniał go Brian. – Inaczej bębenki im popękają.

Widać było, że Bob usiłuje nad sobą zapanować, a potem odezwał się ciszej:

– Musieliśmy zawrócić i to się nam udało. Kapitan dał mi do zrozumienia, że niewiele brakowało. Mieliśmy bardzo dużo szczęścia... i bardzo mało rozumu. Widzicie, zapomnieliśmy o najoczywistszej rzeczy, chociaż cały czas mieliśmy ją przed nosem. Gdy po raz pierwszy przelecieliśmy przez rozdarcie w czasie, wszyscy ludzie, którzy wtedy nie spali, zniknęli.

Brian drgnął w fotelu. Poczul się tak, jakby ktoś mu przyłożył. Mniej więcej pięćdziesiąt kilometrów przed dziobem boeinga na niebie znów widniał jarzący się słabo romb, podobny do olbrzymiego kamienia półszlachetnego. Zdawał się drwić z Briana.

– My teraz nie śpimy – powiedział Bob. (W kabinie pasażerskiej Albert spojrział na brodacza, który leżał nieprzytomny między fotelami, i pomyślał: Z jednym wyjątkiem). – Logika sugeruje, że jeśli spróbujemy przelecieć przez rozdarcie w takim stanie, również znikniemy. – Zdawał się myśleć o tym przez moment, po czym dodał: – To wszystko.

Brian odruchowo wyłączył interkom. Za nim Nick z bólem i niedowierzaniem parsknął śmiechem.

– To wszystko? Wszystko, do cholery? Co mamy teraz zrobić?

Brian spojrział na niego i nic nie powiedział. Bob Jenkins też nie.

22

Bethany podniosła głowę i popatrzyła na przemęczoną, zdezorientowaną twarz Alberta.

– Mamy iść spać? Niby jak? Nigdy w życiu nie czułam się mniej śpiąca!

– Nie wiem. – Chłopak z nadzieją w oczach spojrział na Laurel, która siedziała po drugiej stronie przejścia.

Kobieta kręciła głową. Chciałaby móc zasnąć, po prostu zasnąć i sprawić, że cały ten koszmar minie – ale podobnie jak Bethany mniej śpiąca nie była nigdy w życiu.

23

Bob zrobił krok naprzód i zafascynowany spojrział w milczeniu przez okno kokpitu. Po długiej chwili odezwał się cichym, zachwyconym głosem:

– A więc tak to wygląda.

Brianowi przypomniały się słowa jakiejś starej rockowej piosenki: „Możesz patrzeć, ale nie dotykaj”. Zerknął w dół na wskaźniki paliwa. To, co zobaczył, bynajmniej go nie uspokoiło, więc popatrzył bezsilnie w oczy Nicka. Tak samo jak pozostali, on również nigdy w życiu nie czuł się bardziej przytomny.

– Nie wiem, co teraz zrobimy, ale jeśli chcemy przelecieć przez dziurę, to szybko – powiedział. – Paliwa starczy nam na godzinę, może trochę dłużej. A potem zapomnij. Masz jakiś pomysł?

Nick spuścił głowę, wciąż przyciskając rękę do piersi. Po chwili znów podniósł wzrok.

– Owszem – odpowiedział. – Tak się składa, że mam. Ludzie, którzy rzadko latają samolotem, zwykle pakują lekarstwa na receptę do bagażu podręcznego. Lubią mieć je pod ręką na wypadek, gdyby ich walizki wylądowały na drugim końcu świata i wróciły dopiero po paru dniach. W torbach podręcznych na pewno znajdziemy kupę środków uspokajających. Nie trzeba nawet wyciągać bagaży ze schowków. Sądząc po dźwiękach, większość leży już na podłodze... Co? Coś nie pasuje?

To ostatnie pytanie skierował do Boba Jenkinsa, który zaczął kręcić głową, gdy tylko Nick wypowiedział słowa „lekarstwa na receptę”.

– Czy pan cokolwiek wie o środkach uspokajających na receptę? – zapytał pisarz.

– Odrobinę – odparł Nick, ale nie brzmiał zbyt pewnie. – Tak, odrobinę.

– Cóż, ja wiem dużo – odrzekł oschle Bob. – Gruntownie zbadałem temat, od all-nite po xanax. Rozumie pan, morderstwo środkiem nasennym zawsze było jedną z ulubionych metod w mojej branży. Nawet gdyby w pierwszej sprawdzonej torbie akurat znalazł pan któryś z silniejszych środków, co samo w sobie jest mało prawdopodobne, to nie zdołałby pan podać bezpiecznej dawki, tak by zadziałała dostatecznie szybko.

– Niby dlaczego, do cholery?

– Bo na to potrzeba co najmniej czterdziestu minut... a poza tym i tak szczerze wątpię, czy podziałałoby na wszystkich. Pod wpływem stresu naturalną reakcją umysłu na takie środki jest opór, próba ich odrzucenia. Tej reakcji absolutnie nie da się zwalczyć... tak samo jak nie można regulować własnego pulsu. Skutkiem, cały czas zakładając, że znaleźliśmy dostateczną ilość leków, byłoby podanie pasażerom zabójczych dawek. Popełnilibyśmy zbiorowe samobójstwo. Może byśmy i przelecieli na drugą stronę, ale martwi.

– Czterdzieści minut – powtórzył Nick. – Chryste. Jest pan pewien? Absolutnie pewien?

– Tak – odparł Bob bez wahania.

Brian spojrział przez okno na świecący romb na niebie. Wprowadził boeinga w krążenie, więc rozdarcie wkrótce miało zniknąć z pola widzenia. Potem znowu się pojawi... lecz się do niego nie zbliżą.

– Nie do wiary. – Nick westchnął ciężko. – Tyle przeszliśmy... udało nam się wystartować i pokonać całą drogę... udało nam się nawet znaleźć to cholerstwo... a teraz się okazuje, że nie możemy przez nie przelecieć i wrócić do naszego czasu tylko dlatego, że nie jesteśmy w stanie zasnąć?!

– Zresztą i tak nie mamy czterdziestu minut – wtrącił cicho Brian. – Gdybyśmy odczekali tak długo, samolot rozbiłby się sto kilometrów na wschód od lotniska.

– Przecież na pewno są inne...

– Owszem, ale za małe na maszynę tych rozmiarów.

– A gdybyśmy przelecieli przez rozdarcie, a potem zawrócili na wschód?

– Vegas. Ale znajdzie się poza naszym zasięgiem za... – Brian zerknął na przyrządy – niecałe osiem minut. Myślę, że w grę wchodzi tylko LAX. Potrzebuję co najmniej trzydziestu pięciu minut, żeby tam dotrzeć, a i to na styk, pod warunkiem że uprzątną nam drogę i naprowadzą wprost na pas. Czyli mamy... – ponownie spojrział na chronometr – góra dwadzieścia minut, żeby wykombinować rozwiązanie i przelecieć przez dziurę.

Bob przypatrywał się Nickowi w zamyśleniu.

– A pan? – zapytał.

– Co ja?

– Sądzę, że jest pan żołnierzem... ale nie takim zwyczajnym.

Może jest pan z SAS?

Twarz Nicka stężała.

– A jeśli nawet coś w tym stylu, to co z tego?

– Może pan by nas uśpił – zasugerował Bob. – Nie uczą was w siłach specjalnych takich sztuczek?

Brian błyskawicznie przypomniał sobie pierwszą konfrontację Nicka z Craigiem Toomym. „Oglądał pan *Star Treka*”? – spytał wtedy Anglik. „To wspaniałe amerykański serial... A jeśli natychmiast nie zamkniesz pan swojego durnego pyska, to z chęcią zademonstruję na panu słynny wolkański chwyt obezwładniający Spocka”.

– Co ty na to, Nick? – spytał cicho. – Jeśli kiedykolwiek słynny wolkański chwyt obezwładniający był nam potrzebny, to właśnie teraz.

Anglik z niedowierzaniem spojrzał na Boba, na Briana, a potem znowu na Boba.

– Nie rozśmieszajcie mnie, panowie, bo zacznie mnie bardziej boleć ręka.

– Co to ma znaczyć? – odparł Bob.

– Myliłem się co do środków uspokajających, tak? To teraz wam powiem, w czym wy się mylicie, jeśli chodzi o mnie. Nie jestem Jamesem Bondem. W prawdziwym życiu ktoś taki nigdy nie istniał. Bob, pewnie mógłbym cię zabić ciosem w szyję, ale bardziej prawdopodobne, że skończyłbyś sparaliżowany do końca życia. Może nawet nie straciłbyś przytomności. A na dodatek jeszcze to. – Nick podniósł puchnącą błyskawicznie rękę, lekko się krzywiąc. – Tak się składa, że moja sprawniejsza dłoń jest przyczepiona do ponownie złamanej ręki. Lewą pewnie bym się obronił, przynajmniej przed niewyszkolonym przeciwnikiem, ale rzeczy, o których mówisz... Nie. Nie ma mowy.

– Zapominacie o najważniejszej rzeczy – odezwał się nowy głos.

Wszyscy trzej się obrócili. W drzwiach kokpitu – blada, z podkrążonymi oczami – stała Laurel Stevenson. Złożyła ręce na piersiach, jakby marzła, a dłońmi objęła łokcie.

– Jeśli wszyscy będziemy nieprzytomni, to kto pokieruje samolotem? – zapytała. – Kto wyląduje w Los Angeles?

Mężczyźni patrzyli na nią bez słowa. Za nimi ów wielki półszlachetny kamień, jakim było rozdarcie w czasie, niezauważony znowu pojawił się w polu widzenia.

– Mamy przesrane – stwierdził cicho Nick. – Zdajecie sobie z tego sprawę? Dokumentnie przesrane. – Zaśmiał się nieco, a potem skrzywił, bo drganie brzucha poruszyło złamaną ręką.

– Może nie – powiedział Albert. On i Bethany pojawili się za plecami Laurel; Albert obejmował dziewczynę w pasie. Spoczone kosmyki lepiły mu się do czoła, ale ciemne oczy były przejrzyste i zdecydowane. Wpatrywały się w Briana. – Myślę, że pan może nas uspić – powiedział chłopak. – I pan może wylądować.

– O czym ty mówisz? – zapytał Brian szorstko.

– O ciśnieniu – odparł Albert. – Mówię o ciśnieniu.

24

Wtedy powrócił sen Briana, powrócił z tak straszliwą siłą, jakby przeżywał go na nowo: Anne z ręką przyciśniętą do pęknięcia w kadłubie samolotu, do pęknięcia, nad którym widniał czerwony napis: TYLKO SPADAJĄCE GWIAZDY.

Ciśnienie.

„Widzisz, kochanie? Wszystko naprawione”.

– Co to znaczy, Brianie? – zapytał Nick. – Widzę, że on na coś wpadł. Widzę po twojej twarzy. Na co?

Brian nie zwracał na niego uwagi. Patrzył na siedemnastoletniego studenta muzyki, który może właśnie wykombinował sposób na wydostanie się z tej pułapki.

– Ale co potem? – zapytał. – Co będzie, kiedy przelecimy przez dziurę? Jak mam się obudzić, żeby wylądować?

– Niech ktoś mi to wytłumaczy – nalegała Laurel.

Podeszła do Nicka, a on objął ją w pasie.

– Albert proponuje, żebym użył tego – Brian postukał w potencjometr na desce rozdzielczej, potencjometr z napisem CIŚNIENIE W KABINIE – żeby nas wszystkich ululać.

– Możesz tak zrobić, chłopie? Naprawdę możesz tak zrobić?

– Tak. Znam pilotów czarterowych, którzy stosowali tę metodę, kiedy pasażerowie za dużo wypili i zaczęli rozrabiać, zagrażając sobie samym lub załodze. Uśpienie pijanego przez obniżenie ciśnienia nie jest trudne. Żeby uśpić wszystkich, muszę po prostu obniżyć je jeszcze trochę... powiedzmy: do połowy wysokości ciśnienia atmosferycznego na poziomie morza. To tak, jakby wznieść się na trzy kilometry bez maski tlenowej. Bum! I jesteś nieprzytomny.

– Skoro taki zabieg jest możliwy, dlaczego nie stosuje się go przeciwko terrorystom? – spytał Bob.

– Bo w samolotach są maski tlenowe, prawda? – domyślił się Albert.

– Właśnie – potwierdził Brian. – Załoga demonstruje ich użycie przed startem każdego lotu pasażerskiego: zakryć maską nos oraz usta i oddychać normalnie, pamiętacie? Maski wypadają automatycznie, jeśli ciśnienie w kabinie spadnie poniżej dwunastu psi. Gdyby pilot próbował unieszkodliwić w ten sposób terrorystę, tamten po prostu złapałby maskę i zaczął strzelać. W mniejszych samolotach, takich jak leary, jest inaczej. W razie spadku ciśnienia w kabinie pasażer sam musi otworzyć przegródkę nad fotelem.

Nick spojrział na chronometr. Na działanie zostało im tylko czternaście minut.

– Lepiej przestańmy już o tym gadać i to zrobmy – powiedział.
– Czas się kończy.

– Jeszcze nie – odparł Brian i znowu spojrział na Alberta. – Mogę nakierować samolot na rozdarcie i zacząć obniżać

ciśnienie, gdy będziemy się zbliżać. Ciśnienie można kontrolować dość precyzyjnie, więc jestem niemal pewien, że uspię nas wszystkich w porę. Ale pozostaje pytanie Laurel: kto pokieruje samolotem, gdy będziemy nieprzytomni?

Albert otworzył usta. Potem je zamknął i pokręcił głową.

Wtedy odezwał się Bob Jenkins. Jego głos był suchy i bezbarwny, był głosem sędziego, który ogłasza wyrok.

– Myślę, że pan może nas zabrać do domu. Ale w tym celu ktoś inny musi umrzeć.

– Proszę wyjaśnić – odparł krótko Nick.

Bob wyjaśnił. Nie trwało to długo. Kiedy skończył, w drzwiach kokpitu stał również Rudy Warwick.

– Brianie, czy to by wypaliło? – zapytał Nick.

– Tak – odpowiedział pilot nieobecny głosem. – Nie widzę przeciwwskazań. – Ponownie spojrzął na chronometr. Już tylko jedenaście minut. Jedenaście minut, żeby przelecieć na drugą stronę rozdarcia. Prawie tyle czasu potrzebował na ustawienie samolotu na kursie, zaprogramowanie autopilota i pokonanie sześćdziesięciokilometrowej drogi zbliżania. – Ale kto to zrobi? Będziecie ciągnąć losy czy jak?

– Nie ma takiej potrzeby – odrzekł Nick. Powiedział to lekko, niemalże od niechcena. – Ja się tym zajmę.

– Nie! – zawołała Laurel. Jej oczy były bardzo szeroko otwarte i bardzo ciemne. – Dlaczego ty? Dlaczego to musisz być ty?

– Cicho bądź! – syknęła Bethany. – Skoro chce to zrobić, to niech robi!

Albert spojrzął żałośnie na Bethany, na Laurel, a potem znowu na Nicka. Jakiś głos – niezbyt silny – szeptał, że właśnie on powinien się zgłosić, że to zadanie dla twardego weterana bitwy o Alamo, takiego jak Żyd z Arizony. Ale przeważająca część jego świadomości wiedziała tylko tyle, że on bardzo kocha życie... i że jeszcze nie chce go kończyć. Dlatego otworzył usta, a potem znowu je zamknął, nic nie mówiąc.

– Dlaczego ty? – powtórzyła Laurel nieustępliwie. – Dlaczego nie mamy ciągnąć losów? Dlaczego nie Bob? Albo Rudy? Albo ja?

Nick wziął ją za ramię.

– Chodź ze mną na chwilę – powiedział.

– Nick, zostało mało czasu – zaznaczył Brian. Starał się mówić spokojnie, lecz słyszał w swoim głosie desperację, a może wręcz panikę.

– Wiem. Zaczynaj robić, co musisz.

Nick wyprowadził Laurel z kokpitu.

25

Opierała się przez moment, a potem z nim poszła. Zatrzymał się w niewielkiej wnęce kuchennej i spojrzał na Laurel. W tej właśnie chwili, gdy twarz Nicka znajdowała się niecałe dziesięć centymetrów od jej twarzy, kobieta uświadomiła sobie straszną prawdę – to właśnie ten mężczyzna, którego pragnęła spotkać w Bostonie. Leciał z nią od początku. To odkrycie nie miało w sobie nic romantycznego; było straszne.

– Uważam, że coś między nami jest – oświadczył. – Myślisz, że mam rację? Jeśli tak, to powiedz. Nie ma czasu na owijanie w bawełnę. Ani chwili.

– Tak – odparła. Jej głos był chrapliwy, drżący. – Myślę, że to prawda.

– Jednak nie wiemy tego na pewno. Nie możemy wiedzieć. Wszystko sprowadza się do czasu, prawda? Do czasu... snu... i niewiedzy. Ale to muszę być ja, Laurel. Staralem się prowadzić w miarę sensowną rachubę, więc wiem, że mam gruby debet we wszystkich rubrykach. Teraz jest szansa, żeby wyrównać rachunek, i zamierzam z niej skorzystać.

– Nie rozumiem, o czym mówisz...

– Ty nie, ale ja tak. – Mówił szybko, niemalże wystrzeliwał słowa. Chwycił Laurel za ramię i przyciągnął do siebie. – Rozpocząłaś właśnie jakąś przygodę, prawda?

– Nie wiem, o co ci...

Potrząsnął nią lekko.

– Już mówiłem: nie ma czasu na owijanie w bawełnę. Rozpocząłaś przygodę?

– No... tak.

– Nick! – zawołał Brian z kokpitu.

Nick prędko zerknął w tamtą stronę.

– Idę! – krzyknął, a potem znowu spojrzął na Laurel. – W takim razie wyślę cię na kolejną. Oczywiście pod warunkiem, że wyjdiesz z tego cało i że się zgodzisz.

Tylko na niego patrzyła i wargi jej drżały. Nie wiedziała, co powiedzieć. Jej umysł wirował bezradnie. Nick bardzo mocno trzymał ją za ramię, ale ona miała sobie to uświadomić dopiero później, widząc siniaki pozostawione przez jego palce; w tej chwili znacznie silniej trzymał ją wzrokiem.

– Posłuchaj. Posłuchaj uważnie. – Zamilkł na moment, a potem powiedział z dziwacznym, miarowym naciskiem: – Zamierzałem to rzucić. Podjąłem decyzję.

– Co rzucić? – zapytała Laurel cichym, drżącym głosem.

Nick niecierpliwie pokręcił głową.

– To bez znaczenia. Ważne, czy mi wierzysz, czy nie. Wierzysz mi?

– Tak. Nie wiem, o czym mówisz, ale wierzę, że jesteś szczery.

– Nick! – ostrzegł Brian z kokpitu. – Lecimy w kierunku dziury!

Nick znów rzucił spojrzenie w tamtą stronę; jego oczy były zmrużone i lśniły.

– Już idę! – zawołał. Kiedy znowu popatrzył na Laurel, odniosła wrażenie, że jeszcze nigdy w życiu nie znajdowała się w centrum tak zawziętej, intensywnej uwagi. – Mój ojciec mieszka w miasteczku Fluting, na południe od Londynu – powiedział. – Zapytaj o niego w dowolnym sklepie przy głównej ulicy. Pan Hopewell. Starsi ludzie nadal mówią na niego „kierownik”. Idź do niego i powiedz, że postanowiłem to rzucić. Potrzebny będzie upór; na dźwięk mojego imienia on zwykle się odwraca i głośno przeklina. Stary numer pod tytułem „Ja nie mam syna”. Potrafisz być uparta?

– Tak.

Nick skinął głową i uśmiechnął się ponuro.

– Świetnie! Powtórz mu, co ode mnie usłyszałaś, i powiedz, że mi uwierzyłaś. Powiedz, że zrobiłem wszystko, żeby odpokutować za tamten dzień za kościołem w Belfaście.

– W Belfaście.

– Zgadza się. A gdybyś nie dała rady nakłonić go, żeby słuchał, to powiedz, że musi posłuchać. Ze względu na stokrotki. Na to, kiedy przyniosłem stokrotki. To też zapamiętasz?

– Kiedyś przyniosłeś mu stokrotki.

Nick sprawiał wrażenie, jakby miał się roześmiać – ale Laurel nigdy nie widziała w czyjejś twarzy tyle smutku i goryczy.

– Nie, nie jemu, ale może być. Oto twoja przygoda. Podejmiesz się tego?

– Tak... ale...

– Dobrze. Dziękuję ci, Laurel.

Położył lewą dłoń na jej karku, przyciągnął do siebie i pocałował. Jego usta były zimne, a w oddechu czuła smak strachu.

Chwilę później już go nie było.

26

– Czy poczujemy się... wie pan... jakbyśmy tracili oddech? – zapytała Bethany. – Jakbyśmy się dusili?

– Nie – odparł Brian. Przed chwilą wstał, żeby sprawdzić, czy Nick już idzie; teraz, gdy Anglik pojawił się razem z roztrzęsioną Laurel Stevenson, z powrotem opadł na fotel. – Dostaniecie zawrotów głowy... zrobi wam się słabo... a potem nie poczujecie już nic. – Spojrzał na Nicka. – Aż wszyscy się obudzimy.

– Właśnie! – dodał radośnie Anglik. – I kto wie... Może i ja wciąż tu będę. Wiecie, złego diabli nie biorą. Prawda, Brianie?

– Chyba wszystko jest możliwe – przyznał pilot. Lekko popchnął manetki. Niebo znowu jaśniało. Rozdarcie było wprost

przed nimi. – Idźcie usiąść. Nick, masz być tuż obok mnie. Pokażę ci, co robić... i kiedy.

– Jeszcze sekunda – odezwała się Laurel.

Odzyskała trochę kolorów, a także panowanie nad sobą. Wspięła się na palce i pocałowała Nicka w usta.

– Dziękuję – powiedział grobowym głosem.

– Zamierzałeś to rzucić. Podjąłeś decyzję. A jeśli nie posłucha, to mam mu przypomnieć dzień, w którym przyniosłeś stokrotki. Dobrze zapamiętałam?

Uśmiechnął się szeroko.

– Perfekcyjnie, mój skarbie. Perfekcyjnie. – Objął Laurel lewym ramieniem i znowu ją pocałował, długo i mocno. Gdy ją puścił, na twarzy miał lekki zadumany uśmiech. – To będzie pamiątka – rzekł. – W sam raz.

27

Trzy minuty później Brian włączył interkom.

– Zaczynam obniżać ciśnienie. Niech wszyscy sprawdzą pasy.

Wykonali polecenie. Albert w napięciu czekał na jakiś dźwięk – może syk uciekającego powietrza – ale słyszał tylko równy pomruk silników odrzutowych. Czuł się tak mało senny jak jeszcze nigdy w życiu.

– Albercie – odezwała się Bethany cichym, przestraszonym głosem. – Możesz mnie przytulić?

– Tak – odpowiedział. – Jeśli i ty mnie przytulisz.

Za nimi Rudy Warwick znów odmawiał różaniec. Po drugiej stronie przejścia Laurel Stevenson ścisnęła podłokietniki fotela. Na wargach ciągle czuła ciepły ślad ust Nicka Hopewella. Uniosła głowę, spojrzała na dno schowka nad siedzeniem, zaczęła oddychać powoli i głęboko. Czekala, aż wypadną maski tlenowe... i półtorej minuty później tak się stało.

Pamiętaj o tym dniu w Belfaście, pomyślała. Za kościołem. Powiedział, że to akt pokuty. Akt...

W połowie tej myśli jej umysł odpłynął.

– Wiesz... co robić? – spytał ponownie Brian. Mówił mętным, sennym głosem.

Przed nimi rozdarcie w czasie ponownie pęczniało w oknach kokpitu, rozpościerało się po niebie. Znowu rozświetlał je brzask, a nowa, fantastyczna gama kolorów wirowała, falowała, a wreszcie ginęła w przedziwnej głębinie.

– Wiem – odparł Nick. Stał obok Briana, a jego głos tłumiała maska tlenowa. Ponad gumowym zaworem oczy mężczyzny były jasne i spokojne. – Bez obaw, Brianie. Masz to jak w banku. Lulaj sobie. Dobrych snów i tak dalej.

Brian tracił przytomność. Czuł, jak odpływa, ale wciąż się trzymał, wpatrzony w olbrzymią dziurę w materii rzeczywistości. Zdawała się puchnąć w kierunku okien, sięgać po samolot. Jakież to piękne, pomyślał. Boże, jakież to piękne!

Poczuł, że owa niewidzialna dłoń chwyta samolot i znowu ciągnie go naprzód. Tym razem już bez odwrotu.

– Nick... – zaczął.

Teraz wymagało to nadzwyczajnego wysiłku; miał wrażenie, że mózg dzieli od ust setki kilometrów. Uniósł dłoń. Wydawało mu się, że odjeżdża ona od niego na końcu długiego ramienia z ciągutki.

– Śpij – nakazał Nick i wziął go za rękę. – Nie walcz z tym, chyba że chcesz iść razem ze mną. To już niedługo.

– Chciałem tylko powiedzieć... dziękuję.

Nick uśmiechnął się i ścisnął jego dłoń.

– Nie ma za co, chłopie. To był pamiętny lot. Mimo że bez filmu i darmowych drinków.

Brian znowu spojrział na rozdarcie. Wpływała do niego rzeka przepięknych kolorów. Splotały się w spirale... mieszały... i zdawały układać przed jego skołowaciałym, zadziwionym wzrokiem w słowa:

– Czy... tym właśnie jesteśmy? – zapytał z zaciekawieniem, a jego głos dobiegł teraz z odległego wszechświata.
Połknęła go ciemność.

29

Nick został sam; jedyną przytomną osobą na pokładzie samolotu American Pride, lot numer 29, był człowiek, który kiedyś zastrzelił trzech chłopców za kościołem w Belfaście, trzech chłopców rzucających ziemniakami pomalowanymi na szaro, żeby przypominały granaty. Dlaczego robili coś takiego? Czy to był jakiś szalony zakład? Nigdy się tego nie dowiedział.

Nie bał się, ale przepełniało go przenikliwe uczucie samotności. Nie było niczym nowym. To nie pierwsza warta, którą odbywał sam, odpowiedzialny za życie innych ludzi.

Ależ to przepiękne, pomyślał. Wydawało mu się, że kolory wylewające się z rozdarcia są przeciwieństwem wszystkiego, czego doświadczył przez ostatnie kilka godzin; zaglądał teraz w tygiel nowego życia i nowego ruchu.

Dlaczego miałyby nie być piękne? To tutaj zaczyna się życie – może nawet wszelkie życie. To tutaj wykuwane jest w każdej sekundzie każdego dnia; oto kolebka stworzenia i krynica czasu. Langolierom wstęp wzbroniony.

Jego czoło i policzki zalewała fontanna kolorów: zieleni dżungli została wyparta przez pomarańcz lawy; pomarańcz ustąpił miejsca białawej żółci tropikalnego słońca; słońce zastąpił chłodny błękit północnych oceanów. Ryk silników odrzutowych wydawał się przytłumiony i daleki; Nick spuścił wzrok i nie zaskoczyło go, że bezwładną, śpiącą sylwetkę Briana Engle'a pochłaniają barwy, że jego rysy rozmazują się w nieustannie zmieniającym się kalejdoskopie jasności. Stał się bajecznym duchem.

Nicka nie zdziwiło także, że jego własne dłonie i ramiona są bezbarwne niczym glina. To nie Brian jest duchem, pomyślał, ale ja.

Rozdarcie górowało przed nim.

Odgłos silników odrzutowych stał się teraz zupełnie nowym dźwiękiem; zdawało się, że boeing 767 pędzi przez tunel aerodynamiczny wypełniony pierzem. Nagle wprost przed dziobem samolotu wielka feeria światła eksplodowała niczym niebiański fajerwerk; Nick Hopewell zobaczył w niej kolory, jakich nie wyobrażał sobie żaden człowiek. Wypełniła nie tylko rozdarcie w czasie; wypełniła jego umysł, nerwy, mięśnie, kości gigantycznym, skrzącym się błyskiem ognia.

– O mój Boże, JAKIEŻ TO PIĘKNE! – krzyknął, a kiedy boeing zanurzył się w rozdarciu w czasie, Nick przekręcił potencjometr ciśnienia w kabinie z powrotem do maksimum.

Ułamek sekundy później plomby z zębów Nicka zabębniły o podłogę kokpitu. Rozległo się ciche stuknięcie, kiedy dołączył do nich teflonowy krążek, który znajdował się w jego kolanie – pamiątka po konflikcie tylko trochę bardziej szlachetnym niż ten w Irlandii Północnej. To było wszystko.

Nick Hopewell przestał istnieć.

30

Pierwsze, czego świadomy był Brian, to to, że jego koszula jest mokra i że ból głowy powrócił.

Powoli usiadł w fotelu, krzywiąc się, kiedy piorun przeszył mu czaszkę, a potem spróbował sobie przypomnieć, kim jest, gdzie się znajduje i dlaczego czuje tak pilną potrzebę, żeby się obudzić. Co robił, co było takie ważne?

Wyciek, szepnął jego umysł. W głównej kabinie jest wyciek i jeśli nie zostanie ustabilizowany, będą wielkie kł...

Nie, to nieprawda. Wyciek na pokładzie samolotu, lot numer 7, został ustabilizowany – albo w tajemniczy sposób ustabilizował się sam – i Brian bezpiecznie wylądował w Los Angeles. A potem przyszedł mężczyzna w zielonej marynarce i...

Pogrzeb Anne! O Boże, zasnęłam!

Brian gwałtownie otworzył oczy, ale nie znajdował się ani w motelu, ani w pokoju gościnnym w domu brata Anne w Revere. Patrzył przez okno kokpitu na niebo pełne gwiazd.

Nagle wróciło do niego... wszystko.

Całkowicie wyprostował się w fotelu, zbyt gwałtownie. W jego głowie rozbrzmiał słaby, skacowany krzyk sprzeciwu. Z nosa trysnęła krew i rozprysnęła się po konsoli. Spojrzał w dół i zobaczył, że przód koszuli jest nią przesiąknięty. Rzeczywiście nastąpił wyciek. W nim samym.

Naturalnie, pomyślał. To częsty efekt dekompresji. Powinienem być ostrzec pasażerów... Na marginesie, ilu mi ich zostało?

Nie mógł sobie przypomnieć. Jego umysł wypełniała mgła.

Spojrzał na wskaźniki paliwa i stwierdził, że w szybkim tempie zbliżają się do punktu krytycznego, a potem sprawdził system nawigacji. Znajdowali się dokładnie tam, gdzie powinni, gwałtownie schodzili w kierunku Los Angeles i w każdej chwili mogli wtargnąć w czyjąś przestrzeń powietrzną, kiedy ten ktoś wciąż tam będzie.

Ktoś dzielił z Brianem jego przestrzeń powietrzną tuż przed utratą przytomności... Kto?

Poszukał w głowie odpowiedzi i wreszcie ją znalazł. Nick, oczywiście. Nick Hopewell. Już go nie było. Czyli widocznie nie okazał się taki znowu zły. I, jak widać, zrobił swoje, inaczej Brian już by się nie obudził.

Czym prędzej sięgnął po radio.

– Kontrola naziemna LAX, tu lot American Pride numer... – Zamilkł. Jaki mieli numer? Nie pamiętał. Przeszkadzała mgła.

– Dwadzieścia dziewięć, prawda? – odezwał się za nim oszołomiony, drżący głos.

– Dziękuję, Laurel. – Brian się nie odwrócił. – Wróc na miejsce i zapnij pas. Może będę musiał wykręcić tą maszynką kilka sztuczek. – Znowu odezwał się do mikrofonu: – Lot American Pride numer dwadzieścia dziewięć, powtarzam: dwa dziewięć. Mayday, zgłaszam sytuację awaryjną. Oczyście mi drogę,

nadlatuję z kursem osiemdziesiąt pięć i nie mam paliwa. Wyślijcie wóz z pianą i...

– Daj sobie spokój – powiedziała bezbarwnie Laurel. – Po prostu daj sobie spokój.

Brian obrócił się w fotelu, nie zważając na nowy piorun bólu w głowie i nową fontannę krwi, która trysnęła mu z nosa.

– Siadaj, do cholery! – warknął. – Wlatujemy w nieprzewidziany gęsty ruch powietrzny. Jeśli nie chcesz złamać karku...

– Tam nie ma żadnego ruchu powietrznego – odpowiedziała Laurel tym samym bezbarwnym tonem. – Nie ma ruchu, nie ma wozów z pianą. Nick zginął nadaremnie, a ja nigdy nie przekażę jego wiadomości. Sam popatrz.

Brian popatrzył. I choć znajdowali się teraz nad przedmieściami Los Angeles, zobaczył tylko ciemność.

Tam na dole chyba nikogo nie było.

Absolutnie nikogo.

Za jego plecami Laurel Stevenson wybuchła strasznym, rozdzierającym płaczem przerażenia i niemocy.

31

Długi biały samolot pasażerski wolno sunął nad ziemią dwadzieścia sześć kilometrów na wschód od Międzynarodowego Portu Lotniczego w Los Angeles. Na jego ogonie widniały duże, dumne cyfry: 767. Na kadłubie literami pochylonymi do tyłu, co miało kojarzyć się z szybkością, wypisano nazwę: AMERICAN PRIDE. Po obu stronach dziobu znajdował się duży czerwony orzeł. Rozpostarte skrzydła ptaka pokrywały niebieskie gwiazdy. Podobnie jak maszyna, którą zdobił, orzeł zdawał się podchodzić do lądowania.

Lecąc nad siecią opustoszałych ulic, samolot nie rzucał cienia; do wschodu słońca została jeszcze godzina. W dole nie poruszały się samochody, nie świeciły latarnie. W dole wszystko było

milczące i nieruchome. Na wprost nie lśniło oświetlenie pasa startowego.

Otworzył się brzuch maszyny. Opuściło się podwozie. Zablockowały się koła.

Samolot American Pride, lot numer 29, schodził w kierunku Los Angeles. Po drodze pochylił się lekko w prawo; Brian mógł już wizualnie skorygować kurs, więc to zrobił. Przelecieli nad skupiskiem lotniskowych moteli i przez moment widział budowlę stojącą w centrum kompleksu terminali, zgrabny trójnog o łukowatych nogach z restauracją pośrodku. Przelecieli nad krótką wstęgą martwej trawy, a potem dziesięć metrów pod samolotem rozwijał się betonowy pas.

Tym razem nie było czasu na łagodne schodzenie. Na wszystkich wskaźnikach paliwa świeciły się zera i lada moment stalowy ptak miał się zmienić w stalową trumnę. Brian skierował maszynę ostro w dół niczym sanie wyładowane cegłami. Rozległ się grzmot, od którego zadzwoniły mu zęby, a z nosa znowu puściła się krew. Napięły się pasy na jego piersi. Laurel, siedząca w fotelu drugiego pilota, krzyknęła.

Potem Brian wysunął klapy i odwrócił ciąg. Samolot zaczął zwalniać. Jechali nieco ponad sto sześćdziesiąt kilometrów na godzinę, kiedy dwa silniki zgasły, a na desce rozdzielczej zapłonęły czerwone lampki WYŁĄCZENIE SILNIKA. Brian sięgnął do włącznika interkomu.

– Trzymajcie się! Będzie rzucało! Trzymajcie się!

Silniki numer 2 i 4 pracowały jeszcze przez chwilę, a potem i one wysiadły. Boeing 767 sunął po pasie startowym w upiornej ciszy, teraz spowalniany już tylko przez klapy. Brian patrzył bezsilnie, jak pod kołami samolotu kończy się beton i zbliża płatanina krzyżujących się dróg kołowania. A tam, wprost przed rozpędzoną maszyną, stało cielsko samolotu regionalnych linii Pacific Airways.

Boeing wciąż jechał z prędkością co najmniej stu kilometrów na godzinę. Brian skreślił w prawo, napierając na martwy wolant z całej siły. Samolot zareagował ospale; udało się minąć

zaparkowany odrzutowiec może o dwa metry. Jego okna przemknęły za szybą niczym rządkiem martwych oczu.

A potem toczyli się w kierunku terminalu United Airlines, gdzie kilkanaście maszyn stało przy wysuniętych rękawach jak niemowlęta przyssane do piersi matki. Prędkość boeinga spadła do niespełna pięćdziesięciu kilometrów na godzinę.

– Przygotujcie się! – wrzasnął Brian do mikrofonu, chwilowo zapominając, że jego samolot jest teraz równie martwy jak wszystkie pozostałe, więc interkom jest bezużyteczny. – Przygotujcie się na kolizję! Przy...

Samolot American Pride, lot numer 29, uderzył w wyjście numer 29 terminalu United Airlines z szybkością około czterdziestu siedmiu kilometrów na godzinę. Rozległ się głośny, głuchy huk, a później dźwięk gnieczonego metalu i tłuczonego szkła. Przez chwilę Brian siedział zesztywniały, czekając na eksplozję... a potem przypomniał sobie, że w zbiornikach nie ma już nic, co mogłoby eksplodować.

Przestawił wszystkie przełączniki na konsoli w pozycję wyłączoną – konsola była martwa, ale nawyk okazał się silniejszy – a potem się odwrócił, by zobaczyć, co z Laurel. Patrzyła na niego tępym, apatycznym wzrokiem.

– O włos – odezwał się drżącym głosem. – Jeszcze nigdy nie brakowało tak niewiele.

– Trzeba nas było rozbić. Wszystko, czego spróbowaliśmy... Dina... Nick... wszystko na nic. Tutaj jest tak samo. Dokładnie tak samo.

Brian rozpiął pasy i podniósł się niepewnie. Wyjął chusteczkę z tylnej kieszeni i podał ją kobiecie.

– Wytrzymaj nos. Krwawisz.

Wzięła od niego chusteczkę, a potem tylko na nią spojrzała, jakby widziała coś takiego po raz pierwszy w życiu.

Brian minął ją i powoli poczłapał do kabiny pasażerskiej. Stał w drzwiach i policzył głowy. Jego pasażerowie – to znaczy ci nieliczni, którzy pozostali – wydawali się cali i zdrowi. Bethany mocno przyciskała twarz do piersi Alberta i głośno płakała. Rudy

Warwick rozpiął pas, wstał, uderzył głową o schowek nad fotelem i usiadł z powrotem. Spojrzał na kapitana skołowanym, nierozumiejącym wzrokiem. Brianowi przeszła przez głowę myśl: Ciekawe, czy Rudy wciąż jest głodny. Pewnie nie.

– Opuśćmy samolot – rzucił.

Bethany podniosła głowę.

– Kiedy tu będą? – zapytała go histerycznie. – Ile czasu tym razem minie, zanim się pojawią? Czy ktoś już je słyszy?

Głowę Briana znów przeszła błyskawica bólu. Zachwiał się i nagle był pewien, że zemdleje.

Czyjeś pewne ramię objęło go w pasie, więc obejrzał się zaskoczony. To Laurel.

– Kapitan Engle ma rację – powiedziała cicho. – Wsiądźmy z samolotu. Może nie jest tak źle, jak na to wygląda.

Bethany parsknęła histerycznym śmiechem.

– A jak źle ma wyglądać? – zapytała. – Niby jak źle ma...

– Coś jest inaczej – stwierdził nagle Albert. Właśnie spojrzał za okno. – Coś się zmieniło. Nie wiem co... ale nie jest tak samo. – Popatrzył najpierw na Bethany, a potem na kapitana i Laurel. – Po prostu nie jest tak samo.

Brian pochylił się obok Boba Jenkinsa i popatrzył przez szybę. Nie widział żadnych większych różnic w porównaniu z lotniskiem w Bangor – oczywiście było tu więcej samolotów, ale równie opuszczonych, równie martwych – a mimo to Albert mógł mieć trochę racji. Chodziło bardziej o uczucie niż o widok. O jakąś zasadniczą różnicę, której nie potrafił uchwycić. Wymykała mu się o włos, tak jak wcześniej marka perfum byłej żony.

„To L’Envoi, kochanie. Zawsze używałam tych perfum, nie pamiętasz?”.

Nie pamiętasz?

– Chodźcie – powiedział. – Tym razem wyjdziemy przez kokpit.

Brian otworzył klapę znajdującą się tuż pod tablicą przyrządów i próbował sobie przypomnieć, dlaczego nie zrobił tego w Bangor; to znacznie prostsze niż korzystanie ze zjeżdżalni. Nie dostrzegał dobrego powodu. Po prostu nie przyszło mu to do głowy, zapewne dlatego, że wyszkolono go, aby w sytuacji awaryjnej w pierwszej kolejności myślał o zjeżdżalni.

Spuścił się do przedniej ładowni, schylił głowę pod kiścią przewodów elektrycznych, a potem odblokował włącznik w podłożu dziobu samolotu. Dołączył do niego Albert i pomógł zejść Bethany. Brian pomógł Laurel, a potem wspólnie pomogli Rudy'emu, który poruszał się w taki sposób, jakby jego kości były teraz ze szkła. W przestrzeni pod kokpitem zrobiło się bardzo tłoczno, więc Bob Jenkins czekał na górze, opierał się na rękach i spoglądał przez otwór.

Brian odpiął drabinę, odpowiednio ją przymocował, a potem jedno po drugim zeszli na płytę lotniska, on pierwszy, a Bob ostatni.

Gdy stopami dotknął ziemi, poczuł dziką ochotę, by położyć dłoń na sercu i zawołać: „W imieniu pasażerów lotu numer dwadzieścia dziewięć przejmuję tę krainę skwaśniałym mlekiem i zjełczalym miodem płynącą we władanie... przynajmniej do czasu przybycia langolierów!”.

Nie powiedział nic. Stał tylko wraz z pozostałymi pod dziobem samolotu, czuł lekki powiew wiatru na policzku i rozglądał się. W oddali słyszał jakiś dźwięk. Nie były to żucie i chrzęst, które stopniowo narastały w Bangor – nic podobnego – nie potrafił jednak określić co.

– Co to jest? – zapytała Bethany. – Co to za buczenie? Brzmi jak elektryczność.

– Wcale nie – odparł Bob w zamyśleniu. – Brzmi jak... – Pokręcił głową.

– Nie brzmi jak nic, co w życiu słyszałem – rzekł Brian, ale nie miał pewności, czy to prawda.

Znowu dręczyło go wrażenie, że coś, co wie lub co powinien wiedzieć, tańczy tuż poza zasięgiem jego umysłu.

– To one, prawda? – zapytała Bethany na wpół histerycznie. – To one, nadchodzą. Langolierzy, o których mówiła Dina.

– Nie sędzę. Brzmi zupełnie inaczej. – Czuł jednak, że w jego trzewiach i tak budzi się strach.

– Co teraz? – spytał Rudy. Jego głos był ostry jak skrzek wrony. – Zaczynamy od nowa?

– Przynajmniej nie musimy się przeciskać po taśmociągu, zawsze coś – odparł Brian. – Drzwi serwisowe rękawa są otwarte.

– Wszedł spod dziobu boeinga i wskazał palcem. Siła uderzenia o wyjście numer 29 odepchnęła drabinę na kółkach od drzwi, ale bez trudu można ją było przystawić z powrotem. – Chodźcie.

Ruszyli w kierunku drabiny.

– Albercie – powiedział Brian. – Pomóż mi ją przes...

– Czekaście – wtrącił Bob.

Brian obrócił się i zobaczył, że pisarz rozgląda się z ostrożnym zdumieniem. A jego spojrzenie, wcześniej otumanione... Czyżby była w nim nadzieja?

– Co takiego? O co chodzi, Bob? Co widzisz?

– Ot, kolejne opustoszałe lotnisko. Ale chodzi o to, co czuję.

Bob przyłożył dłoń do policzka... a potem po prostu uniósł ją, jakby chciał zatrzymać taksówkę.

Brian już miał go spytać, co to znaczy, kiedy zrozumiał, że przecież wie. Czyż sam nie zwrócił na to uwagi, stojąc pod dziobem samolotu? A może zwrócił uwagę, lecz to zlekceważył?

Na twarzy czuł powiew wiatru. Niezbyt silny, ledwie muśnięcie, ale był to wiatr. Powietrze się poruszało.

– Jasny gwint! – odezwał się Albert.

Włożył palec do ust, żeby go polizać, a potem go uniósł. Na jego twarzy pojawił się uśmiech niedowierzania.

– To jeszcze nie wszystko – dodała Laurel. – Posłuchajcie!

Ruszyła pędem w kierunku skrzydła boeinga, a potem zawróciła i przybiegła z powrotem. Włosy powiewały za nią niczym welon. Wysokie obcasy żywo stukały o beton.

– Słyszeliście? – zapytała. – Słyszeliście?!

Słyszeli. To już nie był ten płaski, zdławiony odgłos. Teraz, słuchając Laurel, Brian uświadomił sobie, że w Bangor wszyscy brzmiali tak, jakby mówili z wnętrza dzwonów odlanych z tłumiącego metalu – mosiądzu lub może ołowiu.

Bethany uniosła dłonie i szybko wyklaskała rytm *Let's Go*, starego instrumentalnego kawałka The Routers. Każde klaśnięcie było ostre i wyraźne jak wystrzał pistoletu startowego. Na twarzy dziewczyny zakwitł radosny uśmiech.

– Co to zna... – zaczął Rudy.

– Samolot! – krzyknął Albert radosnym, piskliwym tonem i przez moment Brian miał absurdalne skojarzenie z tym małym gościem ze starego serialu telewizyjnego *Fantasy Island*. Prawie roześmiał się na głos. – Już wiem, co się zmieniło! Patrzcie na samolot! Teraz jest taki sam jak reszta!

Obrócili się i popatrzyli. Bardzo długo nikt nic nie mówił; być może nie byli w stanie się odezwać. Boeing 727 linii Delta, który w Bangor stał obok samolotu American Pride, wydawał się matowy i wyblakły, jakby mniej realny od boeinga 767. Teraz natomiast wszystkie maszyny – zarówno ta, którą przylecieli, jak i odrzutowce United Airlines ustawione przy rękawach – były równie jasne, równie nowe. Nawet w ciemności ich lakier i logo firmy zdawały się lśnić.

– Co to znaczy? – spytał Rudy, zwracając się do Boba. – Co to znaczy? Skoro wszystko rzeczywiście wróciło do normy, gdzie jest elektryczność? Gdzie ludzie?!

– I co to za dźwięk? – dodał Albert.

Dźwięk był już bliżej, już wyraźniejszy. To rzeczywiście było buczenie, jak powiedziała Bethany, ale nie miało w sobie nic elektrycznego. Przypominało wiatr wiejący przez otwartą rurę albo nieludzki chór, który ciągnie unisono tę samą otwartą sylabę: aaaaaaa...

Bob pokręcił głową.

– Nie wiem – odrzekł, po czym się odwrócił. – Przepchnijmy drabinę na miejsce, a potem wejdźmy...

Laurel złapała go za ramię.

– Coś pan wie! – rzuciła. Jej głos był napięty. – Widzę to. Niech pan to zdradzi pozostałym.

Pisarz wahał się przez moment, po czym znowu pokręcił głową.

– Nie jestem jeszcze gotów powiedzieć. Najpierw chcę wejść do środka i się rozejrzeć.

Tym musieli się zadowolić. Brian z Albertem przesunęli drabinę we właściwe miejsce. Jedna z podpórek nieco się wygięła, więc Brian przytrzymał ją, gdy pozostali kolejno wchodzili. On wszedł jako ostatni, wzdłuż przeciwnej krawędzi, jak najdalej od wykrzywionej podpórki. Inni zaczekali na niego, a potem wszyscy wspólnie udali się rękawem do terminalu.

Znaleźli się w dużym, okrągłym pomieszczeniu, w którym przy jedynej, zakrzywionej ścianie w równych odstępach znajdowały się kolejne wyjścia do samolotów. Rzędy siedzeń stały puste i upiorne, a lampy jarzeniowe pod sufitem były ciemnymi kwadratami, Albert jednak miał wrażenie, że niemal czuje zapach innych ludzi... jakby wszyscy wymaszerowali stąd zaledwie kilka sekund przed przybyciem ocalałych pasażerów lotu numer 29.

Na zewnątrz chóralne buczenie wciąż narastało, nadciągało niczym niewidzialna fala: ...aaaaaaaaaaaaa...

– Proszę, chodźcie ze mną – powiedział Bob Jenkins, bez wysiłku przejmując dowództwo nad grupą. – Szybko.

Ruszył w kierunku hali, a reszta udała się za nim. Albert i Bethany szli razem, objęci w pasie. Kiedy opuścili pokrytą wykładziną podłogę strefy wejścia na pokład i znaleźli się w wielkiej hali, ich obcasy zaczęły stukać o podłogę i niosło się to takim echem, jakby grupa liczyła ze dwadzieścia pięć osób, a nie tylko sześć. Mijali ciemne, wygaszone plakaty reklamowe: Oglądaj CNN, Pał Marlboro, Jedź z Hertzem, Czytaj „Newsweeka”, Zobacz Disneyland.

A ten dźwięk, to chóralne buczenie, wciąż się nasilał. Dopóki przebywali na zewnątrz, Laurel była przekonana, że zbliża się on z zachodu. Teraz jednak zdawał się być tutaj wraz z nimi, jakby

śpiewacy – jeśli to byli śpiewacy – już przybyli. Nie można powiedzieć, żeby dźwięk napawał ją strachem, ale na rękach i plecach czuła dreszcze uniesienia.

Dotarli do bufetu restauracyjnego. Bob wprowadził ich do środka. Nie zatrzymując się, obszedł ladę i wziął zapakowane ciastko ze stosu na blacie. Spróbował rozerwać folię zębami... a potem uświadomił sobie, że jego zęby zostały w samolocie. Mruknął zdegustowany, po czym rzucił ciastko przez ladę Albertowi.

– Ty to zrób – powiedział. Oczy mu się świeciły. – Szybko, Albercie! Szybko!

– Szybko, Watsonie, gra rozpoczęta! – zawołał chłopak i roześmiał się jak szalony.

Rozdarł celofan, po czym spojrzał na Boba, a ten skinął głową. Albert wysunął ciastko i wbił w nie zęby. Śmietana i dżem malinowy trysnęły bokami. Chłopak uśmiechnął się szeroko.

– Jeft pyfne! – oznajmił stłumionym głosem, parskając okruciami. – Pyfne! – Podał ciastko Bethany, a ona odgryzła jeszcze większy kawałek.

Laurel poczuła zapach malinowego nadzienia i głośno zaburczało jej w brzuchu. Roześmiała się. Nagle poczuła się wesoła, uradowana, prawie jak na haju. Pajęczyny wspomnienia o dekompresji całkiem zniknęły; jej głowa była niczym pokój na piętrze, przez który w gorące, okropnie parne popołudnie powiała świeża morska bryza. Pomyślała o Nicku, którego tu nie było, który zginął po to, żeby pozostali mogli tu teraz być, i doszła do wniosku, że nie miałyby nic przeciwko temu, by tak się czuła.

Chóralny dźwięk wciąż się nasilał, dźwięk bez kierunku, pozbawione źródła śpiewne westchnienie istniejące wszędzie dokoła:

...AAAAAAAAAAAAA...

Bob Jenkins wybiegł z za lady. Tak mocno ściął zakręt, że prawie stracił równowagę i musiał przytrzymać się wózka z przyprawami, żeby nie upaść. Utrzymał się w pionie, ale metalowy wózek z przepięknym, donośnym brzękiem runął na

podłogę. Wszędzie dokoła rozprysnęły się plastikowe sztucce i saszetki musztardy, keczupu oraz reliszu.

– Szybko! – krzyknął Bob. – Nie możemy tu być! To się stanie wkrótce, chyba lada chwila, i nie możemy tu wtedy być! Myślę, że to niebezpieczne!

– Co jest niebe... – zaczęła Bethany, ale Albert objął ją i pociągnął za Bobem, obłąkanym przewodnikiem, który już pędził do drzwi bufetu.

Wybiegli za nim, a on gnał z powrotem w kierunku strefy wejścia na pokład linii lotniczych United. Teraz stukot ich butów niemal ginął w donośnym buczeniu, które wypełniało opustoszały terminal i odbijało się wielokrotnym echem w dziesiątkach gardzieli odgałęziających się korytarzy.

Brian słyszał, że ta pojedyncza, donośna nuta zaczyna się rozszczepiać. Miał wrażenie, że się nie rozsypuje, właściwie nawet nie zmienia, ale skupia się, tak jak się skupiał odgłos langolierów, kiedy zbliżały się do Bangor.

Gdy znów znaleźli się w strefie wejścia na pokład, zobaczył, że eteryczny blask zaczyna sunąć po pustych siedzeniach, ciemnych ekranach przylotów i odlotów oraz stanowiskach kontroli kart pokładowych. Po błękicie nastąpiła czerwień; po czerwieni nastąpiła żółć; po żółci nastąpiła zieleń. Powietrze jakby wypełniło się niebywałym, fantastycznym oczekiwaniem. Brian poczuł dreszcz; każdy włosk na jego ciele próbował się podnieść. Wyraźne przekonanie przeszło go niczym promień poranka: Jesteśmy o krok od czegoś wielkiego i wspaniałego.

– Tutaj! – zawołał Bob. Prowadził ich w kierunku ściany obok rękawa, z którego przybyli. Znajdowała się w strefie tylko dla pasażerów, za aksamitnym czerwonym sznurem. Przeskoczył nad nią z taką łatwością jak płotkarz, którym może był kiedyś w liceum. – Pod ścianę!

– Pod ścianę, skurwysyny! – wrzasnął Albert, którego dopadł spazm nagłego, niekontrolowanego śmiechu.

Wraz z pozostałymi dołączył do Boba. Przywarli do ściany niczym podejrzeni na policyjnym okazaniu. W pustej okrągłej

poczekalni, która się przed nimi rozciągała, kolory migotały przez moment... a potem zaczęły blednąć. Jednakże dźwięk nadal się pogłębiał i stawał coraz bardziej autentyczny. Brian miał wrażenie, że teraz słyszy w nim głosy, kroki, a nawet gaworzenie paru niemowląt.

– Nie wiem, co to takiego, ale jest cudowne! – zawołała Laurel. Na wpół śmiała się, na wpół płakała. – Jestem zachwycona!

– Mam nadzieję, że tutaj będziemy bezpieczni – rzekł Bob. Musiał podnieść głos, żeby go usłyszeli. – Myślę, że tak. Znajdujemy się poza głównymi strefami ruchu.

– Co się teraz stanie? – zapytał Brian. – Co pan wie?

– Kiedy przelecieliśmy przez rozdarcie, podróżując na wschód, cofnęliśmy się w czasie! – krzyknął Bob. – Znaleźliśmy się w przeszłości! Przenieśliśmy się może tylko o piętnaście minut... pamięta pan, jak to mówiłem?

Brian skinął głową, a twarz Alberta nagle się rozświetliła.

– Tym razem przeniosło nas w przyszłość! – zawołał chłopak. – Właśnie o to chodzi, prawda? Teraz rozdarcie przeniosło nas w przyszłość!

– Chyba tak! – odkrzyknął Bob. Uśmiechał się bezradnie. – I zamiast trafić do martwego świata, takiego, który poszedł dalej bez nas, wylądowaliśmy w świecie, który dopiero czeka, by się narodzić! Świecie tak świeżym i nowym jak pąk róży mający zaraz rozkwitnąć! Sądzę, że właśnie to się teraz dzieje. Właśnie to słyszymy i czujemy... to przepełniło nas tak cudowną, nieporadną radością. Wydaje mi się, że lada moment zobaczymy coś, czego nie doświadczył jeszcze nigdy żaden człowiek. Oglądaliśmy śmierć świata; teraz, jak sądzą, zobaczymy jego narodziny. Wydaje mi się, że za chwilę dogoni nas teraźniejszość.

Tak samo jak wcześniej kolory rozbłysły i przyblakły, tak teraz nagle przycichł ów głęboki, donośny dźwięk. Jednocześnie głosy, które w nim rozbrzmiewały, stały się głośniejsze, wyraźniejsze. Laurel uświadomiła sobie, że rozróżnia słowa, a nawet całe frazy.

– ...muszę do niej zadzwonić, zanim zdecyduje...

- ...szczerze wątpię, czy ta opcja jest możliwa...
- ...bezpieczni, jeśli tylko uda nam się przekazać sprawę firmie macierzystej...

Ten ostatni głos przesunął się przez pustkę wprost przed nimi po drugiej stronie aksamitnego sznura.

Brian Engle poczuł, że narasta w nim swoista ekstaza, wypełnia go blaskiem zachwyty i radości. Wziął Laurel za rękę i uśmiechnął się szeroko, a ona mocno ścisnęła jego dłoń. Obok Albert nagle przytulił Bethany, a ona, śmiejąc się, zaczęła zasypywać jego twarz pocałunkami. Bob i Rudy uśmiechnęli się do siebie, rozweseleni niczym dwaj przyjaciele, którzy nie widzieli się od lat, a teraz zupełnym przypadkiem spotkali się gdzieś na końcu świata.

W nozdrza Briana gwałtownie uderzyły zapachy: pot, perfumy, płyn po goleniu, woda kolońska, dym papierosowy, skóra, mydło, środki czyszczące.

Jeszcze przez moment okrąg poczekalni pozostawał opustoszały, był miejscem nawiedzonym przez głosy i kroki nie do końca żyjących. A Brian pomyślał: Zobaczę, jak to się stanie; zobaczę, jak ruchoma teraźniejszość zewrze się z tą statyczną przyszłością i pociągnie ją naprzód, zupełnie jak w dawnych czasach haki przejeżdżających pociągów ekspresowych zgarniały worki z listami ze słupów pocztowych, które stały przy torach kolejowych w sennych miasteczkach na południu i zachodzie kraju. Zobaczę, jak czas otwiera się niczym pączek róży w letni poranek.

– Przygotujcie się – mruknął Bob. – Może szarpnąć.

Zaledwie sekundę później Brian poczuł wstrząs – i to nie tylko w stopach, ale i w całym ciele. W tej samej chwili doznał takiego wrażenia, jakby niewidzialna dłoń mocno pchnęła go w sam środek pleców. Rzuciło nim do przodu i czuł, że Laurel chwieje się razem z nim. Albert musiał złapać Rudy'ego, żeby ten się nie przewrócił. Rudy'emu najwyraźniej to nie przeszkadzało; jego twarz rozpromienił szeroki, głupkowaty uśmiech.

– Popatrz! – wydyszała Laurel. – Och, Brianie, popatrz!

Popatrzył... i oddech uwiązał mu w gardle.

Poczekalnia była pełna duchów.

Eteryczne, przezroczyście postaci przecinały ją tam i z powrotem: mężczyźni w służbowych garniturach ciągnący walizki, kobiety w eleganckich sukienkach podróżnych, nastolatki w lewisach i koszulkach z nazwami grup rockowych. Brian zobaczył ojca-ducha prowadzącego dwójkę małych dzieci-duchów, a przez nich widział inne duchy, które siedziały w fotelach i czytały przezroczyście egzemplarze „Cosmopolitan”, „Esquire” i „US News & World Report”. Potem w te kształty serią kometowych błysków wstrzelił się kolor, zestalając je, a echa zmieniły się w pospolity stereofoniczny gwar ludzkich głosów.

Spadające gwiazdy, pomyślał Brian w zadziwieniu. Tylko spadające gwiazdy.

Tak się akurat złożyło, że kiedy nastąpiła zmiana, jedynie tamta dwójka dzieci patrzyła wprost na ocalałych pasażerów lotu numer 29; tylko one widziały, jak czterech mężczyzn i dwie kobiety pojawiają się w miejscu, w którym jeszcze przed sekundą nie było nic oprócz ściany.

– Tatusiu! – zawołał chłopczyk, szarpiąc prawą dłoń ojca.

– Tato! – dołączyła się dziewczynka, szarpiąc lewą.

– Co? – Mężczyzna rzucił im zniecierpliwione spojrzenie. – Szukam waszej matki!

– Nowi ludzie! – powiedziała dziewczynka, po czym wskazała Briana oraz kwintet jego sponiewieranych pasażerów. – Zobacz, nowi ludzie!

Mężczyzna patrzył przez moment na Briana i pozostałych. Nerwowo zacisnął usta. Chodzi o krew, domyślił się Brian. On, Laurel i Bethany mieli krwotok z nosa. Mężczyzna mocniej chwycił dzieci za ręce, po czym prędko je odciągnął.

– Tak, świetnie – mruknął. – Lepiej pomóżcie mi szukać matki. Boże, co za porażka.

– Ale ich tu wcześniej nie było! – protestował chłopczyk. – Oni...

Potem cała trójka zniknęła w gnającym tłumie.

Brian podniósł wzrok na monitory. Wskazywały godzinę 4.17. Tu jest za dużo ludzi, pomyślał, i założę się, że wiem dlaczego. Jakby na potwierdzenie jego domysłów z głośników rozległ się głos spikerki:

– Wszystkie wyloty z Los Angeles w kierunku wschodnim są nadal opóźnione z powodu nietypowych zjawisk meteorologicznych nad pustynią Mojave. Przepraszamy za utrudnienia, prosimy jednak o cierpliwość i wyrozumiałość w związku z zastosowaniem tego środka ostrożności. Powtarzam, wszystkie wyloty z Los Angeles...

Nietypowe zjawiska meteorologiczne, pomyślał Brian. O tak, najbardziej popieprzone zjawiska meteorologiczne świata.

Laurel odwróciła się do niego i spojrzała mu w oczy. Łzy płynęły po jej policzkach i wcale nie próbowała ich wytrzeć.

– Słyszałeś ją? Słyszałeś tę dziewczynkę?

– Tak.

– Czy właśnie tym jesteśmy, Brianie? Nowymi ludźmi?

– Nie wiem – odparł – ale właśnie tak się czuję.

– To było cudowne – powiedział Albert. – Mój Boże, to była najcudowniejsza rzecz na świecie.

– Totalnie odlotowe! – zawołała radośnie Bethany, a potem znów zaczęła klaskać rytm *Let's Go*.

– Co teraz zrobimy, Brianie? – spytał Bob. – Jakies pomysły?

Brian rozejrzał się po tłocznej strefie wejścia na pokład i powiedział:

– Chyba chcę wyjść na zewnątrz. Odetchnąć świeżym powietrzem. I spojrzeć w niebo.

– Nie powinniśmy powiadomić władz o tym, co...

– Zrobimy to – odparł Brian. – Ale najpierw niebo.

– I może po drodze coś byśmy zjedli? – dodał Rudy z nadzieją.

Brian się roześmiał.

– Czemu nie?

– Mój zegarek stanął – stwierdziła Bethany.

Brian odkrył to samo. Wszystkie ich zegarki stanęły.

Zdjął swój i obojętnie rzucił go na podłogę, a potem objął Laurel w pasie.

– Spadajmy stąd – powiedział. – Chyba że chcecie poczekać na następny samolot na wschód.

– Nie dzisiaj – odparła. – Ale wkrótce. Do Anglii. Muszę się zobaczyć z pewnym mężczyzną w... – Przez jeden straszliwy moment nie mogła sobie przypomnieć nazwy miejscowości... a potem wreszcie ją olśniło. – We Fluting. Mogę zapytać kogokolwiek przy głównej ulicy. Starsi ludzie wciąż mówią na niego „kierownik”.

– O czym ty mówisz? – zapytał Albert.

– O stokrotkach – odrzekła ze śmiechem. – Chyba mówię o stokrotkach. Idziemy.

Bob uśmiechnął się szeroko, odsłaniając różowiutkie dziąsła.

– Jeśli o mnie chodzi, następnym razem do Bostonu pojedę raczej pociągiem.

Laurel trąciła stopą zegarek Briana i spytała:

– Na pewno go nie chcesz? Wygląda na drogi.

Uśmiechnął się, pokręcił głową i pocałował ją w czoło. Zapach jej włosów był oszałamiająco słodki. Brian czuł się lepiej niż dobrze; czuł się jak nowo narodzony, każdy centymetr jego ciała wydawał się nowy, świeży, nienaznaczony przez świat. Brian czuł wręcz, że gdyby rozpostarł skrzydła, mógłby latać bez pomocy silników.

– Na pewno – odparł. – Wiem, która godzina.

– Czyżby? Która?

– Pół po teraz.

Albert klepnął go po plecach.

Wyszli z poczekalni całą grupą, klucząc między gromadkami zdegrustowanych pasażerów opóźnionych lotów. Wiele osób patrzyło za nimi z ciekawością, i to nie tylko dlatego, że kilkoro niedawno miało krwotok z nosa ani że śmiali się w głos, idąc wśród tyłu rozzłoszczonych, zdenerwowanych ludzi.

Patrzono za nimi, ponieważ ta szóstka wydawała się w jakiś sposób jaśniejsza od pozostałych w zatłoczonej poczekalni.

Bardziej realna.

Bardziej tutaj.

Tylko spadające gwiazdy, pomyślał Brian i nagle przypomniał sobie, że w samolocie został jeszcze jeden pasażer – ów mężczyzna z czarną brodą. Tego kaca gość nie zapomni do końca życia, stwierdził Brian z uśmiechem. Ruszył biegiem, ciągnąc za sobą Laurel. Roześmiała się i przytuliła się do niego.

Cała szóstka razem biegła przez hol lotniska w stronę schodów ruchomych i całego świata na zewnątrz.

UKRYTE OKNO, UKRYTY OGRÓD

Przełożył Robert Waliś

Dla Chucka Verrilla

DRUGA PO PÓŁNOCY

Przedmowa do *Ukrytego okna, ukrytego ogrodu*

Należę do osób postrzegających życie jako serię cykli – kół wewnątrz kół, które czasami się zazębiają, a czasami wirują samotnie, lecz zawsze pełnią jakąś skończoną, powtarzającą się funkcję. Podoba mi się abstrakcyjna wizja życia jako wydajnej fabrycznej maszyny, zapewne dlatego, że prawdziwe życie, gdy dokładnie mu się przyjrzeć, sprawia wrażenie chaotycznego i dziwnego. Miło od czasu do czasu cofnąć się o krok i stwierdzić: „A jednak jest tam jakiś wzór! Nie jestem pewien, co oznacza, ale widzę go, na Boga!”.

Wydaje się, że wszystkie te koła kończą swój cykl mniej więcej w tym samym czasie, a kiedy tak się dzieje – szacuję, że przeciętnie co dwadzieścia lat – wkraczamy w okres zakończeń, który psychologowie nazywają zamknięciem.

Mam teraz czterdzieści dwa lata i kiedy spoglądam wstecz na ostatnie cztery lata swojego życia, widzę wiele zamknięć. Są one widoczne również w mojej twórczości. W książce *To* poświęciłem skandalicznie dużo miejsca na ostateczne rozważania na temat dzieci oraz szerokich perspektyw, które rozświetlają ich wnętrza. W przyszłym roku zamierzam wydać ostatnią powieść o miasteczku Castle Rock, *Sklepik z marzeniami* (ostatnia opowieść w niniejszym tomie, *Pies z aparatu*, stanowi jej prolog). Z kolei ta nowela jest, jak sądzę, moją ostatnią historią o pisarzach, pisaniu i dziwnej ziemi niczyjej, która rozciąga się pomiędzy rzeczywistością a fantazją. Podejrzewam, że ucieszy to wielu czytelników, którzy cierpliwie znosili moją fascynację tym tematem.

Kilka lat temu wydałem powieść *Misery*, w której usiłowałem chociaż częściowo zilustrować potężny wpływ, jaki fikcja może

mieć na czytelnika. W zeszłym roku opublikowałem książkę *Mroczna połowa*, w której próbowałem zbadać przeciwną zależność: potężny wpływ, jaki fikcja może wywierać na pisarza. W trakcie prac nad tą drugą pomyślałem, że można by opowiedzieć obie te historie jednocześnie, spoglądając z nieco innej perspektywy na pewne elementy fabuły *Mrocznej połowy*. Mam wrażenie, że pisanie – podobnie jak śnienie – jest tajemnym aktem, i nigdy specjalnie nie przyglądałem się temu aspektowi mojego dziwnego i niebezpiecznego rzemiosła.

Wiem, że pisarze czasami wprowadzają zmiany do swoich dawnych dzieł – jak John Fowles do *Maga*, a ja do *Bastionu* – tym razem jednak nie chodziło o poprawki. Zależało mi na złożeniu znanych elementów w całkowicie nowy sposób. Już kiedyś spróbowałem czegoś takiego, gdy przebudowałem i unowocześniłem podstawowe motywy *Draculi* Brama Stokera, tworząc *Miasteczko Salem*, czułem się więc w miarę pewnie.

Któregoś dnia późną jesienią 1987 roku, kiedy te pomysły kołatały mi się w głowie, przystanąłem w pralni w swoim domu, żeby wrzucić brudną koszulę do pralki. Nasza pralnia to niewielka, wąska wnęka na piętrze. Pozbyłem się koszuli, a następnie podszedłem do jednego z dwóch okien, które znajdują się w pomieszczeniu. Kierowała mną zwykła ciekawość. Mieszkamy w tym domu już od jedenastu albo dwunastu lat, ale nigdy wcześniej nie przyglądałem się dokładnie temu konkretnemu oknu. Powód jest prozaiczny: znajduje się ono nad podłogą i w większości zasłaniają je kosze z rzeczami do cerowania oraz suszarka, więc trudno przez nie wyglądać.

Mimo wszystko przepchnąłem się do niego i wyjrzałem. Okno wychodzi na małą niszę wyłożoną cegłami, która oddziela dom od dobudowanej werandy. Widuję to miejsce niemal codziennie... tym razem jednak popatrzyłem na nie z nowej perspektywy. Żona ustawiła tam kilka donic, zapewne żeby rośliny złapały nieco wczesnolistopadowego słońca, dzięki czemu powstał uroczy ogródek, który tylko ja widziałem. Oczywiście wtedy przyszedł mi do głowy tytuł tej opowieści. Miałem

wrażenie, że to dobra metafora tego, jak pisarze – zwłaszcza parający się literaturą fantastyczną – spędzają swoje dni i noce. Siadanie przed maszyną do pisania lub chwytanie za ołówek to czynność fizyczna; jej duchowym odpowiednikiem jest wyglądanie przez niemal zapomniane okno, co pozwala spojrzeć na znajomy widok pod zupełnie nowym kątem... kątem, który sprawia, że to, co znajome, staje się niezwykle. Zadanie pisarza polega na spoglądaniu przez to okno i informowaniu, co przez nie widzi.

Tylko że czasami okna się tłuką. Mam wrażenie, że głównie o tym opowiada ta historia: o tym, co spotyka zadziwionego obserwatora, gdy okno oddzielające rzeczywistość od nierzeczywistości pęka i wokół zaczynają latać odłamki szkła.

– Ukradł pan moją historię – odezwał się mężczyzna, który stał w progu. – Ukradł pan moją historię i coś trzeba z tym zrobić. Przyzwoitość i uczciwość wymagają, żeby poczynić jakieś kroki.

Morton Rainey, który właśnie skończył drzemkę i wciąż nie wrócił w pełni do rzeczywistości, nie miał zielonego pojęcia, co odpowiedzieć. Tak się nigdy nie działo, kiedy pracował; chory czy zdrowy, rozbudzony czy zaspany, był pisarzem i niemal nigdy nie brakowało mu pomysłów na błyskotliwe kwestie dla swoich bohaterów. Otworzył usta, ale nie znalazł tam żadnej błyskotliwej – czy nawet nędznej – riposty, więc je zamknął.

Ten człowiek nie wygląda na prawdziwego, pomyślał. Przypomina jakąś postać z powieści Williama Faulknera.

To nie mogło w żaden sposób pomóc w rozwiązaniu problemu, ale stanowiło niezaprzeczalną prawdę. Mężczyzna, który wcisnął guzik dzwonka przy drzwiach Mortona Raineya w tym grajdole w zachodnim Maine, wyglądał na mniej więcej czterdzieści pięć lat. Był bardzo chudy. Miał spokojną, niemal błogą twarz, którą jednak znaczyły głębokie zmarszczki. Przecinały wysokie czoło regularnymi poziomymi falami, schodziły pionowo w dół do końca wąskich ust do linii szczęki i rozchodziły się z kącików oczu w postaci malutkich rozbryzgów. Oczy były jasne, barwy wyblakłego błękitu. Morton nie wiedział, jakiego koloru włosy ma jego gość, ponieważ nosił on duży czarny kapelusz z okrągłym denkiem. Spód runda dotykał czubków uszu. Podobne nakrycia głowy nosili kwakrzy. Mężczyzna nie miał bokobrodów i pod filcowym kapeluszem równie dobrze mógł być łyśy jak Telly Savalas.

Miał na sobie niebieską roboczą koszulę. Zapiął ją aż po obwisłą szyję zaczerwienioną od golarki, ale nie włożył krawata. Dół koszuli znikał w dzinsach, które sprawiały wrażenie nieco za dużych. Nogawki leżały równo na wyblakłych żółtych roboczych

butach, które wyglądały, jakby stworzono je do chodzenia po zaoranej glebie metr za zadem muła.

– No i co? – spytał, bo Morton wciąż się nie odzywał.

– Nie znam pana – odezwał się w końcu Morton. To była pierwsza rzecz, którą powiedział, odkąd wstał z kanapy i otworzył drzwi. Musiał przyznać, że zabrzmiało to wyjątkowo idiotycznie.

– Wiem o tym – odparł mężczyzna. – To nie ma znaczenia, ponieważ ja znam pana, panie Rainey. Tylko to się liczy. – Następnie powtórzył: – Ukradł pan moją historię.

Wyciągnął rękę, a wtedy Morton zauważył, że nieznajomy coś w niej trzyma. To był plik papierów. Ale nie byle plik, tylko maszynopis. Kiedy się spędziło tyle czasu w branży, od razu można rozpoznać maszynopis. Zwłaszcza niezamawiany.

Miałeś szczęście, że to nie był pistolet, Mort, staruszk, pomyślał poniewczasie. Znalazłbyś się w piekle, zanimbyś się zorientował, że nie żyjesz.

Jeszcze bardziej poniewczasie zrozumiał, że zapewne ma do czynienia z jednym z Wariatów. Oczywiście była to bardzo spóźniona wizyta; chociaż jego ostatnie trzy książki były bestsellerami, to jeszcze nigdy nie odwiedził go żaden przedstawiciel tego legendarnego plemienia. Ogarnęła go mieszanka lęku i rozgoryczenia, a jego myśli zawęziły się do jednego punktu: w jaki sposób najszybciej pozbyć się tego faceta, sprawiając mu jak najmniej przykrości.

– Nie czytuję maszynopisów... – zaczął.

– Ten już pan czytał – spokojnie odrzekł mężczyzna o twarzy pracowitego robotnika rolnego. – Przecież go pan ukradł. – Mówił o tym tak, jakby stwierdzał fakt, niczym człowiek, który zauważa, że wyszło słońce i jest przyjemny jesienny dzień.

Mort miał wrażenie, że tego popołudnia wszystkie jego myśli są spóźnione; po raz pierwszy zdał sobie sprawę, jak bardzo jest samotny. Przyjechał do domu w Tashmore Glen na początku października po dwóch żalonych miesiącach w Nowym Jorku;

dopiero w zeszłym tygodniu zakończyła się jego sprawa rozwodowa.

To był duży dom, ale wybitnie wakacyjny, podobnie jak całe miasteczko. Przy ulicy, która biegła wzdłuż północnej zatoki jeziora Tashmore, stało około dwudziestu domów, a w lipcu i sierpniu większość z nich miała lokatorów... tylko że to nie był lipiec ani sierpień. Zbliżał się koniec października. Mort uświadomił sobie, że nikt zapewne nie usłyszałby odgłosu wystrzału. A gdyby nawet go usłyszał, uznaliby, że ktoś poluje na przepiórki albo bażanty – sezon był w pełni.

– Mogę pana zapewnić...

– Ależ wiem, że pan może – przerwał mu mężczyzna w czarnym kapeluszu z taką samą nieziemską cierpliwością. – Dobrze o tym wiem.

Za plecami nieznanego Mort dostrzegł samochód. To było stare kombi, które wyglądało, jakby pokonało wiele kilometrów, jeżdżąc przeważnie po kiepskich drogach. Widział, że tablic rejestracyjnych nie wydano w Maine, ale nie rozpoznawał, z którego stanu pochodzą; od pewnego czasu zdawał sobie sprawę, że powinien pójść do okulisty i postarać się o nowe okulary, nawet planował się tym zająć na początku poprzedniego lata, ale w kwietniu zadzwonił do niego Henry Young i spytał, kim jest facet, z którym widział Amy w galerii handlowej – może jakimś krewnym? – a wtedy w Morcie rozbudziły się podejrzenia, których kulminację stanowił niepokojąco szybki i spokojny rozwód bez orzekania o winie, szambo, z którego wygrzebywał się przez kilka ostatnich miesięcy, marnując mnóstwo czasu i energii. W tamtym okresie poczytywał sobie za sukces, jeśli udało mu się zmienić bieliznę, nie wspominając o tak ezoterycznych obowiązkach jak wizyta u okulisty.

– Jeśli chciałby pan złożyć skargę – zaczął niepewnie, brzydząc się pompatycznymi frazesami, które wydobywały się z jego ust, ale nie miał pojęcia, co innego mógłby powiedzieć – może pan porozmawiać z moim ag...

– To sprawa między nami – cierpliwie odrzekł mężczyzna na progu. Kraksa, kocur Morta, który dotychczas leżał zwinięty na niskiej szafce wbudowanej w ścianę domu – trzeba było przechowywać śmieci w zamknięciu, żeby w nocy szopy wszystkiego nie rozwłóczyły – zeskoczył na podłogę i zakręcił się przy nogach nieznajomego. Mężczyzna ani na chwilę nie oderwał błękitnych oczu od twarzy pisarza. – Nie potrzebujemy nikogo z zewnątrz, panie Rainey. To sprawa wyłącznie między nami.

– Nie podoba mi się, że oskarża mnie pan o plagiat, jeśli właśnie to ma pan na myśli – oznajmił Mort. Jednocześnie jakaś część umysłu ostrzegała go, że w kontaktach z plemieniem Wariatów należy zachować dużą ostrożność. Ustępować im? Owszem. Tylko że ten człowiek najwyraźniej nie miał broni, a Mort przewyższał go wagą o co najmniej dwadzieścia kilogramów. Poza tym wygląda na pięć albo dziesięć lat starszego, pomyślał Mort. Czytał gdzieś, że prawdziwy Wariat potrafi w sobie wzbudzić nadludzką siłę, ale za cholerę nie miał zamiaru stać bezczynnie i pozwalać, żeby facet, którego pierwszy raz widział na oczy, oskarżał jego, Mortona Raineya, o kradzież tekstu. Musiał się bronić.

– Nic dziwnego, że się to panu nie podoba – zauważył mężczyzna w czarnym kapeluszu. Cały czas mówił cierpliwym i spokojnym głosem. Mort miał wrażenie, że rozmawia z terapeutą, który pracuje z lekko upośledzonymi dziećmi. – Ale zrobił to pan. Ukradł pan moją historię.

– Powinien pan wyjść. – Mort był już w pełni rozbudzony, otrząsnął się z oszołomienia i odzyskał kontrolę. – Nie mam panu nic do powiedzenia.

– Dobrze, pójdę – odparł nieznajomy. – Porozmawiamy później. – Wyciągnął w jego stronę maszynopis, a Mort odruchowo po niego sięgnął. Szybko opuścił rękę, zanim nieproszony i niechciany gość zdążył wcisnąć mu kartki w dłoń, jak urzędnik, któremu wreszcie udało się dostarczyć wezwanie do sądu komuś, kto od miesiący się od tego uchylał.

– Nie wezmę tego. – Mort zdziwił się, jak ustępliwą istotą jest człowiek: kiedy ktoś nam coś podaje, instynktownie chcemy to wziąć. Nieważne, czy jest to czek na tysiąc dolarów, czy laska dynamitu z zapalonym, skwierczącym lontem.

– Nie warto bawić się ze mną w gierki, panie Rainey – rzekł łagodnie mężczyzna. – Musimy to załatwić.

– Jeśli o mnie chodzi, to wszystko jest załatwione – oświadczył Mort, a następnie zamknął drzwi przed tą pomarszczoną, zużytą, jakby ponadczasową twarzą.

Czuł strach tylko przez chwilę – kiedy po raz pierwszy dotarło do niego, poprzez oszołomienie i ośpienie wywołane zaspaniem, co ten człowiek mówi. Potem miejsce lęku zajął gniew wywołany przerwaniem drzemki, a także tym, że przeszkadza mu przedstawiciel plemienia Wariatów.

Gdy zamknął drzwi, strach powrócił. Mort zacisnął usta i czekał, aż mężczyzna zacznie się dobijać do jego domu. Nic takiego się nie stało, więc uznał, że nieznajomy zapewne po prostu tam stoi; nieruchomy jak skała i równie cierpliwy, czeka, aż pisarz ponownie otworzy drzwi... co wcześniej czy później Mort będzie musiał zrobić.

Potem usłyszał ciche uderzenie, a następnie kilka lekkich kroków na drewnianej werandzie. Wszedł do sypialni, z której mógł wyrzeć na podjazd. W pomieszczeniu znajdowały się dwa duże okna: z jednego widać było podjazd oraz grzbiet wzgórza, które się za nim wznosiło, a z drugiego – zbocze opadające ku błękitnej i przyjemnej tafli jeziora Tashmore. Oba okna wyposażono w zwierciadlane szyby, co oznaczało, że mógł przez nie wyglądać, ale ktoś, kto zechciałby zajrzeć do wnętrza domu, ujrzałby tylko własne zniekształcone odbicie, chyba że przystawiłby nos do szyby i osłonił oczy przed blaskiem.

Mort zobaczył, że mężczyzna w roboczej koszuli i niebieskich dżinsach z mankietami wraca do swojego kombi. Z tego kąta dostrzegł, że samochód zarejestrowano w Missisipi. Kiedy nieznajomy otworzył drzwi po stronie kierowcy, Mort pomyślał: O cholera. Ma w aucie pistolet. Nie wziął go ze sobą, bo sądził, że

przemówi mi do rozsądku... cokolwiek rozumie przez rozsądek. Ale teraz zabierze broń i tutaj wróci. Zapewne trzyma ją w schowku pod siedzeniem...

Mężczyzna jednak usiadł za kierownicą, przystanąwszy tylko po to, żeby zdjąć czarny kapelusz i rzucić go na sąsiednie siedzenie. Potem zatrzasnął drzwi i uruchomił silnik. Wygląda teraz jakoś inaczej, pomyślał Mort, ale dopiero kiedy niechciany popołudniowy gość wycofał samochód z podjazdu i zniknął za gęstymi zaroślami, które Mort ciągle zapominał przystrzyc, pisarz zrozumiał, na czym polegała ta zmiana.

Gdy mężczyzna wsiadł do auta, nie miał już przy sobie maszynopisu.

2

Leżał na tylnej werandzie, przyciśnięty kamieniem, żeby lekkie podmuchy wiatru nie rozrzuciły pojedynczych kartek po podwórku. Ciche uderzenie, które Mort słyszał, to był kamień kładziony na maszynopisie.

Mort stanął w progu z rękami w kieszeniach spodni w kolorze khaki i patrzył na plik kartek. Wiedział, że szaleństwo nie jest zaraźliwe (może poza przypadkami długotrwałego kontaktu), ale i tak za cholerę nie miał ochoty tego dotykać. Podejrzewał jednak, że w końcu będzie musiał. Nie wiedział, jak wiele czasu tutaj spędzi – dzień, tydzień, miesiąc albo rok w tym momencie wydawały się równie prawdopodobne – ale nie mógł pozwolić, żeby to kurewstwo tak po prostu tam leżało. Greg Carstairs, opiekun domu, przyjedzie wczesnym popołudniem, żeby przekazać mu szacunkowy koszt wymiany gontów na dachu, i będzie się zastanawiał, co to takiego. A co gorsza, zapewne założy, że to własność pisarza, co wymagałoby wyjaśnień, których to cholerstwo nie jest warte.

Mort stał w miejscu, dopóki odgłos silnika kombi nie zlał się w jedno z cichym, powolnym szumem popołudnia, a następnie wyszedł na werandę, ostrożnie stawiając bosc stopy (weranda

już od co najmniej roku wymagała malowania, a suche drewno było najeżone potencjalnymi drzazgami), po czym wrzucił kamień do zarośniętego jałowcem parowu po lewej stronie werandy. Podniósł niewielki plik kartek i mu się przyjrzał. Na wierzchu znajdowała się strona tytułowa:

UKRYTE OKNO, UKRYTY OGRÓD

John Shooter

Mort wbrew sobie poczuł ulgę. Nigdy nie słyszał o Johnie Shooterze i nigdy w życiu nie czytał ani nie napisał opowiadania zatytułowanego *Ukryte okno, ukryty ogród*.

Przechodząc przez kuchnię, wrzucił maszynopis do kosza na odpadki, wrócił na kanapę w salonie, ponownie się położył i po pięciu minutach zasnął.

Śnił o Amy. Ostatnio dużo sypiał i często o niej śnił, a kiedy budziły go jego własne ochryple krzyki, już nie był zaskoczony. Podejrzewał, że to minie.

3

Następnego ranka siedział przed edytorem tekstu w niewielkim kąciku przylegającym do salonu, gdzie zawsze urządzał sobie gabinet, kiedy tutaj przebywali. Edytor tekstu był włączony, ale Mort spoglądał przez okno na jezioro. Dwie motorówki przecinały błękit wody, pozostawiając za sobą szerokie białe ślady. Początkowo myślał, że to rybacy, ale ani na chwilę nie zwalniali, tylko przepływali sobie nawzajem przed dziobami, zataczając szerokie pętle. Dzieciaki, uznał. Dzieciaki, które się bawią.

Nie robili niczego szczególnie ciekawego, ale on również. Nie napisał niczego godnego uwagi, odkąd odszedł od Amy. Od trzech lat codziennie między dziewiątą a jedenastą przesiadywał przed edytorem tekstu (a wcześniej, około tysiąca lat, spędzał te dwie godziny przed starą maszyną do pisania marki Royal), ale równie

dobrze mógłby wymienić ten sprzęt na motorówkę i powygłupiać się z dziećmiakami na jeziorze.

Dzisiaj w ciągu swojego dwugodzinnego posiedzenia napisał następujące kilka linijek nędznej prozy:

Cztery dni po tym, jak George z satysfakcją upewnił się, że żona go zdradza, stawiał jej czoło.

– Muszę z tobą porozmawiać, Abby – rzekł.

Słabe.

Zbyt podobne do prawdziwego życia, żeby było dobre.

Nigdy nie był specjalistą od prawdziwego życia. Może na tym polegała część problemu.

Wyłączył edytor tekstu i chwilę później uświadomił sobie, że zapomniał zapisać dokument. Nic nie szkodzi. Może to krytyk w jego podświadomości podpowiedział mu, że tekst nie był wart zachowania.

Pani Gavin najwyraźniej już skończyła na górze; szum odkurzacza wreszcie ucichł. Przychodziła sprzątać w każdy wtorek, a podczas wizyty przed dwoma tygodniami wprost zaniemówiła, co jej się nigdy nie zdarzało, kiedy Mort oznajmił, że on i Amy się rozstali. Podejrzewał, że pani Gavin lubiła Amy znacznie bardziej niż jego, nadal jednak przychodziła, a to już coś.

Wstał i przeszedł do salonu w tej samej chwili, gdy pani Gavin zaczęła schodzić po schodach. Trzymała rurę od odkurzacza i ciągnęła za sobą niewielkie okrągłe urządzenie. Zjeżdżało przy wtórze serii głuchych stuknięć i przypominało małego mechanicznego psa. Gdybym próbował ściągać odkurzacza w ten sposób, uderzyłby mnie w kostkę, a następnie stoczył się na sam dół, pomyślał Mort. Ciekawe, jak jej się to udaje.

– Dzień dobry, pani G. – odezwał się, idąc przez salon w stronę kuchni. Miał ochotę na colę. Od pisaniny zawsze chciało mu się pić.

– Witam, panie Rainey. – Próbował ją nakłonić, żeby mówiła na niego Mort, ale bezskutecznie. Nie chciała nawet nazywać go

Mortonem. Pani Gavin miała twarde zasady, które jednak nie przeszkadzały jej zwracać się po imieniu do jego żony.

Może powinienem jej powiedzieć, że przyłapałem Amy w łóżku z innym mężczyzną w jednym z lepszych moteli w Derry, zastanawiał się, pchając drzwi wahadłowe. Może wtedy przynajmniej znów zaczęłaby ją nazywać panią Rainey.

To była paskudna i złośliwa myśl; taki sposób myślenia zapewne leżał u podstaw jego problemów z pisaniem, niestety Morton nie potrafił się powstrzymać. Może te myśli również przeminą... tak samo jak sny. Z jakiegoś powodu przypomniało mu to naklejkę, którą kiedyś widział z tyłu bardzo starego volkswagena garbusa. ZATKAŁEM SIĘ – NIE MOGĘ SZYBCIEJ.

Kiedy drzwi kuchni się za nim zamknęły, pani Gavin zawołała:

– Znalazłam w śmieciach jedno z pańskich opowiadań, panie Rainey! Pomyślałam, że będzie pan chciał je odzyskać, więc położyłam je na blacie.

– W porządku – odrzekł, nie mając pojęcia, o co jej chodzi. Nie miał w zwyczaju wpychać nieudanych tekstów do śmieci w kuchni. Kiedy napisał coś gównianego – a ostatnio zdarzało mu się to częściej niż kiedykolwiek – posyłał plik prosto do komputerowego nieba albo wrzucał wydruk do okrągłego kosza po prawej stronie stanowiska pracy.

Nie pomyślał o pomarszczonym mężczyźnie w czarnym kapeluszu kwakra.

Otworzył lodówkę, przesunął dwa plastikowe pojemniki z niezidentyfikowanymi resztkami, znalazł butelkę pepsi i ją otworzył, jednocześnie zamykając drzwi lodówki biodrem. Kiedy szedł wyrzucić kapsel, zauważył maszynopis – był w dobrym stanie, tylko stronę tytułową obryzgało coś, co wyglądało na sok pomarańczowy – który leżał na blacie obok ekspresu do kawy. Dopiero teraz sobie przypomniał. No tak, John Shooter. Członek założyciel stowarzyszenia Wariatów, oddział w Missisipi.

Napił się pepsi, a następnie zabrał maszynopis. Przełożył stronę tytułową na spód i przeczytał nagłówek pierwszej strony.

John Shooter
poste restante
Dellacourt, Missisipi

30 stron
około 7500 słów
możliwość odkupienia praw autorskich do wydania na terenie Ameryki
Północnej

UKRYTE OKNO, UKRYTY OGRÓD

John Shooter

Tekst napisano na wysokiej jakości papierze, jednak zapewne użyto bardzo kiepskiej maszyny – starego i zaniedbanego biurowego modelu. Większość liter była powykrzywiana jak zęby starca.

Przeczytał pierwsze zdanie, potem drugie i trzecie, na chwilę tracąc jasność myśli.

Tod Downey uznał, że kobieta, która kradnie twoją miłość, gdy miłość jest naprawdę wszystkim, co posiadasz, nie jest wiele warta. Dlatego postanowił ją zabić. Zamierzał to zrobić w zacisznym zakątku, który powstał w miejscu, gdzie ściany domu i stodoły łączyły się pod ostrym kątem – zamierzał to zrobić tam, gdzie jego żona urządziła ogród.

– Cholera – powiedział Mort, odkładając maszynopis. Potrącił butelkę z pepsi, a ta przewróciła się i zalała blat spienionym płynem, który zaczął spływać po drzwiczkach szafek. – Cholera! – wrzasnął.

Pani Gavin pośpiesznie weszła do kuchni i oceniła sytuację.

– Nic się nie stało – orzekła. – Słyszac pana reakcję, myślałam, że może poderżnął pan sobie gardło. Niech się pan kawałek przesunie, panie Rainey.

Przesunął się, a pierwszą rzeczą, którą zrobiła pani Gavin, było podniesienie maszynopisu z blatu i wciśnięcie mu go w ręce. Kartki nadal były w dobrym stanie; napój popłynął w innym kierunku. Mort kiedyś miał duże poczucie humoru –

przynajmniej tak uważał – ale kiedy zerknął na plik kartek, który trzymał w garści, zdobył się tylko na odrobinę kwaśnej ironii. *Wraca jak bumerang.*

– Jeśli zamierza go pan zniszczyć – odezwała się pani Gavin, wskazując głową maszynopis i wyciągając szmatę spod zlewu – to dobrze panu idzie.

– Nie jest mój – odparł, ale musiał przyznać, że to dziwne. Wczoraj, kiedy odruchowo niemal przyjął maszynopis od mężczyzny, który mu go przyniósł, zdziwiło go, jak ustępliwą istotą jest człowiek. Najwyraźniej ta skłonność rozciąga się na wszystkie dziedziny, ponieważ po przeczytaniu pierwszych trzech zdań poczuł się winny... A czyż nie o to chodziło Shooterowi (jeśli rzeczywiście tak się nazywał)? Oczywiście, że tak. „Ukradł pan moją historię”, powiedział, a złodzieje powinni się czuć winni.

– Przepraszam, panie Rainey. – Pani Gavin uniosła szmatę.

Odsunął się, żeby mogła dotrzeć do rozlanego napoju.

– Nie jest mój – powtórzył, tym razem z większym naciskiem.

– Aha – rzuciła, wytarła blat i podeszła do zlewu, żeby wyjąć szmatę. – Myślałam, że pana.

– Jest podpisany nazwiskiem John Shooter – odparł, przekładając stronę tytułową na wierzch. – Widzi pani?

Kobieta obdarzyła stronę tytułową najkrótszym spojrzeniem, na jakie pozwalała grzeczność, a następnie zabrała się do wycierania szafek.

– Myślałam, że to jeden z tych... jak im tam... kryptonimów. Albo pseudonimów. Jak zwał, tak zwał.

– Nie używam pseudonimu literackiego – oświadczył. – Nigdy tego nie robiłem.

Tym razem to jego zaszczyciła krótkim spojrzeniem – cwany i nieco rozbawiony – po czym uklękła, żeby zetrzeć kałużę pepsi z podłogi.

– Pewnie i tak by mi pan nie powiedział, gdyby pan jakiegoś używał.

– Przepraszam za ten bałagan. – Przesunął się w stronę drzwi.

– To moja praca – odrzekła, ale już nie podniosła na niego wzroku.

Mort zrozumiał aluzję i wyszedł.

Przez chwilę stał w salonie, spoglądając na odkurzacza porzucony na środku dywanu. W myślach słyszał, jak mężczyzna o pomarszczonej twarzy cierpliwie tłumaczy: „To sprawa między nami. Nie potrzebujemy nikogo z zewnątrz, panie Rainey. To sprawa wyłącznie między nami”.

Mort przywołał w myślach dokładny wygląd tamtej twarzy. Jego umysł był wyszkolony w zapamiętywaniu ludzkich twarzy i działań. *To nie był tylko pojedynczy wybryk ani dziwaczny sposób na spotkanie z pisarzem, którego być może uważa za sławnego. On wróci.*

Nagle skierował się z powrotem do swojego gabinetu, po drodze zwijając maszynopis w rulon.

4

Trzy z czterech ścian gabinetu były zastawione regałami pełnymi książek, z których jeden poświęcono na rozmaite wydania, krajowe i zagraniczne, jego dzieł. W sumie wydał sześć książek: pięć powieści oraz zbiór opowiadań. Opowiadania i pierwsze dwie powieści spotkały się z przychylną reakcją najbliższej rodziny Morta i kilkorga przyjaciół. Trzecia, *Syn kataryniarza*, natychmiast stała się bestsellerem. Kiedy odniósł sukces, ponownie wydano jego wczesne dzieła i te również zaczęły się całkiem dobrze sprzedawać, chociaż nigdy nie stały się tak popularne jak jego późniejsze książki.

Zbiór opowiadań nosił tytuł *Każdy jest kapusiem*, a większość zawartych w nim tekstów już wcześniej ukazała się na łamach czasopism dla panów, obok zdjęć kobiet, które nosiły mocny makijaż i niewiele więcej. Jedno z opowiadań wydrukowano w „Magazynie Detektywistycznym Ellery Queen”. Nosilo tytuł *Pora zasiewu* i właśnie do niego teraz zajrzał.

Kobieta, która kradnie twoją miłość, gdy miłość jest wszystkim, co posiadasz, nie jest wiele warta – przynajmniej tak uważał Tommy Havelock. Postanowił ją zabić. Już nawet wiedział, gdzie to zrobi, znał dokładne miejsce: niewielki ogród, który urządziła w miejscu, gdzie ściany domu i stodoły łączyły się pod ostrym kątem.

Mort usiadł i uważnie przyjrzał się obu opowiadaniom, powoli się w nie wczytując. Kiedy dotarł do połowy, już wiedział, że nie musi czytać dalej. W niektórych miejscach różniły się stylem, ale w wielu i styl był podobny. Poza kilkoma różnicami były identyczne. W obu mężczyzna zabijał żonę. W obu żona była zimną, niezdolną do miłości suką, która dbała tylko o swój ogród i przetwory. W obu zabójca pogrzebał ofiarę w jej ogródku, a następnie go doglądał, hodując okazałe rośliny. W wersji Mortona Raineya była to fasola, u Shootera zaś – kukurydza. W obu wersjach zabójca w końcu postradał zmysły, a kiedy przyszła do niego policja, akurat objadał się ogromnymi ilościami wspomnianego warzywa i zapewniał, że się jej pozbędzie, że w końcu wreszcie się jej pozbędzie.

Mort nigdy nie uważał się za specjalistę od horrorów – a w *Porze zasiewu* nie było żadnych elementów nadnaturalnych – lecz udało mu się stworzyć niepokojące dzieło. Amy po jego przeczytaniu zadrżała i powiedziała: „Myślę, że jest dobre, ale umysł tego człowieka... mój Boże, Mort, prawdziwe siedlisko zgnilizny”.

Ta opinia doskonale podsumowała jego własne odczucia. Krajobraz *Pory zasiewu* nie zachęcał do podróży i chociaż nie mógł się równać z *Serce oskarżycielem*, to Mort był zdania, że zdołał całkiem przekonująco oddać mordercze załamanie Toma Havelocka. Redaktor z „Magazynu Detektywistycznego” podzielał jego opinię, podobnie jak czytelnicy – opowiadanie spotkało się z pozytywnym odzewem w kolumnie listów. Redaktor poprosił o kolejne teksty, ale Mort nigdy nie stworzył żadnego opowiadania, które dorównałoby *Porze zasiewu*.

– *Wiem, że mi się uda – rzekł Tod Downey, biorąc kolejną parującą kolbę kukurydzy z miski. – Jestem pewien, że w końcu ona całkowicie zniknie.*

Oto, jak kończyło się opowiadanie Shootera.

– *Jestem przekonany, że uda mi się tym zająć – powiedział im Tom Havelock, a następnie nałożył sobie kolejną porcję parującej fasoli z pełnej miski. – Jestem pewien, że jej śmierć w końcu stanie się zagadką nawet dla mnie.*

Tak zakończył Mort Rainey.

Mort zamknął swój egzemplarz *Każdy jest kapusiem* i z namysłem odstawił go na półkę z pierwszymi wydaniem.

Usiadł, po czym zaczął powoli i dokładnie przeszukiwać szuflady biurka. Mebel był tak duży, że dostawcy musieli go wnosić do pomieszczenia w częściach, i miał mnóstwo szuflad. Biurko było wyłącznie jego królestwem; ani Amy, ani pani G. nigdy go nie dotykały, a w szufladach przez dziesięć lat gromadziły się rozmaite szpargały. Minęły cztery lata, odkąd Mort rzucił palenie, więc jeżeli w domu zostały jakieś papierosy, zapewne znajdowały się właśnie tutaj. Jeśli je znajdzie, to sobie zapali. Naszła go ogromna ochota na papierosa. Jeśli żadnego nie znajdzie, to trudno; samo grzebanie w szufladzie pełnej rupieci też go uspokajało. Stare listy, które odłożył, żeby kiedyś na nie odpowiedzieć, ale nigdy tego nie zrobił – niegdyś wydawały się tak ważne, a teraz sprawiały wrażenie starodawnych, niemal ezoterycznych pocztówek, które kupił, ale których nigdy nie wysłał; fragmenty maszynopisów na różnych etapach dopracowania; pół paczki bardzo starych chrupek Doritos; koperty; spinacze do papieru; unieważnione czek. Czuł się jak geolog badający przedwieczne warstwy ziemi – warstwy zastygłego letniego życia. To go rzeczywiście uspokajało. Skończył z jedną szufladą i zajął się kolejną, cały czas rozmyślając o Johnie Shooterze i o tym, co czuł, gdy czytał jego opowiadanie – a raczej własne, do cholery!

Najbardziej oczywista była ochota na papierosa. Nie pierwszy raz tak się czuł w ciągu ostatnich czterech lat. Czasami

wystarczył widok kogoś, kto puszczał dymka za kierownicą sąsiedniego samochodu czekającego na zielone światło, żeby Morta ogarnęło chwilowe wściekłe pragnienie tytoniu. Ale kluczowym słowem było „chwilowe”. Te pragnienia szybko mijały, jak gwałtowne nawałnice – pięć minut po tym, jak z nieba spadała oślepiająca srebrna zasłona deszczu, słońce znów zaczynało świecić. Mort nigdy nie czuł potrzeby zatrzymania się w najbliższym supermarkecie i kupienia paczki fajek... ani przetrząśnięcia schowka w samochodzie w poszukiwaniu zabłąkanego papierosa, tak jak to teraz robił z biurkiem.

Miał poczucie winy, co było absurdalne. Irytujące. Wiedział, że nie ukradł historii Johna Shootera, a skoro doszło do kradzieży (nie było co do tego wątpliwości; niemożliwe, aby ktoś napisał tak podobne opowiadanie bez wcześniejszej znajomości drugiego tekstu), to z pewnością dopuścił się jej Shooter.

Oczywiście.

To było wyraźnie widoczne, jak nos na jego twarzy... albo kapelusz z okrągłym denkiem na głowie Johna Shootera.

A jednak Mort czuł się niezadowolony, zaniepokojony, winny... zagubiony w jakiś nieokreślony sposób. Tylko dlaczego? Cóż... ponieważ...

Podniósł kserokopię maszynopisu *Syna kataryniarza*, a pod nim znalazł paczkę papierosów L&M. Czy jeszcze je produkują? Nie miał pojęcia. Paczka była stara i pognieciona, ale zdecydowanie nie pusta. Podniósł ją i uważnie się jej przyjrzał. Uznał, że kupił ją zapewne w 1985 roku, a przynajmniej na to wskazywało jej położenie zgodnie z nieoficjalną metodą datowania, którą z braku lepszego słowa można by nazwać biurkologią.

Zajrzał do paczki. Zobaczył trzy papierosy stojące w rzędzie.

Podróżnicy w czasie, pomyślał. Włożył jednego do ust, a następnie przeszedł do kuchni, żeby wziąć zapałkę z pudełka przy kuchence. *Podróżnicy w czasie, przemierzający lata, cierpliwi walcowaci wędrowcy, których misja polega na czekaniu, trwaniu, wypatrywaniu odpowiedniej chwili, by ponownie*

wyprawić mnie w drogę ku rakowi płuc. Wygląda na to, że ta chwila nadeszła.

– Pewnie będzie smakował jak gówno – odezwał się na głos do pustego domu (pani Gavin już dawno wyszła), po czym przypalił papierosa. Wcale nie smakował jak gówno. Był całkiem dobry. Mort ruszył z powrotem w stronę swojego gabinetu, puszczając dymka i czując przyjemne oszołomienie. Ach, ta straszliwa uporczywość nałogu, pomyślał. Co powiedział Hemingway? Może jeszcze nie tego sierpnia ani nie tego września – w tym roku możesz robić, co chcesz. Ale w końcu przyjdzie taki czas. Zawsze tak się dzieje. Wcześniej czy później znów wpakujesz sobie coś do tej wielkiej durnej gęby. Drinka, papierosa, może lufę dubeltówki. Może jeszcze nie tego sierpnia ani nie tego września...

...niestety był już październik. Podczas wcześniejszych poszukiwań znalazł starą, na wpół opróżnioną puszkę orzeszków ziemnych. Wątpił, aby orzeszki nadawały się do jedzenia, ale pokrywka od puszki doskonale nadawała się na popielniczkę. Usiadł przy biurku, wyjrzał na jezioro (łódzie, które wcześniej po nim pływały, zniknęły tak samo jak pani G.) i rozkoszując się swoim dawnym paskudnym nałogiem, stwierdził, że teraz jest w stanie z większym spokojem myśleć o Johnie Shooterze i jego opowiadaniu.

Ten człowiek oczywiście należał do plemienia Wariatów, nie było co do tego najmniejszych wątpliwości. A co do reakcji Morta na odkrycie podobieństw między oboma tekstami...

Cóż, opowieści są czymś prawdziwym – przynajmniej można tak o nich myśleć, zwłaszcza jeśli ktoś ci za nie zapłacił – ale zarazem nie są przedmiotami. Nie przypominają wazonu, krzesła albo samochodu. Chociaż tworzy je tusz na papierze, nie są tuszem ani papierem. Ludzie czasami pytali Morta, skąd bierze pomysły, i chociaż kpił z takich pytań, zawsze wywoływały w nim wstyd i poczucie fałszu. Ludzie najwyraźniej uważali, że istnieje jakieś Centralne Składowisko Pomysłów (tak jak podobno istnieje gdzieś cmentarzysko słoni albo legendarne

miasto ze złota), a on dysponuje tajemną mapą, która pozwala mu się tam zapuszczać. Mort wiedział jednak, że jest inaczej. Pamiętał, gdzie się znajdował, kiedy przychodziły mu do głowy konkretne pomysły, i wiedział, że często pojawiały się, gdy wyczuwał jakiś dziwny związek pomiędzy przedmiotami, wydarzeniami albo osobami, które wcześniej wydawały się zupełnie ze sobą niepowiązane, ale nie potrafił tego lepiej wyjaśnić. A co do powodów, dla których dostrzegał te powiązania i postanawiał zmienić je w opowieści... to nie miał pojęcia.

Gdyby John Shooter stanął w jego proggu i powiedział: „Ukradł pan mój samochód” zamiast „Ukradł pan moją historię”, Mort szybko i zdecydowanie odrzuciłby to oskarżenie. Mógłby to zrobić, nawet gdyby chodziło o samochody tej samej marki, taki sam model i kolor, wyprodukowane w tym samym roku. Pokazałby mężczyźnie w czarnym kapeluszu z okrągłym denkiem swój dowód rejestracyjny, zachęciłby do porównania numeru na różowym pasku na drzwiach, a następnie posłał gościa w diabły.

Jednak kiedy wpadasz na pomysł na opowieść, nikt nie wystawia ci paragonu. Nie da się wyśledzić pochodzenia inspiracji. Niby dlaczego miałyby tak być? Przecież nikt nie daje ci paragonu, kiedy otrzymujesz coś za darmo. Oczywiście pobierasz opłatę od każdego, kto chce od ciebie twój pomysł odkupić – i to jak najwyższą, żeby powetować sobie wszystkie przypadki, gdy ci dranie cię oszukali – od czasopism, gazet, wydawnictw, producentów filmowych. Ale pomysł przychodzi do ciebie za darmo, w czystej formie, bez żadnych obciążeń. A więc o to chodzi, stwierdził. To dlatego czuje się winny mimo pewności, że nie dopuścił się plagiatu opowieści rolnika Johna Shootera. Czuje się winny, ponieważ pisanie historii zawsze nieco przypomina kradzież i to się zapewne nie zmieni. John Shooter po prostu jako pierwszy pojawił się przed jego drzwiami i otwarcie go o to oskarżył. Mort od lat podświadomie spodziewał się czegoś takiego.

Zgniółł papierosa i postanowił się zdrzemnąć. Po chwili uznał, że to zły pomysł. Będzie lepiej dla umysłu i ciała, jeśli zje lunch, poczyta przez jakieś pół godziny, a potem wybierze się na długi spacer nad jezioro. Za dużo śpi, a to oznaka depresji. W połowie drogi do kuchni skręcił w stronę długiej składanej kanapy stojącej pod oknem w salonie. Do cholery z tym, pomyślał, kładąc sobie jedną poduszkę pod karkiem, a drugą za głową. Przecież mam depresję.

Zanim odpłynął w sen, zdążył powtórzyć w myślach: *On jeszcze ze mną nie skończył. O nie, nie ten facet. On nie poprzestanie na jednym razie.*

5

Śniło mu się, że zabłądził na rozległym polu kukurydzy. Błąkał się między rzędami roślin, a słońce odbijało się od zegarków, które miał na rękach – po sześć na każdym przedramieniu, każdy ustawiony na inną godzinę.

„Błagam, pomocy! – krzyczał. – Niech ktoś mi pomoże! Zabłądziłem i bardzo się boję!”

Rzędy kukurydzy przed nim zakołysały się i zaszeleściły. Z jednej strony wyszła Amy. Z drugiej wyłonił się John Shooter. Oboje trzymali noże.

„Jestem przekonany, że uda mi się tym zająć – powiedział Shooter, kiedy z uniesionymi nożami podeszli do Morta. – Jestem pewien, że pańska śmierć w końcu stanie się zagadką nawet dla nas”.

Mort odwrócił się i chciał uciec, ale czyjaś dłoń – był pewien, że należała do Amy – chwyciła go za pasek i pociągnęła. A potem noże lśniące w gorącym słońcu w tym ogromnym ukrytym ogrodzie...

6

Dzwonek telefonu obudził go godzinę i kwadrans później. Mort z trudem wyrwał się z koszmaru – ktoś go gonił, tylko tyle pamiętał – i usiadł na kanapie. Było mu potwornie gorąco; miał wrażenie, że każdy centymetr jego ciała spływa potem. Kiedy spał, słońce przesunęło się na tę stronę domu i teraz świeciło na niego przez okno, Bóg raczy wiedzieć, od jak dawna.

Powoli podszedł do stolika z telefonem w przedpokoju, powłócząc nogami jak człowiek w stroju nurka idący pod prąd po dnie rzeki. Głowa lekko mu się kołysała, a w ustach czuł posmak jakby gówna starego zdechłego susła. Kiedy stawiał krok naprzód, miał wrażenie, że przedpokój oddala się o krok, aż w końcu Mort doszedł do wniosku, zresztą nie po raz pierwszy, że w piekle człowiek zapewne czuje się tak samo jak po zbyt długiej i zbyt głębokiej drzemce w upalne popołudnie. Najgorsze nie były fizyczne dolegliwości, ale napawające trwogą, dezorientujące uczucie bycia poza sobą – bycia obserwatorem, który patrzy na wszystko przez podwójne kamery telewizyjne o zamglonych obiektywach.

Podniósł słuchawkę, podejrzewając, że dzwoni Shooter.

Tak, to na pewno on – jedyna osoba na całym świecie, z którą nie powinien rozmawiać, kiedy brak mu czujności, a jego umysł sprawia wrażenie rozdzielonego na dwie części. To na pewno on. Któż by inny?

– Słucham?

To nie był Shooter, ale słuchając, jak głos na drugim końcu linii odpowiada, Mort odkrył, że jest jeszcze jedna osoba, z którą nie chciał rozmawiać w stanie takiego osłabienia.

– Witaj, Mort – powiedziała Amy. – Wszystko w porządku?

7

Nieco później tego samego popołudnia Mort włożył za dużą czerwoną flanelową koszulę, którą wczesną jesienią nosił zamiast kurtki, i wybrał się na spacer, co powinien był zrobić

wcześniej. Kraksa podążał za nim na tyle długo, żeby upewnić się, że jego pan nie żartuje, po czym wrócił do domu.

Mort szedł nieśpiesznie w to przepiękne popołudnie, na które składały się błękitne niebo, czerwone liście i złociste powietrze. Spacerował z rękami w kieszeniach, pragnąc, żeby spokój jeziora przeniknął przez jego skórę i go wyciszył tak jak zawsze – podejrzewał, że właśnie dlatego tutaj przyjechał, zamiast zostać w Nowym Jorku, czego oczekiwała od niego Amy, gdy nieprzerwanie brnęli w kierunku rozvodu. Przyjechał tutaj, ponieważ to było czarodziejskie miejsce, zwłaszcza jesienią, a po przybyciu stwierdził, że jeśli istnieje na świecie jakiś nieudacznik, który potrzebuje odrobiny magii, to jest nim właśnie on. Nie wiedział, co robi, jeśli teraz, gdy jego pisarstwo się popsło, zawiedzie go również ta magia.

Okazało się, że niepotrzebnie się przejmował. Wkrótce cisza i dziwna atmosfera zawieszenia, zawsze panujące nad jeziorem Tashmore, gdy wreszcie nadchodziła jesień i letnicy wyjeżdżali, zaczęły na niego oddziaływać i zmiękczać go jak dłonie delikatnie ugniatające ciasto. Teraz jednak musiał myśleć nie tylko o Johnie Shooterze, ale także o Amy.

– Oczywiście, że wszystko w porządku – odparł do słuchawki, starając się powoli wypowiadać słowa, jak pijak, który usiłuje przekonać ludzi, że jest trzeźwy. Tymczasem wciąż był tak skołowany, że czuł się jak pijany. Słowa nie mieściły mu się w ustach, niczym kawałki miękkiej, kruchej skały. Bardzo ostrożnie brnął przez powitalne formalności, jakby po raz pierwszy rozmawiał przez telefon. – Jak się masz?

– U mnie wszystko dobrze – oznajmiła, a następnie wydała z siebie szczebiotliwy śmiech, który zazwyczaj oznaczał, że flirtuje albo jest zdenerwowana jak cholera, a Mort wątpił, żeby z nim flirtowała, nie na tym etapie. Kiedy zdał sobie sprawę, że Amy też się denerwuje, nieco odetchnął. – Po prostu jesteś tam sam i gdyby coś się stało, nikt by się nawet nie dowiedział... – Gwałtownie urwała.

– Nie jestem sam – odpowiedział łagodnie. – Dzisiaj była u mnie pani Gavin, a Greg Carstairs też stale się tutaj kręci.

– Och, zapomniałam o naprawie dachu – odrzekła Amy i Mort przez chwilę rozmyślał o tym, jak naturalnie ze sobą rozmawiają, jakby wcale nie byli rozwiedzeni. *Gdyby ktoś nas posłuchał, nigdy by nie zgadł, że w moim łóżku... a raczej moim byłym łóżku... teraz leży podły pośrednik w handlu nieruchomościami.* Czekał, aż wróci do niego gniew – uraza i zazdrość zdradzonego mężczyzny – ale w miejscu tych nieprzyjemnych uczuć pojawiło się tylko ich niewyraźne widmo.

– Cóż, Greg nie zapomniał – zapewnił ją Mort. – Przyjechał wczoraj i przez półtorej godziny czołgał się po dachu.

– Jest bardzo źle?

Odpowiedział jej i przez następne pięć minut rozmawiali o dachu, a Mort powoli się rozbudzał; rozmawiali o tym starym dachu, jakby nic się nie zmieniło, jakby mieli spędzić kolejne lato pod nowymi cedrowymi gontami, tak jak spędzili poprzednie dziewięć lat pod starymi cedrowymi gontami. Wystarczy dach i trochę gontów i mogę rozmawiać z tą suką bez końca, pomyślał Mort.

Kiedy słuchał swoich wypowiedzi, czuł, że sytuacja staje się coraz bardziej nierzeczywista. Miał wrażenie, że powraca do stanu, w którym odebrał telefon, i znów zmienia się w żywego trupa na pograniczu snu i jawy, aż w końcu nie mógł już tego wytrzymać. Jeśli to konkurs na to, które z nich dłużej potrafi udawać, że ostatnich sześciu miesięcy nie było, to Mort miał ochotę się poddać. Ogromną ochotę.

Amy właśnie pytała, skąd Greg weźmie cedr i czy ściągnie ekipę z miasteczka, gdy Mort jej przerwał.

– Po co zadzwoniłaś, Amy?

Przez chwilę milczała, jakby rozważała różne odpowiedzi i kolejno z nich rezygnowała, jak kobieta przymierzająca kapelusze, a to w końcu wzbudziło w nim gniew. To była jedna z rzeczy – tak naprawdę jedna z niewielu – których szczerze w niej nienawidził. Jej całkowicie nieświadomej dwulicowości.

– Już ci mówiłam po co – odparła wreszcie. – Żeby sprawdzić, czy u ciebie wszystko w porządku. – Znow sprawiała wrażenie wzburzonej i niepewnej, a to zazwyczaj oznaczało, że mówi prawdę. Kiedy kłamała, zawsze brzmiała tak, jakby chciała cię przekonać, że Ziemia jest okrągła. – Miałam przeczucie. Zdaję sobie sprawę, że ich nie uznajesz, ale chyba wiesz, że je miewam i w nie wierzę... prawda, Mort? – W jej głosie nie było zwyczajowej pozy ani obronnej złości – zupełnie jakby go błagała.

– Tak, wiem.

– No więc miałam właśnie przeczucie. Robiłam sobie kanapkę na lunch i nagle poczułam... że coś jest u ciebie nie w porządku. Chwilę odczekałam, mając nadzieję, że to przeminie, ale tak się nie stało. Więc zadzwoniłam. Naprawdę wszystko dobrze?

– Naprawdę.

– I nic się nie stało?

– Owszem, coś się stało – odrzekł po krótkim namyśle. Możliwe, a nawet prawdopodobne, że John Shooter (*jeśli rzeczywiście tak się nazywa*, wciąż dodawał jego umysł) usiłował skontaktować się z nim w Derry, zanim przyjechał tutaj. W końcu to w Derry Mort zazwyczaj przebywał o tej porze roku. Niewykluczone, że to Amy go tutaj przysłała.

– Wiedziałam. Zraniłeś się tą cholerną piłą łańcuchową czy...

– Nie stało się nic wymagającego wizyty w szpitalu – przerwał jej, uśmiechając się pod nosem. – To drobna niedogodność. Czy nazwisko John Shooter coś ci mówi, Amy?

– Nie, dlaczego?

Cicho westchnął z irytacją przez zaciśnięte zęby, jakby wypuszczał parę. Amy była bystrą kobietą, ale zawsze mówiła, co jej ślina na język przyniesie. Kiedyś żartował, że powinna nosić koszulkę z napisem: „Najpierw mówię, potem myślę”.

– Nie zaprzeczaj od razu. Dobrze się zastanów. Facet jest dosyć wysoki, ma ponad metr osiemdziesiąt, i chyba jest po czterdziestce. Jego twarz wyglądała na starszą, ale porusza się jak czterdziestokilkulatek. Ma wiejską urodę. Rumiany,

pomarszczony od słońca. Kiedy go zobaczyłem, pomyślałem, że wygląda jak postać z powieści Faulk...

– O co właściwie chodzi, Mort?

Teraz znów to poczuł; zrozumiał, dlaczego – pomimo bólu i zagubienia – odrzucał ogarniające go od czasu do czasu, głównie nocami, pragnienie, żeby chociaż spróbować się z nią pogodzić. Podejrzewał, że gdyby wystarczająco długo i uporczywie ją prosił, w końcu by uległa. Nie mógł jednak zaprzeczać faktom: w ich małżeństwie wydarzyło się znacznie więcej złego niż facet od nieruchomości, którego znalazła sobie Amy. Jej świdrujący głos stanowił kolejny przejaw tego, co ich zabiło. „Coś ty narozrabiał? – pytała, a raczej domagała się odpowiedzi, między słowami. – W co się znowu wpakowałeś? Wytłumacz się”.

Zamknął oczy i z sykiem wypuścił powietrze przez zaciśnięte zęby. Potem opowiedział jej o Johnie Shooterze, jego maszynopisie i własnym opowiadaniu. Amy dokładnie pamiętała *Porę zasiewu*, ale nigdy nie słyszała o kimś, kto nazywał się John Shooter – powiedziała, że takiego nazwiska się nie zapomina, a Mort musiał jej przyznać rację – a już na pewno go nie spotkała.

– Jesteś pewna? – naciskał Mort.

– Owszem. – Amy sprawiała wrażenie rozdrażnionej jego pytaniami. – Nie widziałam nikogo takiego, odkąd wyjechałeś. A zanim znów mi każesz dobrze się zastanowić, uwierz, że doskonale pamiętam niemal wszystko, co się wydarzyło od tamtej chwili.

Zamilkła i Mort zauważył, że mówienie zaczęło jej sprawiać trudności, może nawet prawdziwy ból. Niewielka podła częśćka jego osobowości się ucieszyła. I chociaż reszta natychmiast poczuła obrzydzenie, że mógł przynajmniej przez chwilę się tym radować, nie miało to żadnego wpływu na małego triumfatora. Mimo że został przegłosowany, Mort nie był w stanie się go całkowicie pozbyć.

– Może Ted go widział – zasugerował. Ted Milner był facetem od nieruchomości. Mort wciąż nie potrafił uwierzyć, że rzuciła go dla kogoś takiego, i podejrzewał, że właśnie na tym polegała część problemu. To przez jego zarozumiałość sprawy zaszły tak daleko. Przecież nie miał zamiaru utrzymywać, zwłaszcza wobec siebie, że był bez winy.

– To miało być śmieszne? – Amy sprawiała wrażenie zarazem rozgniewanej, zawstydzonej, smutnej i zbuntowanej.

– Nie. – Mort znów poczuł się znużony.

– Teda tutaj nie ma – odparła. – Rzadko do mnie przychodzi. To... ja go odwiedzam.

„Dziękuję, że się tym ze mną podzieliłaś, Amy”, miał ochotę powiedzieć, ale w porę ugryzł się w język. Byłoby miło zakończyć chociaż jedną rozmowę bez wzajemnych oskarżeń. Dlatego nie podziękował, że o tym wspomniała, nie powiedział, że to się zmieni, a przede wszystkim nie spytał, co jest z nią nie tak, do cholery.

Przede wszystkim dlatego, że wtedy mogłaby mu zadać to samo pytanie.

8

Zaproponowała, żeby zadzwonił do Dave'a Newsome'a, funkcjonariusza służb porządkowych w Tashmore – w końcu ten Shooter mógł być niebezpieczny. Mort odpowiedział, że to nie będzie konieczne, przynajmniej na razie, ale zapewne da Dave'owi znać, jeśli „John Shooter” ponownie się pojawi. Po kilku kolejnych sztywnych uprzejmościach zakończyli rozmowę. Mort wyczuwał, że Amy wciąż ma do niego żal o sugestię, że Ted może przesiadywać na fotelu „Mortusia” i spać w jego łóżku, ale nie miał pojęcia, jak mogłby uniknąć wspomnienia o Tedzie Milnerze. Przecież ten człowiek stał się częścią życia Amy. Poza tym to ona zadzwoniła. Miała to swoje dziwaczne przeczucie i złapała za telefon.

Mort dotarł do miejsca, w którym ścieżka biegnąca nad jeziorem się rozwidlała. Prawa odnoga wspinała się po stromym brzegu z powrotem ku Lake Drive. Wybrał tę trasę i teraz szedł powoli, rozkoszując się barwami jesieni. Kiedy pokonał ostatni zakręt i zobaczył wąską wstążkę asfaltu, z jakiegoś powodu nie zaskoczył go widok zakurzonego niebieskiego kombi z tablicami z Missisipi, które stało jak zbity pies przywiązany łańcuchem do drzewa, ani szczupłej postaci Johna Shootera, opierającego się o przedni błotnik z rękami skrzyżowanymi na piersi.

Mort czekał, aż jego serce przyśpieszy, a ciało zaleje adrenalina, ale serce utrzymywało normalny rytm, a gruczoły działały po swojemu i na razie postanowiły zachować spokój.

Słońce, które wcześniej schowało się za chmurę, teraz ponownie się pokazało, a jesienne kolory, i tak jaskrawe, jakby stanęły w ogniu. Pojawił się cień Morta, ciemny, długi i wyraźny. Czarne włosy Shootera sprawiały wrażenie jeszcze czarniejszych, niebieska koszula wyglądała na bardziej niebieską, a powietrze stało się tak przejrzyste, że wydawało się, iż mężczyznę wycięto z rzeczywistości jaskrawszej i bardziej żywotnej niż znany świat. Mort zrozumiał, że mylił się co do przyczyn, dla których nie zadzwonił do Dave'a Newsome'a. Mylił się albo oszukiwał – siebie oraz Amy. Tak naprawdę chciał sam zająć się tą sprawą. Może po to, żeby udowodnić sobie, że wciąż są rzeczy, z którymi sobie radzę, pomyślał, a następnie ruszył w górę zbocza ku Johnowi Shooterowi, który czekał na niego, opierając się o samochód.

9

Spacer ścieżką wzdłuż jeziora był długi i powolny, a myśli Morta zajmowała nie tylko rozmowa z Amy, kiedy od czasu do czasu omijał leżące drzewa albo przystawał, żeby puszczać kaczki (w dzieciństwie potrafił tak rzucić odpowiednio ukształtowanym kamieniem – tak zwanym płaszczakiem – że ten odbijał się od wody nawet dziewięć razy, ale dzisiaj jego

najlepszy wynik wynosił cztery odbicia). Zastanawiał się także, jak sobie poradzić z Shooterem, kiedy – albo jeśli – ten się ponownie pojawi.

To prawda, że ogarnęło go chwilowe – a może wcale nie chwilowe – poczucie winy, gdy zobaczył, jak podobne są oba opowiadania, ale już rozwikłał tę zagadkę; takie ogólne poczucie winy czasami dotyka wszystkich autorów fikcji literackiej. Co do Shootera, jedynymi uczuciami, które go wypełniały, były rozdrażnienie, złość... oraz rodzaj ulgi. Mortem od miesięcy targła niesprecyzowana wściekłość. Dobrze było wreszcie znaleźć dla niej konkretne ujście.

Znał stare powiedzenie, że jeśli czterysta małąp będzie stukało w czterysta maszyn do pisania przez cztery miliony lat, to jedna z nich stworzy kompletne dzieła Szekspira. Nie dawał temu wiary. Nawet gdyby to była prawda, to John Shooter nie był małąpą i nie żył od tak dawna, niezależnie od tego, ile miał zmarszczek.

Zatem Shooter skopiował jego opowieść. Dlaczego jego wybór padł akurat na *Porę zasiewu*, tego Mort Rainey nie pojmował, ale wiedział, że właśnie tak się stało, ponieważ wykluczył przypadek i doskonale zdawał sobie sprawę, że chociaż mógł ukraść tę historię, tak jak wszystkie pozostałe, z Wielkiego Wszechświatowego Banku Pomysłów, to z pewnością nie ukradł jej panu Johnowi Shooterowi z Wielkiego Stanu Missisipi.

Ale w takim razie skąd Shooter ją skopiował? Mort uznał, że to jest najważniejsze pytanie, a odpowiedź na nie pozwoli zdemaskować tego człowieka jako oszusta.

Istniały tylko dwie możliwości, ponieważ *Pora zasiewu* ukazała się zaledwie dwukrotnie – najpierw na łamach „Magazynu Detektywistycznego Ellery Queen”, a następnie w zbiorze opowiadań Morta *Każdy jest kapusiem*. Daty wydania poszczególnych opowiadań w zbiorze zazwyczaj znajdują się z przodu książki, a tę formułę zastosowano także w *Każdy jest kapusiem*. Mort sprawdził informacje dotyczące *Pory zasiewu* i odkrył, że tekst pierwotnie został wydrukowany

w czerwcowym numerze „Magazynu Detektywistycznego” w 1980 roku. Z kolei zbiór opowiadań opublikowało wydawnictwo St Martin’s Press w 1983 roku. Od tamtej pory ukazały się kolejne wydania – wszystkie poza jednym w miękkiej oprawie – ale to nie miało znaczenia. Musiał się skupić na tych dwóch datach, 1980 i 1983 roku, a także zaufać swojemu przekonaniu, że poza agentami i wydawnictwami nikt nie zwracał większej uwagi na informacje podane drobnym drukiem na stronie z notą o prawach autorskich.

Mając nadzieję, że John Shooter założył – jak większość czytelników – że tekst, który przeczytał po raz pierwszy w zbiorze opowiadań, nigdzie się wcześniej nie ukazał, Mort podszedł do mężczyzny i stanął naprzeciwko niego na skraju drogi.

10

– Pewnie miał już pan okazję przeczytać moje opowiadanie – zagadnął Shooter. Mówił spokojnie, jakby rozmawiał o pogodzie.

– Owszem.

Shooter ponuro pokiwał głową.

– Podejrzewam, że z czymś się panu skojarzyło?

– Jak najbardziej – przytaknął Mort, po czym dodał z udawaną swobodą: – Kiedy je pan napisał?

– Spodziewałem się, że pan o to spyta – odparł Shooter. Uśmiechnął się tajemniczo, ale nic więcej nie powiedział. Wciąż stał z rękami skrzyżowanymi na piersi i dłońmi pod pachami. Miało się wrażenie, że mógłby tak trwać bez końca, a przynajmniej dopóki słońce nie zniknie za horyzontem i nie przestanie mu ogrzewać twarzy.

– To zrozumiałe – dodał Mort swobodnie. – Muszę o to spytać. Kiedy dwóch facetów pojawia się z taką samą historią, sprawa jest poważna.

– Poważna – zgodził się Shooter głęboko refleksyjnym tonem.

– A jedynym sposobem na wyjaśnienie, kto kopiował od kogo, jest ustalenie, kto jako pierwszy napisał te słowa – ciągnął Mort, surowo i nieustępliwie patrząc Shooterowi w bladoniebieskie oczy. Gdzieś w pobliskiej gęstwinie drzew zarozumiała zaświergotała cykada. – Czy przyzna mi pan rację?

– Myślę, że tak. Chyba właśnie po to przyjechałem tutaj aż z Miss’ipi.

Mort usłyszał dudnienie nadjeżdżającego pojazdu. Obaj mężczyźni obejrzel się i zobaczyli, jak zza najbliższego wzgórza wyłania się international scout Toma Greenleafa, ciągnąc za sobą niewielki huragan opadłych liści. Tom, krzepki i zdrowy siedemdziesięciokilkulatek z Tashmore, po tej stronie jeziora doglądał większości spośród tych domostw, które nie znajdowały się pod pieczęcią Grega Carstairsa. Uniósł rękę w geście pozdrowienia, a Mort pomachał mu w odpowiedzi. Shooter wyjął jedną dłoń spod pachy i przyjaźnie skinął na Toma palcem, dyskretnie pokazując tym gestem, że spędził wiele lat na wsi i mnóstwo razy pozdrawiał w ten niedbały sposób kierowców przejeżdżających ciężarówek, traktorów czy kombajnów. Kiedy scout Toma zniknął im z oczu, Shooter ponownie skrzyżował ręce na piersi. Gdy liście z szelestem opadły na drogę, znów skierował cierpliwe, niewzruszone, niemal ponadczasowe spojrzenie na twarz Morta Raineya.

– O czym mówiliśmy? – spytał prawie delikatnie.

– Usiłowaliśmy ustalić proveniencję tekstu – odparł pisarz. – To znaczy...

– Wiem, co to znaczy – wszedł mu w słowo Shooter, posyłając Mortowi spojrzenie, w którym mieszały się spokój i lekka pogarda. – Wiem, że jestem ubrany jak wieśniak, jeżdżę wieśniackim samochodem oraz pochodzę z długiego rodu wieśniaków i być może to wszystko także czyni mnie wieśniakiem, ale to nie znaczy, że jestem głupim wieśniakiem.

– Nie – przyznał Mort. – Wcale tak nie uważam. Ale w parze z inteligencją nie musi iść uczciwość. Prawdę mówiąc, uważam, że zazwyczaj bywa odwrotnie.

– Nawet gdybym tego nie wiedział, domyśliłbym się, patrząc na pana – rzekł oschle Shooter, a Mort poczuł, że się czerwieni. Nie lubił, kiedy ktoś go sztorcował, i rzadko tego doświadczał, a ten człowiek właśnie to zrobił ze swobodą doświadczonego strzelca trafiającego w glinianego gołębia.

Jego szanse na schwytanie Shootera w potrzask osłabły. Nie stracił nadziei, ale została ona wyraźnie podkopana. Inteligencja i spryt to nie to samo, ale teraz podejrzewał, że Shooterowi nie brakuje żadnej z tych cech. Nie było jednak sensu tego przedłużać. Nie chciał spędzać z tym człowiekiem więcej czasu niż to konieczne. W pewnym sensie oczekiwał tej konfrontacji, gdy już upewnił się, że jest nieunikniona – może tylko dlatego, że stanowiła odskocznnię od codziennej dokuczliwej nudy. Teraz pragnął, żeby ich spotkanie dobiegło końca. Już nie był pewien, że John Shooter jest wariatem – a przynajmniej nie tylko – lecz przyszło mu do głowy, że może być niebezpieczny. Był tak cholernie nieprzejednany. Mort postanowił wytoczyć najcięższe działa, żeby mieć to z głowy – koniec zabawy.

– Kiedy pan napisał swoje opowiadanie, panie Shooter?

– Może wcale nie nazywam się Shooter – odparł mężczyzna z lekko rozbawioną miną. – Może to tylko pseudonim literacki.

– Rozumiem. A jak się pan naprawdę nazywa?

– Nie powiedziałem, że się tak nie nazywam; to po prostu możliwe. Tak czy inaczej, to nie pańska sprawa. – Mówił spokojnie, najwyraźniej bardziej zainteresowany chmurą, która powoli sunęła po błękitnym niebie ku słońcu zmierzającemu na zachód.

– Zgoda, ale moją sprawą jest, kiedy pan napisał to opowiadanie – odparł Mort.

– Napisałem je siedem lat temu – odrzekł Shooter, cały czas przyglądając się chmurze; właśnie dotknęła krawędzi słońca i otoczyła ją złocista obwódka. – W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym drugim roku.

Mam cię, pomyślał Mort. Może drań jest sprytny, ale i tak wpakował się prosto w pułapkę. Zaczerpnął opowiadanie ze

zbioru, a skoro *Każdy jest kapusiem* wydano w 1983 roku, pomyślał, że każda wcześniejsza data będzie bezpieczna. Palant powinien był przeczytać notkę o prawach autorskich.

Mort zaczekał, aż ogarnie go uczucie triumfu, lecz tak się nie stało. Poczł tylko przytłumioną ulgę, że wreszcie bez dalszych komplikacji może odprawić tego czubka, ale jednocześnie odezwała się w nim natura nauczyciela pisania. Dlaczego akurat to opowiadanie, które wyraźnie różniło się od jego innych tekstów? A skoro facet zamierzał oskarżyć go o plagiat, to dlaczego ograniczył się do mało znanego opowiadania, podczas gdy mógłby stworzyć niemal identyczny maszynopis jakiegoś bestsellera, na przykład *Syna kataryniarza*? To byłaby naprawdę pikantna sprawa; obecne oskarżenia to niemal żart.

Pewnie przepisanie którejs z powieści byłoby zbyt pracochłonne, pomyślał Mort.

– Dlaczego tak długo pan czekał? – spytał. – Przecież mój zbiór opowiadań ukazał się w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym trzecim roku, czyli sześć lat temu. Prawie siedem.

– Ponieważ nie wiedziałem – odparł Shooter. Oderwał wzrok od chmury i ponownie przyjrzał się Mortowi z niepokojącą delikatną pogardą. – Pan pewnie uważa, że każdy w Ameryce, a może nawet we wszystkich krajach, gdzie wydaje się książki, czyta pańskie teksty?

– Nie mam takich złudzeń – odrzekł Mort, również pozwalając sobie na oschły ton.

– Ale to nieprawda. – Shooter zignorował jego słowa i skupił się tylko na swoich. – Całkowita nieprawda. Natrafiłem na to opowiadanie dopiero w połowie czerwca. Tego czerwca.

Mort miał ochotę odpowiedzieć: „Widzisz, mój drogi Johnny, ja też po raz pierwszy zobaczyłem swoją żonę w łóżku z innym facetem dopiero w połowie maja!”. Czy zbiłby Shootera z tropu, gdyby powiedział coś takiego na głos?

Popatrzył na oblicze mężczyzny i postanowił tego nie robić. Spokój zniknął z wyblakłych oczu, tak jak mgła znika ze wzgórz na początku upalnego dnia. Shooter wyglądał teraz jak

fanatyczny kaznodzieja, który zamierza zrzucić solidną porcję ognia i siarki na pochylone głowy swoich drżących owieczek, i Mort po raz pierwszy szczerze się go przestraszył. A jednak wciąż był bardzo rozgniewany. Wróciła myśl, która przyszła mu do głowy pod koniec jego pierwszego spotkania z „Johnem Shooterem”: chociaż się boi, za cholere nie zamierza beczynn timeru pozwalać, żeby ten człowiek oskarżał go o kradzież, zwłaszcza teraz, gdy sam nieświadomie przyznał się do kłamstwa.

– Niech zgadnę – odezwał się Mort. – Ktoś taki jak pan jest zbyt wybrednym czytelnikiem, żeby przejmować się takimi bzdurami, jakie piszę. Ogranicza się pan do Marcela Prousta i Thomasa Hardy’ego, prawda? A wieczorami, po skończonym dojeniu, lubi pan zapalić jedną z prawdziwych wiejskich lamp naftowych, postawić ją na kuchennym stole... na którym, oczywiście, leży swojski obrus w biało-czerwona kratę... i odprężyć się przy *Tessie d’Urberville* albo *W poszukiwaniu straconego czasu*. W weekendy być może pozwala pan sobie na odrobinę luzu oraz szaleństwa i sięga po Erskine’a Caldwell lub Annie Dillard. To jeden ze znajomych powiedział panu, że przekopowałem pańską uczciwie napisaną historię. Czyż nie tak było, panie Shooter... czy jakkolwiek się pan nazywa? – Mort mówił szorstkim tonem i ze zdziwieniem zauważył, że balansuje na granicy furii. Nie był tym jednak całkowicie zaskoczony.

– Nie. Nie mam znajomych – odrzekł Shooter rzeczowym tonem kogoś, kto po prostu stwierdza fakt. – Ani znajomych, ani rodziny, ani żony. Mam niewielki dom mniej więcej trzydzieści kilometrów na południe od Perkinsburga i rzeczywiście na stole mam kraciasty obrus, skoro pan o tym wspomniał, ale w naszym miasteczku jest prąd. Lamp naftowych używam tylko podczas burzy, kiedy wysiada elektryka.

– No to winszuję – odparł Mort.

Shooter zignorował sarkazm w jego głosie.

– Odziedziczyłem dom po ojcu i włożyłem w niego nieco pieniędzy, które dostałem po babci. Miał pan rację, faktycznie mam mleczne krowy, około dwudziestu sztuk, a wieczorami

piszę. Podejrzewam, że pan używa jednego z tych luksusowych komputerów, ale mnie wystarczy maszyna do pisania.

Zamilkł i przez chwilę obaj słyszeli, jak kruche liście szeleszczą na późnopołudniowym wietrze.

– Co zaś się tyczy podobieństw między naszymi opowiadaniem, to odkryłem je na własną rękę. Widzi pan, zastanawiałem się nad sprzedaniem gospodarstwa. Uznałem, że mając nieco więcej pieniędzy, mógłbym pisywać w ciągu dnia, kiedy mam świeży umysł, a nie tylko po zmroku. Pośrednik w handlu nieruchomościami z Perkinsburga chciał, żebym spotkał się z pewnym gościem w Jackson, który posiadał wiele gospodarstw mlecznych w Miss’ipi. Nie lubię jeździć samochodem na dystansie dłuższe niż kilkanaście kilometrów, boli mnie od tego głowa, zwłaszcza w mieście, gdzie na drogi wyjeżdża najwięcej głupków, dlatego skorzystałem z autobusu. Właśnie przygotowywałem się, żeby wsiąść, kiedy przypomniałem sobie, że nie zabrałem żadnej lektury. Nienawidzę wybierać się w długie podróże autobusem bez niczego do czytania.

Mort nieświadomie pokiwał głową. On również nie znoślił podróżować – autobusem, pociągiem, samolotem bądź samochodem – bez żadnej lektury bardziej treściwej niż codzienna prasa.

– W Perkinsburgu nie ma dworca, autobusy Greyhound zatrzymują się na mniej więcej pięć minut przy sklepie Rexall, a potem ruszają w dalszą drogę. Stałem już na schodkach autobusu, gdy nagle przypomniałem sobie, że mam puste ręce. Poprosiłem kierowcę, żeby chwilę zaczekał, a on odparł, że za cholerę tego nie zrobi, bo już jest spóźniony, i odjedzie za trzy minuty, co do sekundy. Jeśli zdążę wrócić, to dobrze, a jeśli nie, to będę mógł pocałować go w tyłek, kiedy znów się spotkamy.

Snuje opowieść jak rasowy pisarz, pomyślał Mort. Trzeba mu to przyznać, do diabła! Próbował odrzucić od siebie tę myśl – to nie było właściwe podejście – ale nie potrafił.

– Wbiegłem do drogerii. Mają tam takie staroświeckie obracane druciane stojaki z książkami w miękkiej oprawie, podobnie jak w tym sklepiku niedaleko pana domu.

– U Bowiego?

Shooter pokiwał głową.

– Właśnie tak. Chwyciłem pierwszą książkę z brzegu. Nawet nie patrzyłem na okładkę, równie dobrze mogłem trafić na Biblię. Ale tak się nie stało. To był pański zbiór opowiadań. *Każdy jest kapusiem*. Możliwe, że to rzeczywiście pańskie teksty. Nie licząc jednego.

Przerwij to natychmiast. On coraz bardziej się nakręca, więc czym prędzej spuść z niego trochę powietrza.

Mort odkrył jednak, że wcale tego nie chce. Może Shooter rzeczywiście jest pisarzem. Spełnia dwa podstawowe wymogi: opowiada historię, której chcesz wysłuchać w całości, mimo że podejrzewasz, jaki będzie koniec, oraz bezwstydnie wciska ci kit.

Zamiast powiedzieć to, co powinien – czyli że nawet jeśli Shooter jakimś cudem mówi prawdę, to i tak spóźnił się o dwa lata – Mort rzekł:

– A więc przeczytał pan *Porę zasiewu* w czerwcu zeszłego roku w autobusie linii Greyhound, kiedy jechał pan do Jackson, żeby sprzedać swoje gospodarstwo mleczne.

– Nie, tak się złożyło, że przeczytałem ją w drodze powrotnej. Sprzedałem gospodarstwo i wróciłem autobusem z czekiem na sześćdziesiąt tysięcy dolarów w kieszeni. Jadąc w jedną stronę, przeczytałem pierwsze sześć opowiadań. Nie zrobiły na mnie wielkiego wrażenia, ale pozwoliły zabić czas.

– Dziękuję.

Shooter zmierzył go wzrokiem.

– To nie miał być komplement.

– Domyśliłem się.

Shooter przez chwilę się nad tym zastanawiał, po czym wzruszył ramionami.

– W każdym razie w drodze powrotnej przeczytałem kolejne dwa... a potem tamto. Moje opowiadanie.

Popatrzył na chmurę, która zmieniała się w zwiewną masę migoczącego złota, a potem ponownie na pisarza. Twarz miał równie obojętną jak zawsze, ale Mort nagle zrozumiał, że bardzo się mylił, sądząc, że ten człowiek nosi w sobie choćby odrobinę spokoju czy błogości. Za te cechy wziął żelazny płaszcz opanowania, który Shooter nałożył, żeby powstrzymać się przed zamordowaniem Mortona Raineya gołymi rękami. W tej obojętnej twarzy tkwiły oczy płonące najdziksza furia. Mort zrozumiał, że lekkomyślnie wspiął się ścieżką od jeziora ku miejscu, w którym mogła go czekać śmierć z rąk tego faceta. Oto człowiek wystarczająco oszalały – w obu znaczeniach tego słowa – żeby dopuścić się morderstwa.

– Dziwi mnie, że nikt wcześniej nie spytał pana o to opowiadanie, ponieważ ani trochę nie przypomina pozostałych. – Shooter wciąż mówił w opanowany sposób, ale Mort wyczuwał w jego głosie, że z trudem powstrzymuje się przed atakiem, zadaniem ciosu, może nawet rzuceniem mu się do gardła. Oto człowiek, który wie, że może łatwo przekroczyć granicę pomiędzy mówieniem a zabijaniem, jeśli tylko posłucha własnego głosu, który stopniowo wznosi się w rejony zdradzonego gniewu; człowiek, który wie, jak niewiele potrzeba, aby dopuścić się jednoosobowego linczu.

Mort nagle poczuł się jak ktoś zamknięty w ciemnym pomieszczeniu poprzecinanym żyłkami, których pociągnięcie detonuje ładunek wybuchowy. Trudno uwierzyć, że zaledwie przed chwilą miał wrażenie, iż panuje nad sytuacją. Jego problemy – Amy, kryzys twórczy – teraz przypominały nieistotne postacie na równie nieistotnym pejzażu. W pewnym sensie w ogóle przestały być problemami. Miał teraz tylko jedno zmartwienie – jak pozostać przy życiu na tyle długo, żeby choćby wrócić do domu, a co dopiero zobaczyć zachód słońca.

Otworzył usta, po czym je zamknął. Nie śmiał niczego powiedzieć. Pomieszczenie było pełne żyłek.

– Bardzo mnie to dziwi – powtórzył Shooter poważnym głosem, który teraz brzmiał jak ohydna parodia spokoju.

– Moja żona – odezwał się Mort. – Opowiadanie jej się nie podobało. Twierdziła, że różni się od wszystkiego, co wcześniej napisałem.

– Jak pan je zdobył? – spytał powoli i ostro Shooter. – To mnie najbardziej ciekawi. Jakim cudem taki dziany dupek trafił do zabitej dechami dziury w Missisipi i ukradł moją historię? Chciałbym się także dowiedzieć, po co pan to zrobił, chyba że wszystkie pozostałe teksty też pan ukradł, ale na razie wystarczy, żeby pan wyjaśnił, jak to zrobił.

Potworna niesprawiedliwość tych słów na nowo rozbudziła w Morcie gniew, który powrócił jak niezaspokojone pragnienie. Na chwilę zapomniał, że jest sam na Lake Drive, nie licząc wariata z Missisipi.

– Daj pan spokój – odparł szorstko.

– Mam dać spokój? – Shooter wpatrywał się w niego z zaskoczeniem. – Dać spokój? Co to ma znaczyć, do diabła?

– Powiedział pan, że napisał swoje opowiadanie w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym drugim roku – odparł Mort. – Ja swoje napisałem chyba pod koniec siedemdziesiątego dziewiątego. Nie pamiętam dokładnej daty, ale wiem, że po raz pierwszy ukazało się drukiem w czerwcu tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego roku w pewnym czasopiśmie. Wyprzedziłem pana o dwa lata, panie Shooter, czy jak pan się naprawdę nazywa. Jeśli ktoś mógłby mieć pretensje o plagiat, to właśnie ja.

Mort nawet nie zauważył, kiedy mężczyzna ruszył z miejsca. Dopiero co stali obok jego samochodu, spoglądając na siebie nawzajem, a już po chwili Shooter przyciskał Morta do drzwi po stronie kierowcy, trzymając go za przedramiona i przybliżając twarz do jego twarzy, czoło do czoła. Pomędzy tymi dwiema pozycjami pojawiło się tylko niewyraźne wrażenie pochwylenia i obrócenia.

– Kłamca – syknął Shooter, a w jego oddechu dało się wyczuć suchy aromat cynamonu.

– Pierdol się – rzucił Mort i odepchnął napierającego mężczyznę.

Shooter był silny, prawie na pewno silniejszy, ale Mort był młodszy, cięższy i mógł się zaprzeć o stare niebieskie kombi. Udało mu się uwolnić od uchwytu napastnika i odepchnąć Shootera o dwa albo trzy kroki.

Teraz się na mnie rzuci, pomyślał Mort. Chociaż nie bił się z nikim od czasu przepychanek na szkolnym boisku w czwartej klasie, ze zdziwieniem zauważył, że zachowuje spokój i jasność umysłu. Będziemy się okładać z powodu tego jebanego opowiadania. No dobrze, i tak nie miałem na dzisiaj żadnych planów.

Ale tak się nie stało. Shooter uniósł ręce, popatrzył na nie, zobaczył, że są zaciśnięte w pięści... i zmusił się do ich rozwarcia. Mort zauważył, jak wiele wysiłku kosztowało tego człowieka odzyskanie panowania nad sobą, i poczuł podziw. Shooter przyłożył jedną z otwartych dłoni do ust i bardzo powoli je otarł.

– Niech pan to udowodni.

– W porządku. Wróćmy do mojego domu. Pokażę panu notkę w książce dotyczącą praw autorskich.

– Nie – odparł Shooter. – Nie obchodzi mnie książka. Mam ją gdzieś. Proszę mi pokazać opowiadanie, czasopismo, w którym się ukazało, żebym mógł sam je przeczytać.

– Nie mam tutaj tego czasopisma.

Chciał dodać coś jeszcze, ale Shooter uniósł twarz ku niebu i parsknął śmiechem. Był to surowy odgłos niczym trzask siekiery rozłupującej kawałek drewna na opał.

– No tak. – Płomyki wściekłości wciąż tańczyły w jego oczach, ale wyglądało na to, że znów nad sobą panuje. – Oczywiście, że go pan nie ma.

– Niech pan posłucha – powiedział Mort. – Do tego domu moja żona i ja zazwyczaj przyjeżdżaliśmy latem. Mam tutaj egzemplarze swoich książek i kilka zagranicznych wydań, ale drukowano moje teksty w wielu czasopismach... nie tylko opowiadania, ale także artykuły i eseje. Trzymam prasę w naszym całorocznym domu w Derry.

– Więc dlaczego jest pan tutaj? – spytał Shooter. W jego oczach Mort wyczytał zarówno niedowierzanie, jak i drażniącą satysfakcję. Było jasne, że Shooter spodziewał się, iż Mort spróbuje się wykręcić, i jego zdaniem właśnie to robił. A raczej usiłował zrobić.

– Jestem tutaj, ponieważ... – Zamilkł. – A skąd pan wiedział, że tutaj będę?

– Popatrzyłem na okładkę książki – odrzekł Shooter, a Mort pod wpływem frustracji i nagłego olśnienia miał ochotę klepnąć się w czoło. Oczywiście, na okładce *Każdy jest kapusiem* – zarówno wydania w miękkiej, jak i twardej oprawie – umieszczono jego zdjęcie. Amy sama je zrobiła i znakomicie jej wyszło. Mort znajdował się na pierwszym planie; na drugim planie stał dom; w tle rozciągało się jezioro Tashmore. Pod spodem widniał podpis: „Morton Rainey przy swoim domu w zachodnim Maine”. Zatem Shooter przyjechał do zachodniego Maine i w którymś z barów albo sklepów natrafił na kogoś, kto odpowiedział: „Mort Rainey? No pewnie! Ma dom w Tashmore. Tak się składa, że jesteśmy kumplami”.

To pozwalało odpowiedzieć na jedno pytanie.

– Jestem tutaj, ponieważ moja żona i ja się rozwodzimy – wyjaśnił. – Właśnie dopełniliśmy formalności. Ona została w Derry. W każdym innym roku o tej porze ten dom byłby pusty.

– Aha – odparł Shooter.

Jego ton ponownie doprowadził Morta do wściekłości. „Kłamiesz – zdawał się mówić Shooter – ale to nie ma znaczenia, ponieważ właśnie tego się spodziewałem. W końcu kłamstwo to dla ciebie chleb powszedni, czyż nie?”.

– Cóż, i tak bym pana znalazł, albo tutaj, albo tam. – Shooter przeszył Morta wzrokiem. – Znalazłbym pana nawet wtedy, gdyby się pan przeprowadził do Brazylii.

– Nie wątpię – odrzekł Mort. – Jednakże jest pan w błędzie. Albo mnie pan wrabia. Przez grzeczność założę, że po prostu się pan pomylił, ponieważ sprawia pan wrażenie szczerego...

Mój Boże, co prawda, to prawda.

– ...ale opublikowałem to opowiadanie dwa lata wcześniej, niż pan je rzekomo napisał.

W oczach Shootera ponownie błysnęła wściekłość, trwało to jednak tylko chwilę. Nie pozbył się jej, lecz nad nią zapanował, tak jak człowiek panuje nad złym psem.

– Twierdzi pan, że to czasopismo znajduje się w pańskim drugim domu?

– Tak.

– I wydrukowano w nim pańskie opowiadanie?

– Tak.

– A czasopismo pochodzi z czerwca tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego roku?

– Tak.

Morta początkowo irytowało to żmudne przesłuchanie (każde z pytań poprzedzała długa chwila namysłu), ale w końcu poczuł, że pojawiła się iskierka nadziei. Miał wrażenie, że Shooter próbuje przekonać się do słów Morta... do prawdy, z której jakaś część jego umysłu musi zdawać sobie sprawę, ponieważ tak duże podobieństwa między opowiadaniem nie mogą być przypadkiem. Mort wciąż był o tym przekonany, doszedł jednak do wniosku, że Shooter może nie pamiętać popełnienia plagiatu. Wszystko wskazywało na to, że ten człowiek jest szalony.

Mort już się nie bał tak bardzo jak wtedy, gdy po raz pierwszy dostrzegł nienawiść i gniew migoczące w oczach Shootera niczym odbicia płonącej stodoły. Kiedy odepchnął napastnika, a ten się zatoczył, Mort uznał, że gdyby doszło do bójki, mógłby sobie z nim poradzić... a nawet go powalić.

Jednak wolał, żeby to nie było konieczne. W pewien pokrętny sposób zaczęło mu być nieco żal Shootera.

Ten tymczasem wytrwale trzymał się obranego kursu.

– Tamten drugi dom, w którym teraz mieszka pańska żona, również znajduje się w Maine?

– Tak.

– Ona tam jest?

– Tak.

Tym razem Shooter zamilkł na dłużej. Skojarzył się Mortowi z komputerem, który przetwarza dużą porcję danych. W końcu się odezwał:

– Dam panu trzy dni.

– Bardzo pan szczodry – odparł Mort.

Shooter uniósł górną wargę, odsłaniając zęby tak równe, że musiały być wykonaną na zamówienie protezą.

– Nie kpij ze mnie, synu – rzekł. – Staram się, jak mogę, żeby nad sobą panować, i całkiem dobrze mi idzie, ale...

– Pan się stara! – wrzasnął Mort. – A co ze mną? To niewiarygodne! Pojawia się pan znikąd i wysuwa pan najpoważniejsze oskarżenie, jakie można skierować do pisarza, a kiedy odpowiadam panu, że mam dowód na to, że albo się pan myli, albo łże jak pies, pan zaczyna się chwalić, jak świetnie pan nad sobą panuje! Niewiarygodne!

Shooter chytrze zmrużył oczy.

– Dowód? Nie widzę żadnego dowodu. Słyszę pańskie tłumaczenia, ale one niczego nie dowodzą.

– Przecież panu powiedziałem! – zawołał Mort. Czuł się bezsilny jak człowiek, który bezskutecznie próbuje wypłatać się z pajęczyn. – Wszystko wytłumaczyłem.

Shooter długo na niego patrzył, aż w końcu sięgnął przez otwarte okno do wnętrza samochodu.

– Co pan robi? – spytał Mort z napięciem w głosie. Poczuł przypływ adrenaliny, która przygotowała go do walki albo ucieczki... pewnie do tego drugiego, jeśli Shooter sięgał po duży pistolet, który Mort nagle ujrzał oczami wyobraźni.

– Biorę fajki – wyjaśnił Shooter. – Bez nerwów. – Kiedy cofnął rękę, trzymał w niej czerwoną paczkę pall malli. Wziął je z deski rozdzielczej. – Chce pan jednego?

– Mam swoje – odburknął Mort i z kieszeni pod czerwoną flanelową koszulą wyjął wiekową paczkę L&M-ów.

Obaj zapalili.

– Jeśli to będzie dalej tak przebiegało, to się pobijemy – odezwał się w końcu Shooter. – Nie chcę tego.

– Jezu, ja też nie!

– Troszeczkę chyba tak – zaprzeczył Shooter. Z cwany wyrazem twarzy wciąż przyglądał się Mortowi spod przymrużonych powiek. – Część pana umysłu właśnie tego pragnie. Ale nie sądzę, żebym to ja albo moje opowiadanie nastrajały pana do walki. Coś innego pana gryzie, przez co cała sytuacja staje się trudniejsza. Podświadomie chce się pan ze mną bić, ale nie rozumie pan, że jeśli do tego dojdzie, to nie skończymy, dopóki jeden z nas nie padnie trupem.

Mort wypatrywał oznak tego, że Shooter przesadza dla większego efektu, ale ich nie zauważył. Nagle poczuł na plecach lodowaty dreszcz.

– Dlatego dam panu trzy dni. Niech pan zadzwoni do swojej byłej i poprosi, żeby przysłała czasopismo z pańskim tekstem, jeżeli takowe istnieje. A ja do pana wrócę. Oczywiście nie ma żadnego czasopisma. Chyba obaj to wiemy. Wygląda mi pan jednak na człowieka, któremu przyda się odrobina refleksji. – Shooter popatrzył na Morta z niepokojącym surowym współczuciem. – Nie spodziewał się pan, że ktoś kiedyś pana zdemaskuje, co? Naprawdę się pan nie spodziewał.

– Czy jeśli pokażę panu czasopismo, da mi pan spokój? – spytał Mort. Zwracał się bardziej do siebie niż do Shootera. – Chciałbym wiedzieć, czy w ogóle warto się trudzić.

Shooter gwałtownie otworzył drzwi samochodu i wślizgnął się za kierownicę. Morta nieco zaniepokoiła szybkość, z jaką ten człowiek potrafił się poruszać.

– Trzy dni. Może je pan dowolnie wykorzystać, panie Rainey. – Shooter uruchomił silnik, który nisko zarzęził; najwyraźniej zawory wymagały szlifowania. Smród oleju wydobywający się ze starej rury wydechowej zatruł powietrze późnego popołudnia. – Sprawiedliwości musi się stać zadość. Przede wszystkim chciałbym, żeby pan zrozumiał ponad wszelką wątpliwość, że mam pana na widelcu, a pan się nie wywinie, tak jak pan zapewne robił przez całe życie. Od tego zaczniemy. – Obojętnie

popatrzył na Morta przez szybę po stronie kierowcy. – Jednak tak naprawdę przyjechałem w innym celu.

– To znaczy? – spytał Mort. Było to dziwne i dosyć irytujące uczucie, ale znów zaczęło go ogarniać niepowstrzymane poczucie winy, jakby rzeczywiście zrobił to, o co go oskarżył ten wiejski szaleniec.

– Jeszcze o tym porozmawiamy – odparł Shooter i wrzucił bieg w starym kombi. – Tymczasem niech się pan zastanowi nad sprawiedliwością.

– Pan oszalał! – wykrzyknął Mort, ale Shooter już się oddalał Lake Drive w kierunku wjazdu na drogę numer 23.

Mort patrzył na kombi, dopóki nie zniknęło mu z oczu, a następnie powoli powędrował w stronę domu. Kiedy zbliżał się do celu, w głowie miał coraz większą pustkę. Zniknęły wściekłość i strach. Czuł tylko zimno, zmęczenie oraz tęsknotę za małżeństwem, które przeminęło i które, jak teraz mu się zdawało, nigdy nie istniało.

11

Telefon zaczął dzwonić, kiedy Mort był w połowie długości podjazdu, który wiódł w dół stromego zbocza od Lake Drive do domu. Puścił się biegiem, chociaż wiedział, że i tak nie zdąży; przeklinał się w duchu za tę idiotyczną reakcję. Zupełnie jak pies Pawłowa!

Otworzył drzwi z moskitierą i zaczął się mocować z gałką wewnętrznych drzwi, gdy telefon ucichł. Mort wszedł do domu, zamknął za sobą drzwi i spojrzał na telefon, który stał na zabytkowym stoliku wypatrzonym przez Amy na pchlim targu w Mechanic Falls. W tej chwili potrafił sobie wyobrazić, że telefon również na niego spogląda z wystudiowanym mechanicznym zniecierpliwieniem: *Nie pytaj mnie, szefie – ja niczego nie sprawiam, tylko przekazuję wieści.* Mort pomyślał, że powinien sobie kupić jeden z tych aparatów, które nagrywają wiadomości... chociaż może lepiej nie. Kiedy dobrze się nad tym

zastanowił, doszedł do wniosku, że telefon nie należy do jego ulubionych gadżetów. Jeśli komuś naprawdę zależy, żeby się z tobą skontaktować, w końcu zadzwoni ponownie.

Przygotował sobie kanapkę i talerz zupy, po czym stwierdził, że nie ma na nie ochoty. Czuł się samotny, nieszczęśliwy i lekko zarażony szaleństwem Johna Shootera. Wcale go nie zdziwiło, że sumą tych wszystkich uczuć okazała się senność. Zaczął posyłać tęskne spojrzenia w stronę kanapy.

No dobrze – szepnął wewnętrzny głos. – Tylko pamiętaj, że i tak nie uciekniesz. To całe gównno będzie na ciebie czekało, kiedy się obudzisz.

To szczerą prawdą, ale na razie wszystko może zniknąć, rozkosznie się rozpuścić. Cokolwiek mówić o rozwiązaniach krótkoterminowych, z pewnością są lepsze niż nic. Mort postanowił zadzwonić do domu (jego umysł uparcie uznawał Derry za dom i zapewne nie miało się to szybko zmienić) i poprosić Amy, żeby znalazła egzemplarz „Magazynu Detektywistycznego” z *Porą zasiewu* i wysłała mu go priorytetem. Potem zdrzemnie się dwie godzinki na kanapie. Wstanie około siódmej, odświeżony przejdzie do gabinetu i napisze kolejny gówniany fragment tekstu.

Z takim podejściem nigdy nie napiszesz niczego poza gównem, skarcił go wewnętrzny głos.

– Pierdol się – odpowiedział mu Mort. Jedną z zalet samotnego mieszkania jest możliwość mówienia na głos bez obawy, że ktoś cię uzna za wariata.

Podniósł słuchawkę i wybrał numer domu w Derry. Wysłuchał trzasków, jakie zawsze towarzyszyły połączeniom zamiejscowym, a następnie najbardziej irytującego ze wszystkich telefonicznych odgłosów: sygnału zajętej linii. Amy z kimś rozmawiała, a kiedy już się rozkręciła, potrafiła gadać całymi godzinami. Albo nawet dniami.

– Świetnie, kurwa! – wrzasnął Mort i uderzył słuchawką o widełki z taką siłą, że aż zabrzmiał dzwonek telefonu.

No i co teraz, człowieczku?

Pewnie mógłby zadzwonić do Isabelle Fortin, która mieszkała naprzeciwko, ale odniósł wrażenie, że byłoby z tym za dużo zachodu, a poza tym narobiłby jej niepotrzebnego kłopotu. Isabelle i tak była zbyt zaangażowana w jego rozstanie z Amy; zajmowała się wszystkim oprócz kręcenia filmów z rozwodu. W dodatku było już po siedemnastej, więc czasopismo nie mogłoby przed rankiem następnego dnia wyruszyć w pocztową podróż z Derry do Tashmore, niezależnie od godziny nadania. Spróbuje skontaktować się z Amy wieczorem, a jeśli linia ponownie będzie zajęta (albo Amy jeszcze nie skończy obecnej rozmowy), to zadzwoni do Isabelle. Na razie syrenia pieśń kanapy w salonie była zbyt silna, żeby się jej oprzeć.

Mort wyciągnął wtyczkę z telefonu – ktokolwiek próbował się z nim skontaktować, kiedy on szedł podjazdem, będzie musiał jeszcze trochę poczekać – a następnie przeszedł do salonu.

Ułożył poduszki w znajomej pozycji, jedną za głową, a drugą pod karkiem, po czym wyjrzał na jezioro, gdzie słońce zachodziło na końcu długiego i efektownego złocistego szlaku. Nigdy w życiu nie byłem tak samotny i nie czułem się tak okropnie, pomyślał zadziwiony. Potem powieki powoli przesłoniły przekrwione oczy i Mort Rainey, który jeszcze nie odkrył, czym jest prawdziwa groza, zapadł w sen.

12

Śniło mu się, że jest w sali lekcyjnej.

Sala wyglądała znajomo, chociaż nie potrafił powiedzieć dlaczego. Był tam także John Shooter. W zgięciu jednej ręki trzymał torbę z zakupami. Wyjął z niej pomarańczę i z namysłem ją podrzucił. Patrzył w kierunku Morta, ale jego wzrok zatrzymał się na czymś, co znajdowało się za ramieniem Raineya. Mort obejrzał się i zobaczył ścianę z cegieł z żużlobetonu, szkolną tablicę oraz drzwi z matową szybą. Po chwili udało mu się odczytać odwrócony napis na szkle.

Słowa na tablicy były łatwiejsze do odczytania.

PORA ZASIEWU

Opowiadanie Mortona Raineya

Nagle coś ze świstem przeleciało nad ramieniem Morta, o włos mijając jego głowę. Pomarańcza. Mort się skulił, a owoc uderzył w tablicę z miękkim młaśnięciem i zachlapał krwią znajdujący się tam napis.

Mort odwrócił się w stronę Shootera. „Przestań!”, skarcił go drżącym głosem.

Shooter ponownie sięgnął do swojej torby. „Co się stało? – spytał spokojnym, surowym głosem. – Nie rozpoznaje pan czerwonych pomarańczy? Co z pana za pisarz?”.

Rzucił kolejną. Zachlapała nazwisko Morta karmazynowym sokiem, który zaczął powoli spływać po ścianie.

„Wystarczy!”, krzyknął Mort, ale Shooter uparcie sięgał do torby. Jego długie palce pokryte odciskami zagłębiły się w skórce pomarańczy, którą wyjął; krew zaczęła się sączyć na powierzchnię małymi kropelkami.

„Wystarczy! Wystarczy! Błagam! Wystarczy! Przyznam się, przyznam się do wszystkiego, tylko przestań! Zrobię wszystko, tylko przestań! Tylko...”

13

– ...przestań, tylko przestań...

Spadał.

W ostatniej chwili chwycił się krawędzi kanapy, broniąc się przed krótkim, ale zapewne bolesnym upadkiem na podłogę w salonie. Przetoczył się w głąb kanapy i przez moment tam leżał, kurczowo ściskając poduszki, drżąc i próbując uchwycić poszarpane resztki snu.

Była w nim jakaś sala lekcyjna, a także czerwone pomarańcze i szkoła życia. Nawet te obrazy mu umykały, a reszta snu już się rozplynęła. Cokolwiek to było, sprawiało wrażenie prawdziwego. Zdecydowanie zbyt prawdziwego.

W końcu otworzył oczy, ale niewiele zobaczył; przespał zachód słońca. Był potwornie zesztywniały, zwłaszcza w okolicy karku; podejrzewał, że spał cztery, może pięć godzin. Ostrożnie znalazł drogę do włącznika światła, tym razem wyjątkowo omijając ośmiokątny niski stolik ze szklanym blatem (podejrzewał, że stolik jest częściowo rozumny i wkrótce po zmroku lubi zmieniać położenie, by skuteczniej atakować jego piszczele), a następnie wrócił do przedpokoju, by ponownie spróbować zadzwonić do Amy. Po drodze zerknął na zegarek. Był kwadrans po dwudziestej drugiej. Spał ponad pięć godzin... ale to nie był pierwszy raz. Poza tym nie zapłaci za to bezsennością w nocy. Sądząc po wcześniejszych doświadczeniach, zaśnie, gdy tylko jego głowa dotknie poduszki w sypialni.

Podniósł słuchawkę, przez chwilę dziwił się, że niczego w niej nie słyszy, aż w końcu przypomniał sobie, że wyszarpnął wtyczkę z gniazdka. Przesunął przewód w palcach, aż odnalazł wtyczkę, odwrócił się, żeby ją podłączyć... i znieruchomiał. Mógł stąd wyrzecz przez niewielkie okno po lewej stronie drzwi. Z tego kąta widział tylną werandę, gdzie tajemniczy i nieprzyjemny pan Shooter zostawił wczoraj swój maszynopis przyciśnięty kamieniem. Widział także szafkę na śmieci, na której coś się znajdowało – a właściwie dwie rzeczy. Coś białego i coś ciemnego. Ta ciemna rzecz wyglądała paskudnie; przez jedną przerażającą sekundę Mort miał wrażenie, że przycupnął tam olbrzymi pająk.

Upuścił przewód telefonu i pośpiesznie zapalił światło na werandzie. Kiedy tylko to zrobił, przez pewien czas – nie wiedział i nie chciał wiedzieć, jak długo to trwało – nie mógł się ruszyć.

Białą rzeczą była kartka – zwyczajny arkusz formatu 297 x 216 milimetrów. Chociaż szafka na śmieci była oddalona o jakieś

pięć metrów od miejsca, w którym stał, mógł z łatwością odczytać kilka słów, zapisanych na kartce dużymi literami. Shooter zapewne użył ołówka z bardzo miękkim grafitem albo kawałka węgla do rysowania. Napis głosił: MA PAN 3 DNI. NIE ŻARTUJĘ.

Czarną rzeczą okazał się Kraksa. Shooter najwyraźniej skręcił kotu kark, a następnie przygwoździł go do wierzchu szafki śrubokrętem, który zabrał z szopy na narzędzia Morta.

14

Nawet nie poczuł, kiedy otrząsnął się z paraliżu, który go ogarnął. W jednej chwili tkwił znieruchomiały w przedpokoju obok stolika z telefonem i patrzył przez okienko na starego dobrego Krakę, którego klatka piersiowa, gdzie miał kępę białego futra – Amy lubiła nazywać ją śliniaczkiem – wyglądała tak, jakby na jej środku wyrosła rączka śrubokrętu, a już za moment stał na środku werandy, gdzie chłodne nocne powietrze przenikało jego cienką koszulę, i próbował patrzeć w sześciu kierunkach jednocześnie.

Zmusił się, żeby przestać. Shooter oczywiście odjechał. Właśnie dlatego zostawił tę wiadomość. Zapewne także nie był na tyle szalony, żeby napawać się lękiem i grozą Morta. Owszem, był wariatem, ale zupełnie innego pokroju. Po prostu użył Kraksy, tak jak rolnik używa łomu wobec opornego kamienia na swoim polu. Nie było w tym niczego osobistego; tylko zadanie, które trzeba wykonać.

Potem Mort przypomniał sobie, jak wyglądały oczy Shootera ostatniego popołudnia, i gwałtownie zadrżał. Ależ nie, to była sprawa osobista. Ze wszech miar osobista.

– On wierzy, że to zrobiłem – szepnął w zimną noc zachodniego Maine, a jego słowa były poszarpane, jakby kawałkował je szczękającymi zębami. – Ten zwariowany sukinsyn naprawdę wierzy, że to zrobiłem.

Kiedy podszedł do szafki na śmieci, poczuł, że jego żołądek przewraca się jak pies, który robi sztuczkę. Lodowaty pot

wystąpił mu na czoło i Mort zwątpił, czy zdoła sobie z tym poradzić. Głowa Kraksy była mocno przekrzywiona w lewo, co nadawało mu groteskowy pytający wygląd. Zęby – drobne, równe i ostre jak igiełki – miał obnażone. Wokół śrubokrętu widać było nieco krwi, w miejscu, w którym grot wbito w

(„śliniaczek”)

kępę futra na piersi kota, ale nie było jej dużo. Kraksa był przyjacielskim zwierzakiem; gdyby Shooter do niego podszedł, nie starałby się uciec. Pewnie właśnie tak Shooter zrobił, pomyślał Mort, ocierając niezdrowy pot z czoła. Podniósł kota, skręcił mu kark palcami, jakby łamał patyczek od lizaka, a następnie przygwoździł truchło do pochylego daszku szafki na śmieci, podczas gdy Mort spał, może nie snem sprawiedliwego, ale na pewno nieświadomego.

Mort zmiął kartkę, wepchnął ją do tylnej kieszeni, a następnie oparł dłoń na klatce piersiowej Kraksy. Ciało, które nie było zeszywniałe ani nawet całkowicie ostygłe, przesunęło się pod jego ręką. Ponownie poczuł, że przewraca mu się żołądek, ale zdołał zacisnąć dłoń na żółtej plastikowej rękojeści śrubokrętu i go wyciągnąć.

Rzucił śrubokręt na werandę i podniósł biednego Krakę prawą dłonią jak zwitek szmat. Teraz żołądek podszedł mu do gardła. Otworzył jedną z dwóch klap szafki i zaczepił ją o haczyk, który zabezpieczał ręce i głowę osoby wyrzucającej śmieci przed przytrzaśnięciem. W szafce stały trzy pojemniki na śmieci. Mort zdjął przykrywkę ze środkowego z nich i delikatnie złożył w środku ciało Kraksy. Leżało na wierzchu oliwkowego foliowego worka jak futrzana etola.

Nagle ogarnęła go wściekłość. Gdyby Shooter teraz pojawił się na podjeździe, Mort rzuciłby się na niego bez chwili namysłu, przewrócił go na ziemię i spróbował udusić.

Spokojnie – to naprawdę jest zaraźliwe.

Może i tak. Ale może wcale o to nie dbał. Nie chodziło nawet o to, że Shooter zabił jedyne go towarzysza Morta w tym samotnym pałdziernikowym domu nad jeziorem, ale o to, że

zrobił to, kiedy Mort spał, w taki sposób, że stary dobry Kraksa zmienił się w coś odrażającego, przy czym trudno powstrzymać wymioty.

Jednak najgorsze było to, że musiał wrzucić swojego kota do kubła jak bezwartościowy śmieć.

Jutro go pochowam. W miękkiej ziemi na lewo od domu. W miejscu z widokiem na jezioro.

Tak, ale tę noc Kraksa spędzi pozbawiony godności na worku na śmieci w szafce, ponieważ gdzieś tam jest człowiek – zwariowany sukinsyn – mający do Morta Raineya pretensje w związku z opowiadaniem, o którym ten w ciągu ostatnich pięciu lat nawet nie pomyślał. Ten człowiek był szalony, dlatego Mort bał się pochować Kraksa tej samej nocy, ponieważ – niezależnie od pozostawionej wiadomości – Shooter mógł się czaić na zewnątrz.

Mam ochotę go zabić. A jeśli ten zwariowany drań jeszcze bardziej mnie sprowokuje, możliwe, że spróbuję to zrobić.

Wrócił do środka, zatrzasnął za sobą drzwi i zamknął je na klucz. Potem obszedł cały dom i pozamykał wszystkie drzwi i okna. Kiedy skończył, wrócił do okna przy drzwiach na werandę i z namysłem zapatrzył się w mrok na zewnątrz. Widział śrubokręt leżący na klepkach oraz ciemny okrągły otwór, który pozostawił grot wbity przez Shootera w prawą klapę szafki na śmieci.

Od razu przypomniał sobie, że zamierzał ponownie zadzwonić do Amy.

Podłączył telefon do gniazdka. Pośpiesznie wybrał numer, wystukując znajomą kombinację cyfr, która oznaczała dom, i zastanawiając się, czy powie Amy o kocie.

Po pierwszych trzaskach w słuchawce zapadła nienaturalnie długa cisza. Mort już miał się rozłączyć, gdy nagle rozległ się ostatni trzask – a raczej niemal huk – po którym mechaniczny głos oznajmił, że wybrany numer jest niedostępny.

– Cudownie – mruknął Mort. – Co zrobiłaś, do diabła? Tak długo gadałaś, że się popsuł?

Rozłączył się, dochodząc do wniosku, że jednak będzie musiał zadzwonić do Isabelle Fortin, a kiedy szukał w pamięci jej numeru, telefon zadzwonił mu w dłoni.

Mort aż do tej pory nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo jest spięty. Teraz wrzasnął piskliwie i odskoczył do tyłu, upuszczając telefon na podłogę, po czym niemal potknął się o tę cholerną ławę, którą Amy kupiła i postawiła przy stoliku, a której nikt, wliczając samą Amy, nigdy nie używał.

Machnął na oślep ręką i przytrzymał się regału z książkami, broniąc się przed upadkiem. Następnie podniósł telefon z podłogi.

– Halo? To ty, Shooter? – W tej chwili miał wrażenie, że cały świat powoli staje na głowie, i nie wyobrażał sobie, że to mógłby być ktokolwiek inny.

– Mort? – To była Amy i prawie krzyczała. Doskonale poznał ten ton jej głosu przez ostatnie dwa lata ich małżeństwa. Była sfrustrowana albo wściekła, zapewne to drugie. – Mort, to ty? Czy to ty, na miłość boską? Mort? M...

– Tak, to ja – odrzekł. Nagle poczuł się bardzo zmęczony.

– Gdzieś ty był, do diabła? Próbuję się z tobą skontaktować od trzech godzin!

– Spałem.

– Odłączyłeś telefon. – Mówiła znużonym, ale oskarżycielskim tonem osoby, która już wielokrotnie przez to przechodziła. – No cóż, tym razem wybrałeś świetny moment, mistrzu.

– Próbowałem się do ciebie dodzwonić około siedemnastej...

– Byłam u Teda.

– Cóż, ktoś tam był – odparł. – Może...

– Jak to ktoś tam był? – spytała w okamgnieniu. – Niby kto?

– Skąd mam wiedzieć, do cholery? To ty jesteś w Derry, pamiętasz? Ty w Derry, ja w Tashmore. Wiem tylko, że linia była zajęta, kiedy próbowałem się do ciebie dodzwonić. Jeśli byłaś u Teda, to pewnie Isabelle...

– Wciąż jestem u Teda – weszła mu w słowo, a jej głos stał się dziwnie bezbarwny. – Pewnie spędzę tutaj jeszcze dużo czasu,

czy mi się to podoba, czy nie. Ktoś spalił nasz dom, Mort. Doszczętnie go spalił. – Nagle wybuchła płaczem.

15

Tak się zafiksował na Johnie Shooterze, że kiedy stał otępiały w przedpokoju jedyne go pozostałego domu Raineyów, ze słuchawką przyciśniętą do ucha, od razu uznał, że to Shooter spalił ich dom. Motyw? Ależ to jasne, panie władzo. Spalił odrestaurowany wiktoriański dom wart około ośmiuset tysięcy dolarów, żeby się pozbyć czasopisma. A dokładnie „Magazynu Detektywistycznego Ellery Queen”, numeru z czerwca 1980 roku.

Ale czy to mógł zrobić Shooter? Z pewnością nie. Derry od Tashmore dzieliło ponad sto pięćdziesiąt kilometrów, a ciało Kraksy wciąż było ciepłe i elastyczne, krew wokół grotu śrubokrętu zaś była lepka, ale nie zaschnięta.

Jeśli się pośpieszył...

Och, dajże spokój. Niedługo zaczniesz obwiniać Shootera o swój rozwód i uznasz, że codziennie przesypiasz szesnaście godzin dlatego, że Shooter dodaje środka nasennego do twojego jedzenia. A co potem? Możesz zacząć słać listy do gazet i wypisywać w nich, że niejaki John Shooter z jakiegoś zadupia w Missisipi jest kokainowym baronem. Że zabił Jimmy'ego Hoffę, a także był słynnym drugim zamachowcem, który w listopadzie 1963 roku strzelał do Kennedy'ego z trawiastego pagórka. Owszem, facet jest wariatem... ale czy naprawdę sądzisz, że pojechał sto pięćdziesiąt kilometrów na północ i zniszczył twój cholerny dom, żeby się pozbyć jakiegoś czasopisma? Zwłaszcza że w całej Ameryce zapewne można znaleźć inne egzemplarze tego samego numeru? Bądź poważny.

Ale nie da się ukryć... że gdyby się pośpieszył...

Nie. To absurd. Jednak Mort nagle zdał sobie sprawę, że nie będzie w stanie pokazać Shooterowi obiecane dowodu. Chyba że...

Gabinet znajdował się na tyłach domu; urządzili go na dawnym poddaszu szopy.

– Amy – odezwał się.

– To takie straszne! – mówiła, łkając. – Byłam u Teda, kiedy zadzwoniła Isabelle... powiedziała, że przyjechało co najmniej piętnaście wozów strażackich... woda lała się z węży... tłum... ciekawscy... gapie... przecież wiesz, jak bardzo nienawidzę, kiedy ludzie przychodzą, żeby pogapić się na dom, nawet kiedy się nie pali...

Mort musiał mocno ugryźć się w wewnętrzną stronę policzka, żeby powstrzymać dziki wybuch śmiechu. Śmiech w tej chwili byłby czymś najgorszym, najokrutniejszą możliwą reakcją, ponieważ dobrze o tym wiedział. Sukces, który po latach wysiłków odniósł w swojej dziedzinie, był dla niego czymś wspaniałym i satysfakcjonującym; czasami czuł się jak człowiek, który przedarł się przez pełną niebezpieczeństw dżunglę, gdzie straciła życie większość innych poszukiwaczy przygód, a na końcu odebrał cudowną nagrodę. Amy była z niego dumna, przynajmniej początkowo, jednak ta sytuacja miała dla niej także złe strony: nie dość, że utraciła prywatność, to jeszcze swoją tożsamość; była tylko żoną pisarza.

– Tak – odrzekł najdelikatniej, jak potrafił, cały czas przygryzając policzki, żeby obronić się przed groźnym śmiechem. Gdyby się roześmiał, to z powodu jej niefortunnego doboru słów, ale ona tak by tego nie odebrała. Na przestrzeni wspólnie spędzonych lat wielokrotnie błędnie interpretowała jego śmiech. – Wiem, kochanie. Opowiedz mi, co się stało.

– Ktoś nam spalił dom! – wykrzyknęła przez łzy. – Oto co się stało.

– Niczego nie dało się uratować?

– Tak powiedział komendant straży pożarnej. – Mort usłyszał, że Amy przełyka ślinę, usiłując nad sobą zapanować, ale po chwili znów się popłakała. – Spa-spalił się do-do-doszczętnie!

– Nawet mój gabinet?

– Właśnie tam wybuchł pożar. – Pociągnęła nosem. – Przynajmniej tak twierdzi komendant. To by się zgadzało z relacją Patty.

– Patty Champion?

Championowie mieszkali w sąsiednim domu, na prawo od Raineyów; ich działki oddzielał rząd cisów, które przez lata rozrosły się w niekontrolowany sposób.

– Tak. Zaczekaj chwilę.

Usłyszał, jak Amy donośnie wydmuchuje nos. Kiedy znów się odezwała, sprawiała wrażenie bardziej opanowanej.

– Patty powiedziała strażakom, że spacerowała z psem. To było wkrótce po zmroku. Minęła nasz dom i zobaczyła samochód zaparkowany pod portykiem. Potem usłyszała jakiś trzask, który dobiegł ze środka, i zobaczyła płomień w dużym oknie w twoim gabinecie.

– Widziała, co to był za samochód? – spytał Mort. Zrobiło mu się niedobrze. Kiedy wreszcie dotarło do niego, co się wydarzyło, sprawa Johna Shootera wydała mu się znacznie poważniejsza. Nie chodziło tylko o cholerny numer „Magazynu Detektywistycznego” z czerwca 1980 roku, ale o niemal wszystkie jego maszynopisy, zarówno te opublikowane, jak i nieukończone, a także o większość pierwszych wydań, wydania zagraniczne i egzemplarze autorskie.

Ale to tylko początek. Stracili swoje książki, około czterech tysięcy tomów. Jeśli zniszczenia rzeczywiście były tak poważne, to spłonęły wszystkie ubrania Amy, a zabytkowe meble, które kolekcjonowała – czasami z jego pomocą, ale przeważnie samodzielnie – zmieniły się w popiół i żużel. Jej biżuteria i ich osobiste dokumenty – polisy ubezpieczeniowe i tym podobne – zapewne ocalały (sejf ukryty w głębi szafy na piętrze miał być ognioodporny), jednak z tureckich dywanów nic nie zostało, tysiące kaset wideo zmieniło się w stopione bryły plastiku, sprzęt audiowizualny... jego ubrania... tysiące ich zdjęć...

Chryste, a pierwszą rzeczą, o której pomyślał, było to przeklęte czasopismo.

– Nie – odpowiedziała Amy na pytanie, o którym już niemal zapomniał, gdy uświadomił sobie ogrom poniesionych strat. – Nie widziała, co to za samochód. Według Patty ktoś pewnie użył koktajlu Mołotowa albo czegoś w tym rodzaju, ponieważ ogień pojawił się w oknie zaraz po odgłosie tłuczonego szkła. Ruszyła podjazdem, a wtedy otworzyły się drzwi kuchenne i ze środka wybiegł mężczyzna. Bruno zaczął na niego szczekać, ale Patty się złękła i odciągnęła psa, mimo że prawie wyrwał jej smycz z ręki. Następnie mężczyzna wszedł do samochodu i uruchomił silnik. Zapalił światła, które prawie oślepiły Patty. Osłoniła oczy ręką, a wtedy auto z rykiem ruszyło spod portyku... tak powiedziała... Przywarła plecami do naszego ogrodzenia i z całych sił przyciągnęła do siebie Brunona, w przeciwnym razie mężczyzna by go przejechał. Potem skręcił z podjazdu i szybko odjechał ulicą.

– I naprawdę nie zauważyła, jaki to był samochód?

– Nie. Najpierw było ciemno, a potem, kiedy w oknie gabinetu rozbłysły płomienie, oślepiły ją reflektory. Pobiegnęła do domu i zadzwoniła po straż pożarną. Podobno prędko przyjechali, ale wiesz, jaki stary jest nasz dom... a raczej był... i jak szybko płonie suche drewno... zwłaszcza jeśli użyje się benzyny...

Owszem, wiedział. Stary, suchy i pełen drewna dom był marzeniem podpalacza. Ale kto nim był? Jeśli nie Shooter, to kto? Ta fatalna wiadomość, która zwieńczyła dzień niczym ohydny deser kończący paskudny posiłek, niemal całkowicie odebrała mu zdolność myślenia.

– Powiedział, że to zapewne była benzyna... mam na myśli komendanta straży pożarnej... Pojawił się na miejscu jako pierwszy, ale potem przyjechała policja i zaczęła zadawać pytania, Mort, głównie o ciebie... o to, czy masz jakichś wrogów... no a ja odrzekłam, że chy-chyba żadnych nie masz... próbowałam odpowiedzieć na wszystkie jego pytania...

– Jestem pewien, że zrobiłaś co w twojej mocy – odparł łagodnie.

Mówiła dalej, zupełnie jakby go nie usłyszała, urywanymi zdaniami, jak telegrafistka na bieżąco odczytująca nadchodzące złe wieści.

– Nawet nie wiedziałam, jak ich poinformować, że jesteśmy rozwiedzeni... a oczywiście o tym nie wiedzieli... w końcu Ted im powiedział... Mort... Biblia mojej matki... leżała na nocnym stoliku w sypialni... w środku były zdjęcia mojej rodziny... to była... jedyna rzecz, jaka mi po niej zo-została... – Jej głos utonął w żalnym szlochu.

– Wstanę wcześniej rano – obiecał Mort. – Jeśli wyjadę o siódmej, mogę być na miejscu o dziewiętej trzydzieści. Może o dziewiętej, skoro już nie ma letników na drogach. Gdzie będziesz dzisiaj nocowała? U Teda?

– Tak. – Amy pociągnęła nosem. – Wiem, że go nie lubisz, Mort, ale nie wiem, co bym bez niego dzisiaj zrobiła... jak bym sobie z tym poradziła... no wiesz... z wszystkimi ich pytaniami.

– Więc cieszę się, że był przy tobie – odrzekł stanowczo. Był oszołomiony własnym opanowaniem i klasą. – Trzymaj się. Masz swoje pigułki? – Przez ostatnie sześć lat ich małżeństwa lekarz przepisywał jej tabletki uspokajające, ale zażywała je tylko wtedy, kiedy musiała lecieć samolotem... albo kiedy Mort musiał się pokazać publicznie w towarzystwie małżonki.

– Były w szafce z lekami – odparła tępo. – Ale to bez znaczenia. Nie jestem zdenerwowana, tylko zrozpaczona.

Prawie jej powiedział, że to w zasadzie na jedno wychodzi, jednak się powstrzymał.

– Przyjadę najszybciej, jak się da – zapewnił. – Jeśli myślisz, że mógłbym jakoś pomóc jeszcze tej nocy...

– Nie – odparła. – Gdzie się spotkamy? U Teda?

Niespodziewanie oczyma wyobraźni zobaczył, jak trzyma w dłoni uniwersalny klucz pokojówki. Zobaczył, jak go przekręca w zamku motelowych drzwi. Zobaczył, jak te stają otworem. Zobaczył zaskoczone twarze ponad pościelą, Amy po lewej, Teda Milnera po prawej. Zadbana fryzura Teda potargała się podczas snu, tak że przypominał postać Alfalfa z serii

krótkometrażowych filmów *Our Gang*. Widząc, że włosy Teda w nocy tak się skręcają, Mort po raz pierwszy dostrzegł w nim prawdziwego człowieka. Patrzył na ich konsternację i obnażone ramiona. Nagle pomyślał: *Kobieta, która kradnie twoją miłość, gdy miłość jest naprawdę wszystkim, co posiadasz...*

– Nie – odparł. – Nie u Teda. Może w tamtej kawiarence przy Witcham Street?

– Wolisz, żebym przyszła sama? – Nie sprawiała wrażenia zagniewanej, ale wyraźnie była gotowa, żeby wpaść w gniew. Jak dobrze ją znam, pomyślał. Każdy ruch, każde zawahanie głosu, każdy zwrot. No i jak dobrze ona musi znać mnie.

– Nie, przyprowadź Teda. Nie mam nic przeciwko. – Nie był zachwycony, ale potrafił z tym żyć. Przynajmniej tak sądził.

– A więc o dziewiątej trzydziści – powiedziała, a Mort usłyszał, że trochę się uspokoiła. – U Marchmana.

– Tak się nazywa ten lokal?

– Tak, restauracja U Marchmana.

– W porządku. O dziewiątej trzydziści albo odrobinę wcześniej. Jeśli dotrę pierwszy, oznaczę drzwi kredą...

– ...a jeśli ja dotrę pierwsza, zetnę znak – dokończyła ich stare powiedzenie i oboje się roześmiali. Mort odkrył, że nawet śmiech sprawia mu ból. Doskonale się znali. Czyż nie taki jest cel wspólnie spędzanych lat? Czy nie dlatego tak cholernie boli, gdy dociera do człowieka, że to nie tylko kiedyś może się skończyć, ale już się skończyło?

Nagle pomyślał o wiadomości, którą wetknięto pod jedną z obluzowanych płytek na szafce – MA PAN 3 DNI. NIE ŻARTUJĘ. Miał ochotę powiedzieć: „Też mam tutaj trochę kłopotów, Amy”, ale wiedział, że nie może dokładać jej zmartwień. To były jego kłopoty.

– Gdyby to się stało później, przynajmniej twoje rzeczy by ocalały – powiedziała. – Szkoda mi tych wszystkich maszynopisów, które straciłeś. Gdybyś dwa lata temu, kiedy proponował ci to Herb, kupił ognioodporne szafki, może...

– To bez znaczenia – rzucił. – Mam przy sobie maszynopis swojej nowej powieści. – Rzeczywiście go miał. Całe czternaście głównianych, drętwych stron. – Do diabła z resztą. Zobaczymy się jutro, Amy...

(„kocham cię”)

W porę zamknął usta. Byli rozwiedzeni. Czyżby wciąż ją kochał? Wydawało się to niemal perwersyjne. A nawet jeśli tak, to czy miał prawo o tym mówić?

– Cholernie mi przykro – rzekł tylko.

– Mnie także. Bardzo mi przykro. – Znow zaczynała płakać. Tym razem Mort usłyszał jak ktoś – kobieta, zapewne Isabelle Fortin – ją pociesza.

– Prześpij się, Amy.

– Ty też.

Rozłączył się. Dom od razu wydał mu się znacznie cichszy niż podczas którejkolwiek z wcześniejszych nocy, które spędził tutaj samotnie. Nie słyszał niczego poza szeptem nocnego wiatru wokół okapów oraz, gdzieś bardzo daleko, nawoływaniem nura na jeziorze. Wyjął kartkę z kieszeni, rozprostował papier i ponownie przeczytał wiadomość. Coś takiego należy odłożyć dla policji. Prawdę mówiąc, czegoś takiego nie należy dotykać, dopóki policja nie zrobi zdjęć i nie odprawi ich czarów-marów. Ponieważ to jest – dźwięk werbli i ryk trąbek poproszę – DOWÓD.

Pieprzyć to, pomyślał, ponownie zgniatając kartkę. Żadnej policji. Dave Newsome, lokalny posterunkowy, zapewne w porze lunchu już nie pamięta, co jadł na śniadanie, a Mort nie widział możliwości pójścia z tą sprawą do szeryfa hrabstwa ani do policji stanowej. W końcu nikt nie nastawał na jego życie. Zginął jego kot, ale kot to przecież nie człowiek. Z kolei w obliczu druzgoczących wieści, które przekazała Amy, John Shooter już nie wydawał się taki istotny. Należał do plemienia Wariatów, wyraźnie miał bzika i mógł być niebezpieczny... Mort jednak coraz bardziej skłaniał się ku samodzielnemu rozwiązaniu tej

sprawy, nawet jeśli ten gość był groźny. Zwłaszcza jeśli był groźny.

Dom w Derry był ważniejszy od Johna Shootera i jego szalonych wizji. Był nawet ważniejszy od samego podpalacza – Shootera albo jakiegoś innego świra, który żywił urazę, miał nierówno pod sufitem albo jedno i drugie. Dom, a także Amy. Wyraźnie była w rozsypce i Mort wiedział, że pomoże zarówno jej, jak i sobie, jeśli zaoferuje jej wsparcie. Może wtedy Amy...

Zamknął umysł na wszelkie spekulacje dotyczące tego, co jego była żona może zrobić. Na końcu tej drogi nie znajdowało się nic poza cierpieniem. Lepiej wierzyć, że jest zamknięta na zawsze.

Przeszedł do sypialni, rozebrał się i położył z dłońmi splecionymi za głową. Ponownie usłyszał okrzyk nura, daleki i rozpaczliwy. Dotarło do niego, że Shooter może gdzieś tam się czaić, blady okrąg twarzy pod dziwacznym czarnym kapeluszem. Shooter to wariat i chociaż przeciwko Kraksie użył własnych rąk i śrubokrętu, to niewykluczone, że ma pistolet.

Mort nie sądził jednak, żeby Shooter gdzieś tam był, uzbrojony czy nie.

Telefon, pomyślał. W drodze do Derry muszę zadzwonić przynajmniej do dwóch osób. Do Grega Carstairsa i Herba Creekmore'a. Będzie za wcześnie, żeby zrobić to stąd, skoro mam wyruszyć o siódmej, ale mogę skorzystać z automatu w Auguście...

Przewrócił się na bok, myśląc o tym, ile minie czasu, zanim tej nocy ponownie zmruży oko... a potem sen przetoczył się po nim jak gładka czarna fala. Jeśli ktokolwiek przyszedł, żeby popatrzeć na niego, kiedy spał, to Mort nie zdawał sobie z tego sprawy.

16

Budzik poderwał go z łóżka kwadrans po szóstej. Mort poświęcił pół godziny na pochowanie Kraksy na kawałku piaszczystego terenu pomiędzy domem a jeziorem, a o siódmej, zgodnie z planem, ruszył w drogę. Pokonał piętnaście

kilometrów i właśnie wjeżdżał do Mechanic Falls, pełnej życia metropolii, na którą składały się fabryka tekstyliów zamknięta w 1970 roku, pięć tysięcy dusz oraz żółte migające światła na skrzyżowaniu dróg numer 23 i 7, kiedy zauważył, że jego stary buick jedzie na samych oparach. Wjechał na stację Chevron u Billa, przeklinając się za to, że przed wyjazdem nie sprawdził, ile ma benzyny w baku – gdyby przejechał przez Mechanic Falls i nie zauważył, że kończy mu się paliwo, niewykluczone, że musiałby pokonać spory kawałek piechotą i bardzo by się spóźnił na spotkanie z Amy.

Podszedł do automatu telefonicznego na ścianie, podczas gdy pracownik stacji próbował napełnić bezdenne zbiorniki buicka. Mort wygrzebał zmiętą książeczkę z adresami z lewej tylnej kieszeni spodni i wybrał numer Grega Carstairsa. Spodziewał się, że zostanie go nawet o tak wczesnej porze, i się nie mylił.

– Słucham?

– Cześć, Greg, mówi Mort Rainey.

– Cześć, Mort. Chyba masz jakieś kłopoty w Derry, co?

– Tak – odparł Mort. – Mówili o tym w wiadomościach?

– Na Kanale Piątym.

– Jak to wygląda?

– Jak co wygląda? – spytał Greg.

Mort się skrzywił... ale skoro musiał to od kogoś usłyszeć, cieszył się, że to będzie Greg Carstairs, uroczy długowłosej dawny hippis, który wkrótce po Woodstock wstąpił do jakiejś mało znanej sekty religijnej – może to byli swedenborgianie. Miał żonę i dwoje dzieci, jedno w wieku siedmiu, a drugie pięciu lat, cała rodzina zaś najwyraźniej była równie wyluzowana jak on. Wszyscy tak bardzo przywykli do delikatnego, ale nieustającego uśmiechu Grega, że bez niego wydawał się nagi.

– Aż tak źle, co?

– Tak – odrzekł Greg bez ogródek. – Wygląda na to, że palił się jak pochodnia. Naprawdę mi przykro, stary.

– Dziękuję. Właśnie tam jadę. Dzwonię z Mechanic Falls. Wyświadcysz mi przysługę podczas mojej nieobecności?

– Jeśli chodzi o gonty, to myślę, że przyjadą przed...

– Nie, nie chodzi o gonty, ale o coś innego. Od dwóch albo trzech dni niepokoi mnie pewien facet. Czubek. Twierdzi, że ukradłem opowiadanie, które napisał sześć albo siedem lat temu. Kiedy mu powiedziałem, że napisałem swoją wersję tej historii wcześniej niż on i mogę to udowodnić, strasznie się wkurzył. Miałem nadzieję, że da mi spokój, ale nic z tego. Wczoraj wieczorem, kiedy drzemałem na kanapie, zabił mojego kota.

– Krakse? – Greg sprawiał wrażenie lekko poruszonego, co równało się potężnemu szokowi u każdej innej osoby. – Zabił Krakse?

– Właśnie.

– Rozmawiałeś o tym z Dave'em Newsome'em?

– Nie i raczej nie mam zamiaru. W miarę możliwości chcę sam sobie z tym poradzić.

– Ten facet nie wygląda mi na pacyfistę.

– Od zabicia kota daleka droga do zabicia człowieka – zauważył Mort. – Poza tym sądzę, że poradzę sobie z nim lepiej niż Dave.

– Może i masz rację – przyznał Greg. – Dave stał się nieco wolniejszy, odkąd skończył siedemdziesiąt lat. Jak ci mogę pomóc, Mort?

– Przede wszystkim chciałbym się dowiedzieć, gdzie ten facet mieszka.

– Jak się nazywa?

– Nie wiem. Pod opowiadaniem, które mi pokazał, podpisał się jako John Shooter, ale później zaczął z tego żartować i zasugerował, że to może być pseudonim. Podejrzewam, że tak jest, bo rzeczywiście brzmi jak pseudonim. Tak czy inaczej, wątpię, aby zameldował się pod tym nazwiskiem, jeśli mieszka w jakimś okolicznym motelu.

– Jak wygląda?

– Nieco ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, czterdzieści kilka lat. Ma ogorzałą twarz, zmarszczki wokół oczu i przy kącikach ust...

Kiedy mówił, twarz „Johna Shootera” coraz wyraźniej rysowała się w jego świadomości, jak oblicze ducha, które przybliżyła się do zakrzywionej powierzchni kryształowej kuli należącej do medium. Mort poczuł gęsią skórę na wierzchniej stronie dłoni i lekko zadrżał. Jakiś głos w jego śródmózgowiu szeptał, że popełnia błąd albo świadomie oszukuje Grega. Shooter zdecydowanie jest niebezpieczny. Mort nie musiał widzieć, co się stało z Krakszą, żeby to zrozumieć. Zobaczył to w oczach Shootera wczoraj po południu. Zatem po co zgrywa bohatera?

Bo tak – inny, niższy głos odpowiedział mu z niebezpieczną stanowczością. – *Bo tak, to wszystko.*

Głos ze śródmózgowia ponownie się odezwał, wyraźnie zaniepokojony: *Chcesz mu zrobić krzywdę? Czy właśnie o to ci chodzi? Chcesz mu zrobić krzywdę?*

Jednak niski głos nie odpowiedział. Zamilkł.

– Połowa okolicznych rolników tak wygląda – odrzekł Greg z powątpiewaniem.

– Ma jeszcze kilka charakterystycznych cech – dodał Mort. – Pochodzi z Południa, mówi z bardzo wyraźnym akcentem. Nosi duży czarny kapelusz, chyba filcowy, z okrągłym denkiem. Przypomina nakrycia głowy amiszów. Poza tym jeździ niebieskim fordem kombi z początku albo połowy lat siedemdziesiątych na numerach z Missisipi.

– W porządku, to już coś. Popytam ludzi. Jeśli zatrzymał się w okolicy, to na pewno ktoś go widział. O tej porze roku tablice rejestracyjne z innego stanu rzucają się w oczy.

– Wiem. – Nagle coś nowego przyszło mu do głowy. – Zaczynaj od wypytania Toma Greenleafa. Wczoraj rozmawiałem z Shooterem na Lake Drive, niecały kilometr na północ od mojego domu. Tom przejechał obok nas swoim scoutem. Skinął nam ręką, a my mu pomachaliśmy. Na pewno doskonale się facetowi przyjrzał.

– Dobrze. Pewnie spotkam się z nim w sklepie U Bowiego, kiedy wpadnę na kawę około dziesiątej.

– Tam też był – dodał Mort. – Wspomniał o staroświeckiej półce z książkami w miękkiej oprawie.

– A co mam zrobić, jeśli go namierzę?

– Nic – odparł Mort. – Niczego nie rób. Dziś wieczorem do ciebie zadzwonię. A jutro wieczorem powinienem wrócić do domu nad jeziorem. Nie wiem, co, u diabła, mógłbym robić w Derry poza grzebaniem w popiołach.

– A co z Amy?

– Ma kogoś – odrzekł Mort, próbując nie zabrzmieć sztywno, ale raczej mu się to nie udało. – Będą musieli razem postanowić, co Amy teraz zrobi.

– Aha. Przykro mi.

– Niepotrzebnie. – Mort popatrzył w stronę dystrybutorów i zobaczył, że pracownik stacji skończył tankować jego auto i zabrał się do mycia przedniej szyby. Nie spodziewał się, że jeszcze kiedyś coś takiego zobaczy.

– Chcesz się samodzielnie zająć tym facetem... Jesteś pewien, że to dobry pomysł?

– Owszem, tak uważam. – Zawahał się, nagle uświadamiając sobie, co zapewne myśli Greg. Jeżeli znajdzie mężczyznę w czarnym kapeluszu, a Mortowi stanie się krzywda, to Greg będzie odpowiedzialny. – Posłuchaj, Greg... jeśli chcesz, możesz mi towarzyszyć, kiedy będę z nim rozmawiał.

– Dobry pomysł – odrzekł z ulgą Greg.

– On pragnie dowodu, więc wystarczy, że go dla niego znajdziesz.

– Przecież mówiłeś, że masz dowód.

– Tak, ale mi nie uwierzył. Chyba będę musiał mu go podetknąć pod nos, żeby dał mi spokój.

– Aha. – Greg przez chwilę się namyślał. – Ten facet to rzeczywiście kawał świra, co?

– Owszem.

– Cóż, zobaczę, czy uda mi się go znaleźć. Zadzwon wieczorem.

– Tak zrobię. Dzięki, Greg.

– Nie ma sprawy. Odmiana słodzi rzeczy.

– Tak powiadają.

Pożegnał się z Gregiem i zerknął na zegarek. Dochodziła siódma trzydzieści, więc było zdecydowanie za wcześnie na telefon do Herba Creekmora, chyba że chciał go wyrwać z łóżka, a ta sprawa nie była aż tak pilna. Zatrzyma się przy automacie w Auguście. Wrócił do buicka, schował do kieszeni notatnik z adresami i wydobyl portfel. Spytał pracownika stacji, ile ma zapłacić.

– Dwadzieścia dwa pięćdziesiąt, wliczając zniżkę za płatność gotówką – odpowiedział chłopak, a potem nieśmiało popatrzył na Morta. – Czy mógłbym dostać pański autograf, panie Rainey? Czytałem wszystkie pańskie książki.

Mort od razu pomyślał o Amy i o tym, jak nienawidziła łowców autografów. Sam ich nie rozumiał, ale w niczym mu nie przeszkadzali. Dla niej stanowili uosobienie tej części ich życia, której coraz bardziej nienawidziła. Pod koniec Mort aż się wzdragał, kiedy ktoś w obecności żony zadawał mu to pytanie. Czasami niemal wyczuwał jej myśli: *Jeśli mnie kochasz, to dlaczego ich nie powstrzymasz?* Zupełnie jakby mógł to zrobić. Jego praca polegała na pisaniu książek, które ludzie tacy jak ten facet chcieliby przeczytać... a przynajmniej sam tak to postrzegał. Kiedy mu się udawało, prosili go o autograf.

Nabazgrał swoje nazwisko na odwrocie paragonu (w końcu pracownik stacji umył mu szybę), dochodząc do wniosku, że jeśli Amy miała mu za złe, że robi coś, co im obojgu sprawia przyjemność – a uważał, że tak właśnie było, nawet jeśli nie w pełni zdawała sobie z tego sprawę – to już jej problem. Nie zamierzał walczyć ze swoją naturą.

Nawet Shooter podkreślał znaczenie przyzwoitości i sprawiedliwości.

Wsiadł do samochodu i odjechał w stronę Derry.

Zapłacił siedemdziesiąt pięć centów za wjazd na parking w Auguście i zatrzymał się przy automatach telefonicznych po przeciwnej stronie. Dzień był słoneczny, chłodny i wietrzny – podmuchy docierające od strony Litchfieldu na południowym zachodzie i przecinające otwarty teren, na którym znajdował się parking, były na tyle silne, że wyciskały Mortowi łzy z oczu. Mimo wszystko rozkoszował się nimi. Niemal czuł, jak wiatr wywiewa kurz z tych części jego głowy, które zbyt długo pozostawały zamknięte i zabite deskami.

Użył karty kredytowej, żeby zadzwonić do Herba Creekmora w Nowym Jorku – do jego mieszkania, a nie biura. Herb miał dotrzeć do siedziby James & Creekmora, agencji literackiej obsługującej Morta, dopiero za godzinę, Mort jednak wystarczająco długo znał Herba, by wiedzieć, że ten już zapewne zdążył wziąć prysznic i teraz pił kawę, czekając, aż lustro w łazience odparuje, żeby mógł się ogolić.

Mortowi po raz drugi dopisało szczęście. Herb odezwał się głosem, w którym już niemal nie było oznak zasnania. Ależ mam dzisiaj farta, pomyślał Mort i uśmiechnął się na zimnym październikowym wietrze. Po drugiej stronie czteropasmowej autostrady widział robotników rozstawiających ogrodzenie chroniące przed śniegiem, by przygotować się do zimy, która była tuż za rogiem.

– Cześć, Herb – odezwał się do słuchawki. – Dzwonię do ciebie z automatu na parkingu w Auguście. Dopełniłem formalności rozwodowych, mój dom w Derry wczoraj wieczorem spalił się do gołej ziemi, jakiś świr zabił mojego kota, a tutaj jest zimniej niż w psiarni... Już ci się podoba? – Nie zdawał sobie sprawy, jak absurdalnie brzmi jego katalog skarg, dopóki nie wypowiedział ich na głos, a wtedy niemal się roześmiał. Jezu, rzeczywiście jest zimno, ale poczuł się wspaniale! Poczuł się oczyszczony!

– Mort? – odezwał się ostrożnie Herb, jak człowiek, który podejrzewa, że ktoś chce sobie z niego zażartować.

– Do usług – odparł Mort.

– Co się stało z twoim domem?

– Powiem ci, ale tylko raz. Rób notatki, jeśli musisz, ponieważ zamierzam wrócić do samochodu, zanim przymarzę do telefonu. – Zaczął od Johna Shootera i jego zarzutów. Skończył na rozmowie, którą poprzedniego wieczoru odbył z Amy.

Herb, który wielokrotnie przyjeżdżał z wizytą do Morta i Amy (i dlatego, jak podejrzewał Mort, był zrozpaczony z powodu ich rozstania), wyraził swoje zaskoczenie oraz smutek w związku z tym, co spotkało dom w Derry. Spytał, czy Mort domyśla się, kto mógł to zrobić. Ten zaprzeczył.

– Podejrzewasz tego Shootera? – spytał Herb. – Wiem, że kot zginął tuż przed twoim obudzeniem, ale...

– Sądzę, że jest to technicznie możliwe, i całkowicie tego nie wykluczam, ale szczerze wątpię – odparł Mort. – Może tylko dlatego, że nie potrafię ogarnąć myśla, że ktoś mógłby spalić dom z dwudziestoma czterema pokojami, żeby się pozbyć jednego czasopisma. Ale przede wszystkim dlatego, że go spotkałem. Herb, on naprawdę wierzy, że ukradłem jego opowiadanie. Nie ma najmniejszych wątpliwości. Kiedy zapowiedziałem, że mogę udowodnić, że mówię prawdę, zareagował, jakby chciał powiedzieć: „No dalej, skurwielu, zrób mi przyjemność”.

– Ale... zawiadomiłeś policję, prawda?

– Tak, zadzwoniłem dziś rano – odrzekł Mort, a chociaż nie było to do końca szczerze, nie było także kłamstwem. Rzeczywiście rano dzwonił. Do Grega Carstairsa. Jednak gdyby się przyznał Herbowi Creekmore'owi, który zapewne siedział w salonie w swoim nowojorskim mieszkaniu, ubrany w sztywne tweedowe spodnie i podkoszulek bez rękawów, że zamierza sam się tym zająć, korzystając tylko z pomocy Grega, Herb raczej by nie zrozumiał. Był dobrym przyjacielem, ale jednocześnie chodzącym stereotypem: Cywilizowany Człowiek, model z końca dwudziestego wieku, miastowy i obyty. Tacy ludzie wierzą w psychoterapię. Tacy ludzie wierzą w medytację i mediację. Tacy ludzie wierzą w dyskusję, gdy druga strona wykazuje rozsądek, oraz natychmiastowe przekazanie problemu Odpowiednim Organom, gdy tego rozsądku brakuje. Herb nie

odrzucał poglądu, że mężczyzna czasami musi wziąć się z życiem za bary... ale uważał, że miejscem na takie zachowania są filmy z Sylwestrem Stallone.

– To dobrze. – Herb wyraźnie odetchnął. – Masz wystarczająco dużo na głowie, żeby jeszcze przejmować się jakimś psycholem z Missisipi. Co zrobisz, jeśli go znajdą? Pozwiesz go za nękanie?

– Wolałbym go przekonać, żeby przestał mnie prześladować i odjechał w siną dal – odrzekł Mort. Wciąż nie opuszczał go wesoły optymizm, nieuzasadniony, ale niewątpliwie rzeczywisty. Podejrzewał, że wkrótce się załamie, ale na razie nie potrafił przestać się uśmiechać. Otarł ciekący nos mankietem płaszcza, nie przestając szczerzyć zębów. Już zapomniał, jakie to wspaniałe uczucie iść przez życie z uśmiechem przyklejonym do japy.

– Jak to zrobisz?

– Mam nadzieję, że z twoją pomocą. Masz archiwum moich tekstów, prawda?

– Tak, ale...

– W takim razie znajdź „Magazyn Detektywistyczny Ellery Queen” z czerwca tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego roku. To ten, w którym wydrukowano *Porę zasiewu*. Sam nie mogę tego zrobić z powodu pożaru, więc...

– Nie mam go – odparł łagodnie Herb.

– Nie masz? – Mort zamrużył. Tego się z pewnością nie spodziewał. – Dlaczego?

– Ponieważ zostałem twoim agentem dwa lata po tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym roku. Dysponuję co najmniej jednym egzemplarzem każdego tekstu, który dla ciebie sprzedałem, ale to było jedno z opowiadań, które sprzedałeś sam.

– Cholera! – Oczyma wyobraźni Mort widział opis *Pory zasiewu* w zbiorze *Każdy jest kapusiem*. Większość tekstów opatrzone notką „Przedruk za zgodą autora oraz agencji literackiej James & Creekmore”. W wypadku *Pory zasiewu* (oraz dwóch albo trzech innych opowiadań) notka głosiła jedynie „Przedruk za zgodą autora”.

– Przykro mi – rzekł Herb.

– Oczywiście, że sam je wysłałem... Pamiętam, że przedtem napisałem do nich list z zapytaniem. Po prostu mam wrażenie, że jesteś moim agentem od zawsze. – Mort przez chwilę się śmiał, po czym dodał: – Bez obrazy.

– Nie ma sprawy – odpowiedział Herb. – Chcesz, żebym zadzwonił do redakcji „Magazynu Detektywistycznego”? Na pewno mają na składzie numery archiwalne.

– Zrobisz to dla mnie? – spytał Mort z wdzięcznością. – Byłoby świetnie.

– Od razu się tym zajmę. Tylko że... – Herb urwał.

– Tylko że co?

– Obiecuj mi, że nie przyjdzie ci do głowy samodzielnie stawić temu facetowi czoła, kiedy już będziesz miał w garści wydrukowane opowiadanie.

– Obiecuję – pośpiesznie zgodził się Mort. Ponownie był nieuczciwy, ale co tam – przecież poprosił Grega, żeby ten mu towarzyszył, a on się zgodził, zatem Mort nie będzie sam. Zresztą Herb Creekmore jest jego agentem literackim, a nie ojcem. Nie powinno go obchodzić, w jaki sposób on radzi sobie z osobistymi problemami.

– Dobrze, zajmę się tym – powiedział Herb. – Zadzwonź do mnie z Derry... może nie jest aż tak źle, jak się wydaje.

– Chciałbym w to wierzyć.

– Ale nie wierzysz?

– Obawiam się, że nie.

– Rozumiem. – Herb westchnął, a po chwili dodał niepewnie: – Czy mogę cię prosić, żebyś przekazał Amy moje pozdrowienia?

– Możesz i na pewno to zrobię.

– Cieszę się. Schowaj się przed wiatrem, Mort. Słyszę, jak wyje w słuchawce. Pewnie zamarzasz.

– Jestem na najlepszej drodze. Jeszcze raz dziękuję, Herb.

Mort rozłączył się i przez chwilę z namysłem wpatrywał się w telefon. Zapomniał, że w buicku kończyła się benzyna, co stanowiło drobiazg, ale zapomniał także, że Herb Creekmore

został jego agentem dopiero w 1982 roku, a to już poważniejsza wpadka. Pewnie to skutek zbyt dużej presji. Zaczął się zastanawiać, co jeszcze mogło mu wypaść z głowy.

Głos w jego umyśle, nie ten ze śródmózgowia, ale ten dobiegający z jeszcze głębszych struktur, nagle się odezwał: *A co z kradzieżą opowiadania? Może o tym też zapomniałeś?*

Parsknął śmiechem i pośpiesznie wrócił do samochodu. Nigdy w życiu nie był w Missisipi, a nawet teraz, gdy zmagał się z niemocą twórczą, był bardzo daleki od znizenia się do plagiatu. Usiadł za kierownicą i uruchomił silnik, dochodząc do wniosku, że umysł człowieka czasami działa w naprawdę popieprzony sposób.

18

Mort uważał, że ludzie – nawet ci, którzy naprawdę starają się być wobec siebie szczerzy – zazwyczaj nie potrafią ocenić, kiedy coś się kończy. Był przekonany, że często uparcie w coś wierzą, mimo że dowody przeczące ich przekonaniom są nie tylko widoczne, ale wręcz natarczywie rzucają się w oczy. Kiedy chodzi o coś, co jest dla ciebie naprawdę ważne i czego potrzebujesz, łatwo jest dopuścić się oszustwa, pomylić życie z telewizją i przekonać samego siebie, że to, co wydaje się niewłaściwe, w końcu się naprawi... zapewne po kolejnej przerwie na reklamy. Podejrzewał, że bez wybitnej zdolności okłamywania samych siebie ludzka rasa byłaby jeszcze bardziej szalona.

Czasami jednak prawda się przebija, a jeśli świadomie starasz się ją ominąć lub zastąpić złudzeniami, skutki bywają druzgoczące: niczym spotkanie z falą przyływu, która nie przetacza się ponad tamą postawioną jej na drodze, ale ją zrywa, miażdżąc cię przy okazji.

Mort Rainey doświadczył jednego z takich katastrofalnych oświeceń, gdy przedstawiciele policji i straży pożarnej odjechali, pozostawiając jego, Amy i Teda Milnera przy dymiącej ruinie

zielonego wiktoriańskiego domu, który przez sto trzydzieści sześć lat stał przy Kansas Street numer 92. Kiedy powoli obchodzili zgliszcza, dokonując ponurej inspekcji, Mort zrozumiał, że jego małżeństwo z Amy Dowd z Portlandu w stanie Maine dobiegło końca. To nie są „małżeńskie napięcia” ani „próbna separacja”. To nie będzie jedna z tych spraw, o których czasami się słyszy, gdy obie strony żałują swojej decyzji i ponownie biorą ślub. Wszystko się skończyło. Ich wspólne życie przeszło do historii. Nawet dom, gdzie przeżyli tak wiele dobrych chwil, zmienił się w złowrogo kopnącą stertę belek, które zapadły się do otworu piwnicznego jak zęby olbrzyma.

Ich spotkanie U Marchmana, w niewielkiej kawiarni przy Witcham Street, poszło sprawnie. Amy go objęła, a on odwzajemnił uścisk, ale kiedy chciał ją pocałować w usta, zręcznie odwróciła głowę, tak że dotknął wargami jej policzka. Cmok-cmok, jak powiadali na przyjęciach w biurze. Jak miło cię widzieć, kochanie.

Ted Milner, tym razem z włosami idealnie ufryzowanymi za pomocą suszarki, które już nie kojarzyły się z kręconą czupryną Alfalfy, usiadł przy stoliku w kącie, skąd ich obserwował. Trzymał w dłoni fajkę, z którą Mort w ciągu ostatnich trzech lat widywał go na rozmaitych przyjęciach. Mort był przekonany, że fajka jest tylko na pokaz; stanowi drobny rekwizyt, który ma za zadanie sprawić, żeby jej właściciel wyglądał na starszego. A ile ten Ted naprawdę ma lat? Mort nie był pewien, ale Amy miała trzydzieści sześć, a Milner, ubrany w nieskazitelne marmurkowe dżinsy i koszulę J. Press rozpiętą pod szyją, zapewne był o co najmniej cztery lata młodszy. Mort zastanawiał się, czy Amy zdaje sobie sprawę, że za dziesięć lat – może nawet pięć – będą ją czekały kłopoty, ale doszedł do wniosku, że nie jest wystarczająco dobrym człowiekiem, żeby jej o czymś takim wspomnieć.

Spytał, czy wiadomo coś nowego. Amy zaprzeczyła. Potem pałeczkę przejął Ted, który mówił z delikatnym południowym akcentem, znacznie łagodniejszym od nosowego warkotu Johna

Shootera. Poinformował Morta, że komendant straży pożarnej oraz porucznik z policji w Derry spotkają się z nimi w, jak to określił, „miejscu zdarzenia”. Zamierzali zadać Mortowi kilka pytań. W porządku. Ted zaproponował mu filiżankę kawy, w końcu mieli dużo czasu. W porządku. Ted spytał, jak sobie radzi. Mort po raz kolejny użył słów „w porządku”. Za każdym razem brzmiały odrobinę mniej przekonująco. Amy nerwowo przysłuchiwała się ich rozmowie, co wcale nie dziwiło Morta. W dniu, w którym nakrył ich oboje w łóżku, zapowiedział Tedowi, że go zabije. Prawdę mówiąc, chyba nawet wspomniał o zabiciu ich obojga. Niezbyt dokładnie pamiętał tamte wydarzenia. Podejrzewał, że oni również. Nie wiedział, co czują pozostałe dwa wierzchołki tego trójkąta, sam jednak odkrył, że ta niepamięć jest nie tylko zrozumiała, ale że stanowi też błogosławieństwo.

Napili się kawy. Amy spytała go o „Johna Shootera”. Mort odrzekł, że według niego sytuacja jest pod kontrolą. Nie wspomniał o kocie, wiadomości ani czasopiśmie. Wkrótce wyszli z lokalu i udali się na Kansas Street numer 92, gdzie kiedyś znajdował się dom, a nie miejsce zdarzenia.

Komendant straży i funkcjonariusz policji byli tam zgodnie z zapowiedzią i, również zgodnie z zapowiedzią, mieli do Morta pytania. Większość dotyczyła ludzi, którzy mogliby go nie lubić na tyle, żeby wrzucić mu koktajl z benzyny do gabinetu. Gdyby Mort był sam, w ogóle nie wspominałby o Shooterze, ale w tych okolicznościach Amy oczywiście zrobiłaby to za niego, dlatego dokładnie zrelacjonował pierwsze spotkanie z intruzem.

– Facet był wściekły? – spytał komendant straży, Wickersham.

– Tak.

– Na tyle wściekły, żeby pojechać do Derry i spalić pański dom? – spytał detektyw nazwiskiem Bradley.

Mort był prawie pewien, że Shooter tego nie zrobił, ale nie chciał wchodzić w szczegóły w kwestii ich krótkich spotkań. Wtedy musiałyby im powiedzieć, co Shooter zrobił Kraksie – a to zasmuciłoby Amy; bardzo by ją zasmuciło – oraz otworzyło

puszkę Pandory, czego wolałyby uniknąć. Mort uznał, że nadszedł czas na odrobinę nieszczerości.

– Może początkowo. Ale kiedy odkryłem, że oba opowiadania rzeczywiście są identyczne, sprawdziłem pierwotną datę wydania swojego tekstu.

– Jego nigdy nie został opublikowany? – spytał Bradley.

– Nie, jestem tego pewien. Wczoraj pojawił się ponownie. Spytałem go, kiedy napisał swoje opowiadanie, mając nadzieję, że poda późniejszą datę. Rozumie pan?

Detektyw Bradley pokiwał głową.

– Chciał pan udowodnić, że go pan uprzedził.

– Otóż to. *Pora zasiewu* znalazła się w zbiorze opowiadań, który ukazał się w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym trzecim roku, ale pierwotnie została opublikowana w roku osiemdziesiątym. Liczyłem na to, że facet poczuje się bezpiecznie, wybierając datę oddaloną zaledwie o rok albo dwa lata od osiemdziesiątego trzeciego. Miałem szczęście. Powiedział, że napisał tekst w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym drugim roku. Jak pan zatem widzi, złapałem go w potrzask.

Mort miał nadzieję, że na tym przesłuchanie się skończy, ale Wickersham, komendant straży pożarnej, miał kolejne pytania.

– Pan to rozumie i my także, panie Rainey, ale czy on to dostrzegł?

Mort westchnął w duchu. Wiedział, że nie można bez przerwy trwać w nieszczerości – w końcu niemal zawsze dociera się do punktu, w którym trzeba powiedzieć prawdę albo skłamać w żywe oczy. On właśnie dotarł do tego miejsca. Ale czyja to sprawa? Ich czy jego? Jego. No właśnie. Chciał, żeby tak pozostało.

– Tak – odpowiedział. – On też to zrozumiał.

– I co zrobił? – spytał Ted. Mort popatrzył na niego z delikatnym rozdrażnieniem, a Ted odwrócił wzrok zupełnie, jakby żałował, że nie ma przy sobie fajki, którą mógłby się pobawić. Została w samochodzie. Koszula J. Press nie miała odpowiednich kieszeni.

– Odjechał – wyjaśnił Mort. Złość na Teda, którego ta sprawa w ogóle nie dotyczyła, ułatwiła mu kłamstwo. Fakt, że okłamywał Teda, uczynił jego postępowanie bardziej właściwym. – Wymamrotał jakieś bzdury dotyczące tego, jaki to niezwykle zbieg okoliczności, a potem wskoczył do swojego samochodu, jakby coś go ugryzło w dupę, i odjechał.

– Zwrócił pan uwagę na markę samochodu i tablicę rejestracyjną, panie Rainey? – spytał Bradley. Wyjął notatnik i długopis.

– To był ford – rzekł Mort. – Przykro mi, ale nie pamiętam numeru. To nie były tablice z Maine, ale poza tym... – Wzruszył ramionami i spróbował zrobić przeproszącą minę. Czuł się coraz bardziej niezręcznie z powodu rozwoju wypadków. Nie miał nic przeciwko zabawie w kotka i myszkę, póki unikał łągania w żywe oczy; miał wrażenie, że w ten sposób oszczędza Amy cierpienia, które sprawiłaby jej świadomość, że jakiś szaleniec skręcił Kraksie kark, a następnie przyszpilił kota śrubokrętem. Teraz jednak Mort znalazł się w sytuacji, w której opowiedział odmienne wersje wydarzeń różnym osobom. Gdyby te osoby się spotkały i porównały jego opowieści, wpadłby w tarapaty. Nie byłoby łatwo wytłumaczyć, dlaczego kłamał. Podejrzewał, że takie porównanie jest mało prawdopodobne, jeśli Amy nie porozmawia z Gregiem Carstairsem lub Herbem Creekmorem, ale co będzie, jeśli dojdzie do starcia z Shooterem, kiedy Mort i Greg go znajdą i podetkną mu pod nos „Magazyn Detektywistyczny” z czerwca 1980 roku?

Nieważne, powiedział sobie, spalimy ten most, kiedy już do niego dojdziemy, wielkoludzie. Na tę myśl zdał sobie sprawę, że wraca mu entuzjazm, który poczuł na parkingu podczas rozmowy telefonicznej z Herbem, i niemal zachichotał. Zdołał się powstrzymać. Gdyby zrobił coś takiego, zastanawialiby się, dlaczego się śmieje, i nic dziwnego.

– Sądzę, że Shooter teraz wraca do...
(„Missisipi”)

– ...miejsca, z którego przyjechał – dokończył niemal bez zająknięcia.

– Pewnie ma pan rację, ale zamierzam zająć się tą sprawą, panie Rainey – odrzekł porucznik Bradley. – Może rzeczywiście przekonał pan tego człowieka, że się myli, ale to nie znaczy, że rozstał się z panem w pogodnym nastroju. Niewykluczone, że przyjechał tutaj wiedziony wściekłością i spalił państwa dom tylko dlatego, że się wkurwił... przepraszam, pani Rainey.

Amy uśmiechnęła się krzywo i machnięciem ręki zbyła przeprosiny.

– Nie uważa pan, że to możliwe?

Nie, pomyślał Mort, nie uważam. Gdyby postanowił spalić dom, musiałby zabić Kraksę przed wyjazdem do Derry, na wypadek gdybym się obudził przed jego powrotem. W takim wypadku krew by zaschła, Kraksa zaś byłby sztywny, kiedy go znalazłem. A przecież tak nie było... Nie mogę jednak zaprzeczyć. Nawet gdybym chciał. Zaczęliby się zastanawiać, dlaczego tak długo ukrywałem śmierć Kraksy. Pewnie by uznali, że mam nierówno pod sufitem.

– Pewnie tak – odpowiedział – ale spotkałem tego faceta. Nie wyglądał mi na podpalacza.

– Czyli nie był Snopesem – wtrąciła Amy.

Popatrzył na nią zaskoczony, po czym się uśmiechnął.

– Zgadza się – przytaknął. – Był Południowcem, ale nie Snopesem.

– Co to znaczy? – spytał Bradley nieco znużonym głosem.

– To stary żart, panie poruczniku – wyjaśniła Amy. – Snopesowie byli bohaterami kilku powieści Williama Faulknera. Stawiali pierwsze kroki w biznesie, paląc stodoły.

– Aha – mruknął bez emocji Bradley.

– Nie ma jednego profilu charakterystycznego dla podpalaczy domów, panie Rainey. To ludzie bardzo różnego pokroju, może mi pan wierzyć.

– No cóż...

– Niech pan powie coś więcej o samochodzie – przerwał mu Bradley, zatrzymując ołówek nad notatnikiem. – Chciałbym powiadomić o tym facecie policję stanową.

Mort nagle uznał, że jeszcze trochę pokłamię. A nawet więcej niż trochę.

– To był sedan. Tyle mogę panu powiedzieć z całą pewnością.

– Mhm. Ford sedan. Z którego roku?

– Chyba z lat siedemdziesiątych. – Był pewien, że kombi Shootera wyprodukowano mniej więcej w tym samym czasie, kiedy niejaki Oswald wybrał Lyndona Johnsona na prezydenta Stanów Zjednoczonych. Przez chwilę milczał, po czym dodał: – Tablice były jasne. Może z Florydy. Nie dam głowy, ale to możliwe.

– Mhm. A jak wyglądał sam mężczyzna?

– Średniego wzrostu. Blondyn. Okulary. W okrągłych oprawkach, takich, jakie nosił John Lennon. To wszystko, co pa...

– Nie wspominałeś przypadkiem, że nosił kapelusz? – Amy weszła mu w słowo.

Mort poczuł, że jego zęby zaciskają się z trzaskiem.

– Tak – rzekł sympatycznym tonem. – To prawda, zapomniałem. Ciemnoszary albo czarny. Chociaż bardziej przypominał czapkę. Taką z daszkiem.

– W porządku. – Bradley zatrzasnął notatnik. – Wystarczy na początek.

– Czy to nie mógł być zwykły akt wandalizmu, podpalenie dla zabawy? – spytał Mort. – W powieściach wszystko się ze wszystkim łączy, ale z doświadczenia wiem, że w prawdziwym życiu różne rzeczy po prostu się wydarzają.

– Niewykluczone, ale nie zaszkodzi sprawdzić najbardziej oczywistych powiązań – zgodził się Wickersham i mrugnął do Morta z powagą. – Czasami życie naśladuje sztukę.

– Potrzebują panowie czegoś jeszcze? – spytał Ted i objął Amy ramieniem.

Wickersham i Bradley wymienili spojrzenia, a Bradley pokręcił głową.

– Chyba nie, przynajmniej na razie.

– Pytam tylko dlatego, że Amy i Mort będą musieli się spotkać z agentem ubezpieczeniowym – wyjaśnił Ted. – Może także z detektywem z firmy ubezpieczeniowej.

Mort doszedł do wniosku, że południowy akcent Teda coraz bardziej go irytuje. Podejrzewał, że ten facet pochodzi z części Południa położonej o kilka stanów na północ od krainy Faulknera, ale i tak drażnił go ten zbieg okoliczności.

Funkcjonariusze uścisnęli dłonie Amy i Morta, przekazali wyrazy współczucia, poprosili o kontakt, gdyby któreś z nich coś sobie przypomniało, a następnie się oddalili, pozostawiając całą trójkę, która ponownie zaczęła okrążać dom.

– Bardzo mi przykro, Amy – powiedział nagle Mort. Szła w środku i teraz popatrzyła na niego, najwyraźniej zaskoczona czymś, co usłyszała w jego głosie. Może szczerością. – Z powodu tego wszystkiego. Naprawdę mi przykro.

– Mnie także – odpowiedziała cicho i dotknęła jego dłoni.

– Cóż, z Teddym to już troje – zapewnił uroczyście Ted. Odwróciła się w jego stronę, a Mort w tej chwili mógłby z radością udusić tego faceta, aż oczy wyskoczyłyby mu z oczodołów i zadyndały na nerwach wzrokowych.

Okrążali dom od zachodniej strony, zbliżając się do ulicy. Dotarli do narożnika, w którym gabinet Morta łączył się z domem, a niedaleko znajdował się ogródek kwiatowy Amy. Wszystkie kwiaty uschły, ale Mort uznał, że to i tak bez znaczenia. Pożar był tak gorący, że usmażył czterometrowy pas zielonej trawy otaczający zgliszcza. Gdyby kwiaty kwitły, ogień by je zniszczył, co byłoby jeszcze smutniejsze. To byłoby...

Nagle się zatrzymał. Przypomniał sobie opowiadania. A raczej opowiadanie. Można je nazwać *Porą zasiewu* albo *Ukrytym oknem*, *ukrytym ogrodem*, ale gdy usunie się wierzchnie ozdoby i spojrzy w głąb, to ta sama historia. Podniósł wzrok. Teraz zobaczył tylko błękitne niebo, lecz przed pożarem w miejscu, w które patrzył, znajdowało się okno. Okno w niewielkim pokoju obok pralni. Pokoiku, który służył jako gabinet Amy. Tam

wypisywała czeki, pisała swój dziennik, wykonywała niezbędne telefony... tam, jak podejrzewał, kilka lat wcześniej zaczęła pisać swoją powieść. A kiedy ta dokonała żywota, właśnie tam ją pogrzebała, porządnie i po cichu, w jednej z szuflad biurka. Biurko stało obok okna. Amy rano lubiła tam siadywać. Wstawiała pranie w sąsiednim pomieszczeniu, a potem zajmowała się robotą papierkową, czekając na sygnał do opróżnienia pralki i napełnienia suszarki. Pokój był znacznie oddalony od głównej części domu, a Amy twierdziła, że lubi spokój. Spokój i wyraźne, zdrowe światło poranka. Uwielbiała od czasu do czasu wyglądać przez okno na swoje kwiaty, które rosły w głęboko schowanym kącie utworzonym przez dom i skrzydło mieszczące gabinet. „To najlepszy pokój w domu, przynajmniej dla mnie, ponieważ nikt poza mną tam nie wchodzi. Ma ukryte okno, które wychodzi na ukryty ogród”, mówiła Mortowi.

– Mort? – odezwała się do niego, a on przez chwilę się nie zorientował, myląc jej prawdziwy głos z głosem w swoich wspomnieniach. Ale czy to były prawdziwe, czy fałszywe wspomnienia? Oto jest pytanie. Wydawały się prawdziwe, lecz Mort zmagał się z potężnym stresem jeszcze przed Shooterem, Krakszą i pożarem. Czyż nie jest możliwe, że doświadcza... czegoś w rodzaju wspomnieniowych halucynacji? Że usiłuje sprawić, aby jego przeszłość z Amy dopasowała się do tej cholernej opowieści, w której mężczyzna oszalał i zabił żonę?

Jezu, mam nadzieję, że nie, ponieważ jeśli tak, to znalazłem się zdecydowanie zbyt blisko załamania nerwowego.

– Mort, wszystko w porządku? – spytała Amy. Lękliwie szarpnęła go za rękaw, przynajmniej chwilowo wyrywając z transu.

– Tak – odpowiedział, po czym szybko dodał: – Nie. Prawdę mówiąc, trochę źle się czuję.

– Może zaszkodziło ci śniadanie? – odezwał się Ted.

Amy posłała mu spojrzenie, od którego Mort poczuł się nieco lepiej. Nie było przyjazne.

– Nie chodzi o śniadanie – powiedziała nieco rozdrażniona. Wskazała obszernym gestem zwęglone ruiny. – Chodzi o to. Zabierajmy się stąd.

– Ludzie z firmy ubezpieczeniowej mają przyjechać o dwunastej – przypomniał Ted.

– To za ponad godzinę. Pojedźmy do ciebie, Ted. Sama też kiepsko się czuję. Mam ochotę usiąść.

– W porządku. – Ted mówił odrobinę poirytowanym tonem, który był jak miód na serce Morta. Chociaż przy śniadaniu zapewne stwierdziłby, że dom Teda Milnera jest ostatnim miejscem, do którego chce się wybrać, teraz bez sprzeciwu do nich dołączył.

19

W drodze do kilkupoziomowego budynku we wschodniej części miasteczka, gdzie Ted miał swoje mieszkanie, wszyscy milczeli. Mort nie wiedział, o czym myślą Amy i Ted, chociaż podejrzewał, że ona rozmyśla o pożarze, a on martwi się, czy zdążą na spotkanie ze specami z firmy ubezpieczeniowej. Mort za to nie miał wątpliwości, co jemu samemu zaprzęta myśli. Starał się ocenić, czy traci rozum. Czy to rzeczywistość, czy ułuda?

W końcu doszedł do wniosku, że Amy naprawdę tak powiedziała o swoim gabinecie obok pralni – to nie było fałszywe wspomnienie. Czy powiedziała te słowa przed 1982 rokiem, w którym John Shooter rzekomo napisał opowiadanie pod tytułem *Ukryte okno, ukryty ogród*? Nie wiedział. Niezależnie od tego, jak bardzo męczył swój zagubiony i obolały mózg, wciąż otrzymywał tę samą krótką odpowiedź: brak pewności. Ale jeśli nawet powiedziała te słowa – nieważne kiedy – to czy tytuł tekstu Shootera nie może być czystym przypadkiem? Niewykluczone, lecz musiał przyznać, że te przypadki dziwnie się mnożą. Już wcześniej postanowił, że pożar jest, musi być, zbiegiem okoliczności. Ale wspomnienie, które przywołał widok ogrodu

Amy i martwych kwiatów... cóż, coraz trudniej było uwierzyć, że to wszystko nie jest ze sobą powiązane w jakiś dziwaczny, może nawet nadnaturalny sposób.

Zresztą czy „Shooter” też nie był tym wszystkim zbity z tropu? „Jak pan je zdobył? – spytał głosem pełnym wściekłości i zaskoczenia. – To mnie najbardziej ciekawi. Jakim cudem taki dziany dupek trafił do zabitej dechami dziury w Missisipi i ukradł moją historię?”. Wtedy Mort uznał, że to albo kolejna oznaka szaleństwa Shootera, albo ma do czynienia z piekielnie dobrym aktorem. Teraz, w samochodzie Teda, zrozumiał po raz pierwszy, że sam zareagowałby identycznie, gdyby sytuacja uległa odwróceniu.

A w pewnym sensie właśnie tak się stało. Jedyłą wyraźną różnicę między oboma opowiadaniem stanowił tytuł. Oba były odpowiednie, jednak Mort uznał, że musi zadać Shooterowi pytanie podobne do tego, które ten skierował do niego: „Jak pan wpadł na ten tytuł, panie Shooter? To mnie najbardziej ciekawi. Jakim cudem dowiedział się pan, że jakieś dwa tysiące kilometrów od pańskiej zabitej dechami dziury w Missisipi żona pisarza, o którym podobno po raz pierwszy pan usłyszał w tym roku, ma własne ukryte okno, wychodzące na jej ukryty ogród?”.

Oczywiście istniał tylko jeden sposób, żeby się tego dowiedzieć. Kiedy Greg namierzy Shootera, Mort będzie musiał o to zapytać.

20

Mort odmówił kawy, którą proponował mu Ted, i spytał, czy jest coca-cola albo pepsi. Była, a kiedy Mort się napił, jego żołądek się uspokoił. Spodziewał się, że przebywanie w miejscu, w którym Ted i Amy bawili się w dom, odkąd nie musieli się już włóczyć po tanich motelach, wywoła w nim złość i niepokój. Tak się nie stało. To był zwykły dom, w którym każdy pokój wydawał się ogłaszać, że właścicielem jest Szalony Młody Kawaler, Który Odniósł Sukces. Mort odkrył, że bez problemu jest w stanie sobie

z tym poradzić, chociaż znów zaczął się nieco obawiać o Amy. Pomyślał o jej małym gabinecie, który wypełniały wyraźne, zdrowe światło oraz senny szum suszarki dobiegający zza ściany; o jej małym gabinecie z ukrytym oknem, jedynym w całym domu, które wychodziło na ciasny zakątek utworzony przez główną część domu i jego skrzydło. Zrozumiał, jak doskonale tam pasowała i jak bardzo nie na miejscu była tutaj. Jednak z tym musiała sobie poradzić sama, a po kilku minutach spędzonych w tym drugim domu, który mimo obaw wcale nie okazał się siedliskiem niegodziwości, tylko zwyczajnym budynkiem, Mort uznał, że mógłby się z tym pogodzić... a nawet być z tego zadowolony.

Spytała go, czy zamierza nocować w Derry.

– Nie, wracam zaraz po spotkaniu z ludźmi od ubezpieczeń. Jeśli pojawi się coś nowego, niech się ze mną skontaktują... albo ty możesz to zrobić.

Uśmiechnął się do niej, a ona odwzajemniła uśmiech i dotknęła jego dłoni. Tedowi to się nie spodobało. Ze zmarszczonym czołem wyglądał przez okno, obracając fajkę w palcach.

21

Zdążyli na spotkanie z przedstawicielami firmy ubezpieczeniowej, więc Ted Milner mógł odetchnąć z ulgą. Mort nie był zachwycony jego towarzysztwem; w końcu to nigdy nie był dom Teda, nawet po rozwodzie. A jednak jego obecność najwyraźniej uspokajała Amy, więc Mort pogodził się z sytuacją.

Don Strick, agent firmy Consolidated Assurance, z której usług korzystali, przyjął ich w swoim biurze, dokąd udali się po kolejnym krótkim obchodzie „miejsca zdarzenia”. W biurze spotkali niejakiego Freda Evansa, który weryfikował wypłaty odszkodowań i specjalizował się w podpaleniach. Wkrótce stało się jasne, dlaczego Evans rano nie towarzyszył Wickershamowi i Bradleyowi ani nie pojawił się na „miejscu zdarzenia”, gdy

w południe oglądali je razem ze Strickiem: spędził większość nocy na przeszukiwaniu ruin z latarką i polaroidem. Wytłumaczył, że potem wrócił do motelu, żeby trochę się zdrzemnąć przed spotkaniem z Raineyami.

Evans bardzo się spodobał Mortowi. Wydawało się, że naprawdę przejmuje się stratą, którą ponieśli Mort i Amy, podczas gdy wszyscy inni, wliczając „zatroskanego Teddy’ego”, najwyraźniej tylko klepali grzecznościowe formułki, po czym skupiali się na innych pilnych sprawach (Mort uznał, że dla Teda Milnera taką sprawą jest jak najszybsze pozbycie się go z Derry i odprawienie nad jezioro Tashmore). Fred Evans nie nazywał Kansas Street 92 „miejszem zdarzenia”, tylko „domem”.

Zadawał w zasadzie te same pytania co Wickersham i Bradley, ale robił to z większą delikatnością, dokładnością i dociekliwością. Chociaż spał najwyżej cztery godziny, miał jasne spojrzenie oraz mówił szybko i wyraźnie. Po dwudziestu minutach rozmowy Mort doszedł do wniosku, że jeśli kiedyś postanowi podpalić dom dla pieniędzy z ubezpieczenia, na pewno skorzysta z usług innej firmy niż Consolidated Assurance. Albo poczeka, aż ten człowiek przejdzie na emeryturę.

Evans uśmiechnął się, kiedy skończył zadawać pytania.

– Bardzo mi państwo pomogli. Dziękuję raz jeszcze za przemyślane odpowiedzi oraz okazaną serdeczność. W wielu przypadkach ludzie jeżą się, kiedy tylko usłyszą o weryfikacji wypłaty odszkodowania. Już są zdenerwowani, co zrozumiałe, a obecność detektywa uważają za oskarżenie, że podpalili swoją nieruchomość.

– W tych okolicznościach nie moglibyśmy sobie wymarzyć lepszego potraktowania – odpowiedziała Amy, a Ted Milner przytaknął z taką mocą, jakby jego głowa wisiała na sznurku i kierował nią wyjątkowo nerwowo lalkarz.

– Kolejny etap jest nieprzyjemny – rzekł Evans. Skinął głową na Stricka, a ten otworzył szufladę biurka i wyjął podkładkę, do której przyczepiono wydruk komputerowy. – Kiedy śledczy bada tak poważny pożar, musi pokazać klientom listę przedmiotów

podlegających ubezpieczeniu. Niech państwo ją przejrzą, a następnie podpiszą oświadczenie, że wszystkie wymienione przedmioty są państwa własnością i znajdowały się w domu w czasie pożaru. Proszę zaznaczyć krzyżykiem te przedmioty, które państwo sprzedali od czasu ostatniego przedłużenia polisy, a także wszystkie ubezpieczone przedmioty, których nie było w domu w czasie pożaru. – Zasłonił usta pięścią i odkaszlnął. – Dowiedziałem się, że niedawno przestali państwo razem mieszkać, dlatego ten ostatni punkt może być szczególnie istotny.

– Rozwiedliśmy się – odrzekł Mort bez ogródek. – Mieszkam w naszym domu nad jeziorem Tashmore. Korzystaliśmy z niego tylko latem, ale jest wyposażony w piec, więc można tam mieszkać także w czasie zimnych miesięcy. Niestety, nie zdążyłem stąd zabrać większości swoich rzeczy. Odkładałem to na później.

Don Strick pokiwał głową ze współczuciem. Ted siedział ze skrzyżowanymi nogami i bawił się fajką, próbując nie okazywać dogłębnego znudzenia.

– Niech się państwo dokładnie zapoznają z tą listą – powiedział Evans. Wziął podkładkę z kartką od Stricka i podał ją Amy ponad biurkiem. – To może być nieco nieprzyjemne, coś jak odwrotność urządzania domu.

Ted odłożył fajkę i zerkał na listę. Otrząsnął się ze znudzenia, przynajmniej chwilowo, a jego oczy były czujne jak u gapia, który obserwuje skutki poważnego wypadku. Amy zauważyła, że czyta listę, i usłużnie pochyliła kartkę w jego kierunku. Mort, który siedział po jej drugiej stronie, z powrotem odchylił podkładkę.

– Pozwolisz? – odezwał się do Teda. Był wściekły, naprawdę wściekły, i wszyscy usłyszeli to w jego głosie.

– Mort... – zaczęła Amy.

– Nie zamierzam robić z tego problemu, ale to były nasze rzeczy, Amy. Nasze.

– Nie wydaje mi się... – rzucił rozdrażniony Ted.

– Pan Rainey ma całkowitą rację, panie Milner – powiedział Fred Evans z łagodnością, którą Mort uznał za zwodniczą. –

Zgodnie z przepisami nie ma pan prawa oglądać tej listy. Przymykamy oko na takie przypadki, jeśli to nikomu nie przeszkadza... ale mam wrażenie, że pan Rainey ma coś przeciwko.

– A żeby pan wiedział – odrzekł Mort. Trzymał na kolanach kurczowo zaciśnięte dłonie; czuł, jak jego paznokcie odciskają kształty uśmiechów na miękkiej skórze.

Amy przeniosła smutne błagalne spojrzenie z Morta na Teda. Mort spodziewał się, że Ted będzie się nadymał i buntował, ale tak się nie stało. Zapewne Mort był do niego uprzedzony; nie znał go przecież dobrze (choć wiedział, że kiedy się go niespodziewanie zbudzi w jakimś szemranym motelu, nieco przypomina Alfagę), ale znał Amy. Gdyby ten facet był pyszałkiem, już dawno by go zostawiła.

Uśmiechając się pod nosem, zwracając się do Amy i całkowicie ignorując Morta oraz pozostałych, Ted powiedział:

– Czy byłoby lepiej, gdybym przespacerował się po okolicy?

Mort usiłował się powstrzymać, ale nie dał rady.

– Nie musisz się śpieszyć – rzucił z udawaną serdecznością.

Amy posłała mu mroczne spojrzenie spod przymrużonych powiek, a potem przeniosła wzrok na Teda.

– Mógłbyś to zrobić? To by trochę uprościło sprawy...

– Jasne. – Pocałował ją w policzek, a Mort dokonał kolejnego bolesnego odkrycia: ten człowiek się o nią troszczy. Może nie zawsze, ale na pewno w tej chwili. Mort dopuszczał myśl, że Amy jest tylko zabawką, która na jakiś czas zajmie Teda, ale szybko mu się znudzi. Jednak to do niej nie pasowało. Zbyt dobrze znała się na ludziach, żeby przystać na coś takiego... i za bardzo się szanowała.

Ted wstał i wyszedł. Amy popatrzyła na Morta z wyrzutem.

– Zadowolony?

– Chyba tak – odpowiedział. – Posłuchaj, Amy... może niezbyt dobrze to rozegrałem, ale mam szlachetne motywy. Przez lata wiele nas łączyło. To chyba ostatnia z tych rzeczy i sądzę, że powinna dotyczyć tylko nas dwojga. Dobrze?

Strick sprawiał wrażenie zakłopotanego. Fred Evans przeciwnie: wodził wzrokiem między Mortem i Amy jak zaciekawiony widz na świetnym meczu tenisowym.

– Dobrze – rzuciła cicho Amy. Lekko dotknął jej dłoni, a ona się uśmiechnęła. Co prawda w wymuszony sposób, ale lepsze to niż nic.

Przysunął się do niej z krzesłem i razem pochyłili się nad listą, jak dzieciaki uczące się do klasówki. Mort wkrótce zrozumiał, dlaczego Evans ich ostrzegał. Wydawało mu się, że ogarniał skalę doznanej straty, ale się mylił.

Patrząc na kolumny wydrukowane bezduszną komputerową czcionką, Mort doszedł do wniosku, że chyba wolałby, aby ktoś zabrał wszystkie przedmioty z domu przy Kansas Street 92 i rozłożył je na ulicy, żeby cały świat mógł je oglądać. Nie mógł uwierzyć, że zapomniał o tylu rzeczach, które zniknęły.

Siedem dużych sprzętów. Cztery telewizory, jeden z zestawem do montażu taśm wideo. Porcelana od Spode'a oraz oryginalne wczesnoamerykańskie meble, które Amy kupowała pojedynczo. Wartość zabytkowej szafy stojącej w ich sypialni oszacowano na czternaście tysięcy dolarów. Nie byli poważnymi kolekcjonerami dzieł sztuki, ale cenili ich piękno i stracili w sumie dwanaście oryginałów, które wyceniono na dwadzieścia dwa tysiące dolarów. Mort jednak nie zwracał uwagi na wartość pieniężną; myślał o szkicu N.C. Wyetha przedstawiającym dwóch chłopców, którzy wypływali na morze w niewielkiej łódce. Padało; chłopcy mieli na sobie płaszcze nieprzemakalne i kalosze, a na ich twarzach gościły szerokie uśmiechy. Mort uwielbiał ten szkic, a teraz już go nie było. Wyroby szklane z Waterfordu. Sprzęt sportowy składowany w garażu – narty, dziesięć rowerów oraz kajak Old Town. Wymieniono trzy futra Amy. Mort zauważył, że zaznaczyła małutkimi krzyżykami te z bobrów i norek – najwyraźniej wciąż były w magazynie – ale ominęła kurtkę z lisów. Wisiała w szafie – ciepła i stylowa, idealna na jesień – kiedy wybuchł pożar. Przypomniawszy sobie, że podarował ją żonie na urodziny sześć albo siedem lat temu. Przepadła. Jego teleskop

marki Celestron. Przepadł. Olbrzymia narzuta ozdobiona wzorem z układanką, którą matka Amy podarowała im, kiedy się pobrali. Matka Amy już nie żyła, a narzuta zmieniła się w popiół rozwiany wiatrem.

Najgorszy punkt, przynajmniej dla Morta, znajdował się w połowie drugiej kolumny i ponownie nie chodziło o wartość pieniężną. Na liście widniał napis „124 but. wina, wartość 4900 dolarów”. Oboje lubili wino. Nie szaleli na jego punkcie, ale wspólnie zbudowali i wyposażyli małą piwniczkę, a od czasu do czasu wypijali razem butelkę.

– Nawet wino – odezwał się do Evansa. – Nawet to.

Evans posłał mu dziwne spojrzenie, którego Mort nie potrafił zinterpretować, a następnie pokiwał głową.

– Sama piwniczka nie spłonęła, ponieważ w podziemnym zbiorniku mieli państwo bardzo mało paliwa i nie doszło do wybuchu, ale w środku zrobiło się bardzo gorąco i większość butelek popękała. Nieliczne, które ocalały... Cóż, nie znam się na winie, ale wątpię, żeby do czegoś się nadawały. Może jednak się mylę.

– Nie myli się pan – potwierdziła Amy. Z nieobecny wzrokiem otarła pojedynczą łzę, która spłynęła po jej policzku.

Evans podał jej swoją chusteczkę. Pokręciła głową i razem z Mortem ponownie pochyliła się nad listą.

Dziesięć minut później skończyli. Podpisali dokument w odpowiednich miejscach, a Strick poświadczył ich podpisy. Ted Milner pojawił się chwilę później, zupełnie jakby przez cały czas obserwował ich na ekranie.

– Czy to już wszystko? – spytał Mort Evansa.

– Na razie tak. Później może się coś jeszcze pojawić. Czy pański numer w Tashmore jest zastrzeżony, panie Rainey?

– Tak. – Zapisał go dla Evansa. – Proszę się ze mną kontaktować, jeśli będę mógł w czymś pomóc.

– Tak zrobię. – Evans wstał i wyciągnął rękę. – To zawsze jest paskudna sprawa. Przykro mi, że musieli państwo przez to przejść.

Wszyscy uścisnęli sobie nawzajem dłonie, a dwaj mężczyźni z firmy ubezpieczeniowej zabrali się do sporządzania raportów. Było już sporo po trzynastej, więc Ted spytał Morta, czy miałby ochotę zjeść lunch z nim i Amy. Mort pokręcił głową.

– Chcę wrócić. Trochę popracuję i zobaczę, czy uda mi się chociaż na jakiś czas o tym wszystkim zapomnieć. – Poczuję, że może naprawdę powinien się wziąć do pisania. Wcale go to nie zaskoczyło. W ciężkich chwilach, przynajmniej przed rozwodem, który najwyraźniej był wyjątkiem od tej reguły, zawsze pisało mu się najlepiej, a nawet stanowiło to dla niego konieczność. Lubił uciekać do wymyślonych światów, kiedy ten prawdziwy go krzywdził.

Niemal się spodziewał, że Amy poprosi go, aby zmienić zdanie, ale tego nie zrobiła.

– Jedź ostrożnie – powiedziała i złożyła niewinny pocałunek w kąciku jego ust. – Dzięki, że przyjechałeś i podszedłeś do tego... tak rozsądnie.

– Mogę ci jakoś pomóc, Amy?

Pokręciła głową, uśmiechając się delikatnie, po czym ujęła Teda za rękę. Jeśli Mort czekał na jakiś sygnał, to ten był aż nazbyt wyraźny.

Powoli podeszli do buicka.

– Radzisz sobie tam jakoś? – spytał Ted. – Potrzebujesz czegoś?

Mort już po raz trzeci zwrócił uwagę na jego południowy akcent – kolejny zbieg okoliczności.

– Nic mi nie przychodzi do głowy – odpowiedział, otwierając drzwi buicka i wydobywając kluczyki z kieszeni. – Skąd pochodzisz, Ted? Ty i Amy pewnie kiedyś mi mówiliście, ale za cholerę nie pamiętam. Może z Missisipi?

Ted serdecznie się roześmiał.

– Pudło, Mort. Dorastałem w Tennessee. W małym miasteczku Shooter's Knob.

Mort jechał do Tashmore z dłońmi kurczowo zaciśniętymi na kierownicy, kręgosłupem wyprostowanym jak linijka i wzrokiem wbitym w drogę. Słuchał radia i z całych sił skupiał się na głośnej muzyce za każdym razem, gdy wyczuwał za środkową częścią czoła charakterystyczne oznaki procesów myślowych. Nie przejechał nawet sześćdziesięciu kilometrów, gdy poczuł parcie na pęcherz. Ucieszył się z tego i nawet nie rozważał zatrzymania się w przydrożnej toalecie. Potrzeba wysikania się znakomicie odwracała jego uwagę.

Dotarł do domu około szesnastej trzydzieści i zaparkował buicka tam gdzie zawsze, pod boczną ścianą domu. Wyłączył silnik, przerywając Ericowi Claptonowi w samym środku karkołomnej gitarowej solówki w stylu boogie. Zapadła martwa cisza, jakby wszystko zasypały kamienie obłożone gumą piankową. Na jeziorze nie było ani jednej łódki, w trawie nie odzywał się ani jeden owad.

Sikanie i myślenie mają ze sobą wiele wspólnego, pomyślał, wysiadając z samochodu i rozpinając rozporek. I jedno, i drugie można odkładać na później... ale nie w nieskończoność.

Mort Rainey oddawał mocz, rozmyślając o ukrytych oknach i ukrytych ogrodach; o tych, którzy posiadają te drugie, i tych, którzy mogą patrzeć przez pierwsze. Myślał o tym, że czasopismo potrzebne mu do udowodnienia, że pewien facet jest szaleńcem albo kryminalistą, spłonęło tego samego wieczoru, gdy usiłował je zdobyć. Myślał o tym, że kochanek jego byłej żony, którego szczerze nienawidził, pochodzi z miasteczka Shooter's Knob, a Shooter to pseudonim szaleńca bądź kryminalisty, który pojawił się w życiu Morta Raineya dokładnie wtedy, gdy wspomniany Mort Rainey zaczynał pojmować, że rozwód to nie tylko pojęcie akademickie, ale prosty fakt, który na zawsze zmienił jego życie. Myślał nawet o tym, że „John Shooter” rzekomo odkrył jego plagiat w tym samym czasie, gdy Mort i jego żona ogłosili separację.

Pytanie: Czy to wszystko zbiegi okoliczności?

Odpowiedź: Technicznie to możliwe.

Pytanie: Czy wierzy, że to wszystko zbiegi okoliczności?

Odpowiedź: Nie.

Pytanie: Czy zatem sądzi, że traci rozum?

– Odpowiedź brzmi nie – powiedział Mort. – Wcale tak nie sądzi. Przynajmniej na razie. – Zapiął rozporek, okrążył róg domu i podszedł do drzwi.

23

Znalazł klucz od domu i zaczął go wkładać do zamka, ale po chwili go wyciągnął. Zamiast tego sięgnął do gałki, a kiedy zacisnął na niej palce, poczuł pewność, że z łatwością ją przekręci. Shooter tutaj był... albo nadal jest. Zresztą nie musiałby się włamywać. Nic z tych rzeczy. Nie ten koleś. Mort trzymał zapasowy klucz do domu nad jeziorem w starej mydelniczce na najwyższej półce w szopie na narzędzia, skąd Shooter pośpiesznie zabrał śrubokręt, kiedy nadszedł czas przygwoździć biednego Krakę do szafki na śmieci. A teraz był w domu, rozglądał się... może ukrywał. Był...

Gałka ani drgnęła. Palce Morta po prostu się po niej prześlizgnęły. Drzwi były zamknięte na klucz.

– No dobrze – powiedział Mort. – No dobrze, to nic wielkiego. – Nawet cicho się roześmiał, kiedy przekręcał klucz w zamku. Tylko dlatego, że drzwi są zamknięte, nie należy zakładać, że Shootera nie ma w domu. Wręcz przeciwnie, jeśli się nad tym dobrze zastanowić, teraz to jeszcze bardziej prawdopodobne. Shooter mógł użyć zapasowego klucza, odłożyć go na miejsce, a następnie zamknąć drzwi od środka, żeby uspić czujność swojego wroga. W tym celu wystarczyło wcisnąć guzik na gałce. Próbuje mnie wyprowadzić w pole, pomyślał Mort, wchodząc do środka.

Dom wypełniało zakurzone późnopołudniowe światło i panowała w nim cisza. Nie miało się jednak wrażenia, że to cisza wynikająca z nieobecności.

– Próbuje mnie pan wyprowadzić w pole, prawda?! – zawołał Mort. Spodziewał się, że we własnych uszach zabrzmiał jak wariat: samotny paranoik odzywający się do intruza, który istnieje tylko w jego wyobraźni. Ale wcale nie odniósł takiego wrażenia. Zabrzmiał jak człowiek, który zdemaskował przynajmniej połowę oszustwa. Może to nic wielkiego, ale lepsza połowa niż nic.

Wszedł do salonu z sufitem jak w katedrze, ogromnymi oknami wychodzącymi na jezioro oraz, oczywiście, światowej sławy kanapą Morta Raineya, znaną także jako Kanapa Nieprzytomnego Pisarza. Drobnym uśmiechem pociągnął w górę jego policzki. Czuł, że jądra podeszły mu do brzucha.

– Połowa oszustwa jest lepsza niż nic, prawda, panie Shooter – krzyknął.

Jego słowa zgasły w zakurzonej ciszy. Pośród kurzu wyczuwał stary dym tytoniowy. Natrafił wzrokiem na pogniecioną paczkę papierosów, którą wygrzebał z szuflady biurka. Zauważył, że w domu panuje zapach – niemal smród – który fatalnie się kojarzy: woń braku kobiety. Potem pomyślał: *Nieprawda. To nie o to chodzi. Wyczuwasz Shootera. Człowieka i papierosy. Nie twoje, tylko jego.*

Powoli się odwrócił, odchylając głowę do tyłu. W połowie wysokości kremowej ściany znajdował się otwór, przez który z sypialni na piętrze można było zaglądać do salonu. Zabezpieczały go ciemnobrązowe drewniane listwy, które miały chronić nieostrożną osobę przed wypadnięciem i roztrzaskaniem się o podłogę w salonie, ale pełniły także funkcję dekoracyjną. W tej chwili wcale nie sprawiały takiego wrażenia; bardziej przypominały kraty w więziennej celi. Mort z dołu dostrzegał tylko sufit i jedną z nóg łóżka stojącego w tak zwanej sypialni dla gości.

– Jest pan na górze, panie Shooter?! – zawołał.

Nie doczekał się odpowiedzi.

– Wiem, że próbuje mnie pan wyprowadzić w pole! – Teraz zaczynał się czuć odrobinę absurdalnie. – Ale nic z tego!

Mniej więcej sześć lat wcześniej zainstalowali w salonie duży kamienny kominek z piecykiem firmy Blackstone. Obok niego znajdował się stojak z narzędziami do rozpalania ognia. Mort chwycił rękojeść łopaty do popiołu, przez chwilę się zastanawiał, po czym zamienił ją na pogrzebacz. Stał przed zagrodzonym otworem widokowym i uniósł pogrzebacz jak rycerz oddający hołd królowej. Potem powoli podszedł do schodów i zaczął się po nich wspinać. Czuł napięcie opanowujące jego mięśnie, ale rozumiał, że nie obawia się Shootera, tylko tego, że niczego nie znajdzie.

– Wiem, że pan tam jest, i wiem, że próbuje mnie pan wyprowadzić w pole! Nie wiem tylko, po co to wszystko, więc kiedy pana znajdę, będzie się pan musiał wytłumaczyć!

Przystanął na górze schodów, czując, że serce tłucze mu się w piersi. Drzwi sypialni miał po lewej stronie. Po prawej znajdowała się łazienka dla gości. Mort nagle zrozumiał, że Shooter rzeczywiście tutaj jest, ale nie w sypialni. Nie, to był tylko podstęp. Shooter chciał, żeby Mort tak myślał.

Tymczasem ukrył się w łazience.

Stojąc z pogrzebaczem w kurczowo zaciśniętej prawej dłoni i potem spływającym spod włosów na policzki, Mort go usłyszał. Cichy szelest. Shooter tam jest. Wygląda na to, że stoi w wannie. Teraz odrobinę się przesunął. *A kuku, mój mały Johnny, słyszę cię. Masz broń, kutasie?*

Mort uznał, że pewnie tak, ale wątpił, aby to był pistolet. Ten facet, pomimo obranego pseudonimu literackiego oznaczającego strzelca, sprawiał wrażenie człowieka, który woli prymitywniejsze narzędzia. Świadczył o tym także los Kraksy.

Założę się, że to młotek, uznał Mort, wolną dłonią ocierając z karku pot. Czuł, jak jego oczy pulsują w rytmie bicia serca. Pewnie wziął go z szopy na narzędzia, pomyślał.

Wystarczyło, że przyszło mu to do głowy, a od razu wyraźnie zobaczył Shootera, stojącego w wannie, w swoim czarnym kapeluszu z okrągłym denkiem i żółtych butach roboczych, ze sztucznymi zębami wyszczerzonymi w uśmiechu, który bardziej

przypominał grymas, z potem ściekającym po głębokich zmarszczkach niczym woda spływająca siecią ocynkowanych blaszanych rynien, z młotkiem z szopy na narzędzia wzniesionym na wysokość ramienia jak młotek sędziego. Stał w wannie, czekając, żeby uderzyć. Wyrok zapadł, następna sprawa proszę.

Znam cię, koleś. Przejrzałem cię, kiedy tylko cię zobaczyłem. I wiesz co? Przypieprzyłeś się do niewłaściwego pisarza. Czekałem, żeby kogoś zabić od połowy maja, a ty świetnie się nadasz.

Mort obrócił głowę w stronę drzwi sypialni. Jednocześnie wyciągnął lewą rękę (najpierw wytarłszy ją o koszulę, żeby nie ześlizgnęła się w kluczowej chwili) i zacisnął ją na gałce w drzwiach łazienki.

– Wiem, że pan tam jest! – zawołał w stronę zamkniętych drzwi sypialni. – Jeśli chowa się pan pod łóżkiem, to lepiej niech pan wyjdzie! Liczę do pięciu. Jeśli do tej pory nie wyjdzie pan z ukrycia, wchodzę... i nie będę się patyczkował! Zrozumiano?

Nie otrzymał żadnej odpowiedzi... ale wcale się jej nie spodziewał. Ani jej nie pragnął. Mocniej zacisnął dłoń na gałce, ale zaczął odliczać zwrócony twarzą do sypialni dla gości. Nie wiedział, czy Shooter usłyszy albo wyczuje różnicę, jeśli odwróci głowę w stronę łazienki, ale podejrzewał, że to możliwe. Facet niewątpliwie był cwany. Diabelsko cwany.

Usłyszał kolejny niewyraźny ruch w łazience. Przegapiłby go, nawet z tej odległości, gdyby nie nasłuchiwał ze wszystkich sił.

– Raz!

Chryste, spocił się jak świnia!

– Dwa!

Gałka na drzwiach do łazienki w dotyku przypominała zimny kamień.

– Trz...

Przekręcił gałkę i wpadł do środka, uderzając drzwiami o ścianę z taką siłą, że przebił tapetę i urwał dolny zawias. Wtedy go zobaczył, zobaczył, jak rusza ku niemu z uniesioną bronią, z zębami wyszczerzonymi w morderczym grymasie,

z bezgranicznie szalonym spojrzeniem. Zanim Mort ze świstem uderzył pogrzebaczem od góry, zdążył zauważyć, że Shooter także trzyma pogrzebacz i że nie ma na głowie czarnego kapelusza z okrągłym denkiem, i zrozumiał, że sam jest tym szaleńcem. Potem pogrzebacz rozbił lustro i kawałki posrebrzanego szkła rozprysły się na wszystkie strony, migocząc w mroku, a szafka na lekarstwa spadła do umywalki. Wygięte drzwiczki otworzyły się jak rozdziawione usta, wyrzucając butelki z syropem na kaszel, jodyną i płynem do płukania ust.

– Kurwa mać, zabiłem lustro! – wykrzyknął Mort i już miał odrzucić pogrzebacz, gdy coś naprawdę poruszyło się w wannie, za falistymi drzwiami prysznicowymi. Rozległ się cichy wystraszony pisk. Mort z szerokim uśmiechem zamachnął się pogrzebaczem i wybił nierówną dziurę w plastikowych drzwiach, zrzucając je z prowadnic. Uniósł pogrzebacz, wytrzeszczając szkliste oczy i przywołując na usta grymas, który wyobraził sobie na twarzy Shootera.

Następnie powoli opuścił broń. Musiał lewą dłonią rozewrzeć palce prawej, żeby móc upuścić pogrzebacz na podłogę.

– Maleńki, cichy stworze – przemówił do polnej myszy, która miotła się w wannie. – *Ileż popłochu w piersi twojej gorze*³. – Głos zabrzmiał chrapliwie, beznamiętnie i dziwacznie. Wcale nie przypominał jego głosu. Mort miał wrażenie, jakby po raz pierwszy słuchał go nagranych na taśmie.

Odwrócił się i powoli wyszedł z łazienki, mijając pochylone drzwi wiszące na jednym zawiasie. Pod podszewkami zgrzytały kawałki stłuczonego lustra.

Natychmiast zapragnął zejść na dół, położyć się na kanapie i zdrzemnąć. Zapragnął tego bardziej niż czegokolwiek innego na świecie.

Obudził go dzwonek telefonu. Półmrok już prawie ustąpił miejsca nocy i Mort, zmagając się z dziwnym uczuciem, że

czas zawrócił, powoli przeszedł obok niskiego stolika o szklanym blacie, który tak lubił go kąsać. Prawa ręka bolała go jak diabli. Plecy były w niewiele lepszym stanie. Jak mocno zamachnął się pogrzebaczem? Jak silna panika nim kierowała? Nie chciał o tym myśleć.

Podniósł słuchawkę, nawet nie próbując zgadywać, kto dzwoni. W jego życiu ostatnio tak wiele się działo, kochanie, że to może być nawet prezydent.

– Słucham?

– Jak się pan miewa, panie Rainey?

Mort wzdrygnął się i na chwilę odsunął słuchawkę od ucha, jakby to był wąż, który usiłuje go ukąsić. Potem powoli ją przybliżył.

– Dobrze, panie Shooter – odrzekł oschle. – A co u pana?

– Wyśmienicie – odpowiedział Shooter z silnym południowym akcentem, który wyróżniał się jak niemalowana stodoła stojąca na środku pola. – Ale mam wrażenie, że pan wcale nie czuje się dobrze. Nigdy pana nie dręczyło, że okradł pan drugiego człowieka, ale kiedy wreszcie pana przyłapano... wygląda na to, że wszystko zwróciło się przeciwko panu.

– O czym pan mówi?

Shooter sprawiał wrażenie rozbawionego.

– No cóż, słyszałem w wiadomościach radiowych, że ktoś spalił pański dom. Tamten drugi. A kiedy pan tutaj wrócił, brzmiało to tak, jakby dostał pan jakiegoś napadu. Krzyki... odgłosy uderzeń... a może słynni pisarze zawsze wpadają w szal, kiedy sprawy nie idą po ich myśli? Czy właśnie o to chodzi?

Mój Boże, on tutaj był. Naprawdę tutaj był.

Mort wyjrzał przez okno, zupełnie jakby Shooter wciąż mógł gdzieś tam się czaić... na przykład ukrywać się w krzakach i rozmawiać z nim przez telefon bezprzewodowy. Oczywiście to była absurdalna myśl.

– Czasopismo z moim opowiadaniem już zostało do mnie wysłane – odparł. – Czy zostawi mnie pan w spokoju, kiedy je dostanę?

Shooter wciąż sprawiał wrażenie rozleniwionego i rozbawionego.

– Nie ma żadnego czasopisma z pańskim opowiadaniem, panie Rainey. Obaj to wiemy. Na pewno nie z tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego roku. Jak pan to sobie wyobraża, skoro mój tekst pojawił się w osiemdziesiątym drugim i dopiero wtedy mógł go pan ukraść?

– Jasna cholera, nie ukradłem pańskiego...

– Kiedy dowiedziałem się o pańskim domu – wszedł mu w słowo Shooter – od razu kupiłem „Evening Express”. Zamieścili tam zdjęcie tego, co z niego zostało. Nie jest tego wiele. Wydrukowali także zdjęcie pańskiej żony. – Zamilkł na dłużej, jakby się nad czymś zastanawiał. – Ślicznotka – rzekł w końcu, świadomie i sarkastycznie używając wiejskiego akcentu. – Jak to możliwe, że takiemu brzydkiemu sukinkotowi trafiła się taka śliczna żonka, panie Rainey?

– Rozwiedliśmy się, już panu mówiłem. Może odkryła, jaki jestem brzydki. Lepiej nie mieszajmy w to Amy. To sprawa między nami dwoma.

Po raz drugi w ciągu ostatnich dwóch dni zdał sobie sprawę, że odebrał telefon, gdy był na wpół rozbudzony i prawie bezbronny. Na skutek tego Shooter przejął niemal całkowitą kontrolę nad rozmową. Wodził Morta za nos i podejmował wszystkie decyzje.

Więc się rozłącz.

Ale nie potrafił. Przynajmniej na razie.

– Między nami dwoma? – upewnił się Shooter. – Zatem pewnie nikomu pan o mnie nie wspomniał.

– Czego pan chce? Proszę powiedzieć! Czego pan chce, do diabła?

– Chce pan poznać drugi powód mojego przybycia?

– Tak!

– Chcę, żeby pan napisał dla mnie opowiadanie – wyjaśnił spokojnie Shooter. – Chcę, żeby je pan podpisał moim

nazwiskiem, a następnie mi je dał. Jest mi pan to winien. Przyzwoitość i uczciwość tego wymagają.

Mort stał w przedpokoju i kurczowo zaciskając obolałą dłoń na słuchawce, czuł, jak żyła pulsuje mu na środku czoła. Na dłuższą chwilę wściekłość go obezwładniła, jakby był pogrzebany żywcem i mógł myśleć tylko: A więc to tak! A więc to tak! A więc to tak! – raz za razem.

– Jest pan tam, panie Rainey? – spytał Shooter spokojnym, rozwlekłym głosem.

– Jedyne, co dla pana napiszę, to wyrok śmierci, jeśli nie zostawi mnie pan w spokoju – odparł Mort powoli, tonem ociekającym wściekłością.

– Mocna gadka, pielgrzymie – odrzekł cierpliwie Shooter, jak dorosły, który objaśnia proste zagadnienie mało bystremu dziecku. – Ale doskonale pan wie, że nie mogę pana skrzywdzić. Gdyby mi pan ukradł psa albo samochód, mógłbym zabrać pańskiego psa bądź samochód. Byłoby to równie proste jak skręcenie karku pana kotu. A gdyby próbował mnie pan powstrzymać, mógłbym pana skrzywdzić i odebrać swoją własność. Ale to co innego. To, na czym mi zależy, znajduje się wewnątrz pańskiej głowy. Jest tam zamknięte niczym w sejfie. Tylko że nie mogę wysadzić drzwi ani przeciąć palnikiem ściany. Muszę odkryć szyfr, prawda?

– Nie wiem, o czym pan mówi, ale prędzej Statua Wolności założy pieluchę, niż ja napiszę dla pana opowiadanie – oznajmił Mort. – Pielgrzymie.

– Nie mieszałbym jej do tego, gdybym mógł, ale widzę, że nie pozostawia mi pan wyboru – odpowiedział Shooter refleksyjnym tonem.

Mort nagle poczuł w ustach suchość i gorąco.

– Co... co pan...

– Chce się pan obudzić z jednej z pańskich kretyńskich drzemek i znaleźć Amy przyszpiloną do pojemnika na śmieci? – spytał Shooter. – Albo pewnego ranka włączyć radio i usłyszeć, że

przegrała starcie z piłą łańcuchową, którą pan trzyma w garażu? Czy może garaż też spłonął?

– Niech pan uważa na słowa – wyszeptał Mort. W jego szeroko otwartych oczach pojawiły się piekące łzy wściekłości i strachu.

– Wciąż ma pan dwa dni do namysłu. Na pana miejscu poważnie bym się zastanowił, panie Rainey, i zrobiłbym wszystko, żeby ją ochronić. Poza tym raczej nikomu bym o tym nie mówił. To byłoby jak kuszenie piorunów w czasie burzy. Chociaż się rozwiedliście, podejrzewam, że wciąż coś pan czuje do tej pani. Czas nieco dorosnąć. Nie uda się panu wywinąć. Jeszcze pan tego nie rozumie? Wiem, co pan zrobił, i nie ustąpię, dopóki nie dostanę tego, co mi się należy.

– Pan oszalał! – wrzasnął Mort.

– Dobranoc, panie Rainey – pożegnał się Shooter i się rozłączył.

25

Mort przez chwilę stał w miejscu, a ręka ze słuchawką powoli oddalała się od jego ucha. Potem podniósł ze stolika mały owalny aparat. Był bliski rzucenia nim o ścianę, ale zdołał się opanować. Odstawił telefon i kilkanaście razy głęboko odetchnął – aż zakręciło mu się w głowie. Następnie wybrał domowy numer Herba Creekmore'a.

Towarzyszka życia Herba, Delores, odebrała po drugim dzwonku i zawołała go do telefonu.

– Cześć, Mort – odezwał się Herb. – Jak wygląda sprawa z domem? – Na moment odsunął usta od mikrofonu. – Delores, przestaw patelnię na tylny palnik.

W Nowym Jorku jest pora kolacji, pomyślał Mort, a on chce, żeby to zrozumiał. Do diabła z tym. Szaleniec dopiero co groził, że przerobi moją żonę na kotlety, ale życie musi się toczyć dalej, prawda?

– Domu już nie ma – odrzekł Mort. – Ubezpieczenie pokryje straty. – Na chwilę umilkł. – Przynajmniej te materialne.

– Przykro mi – powiedział Herb. – Mogę jakoś pomóc?
– Nie w sprawie domu, ale dziękuję. Jednak jeśli chodzi o opowiadanie...

– Jakie opowiadanie?

Mort poczuł, że jego dłoń ponownie zaciska się na słuchawce, i zmusił się do poluzowania uścisku.

On nie wie, co się tutaj dzieje. Musisz o tym pamiętać.

– To, o które awanturuje się mój zwariowany przyjaciel – wyjaśnił, starając się zachować beztroski ton. – *Pora zasiewu z „Magazynu Detektywistycznego Ellery Queen”.*

– Ach, o to chodzi! – przypomniał sobie Herb.

Mort poczuł ukłucie strachu.

– Chyba nie zapomniałeś zadzwonić?

– Ależ skąd, zadzwoniłem – zapewnił go agent. – Po prostu na moment wyleciało mi to z głowy. Straciłeś dom i w ogóle...

– No i co odpowiedzieli?

– Niczym się nie przejmuj. Jutro puszczą do mnie posłańca z kserokopią, a ja od razu wyślę ją do ciebie Federal Expressem. Dostaniesz ją pojutrze przed dziesiątą.

Mort przez chwilę miał wrażenie, że wszystkie jego problemy zostały rozwiązane, i zaczął się odprężyć. Potem przypomniał sobie ogień w oczach Shootera, gdy ten się nad nim pochylił, tak że niemal zetknęli się czołami, oraz suchą woń cynamonu wydobywającą się z ust tego człowieka, gdy mówił: „Kłamca”.

Kserokopia? Wcale nie był pewien, czy Shooter uzna samo czasopismo... a co dopiero kserokopię.

– Nie – powiedział powoli. – To na nic, Herb. Żadnych kserokopii, żadnych telefonów od wydawcy. To musi być egzemplarz pisma.

– Z tym będzie trochę trudniej. Redakcja oczywiście ma siedzibę na Manhattanie, ale numery archiwalne przechowują w biurze do spraw prenumeraty w Pensylwanii. Zazwyczaj dysponują pięcioma egzemplarzami każdego numeru... tylko na tyle mogą sobie pozwolić, zważywszy na to, że „Magazyn Detektywistyczny” ukazuje się od tysiąc dziewięćset

czterdziestego pierwszego roku. Bardzo niechętnie je wypożyczają.

– Daj spokój, Herb! Te czasopisma można znaleźć na wyprzedazach podwórkowych i w bibliotekach w małych miasteczkach!

– Ale nigdy nie są to wszystkie numery. – Agent przez chwilę milczał. – Nie wystarczy nawet telefon? Czyli ten facet to taki paranoik, że pomyśli, iż rozmawia z jednym z tysięcy twoich pomocników?

W tle rozległ się głos:

– Mam nalać wina, Herb?

Agent ponownie odsunął usta od mikrofonu.

– Zaczekaj kilka minut, Dee.

– Opóźniam wam kolację – zauważył Mort. – Przepraszam.

– Mam to wliczone w koszta. Posłuchaj, Mort, bądź ze mną szczerzy... Czy ten gość naprawdę jest takim świrem? Jest niebezpieczny?

Raczej nikomu bym o tym nie mówił. To byłoby jak kuszenie piorunów w czasie burzy.

– Chyba nie, ale chcę już go mieć z głowy. – Mort zawahał się, szukając właściwego tonu. – Przez ostatnie pół roku tkwiłem w szambie. W tej sprawie wreszcie mogę mieć coś do powiedzenia. Po prostu chcę się pozbyć tego głupka.

– W porządku – odparł Herb zdecydowanym głosem. – Zadzwoń do Marianne Jaffery w redakcji „Magazynu Detektywistycznego”. Znam ją od dawna. Na pewno zgodzi się poprosić kustosza bibliotecznego... naprawdę tak nazywają tego gościa... żeby wysłał nam egzemplarz pisma z czerwca tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego roku. Mogę jej powiedzieć, że kiedyś napiszesz dla nich jakieś opowiadanie?

– Jasne – rzucił Mort i pomyślał: Powiedz jej, że napiszę je pod pseudonimem John Shooter. Prawie się roześmiał.

– Dobrze. Kustosz wyśle do ciebie pismo Federal Expressem bezpośrednio z Pensylwanii. Tylko zwróć je w dobrym stanie, w przeciwnym razie będziesz musiał znaleźć zastępczy

egzemplarz na jednej z tych podwórkowych wyprzedaży, o których wspominałeś.

– Jest jakaś szansa, że zdąży przed pojutrzem? – spytał Mort, z żalem myśląc, że Herb uzna go za wariata, a już na pewno stwierdzi, że Mort robi z igły widły.

– Myślę, że to bardzo możliwe. Nie mogę ci tego zagwarantować, ale to prawie pewne.

– Dzięki, Herb – rzekł Mort ze szczerą wdzięcznością. – Jesteś świetny.

– Ależ proszę pani... – Herb naśladował głos Johna Wayne'a. Chociaż zrobił to nieudolnie, był z siebie absurdalnie zadowolony.

– Idź na kolację. Ucałuj ode mnie Delores.

Herb wciąż odgrywał Johna Wayne'a.

– Do diabła z tym. Ucałuję ją od siebie, pielgrzymie.

Mocna gadka, pielgrzymie.

Morta ogarnęła taka groza, że niemal krzyknął. To samo słowo, taki sam beznamiętny, rozwlekły głos. Shooter w jakiś sposób podłączył się do jego linii telefonicznej. Niezależnie od tego, do kogo Mort dzwoni i jaki numer wybiera, zawsze odbiera John Shooter. Herb Creekmore stał się kolejnym z jego literackich pseudonimów i...

– Mort? Jesteś tam jeszcze?

Zamknął oczy. Kiedy agent zrezygnował z kiepskiego naśladowania Johna Wayne'a, wszystko wróciło do normy. Herb znów był sobą, tak jak zawsze. To, że użył tego słowa, to na pewno...

Co?

Kolejna figura w paradzie zbiegów okoliczności? W porządku. Jasne. Żaden problem. Postoję przy krawężniku i popatrzę, jak mnie mija. Dlaczego nie? Oglądałem już kilka większych.

– Jestem, Herb – odpowiedział, otwierając oczy. – Po prostu starałem się ustalić, jak cię kocham, i wszystko ci wyłożyć.

– Zabawny jesteś – odrzekł Herb, wyraźnie zadowolony. – Zajmiesz się tym ostrożnie i z rozwagą, prawda?

- Prawda.
- Więc pójdę zjeść kolację ze światłem swojego życia.
- Dobry pomysł. Do usłyszenia, Herb... i dzięki.
- Nie ma za co. Postaram się zdążyć do pojutrze. Dee też się z tobą zegna.
- Chce wreszcie nalać wina, więc nic dziwnego – zauważył Mort i rozłączyli się ze śmiechem.

Kiedy tylko odłożył słuchawkę na widełki, jego wyobraźnia znów zaczęła działać. Shooter. Różnymi głosami naśladował policjantów. Oczywiście Mort był sam w ciemności, co sprzyjało fantazjowaniu. Jednakże nie wierzył – a przynajmniej nie wierzył w to jego rozsądek – że John Shooter jest istotą nadprzyrodzoną albo zawodowym przestępcą. Gdyby był tym pierwszym, z pewnością by wiedział, że Morton Rainey nie dopuścił się plagiatu – przynajmniej nie w przypadku tego opowiadania – a gdyby był tym drugim, to w tej chwili organizowałby napad na bank, a nie włóczył się po zachodnim Maine, próbując wyłudzić opowiadanie od pisarza, który znacznie lepiej zarabia na swoich powieściach.

Powoli ruszył w stronę salonu, zamierzając przejść przez gabinet i zatrzymać się przy edytorze tekstów, kiedy nagle znieruchomiał, bo przypomniał sobie jedną ze swoich myśli.

Przynajmniej nie w przypadku tego opowiadania.

Co dokładnie przez to rozumiał? Czy kiedykolwiek ukradł czyjeś dzieło?

Po raz pierwszy od chwili, gdy Shooter pojawił się na jego werandzie z plikiem kartek, Mort poważnie zastanowił się nad tą kwestią. W wielu recenzjach jego książek sugerowano, że nie jest oryginalnym pisarzem, a większość jego dzieł opiera się na znanych wątkach. Przypomniał sobie, jak Amy przeczytała recenzję *Syna kataryniarza*, w której najpierw pochwalono tempo akcji oraz przystępny styl, a później zwrócono uwagę na wtórność fabuły. „Co z tego? – spytała wtedy Amy. – Czy ci ludzie nie wiedzą, że istnieje jedynie około pięciu naprawdę dobrych

historii, a pisarze wciąż opowiadają je na nowo, tylko z udziałem innych bohaterów?”.

Mort uważał, że jest co najmniej sześć takich historii: sukces, porażka, miłość i strata, zemsta, błędna tożsamość oraz poszukiwanie siły wyższej, Boga albo diabła. Pierwsze cztery opowiadał raz za razem, obsesyjnie, a teraz doszedł do wniosku, że *Pora zasiewu* zawierała co najmniej trzy z tych motywów. Ale czy to było równoznaczne z plagiatem? Jeżeli tak, to winny tej zbrodni jest każdy powieściopisarz na świecie.

Uznał, że plagiat to jednoznaczna kradzież, a on nigdy się czegoś takiego nie dopuścił. Nigdy.

– Nigdy – powiedział i wkroczył do swojego gabinetu z podniesioną głową i szeroko otwartymi oczami, jak wojownik, który zbliża się do pola bitwy. Tam spędził kolejną godzinę, ale nie napisał ani jednego słowa.

26

Czas bezowocnie spędzony przy edytorze tekstów przekonał go, że na kolację lepiej będzie się czegoś napić, zamiast jeść, dlatego kiedy telefon ponownie zadzwonił, był już przy drugim burbonie z wodą. Podszedł do niego nieśmiało, nagle żałując, że nie ma automatycznej sekretarki. Mają one przynajmniej jedną istotną zaletę: pozwalają monitorować przychodzące połączenia i oddzielać przyjaciół od wrogów.

Stał niezdecydowany nad aparatem, rozmyślając o tym, jak bardzo mu się nie podobają dźwięki, które wydają współczesne telefony. Kiedyś po prostu dzwoniły, co czasem nawet brzmiało radośnie. Obecnie zawodzą jak zwiastun migreny.

Odbierzesz czy będziesz tylko słuchał?

Nie chcę znów z nim rozmawiać. Przeraża mnie i doprowadza do szału, a sam nie wiem, którego z tych uczuć bardziej nie lubię.

Może to nie on.

Może to on.

Przysłuchiwanie się tym dwóm myślom wirującym w głowie było jeszcze gorsze od słuchania świergotania telefonu, więc podniósł słuchawkę i burknął: „Słucham”, a wtedy okazało się, że rzeczywiście był to tylko niegroźny opiekun domu, Greg Carstairs.

Greg tak samo jak inni zadał kilka pytań o dom, a Mort na nie odpowiedział, dochodząc do wniosku, że opowiadanie o takim wydarzeniu przypomina opowiadanie o nagłym zgonie – nic tak nie pomaga radzić sobie z szokiem jak ciągle powtarzanie znanych faktów.

– Słuchaj, Mort, dzisiaj po południu wreszcie udało mi się złapać Toma Greenleafa – rzekł Greg, a Mort uznał, że jego głos brzmi jakoś dziwnie, jakby niepewnie. – Razem z Sonnym Trottem malują salę parafialną u metodystów.

– Aha? Rozmawiałeś z nim o moim kumplu?

– Owszem. – Greg sprawiał wrażenie ostrożniejszego niż kiedykolwiek.

– No i co?

Zapadła krótka cisza.

– Tom uważa, że musiały ci się pomieszać dni.

– Pomieszać... Co przez to rozumiesz?

– Widzisz – zaczął Greg przepraszającym tonem – powiedział, że rzeczywiście jechał wczoraj po południu Lake Drive i cię widział; pomachał ci, a ty odwzajemniłeś się tym samym, ale...

– Co takiego? – Mort bał się jednak, że już zna odpowiedź.

– Tom twierdzi, że byłeś sam – dokończył Greg.

27

Mort długo nic nie mówił. Nie czuł się na siłach, żeby się odezwać. Greg również milczał, dając mu czas do namysłu. Tom Greenleaf oczywiście nie należał do młodzieniaszków; był o co najmniej trzy, może nawet o sześć lat starszy od Dave'a Newsome'a. Ale nie był starcem.

– Jezu – rzucił w końcu Mort. Mówił bardzo cicho. Prawdę powiedziawszy, odebrało mu dech.

– Pomyślałem sobie, że może to Tomowi coś się pomieszało – rzekł Greg z powątpiewaniem. – Przecież wiesz, że nie jest już...

– Młodzieniaszkiem – dokończył Mort. – Wiem o tym. Ale nie znam w Tashmore nikogo, kto miałby lepsze oko do ludzi niż on. Zapamiętywał nieznajomych przez całe swoje życie. To jeden z obowiązków osób opiekujących się domostwami. – Zawahał się, po czym wybuchnął: – Patrzył na nas! Prosto na nas obu.

Greg odpowiedział ostrożnie, jakby tylko się przekomarzał:

– Jesteś pewien, że ten facet ci się nie przyśnił?

– Do tej pory nawet nie brałem tego pod uwagę – odparł powoli Mort. – Gdyby nie wydarzyło się nic z tego, o czym opowiadam wszystkim wokół, pewnie oznaczałoby to, że oszalałem.

– Och, wcale tak nie uważam – zapewnił go pośpiesznie Greg.

– A ja owszem.

Ale może on właśnie tego chce. Sprawić, żeby inni uznali cię za wariata. A ostatecznie doprowadzić do tego, żeby to się stało prawdą.

O tak. W tym celu sprzymierzył się z Tomem Greenleafem. To pewnie Tom pojechał do Derry i spalił dom, podczas gdy Shooter został tutaj i wykończył kota – prawda?

Zastanów się. Poważnie się zastanów. Czy on tutaj był? Czy rzeczywiście tutaj był?

Zatem Mort się nad tym zastanowił. Dokładniej niż nad czymkolwiek w całym swoim dotychczasowym życiu, nawet nad tym, co powinien zrobić z Amy i Tedem, kiedy przyłapał ich w łóżku tamtego majowego dnia. Czy John Shooter był halucynacją?

Ponownie pomyślał o szybkości, z jaką John Shooter złapał go i rzucił na drzwi samochodu.

– Greg?

– Jestem, Mort.

– Tom nie widział także samochodu? Starego kombi na numerach z Missisipi?

– Powiedział, że wczoraj nie widział na Lake Drive żadnego samochodu. Tylko ciebie, na końcu ścieżki, która schodzi nad jezioro. Sądził, że podziwiasz widoki.

Czy to prawda, czy ułuda?

Wciąż przypominał sobie żelazny uścisk dłoni Shootera na swoim przedramieniu i szybkość, z jaką mężczyzna cisnął nim o samochód. „Kłamca”, powiedział Shooter. Mort widział wściekłość w jego oczach i czuł oddech pachnący cynamonem.

Jego dłonie.

Nacisk jego dłoni.

– Greg, zaczekaj chwileczkę.

– Jasne.

Mort odłożył słuchawkę i spróbował podwinąć rękawy. Nie udało mu się, ponieważ straszliwie trzęsły mu się dłonie. Rozpiął więc koszulę, zdjął ją i wyciągnął przed siebie obie ręce. Początkowo niczego nie zauważył. Potem obrócił ręce jak najdalej do zewnątrz i wtedy dostrzegł dwa żółknące siniaki, tuż ponad łokciami.

Ślady, które pozostawiły kciuki Johna Shootera, gdy ten go chwycił i pchnął na samochód.

Doszedł do wniosku, że już rozumie, i zaczął się obawiać. Ale nie o siebie.

O starego Toma Greenleafa.

28

Podniósł słuchawkę.

– Greg?

– Jestem.

– Czy Tom nie wydawał ci się jakiś dziwny, kiedy z nim rozmawiałeś?

– Był wyczerpany – szybko odrzekł Greg. – Stary głupiec nie powinien przez cały dzień pełzać po rusztowaniu i malować na

lodowatym wietrze. Nie w takim wieku. Miałem wrażenie, że jeśli natychmiast nie trafi do łóżka, to za chwilę przewróci się na najbliższą stertę liści. Rozumiem, do czego zmierzasz, Mort, i podejrzewam, że jeżeli był bardzo zmęczony, to rzeczywiście coś mogło mu wypaść z głowy, ale...

– Nie, nie o tym myślałem. Jesteś pewien, że był tylko wyczerpany? Nie dostrzegłeś u niego strachu?

Po drugiej stronie linii zapadła długa, pełna namysłu cisza. Chociaż Mort był zniecierpliwiony, nie starał się jej zakłócać. Chciał dać Gregowi tyle czasu, ile ten będzie potrzebował.

– Nie był sobą – powiedział w końcu Greg. – Sprawiał wrażenie strapionego... jakby zagubionego. Zrzuciłem to na karb zmęczenia, ale może się pomyliłem. Przynajmniej częściowo.

– Czy mógł coś przed tobą ukrywać?

Tym razem milczenie nie trwało tak długo.

– Nie wiem. Niewykluczone. Tylko tyle mogę powiedzieć na pewno. Zaczynam żałować, że nie rozmawiałem z nim dłużej i mocniej go nie przycisnąłem.

– Myślę, że moglibyśmy razem go odwiedzić – zaproponował Mort. – Najlepiej teraz. Wszystko przebiegło tak, jak ci opowiedziałem, Greg. Jeżeli Tom powiedział coś innego, być może zrobił to dlatego, że mój przyjaciel śmiertelnie go wystraszył. Spotkajmy się na miejscu.

– Dobrze. – Greg znów sprawiał wrażenie zmartwionego. – Ale wiesz, że Toma niełatwo nastraszyć.

– Z pewnością kiedyś tak było, ale teraz ma siedemdziesiąt pięć lat. Pewnie im jesteś starszy, tym łatwiej cię przestraszyć.

– No to do zobaczenia na miejscu.

– Myślę, że to dobry pomysł. – Mort rozłączył się, wylał resztkę burbona do zlewu i ruszył swoim buickiem do domu Toma Greenleafa.

Kiedy Mort dotarł do domu Toma, samochód Grega już był zaparkowany na podjeździe. Scout Toma stał przy tylnych drzwiach. Greg miał na sobie flanelową kurtkę z postawionym kołnierzem; znad jeziora wiał przenikliwy wiatr.

– Nic mu nie jest – od razu poinformował Morta.

– Skąd wiesz?

Obaj mówili przyciszonymi głosami.

– Zobaczyłem jego scouta, więc podszedłem do tylnych drzwi. Przyczepił tam kartkę z informacją, że miał ciężki dzień, więc wcześniej się położył. – Greg wyszczerzył zęby i odgarnął długie włosy z twarzy. – Napisał także, że jeśli któryś z jego stałych klientów będzie go potrzebował, to powinien zadzwonić do mnie.

– To na pewno jego pismo?

– Tak. Wielkie bazgroły staruszka. Wszędzie bym je poznał. Okrążyłem dom i zajrzałem przez okno do sypialni. Jest w środku. Okno jest zamknięte, ale Tom tak głośno chrapie, że szyba o mało nie popęka. Chcesz sam sprawdzić?

Mort westchnął i pokręcił głową.

– Ale coś jest nie tak, Greg. Tom nas widział. Obu. Kilka minut później facet się wkurzył i chwycił mnie za rękę. Wciąż mam siniaki. Mogę ci je pokazać.

Greg pokręcił głową.

– Wierzę ci. Im więcej o tym myślę, tym mniej mi się podoba sposób, w jaki opowiadał mi o tym, że byłeś wtedy sam. Brzmiał jakoś... dziwnie. Rano jeszcze raz z nim pomówię. Albo możemy porozmawiać z nim razem, jeśli chcesz.

– Tak byłoby najlepiej. O której godzinie?

– Może przyjeżdż do sali parafialnej około dziewiątej trzydzieści? Będzie już po dwóch albo trzech kawach... wcześniej nie wolno go denerwować. Ściągniemy go na chwilę z rusztowania. Może ocalimy mu życie. W porządku?

– Tak. – Mort wyciągnął dłoń. – Przepraszam, że zmuszam cię do szukania wiatru w polu.

Greg pokręcił głową.

– Nie ma sprawy. Coś tutaj śmierdzi. Chętnie dowiem się, co jest grane.

Mort wrócił do buicka, a Greg usiadł za kierownicą swojego pikapa. Odjechali w przeciwnych kierunkach, pozostawiając śpiącego wyczerpanego staruszka.

Mort nie zmrużył oka do trzeciej w nocy. Tarzał się i wiercił w łóżku, aż jego pościel zaczęła przypominać pole bitwy, a on już nie mógł dłużej tego znieść. W końcu otępiały przeniósł się na kanapę w salonie. Obił sobie pizczele o wredny stolik, zaklął monotonnym głosem, a następnie położył się, poprawił poduszki za głową i niemal natychmiast zapadł się w czarną dziurę.

30

Następnego ranka, kiedy obudził się o ósmej, miał wrażenie, że czuje się dobrze. Był o tym przekonany, dopóki nie zsunął nóg z kanapy i nie usiadł. Wtedy z jego ust wydobyło się stęknienie głośne niczym stłumiony krzyk, a Mort pożałował, że nie może jednocześnie złapać się za plecy, kolana i prawą rękę. Ręka bolała go najbardziej, więc to ją przytrzymał. Czytał gdzieś, że w szponach paniki ludzie są zdolni do niemal nadnaturalnych wyczynów, że bez trudu dźwigają samochody, pod którymi są uwięzione dzieci, albo duszą groźne dobermany gołymi rękami i dopiero kiedy emocje opadną, uzmysławiają sobie, jak bardzo nadwerzęzyli swoje ciało. Teraz w to uwierzył. Otworzył drzwi do łazienki na piętrze tak gwałtownie, że spadły z zawiasu. Jak mocno zamachnął się pogrzebaczem? Raczej mocniej, niż powinien, biorąc pod uwagę to, jak bardzo bolały go plecy i prawa ręka. Poza tym bał się myśleć, jak będą wyglądały zniszczenia na górze, gdy się na nie spojrzy chłodnym okiem. Wiedział, że musi sam je naprawić, przynajmniej na tyle, na ile zdoła. Greg Carstairs już i tak wątpi w jego zdrowe zmysły, mimo że temu zaprzecza. Gdyby zobaczył wyrwane drzwi do łazienki, rozbite drzwi prysznicowe i roztrzaskaną szafkę na lekarstwa, tylko by się w tym utwierdził. Mort przypomniał sobie własne

podejrzenia, że Shooter próbuje przekonać ludzi o jego szaleństwie. Ten pomysł wcale nie wydawał się głupi, gdy rozważył go w świetle dnia; wręcz przeciwnie, sprawiał wrażenie wyjątkowo logicznego i wiarygodnego.

Obiecał jednak Gregowi, że spotka się z nim w sali parafialnej za dziewięćdziesiąt minut – teraz już mniej – żeby porozmawiać z Tomem Greenleafem. Siedzenie na kanapie i rozmyślanie o swoich dolegliwościach go do tego nie przybliży.

Zmusił się do wstania i powoli przeszedł do głównej łazienki. Odkręcił gorącą wodę pod prysznicem, aż pod sufit wzbiły się kłęby pary, połknął trzy aspiryny i wszedł do kabiny.

Kiedy wyszedł, aspiryna zaczęła działać, i uznał, że jakoś przetrwa ten dzień. Nie będzie przyjemny, a wieczorem Mort będzie miał wrażenie, że trwał kilka lat, ale jakoś da się go wytrzymać.

To drugi dzień, uświadomił sobie, kiedy się ubierał. Poczul lekki skurcz niepokoju. Jutro mija termin. Od razu pomyślał o Amy i o słowach Shootera: „Nie mieszałbym jej do tego, gdybym mógł, ale widzę, że nie pozostawia mi pan wyboru”.

Skurcz powrócił. Ten szalony sukinsyn najpierw zabił Krakę, potem groził Tomowi Greenleafowi (z pewnością go zastraszył), a także niewykluczone – Mort już to rozumiał – że podpalił dom w Derry. Mort doszedł do wniosku, że wiedział o tym od początku, ale po prostu nie chciał tego przyznać. Spalenie domu i pozbycie się czasopisma było głównym zadaniem Shootera. Oczywiście ktoś tak szalony nie pomyślał o innych dostępnych egzemplarzach. Takie szczegóły nie zaprzątają myśli wariata.

A Kraksa? Kot zapewne był tylko dodatkiem. Shooter wrócił, zauważył go na werandzie, gdzie zwierzak czekał na wpuszczenie do domu, zobaczył, że Mort wciąż śpi, i dla kaprysu zabił kota. Dotarcie na czas do Derry byłoby trudne, ale możliwe. To wszystko miało sens.

A teraz Shooter groził Amy.

Będę musiał ją ostrzec, pomyślał Mort, wciskając koszulę w spodnie. Zadzwońię do niej jeszcze dziś rano i wszystko

wyznam. Samotne zmaganie się z tym facetem to jedno, ale przyglądanie się beczynnemu, jak ten szaleniec wciąga jedyną kobietę, którą kiedykolwiek kochałem, w coś, o czym ona nie ma pojęcia, to zupełnie coś innego.

Tak. Ale najpierw porozmawia z Tomem Greenleafem i wyciągnie z niego prawdę. Jeżeli Tom nie potwierdzi, że Shooter rzeczywiście kręci się po okolicy i jest naprawdę niebezpieczny, zachowanie Morta będzie wyglądało podejrzanie lub wariacko. Pewnie jedno i drugie. Zatem najpierw rozmowa z Tomem.

Jednak przed spotkaniem z Gregiem w sali parafialnej metodystów Mort zamierzał wstąpić do Bowiego i zjeść tamtejszą specjalność – omlet z bekonem i serem przyrządzony przez Gerdę. Siła wojska zależy od stanu napełnienia żołądków, szeregowy Rainey. Tak jest. Wyszedł do przedpokoju, otworzył małą drewnianą skrzynkę zawieszoną na ścianie nad telefonem i sięgnął po kluczyki od buicka. Ale ich tam nie było.

Zmarszczył czoło i przeszedł do kuchni. Znalazł kluczyki na blacie obok zlewozmywaka. Podniósł je i z namysłem podrzucił. Czy wieczorem po powrocie od Toma nie odłożył ich do skrzynki? Usiłował sobie przypomnieć, ale nie miał pewności. Chowanie kluczyków do skrzynki po wejściu do domu było nawykiem i nie zwracał na to uwagi. Jeśli spytamy człowieka, który lubi jajka sadzone, co jadł na śniadanie przed trzema dniami, to nie będzie pamiętał – uzna, że zapewne jajka sadzone, ponieważ tak często je jada, ale nie będzie miał pewności. To taka sama sytuacja. Wrócił do domu zmęczony, obolały i zmartwiony. Po prostu zapomniał.

Jednak wcale mu się to nie spodobało.

Podszedł do tylnych drzwi i je otworzył. Na deskach werandy leżał czarny kapelusz Johna Shootera.

Mort stał w progu i przyglądał się kapeluszowi z okrągłym denkiem, kurczowo zaciskając dłoń na kluczykach, z których zwisał mosiężny breloczek odbijający promień porannego słońca. W głowie słyszał bicie swojego serca. Biło powoli i spokojnie. Jakaś część jego umysłu się tego spodziewała.

Kapelusz leżał w tym samym miejscu, w którym Shooter zostawił maszynopis. Na podjeździe stał buick. Poprzedniego wieczoru Mort zaparkował go za rogiem domu – tego był pewien – a jednak auto stało tutaj.

– Co zrobiłeś?! – wykrzyczał niespodziewanie Mort Rainey w stronę porannego słońca, a ptaki, beztrosko świergoczące na drzewach, nagle ucichły. – Co zrobiłeś, na Boga?

Ale nawet jeśli Shooter tutaj był i go obserwował, nie odpowiedział. Może był przekonany, że Mort i tak wkrótce się dowie.

31

Popielniczka w buicku była otwarta, a w środku leżały dwa niedopałki papierosów bez filtra. Mort podniósł jeden z nich paznokciami, krzywiąc się z obrzydzeniem, pewien, że to będzie Pall Mall, marka, którą pali Shooter. Rzeczywiście.

Przekręcił kluczyk i silnik od razu zaskoczył. Kiedy Mort wyszedł z domu, nie słyszał żadnych stuknięć ani trzasków, ale silnik odpalił, jakby był rozgrzany. Kapelusz Shootera trafił do bagażnika. Mort podniósł go z taką samą odrazą jak niedopałek, ledwie dotykając róna palcami. Niczego nie znalazł pod spodem ani w środku, nie licząc bardzo starego i poplamionego potnika. Jednak czuć było od niego woń ostrzejszą i bardziej gryzącą niż smród potu. Mort rozpoznawał ten zapach, ale nie potrafił go nazwać. Może później sobie przypomni. Położył kapelusz na tylnym siedzeniu, po czym przypomniał sobie, że za niecałą godzinę ma się spotkać z Gregiem i Tomem. Nie był pewien, czy chce im pokazać kapelusz. Nie był pewien, dlaczego odczuwa takie wątpliwości, ale miał wrażenie, że tego ranka bezpieczniej będzie słuchać intuicji, więc schował kapelusz do bagażnika i ruszył do miasteczka.

32

W drodze do Bowiego ponownie minął dom Toma. Scouta już nie było na podjeździe. To na chwilę wyprowadziło Morta z równowagi, ale w końcu uznał, że to dobry znak – Tom zapewne już zaczął pracę. Albo sam pojechał do Bowiego – był wdowcem i często się tam stołował.

Przy barze siedziała większość pracowników lokalnego wydziału robót publicznych. Pili kawę i rozmawiali o zbliżającym się sezonie polowań na jelenie, ale Toma

(zabił go Shooter i zgadnijcie, z czyjego samochodu skorzystał)
nie było między nimi.

– Mort Rainey! – Gerda Bowie powitała go charakterystycznym chrapliwym okrzykiem kibica sportowego. Była wysoką kobietą o bujnych, kręconych kasztanowych włosach i wydatnym biuście. – Wieki całe cię nie widziałam! Pisziesz jakąś dobrą książkę?

– Staram się – odpowiedział Mort. – Nie zrobiłabyś mi tego swojego wyjątkowego omleta?

– Ni cholery! – odparła, a następnie roześmiała się, by pokazać, że tylko żartowała. Robotnicy ubrani w oliwkowe kombinezony jej zawtórowali. Mort przez chwilę żałował, że nie ma wielkiej spluwy, takiej jaką Brudny Harry nosił pod tweedową sportową marynarką. Bum-bang-bam i może zapanowałaby tutaj odrobina porządku. – Już się robi, Mort.

– Dzięki.

Przyniosła omlet, razem z tostem, kawą i sokiem pomarańczowym, po czym odezwała się cichszym głosem:

– Słyszałam o twoim rozwodzie. Bardzo mi przykro.

Kiedy unosił kubek z kawą do ust, prawie nie drżała mu ręka.

– Dziękuję, Gerdo.

– Dbasz o siebie?

– Cóż... staram się.

– Bo wyglądasz mizernie.

– Czasami w nocy nie mogę zasnąć. Pewnie jeszcze nie przywykłem do ciszy.

– Gówno prawda... nie przywykłeś do spania samemu. Ale mężczyzna nie musi całe życie spać sam tylko dlatego, że jego kobieta nie potrafi docenić tego, co ma. Chyba nie masz mi za złe, że tak z tobą rozmawiam...

– Ależ nie – odrzekł Mort, ale wcale się z nią nie zgadzał. Uznał, że Gerda Bowie jest do dupy w udzielaniu życiowych rad.

– ...ale jesteś jedynym sławnym pisarzem w tym miasteczku.

– Całe szczęście.

Roześmiała się i pociągnęła go za ucho. Mort przez chwilę się zastanawiał, co by powiedziała Gerda, a także potężni faceci w oliwkowych kombinezonach, gdyby pokąsał jej dłoń. Zaszokowało go, jak niezwykle kusząca wydała mu się ta perspektywa. Czy oni wszyscy plotkują o nim i Amy? Niektórzy twierdzą, że Amy nie zdawała sobie sprawy z tego, jaki ma skarb, a inni utrzymują, że biedaczka wreszcie miała dość mieszkania z wariatem i postanowiła się wynieść, chociaż jedni i drudzy gówno wiedzą o tym, co się naprawdę wydarzyło i co łączyło go z Amy, kiedy dobrze się między nimi układało. Oczywiście, że plotkują, pomyślał znużony. W tym ludzie są najlepsi. W gadaniu o tych, których nazwiska widują w gazetach.

Popatrzył na omlet i stracił apetyt.

Mimo wszystko wbił w niego widelec i zdołał zmęczyć większą część posiłku. Czekał go długi dzień i nie zmienił tego opinie Gerdy Bowie dotyczące jego wyglądu i życia uczuciowego.

Kiedy skończył, zapłacił za śniadanie oraz gazetę i wyszedł ze sklepu (robotnicy wylegli na ulicę pięć minut wcześniej; jeden zdążył wziąć od niego autograf dla siostrzenicy, która miała urodziny), było pięć po dziewiątej. Posiedział chwilę za kierownicą, sprawdzając, czy w gazecie napisano o pożarze domu w Derry, i na stronie trzeciej natrafił na taki artykuł. „Śledczy nie znaleźli żadnych śladów w sprawie podpalenia domu Raineyów”, głosił nagłówek. Tekst zajmował niecałe pół kolumny. Ostatnie zdanie brzmiało: „Nie udało nam się skontaktować z Mortonem Raineyem, znanym z takich bestsellerów, jak *Syn kataryniarza* i *Rodzina Delacourtów*”. Czyli

Amy nie przekazała im jego numeru w Tashmore. Dobra robota. Podziękuje jej za to, kiedy znów się spotkają.

Ale pierwszeństwo ma Tom Greenleaf. Będzie prawie dwadzieścia po dziewiątej, zanim Mort dojedzie do sali parafialnej metodystów. Prawie wpół do dziesiątej. Wrzucił bieg i odjechał.

33

Kiedy dotarł do sali parafialnej, na podjeździe stał jeden samochód – wiekowy ford bronco z przyczepą kempingową i napisem „Sonny Trotts – usługi malarskie, stolarstwo, remonty” na drzwiach z obu stron. Sonny, niski łyсы czterdziestolatek o wesołych oczach, stał na rusztowaniu. Malował obszernymi pociągnięciami pędzla, a z przenośnego magnetofonu, który stał obok niego, rozbrzmiewała jakaś piosenka w stylu Las Vegas, śpiewana przez Eda Amesa, Toma Jonesa albo innego z tych facetów, którzy zawsze śpiewają z rozpiętymi trzema górnymi guzikami koszuli.

– Cześć, Sonny! – zawołał Mort.

Sonny nie przerywał malowania, wodząc pędzlem po ścianie w niemal idealnym rytmie, podczas gdy Ed Ames, czy ktokolwiek to był, zadawał muzyczne pytania, kim jest mężczyzna i co do niego należy. Mort również kilka razy w życiu o to pytał, chociaż bez sekcji dętej.

– Sonny!

Sonny drgnął. Biała farba chlapnęła z pędzla i Mort przez chwilę bał się, że mężczyzna spadnie z rusztowania. Zaraz jednak Sonny przytrzymał się jednej z lin, odwrócił i popatrzył w dół.

– Pan Rainey! O mało się nie przekręciłem!

Z jakiegoś powodu ta odpowiedź skojarzyła się Mortowi z Klamką Do Disnejowskiej *Alicji w Krainie Czarów* i z trudem powstrzymał wybuch śmiechu.

– Panie Rainey? Wszystko w porządku?

– Tak. – Mort specjalnie zakrztusił się śliną. Nauczył się tej sztuczki tysiąc lat temu w szkole parafialnej i był to jedyny znany mu stuprocentowo skuteczny sposób na powstrzymanie śmiechu. Jak większość skutecznych sztuczek ta również była bolesna. – Myślałem, że spadniesz.

– Nic z tych rzeczy – odparł Sonny ze śmiechem. Wyłączył magnetofon, gdy piosenkarz akurat zaczynał kolejną emocjonalną podróż. – Może Tom mógłby spaść, ale na pewno nie ja.

– Gdzie jest Tom? – spytał Mort. – Chciałbym z nim porozmawiać.

– Zadzwoił wcześniej rano i uprzedził, że dzisiaj nie da rady przyjść. Powiedziałem mu, że nie szkodzi, bo i tak jest za mało pracy dla nas dwóch. – Sonny porozumiewawczo popatrzył na Morta. – Oczywiście to nieprawda, ale Tom tym razem przeliczył się z siłami. To nie jest robota dla staruszka. Powiedział, że rozboleły go plecy. To pewnie prawda, brzmiał bardzo nieswojo.

– O której to było godzinie? – spytał Mort, siłąc się na swobodę.

– Wczesnym rankiem, chyba około szóstej. Właśnie miałem wstąpić do sracza, żeby zrobić poranną kupę. Jestem przeraźliwie regularny. – Sonny sprawiał wrażenie niezwykle dumnego. – Tom oczywiście wie, o której godzinie wstaję i zabieram się do roboty.

– Ale brzmiał, jakby nie czuł się najlepiej?

– Właśnie. Jakby nie był sobą. – Sonny na chwilę zamilkł i zmarszczył czoło. Wyglądał, jakby z całych sił usiłował sobie coś przypomnieć. W końcu nieznacznie wzruszył ramionami i mówił dalej: – Wczoraj wiał silny wiatr od jeziora. Pewnie się przeziębził. Ale Tommy jest jak ze stali. Dajmy mu dzień albo dwa i wróci do formy. Bardziej mnie martwi, że może się zamyślić i spaść z rusztowania. – Wskazał pędzlem deski, znacząc je białymi kropeczkami obok swoich butów. – Mogę coś dla pana zrobić, panie Rainey?

– Nie – odpowiedział Mort. Pod sercem czuł kulę tępego przerażenia, która była jak kawałek zmiętego płótna. – Widziałeś może Grega?

– Grega Carstairsa?

– Tak.

– Nie dzisiaj rano. Oczywiście on się zajmuje bogatą klientelą, więc wstaje później od nas wszystkich – dodał Sonny ze śmiechem.

– Myślałem, że on też przyjedzie zobaczyć się z Tomem – odrzekł Mort. – Mogę chwilę zaczekać? Może się pojawi.

– Proszę bardzo. Przeszkadza panu muzyka?

– Ani trochę.

– Teraz można zamawiać odjazdowe taśmy z telewizji. Wystarczy dać im swój numer karty kredytowej. Nawet nie trzeba płacić za połączenie, mają darmowy numer. – Sonny nachylił się w stronę magnetofonu, a potem z powagą spojrział na Morta. – To Roger Whittaker – oznajmił cichym głosem pełnym nabożnej czci.

– Aha.

Sonny wcisnął guzik PLAY. Roger Whittaker opowiedział im, że czasami (jak z pewnością wiedzą) przecenia swoje siły. To także było coś, co Mort robił, również bez sekcji dętej. Podszedł do skraju podjazdu i z nieobecny wzrokiem postukał palcem w kieszeń koszuli. Nieco go zaskoczyło, że stara paczka L&M-ów, w której ostał się tylko jeden papieros, wciąż tam była. Zapalił, krzywiąc się w oczekiwaniu ostrego smaku. Ale ten nie był aż taki zły. Prawdę mówiąc, papieros niemal nie miał aromatu... jakby ukradły go upływające lata.

To niejedyna rzecz, którą ukradł czas.

Jakież to prawdziwe. Nieistotne, ale prawdziwe. Mort palił, patrząc na drogę. Roger Whittaker opowiadał jemu i Sonny'emu, że w zatoce czeka załadowany okręt i wkrótce pożeglują do Anglii. Sonny Trotts wyśpiewywał ostatnie słowo każdej z linijek. Tylko ostatnie słowo, nic więcej. Samochody i ciężarówki przejeżdżały tam i z powrotem drogą numer 23. Ford ranger

Grega się nie pojawił. Mort odrzucił papierosa, zerknął na zegarek i zobaczył, że jest za kwadrans dziesiąta. Zrozumiał, że Greg, niemal obsesyjnie punktualny, także się nie pojawi.

Shooter dopadł ich obu.

Ejże, co za bzdura! Nie możesz tego wiedzieć!

Owszem, wiem. Kapelusz. Samochód. Kluczyki.

Zdecydowanie zbyt pochopnie wyciągasz wnioski.

Kapelusz. Samochód. Kluczyki.

Odwrócił się i ponownie podszedł do rusztowania.

– Pewnie zapomniał – powiedział, ale Sonny go nie usłyszał. Kołysał się w tył i przód, zatracony w sztuce malowania oraz duszy Rogera Whittakera.

Mort wsiadł do samochodu i odjechał. Zatopiony w myślach, nie usłyszał, jak Sonny go woła.

Zresztą muzyka i tak zapewne zagłuszyłyby jego głos.

34

Kwadrans po dziesiątej wysiadł z auta i ruszył w stronę domu. W połowie drogi zawrócił i otworzył bagażnik. Kapelusz leżał w środku, czarny i dobitny, prawdziwa ropucha w wymyślonym ogrodzie. Podniósł go, tym razem bez zbędnej ostrożności, zatrzasnął bagażnik i wszedł do domu.

Przystanął w przedpokoju, niepewny, co zrobić dalej... po czym nagle, bez żadnego wyraźnego powodu, włożył kapelusz. Zadrżał, kiedy to robił, tak jak czasami się drży po przełknięciu haustu alkoholu. Jednak drżenie po chwili ustąpiło.

Poczuł, że kapelusz całkiem dobrze na nim leży.

Powoli wszedł do głównej łazienki, zapalił światło i stanął przed lustrem. Niemal parsknął śmiechem – wyglądał jak mężczyzna z widłami na obrazie *Amerykański gotyk* Granta Wooda, mimo że facet na obrazie miał gołą głowę. Kapelusz całkowicie zakrywał włosy Morta, tak samo jak u Shootera (jeśli Shooter miał włosy – to jeszcze trzeba było ustalić, ale Mort podejrzewał, że upewni się podczas ich następnego spotkania,

skoro jest w posiadaniu jego nakrycia głowy), i delikatnie dotykał czubków uszu. Wyglądał w nim zabawnie. Boki zrywać.

Potem niestrudzony głos w jego głowie zapytał: *Po co go włożyłeś? Jak myślisz, kogo przypominasz? Jego?* Śmiech uwiązał mu w gardle. Po co w ogóle włożył ten kapelusz?

On tego chciał, cicho odpowiedział niestrudzony głos.

Tak? Ale dlaczego? Dlaczego Shooter miałby chcieć, żebym włożył jego kapelusz?

Może chce, żebyś...

Żebym co? – nie przestawał dopytywać Mort. *Czego chce?*

Miał wrażenie, że głos zniknął, więc sięgnął do włącznika światła, ale wtedy głos ponownie się odezwał.

...żebyś się poczuł zagubiony.

Nagle zadzwonił telefon, a Mort aż podskoczył. Zerwał kapelusz z głowy z poczuciem winy (trochę jak mężczyzna, który boi się, że ktoś go przyłapie na przymierzaniu bielizny żony) i podszedł do aparatu, podejrzewając, że to Greg dzwoni z informacją, że Tom jest u niego w domu. Oczywiście, właśnie tak się stało; staruszek zatelefonował do Grega, opowiedział mu o Shooterze i jego groźbach, a Greg zabrał go do siebie. Żeby chronić Toma. To było tak sensowne, że Mort nie mógł uwierzyć, iż nie wpadł na to wcześniej.

Ale to nie był Greg, tylko Herb Creekmore.

– Wszystko załatwione – oznajmił wesoło. – Marianne się zgodziła. Świetna z niej babka.

– Marianne? – spytał Mort tępo.

– Marianne Jaffery z „Magazynu Detektywistycznego”! – wyjaśnił Herb. – „Magazyn Detektywistyczny?”... *Pora zasiewu...* czerwiec tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego roku... Rozumiesz, o czym mówię, bwana?

– Aha. – Mort się ocknął. – Dobrze! Dziękuję, Herb! Czy to pewne?

– Tak jest. Dostaniesz tekst jutro, egzemplarz czasopisma, a nie tylko kserokopię opowiadania. Federal Express dostarczy ją z Pensylwanii. Pan Shooter się odezwał?

– Jeszcze nie. – Mort spojrzał na czarny kapelusz, który trzymał w dłoniach. Wciąż czuł jego dziwaczną, nastrojową woń.

– Cóż, mówią, że brak wiadomości to dobra wiadomość. Rozmawiałeś z miejscowymi władzami?

Czy obiecał Herbowi, że to zrobi? Nie pamiętał, ale to całkiem możliwe. Lepiej niepotrzebnie nie ryzykować.

– Tak. Stary Dave Newsome niezbyt się przejął. Uznał, że facet zapewne tylko sobie żartuje. – Czuł się paskudnie, okłamując Herba, zwłaszcza po tym, jak ten wyświadczył mu tak wielką przysługę, ale jaki sens miałyby powiedzenie mu prawdy? Była zbyt zwariowana i skomplikowana.

– No cóż... w każdym razie kogoś powiadomiłeś. Myślę, że to ważne, Mort... naprawdę.

– Tak.

– Coś jeszcze?

– Nie... ale serdeczne dzięki. Ocaliłeś mi życie. – Być może to nie była tylko figura retoryczna.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Pamiętaj, że w małych miasteczkach FedEx zazwyczaj dostarcza przesyłki bezpośrednio do miejscowego urzędu pocztowego. Zapamiętasz?

– Pewnie.

– Jak idzie praca nad nową książką? Od dawna chciałem cię o to zapytać.

– Świetnie! – wykrzyknął z mocą Mort.

– To dobrze. Pozbądź się tego faceta i wracaj do pisania. Praca ocaliła wielu ludzi lepszych niż ty czy ja, Mort.

– Wiem. Pozdrów swoją panią.

– Dzięki. Wszystkiego najlepszego dla... – Herb gwałtownie urwał, a Mort niemal zobaczył, jak jego agent ugryzł się w język. Trudno się przyzwyczaić do rozstania. Osoby po amputacjach kończyn podobno wciąż je czują. – ...dla ciebie – dokończył.

– Jasne – odrzekł Mort. – Trzymaj się, Herbercie.

Powoli wyszedł na werandę i popatrzył na jezioro. Na wodzie nie było łódek.

Mam przewagę, niezależnie od tego, co się wydarzy. Mogę pokazać facetowi czasopismo, do cholery! Może go nie uspokoję... ale kto wie. W końcu jest szalony, a nigdy nie wiadomo, jak zareagują członkowie legendarnego plemienia Wariatów. Na tym polega ich wątpliwy urok. Wszystko jest możliwe.

Możliwe nawet, że Greg jest w domu, tylko zapomniał o ich spotkaniu w sali parafialnej albo wypadło mu coś zupełnie niezwiązanego z tą sprawą. Czując nagły przypływ nadziei, Mort podszedł do telefonu i wybrał jego numer. Po trzecim dzwonku przypomniał sobie, że Greg tydzień wcześniej zapowiadał, że żona i dzieci spędzą trochę czasu u jego teściów. Megan w przyszłym roku zaczyna naukę w szkole, a wtedy trudniej im będzie się wyrwać.

Więc Greg był sam.

(kapelusz)

Tak jak Tom Greenleaf.

(samochód)

Młody mąż i stary wdowiec.

(kluczyki)

A jak to działa? Cóż, równie prosto jak zamawianie taśm Rogera Whittakera. Shooter jedzie do domu Toma Greenleafa, ale nie swoim kombi – o nie, za bardzo rzucałyby się w oczy. Parkuje swój samochód na podjeździe Morta Raineya, a może za rogiem domu. Jedzie do Toma buickiem. Zmusza Toma, żeby zadzwonił do Grega. Ten zapewne zostaje wyrwany z łóżka, ale troszczy się o staruszkę, więc pośpiesznie przyjeżdża. Potem Shooter zmusza Toma, żeby zadzwonił do Sonny’ego Trottsa i powiedział mu, że źle się czuje i nie przyjdzie do pracy. Shooter przystawia Tomowi śrubokręt do gardła i daje do zrozumienia, że jeśli staruszek nie zabrzmi przekonująco, to bardzo tego pożałuje. Tom wypada wystarczająco dobrze... chociaż nawet Sonny, który jest niezbyt bystry i dopiero wstał z łóżka, zauważa, że Tom brzmi nieswojo. Shooter zabija Toma śrubokrętem. A kiedy przyjeżdża Greg Carstairs, on również zostaje zabity śrubokrętem – albo czymś podobnym.

Chyba cię pojebało. To tylko dotkliwy przypadek hysterii, nic więcej. Powtórz: nic... więcej...

To było rozsądne wyjaśnienie, ale go nie usatysfakcjonowało. Nie brzmiało przekonująco.

Mort szybko przemierzył parter domu, szarpiąc się za włosy i nawijając je na palce.

A co z samochodami? Scoutem Toma i rangerem Grega? Dodaj buicka, a otrzymasz trzy auta – cztery, jeśli liczyć kombi Shootera – a Shooter jest tylko jeden.

Mort nie znał odpowiedzi, ale wiedział, że są pewne granice.

Kiedy ponownie stanął przy telefonie, wyjął z szuflady książkę telefoniczną i zaczął szukać numeru miejscowej policji. Nagle przerwał.

Jednym z tych pojazdów był buick. Mój buick.

Powoli odłożył słuchawkę. Próbował wymyślić, w jaki sposób Shooter poradził sobie ze wszystkimi samochodami, ale nic nie przyszło mu do głowy. To było jak siedzenie przed edytorem tekstu, kiedy brakuje natchnienia, i wpatrywanie się w pusty ekran. Mort wiedział jednak, że nie chce dzwonić do Dave'a Newsome'a. Jeszcze nie teraz. Oddalił się od stolika, kierując się w przypadkową stronę, gdy nagle telefon zadzwonił.

To był Shooter.

– Niech pan jedzie tam, gdzie się wtedy spotkaliśmy – poleciał.
– Proszę przejść kawałek ścieżką. Wygląda mi pan na człowieka, który myśli tak samo, jak starzy ludzie żują jedzenie, panie Rainey, ale dam panu tyle czasu, ile pan będzie potrzebował. Zadzwonię ponownie późnym popołudniem. Jeśli do tego czasu z kimś się pan skontaktuje, weźmie pan na siebie odpowiedzialność za jego los.

– Co pan zrobił? – powtórzył Mort. Tym razem jego głos był wyzuty ze wszelkiej siły, przypominał szept. – Co pan zrobił, do diabła?

Ale połączenie zostało przerwane.

Pieszko dotarł do miejsca, w którym ścieżka spotykała się z drogą, gdzie rozmawiał z Shooterem, kiedy Tom Greenleaf miał pecha ich zobaczyć. Z jakiegoś powodu nie chciał korzystać z buicka. Zarośla po obu stronach wyglądały na przygniecione i obdarte z liści, dzięki czemu powstała surowa ścieżka. Mort szedł nią nerwowo, wiedząc, co znajdzie w pierwszym napotkanym zagajniku. Nie mylił się. To był scout Toma Greenleafa. Obaj mężczyźni znajdowali się w środku.

Greg Carstairs siedział za kierownicą z głową odrzuconą do tyłu i śrubokrętem – tym razem marki Phillips – wbitym aż po rękojęć w czoło, tuż nad prawym okiem. Śrubokręt pochodził z kredensu w spiżarni Morta. Czerwona rączka była mocno wyszczerbiona, więc nie dało się jej nie rozpoznać.

Tom Greenleaf siedział z tyłu z siekierą wbity w czubek głowy. Miał otwarte oczy. Jego mózg wyciekł i zaschnął obok uszu. Na jesionowej rączce siekiery znajdował się wyblakły, ale wciąż czytelny czerwony napis: „Rainey”. Siekiera pochodziła z szopy na narzędzia.

Mort stał w milczeniu. Rozległ się odgłos cykady. Dzieciół użył pustego pnia, żeby nadać wiadomość alfabetem Morse’a. Odświeżające podmuchy wzbudzały fale na jeziorze; woda miała kolor kobaltu, więc białe grzywy ładnie z nią kontrastowały.

Za plecami Morta rozległ się szelest. Mort obrócił się tak szybko, że prawie się przewrócił – upadłby, gdyby nie oparł się o samochód. To nie był Shooter. To tylko wiewiórka. Patrzyła na niego z nienawiścią, znieruchomiła w połowie wysokości klonu ogarniętego czerwonym jesiennym pożarem. Mort czekał, aż jego rozszalałe serce się uspokoi. Czekał, aż wiewiórka ucieknie w górę pnia. Serce go usłuchało; wiewiórka nie.

– Zabił ich obu – odezwał się w końcu do zwierzątka. – Pojechał do Toma moim buickiem. Potem pojechał do Grega scoutem Toma, zmuszając go do prowadzenia auta. Zabił Grega, a następnie kazał Tomowi tutaj przyjechać i jego również zamordował. W obu przypadkach użył moich narzędzi. Potem wrócił pieszo do domu Toma... a może tam pobiegł. Wygląda na

wystarczająco krzepkiego. Sonny miał wrażenie, że Tom brzmi nieswojo, teraz już wiem dlaczego. Kiedy Sonny odebrał telefon, wschodziło słońce, a Tom już nie żył. To Shooter naśladował jego głos. Zapewne nie sprawiło mu to kłopotu, skoro Sonny głośno słuchał muzyki. Zresztą i tak jest nieco przygłuchy. Gdy Shooter uporał się z Sonnym Trottssem, znów wsiadł do mojego buicka i wrócił do domu. Ranger Grega wciąż stoi na jego podjeździe. Nigdzie się stamtąd nie ruszał. Właśnie w ten sposób...

Wiewiórka pośpiesznie wspięła się po pniu i zniknęła pośród ogniście czerwonych liści.

– ...w ten sposób tego dokonał – dokończył głucho Mort.

Nagle poczuł, że miękną mu kolana. Cofnął się o dwa kroki ścieżką, przypomniał sobie mózg Toma Greenleafa zasychający mu na policzkach i ugięły się pod nim nogi. Upadł, a świat na chwilę odpłynął.

36

Kiedy się ocknął, przetoczył się i usiadł oszołomiony, a następnie zerknął na zegarek. Pokazywał kwadrans po drugiej, ale oczywiście musiał się zatrzymać na tej godzinie zeszłej nocy. Mort znalazł samochód Toma rano, a teraz nie mogło być popołudnie. Zemdlał, co w tych okolicznościach nie było zaskakujące, ale nikt nie traci przytomności na trzy i pół godziny.

Jednak wskazówka sekundowa wciąż miarowo okrążała tarczę.

Pewnie go przestawiłem, kiedy siadałem, to wszystko.

Ale to nie było wszystko. Słońce zmieniło pozycję i wkrótce miało się schować za chmurami gromadzącymi się na niebie. Jezioro przybrało mętny kolor chromu.

Czyli najpierw stracił przytomność albo zemdlał, a co potem? To brzmiało niewiarygodnie, ale zapewne zasnął. Ostatnie trzy dni zszargały mu nerwy, a w nocy nie zmrużył oka aż do trzeciej. Psychiczne i fizyczne zmęczenie nawarstwiły się i jego umysł wyciągnął wtyczkę. A wtedy...

Shooter! Chryste. Shooter zapowiadał, że zadzwoni!

Mort próbował wstać, ale ugięła się pod nim lewa noga i z głośnym sapnięciem bólu i zaskoczenia poleciał do tyłu i padł na plecy. Miał wrażenie, że nogę przeszywają wariacko tańczące igły i szpilki. Pewnie na niej leżał. Dlaczego nie przyjechał buickiem, na litość boską? Jeśli Shooter zadzwonił i go nie zastał, to jest zdolny do wszystkiego.

Mort ponownie spróbował wstać i tym razem mu się udało. Kiedy jednak usiłował stanąć na lewej nodze, ta nie utrzymała jego ciężaru i zatoczył się do przodu. Padając, niemal uderzył głową o bok auta i nagle zobaczył swoje odbicie w jednym z kołpaków. Wypukła powierzchnia zniekształcała jego twarz, upodabniając ją do groteskowej maski. Przynajmniej zostawił w domu ten cholerny kapelusz. Gdyby zobaczył go na swojej głowie, chyba zacząłby krzyżeć. Nie potrafiłby się powstrzymać.

Nagle przypomniał sobie, że w samochodzie siedzi dwóch martwych mężczyzn. Znajdowali się tuż nad nim, zeszywniali, a z ich głów sterczały narzędzia.

Wyczołgał się z cienia scouta, przyciągnął lewą nogę do prawej i zaczął ją okładać pięściami, jakby rozbijał twardy kawałek mięsa.

Przestań! – zawołał jakiś słaby głos. To była ostatnia cząstka rozsądku, która pozostawała pod kontrolą Morta, światełko normalności pośród burzowych chmur wypełniających jego głowę. *Przestań! Powiedział, że zadzwoni późnym popołudniem, a jest dopiero kwadrans po drugiej! Masz mnóstwo czasu! Mnóstwo!*

A jeśli zadzwonił wcześniej? Albo jeśli na zabitym dechami, zapyziałym Południu czternastą uważa się za „późne popołudnie”?

Tłucz się tak dalej po nodze, a dostaniesz skurczu. Ciekawe, czy zdążysz wrócić na czas, jeśli będziesz się musiał czołgać.

To go przekonało. Zdołał się powstrzymać. Tym razem wstał ostrożniej i przez chwilę nie ruszał się z miejsca (stał plecami do samochodu, gdyż nie chciał ponownie zaglądać do środka).

Bolesne klucie stopniowo osłabło. Początkowo wyraźnie utykał, ale po kilkunastu krokach zaczął iść pewniej.

Już prawie wyszedł z zarośli, które Shooter poobdzierał z liści i przygniótł, kiedy jechał autem Toma, gdy nagle usłyszał zbliżający się samochód. Niewiele myśląc, przyklęknął i popatrzył na przejeżdżającego starego zardzewiałego cadillaca. Samochód należał do Dona Bassingera, który miał dom po przeciwnej stronie jeziora. Bassinger, alkoholik weteran spędzający większość czasu na przepijaniu niegdyś okazałego spadku, często korzystał z Lake Drive jako skrótu do tak zwanej Bassinger Road. Don jako jedyny mieszkał tutaj przez cały rok.

Kiedy cadillac zniknął mu z oczu, Mort wstał i pośpiesznie doszedł do drogi. Już nie żałował, że nie przyjechał buickiem. Don znał jego samochód. O tej porze zapewne jeszcze nie był odurzony, więc zapamiętałby buicka stojącego niedaleko miejsca, w którym ktoś wkrótce miał dokonać strasznego odkrycia.

Próbuje wplątać cię w tę sprawę, pomyślał Mort, kuśtykając Lake Drive w stronę swojego domu. Od początku to robi. Jeśli wczoraj wieczorem ktoś widział samochód niedaleko domu Toma Greenleafa, to zapewne był to twój buick. Zamordował ich twoimi narzędziami...

Mógłbym się ich pozbyć, pomyślał nagle. Wrzucić je do jeziora. Pewnie bym zwymiotował, próbując je wyciągnąć, ale chyba dałbym radę.

Czyżby? Ciekawe. A nawet gdyby ci się udało... cóż, Shooter prawie na pewno pomyślał o tej możliwości. Jak dotąd wygląda na to, że wziął pod uwagę wszystko. Poza tym wie, że gdybyś spróbował się pozbyć siekiery i śrubokrętu, a policja znalazłaby je na dnie jeziora, wpadłbyś w jeszcze gorsze tarapaty. Już rozumiesz, co on zrobił? Rozumiesz?

Tak. Rozumie. John Shooter dał mu prezent. Wielki lepki podarunek. Kiedy Mort dotknął go lewą ręką, dłoń mocno się przykleiła. Usiłował ją uwolnić, więc odepchnął się prawą ręką, a wtedy ta również utknęła. Od początku postępował... jakiego słowa używał z taką satysfakcją? „Nieetycznie”, czy tak? Zgadza

się. W ten sposób dawał się coraz bardziej wciągać w pułapkę. Okłamał już tylu ludzi, że gdyby prawda wyszła na jaw, wpadłby w nie lada tarapaty. Co gorsza, kilkaset metrów za nim siedzi mężczyzna z siekierą zamiast kapelusza, a nazwisko Morta widnieje na rękojeści.

Wyobraził sobie telefon dzwoniący w pustym domu i zmusił się do biegu.

37

Shooter nie dzwonił.

Minuty ciągnęły się jak toffi, a telefon milczał. Mort niespokojnie krążył po domu, szarpiąc się za włosy i nawijając je na palce. Wyobrażał sobie, że tak się czuje ćpun czekający na handlarza.

Dwukrotnie chciał zrezygnować i powiadomić władze – nie starego Dave’a Newsome’a ani lokalnego szeryfa, tylko policję stanową. Zamierzał zastosować się do starej zasady obowiązującej w Wietnamie: Zabij wszystkich i niech Bóg ich rozsądzi. Dlaczego nie? W końcu cieszył się dobrą reputacją; był szanowanym członkiem dwóch społeczności w stanie Maine, a John Shooter był...

Kim tak naprawdę był Shooter?

Przyszło mu do głowy słowo „widmo”.

A także „błędny ogień”.

Przed dzwonieniem na policję powstrzymało go jednak coś innego. Straszliwa pewność, że Shooter spróbuje się dodzwonić właśnie w chwili, gdy Mort będzie korzystał z telefonu... że usłyszy sygnał zajętej linii, rozłączy się i już nigdy więcej się nie odezwie.

Za kwadrans czwarta zaczął padać miarowy zimny deszcz, który sączył się z białego nieba, stukając w dach i sztywne liście wokół domu.

Za dziesięć czwarta zadzwonił telefon. Mort rzucił się na słuchawkę.

To była Amy.

Chciała porozmawiać o pożarze. Chciała porozmawiać o tym, jaka jest nieszczęśliwa, także z jego powodu. Chciała mu powiedzieć, że Fred Evans, który weryfikuje wypłatę odszkodowania, wciąż jest w Derry, gdzie przeszukuje miejsce zdarzenia i wypytuje o wszystko, od daty ostatniej kontroli instalacji elektrycznej po miejsce przechowywania kluczy do piwniczki z winami, a Ted nie ufa jego motywom. Chciała, żeby Mort zastanowił się razem z nią, czy wydarzenia potoczyłyby się inaczej, gdyby mieli dzieci.

Odpowiedział na wszystkie jej pytania najlepiej, jak potrafił, chociaż nieustannie miał poczucie, że czas – najlepszy popołudniowy czas – przecieka mu przez palce. Szalał z niepokoju, że Shooter zadzwoni, usłyszy sygnał zajętej linii i dopuści się jakiejś nowej potworności. W końcu uciekł się do jedyne go wybiegu, jaki mu przyszedł do głowy, żeby zakończyć tę rozmowę: powiedział, że nie czuje się dobrze i musi natychmiast pójść do łazienki.

– To przez alkohol? – spytała zatroskana. – Piłeś?

– Raczej przez śniadanie. Posłuchaj, Amy...

– U Bowiego?

– Tak. – Starał się, żeby z jego głosu przebijały ból i wysiłek. Tym bardziej że rzeczywiście tak się czuł. Jeśli się nad tym zastanowić, było to całkiem zabawne. – Amy, naprawdę...

– Boże, Mort, ona ma najbrudniejszy grill w mieście – odparła Amy. – Idź. Zadzwonię później. – Zapadła cisza.

Odłożył słuchawkę na widełki i przez chwilę stał obok, zauważając ze zdziwieniem i niezadowoleniem, że jego wymówka stała się faktem: wnętrzności ścisnęły mu się w pulsujący, obolały węzeł.

Pobiegł do ubikacji, po drodze rozpinając pasek.

Ledwie zdążył. Siedział na desce, otoczony smrodem własnych odchodów, ze spodniami wokół kostek, z trudem łapiąc oddech... gdy nagle telefon znów się rozdzwonił.

Skoczył w górę jak pajacyk na sprężynie, uderzając kolaniem o krawędź umywalki, po czym puścił się biegiem, jedną ręką przytrzymując spodnie i drobiąc jak dziewczyna w obcisłej spódniczce. Ogarnęła go pełna zażenowania świadomość, że nie zdążył się podetrzeć, a chociaż podejrzewał, że zdarza się to każdemu, nagle uzmysłowił sobie, że nigdy w życiu nie czytał o takim wypadku w żadnej książce.

Życie potrafi być takie komiczne.

Tym razem to był Shooter.

– Widziałem pana na miejscu – oznajmił, a jego głos jak zwykle zabrzmiał spokojnie i błogo. – Tam gdzie ich zostawiłem. Wygląda na to, że doznał pan udaru słonecznego, tylko że nie mamy lata.

– Czego pan chce? – Mort przyłożył słuchawkę do drugiego ucha. Spodnie znów ześlizgnęły mu się do kostek. Zostawił je w spokoju i stał z bokserkami w połowie odległości między kolanami a biodrami. Byłoby z tego niezłe zdjęcie na okładkę.

– Miałem ochotę przyspilić panu kartkę z wiadomością – rzekł Shooter. – Ale postanowiłem tego nie robić. – Zamilkł, a następnie dodał z obojętną pogardą: – Za łatwo pana wystraszyć.

– Czego pan chce?

– Już panu powiedziałem, panie Rainey. Chcę opowieści będącej rekompensatą za tę, którą pan ukradł. Jeszcze nie jest pan gotów tego przyznać?

Tak! Zgódź się! Powiedz mu cokolwiek: Ziemia jest płaska, Kennedy i Elvis żyją, mieszkają na Kubie i grają tam w duecie na banjo, Meryl Streep to transwestyta, powiedz mu cokolwiek...

Ale tego nie zrobił.

Wściekłość, frustracja, groza i zagubienie wyrwały się z jego ust w jednym ryku.

– Nie zrobiłem tego! Nie zrobiłem! Oszalałeś, a ja mogę to udowodnić! Mam czasopismo, ty świrze! Słyszysz? Mam to cholerne czasopismo!

Shooter nie odpowiedział. W słuchawce panowała cisza, nawet dalekie widmowe trajkotanie nie przerywało gładkiej ciemności podpełzającej do jego okien każdej nocy, którą spędzał tutaj samotnie.

– Shooter?

Cisza.

– Shooter, jest pan tam?

Wciąż cisza. Zniknął.

Mort bezwładnie opuścił rękę ze słuchawką. Już miał odłożyć ją na widełki, gdy dobiegł go cichy, daleki, niemal zagubiony głos Shootera.

– ...sobie?

Mort ponownie przyłożył słuchawkę do ucha. Wydawało mu się, że waży kilkaset kilogramów.

– Słucham? Myślałem, że pan się rozłączył.

– Ma je pan? Ma pan to tak zwane czasopismo? Przy sobie? – Shooter po raz pierwszy sprawiał wrażenie niezadowolonego. A także niepewnego.

– Nie – odpowiedział Mort.

– No właśnie! – rzucił Shooter z wyraźną ulgą. – Może wreszcie zaczniemy rozmawiać na poważnie...

– Wiezie je kurier – wszedł mu w słowo Mort. – Dotrze do urzędu pocztowego jutro przed dziesiątą.

– Co dotrze? – spytał Shooter. – Jakaś niewyraźna kopia?

– Nie – odparł Mort. Miał silne i niezachwiane poczucie, że wstrząsnął Shooterem, przedarł się przez jego gardę i uderzył go tak, że zadał mu ból. Przez dłuższą chwilę Shooter sprawiał wrażenie niemal wystraszonego, a Mort poczuł wściekle zadowolenie. – Egzemplarz czasopisma.

Na drugim końcu linii ponownie zapadła cisza, ale tym razem Mort trzymał słuchawkę mocno przyciśniętą do ucha. Shooter wciąż tam był. Opowiadanie nagle znów stało się najważniejsze, opowiadanie i oskarżenie o plagiat. Cholera, ten człowiek potraktował go jak uczniaka, a teraz może wreszcie został zmuszony do odwrotu.

Kiedyś, w tej samej szkole parafialnej, w której nauczył się sztuczki krztuszenia śliną, Mort zobaczył, jak jeden z chłopców wbił szpilkę w wędrującego po jego ławce żuka. Żuk został złapany – przebity, wił się i zdychał. Wtedy Mort był smutny i przerażony. Teraz już rozumiał. Teraz pragnął zrobić to samo temu człowiekowi. Temu szaleńcowi.

– Nie może istnieć żadne czasopismo – rzekł w końcu Shooter.
– Na pewno nie z tym opowiadaniem. Ono jest moje!

Mort usłyszał cierpienie w głosie mężczyzny. Prawdziwe cierpienie. Ucieszył się. Wbił Shooterowi szpilkę, a ten zaczął się wić.

– Czasopismo będzie tam jutro o dziesiątej... albo jeszcze wcześniej, kiedy tylko FedEx dostarczy przesyłki do Tashmore – oznajmił Mort. – Chętnie się z panem spotkam. Będzie pan mógł rzucić okiem. A nawet dokładnie się przyjrzeć, cholerny świrze.

– Nie tam – odezwał się po chwili milczenia Shooter. – W pańskim domu.

– Nic z tego. Kiedy pokażę panu egzemplarz „Magazynu Detektywistycznego”, chcę być w miejscu, w którym będę mógł wezwać pomoc, gdyby coś panu odpieprzyło.

– Postąpi pan według moich instrukcji. – Wydawało się, że Shooter częściowo odzyskał kontrolę, lecz Mort miał wrażenie, że nie panuje nad sytuacją nawet w połowie tak jak przedtem. – Jeśli nie, postaram się, żeby trafił pan do więzienia stanowego za morderstwo.

– Niech mnie pan nie rozśmiesza. – Mort poczuł jednak ponownie, jak jego wnętrzności zaciskają się w supeł.

– Powiązałem pana z tymi dwoma mężczyznami bardziej, niż pan podejrzewa – dodał Shooter. – A pan niemało nakłamał. Jeśli po prostu zniknę, okaże się, panie Rainey, że ma pan głowę w pętli, a pod nogami podłogę wysmarowaną tłuszczem.

– Nie boję się pana.

– Ależ owszem, boi się pan – odrzekł Shooter niemal delikatnie. – Tylko że ja również zaczynam się pana odrobinę obawiać. Nie potrafię pana rozgryźć.

Mort przez chwilę milczał.

– Byłoby zabawnie, gdybyśmy napisali to samo opowiadanie w dwóch różnych miejscach i dwóch różnych czasach – odezwał się w końcu Shooter dziwnie refleksyjnym tonem.

– Taka myśl przyszła mi do głowy.

– Naprawdę?

– Odrzuciłem ją. To byłby zbyt duży zbieg okoliczności. Co innego, gdyby zgadzała się tylko fabuła, ale taki sam język? Taki sam styl, do cholery?

– Aha – przytaknął Shooter. – Pomyślałem to samo, pielgrzymie. To za dużo. Zbieg okoliczności nie wchodzi w grę. Ukradł mi pan ten tekst, ale za cholerę nie mam pojęcia jak ani kiedy.

– Och, niech pan da spokój! – wybuchnął Mort. – Mam czasopismo! Mam dowód! Nie rozumie pan tego? To już koniec! Cokolwiek to było, jakaś wariacka zabawa czy zwykłe urojenie, wreszcie dobiegło końca! Mam czasopismo!

Shooter długo milczał.

– Nie, jeszcze go pan nie ma – rzekł w końcu.

– To prawda – przyznał Mort. Ogarnęło go niespodziewane i całkowicie niechciane poczucie bliskości z tym człowiekiem. – Więc co będziemy robili dzisiaj wieczorem?

– Nic. Ci mężczyźni nigdzie nie uciekną. Żona jednego pojechała z dziećmi w odwiedzinach do krewnych. Drugi mieszka sam. Jutro rano proszę odebrać swoje czasopismo. Przyjdę do pana około południa.

– Zabije mnie pan – powiedział Mort. Odkrył, że ta myśl wcale go nie przeraża, przynajmniej tego wieczoru. – Jeśli pokażę panu czasopismo, pańskie urojenie rozsypie się jak domek z kart i mnie pan zabije.

– Ależ nie! – odpowiedział Shooter, tym razem wyraźnie zaskoczony. – Pana? Nic z tych rzeczy! Tamci zamierzali nam pokrzyżować szyki. Nie mogłem do tego dopuścić... i zrozumiałem, że da się ich wykorzystać do nakłonienia pana do współpracy. Do wypełnienia obowiązku, który na panu ciąży.

– Cwany pan jest, muszę to przyznać. Mam pana za wariata, ale jednocześnie nigdy w życiu nie spotkałem bardziej cwanego sukinsyna.

– Może pan myśleć, co chce – odparł Shooter. – Jeśli jutro przyjadę, a pana nie będzie, panie Rainey, zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby zniszczyć każdą osobę na świecie, którą pan kocha i na której panu zależy. Pana życie spłonie jak pole suchej trzciny na silnym wietrze. Pójdzie pan do więzienia za zabicie tamtych dwóch mężczyzn, ale więzienie będzie pana najmniejszym problemem. Rozumie pan?

– Tak – odpowiedział Mort. – Rozumiem. Pielgrzymie.

– Więc niech pan będzie w domu.

– A co się stanie, całkiem hipotetycznie, jeśli pokażę panu czasopismo i okaże się, że w spisie treści widnieje moje nazwisko, a w środku znajduje się moje opowiadanie? Co wtedy?

Shooter przez chwilę milczał.

– Zgłoszę się na policję i przyznam do wszystkiego. Ale zajmę się sobą na długo przed procesem, panie Rainey. Ponieważ jeśli tak się stanie, to znaczy, że jestem szaleńcem. A ktoś tak szalony... – Westchnął. – Ktoś tak szalony nie ma prawa ani powodu dalej żyć.

Jego słowa poraziły Morta. *Jest niepewny. Po raz pierwszy naprawdę stracił pewność siebie... co mnie się ani razu nie przytrafiło.*

Jednakże gwałtownie odrzucił te myśli. Nigdy nie miał powodu, żeby zwątpić. To była wina Shootera. Wszystko było jego winą.

– Skąd mam wiedzieć, że nie będzie się pan upierał, że czasopismo jest fałszywką?

Spodziewał się, że Shooter nie odpowie albo najwyżej stwierdzi, że Mort musi mu uwierzyć na słowo, ale mężczyzna go zaskoczył.

– Jeśli jest autentyczne, na pewno się zorientuję, a jeśli to fałszywka, obaj to zauważymy. Nie sądzę, żeby zdołał pan przygotować całe fałszywe czasopismo w ciągu zaledwie trzech

dni, niezależnie od tego, ilu ludzi ma pan na usługach w Nowym Jorku.

Teraz to Mort długo się namyślał, a Shooter czekał.

– Zaufam panu – rzekł w końcu Mort. – Sam nie wiem dlaczego. Może po prostu sam nie mam już po co żyć. Ale nie zaufam panu bezgranicznie. Przyjedzie pan do mnie, stanie na podjeździe w miejscu, w którym będę pana dobrze widział, żebym mógł się przekonać, że nie ma pan broni. Dopiero wtedy wyjdę. Czy to pana satysfakcjonuje?

– Może być.

– Niech Bóg ma nas obu w opiece.

– Zgadza się. Sam już nie mam pojęcia, w co się wpakowałem... a to nie jest przyjemne uczucie.

– Shooter?

– Jestem.

– Chciałbym panu zadać jedno pytanie.

Zapadła cisza... ale Mort uznał, że brzmi ona zachęcająco.

– Czy to pan podpalił mój dom w Derry?

– Nie – padła natychmiastowa odpowiedź. – Ja w tym czasie miałem oko na pana.

– I na Krakę – dodał z goryczą Mort.

– Ma pan mój kapelusz? – spytał Shooter.

– Tak.

– Chcę go dostać z powrotem, wszystko jedno w jaki sposób.

Połączenie zerwano.

Tak po prostu.

Mort powoli i ostrożnie odłożył słuchawkę, a następnie wrócił do łazienki – znów przytrzymując spodnie – żeby dokończyć to, co zaczął.

Amy rzeczywiście ponownie zadzwoniła, około siódmej, i tym razem Mort mógł z nią normalnie porozmawiać – zupełnie jakby łazienka na górze nie była zdemolowana, a dwa trupy nie

siedziały za zasłoną zarośli obok ścieżki prowadzącej nad jezioro, coraz bardziej sztywniejąc w zapadającym mroku.

Amy od czasu ostatniego telefonu rozmawiała z Fredem Evansem i była przekonana, że ten albo wie, albo podejrzewa coś, o czym nie chce im powiedzieć. Mort próbował ją uspokoić i miał wrażenie, że do pewnego stopnia mu się to udało, ale sam też się martwił. Jeśli to nie Shooter wzniecił pożar – a Mort był skłonny uwierzyć, że w tej sprawie ten człowiek nie kłamie – to mieli do czynienia z czystym zbiegiem okoliczności... czyż nie?

Nie wiedział, czy to prawda.

– Mort, tak bardzo się o ciebie martwię – powiedziała Amy niespodziewanie, wyrrywając go z zamyślenia.

– O mnie? Nic mi nie jest.

– Jesteś pewien? Kiedy wczoraj się spotkaliśmy, wyglądałeś na... spiętego. – Umilkła na chwilę. – Prawdę mówiąc, tak samo wyglądałeś wtedy, tuż przed... no wiesz.

– Amy, to nie było załamanie nerwowe.

– Ależ nie – zgodziła się pośpiesznie. – Ale wiesz, co mam na myśli. Kiedy ludzie z branży filmowej zachowali się tak okropnie w kwestii *Rodziny Delacourtów*.

To było jedno z najbardziej gorzkich doświadczeń w życiu Morta. Wytwórnia Paramount kupiła prawa do ekranizacji za siedemdziesiąt pięć tysięcy dolarów, a w wypadku realizacji projektu Mort miał otrzymać siedemset pięćdziesiąt tysięcy. Od cholery pieniędzy. Wszystko było dopięte na ostatni guzik, gdy nagle ktoś znalazł w archiwum stary scenariusz zatytułowany *Nasza drużyna*, który na tyle przypominał *Rodzinę Delacourtów*, że mogły się pojawić problemy natury prawnej. To był jedyny przypadek w karierze Morta – nie licząc tego koszmaru – gdy musiał się zmierzyć z groźbą oskarżeń o plagiat. Producenci wycofali się w ostatniej chwili. Mort nigdy się nie dowiedział, czy naprawdę obawiali się oskarżenia o plagiat, czy zmienili zdanie co do filmowego potencjału jego powieści. Jeżeli się przestraszyli, to aż dziw bierze, że taka banda mięczaków potrafi wyprodukować jakikolwiek film. Herb Creekmore zdobył

egzemplarz scenariusza *Naszej drużyny*, a Mort dostrzegł tylko pobieżne podobieństwa między obiema historiami. Amy przyznała mu rację.

Całe to zamieszanie wydarzyło się, kiedy akurat zabrnął w ślepą uliczkę podczas pisania powieści, którą koniecznie chciał ukończyć. Jednocześnie uczestniczył w krótkiej trasie promocyjnej *Rodziny Delacourtów*, która właśnie ukazała się w miękkiej oprawie. To wszystko sprawiło, że musiał się zmierzyć z olbrzymim stresem.

Ale nie przeżywał załamania nerwowego.

– Nic mi nie jest – powtórzył łagodnie. Kilka lat wcześniej odkrył u Amy coś zaskakującego i zarazem ujmującego: jeśli mówiło się do niej łagodnym głosem, była skłonna uwierzyć niemal we wszystko. Mort doszedł do wniosku, że gdyby ta cecha występowała u całego gatunku, tak jak pokazywanie zębów w celu okazania wściekłości albo rozbawienia, od tysięcy lat ludzie nie toczyliby wojen.

– Jesteś pewien?

– Tak. Zadzwoń do mnie, jeśli nasz przyjaciel od ubezpieczeń znów się odezwie.

– Zgoda.

Na chwilę zamilkł.

– Jesteś u Teda?

– Tak.

– Co obecnie o nim myślisz?

Zawahała się.

– Kocham go – odparła w końcu.

– Aha.

– Nie spotykałam się z innymi mężczyznami – rzekła nagle. – Zawsze chciałam ci to powiedzieć. Nie spotykałam się z innymi mężczyznami. Ale Ted... on nie zwracał uwagi na twoje nazwisko i zobaczył mnie, Mort. Zobaczył, kim jestem.

– Czyli ja tego nie widziałem.

– Kiedy byłeś w domu, owszem. – W jej słabym głosie pobrzmiwała rozpacz. – Ale tak często cię nie było.

Szeroko otworzył oczy, w jednej chwili gotowy do walki. Walki w obronie prawdy!

– Co takiego? Nie byłem w trasie promocyjnej od czasów *Rodziny Delacourtów*! A tamta trasa była bardzo krótka!

– Nie chcę się z tobą kłócić – odezwała się cicho. – Nie powinniśmy więcej tego robić. Chcę tylko powiedzieć, że nawet kiedy byłeś w domu, często bywałeś nieobecny. Miałeś swoją własną kochankę. Pracę. – Mówiła opanowanym głosem, ale wyczuwałem, że w głębi duszy ma ochotę się rozpłakać. – Ależ nienawidziłam tej suki, Mort. Była ode mnie ładniejsza, mądrzejsza i zabawniejsza. Jak mogłam z nią rywalizować?

– Proszę bardzo, zrzuć całą winę na mnie – odparł, z konsternacją zauważając, że sam jest na krawędzi łez. – Co, według ciebie, miałem zrobić? Zostać hydraulikiem, do jasnej cholery? Bylibyśmy biedni, a ja nie miałbym pracy. Nie potrafię robić niczego innego, kurwa, nie rozumiesz? Niczego innego! – Miał nadzieję, że łzy przynajmniej na chwilę znikną z ich życia, ale oto znów się pojawiły. Kto tym razem potarł tę okropną czarodziejską lampę? On czy ona?

– Nie zrzucam na ciebie winy. Ja też zawiniłam. Nigdy byś nas tak nie... przyłapał... gdybym nie była słaba i tchórzliwa. Ted chciał, żebyśmy powiedzieli ci razem. Wciąż mnie o to prosił, a ja go zniechęcałam. Mówiłam mu, że nie jestem pewna. Wmawiałam sobie, że wciąż cię kocham i że znów może być tak jak dawniej... ale to chyba nigdy nie jest możliwe. Nigdy... – Gwałtownie wciągnęła powietrze i Mort zrozumiał, że się rozpłakała. – Nigdy nie zapomnę twojego wyrazu twarzy, kiedy otworzyłeś drzwi tego pokoju w motelu. Będę w sobie nosiła ten widok aż do śmierci.

„To dobrze! – chciał wykrzyknąć. – Dobrze! Ponieważ ty musiałaś tylko to zobaczyć! Ja musiałem to przeżyć!”

– Wiedziałaś, co kocham – powiedział drżącym głosem. – Nigdy tego przed tobą nie ukrywałem. Wiedziałaś od początku.

– Ale nie podejrzewałam, że ta miłość jest tak silna.

– Możesz się rozchmurzyć – odrzekł. – Wygląda na to, że już mnie opuściła.

Amy zaczęła szlochać.

– Mort, Mort... chcę jedynie, żebyś żył i był szczęśliwy. Nie dostrzegasz tego? Czy to niemożliwe?

Dostrzegał tylko jej obnażone ramię, które dotykało obnażonego ramienia Teda Milnera. Dostrzegał ich oczy, szeroko otwarte i wystraszone, oraz sterczące włosy Teda, które przypominały kręconą czuprynę Alfalfy. Miał ochotę jej to powiedzieć – a przynajmniej spróbować – ale odpuścił. Wystarczy. Już dostatecznie się nawzajem skrzywdzili. Może innym razem do tego wróca. Żałował, że Amy wspomniała o załamaniu nerwowym. To nie było załamanie nerwowe.

– Chyba muszę kończyć, Amy.

– Tak, ja też. Ted pokazuje klientom dom, ale niedługo wróci. Muszę zrobić coś na kolację.

– Przepraszam za tę kłótnię.

– Zadzwonisz, jeśli będziesz mnie potrzebował? Nadal się martwię.

– Tak – obiecał, po czym pożegnał się i przerwał połączenie. Przez chwilę stał obok telefonu i miał wrażenie, że zaraz wybuchnie płaczem. Jednak to uczucie minęło. Być może to przeraziło go najbardziej.

Uczucie minęło.

39

Nieustannie padający deszcz sprawił, że Mort czuł się apatyczny i otepiały. Napalił w piecyku, przysunął krzesło bliżej ognia i próbował przeczytać nowy numer „Harper’s”, ale wciąż na zmianę przysypiał i gwałtownie się budził, gdy podbródek opadał mu na pierś, zaciskając tchawicę i wywołując chrapanie. Trzeba było dzisiaj kupić papierosy. Kilka fajek by mnie rozbudziło, pomyślał. Ale ich nie kupił, a zresztą nie był pewien,

czy rzeczywiście powstrzymałyby go przed zaśnięciem. Nie był po prostu zmęczony; doznał szoku.

W końcu podszedł do kanapy, poprawił poduszki i się położył. Obok jego policzka zimny deszcz stukał o ciemną szybę.

Tylko raz, pomyślał. Zrobiłem to tylko raz. Potem zapadł w głęboki sen.

40

We śnie znajdował się w największej sali lekcyjnej na świecie. Ściany ciągnęły się przez wiele kilometrów. Każda ławka była wzgórzem, a między nimi ciągnęła się bezkresna równina z szarych płytek. Zegar na ścianie był olbrzymim zimnym słońcem. Drzwi na korytarz były zamknięte, ale Morton Rainey mógł odczytać słowa wypisane na nieprzezroczystej szybie:

Biuro Naszej Drużyny
prof. Dellacourt

Napisali z błędem. Za dużo „l”.

Ale jakiś inny głos powiedział mu, że się myli.

Mort stał na szerokiej półce na kredę pod gigantyczną tablicą i wyciągał się w górę. Trzymał w ręku kawałek kredy wielkości kija baseballowego. Chciał opuścić rękę, która straszliwie go bolała, ale nie mógł. Najpierw musiał napisać na tablicy pięćset razy to samo zdanie: „Nie będę ściągał od Johna Kintnera”. Napisał je już ze czterysta razy, ale to nie wystarczyło. Komuś, kto kradnie dzieło innego człowieka, gdy to dzieło jest wszystkim, co ten posiada, nie można wybaczyć. Dlatego Mort będzie musiał pisać, i pisać i pisać, nie zwracając uwagi na głos w swojej głowie, który próbuje mu wmówić, że to sen, a prawa ręka boli go z innego powodu.

Kreda potwornie skrzypiała. Pył, gryzący i jakby znajomy – tak bardzo znajomy – sypał mu się na twarz. W końcu nie mógł już tego dłużej wytrzymać. Jego ręka opadła jak worek pełen śrutu. Odwrócił się i zobaczył, że tylko jedna ławka w ogromnej

sali jest zajęta. Siedział w niej młodzieniec o obliczu, jakie zazwyczaj widuje się na wiejskich zadupiach. Bładokasztanowe włosy sterczały mu na głowie. Spracowane dłonie, które składały się niemal wyłącznie z knykci, leżały splecione na blacie. Młodzieniec pochłaniał Morta bladymi oczami.

„Znam cię”, powiedział Mort we śnie.

„Zgadza się, pielgrzymie – odrzekł John Kintner z wyraźnym południowym akcentem. – Tylko źle mnie sobie poskładałeś. A teraz pisz dalej. Nie pięćset, tylko pięć tysięcy razy”.

Mort rzucił się do ucieczki, ale poślizgnął się na krawędzi półki i nagle z niej runął, z wrzaskiem lecąc przez suche, zapylone powietrze, a John Kintner zaczął się śmiać i Mort...

41

...obudził się na podłodze z głową niemal schowaną pod wrednym stolikiem. Kurczowo zaciskał palce na dywanie i wydawał z siebie wysokie, żałosne wrzaski.

Był w Tashmore. Nie w dziwacznej, olbrzymiej sali lekcyjnej, ale nad jeziorem... a na mglistym wschodzie wstawał nowy dzień.

Nic mi nie jest. To był tylko sen, a mnie nic się nie stało.

Ale to nie była prawda. To nie był tylko sen. John Kintner istniał naprawdę. Jak, na Boga, mógł o nim zapomnieć?

Mort uczył się w college’u w Bates, gdzie specjalizował się w twórczym pisaniu. Później, kiedy spotykał się z grupami kandydatów na pisarzy (w miarę możliwości starał się unikać tego obowiązku), mówił im, że wybór takiej specjalizacji jest zapewne największym błędem, jaki można popełnić, jeśli chce się zarabiać na życie pisaniem literatury pięknej.

„Znajdźcie sobie pracę na pocztce – mawiał. – W przypadku Faulknera się sprawdziło”. Reagowali śmiechem. Lubili go słuchać, a on całkiem dobrze sobie radził z zabawianiem ich. To było ważne, ponieważ wątpił, aby ktokolwiek inny był w stanie nauczyć ich twórczego pisania. Mimo wszystko zawsze się

cieszył, kiedy wykład, seminarium czy warsztaty dobiegały końca. Przy dzieciakach był nerwowy. Podejrzewał, że powodem był John Kintner.

Czy Kintner pochodził z Missisipi? Mort nie pamiętał, ale raczej nie. Jednak niewątpliwie przyjechał z jakiejś enklawy na Głębokim Południu – z Alabamy, Luizjany, może z północnej Florydy. Mort nie miał pewności. Minęło wiele lat, odkąd był w college'u w Bates, a poza tym nie myślał o Johnie Kintnerze, który pewnego dnia opuścił college z sobą tylko znanych powodów.

To nieprawda. Wczoraj o nim myślałeś.

Raczej śniłem, poprawił się Mort szybko, ale piekielny głos, który słyszał w głowie, nie odpuszczał.

Nie, wcześniej. Pomyślałeś o nim, kiedy rozmawiałeś przez telefon z Shooterem.

Nie chciał do tego wracać. Nie zrobi tego. John Kintner to zamknięty rozdział; nie ma nic wspólnego z obecnymi wydarzeniami. Mort wstał i niepewnym krokiem ruszył poprzez mleczne światło wczesnego poranka do kuchni, żeby zaparzyć mocną kawę. Mnóstwo mocnej kawy. Tylko że ten piekielny głos nie dawał mu spokoju. Mort popatrzył na zestaw noży kuchennych Amy, które wisiały na namagnetyzowanych stalowych przegródkach, i pomyślał, że gdyby mógł wyciąć z siebie ten głos, to natychmiast przeprowadziłby taką operację.

Myślałeś, że wstrząsnąłeś facetem... że wreszcie nim wstrząsnąłeś. Myślałeś, że opowiadanie znów stało się najważniejsze, opowiadanie i oskarżenie o plagiat. Tymczasem Shooter potraktował cię jak uczniaka. Jak cholernego uczniaka. Jak...

– Zamknij się! – rzucił Mort chrapliwie. – Zamknij się, kurwa!

Głos umilkł, ale on i tak nie mógł przestać myśleć o Johnie Kintnerze.

Kiedy drżącą ręką sypał kawę, pomyślał o swoich nieustannych, zdecydowanych zapewnieniach, że nie ukradł tekstu Shootera, że nigdy nie ukradł żadnego tekstu.

Ale oczywiście to zrobił.

Raz.

Tylko raz.

– Minęło tak dużo czasu – wyszeptał. – Poza tym to nie ma nic wspólnego z tą sprawą.

Możliwe, ale to nie powstrzymało dręczących go myśli.

42

Był wtedy na trzecim roku, trwał semestr wiosenny. Na zajęciach z twórczego pisania, w których uczestniczył, akurat skupiano się na opowiadaniu. Wykładowcą był niejaki Richard Perkins Jr, autor dwóch powieści, które otrzymały bardzo dobre recenzje i bardzo słabo się sprzedawały. Mort spróbował przeczytać jedną z nich i doszedł do wniosku, że dobre recenzje i słaba sprzedaż mają to samo źródło: książki były niezrozumiałe. Perkins nie był jednak złym nauczycielem – przynajmniej zapewniał im rozrywkę.

Na zajęcia uczęszczało kilkanaścioro studentów. Jednym z nich był John Kintner. Studiował dopiero na pierwszym roku, ale otrzymał specjalną zgodę na udział w kursie. Mort musiał przyznać, że w pełni zasłużył. Chociaż był wieśniakiem z Południa, naprawdę dawał radę.

W ramach kursu każdy z nich musiał napisać sześć krótkich albo trzy dłuższe opowiadania. Każdego tygodnia Perkins kserował teksty, które według niego najlepiej nadawały się do omówienia, i na koniec zajęć je rozdawał. Studenci mieli za zadanie przygotować się do dyskusji i krytyki. W ten sposób zazwyczaj prowadzi się takie kursy. Pewnego tygodnia Perkins wręczył im opowiadanie Johna Kintnera. Nosilo tytuł... Jaki to był tytuł?

Mort wcześniej odkręcił wodę, żeby napełnić ekspres do kawy, ale teraz tylko stał, patrząc nieobecny wzrokiem na mgłę za oknem i nasłuchując płynącej wody.

Dobrze wiesz, jaki nosiło tytuł, do diabła. Ukryte okno, ukryty ogród.

– Ależ nie! – wrzasnął obruszony do pustego domu. Zatopił się w myślach, rozpaczliwie pragnąc raz na zawsze uciszyć ten piekielny głos... gdy nagle to do niego dotarło. – *Krucza mila!* – wykrzyknął. – Opowiadanie nosiło tytuł *Krucza mila* i nie ma z tym wszystkim nic wspólnego!

Tylko że to także nie była prawda, a Mort nie potrzebował głosu, który rozpanoszył się w jego obolałej głowie, żeby to zrozumieć.

Kintner oddał trzy albo cztery opowiadania, po czym gdzieś zniknął (Mort podejrzewał, że w Wietnamie – tam pod koniec lat sześćdziesiątych zniknęła większość młodych mężczyzn). *Krucza mila* nie była najlepszym z opowiadań Kintnera... ale i tak była dobra. Kintner bez wątpienia był najzdolniejszym pisarzem w grupie Richarda Perkinsa. Perkins traktował go niemal jak równego sobie, a w niezbyt skromnej ocenie Raineya miał ku temu podstawy, ponieważ Kintner był od niego dużo lepszy. Skoro już o tym mowa, Mort również stawiał się wyżej od wykładowcy.

Ale czy był lepszy od Kintnera?

– Nie – mruknął pod nosem, włączając ekspres do kawy. – Byłem drugi.

Tak. Był drugi i wcale mu się to nie podobało. Wiedział, że przeważająca część studentów na kursach pisania tylko gra na zwłokę, ulegając chwilowemu kapryswi, by w końcu zrezygnować z dziecinnych dążeń i zabrać się do nauki tego, co będą robili w dorosłym życiu. Dla większości z nich w przyszłości jedynym kontaktem z twórczym pisaniem będzie napisanie listu do lokalnej gazety albo wymyślenie hasła reklamowego dla płynu do mycia naczyń. Mort zapisał się na zajęcia Perkinsa, wierząc, że będzie na nich brylował, ponieważ tak było zawsze. Dlatego John Kintner okazał się niemiłą niespodzianką.

Mort pamiętał, że kiedyś próbował porozmawiać z tym chłopakiem... ale okazało się, że Kintner, który odzywał się na

zajęciach tylko pytany, niemal nie potrafi się wysławić. Kiedy przemawiał na głos, bełkotał i jąkał się jak biedny dzieciak ze wsi, który zakończył edukację na czwartej klasie. Wyglądało na to, że umie się wypowiadać tylko w swojej prozie.

A ty mu ją ukradłeś.

– Zamknij się – mruknął. – Po prostu się zamknij.

Nie podobało ci się, że musiałeś uznać jego wyższość. Ucieszyłeś się, kiedy zniknął, ponieważ wtedy znów mogłeś być najlepszy. Jak zawsze.

Tak. To prawda. A rok później, kiedy Mort przygotowywał się do zakończenia studiów i sprzątał w szafie w obskurnym mieszkaniu w Lewiston, które dzielił z dwoma innymi studentami, natrafił na stertę materiałów z kursu Perkinsa. Wśród nich znajdowało się tylko jedno opowiadanie Kintnera. Tak się złożyło, że była to *Krucza mila*.

Mort pamiętał, jak usiadł na wytartym, śmierdzącym piwem dywanie w swojej sypialni, żeby przeczytać tekst, i ponownie ogarnęła go zazdrość.

Wy rzucił resztę materiałów, ale to opowiadanie zabrał ze sobą... z przyczyn, nad którymi nie chciał się dokładnie zastanawiać.

Jako student drugiego roku wysłał jedno ze swoich opowiadań do czasopisma literackiego „Aspen Quarterly”. Otrzymał odpowiedź, że tekst spodobał się czytelnikom, „choć zakończenie wydaje się raczej nieciekawe”. Autor listu, który był zarazem protekcjonalny i niezwykle ekscytujący, zachęcił Morta do nadsyłania innych tekstów.

W ciągu kolejnych dwóch lat Mort wysłał jeszcze cztery opowiadania. Żadnego nie przyjęto do druku, ale odmowom towarzyszyły osobiste listy. Jak u każdego niepublikowanego pisarza, optymizm przeplatał się u Morta z dojmującym pesymizmem. Niekiedy miał wrażenie, że to tylko kwestia czasu, zanim przebije się na łamy „Aspen Quarterly”, a niekiedy był przekonany, że cała redakcja – składająca się z samych chudych moli książkowych – po prostu z nim igra, tak jak człowiek, który

drażni się z głodnym psem, machając mu przed nosem kawałkiem mięsa i zabierając je w ostatniej chwili. Czasami wyobrażał sobie, że jeden z redaktorów wyjmując jego świeżo nadesłany maszynopis z koperty i woła: „Następne opowiadanie od tego ciotka z Maine! Kto chce tym razem napisać list?”. A potem wszyscy wybuchają śmiechem, może nawet tarzają się po podłodze pod plakatami przedstawiającymi Joan Baez oraz Moby Grape na koncercie w Fillmore.

Mort przeważnie bronił się przed takimi paranoicznymi myślami. Rozumiał, że jest dobry i sukces jest tylko kwestią czasu. Tamtego lata, kiedy pracował jako kelner w restauracji w Rockland, przypomniał sobie opowiadanie Johna Kintnera. Zapewne wciąż trzymał je na dnie kufra. Nagle wpadł na pewien pomysł. Zmienił tytuł i wysłał *Kruczą milę* do „Aspen Quarterly” pod własnym nazwiskiem! W ten sposób chciał sobie zażartować z redakcji, jednak z perspektywy czasu nie wiedział, na czym ten żart miałby polegać.

Pamiętał, że nie miał najmniejszego zamiaru opublikować tego tekstu pod własnym nazwiskiem... a jeśli nawet w głębi jego duszy pojawił się taki zamysł, to nie zdawał sobie z niego sprawy. Gdyby redakcja przyjęła opowiadanie, w co wątpił, od razu by je wycofał, tłumacząc, że chce jeszcze nad nim popracować. Gdyby je odrzuciła, przynajmniej poczułby się lepiej ze świadomością, że John Kintner również nie jest wystarczająco dobry dla „Aspen Quarterly”.

Zatem wysłał opowiadanie.

A oni je przyjęli.

A on im na to pozwolił.

Potem przysłali mu czek na dwadzieścia pięć dolarów, w załączonym liście informując, że to „honorarium”.

Następnie wydrukowali opowiadanie.

Wtedy Morton Rainey, przytłoczony spóźnionym poczuciem winy, zrealizował czek i wrzucił banknoty do puszki z datkami na biednych w kościele Świętej Katarzyny w Augustie.

Jednakże czuł nie tylko wyrzuty sumienia. O nie.

Mort siedział przy kuchennym stole, podpierając głowę jedną ręką, i czekał, aż zaparzy się kawa. Bolała go głowa. Nie chciał myśleć o Johnie Kintnerze i jego opowiadaniu. To, co zrobił z *Kruczą milą*, stanowiło jeden z najbardziej wstydlivych epizodów w jego życiu; czy powinno dziwić, że przez tyle lat wypierał go ze świadomości? Żałował, że znów nie może tego zrobić. W końcu czeka go ważny dzień – może najważniejszy w całym życiu. Może nawet ostatni. Powinien myśleć o wyprawie na pocztę. Powinien myśleć o konfrontacji z Shooterem, ale jego umysł nie potrafił się uwolnić od tamtej dawnej historii.

Kiedy zobaczył egzemplarz czasopisma, w którym podpisano jego nazwiskiem opowiadanie Johna Kintnera, poczuł się jak lunatyk, który nagle budzi się i odkrywa, że nieświadomie zrobił coś strasznego i nieodwracalnego. Jak mógł dopuścić, żeby to zaszło tak daleko? To miał być żart, na litość boską, zwykły figiel...

A jednak na to pozwolił. Opowiadanie się ukazało, a na świecie było co najmniej kilkanaście osób, które wiedziały, że nie jest jego autorem – wliczając samego Kintnera. A jeśli któraś z nich sięgnie po „Aspen Quarterly” ...?

Oczywiście nikomu o tym nie powiedział. Po prostu czekał, chory z przerażenia. Pod koniec lata i na początku jesieni źle sypiał i mało jadał; schudł i miał cienie pod oczami. Serce podchodziło mu do gardła za każdym razem, gdy dzwonił telefon. Jeśli ktoś chciał z nim rozmawiać, zimny pot występował mu na czoło i Mort z trudem włókł się do aparatu, przekonany, że to Kintner ze słowami: „Ukradłeś moją historię i coś trzeba z tym zrobić. Myślę, że zacznę od powiedzenia wszystkim, że jesteś złodziejem”.

Nie mógł uwierzyć w to, że się na to zdecydował. Przecież wiedział, jakie mogą być konsekwencje takiego postępu dla młodego człowieka marzącego o karierze pisarza. To jak gra w rosyjską ruletkę za pomocą bazooki. A jednak... mimo wszystko...

Tymczasem minęła jesień i Mort zaczął się nieco uspokajać. Ukazał się kolejny numer „Aspen Quarterly”, więc poprzedni już nie leżał na stołach w bibliotekach w całym kraju; trafił na półki albo został zarchiwizowany na mikrofilmie. Wciąż mógł mu narobić kłopotów – Mort zdawał sobie sprawę, że będzie musiał żyć z tą świadomością do końca swoich dni – jednak w większości wypadków co z oczu, to z serca.

W listopadzie przyszedł list z „Aspen Quarterly”.

Mort trzymał go w dłoniach, przyglądając się swojemu nazwisku na kopercie, i cały drżał. Jego oczy wypełniły się jakimś płynem, zbyt gorącym i gryzącym, żeby to były łzy, a koperta dwoiła i troiła mu się w oczach.

Przyłapali mnie. Będą chcieli, żebym odpowiedział na list, który otrzymali od Kintnera... albo Perkinsa... albo innego ze studentów... Wpadłem.

Pomyślał o samobójstwie – spokojnie i racjonalnie. Jego matka miała tabletki nasenne. Mógł z nich skorzystać. Nieco uspokojony tą perspektywą, rozdarł kopertę i wyjął pojedynczy arkusz papeterii. Długo nie rozkładał kartki, rozważając, czy jej nie spalić, nawet jej nie oglądając. Nie był pewien, czy wytrzyma bezpośrednio oskarżenie. Bał się, że straci rozum.

No dalej, do cholery, przeczytaj ten list. Powinieneś przynajmniej sprawdzić, jakie są konsekwencje twoich działań. Możliwe, że nie zdołasz się z nimi zmierzyć, ale chociaż się im przyjrzyj, na Boga.

Rozłożył kartkę.

Szanowny Panie Rainey!

Pańskie opowiadanie *Oko kruka* spotkało się u nas z niezwykle pozytywnym przyjęciem. Przepraszamy, że tak długo musiał Pan czekać na odpowiedź, ale prawdę mówiąc, spodziewaliśmy się, że to Pan się z nami skontaktuje. Przez lata regularnie przysyłał nam Pan swoje teksty, dlatego zaskoczyło nas Pańskie milczenie, gdy wreszcie się Panu udało. Jeżeli ma Pan jakiegokolwiek zastrzeżenia co do sposobu prezentacji Pańskiego tekstu – kroju czcionki, układu strony, miejsca zamieszczenia itp. – proszę dać nam znać. Czy możemy mieć nadzieję na kolejną opowieść?

Z poważaniem,
Charles Palmer
zastępca redaktora naczelnego

Mort przeczytał list dwukrotnie, a następnie zaczął się zanosić chrapliwym śmiechem. Całe szczęście, że w domu nie było nikogo innego. Słyszał o pękaniu ze śmiechu i miał wrażenie, że jeśli wkrótce nie przestanie, właśnie to go spotka, a jego wnętrzności wyleją się na podłogę. Był gotów zabić się za pomocą tabletek nasennych matki, a oni pytają, czy nie jest niezadowolony z kroju czcionki! Spodziewał się, że jego kariera dobiegła końca, zanim na dobre się rozpoczęła, a oni chcą więcej! Więcej!

Śmiał się – a raczej wył – aż wreszcie śmiech ustąpił miejsca histerycznym łzom. Mort usiadł na kanapie, ponownie przeczytał list od Charlesa Palmera i płakał, dopóki znów nie zaczął się śmiać. W końcu poszedł do swojego pokoju, położył się, ułożywszy za sobą poduszki tak, jak lubił, i zasnął.

Udało mu się. Taki był finał tej sprawy. Udało mu się i nigdy więcej nie zrobił niczego podobnego, a od tamtej pory minęło tysiąc lat, więc dlaczego teraz znów go to dręczy?

Nie wiedział, ale zamierzał przestać o tym myśleć.

– I to natychmiast – oznajmił pustemu pokojowi i szybkim krokiem podszedł do ekspresu do kawy, starając się zignorować ból głowy.

Przecież wiesz, dlaczego teraz o tym myślisz.

– Zamknij się – odpowiedział dziwnie pogodnym tonem... ale drżały mu ręce, kiedy podnosił ekspres.

Niektórych rzeczy nie da się ukrywać wiecznie, bo można się pochorować, Mort.

– Zamknij się, ostrzegam cię – ponownie odpowiedział pogodnym tonem.

Można się bardzo pochorować. Nawet dostać załamania ner...

– Zamknij się! – wykrzyknął i z całej siły rzucił ekspresem. Urządzenie przeleciało nad blatem, obracając się w powietrzu, uderzyło w okno, rozbiło się i spadło na podłogę. Mort przyjrzał

się oknu i zauważył długie srebrzyste pęknięcie, które zaczynało się w miejscu uderzenia i biegło zygzakiem ku górze. Czuł się tak, jakby podobne pęknięcie przecinało jego mózg.

Ale głos umilkł.

Mort nieśpiesznie przeszedł do sypialni, zabrał budzik i wrócił do salonu. Po drodze nastawił budzik na dziesiątą trzydzieści. Wtedy zamierzał pójść na pocztę, odebrać przesyłkę pozostawioną przez kuriera i spokojnie zakończyć ten koszmar.

Tymczasem mógł się przespać.

Położył się na kanapie, gdzie zawsze najlepiej mu się drzemało.

– To nie jest załamanie nerwowe – wyszeptał do głosu, ale ten nie zamierzał się z nim kłócić. Może wystraszył się i uciekł. Mort miał taką nadzieję, ponieważ sam z pewnością się go obawiał.

Odszukał wzrokiem srebrzyste pęknięcie na szybie i beznamiętnie je prześledził. Przypomniawszy sobie, jak użył klucza pokojówki. Przypomniawszy sobie pokój, w którym jego oczy potrzebowały chwili, żeby przywyknąć do ciemności. Ich nagie ramiona. Wystraszone oczy. Krzyczał. Nie pamiętał co – nigdy nie odważył się spytać Amy – ale pewnie coś przerażającego, biorąc pod uwagę ich spojrzenia.

Gdybym kiedyś miał przeżyć załamanie nerwowe, to właśnie wtedy, pomyślał, spoglądając na bezsensowne pęknięcie przypominające błyskawicę. Cholera, tamten list od redakcji „Aspen Quarterly” to nic w porównaniu z przyłapaniem żony z innym mężczyzną, cwaniaczkiem z agencji nieruchomości z jakiegoś zadupia w Tennessee...

Zamknął oczy, a kiedy ponownie je otworzył, zorientował się, że słyszy jakiś hałas. To był budzik. Mgła się rozwiała, wstało słońce i nadszedł czas, żeby się wybrać na pocztę.

Po drodze nagle nabrał pewności, że kurier przyjechał i odjechał, a Juliet pokaże swoją twarz w okienku, pokręci głową

i powie mu, że bardzo jej przykro, ale niczego dla niego nie ma. A jego dowód? Rozwieje się jak dym. To było irracjonalne uczucie – Herb był przezornym człowiekiem, który nie składał obietnic bez pokrycia – ale zbyt silne, żeby je zlekceważyć.

Musiał się zmusić do wyjścia z samochodu, a potem odniósł wrażenie, że od drzwi poczty do okienka, w którym Juliet Stoker segregowała przesyłki, dzieli go co najmniej tysiąc kilometrów.

Kiedy wreszcie do niego dotarł, próbował się odezwać, ale z jego ust nie wydobyły się żadne słowa. Poruszał wargami, miał jednak zbyt wyschnięte gardło, żeby wydać jakikolwiek dźwięk. Juliet podniosła na niego wzrok, a następnie się cofnęła. Sprawiała wrażenie zaniepokojonej, ale nie tak zaniepokojonej jak Amy i Ted, kiedy otworzył drzwi motelowego pokoju i wycelował do nich z pistoletu.

– Panie Rainey? Wszystko w porządku?

Odchrząknął.

– Wybacz, Juliet. Na chwilę zacisnęło mi się gardło.

– Jest pan bardzo błąd. – W jej głosie słyszał ton, którym rozmawiało z nim wielu mieszkańców Tashmore; pobrzmiwała w nim duma, ale zarazem rozdrażnienie i pogarda, jakby był cudownym dzieckiem, które wymaga szczególnej troski i specjalnych względów.

– Chyba zaszkoziło mi coś, co wczoraj zjadłem – powiedział.

– Czy kurier z Federal Express coś dla mnie zostawił?

– Nie, niczego.

– Słucham? – Rozpaczliwie zacisnął dłonie na spodniej krawędzi blatu, przez chwilę mając wrażenie, że zemdleje; chociaż niemal od razu zrozumiał, że Juliet wcale tego nie powiedziała.

Już zdążyła się odwrócić; pochyliła się i zaczęła przeglądać paczki leżące na podłodze, prezentując mu swój krzepki wiejski tyłek.

– Jak powiedziałam, tylko jedną rzecz – odparła, a następnie odwróciła się i pchnęła w jego stronę przesyłkę. Mort zobaczył, że jako nadawcę wpisano „Magazyn Detektywistyczny Ellery

Queen” w Pensylwanii, i poczuł zalewającą go falę ulgi. Zupełnie jakby wlał sobie chłodną wodę do wyschniętego gardła.

– Dziękuję.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Kierownictwo poczty wpadłoby w szal, gdyby wyszło na jaw, że przyjmujemy przesyłki od faceta z Federal Express.

– Jestem niezmiernie wdzięczny – odrzekł Mort. Teraz kiedy już zdobył czasopismo, chciał jak najszybciej uciec do domu. To pragnienie było jak pierwotny instynkt. Nie wiedział, dlaczego jest tak silne – do południa została mu jeszcze godzina i kwadrans – ale nad nim nie panował. Targany zgryzotą i zagubiony, rozważał wręczenie Juliet napiwku, żeby się zamknęła... ale to skłoniłoby jej dogłębnie jankeską duszę do głośnego buntu.

– Nie powie im pan, prawda? – spytała figlarnie.

– Nie ma mowy – zapewnił i zdołał się uśmiechnąć.

– To dobrze – odrzekła wesoło. – Ponieważ widziałam, co pan zrobił.

Zatrzymał się w drzwiach.

– Słucham?

– Powiedziała, że by mnie zastrzelili, gdyby pan to zrobił. – Przypatrywała się jego twarzy. – Powinien pan wrócić do domu i się położyć, panie Rainey. Naprawdę niezbyt dobrze pan wygląda.

– Może to nie jest zły pomysł – przyznał. – Wciąż czuję się słaby.

– Krąży jakiś wirus. Pewnie go pan złapał.

Potem dwie kobiety z Camp Wigmore – te, które wszyscy w miasteczku podejrzewali o bycie lesbijkami, co prawda dyskretnymi – weszły do budynku i Mort się ulotnił. Usiadł w buicku z niebieską paczką na kolanach. Nie podobało mu się, że w oczach wszystkich wygląda na chorego, ale jeszcze mniej mu się podobało, w jaki sposób działa jego umysł.

To bez znaczenia. To już prawie koniec.

Zaczął otwierać kopertę, ale wtedy kobiety z Camp Wigmore wyszły z poczty i zaczęły mu się przyglądać. Patrzyły na niego obie. Jedna się uśmiechnęła, druga roześmiała się na głos. A Mort nagle postanowił, że otworzy przesyłkę dopiero po powrocie do domu.

44

Jak zwykle zaparkował buicka pod ścianą domu, wyłączył silnik... a potem miękka szarość przesłoniła mu wzrok. Kiedy ustąpiła, poczuł się nieswojo i ogarnął go lęk. Czy coś mu dolega? Jakaś choroba ciała?

Nie, po prostu jest przemęczony.

Coś usłyszał – a przynajmniej tak mu się wydawało – i szybko się obejrzał. Pusto. Weź się w garść, pomyślał roztrzęsiony. To wystarczy, weź się, kurwa, w garść.

Następnie pomyślał:

Miałem pistolet. Tamtego dnia. Ale nie był naładowany. Później im o tym powiedziałem. Amy mi uwierzyła. Nie wiem, czy Milner też, ale Amy na pewno, a...

Naprawdę, Mort? Naprawdę nie był naładowany?

Ponownie pomyślał o pękniętym oknie, bezsensownej srebrzystej błyskawicy, która przecięła wszystko na pół. *Właśnie tak się dzieje. Tak się dzieje w życiu człowieka.*

Potem znów popatrzył na paczkę od Federal Express. To o niej powinien myśleć, a nie o Amy albo dupku Tedzie z Shooter's Knob w Tennessee.

Skrzydełko koperty było w połowie oderwane – w tych czasach wszyscy są tacy niedbali. Otworzył je i wytrząsnął czasopismo na kolana. Jaskrawoczerwone logo głośiło: „Magazyn Detektywistyczny Ellery Queen”. Poniżej, znacznie mniejszą czcionką, napisano: „czerwiec 1980”. Jeszcze niżej znajdowały się nazwiska kilku pisarzy, których teksty zamieszczono w tym numerze. Edward D. Hoch. Ruth Rendell. Ed McBain. Patricia Highsmith. Lawrence Block.

Jego nazwiska nie było na okładce.

Oczywiście, że nie. Wtedy był jeszcze praktycznie nieznany, a z pewnością nie jako autor opowiadań detektywistycznych. *Pora zasiewu* była jednorazowym wybrykiem. Jego nazwisko nic nie mówiło stałym czytelnikom czasopisma, dlatego redaktorzy go nie wyeksponowali. Otworzył magazyn.

Nie znalazł spisu treści.

Ktoś go wyciął.

Zaczął rozpaczliwie kartkować czasopismo, upuszczając je i ponownie podnosząc z cichym okrzykiem. Za pierwszym razem nie zauważył luki, ale za drugim zorientował się, że zniknęły strony od 83 do 97.

– Wyciąłeś je! – wrzasnął tak głośno, że aż oczy wyszły mu z orbit. Zaczął raz za razem tłuc pięściami w kierownicę buicka. Klakson bekał i ryczał. – Wyciąłeś je, ty sukinsynu! Jak to zrobiłeś? Wyciąłeś je! Wyciąłeś! Wyciąłeś!

45

Był w połowie drogi do domu, kiedy morderczy głos w jego głowie zaczął się zastanawiać, jak Shooter mógł tego dokonać. Federal Express dostarczył kopertę z Pensylwanii, a wtedy od razu przejęła ją Juliet, więc jak, na Boga...

Zamarł.

„To dobrze – powiedziała Juliet. – Ponieważ widziałam, co pan zrobił”.

No właśnie; oto wyjaśnienie. Juliet była częścią spisku. Tylko że...

Tylko że Juliet od zawsze mieszka w Tashmore.

Poza tym wcale tego nie powiedziała. Te słowa zabrzmiały w jego umyśle. Były owocem jego rozbuchanej paranoi.

– A jednak to jego sprawka – rzekł Mort. Wszedł do domu i zaraz za progiem z całych sił cisnął czasopismem. Poleciało jak wystraszony ptak, powiewając kartkami, i z klaśnięciem

wylądowało na podłodze. – O tak, żebyś, kurwa, wiedział, że to jego sprawka. Ale nie muszę beczynn timer na niego czekać. Mogę...

Zobaczył kapelusz Shootera. Leżał na podłodze przed drzwiami gabinetu.

Mort przez chwilę stał w miejscu, słysząc w uszach łomotanie serca, a potem na palcach podkradł się do kuchenki, niczym postać z kreskówki. Wyjął pogrzebacz ze stojaka z narzędziami i skrzywił się, gdy końcówka pogrzebacza lekko stuknęła o łopatkę do popiołu. Ostrożnie wrócił do zamkniętych drzwi, trzymając pogrzebacz tak samo jak wcześniej, kiedy zakradł się do łazienki. Po drodze musiał ominąć porzucone czasopismo.

Dotarł do drzwi i przed nimi stanął.

– Shooter?

Nikt nie odpowiedział.

– Shooter, lepiej niech pan sam wyjdzie! Jeśli będę musiał tam po pana wejść, już nigdy samodzielnie nigdzie pan nie pójdzie!

Nadal nikt nie odpowiadał.

Mort jeszcze przez chwilę stał przed drzwiami, zbierając siły (choć nie był pewien, czy mu ich wystarczy), a potem przekręcił gałkę. Uderzył w drzwi ramieniem i wpadł do środka, krzycząc oraz wymachując pogrzebaczem...

Pomieszczenie było puste.

Jednak Shooter tutaj był, to nie ulegało wątpliwości. Terminal edytora tekstów leżał na podłodze, a jego rozbity ekran przypominał szeroko rozwarte oko. Shooter go zniszczył. Na biurku w miejscu po edytorze tekstów stała stara maszyna do pisania Royal. Stalowe powierzchnie tego starocia były matowe i zakurzone. O klawiaturę oparto maszynopis. Tekst Shootera, który wieki temu zostawił pod kamieniem na werandzie.

To było *Ukryte okno, ukryty ogród*.

Mort upuścił pogrzebacz na podłogę. Jak zahipnotyzowany podszedł do biurka i wziął do ręki maszynopis. Powoli go przekartkował i zrozumiał, dlaczego pani Gavin była pewna, że to jego dzieło, i uratowała je ze śmietnika. Może nie wiedziała tego świadomie, ale jej oko rozpoznało nietypową czcionkę. Nic

dziwnego, przecież przez lata miała kontakt z podobnymi maszynopisami. Edytor tekstów marki Wang i drukarka laserowa System Five były stosunkowo nowymi nabytkami. Przez większość swojej kariery Mort korzystał z tego starego royala. Maszyna niemal całkowicie się zużyła i stawiała na papierze litery, które przypominały krzywe uzębienie starca.

Ale przez cały czas tu była – ukryta w głębi szafy za stertami starych korekt i maszynopisów... które redaktorzy nazywają „odpadami”. Shooter zapewne ją ukradł, napisał na niej swój tekst, a potem zakradł się z powrotem, kiedy Mort był na poczcie. Jasne. To ma sens, prawda?

Nie, Mort. To nie ma sensu. Chciałbyś zrobić coś sensownego? Zadzwoń na policję. To ma sens. Zadzwoń na policję i powiedz im, żeby przyjechali i cię zamknęli. Niech się pośpieszą, zanim narobisz jeszcze więcej szkód. Zanim znów kogoś zabijesz.

Mort z donośnym krzykiem upuścił kartki; powoli opadały wokół niego, podczas gdy prawda uderzyła go jak srebrzysta błyskawica.

46

Nie było żadnego Johna Shootera.

Nigdy nie istniał.

– Nie – powiedział Mort. Znów krążył po rozległym salonie. Ból głowy na zmianę napływał falami i ustępował. – Nie, nie akceptuję tego. Absolutnie nie przyjmuję tego do wiadomości.

Tylko że jego akceptacja bądź odrzucenie niczego nie mogły zmienić. Wszystkie elementy układanki znalazły się na miejscu, a kiedy Mort zobaczył starą maszynę do pisania, idealnie się do siebie dopasowały. Minęło piętnaście minut, a one nadal tworzyły spójny obraz, którego nie miał siły zburzyć.

Przypomniał sobie pracownika stacji benzynowej w Mechanic Falls, który umył mu przednią szybę gumową wycieraczką. Nie spodziewał się, że jeszcze kiedyś zobaczy coś takiego. Później uznał, że chłopak wyświadczył mu tę dodatkową przysługę,

ponieważ rozpoznał Morta i lubił jego książki. Niewykluczone, jednak szyba rzeczywiście wymagała mycia. Lato minęło, ale wciąż łatwo było zachłapać szybę, jeśli pojechało się wystarczająco daleko i szybko po bocznych drogach. A Mort zapewne korzystał z bocznych dróg. Musiał w rekordowym tempie pojechać do Derry i z powrotem, zatrzymując się tylko po to, żeby podpalić swój dom. Nawet nie zdążył zatankować. W końcu miał wiele miejsc do odwiedzenia i kotów do zabicia, czyż nie? Był zajęty, zajęty, zajęty.

Przystanął na środku piętra i obrócił się, żeby wyrzeć przez okno.

– Skoro to wszystko zrobiłem, to dlaczego niczego nie pamiętam? – spytał srebrzyste pęknięcie na szybie. – Dlaczego nie pamiętam nawet teraz?

Nie wiedział... ale już rozumiał, skąd się wzięły imię i nazwisko jego prześladowcy. Imię zapożyczył od młodzieńca z Południa, którego opowiadanie ukradł w college'u, a nazwisko od mężczyzny, który ukradł mu żonę. To przypominało jakiś dziwaczny literacki branżowy żart.

Ona twierdzi, że go kocha, Mort. Twierdzi, że to jego teraz kocha.

– Pieprzyć to. Mężczyzna, który sypia z czyjąś żoną, jest złodziejem. A jego kochanka jest współniczką.

Popatrzył wyzywająco na pęknięcie.

Nic nie odpowiedziało.

Trzy lata temu Mort wydał powieść *Rodzina Delacourtów*. Na opowiadaniu Shootera zamieszczono adres zwrotny w Dellacourt w stanie Missisipi. To...

Nagle pobiegł do gabinetu po encyklopedię, ślizgając się i niemal przewracając na kartkach zaścielających podłogę. Wziął z półki tom z literą M i po chwili znalazł hasło Missisipi. Przesunął drżącym palcem po liście miast – zajmowała całą stronę – wciąż wierząc wbrew nadziei.

Nic z tego.

W Missisipi nie ma miasta Dellacourt ani Delacourt.

Miał zamiar poszukać Perkinsburga, miasteczka, w którym Shooter rzekomo kupił egzemplarz *Każdy jest kapusiem*, zanim wsiadł do autobusu Greyhound, ale zamknął encyklopedię. Po co się męczyć? Może w Missisipi jest jakiś Perkinsburg, ale to i tak o niczym nie świadczy.

Powieściopisarz prowadzący kurs, na którym Mort poznał Johna Kintnera, nazywał się Richard Perkins Jr. To stąd wzięła się nazwa miejscowości.

Tak, ale nic z tego nie pamiętam, więc jak...?

Och, Mort... zawodził głos. Jesteś bardzo chory. Jesteś schorowanym człowiekiem.

– Nie przyjmuję tego do wiadomości – rzekł, przerażony tym, jak słabo zabrzmiał jego głos, ale jakie miał inne wyjście? Czy kiedyś nie odniósł wrażenia, że wykonuje różne czynności i podejmuje nieodwracalne działania, gdy śpi?

Zabiłeś dwie osoby, szepnął głos. Zabiłeś Toma, ponieważ tamtego dnia widział, że byłeś sam, a także Grega, żeby się o tym nie dowiedział. Gdybyś zabił tylko Toma, Greg zadzwoniłby na policję. A ty tego nie chciałeś, nie mogłeś na to pozwolić. Przynajmniej dopóki ta straszliwa historia, którą opowiadasz, nie dobiegnie końca. Kiedy wczoraj wstałeś, byłeś taki obolały. Obolały i zeszywniały. Ale nie tylko dlatego, że wyważyłeś drzwi do łazienki i rozbiłeś drzwi prysznicowe, prawda? Zrobiłeś znacznie więcej. Musiałeś się zająć Tomem i Gregiem. No i miałeś rację co do tego, w jaki sposób krążyły samochody... tylko że to ty pobiegłeś do domu Toma, żeby zabrać buickę, i to ty zadzwoniłeś do Sonny'ego Trottsa, podszywając się pod Toma. Człowiek, który niedawno przyjechał do miasta, nie wiedziałby, że Sonny jest odrobinę przygłuchy, ale ty doskonale zdawałeś sobie z tego sprawę. Zabiłeś ich, Mort, zabiłeś tych ludzi!

– Nie przyjmuję tego do wiadomości! – wrzasnął. – To wszystko jest częścią jego planu! To część jego gry! Jego manipulacji! A ja nie... nie przyjmuję...

Przestań, szepnął głos w jego głowie i Mort znieruchomiał.

Całkowita cisza zapadła w obu światach: tym w jego głowie i tym na zewnątrz.

Po jakimś czasie głos spytał cicho:

Po co to zrobiłeś, Mort? Po co ten cały skomplikowany plan zabójstwa? Shooter powtarzał, że chce dostać opowiadanie, ale przecież nie ma żadnego Shootera. Więc czego ty chcesz, Mort? Po co stworzyłeś Shootera?

Nagle na zewnątrz rozległ się odgłos samochodu wjeżdżającego na podjazd. Mort zerknął na zegarek i zobaczył, że jest samo południe. Płomień triumfu i ulgi przetoczył się przez niego z rykiem, jak płomienie buchające z wylotu komina. Nieistotne, że nie ma dowodu, chociaż zdobył czasopismo. Nieistotne, że Shooter może go zabić. Umrze szczęśliwy, jeśli okaże się, że John Shooter rzeczywiście istnieje, a on nie dopuścił się tych przerażających czynów.

– Przyjechał! – zawołał wesoło i wybiegł z gabinetu. Wymachiwał rękami nad głową, a kiedy skręcał do przedpokoju, aż podskoczył z radości.

Zatrzymał się, wyglądając na podjazd ponad pochyłą pokrywę szafki na śmieci, do której przygwożdżono ciało Kraksy. Powoli opuścił ręce wzdłuż ciała. Jego umysł opanowała mroczna groza. Opadła na niego niczym cień bezlitosnej dłoni. Ostatni element układanki trafił na swoje miejsce. Przed chwilą w gabinecie przyszło mu do głowy, że stworzył fikcyjnego zabójcę, ponieważ brakowało mu odwagi, żeby popełnić samobójstwo. Teraz zrozumiał, że Shooter nie kłamał, gdy zapewniał, iż nigdy go nie zabije.

Przed domem nie zatrzymało się wymyślone kombi Johna Shootera, ale niewielkie praktyczne subaru należące do Amy. To ona siedziała za kółkiem. Ukradła jego miłość, a kobieta, która kradnie twoją miłość, gdy miłość jest naprawdę wszystkim, co posiadasz, nie jest wiele warta.

Mimo to ją kochał.

To Shooter jej nienawidził. To on zamierzał ją zabić, a następnie pogrzebać nad jeziorem niedaleko Kraksy, gdzie

wkrótce stanie się zagadką dla nich obojga.

– Odejdź stąd, Amy – wyszeptał z trudem, a jego głos zabrzmiał jak głos starca. – Odejdź, zanim będzie za późno.

Ale Amy już wysiadała z samochodu, a kiedy zamknęła za sobą drzwi, dłoń rzuciła cień na umysł Morta, który pogrążył się w ciemności.

47

Amy przekręciła gałkę i odkryła, że drzwi są otwarte. Weszła do domu i zaczęła wołać Morta, ale po chwili zamilkła. Rozejrzała się z niepokojem szeroko otwartymi oczyma.

W domu panował bałagan. Odpadki wysypywały się z przepełnionego kosza na śmieci. Kilka leniwych jesiennych much pełzało po aluminiowej formie do ciasta, którą porzucono w kącie. Wokół unosiła się zatęchła woń starych potraw, a nawet zepsutego jedzenia.

– Mort?

Nikt nie odpowiedział. Weszła głębiej, stawiając drobne kroki, niepewna, czy chce oglądać resztę domu. Pani Gavin była tutaj zaledwie trzy dni wcześniej – jak to możliwe, żeby od tamtej pory wszystko aż tak wymknęło się spod kontroli? Co się stało?

Przez cały ostatni rok ich małżeństwa martwiła się o Morta, ale jeszcze większy niepokój ogarnął ją po rozwodzie. Niepokój, a także, oczywiście, poczucie winy. Częściowo obwiniała siebie i podejrzewała, że już zawsze tak będzie. Ale Mort nigdy nie był silny... a jego największą słabością było uparte (czasami niemal histeryczne) zaprzeczanie faktom. Tego ranka brzmiał, jakby był na granicy samobójstwa. Amy nie zabrała ze sobą Teda, bo obawiała się, że jeśli Mort rzeczywiście znajdował się na krawędzi, to widok Teda może wyprowadzić go z równowagi.

Myśl o morderstwie nigdy nie przyszła jej do głowy, ani wcześniej, ani teraz. Nawet kiedy wycelował do nich z pistoletu tamtego straszliwego popołudnia w motelu, Amy się nie bała. Nie tego. Mort nie był zabójcą.

– Mort? M...

Okrążyła kuchenną wyspę i cały jej świat się zawalił. Przypatrywała się salonowi oszołomionym wzrokiem. Wszędzie leżały kartki. Wyglądało na to, że Mort wyciągnął wszystkie maszynopisy, jakie trzymał w szufladach biurka oraz teczkach, i rozrzucił je po pokoju jak konfetti na sylwestrowej zabawie. Na stole piętrzyły się brudne naczynia. Rozbity ekspres do kawy leżał na podłodze pod oknem z pękniętą szybą.

A wszędzie, wszędzie, wszędzie widniało jedno słowo. SHOOTER.

Wypisano je na ścianach kolorową kredą, która zapewne pochodziła z jej szuflady z przyborami plastycznymi. Wypisano je dwukrotnie na oknie czymś, co wyglądało jak zaschnięta bita śmietana – rzeczywiście, pod kuchenką leżała porzucona puszka. Wypisano je wielokrotnie tuszem na kuchennych blatach, a także ołówkiem na drewnianych podporach tarasu po drugiej stronie domu – w równych rzędkach niczym słupki dodawania, które ciągnęły się z góry na dół w linii prostej, głosząc: SHOOTER, SHOOTER, SHOOTER, SHOOTER.

Co gorsza, to samo słowo wycięto na wypolerowanym blacie stołu z wiśniowego drewna, nierównymi niemal metrowymi literami, niczym groteskowe wyznanie miłości: SHOOTER.

Śrubokręt, którego Mort użył do wykonania tego napisu, leżał na pobliskim krześle. Na stalowym grocie wciąż znajdowały się czerwone plamy – Amy podejrzewała, że to ślady drewna.

– Mort? – szepnęła, rozglądając się.

Zaczęła się obawiać, że odebrał sobie życie. Ale gdzie? Oczywiście w swoim gabinecie. Gdzieżby indziej? Spędził tam wszystkie najważniejsze chwile swojego życia, więc z pewnością właśnie tam postanowił umrzeć.

Chociaż nie miała ochoty tam wejść i go znaleźć, stopy same ją poniosły. Po drodze odepchnęła nogą egzemplarz „Magazynu Detektywistycznego”, który przysłał Herb Creekmore. Nie patrzyła w dół. Dotarła do drzwi gabinetu i powoli je otworzyła.

Mort stał przed starą maszyną do pisania Royal; ekran i klawiatura jego edytora tekstów leżały na podłodze, otoczone rozbitym szkłem. Trochę przypominał wiejskiego kaznodzieję. Częściowo za sprawą pozy, którą przybrał – stał sztywno z dłońmi za plecami – jednak głównie z powodu kapelusza. Czarny kapelusz, który tak mocno wcisnął na głowę, że rondo niemal dotykało czubków uszu. Miała wrażenie, że wygląda jak starszy mężczyzna na obrazie *Amerykański gotyk*, chociaż tamten nie nosił kapelusza.

– Mort? – odezwała się. Jej głos brzmiał słabo i niepewnie.

Nie odpowiedział, tylko na nią patrzył. Miał ponure, lśniące oczy. Nigdy nie widziała, żeby tak wyglądały, nawet w tamto straszliwe popołudnie w motelu. Zupełnie jakby to nie był Mort, tylko obcy człowiek, który go przypomina.

Rozpoznała jednak ten kapelusz.

– Gdzie znalazłeś to, co masz na głowie? Na strychu? – Jej głos drżał w rytm mocno bijącego serca.

Na pewno znalazł go na strychu. Nawet z miejsca, w którym stała, czuła, że cuchnie naftaliną. Mort kupił go wiele lat temu, w sklepiku z podarunkami w Pensylwanii, gdy podróżowali przez tereny amiszów. W Derry, tam gdzie stykały się ściany domu i gabinetu, założyła niewielki ogródek. To był jej ogródek, ale Mort często pomagał jej w pieleniu, kiedy potrzebował natchnienia do pracy. Zazwyczaj wkładał wtedy ten kapelusz. Mówił, że pobudza jego szare komórki. Amy pamiętała, jak pewnego dnia stanął w nim przed lustrem i zażartował, że powinien sobie zrobić takie zdjęcie na obwolucie książki. „Kiedy go wkładam, wyglądam jak mieszkaniec jakiejś dziury zabitej dechami, dopiero co oderwany od pługą”.

Potem kapelusz zniknął. Zapewne trafił do tego domu i Mort gdzieś go schował. Ale...

– To mój kapelusz – rzekł Mort niewyraźnym, zakłopotanym głosem. – Nigdy nie należał do nikogo innego.

– Mort? Co się stało? Co...

– Pomyliłaś numer, kobieto. Tutaj nie ma żadnego Morta. Mort nie żyje. – Jego świdrujące spojrzenie było niewzruszone. – Strasznie się miotał, ale w końcu nie mógł dłużej się okłamywać, a co dopiero mnie. Nie tknąłem go nawet palcem, pani Rainey. Przysięgam. Skończył jak tchórz.

– Dlaczego tak dziwnie mówisz? – spytała Amy.

– A jak mam mówić? – spytał zaskoczony. – Wszyscy w Miss’ipi tak mówią.

– Mort, przestań!

– Nie rozumie pani, co powiedziałem? Chyba nie jest pani głucha? On nie żyje. Zabił się.

– Przestań – poprosiła i zaczęła płakać. – Przerażasz mnie i wcale mi się to nie podoba.

– To bez znaczenia. – Wyjął ręce z za pleców. W jednej dłoni trzymał nożyczki, które znalazł w górnej szufladzie biurka. Uniósł je nad głowę. Wyszło słońce i gwiazdziste refleksy zabłyśły na ostrzach. Mort otworzył je i zamknął ze szczękiem. – Wkrótce przestanie się pani bać. – Ruszył w jej stronę.

49

Przez chwilę stała jak zamurowana. Przecież Mort jej nie zabije; gdyby był do tego zdolny, z pewnością zrobiłby to tamtego dnia w motelu.

Potem zobaczyła wyraz jego oczu i zrozumiała, że on również to wie.

Ale to nie był on.

Wrzasnęła, obróciła się na pięcie i rzuciła w stronę drzwi.

Shooter ruszył za nią, opuszczając nożyczki po srebrzystym łuku. Whiłby je między jej łopatki aż po rękajeść, gdyby nie poślizgnął się na kartkach pokrywających podłogę z twardego drewna. Runął jak długi z wrzaskiem zaskoczenia i wściekłości. Nożyczki przebiły dziewiątą stronę *Ukrytego okna, ukrytego ogrodu*, a końcówki ostrzy się odłamały. Uderzył o posadzkę

ustami, tak że trysnęła z nich krew. Paczka pall malli – John Kintner potajemnie palił papierosy tej marki podczas przerw w połowie zajęć z pisania, na które uczęszczał razem z Mortem Raineyem – wypadła z kieszeni i przejechała kawałek po śliskim drewnie jak krążek hokejowy. Podźwignął się na kolana, warcząc i uśmiechając się poprzez krew, która spływała mu po ustach i zębach.

– To pani w niczym nie pomoże, pani Rainey! – zawołał, wstając z podłogi. Popatrzył na nożyczki, otworzył je ze szczękiem, żeby przyrzeć się stępionym końcówkom, a następnie zniecierpliwiony odrzucił je na bok. – Przygotowałem dla pani miejsce w ogrodzie! Starannie je wybrałem. Niech się pani nie opiera!

Wybiegł z pokoju w ślad za nią.

50

W połowie salonu Amy również straciła równowagę. Postawiła stopę na porzuconym egzemplarzu „Magazynu Detektywistycznego” i runęła na bok, uderzając się w biodro i prawą pierś. Krzyknęła z bólu.

Shooter podbiegł do stołu i chwycił śrubokręt, którym przygwoździł kota.

– Niech się pani nie rusza – powiedział, kiedy przewróciła się na plecy i popatrzyła na niego szeroko otwartymi oczyma, które wyglądały, jakby była odurzona. – Jeśli będzie się pani wierciła, będę musiał panią skrzywdzić, zanim to się skończy. Nie chcę tego robić, ale nie zawaham się, jeśli mnie pani zmusi. Muszę coś zabrać. Pokonałem taki kawał drogi i coś mi się należy za fatygę.

Kiedy się zbliżył, Amy podparła się na łokciach i odepchnęła stopami. Włosy opadły jej na twarz. Jej skórę pokrywał gorący pot; czuła jego smród. Twarz, która pochylała się nad nią, poważna i oceniająca, była kwintesencją szaleństwa.

– Nie, Mort! Proszę! Błagam cię...

Rzucił się na nią, unosząc śrubokręt nad głowę, a potem błyskawicznie go opuszczając. Amy wrzasnęła i przetoczyła się w lewo. Ból wypalił linię na jej biodrze, kiedy śrubokręt rozdarł jej sukienkę i zagłębił się w ciało. Zdołała dźwignąć się na kolana, słysząc i czując, jak od sukienki oddziera się długi pas materiału.

– Nie, proszę pani – wydyszał Shooter. Zacisnął dłoń na jej kostce. – Nie, proszę pani. – Obejrzała się i poprzez splątane włosy zauważyła, że drugą ręką usiłuje wyrwać śrubokręt wbity w podłogę. Kapelusz z okrągłym denkiem przekrzywił mu się na głowie.

Uwolnił śrubokręt i wbił go w jej prawą łydkę.

Ból był straszliwy. Stał się jej całym światem. Wrzasnęła i wierzgnęła nogą, trafiając napastnika w twarz i łamiąc mu nos. Shooter stęknął i upadł na bok, przyciskając ręce do twarzy, a Amy wstała. Słyszała wycie jakiejś kobiety. Zupełnie jakby pies wył do księżycy. Podejrzewała, że to nie pies. Podejrzewała, że to ona.

Shooter już się podnosił. Dolną część twarzy zalała mu krew, tworząc czerwoną maskę. Maska się rozdzieliła, ukazując krzywe przednie zęby Morta Raineya. Amy wciąż pamiętała, jak je lizała.

– Krewka z pani sztuka, co? – spytał z szerokim uśmiechem. – Nic nie szkodzi. Niech pani nie przestaje.

Skoczył w jej stronę.

Amy zatoczyła się do tyłu, a śrubokręt wypadł z jej łydki i potoczył się po podłodze. Shooter na niego zerknął, a następnie ponownie do niej doskoczył, niemal figlarnie. Amy chwyciła jedno z krzeseł w salonie i rzuciła mu je pod nogi. Przez chwilę patrzyli na siebie ponad meblem... a potem Shooter spróbował złapać ją za sukienkę. Amy odskoczyła.

– Mam już dosyć zabawy z panią – wydyszał.

Odwróciła się i rzuciła do drzwi.

Od razu znalazł się tuż za nią, a opuszki jego palców ześlizgnęły się po jej karku, usiłując zacisnąć się na kołnierzu sukienki. Przez chwilę ją trzymał, ale zdołała się wyrwać, zanim ją do siebie przyciągnął.

Pędem minęła kuchenny blat i pobiegła do tylnych drzwi. W jej prawym mokasynie coś chlupotało. Był pełen krwi. Shooter, ciężko dysząc i wydmuchując nosem bąbelki krwi, usiłował ją pochwycić.

Uderzyła dłońmi w drzwi z moskitierą, a potem potknęła się i runęła na werandę, ze świstem wypuszczając powietrze. Upadła dokładnie w miejscu, w którym Shooter zostawił maszynopis. Przetoczyła się i zobaczyła, że się do niej zbliża. Miał puste ręce, ale wydawało się, że stanowią wystarczającą broń. Spod runda kapelusza wyzierały surowe, nieruchome i przerażająco życzliwe oczy.

– Tak mi przykro, proszę pani – powiedział.

– Rainey! – rozległ się czyjś głos. – Stój!

Usiłowała się obejrzeć, ale nie mogła. Naciągnęła jakiś mięsień w szyi. Shooter nawet nie próbował. Po prostu ku niej ruszył.

– Rainey! Stój!

– Nie ma tutaj żadnego Raineya... – zaczął, a potem jesienne powietrze przeszył huk wystrzału. Shooter zatrzymał się w miejscu i popatrzył z zaciekawieniem, niemal beztrosko, na swoją klatkę piersiową. Ział w niej niewielki otwór. Nie płynęła z niego krew – przynajmniej na razie – ale tam był. Przyłożył do niego dłoń, po czym ją cofnął. Na palcu wskazującym widniała czerwona kropka. Nieco przypominała kropkę kończącą zdanie. Patrzył na nią z namysłem. Potem opuścił ręce i spojrzał na Amy. – Kochanie? – spytał, a następnie upadł obok niej na drewnianą werandę.

Przetoczyła się, dźwignęła na łokcie i podpełzła do niego, wybuchając płaczem.

– Mort?! – zawołała. – Mort? Proszę, odezwij się!

Ale on nie zamierzał niczego mówić, a Amy po chwili to zrozumiała. Przez kolejne tygodnie i miesiące na zmianę odrzucała od siebie myśl o jego śmierci i na nowo ją sobie uświadamiała. Mort umarł. Mort umarł. Oszalał i stracił życie.

On i ten ktoś, kto znajdował się w jego wnętrzu.

Położyła głowę na jego piersi i zapłakała, a kiedy ktoś zbliżył się do niej od tyłu i pocieszająco położył dłoń na jej ramieniu, Amy się nie obejrzała.

EPILOG

Mniej więcej trzy miesiące po wydarzeniach nad jeziorem Tashmore Ted i Amy Milnerowie przyjechali spotkać się z człowiekiem, który zastrzelił pierwszego męża Amy, znanego pisarza Mortona Raineya. Widzieli się z nim już wcześniej, podczas trzymiesięcznego dochodzenia, ale wtedy była to oficjalna okazja, a Amy nie chciała rozmawiać z nim osobiście. Nie tam. Była mu wdzięczna za ocalenie życia, ale Mort był jej mężem, kochała go przez wiele lat i w głębi duszy czuła, że nie tylko Fred Evans pociągnął za spust.

Podejrzewała, że w końcu i tak by do niego przyszła, żeby jak najlepiej wyjaśnić tamte zdarzenia. Być może stałoby się to po roku, dwóch latach albo nawet trzech. Jednak wydarzyło się coś, co skłoniło ją do większego pośpiechu. Miała nadzieję, że Ted pozwoli jej przyjechać do Nowego Jorku samej, ale zbyt szybko o nią troszczył. Ostatnim razem, gdy puścił ją gdzieś samą, niemal zginęła.

Amy nieco oschle zauważyła, że Tedowi trudno byłoby ją „puścić”, skoro wtedy nie powiedziała mu, że się gdziekolwiek wybiera, ale on tylko wzruszył ramionami. Zatem udali się do Nowego Jorku razem, wjechali na pięćdziesiąte trzecie piętro okazałego drapacza chmur i wspólnie weszli do niewielkiego boksu w biurze spółki Consolidated Assurance, które w porze pracy stanowiło dom Freda Evansa... chyba że akurat przebywał w terenie.

Amy usiadła w najdalszym kącie i chociaż w biurze było ciepło, szczelnie owinęła się szalem.

Evans był powolny i serdeczny – przypominał jej wiejskiego lekarza, który zajmował się nią, gdy chorowała w dzieciństwie –

a Amy go lubiła. Ale tego nigdy się nie dowie, pomyślała. Może znalazłabym w sobie dosyć siły, żeby mu to powiedzieć, a on pokiwałby głową, ale to nie znaczy, że by mi uwierzył. Wie jedynie, że dla mnie zawsze będzie człowiekiem, który zastrzelił mojego męża. Patrzył, jak płaczę, przytulona do piersi Morta, czekając na karetkę, a potem jak jeden z sanitariuszy musiał mi dać zastrzyk, żeby mnie od niego oderwać. Nie dowie się, że mimo wszystko go lubię.

Evans skontaktował się przez interkom z sekretarką i poprosił ją o trzy duże kubki z parującą herbatą. Był styczeń, na zewnątrz wiał silny wiatr i panował mróz. Amy pomyślała z tęsknotą, jak o tej porze roku wygląda Tashmore, zamarznięte jezioro, po którym morderczy wiatr pędzi długie, widmowe pasma śnieżnego pyłu. Potem w jej umyśle pojawiło się paskudne skojarzenie i ujrzała upadającego Morta oraz paczkę pall malli sunącą po drewnie jak krążek hokejowy. Zadrżała, a tęsknota całkowicie się rozviała.

– Dobrze się pani czuje, pani Milner? – spytał Evans.

Pokiwała głową.

– Moja żona chciałaby, żeby opowiedział pan wszystko, co wie o tej sprawie, panie Evans – rzekł Ted, z namysłem marszcząc czoło i bawiąc się fajką. – Początkowo próbowałem ją od tego odwieść, ale w końcu doszedłem do wniosku, że może to dobry pomysł. Męczą ją koszmary od czasu...

– Oczywiście. – Evans co prawda nie ignorował Teda, ale zwracał się bezpośrednio do Amy. – Spodziewam się, że to jeszcze długo potrwa. Ja też miewam koszmary. Nigdy wcześniej nie zabiłem człowieka. – Przez chwilę milczał, po czym dodał: – Spóźniłem się o rok do Wietnamu.

Amy posłała mu słaby, ale szczery uśmiech.

– Słyszała wszystko w czasie dochodzenia – ciągnął Ted – ale chciałaby, żeby pan opowiedział to ponownie, tym razem bez prawniczego żargonu.

– Rozumiem – odparł Evans. Wskazał fajkę. – Może pan zapalić, jeśli pan chce.

Ted popatrzył na fajkę i pośpiesznie schował ją do kieszeni płaszcza, jakby się zawstydził.

– Próbuję rzucić.

Evans spojrział na Amy.

– Jak pani myśli, co to da? – spytał serdecznym, miłym głosem.

– A raczej powinienem spytać, czego pani po tym oczekuje?

– Nie wiem. – Mówiła cicho i spokojnie. – Ale gdy byliśmy z Tedem w Tashmore trzy tygodnie temu, żeby posprzątać dom... wystawiliśmy go na sprzedaż... coś się wydarzyło. Prawdę mówiąc, to były dwie rzeczy. – Popatrzyła na męża i ponownie słabo się uśmiechnęła. – Ted wie, że coś się stało, ponieważ właśnie wtedy skontaktowałam się z panem i umówiłam na to spotkanie. Ale nie wie, co to było, i obawiam się, że jest obrażony. Zapewne słusznie.

Ted nie zaprzeczył. Wsunął dłoń do kieszeni, zaczął wyciągać fajkę, ale się powstrzymał.

– Czy te dwa wydarzenia... mają coś wspólnego z tym, co się stało z pani domem w październiku?

– Nie wiem, panie Evans... A co się z nim stało? Jak dużo pan wie?

– No cóż – rozparł się na krześle i pociągnął łyk herbaty – jeśli przyjechała pani, żeby poznać wszystkie odpowiedzi, to srodze się pani rozczaruje. Mogę pani opowiedzieć o pożarze, ale jeśli chodzi o to, dlaczego pani mąż zrobił to, co zrobił... Zapewne wie pani więcej ode mnie. Najbardziej nas zastanowiło, że pożar nie wybuchł w głównej części domu, tylko w gabinecie, który znajdował się w dobudówce. To by sugerowało, że celem ataku był pan Rainey, ale przecież nawet go tam nie było. Potem – ciągnął – w zgliszczach gabinetu znaleźliśmy duży kawałek butelki. Kiedyś zawierała wino, właściwie szampana, ale nie było wątpliwości, że ostatnio napełniono ją benzyną. Część etykiety pozostała nienaruszona, więc przesłaliśmy ją faksem do Nowego Jorku. Szampana zidentyfikowano jako Moët et Chandon z tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego któregoś roku. To co prawda nie stanowiło niepodważalnego dowodu, że butelka, której użyto do

sporządzenia koktajlu Mołotowa, pochodziła z państwa piwniczki z winami, ale było bardzo przekonujące, ponieważ na liście wymienili państwo kilkanaście butelek tego trunku pochodzących z osiemdziesiątego trzeciego i czwartego roku. To nas doprowadziło do jednoznacznego, ale niezbyt rozsądnego wniosku: że to pani były mąż dokonał podpalenia. Pani Milner powiedziała, że wyszła i nie zamknęła drzwi na klucz...

– Nie dawało mi to spokoju – wtrąciła Amy. – Kiedy wychodziłam tylko na chwilę, zdarzało mi się zapominać o zamykaniu drzwi. Wychowałam się w małym miasteczku na północ od Bangoru, a tamtejsze nawyki trudno wykorzenić. Mort często... – Zadrżały jej usta i na chwilę umilkła, tak mocno zaciskając wargi, że aż zbieleły. Kiedy odzyskała panowanie nad sobą, dokończyła myśl cichym głosem: – Często miał mi to za złe.

Ted wziął ją za rękę.

– To oczywiście nie miało znaczenia – kontynuował Evans. – Gdyby pani zamknęła drzwi, pan Rainey i tak mógłby się dostać do środka, ponieważ wciąż dysponował kluczami. Czy tak?

– Tak – potwierdził Ted.

– Gdyby pani zamknęła drzwi, być może szybciej doszlibyśmy do prawdy, ale nie da się tego stwierdzić z całą pewnością. Każdy jest mądry po szkodzie, a w naszej pracy staramy się unikać takiego podejścia. Podobno w ten sposób można się tylko nabawić wrzodów, a ja się z tym zgadzam. Ze względu na zeznanie pani Rainey... przepraszam, pani Milner... że dom nie był zamknięty, początkowo uważaliśmy, że podpalaczem mógł być każdy. Ale kiedy wzięliśmy pod uwagę, że butelka mogła pochodzić z piwniczki, krąg podejrzanych się zawęził.

– Ponieważ piwniczka była zamknięta na klucz – zauważył Ted.

Evans przytaknął.

– Czy pamięta pani, pani Milner, jak spytałem, kto ma klucze do tego pomieszczenia?

– Proszę mi mówić Amy, dobrze?

Pokiwał głową.

– Pamiętasz, Amy?

– Tak. Zaczęliśmy zamykać piwniczkę z winami trzy albo cztery lata temu, po tym jak zniknęło kilka butelek czerwonego wina stołowego. Mort podejrzewał gospodynię. Nie chciałam w to wierzyć, ponieważ ją lubiłam, ale wiedziałam, że to może być prawda, i zapewne tak było. Zaczęliśmy zamykać to pomieszczenie, żeby nikt inny nie uległ pokusie.

Evans popatrzył na Teda Milnera.

– Amy miała klucz do piwniczki i uważała, że ma go także pan Rainey. To zawęziło możliwości. Oczywiście gdyby to była Amy, pan, panie Milner, musiałby być z nią w zмовie, skoro zapewniliście sobie nawzajem alibi na tamten wieczór. Pan Rainey nie miał alibi, ale znajdował się w znacznej odległości od miejsca zdarzenia. Przede wszystkim jednak nie dostrzegaliśmy żadnego motywu przestępstwa. Dzięki pracy pana Raineya on i Amy mieli zapewnione bezpieczeństwo finansowe. Mimo wszystko poszukaliśmy odcisków palców i udało nam się dwa znaleźć. To było następnego dnia po naszym spotkaniu w Derry. Oba odciski należały do pana Raineya. Wciąż nie stanowiło to dowodu...

– Nie? – spytał poruszony Ted.

Evans pokręcił głową.

– Badania w laboratorium pozwoliły potwierdzić, że odciski pozostawiono, zanim resztki butelki uległy spaleniю, ale niedługo przed tym. Pod wpływem gorąca tłuszcz zwarty w śladach się rozpuścił. A jeśli butelka rzeczywiście pochodziła z piwniczki z winami, to ktoś, pan albo pani Rainey, musiał ją własnoręcznie wyjąć z torby albo kartonu i ułożyć na stojaku. Pani mąż mógłby twierdzić, że właśnie wtedy pozostawił odciski.

– Był w takim stanie, że nie potrafiłby się tłumaczyć – zauważyła cicho Amy. – Przynajmniej nie pod koniec.

– To pewnie prawda, ale nie mogliśmy tego wiedzieć. Wiedzieliśmy tylko, że kiedy ludzie noszą butelki, zazwyczaj trzymają je za szyjkę albo tuż poniżej. Tymczasem oba odciski pozostawiono blisko denka, i to pod dziwnym kątem.

– Zupełnie jakby niósł butelkę w poziomie albo nawet do góry dnem – wtrącił Ted. – Czy nie tak pan powiedział podczas rozprawy?

– Zgadza się, a ludzie, którzy chociaż trochę znają się na winie, nigdy tego nie robią. W większości trunków w ten sposób wzburza się osad, a w przypadku szampana...

– Wstrząsa się go – dokończył Ted.

Evans pokiwał głową.

– Jeśli wystarczająco mocno potrząśnie się butelką szampana, to pod wpływem ciśnienia pęknie.

– Ale w butelce nie było szampana – cicho dodała Amy.

– Nie. Nie był to jednak wystarczający dowód. Sprawdziłem na okolicznych stacjach benzynowych, czy tamtego wieczoru ktoś przypominający pana Raineya nie kupował niewielkich ilości benzyny, ale bez powodzenia. Nie zdziwiło mnie to; w końcu mógł kupić benzynę w Tashmore albo na którejś z kilkudziesięciu stacji pomiędzy oboma miejscami. Potem pojechałem się spotkać z Patricią Champion, naszym jedynym świadkiem. Pokazałem jej zdjęcie buicka, modelu z tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego szóstego roku, bo zakładaliśmy, że właśnie taki samochód prowadziłby pan Rainey, ale pani Champion nie była pewna. Znalazłem się w ślepym zaułku. Wróciłem do spalonego domu, żeby się nieco rozejrzeć, a wtedy pojawiłaś się ty, Amy. Był wczesny ranek. Chciałem ci zadać kilka pytań, ale byłaś roztrzęsiona. Udało mi się jednak zapytać, co tam robisz, a ty udzieliłaś dziwnej odpowiedzi. Powiedziałaś, że wybierasz się do Tashmore, żeby zobaczyć się z mężem, ale wcześniej chciałaś rzucić okiem na ogród – przypomniał jej Evans.

– Kiedy rozmawialiśmy przez telefon, wciąż mówił o czymś, co nazywał moim ukrytym oknem... tym, które wychodziło na ogród. Powiedział, że coś tam zostawił. Ale niczego tam nie było. A przynajmniej ja niczego nie znalazłem.

– Miałem przecucie co do tego człowieka, kiedy po raz pierwszy go spotkałem. – Evans cedził słowa. – Czułem, że jest

z nim... coś nie tak. Nie chodziło o to, że kłamie, chociaż o tym też byłem przekonany. Chodziło o coś innego. Trzymał się na dystans.

– Tak, coraz silniej to w nim wyczuwałam. To zdystansowanie.

– Sprawiał wrażenie niemal chorego z niepokoju. Uznałem, że nie zaszkodzi pojechać za tobą do waszego drugiego domu, Amy, zwłaszcza że poprosiłaś, abym nie wspominał panu Milnerowi, dokąd się udałaś, gdyby cię szukał. Nie wierzyłem, że to był twój pomysł. Podejrzywałem, że mogę się czegoś dowiedzieć. Pomyślałem także... – Przerwał z zakłopotaniem.

– Pomyślał pan, że coś może mi się stać – dokończyła. – Dziękuję, panie Evans. On by mnie zabił. Gdyby pan za mną nie pojechał, już bym nie żyła.

– Zaparkowałem na początku podjazdu i podszedłem do domu. Usłyszałem ze środka odgłosy straszliwej awantury i puściłem się biegiem. Właśnie wtedy wypadłaś przez drzwi z moskitierą, a on wyskoczył za tobą. – Evans z poważną miną popatrzył na nich oboje. – Prosiłem, żeby przestał. Prosiłem go o to dwukrotnie.

Amy delikatnie uściśnęła jego dłoń.

– To wszystko – oznajmił Evans. – Nieco więcej dowiedziałem się z gazet i dwóch rozmów z panem Milnerem...

– Mów mi Ted.

– Ted, dobrze. – Evansowi najwyraźniej nie przychodziło to tak naturalnie jak zwracanie się po imieniu do Amy. – Wiem, że pan Rainey zapewne cierpiał na schizofrenię i miał dwie osobowości, które nie zdawały sobie sprawy z tego, że współistnieją w jednym ciele. Wiem, że jedna z nich nazywała się John Shooter. Zgodnie z zeznaniem Herberta Creekmora pan Rainey wierzył, że Shooter prześladowa go w związku z opowiadaniem *Pora zasiewu*. Pan Creekmora wysłał do pana Raineya egzemplarz czasopisma, w którym ukazał się ten tekst, aby pan Rainey mógł udowodnić, że to on pierwszy go opublikował. Czasopismo dotarło wkrótce przed tobą, Amy. Znalezione je w domu. Koperta Federal Express, w którą było

zapakowane, leżała na siedzeniu buicka należącego do twojego byłego męża.

– Ale wyciął swoje opowiadanie, prawda? – spytał Ted.

– Nie tylko opowiadanie, lecz także spis treści. Starannie usunął wszystkie swoje ślady. Nosił przy sobie scyzoryk i prawdopodobnie właśnie jego użył. Brakujące strony znajdowały się w schowku wewnątrz buicka.

– Istnienie tego opowiadania w końcu stało się zagadką nawet dla niego – powiedziała Amy.

Evans zmarszczył czoło.

– Słucham?

Pokręciła głową.

– Nieważne.

– Myślę, że powiedziałem wam już wszystko – rzekł Evans. – Dalej mogę tylko zgadywać. W końcu jestem detektywem od ubezpieczeń, a nie psychiatrą.

– On rzeczywiście był dwiema osobami – zauważyła Amy. – Sobą oraz... postacią, którą stworzył. Ted sądzi, że Mort wymyślił nazwisko Shooter, kiedy dowiedział się, że Ted pochodzi z niewielkiego miasteczka Shooter's Knob w Tennessee, i od tamtej pory przechowywał je w pamięci. Na pewno ma rację. Mort zawsze w ten sposób wybierał imiona i nazwiska dla swoich postaci... jakby bawił się w anagramy. Nie znam reszty, mogę się tylko domyślać. Wiem, że kiedy studio filmowe wycofało się z planów ekranizacji *Rodziny Delacourtów*, Mort był bliski załamania nerwowego. Powiedzieli mu, zresztą podobnie jak Herb Creekmore, że martwi ich przypadkowe podobieństwo jego powieści do scenariusza, który nosił tytuł *Nasza drużyna*, ale podkreślili, że Mort nie mógł go czytać. Nikt nie sugerował plagiatu... ten pomysł zrodził się w głowie Morta. Zareagował w przesadny i nienormalny sposób. To było jak grzebanie patykiem w wygaśniętym ognisku, żeby trafić na rozpalony węgiel.

– Nie uważasz, że stworzył Johna Shootera tylko po to, żeby cię ukarać? – spytał Evans.

– Nie. Shooter miał za zadanie ukarać Morta. Tak sądzę... – Przerwała i poprawiła szal, mocniej owijając nim ramiona. Potem drżącą ręką podniosła kubek z herbatą. – Podejrzewam, że Mort kiedyś ukradł czyjś tekst. Zapewne zdarzyło się to dawno, ponieważ wszystko, co napisał od czasów *Syna kataryniarza*, było dobrze znane. Czytelnicy by coś zauważyli. Wątpię nawet, żeby opublikował ukradziony tekst. Ale uważam, że właśnie stąd wziął się John Shooter. Powodem nie było wycofanie się studia filmowego ani... mój związek z Tedem, ani rozwód. Może to miało jakiś wpływ, ale sądzę, że wszystko zaczęło się, jeszcze zanim się poznaliśmy. A potem, kiedy Mort był sam w domu nad jeziorem...

– Pojawił się Shooter – cicho dodał Evans. – Przyszedł i oskarżył go o plagiat. Osoba, którą pan Rainey okradł, nigdy tego nie zrobiła, więc musiał ukarać się sam. Wątpię jednak, żeby chodziło tylko o to, Amy. Przecież próbował cię zabić.

– Nie – odparła. – Nie on, to był Shooter.

Evans uniósł brwi. Ted popatrzył na nią uważnie, a potem ponownie wyjął fajkę z kieszeni.

– Prawdziwy Shooter.

– Nie rozumiem, o czym mówisz.

Uśmiechnęła się niewyraźnie.

– Sama tego nie rozumiem. Dlatego tutaj jestem. Nie sądzę, żeby opowiadanie o tym rzeczywiście mogło przynieść jakiś konkretny skutek... Mort nie żyje i wszystko się skończyło... ale może ja poczuję się lepiej. Może znów będę umiała zasnąć.

– Więc opowiadaj, śmiało – zachęcił Evans.

– Kiedy pojechaliśmy posprzątać w domu, zatrzymaliśmy się U Bowiego, w niewielkim sklepie w miasteczku. Ted zatankował samochód... Stacja przy Bowie od zawsze jest samoobsługowa. Weszłam do sklepu, żeby kupić kilka rzeczy. W środku spotkałam Sonny'ego Trottsa, który kiedyś pracował z Tomem Greenleafem. Tom był starszym z dwóch zamordowanych mężczyzn, którzy opiekowali się okolicznymi domami. Sonny chciał mi przekazać kondolencje, ale wspomniał także, że widział Morta

w przeddzień jego śmierci i zapomniał go wtedy o czymś poinformować. Twierdził, że Tom Greenleaf, kiedy razem malowali salę parafialną u metodystów, powiedział mu coś ważnego. Sonny widział się później z Mortem, ale nie wspomniał mu o tym od razu. Chodziło o coś związanego z Gregiem Carstairsem...

– Drugim z zabitych mężczyzn?

– Tak. Odwrócił się wtedy i zawołał w ślad za Mortem, ale ten go nie usłyszał. A następnego dnia zginął.

– Co pan Greenleaf powiedział temu człowiekowi?

– Miał wrażenie, że widział ducha – wyjaśniła spokojnie Amy. Patrzyli na nią w milczeniu.

– Sonny twierdził, że Tom ostatnio miał problemy z pamięcią i bardzo się tym martwił. Sonny uważał, że to zwykłe zapominalstwo, jakie pojawia się w zaawansowanym wieku, ale Tom pięć albo sześć lat wcześniej opiekował się żoną cierpiącą na chorobę Alzheimera i przerażała go myśl, że skończy tak samo. Podobno kiedy zapominał pędzla, przez cały dzień obsesyjnie się tym zamartwiał. I właśnie dlatego, kiedy Greg Carstairs zapytał go, czy zna mężczyznę, z którym Mort Rainey rozmawiał poprzedniego dnia, albo czy by go rozpoznał, gdyby go zobaczył ponownie, Tom odparł, że nikogo nie widział, że Mort był sam.

Rozległ się trzask zapałki. Ted Milner postanowił jednak zapalić fajkę. Evans go zignorował. Pochylał się nad biurkiem, intensywnie wpatrując się w Amy Milner.

– Chwileczkę, wyjaśnijmy to. Według Sonny'ego Trootsa...

– Trootsa.

– Niech będzie Trootsa. A więc według niego Tom Greenleaf jednak widział kogoś z Mortem?

– Niezupełnie – odparła Amy. – Sonny uważał, że gdyby Tom był o tym przekonany, nie okłamałby Grega. Tom powiedział, że nie jest pewien, co widział. Był zmieszany. Bezpieczniej dla niego było nie zajmować żadnego stanowiska. Nie chciał, żeby ktokolwiek, a zwłaszcza Greg Carstairs, który był jego kolegą po fachu, wiedział, jak bardzo jest zagubiony, a przede wszystkim

nie chciał, żeby ktokolwiek pomyślał, że pogrąży się w chorobie tak samo jak jego zmarła żona.

– Przykro mi, ale nie jestem pewien, czy rozumiem.

– Według Sonny’ego Tom jechał Lake Drive swoim scoutem i widział Morta, który stał samotnie tam, gdzie zaczyna się ścieżka prowadząca nad jezioro.

– Niedaleko miejsca, w którym znaleziono ciała?

– Tak. Bardzo blisko. Mort mu pomachał. Tom odwzajemnił powitanie i pojechał dalej. Następnie, zgodnie ze słowami Sonny’ego, zerknął w lusterko wsteczne i zobaczył drugiego mężczyznę, który stał razem z Mortem, a także stare kombi, chociaż jeszcze przed chwilą ani mężczyzny, ani samochodu tam nie było. Nieznajomy miał na głowie czarny kapelusz, opowiadał Tom, ale... „był przezroczysty, podobnie jak auto”.

– Ależ Amy – odezwał się cicho Ted. – Facet robi cię w konia. Bez dwóch zdań.

Pokręciła głową.

– Sonny raczej nie jest wystarczająco cwany, żeby wymyślić taką historię. Według niego Tom planował skontaktować się z Gregiem i przyznać, że rzeczywiście widział takiego człowieka, chociaż nie zamierzał wspominać o tym, że ten był przezroczysty. Sonny twierdził jednak, że staruszek wyglądał na przerażonego. Był przekonany, że albo dopadł go alzheimer, albo widział ducha.

– Cóż, to z pewnością historia mrożąca krew w żyłach – przyznał szczerze Evans, który przez chwilę czuł, że jego ręce i plecy pokryła gęsia skórka. – Ale to tylko plotki... W dodatku ich źródłem jest człowiek, który już nie żyje.

– Owszem... to jednak nie wszystko. – Amy postawiła kubek na biurku, podniosła torebkę i zaczęła w niej grzebać. – Kiedy sprzątałam w gabinecie Morta, znalazłam ten kapelusz, ten okropny czarny kapelusz, za jego biurkiem. Przeżyłam szok, ponieważ w ogóle się tego nie spodziewałam. Myślałam, że policja zabezpieczyła go jako dowód albo coś w tym stylu. Dosięgnęłam go za pomocą kija i wyjęłam, trzymając denkiem do

dołu. W ten sposób wyniosłam go z pomieszczenia do szafki na śmieci. Rozumiecie?

Ted najwyraźniej nie rozumiał, ale Evans owszem.

– Nie chciałaś go dotykać.

– Właśnie. Nie chciałam go dotykać. Rzuciłam go bokiem na zielone worki ze śmieciami, jestem tego pewna. Ale kiedy godzinę później wyniosłam torbę ze starymi lekarstwami, szamponami i innymi przyborami łazienkowymi, kapelusz był odwrócony. A oto, co tkwiło za potnikiem. – Wyjęła z torebki złożoną kartkę i lekko drżącą ręką podała ją Evansowi. – Nie było jej tam, kiedy wyjęłam kapelusz zza biurka. Na pewno.

Evans wziął złożoną kartkę i przez chwilę tylko trzymał ją w dłoni. Nie podobała mu się. Wydawała się zbyt ciężka, a poza tym coś było nie tak ze strukturą papieru.

– Myślę, że Shooter istniał – powiedziała Amy. – Myślę, że był największym dziełem Morta, postacią tak wyrazistą, że stała się rzeczywista. Sądzę także, że trzyma pan wiadomość od ducha.

Evans rozłożył kartkę. W połowie jej wysokości napisano następujące słowa:

Szanowna Pani, przepraszam za wszystkie kłopoty. Sprawy wymknęły się spod kontroli. Wracam do domu, dostałem swoją historię, a tylko po nią tutaj przyjechałem. Nosi tytuł *Krucza mila* i jest rewelacyjna.

Z poważaniem,
John Shooter

Podpis miał postać samotnego gryzmoła umieszczonego pod równymi linijkami tekstu.

– Czy to podpis twojego zmarłego męża, Amy? – spytał Evans.

– Nie. W ogóle go nie przypomina.

Siedzieli w trójkę w biurze i wpatrywali się w siebie nawzajem. Fred Evans chciał coś powiedzieć, ale nic nie przychodziło mu do głowy. Po chwili cisza (oraz woń fajki Teda Milnera) stała się nie do wytrzymania. Dlatego państwo Milnerowie podziękowali, pożegnali się i wyszli z biura, żeby od tej pory jak najlepiej wieść swoje życie, Fred Evans zaś starał się

robić to samo, chociaż czasami późną nocą on oraz kobieta, która była żoną Mortona Raineya, budzili się ze snu, w którym mężczyzna w czarnym kapeluszu z okrągłym denkiem patrzył na nich wyblakłymi od słońca, złapanymi w sieć zmarszczek oczami. Obserwował ich bez miłości... ale, co oboje czuli, z dziwacznym surowym współczuciem.

To nie był serdeczny wyraz twarzy i nie przynosił im pociechy, lecz oboje czuli, że mogą nauczyć się żyć z tym spojrzeniem. I dalej uprawiać swoje ogrody.

BIBLIOTECZNY POLICJANT

Przełożyła Danuta Górską

Dla personelu i czytelników Pasadena Public Library

TRZECIA PO PÓŁNOCY

Przedmowa do *Bibliotecznego policjanta*

Rano w dniu, kiedy zaczęła się ta historia, siedziałem przy śniadaniu z moim synem Owenem. Żona poszła już na górę, żeby wziąć prysznic i się ubrać. Dokonaliśmy niezbędnego podziału dwóch atrybutów godziny siódmej: jajecznicy i gazety. Willard Scott, który wpada do nas pięć razy w tygodniu, opowiadał o jakiejś pani z Nebraski, która właśnie skończyła sto cztery lata, a Owen i ja ledwie patrzyliśmy na oczy. Typowy powszedni ranek u Kingów, innymi słowy.

Owen oderwał się od działu sportowego tylko na chwilę, żeby mnie zapytać, czy będę dzisiaj w centrum handlowym – chciał, żebym mu przywiózł książkę potrzebną do wypracowania. Nie pamiętam, co to było – może *Johnny Tremain* albo *Kwietniowy poranek*, powieść Howarda Fasta o amerykańskiej rewolucji – ale na pewno jedna z tych pozycji, na które nigdy nie można trafić w księgarni; zawsze albo nakład jest wyczerpany, albo właśnie mają to wznowić, albo inna cholera.

Zaproponowałem, żeby skorzystał z miejscowej biblioteki, która jest świetnie zaopatrzona. Na pewno będą mieli ten tytuł. Owen mruknął coś w odpowiedzi. Wyłapałem tylko dwa słowa, ale biorąc pod uwagę moje zainteresowania, te dwa słowa wystarczyły aż nadto, żeby rozpalić moją ciekawość. Brzmiały: „biblioteczna policja”.

Odłożyłem moją połowę gazety, nacisnąłem guzik MUTE na pilocie, żeby wyłączyć Willardowi fonie w środku entuzjastycznej relacji z Georgijskiego Festiwalu Brzoskwiń, i poprosiłem Owena, żeby zechciał łaskawie powtórzyć.

Nie miał ochoty, ale go naciskałem. Wreszcie wyznał, że nie lubi chodzić do biblioteki, bo obawia się Bibliotecznej Policji.

Wie, że nie istnieje żadna Biblioteczna Policja, dodał pośpiesznie, ale to jedna z tych historii, które zapadają w podświadomość i tkwią tam przyczajone. Usłyszał ją od ciotki Stephanie, kiedy miał siedem czy osiem lat i był znacznie bardziej łatwowierny, i od tamtego czasu tkwiła w jego podświadomości.

Oczywiście byłem zachwycony, bo sam w dzieciństwie bałem się Bibliotecznej Policji – bezosobowych kontrolerów, którzy mogą nawet *przyjść do twojego domu*, jeśli nie zwrócisz przetrzymanych książek. To już dostatecznie źle... ale jeśli nie możesz znaleźć rzezonych książek, kiedy zjawią się ci dziwaczeni funkcjonariusze? Co wtedy? Co mogą ci zrobić? Co zabiorą w ramach rekompensaty za zaginione tomy? Minęły lata, odkąd ostatnio myślałem o Bibliotecznej Policji (choć nie tylko w dzieciństwie; pamiętam wyraźnie, że jakieś sześć czy osiem lat wcześniej dyskutowałem o niej z Peterem Straubem i jego synem Benem), teraz jednak powróciły wszystkie tamte dawne pytania, jednocześnie przerażające i w jakiś sposób kuszące.

Rozmyślałem o Bibliotecznej Policji przez następnych parę dni i podczas tych rozmyślań zacząłem dostrzegać zarysy niniejszej opowieści. W ten sposób zwykle przychodzą do mnie historie, ale etap rozmyślań z reguły trwa znacznie dłużej niż w tym przypadku. Na początku zatytułowałem opowieść *Biblioteczna Policja* i nie wiedziałem dokładnie, dokąd mnie zaprowadzi. Sądziłem, że wyjdzie z tego humoreska, coś w rodzaju koszmarów z przedmieścia, jakie niegdyś płodził nieżyjący Max Shulman. Ostatecznie sam pomysł był zabawny, prawda? No bo tylko pomyślcie: Biblioteczna Policja! Co za absurd!

Uświadomiłem sobie jednak coś, co już wiedziałem: strachy dzieciństwa są ohydnie uparte. Pisanie to akt autohipnozy, przy którym często dochodzi do całkowitej emocjonalnej retrospekcji, i horrory, które powinny dawno szczeznąć, znowu powracają do życia.

Właśnie to mnie spotkało, kiedy pracowałem nad tą opowieścią. Pamiętałem, że w dzieciństwie uwielbiałem

biblioteki – jakżeby inaczej? Tylko w tym miejscu ubogi dzieciak mógł dostać wszystkie książki, o jakich marzył. Lecz w miarę pisania odkrywałem głębszą prawdę: biblioteka budziła we mnie również strach. Bałem się, że zabłądzą w mroku wśród regałów, bałem się, że zapomną o mnie, tkwiącym w ciemnym kącie czytelni, i zamkną mnie na noc, bałem się starej bibliotekarki – z farbowanymi na niebiesko włosami, w okularach „kocie oczy”, z ustami zaciśniętymi w wąską kreskę – która szczypała mnie w wierzch dłoni długimi bladymi palcami i syczała „Szzz!”, jeśli się zapomniałem i zbyt głośno rozmawiałem. I owszem, bałem się Bibliotecznej Policji.

Powtórzyło się to samo, co się niegdyś stało przy znacznie dłuższym tekście, powieści pod tytułem *Christine*. Po jakichś trzydziestu stronach sytuacja przestała być zabawna. A po pięćdziesięciu cała historia skręciła z piskiem opon w lewo, w mroczne miejsca, które odwiedzam tak często i o których wciąż wiem tak mało. W końcu znalazłem faceta, którego szukałem, i zdołałem unieść głowę na tyle, żeby spojrzeć w jego bezlitosne srebrne oczy. Próbowałem sporządzić jego portret dla ciebie, Wierny Czytelniku, ale chyba niezbyt się udał.

Bo widzisz, kiedy go rysowałem, okropnie trzęsły mi się ręce.

ROZDZIAŁ 1

Zastępstwo

1

Później Sam Peebles doszedł do wniosku, że to wszystko przez cholernego akrobatę. Gdyby akrobata nie upił się akurat w najgorszym momencie, Sam nigdy nie wpakowałby się w takie kłopoty.

Jakby nie było wystarczająco źle, myślał z zapewne usprawiedliwioną goryczą, że życie jest wąską kładką nad bezdenną otchłanią, kładką, po której musimy iść z zawiązanymi oczami. To źle, ale bywa gorzej. Czasami jeszcze nas popychają.

Ale to było później. Najpierw, przed Bibliotecznym Policjantem, był pijany akrobata.

2

W Junction City w każdy ostatni piątek miesiąca w miejscowym Klubie Rotariańskim organizowano prelekcje. Ostatniego piątku w marcu 1990 roku rotarianie mieli usłyszeć – i podziwiać – Niesamowitego Joego, akrobatę z Objazdowego Cyrku Gwiazd Curry & Trembo.

Telefon na biurku Sama Peeblesa w Nieruchomościach i Ubezpieczeniach Junction City zadzwonił pięć po czwartej w czwartkowe popołudnie. Sam odebrał. Sam zawsze odbierał telefony – albo osobiście, albo przez automatyczną sekretarkę – ponieważ był właścicielem i jedynym pracownikiem Nieruchomości i Ubezpieczeń Junction City. Nie był bogaty, ale całkiem zadowolony z życia. Lubił opowiadać, że musi jeszcze

zaczekać na swojego pierwszego mercedesa, ale ma forda, prawie nówkę, i własny dom na Kelton Avenue. „No i zawsze zarobię na kieliszek chleba i kromkę wódki”, dodawał... chociaż prawdę mówiąc, od czasu studiów nie pił zbyt wiele.

– Nieruchomości i Ubezpieczenia Jun...

– Sam, tu Craig. Akrobata skręcił kark.

– Co?!

– Słyszałeś! – warknął Craig Jones z głęboką urazą. – Ten cholerny akrobata skręcił sobie kark!

– Och – mruknął Sam. – O rany. – Zastanawiał się przez chwilę, a potem zapytał z ciekawością: – Czy on nie żyje, Craig?

– Żyje, ale dla nas to wszystko jedno. Leży w szpitalu w Cedar Rapids i na szyi ma dziesięć kilo gipsu. Billy Bright właśnie do mnie dzwonił. Powiedział, że facet przyszedł na popołudniowe przedstawienie nawalony jak stodoła, próbował zrobić salto w tył i wylądował na karku poza areną. Billy mówi, że słyszał to nawet wysoko na trybunie, gdzie siedział. Mówi, że trzasnęło, jakby ktoś wdepnął w świeżo zamarznąętą kałużę.

– Auć! – wykrzyknął Sam, krzywiąc się.

– Wcale się nie zdziwiłem. W końcu co to za imię dla cyrkowca! Niesamowity Joe! Niesamowity Randix, w porządku. Niesamowity Tortellini, też niezłe. Ale Niesamowity Joe? Trzeba mieć nie po kolei w głowie.

– Jezu, to fatalnie.

– Pieprzone gówno na grzance i tyle. Czyli na jutrzejszy wieczór nie mamy prelegenta, kolego.

Sam zaczął żałować, że nie wyszedł z biura punktualnie o czwartej. Craig natrafiłby na automatyczną sekretarkę, a wówczas Sam miałby trochę więcej czasu do namysłu. Przeczynał, że już niedługo będzie potrzebował czasu do namysłu. Przeczynał również, że Craig Jones mu tego czasu nie da.

– Tak – powiedział – na to wychodzi. – Starał się przybrać ton filozoficzny, ale bezradny. – Co za szkoda.

– No pewnie – zgodził się z nim Craig, a potem odkrył karty. – Ale wiem, że chętnie go zastąpisz i wypełnisz lukę.

– Ja? Chyba żartujesz, Craig! Ja nie potrafię nawet machnąć koziołka, a co dopiero salta w tył...

– Pomyślałem, że mógłbyś wygłosić mowę o znaczeniu niezależnych przedsiębiorstw w życiu małych miasteczek – naciskał nieubłagane Craig Jones. – Jeśli to ci nie pasuje, pozostaje baseball. Z braku laku zawsze możesz spuścić gacie i pomerdać wackiem przed publicznością. Sam, ja nie jestem tylko przewodniczącym Komitetu Organizacyjnego... samo to już by wystarczyło. Ale odkąd Kenny się wyprowadził, a Carl przestał przychodzić, jestem całym komitetem. Więc musisz mi pomóc. Potrzebuję prelegenta na jutrzejszy wieczór. W całym cholernym klubie jest najwyżej pięciu chłopaków, którym w razie czego mogę zaufać, a ty jesteś jednym z nich.

– Ale...

– Jesteś także jedynym, który jeszcze nie miał zastępstwa w takiej sytuacji, więc zostałeś wybrany, koleżko.

– Frank Stephens...

– ...wystąpił w zeszłym roku za gościa ze związku zawodowego przewoźników, kiedy ława przysięgłych oskarżyła go o malwersacje i nie mógł przyjść. Sam... teraz twoja kolej nadstawić łba. Nie możesz mi sprawić zawodu, człowieku. Jesteś mi coś winien.

– Ja robię w ubezpieczeniach! – krzyknął Sam. – Albo wypisuję polisy, albo sprzedaję farmy! Głównie bankom! Dla większości ludzi to nudne! A pozostali uważają to za obrzydliwe!

– To bez znaczenia. – Craig wykorzystał szansę i przypuścił ostateczny atak, miażdżąc wątłe argumenty Sama ciężkimi, podkutymi buciorami. – Pod koniec kolacji wszyscy będą naprani, sam wiesz. W sobotę rano nie będą pamiętać ani jednego twojego słowa, ale tymczasem potrzebuję kogoś, żeby wstał i gadał przez pół godziny, i zostałeś wybrany!

Sam jeszcze trochę się bronił, ale Craig wciąż mnożył imperatywy i bezlitośnie używał wielkich liter. Potrzebuję.

Musisz. Dług.

– No dobrze! – ustąpił wreszcie Sam. – Dobrze już, dobrze! Wystarczy!

– Jesteś super! – W głosie Craiga nagle zaświeciło słońce i zajaśniały tęcze. – Pamiętaj, nie musisz gadać dłużej niż trzydzieści minut, plus ewentualnie jeszcze dziesięć na pytania. Jeśli w ogóle będą pytania. I naprawdę możesz pomachać wacusem, jeśli chcesz. Wątpię, czy ktokolwiek go zauważy, ale...

– Craig – przerwał mu Sam – wystarczy.

– Och! Przepraszam! Morda w kubel! – zarechotał Craig, chyba trochę oszołomiony z ulgi.

– Słuchaj, może zakończymy tę dyskusję? – Sam sięgnął po tabletki Tums na nadkwasotę, które trzymał w szufladzie biurka. Nagle poczuł, że przez najbliższe dwadzieścia osiem godzin będzie potrzebował sporo tabletek. – Zdaje się, że mam do napisania przemówienie.

– Nie ma sprawy. Tylko pamiętaj: obiad o szóstej, prelekcja o siódmej trzydzieści. Jak mówią w *Hawaii Five-O*, bądź tam! Aloha!

– Aloha, Craig – powiedział Sam i odłożył słuchawkę.

Wpatrywał się w telefon. Czuł, jak gorące gazy powoli wznoszą się przez przełyk do gardła. Otworzył usta i czknął kwaśno – produkt żołądka, który jeszcze przed pięcioma minutami był całkiem spokojny.

Połknął pierwszą z tabletek, których miał zażyć jeszcze bardzo dużo.

3

Tego wieczoru, zamiast zgodnie z planem iść na kręgle, Sam zamknął się w swoim gabinecie z żółtym blokiem do notatek, trzema zaostrzonymi ołówkami, paczką papierosów Kent i sześciopakiem napoju energetyzującego Jolt. Wyciągnął z gniazdka wtyczkę telefonu, zapalił papierosa i zagapił się na

notatnik. Po pięciu minutach gapienia się napisał w pierwszej linijce pierwszej strony:

MAŁOMIASTECZKOWE FIRMY: SIŁA ŻYCIOWA AMERYKI

Przeczytał to na głos i spodobało mu się. No... może nie całkiem spodobało, ale dało się wytrzymać. Powtórzył to głośniejszym głosem i spodobało się bardziej. Odrobinę bardziej. Właściwie nie było aż takie dobre, może nawet całkiem do dupy, ale biło na głowę takie tytuły jak *Komunizm: groźba czy niebezpieczeństwo*. I Craig miał rację: większość i tak w sobotę rano będzie zbyt skacowana, żeby pamiętać, co usłyszeli w piątek.

Nieco podniesiony na duchu, Sam zaczął pisać:

„Kiedy przeniosłem się do Junction City z mniej czy bardziej prosperującej metropolii, jaką było Ames w 1984 roku...”

4

– ...i dlatego teraz czuję to samo, co w tamten rześki wrześnieowy poranek w 1984 roku, że małe firmy stanowią nie tylko siłę życiową Ameryki, ale jasną i świetlistą siłę życiową całego zachodniego świata.

Sam zamilkł, zgniótł papierosa w popielniczce na biurku i spojrzał z nadzieją na Naomi Higgins.

– No i co myślisz?

Naomi była ładną młodą kobietą z Proverbii, miasteczka leżącego siedem kilometrów na zachód od Junction City. Mieszkała w zrujnowanym domu nad rzeką Proverbiam z swoją zrujnowaną matką. Większość rotarian знаła Naomi i od czasu do czasu robiono zakłady, co rozsypie się prędzej: dom czy matka. Sam nie wiedział, czy ktoś naprawdę przyjmował takie zakłady, ale jeśli tak, wynik pozostawał nierozstrzygnięty.

Naomi ukończyła Szkołę Handlową w Iowa City i naprawdę potrafiła odczytać pełne zdania ze swoich stenograficznych notatek. Ponieważ jako jedyna kobieta w mieście posiadała taką

umiejętność, cieszyła się wielkim popytem wśród ograniczonej populacji biznesmenów Junction City. Nie szkodziło też, że miała wyjątkowo zgrabne nogi. Przez pięć dni w tygodniu pracowała rano dla czterech mężczyzn i jednej kobiety – dwóch prawników, jednego bankiera i dwóch pośredników nieruchomości. Po południu wracała do swojego zrujnowanego domu i kiedy nie opiekowała się zrujnowaną matką, przepisywała na maszynie podyktowane notatki.

Sam Peebles korzystał z usług Naomi w każdy piątkowy rano od dziesiątej do dwunastej, ale tego ranka odłożył na bok korespondencję – chociaż niektóre listy domagały się odpowiedzi – i poprosił Naomi, żeby czegoś posłuchała.

– Jasne, pewnie – odpowiedziała.

Wydawała się lekko zaniepokojona, jakby podejrzewała, że Sam – z którym kiedyś krótko chodziła – zamierza jej się oświadczyć. Gdy wyjaśnił, że Craig Jones zwerbował go na zastępcę kontuzjowanego akrobata i że chciałby, żeby oceniła jego przemówienie, odprężyła się i wysłuchiwała całości – pełnych dwudziestu sześciu minut – z pochlebnym skupieniem.

– Mów szczerze, bez obawy – dodał Sam, zanim Naomi zdążyła otworzyć usta.

– To jest dobre – stwierdziła. – Całkiem interesujące.

– Nie, nie oszczędzaj moich uczuć. Wal prosto z mostu.

– Mówię szczerze. Naprawdę jest w porządku. Poza tym, zanim zaczniesz, wszyscy już będą...

– Zalani, wiem. – Początkowo pocieszała go ta perspektywa, teraz jednak był trochę zawiedziony. Słuchając własnego przemówienia, doszedł do wniosku, że jest całkiem dobre.

– Tylko jedna rzecz – dodała Naomi z namysłem.

– O?

– Jest trochę... no wiesz... drętwe.

– O – powtórzył Sam. Westchnął i potarł oczy. Siedział prawie do pierwszej w nocy, pisał, a potem wprowadzał poprawki.

– Ale to łatwo naprawić – zapewniła. – Po prostu idź do biblioteki i weź trochę tych książek.

Sam poczuł nagły, ostry ból w podbrzuszu i śpiesznie sięgnął po tabletki. Zbieranie materiałów do głupiego przemówienia w Klubie Rotariańskim? W bibliotece? To już lekka przesada. Nigdy jeszcze nie korzystał z biblioteki publicznej w Junction City i nie zamierzał tego zmieniać. Ale Naomi słuchała bardzo uważnie, próbowała pomóc, więc zwykła uprzejmość wymagała, żeby przynajmniej jej wysłuchał.

– Jakich książek?

– No wiesz... książki z takimi różnymi kawałkami, żeby ożywić przemówienia. To jak... – Naomi szukała określenia. – Kojarzysz ten ostry sos, który podają na życzenie w China Light?

– Tak...

– To coś w tym rodzaju. Dowcipy. I jest jeszcze taka książka, *Ulubione wiersze Ameryki*. Może tam znajdziesz coś na zakończenie. Coś podniosłego.

– W tej książce są wiersze o znaczeniu małych firm dla Ameryki? – zapytał Sam z powątpiewaniem.

– Kiedy cytujesz poezję, ludzie czują się podniesieni na duchu – wyjaśniła Naomi. – Nikogo nie obchodzi treść wiersza, Sam, a tym bardziej jego sens.

– I naprawdę mają książki z dowcipami specjalnie do przemówień? – Sam ledwie mógł w to uwierzyć, chociaż gdyby usłyszał, że w bibliotekach można wypożyczyć książki z tak ezoterycznych dziedzin, jak naprawa małych silniczków i stylizacja peruk, wcale by się nie zdziwił.

– Tak.

– Skąd wiesz?

– Kiedy Phil Brakeman kandydował do stanowego kongresu, przepisywałam mu wszystkie przemówienia – oznajmiła Naomi. – Miał taką jedną książkę. Tylko nie pamiętam tytułu. Coś jakby *Humor dla każdego*, ale oczywiście to nie to.

– Nie – przyznał Sam, myśląc, że kilka wybranych kawałków z *Humoru dla każdego* zapewniłoby mu oszołamiający sukces. Ale rozumiał, o co chodzi Naomi, i pomysł zaczynał mu się podobać, chociaż po tylu latach beztroskiego lekceważenia

literatury wcale nie miał ochoty na wizytę w miejscowej bibliotece. Trochę przyprawić nudną przemowę. Zmienić reszki z obiadu w kulinarne arcydzieło. Ale biblioteka to przecież tylko biblioteka. Jeśli nie mogłeś znaleźć, czego chciałeś, wystarczyło zapytać bibliotekarkę. Odpowiadanie na pytania należy do jej obowiązków, no nie?

– Zresztą możesz to zostawić tak, jak jest – podjęła Naomi. – No wiesz, oni będą pijani. – Spojrzała na Sama życzliwie, choć z powagą, a potem zerknęła na zegarek. – Została ci ponad godzina... chcesz podyktować parę listów?

– Nie, chyba nie. Może zamiast tego przepisziesz moje przemówienie?

Podjął już decyzję, że przerwę na lunch spędzi w bibliotece.

ROZDZIAŁ 2

Biblioteka (I)

1

Mieszkając w Junction City od lat, Sam setki razy przejeżdżał obok biblioteki, ale dopiero teraz po raz pierwszy na nią spojrzął i odkrył coś zadziwiającego: odrzucało go na sam widok.

Biblioteka Publiczna w Junction City stała na rogu State Street i Miller Avenue, granitowy sześcian z oknami tak wąskimi, że wyglądały jak otwory strzelnicze. Dach kryty łupkiem tworzył szeroki okap ze wszystkich czterech stron budynku. Od frontu wąskie okna w połączeniu z cieniem dachu sprawiały, że fasada przypominała posępną twarz kamiennego robota. Był to w Iowa popularny styl architektoniczny, tak często spotykany, że Sam Peebles, który sprzedawał nieruchomości od prawie dwudziestu lat, nazwał go „Środkowozachodnią Szkaradą”. Wiosną, latem i jesienią ponury wygląd budynku łagodziły klony otaczające go niby zagajnik, teraz jednak, pod koniec ciężkiej zimy w Iowa, klony stały nagie i biblioteka wyglądała jak ogromna krypta.

Nie podobała mu się; budziła w nim niepokój; nie wiedział dlaczego. W końcu to była tylko biblioteka, nie lochy inkwizycji. A jednak następne kwaśne beknięcie podeszło mu do gardła, kiedy szedł brukowanym chodnikiem. Miało osobliwy słodkawy posmak, który coś mu przypominał... coś chyba z dawnej przeszłości. Włożył pastylkę do ust, zaczął ją rozgryzać i nagle podjął decyzję. Przemówienie było wystarczająco dobre. Nie jakieś wybitne, ale wystarczająco dobre. W końcu tu chodzi o Klub Rotariański, a nie Organizację Narodów Zjednoczonych. Nie będzie więcej się z tym chrzanił. Wróci do biura i nadrobi trochę zaległości w korespondencji, którą zaniedbał dziś rano.

Zaczął się odwracać, ale pomyślał: To głupota. Naprawdę głupota. Chcesz wyjść na głupka? W porządku. Tylko że zgodziłeś się wygłosić cholerną mowę, więc czemu nie zrobić tego porządnie?

Niezdecydowany, stał na chodniku przed biblioteką i marszczył brwi. Często się wyśmiewał z rotarian. Craig też. I Frank Stephens. Większość młodych biznesmenów w Junction City wykpiwała klubowe spotkania. Ale rzadko je opuszczali i Sam chyba wiedział dlaczego: w tym miejscu nawiązywano znajomości. W tym miejscu gość taki jak on mógł poznać niektórych niezbyt już młodych biznesmenów z Junction City. Facetów jak Elmer Baskin, którego bank dwa lata temu pomógł sfinansować pasaż handlowy w Beaverton. Facetów jak George Candy, który podobno mógł załatwić trzy miliony dolarów na inwestycje deweloperskie jednym telefonem... gdyby tylko chciał.

To byli ludzie z małych miasteczek, kibice szkolnych drużyn koszykówki, faceci, którzy strzygli się u Jimmy'ego, faceci, którzy sypiali w bokserkach i podkoszulkach zamiast w piżamach, faceci, którzy wciąż pili piwo z butelek, faceci, którzy wypuszczali się na wieczór do Cedar Rapids odstawieni jak stróż w Boże Ciało, w tragicznych poliestrowych garniturach i dwukolorowych butach. To oni trzęśli całym Junction City i jak się zastanović, czy nie dlatego Sam ciągle chodził na piątkowe spotkania? Jak się zastanović, czy nie dlatego Craig zadzwonił taki spanikowany, kiedy ten głupi akrobata złamał sobie ten głupi kark? Każdy chciał być zauważony przez grube szychy... ale nie dlatego, że zawalił sprawę. „Wszyscy będą pijani”, powiedział Craig, a Naomi się pod tym podpisała, teraz jednak Sam uświadomił sobie, że nigdy nie widział, żeby Elmer Baskin sięgał po coś mocniejszego od kawy. Ani razu. I chyba nie był wyjątkiem. Niektórzy będą pijani... ale nie wszyscy. A ci trzeźwi to mogą być ci, którzy się liczą.

Rozegraj to sprytnie, Sam, a wyświadczysz sobie przysługę. Niewykluczone.

Właśnie. Niewykluczone. Oczywiście mało prawdopodobne, ale niewykluczone. I było coś jeszcze, niezależnie od szarych eminencji, które mogły się zjawić albo nie zjawić na prelekcji w piątkowy wieczór w Klubie Rotariańskim; Sam zawsze się chlubił, że wszystko stara się zrobić jak najlepiej. No więc to tylko głupie przemówienie. I co z tego?

Poza tym to tylko głupia biblioteka w małym miasteczku. Wielkie mi co! Obok nie rosną nawet żadne krzaki.

Sam znowu ruszył chodnikiem, ale po chwili przystanął i jego czoło przecięła zmarszczka. Skąd się wzięła ta dziwna myśl? No więc wokół biblioteki nie rosną żadne krzaki – co to za różnica? Nie wiedział... ale wiedział, że to wywarło na niego niemal magiczny wpływ. Nietypowe dla niego wahanie zniknęło i znowu podjął marsz. Wszedł po czterech kamiennych stopniach i przystanął na chwilę. Biblioteka wydawała się opustoszała. Sięgnął do klamki i pomyślał: Założę się, że jest zamknięta na cztery spusty. Założę się, że w piątki po południu jest zamknięta. Na tę myśl poczuł dziwny przypływ otuchy.

Lecz staroświecka klamka ustąpiła pod naciskiem i ciężkie drzwi bezszelestnie uchyliły się do środka. Sam wszedł do małego holu z marmurową posadzką w czarno-białą szachownicę. Pośrodku tego przedsionka stał stojak. Na stojaku umieszczono tablicę z jednym słowem, napisanym bardzo dużymi literami:

CISZA!

Nie:

PROSIMY O CISZĘ

ani:

MILCZENIE JEST ZŁOTEM

tylko jedno brutalne, rozkazujące słowo:

CISZA!

– No jasne – mruknął Sam. Tylko mruknął, ale akustyka była tutaj bardzo dobra i wzmocniła jego cichy głos do gderliwego burknięcia, aż się skrzywił. Zdawało mu się, że dźwięk odbił się od wysokiego sufitu prosto na niego. W tamtej chwili poczuł się, jakby znowu był w czwartej klasie i panna Glasters zaraz go obsztorcuje za zakłócanie porządku w najmniej odpowiednim momencie. Rozejrzał się z zakłopotaniem; niemal spodziewał się, że zaraz przybiegnie jakaś jędzowata bibliotekarka, żeby sprawdzić, kto śmiał sprofanować ciszę.

Przestań, na litość boską. Masz czterdzieści lat. Czwarta klasa była dawno temu, stary.

Tylko że to nie wydawało się tak dawno temu. Nie tutaj. Tutaj czwarta klasa wydawała się bliska niemal na wyciągnięcie ręki.

Przeszedł po marmurowej posadzce, omijając stojak z lewej strony i nieświadomie przenosząc ciężar ciała na palce, żeby nie stukać obcasami, i wszedł do głównej czytelni biblioteki w Junction City.

Z sufitu (znajdującego się co najmniej sześć metrów wyżej niż sufit w holu) zwisały szklane kule lamp, ale żadna się nie paliła. Światło padało z dwóch dużych, ukośnych świetlików. W słoneczny dzień wystarczyłoby do oświetlenia czytelni; mogłoby nawet nadać jej pogodną, ciepłą atmosferę. Ale ten piątek był pochmurny i ponury, i światło było przyćmione. Smętne pajęczyny cieni zasnuwały wszystkie kąty.

Sam Peebles miał wrażenie, że coś jest nie tak. Zupełnie jakby nie tylko wszedł do budynku i przeciął hol; zdawało mu się, że wkroczył do innego świata, absolutnie niepodobnego do małego miasteczka w Iowa, które czasami darzył sympatią, czasem nienawiścią, ale najczęściej akceptował takie, jakie jest. Powietrze wydawało się cięższe niż normalnie i jakby gorzej przepuszczało światło. Cisza była gęsta jak olej, zimna jak śnieg.

Biblioteka świeciła pustkami.

Regały z książkami ciągnęły się we wszystkie strony. Sam podniósł wzrok na świetliki poprzecinane drutami

zbrojeniowymi i zakręciło mu się w głowie; doznał przelotnego złudzenia, że wisi do góry nogami nad głęboką kwadratową jamą wyłożoną książkami.

Tu i tam o ściany opierały się drabiny, zamontowane na szynach i jeżdżące wzdłuż regałów na gumowych kółkach. Pomiedzy miejscem, gdzie stał Sam, a stanowiskiem bibliotecznym na drugim końcu wysokiego, rozległego pomieszczenia, z jeziora przestrzeni wyrastały dwie drewniane wysepki. Jedną był długi dębowy stojak na czasopisma. Periodyki, wszystkie w przezroczystych plastikowych okładkach, wisiały na drewnianych rączkach. Wyglądały jak skóry zdarte z dziwacznych zwierząt i zostawione do suszenia w tym cichym pokoju. Tabliczka umieszczona na szczycie stojaka nakazywała:

ODKŁADAĆ WSZYSTKIE CZASOPISMA NA MIEJSCE!

Po lewej stronie stojaka stała półka z nowościami z beletrystyki i literatury faktu. Tabliczka ustawiona na półce informowała, że te książki wypożycza się tylko na tydzień.

Sam ruszył szerokim przejściem między czasopismami a książkowymi nowościami. Chociaż starał się iść cicho, jego obcasy stuknęły, budząc echo. Żałował, że nie posłuchał wcześniejszego impulsu i nie wrócił do biura. To miejsce było upiorne. Na biurku stał niewielki aparat do mikrofilmów, włączony i szumiący, ale nikt go nie obsługiwał. Obok stała mała plakietka z napisem:

A. LORTZ

ale nigdzie nie było ani śladu A. Lortz ani nikogo innego.

Pewnie stawia klocka w kiblu i przegląda nowy numer „Miesięcznika Bibliotekarza”.

Sam poczuł wariacką chęć, żeby wrzasnąć na całe gardło: „Jak ci leci, A. Lortz?”. Ale szybko stracił ochotę. Biblioteka Publiczna w Junction City nie była miejscem odpowiednim do rubasznych żartów.

Samowi przypomniał się nagle krótki wierszyk z dzieciństwa: „Koniec śmiechu i wesela, kwakrzy zbiorą się w niedzielę. Kto przebierze miarę, ten zapłaci karę”.

Jeśli tutaj ktoś przebierze miarę, czy A. Lortz każe mu zapłacić karę? – zastanawiał się Sam. Rozejrzał się ponownie, wyczuwając zakończeniami nerwów posępną głębię ciszy, i pomyślał, że mógłby się o to założyć.

Nie zależało mu już na książce z dowcipami czy *Ulubionych wierszach Ameryki*. Wbrew sobie zafascynowany senną, zastygłą atmosferą biblioteki, podszedł do drzwi po prawej stronie półki z nowościami. Napis na drzwiach głosił: „Biblioteka dla Dzieci”. Czy korzystał z biblioteki dla dzieci, kiedy dorastał w St. Louis? Chyba tak, ale te wspomnienia były mgliste, odległe, trudne do uchwycenia. Gdy jednak zbliżał się do drzwi Biblioteki dla Dzieci, ogarnęło go dziwne, niesamowite uczucie. Jakby wracał do domu.

Drzwi były zamknięte. Wisiał na nich obrazek przedstawiający Czerwonego Kapturka, który patrzy na wilka w łóżku babci. Wilk był ubrany w babciną koszulę nocną i czepek. Szczerzył zęby. Ślina kapła pomiędzy obnażonych kłów. Twarz Czerwonego Kapturka zastygła w wyrazie niemal archetypicznego przerażenia. Plakat zdawał się nie tylko sugerować, ale wręcz ogłaszać, że szczęśliwe zakończenie tej bajki – wszystkich bajek – jest wygodnym kłamstwem. Rodzice mogli wierzyć w takie bzdury, mówiła upiornie blada twarz Czerwonego Kapturka, ale maluchy wiedzą lepiej, prawda?

Milutkie, pomyślał Sam. Z takim plakatem na drzwiach dzieciaki pewnie uwielbiają tu przychodzić. Zwłaszcza te najmłodsze.

Otworzył drzwi i wsunął głowę do środka.

Zdenerwowanie minęło jak ręką odjął. Był oczarowany. Plakat na drzwiach oczywiście tu nie pasował, ale pomieszczenie za drzwiami wyglądało wręcz idealnie. Jasne, że jako dziecko korzystał z biblioteki; wystarczył jeden rzut oka na ten model świata w zmniejszonej skali, żeby odświeżyć dawne

wspomnienia. Ojciec Sama zmarł młodo; Sam był jedynakiem wychowywanym przez pracującą matkę, którą widywał praktycznie tylko w niedziele i wakacje. Kiedy nie mógł zdobyć forsy na kino po szkole – a często nie mógł – musiała mu wystarczyć biblioteka, a teraz na widok tego pokoju powróciły tamte dni w nagłym przypływie nostalgii, słodkiej, bolesnej i budzącej niejasny lęk.

Tamten świat był mały i ten również; tamten świat był jasno oświetlony nawet w najbardziej ponure, deszczowe dni i ten też. Nie wisiały tu żadne klosze; w podwieszanym suficie za panelami z mlecznego szkła paliły się lampy jarzeniowe, rozpraszające cienie. Blaty stolików znajdowały się zaledwie sześćdziesiąt centymetrów nad podłogą; siedziska krzesełek jeszcze niżej. W tym pokoju dorośli byliby intruzami, niezdarnymi obcymi przybyszami. Unosiliby stoliki na kolanach, gdyby chcieli przy nich usiąść, i rozbijaliby sobie głowy, gdyby próbowali się napić z fontanny zamontowanej na przeciwległej ścianie.

Tutaj regały nie wznosiły się tak wysoko, że nieprzyjemna sztuczka perspektywy powodowała zawrót głowy, jeśli zbyt długo się patrzyło. Tutaj sufit był dostatecznie niski, żeby tworzyć przytulny nastrój, ale nie tak niski, żeby dzieci czuły się przytłoczone. Tutaj nie stały rzędy tomów w szarych oprawach, ale książki dosłownie krzyczały jaskrawymi podstawowymi barwami: błękitem, żółcią, czerwienią. W tym świecie doktor Seuss był królem, Judy Blume królową, a wszyscy książęta i księżniczki chodzili do szkoły w Słodkiej Dolinie. Tutaj Sam przypomniał sobie miejsce, które niegdyś witało go życzliwie po szkole, miejsce, gdzie książki niemal się prosiły, żeby ich dotknąć, wziąć do ręki, obejrzeć, przeczytać. Jednak tym wrażeniom towarzyszył jakiś mroczny posmak.

Nad wszystkim dominowało niemal tęskne zadowolenie. Na jednej ścianie wisiała fotografia szczeniaka o wielkich zamyślonych ślepiach. Pod pogodnie zatroskaną mordką wypisano jedną z największych prawd tego świata: TRUDNO BYĆ

GRZECZNYM. Drugą ścianę ozdabiał rysunek kaczek krzyżówek maszerujących brzegiem rzeki do zarośniętej szuwarem wody. MIEJSCE DLA KACZUSZEK! – grzmiał plakat.

Sam spojrział w lewo i lekki uśmiech na jego ustach najpierw przybladł, a potem zgasł. Kolejny plakat przedstawiał duży czarny samochód odjeżdżający szybko spod jakiegoś budynku, zapewne szkoły. Mały chłopczyk wyglądał przez okno po stronie pasażera. Przykleił rączki do szyby, otworzył buzię w bezgłośnym krzyku. W tle mężczyzna – tylko niewyraźna, złowieszcza sylwetka – garbił się nad kierownicą, pędząc na złamanie karku. Napis pod plakatem ostrzegał:

NIGDY NIE WSIADAJ DO SAMOCHODU Z NIEZNAJOMYM!

Sam uświadomił sobie, że oba plakaty, ten i tamten z Czerwonym Kapturkiem na drzwiach Biblioteki dla Dzieci, odwołują się do tego samego prymitywnego uczucia strachu, jednak ten z samochodem budził znacznie większy niepokój. Oczywiście dzieci nie powinny wsiadać do obcych samochodów i oczywiście trzeba je nauczyć, żeby tego nie robiły, ale czy naprawdę w taki sposób?

Zastanawiał się, ile dzieciaków miało przez tydzień koszmary z powodu tego społecznego ogłoszenia.

I jeszcze jeden plakat, umieszczony dokładnie przed stanowiskiem obsługi czytelników, który przejął Sama dreszczem lodowatym jak styczniowy wiatr. Przedstawiał chłopca i dziewczynkę, najwyżej ośmioletnich, cofających się w przestraszu przed wysokim mężczyzną w trenczu i szarym kapeluszu. Mężczyzna miał co najmniej trzy metry wzrostu, jego cień padał na uniesione twarze dzieci. Rondo jego staromodnej fedory rzucało własny cień, w którego czarnej głębi lśniły bezlitosne oczy, zimne jak kulki lodu. Mężczyzna wpatrywał się w dzieci, przyszpilał je groźnym spojrzeniem Władzy. Wyciągał przed siebie legitymację z przypiętą gwiazdą – dziwną gwiazdą,

mającą nie mniej niż dziewięć promieni. Może dwanaście. Podpis pod plakatem głosił:

STRZEŻ SIĘ BIBLIOTECZNEJ POLICJI!
GRZECZNI CHŁOPCY I DZIEWCZYNNKI ZWRACAJĄ
KSIĄŻKI W TERMINIE!

Sam znowu czuł w ustach ten smak. Ten nieprzyjemny słodkawy smak. Przyszła mu do głowy dziwna, zatrważająca myśl: Już gdzieś widziałem tego człowieka. Ale oczywiście to było śmieszne. Prawda?

Pomyślał, że w dzieciństwie taki plakat napędziłby mu porządnego stracha – odebrałby tak wiele prostej przyjemności z przebywania w bezpiecznym schronieniu biblioteki – i poczuł oburzenie wzbierające w piersi. Zrobił krok w stronę plakatu, żeby lepiej obejrzeć dziwną gwiazdę, jednocześnie wyjmując z kieszeni tabletki Tums.

Wkładał jedną z nich do ust, kiedy za jego plecami rozległ się głos:

– No proszę, witamy!

Podskoczył i odwrócił się, gotów do walki z bibliotecznym smokiem, który wreszcie się pojawił.

2

Nie zobaczył żadnego smoka. Tylko pulchną siwowłosą kobietę w wieku około pięćdziesięciu pięciu lat, która pchała wózek z książkami, jadący bezgłośnie na gumowych kółkach. Siwe włosy w schludnych lokach prosto od fryzjera okalały jej sympatyczną twarz bez zmarszczek.

– Pewnie pan mnie szukał – powiedziała. – Czy pan Peckham skierował pana tutaj?

– Nikogo nie widziałem.

– Nie? Widocznie już poszedł do domu. Wcale się nie dziwię, skoro dziś piątek. Pan Peckham przychodzi odkurzyć i przeczytać

gazetę codziennie rano koło jedenastej. Jest woźnym... oczywiście tylko na pół etatu. Czasami zostaje do pierwszej... w poniedziałki zwykle do pierwszej trzydzieści, bo wtedy kurz i gazeta są najgrubsze... A wie pan, jaka cienka jest piątkowa gazeta.

Sam uśmiechnął się.

– Rozumiem, że jest pani bibliotekarką?

– Tak jest – potwierdziła pani Lortz i odpowiedziała mu uśmiechem. Ale jej oczy się nie uśmiechały; obserwowały go uważnie, niemal zimno. – A pan jest...?

– Sam Peebles.

– Ach tak! Nieruchomości i ubezpieczenia! To pańska działka!

– Trafiony, zatopiony.

– Przepraszam, że nie zastał pan nikogo w głównej wypożyczalni. Pewnie pan pomyślał, że biblioteka jest nieczynna i ktoś zostawił otwarte drzwi przez pomyłkę.

– Właściwie coś takiego przyszło mi do głowy – przyznał.

– Od drugiej do siódmej dyżurujemy we trójkę – oznajmiła pani Lortz. – O drugiej dzieci wychodzą ze szkoły... podstawówka o drugiej, gimnazjum o wpół do trzeciej i liceum za kwadrans trzecia. Dzieci to nasi najwierniejsi czytelnicy i najmilej widziani, przynajmniej jeśli o mnie chodzi. Przepadam za maluchami. Dawniej miałam asystentkę na pełny etat, ale w zeszłym roku rada miejska obcięła nam budżet o osiemset dolarów i... – Pani Lortz złożyła dłonie i zrobiła ruch imitujący odlatującego ptaka. Zabawny, czarujący gest.

Więc dlaczego, pomyślał Sam, nie jestem oczarowany ani rozbawiony?

Chyba przez te plakaty. Wciąż próbował jakoś dopasować Czerwonego Kapturka, krzyżące dziecko w samochodzie i groźnego Bibliotecznego Policjanta do tej uśmiechniętej małomiasteczkowej bibliotekarki.

Wyciągnęła lewą rękę – małą, pulchną i okrągłą jak cała ona – z całkowitą, niewymuszoną pewnością siebie. Spojrzał na trzeci palec i zauważył brak obrączki; jednak nie była panią Lortz. Jej

staropanieństwo wydało mu się absolutnie typowe, absolutnie małomiasteczkowe. Prawie karykaturalne. Uścisnął podaną dłoń.

– Nie był pan jeszcze w naszej bibliotece, panie Peebles?

– Nie, niestety. I proszę mi mówić Sam. – Nie miał pewności, czy chce przejść na „ty” z tą kobietą, ale był biznesmenem w małym miasteczku – właściwie komiwojażerem – i proponował to automatycznie.

– Ależ dziękuję, Sam.

Czekał, żeby w rewanżu podała swoje imię, ale ona tylko patrzyła na niego wyczekująco.

– Znalazłem się w kłopotcie – zaczął. – Prelegent zaproszony na dziś wieczór do Klubu Rotariańskiego miał wypadek i...

– Och, to fatalnie!

– Dla niego i dla mnie. Ściągnięto mnie na jego miejsce.

– Ojej! – wykrzyknęła panna Lortz, na pozór zmartwiona, ale w jej oczach błyszczało rozbawienie. Sam wciąż nie czuł się z nią swobodnie, chociaż należał do ludzi, którzy z reguły szybko się zaprzyjaźniają (choć powierzchownie); typ faceta, który ma niewielu przyjaciół, ale czuje się w obowiązku nawiązać rozmowę z każdym nieznanym w windzie.

– Wczoraj wieczorem napisałem przemówienie i dziś rano przeczytałem je młodej kobiecie, która stenografuje i przepisuje moją korespondencję...

– Naomi Higgins, mogę się założyć.

– Tak... skąd pani wie?

– Naomi jest stałą czytelniczką. Wypożycza całe stosy romansów... Jennifer Blake, Rosemary Rogers, Paula Sheldona, takich autorów. – Zniżyła głos. – Mówi, że to dla matki, ale myślę, że tak naprawdę sama je czyta.

Sam roześmiał się. Naomi rzeczywiście miała marzycielskie oczy potajemnej czytelniczki romansów.

– W każdym razie wiem, że ona jest kimś, kogo w dużym mieście nazywa się pomocą biurową. Tu, w Junction City, pewnie wystarcza za cały sekretariat. Nietrudno się domyślić, że to o niej pan mówił.

– Tak. Moje przemówienie podobało się jej... przynajmniej tak powiedziała... ale uznała, że jest trochę nudne. Zaproponowała...

– Na pewno *Poradnik mówcy!*

– No, nie pamiętała dokładnie tytułu, ale chyba o to chodzi. – Zrobił przerwę, a potem zapytał z lekkim niepokojem: – Czy tam są dowcipy?

– Tylko jakieś trzysta stron. – Prawą ręką, także bez pierścionków, jak lewa, pociągnęła go za rękaw. – Tędy. – Poprowadziła go do drzwi, nie wypuszczając rękawa. – Zaraz rozwiążę wszystkie twoje problemy, Sam. Mam tylko nadzieję, że nie trzeba będzie następnego kryzysu, żebyś wrócił do naszej biblioteki. Jest mała, ale znakomita. Przynajmniej ja tak uważam, chociaż oczywiście nie jestem obiektywna.

Weszli w posępny półmrok głównej wypożyczalni. Panna Lortz przekręciła trzy przełączniki przy drzwiach i szklane klosze zajaśniały łagodnym żółtym blaskiem, który znacznie ocieplił i rozweselił pomieszczenie.

– Tu się robi tak ponuro, kiedy nie ma słońca – oznajmiła konfidencjonalnym tonem oznaczającym: „Teraz jesteśmy w prawdziwej bibliotece”. Wciąż mocno ciągnęła Sama za rękaw. – Ale oczywiście wiesz, jak rada miejska narzeka na koszty elektryczności w takim miejscu... albo może nie wiesz, ale na pewno się domyślasz.

– Domyślam się – przyznał Sam, również zniżając głos niemal do szeptu.

– Ale to drobiazg w porównaniu z tym, co wygadują o kosztach ogrzewania w zimie. – Przewróciła oczami. – Ropa jest taka droga. To przez tych Arabów... I zobacz, co oni teraz wyrabiają... wynajmują fanatycznych płatnych zabójców, żeby mordowali pisarzy.

– Rzeczywiście to trochę za ostro – zgodził się Sam i z niewiadomych powodów przypomniał sobie plakat z wysokim mężczyzną, tym z dziwną gwiazdą przypiętą do legitymacji, tym, którego cień padał tak złowrogo na uniesione twarze dzieci. Jak brudna plama.

– I oczywiście krzątałam się w Bibliotece dla Dzieci. Tracę poczucie czasu, kiedy tam jestem.

– To interesujące miejsce – przyznał Sam. Zamierzał mówić dalej, spytać o plakaty, ale panna Lortz go uprzedziła. Nie miał wątpliwości, kto kieruje tą dziwną wycieczką, wykraczającą poza zwykły rozkład dnia.

– Ja myślę! Daj mi jedną minutkę.

Położyła mu ręce na ramionach – w tym celu musiała stanąć na palcach – i przez głowę przemknęła mu absurdalna myśl, że ta kobieta chce go pocałować. Ona natomiast posadziła go na drewnianej ławce, ustawionej wzdłuż regału z nowościami.

– Wiem dokładnie, gdzie szukać twoich książek, Sam. Nawet nie muszę sprawdzać w katalogu.

– Mogę sam ich poszukać...

– Na pewno – przerwała mu – ale one są w dziale specjalnym, a ja niechętnie wpuszczam tam ludzi. Może lubię się rządzić, ale zawsze wiem, gdzie co jest... przynajmniej w tym dziale. Ludzie tak strasznie bałaganią, wcale nie szanują porządku. Dzieci są najgorsze, ale nawet dorośli potrafią narozrabiać, jak się ich nie pilnuje. Nic się nie martw, zaraz wracam.

Sam nie zamierzał dłużej protestować, ale i tak nie dała mu szans. Odeszła. Siedział na ławce, znowu czując się jak czwartoklasista... jak czwartoklasista, który tym razem zrobił coś złego, który narozrabiał, dlatego nie pozwolono mu wyjść na przerwę i bawić się z innymi dziećmi.

Słyszał, jak panna Lortz chodzi po pokoju za stanowiskiem bibliotecznym. Rozejrzał się w zadumie. Nie widział niczego oprócz książek – nawet żadnego emeryta czytającego gazetę albo kartkującego czasopismo. Dziwne. Nie spodziewał się, żeby wczesnym popołudniem w dzień powszedni małomiasteczkowa biblioteka przeżywała najazd czytelników, ale żeby ani żywej duszy?

No, był pan Peckham, pomyślał, ale dokończył gazetę i poszedł do domu. Piątkowa gazeta jest okropnie cienka. Kurz

też jest cienki. A potem uświadomił sobie, że ma tylko słowo panny Lortz na to, że pan Peckham w ogóle tu był.

To prawda – ale czemu miałyby kłamać?

Nie wiedział i nie przypuszczał, żeby kłamała, jednak fakt, że zakwestionował uczciwość tej dopiero co poznanej kobiety o miłej twarzy, rzucił światło na zasadniczy zdumiewający fakt: nie lubił jej. Miła twarz czy niemiła, nie lubił tej kobiety ani trochę.

To przez te plakaty. Nie można lubić kogoś, kto wiesza takie plakaty w czytelni dla dzieci. Ale to nieważne, bo to tylko nadprogramowa wycieczka. Zabieraj książki i w długą.

Przesunął się na ławce, podniósł wzrok i zobaczył motto na ścianie:

Jeśli chcesz wiedzieć, jak mężczyzna traktuje swoją żonę i dzieci, sprawdź, jak traktuje swoje książki.

Ralph Waldo Emerson

To krótkie kazanie również nie spodobało się Samowi. Właściwie nie wiedział dlaczego... pomyślał tylko, że mężczyzna, nawet mól książkowy, powinien jednak traktować rodzinę trochę lepiej niż zadrukowany papier. Niemniej motto, wypisane złotymi literami na tabliczce z politurowanego dębu, łypało na niego groźnie z góry, jakby sugerowało, żeby jeszcze raz to przemyślał.

Zanim zdążył, wróciła panna Lortz; uniosła klapę przy stanowisku bibliotecznym, przeszła na drugą stronę barierki i starannie opuściła klapę za sobą.

– Chyba znalazłam, czego potrzebujesz – oznajmiła radośnie. – Mam nadzieję, że ci się przyda.

Wręczyła mu dwie książki. Jedną był *Poradnik mówcy* opracowany przez Kenta Adelmena, a drugą *Ulubione wiersze Ameryki*. Druga książka, zgodnie z informacją na okładce (którą chroniła mocna plastikowa obwoluta), nie była właściwie opracowaniem, lecz wyborem dokonany przez niejaką Hazel Felleman. „Wiersze o życiu!” obiecywała okładka. „Wiersze

o domu i matce! Wiersze pełne śmiechu i humoru! Wiersze, o które najczęściej proszą czytelnicy »New York Times Book Review«!» Dalej reklamowano, że Hazel Felleman „trzyma rękę na poetyckim pulsie narodu amerykańskiego”.

Sam spojrzął na bibliotekarkę z pewnym powątpiewaniem, a ona bez trudu odgadła jego myśli.

– Tak, wiem, wyglądają na przestarzałe – powiedziała. – Zwłaszcza w naszych czasach, kiedy przyszła moda na samouczki. Przypuszczam, że gdybyś poszedł do którejś sieciowej księgarni w centrum handlowym w Cedar Rapids, znalazłbyś z dziesięć książek przeznaczonych dla początkujących mówców. Ale żadna nie byłaby tak dobra jak te, Sam. Naprawdę uważam, że to najlepsza pomoc dla mężczyzn i kobiet, którzy są nowicjuszami w sztuce publicznego przemawiania.

– Innymi słowy, dla amatorów. – Uśmiechnął się.

– No tak. Weźmy na przykład *Ulubione wiersze*. Druga część książki... zaczyna się na stronie sześćdziesiątej piątej, jeśli dobrze pamiętam... ma tytuł: *Inspiracja*. Na pewno znajdziesz tam coś odpowiedniego dla ukoronowania swojego wystąpienia. I przekonasz się, że twoi słuchacze zapamiętają właściwie dobrany wiersz, nawet jeśli zapomną całą resztę. Zwłaszcza jeśli będą trochę...

– Zalani – podsunął Sam.

– Powiedziałabym raczej: podchmieleni – sprostowała z lekką naganą. – Chociaż pewnie znasz ich lepiej niż ja. – Ale rzuciła mu spojrzenie sugerujące, że mówi tak tylko przez uprzejmość.

Podniosła *Poradnik mówcy*. Okładkę ozdabiał rysunek sali przystrojonej flagami. Przy stolikach z drinkami siedzieli mężczyźni w staromodnych wieczorowych garniturach. Wszyscy ryczeli ze śmiechu. Człowiek na podium – również w wieczorowym garniturze, najwyraźniej wygłaszający mowę po kolacji – uśmiechał się do nich triumfalnie. Niewątpliwie odniósł oszołamiający sukces.

– Na początku jest rozdział poświęcony teorii przemówień przy kolacji – powiedziała panna Lortz. – Ale ponieważ nie

wyglądasz na takiego, który chce się tym zajmować zawodowo...

– W żadnym razie – przyświadczył żarliwie Sam.

– ...proponuję, żebyś przeszedł od razu do części środkowej, zatytułowanej *Jak mówić interesująco*. Znajdziesz tam dowcipy i historyjki podzielone na trzy kategorie: „Oswajanie”, „Rozgrzewanie” i „Finiszowanie”.

Trochę jak podręcznik dla żigolaka, pomyślał Sam, ale nie powiedział tego na głos.

Ona znowu odczytała jego myśli.

– Trochę sugestywne, fakt... ale te książki wydano w dawnych, bardziej niewinnych czasach. Dokładniej pod koniec lat trzydziestych.

– Rzeczywiście bardzo niewinnych – mruknął Sam, myśląc o opuszczonych farmach na jałowej ziemi, małych dziewczynkach w sukienkach z worków po mące, obskurnych, przepelnionych osiedlach nędzarzy otoczonych przez policjantów z pałkami.

– Ale obie książki wciąż się sprawdzają – oświadczyła, stukając w nie palcem dla podkreślenia. – A to się liczy w biznesie, prawda, Sam? Wyniki.

– Tak... chyba tak.

Popatrzył na nią z namysłem, a ona uniosła brwi... może odrobinę defensywnie.

– Grosik za twoje myśli.

– Myślałem, jak rzadko coś takiego mnie spotykało w dorosłym życiu – powiedział. – Nie żeby nigdy, co to, to nie, ale rzadko. Przyszedłem tutaj po jakieś książki, żeby ożywić swoje przemówienie, i dostałem dokładnie to, czego potrzebuję. Jak często coś takiego zdarza się w świecie, gdzie z reguły w sklepie mięsny nie można nawet dostać porządnych kotletów jagnięcych?

Uśmiechnęła się. Ten uśmiech zdawał się wyrażać szczere zadowolenie... ale Sam znowu zauważył, że jej oczy się nie uśmiechają. Nie zmieniły wyrazu, odkąd natknęła się na niego –

albo on się natknął na nią – w Bibliotece dla Dzieci. Po prostu obserwowały.

– Chyba właśnie usłyszałam komplement!

– Tak jest, szanowna pani.

– Dziękuję ci, Sam. To bardzo miłe. Podobno pochlebstwem można wszystko osiągnąć, ale niestety mimo tego muszę cię poprosić o dwa dolary.

– Dwa dolary?

– Opłata za wydanie karty biblioteczej dla dorosłego – wyjaśniła. – Ale jest ważna przez trzy lata, a przedłużenie kosztuje tylko pięćdziesiąt centów. No więc jak, ubijemy interes?

– Mnie to odpowiada.

– Więc proszę tędy – powiedziała i Sam podeszedł za nią do stanowiska bibliotekarza.

3

Dała mu formularz do wypełnienia; wpisał swoje nazwisko, adres, numer telefonu i miejsce pracy.

– Widzę, że mieszkasz na Kelton Avenue. Miło!

– No, mnie się podoba.

– Domy są duże i piękne... powinieneś być żonaty.

Lekko się spłoszył.

– Skąd pani wie, że nie jestem żonaty?

– Stamtąd, skąd ty wiedziałeś, że nie jestem mężatką. – Jej uśmiech stał się odrobinę przebiegły, koci. – Nic na serdecznym palcu.

– Och – bąknął i uśmiechnął się. Chyba to nie był jego zwykły promienny uśmiech. Policzki go paliły.

– Dwa dolary poproszę.

Wręczył jej dwie jednodolarówki. Podeszła do małego biurka, gdzie stała wiekowa maszyna do pisania, i szybko wypisała jaskrawopomarańczową kartę. Zniosła ją z powrotem do kontuaru, złożyła zamaszysty podpis na dole i podsunęła mu kartę.

– Sprawdź, proszę, czy dane są prawidłowe.

Sprawdził.

– Wszystko w porządku.

Zauważył, że ma na imię Ardelia. Ładne imię i dość niezwykle.

Wzięła jego nową kartę biblioteczną – pierwszą od czasu college’u, jak sobie uświadomił, a i tamtej rzadko używał – i umieściła pod czytnikiem mikrofilmów obok kart, które wyjęła z okładek książek.

– Możesz je zatrzymać tylko na tydzień, bo są z działu specjalnego. Sama wymyśliłam tę kategorię dla książek, na które jest wielkie zapotrzebowanie.

– Wielkie zapotrzebowanie na poradniki dla początkujących mówców?

– Tak, i na książki o naprawach hydraulicznych, prostych sztuczkach magicznych, zasadach dobrego wychowania... Zdziwiłbyś się, jakich książek ludzie się domagają na gwałt. Ale ja wiem.

– Na pewno.

– Pracuję w tym interesie od bardzo, bardzo dawna, Sam. I okresu wypożyczenia nie można przedłużyć, więc koniecznie musisz je zwrócić do szóstego kwietnia. – Uniosła głowę i światło odbiło się w jej oczach. Sam niemal zlekceważył to, co wziął za błysk... ale to nie był błysk. To było lśnienie. Płaskie, twarde lśnienie. Przez moment Ardelia Lortz wyglądała, jakby zamiast oczu miała pięciocentówki.

– Albo? – zapytał i nagle jego uśmiech nie był już uśmiechem, tylko maską.

– Albo będę musiała wysłać do ciebie Bibliotecznego Policjanta.

4

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem i Sam pomyślał, że widzi prawdziwą Ardelię Lortz, że w tej kobiecie nie ma absolutnie nic

czarującego, łagodnego ani bibliotekarsko-staropanieńskiego.

Ona naprawdę może być niebezpieczna, pomyślał, a potem zmitygował się, nieco zażenowany. Ten pochmurny dzień – i zbliżające się przemówienie – działał mu na nerwy. Ta kobieta jest równie niebezpieczna jak puszka brzoskwiń... i nie chodzi o pochmurny dzień ani występ w Klubie Rotariańskim. Chodzi o te cholerne plakaty.

Trzymał pod pachą *Poradnik mówcy* i *Ulubione wiersze Ameryki*. Dotarli prawie do drzwi, zanim się zorientował, że bibliotekarka go wyprowadza. Mocno wparł stopy w podłogę i stanął. Spojrzała na niego, zaskoczona.

– Czy mogę o coś zapytać, panno Lortz?

– Oczywiście, Sam. Po to tu jestem... żeby odpowiadać na pytania.

– Chodzi o Bibliotekę dla Dzieci i te plakaty. Niektóre mnie zdziwiły. Prawie zaszokowały. – Obawiał się, że mówi jak kaznodzieja baptystów, który wypatrzył u swojego parafianina „Playboya” wśród innych czasopism, ale to zabrzmiało zupełnie inaczej. Ponieważ, pomyślał, to nie jest konwencjonalne zgorszenie. Ja naprawdę byłem zaszokowany. Żadne „prawie”.

– Plakaty? – powtórzyła marszcząc brwi, ale zaraz się rozchmurzyła. Roześmiała się. – Och! Chodzi ci o Bibliotecznego Policjanta... i oczywiście o Głupiego Jasia.

– Głupiego Jasia?

– Widziałeś ten plakat z napisem: NIGDY NIE WSIADAJ DO SAMOCHODU Z NIEZNAJOMYM? Tak dzieciaki nazywają tego chłopczyka na obrazku. Tego, który wrzeszczy. Nazywają go Głupi Jasio... pewnie nim gardzą, bo zrobił coś tak głupiego. To bardzo zdrowe podejście, nie uważasz?

– On nie wrzeszczy – powiedział powoli Sam. – On rozpaczliwie krzyczy.

Wzruszyła ramionami.

– Wrzeszczy, krzyczy, co za różnica? Tutaj i tak tego nie słyszymy. Dzieci są bardzo grzeczne... szanują ciszę.

– Ja myślę – mruknął Sam.

Znowu znaleźli się w holu. Spojrzał na tablicę na stojaku, która nie głosiła:

MILCZENIE JEST ZŁOTEM

ani

PROSZĘ ZACHOWAĆ CISZĘ

tylko nakazywała kategorycznie:

CISZA!

– Poza tym to kwestia interpretacji, prawda?

– Pewnie tak – przyznał Sam. Poczul się wymanewrowany, i to bardzo zręcznie, w miejsce, gdzie zabraknie mu moralnych argumentów, a dialektyczne zwycięstwo przypadnie Ardelii Lortz. Odniósł wrażenie, że to typowe dla niej postępowanie, co tym bardziej podsycało jego upór. – Ale te plakaty wydały mi się zbyt ekstremalne.

– Naprawdę? – zapytała uprzejmie. Zatrzymali się teraz przy drzwiach wyjściowych.

– Tak. Straszne. – Zebrał się w sobie i powiedział to, co naprawdę go dręczyło. – Nieodpowiednie do miejsca, gdzie przychodzą małe dzieci.

Z ulgą stwierdził, że wciąż nie brzmi świętoszkowato ani pruderyjnie, przynajmniej we własnych uszach.

Uśmiechnęła się i ten uśmiech go zirytował.

– Nie ty pierwszy wyraziłeś taką opinię, Sam. Bezdzielni dorośli nieczęsto zaglądają do Biblioteki dla Dzieci, ale czasami tam wchodzą... wujkowie, ciocie, jakiś przyjaciel samotnej matki, na którego spadło odebranie dziecka... albo ludzie tacy jak ty, Sam, którzy mnie szukają.

Ludzie w potrzebie, mówiły jej zimne szaroniebieskie oczy. Ludzie, którzy przyszli prosić o pomoc, a kiedy już im POMOGŁAM, zaczynają krytykować to, jak kierujemy Biblioteką

Publiczną w Junction City. To, jak JA kieruję Biblioteką Publiczną w Junction City.

– Pani chyba ma mi za złe, że wtykam nos w nie swoje sprawy – powiedział dobrodusznie. Nie czuł się dobrodusznie, nagle wcale nie czuł się dobrodusznie, ale to był kolejny chwyt zawodowy, którym się osłonił jak tarczą.

– Bynajmniej. Ty po prostu nie rozumiesz. Zeszłego lata w ramach dorocznego Letniego Programu Czytania przeprowadziliśmy ankietę. Nazywamy nasz program Letnie Atrakcje Junction City i każde dziecko może oddać jeden głos na każdą książkę, którą przeczytało. To część naszej strategii rozwijanej przez lata, żeby zachęcić dzieci do czytania. Jedno z naszych najważniejszych zadań.

„Wiemy, co robimy – mówiło jej nieugięte spojrzenie. – I jestem bardzo uprzejma, prawda? Zważywszy na to, że zjawiliś się tu pierwszy raz w życiu i od razu pozwalasz sobie na krytykę”.

Sam zaczął tracić grunt pod nogami. Lortz jeszcze nie zwyciężyła na tym dialektycznym polu bitwy – przynajmniej nie całkowicie – ale zepchnęła go do defensywy.

– Według ankiety najpopularniejszym filmem zeszłego lata był *Koszmar z ulicy Wiązów 5*. Ich ulubiony zespół rockowy nazywał się Guns N' Roses... drugie miejsce zajął jakiś Ozzy Osbourne, który podobno słynie z tego, że na koncertach odgryza głowy żywym zwierzętom. Ulubioną książką była broszurowa powieść *Łabędzi śpiew*, horror napisany przez kogoś nazwiskiem Robert McCammon. Nie możemy jej utrzymać na stanie, Sam. Każdy nowy egzemplarz zaczytują na strzępy po paru tygodniach. Oprawiłam jeden, ale oczywiście ktoś go ukradł. Któryś ze złych dzieciaków.

Zacisnęła wargi w cienką linię.

– Drugie miejsce zajął horror o kazirodztwie i dzieciobójstwie pod tytułem *Kwiaty na poddaszu*. Przedtem wygrywał przez pięć lat z rzędu. Kilkoro z nich nawet wymieniło *Peyton Place*!

Spojrzała na niego surowo.

– Sama nigdy nie oglądałam żadnego *Koszmaru z ulicy Wiązów*. Nigdy nie słuchałam płyt Ozziego Osbourne’a i nie mam na to ochoty, ani na czytanie powieści Roberta McCammona, Stephena Kinga czy V.C. Andrews. Rozumiesz, do czego zmierzam, Sam?

– Chyba tak. Według pani, byłoby niesprawiedliwe... – zabrakło mu słowa, poszukał go i znalazł – ...cenzurować gusty dzieci.

Uśmiechnęła się promiennie, całą sobą, tylko nie oczami, w których znowu zaśniły pięciocentówki.

– Tak, ale to nie wszystko. Plakaty w dziecięcej bibliotece... i te miłe, niekontrowersyjne, i te, które cię oburzyły... przysłano nam ze Stowarzyszenia Bibliotek Iowa. SBI należy do Stowarzyszenia Bibliotek Środkowego Zachodu, które z kolei należy do Narodowego Stowarzyszenia Bibliotek, finansowanego głównie z podatków. Z pieniędzy zwykłego podatnika, jak ja. I ty.

Sam przestąpił z nogi na nogę. Nie chciał przez całe popołudnie wysłuchiwać wykładu pod tytułem *Jak funkcjonuje twoja biblioteka*, ale chyba sam się o to prosił? Chyba. Jednego był absolutnie pewien: z każdą chwilą coraz mniej lubił Ardelię Lortz.

– Co drugi miesiąc Stowarzyszenie Bibliotek Iowa przysyła nam arkusz z reprodukcjami około czterdziestu plakatów – ciągnęła nieubłaganie panna Lortz. – Możemy wybrać do pięciu za darmo; dodatkowe kosztują po trzy dolary. Widzę, że się niecierpliwisz, Sam, ale należy ci się wyjaśnienie i wreszcie dochodzimy do sedna.

– Wcale się nie niecierpliwię – powiedział niecierpliwie Sam.

Uśmiechnęła się do niego, pokazując zbyt równe zęby, na pewno sztuczne.

– Mamy komitet biblioteki dla dzieci – oznajmiła. – Kto w nim jest? Oczywiście dzieci! Dziewięcioro. Czterech licealistów, trójka gimnazjalistów i dwoje z podstawówki. Dziecko musi mieć wysoką średnią ocen, żeby się zakwalifikować. Wybierają nowe książki, które zamawiamy, wybrały nowe zasłony i stoliki, kiedy

zeszłej jesieni robiliśmy remont... i oczywiście wybierają plakaty. To jest, jak się wyraził jeden z młodszych członków komitetu, „najbardziej fajowe”. Teraz rozumiesz?

– Tak – potwierdził Sam. – Dzieciaki wybrały Czerwonego Kapturka, Głupiego Jasia i Bibliotecznego Policjanta. Spodobały im się, bo są straszne.

– Właśnie! – Rozpromieniła się.

Sam nagle miał dosyć. Dosyć tej całej biblioteki. Nie chodziło o plakaty ani o bibliotekarkę, ale o samą bibliotekę. Nagle zaczęła go irytować niczym kłująca, wbita głęboko drzazga w tyłku. Cokolwiek to było, miał dosyć.

– Panno Lortz, czy ma pani w Bibliotece dla Dzieci kasetę z *Koszmarem z ulicy Wiązów 5*? Albo wybór albumów Guns N’ Roses i Ozziego Osbourne’a?

– Sam, nie rozumiesz – zaczęła cierpliwie.

– A co z *Peyton Place*? Czy ma pani egzemplarz w bibliotece tylko dlatego, że kilka dzieciaków to przeczytało?

Jednocześnie pomyślał: Kto jeszcze czyta takie starocie?

– Nie – zaprzeczyła i zobaczył, że na jej policzki wypełza rumieniec gniewu. Ta kobieta nie przywykła, żeby kwestionowano jej opinie. – Ale mamy książki o włamaniach, kradzieżach i maltretowaniu dzieci. To oczywiście *Złotowłosa i trzy misie*, *Jaś i magiczna fasola* oraz *Jaś i Małgosia*. Spodziewałam się, Sam, że człowiek taki jak ty okaże więcej zrozumienia.

Człowiek, któremu pomogłaś w potrzebie, o to ci chodzi, paniusiu, pomyślał, ale co tam, cholera... przecież za to miasto ci płaci.

Potem wziął się w garść. Nie wiedział dokładnie, co miało znaczyć „człowiek taki jak ty”, i chyba nie chciał wiedzieć, rozumiał jednak, że ta dyskusja lada chwila wymknie się spod kontroli, przerodzi się w awanturę. Przyszedł tutaj znaleźć trochę przypraw do swojego przemówienia, a nie wyklócać się z kierowniczką o dziecięcą bibliotekę.

– Przepraszam, jeśli w jakiś sposób panią obraziłem, ale naprawdę powinienem już iść – powiedział.

– Tak, chyba powinieneś – przyznała.

Nie przyjmuję twoich przeprosin, sygnalizowały jej oczy. Wykluczone.

– Chyba jestem trochę zdenerwowany swoim debiutanckim wystąpieniem – ciągnął. – I wczoraj pracowałem nad nim do późna. – Zaprezentował dobroduszny uśmiech Sama Peeblesa i podniósł teczkę.

Ustąpiła – trochę – ale wciąż piorunowała go wzrokiem.

– To zrozumiałe. Naszym zadaniem jest służyć i oczywiście zawsze interesuje nas konstruktywna krytyka ze strony podatników. – Leciutko podkreśliła słowo „konstruktywna”, jakby dając mu do zrozumienia, że jego krytyka bynajmniej taka nie była.

Teraz, kiedy było po wszystkim, poczuł impuls – niemal potrzebę – żeby naprawdę wszystko zakończyć, wygładzić jak narzutę na starannie posłanym łóżku. Przypuszczał, że to również zawodowy nawyk... albo barwy ochronne biznesmena. Przyszła mu do głowy dziwna myśl: że dziś wieczorem tak naprawdę powinien opowiedzieć o swoim spotkaniu z Ardelią Lortz. Ukazywało ducha i serce małego miasteczka lepiej niż cała jego przemowa. Nie stawiało go w najlepszym świetle, ale z pewnością nie było nudne. I zabrzmiałoby dźwiękiem rzadko słyszczanym podczas piątkowych przemówień w Klubie Rotariańskim: niekwestionowanym głosem prawdy.

– No cóż, mieliśmy drobną utarczkę – usłyszał swój głos i zobaczył, że wyciąga rękę. – Chyba posunąłem się trochę za daleko. Mam nadzieję, że nie żywi pani urazy.

Dotknęła jego ręki. Krótko, zdawkowo. Chłodna, gładka skóra. W jakiś sposób nieprzyjemna. Jakby wymienił uścisk ze stojakiem na parasole.

– Bynajmniej – zapewniła, ale jej oczy wciąż mówiły co innego.

– No więc... będę leciał.

– Tak. Pamiętaj, Sam, jeden tydzień. – Uniosła palec. Wskazała wymanikiowanym paznokciem na książki, które trzymał. I uśmiechnęła się. Sam dostrzegł w tym uśmiechu coś niezwykle niepokojącego, ale nie potrafiłby tego nazwać nawet za cenę życia. – Nie chciałabym wysłać do ciebie Bibliotecznego Policjanta.

– Nie – zgodził się Sam. – Ja też bym nie chciał.

– Właśnie – powiedziała Ardelia Lortz, wciąż uśmiechnięta. – Nie chciałbyś.

5

W połowie chodnika wróciła do niego twarz krzyczącego dziecka

(Głupi Jasio, dzieciaki nazywają go Głupi Jasio, to bardzo zdrowe podejście, nie uważasz?)

a razem z nią nadeszła myśl, tak prosta i praktyczna, że aż się zatrzymał. Myśl była następująca: jury złożone z dzieciaków rzeczywiście mogło wybrać taki plakat... ale czy jakiegokolwiek stowarzyszenie bibliotek, z Iowa, ze Środkowego Zachodu czy z całego kraju, mogło naprawdę coś takiego przysłać?

Sam Peebles pomyślał o dłoniach błagalnie przyklejonych do twardej, nieustępliwej szyby, o krzyczących, udręczonych ustach i nagle nie mógł w to uwierzyć. Absolutnie nie mógł w to uwierzyć.

I *Peyton Place*. Co jest grane? Przecież nawet większość dorosłych korzystających z biblioteki dawno zapomniała o tej książce. Czy naprawdę wierzył, że kilkoro ich dzieci – tych młodszych, korzystających z Biblioteki dla Dzieci – odkryło ponownie ten relikwiarz przeszłości?

W to też nie wierzę.

Nie chciał ściągać na siebie następnej porcji gniewu Ardelii Lortz – pierwsza mu wystarczyła i miał przecucie, że daleko jej było do osiągnięcia pełnej mocy – ale te myśli zmusiły go, żeby się obejrzał.

Ardelia Lortz zniknęła.

Drzwi biblioteki były zamknięte, pionowa szpara ust w posępnej granitowej twarzy.

Sam stał bez ruchu jeszcze przez chwilę, po czym pośpieszył do samochodu zaparkowanego przy krawężniku.

ROZDZIAŁ 3

Przemówienie Sama

1

Odniósł olśniewający sukces.

Zaczął od własnej adaptacji dwóch anegdot z działu „Oswajanie” *Poradnika mówcy* – jednej o farmerze, który próbował sprzedawać hurtowo własne plony, a drugiej o sprzedawaniu mrożonych obiadów Eskimosom – trzecią zaś wykorzystał w środku (gdzie tekst rzeczywiście był bardzo suchy). Znalazł jeszcze jeden dobry kawał w rozdziale pod tytułem: „Finiszowanie”, zaczął go przepisywać, potem przypomniał sobie Ardelię Lortz i *Ulubione wiersze Ameryki*. „Przekonasz się, że twoi słuchacze zapamiętają właściwie dobrany wiersz, nawet jeśli zapomną całą resztę”, powiedziała. Sam znalazł dobry krótki wiersz w części „Inspiracja”, tak jak zapowiadała.

Spojrzał na uniesione twarze swoich kolegów rotarian i powiedział:

– Staralem się wam wyjaśnić, dlaczego mieszkam i pracuję w takim małym miasteczku jak Junction City, i mam nadzieję, że mówiłem z sensem. Jeśli nie, to mam przechlapane.

To wywołało wybuch gromkiego śmiechu (oraz powiew zmieszanych oparów szkockiej i burbona).

Sam pocił się obficie, ale czuł się całkiem nieźle i zaczynał wierzyć, że wyjdzie z tego cało. Mikrofon miał tylko jedno piszczące sprzężenie, nikt nie rzucał jedzeniem i rozległo się zaledwie parę gwizdów, zresztą całkiem dobrodusznym.

– Myślę, że poeta nazwiskiem Spencer Michael Free podsumował to, co próbowałem wam przekazać, znacznie lepiej

ode mnie. Widzicie, prawie wszystko, co sprzedajemy w naszych małomiasteczkowych firmach, można kupić taniej w wielkomiejskich centrach handlowych i podmiejskich supermarketach. Takie sklepy lubią się przechwalać, że oferują praktycznie wszystkie towary i usługi, jakich możecie potrzebować, i do tego bezpłatny parking. I niewiele mijają się z prawdą. Ale jest jedna rzecz, którą mają do zaoferowania małomiasteczkowe firmy, a której nie dostanie się w supermarketach i centrach handlowych, i o tym właśnie pan Free pisze w swoim wierszu. Nie jest długi, ale pełen treści. Posłuchajcie:

*To ludzki dotyk jest najważniejszy
W tym świecie ciągłych zmian.
Lepiej pokrzepi słabe serce
Niż chleb i wina dzban.
Bo chleb po jednym dniu szcerstwieje
I wino straci smak wspaniały,
Lecz dotyk ręki i dźwięk głosu
Na zawsze w duszy będą trwały.*

Sam podniósł wzrok na publiczność i po raz drugi tego dnia stwierdził ze zdziwieniem, że wierzy w każde swoje słowo. Nagle poczuł, że jego serce wypełnia się szczęściem i prostą wdzięcznością. Dobrze było odkryć, że nadal ma serce, że nie zatracił go w zwykłej rutynie zwykłych dni, ale jeszcze lepiej przekonać się, że nadal potrafi przemawiać prosto z serca.

– My, biznesmeni z małych miasteczek, zapewniamy ten ludzki dotyk. Z jednej strony to niewiele... ale z drugiej strony to najważniejsza rzecz. Wiem, że to pomaga mi żyć. Chciałbym życzyć naszemu pierwotnie zaplanowanemu prelegentowi, Niesamowitemu Joemu, szybkiego powrotu do zdrowia; chciałbym podziękować Craigowi Jonesowi, że poprosił mnie o zastępstwo; i chciałbym podziękować wam wszystkim, że tak cierpliwie słuchaliście mojej nudnej gadaniny. Więc... bardzo dziękuję.

Oklaski wybuchły, zanim jeszcze dokończył ostatnie zdanie; narastały, kiedy zbierał kartki z tekstem, który Naomi przepisała na maszynie, a on poprawiał przez całe popołudnie; spotężniały do crescendo, kiedy usiadł, zdumiony reakcją słuchaczy.

No, to tylko woda, powiedział sobie. Klaskaliby tak samo, gdybym im opowiedział, jak udało mi się rzucić palenie, kiedy znalazłem Jezusa na promocyjnym party Tupperware.

Potem zaczęli wstawać i Sam pomyślał, że gadał za długo, skoro aż tak im pilno do wyjścia. Ale oni wciąż klaskali, a potem zobaczył, że Craig Jones do niego macha. Po chwili zrozumiał. Craig chciał, żeby Sam wstał i się uklonił.

Sam puknął się w czoło: Zgłupiałeś!

Craig teatralnie pokręcił głową i zaczął unosić ręce tak gwałtownie, że wyglądał jak płomienny kaznodzieja zachęcający wiernych do głośniejszego śpiewu.

Więc Sam wstał i osłupiał, kiedy zaczęli dosłownie wiwatować.

Po chwil Craig podszedł do mównicy. Wiwaty w końcu ucichły, kiedy stuknął kilka razy w mikrofon, co brzmiało tak, jakby gigantyczna pięść owinięta watą waliła w trumnę.

– Wszyscy chyba się zgodzimy – zaczął – że przemówienie Sama z nawiązką pokrywa koszt dzisiejszej wyżerki.

To wywołało następną burzę oklasków.

Craig odwrócił się do Sama i powiedział:

– Gdybym wiedział, co potrafisz, Sammy, zaprosiłbym cię w pierwszej kolejności!

Znowu rozległy się huczne brawa i gwizdy. Zanim ucichły, Craig Jones chwycił rękę Sama i zaczął nią energicznie potrząsać.

– To było świetne! – zawołał. – Skąd to przepisałeś, Sam?

– Nie przepisałem – zaprzeczył Sam. Policzki mu płonęły i chociaż wypił tylko jeden słaby dzin z tonikiem, zanim wszedł na mównicę, czuł się trochę pijany. – To moje. Wziąłem parę książek z biblioteki i pomogły.

Teraz dookoła tłoczyli się inni rotarianie; Samowi wciąż ściskano rękę. Czuł się jak miejska pompa podczas letniej suszy.

– Świetne! – wrzasnął mu ktoś do ucha. Sam odwrócił się i zobaczył Franka Stephensa, który kiedyś zastępował oficjela ze związku transportowców oskarżonego o nadużycia. – Powinniśmy to nagrać i sprzedawać tym młodziakom z Niższej Izby Handlowej. To była cholernie dobra mowa, Sam!

– Powinieneś z tym pojechać w trasę! – oświadczył Rudy Pearlman. Jego okrągła twarz była czerwona i spocona. – Niech to szlag, mało się nie popłakałem! Przysięgam na Boga! Skądżeś wziął ten wiersz?

– Z biblioteki – odparł Sam. Wciąż czuł się oszołomiony, ale ulga, że udało mu się wyjść cało z opresji, stopniowo przeradzała się w ostrożną radość. Pomyślał, że musi dać Naomi premię. – Z książki pod tytułem...

Zanim jednak zdążył podać Rudy'emu tytuł książki, Bruce Engalls chwycił go za łokieć i pociągnął w stronę baru.

– Najlepsze cholerne przemówienie, jakie słyszałem w tym durnym klubie od dwóch lat! – wykrzykiwał. – Może od pięciu! Na co komu jakiś zasrany akrobata? Stawiam ci drinka, Sam. Co tam, cholera, stawiam dwa!

2

Zanim Sam zdołał się wyrwać, wypił w sumie sześć drinków, wszystkie darmowe, i zakończył wieczór swojego triumfu, wymiotując na własną wycieraczkę, jak tylko Craig Jones wysadził go przed jego domem na Kelton Avenue. Kiedy żołądek mu się zbuntował, Sam próbował trafić kluczem do zamka we frontowych drzwiach – niełatwe zadanie, ponieważ wydawało się, że są trzy zamki i cztery klucze – i najzwyczajniej nie zdążył pozbyć się balastu w krzakach obok schodów. Więc kiedy wreszcie udało mu się otworzyć drzwi, po prostu podniósł wycieraczkę (ostrożnie, trzymając za brzegi, żeby rzygowiny się nie wylały) i wyrzucił wszystko w krzaki.

Zrobił sobie kawę, żeby otrzeźwieć, ale kiedy ją popijał, dwa razy zadzwonił telefon. Kolejne gratulacje. Jako drugi zadzwonił

Elmer Baskin, który nawet nie był w klubie. Sam czuł się trochę jak Judy Garland w *Narodzinach gwiazdy*, ale trudno mu było się cieszyć, kiedy żołądek wciąż stawał dęba i w głowie zaczęło łupać – kara za brak umiarkowania.

Włączył automatyczną sekretarkę w salonie, żeby odbierała następne telefony, powlókł się na górę do sypialni, wyłączył telefon przy łóżku, połknął dwie aspiryny, rozebrał się i padł.

Szybko tracił świadomość – był nie tylko zalany, ale również zmęczony – zanim jednak zapadł w sen, zdążył pomyśleć: „Najwięcej zawdzięczam Naomi... i tej niemiłej babie z biblioteki. Horst. Borscht. Jak jej tam...? Może jej też powinienem dać premię”.

Usłyszał, że na dole dzwoni telefon, a potem włącza się sekretarka.

Grzeczna dziewczynka, pomyślał sennie. Rób swoje... w końcu chyba za to ci płacę?

Potem odpłynął w ciemność i ocknął się dopiero o dziesiątej rano w sobotę.

3

Powrócił do krainy żywych ze zgarą i lekkim bólem głowy, ale mogło być dużo gorzej. Przykro mu było z powodu wycieraczki, ale był zadowolony, że przynajmniej częściowo pozbył się alkoholu, zanim jeszcze bardziej uderzył mu do głowy. Stał pod prysznicem przez dziesięć minut, tylko markując mycie, potem wytarł się, ubrał i zszedł na dół z głową owiniętą ręcznikiem. Na automatycznej sekretarce mrugało czerwone światelko wiadomości. Kiedy nacisnął guzik odtwarzania, taśma przewijała się krótko; widocznie telefon, który słyszał, zasypiając, był ostatni.

Biip!

– Cześć, Sam. – Znieruchomiał w trakcie zdejmowania ręcznika, zmarszczył brwi. Znał ten kobiecy głos. Czyj? –

Słyszałam, że twoja mowa była wielkim sukcesem. Bardzo się cieszę.

To ta Lortz, uświadomił sobie. Ale zaraz, skąd wzięła mój numer? No tak, przecież po to są książki telefoniczne... i zapisał go na bibliotecznym formularzu, prawda? Tak. Z powodu, którego nie potrafił nazwać, po plecach przeszedł mu lekki dreszcz.

– Koniecznie zwróć pożyczone książki do szóstego kwietnia – ciągnęła, a potem dodała figlarnie: – Pamiętaj o Bibliotecznym Policjancie.

Rozległ się metaliczny trzask przerwanego połączenia. Na automatycznej sekretarce zapaliła się lampka WSZYSTKIE WIADOMOŚCI ODSŁUCHANE.

– Ale z ciebie zołza, moja pani – powiedział Sam do pustego domu i poszedł do kuchni, żeby zrobić sobie grzanki.

4

W piątek, tydzień po triumfalnym debiucie Sama jako bankietowego mówcy, kiedy Naomi zjawiała się o dziesiątej rano, Sam wręczył jej długą białą kopertę z jej nazwiskiem.

– Co to jest? – zapytała podejrzliwie, zdejmując płaszcz. Na dworze lało jak z cebra, gwałtowny, ponury, wczesnowiosenny deszcz.

– Otwórz i zobacz.

Posłuchała. W środku była ozdobna kartka pocztowa z podziękowaniem, do której przyklepiono taśmą klejącą portret Andrew Jacksona.

– Dwadzieścia dolarów! – Spojrzała na niego jeszcze bardziej podejrzliwie. – Za co?

– Bo uratowałaś moją skórę, kiedy mnie wysłałaś do biblioteki – wyjaśnił Sam. – Przemówienie poszło mi bardzo dobrze, Naomi. Chyba śmiało mogę powiedzieć, że zrobiłem furorę. Włożyłbym pięćdziesiątkę, gdybym nie wiedział, że jej nie przyjmiesz.

Teraz zrozumiała i była wyraźnie zadowolona, ale i tak próbowała zwrócić pieniądze.

– Naprawdę się cieszę, że ci się udało, Sam, ale nie mogę wziąć...

– Owszem, możesz – uciął. – I weźmiesz. Wzięłabyś prowizję, gdybyś była u mnie sprzedawczynią, prawda?

– Ale nie jestem. Nigdy nie umiałam niczego sprzedać. Kiedy byłam skautką, tylko moja mama kupowała ode mnie ciasteczka.

– Naomi, dziewczyno droga. Nie... nie denerwuj się, nie rób takiej wystraszonej miny. Nie zamierzam się do ciebie przystawiać. Już to przerabialiśmy dwa lata temu.

– A jakże, przerabialiśmy – przytaknęła Naomi, ale wciąż wydawała się zdenerwowana i zerkła w stronę drzwi, żeby się upewnić, że w razie czego ma wolną drogę ucieczki.

– Czy ty sobie zdajesz sprawę, że od czasu tej cholерnej mowy sprzedałem dwa domy i wystawiłem ubezpieczenia na prawie dwieście tysięcy dolarów? Prawda, większość to grupowe ubezpieczenia pracownicze z dużymi zniżkami i niską prowizją, ale i tak dokładają się do mojego nowego wozu. Jeśli nie przyjmiesz tej dwudziestki, będę się czuł jak gówno.

– Sam, proszę! – zawołała zaszokowana Naomi.

Była gorliwą baptystką. Razem z matką chodziły do małego kościółka w Proverbii, niemal równie zrujnowanego jak ich dom. Sam wiedział o tym; raz tam był. Ale cieszył się, że ona też wydawała się zadowolona... i trochę bardziej odprężona.

Latem 1988 roku Sam dwukrotnie umówił się z Naomi. Na drugiej randce próbował się do niej przystawiać. Przystawiał się najbardziej przyzwoicie, jak tylko to możliwe, niemniej się przystawiał. Dużo mu pomogła ta przyzwoitość! Naomi okazała się tak doskonałym obrońcą, że mogłaby grać w drużynie futbolowej Denver Broncos. Nie chodziło o to, że go nie lubi, wyjaśniła; po prostu doszła do wniosku, że nie pasują do siebie „pod tym względem”. Zaskoczony Sam spytał ją dlaczego. Naomi tylko pokręciła głową. „Pewne rzeczy trudno wytłumaczyć, Sam,

ale to nie zmienia faktu. że tak już jest. Nigdy by nam nie wyszło. Uwierz mi, nigdy”. Tylko tyle z niej wyciągnął.

– Przepraszam za brzydkie słowo, Naomi – powiedział. Mówił pokornie, chociaż chwilami podejrzewał, że Naomi nie jest nawet w połowie taką świętoszką, jaką lubiła odgrywać. – Chciałem powiedzieć, że jeśli nie weźmiesz tej dwudziestki, będę się czuł jak kaka.

Włożyła banknot do torebki, po czym spróbowała przybrać wyraz urażonej godności. Prawie jej się udało... ale kąciki jej ust lekko drgnęły.

– Proszę. Zadowolony?

– Skoro nie mogę ci dać pięćdziesiątki. Wzięłabyś pięćdziesiąt, Omi?

– Nie – odparła. – I nie nazywaj mnie Omi. Wiesz, że tego nie lubię.

– Przepraszam.

– Przeprosiny przyjęte. Może zmienimy temat?

– Jasne – zgodził się chętnie Sam.

– Słyszałam od kilku osób, że twoje przemówienie było świetne. Craig Jones piał z zachwytem. Naprawdę myślisz, że dlatego masz więcej klientów?

– Robisz sobie ja... – zaczął Sam, ale ugryzł się w język. – Tak. Tak myślę. Czasami tak się dzieje. Dziwne, ale prawdziwe. Kochany wykres sprzedaży naprawdę podskoczył w tym tygodniu. Oczywiście znowu spadnie, ale raczej nie do dawnego poziomu. Jeśli nowym klientom spodoba się moje biznesowe podejście... a lubię sobie wyobrazać, że tak... tendencja się utrzyma.

Sam odchylił się w fotelu, splótł ręce na karku i popatrzył w zamyśleniu na sufit.

– Kiedy Craig Jones zadzwonił i wpakował mnie w to bagno, chciałem go zastrzelić. Bez żartów, Naomi.

– Tak, miałeś taką minę, jakbyś wpadł w pokrzywy.

– Poważnie? – Zaśmiał się. – Taa, chyba tak. Dziwne, jak nieraz coś się udaje... czysty przypadek. Jeśli Bóg istnieje,

czasami zastanawiasz się, czy dokręcił wszystkie śrubki w tej wielkiej maszynie, zanim puścił ją w ruch.

Spodziewał się, że Naomi skarci go za brak szacunku (nie po raz pierwszy), dzisiaj jednak nie podjęła gry.

– Masz więcej szczęścia, niż myślisz, jeśli książki z biblioteki naprawdę ci pomogły – powiedziała. – W piątki jest otwarta dopiero od siedemnastej. Chciałam cię uprzedzić, ale zapomniałam.

– O?

– Pewnie zastałeś pana Price'a przy nadrabianiu zaległości w papierach albo czymś takim.

– Price? – zdziwił się Sam. – Chodzi ci o pana Peckhama? Tego woźnego czytującego gazety?

Naomi pokręciła głową.

– Jedyne miejscowe Peckham, o jakim słyszałam, to stary Eddie Peckham, który zmarł dawno temu. Mówię o panu Prisie. Bibliotekarzu. – Patrzyła na Sama, jakby był największym tępakiem na ziemi... a przynajmniej w Junction City w stanie Iowa. – Wysoki? Chudy? Około pięćdziesiątki?

– Nie – zaprzeczył Sam. – Trafiłem na kobietę nazwiskiem Lortz. Niska, pulchna, mniej więcej w tym wieku, kiedy kobiety zaczynają przejawiać upodobanie do jasnozielonego poliestru.

Przez twarz Naomi przemknęła dziwna mieszanina emocji – zdumienie zastąpione przez podejrzliwość; podejrzliwość ustępująca irytacji podszytej rozbawieniem. Ta szczególna sekwencja zazwyczaj świadczy o jednym: ktoś zaczyna sobie uświadamiać, że go bezczelnie nabijają w butelkę. W bardziej sprzyjających okolicznościach Sam zwróciłby na to uwagę, ale przez cały tydzień interesy szły mu świetnie i w rezultacie miał mnóstwo własnej papierkowej roboty do nadrobienia. Myślni już był przy sprawach zawodowych.

– Och! – zawołała Naomi ze śmiechem. – Panna Lortz, tak? To musiała być zabawa.

– Ona rzeczywiście jest dziwna – przyznał Sam.

– Ja myślę – zgodziła się Naomi. – Rzeczywiście, jest absolutnie...

Gdyby dokończyła zdanie, Sam zapewne byłby ogromnie zaskoczony, ale przypadek – jak przed chwilą zauważył – odgrywa absurdalnie wielką rolę w ludzkim życiu i teraz właśnie wtrącił się przypadek.

Zadzwoił telefon.

Burt Iverson, duchowy przywódca małego plemienia prawników z Junction City, chciał porozmawiać o naprawdę dużej umowie ubezpieczeniowej – nowy ośrodek medyczny, ubezpieczenia grupowe, jeszcze na etapie planowania, ale wiesz, Sam, jaki to może być wielki interes – i zanim Sam wrócił do Naomi, wszelkie myśli o pannie Lortz wywietrzały mu z głowy. Owszem, wiedział, jaki to może być wielki interes; może go wreszcie posadzić za kierownicą mercedesa benza. I wolał się nie zastanawiać, w jakim stopniu zawdzięcza ten uśmiech fortuny swojemu głupiemu przemówieniu.

Naomi rzeczywiście myślała, że Sam ją nabiera; doskonale wiedziała, kim była Ardelia Lortz, i sądziła, że Sam też wie. Ostatecznie ta kobieta była w centrum najpaskudniejszej historii, jaka wydarzyła się w Junction City w ciągu ostatnich dwudziestu lat... może od czasu drugiej wojny światowej, kiedy to syn Mogginsów wrócił z Pacyfiku kompletnie pomyłony i wymordował całą swoją rodzinę, po czym wsadził sobie lufę służbowego pistoletu do prawego ucha i siebie też wykończył. Ira Moggins zrobił to, zanim Naomi przyszła na świat; nie skojarzyła, że *l'affaire Ardelia* rozgrywała się na długo przed przyjazdem Sama do Junction City.

W każdym razie zdążyła wyrzucić z myśli całą sprawę i próbowała dokonać wyboru między lazanią Stouffera i czymś dietetycznym na kolację, kiedy wreszcie Sam odłożył słuchawkę. Dyktował listy bez przerwy do dwunastej, potem zapytał, czy Naomi da się zaprosić na skromny lunch do McKenny. Odmówiła, wyjaśniając, że musi wracać do matki, która przez zimę Bardzo Podupadła. Nie wspomnieli więcej o Ardelii Lortz.

Tamtego dnia.

ROZDZIAŁ 4

Zgubione książki

1

W ciągu tygodnia Sam jadał niewiele na śniadanie – wystarczała mu szklanka soku pomarańczowego i pełnoziarnista bułeczka – ale w sobotnie poranki (przynajmniej w te sobotnie poranki, kiedy nie cierpiał z powodu rotariańskiego kaca) lubił wstawać późno, przespacerować się do McKenny na placu i powoli skosztować stek z jajkami, jednocześnie czytając gazetę, a nie tylko kartkując ją w przerwach między spotkaniami.

Zastosował się do tego zwyczaju następnego ranka, siódmego kwietnia. Przestało padać i niebo przybrało idealny odcień bladego błękitu, typowy dla wczesnej wiosny. Po śniadaniu Sam wrócił do domu okrężną drogą, przystając, żeby sprawdzić, czyje tulipany i krokusy ładnie zakwitły, a czyje się trochę spóźniają. Do domu dotarł dziesięć po dziesiątej.

Na automatycznej sekretarce paliła się lampka ODSŁUCHAJ WIADOMOŚĆ. Sam nacisnął klawisz, wyciągnął papierosa i zapalił zapalkę.

– Witaj, Sam – rozległ się łagodny, charakterystyczny głos Ardelii Lortz i zapalka znieruchomiała dziesięć centymetrów od papierosa. – Bardzo mnie rozczarowałeś. Zalegasz ze zwrotem książek.

– O cholera! – wykrzyknął Sam.

Coś mu nie dawało spokoju przez cały tydzień, jak słowo na końcu języka, które odbija się niczym na trampolinie i nie pozwala się schwytać. Książki. Cholerne książki. W oczach tej kobiety wyszedł na dokładnie takiego filistra, za jakiego go wzięła – wygłaszającego bezpodstawne sądy na temat plakatów,

które powinny albo nie powinny wisieć w Bibliotece dla Dzieci. Pozostawało tylko pytanie, czy nagrała swoją reprimendę na sekretarkę, czy też zachowała ją do czasu bezpośredniej konfrontacji.

Sam machnięciem ręki zgasił zapalkę i wrzucił do popielniczki obok telefonu.

– Przecież ci wyjaśniałam – ciągnęła tym łagodnym, aż nazbyt rozsądnym tonem – że *Poradnik mówcy* i *Ulubione wiersze Ameryki* to pozycje z działu specjalnego i nie można ich wypożyczać na dłużej niż tydzień. Nie spodziewałam się tego po tobie, Sam. Naprawdę.

Ku swojej wielkiej irytacji Sam stwierdził, że stoi we własnym domu, trzyma w ustach niezapalonego papierosa i na policzki wypełza mu rumieniec winy. Ponownie został stanowczo cofnięty do czwartej klasy – tym razem siedział w kącie, twarzą do ściany, ze spiczastymi oślimi uszami nasadzonymi na głowę.

– Postanowiłam jednak przedłużyć ci termin – ciągnęła Ardelia Lortz, jakby wyświadczała mu wielką łaskę. – Masz czas na zwrot książek do poniedziałkowego popołudnia. Proszę, pomóż mi uniknąć nieprzyjemnej sytuacji. – Przerwa. – Pamiętaj o Bibliotecznym Policjancie.

– To już się robi nudne, Ardelio, złotko – mruknął Sam, ale nawet nie mówił do taśmy. Wspomniawszy o Bibliotecznym Policjancie, Ardelia odłożyła słuchawkę i automatyczna sekretarka wyłączyła się cichutko.

2

Sam zapalił papierosa nową zapalką. Wypuszczał jeszcze dym po pierwszym zaciągnięciu, kiedy przyszło mu do głowy rozwiązanie. Może odrobinę tchórzliwe, ale przynajmniej zamknie na dobre rachunki z panną Lortz. I miało w sobie pewną surową sprawiedliwość.

Wręczył Naomi zasłużoną nagrodę i to samo zrobi dla Ardelii. Usiadł przy biurku w swoim gabinecie, tam, gdzie stworzył

słynną mowę, i przysunął sobie notatnik. Pod nagłówkiem (*Z biura Sama Peeblesa*) nagryzmolił następujący list:

Droga panno Lortz

Przepraszam za opóźnienie przy zwrocie Pani książek. Szczerze żałuję, ponieważ te książki ogromnie mi pomogły w przygotowaniu przemówienia. Proszę przyjąć te pieniądze jako karę za przetrzymanie książek. Resztę proszę zatrzymać w ramach podziękowania.

*Z poważaniem
Sam Peebles*

Przeczytał list jeszcze raz, jednocześnie szukając spinacza w szufladzie biurka. Zastanowił się, czy nie zmienić „...przy zwrocie Pani książek” na „...przy zwrocie bibliotecznych książek”, ale zdecydował się zostawić tak, jak jest. Ardelia Lortz zrobiła na nim wrażenie kobiety, która wyznaje dewizę *l'état c'est moi*, nawet jeśli w tym przypadku *l'état* było tylko miejscową biblioteką.

Wyjął z portfela banknot dwudziestodolarowy i przypiął go spinaczem do listu. Zawahał się na chwilę, bębniąc nerwowo palcami w krawędź biurka.

Ona to potraktuje jak łapówkę. Pewnie będzie obrażona i wściekła jak diabli.

Możliwe, ale Sam miał to gdzieś. Wiedział, co się kryło za komicznym telefonem tej Lortz dziś rano – raczej za oboma jej telefonami. Trochę za mocno nadepnął jej na odcisk w sprawie plakatów w Bibliotece dla Dzieci i teraz odgrywała się na nim... albo przynajmniej próbowała. Ale nie był już w czwartej klasie, nie był przerażonym, płochliwym dzieciakiem (już nie) i nie pozwoli się zastraszyć. Ani groźnym napisem w holu biblioteki, ani gderaniem bibliotekarki „spóźniłeś się o cały dzień, ty niegrzeczny chłopaku”.

– Pieprzyć to! – powiedział na głos. – Jeśli nie chcesz tej cholernej forsy, oddaj ją na Fundusz Ochrony Biblioteki albo coś takiego.

Położył list z przypiętą dwudziestką na biurku. Nie zamierzał go wręczyć osobiście, żeby Ardelia mogła go obrugać. Włożył list i pieniądze do jednej z książek tak, żeby wystawały. Potem zepnie obie książki gumką i po prostu wrzucił ten cały nabój do skrzynki na zwroty. Przeżył sześć lat w Junction City bez zawierania znajomości z Ardelią Lortz; przy odrobinie szczęścia przeżyje następne sześć lat, zanim znowu ją zobaczy.

Teraz pozostawało tylko znaleźć książki.

Nie leżały na biurku w gabinecie, to na pewno. Sam wszedł do salonu i spojrzął na stół. Tam zwykle kładł rzeczy, które musiał oddać. Zobaczył dwie kasety wideo czekające na powrót do wypożyczalni Bruce'a, kopertę podpisaną „Gazeciarski”, dwie teczki z polisami ubezpieczeniowymi w środku... lecz ani śladu *Poradnika mówcy*. Ani *Ulubionych wierszy Ameryki*.

– Szlag – burknął Sam i podrapał się po głowie. – Gdzie, do cholery...?

Poszedł do kuchni. Na kuchennym stole leżała tylko poranna gazeta; odłożył ją tam po powrocie do domu. Teraz odruchowo wrzucił ją do kartonowego pudła przy piecyku i sprawdził blat. Na blacie stało tylko pudełko, z którego poprzedniego wieczoru wyjął mrożonkę na obiad.

Powoli ruszył po schodach, żeby przeszukać pokoje na piętrze, ale zaczęły go ogarniać bardzo złe przeczucia.

3

Do trzeciej po południu złe przeczucia znacznie się nasiliły. Prawdę mówiąc, Sam Peebles się wściekł. Przeszukawszy dwukrotnie cały dom od deski do deski (za drugim razem zajrzał nawet do piwnicy), pojechał do biura, chociaż był przekonany, że zabrał ze sobą obie książki, kiedy wyszedł z pracy w poniedziałek późnym popołudniem. Oczywiście nic tam nie znalazł. I tak zmarnował większość pięknej wiosennej soboty na bezowocne szukanie dwóch książek z biblioteki.

Ciągle słyszał figlarny głos kobiety – „pamiętaj o Bibliotecznym Policjancie, Sam” – i wyobrażał sobie, jak by się ucieszyła, wiedząc, że porządnie zalazła mu za skórę. Gdyby naprawdę istniała Biblioteczna Policja, Sam nie wątpił, że ta kobieta z rozkoszą nasłalaby ich na niego. Im dłużej o tym myślał, tym bardziej się wściekał.

Wrócił do gabinetu. List do Ardelii Lortz z przypiętym banknotem gapił się na niego z biurka.

– Szlag! – wrzasnął Sam i o mało nie zaczął na nowo przeszukiwać domu, ale się opamiętał. W ten sposób nic nie osiągnie.

Nagle usłyszał głos dawno nieżyjącej matki. Miły, łagodny głos rozsądku. „Jeśli nie możesz czegoś znaleźć, Samuelu, miotanie się i szukanie na oślep raczej nie pomoże. Zamiast tego usiądź i pomyśl. Użyj głowy i oszczędzaj nogi”.

To była dobra rada, kiedy miał dziesięć lat; wydawała się równie dobra teraz, kiedy miał czterdziestkę. Sam usiadł za biurkiem, zamknął oczy i spróbował prześledzić trasę tych przeklętych książek od chwili, kiedy je wziął od panny Lortz, do... Do kiedy?

Z biblioteki zaniósł je do biura. Po drodze wstąpił do pizzerii Sama, gdzie kupił pizzę z podwójnymi pieczarkami i pepperoni, którą zjadł przy biurku, przeglądając *Poradnik mówcy* w poszukiwaniu dwóch rzeczy: dobrych dowcipów i jak je opowiadać. Pamiętał, jak uważał, żeby nawet najmniejsza kropelka sosu nie kapnęła na książki – co zakrawało na ironię, zważywszy, że nie mógł teraz znaleźć żadnej z nich.

Przez większość popołudnia wygłaszał przemówienie, wstawiał dowcipy, potem przerobił całe zakończenie, żeby lepiej pasowało do wiersza. Kiedy późnym popołudniem wrócił do domu, wziął ze sobą ukończone przemówienie, ale nie książki. Tego był pewien. Craig Jones przyjechał po niego, gdy nadszedł czas na kolację w klubie, a potem go odstawił do domu – w samą porę, żeby Sam ochrzcił wycieraczkę.

W sobotę rano leczył niewielkiego, lecz dokuczliwego kaca; przez resztę weekendu siedział w domu, czytał, oglądał telewizję i – spójrzmy prawdzie w oczy – pławił się w blasku swojego triumfu. Przez cały weekend nie zbliżał się do biura. Na pewno.

No dobra, pomyślał. Teraz zaczyna się najtrudniejsze. Skup się. Ale odkrył, że wcale nie musi tak mocno się skupiać.

W poniedziałek zamierzał wyjść z biura za kwadrans piąta, ale wtedy zatrzymał go telefon. Dzwonił Stu Youngman i chciał, żeby Sam wystawił mu dużą polisę na dom. To był początek tego całotygodniowego strumienia forsy. Rozmawiając ze Stu, Sam przypadkiem zatrzymał spojrzenie na książkach z biblioteki, wciąż leżących na brzegu biurka. Kiedy wychodził po raz drugi, niósł teczkę w jednej ręce i książki w drugiej. Tego był pewien.

Zamierzał je odnieść do biblioteki wieczorem, ale niespodziewanie zadzwonił Frank Stephens, żeby go zaprosić na kolację z żoną i siostrzenicą, która przyjechała w odwiedziny z Omaha (kiedy jesteś kawalerem w małym miasteczku, nawet dalsi znajomi zmieniają się w niezmordowanych swatów, przekonał się Sam). Poszli do Brady'ego na zeberka, wrócili późno – około jedenastej, późno jak na dzień powszedni – i zanim Sam dotarł do domu, całkiem zapomniał o książkach z biblioteki.

Potem kompletnie stracił je z oczu. Nie pamiętał, żeby je zwrócić – przez większość czasu zajmował go niespodziewany ruch w interesie – dopóki nie zadzwoniła ta Lortz.

Dobra... pewnie od tamtej pory ich nie ruszyłem. Muszą być tam, gdzie je zostawiłem, kiedy wróciłem do domu w poniedziałek po południu.

Na chwilę wezbrała w nim nadzieja – może książki wciąż są w samochodzie! Potem, gdy wstawał, żeby to sprawdzić, przypomniał sobie, jak przekładał teczkę do ręki, w której trzymał książki, kiedy w poniedziałek wrócił do domu. Zrobił to, żeby wyjąć klucz z prawej przedniej kieszeni spodni. Wcale nie zostawił książek w samochodzie.

No więc co zrobiłeś, kiedy wszedłeś do domu?

Zobaczył siebie, jak otwiera drzwi kuchni, wchodzi, stawia teczkę na kuchennym krześle, odwraca się z książkami w ręku...

– O nie – jęknął. Złe przeczucia powróciły w te pędy.

Na półce obok piecyka opalanego drewnem stało duże kartonowe pudło, z rodzaju tych, jakie można dostać w sklepach monopolowych. Stało tam już od kilku lat. Ludzie czasem pakują do takich pudeł drobiazgi podczas przeprowadzki, ale również przechowują w nich różne rzeczy. Sam trzymał w swoim pudle stare gazety. Codziennie po przeczytaniu wkładał gazetę do pudła; niedawno wrzucił tam również dzisiejszą. A mniej więcej raz na miesiąc...

– Brudny Dave – wymamrotał Sam.

Zerwał się zza biurka i pognął do kuchni.

4

Pudło, ozdobione wizerunkiem Johnny'ego Walkera z monoklem i miną luzaka, było prawie puste. Sam przewertował cienki plik gazet, wiedząc, że nic nie znajdzie, ale i tak szukał, jak człowiek doprowadzony do rozpacz, który na wpół wierzy, że wystarczy bardzo chcieć i zguba się pojawi. Znalazł sobotnią „Gazette” – tę, którą niedawno wyrzucił – i piątkowy numer. Oczywiście żadnych książek pomiędzy ani pod gazetami. Stał przez chwilę, pogrążony w czarnych myślach, po czym ruszył do telefonu, żeby zadzwonić do Mary Vasser, która w czwartki u niego sprzątała.

– Halo? – odezwał się lekko zaniepokojony głos.

– Cześć, Mary. Mówi Sam Peebles.

– Sam? – Niepokój się pogłębił. – Stało się coś złego?

„Tak! W poniedziałek po południu dopadnie mnie wiedźma, która prowadzi miejscową bibliotekę! Pewnie będzie miała krzyż i kilka bardzo długich gwoździ!”

Ale oczywiście nie mógł powiedzieć nic takiego, nie do Mary, należącej do tych nieszczęsnych istot urodzonych pod niefortunną gwiazdą, które przez całe życie spodziewają się

najgorszego. Mary Vasser tego świata wierzą, że nad chodnikami zwisa mnóstwo wielkich czarnych sejfów, dyndających na wystrzępionych sznurach i czekających, aż przeznaczenie zaprowadzi ofiary w strefę zrzutu. Jeśli nie sejf, to pijany kierowca, jeśli nie pijany kierowca, to powódź (w Iowa? tak, w Iowa), jeśli nie powódź, to meteoryt. Mary Vasser zawsze chciała wiedzieć, czy stało się coś złego, kiedy odbierała telefon.

– Nie – odparł Sam. – Nic złego. Zastanawiałem się tylko, czy w czwartek widziałaś Dave’a.

Pytanie było zwykłą formalnością; przecież gazety zniknęły, a Brudny Dave był jedyną Gazetową Wróżką w Junction City.

– Tak – potwierdziła Mary. Żarliwe zapewnienie Sama, że nic złego się nie stało, tylko jeszcze bardziej ją nakręciło. Ledwo skrywane przerażenie dosłownie wibrowało w jej głosie. – Przyszedł po gazety. Nie powinnam była go wpuszczać? Przychodzi od lat i myślałam...

– Ależ skąd – odparł Sam szaleńczo pogodnym tonem. – Zobaczyłem tylko, że zniknęły, i chciałem sprawdzić...

– Nigdy przedtem nie sprawdzałeś. – Głos jej się załamał. – Czy coś mu się stało? Coś złego z Dave’em?

– Nie – zaprzeczył Sam. – To znaczy nie wiem. Ja tylko... – Olśniło go. – Kupony! – wykrzyknął dziko. – W czwartek zapomniałem wyciąć kupony, więc...

– Och! – zawołała. – Weź moje, jeśli chcesz.

– Nie, nie mogę...

– Przyniosę je w następny czwartek – przerwała mu. – Mam tysiące.

Tyle, że nigdy nie zdążę ich wszystkich wykorzystać, sugerował ton jej głosu. Przecież gdzieś tam czeka sejf, żebym pod niego weszła, albo drzewo czeka, żeby się przewrócić na wietrze i mnie zmiażdżyć, albo w jakimś motelu w Dakocie Północnej czeka suszarka do włosów, żeby spaść z półki do wanny. Żyję w pożyczonym czasie, więc po co mi kupa cholernych kuponów na kryształ od Folgera?

– W porządku – powiedział Sam. – Byłoby wspaniale. Dzięki, Mary, jesteś skarbem.

– Na pewno nic więcej się nie stało?

– Nic a nic – zapewnił Sam jeszcze bardziej żarliwie. We własnych uszach brzmiał jak stuknięty sierżant, nakłaniający niedobitki swojego plutonu do ostatniego daremnego frontального ataku na ufortyfikowane gniazdo karabinów maszynowych. „Naprzód, chłopaki, tamci chyba zasnęli!”

– No dobrze – powiedziała Mary z powątpiewaniem i Sam wreszcie mógł się rozłączyć.

Usiadł ciężko na kuchennym krześle i z goryczą spojrzął na prawie puste pudło po Johnnym Walkerze. Brudny Dave przyszedł zabrać gazety, jak zawsze w pierwszy tydzień miesiąca, ale tym razem nieświadomie zgarnął dodatkową premię: *Poradnik mówcy* i *Ulubione wiersze Ameryki*. I Sam doskonale wiedział, jaki los je spotkał.

Pulpa. Przerobione na pulpę.

Brudny Dave był jednym z aktywnych alkoholików w Junction City. Nie mógł utrzymać stałej pracy, więc żył ze zbierania odpadków i pod tym względem był całkiem pożytecznym obywatelem. Zbierał butelki zwrotne i podobnie jak dwunastoletni Keith Jordan miał swoją trasę gazeciarza. Jedyna różnica polegała na tym, że Keith dostarczał miejscową „Gazette” codziennie, a Brudny Dave Duncan zabierał ją – od Sama i Bóg wie ilu jeszcze właścicieli domów w tej części miasta – raz na miesiąc. Sam wiele razy widział, jak Dave popycha swój wózek na zakupy wyładowany zielonymi plastikowymi torbami na śmieci w stronę przetwórni odpadów, usytuowanej pomiędzy dawną stacją kolejową a małym schroniskiem dla bezdomnych, gdzie on i jego *compadres* zwykle nocowali.

Sam siedział jeszcze przez chwilę, bębniąc palcami po kuchennym stole, potem wstał, narzucił kurtkę i wyszedł do samochodu.

ROZDZIAŁ 5

Angle Street (I)

1

Szyldziarz niewątpliwie miał dobre chęci, ale był na bakier z ortografią. Tabliczka przybita do słupka werandy w starym domu obok torów kolejowych głosiła:

Angle Street

Sam nie widział na Railroad Avenue żadnych kątów⁴ – podobnie jak większość ulic i dróg w Iowa biegła prosto jak strzełił – doszedł więc do wniosku, że malarzowi chodziło o *Angel Street*⁵. I co z tego? Wprawdzie droga wybrukowana dobrymi chęciami często prowadzi do piekła, jednak ludzie, którzy próbują łątać dziury w nawierzchni, zasługują przynajmniej na trochę uznania.

Angle Street składała się z jednego dużego budynku, który zapewne mieścił biura kolei w czasach, kiedy Junction⁶ City naprawdę było węzłem kolejowym. Teraz zostały tylko dwie nitki torów, obie biegnące w kierunku wschód-zachód. Reszta zardzewiała i zarosła chwastami. Większość podkładów zniknęła, spalona w ogniskach przez tych samych bezdomnych, którzy korzystali z przytułku przy Angle Street.

Sam przyjechał za kwadrans piąta. Słońce rzucało smętny, gasnący blask na puste pola, ciągnące się od granicy miasta. Niekończący się pociąg towarowy łoskotał za kilkoma samotnymi budynkami. Zerwał się wiatr i kiedy Sam wysiadł z samochodu, słyszał skrzypienie zardzewiałej tablicy JUNCTION CITY

kołyszącej się nad opustoszałym peronem, gdzie niegdyś pasażerowie wsiadali do pociągów osobowych do St. Louis i Chicago – nawet do starego Sunnyland Express, który w całym stanie Iowa zatrzymywał się tylko w Junction City, pędząc do bajecznych królestw Las Vegas i Los Angeles.

Przytułek dla bezdomnych był niegdyś biały; teraz zrobił się szary bez udziału farby. Zasłony w oknach były czyste, ale sprane i porozciągane. Na podwórku wyspanym żużlem próbowały rosnąć chwasty. Sam pomyślał, że może do czerwca zdobędą tu przyczółek, teraz jednak marnie im szło. Przy nieheblowanych stopniach prowadzących na werandę stała zardzewiała beczka. Naprzeciwko tabliczki Angle Street do drugiego słupka werandy przybito napis:

ZABRANIA SIĘ PICIA W SCHRONISKU!
JEŚLI MASZ BUTELKĘ, ZOSTAW JĄ TU, ZANIM WEJDZIESZ!

Szczyście mu dopisało. Chociaż zbliżał się sobotni wieczór, chociaż knajpy i piwiarnie Junction City wzywały, Brudny Dave był obecny i trzeźwy. Co więcej, siedział na ganku z dwoma innymi pijaczkami. Cała trójka zajęta była malowaniem plakatów na dużych prostokątach białego kartonu, z bardzo różnym powodzeniem. Facet siedzący na podłodze w drugim końcu werandy trzymał się lewą ręką za nadgarstek prawej, usiłując opanować silne dygotanie. Ten w środku pracował z językiem wysuniętym z kącika ust, niczym podstarzały przedszkolak, który stara się narysować jak najładniejsze drzewko, żeby dostać w nagrodę złotą gwiazdkę i pokazać ją mamusi. Brudny Dave, zajmujący odrapany bujany fotel obok schodków, był wyraźnie w lepszej formie od kompanów, niemniej wszyscy trzej wydawali się zmęczeni, zalani i wymiętoszeni.

– Cześć, Dave – powiedział Sam, wchodząc na stopnie.

Dave podniósł głowę, zmrużył oczy i uśmiechnął się niepewnie. Miał tylko przednie zęby. W uśmiechu pokazał wszystkie pięć.

– Pan Peebles?

– Tak. Co u ciebie, Dave?

– Och, całkiem dobrze, całkiem dobrze. – Rozejrzył się. – Ej, ludzie! Przywitajcie się z panem Peeblesem! On jest prawnikiem!

Facet z wysuniętym językiem podniósł wzrok, kiwnął głową i wrócił do swojego plakatu. Z lewej dziurki w nosie zwisał mu długi smark.

– Właściwie robię w nieruchomościach, Dave – sprostował Sam. – Nieruchomości i ubez...

– Masz dla mnie slim jima? – zapytał nagle facet z trzęsionką. Nawet nie podniósł wzroku, tylko jeszcze mocniej się zmarszczył w skupieniu. Z miejsca, gdzie stał, Sam widział jego plakat, pokryty długimi pomarańczowymi zawijasami, ledwie przypominającymi słowa.

– Przepraszam? – zdziwił się.

– To Lukey – wyjaśnił Dave zniżonym głosem. – Nie ma dziś dobrego dnia, panie Peebles.

– Masz dla mnie slim jima, masz dla mnie slim jima, masz dla mnie slim pieprzonego slim jima? – zaintonował Lukey, nie podnosząc głowy.

– Ee, niestety... – zaczął Sam.

– On nie ma żadnego slim jima! – wrzasnął Brudny Dave. – Zamknij się i maluj plakat, Lukey! Sarah chce je mieć na szóstą! Specjalnie przyjeżdża!

– Załatwię se pieprzonego slim jima – oświadczył Lukey zniżonym, zawziętym tonem. – Jak nie, to będę żarł szcurze gówna.

– Pan się nim nie przejmuje, panie Peebles – poradził Dave. – Co jest grane?

– No, zastanawiałem się tylko, czy nie znalazłeś może dwóch książek, kiedy w zeszły czwartek zabierałeś gazety. Gdzieś mi się zapodziały i pomyślałem, że sprawdzę. Muszę je zwrócić do biblioteki.

– Masz ćwierć dolca? – zapytał nagle facet z wysuniętym językiem. – Jakie hasło? Mózgojeb!

Sam odruchowo sięgnął do kieszeni. Dave wyciągnął rękę i powstrzymał go niemal przeproszającym gestem.

– Pan mu nie daje pieniędzy, panie Peebles. To Rudolph. On nie potrzebuje żadnego mózgojeba. Jemu już starczy. On musi tylko się wyspać.

– Przykro mi – powiedział Sam do Rudolpha. – Jestem spłukany.

– Taa, jak wszyscy – burknął Rudolph. Wrócił do malowania, mamrocząc: – Ile kosztuje? Dychę brakuje.

– Nie widziałem żadnych książek – oświadczył Brudny Dave. – Przykro mi. Wziąłem tylko gazety, jak zwykle. Pani V. tam była i może zaświadczyć. Nie zrobiłem nic złego. – Ale jego smętne załamane oczy mówiły, że nie spodziewa się, żeby Sam mu uwierzył. W przeciwieństwie do Mary, Brudny Dave Duncan nie żył w świecie, gdzie nieszczęścia czyhają tuż obok albo za rogiem; nieszczęścia go otaczały. Znosił to z taką odrobiną godności, na jaką mógł się zdobyć.

– Wierzę ci. – Sam położył rękę na ramieniu Dave’a.

– Jakbym miał tysiąc slim jimów, zjadłbym wszystkie – oznajmił nagle Lukey. – Zeżarłbym te dranie co do jednego! Ale szamu! Ale szamu! Ale szamu-niamu!

– Wierzę ci – powtórzył Sam i poklepał Dave’a po straszliwie chudym ramieniu. Boże, ratuj, pomyślał, jeśli Dave ma wszy. Depcząc po piętach tej niechrześcijańskiej myśli, nadeszła następna: ciekawe, czy któryś z rotarian, tych zdrowych byków, wśród których zrobił taką furorę przed tygodniem, odwiedził w ostatnich czasach ten koniec miasta. Czy w ogóle słyszeli o Angle Street? I czy Spencer Michael Free miał na myśli takich ludzi jak Lukey, Rudolph i Brudny Dave, kiedy pisał, że to ludzki dotyk jest najważniejszy w tym świecie ciągłych zmian? Sam poczuł nagły wstyd na wspomnienie swojej przemowy, tak pełnej niewinnego entuzjazmu i pochwał dla prostych przyjemności małomiasteczkowego życia.

– To dobrze – ucieszył się Dave. – Więc mogę znowu przyjść w przyszłym miesiącu?

– Jasne. Zawiozłeś makulaturę do przetwórnii odpadów, tak?
– Aha. – Brudny Dave pokazał palcem zakończonym żółtym, chropowatym paznokciem. – O tam. Ale dzisiaj zamknięte.

Sam kiwnął głową.

– Co robisz? – zapytał.

– A, tak zabijam czas – odparł Dave i odwrócił plakat, żeby Sam mógł go obejrzeć.

Przedstawiał uśmiechniętą kobietę trzymającą półmisek ze smażonymi kurczakami i Sama od razu uderzyło, że rysunek jest dobry – naprawdę dobry. Pijak czy nie, Brudny Dave miał wrodzony talent. Nad obrazkiem wypisano starannymi drukowanymi literami:

KOLACJA Z KURCZAKAMI
W PIERWSZYM KOŚCIELE METODYSTÓW
ZBIÓRKA NA SCHRONISKO DLA BEZDOMNYCH
„ANGEL STREET”
15 KWIETNIA
18.00 DO 20.00
PRZYJDŹCIE WSZYSCY

– To przed spotkaniem AA – dodał Dave. – Ale na plakacie nie można nic napisać o AA. Bo to jakby tajemnica.

– Wiem – przyznał Sam. Po chwili zapytał: – Chodzisz do AA? Nie musisz odpowiadać, jeśli nie chcesz. Wiem, że to nie mój interes.

– Chodzę – odparł Dave. – Tyle że to trudne, panie Peebles. Mam więcej żetonów trzeźwości niż Carter pigulek na wątrobę. Wytrzymuję miesiąc, czasami dwa, a raz nie piłem prawie przez cały rok. Ale to trudne. – Pokręcił głową. – Podobno niektórzy nie dają rady w programie. Ja pewnie taki jestem. Mimo to ciągle próbuję.

Kobieta z półmiskiem kurczaków na plakacie znowu przyciągnęła wzrok Sama. Obrazek był zbyt szczegółowy jak na szkic czy komiks, ale nie był to jeszcze portret. Brudny Dave widocznie stworzył go w pośpiechu, uchwycił jednak łagodność

w oczach i lekki rys humoru w wyrazie ust, niczym ostatni promień zachodzącego słońca. A najdziwniejsze, że kobieta wydawała się Samowi znajoma.

– Czy to jakaś konkretna osoba? – zapytał.

Uśmiech Dave’a się poszerzył.

– To Sarah. Wspaniała dziewczyna, panie Peebles. Zamknęliby przytułek pięć lat temu, gdyby nie ona. Znajduje ludzi, którzy dają forszę, kiedy cisną nas podatki albo przychodzą inspektorzy budowlani i każą naprawić chałupę. Nazywa aniołami tych, co dają forszę, ale to ona jest aniołem. Nazwaliśmy dom na cześć Sarah. Oczywiście Tommy St. John zrobił błąd, kiedy wypisywał nazwę, ale chciał dobrze. – Brudny Dave milczał przez chwilę, patrząc na swój plakat. Nie podnosząc wzroku, dodał: – No, Tommy już nie żyje. Zmarł zeszłej zimy. Wątroba mu wysiadła.

– Och – bąknął Sam, a potem dodał nieporadnie: – Współczuję.

– Niepotrzebnie. On już ma spokój.

– Szamu-niamu! – wykrzyknął Lukey, wstając. – Szamu-niamu! Ale zajebiste szamu-niamu!

Podsunął Dave’owi swój plakat. Pod pomarańczowymi zawijasami narysował kobietę-potwora o nogach zakończonych płetwami rekina, które zapewne miały przedstawiać pantofle na obcasie. W jednym ręku balansowała koślawym półmiskiem, na którym piętrzyły się jakby niebieskie węże. Drugą ręką ścisnęła podłużny brązowy przedmiot.

Dave wziął plakat od Lukeya i obejrzał uważnie.

– To jest dobre, Lukey.

Uszczęśliwiony Lukey uśmiechnął się od ucha do ucha. Wskazał brązowy przedmiot.

– Patrz, Dave! Ona ma slim pieprzonego slim jima!

– Jasne, że ma. Całkiem dobre. Jak chcesz, idź do domu i włącz telewizor. Zaraz będzie *Star Trek*. Jak ci idzie, Dolph?

– Lepiej rysuję na bańce – oświadczył Rudolph i wręczył Dave’owi swój plakat. Przedstawiał gigantyczną nóżkę kurczaka, wokół której stały patykowate ludziki i patrzyły na nią,

zadzierając głowy. – To styl fantasy – zwrócił się do Sama dość agresywnym tonem.

– Podoba mi się – zapewnił Sam. Wcale nie kłamał. Plakat Rudolpha przypominał mu komiksy z „New Yorkera”, niekiedy tak surrealistyczne, że nie mógł ich zrozumieć.

– To dobrze. – Rudolph przyjrzał mu się dociekliwie. – Na pewno nie masz ćwierć dolca?

– Nie.

Rudolph pokiwał głową.

– Z jednej strony to dobrze – mruknął. – Ale z drugiej strony totalny syf.

Wszedł za Lukeyem do środka i wkrótce przez otwarte drzwi doleciał motyw muzyczny ze *Star Treka*. William Shatner mówił pijaczkom i wykolejeńcom z Angle Street, że ich misją jest śmiało dążyć tam, gdzie nigdy nie stanęła ludzka stopa. Sam przypuszczał, że kilku spośród widzów już tam było.

– Mało kto przychodzi na te kolacje, tylko my i paru miastowych z AA – powiedział Dave. – Ale mamy jakieś zajęcie. Lukey prawie już nie mówi, chyba że rysuje.

– Jesteś bardzo dobry – oświadczył Sam. – Naprawdę, Dave. Dlaczego nie... – urwał.

– Dlaczego nie co, panie Peebles? – zapytał łagodnie Dave. – Dlaczego nie machnę paru obrazków, żeby zarobić trochę kasy? Z tego samego powodu, dla którego nie dostanę stałej roboty. Dla mnie już jest za późno.

Sam nie wiedział, co na to odpowiedzieć.

– Chociaż próbowałem. Wie pan, że chodziłem do szkoły Lorillarda w Des Moines i miałem pełne stypendium? Najlepsza szkoła plastyczna na Środkowym Zachodzie. Zawaliłem pierwszy semestr. Wóda. Nieważne. Wejdzie pan na filiżankę kawy, panie Peebles? Zaczeka pan? Pozna pan Sarah.

– Nie, muszę wracać. Mam sprawę do załatwienia.

I rzeczywiście miał.

– W porządku. Na pewno nie jest pan na mnie zły?

– Ani trochę.

Dave wstał.

– No to chyba wejść do środka – powiedział. – Dzień był piękny, ale robi się chłodno. Życzę miłego wieczoru, panie Peebles.

– Dzięki – mruknął Sam, chociaż wątpił, czy w ten sobotni wieczór będzie się dobrze bawił. Jego matka miała jeszcze inne powiedzenie „Gorzkie lekarstwo najlepiej połknąć jak najszybciej”. I to zamierzał zrobić.

Zszedł po stopniach przytułku, a Brudny Dave wszedł do środka.

2

Sam dotarł prawie do samochodu, po czym skręcił w stronę przetwórnii odpadów. Powoli szedł po zachwaszczonej, żwirowatej ziemi, obserwując długi skład towarowy, oddalający się w kierunku Camden i Omaha. Czerwone światelka na ostatnim wagonie mrugały jak gasnące gwiazdy. Pociągi towarowe z niewiadomego powodu zawsze wywoływały w nim uczucie samotności i teraz, po rozmowie z Brudnym Dave'em, czuł się samotny jak nigdy. Przy tych kilku spotkaniach z nim, kiedy Dave zabierał jego gazety, zawsze wydawał się wesoły, niemal jak klaun. Tego wieczoru Sam zajrzał pod makijaż klauna i to, co zobaczył, napełniło go bezradnym smutkiem. Dave był przegrany człowiekiem, spokojnym, ale całkowicie przegrany, marnującym resztki niewątpliwego talentu na malowanie kościelnych plakatów.

Do przetwórnii odpadów szło się przez strefy śmieci – najpierw pożółkłe wkładki reklamowe, które wypadły ze starych numerów „Gazette”, potem podarte plastikowe torby na śmiecie, wreszcie pas asteroidów utworzony z rozbitych butelek i zgniecionych puszek. Rolety w oknach małego, oszalowanego deskami budynku były zaciągnięte. Na drzwiach wisiała tabliczka z napisem: ZAMKNIĘTE.

Sam zapalił papierosa i ruszył z powrotem do samochodu. Po paru krokach zobaczył coś znajomego leżącego na ziemi. Podniósł to. Trzymał w ręku obwolutę *Ulubionych wierszy Ameryki* z pieczętką BIBLIOTEKA PUBLICZNA W JUNCTION CITY.

Teraz już nie miał wątpliwości. W poniedziałek położył książki na stosie gazet w pudle po Johnnym Walkerze i zapomniał o nich. Potem wrzucał tam następne gazety – wtorkową, środową i czwartkową. W czwartek późnym rankiem zjawił się Brudny Dave i władował cały nabój do swojej plastikowej torby. Torba powędrowała na wózek, wózek doturlał się tutaj i tylko tyle zostało – obwoluta z odciskiem zabłoconego trampka.

Sam wypuścił z palców trzepoczącą obwolutę i powoli wrócił do samochodu. Miał sprawę do załatwienia i – bardzo stosownie – powinien ją załatwić w porze kolacji.

Ponieważ chyba będzie musiał zjeść żabę.

ROZDZIAŁ 6

Biblioteka (II)

1

W połowie drogi do biblioteki uderzyła go nagła myśl – tak oczywista, że nie mógł się nadziwić, że dopiero teraz na to wpadł. Zgubił dwie książki z biblioteki; odkrył, że zostały zniszczone; będzie musiał za nie zapłacić.

I tyle.

Nie zdawał sobie sprawy, jak dalece Ardelia Lortz narzuciła mu sposób myślenia czwartoklasisty. Kiedy dziecko gubi książkę, to koniec świata; bezradne, kuli się w cieniu biurokracji i czeka na Bibliotecznego Policjanta. Ale nie ma żadnej Bibliotecznej Policji i Sam jako dorosły doskonale o tym wiedział. Są tylko miejscy urzędnicy, jak panna Lortz, którzy czasami mają wygórowane wyobrażenie o swoim znaczeniu w świecie, i podatnicy jak on, którzy niekiedy zapominają, że biblioteki istnieją dla nich, a nie na odwrót.

Wejść, przeproszę i powiem, żeby przysłała mi rachunek za egzemplarze zastępcze, pomyślał Sam. I to wszystko. Koniec, kropka.

Takie proste, że aż trudno uwierzyć.

Wciąż lekko zdenerwowany i lekko zażenowany (lecz znacznie lepiej panujący nad tą burzą w szklance wody), Sam zaparkował naprzeciwko biblioteki. Powozowe latarnie po obu stronach głównego wejścia rzucały miękkie biały blask na schody i granitową fasadę. Wieczorem budynek nabrał łagodniejszego, bardziej przyjaznego wyglądu, którego mu zdecydowanie brakowało podczas pierwszej wizyty Sama – a może sprawiła to wiosna, teraz w rozkwicie, nie to, co tamtego pochmurnego

marcowego dnia, kiedy po raz pierwszy spotkał biblioteczną herod-babę. Posępne oblicze kamiennego robota zniknęło. To znowu była zwykła biblioteka publiczna.

Sam wysiadał już z samochodu, ale nagle zamarł. Przed chwilą doznał jednego objawienia, a teraz nagle podarowano mu następne.

Przypomniał sobie twarz kobiety na plakacie Brudnego Dave'a, kobiety z półmiskiem smażonych kurczaków. Tej, którą Dave nazywał Sarah. Wydawała mu się znajoma i nagle jakiś ukryty obwód w jego mózgu odpalił.

To była Naomi Higgins.

2

Minął na schodach dwójkę dzieciaków w kurtkach z napisami LICEUM JUNCTION CITY i przytrzymał drzwi, zanim się zamknęły. Wszedł do holu. Najpierw uderzyły go dźwięki. Czytelnia za marmurowymi stopniami bynajmniej nie tętniła gwarem, ale nie przypominała też otchłani aksamitnej ciszy, jaka przywitała Sama w piątkowe południe, zaledwie tydzień wcześniej.

No, ale to sobota wieczór, pomyślał. Są tu dzieciaki, może wkuwają do egzaminów w połowie semestru.

Ale czy Ardelia Lortz zgodziłaby się na taką paplaninę, nawet przyciszoną? Widocznie tak, sądząc po odgłosach, ale to z pewnością do niej nie pasowało.

Następna zmiana dotyczyła lakonicznego nakazu umieszczonego przedtem na stojaku.

CISZA!

zniknęła, zastąpiona przez portret Thomasa Jeffersona, pod którym umieszczono cytat:

Nie mogę żyć bez książek.

Thomas Jefferson (w liście do Johna Adamsa)

10 czerwca 1815

Sam przyglądał się przez chwilę i myślał, że to całkowicie zmienia nastawienie każdego, kto wchodzi do biblioteki.

CISZA!

wzbudzała lęk i niepokój (a jeśli na przykład komuś zaburczy w brzuchu albo ktoś dostanie wzdęcia, niekoniecznie bezgłośnie?). Natomiast

Nie mogę żyć bez książek

wywoływało uczucie przyjemnego oczekiwania, jak u głodnego biesiadnika, kiedy wreszcie podają posiłek.

Rozmyślając z zadziwieniem nad tym, jak takie drobiazgi mogą sprawić tak ogromną różnicę, Sam wszedł do biblioteki... i stanął jak wryty.

3

W głównej sali było znacznie jaśniej niż podczas jego poprzedniej wizyty, ale nie tylko to się zmieniło. Zniknęły drabiny sięgające w mroczne rejony górnych półek. Nie były potrzebne, gdyż sufit znajdował się teraz zaledwie niecałe trzy metry nad podłogą, a nie sześć czy siedem. Jeśli ktoś chciał zdjąć książkę z wyższej półki, wystarczył stołek, jeden z tych, które rozstawiono po całej sali. Czasopisma rozłożono zachęcającym wachlarzem na szerokim stole obok stanowiska obsługi czytelników. Zniknął dębowy stojak, na którym przedtem wisiały niczym skóry martwych zwierząt. Zniknął też napis:

ODKŁADAĆ WSZYSTKIE CZASOPISMA NA MIEJSCE!

Regał z nowościami pozostał, ale zamiast informacji o tygodniowym terminie wypożyczenia pojawił się napis: **PRZECZYTAJ BESTSELLER – PRZYJEMNEJ LEKTURY!**

Ludzie – głównie młodzi – wchodzili i wychodzili, rozmawiając zniżonymi głosami. Ktoś zachichotał, swobodnie, bez skrępowania.

Sam podniósł wzrok na sufit, rozpaczliwie usiłując zrozumieć, co, u diabła, tu się stało. Ukośne świetliki zniknęły. Górne partie sali zasłaniał nowoczesny podwieszany sufit. Staroświeckie klosze zostały zastąpione przez płaskie jarzeniówki osadzone w nowym suficie.

Kobieta idąca do głównego stanowiska z naręczem kryminałów podążyła wzrokiem za spojrzeniem Sama na sufit, nie dostrzegła tam nic niezwykłego, więc spojrzała na niego z ciekawością. Jeden z chłopców siedzących za długim biurkiem na prawo od stołu z czasopismami szturchnął kolegów i pokazał na Sama. Inny puknął się w głowę i wszyscy zarechotali.

Sam nie zauważył ani śmiechów, ani spojrzeń. Nie zdawał sobie sprawy, że stoi w wejściu do głównej czytelnicy i gapi się na sufit z otwartymi ustami. Próbował ogarnąć umysłem tę wielką zmianę.

No więc odkąd tu ostatnio byłeś, zamontowali podwieszany sufit. I co z tego? Pewnie jest bardziej energooszczędny.

Tak, ale ta Lortz nic nie wspominała o zmianach.

Fakt, ale dlaczego miałaby mu coś mówić? Raczej nie należał do stałych bywalców biblioteki, prawda?

Jednak byłaby zirytowana. Zrobiła na mnie wrażenie zakamieniałej tradycjonalistki. Nie byłaby tym zachwycona. Wcale.

To prawda, ale było coś więcej, coś jeszcze bardziej niepokojącego. Zamontowanie podwieszanego sufitu to poważny remont. Nie da się tego załatwić w tydzień. A wysokie regały i wszystkie stojące na nich książki? Gdzie się podziały te regały? Gdzie się podziały te książki?

Teraz już inni gapili się na Sama, nawet jedna z bibliotekarek przyglądała mu się zza stanowiska obsługi. Ożywione, przyciszone rozmowy prawie całkiem zamarły.

Sam przetarł oczy – dosłownie przetarł oczy – i znowu spojrzał na podwieszany sufit z wpuszczonymi w niego kwadratami jarzeniówek. Sufit nadal był na miejscu.

Wszedłem do innej biblioteki! – pomyślał rozpaczliwie. O to chodzi!

Skołowany umysł Sama najpierw rzucił się na ten pomysł, a potem odskoczył jak kociak, który odkrył, że goni za cieniem. Junction City miało blisko trzydzieści pięć tysięcy mieszkańców, było całkiem spore jak na standardy środkowego Iowa, ale nie na tyle, żeby utrzymywać dwie biblioteki. Poza tym położenie budynku i rozkład pomieszczeń się zgadzały... tylko reszta nie pasowała.

Przez króciutką chwilę Sam zastanawiał się, czy nie zwariował, ale odrzucił tę myśl. Rozejrzał się i dopiero teraz zauważył, że wszyscy przerwali swoje czynności, żeby się na niego gapić. Ogarnęła go szaleńcza chęć, żeby powiedzieć: „Nie przeszkadzajcie sobie... ja tylko zobaczyłem, że cała biblioteka się zmieniała w tym tygodniu”. Zamiast tego podszedł do stołu z czasopismami i wziął egzemplarz „US News & Worlds Report”. Zaczął go przeglądać, udając wielkie zainteresowanie i kątem oka obserwując, jak ludzie w pomieszczeniu wracają do swoich zajęć.

Kiedy uznał, że przestał przyciągać niepożądaną uwagę, odłożył czasopismo na stół i powędrował w stronę Biblioteki dla Dzieci. Czuł się trochę jak szpieg wkraczający na terytorium wroga. Tabliczka na drzwiach wyglądała dokładnie tak samo, złote litery na tle ciemnego dębu w ciepłym odcieniu, ale plakat był inny. Czerwony Kapturek odkrywający straszliwą prawdę został zastąpiony przez siostrzeńców Kaczora Donalda: Hueya, Deweya i Louiego. Ubrani w kąpielówki, skakali do basenu pełnego książek. Napis pod obrazkiem zachęcał:

WPADNIJ! CZYTANIE JEST FAJNE!

– Co tu się dzieje? – wymamrotał Sam. Serce zaczęło mu walić w przyspieszonym tempie, pot wystąpił na plecy i ramiona. Gdyby chodziło tylko o ten plakat, mógłby założyć, że ta Lortz wyleciała z roboty... ale nie chodziło tylko o plakat. Chodziło o wszystko.

Otworzył drzwi Biblioteki dla Dzieci i zajrzał do środka. Zobaczył ten sam przytulny mały świat z niskimi stolikami i krzeselkami, te same jasnyniebieskie zasłony, tę samą fontannę z wodą pitną zamontowaną na ścianie. Tylko że teraz podwieszany sufit pasował do podwieszanego sufitu w głównej czytelni, a wszystkie plakaty zostały zmienione. Krzyczące dziecko w czarnym sedanie

(Głupi Jasio nazywają go Głupi Jasio i gardzą nim to bardzo zdrowe podejście, nie uważasz)

zniknęło, podobnie jak Biblioteczny Policjant w trenczu i z dziwną gwiazdą o wielu promieniach. Sam cofnął się, odwrócił i powoli podszedł do głównego stanowiska. Miał wrażenie, że całe jego ciało jest ze szkła.

Dwójka pracowników – chłopiec i dziewczyna około dwudziestki – patrzyli, jak się zbliża. Sam nie był aż tak zdenerwowany, żeby nie zauważyć, że wydają się lekko zaniepokojeni.

Bądź ostrożny. Nie... bądź NORMALNY. Oni i tak już myślą, że ci odbiło.

Nagle przypomniał mu się Lukey i targnął nim straszliwy, niszczycielski impuls. Zobaczył siebie, jak otwiera usta i wrzeszczy na cały głos do tych dwojga wystraszonych młodych ludzi, żeby mu dali kilka slim pieprzonych slim jimów, bo to jest szamu, to jest szamu, to jest szamu-niamu!

Zamiast tego odezwał się spokojnym, niższym głosem:

– Możecie mi pomóc? Chciałbym porozmawiać z kierownictwem.

– Ojej, przykro mi – powiedziała dziewczyna. – Pan Price nie pracuje w soboty wieczorem.

Sam zerknął na biurko. Tak jak podczas jego poprzedniej wizyty, obok czytnika mikrofilmów stała mała plakietka z nazwiskiem, ale już nie głosiła

A. LORTZ,

tylko:

MR PRICE.

W uszach zabrzmiał mu głos Naomi: „Wysoki? Chudy? Około pięćdziesiątki?”.

– Nie – powiedział. – Nie chodzi mi o pana Price’a. Ani o pana Peckhama. O kogoś innego. O Ardelię Lortz.

Chłopiec i dziewczyna wymienili zdumione spojrzenia.

– Tu nie pracuje żadna Ardelia Lord – oświadczył chłopak. – Chyba pomylił pan biblioteki.

– Nie Lord – sprostował Sam. Słyszał swój głos jakby z wielkiej odległości. – Lortz.

– Nie – zaprzeczyła dziewczyna. – Pan naprawdę musiał się pomylić.

Znowu w ich wzroku pojawiła się ostrożność i chociaż Sam miał ochotę nalegać, przekonywać ich, że oczywiście Ardelia Lortz tu pracuje, że spotkał ją zaledwie osiem dni temu – zmusił się do milczenia. W pewnym sensie to wszystko było całkowicie logiczne. Całkowicie logiczne w ramach kompletnego szaleństwa, to prawda, ale wewnętrzna logika została zachowana. Podobnie jak plakaty, świetliki w suficie i stojak na czasopisma, Ardelia Lortz po prostu przestała istnieć.

Naomi znowu odezwała się w jego głowie: „Och! Panna Lortz, tak? To musiała być zabawa”.

– Naomi rozpoznała nazwisko – mruknął.

Teraz oboje spoglądali na niego z identycznym wyrazem konsternacji.

– Przepraszam – powiedział Sam i spróbował się uśmiechnąć. Czuł ten fałszywy uśmiech na twarzy. – Mam dzisiaj kiepski

dzień.

– Fakt – przyznał chłopak.

– To widać – dodała dziewczyna.

Sądzą, że zwariowałem, pomyślał Sam. I wiecie co? Wcale im się nie dziwię.

– Coś jeszcze? – zapytał chłopak.

Sam otworzył usta, żeby zaprzeczyć – po czym wykonać pośpieszny odwrót – ale zmienił zdanie. Jak wisieć, to za obie nogi.

– Ja długo pan Price kieruje tą biblioteką?

Dwoje pracowników ponownie wymieniło spojrzenia. Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Odkąd tu jesteśmy – odparła. – Ale to nie tak długo, panie...?

– Peebles – powiedział Sam, podając jej rękę. – Sam Peebles. Przepraszam. Kiedy tracę głowę, zapominam o manierach.

Oboje trochę się odprężyli. Zmiana była nieuchwytna, ale niewątpliwa, i pomogła również Samowi się rozluźnić. Zdenerwowany czy nie, wciąż potrafił sprawić, żeby ludzie czuli się przy nim swobodnie. Agent od nieruchomości i akwizytor ubezpieczeń, który nie posiada tej istotnej umiejętności, powinien zmienić zawód.

– Jestem Cynthia Berrigan – powiedziała dziewczyna, niepewnie odwzajemniając uścisk ręki. – To jest Tom Stanford.

– Miło mi pana poznać – powiedział Tom Stanford, chociaż bez specjalnego przekonania, i również uścisnął rękę Sama.

– Przepraszam? – odezwała się kobieta ze stosem kryminałów. – Czy ktoś może mnie obsłużyć? Spóźnię się na brydża.

– Ja się tym zajmę – powiedział Tom do Cynthii i przeszedł na drugi koniec biurka, żeby zeskanować książki kobiety.

– Tom i ja chodzimy do College’u Chapelton, panie Peebles – powiedziała Cynthia. – Pracujemy na pół etatu, żeby zarobić na studia. Jestem tu od trzech semestrów... pan Price zatrudnił mnie na wiosnę. Tom przyszedł w lecie.

– Pan Price jest jedynym pełnoetatowym pracownikiem?

– Uhum. – Miała śliczne brązowe oczy i teraz Sam dostrzegł w nich ślad zatroskania. – Czy coś się stało?

– Nie wiem. – Sam znowu podniósł wzrok. Nie mógł się opanować. – Czy ten podwieszany sufit tu jest, odkąd zaczęłaś pracować?

Podążyła wzrokiem za jego spojrzeniem.

– No, nie wiedziałam, że tak się nazywa, ale tak, jest tu, odkąd tu pracuję.

– Wiesz, zdawało mi się, że tam były świetliki.

Cynthia się uśmiechnęła.

– No jasne. To znaczy widać je z zewnątrz, jak się stanie z boku budynku. I oczywiście widać je z regałów, ale są zabite deskami. Znaczą świetliki, nie regały. Chyba tak jest od lat.

Od lat.

– I nigdy nie słyszałaś o Ardelii Lortz?

Pokręciła głową.

– Hm... Niestety.

– A o Bibliotecznej Policji? – zapytał Sam impulsywnie.

Roześmiała się.

– Tylko od mojej starej ciotki. Opowiadała mi, że Biblioteczna Policja mnie dopadnie, jeśli nie zwrócę książek w terminie. Ale to było w Providence, w Rhode Island, kiedy byłam małą dziewczynką. Dawno temu.

Jasne, pomyślał Sam. Całe dziesięć czy nawet dwanaście lat temu. Kiedy po ziemi chodziły dinozaury.

– No – powiedział. – Dzięki za informacje. Nie chciałem was wystraszyć.

– Wcale pan nas nie nastraszył.

– Może jednak trochę. Na chwilę się pogubiłem.

– Kto to jest Ardelia Lortz? – zapytał Tom Stanford, wróciwszy do nich. – Nazwisko brzmi znajomo, ale za nic nie mogę skojarzyć.

– No właśnie. Naprawdę nie wiem – powiedział Sam.

– No, jutro jesteśmy zamknięci, ale pan Price będzie w poniedziałek po południu i wieczorem. Może on panu powie

to, co pan chce wiedzieć.

Sam kiwnął głową.

– Chyba się do niego wybiorę. Tymczasem jeszcze raz dziękuję.

– Jesteśmy tu, żeby pomagać – powiedział Tom. – Żałuję tylko, że nie pomogliśmy panu bardziej, panie Peebles.

– Ja też – mruknął Sam.

4

Trzymał się, dopóki nie dotarł do samochodu. Potem, kiedy wkładał klucz do zamka, wszystkie mięśnie nóg i brzucha odmówiły mu posłuszeństwa. Musiał oprzeć się ręką o dach auta, żeby nie upaść, kiedy otwierał drzwi po stronie kierowcy. Nie tyle wsiadł, ile zwałił się za kierownicę i siedział, dysząc ciężko, zastanawiając się z pewną obawą, czy nie zemdleje.

Co tu się wyrabia? Zupełnie jakbym występował w starym programie Roda Serlinga⁷. *Przed państwem niejaki Samuel Peebles, były mieszkaniec Junction City, obecnie sprzedający nieruchomości i ubezpieczenia na życie w... Strefie Mroku.*

Tak, na to wyglądało. Owszem, zabawnie było oglądać w telewizji, jak ludzie radzą sobie z niewytłumaczalnymi zjawiskami. Sam jednak odkrył, że niewytłumaczalne traci wiele uroku, kiedy to ty musisz się z nim zmagać.

Spojrzał na bibliotekę po drugiej stronie ulicy, gdzie ludzie wchodzili i wychodzili w łagodnym blasku powozowych lamp. Starsza pani z kryminałami szła ulicą, zapewne śpiesząc na partyjkę brydża. Kilka dziewcząt schodziło po stopniach, śmiejąc się i rozmawiając, przyciskając książki do rozkwitających piersi. Wszystko wyglądało całkiem normalnie... i oczywiście było normalne. Nienormalna była tylko biblioteka, do której wszedł przed tygodniem. Wtedy głowę miał zaprzątniętą swoim cholernym przemówieniem i pewnie dlatego nie zwrócił większej uwagi na te osobliwości.

Nie myśl o tym, nakazał sobie, chociaż obawiał się, że w tym przypadku jego umysł najzwyczajniej zignoruje rozkazy. Zrób jak Scarlett O'Hara i pomyśl o tym jutro. Kiedy wzejdzie słońce, to wszystko nabierze więcej sensu.

Wrzucił bieg i myślał o tym przez całą drogę do domu.

ROZDZIAŁ 7

Nocne strachy

1

Po powrocie do domu natychmiast sprawdził automatyczną sekretarkę. Serce uderzyło mu szybciej, kiedy zobaczył zapaloną lampkę przy klawiszu NOWA WIADOMOŚĆ.

To na pewno ona. Nie wiem, kim ona jest naprawdę, ale zaczynam podejrzewać, że nie spocznie, dopóki nie doprowadzi mnie do kompletnego szaleństwa.

Więc nie odsłuchuj, poradziła inna część umysłu. Sam był tak skołowany, że nie potrafił ocenić, czy to rozsądna rada. Wydawała się rozsądna, ale również trochę tchórzowska. Właściwie...

Zorientował się, że stoi cały spocony, obgryza paznokcie... i nagle stęknął, cicho, rozpaczliwie.

Z czwartej klasy na oddział zamknięty, pomyślał. No, prędzej mnie szlag trafi, niż mnie tam wpakujesz, skarbie.

Nacisnął klawisz.

– Cześć! – rozległ się męski głos, ochrypły od whisky. – Panie Peebles, mówi Joseph Randowski. Mój pseudonim sceniczny to Niesamowity Joe. Chciałem tylko podziękować, że pan mnie zastąpił na tym zebraniu Kiwanis czy czego tam. Dzwonię powiedzieć, że czuję się dużo lepiej... mam tylko nadwyreżony kark, nie złamany, jak myśleli z początku. Wysyłam panu całą kupę wejściówek na przedstawienie. Proszę je rozdać znajomym. Trzymaj się pan. Jeszcze raz dzięki. Na razie.

Taśma się zatrzymała. Zapalił się napis WSZYSTKIE WIADOMOŚCI ODSŁUCHANE. Sam prychnął, zły z powodu swojego zdenerwowania – jeśli Ardelia Lortz chciała, żeby bał się

własnego cienia, osiągnęła swój cel. Nacisnął klawisz przewijania, a wtedy uderzyła go nowa myśl. Miał zwyczaj przewijać taśmę na sekretarce, ale to znaczyło, że stare wiadomości zostają zastąpione przez nowe. Wiadomość od Niesamowitego Joego skasowała wcześniejszą wiadomość Ardellii. Jedyne dowód istnienia tej kobiety zniknął bez śladu.

Ale przecież to nieprawda. Została karta biblioteczna. Stał przed tym cholernym stanowiskiem i patrzył, jak ona wypisuje jego nazwisko dużymi, ozdobnymi literami.

Sam wyciągnął portfel i przejrzał go trzykrotnie, zanim przyznał przed sobą, że karta biblioteczna też zniknęła. I chyba wiedział, dlaczego. Niejasno pamiętał, jak wkładał ją za obwolutę *Ulubionych wierszy Ameryki*.

Dla bezpieczeństwa.

Żeby nie zginęła.

Wspaniale. Po prostu wspaniale.

Usiadł na kanapie i oparł głowę na rękę. Zaczynała się migrena.

2

Piętnaście minut później, kiedy podgrzewał na kuchence puszkę zupy z nadzieją, że ciepły posiłek złagodzi ból głowy, znowu pomyślał o Naomi – Naomi, tak podobnej do kobiety na plakacie Brudnego Dave'a. Pytanie, czy Naomi prowadziła jakieś sekretne życie pod imieniem Sarah, wydawało się drugorzędne wobec czegoś znacznie ważniejszego, przynajmniej w tej chwili: Naomi wiedziała, kim jest Ardelia Lortz. Ale jej reakcja na to nazwisko... była trochę dziwna, prawda? Zaskoczyło ją na chwilę, a potem chciała zażartować, ale zadzwonił telefon, odezwał się Burt Iverson i...

Sam próbował odtworzyć z pamięci tamtą rozmowę i stwierdził z rozczarowaniem, że niewiele pamięta. Naomi powiedziała, że Ardelia jest dziwna; tego był pewien, ale niczego więcej. Wtedy to się nie wydawało ważne. Ważne było, że jego

kariera zrobiła wielki krok naprzód. Kariera nadal się liczyła, ale wobec tamtej drugiej rzeczy traciła znaczenie. Prawdę mówiąc, wszystko traciło znaczenie. Sam ciągle wracał myślami do tego nowoczesnego, praktycznego podwieszanego sufitu i niskich regałów. Nie wierzył, że zwariował, wcale w to nie wierzył, ale zaczynał się obawiać, że jednak zwariuje, jeśli nie rozwiąże tej zagadki. Zupełnie jakby znalazł dziurę we własnej głowie, tak głęboką, że można do niej wrzucać różne rzeczy i nie usłyszy się plusku, bez względu na wielkość tych rzeczy, choćby nie wiadomo jak długo się czekało z nastawionym uchem. Przypuszczał, że to uczucie wkrótce minie – może – ale na razie było okropne.

Zmniejszył ogień pod zupą, przeszedł do gabinetu i znalazł numer telefonu Naomi. Po trzech dzwonekach odezwał się drżący starczy głos:

– Proszę, kto mówi?

Sam natychmiast rozpoznał ten głos, chociaż nie widział jego właścicielki od ponad dwóch lat. To była schorowana matka Naomi.

– Witam, pani Higgins – powiedział. – Tu Sam Peebles.

Umilkł i czekał, aż ona powie: „O, halo Sam” albo może „Jak się masz?”, ale słyszał jedynie jej ciężki oddech świadczący o rozedmie płuc. Nigdy nie należał do jej ulubieńców i jak widać, o nieobecny wcale nie myślała życzliwiej.

Skoro nie zamierzała się odzywać, Sam postanowił przejąć inicjatywę.

– Jak się pani miewa, pani Higgins?

– Raz lepiej, raz gorzej.

Przez chwilę czuł zakłopotanie. Na tego rodzaju stwierdzenie nie istniała stosowna odpowiedź. „Przykro mi to słyszeć” nie pasowało, ale „To wspaniale, pani Higgins!” zabrzmiałoby jeszcze gorzej.

Więc tylko zapytał, czy może mówić z Naomi.

– Wyszła na wieczór. Nie wiem, kiedy wróci.

– Może ją pani poprosić, żeby do mnie zadzwoniła?

– Idę spać. I niech pan nie wymaga, żebym zostawiła jej wiadomość. Reumatyzm bardzo mnie męczy.

Sam westchnął.

– Zadzwonię jutro.

– Jutro rano idziemy do kościoła – oznajmiła pani Higgins tym samym głuchym, nieprzyjaznym głosem. – A po południu jest pierwszy w tym sezonie baptystyczny piknik młodzieży. Naomi obiecała pomóc.

Sam postanowił na tym skończyć. Najwyraźniej pani Higgins nie zamierzała udzielać wrogowi żadnych informacji. Chciał się już pożegnać, ale zmienił zdanie.

– Pani Higgins, czy mówi coś pani nazwisko Lortz? Ardelia Lortz?

Ciężkie rżenie urwało się w połowie wdechu. Przez chwilę w słuchawce panowała absolutna cisza, a potem pani Higgins syknęła jadowitym głosem:

– Jak długo będziecie nam rzucać w twarz nazwisko tej kobiety, bezbożni poganie? Myślicie, że to zabawne? Myślicie, że to sprytne?

– Pani Higgins, źle mnie pani zrozumiała. Chciałem tylko się dowiedzieć...

Usłyszał krótki, ostry trzask, jakby pani Higgins złamała na kolanie suchy patyk. A potem połączenie zostało przerwane.

3

Sam zjadł zupę, a później przez pół godziny próbował oglądać telewizję. Bez powodzenia. Przez cały czas myślał o czym innym. Zaczynał od kobiety na plakacie Brudnego Dave'a albo od śladu zabłoconego trampka na obwolucie *Ulubionych wierszy Ameryki*, albo od zamienionego plakatu z Czerwonym Kapturkiem. Ale nieważne, od czego zaczął, zawsze kończył na jednym: całkowicie innym suficie w głównej czytelni Biblioteki Publicznej w Junction City.

Wreszcie się poddał i wpełznął do łóżka. To była najgorsza sobota, jaką pamiętał, może nawet najgorsza sobota w jego życiu. Teraz chciał tylko szybko zapaść w sen bez snów.

Ale sen nie przyszedł.

Zamiast niego nadeszły koszmary.

Dominowała wśród nich obawa, że zaczyna wariować. Nigdy dotąd nie zdawał sobie sprawy, jaka to okropna myśl. Oglądał filmy, w których jakiś facet przychodził do psychiatry i mówił, dramatycznie łapiąc się za głowę: „Zdaje mi się, że zwariowałem, doktorze”, toteż zaczął utożsamiać początki zaburzeń psychicznych z migreną. Nie miał racji, jak się przekonał w ciągu długich godzin, kiedy siódmy kwietnia stopniowo przechodził w ósмого kwietnia. Raczej przypomina to uczucie, jakiego doznajesz, kiedy chcesz się podrapać po jajach i odkrywasz tam wielką narośl – narośl, która prawdopodobnie jest złośliwym guzem.

Biblioteka nie mogła się tak radykalnie zmienić w ciągu zaledwie tygodnia. Sam nie mógł widzieć świetlików w czytelnii. Ta dziewczyna, Cynthia Berrigan, powiedziała, że zostały zabite deskami już dawno, zanim zaczęła tam pracować, przynajmniej przed rokiem. Więc przechodził załamanie nerwowe. Albo miał guza mózgu. A może to choroba Alzheimera? Niezbyt przyjemna myśl. Czytał gdzieś – chyba w „Newsweeku” – że ofiary alzheimera stopniowo dzieciennieją. Może ten cały niesamowity epizod oznacza, że zbliża się przedwczesna starość.

W jego myślach pojawiła się paskudna tablica reklamowa, wielki billboard z jednym słowem wypisanym wytłuszczonymi literami koloru czerwonej lukrecji. To słowo brzmiało:

WARIUJĘ

Dotąd prowadził zwykłe życie, pełne zwyczajnych przyjemności i smutków, życie, które nie wystawiało go na poważniejsze próby. To prawda, nigdy nie zdobył sławy, ale nigdy też nie miał powodu, żeby wątpić w swoje zdrowie psychiczne. Teraz leżał w zmiętej pościeli i zastanawiał się, czy

właśnie w ten sposób traci się kontakt z realnym, racjonalnym światem. Czy tak to się zaczyna, kiedy człowiek

WARIUJE.

Pomysł, że anioł opiekuńczy schroniska dla bezdomnych w Junction City to Naomi – Naomi pod pseudonimem – też był zwariowany. To po prostu niemożliwe... prawda? Zaczął nawet wątpić w nagłe ożywienie w interesach. Może tylko mu się przywidziało.

Okolo północy w jego myślach pojawiła się Ardelia Lortz i wtedy naprawdę zrobiło się źle. Zaczął sobie wyobrażać, jakie to byłoby okropne, gdyby Ardelia Lortz schowała się w szafie czy nawet pod łóżkiem. Widział, jak radośnie szczerzy zęby, ukryta w ciemności, jak przebiera palcami o długich, ostrych paznokciach, jak włosy sterczą jej wokół twarzy niczym upiorna peruka klauna. Czuł, że kości zmieniałyby mu się w galaretę, gdyby usłyszał jej szept.

Zgubiłeś książki, Sam, więc przyjdzie do ciebie Biblioteczny Policjant... zgubiłeś książki... zgubiiiiileśśś...

W końcu o wpół do pierwszej nie mógł już wytrzymać. Usiadł i po omacku sięgnął do lampki nocnej. A wtedy owładnęła nim nowa fantazja, tak wyrazista, że granicząca z pewnością: nie był w sypialni sam, ale jego gościem nie była Ardelia Lortz. O nie. Jego gościem był Biblioteczny Policjant z plakatu, który już nie wisiał w Bibliotece dla Dzieci. Stał tu w ciemnościach, wysoki, blady mężczyzna okutany w trencz, mężczyzna z brzydką cerą i białą poszarpaną blizną biegnącą przez lewy policzek, pod okiem i przez nasadę nosa. Tej blizny nie było na plakacie, ale tylko dlatego, że artysta nie chciał jej namalować. Blizna istniała. Sam o niej wiedział.

„Myliłeś się co do krzaków, powie Biblioteczny Policjant lekko sepleniącym głosem. Tam po bokach rofną krzaki. Dużo krzaków. I pójdziemy je zfiedzić. Zfiedzimy je razem”.

„Nie! Przestań! Po prostu... PRZESTAŃ!”

Kiedy jego drżąca ręka wreszcie znalazła lampę, skrzywnęła deska w podłodze. Sam wydał cienki, zdławiony okrzyk. Zaciśnął rękę na przełączniku. Zapaliło się światło. Przez chwilę Samowi zdawało się, że naprawdę widzi wysokiego mężczyznę, a potem uświadomił sobie, że to tylko cień biurka na ścianie.

Opuścił nogi na podłogę i ukrył twarz w dłoniach. Potem sięgnął po paczkę kentów na nocnym stoliku.

– Musisz wziąć się w garść – wymamrotał. – Co ty sobie myślałeś, do cholery?

Nie wiem, szybko odpowiedział wewnętrzny głos. Co więcej, wcale nie chcę wiedzieć. Nigdy. Krzaki były dawno temu, nie muszę pamiętać o krzakach. Ani o smaku. Tym słodkim, najśłodszym smaku.

Zapalił papierosa i zaciągnął się głęboko.

Najgorsze, że następnym razem naprawdę może zobaczyć mężczyznę w trenczu. Albo Ardelię. Albo Gorgo, jego wysokość imperatora Pellucidaru. Ponieważ jeśli zdołał stworzyć halucynację tak szczegółową, jak jego wizyta w bibliotece i rozmowa z Ardelią Lortz, mogło mu się przywidzieć wszystko. Jeśli się zacznie myśleć o nieistniejących świetlikach, nieistniejących ludziach i nawet nieistniejących krzakach, wszystko wydaje się możliwe. Jak można stłumić rebelię we własnej głowie?

Zszedł do kuchni, zapalając po drodze światła. Musiał się powstrzymać, żeby nie oglądać się przez ramię i nie sprawdzać, kto się za nim skrada. Na przykład mężczyzna z odznaką w ręku. Potrzebował pigułek nasennych, ale ponieważ nie miał żadnych – nawet sprzedawanych bez recepty, jak sominex – musiał improwizować. Nalał mleka do rondelka, podgrzał, przelał do kubka i dodał hojną porcję brandy. To również widział na filmie. Skosztował, skrzywił się i o mało nie wylał obrzydliwej mieszanki do zlewu, ale spojrzął na zegar na mikrofalówce. Za kwadrans pierwsza. Do świtu zostało dużo czasu, dużo czasu na wyobrażanie sobie, jak Ardelia Lortz

i Biblioteczny Policjant skradają się po schodach z nożami w zębach.

Albo strzałami, pomyślał. Długie czarne strzały. Ardelia Lortz i Biblioteczny Policjant skradają się po schodach, ściskając w zębach długie czarne strzały. Jak wam się podoba ten obrazek, sąsiedzi i przyjaciele?

Strzały?

Dlaczego strzały?

Nie chciał o tym myśleć. Dostyc miał myśli, które wylatywały ze świstem z niedostrzeganej dotąd ciemności w jego wnętrzu niczym ohydne, cuchnące frisbee.

Nie chcę o tym myśleć, nie będę o tym myśleć.

Dopił wzmocnione mleko i wrócił do łóżka.

4

Zostawił zapaloną lampkę nocną, co go trochę uspokoiło. Nawet pomyślał, że może uda mu się zasnąć, zanim nastąpi śmierć ciepła wszechświata. Podciągnął kołdrę pod brodę, splótł ręce na karku i zagapił się w sufit.

COŚ z tego musiało naprawdę się zdarzyć, pomyślał. WSZYSTKO nie mogło być halucynacją... chyba że to też jest halucynacja i naprawdę siedzę w pokoju bez klamek w Cedar Rapids, w kaftanie bezpieczeństwa, i tylko mi się zdaje, że leżę we własnym łóżku.

Na pewno wygłosił przemówienie. Na pewno wykorzystał dowcipy z *Poradnika mówcy* i wiersz Spencera Michaela Free z *Ulubionych wierszy Ameryki*. A ponieważ nie miał żadnej z tych pozycji w swoim skromnym księgozbiorniku, musiał je wypożyczyć z biblioteki. Naomi znała Ardelię Lortz – przynajmniej znała jej nazwisko – podobnie jak matka Naomi. Pewnie, że znała! Zareagowała tak żywo, jakby odpalił petardę pod jej fotelem.

Mogę popytać, pomyślał. Jeśli pani Higgins zna to nazwisko, inni też je znają. Może nie studenci z Chapelton zatrudnieni na

pół etatu, ale ludzie, którzy mieszkają w Junction City od dawna. Może Frank Stephens. Albo Brudny Dave...

W tym momencie Sam wreszcie odpłynął. Nieświadomie przekroczył niemal niewyczuwalną granicę pomiędzy jawą a snem; myśli wciąż napływały, ale zaczęły przybierać coraz bardziej wypaczone, fantastyczne kształty. Kształty ułożyły się w sen. A sen zmienił się w koszmar. Sam znowu znalazł się na Angle Street. Trzej alkoholicy siedzieli na werandzie i mozolili się nad plakatami. Sam zapytał Brudnego Dave'a, co robi.

„A, tak zabijam czas” – odparł Brudny Dave, a potem nieśmiało odwrócił plakat, żeby Sam mógł zobaczyć.

Na plakacie był Głupi Jasio, nabity na rożen nad ogniskiem. W rękę ścisnął wielką kulę roztapiającą się czerwonej lukrecji. Ubranie na nim płonęło, ale chłopczyk wciąż żył. Krzyczał. Nad tym przerażającym obrazkiem znajdował się napis:

KOLACJA DLA DZIECI
W KRZAKACH BIBLIOTEKI PUBLICZNEJ
ZBIÓRKA NA FUNDUSZ BIBLIOTECZNEJ POLICJI
OD PÓŁNOCY DO 2.00
PRZYJDŹCIE WSZYSTY
„ALE SZAMU-NIAMU!”

„Dave, to okropne”, powiedział Sam w swoim śnie.

„Wcale nie – zapewnił Brudny Dave. – Dzieci nazywają go Głupi Jasio. Zjadają go ze smakiem. To bardzo zdrowe, nie uważasz?”

„Patrzcie! – krzyknął Rudolph. – Patrzcie, to Sarah!”

Sam podniósł wzrok i zobaczył Naomi. Szła przez zaśmiecony, zachwaszczony teren pomiędzy Angle Street a punktem skupu odpadów. Zbliżała się bardzo powoli, ponieważ pchała wózek na zakupy wyładowany egzemplarzami *Poradnika mówcy* i *Ulubionych wierszy Ameryki*. Za nią zachodziło słońce w ponurej glorii, czerwone jak palenisko pieca, i długi pociąg pasażerski z łoskotem toczył się po torach, powoli zmierzając na pustkowie zachodniego Iowa. Pociąg miał co najmniej trzydzieści wagonów,

wszystkie czarne. Okna zasłaniała falująca krepa. Sam zrozumiał, że to pociąg pogrzebowy.

Odwrócił się do Brudnego Dave'a i powiedział: „Ona nie ma na imię Sarah. To Naomi. Naomi Higgins z Proverbii”.

„Wcale nie – zaprzeczył Brudny Dave. – To Śmierć nadchodzi, panie Peebles. Śmierć jest kobietą”.

Wtedy Lukey zaczął wrzeszczeć. W krańcowym przerażeniu kwiczał jak świnia.

„Ona zabrała slim jimy! Ona zabrała slim jimy! O Boże, ona zabrała wszystkie pieprzone slim jimy!”

Sam obejrzał się, żeby zobaczyć, o co chodzi Lukeyowi. Kobieta zbliżyła się, ale nie wyglądała już jak Naomi. To była Ardelia, ubrana w trencz barwy zimowej chmury. W wózku nie leżały slim jimy, jak twierdził Lukey, tylko tysiące splecionych pasków czerwonej lukrecji. Na oczach Sama Ardelia chwyciła pełną garść lukrecji i wepchnęła sobie do ust. Nie miała już sztucznej szczęki, tylko długie, odbarwione zęby, przypominające kły wampira, ostre i jednocześnie straszliwie mocne. Wykrzywiła się i wgryzła w słodycze. Trysnęła jasna krew, drobniutkie kropelki załśniły różowo w blasku zachodzącego słońca, spłynęły na brodę Ardellii. Kilka kawałków lukrecji spadło na zachwaszczoną ziemię, wciąż roniąc krople krwi.

Ardelia uniosła ręce, które zmieniły się w zakrzywione szpony.

„Zguuubiiiięś KSIAAAAAAŻKI!” – zawyła i rzuciła się na Sama.

5

Sam ocknął się gwałtownie, bez tchu. Ściągnął całą pościel i skulił się pod nią w nogach łóżka, spocony jak mysz. Pierwsze słabe światło nowego dnia przesączało się spod opuszczonej rolety. Zegarek przy łóżku wskazywał 5.53.

Wstał, czując chłodne, odświeżające powietrze na spoconej skórze. Poszedł do łazienki i oddał mocz. Głowa go trochę bolała, albo z powodu brandy wypitej nad ranem, albo od stresu

wywołanego koszmarnym snem. Otworzył apteczkę, połknął dwie aspiryny i powlókł się z powrotem do łóżka. Wygładził pościel najlepiej, jak potrafił, wyczuwając resztki koszmaru w każdej wilgotnej fałdzie. Wiedział, że już nie zaśnie, ale mógł przynajmniej poleżeć i poczekać, aż koszmarny sen się rozwieje.

Kładąc głowę na poduszce, nagle uświadomił sobie, że wie coś jeszcze, coś równie zdumiewającego i zaskakującego jak tamto odkrycie, że kobieta na plakacie Brudnego Dave'a wygląda jak jego sekretarka. To nowe skojarzenie również dotyczyło Brudnego Dave'a... i Ardelii Lortz.

To sen, pomyślał. We śnie się dowiedziałem.

Sam zapadł w głęboki, naturalny sen. Nic mu się nie śniło, a kiedy się obudził, dochodziła jedenasta. Dzwony kościelne wzywały wiernych na nabożeństwo. Dzień był piękny i widok słońca na świeżej zielonej trawie nie tylko poprawił Samowi nastrój; sprawił, że Sam poczuł się niemal jak nowo narodzony.

ROZDZIAŁ 8

Angle Street (II)

1

Przygotował sobie brunch – sok pomarańczowy, omlet z trzech jajek ze szczypiorkiem, dużo mocnej kawy – zastanawiając się, czy nie wrócić na Angle Street. Wciąż pamiętał przebłysk olśnienia, którego doznał w krótkiej chwili przebudzenia, i był całkowicie pewien, że intuicja go nie zawiodła, ale nie wiedział, czy naprawdę chce dalej grzebać w tej zwariowanej historii.

W jasnym świetle wiosennego poranka nocne strachy wydawały się jednocześnie odległe i absurdalne. Sam odczuwał silną pokusę – niemal przymus – żeby po prostu dać spokój tej sprawie. Coś mu się przydarzyło, coś, co nie miało rozsądnego, racjonalnego wyjaśnienia. Pytanie brzmiało: i co z tego?

Czytał o takich rzeczach, o duchach, przecuciach i opętaniach, ale niezbyt go interesowały. Od czasu do czasu lubił obejrzeć w kinie horror, i tyle. Był człowiekiem praktycznym i nie widział żadnego praktycznego zastosowania dla zjawisk paranormalnych... jeśli rzeczywiście istniały. Doświadczył... nazwijmy to incydentem, z braku lepszego słowa. Teraz incydent się skończył. Czemu na tym nie poprzestać?

Bo ona powiedziała, że mam zwrócić książki do jutra – no więc?

Ale teraz już się tym nie przejmował. Mimo wiadomości nagranej na automatycznej sekretarce Sam jakoś przestał wierzyć w Ardelię Lortz.

Natomiast zainteresowała go własna reakcja na to, co się stało. Przypomniwał sobie wykład z biologii na studiach.

Wykładowca zaczął od stwierdzenia, że ciało ludzkie potrafi niezwykle skutecznie zwalczać inwazję obcych organizmów. Mówił, że gazety rozpisują się o różnych okropnościach, jak rak, gruźlica czy choroby przenoszone drogą płciową, na przykład syfilis, i dlatego ludzie sądzą, że są znacznie bardziej podatni na schorzenia niż w rzeczywistości. „Ciało ludzkie, tłumaczył nauczyciel, dysponuje własnymi oddziałami Zielonych Beretów. Kiedy coś z zewnątrz atakuje ludzkie ciało, panie i panowie, oddziały reagują szybko i bez litości. Nie daje się pardonu. Bez tej armii wyszkolonych zabójców każde z was zmarłoby dwadzieścia razy przed ukończeniem pierwszego roku życia”.

Podstawowa taktyka, jaką ciało stosuje wobec najeźdźcy, to izolacja. Agresorzy najpierw zostają otoczeni, odcięci od niezbędnego pożywienia, następnie zjedzeni, zabici albo zagłodzeni. Teraz Sam odkrywał – przynajmniej tak mu się zdawało – że umysł stosuje dokładnie tę samą taktykę wobec agresji. Pamiętał, jak wiele razy czuł, że bierze go przeziębienie, a następnego ranka budził się w świetnej formie. Ciało wykonało swoją robotę. Krwawa wojna toczyła się, kiedy spał, i najeźdźcy zostali wybici do nogi... jeśli zarazki mają nogi. Zostali zjedzeni, zabici albo zagłodzeni.

Zeszłej nocy Sam doświadczył mentalnego odpowiednika zbliżającej się grypy. A dziś rano najeźdźca, zagrożenie dla klarownej, racjonalnej percepcji, został otoczony. Odcięty od źródeł zaopatrzenia. Reszta była tylko kwestią czasu. I rozsądek go ostrzegał, że badając dalej tę sprawę, może karmić wroga.

Tak to wygląda, pomyślał. Dlatego nie słyszy się mnóstwa doniesień o dziwnych zdarzeniach i niewytłumaczalnych zjawiskach. Umysł ich doświadcza... zatacza się od ciosu przez jakiś czas... a potem kontratakuję.

Ale był ciekawy. W tym sęk. Wprawdzie przysłowie mówi, że ciekawość to pierwszy stopień do piekła, ale mówi się też, że wiedza to potęga.

Kto? Kto tak mówi?

Sam nie wiedział... ale pewnie mógł to sprawdzić. W miejscowej bibliotece. Uśmiechnął się lekko, wkładając naczynia do zlewu. I uświadomił sobie, że już podjął decyzję: zamierzał jeszcze trochę pogrzebać w tej zwariowanej historii.

Tylko troszeczkę.

2

Sam zjawił się na Angle Street około wpół do pierwszej. Niezbyt się zdziwił, widząc, że na podjeździe stoi stary niebieski datsun Naomi. Zaparkował za nim, wysiadł i wszedł po rozchwierutanych stopniach, obok tablicy nakazującej wrzucać butelki z alkoholem do beczki. Zapukał, ale nikt mu nie otworzył. Pchnął drzwi i zobaczył szeroki korytarz bez mebli... jeśli nie liczyć automatu telefonicznego wiszącego na ścianie w głębi. Tapety były czyste, ale spłowiałe. W jednym miejscu naprawiono je taśmą klejącą.

– Halo?

Brak odpowiedzi. Sam wszedł do środka, czując się jak intruz. Pierwsze drzwi na lewo prowadziły do świetlicy. Na drzwiach przypięto pineskami dwie kartki.

PRZYJACIELE BILLA, ZAPRASZAMY!

głosiła pierwsza. Pod nią wisiała druga, której treść wydała się Samowi całkowicie rozsądna i jednocześnie wyjątkowo kretyńska:

CZAS WYMAGA CZASU.

W świetlicy stały niedopasowane, podniszczone krzesła i długa kanapa, również zreperowana taśmą – tym razem izolacyjną. Na ścianach wisiały kolejne slogany. Na małym stoliku obok telewizora stał ekspres do kawy. I telewizor, i ekspres były wyłączone.

Sam ruszył dalej, mijając schody. Czuł się coraz bardziej jak intruz. Zajrzał do trzech pozostałych pokoi na parterze. W każdym stały dwie zwykłe prycze i wszystkie były puste. Chociaż panowała w nich nieskazitelna czystość, każdy opowiadał swoją historię. Jeden pachniał maścią kamforową. Inny cuchnął nieprzyjemnie jakąś ciężką chorobą. Albo ktoś tu niedawno zmarł, pomyślał Sam, albo niedługo umrze.

Kuchnia, również pusta, znajdowała się na końcu korytarza. Było to duże, słoneczne pomieszczenie z podłogą pokrytą wyblakłym linoleum, pofałdowanym w nierówne wzgórza i doliny. Niszę w ścianie wypełniała gigantyczna kuchenka, taka na gaz i na drewno. Zlew był stary i głęboki, z emalią poplamioną zaciekami rdzy. Krany miały staroświeckie motylkowe pokrętła. Obok spiżarni stały wiekowa zmywarka Maytag i suszarka Kenmore na gaz. Lekko pachniało fasolą w sosie pomidorowym z zeszłego wieczoru. Samowi się tu spodobało. Bieda aż piszczala, ale jednocześnie czuło się miłość i troskliwość, i trudno zdobyte szczęście. Przypomniała mu się kuchnia babci, gdzie czuł się dobrze. Bezpiecznie.

Na starej lodówce Amana przemysłowych rozmiarów tkwiła magnetyczna plakietka z napisem:

BOŻE, BŁOGOSŁAW NASZ TRZEŻWY DOM

Sam usłyszał na zewnątrz stłumione głosy. Przeszedł przez kuchnię i wyjrzał przez okno, otwarte, żeby wpuścić do środka jak najwięcej ciepłego wiosennego powietrza.

Tylne podwórze Angle Street zaczynało się zielenić; za budynkiem, obok wąskiego pasa pączkujących drzew, goły ogródek warzywny czekał na cieplejsze dni. Po lewej stronie obluzowana siatka zwisała wdzięcznym łukiem nad boiskiem do siatkówki. Na prawo urządzono dwa stanowiska do rzutu podkową, gdzie właśnie kielkowały pierwsze chwasty. Nie było to urokliwe podwórko – jak zwykle wiejskie podwórza o tej porze roku – ale Sam zauważył, że zagrabiono je przynajmniej raz,

odkąd śnieg wypuścił ziemię z zimowego uścisku. Nie widział żuźlu, chociaż stalowe szyny lśniły nie dalej niż piętnaście metrów od ogrodu. Mieszkańcy Angle Street wprawdzie mieli niewiele, ale dbali o to, co mieli, pomyślał.

Kilkanaście osób siedziało na składanych krzeselkach turystycznych w nierównym kręgu pomiędzy boiskiem do siatkówki i stanowiskami do rzutu podkową. Sam rozpoznał Naomi, Dave'a, Lukeya i Rudolpha. Po chwili spostrzegł także Burta Iversona, najbardziej wziętego adwokata w Junction City, oraz Elmera Baskina, bankiera, który wprawdzie nie wysłuchał przemówienia Sama w Klubie Rotariańskim, ale zadzwonił później z gratulacjami. Lekki wiatr wydymał domowe zasłony w kratkę wiszące w oknie, przez które wyglądał Sam. Wiatr zmierwił również srebrne włosy Elmera. Elmer uniósł twarz do słońca i uśmiechnął się. Na jego twarzy... nie, w jego twarzy jaśniało proste zadowolenie. W tym momencie był jednocześnie czymś mniej i czymś więcej niż najbogatszym bankierem w małym miasteczku; był zwykłym człowiekiem, który wita wiosnę po długiej mroźnej zimie i cieszy się, że jest żywy, zdrowy i wolny od bólu.

To wydawało się Samowi nierzeczywiste. Dostatecznie dziwne było, że Naomi Higgins zadaje się z bezdomnymi pijaczkami z Junction City – w dodatku pod przybranym nazwiskiem. Ale zobaczyć w tym miejscu najbardziej szanowanego bankiera w mieście i jednego z najznakomitszych prawników – to nie do pomyślenia!

Mężczyzna w obszarpanych zielonych spodniach i bluzie Cincinnati Bengals podniósł rękę. Rudolph wskazał na niego.

– Mam na imię John i jestem alkoholikiem – powiedział mężczyzna w bluzie bengalskich tygrysów.

Sam szybko cofnął się od okna. Twarz go paliła. Teraz czuł się nie tylko jak intruz, ale jak szpieg. Domyślał się, że zwykle niedzielne spotkania AA odbywają się w świetlicy – wskazywał na to ekspres do kawy – dzisiaj jednak pogoda była taka ładna, że wynieśli krzesła na zewnątrz. Z pewnością to był pomysł Naomi.

„Jutro rano idziemy do kościoła – powiedziała pani Higgins – a po południu jest pierwszy w tym sezonie baptystyczny piknik młodzieży. Naomi obiecała pomóc”. Ciekawe, czy pani Higgins wie, że jej córka spędza popołudnie z alkoholikami zamiast z baptystami. Chyba tak. I chyba zrozumiał teraz, dlaczego Naomi nagle zdecydowała, że dwie randki z Samem Peeblesem wystarczą. Wtedy myślał, że to z powodu religii, a Naomi nawet nie próbowała temu zaprzeczać. Po pierwszej randce, kiedy poszli do kina, zgodziła się znowu z nim umówić. Po drugiej randce straciła wszelkie zainteresowanie Samem. Przynajmniej tak to odebrał. Na drugiej zaprosił ją na kolację. I zamówił wino.

Na litość boską... skąd miałem wiedzieć, że ona jest alkoholiczką? Czy ja jestem jasnowidzem?

Oczywiście nie mógł wiedzieć... jednak zaczerwienił się jeszcze mocniej.

A może to nie woda... albo nie tylko woda. Może ona ma jeszcze inne problemy.

Zastanawiał się również, co by się stało, gdyby Burt Iverson i Elmer Baskin, obaj wpływowi ludzie, odkryli, że on wie, że należą do największego tajnego stowarzyszenia na świecie. Może nic; za mało wiedział o AA, żeby mieć pewność. Wiedział jednak dwie rzeczy: że jedno „A” oznacza „Anonimowi”, a ci ludzie mogli zgnieść jego wybujałe zawodowe ambicje w zarodku.

Sam postanowił oddalić się możliwie szybko i dyskretnie. Na jego korzyść należy zapisać, że nie kierował się własnym interesem. Ludzie siedzący na tylnym podwórzu Angle Street mieli poważny problem. Odkrył to przypadkiem; nie zamierzał zostać i umyślnie podsłuchiwać.

Wracając korytarzem, zobaczył na automacie telefonicznym stosik pociętych kartek. Obok wisiał ogryzek ołówka, przytwierdzony do ściany na krótkim sznurku. Pod wpływem impulsu Sam wziął kartkę i nabazgrał krótki liścik.

Dave

Wpadłem rano, żeby się z Tobą zobaczyć, ale nikogo nie zastałem. Chcę z Tobą porozmawiać o kobiecie nazwiskiem Ardelia Lortz. Wydaje mi się, że wiesz, kim

ona jest, a ja bardzo chcę się tego dowiedzieć. Czy mógłbyś do mnie zadzwonić dziś po południu albo wieczorem? Mój numer: 555-8699. Bardzo dziękuję.

Podpisał się, złożył kartkę na pół i napisał na wierzchu drukowanymi literami imię Dave'a. Pomyślał przelotnie, żeby zanieść kartkę do kuchni i położyć na blacie, ale nie chciał, żeby któreś z tamtych – zwłaszcza Naomi – martwiło się, że ich zobaczył przy tych dziwacznych, lecz zapewne pomocnych obrządkach. Oparł więc kartkę na telewizorze w świetlicy, imieniem Dave'a do przodu. Chciał zostawić dwadzieścia pięć centów na telefon obok listu, ale się rozmyślił. Dave mógł to źle zrozumieć.

Potem wyszedł na słońce, zadowolony, że nikt go nie przyłapał. Wsiadając do samochodu, zobaczył nalepkę na zderzaku datsuna Naomi.

ODPUŚC SOBIE I DOPUŚC BOGA

– Lepiej Boga niż Ardelię – mruknął i tyłem wyjechał z podjazdu na drogę.

3

Późnym popołudniem źle przespana noc dała o sobie znać i Sam poczuł przemożną senność. Włączył telewizor, znalazł mecz baseballowy Cincinnati-Boston, który powoli toczył się do ósmej rundy, położył się na sofie, żeby pooglądać, i niemal natychmiast się zdrzemnął. Zanim zapadł w głęboki sen, zadzwonił telefon. Sam wstał, żeby odebrać, zamroczony i zdezorientowany.

– Halo?

– Lepiej nie mówić o tej kobiecie – powiedział Brudny Dave bez żadnych wstępów. Ledwie panował nad drzeniem głosu. – Lepiej nawet o niej nie myśleć.

Jak długo będziecie nam rzucać w twarz nazwisko tej kobiety, bezbożni poganie? Myślicie, że to zabawne? Myślicie, że to sprytne?

Sama natychmiast opuściła wszelką senność.

– Dave, o co chodzi z tą kobietą? Ludzie albo reagują, jakby była diabłem wcielonym, albo nic o niej nie wiedzą. Kim ona jest? Co takiego zrobiła, do cholery, żeby tak cię nastraszyć?

Zapadła długa cisza. Sam czekał. Czuł serce walące w piersi i w gardle. Pomyślałby, że połączenie zostało przerwane, gdyby nie nierówny oddech Dave'a w słuchawce.

– Panie Peebles – powiedział wreszcie Dave – pan zawsze mi pomagał przez te lata. Pan i paru innych pomogliście mi przeżyć, kiedy sam nie wiedziałem, czy tego chcę. Ale nie mogę rozmawiać o tej suce. Po prostu nie mogę. I pan też nie powinien z nikim o niej rozmawiać, jeśli pan wie, co jest dla pana dobre.

– To brzmi jak groźba.

– Nie! – zawołał Dave, nie tyle zaskoczony, ile wręcz zaszokowany. – Nie... ja tylko pana ostrzegam, panie Peebles, tak samo, jakby pan się kręcił koło starej studni zarośniętej chwastami i nie widział pan dziury. Niech pan o niej nie mówi i nie myśli. Nie trzeba budzić zmarłych.

Nie trzeba budzić zmarłych.

W pewnym sensie to go nie zdziwiło; wszystko, co się stało (może oprócz wiadomości nagranej na automatycznej sekretarce) prowadziło do tego samego wniosku: Ardelii Lortz nie ma już wśród żywych. On, Sam Peebles, sprzedawca nieruchomości i agent ubezpieczeniowy z małego miasteczka, rozmawiał z duchem i nawet o tym nie wiedział. Rozmawiał? Gorzej, cholera! Załatwiał z nią interes! Dał jej dwa dolary, a ona wystawiła mu kartę biblioteczną.

Więc właściwie nie był zdziwiony... a jednak poczuł lodowaty chłód pełznący po białych autostradach jego szkieletu. Spuścił wzrok i zobaczył blade stożki gęsiej skórki na przedramionach.

Trzeba było to zostawić, biadał jego rozsądek. A nie mówiłem?

– Kiedy umarła? – zapytał Sam. Własny głos brzmiał mu w uszach głucho i apatycznie.

– Nie chcę o tym mówić, panie Peebles! – krzyknął gorączkowo Dave. Głos mu zadrżał, przeskoczył do wyższego rejestru, niemal do falsetu, i załamał się. – Proszę!

Daj mu spokój, skarcił się gniewnie Sam. Mało ma kłopotów, żeby jeszcze się martwić tym gównem?

Tak. I mógł dać spokój Dave’owi – w miasteczku na pewno są inni, którzy opowiedzą mu o Ardelii Lortz... to znaczy jeśli wymyśli, jak się do nich zwrócić, żeby nie zadzwonili po facetów w białych fartuchach. Ale było coś jeszcze, co mógł wyjaśnić tylko Brudny Dave Duncan.

– Kiedyś zrobiłeś kilka plakatów dla biblioteki, prawda? Chyba rozpoznałem twój styl z tego plakatu, który malowałeś wczoraj na werandzie. Właściwie jestem pewien. Jeden plakat przedstawiał małego chłopca w czarnym samochodzie. Na drugim był mężczyzna w trenczu... Biblioteczny Policjant. Czy ty...

Zanim zdołał dokończyć, Dave wydał przeraźliwy wrzask wstydu, żalu i strachu.

– Dave? Co...

– Niech pan to zostawi! – załkał Dave. – Nie mogłem nic poradzić, więc proszę, niech mi pan da spokój...

Nagle jego szloch ucichł i rozległ się grzechot, kiedy ktoś odebrał mu słuchawkę.

– Przestań – warknęła Naomi, również bliska łez, ale jednocześnie wściekła. – Nie możesz z tym skończyć, okropny człowieku?

– Naomi...

– Mam na imię Sarah, kiedy tu jestem – powiedziała powoli. – Ale, Sarah czy Naomi, nienawidzę cię jednakowo, Samie Peebles. Nigdy więcej moja noga nie stanie w twoim biurze. – Coraz bardziej podnosiła głos. – Dlaczego nie zostawisz go w spokoju? Dlaczego musiałeś grzebać w tym starym gównie? Dlaczego?

Wytracony z równowagi, ledwie panując nad sobą, Sam odparł:

– Dlaczego mnie wysłałaś do biblioteki? Jeśli nie chciałaś, żebym ją spotkał, Naomi, dlaczego w ogóle mnie wysłałaś do tej przeklętej biblioteki?

Na drugim końcu linii rozległ się zdławiony okrzyk.

– Naomi? Czy możemy...

Trzasnęło, kiedy odwiesiła słuchawkę.

Połączenie przerwane.

4

Sam siedział w gabinecie prawie do wpół do dziesiątej, ssal tabletki na zgage i wypisywał jedno nazwisko za drugim na tym samym bloku do notatek, na którym szkicował pierwszą wersję swojego przemówienia. Wpatrywał się przez chwilę w każde nazwisko, po czym je skreślał. Sześć lat w jednym miejscu to długo... przynajmniej tak mu się wydawało do dzisiaj. Dziś wieczorem ten czas wydawał się znacznie krótszy, powiedzmy jak weekend.

Craig Jones, napisał.

Popatrzył na to nazwisko i pomyślał: Craig może coś wiedzieć o Ardelii... ale będzie wypytywał, dlaczego się nią interesuję.

Czy znał Craiga dość dobrze, żeby powiedzieć mu prawdę? Stanowczo nie. Craig był jednym z młodszych prawników w Junction City, prawdziwym karierowiczem. Kilka razy byli na biznesowym lunchu... i oczywiście bywali w Klubie Rotariańskim... i raz Craig zaprosił go do domu na kolację. Kiedy przypadkiem spotkali się na ulicy, rozmawiali przyjaźnie, niekiedy o interesach, częściej o pogodzie. Jednak od tego daleko jeszcze było do przyjaźni, a jeśli Sam miał się komuś zwierzyć z tej zwariowanej historii, to tylko przyjacielowi, a nie przypadkowemu znajomemu, który po dwóch koktajlach na ginie nazywa go starym kumplem.

Skreślił nazwisko Craiga z listy.

Po przyjeździe do Junction City zaprzyjaźnił się dość blisko z dwiema osobami: asystentem w gabinecie doktora Meldena i miejskim gliniarzem. Russ Frame, jego medyczny przyjaciel, na początku 1989 roku przerzucił się na lepiej płatną rodzinną praktykę w Grand Rapids. A Tom Wycliffe od pierwszego stycznia nadzorował nowy Zarząd Ruchu Drogowego w policji stanowej. Sam stracił kontakt z nimi oboma – niełatwo nawiązywał przyjaźnie i nie bardzo potrafił je podtrzymywać.

Więc co mu pozostawało?

Nie wiedział. Wiedział jednak, że nazwisko Ardellii Lortz działa na niektórych mieszkańców Junction City jak płachta na byka. Wiedział – albo tak sądził – że ją widział, chociaż już nie żyła. Nawet nie mógł sobie wmawiać, że widział jej krewną albo jakąś wariatkę podającą się za Ardelię Lortz. Ponieważ...

Myślę, że widziałem ducha. Myślę, że widziałem ducha wewnątrz innego ducha. Myślę, że biblioteka, do której wszedłem za pierwszym razem, była Biblioteką Publiczną w Junction City z czasów, kiedy Ardelia Lortz żyła i kierowała tą placówką. Myślę, że dlatego wydawała się taka niesamowita i upiorna. To nie była podróż w czasie, przynajmniej taka, jaką sobie mogę wyobrazić. Raczej jakbym na krótko zstąpił do otchłani. I to było prawdziwe. Na pewno było prawdziwe.

Zabębnił palcami w blat biurka.

Skąd ona do mnie dzwoniła? Czy w otchłani mają telefony?

Długo wpatrywał się w listę przekreślonych nazwisk. Potem powoli oderwał kartkę z bloku do notatek, zgniótł ją i cisnął do kosza.

Trzeba było to zostawić, lamentowała dalej częśćka jego umysłu.

Ale nie zostawił. Więc co teraz?

Zadzwoń do jednego z gości, którym ufasz. Zadzwoń do Russa Frame'a albo Toma Wycliffe'a. Po prostu podnieś słuchawkę i zadzwoń.

Ale nie chciał dzwonić. Przynajmniej nie tego wieczoru. Zdawał sobie sprawę, że to irracjonalne, niemal przesądne opory

– ostatnio przez telefon otrzymał i przekazał mnóstwo nieprzyjemnych wiadomości – ale był zbyt zmęczony, żeby teraz z tym walczyć. Jeśli się porządnie wyśpi (miał spore szanse pod warunkiem, że zostawi zapaloną lampkę nocną), może jutro rano, ze świeżą głową, wymyśli coś lepszego, coś bardziej konkretnego. Co więcej, spróbuje jakoś załagodzić nieporozumienia z Naomi Higgins i Dave’em Duncanem... ale najpierw chciał się dowiedzieć, skąd się wzięły te nieporozumienia.

Jeśli zdoła.

ROZDZIAŁ 9

Biblioteczny Policjant (I)

Rzeczywiście się wyspał. Nic mu się nie śniło, a następnego ranka pomysł przyszedł mu do głowy łatwo i naturalnie pod prysznicem, jak to się czasami zdarza, kiedy ciało jest wypoczęte, a niedawno przebudzony umysł nie zdążył się zapchać kupą śmieci. Biblioteka Publiczna nie była jedynym źródłem informacji, a jeśli chodziło o miejscową historię – najnowszą miejscową historię – nie była nawet najlepszym źródłem.

– „Gazette”! – wykrzyknął Sam i wsadził głowę pod strumień wody, żeby spłukać mydło.

Dwadzieścia minut później, całkowicie ubrany oprócz marynarki i krawata, popijał kawę na dole w gabinecie. Przed nim znowu leżał blok do notatek, zawierający początek nowej listy.

1. Ardelia Lortz – kim jest? Albo kim była?
2. Ardelia Lortz – co zrobiła?
3. Biblioteka Publiczna w Junction City – odnowiona? Kiedy? Zdjęcia?

Wtedy zabrzączał dzwonek przy drzwiach. Sam spojrzął na zegar i wstał, żeby otworzyć. Wpół do dziewiątej, czas wziąć się do pracy. Mógł wyskoczyć do redakcji „Gazette” o dziesiątej, kiedy zwykle robił sobie przerwę na kawę, i przejrzeć stare wydania. Które? Wciąż się nad tym głowił – niektóre z pewnością okażą się bardziej pomocne niż inne – szukając w kieszeni drobnych dla gazeciarza. Dzwonek odezwał się po raz drugi.

– Już lecę, Keith! – zawołał Sam, podszedł do kuchennych drzwi i chwycił gałkę. – Tylko nie wybij dziury w tych cholernych d...

W tym momencie podniósł wzrok i zobaczył sylwetkę znacznie większą niż Keith Jordan, górującą za przezroczystą firanką na kuchennych drzwiach. Pogrążony w myślach, skupiał się bardziej na nadchodzącym dniu niż na poniedziałkowym rytuale płacenia gazeciarzowi, ale w tamtym ułamku chwili szpikulec czystej zgrozy przebił się przez jego rozproszone myśli. Nie musiał widzieć twarzy; nawet przez firankę rozpoznawał kształt, budowę ciała... i oczywiście trencz.

Smak czerwonej lukrecji, mocny, słodki i mdlący, wypełnił mu usta.

Puścił gałkę, ale o sekundę za późno. Zamek ustąpił ze szczęknięciem i jednocześnie przybysz stojący na tylnym ganku mocno pchnął drzwi. Sam został odrzucony do tyłu, w głąb kuchni. Zamłócił rękami, żeby nie stracić równowagi, i udało mu się strącić na podłogę wszystkie trzy płaszcze wiszące na drążku przy drzwiach.

Biblioteczny Policjant wkroczył do środka, otulony własną chmurą zimnego powietrza. Wszedł powoli, jakby miał do dyspozycji cały czas świata, i zamknął za sobą drzwi. W rękę trzymał egzemplarz „Gazette”, schludnie zwinięty i złożony. Podniósł go jak pałkę.

– Przyniosłem ci twoją gazetę – powiedział. Jego głos brzmiał dziwnie głucho, jakby dochodził do Sama zza grubej szyby. – Chciałem też zapłacić chłopcu, ale zaczął się fpieszyć. Ciekawe dlaczego.

Ruszył w głąb kuchni – w stronę Sama, który kulił się przy blacie i wpatrywał się w przybysza ogromnymi, zaszokowanymi oczami przerażonego dziecka, jakiegoś nieszczęsnego Głupiego Jasia z czwartej klasy.

To mi się zwiduje albo mam koszmar... koszmar tak okropny, że w porównaniu z nim ten z przedwczorajszej nocy to sama przyjemność.

Ale to nie był senny koszmar. To był koszmar, ale nie sen. Sam przez chwilę miał nadzieję, że jednak zwariował. Obłąd to nie zabawa, ale nic nie mogło być równie okropne jak ten stwór

w ludzkiej postaci, który wszedł do jego domu, stwór, który wniósł ze sobą własny powiew zimy.

Dom Sama był stary, z wysokimi stropami, ale Biblioteczny Policjant musiał pochylić głowę w drzwiach i nawet w kuchni wierzch jego szarego filcowego kapelusza niemal ocierał się o sufit. To znaczyło, że miał sporo ponad dwa metry wzrostu.

Ubrany był w trencz ołowianej barwy, w odcieniu mgły o zmierzchu. Skórę miał białą jak papier, twarz martwą, jakby nie znał ani dobroci, ani miłości, ani litości. Zaciśnięte usta mówiły o absolutnej, niewzruszonej władzy i oszołomiony Sam pomyślał, że tak wyglądały zamknięte drzwi biblioteki: wąska szpara ust w twarzy granitowego robota. Oczy Bibliotecznego Policjanta przypominały srebrzyste krążki przedziurawione małymi ziarenkami śrutu. Czerwonaworóżowe ciało wokół nich wyglądało jak nabiegłe krwią. Powieki nie miały rzęs. A co najgorsze, Sam znał tę twarz. Nie po raz pierwszy kulił się w przerażeniu pod tym mrocznym wzrokiem. Z głębin jego pamięci napłynął lekko sepleniący głos: „Chodź ze mną, synu... jeftem policjaaantem”.

Blizna przecinała mapę tej twarzy dokładnie tak, jak Sam sobie wyobrażał – przez lewy policzek, poniżej lewego oka, przez nasadę nosa. Oprócz blizny przybysz wyglądał jak policjant z plakatu... a może nie? Sam już nie miał pewności.

„Chodź ze mną, synu... jeftem policjaaantem”.

Sam Peebles, gwiazdor Klubu Rotariańskiego w Junction City, zmoczył się w spodnie. Czuł ciepły strumień tryskający z pęcherza, ale to wydawało się odległe i nieważne. Ważny był potwór w jego kuchni, a najstraszniejsze w tym potworze było to, że Sam prawie znał jego twarz. Poczuł, jak w głębi jego umysłu coś próbuje wyłamać drzwi zamknięte na trzy spusty. Nawet nie przyszło mu do głowy, żeby uciekać. Pomysł ucieczki wykraczał poza jego wyobraźnię. Znowu stał się dzieckiem przyłapanym na gorącym uczynku

(ta książka to nie *Poradnik mówcy*)

które zrobiło coś okropnie złego. Zamiast uciekać

(ta książka to nie *Ulubione wiersze Ameryki*)

powoli zgiął się nad swoim wilgotnym krocem, osunął się pomiędzy dwa stołki, które stały przy blacie, i ślepo zasłonił głowę rękami.

– Nie – wykrztusił ochryłym, bezsilnym głosem. – Nie, proszę... nie, proszę, nie rób mi tego, proszę, będę grzeczny, proszę, nie rób mi krzywdy.

Tak nisko upadł. Ale to nie miało znaczenia; olbrzym w trenczu barwy mgły

(ta książka to *Czarna strzała* Roberta Louisa Stevensona)

stał teraz tuż nad nim.

Sam spuścił głowę. Ważyła chyba z tysiąc kilogramów. Wpatrywał się w podłogę i modlił się nieskładnie, żeby kiedy podniesie głowę (kiedy znajdzie w sobie siłę, żeby podnieść głowę), przybysz zniknął.

– Popatrz na mnie – rozkazał odległy, grzmiący głos. Głos złego boga.

– Nie! – krzyknął Sam piskliwie, bez tchu, i wybuchnął bezradnym płaczem. Czuł nie tylko przerażenie, chociaż samo przerażenie było wystarczająco prawdziwe, wystarczająco potężne. Poza tym z głębin jego duszy płynął zimny prąd dziecięcego strachu i dziecięcego wstydu. Te uczucia oblepiały jak trujący syrop coś, czego nie odważył się pamiętać, coś związanego z książką, której nigdy nie przeczytał: *Czarną strzałą* Roberta Louisa Stevensona.

Łup!

Coś uderzyło Sama w głowę. Wrzasnął.

– Popatrz na mnie!

– Nie, proszę, nie zmuszaj mnie – błagał Sam.

Łup!

Podniósł wzrok, osłaniając zapłakane oczy słabnącym ramieniem, i zdążył zobaczyć, jak ręka Bibliotecznego Policjanta ponownie opada.

Łup!

Bił Sama jego własnym zwiniętym egzemplarzem „Gazette”, jakby karał niesfornego szczeniaka, który zrobił kałużę na podłodze.

– Tak lepiej – powiedział Biblioteczny Policjant. Rozciągnął wargi w uśmiechu, odsłaniając czubki ostrych zębów, niemal kłów. Sięgnął do kieszeni trencza i wyjął skórzane etui. Rozłożył je machnięciem i zademonstrował dziwną wieloramienną gwiazdę. Zalśniła w czystym świetle poranka.

Sam nie potrafił oderwać wzroku od tej bezlitosnej twarzy, tych srebrnych oczu ze źrenicami jak ziarenka śrutu. Wiedział, że ślina cieknie mu z ust, ale na to również nie mógł nic poradzić.

– Masz dwie kfiązki, które należą do naf – oznajmił Biblioteczny Policjant. Jego głos wciąż dochodził jakby z oddali albo zza grubej szyby. – Panna Lortz bardzo się gniewa, panie Peebles.

– Zgubiłem je – wyznał Sam, płacząc coraz głośniej. Wykluczone, żeby mógł okłamać tego człowieka w sprawie

(Czarnej strzały)

książek, w jakiegokolwiek sprawie. On był uosobieniem władzy, siły, potęgi. On był sędzią, ławą przysięgłych i katem.

Gdzie jest woźny? – pomyślał niezbornie Sam. Gdzie jest woźny, który sprawdza wskaźniki, a potem wraca do normalnego świata? Do normalnego świata, gdzie takie rzeczy nie muszą się zdarzać?

– Ja... ja... ja...

– Nie chcę służyć twoich żalosnych wymówek – oświadczył Biblioteczny Policjant. Zamknął skórzane etui i schował do prawej kieszeni. Jednocześnie sięgnął do lewej kieszeni i wyciągnął nóż z długą, ostrą klingą. Sam, który trzykrotnie przepracował lato jako pomocnik magazyniera, żeby zarobić na studia, rozpoznał ten typ noża. To był nóż do kartonu. Taki nóż niewątpliwie znajdował się w każdej bibliotece w Ameryce. – Masz czas do północy. Potem...

Pochylił się i wyciągnął białą, trupa rękę z nożem. Lodowate powietrze owionęło Sama, twarz mu zdrętwiała. Próbował

krzyknąć, ale wydobył z siebie tylko szklisty szept.

Czubek ostrza nakłuł mu gardło. Zimny jak sopel lodu. Wypłynęła pojedyncza szkarłatna kropla i zamarzła w maleńki krwawy koralik.

– ...przyjdę jeszcze raf – ciągnął Biblioteczny Policjant swoim dziwnym, sepleniącym głosem. – Lepiej znajdź zgubę, panie Peebles.

Nóż zniknął w kieszeni. Biblioteczny Policjant znowu wyprostował się na całą wysokość.

– Jeszcze jedno – powiedział. – Zadajesz pytania, panie Peebles. Nie pytaj więcej. Rozumiesz?

Sam usiłował odpowiedzieć, ale tylko jęknął głucho.

Biblioteczny Policjant zaczął się nachylać, pchając przed sobą warstwę mroźnego powietrza tak, jak tępy dziób barki pcha krę po rzece.

– Nie wfadzaj nofa w sprawy, które cię nie dotyczą. Zrozumiałeś mnie?

– Tak! – wrzasnął Sam. – Tak! Tak! Tak!!!

– To dobrze. Bo będę cię obferwował. I nie jeftem sam.

Biblioteczny Policjant odwrócił się z szelestem trencza i ruszył przez kuchnię do wyjścia. Ani razu nie obejrzał się na Sama. Przeciął jasną plamę porannego słońca i Sam zobaczył straszliwe, niepojęte zjawisko: Biblioteczny Policjant nie rzucał cienia.

Dotarł do tylnych drzwi. Ujął klamkę. Nie odwracając się, powiedział niskim, groźnym głosem:

– Jeśli nie chcesz mnie znowu zobaczyć, panie Peebles, znajdź te kfiązki.

Otworzył drzwi i wyszedł.

Jedna gorączkowa myśl wypełniła umysł Sama z chwilą, kiedy drzwi się zamknęły i usłyszał kroki Bibliotecznego Policjanta na ganku: trzeba zamknąć drzwi na klucz.

Zaczął wstawać, a wtedy załala go fala szarości i padł na twarz nieprzytomny.

ROZDZIAŁ 10

Chro-no-lo-gicz-nie mówiąc

1

– Czy mogę... w czymś pomóc? – zapytała recepcjonistka. Kiedy uważniej przyjrzała się mężczyźnie, który podszedł do kontuaru, nastąpiła króciutka pauza.

– Tak – powiedział Sam. – Chciałbym przejrzeć stare numery „Gazette”, jeśli to możliwe.

– Oczywiście – zapewniła. – Ale... przepraszam, jeśli to nie moja sprawa... Czy pan się dobrze czuje? Strasznie pan blady.

– Chyba coś mnie łapie, pewnie grypa.

– Wiosenne przeziębienia są najgorsze, prawda? – zauważyła kobieta, wstając. – Proszę przejść przez bramkę na końcu kontuaru, panie... ?

– Peebles. Sam Peebles.

Przystanęła i przekrzywiła głowę, pulchna kobieta około sześćdziesiątki. Przyłożyła polakierowany na czerwono paznokieć do kącika ust.

– Pan sprzedaje ubezpieczenia, prawda?

– Tak, proszę pani.

– Zdawało mi się, że pana poznałam. W zeszłym tygodniu w gazecie było pana zdjęcie. Dostał pan jakąś nagrodę?

– Nie, proszę pani – zaprzeczył Sam. – Wygłosiłem przemówienie. W Klubie Rotariańskim.

I dałbym wszystko, żeby cofnąć czas, pomyślał. Powiedziałbym Craigowi Jonesowi, żeby poszedł się walić.

– Ach, to cudownie – powiedziała... ale jakby z powątpiewaniem. – Na zdjęciu wyglądał pan inaczej.

Sam przeszedł przez bramkę.

– Jestem Doreen McGill – oznajmiła kobieta i wyciągnęła pulchną dłoń.

Sam uścisnął jej rękę i powiedział, że bardzo mu miło ją poznać. To wymagało wysiłku. Pomyślał, że kontakty z ludźmi – zwłaszcza kontakty cielesne – przez dłuższy czas będą go kosztowały trochę wysiłku. Cała jego dawna swoboda zniknęła.

Poprowadziła go w stronę schodów wyłożonych chodnikiem i zapaliła światło. Schody okazały się wąskie, żarówka była słaba i Sam natychmiast poczuł, że powracają do niego koszmary. Gromadziły się śpiesznie niczym fani oblegający kogoś, kto rozdaje wejściówki na fantastyczny koncert, na który wyprzedano bilety. Tam na dole, w ciemności, mógł na niego czekać Biblioteczny Policjant. Biblioteczny Policjant z trupioblada skórą, srebrnymi oczami w czerwonych obwódkach i lekkim, lecz męcząco znajomym seplenieniem.

Przestań, nakazał sobie Sam. A jeśli nie możesz przestać, to panuj nad tym, na litość boską. Musisz. Bo to twoja jedyna szansa. Co zrobisz, jeśli nie możesz zejść po schodach do zwykłego archiwum w suterenie? Zamkniesz się w domu i będziesz czekał na północ?

– Tam jest kostnica – oznajmiła Doreen McGill, pokazując palcem. Widocznie ta pani lubiła pokazywać palcem przy każdej sposobności. – Musi pan tylko...

– Kostnica? – powtórzył Sam, odwracając się do niej. Serce zaczęło mu boleśnie łomotać o żebra. – Kostnica?!

Doreen McGill roześmiała się.

– Wszyscy tak mówią. Okropność, nie? Ale tak to nazywają. To chyba taka niemądra redakcyjna tradycja. Niech pan się nie martwi, panie Peebles... tam na dole nie ma żadnych zwłok. Tylko całe mnóstwo mikrofilmów.

Nie byłbym taki pewny, pomyślał Sam, idąc za nią po wyłożonych chodnikiem schodach. Cieszył się, że to ona idzie przodem.

U stóp schodów przekreśliła szereg przełączników. Zapaliło się kilka świetlówek osadzonych w oprawkach, które wyglądały jak

ogromne, odwrócone do góry nogami tacki na lód. Oświetliły duże, niskie pomieszczenie, wyłożone taką samą ciemnoniebieską wykładziną jak schody. Sam zobaczył szeregi regałów zastawionych małymi pudełkami. Po lewej stronie pod ścianą stały cztery czytniki mikrofilmów, przypominające futurystyczne suszarki do włosów, w takim samym ciemnoniebieskim kolorze jak wykładzina.

– Nie skończyłam mówić, że musi pan się wpisać do książki – powiedziała Doreen. Znowu pokazała palcem, tym razem na wielką księgę przykutą łańcuchem do pulpitu przy drzwiach. – Musi pan również wpisać datę, godzinę przyścia, czyli... – spojrzała na zegarek – ...dwadzieścia po dziesiątej, i godzinę wyjścia.

Sam schylił się i wpisał się w księdze. Nad jego nazwiskiem znajdował się podpis niejakiego Arthura Meechama. Pan Meecham był tu dwudziestego siódmego grudnia 1989 roku. Ponad trzy miesiące wcześniej. Widocznie mało kto korzystał z tego dobrze oświetlonego, dobrze wyposażonego, wygodnego pokoju.

– Miło jest tu na dole, prawda? – zagadnęła Doreen, zadowolona z siebie. – To dlatego, że rząd federalny pomaga w subsydiowaniu redakcyjnych kostnic... albo bibliotek, jeśli pan woli to słowo. Ja wolę.

W jednym przejściu zatańczył jakiś cień i serce Sama znowu załomotało. Ale to był tylko cień Doreen McGill; pochyliła się, żeby sprawdzić, czy wpisał prawidłowo datę i godzinę, a...

...ON nie rzucał cienia. Biblioteczny Policjant. Poza tym...

Próbował pominąć resztę, ale bezskutecznie.

Poza tym nie mogę tak żyć. Nie mogę żyć w takim strachu. Jeśli to dłużej potrwa, odkręcę gaz. Włożę głowę do piecyka i odkręcę gaz. Nie tylko dlatego, że się go boję... tego człowieka czy stwora. Chodzi o to, co czuje umysł, jak wrzeszczy, kiedy wszystko, w co wierzył, zaczyna się sypać.

Doreen pokazała ścianę po prawej, gdzie na jedynej półce stały trzy ogromne tomiszczą formatu folio.

– To styczeń, luty i marzec tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego – powiedziała. – Co roku w lipcu gazeta wysyła wydania z pierwszych sześciu miesięcy do Grand Island w Nebrasce, żeby je przenieść na mikrofilmy. To samo na koniec grudnia.

Wyciągnęła pulchną rękę i pokazała czerwonym paznokciem na regały, zaczynając od prawej strony i kończąc na czytnikach mikrofilmów po lewej, najwyraźniej zachwycona własnym paznokciem.

– Mikrofilmy idą w tym kierunku, chronologicznie – ciągnęła. Wymówiła to słowo starannie, nadając mu nieco egzotyczne brzmienie: „chro-no-lo-gicz-nie”. – Czasy współczesne po prawej stronie; starożytność po lewej.

Uśmiechnęła się, żeby pokazać, że to żart, i może dać do zrozumienia, jakie to wszystko, jej zdaniem, jest cudowne. Chrono-lo-gicz-nie biorąc, mówił ten uśmiech, to wszystko mowa-trawa.

– Dziękuję – powiedział Sam.

– Nie ma za co. Po to tutaj jesteśmy. Przynajmniej częściowo po to. – Przyłożyła paznokieć do kącika ust i znowu obdarzyła Sama uśmiechem „a kuku!”. – Umie pan obsługiwać czytnik mikrofilmów, panie Peebles?

– Tak, dzięki.

– W porządku. Jeśli będę mogła jeszcze w czymś pomóc, jestem na górze. Proszę śmiało pytać.

– Czy pani... – zaczął, a potem ugryzł się w język, zanim wyrwała mu się reszta: ...zostawi mnie tu samego?

Uniosła brwi.

– Nie, nic – bąknął.

Odprowadzał ją wzrokiem, kiedy wracała na górę. Walczył z silnym pragnieniem, żeby popędzić za nią po schodach. Ponieważ, pomimo niebieskiej wykładziny dywanowej, to była następna biblioteka w Junction City.

I nazywano ją kostnicą.

Sam powoli podszedł do regałów zastawionych kwadratowymi pudełkami mikrofilmów. Nie wiedział, od czego zacząć. Cieszył się tylko, że lampy na suficie świecą dość jasno, żeby wypędzić z kątów niepokojące cienie.

Nie ośmielił się zapytać Doreen McGill, czy nazwisko Ardelii Lortz coś jej mówi albo nawet czy wie, kiedy mniej więcej remontowano miejską bibliotekę. *Zadajesz pytania*, powiedział Biblioteczny Policjant. *Nie wfadzaj nofa w sprawy, które cię nie dotyczą. Zrozumiałeś mnie?*

Tak, Sam zrozumiał. I wiedział, że naraża się na gniew Bibliotecznego Policjanta, skoro jednak wsadza nos... Ale nie zadawał pytań, przynajmniej nie dosłownie, a te sprawy go dotyczyły. Dotyczyły go, i to jak!

Będę cię obferwował. I nie jeftem sam.

Sam obejrzał się nerwowo przez ramię. Nic nie zobaczył. I wciąż nie mógł się zdobyć na decyzję. Dotarł tak daleko, ale nie wiedział, czy zdoła posunąć się dalej. Czuł się bardziej niż zastraszonego, bardziej niż przerażonego. Czuł się zdruzgotany.

– Musisz – wymamrotał ochryple i otarł usta drżącą dłonią. – Po prostu musisz.

Wysiłkiem woli przesunął do przodu lewą stopę. Stał tak przez chwilę na rozstawionych nogach, jakby zatrzymany podczas przekraczania małego strumyka. Potem zmusił prawą stopę, żeby dołączyła do lewej. W ten sposób, opornie, z wahaniem, zbliżył się do regału obok oprawionych tomów. Na końcu półki zobaczył kartkę z datami:

1987–1989

To była z pewnością zbyt bliska data – remont biblioteki musiał się odbyć przed wiosną 1984 roku, kiedy Sam przeprowadził się do Junction City. Inaczej zauważyłby robotników, słyszałby, jak ludzie o tym mówią, przeczytałby

o tym w „Gazette”. Zakładał, że remont miał miejsce przed piętnastu czy dwudziestu laty (podwieszany sufit nie wyglądał na starszy), ale nie potrafił bardziej zawęzić obszaru poszukiwań. Gdyby tylko mógł jasno myśleć! Ale nie mógł. Poranny incydent zakłócił wszelkie próby normalnego, racjonalnego myślenia, podobnie jak zwiększona aktywność plam na Słońcu zakłóca transmisje radiowe i telewizyjne. Rzeczywistość i nierzeczywistość zetknęły się jak ogromne głazy, a Sam Peebles, maleńki, wrzeszczący, wierzgający odprysk ludzkości, pechowo utknął pomiędzy nimi.

Przesunął się dwie alejki w lewo, głównie z obawy, że jeśli przestanie się ruszać, strach całkiem go sparaliżuje. Ruszył alejką oznaczoną

1981–1983

Na chybił trafił wziął jedno pudełko i zaniósł do czytników. Włączył czytnik i próbował się skoncentrować na rolce mikrofilmu (rolka również była niebieska i zastanawiał się, czy istniał jakiś powód, dla którego wszystko w tym czystym, dobrze oświetlonym pomieszczeniu było dopasowane kolorystycznie) i niczym innym. Najpierw trzeba nasadzić rolkę na trzpień, dobra; potem przeciągnąć taśmę, gotowe; potem zaczepić początek taśmy w wycięciu trzpienia drugiej szpuli, okay. Urządzenie było tak proste, że nawet ośmiolatek poradziłby sobie z tymi czynnościami, ale Samowi zabrały prawie pięć minut; musiał pokonać drżenie rąk i zamęt w myślach. Kiedy wreszcie założył mikrofilm i przewinął do pierwszej klatki, odkrył, że wsadził rolkę na odwrót. Drukowany tekst pokazał się do góry nogami.

Sam cierpliwie nawinął z powrotem mikrofilm, odwrócił rolkę i założył jeszcze raz. Stwierdził, że wcale mu nie przeszkadzają te drobne komplikacje; powtórzenie całej prostej operacji krok po kroku podziało na niego uspokajająco. Tym razem pierwsza strona wydania „Gazette” z 1 kwietnia 1981 roku

pojawiła się przed nim we właściwym położeniu. Nagłówek ogłaszał niespodziewaną rezygnację jakiegoś miejskiego urzędnika, o którym Sam nigdy nie słyszał, ale jego wzrok przyciągnęła ramka na dole strony. W ramce znajdowała się informacja:

RICHARD PRICE I CAŁY PERSONEL
BIBLIOTEKI PUBLICZNEJ W JUNCTION CITY
PRZYPOMINAJĄ:
W DNIACH 6–13 KWIETNIA
MAMY NARODOWY TYDZIEŃ BIBLIOTECZNY
PRZYJDŹCIE NAS ODWIEDZIĆ!

Czy ja o tym wiedziałem? – zastanawiał się Sam. Czy dlatego wziąłem akurat to pudełko? Czy podświadomie pamiętałem, że drugi tydzień kwietnia to Narodowy Tydzień Biblioteczny?

„Chodź ze mną”, odpowiedział mu złowieszczy szept. „Chodź ze mną, synu... jeftem policjaaantem”.

Dostał gęziej skórki, przeszedł go dreszcz. Odepchnął od siebie oba pytania i ten upiorny głos. W końcu to nieważne, dlaczego wybrał numery „Gazette” z kwietnia 1981 roku; ważne, że wybrał i miał fart.

Może miał fart.

Szybko przewinął taśmę do szóstego kwietnia i zobaczył dokładnie to, na co liczył. Nad winietą „Gazette” czerwony napis głosił:

SPECJALNY DODATEK BIBLIOTECZNY!

Sam przewinął do dodatku. Na pierwszej stronie znajdowały się dwie fotografie. Jedna przedstawiała fasadę biblioteki. Na drugiej Richard Price, kierownik biblioteki, stał przy stanowisku obsługi czytelników i uśmiechał się nerwowo do aparatu. Wyglądał dokładnie tak, jak go opisała Naomi Higgins – wysoki facet około czterdziestki, w okularach, z cienkim wąsikiem. Sama bardziej interesowało tło. Zobaczył podwieszany sufit, który tak

go zaszokował podczas drugiej wizyty w bibliotece. Więc remont przeprowadzono przed kwietniem 1981 roku.

Artykuły ociekały samozadowoleniem dokładnie tak, jak się spodziewał – czytywał „Gazette” już od sześciu lat i doskonale znał tę redakcyjną manierę „ale z nas fajne i bystre chłopaki”. Znalazł publicystyczne (i dość egzaltowane) kawałki o Narodowym Tygodniu Bibliotecznym, Letnim Programie Czytania, bibliotece objazdowej okręgu Junction i nowej, właśnie rozpoczętej zbiórce funduszy. Szybko przeleciał je wzrokiem. Na ostatniej stronie dodatku natrafił na znacznie bardziej interesujący tekst pióra samego Price’a, zatytułowany:

BIBLIOTEKA PUBLICZNA W JUNCTION CITY

Sto lat historii

Podniecenie Sama nie trwało długo. W tekście nie wymieniono nazwiska Ardelii. Sięgnął do przełącznika, żeby przewinąć mikrofilm, a potem zamarł. Dostrzegł wzmiankę o projekcie renowacji – przeprowadzonej w 1970 roku – i coś jeszcze. Coś trochę nie na temat. Ponownie przeczytał ostatnią część gawędziarskiej notki historycznej pana Price’a, tym razem uważniej.

Z końcem Wielkiego Kryzysu rada miejska przyznała 5000 \$ na naprawę poważnych szkód, jakich doznała biblioteka podczas powodzi w 1932 roku. Stanowisko kierowniczkę objęła pani Felicia Culpepper, która bezinteresownie poświęciła nam swój czas. Nigdy nie straciła z oczu swojego głównego celu: całkowicie odnowionej biblioteki, służącej miasteczku, które szybko stawało się miastem.

Pani Culpepper ustąpiła ze stanowiska w 1951 roku. Zastąpił ją Christopher Lavin, pierwszy bibliotekarz w Junction City z dyplomem z bibliotekoznawstwa. Pan Lavin założył Fundację Pamięci Culpepper. W pierwszym roku działalności fundacja zebrała ponad 15 000 \$ na zakup nowych książek i Biblioteka Publiczna w Junction City wkroczyła w nowoczesność!

W 1964 roku zostałem kierownikiem biblioteki i wówczas postawiłem sobie za cel numer jeden przeprowadzenie generalnego remontu. Fundusze niezbędne dla osiągnięcia tego celu zostały wreszcie zebrane pod koniec 1969 roku. Choć

zarówno miasto, jak i władze federalne finansowały budowę wspianego gmachu, z którego dzisiaj korzystają „mole książkowe” z Junction City, to ten projekt nie zostałby ukończony bez pomocy wszystkich ochotników, którzy zjawili się później, żeby chwycić za młotek lub piłę podczas „Miesiąca Budowy Biblioteki” w sierpniu 1970 roku!

Inne godne uwagi przedsięwzięcia w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych to...

Sam w zamyśleniu podniósł wzrok. Uważał, że Richard Price coś pominął w swojej dokładnej, nudnej historii miejskiej biblioteki. Nie, „pominął” to niewłaściwe słowo. Po lekturze tego artykułu Sam doszedł do wniosku, że Price to męczydusza najgorszego rodzaju – zapewne miły facet, ale męczydusza – a tacy ludzie z zasady niczego nie pomijają, zwłaszcza jeśli chodzi o sprawy najwyraźniej bliskie ich sercu.

Więc... nie pominął. Ukrył.

Coś tu się nie zgadzało, chro-no-lo-gicz-nie biorąc. W 1951 roku niejaki Christopher Lavin zastąpił świętą Felicię Culpepper na stanowisku kierownika. W 1964 roku kierownikiem został Richard Price. Czy Price nastał po Lavinie? Sam w to wątpił. Przypuszczał, że w którymś momencie w ciągu tych trzynastu nieznanym lat kierownictwo po Lavinie objęła kobieta nazwiskiem Ardelia Lortz. I dopiero po niej nastał Price. Nie znalazła się w nudnej relacji pana Price’a, ponieważ zrobiła... coś. Sam nadal nie wiedział, co takiego zrobiła, ale zaczynał się orientować w rozmiarach tej afery. Cokolwiek to było, było wystarczająco złe, żeby Price, pomimo swojego oczywistego zamiłowania do szczegółów i ciągłości akcji, zmienił ją w nieosobę.

Morderstwo, pomyślał Sam. Na pewno popełniła morderstwo. To jedyna rzecz wystarczająco zła, żeby...

W tej sekundzie czyjaś ręka opadła na jego ramię.

Gdyby wrzasnął, z pewnością przeraziłby właścicielkę ręki prawie tak mocno, jak ona nastraszyła jego, ale nie zdołał wrzasnąć. Całe powietrze uszło z niego ze świstem i świat znowu poszarzał. Miał wrażenie, że jego klatka piersiowa to akordeon powoli zgniatany nogą słonia. Mięśnie mu zwiotczały jak rozgotowany makaron. Szczęście tylko, że nie zmoczył się ponownie w spodnie.

– Sam? – usłyszał głos, dochodzący jakby z dużej odległości... może z Kansas. – Czy to ty?

Obrócił się, o mało nie spadając z fotela przed czytnikiem, i zobaczył Naomi. Próbował złapać oddech, żeby coś powiedzieć, ale wydobył z siebie tylko rozpaczliwe rżenie. Pokój falował mu przed oczami. Szarość napływała i odpływała.

Potem zobaczył, że Naomi chwiejnie cofa się o krok, oczy jej się rozszerzają ze strachu, ręka unosi się do ust. Wpadła na jeden z regałów i mało brakowało, żeby go przewróciła. Zakołysał się tak mocno, że kilka pudełek z mikrofilmami spadło na dywan z miękkim stuknięciem, po czym wrócił do pionu i znieruchomiał.

– Omi – wykrztusił wreszcie Sam. Zabrzmiało to jak stłumiony pisk. Pamiętał, że jako chłopiec, w St. Louis, nakrył mysz czapką baseballową. Wydawała podobne dźwięki, kiedy biegała w kółko, szukając drogi ucieczki.

– Sam, co ci się stało? – Naomi sprawiała wrażenie, że też by krzyczała, gdyby szok nie pozbawił jej tchu. Dobrana z nas para, pomyślał. Abbot i Costello spotykają potwory.

– Co ty tu robisz? – zapytał. – Przez ciebie mało się nie zesrałem ze strachu.

No proszę, pomyślał. Znowu używam brzydkich słów. I nazwałem cię Omi. Przepraszam. Poczul się trochę lepiej i nawet chciał wstać, ale się rozmyślił. Nie warto ryzykować. Nie miał pewności, czy serce mu nie wysiądzie.

– Poszłam do twojego biura – powiedziała. – Cammy Harrington podobno widziała, jak tu wchodzisz. Chyba chciałam cię przeprosić. Najpierw myślałam, że chcesz się okrutnie

zabawić kosztem Dave'a. Ale on powiedział, że nigdy byś nie zrobił czegoś takiego, i zaczęłam myśleć, że to do ciebie niepodobne. Zawsze byłeś taki miły...

– Hm... dzięki – mruknął Sam.

– ...i przez telefon wydawałeś się taki... oszołomiony. Zapytałam Dave'a, o co chodzi, ale nie chciał mi nic więcej powiedzieć. Wiem tylko tyle, ile usłyszałam... i widziałam, jak on wyglądał, kiedy z tobą rozmawiał. Jakby zobaczył ducha.

Nie, chciał zaprzeczyć Sam. To ja zobaczyłem ducha. A dziś rano zobaczyłem coś jeszcze gorszego.

– Sam, musisz coś zrozumieć, coś, co dotyczy Dave'a... i mnie. No, o nim chyba już wiesz, ale ja...

– Chyba wiem – przerwał jej Sam. – Napisałem w liście do Dave'a, że nie zastałem nikogo na Angle Street, ale to nieprawda. Najpierw nikogo nie widziałem, ale przeszedłem przez parter, szukając go. Zobaczyłem was na tylnym podwórzu. Więc... wiem. Ale dowiedziałem się niechcący, rozumiesz.

– Tak. Nie ma sprawy. Ale... Sam... dobry Boże, co się stało? Twoje włosy...

– Co z moimi włosami? – rzucił ostro.

Niezdarnie, lekko drżącymi rękami otworzyła torebkę i wyjęła puderniczkę.

– Spójrz – powiedziała.

Spojrzał, ale już wiedział, co zobaczy.

Od wpół do dziewiątej rano niemal całkowicie osiwiał.

4

– Widzę, że znalazła pani znajomego – powiedziała Doreen McGill do Naomi, kiedy wchodzili po schodach. Przytknęła palec do kącika ust i uśmiechnęła się niczym wcielenie słodyczy.

– Tak.

– Czy pamiętaliście, żeby się wypisać?

– Tak – powtórzyła Naomi. Sam nie pamiętał, ale ona go wyręczyła.

– I odłożyliście na miejsce wszystkie mikrofilmy, z których korzystaliście?

Tym razem przytaknął Sam. Nie pamiętał, czy on albo Naomi odłożyli jedyną rolkę mikrofilmu, którą załadował do czytnika, ale miał to gdzieś. Chciał się tylko stąd wydostać.

Doreen wciąż się wdzięczyła. Postukując paluszkami po górnej wardze, przechyliła głowę i powiedziała:

– Pan naprawdę wyglądał inaczej na zdjęciu w gazecie. Nie mogę tylko rozgryźć, na czym polega ta różnica.

– W końcu zmądrzał i przestał farbować włosy – odparła Naomi, podchodząc do drzwi.

Na schodach przed budynkiem Sam wybuchnął śmiechem. Zgięty wpół, ryczał na cały głos. To był histeryczny śmiech, brzmiący niemal jak wrzaski szaleńca, ale nie dbał o to. Czuł się wspaniale. Czuł się cudownie oczyszczony.

Naomi stała spokojnie obok niego, jakby nie przejmowała się ani tym atakiem wesołości, ani ciekawskimi spojrzeniami przechodniów. Nawet podniosła rękę i pomachała komuś znajomemu. Sam oparł dłonie na udach, wciąż miotany spazmami śmiechu, zachował jednak dość trzeźwości, żeby pomyśleć: Ona już widziała taką reakcję. Ciekawe gdzie? Odpowiedź nadeszła, zanim do końca sformułował pytanie. Naomi była alkoholiczką i w ramach własnej terapii pracowała z innymi alkoholikami, pomagała im. Z pewnością na Angle Street widziała dużo więcej niż zwykły napad histerycznego śmiechu.

Spoliczkuje mnie, pomyślał, wyjąc bezradnie na widok swojego wyobrazonego odbicia w łazienkowym lustrze, cierpliwie wczesującego w loki piankę Grecian. Spoliczkuje mnie, bo tak się postępuje z histerykami.

Naomi widocznie wiedziała lepiej. Stała cierpliwie obok niego w blasku słońca i czekała, aż się opanuje. W końcu śmiech przycichł do gwałtownych parsknięć i stłumionych chichotów. Bolały go mięśnie brzucha, oczy miał załzawione, policzki mokre od łez.

– Lepiej ci? – zapytała Naomi.
– Och, Naomi... – zaczął, a potem wyrwał mu się następny ośli ryk śmiechu i pogalopował w słoneczny poranek. – Nawet nie wiesz, jak bardzo lepiej.
– Oczywiście, że wiem – odparła. – Chodź do mojego samochodu.
– Dokąd... – czknął. – Dokąd jedziemy?
– Na Angel Street. – Wymówiła tę nazwę zgodnie z intencją szyldziarza. – Bardzo się martwię o Dave’a. Byłam tam z samego rana, ale go nie zastałam. Boję się, że gdzieś zapił.
– To nic nowego, prawda? – zauważył, schodząc razem z nią po schodach. Jej datsun stał zaparkowany przy krawężniku, za jego samochodem.
Zerknęła na Sama. To było przelotne spojrzenie, ale pełne znaczeń: irytacja, rezygnacja, współczucie. Pomyślał, że można streścić te wszystkie znaczenia w jednym zdaniu: „Nie wiesz, co mówisz, ale to nie twoja wina”.
– Dave jest trzeźwy prawie od roku, ale ogólnie zdrowie mu wysiada. Jak mówiłeś, pójść w tango to dla niego nic nowego, ale jeszcze raz pójdzie w tango, i po nim.
– I to będzie moja wina. – Resztki śmiechu wyparowały.
Spojrzała na niego z lekkim zdziwieniem.
– Nie – powiedziała. – To nie będzie niczyja wina... ale to nie znaczy, że chcę, żeby do tego doszło. Ani że musi do tego dojść. Chodź. Pojedziemy moim samochodem. Pogadamy po drodze.

5

– Powiedz, co ci się stało – poprosiła, kiedy jechali w stronę granicy miasta. – Powiedz mi wszystko. Nie chodzi tylko o twoje włosy, Sam. Wyglądasz dziesięć lat starzej.
– Gównno prawda – rzucił. W lusterku Naomi zobaczył nie tylko włosy; zobaczył więcej, niż chciał. – Raczej dwadzieścia. A wydaje się, że sto.
– Co się stało? Co to było?

Sam otworzył usta, żeby jej powiedzieć, ale pomyślał, jak to zabrzmie, i pokręcił głową.

– Nie, jeszcze nie. Najpierw ty mi coś powiesz. Opowiesz mi o Ardelii Lortz. Myślałaś, że żartowałem. Wtedy się nie połapałem, ale teraz tak. Więc opowiedz mi o niej. Opowiedz, kim była i co zrobiła.

Naomi zjechała do krawężnika przed starą granitową remizą strażacką i spojrzała na Sama. Oczywiście miała rozszerzone, skórę pod makijażem bardzo bladą.

– Nie żartowałeś? Sam, chcesz mi powiedzieć, że to nie był żart?

– Nie był.

– Ale... – urwała i przez chwilę jakby nie wiedziała, co dalej. – Ale, Sam, Ardelia Lortz nie żyje. Nie żyje od trzydziestu lat.

– Wiem, że nie żyje. To znaczy teraz wiem. Chcę się dowiedzieć reszty.

– Sam, kogokolwiek widziałeś...

– Wiem, kogo widziałem.

– Powiedz, dlaczego uważasz...

– Najpierw ty mi powiedz.

Naomi znowu wrzuciła bieg, zerknęła w lusterko wsteczne i ruszyła w stronę Angle Street.

– Niewiele wiem. Miałam tylko pięć lat, kiedy umarła, rozumiesz? Dowiedziałam się tego i owego głównie z podsłuchanych plotek. Należała do Pierwszego Baptistycznego Kościoła w Proverbii... przynajmniej tam chodziła... ale moja matka o niej nie mówi. Ani nikt ze starszych parafian. Jakby dla nich nie istniała.

Sam kiwnął głową.

– Tak samo ją potraktował pan Price w swoim artykule o bibliotece. Tym, który czytałem, kiedy położyłaś mi rękę na ramieniu i zabrałaś mi jakieś dziesięć lat życia. To również wyjaśnia, dlaczego twoja matka była na mnie taka wściekła w sobotę wieczorem, kiedy wymieniłem nazwisko Lortz.

Naomi spojrzała na niego zaskoczona.

– I po to dzwoniłeś?

Przytaknął.

– Och, Sam... teraz już na pewno jesteś u mamy na czarnej liście.

– O, byłem już wcześniej, ale teraz chyba przesunęła mnie na wyższą pozycję. – Zaśmiał się, a potem skrzywił. Mięśnie brzucha wciąż go bolały po ataku śmiechu na schodach redakcji, ale ten śmiech bardzo mu pomógł. Przed godziną nigdy by nie uwierzył, że zdoła odzyskać równowagę. Właściwie przed godziną miał całkowitą pewność, że Sam Peebles i równowaga na zawsze pozostaną czymś, co wyklucza się wzajemnie. – Mów dalej, Naomi.

– Większość z tego usłyszałam podczas „prawdziwych spotkań”, jak je nazywają ludzie z AA. Kiedy stoją i popijają kawę przed sesją i po niej, rozmawiając o wszystkim na świecie.

Popatrzył na nią z ciekawością.

– Jak długo jesteś w AA, Naomi?

– Dziewięć lat – odpowiedziała spokojnie. – I sześć lat minęło, odkąd nie piję. Ale zawsze byłam alkoholiczką. Pijakiem się nie stajesz, Sam; pijakiem się rodzisz.

– Och – bąknął kulawo. A potem spytał: – Czy ona też należała do AA? Ardelia Lortz?

– Boże, nie... ale to nie znaczy, że w AA jej nie pamiętają. Zjawiała się w Junction City bodajże w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym szóstym albo siódmym roku. Zaczęła pracować u pana Lavina w Bibliotece Publicznej. Po roku czy dwóch on nagle zmarł... chyba atak serca albo udar... i miasto oddało posadę tej Lortz. Słyszałam, że świetnie sobie radziła, ale sądząc z tego, co się stało, najlepiej jej szło mydlenie ludziom oczu.

– Co ona zrobiła, Naomi?

– Zabiła dwoje dzieci, a potem siebie – powiedziała, nie owijając w bawełnę. – Latem tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego roku. Dzieci zaginęły. Nikomu nie przyszło do głowy, żeby ich szukać w bibliotece, bo tamtego dnia miała być zamknięta.

Znalazły się następnego dnia, kiedy biblioteka wciąż była zamknięta, chociaż powinna być otwarta. W dachu są świetliki...

– Wiem.

– ...ale teraz widać je tylko z zewnątrz, bo przebudowano wewnątrz. Obniżono sufit, żeby oszczędzać ciepło czy coś tam. W każdym razie te świetliki miały wielkie mosiężne uchwyty. Zaczepiało się uchwyt długim kijem, żeby otworzyć świetlik i wpuścić świeże powietrze. Zawiązała sznur na uchwycie... musiała wykorzystać jedną z tych przesuwanych drabin przy regałach... i powiesiła się na nim. Najpierw zabiła dzieci.

– Rozumiem. – Sam miał głos spokojny, ale serce biło mu powoli i bardzo mocno. – A jak... jak zabiła te dzieci?

– Nie wiem. Nikt nie mówił, a ja nie pytałam. Myślę, że to było straszne.

– Tak. Też tak myślę.

– Teraz powiedz, co ci się stało.

– Najpierw chcę sprawdzić, czy Dave jest w przytułku.

Naomi natychmiast zeszytniała.

– Ja sprawdzę, czy Dave jest w przytułku – oświadczyła. – Ty posiedzisz grzecznie w samochodzie. Żal mi ciebie, Sam, i żałuję, że wczoraj wieczorem wyciągnęłam pochopne wnioski. Ale nie będziesz więcej denerwował Dave'a. Dopilnuję tego.

– Naomi, on jest w to zamieszany!

– To niemożliwe – ucięła ostrym tonem, oznaczającym koniec dyskusji.

– Cała ta sprawa jest niemożliwa, do cholery!

Zbliżali się już do Angle Street. Przed nimi turkotała półciężarówka zmierzająca do punktu skupu, z paką wyładowaną kartonowymi pudłami pełnymi butelek i puszek.

– Chyba mnie nie zrozumiałeś – powiedziała Naomi. – Nic dziwnego, przyziemni rzadko rozumieją. Więc nadstaw uszu, Sam. Powiem to najprostszymi słowami: jeśli Dave pije, to umrze. Załapałeś? Dotarło do ciebie?

Rzuciła mu kolejne spojrzenie, tym razem tak pełne furii, że aż dymiło na krawędziach, i nawet pogrążony we własnej niedoli

Sam coś zauważył. Kiedyś, gdy dwukrotnie umówił się z Naomi, uważał, że jest ładna. Teraz zobaczył, że jest piękna.

– Co to znaczy przyziemni? – zapytał.

– Ludzie, którzy nie mają problemów z wodą, prochami, trawą, syropem na kaszel ani żadnymi innymi rzeczami mieszającymi w głowie – niemal wypluła. – Ludzie, którzy mogą sobie pozwolić na moralizowanie i osądzanie.

Przed nimi półciężarówka skręciła na długi, wyboisty podjazd prowadzący do punktu skupu. Dojeżdżali do Angle Street. Sam widział, że coś stoi przed gankiem, ale nie samochód. To był wózek na zakupy Brudnego Dave'a.

– Zatrzymaj się na chwilę – poprosił.

Naomi zahamowała, ale nie spojrzała na niego. Patrzyła prosto przed siebie. Zaciskała szczęki, policzki jej poczerwieniały.

– Zależy ci na nim – powiedział Sam. – To dobrze. Czy zależy ci również na mnie, Sarah? Chociaż jestem przyziemny?

– Nie masz prawa nazywać mnie Sarah. Ja mogę używać tego imienia, bo tak mnie ochrzczono: Naomi Sarah Higgins. I oni mogą, bo w pewnym sensie są mi bliżsi niż prawdziwi krewni. Właściwie łączy nas pokrewieństwo... bo coś w nas sprawia, że tacy jesteśmy. Coś w naszej krwi. Ale ty, Sam... ty nie masz prawa.

– Może mam – odparł. – Może stałem się jednym z was. Wy macie wodę. Ten przyziemny facet ma Biblioteczną Policję.

Spojrzała na niego szeroko otwartymi, czujnymi oczami.

– Sam, nie rozu...

– Ani ja. Wiem tylko, że potrzebuję pomocy. Rozpaczliwie. Pożyczyłem dwie książki z biblioteki, która już nie istnieje, i teraz te książki też nie istnieją. Zgubiłem je. Wiesz, dokąd trafiły?

Pokręciła głową.

Sam wskazał na lewo, gdzie dwaj mężczyźni wysiedli z kabiny półciężarówki i zaczęli rozładowywać pudła opakowań zwrotnych.

– Tam. Właśnie tam trafiły. Przerobione na pulpę. Mam czas do północy, Sarah, a wtedy Biblioteczna Policja przerobi na pulpę

mnie. I wątpię, czy zostawię ze mnie chociaż okładkę.

6

Sam siedział na fotelu pasażera w datsunie Naomi Sarah Higgins bardzo długo. Dwukrotnie sięgał do klamki w drzwiach, a potem opuszczał rękę. Naomi trochę zmięła. Jeśli Dave zechce z nim rozmawiać i jeśli jeszcze jest w stanie mówić, zgoda. W przeciwnym razie wykluczone.

Wreszcie drzwi przytułku się otworzyły. Naomi i Dave Duncan wyszli na zewnątrz. Ona obejmowała go w pasie, on powłóczył nogami i serce Sama zamarło. Potem, kiedy wyszli na słońce, zobaczył, że Dave nie jest pijany... chyba. Patrząc na niego, miał niesamowite wrażenie, że znowu przegląda się w lusterku Naomi. Dave Duncan wyglądał jak człowiek, który próbuje dojść do siebie po największym wstrząsie w życiu... i nie bardzo mu się udaje.

Sam wysiadł z samochodu i stanął obok, niezdecydowany.

– Wejdz na werandę! – zawołała Naomi. Głos miała jednocześnie zalękniony i zrezygnowany. – Nie wiem, czy on da radę zejść po stopniach.

Sam podszedł do nich. Dave Duncan miał pewnie około sześćdziesiątki. W sobotę wyglądał na siedemdziesiąt lat albo siedemdziesiąt pięć. Przez wódę, przypuszczał Sam. Teraz, kiedy w Iowa zbliżało się południe, wydawał się jeszcze starszy. I Sam wiedział, że to jego wina. Dave'em wstrząsnęły sprawy, które uważał za dawno pogrzebane.

Nie wiedziałem, pomyślał Sam, ale chociaż była to prawda, stanowiła niewielką pociechę. Twarz Dave'a miała kolor starego papieru, tylko na nosie i policzkach odcinały się czerwone żyłki. Załzawione oczy spoglądały nieprzytomnie. Wargi przybrały sinawy odcień, w kącikach zapadniętych ust pulsowały kropelki śliny.

– Nie chciałam, żeby z tobą rozmawiał – powiedziała Naomi. – Chciałam go zabrać do doktora Meldena, ale on się uparł, że

najpierw porozmawia z tobą.

– Panie Peebles – wymamrotał Dave słabym głosem. – Przepraszam, panie Peebles, to wszystko przeze mnie, prawda? To ja...

– Nie masz za co przepraszać – zapewnił go Sam. – Chodź, usiądź tam.

Razem z Naomi zaprowadzili Dave'a do bujanego fotela w kącie. Dave usadowił się ostrożnie. Sam i Naomi przysunęli sobie krzesła z zapadniętymi wiklinowymi siedzeniami i zajęli miejsca po obu jego stronach. Przez chwilę milczeli, spoglądając na płaski rolniczy krajobraz za torami.

– Prześladowuje pana, tak? – zapytał Dave. – Ta dziwka z piekła rodem.

– Napuściła kogoś na mnie – powiedział Sam. – Kogoś z plakatu, który namalowałeś. On jest... wiem, że to wariactwo, ale on jest Bibliotecznym Policjantem. Przyszedł do mnie dziś rano. Zrobił... – Sam dotknął włosów. – Zrobił to. I to. – Pokazał małą czerwoną plamkę na gardle. – I mówi, że nie jest sam.

Dave milczał przez długi czas, zapatrzony w pustkę, w płaski horyzont, który przecinały tylko wysokie silosy i na północy apokaliptyczna wieża elewatora zbożowego Proverbial Feed Company.

– Ten, którego widziałeś, nie jest prawdziwy – odezwał się wreszcie. – Żaden z nich nie jest prawdziwy. Tylko ona. Tylko ta diablica.

– Czy możesz nam opowiedzieć, Dave? – zapytała łagodnie Naomi. – Jeśli nie, to trudno. Ale jeśli to ci pomoże... jeśli ci ulży... opowiedz nam.

– Droga Sarah... – Dave uśmiechnął się i wziął ją za rękę. – Kocham cię... mówiłem ci już?

Pokręciła głową, odwzajemniając uśmiech. W jej oczach lśniły łzy niczym drobinki miki.

– Nie. Ale cieszę się, Dave.

– Muszę opowiedzieć – oświadczył. – Nie chodzi o to, żeby mi pomogło albo ulżyło. To nie może dłużej trwać. Wiesz, Sarah, co

pamiętam z mojego pierwszego spotkania AA?

Pokręciła głową.

– Jak powiedzieli, że to program uczciwości. Jak powiedzieli, że musisz wyznać wszystko, nie tylko Bogu, ale Bogu i drugiemu człowiekowi. Pomyślałem: Jeśli tego trzeba, żeby żyć w trzeźwości, to już po mnie. Zakopią mnie na Wayvern Hill, w tej części cmentarza, gdzie leżą pijacy i nieudacznicy, którzy nigdy nie mieli nawet nocnika, żeby się wyszczać, ani okna, żeby wylać szczyny. Bo nigdy nie mógłbym wyznać wszystkiego, co widziałem, wszystkiego, co zrobiłem.

– Każdy z nas tak myśli z początku – powiedziała łagodnie.

– Wiem. Tylko że niewielu jest takich, którzy widzieli to co ja albo zrobili to co ja. Ale próbowałem. Po trochu robiłem, co mogłem. Uporządkowałem swój dom. Tylko że te rzeczy, które wtedy robiłem i widziałem... tego nikomu nie powiedziałem. Ani człowiekowi, ani niczyjemu Bogu. Znalazłem komórkę w piwnicy mojego serca, wepchnąłem tam to wszystko i zamknąłem drzwi na klucz.

Spojrzał na Sama i ten zobaczył łzy toczące się powoli, ze znużeniem, przez głębokie zmarszczki w jego zwiędłych policzkach.

– Tak, na klucz. A potem zabiłem drzwi deskami. A potem zakryłem deski arkuszem blachy i przykręciłem śrubami na amen. A potem przysunąłem pod ten cały majdan ciężkie biurko, a zanim ogłosiłem fajrant i odszedłem, zwałem na biurko stos cegieł. I od tamtego czasu przez te wszystkie lata powtarzam sobie, że całkiem zapomniałem o Ardellii i jej dziwactwach, o tym, do czego mnie namawiała, i tym, o czym mi opowiadała, i obietnicach, które składała, i o tym, czym naprawdę była. Zażywałem dużo lekarstwa na zapomnienie, ale nie poskutkowało. A kiedy wstąpiłem do AA, tylko to zawsze mnie odciągało. To coś w komórce. To coś ma imię i nazwisko, panie Peebles... nazywa się Ardelia Lortz. Jak już trochę zbastowałem z piciem, dopadały mnie koszmarne sny. Głównie śniły mi się

plakaty, które dla niej namalowałem... te, których tak się bały dzieci... ale to nie te sny były najgorsze.

Zniżył głos do drżącego szeptu.

– Do najgorszych było im jeszcze daleko.

– Może trochę odpocznij – zaproponował Sam. Chociaż musiał się dowiedzieć tego, co Dave miał do powiedzenia, odkrył, że właściwie wcale nie chce tego usłyszeć. Właściwie bał się to usłyszeć.

– Mniejsza z odpoczynkiem – odparł Dave. – Lekarz mówi, że mam cukrzycę, trzustka mi wysiada i wątroba się rozpada. Lada dzień pojadę na wieczne wakacje. Nie wiem, czy pójdę do nieba, czy do piekła, ale na pewno w obu tych miejscach bary i monopolowe są zamknięte, i dzięki za to Bogu. Ale teraz nie pora na odpoczywanie. Jeśli w ogóle mam mówić, to teraz. – Popatrzył uważnie na Sama. – Pan wie, że źle z panem?

Sam kiwnął głową.

– Tak. Ale pan nie wie, jak bardzo źle. Dlatego będę mówił. Myślę, że ona musi... czasem musi poleżeć spokojnie. Ale jej czas spokoju minął i wybrała pana, panie Peebles. Dlatego będę mówił. Nie żebym chciał. Wyszedłem wczoraj wieczorem, kiedy Naomi już odjechała, i kupiłem flaszkę. Poszedłem z nią na stację przetokową i usiadłem tam, gdzie siadałem tyle razy, na chwastach, żużlu i potłuczonym szkle. Oderwałem kapsel, podniosłem flaszkę do nosa i powąchałem. Wie pan, jak pachnie takie wino? Dla mnie zawsze pachnie jak tapeta w tanim hotelu albo jak strumyk, który przepłynął przez miejskie śmietnisko. Ale i tak zawsze lubiłem ten zapach, bo tak pachnie sen. I przez cały czas, kiedy trzymałem flaszkę i wąchałem, słyszałem tę królową dziwek, jak gada w tej komórce, w której ją zamknąłem. Zza tych cegieł, zza biurka, zza arkusza blachy, zza drzwi zabitych deskami. Gadała jak ktoś pogrzebany żywcem. Trochę przytłumiona, ale i tak słyszałem ją wyraźnie. Słyszałem, jak mówi: „Słusznie, Dave, to jest odpowiedź, to jedyna odpowiedź dla takich jak ty, jedyny sposób, który działa, i tylko takiej odpowiedzi potrzebujesz do czasu, aż wszystkie odpowiedzi

przestaną się liczyć”. Przechyliłem flaszkę, żeby sobie zdrowo golnąć, a wtedy w ostatniej sekundzie zapachniała jak ona... i przypomniałem sobie jej twarz na końcu, całą pokrytą cienkimi niteczkami... i jak jej usta się zmieniły... i rzuciłem precz flaszkę. Rozbiłem ją o podkład kolejowy. Bo to gównu musi się skończyć. Nie dam jej ani kęsa więcej z tego miasta!

Wzniósł głos do drżącego, lecz potężnego starczego krzyku:

– Dość już się ciągnęło to gównu!

Naomi położyła mu rękę na ramieniu. Wydawała się przestraszona i spięta.

– Co takiego, Dave? Co to jest?

– Chcę mieć pewność – odparł Dave. – Niech pan powie pierwszy, panie Peebles. Niech pan mi opowie wszystko, co się z panem dzieje, i nie pomija niczego.

– Zgoda – ustąpił Sam. – Ale pod jednym warunkiem.

Dave uśmiechnął się słabo.

– Jaki to warunek?

– Obiecuj, że będziesz mi mówił Sam... a ja w zamian już nigdy nie nazwę cię Brudnym Dave’em.

Uśmiech Dave’a się poszerzył.

– Umowa stoi, Sam.

– Dobrze. – Sam wziął głęboki oddech. – Wszystko przez tego cholernego akrobatę – zaczął.

7

Zabrało to więcej czasu, niż przypuszczał, ale czuł nieopisaną ulgę – niemal radość – kiedy opowiadał swoją historię, niczego nie ukrywając. Opowiedział o Niesamowitym Joem, telefonie Craiga z prośbą o pomoc i sugestii Naomi, żeby ożywić przemówienie. Opowiedział, jak wyglądała biblioteka, opowiedział o spotkaniu z Ardelią Lortz. W miarę jak mówił, oczy Naomi robiły się coraz większe. Kiedy doszedł do plakatu z Czerwonym Kapturkiem na drzwiach Biblioteki dla Dzieci, Dave kiwnął głową.

– To jedyny, którego nie namalowałem – oznajmił. – Miała go ze sobą. Założę się, że nigdy go nie znaleźli. Założę się, że ona ciągle go ma. Podobały jej się moje, ale ten był jej ulubiony.

– Jak to? – zapytał Sam.

Dave tylko pokręcił głową i kazał mu kontynuować.

Sam opowiedział o karcie bibliotecznej, o wypożyczonych książkach i drobnej sprzeczce, do której doszło, kiedy już wychodził.

– To jest to – oznajmił stanowczo Dave. – To wystarczyło. Może nie wierzysz, ale ja ją znam. Wkurzyłeś ją. Jak wszyscy diabli. Wkurzyłeś ją... i teraz ona zagięła na ciebie parol.

Sam pośpiesznie dokończył swoją historię, ale zwolnił i niemal się zatrzymał, kiedy dotarł do wizyty Bibliotecznego Policjanta w trenczu szarym jak mgła. Prawie płakał, kiedy o tym mówił, i ręce znowu mu drżały.

– Mogę prosić o szklankę wody? – zwrócił się do Naomi ochryplym głosem.

– Oczywiście – odpowiedziała i wstała. Zrobiła dwa kroki, potem zawróciła i pocałowała Sama w policzek. Wargi miała miękkie i chłodne. Zanim poszła po wodę, szepnęła mu do ucha dwa błogosławione słowa:

– Wierzę ci.

8

Sam podniósł szklankę do ust obiema rękami, żeby nie rozlać wody, i wypił połowę jednym haustem. Odstawił szklankę i zapytał:

– A ty, Dave? Wierzysz mi?

– Taa – mruknął Dave niemal z roztargnieniem, jakby to było oczywiste. Dla niego pewnie było, pomyślał Sam. W końcu znał osobiście tajemniczą Ardelię Lortz, a jego zniszczona, przedwcześnie postarzała twarz świadczyła o tym, że nie łączyły ich przyjazne uczucia.

Dave milczał jeszcze przez dłuższą chwilę, ale odzyskał trochę kolorów. Spoglądał ponad torami na nagie pola. Za sześć czy siedem tygodni miały się zazielenić wschodzącą kukurydzą, teraz jednak wyglądały na jałowe. Śledził wzrokiem cień chmury w kształcie ogromnego jastrzębia, płynący ponad rozległą pustką Środkowego Zachodu.

Wreszcie chyba wziął się w garść i odwrócił się do Sama.

– Mój Biblioteczny Policjant... ten, którego dla niej narysowałem... nie miał blizny – powiedział.

Sam przypomniał sobie długą białą twarz przybysza. Na pewno przecinała ją blizna – biegła przez policzek, pod okiem, nad nasadą nosa, cienką, falistą kreską.

– No więc? – zapytał. – Co to znaczy?

– Dla mnie nic, ale chyba powinno coś znaczyć dla pana... dla ciebie, Sam. Wiem o odznace... którą nazwałeś gwiazdą o wielu promieniach. Znalazłem ją w księdze heraldycznej tutaj, w bibliotece w Junction City. To się nazywa krzyż maltański. Chrześcijańscy rycerze nosili je na piersiach, kiedy szli do bitwy podczas wypraw krzyżowych. Podobno te krzyże były magiczne. Tak mnie zafascynował ten kształt, że wstawiłem go do obrazka. Ale... blizna? Nie. Nie u mojego Bibliotecznego Policjanta. Kim był ten twój Biblioteczny Policjant, Sam?

– Nie wiem... nie wiem, o czym ty mówisz – wyjąkał Sam, ale ten głos, odległy, szyderczy, natrętny głos powrócił: „Chodź ze mną, synu... jeftem policjaaantem”. I nagle znowu poczuł w ustach ten smak. Słodko-lepki smak czerwonej lukrecji. Kubki smakowe się skurczyły, żołądek się skręcił. Ale to głupota. Zwykła głupota. Nigdy w życiu nie jadł czerwonej lukrecji. Nie znosił jej.

Skoro jej nigdy nie jadłeś, skąd wiesz, że jej nie znosisz?

– Naprawdę nie rozumiem, o czym mówisz – powtórzył silniejszym już głosem.

– Chyba jednak rozumiesz – odezwała się Naomi. – Wyglądasz, jakby ktoś cię kopnął w żołądek.

Sam spojrział na nią z irytacją. Odwzajemniła mu się spokojnym spojrzeniem i poczuł, że serce bije mu szybciej.

– Zostawmy to na razie – powiedział Dave – chociaż nie możesz tego odkładać na długo, Sam, jeśli chcesz znaleźć wyjście z tej sytuacji. Pozwól, że opowiem ci moją historię. Jeszcze nigdy jej nie opowiadałem i nie opowiem nigdy więcej... ale już czas.

ROZDZIAŁ 11

Opowieść Dave'a

1

– Nie zawsze byłem Brudnym Dave'em Duncanem – zaczął. – Na początku lat pięćdziesiątych byłem zwykłym Dave'em Duncanem i ludzie mnie dosyć lubili. Należałem do tego samego Klubu Rotariańskiego, w którym przemawiałeś, Sam. Czemu nie? Miałem własną firmę i zarabiałem pieniądze. Byłem szyldziarzem, i to cholernie dobrym. Dostawałem aż za dużo zleceń w Junction City i Proverbii, ale czasami wpadała mi też jakaś fucha w Cedar Rapids. Raz malowałem reklamę papierosów Lucky Strike na bandzie prawego pola drugoligowego boiska baseballowego aż w Omaha, gdzie diabeł mówi dobranoc. Miałem wzięcie, i nic dziwnego. Byłem dobry. W tamtych czasach pracowałem jako „artysta grafik”, ale byłem po prostu najlepszym szyldziarzem w całej okolicy.

Zamieszkałem tu, bo interesowało mnie prawdziwe malarstwo i pomyślałem, że to można robić wszędzie. Nie miałem wykształcenia plastycznego... próbowałem, ale wyleciałem z akademii... i wiedziałem, że przez to mam, że tak powiem, do tyłu, ale wiedziałem, że niektórzy artyści radzą sobie bez tych głównianym bzdur... na przykład babcia Moses⁸. Nie potrzebowała prawa jazdy, żeby wjechać na sam szczyt.

Nawet mogło mi się udać. Sprzedałem kilka płócien, niewiele... nie zależało mi na tym, bo nie byłem żonaty i dobrze zarabiałem na malowaniu szyldów. Większość moich prac zatrzymałem, żeby je wystawiać, jak przystało artyście. I miałem ze trzy wystawy. Najpierw tutaj, w mieście, potem w Cedar Rapids i wreszcie w Des Moines. O tej ostatniej pisali

w „Democrat” w takim tonie, jakby ogłaszali powtórne przyjście Jamesa Whistlera.

Dave zamilkł na chwilę, zamyślony. Potem podniósł głowę i popatrzył na puste, nagie pola.

– W AA mówią, że niektórzy ludzie stoją jedną nogą w przyszłości, a drugą w przeszłości i dlatego ciągle olewają terażniejszość. Ale czasami trudno się nie zastanawiać, co by było, gdyby człowiek postąpił trochę inaczej.

Spojrzał niemal ze skruchą na Naomi, a ona uśmiechnęła się i ścisnęła jego dłoń.

– Bo naprawdę byłem dobry i niewiele mi zabrakło. Ale ostro popijałem, nawet wtedy. Nie przejmowałem się tym specjalnie... do cholery, byłem młody, silny, a zresztą wszyscy wielcy artyści piją. Przynajmniej tak uważałem. I mogłem jeszcze coś osiągnąć... cokolwiek, choćby na jakiś czas... Ale wtedy do Junction City przyjechała Ardelia Lortz. A kiedy przyjechała, byłem zgubiony.

Zerknął na Sama.

– Poznaję ją z twojego opisu, Sam, tylko że wtedy wyglądała inaczej. Spodziewałeś się zobaczyć starszą panią, co odpowiadało jej celom, więc właśnie to zobaczyłeś. Kiedy przyjechała do Junction City latem tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego siódmego roku, miała włosy popielatoblond i pulchna była tylko tam, gdzie kobieta powinna być pulchna. Mieszkałem wtedy w Proverbii i chodziłem do kościoła baptystów. Nie byłem specjalnie religijny, ale spotykało się tam atrakcyjne kobiety. Jedną z nich była twoja mama, Sarah.

Naomi roześmiała się jak kobieta, która usłyszała coś, w co nie bardzo wierzy.

– Ardelia od razu zdobyła sympatię miejscowych. Założę się, że teraz, kiedy parafianie z tamtego kościoła o niej rozmawiają... jeśli w ogóle o niej wspominają... to mówią: „Od samego początku wiedziałem, że ta Lortz jest jakaś dziwna” albo „Nigdy mi się nie podobał wyraz jej oczu”, ale powiadam wam, że wcale tak nie było. Zlatywali się do niej... i mężczyźni, i kobiety... jak pszczoły

do pierwszego wiosennego kwiatka. Nie minął miesiąc, jak dostała posadę asystentki pana Lavina, a jeszcze dwa tygodnie wcześniej zaczęła uczyć maluchy w szkółce niedzielnej.

Wolę nie myśleć, czego je uczyła... Stawiam ostatniego dolara, że nie ewangelii według św. Mateusza... ale uczyła. I każdy przysięgał, że maluchy ją uwielbiają. One też przysięgały, ale kiedy to mówiły, miały taki wyraz oczu... taki odległy wyraz oczu, jakby nie bardzo wiedziały, gdzie są i nawet kim są.

No cóż, Ardelia wpadła mi w oko... a ja jej. Teraz na to nie wyglądam, ale wtedy był ze mnie kawał przystojniaka. Zawsze opalony od pracy na dworze, muskularny, włosy rozjaśnione słońcem, a brzuch płaski jak twoja deska do prasowania, Sarah.

Ardelia wynajęła wiejski domek jakieś dwa kilometry od kościoła, całkiem przytulny, tyle że potrzebował świeżej farby, jak człowiek na pustyni potrzebuje łyka wody. Więc w drugim tygodniu naszej znajomości, po kościele... nie chodziłem często i była już połowa sierpnia... zaproponowałem, że pomaluję jej dom.

Miała największe oczy, jakie widzieliście. Większość ludzi powiedziała by, że są szare, jednak kiedy patrzyła prosto na ciebie, przysięgłbyś, że są srebrne. A tamtego dnia po kościele popatrzyła prosto na mnie. Używała perfum, jakich nie wahałem nigdy przedtem i nigdy potem. Chyba lawendy. Nie potrafię opisać tego zapachu, ale zawsze kojarzy mi się z małąkimi białymi kwiatkami, które kwitną dopiero po zachodzie słońca. I straciłem głowę. Od razu.

Stała blisko mnie, tak blisko, że nasze ciała niemal się stykały. Miała na sobie niemodną czarną sukienkę, taką, jakie noszą starsze panie, i kapelusz z małą woalką, i trzymała przed sobą torebkę. Wszystko skromnie i przyzwoicie. Tyle że jej oczy nie były skromne. Co to, to nie. Ani przyzwoite. Wcale.

„Mam nadzieję, że nie zeszpecisz mojego nowego domu reklamami wybielacza i tytoniu do żucia”, mówi.

„Nie, pszepani – odpowiadam. – Myślałem tylko o dwóch warstwach zwykłego wapna. Zresztą nie maluję domów

zawodowo, ale skoro pani tu jest nowa i w ogóle, pomyślałem, że tak po sąsiedzku...”.

„Tak, rzeczywiście”, mówi i dotyka mojego ramienia.

Dave spojrzał przepaszająco na Naomi.

– Chyba powinienem cię uprzedzić, że możesz odejść w każdej chwili. Niedługo zaczną się różne świństwa, Sarah. Wstydzę się ich, ale chcę się oczyścić z tego, co z nią robiłem.

Poklepała go po starczej, spierzchniętej dłoni.

– Mów dalej – zachęciła go cicho. – Powiedz wszystko.

Dave odetchnął głęboko i podjął opowieść.

– Kiedy mnie dotknęła, wiedziałem, że muszę ją mieć albo umrę. To jedno lekkie dotknięcie było przyjemniejsze... i bardziej podniecające niż wszystkie dotknięcia kobiecych rąk przez całe moje życie. Ona też to wiedziała. Zobaczyłem to w jej oczach. Były przebiegłe. I złośliwe, ale coś w nich jeszcze bardziej mnie podkręciło.

„Tak po sąsiedzku, Dave, a ja chcę być bardzo dobrą sąsiadką”, mówi.

Więc odprowadziłem ją do domu. Zostawiłem resztę chłopaków przed kościołem, że tak powiem. Wściekali się i na pewno mnie przeklinali. Nie wiedzieli, jakie mają szczęście. Żaden nie wiedział.

Mój ford był w warsztacie, a ona nie miała samochodu, więc musieliśmy zasuwać na piechotę. Nie miałem nic przeciwko i ona chyba też. Szliśmy po Truman Road, która w tamtych czasach była jeszcze polną drogą, chociaż co dwa, trzy tygodnie posyłali tam polewaczkę, żeby się nie kurzyło.

Przeszliśmy z połowę drogi do jej domu, kiedy przystanąła. Stoimy samiuteńcy na środku Truman Road w samo południe letniego dnia, z jednej strony mamy jakieś milion hektarów kukurydzy Sama Ordaya, z drugiej strony dwa miliony hektarów kukurydzy Billa Humpe’a. Wyrosła wysoko, sięga nam nad głowy i szeleści tajemniczo, jak to kukurydza, nawet kiedy nie ma wiatru. Mój dziadek mówił, że kukurydza tak szeleści, kiedy

rośnie. Nie wiem, czy to prawda, ale strasznie tego słuchać, tyle wam powiem.

„Patrz! – mówi ona i pokazuje na prawo. – Widzisz?”

Spojrzałem, ale nic nie zobaczyłem, tylko kukurydzę. I tak jej powiedziałem.

„Pokażę ci!”, woła i wbiega w kukurydzę, tak jak stała, w niedzielnej sukience i pantoflach na obcasach, i w ogóle. Nawet nie zdjęła tego kapelusza z woalką.

Stałem tam przez chwilę jak ogłupiały. Potem usłyszałem jej śmiech. Usłyszałem jej śmiech w kukurydzy. Więc pobiegłem za nią, żeby zobaczyć to, co ona, ale głównie przez ten jej śmiech. Byłem taki napalony. Nie potrafię tego wyrazić.

Zobaczyłem, że ona stoi w tym samym rzędzie co ja, a potem zniknęła w następnym, wciąż ze śmiechem. Ja też zacząłem się śmiać i przecisnąłem się do drugiego rzędu, nie przejmując się, że łamię kukurydzę Sama Ordaya. Sam i tak by nie zauważył strat na tych wszystkich hektarach. Ale kiedy się przedarłem, strząsając z ramion wąsy kukurydzy, z zielonym liściem wczepionym w krawat jak nowa spinka, szybko odeszła mi ochota do śmiechu, bo jej tam nie było. Potem usłyszałem ją po drugiej stronie. Nie mam pojęcia, jakim cudem się tam przedostała tak, że jej nie widziałem. Więc przecisnąłem się z powrotem i zdążyłem zobaczyć, że uciekła do następnego rzędu.

Bawiliśmy się tak w chowanego chyba przez pół godziny i za nic nie mogłem jej złapać. Byłem tylko coraz bardziej zgrzany i napalony. Zdawało mi się, że jest przede mną, w rzędzie obok, ale kiedy tam docierałem, słyszałem ją dwa rzędy dalej za moimi plecami. Chwilami widziałem jej stopę albo nogę i oczywiście zostawiała ślady w miękkiej ziemi, ale to nie pomagało, bo zdawały się prowadzić we wszystkich kierunkach jednocześnie.

Potem, kiedy już zaczynałem się wściekać – przepociłem swoją niedzielną koszulę, krawat mi się rozwiązał, w butach miałem pełno ziemi – przelazłem do następnego rzędu

i zobaczyłem jej kapelusz zawieszony na kukurydzy, z woalką trzepoczącą w lekkim powiewie, który docierał między rośliny.

„Złap mnie, Dave!”, woła ona.

Chwytam kapelusz i rzucam się do następnego rzędu na łeb, na szyję. Nie ma jej, widzę tylko liście chwiejące się w miejscu, gdzie zniknęła – ale na ziemi stoją oba jej pantofle. W następnym rzędzie znalazłem jedwabne pończochy zwisające z kolby. I ciągle słyszałem jej śmiech. Ta suka zawsze była gdzieś z tyłu, chociaż Bóg jeden wie, jak to robiła. Nie żebym wtedy się tym przejmował.

Zerwałem krawat z szyi i pogałem za nią, biegałem w kółko jak na wiejskiej zabawie, zziajany jak pies, z wywieszonym językiem. I coś wam powiem: przy każdym kroku tratowałem kukurydzę. Zostawiałem za sobą połamane łądygi i podpórki. Ale ona nie złamała ani jednej. Tylko kołysały się lekko, kiedy przechodziła, jakby miała w sobie nie więcej substancji niż ten letni wiaterek.

Znalazłem jej sukienkę, halkę i pas do pończoch. Potem znalazłem biustonosz i majtki. Nie słyszałem już jej śmiechu. Tylko szelest kukurydzy. Stałem tam pomiędzy rządami, sapiąc jak dziurawy bojler, przyciskając do piersi jej ubrania. Pachniały jej perfumami, i to mnie doprowadzało do szaleństwa.

„Gdzie jesteś?!”, wrzasnąłem, ale nie otrzymałem odpowiedzi. No i w końcu straciłem tę resztkę rozsądku, która mi jeszcze została... a jej oczywiście o to chodziło. „Gdzie jesteś, kurwa?!”, zawyłem, a wtedy spomiędzy łądyg tuż obok wysunęło się długie białe ramię i jeden palec pogłaskał mnie po szyi. Mało się nie zesrałem.

„Czekałam na ciebie – powiedziała. – Czemu tak długo? Nie chcesz zobaczyć?” Chwyła mnie i wciągnęła w kukurydzę. I stała tam boso na ziemi, całkiem goła, a oczy miała srebrne jak deszcz w mglisty dzień.

Dave pociągnął długi łyk wody, zamknął oczy i mówił dalej:

– Nie kochaliśmy się tam w kukurydzy... przez cały ten czas, kiedy ją znałem, nigdy nie uprawialiśmy miłości. To było coś innego. Posiadłem Ardelię na wszystkie sposoby, w jakie mężczyzna może osiąść kobietę, i jeszcze na kilka takich, które wydawały się niemożliwe. Nie pamiętam tych wszystkich pozycji, ale pamiętam jej ciało, jakie było białe; jak wyglądały jej nogi; jak podkurczała palce stóp, jakby wymacywała młode pędy kielkujące w ziemi; pamiętam, jak drapała mnie paznokciami po karku i po szyi.

Robiliśmy to i robiliśmy, nie pamiętam ile razy, ale pamiętam, że wcale nie czułem zmęczenia. Kiedy zaczynaliśmy, byłem taki napalony, że mógłbym zgwałcić Statuę Wolności, a kiedy skończyliśmy, czułem się tak samo. Nie mogłem się nią nasycić. To było jak woda. W żaden sposób nie potrafiłem się nią nasycić. A ona o tym wiedziała.

Ale w końcu przestaliśmy. Założyła ręce za głowę, wparła białe łokcie w czarną ziemię, na której żeśmy leżeli, spojrzała na mnie tymi srebrnymi oczami i pyta: „No, Dave, było po sąsiedzku?”.

Powiedziałem jej, że chcę jeszcze, a ona na to, żebym nie przeciągał struny. I tak chciałem na nią wleźć, ale odepchnęła mnie tak łatwo, jak matka odpycha dziecko od cycka, kiedy już nie chce karmić. Spróbowałem znowu, a ona przeorała mi twarz paznokciami i w dwóch miejscach rozcięła skórę. To wreszcie ostudziło mój zapal. Była szybka jak kot i dwa razy silniejsza. Kiedy mi pokazała, że zabawa skończona, ubrała się i wyprowadziła mnie z kukurydzy. Poszedłem za nią potulnie jak baranek.

Przeszliśmy resztę drogi do jej domu. Nikogo nie spotkaliśmy, i całe szczęście. Cały byłem utyłany w ziemi i wąsach kukurydzy, koszula wyłaziła ze spodni, krawat wepchnięty do tylnej kieszeni trzepotał za mną jak ogon, a ubranie ocierało mi skórę do żywego. Za to ona... była gładka i chłodna jak szklanka

wody z lodem. Ani jednego włosa w nieładzie, ani pyłka kurzu na pantoflach, ani plamki zieleni na spódnicy.

Doszliśmy do domu i kiedy go oglądałem, obliczając, ile potrzeba farby, ona przyniosła mi drinka w wysokiej szklance. Włożyła do niej słomkę i listek mięty. Myślałem, że to mrożona herbata, dopóki nie wziąłem łyka. To była czysta whisky. Mało się nie zakrztusiłem.

„Jezu!”, zawołałem.

„Nie masz ochoty? – pyta ona z tym swoim drwiącym uśmiechem. – Może wolisz mrożoną kawę?”

„Och, mam ochotę”, odpowiadam, ale to było coś więcej. Musiałem się napić. Wtedy starałem się nie pić w ciągu dnia, bo tak robią alkoholicy. Ale to się skończyło. Odtąd przez cały czas, kiedy się z nią spotykałem, piłem codziennie, prawie na okrągło. Ostatnie dwa i pół roku prezydentury Ike’a to był dla mnie jeden ciąg.

Malowałem jej dom – i robiłem wszystko, co pozwalała mi ze sobą robić, kiedy tylko mogłem – a ona wyrabiała sobie pozycję w bibliotece. Pan Lavin zatrudnił ją z miejsca i oddał jej kierownictwo działu dla dzieci. Wpadałem tam przy każdej okazji, czyli często, bo sam sobie byłem szefem. Kiedy pan Lavin zaczął kręcić nosem, że za dużo tam przesiaduję, obiecałem odmalować całe wnętrze biblioteki za darmo. Wtedy pozwolił mi przychodzić, kiedy zechcę. To Ardelia powiedziała mi, że w ten sposób można to załatwić, i miała rację – jak zawsze.

Nie pamiętam dokładnie tego okresu, kiedy byłem przez nią opętany, bo byłem opętany – mężczyzna zauroczony przez kobietę, która w rzeczywistości wcale nie była kobietą. Nie dlatego, że miałem luki w pamięci, jak się zdarza pijakom; ja chciałem zapomnieć to, co się skończyło. Więc moje wspomnienia się nie łączą, tylko układają w łańcuch, jak te wyspy na Pacyfiku, Archie Pelagos czy jak im tam.

Pamiętam, że Ardelia powiesiła plakat z Czerwonym Kapturkiem na drzwiach Biblioteki dla Dzieci jakiś miesiąc przed śmiercią pana Lavina, i pamiętam, jak wzięła jednego chłopczyka

za rączkę i zaprowadziła do tego plakatu. „Widzisz tę dziewczynkę?”, zapytała go. „Tak”, odpowiada mały. „Wiesz, dlaczego zły wilk zaraz ją zje?” „Nie”, mówi dzieciak i oczy ma wielkie, poważne i pełne łez. „Bo zapomniała zwrócić książkę do biblioteki w terminie – mówi Ardelia. – Ty nigdy nie zapomnisz, prawda, Willy?” „Nie, nigdy”, zapewnia chłopczyk, a Ardelia dodaje: „No, pamiętaj”. A potem zaprowadziła go do dziecięcej czytelnicy na Godzinę Bajek, wciąż trzymając go za rękę. Ten chłopczyk – to był Willy Klemmart, który potem zginął w Wietnamie – obejrzał się na mnie przez ramię. Stałem na rusztowaniu z pędzlem w ręku i czytałem w jego oczach jak w gazecie. „Ratuj mnie przed nią – błagały jego oczy. – Proszę, panie Duncan”. Ale jak mogłem go uratować? Nie mogłem uratować nawet siebie.

Dave wydobyl czystą, lecz fatalnie wygniecioną chustkę z głębin tylnej kieszeni spodni i zatrąbił w nią potężnie.

– Pan Lavin na początku myślał, że Ardelia to ósmy cud świata, ale potem zmienił zdanie. Dwa tygodnie przed jego śmiercią cholernie się pokłócili o ten plakat z Czerwonym Kapturkiem. Nigdy mu się nie podobał. Może nie bardzo wiedział, co się działo podczas Godziny Bajek – zaraz do tego dojdę – ale nie był całkiem ślepy. Widział, jak dzieci patrzą na ten plakat. W końcu kazał jej go zdjąć. I wtedy zaczęła się awantura. Nie słyszałem wszystkiego, bo stałem wysoko na rusztowaniu, a tam jest zła akustyka, ale usłyszałem dość. Mówił coś o straszaniu dzieci albo może o ranieniu dzieci, a ona odparła, że to jej pomaga utrzymać w ryzach „chuligański element”. Powiedziała, że to narzędzie wychowawcze, jak hikorowy kij.

Ale pan Lavin nie ustąpił i w końcu musiała zdjąć plakat. Tamtej nocy miotała się po domu jak tygrys w zoo, którego jakiś dzieciak przez cały dzień szturchał kijem. Chodziła tam i nazad wielkimi krokami, całkiem goła, z rozwianymi włosami. Leżałem w łóżku, pijany jak bela. Ale pamiętam, że się odwróciła i jej oczy ze srebrnych zrobiły się jaskrawoczerwone, jakby mózg jej się zapalił, a usta wyglądały dziwnie, jakby próbowały wyskoczyć

z twarzy czy co. Prawie wytrzeźwiałem ze strachu. Nigdy nie widziałem czegoś takiego i nigdy więcej nie chcę widzieć.

„Załatwię go – powiedziała. – Załatwię tego tłustego starego alfonsa, Davey. Jeszcze zobaczysz”.

Powiedziałem jej, żeby nie robiła głupstw, nie dała się ponieść złości, i dużo innych bzdur, które psu na budę się zdały. Słuchała mnie przez chwilę, a potem przebiegła przez pokój tak szybko... no, nie wiem, jak to opisać. W jednej sekundzie stała po drugiej stronie pokoju przy drzwiach, a w następnej wskoczyła na mnie, z czerwonymi, płonącymi oczami, z ustami wysuniętymi jak ryj, jakby tak bardzo chciała mnie pocałować, że naciągnęła sobie skórę. Pomyślałem, że tym razem, zamiast tylko mnie podrapać, wbije mi pazury w gardło i rozerwie kręgosłup.

Ale nie rozerwała. Przysunęła twarz do mojej twarzy i spojrzała na mnie. Nie wiem, co zobaczyła... chyba mój strach... ale widocznie to jej sprawiło przyjemność, bo odchyliła głowę do tyłu, aż jej włosy dotknęły moich ud, i zaśmiała się. „Przestań głądzić, cholerny pijusie, i wsadź mi – powiedziała. – Tylko do tego się nadajesz”.

Więc jej wsadziłem. Bo wtedy już tylko do tego się nadawałem, żeby jej wsadzać... i chlać. Na pewno nie malowałem więcej obrazów, straciłem prawko, kiedy mnie przymknęli trzeci raz za jazdę w stanie wskazującym na spożycie... to było w pięćdziesiątym ósmym albo na początku pięćdziesiątego dziewiątego... i klienci często byli niezadowoleni z mojej roboty. Rozumiecie, przestało mi zależeć na robocie; zależało mi tylko na Ardelii. Zaczęły się plotki, że nie można już polegać na Davie Duncanie. Ale zawsze mówiono tylko o wódzie. Nigdy się nie wydało, że coś mnie łączy z Ardelią. Była piekielnie ostrożna. Moją reputację szybko diabli wzięli, ale co do niej, błoto nigdy nie splamiło nawet rąbka jej spódnicy.

Pan Lavin chyba coś podejrzewał. Na początku myślał, że po prostu się w niej zadurzyłem, a ona nawet nie zauważa, jak robię do niej maślane oczy z rusztowania, jednak w końcu chyba nabrał podejrzeń. Tylko że potem pan Lavin zmarł. Mówili, że to

atak serca, ale ja wiedziałem lepiej. Tamtej nocy po jego śmierci leżeliśmy w hamaku na jej tylnej werandzie i tamtej nocy to ona nie miała dosyć. Różnęła mnie, aż zacząłem błagać o litość. Potem leżała obok i patrzyła na mnie, zadowolona jak kot, który wychłeptał śmietankę, a jej oczy znowu żarzyły się czerwienią. Nie wyobraziłem sobie tego; widziałem czerwony odbłask na skórze mojego ramienia. I czułem ten żar. Jakbym siedział obok rozpalonego piecyka. Nagle powiedziała tym złośliwym, szyderczym głosem: „Mówiłam ci, że go załatwię, Davey”.

Byłem pijany i półżywy od dymania, jej słowa ledwie do mnie docierały. Prawie zasypiałem, jakbym się zapadał w lotne piaski.

„Co mu zrobiłaś?”, zapytałem sennie.

„Uściskałam go – odpowiedziała. – Mam takie specjalne uściski, Davey... nie znasz moich specjalnych uścisków i jeśli będziesz miał szczęście, nigdy nie poznasz. Zaciągnęłam go między regały, objęłam go i pokazałam, jak naprawdę wyglądam. Wtedy zaczął płakać. Tak się przestraszył. Zaczął płakać specjalnymi łzami, a ja je scałowałam, a kiedy skończyłam, umarł w moich ramionach”.

„Jego specjalne łzy”. Tak je nazwała. A potem jej twarz... się zmieniła. Zafalowała jak pod wodą. I zobaczyłem coś...

Dave umilkł, patrząc na równinę, patrząc na elewator zbożowy, patrząc w pustkę. Chwycił poręcz werandy. Zacisnął rękę, rozluźnił, znowu zacisnął.

– Nie pamiętam – powiedział w końcu. – A może nie chcę pamiętać. Oprócz dwóch rzeczy: miało czerwone oczy bez powiek i dużo obwisłego ciała wokół ust, opadającego w fałdach, ale to nie była skóra. Wyglądało... niebezpiecznie. Potem ciało wokół ust zaczęło się poruszać i chyba krzyknąłem. I wtedy zniknęło. Wszystko zniknęło. To była znowu tylko Ardelia, zerkająca na mnie z uśmiechem jak ładny ciekawski kot.

„Nie martw się – mówi. – Nie musisz widzieć, Davey. Dopóki robisz, co ci każę. Dopóki jesteś grzecznym chłopcem. Dopóki mnie słuchasz. Dziś jestem bardzo szczęśliwa, bo ten stary dureń

wreszcie się przekręcił. Rada miejska mianuje mnie na jego stanowisko i będę rządzić wedle własnego widzimisię”.

Wtedy ratuj nas, Boże, pomyślałem, ale nie powiedziałem tego. Wy byście też nie powiedzieli, gdybyście zobaczyli tego stwora z czerwonymi wytrzeszczonymi ślepiami, zwiniętego obok w hamaku na głuchej wsi, tak daleko, że nikt nie usłyszałby krzyku, nawet gdyby wrzeszczeć na całe gardło.

Trochę później ona weszła do domu i przyniosła dwie wysokie szklanki pełne szkockiej, i bardzo szybko znowu byłem w podmorskiej żegludze, gdzie nic nie ma znaczenia.

Zamknęła bibliotekę na tydzień... „przez pamięć pana Lavina”, tak się wyraziła, a kiedy ją otworzyła, Czerwony Kapturek znowu wisiał na drzwiach dziecięcej czytelnicy. Jakiś tydzień czy dwa później zażądała, żebym namalował kilka nowych plakatów do tej sali.

Przerwał, a potem mówił ciszej, wolniej.

– Nawet teraz chciałbym to osłodzić, przedstawić się w lepszym świetle. Chciałbym was zapewnić, że się opierałem, sprzeciwiałem, oświadczyłem jej, że nie zgadzam się na straszenie dzieci... ale to byłaby nieprawda. Od razu zrobiłem, co kazała. Boże, zmiłuj się nade mną. Posłuchałem jej częściowo dlatego, że wtedy już jej się bałem. Ale głównie dlatego, że wciąż byłem nią zauroczony. I jeszcze coś. Jakaś podła, wredna cecha mojego charakteru... nie każdy ją ma, ale chyba wielu z nas... sprawiała, że to mi się podobało. Podobało mi się.

Teraz się zastanawiacie, co ja właściwie zrobiłem, ale naprawdę nie potrafię opowiedzieć wszystkiego. Po prostu nie pamiętam. Tamte dni pomieszały się ze sobą jak popsute zabawki, które oddajecie do Armii Zbawienia, żeby tylko pozbyć się ich ze strychu.

Nie zabiłem nikogo. Tego jednego jestem pewny. Chciała mnie zmusić... i prawie usłuchałem... ale w ostatniej chwili się cofnąłem. Tylko dlatego mogę dalej żyć, że w ostatniej chwili zdołałem się odczołgać znad przepaści. Zabrała mi część duszy... może najlepszą część... ale nigdy nie zabrała całej.

Spojrzał w zamyśleniu na Sama i Naomi. Wydawał się teraz spokojniejszy, bardziej opanowany; może nawet pogodzony ze sobą, pomyślał Sam.

– Pamiętam, jak jesienią tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego dziewiątego... chyba pięćdziesiątego dziewiątego... przyszedłem któregoś dnia, a ona poprosiła, żebym narysował plakat do dziecięcej czytelnicy. Powiedziała mi dokładnie, czego chce, a ja zgodziłem się bez żadnych oporów. Nie widziałem w tym nic złego. Nawet myślałem, że to śmieszne. Chciała, żeby na plakacie był dzieciak rozjechany pośrodku jezdni przez walec drogowy. Pod rysunkiem miał być napis:

ŚPIESZ SIĘ POWOLI!

NIE CZEKAJ ZE ZWROTEM KSIĄŻEK DO OSTATNIEJ CHWILI!

Myślałem, że to taki żart, jak kiedy w kreskówce kojot goni Strusia Pędziwiatra i przejeżdża go pociąg towarowy albo co. Więc powiedziałem, że nie ma sprawy. Była rozanielona. Wszedłem do jej gabinetu i machnąłem plakat. Nie trwało to długo, bo rysowałem w komiksowym stylu.

Myślałem, że jej się spodoba, ale nic z tego. Zmarszczyła brwi i zacięła usta tak, że prawie zniknęły. Narysowałem chłopca z krzyżami zamiast oczu, a kierowcy walca dla śmiechu dodałem dymek wychodzący z ust, z napisem: „Jeśli masz znaczek, możesz go wysłać pocztą”.

Nawet się nie uśmiechnęła. „Nie, Davey, nie rozumiesz – mówi. – To nie nauczy dzieciaków, żeby zwracały książki w terminie. To je tylko rozśmieszy, a one i tak za dużo się śmieją”.

„No to chyba nie zrozumiałem, o co ci chodzi”, mówię.

Staliśmy za stanowiskiem bibliotecznym, więc widać nas było tylko od pasa w górę. Ona sięgnęła w dół, złapała mnie za jaja, spojrzała na mnie tymi wielkimi srebrnymi oczami i powiedziała: „Chcę, żebyś to pokazał realistycznie”.

Dopiero po paru sekundach dotarło do mnie, czego naprawdę żądała. Ale wciąż nie mogłem uwierzyć.

„Ardelio, nie rozumiesz, co mówisz – tłumaczę. – Jeśli dzieciak naprawdę wpadnie pod walec drogowy...”

Ścisnęła mnie za jaja, aż zaboląło... pewnie żeby mi przypomnieć, kto tu rządzi... i powiedziała: „Owszem, rozumiem. A teraz ty zrozum mnie. Nie chcę, żeby się śmiały, Davey; chcę, żeby płakały. Więc wracaj tam i tym razem zrób to jak należy”.

Wróciłem do jej gabinetu. Nie wiem, co chciałem zrobić, ale decyzja zapadła jakby poza mną. Na biurku leżał nowy arkusz brystolu, obok stała wysoka szklanka szkockiej ze słomką i gałązką mięty. I był list od Ardelii. *D, tym razem nie żałuj czerwieni.*

Dave spojrzał poważnie na Sama i Naomi.

– Ale ona sama tam nie weszła. Ani na chwilę.

3

Naomi poszła po następną szklankę wody dla Dave’a, a kiedy wróciła, Sam zauważył, że jest bardzo blada i ma zaczerwienione oczy. Ale usiadła spokojnie i skinęła na Dave’a, żeby mówił dalej.

– Zrobiłem to, co alkoholicy robią najlepiej – oznajmił. – Wypiłem drinka i wykonałem polecenie. Ogarnęła mnie jakby... gorączka, tak to chyba można nazwać. Spędziłem w gabinecie dwie godziny, z pudełkiem akwareli za piętnaście centów, chlapałem wodą i farbą po całym biurku, głównie mnie obchodziło, czy nabrudzę. Wyszło z tego coś, czego wolałbym nie pamiętać... ale pamiętam. Mały chłopczyk rozbryźnięty po całej Rampole Street, buciki spadły mu z nóg, głowa rozpływa się jak krążek masła, który za długo leżał na słońcu. Kierowca walca jest tylko sylwetką, ale ogląda się i widać uśmiech na jego twarzy. Ten facet pojawiał się na wszystkich plakatach, które dla niej malowałem. Siedział za kierownicą limuzyny na plakacie, o którym wspomniałeś, Sam, tego ostrzegającego przed wsiadaniem do obcego samochodu.

Ojciec odszedł od mamy rok po moim urodzeniu, po prostu ją zostawił, i teraz myślę, że to jego próbowałem namalować na

tych wszystkich plakatach. Nazywałem go mrocznym człowiekiem i myślę, że to był mój tata. Myślę, że Ardelia jakoś wywabiła go ze mnie. A kiedy zaniósłem jej drugi plakat, była zachwycona. Śmiała się głośno. „Jest idealny, Davey! – zawołała. – Naucz moresu tych wstrętnych smarkaczy! Zaraz go powieszę!” I powiesiła go w dziecięcej czytelni. A wtedy zobaczyłem coś, co mi zmroziło krew w żyłach. Bo musicie wiedzieć, że ja znałem tego chłopczyka z plakatu. To był Willy Klemmart. Namalowałem go nieświadomie i nadałem jego zmasakrowanej twarzy taki sam wyraz, jaki widziałem tamtego dnia, kiedy Ardelia wzięła go za rękę i zaprowadziła do czytelni dla dzieci.

Siedziałem tam, kiedy dzieci przysły na Godzinę Bajek i po raz pierwszy zobaczyły plakat. Przestraszyły się. Zrobiły wielkie oczy, a jedna dziewczynka się rozpłakała. A ja byłem zadowolony, że się boją. Myślałem: „To ich naucz moresu, a jakże. Zobaczą, co się stanie, jeśli się jej sprzeciwią, jeśli nie będą jej słuchać”. A jednocześnie coś we mnie ostrzegało: Dave, zacznasz myśleć jak ona. Niedługo będziesz jak ona, a wtedy będziesz zgubiony. Będziesz zgubiony na zawsze.

Ale ciągnąłem to, mimo wszystko. Jakbym miał bilet w jedną stronę i nie mógł wysiąść, dopóki nie dojadę do końca trasy. Ardelia zatrudniła jakąś młodzież z college’u, ale zawsze wyznaczała im robotę w wypożyczalni, w dziale specjalnym i przy głównym stanowisku obsługi czytelników. Tylko ona zajmowała się dziećmi... je najłatwiej było zastraszyć, rozumiecie. I myślę, że najlepiej się je straszyc, dawały jej najlepszy pokarm. Bo tym się żywiła, żywiła się ich strachem. A ja namalowałem więcej plakatów, nie pamiętam ich wszystkich, ale pamiętam Bibliotecznego Policjanta. Był na wielu plakatach. Na jednym – z podpisem BIBLIOTECZNY POLICJANT TEŻ JEŹDZI NA WAKACJE – stał nad strumieniem i łowił ryby. Tylko że na haczyk nadział jako przynętę tego chłopca, którego dzieci nazywały Głupi Jasio. Na innym przywiązał Głupiego Jasia do dziobu rakiety i naciskał guzik, który wystrzelił raketę w kosmos. Podpis głosił: W BIBLIOTECE POZNASZ NAUKĘ

I TECHNOLOGIĘ – ALE PAMIĘTAJ, BĄDŹ GRZECZNY I ZWRACAJ KSIĄŻKI W TERMINIE.

Zmieniliśmy Bibliotekę dla Dzieci w komnatę grozy dla dzieci, które tam przychodziły – ciągnął Dave. Mówił powoli, głosem zduszonym od łez. – Ona i ja. Zrobiliśmy to dzieciom. Ale wiecie co? One wciąż wracały. Ciągłe im było mało. I nigdy się nie wygadały. Już ona tego dopilnowała.

– A rodzice?! – krzyknęła Naomi tak nagle, że Sam podskoczył.
– Przecież kiedy rodzice zobaczyli...

– Nie! – przerwał jej Dave. – Rodzice nigdy niczego nie zobaczyli. Jedyne straszne plakaty, jakie widzieli, to był ten z Czerwonym Kapturkiem i wilkiem. Ardelia zostawiła go na stałe, ale inne wieszała tylko podczas Godziny Bajek... po szkole, w czwartkowe wieczory i sobotnie poranki. Ona nie była człowiekiem, Sarah. Musisz to sobie wbić do głowy. Ona nie była człowiekiem. Wiedziała, kiedy przychodzą dorośli, i zawsze wcześniej zdejmowała moje plakaty i zastępowała innymi... zwyczajnymi plakatami z napisami w rodzaju CZYTAJ KSIĄŻKI DLA PRZYJEMNOŚCI.

Pamiętam te Godziny Bajek... w tamtym okresie spędzałem z Ardelią tyle czasu, ile tylko mogłem, a miałem dużo wolnego czasu, bo rzuciłem malowanie obrazów, straciłem wszystkie stałe zlecenia i żyłem z tego, co zdołałem zaoszczędzić. Pieniądze wkrótce też się skończyły i zacząłem wyprzedawać dobytek: telewizor, gitarę, furgonetkę, wreszcie dom. Ale to się nie liczyło. Liczyło się tylko to, że często tam bywałem i widziałem, co się dzieje. Maluchy ustawiały krzeselka w kręgu, a Ardelia zasiadała pośrodku. Ja siedziałem z tyłu, na jednym z tych dziecięcych krzeselek, zwykle w starym, poplamionym farbą kombinezonie, pijany jak świnia, nieogolony, cuchnący wódką. A ona czytała... czytała jedną ze swoich specjalnych bajek... a potem przerywała i przechylała głowę, jakby nasłuchiwała. Dzieciaki wierciły się i wyglądały nieswojo. I jeszcze inaczej... jakby budziły się z głębokiego snu, który na nie zsyłała.

„Będziemy mieli gości – mówiła z uśmiechem. – Jak to ładnie, prawda, dzieci? Czy są tu jacyś ochotnicy, Grzeczne Dzieci, które pomogą mi się przygotować na wizytę Dużych Ludzi?” Wtedy wszystkie podnosiły rączki, bo wszystkie chciały być Grzecznymi Dziećmi. Widziały na moich plakatach, co się dzieje z Niegrzecznymi Dziećmi, które źle postępują. Nawet ja podnosiłem rękę, siedząc z tyłu w brudnym starym kombinezonie, niczym najstarszy, najbardziej zmęczony dzieciak na świecie. Potem wstawały i jedne zdejmowały moje plakaty, a drugie wyciągały normalne plakaty z dolnej szuflady jej biurka. Zamieniały je. Potem siadały, a ona przechodziła od jakiegoś horroru, który im opowiadała, do bajki w rodzaju *Księżniczki na ziarnku grochu*, i rzeczywiście kilka minut później jakaś mama wsadzała głowę do środka i widziała, jak ta miła panna Lortz czyta i wszystkie Grzeczne Dzieci słuchają. Mama uśmiechała się do swojego dziecka, dziecko uśmiechało się do matki i przedstawienie trwało dalej.

– Co to za horrory, które im opowiadała? – zapytał Sam ochrypłym głosem. Zaschło mu w ustach. Słuchał Dave’a z narastającą zgrozą i obrzydzeniem.

– Bajki – odparł Dave. – Ale ona je zmieniała w horrory. Zdziwiłbyś się, jak mało pracy musiała wkładać w te zmiany.

– Ja się nie dziwię – odezwała się ponuro Naomi. – Pamiętam te bajki.

– No jasne, ale nigdy nie słyszałaś wersji Ardelii. A dzieciakom się podobało... nawet lubiły te historie i lubiły Ardelię. Przyciągała je i fascynowała tak samo, jak przyciągała mnie. No, nie całkiem, bo seks nie wchodził w grę... przynajmniej tak myślę... ale ciemność w niej wzywała ciemność, która w nich tkwiła. Rozumiecie?

I Sam, wspominając swoją straszliwą fascynację historią o Sinobrodym i tańczącychmiotłach w disnejowskiej *Fantazji*, pomyślał, że rozumie. Dzieci nienawidziły i bały się ciemności... ale je przyciągała, prawda? Wabiła je,

(*chodź ze mną, synu*)

prawda? Śpiewała im
(*jeftem policjaaantem*)

prawda?

Prawda?

– Wiem, o co ci chodzi, Dave – powiedział.

Dave kiwnął głową.

– Już to rozgryzłeś, Sam? Kim był twój Biblioteczny Policjant?

– Tego jeszcze nie rozumiem – odparł Sam, ale częściowo już rozumiał. Jakby jego umysł był głębokim czarnym jeziorem, na dnie którego spoczywała zatopiona łódź... ale nie pierwsza lepsza łódź. Nie, to był piracki szkuner, pełen skarbów i trupów, i teraz poruszył się w mule, który go więził tak długo. Wkrótce, myślał Sam ze strachem, ten upiorny, nienawistny wrak wynurzy się na powierzchnię, ukazą się połamane maszty udrapowane czarnymi wodorostami i szkielet wyszczerzony w uśmiechu, wciąż przykuty do gnijących resztek koła sterowego.

– Chyba jednak rozumiesz – powiedział Dave. – Albo zacznasz rozumieć. To musi wyjść na jaw, Sam. Uwierz mi.

– Ciągle nie wiem, o co chodzi z tymi bajkami – powiedziała Naomi.

– Jedną z jej ulubionych bajek, Sarah... dzieci też ją uwielbiały, musisz to zrozumieć i uwierzyć... była *Złotowłosa i trzy misie*. Znasz ją, ale nie wersję, jaką znają niektórzy ludzie w tym mieście... teraz dorośli, bankierzy, prawnicy i bogaci farmerzy z dziesiątkami traktorów. Widzisz, oni zachowali głęboko w pamięci wersję Ardelii Lortz. Może nawet niektórzy opowiadają te bajki własnym dzieciom, nie zdając sobie sprawy, że można je opowiadać inaczej. Nie lubię o tym myśleć, ale w głębi duszy wiem, że tak jest.

W wersji Ardelii Złotowłosa jest Niegrzecznym Dzieckiem, które źle postępuje. Wchodzi do domku trzech misiów i robi bałagan: zrywa firanki mamy misiowej i zrzuca pranie w błoto, drze wszystkie czasopisma taty misia i urzędowe dokumenty, nożem do steków wycina dziury w jego ulubionym fotelu. Potem rozszarpuje na kawałki wszystkie książki. To chyba był ulubiony

fragment Ardelii, kiedy Złotowłosa niszczy książki. I nie zjada owsianki, o nie! Nie w wersji Ardelii! U Ardelii Złotowłosa bierze trutkę na szczury z górnej półki i posypuje nią owsiankę jak cukrem pudrem. Nie wiedziała, kto mieszka w tym domku, ale i tak chciała ich zabić, bo takie z niej było Niegrzeczne Dziecko.

– To okropne! – wykrzyknęła Naomi. Po raz pierwszy straciła panowanie nad sobą. Przycisnęła ręce do ust i wpatrywała się w Dave’a szeroko otwartymi oczami.

– Tak, racja. Ale to nie koniec. Złotowłosa tak się zmęczyła niszczeniem domu, że kiedy weszła na górę zdemolować sypialnię, zasnęła w łóżeczku synka misia. A kiedy trzy misie wróciły do domu i zobaczyły ją, rzuciły się na nią... tak to opowiadała Ardelia... rzuciły się na nią i zjadły Niegrzeczne Dziecko żywcem. Zaczęły od nóg i nie przestawały, chociaż wrzeszczała i się wyrywała. Zjadły wszystko oprócz głowy. Głowę zostawiły, bo wiedziały, co Złotowłosa zrobiła z ich owsianką. Wywęszyły truciznę. „Potrafiły zwęszyć truciznę, dzieci, ponieważ to były misie”, mawiała Ardelia, a wszystkie dzieci... Grzeczne Dzieci Ardelii... kiwały głowami, bo rozumiały, jak to się stało. „Zabrały głowę Złotowłosej na dół do kuchni, ugotowały ją i zjadły mózdzek na śniadanie. Wszystkie przyznały, że jest bardzo smaczny... a potem żyły długo i szczęśliwie”.

4

Na werandzie zapadła głucha, niemal śmiertelna cisza. Dave sięgnął drżącym palcami po szklankę z wodą i niewiele brakowało, a strąciłby ją z balustrady. Uratował ją w ostatniej chwili, przytrzymał obiema rękami i napił się łąpczywie. Potem odstawił szklankę i zwrócił się do Sama:

– Dziwisz się, że zacząłem za dużo tankować?

Sam pokręcił głową.

Dave spojrzał na Naomi.

– Rozumiesz teraz, dlaczego nigdy nie mogłem opowiedzieć tej historii? Dlaczego ją zamknąłem w komórce?

– Tak – szepnęła drżącym głosem, który był zaledwie westchnieniem. – I chyba też rozumiem, dlaczego dzieci nikomu nie powiedziały. Niektóre rzeczy są po prostu zbyt... potworne.

– Może dla nas – odparł Dave. – Ale dla dzieci? Nie wiem, Sarah. Dzieci chyba nie potrafią rozpoznać potworów na pierwszy rzut oka. Dopiero rodzice im mówią, jak rozpoznać potwory. A ona miała jeszcze jedną przewagę. Pamiętacie, jak mówiłem, że kiedy oznajmiała o wizycie któregoś z rodziców, dzieci jakby budziły się z głębokiego snu? One rzeczywiście spały w jakiś dziwny sposób. To nie była hipnoza... przynajmniej tak myślę... ale coś w rodzaju hipnozy. A gdy wracały do domu, nie pamiętały, przynajmniej świadomie, tych opowieści ani plakatów. W głębi duszy pewnie sporo zapamiętywały... tak jak w głębi duszy Sam wie, kim jest jego Biblioteczny Policjant. Myślę, że oni pamiętają do dziś... ci bankierzy, prawnicy i bogaci farmerzy, którzy byli niegdyś Grzecznymi Dziećmi Ardelii. Ciągle ich widzę, w fartuszkach i krótkich spodenkach, jak siedzą na tych małych krzeselkach i patrzą na Ardelię pośrodku kręgu, patrzą oczami wielkimi i okrągłymi jak spodki. I myślę, że kiedy się ściemnia i nadchodzi burza albo kiedy nadchodzą sen i koszmary, wracają do czasów dzieciństwa. Drzwi się otwierają i widzą trzy misie... trzy misie Ardelii... które wyjadają drewnianymi łyżkami mózg z czaszki Złotowłosej, a miś nosi na głowie skalp Złotowłosej jak długą złocistą perukę. I budzą się spoceni, przerażeni, walcząc z mdłościami. Myślę, że taki spadek zostawiła temu miastu: sekretne koszmary.

Ale jeszcze nie doszedłem do najgorszego. Widzicie, te opowieści... no, czasami też plakaty, ale głównie opowieści... zwykle doprowadzały jakieś dziecko do płaczu, albo któreś mdlało czy traciło przytomność, wszystko jedno. I wtedy ona mówiła do pozostałych: „Opuśćcie głowy i odpocznijcie, a ja zabiorę Billy’ego... albo Sandrę... albo Tommy’ego do łazienki, żeby poczuł się lepiej”.

Wszystkie zwieszały głowy w tej samej chwili. Zupełnie jakby umarły. Kiedy to zobaczyłem po raz pierwszy, odczekałem jakieś

dwie minuty po tym, jak Ardelia wyprowadziła z pokoju małą dziewczynkę, potem wstałem i podszedłem do kręgu. Zacząłem od Willy'ego Klemmarta.

„Willy! – szepnąłem i szturchnąłem go w ramię. – Nic ci nie jest, Willy?”

Nie zareagował, więc szturchnąłem go mocniej i jeszcze raz wymówiłem jego imię. Ciągle się nie ruszał. Słyszałem jego oddech, trochę chrapliwy i zakatarzony, jak to u dzieciaków, którym wiecznie cieknie z nosa, ale siedział sztywno jak trup. Powieki miał lekko uchylone, ale widziałem tylko białka. Z dolnej wargi zwisała mu długa nitka śliny. Przestraszyłem się i spróbowałem obudzić kilka innych dzieciaków, żaden jednak nie podniósł głowy ani się nie odezwał.

– Więc mówisz, że je zaczarowała? – zapytał Sam. – Że były jak Królowna Śnieżka po zjedzeniu zatrutego jabłka.

– Właśnie – przytaknął Dave. – Takie były. Ja też taki byłem, tylko w inny sposób. Potem, kiedy już chciałem chwycić za frak Willy'ego Klemmarta i porządnie nim potrząsnąć, usłyszałem, że Ardelia wraca z łazienki. Biegiem wróciłem na swoje krzesło, żeby mnie nie przyłapała. Bo bardziej bałem się o siebie niż o te dzieci.

Weszła z tą dziewczynką, która przedtem była szara jak brudne prześcieradło i półprzytomna, a teraz wyglądała tak, jakby ktoś ją naszprycował najlepszym środkiem rozweselającym na świecie. Ożywiona, policzki rumiane, oczy błyszczące. Ardelia klepnęła ją po pupie i mała pobiegła na swoje miejsce. Potem Ardelia klasnęła w ręce i mówi: „Wszystkie Grzeczne Dzieci podnoszą główki! Sonja czuje się znacznie lepiej i chce, żeby dokończyć bajkę, prawda, Sonju?”

„Tak, pszepani”, ćwierka Sonja, rześka jak wróbelek w kałuży. I dzieci, jak jeden mąż, podnoszą głowy. Nigdy byś nie zgadnął, że dwie sekundy wcześniej wszystkie wyglądały jak martwe.

Za trzecim czy czwartym razem, kiedy to się powtórzyło, odczekałem, aż Ardelia wyjdzie z pokoju, i poszedłem za nią. Wiedziałem, że naumyślnie straszy dzieci, i kombinowałem, że

ma w tym jakiś cel. Sam bałem się śmiertelnie, ale chciałem się dowiedzieć, o co chodzi.

Tym razem zaprowadziła do łazienki Willy'ego Klemmarta. Dostał hysterii przy jej wersji *Jasia i Małgosi*. Uchyliłem drzwi bardzo cichutko i zobaczyłem, że Ardelia klęczy przed Willym obok umywalki. Mały przestał płakać, ale tylko tyle mogłem powiedzieć. Rozumiecie, Ardelia klęczała tyłem do mnie, a Willy był taki niski, że całkiem go zasłaniała, nawet na klęczkach. Widziałem jego ręce na jej ramionach i jeden czerwony rękaw jego swetra, ale nic więcej. Potem coś usłyszałem... odgłos siorbania, jakby ktoś dopijał resztkę koktajlu mlecznego przez słomkę. Wtedy pomyślałem, że ona go... no wiecie, molestuje, i molestowała, ale nie tak, jak przypuszczałem.

Wszedłem trochę dalej i przesunąłem się na prawo, na palcach, żeby obcasy nie stuknęły. I tak spodziewałem się, że Ardelia mnie usłyszy... miała uszy jak cholerne radary i tylko czekałem, aż się odwróci i przygwoździ mnie tymi czerwonymi oczami. Ale nie mogłem się powstrzymać. Musiałem zobaczyć. I po trochu, kiedy przesuwałem się w prawo, zacząłem widzieć.

Nad jej ramieniem ukazała się twarz Willy'ego, kawałek po kawałku, jak księżyc wychodzący z zaćmienia. Najpierw widziałem tylko jej blond włosy... cała masa loków i loczków... ale potem zobaczyłem również jej twarz. I zobaczyłem, co ona robi. Wtedy cała siła odpłynęła mi z nóg jak woda z rynny. Nie mogli mnie zobaczyć w żaden sposób, chyba że bym zaczął walić w rury, co biegły pod sufitem. Mieli zamknięte oczy, ale nie dlatego. Rozumiecie, byli pochłonięci tym, co robili, oboje byli tym pochłonięci, ponieważ byli ze sobą szczepieni.

Twarz Ardelii nie była już ludzka. Rozpłynęła się jak gorące toffi i wyciągnęła w lejek tak, że nos się spłaszczył, oczodoły się wydłużyły i zjechały na boki jak u Chinki, i wyglądała jak owad... jak mucha albo pszczoła. Usta znowu zniknęły. Zmieniły się w to coś, co zobaczyłem tamtej nocy, kiedy leżeliśmy w hamaku po tym, jak zabiła pana Lavina. Zmieniły się w wąską część tego lejka. Widziałem na nim te dziwne czerwone smugi i najpierw

pomyślałem, że to krew, albo może żyły pod skórą, a potem zrozumiałem, że to szminka. Ona nie miała już warg, ale te czerwone ślady zaznaczały miejsce po nich. Piła tą ssawką z oczu Willy'ego.

Sam spojrział na Dave'a zaskoczony. Przez chwilę myślał, że tamten postradał rozum. Co innego duchy, ale coś takiego?! Nie miał bladego pojęcia, co to jest. A jednak szczerłość i uczciwość świeciły z twarzy Dave'a jak lampa i Sam uznał, że jeśli Dave kłamie, to nieświadomie.

– Dave, czy ty chcesz powiedzieć, że Ardelia Lortz piła jego łzy? – zapytała z wahaniem Naomi.

– Tak... i nie. Ona piła jego specjalne łzy. Twarz miała wyciągniętą do niego, pulsującą jak serce, rysy całkiem spłaszczone. Wyglądała jak twarz, którą się rysuje na torbie na zakupy, żeby zrobić maskę na Halloween.

Z kącików oczu Willy'ego wypływało coś różowego i lepkiego, jak krwawe smarki albo strzępki ciała, prawie rozpuszczone. Ona je wsysała z tym siorbiącym odgłosem. Piła jego strach. W jakiś sposób sprawiła, że stał się materialny i tak wielki, że musiał wypłynąć tymi okropnymi łzami albo zabić dzieciaka.

– Mówisz, że Ardelia była jakimś wampirem, tak? – zapytał Sam.

Dave jakby odetchnął z ulgą.

– Tak. Właśnie. Kiedy później o tym myślałem... kiedy ośmielałem się o tym myśleć... wierzyłem, że była wampirem. Te wszystkie stare opowieści o wampirach, które wbijają ludziom zęby w gardło i wysysają krew, to nieprawda. Niewiele mijają się z prawdą, ale w tych sprawach nawet niewiele wystarczy. Piją, ale nie z szyi; tuczą się i rosną w siłę od tego, co zabierają swoim ofiarom, ale nie biorą krwi. Może to, czym się karmią, jest czerwieńsze, bardziej krwawe, kiedy ofiary są dorosłe. Może zabrała to panu Lavinowi. Tak myślę. Ale to nie krew.

To strach.

– Nie wiem, jak długo tam stałem i patrzyłem na nią, ale na pewno niezbyt długo. Zawsze wychodziła najwyżej na pięć minut. Po chwili to, co wypływało Willy’emu z kącików oczu, zaczęło się robić coraz bledsze i było tego coraz mniej. Widziałem, że... no wiecie, ta jej rzecz...

– Trąbka – podsunęła cicho Naomi. – To musiała być trąbka jak u owada.

– Tak się nazywa? No dobrze. Widziałem, że ta jej trąbka coraz bardziej się wydłuża, żeby nie uronić ani kropelki, żeby wysać wszystko do ostatka, i wiedziałem, że prawie skończyła. Za chwilę się ockną i ona mnie zobaczy. A jak zobaczy, pewno mnie zabije.

Zacząłem się cofać, powoli, krok za krokiem. Nie wierzyłem, że mi się uda, ale w końcu uderzyłem tyłkiem w drzwi. O mało nie wrzasnąłem, bo myślałem, że jakimś cudem zaszła mnie od tyłu. Byłem tego pewien, chociaż widziałem ją klęczącą obok umywalki.

Zakryłem ręką usta, żeby powstrzymać krzyk, i przepchnąłem się przez uchylone drzwi. Zaczekałem, aż zamkną się z powrotem na pneumatycznych zawiasach. To trwało wieki. Potem ruszyłem do głównego wyjścia. Niemal oszalałem ze strachu; chciałem tylko się stamtąd wydostać i nigdy nie wracać. Uciekać jak najdalej.

Dotarłem do holu, gdzie ustawiła tę tablicę, którą widziałeś, Sam... z jednym słowem: CISZA!... a potem się opamiętałem. Jeśli Ardalia odprowadzi Willy’ego z powrotem do czytelnicy dla dzieci i zobaczy, że mnie nie ma, domyśli się, że podglądałem. Będzie mnie ścigać i dopadnie. Nawet nie musiałyby się specjalnie wysilać. Pamiętałem tamten dzień w kukurydzy, jak krążyła wokół mnie i nawet się nie spociła.

Więc zawróciłem i poszedłem zająć swoje miejsce w Bibliotece dla Dzieci. To była najtrudniejsza rzecz, jaką zrobiłem w życiu, ale jakoś się zmusiłem. Ledwie posadziłem tyłek na krześle, kiedy usłyszałem, że wracają. I oczywiście Willy był uśmiechnięty i szczęśliwy, cały w skowronkach, i ona też.

Wyglądała, jakby mogła zaliczyć trzy szybkie rundy z Carmenem Basilio i spuścić mu solidny łomot.

„Wszystkie Grzeczne Dzieci podnoszą głowy! – zawołała i klasnęła. One podniosły głowy i spojrzały na nią. – Willy czuje się dużo lepiej i chce, żebym dokończyła bajkę. Prawda, Willy?”

„Tak, pszepani”, odpowiedział Willy. Pocałowała go i pobiegł na swoje miejsce. Opowiadała dalej. Ja siedziałem i słuchałem. A kiedy Godzina Bajek się skończyła, zacząłem pić. I od tamtej pory aż do końca nigdy praktycznie nie przestałem.

6

– Jak to się skończyło? – zapytał Sam. – Co o tym wiesz?

– Nie tyle, ile bym wiedział, gdybym nie był cały czas uchłany, ale więcej, niż chciałbym wiedzieć. Ten ostatni okres... nawet nie jestem pewien, ile trwał. Chyba ze cztery miesiące, ale może sześć czy nawet osiem. Wtedy już ledwie zauważałem zmiany pór roku. Sam, kiedy taki pijak jak ja naprawdę wpadnie w ciąg, liczy się dla niego tylko pogoda w butelce. Ale wiem dwie rzeczy i te dwie rzeczy są najważniejsze. Po pierwsze, ktoś jednak zaczął ją podejrzewać. I przyszedł na nią czas, żeby znowu zasnąć. Przemienić się. To po drugie.

Pamiętam jedną noc w jej domu... nigdy nie przyszła do mnie, ani razu... kiedy powiedziała: „Robię się senna, Dave. Teraz ciągle chce mi się spać. Wkrótce przyjdzie czas na długi odpoczynek. Kiedy ten czas nadejdzie, chcę, żebyś zasnął ze mną. Polubiłam cię, wiesz?”.

Oczywiście byłem pijany, ale i tak po tych słowach przeszedł mnie zimny dreszcz. Myślałem, że wiem, o czym ona mówi, ale kiedy ją zapytałem, tylko się roześmiała.

„Nie, nie to – powiedziała i spojrzała na mnie pogardliwie, z rozbawieniem. – Chodzi o sen, nie o śmierć. Ale będziesz musiał się pożywić razem ze mną”.

Z punktu wytrzeźwiałem. Nie przypuszczała, że wiem, o czym ona mówi, ale ja wiedziałem. Widziałem.

Potem zaczęła mnie wypytywać o dzieci. Których nie lubię, które uważam za fałszywe, które są zbyt hałaśliwe, które są najbardziej rozwydrzone. „To są Niegrzeczne Dzieci i nie zasługują na to, żeby żyć – mówiła. – Są nieposłuszne, wszystko niszczą, oddają książki pomazane ołówkiem, z powyrywaniem kartkami. Które według ciebie powinny umrzeć, Dave?”

Wtedy zrozumiałem, że muszę się od niej uwolnić, nawet gdybym nie miał innego sposobu, tylko się zabić. Wiecie, coś się z nią działo. Włosy jej zmatowiały, skóra, zawsze nieskazitelna, pokryła się wypryskami. I co najgorsze, przez cały czas widziałem tę rzecz, tę ssawkę, w którą się zmieniały jej usta, tuż pod powierzchnią skóry. Zrobiła się pomarszczona i obwisła i pojawiły się na niej włókna jak pajęczyna.

Pewnej nocy, kiedy leżeliśmy w łóżku, zauważyła, że patrzę na jej włosy, i powiedziała: „Widzisz zmianę we mnie, prawda, Davey?” Poklepała mnie po policzku. „To w porządku; to całkowicie naturalne. Zawsze tak jest, kiedy przygotowuję się do snu. Niedługo muszę zasnąć i jeśli chcesz pójść ze mną, będziesz musiał zabrać jedno dziecko. Albo dwoje. Albo troje. Im więcej, tym lepiej!” Zaśmiała się szaleńczo, jak to ona, a kiedy na mnie spojrzała, oczy miała znowu czerwone. „W każdym razie nie zamierzam cię zostawić. Poza wszystkim to byłoby niebezpieczne. Wiesz o tym, prawda?”

Powiedziałem, że wiem.

„Więc jeśli nie chcesz umrzeć, Davey, to musi się stać niedługo. Bardzo niedługo. A gdybyś zdecydował inaczej, powiedz mi teraz. Możemy zakończyć nasz związek miło i bezboleśnie dzisiejszej nocy”.

Nachyliła się nade mną i poczułem jej oddech. Cuchnął jak zepsute żarcie dla psów i nie mogłem uwierzyć, że kiedyś, trzeźwy czy pijany, całowałem te usta, z których tak śmierdziało. Ale widocznie coś we mnie... jakaś mała cząstka... nadal chciała żyć, bo powiedziałem jej, że chcę z nią odejść, ale potrzebuję trochę więcej czasu, żeby się przygotować. Żeby się z tym oswoić.

„To znaczy żeby się napić – burknęła. – Powinieneś upaść na kolana i dziękować za mnie swoim żalonym, nieszczęsnym gwiazdom, Davie Duncan. Gdyby nie ja, za rok czy nawet wcześniej leżałbyś martwy w rynsztoku. Ze mną będziesz żył niemal wiecznie”.

Jej usta wyciągnęły się na chwilę, wyciągnęły się i dotknęły mojego policzka. Jakoś się powstrzymałem, żeby nie wrzasnąć.

Dave spojrział na nich zapadniętymi, udreńczonymi oczami. Potem się uśmiechnął. Sam Peebles nigdy nie zapomniał tego upiornego uśmiechu; nawiedzał go w snach do końca życia.

– Ale to nieważne – powiedział. – Bo od tamtej pory ciągle w środku wrzeszczę.

7

– Chciałbym powiedzieć, że w końcu wyrwałem się spod jej władzy, ale bym skłamał. Sprawił to przypadek... albo siła wyższa, jak mówią ludzie z AA. Musicie zrozumieć, że do tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego roku całkowicie odciąłem się od reszty miasta. Pamiętasz, Sam, jak ci mówiłem, że kiedyś należałem do Klubu Rotariańskiego? No, po lutym sześćdziesiątego roku ci chłopcy nie zatrudniliby mnie nawet do czyszczenia kibli. W opinii Junction City byłem kolejnym Niegrzecznym Dzieckiem, zwykłym menelem. Ludzie, których znałem przez całe życie, przechodzili na drugą stronę ulicy, kiedy mnie zobaczyli. W tamtych czasach byłem silny jak koń, ale wóda wypalała mnie od środka, a czego nie zniszczyła wóda, zabrała Ardelia Lortz.

Nieraz się zastanawiałem, czy nie weźmie ode mnie tego, czego potrzebowała, ale nigdy tego nie zrobiła. Może nie odpowiadałem jej pod tym względem... Chyba jednak nie o to chodziło. Nie przypuszczam, że mnie kochała... wątpię, czy Ardelia mogła pokochać kogokolwiek... ale myślę, że była samotna. Myślę, że żyła już bardzo długo, jeśli można to nazwać życiem, i że miała...

Dave urwał. Nerwowo bębnił wykrzywionymi palcami w kolana i znowu wpatrywał się w elewator zbożowy na horyzoncie, jakby szukał pociechy.

– Najbardziej chyba pasuje słowo „towarzysze”. Myślę, że miała towarzyszy w ciągu swojego długiego życia, ale nie miała nikogo od bardzo dawna, zanim przyjechała do Junction City. Nie pytajcie, co takiego mi powiedziała, że tak pomyślałem, bo nie pamiętam. Przepadło jak tyle innych rzeczy. Ale tego jednego jestem pewien. I wykorzystwała mnie do tej roli. I jestem pewien, że poszedłbym z nią, gdyby jej nie zdemaskowano.

– Kto ją zdemaskował, Dave? – zapytała Naomi, pochylając się do niego. – Kto?

– Zastępca szeryfa John Power. W tamtych czasach szeryfem hrabstwa Homestead był Norman Beeman, a Norm był najlepszym przykładem na to, dlaczego szeryfów należy mianować, nie wybierać. Wyborcy dali mu to stanowisko, kiedy wrócił do Junction City w czterdziestym piątym, z walizką pełną medali zdobytych podczas inwazji armii Pattona na Niemcy. Umiał się bić, trzeba mu przyznać, ale jako szeryf hrabstwa nie był wart pierdnięcia podczas burzy. Za to miał największy, najbielszy uśmiech pod słońcem i bajerował ludzi na potęgę. I oczywiście był republikaninem. To zawsze było najważniejsze w hrabstwie Homestead. Myślę, że dalej by wybierali Normę, gdyby się nie przekręcił na udar w salonie fryzjerskim Hughiego w lecie tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego trzeciego roku. Pamiętam to bardzo dokładnie; Ardelia zniknęła jakiś czas wcześniej, a ja trochę doszedłem do siebie.

Sukces Norma polegał na dwóch rzeczach... oprócz tego bajeru i szerokiego uśmiechu. Po pierwsze, facet był uczciwy. O ile wiem, nigdy nie wziął dla siebie nawet centa. Po drugie, zawsze wyznaczał co najmniej jednego zastępcę, który szybko myślał i nie miał ambicji, żeby wygryźć szefa ze stanowiska. Zawsze grał uczciwie z tymi gośćmi; każdy dostawał solidną rekomendację, kiedy był gotów do awansu. Norm dbał o swoich ludzi. Jak się rozejrzycie, znajdziecie pewnie na Środkowym

Zachodzie sześciu czy ośmiu szefów policji w miastach i oficerów policji stanowej, którzy odsłużyli swoje dwa czy trzy lata tutaj, w Junction City, roztrzásając gnój za Norma Beemana.

Ale nie John Power. On nie żyje. W nekrologu przeczytacie, że zmarł na atak serca, chociaż nie przekroczył jeszcze trzydziestki i nie miał żadnego z tych paskudnych nałogów, przez które ludziom czasem wcześniej wysiada pikawka. Ja znam prawdę: to nie atak serca zabił Johna, podobnie jak pana Lavina. To ona ich zabiła.

– Skąd wiesz, Dave? – zapytał Sam.

– Wiem, ponieważ tego ostatniego dnia w bibliotece miało zginąć troje dzieci.

Dave wciąż mówił spokojnym głosem, ale Sam wyczuwał grozę przepływającą tuż pod powierzchnią, jak prąd niskiego napięcia. Jeśli chociaż połowa tego, co Dave im powiedział, było prawdą, ten człowiek od trzydziestu lat musiał przeżywać niewyobrażalne koszmary. Nic dziwnego, że sięgał po butelkę, żeby odpędzić najgorsze z nich.

– Dwoje umarło: Patsy Harrigan i Tom Gibson. Trzecie miało opłacić mój bilet wstępu do tego cyrku, którym kierowała Ardelia Lortz. Na tym trzecim naprawdę jej zależało, bo to ono rzuciło światło na Ardelię akurat wtedy, kiedy najbardziej potrzebowała ciemności. Tym trzecim miałem się zająć ja, bo Ardelia dostała zakaz wstępu do biblioteki i nie miała do niego dojścia. Tym trzecim Niegrzecznym Dzieckiem była Tansy Power, córka zastępcy szeryfa Powera.

– Chyba nie mówisz o Tansy Ryan, co? – zapytała Naomi niemal błagalnym tonem.

– Właśnie o niej. Tansy Ryan z poczty, Tansy Ryan, która przychodzi na nasze spotkania, Tansy Ryan, która dawniej nazywała się Tansy Power. Wielu miejscowych, którzy w dzieciństwie chodzili na Godziny Bajek do Ardelii, teraz jest w AA, Sarah. Możesz sama wyciągnąć wnioski. W lecie tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego roku o mało nie zamordowałem Tansy Power... i to wcale nie jest najgorsze. Wcale.

8

Naomi przeprosiła i wyszła. Po kilku minutach, wlokących się w nieskończoność, Sam wstał, żeby po nią iść.

– Daj jej spokój – powstrzymał go Dave. – To cudowna kobieta, Sam, ale potrzebuje trochę czasu, żeby dojsć do siebie. Też byś potrzebował, gdybyś się dowiedział, że ktoś z najważniejszej grupy w twoim życiu o mało nie zamordował twojej najbliższej przyjaciółki. Pozwól jej ochłonąć. Ona wróci... Sarah jest silna.

Kilka minut później rzeczywiście wróciła. Umyła twarz – włosy na skroniach wciąż miała wilgotne i przyglądzone – i niosła tacę z trzema szklankami mrożonej herbaty.

– No, kochana, w końcu dostaniemy coś mocniejszego! – zawołał Dave.

Naomi zrobiła, co mogła, żeby odwzajemnić jego uśmiech.

– A żebyś wiedział. Już nie mogłam wytrzymać.

Sam uznał jej wysiłki za godne podziwu, więcej: szlachetne. Niemniej lód w szklankach podzwaniał ostro, urywanie. Sam wstał i odebrał tacę z jej drżących rąk. Spojrzała na niego z wdzięcznością.

– No dobrze – rzuciła, siadając. – Dokończ, Dave. Powiedz wszystko.

9

– Dużo z tego, co wiem, usłyszałem od niej – podjął Dave – bo wtedy już nie mogłem osobiście obserwować wydarzeń. Jakoś tak pod koniec pięćdziesiątego dziewiątego Ardelia powiedziała, żebym więcej nie przychodził do biblioteki. Ostrzegła, że jeśli się tam pokażę, to mnie wyrzuci, a jak będę się kręcił w pobliżu, naśle na mnie gliny. Powiedziała, że wyglądam na menela i jeśli mnie zobaczą w bibliotece, zaczną się gadanie.

„Gadanie o tobie i o mnie? – zapytałem. – Ardelio, kto by uwierzył?”

„Nikt – odparła. – I nie martwię się gadaniem o nas, idioto”.

„Więc czym?”

„Gadaniem o tobie i o dzieciach”.

Chyba wtedy po raz pierwszy naprawdę zrozumiałem, jak nisko upadłem. Sarah, widywałaś mnie w dołku przez te lata, odkąd razem chodzimy na spotkania AA, ale nigdy nie widziałaś mnie w takim stanie. I cieszę się z tego.

Pozostawał jej dom. Jedyne miejsce, gdzie mogłem się z nią spotykać, ale kazała mi przychodzić dopiero po zmroku. Pozwalała mi iść drogą tylko do farmy Ordaya. Dalej musiałem maszerować na przełaj przez pola. Ostrzegła, że się dowie, jeśli spróbuję oszukiwać, a ja uwierzyłem. Kiedy te jej srebrne oczy robiły się czerwone, widziała wszystko. Zwykle zjawiałem się między jedenastą a pierwszą w nocy, zależy, ile wypilem, i przeważnie byłem przemarznięty do kości. Niewiele mogę wam powiedzieć o tamtych miesiącach, ale powiem jedno, że zima z pięćdziesiątego dziewiątego na sześćdziesiąty w stanie Iowa była cholernie ostra. Zdarzały się noce, kiedy trzeźwy człowiek zamarłby na śmierć na tych polach kukurydzy.

Jednak to nie dotyczy nocy, o której chcę wam opowiedzieć. Był już wtedy lipiec sześćdziesiątego roku i gorąco jak w piekle. Pamiętam, jak wyglądał tamtej nocy księżyc, ogromny i czerwony, wiszący nad polami. Zdawało się, że wszystkie psy w hrabstwie Homestead wyją do tego księżycyca.

Tamtej nocy, kiedy wszedłem do domu Ardelii, znalazłem się w samym środku cyklonu. Przez cały tydzień... właściwie przez cały miesiąc była senna i niemrawa, ale nie tamtej nocy. Wtedy była zupełnie rozbudzona i szalała z furii. Nie widziałem jej w takim stanie, odkąd pan Lavin kazał jej zdjąć plakat z Czerwonym Kapturkiem, bo straszył dzieci. Z początku nawet mnie nie zauważyła. Chodziła tam i z powrotem, naga jak ją Pan Bóg stworzył... jeśli to On ją stworzył... z opuszczoną głową i zaciśniętymi pięściami. Wściekała się bardziej niż niedźwiedź z kolcem w tyłku. W domu zwykle nosiła włosy upięte w staropanieński kok, ale kiedy się wślizgnąłem kuchennymi drzwiami, miała włosy rozpuszczone i chodziła tak szybko, że

powiewały za nią. Słyszałem, że trzeszczą cichutko jak naelektryzowane. Jej oczy, czerwone jak krew, mało nie wyskoczyły z twarzy. Płonęły jak te kolejarskie latarnie, które dawniej stawiano na torach, kiedy zrobił się zator. Cała ociekała potem i chociaż sam śmierdziałem, czułem jej zapach: cuchnęła jak rysica w rui. Widziałem wielkie oleiste krople spływające po jej piersiach i brzuchu. Biodra i uda lśniły od wilgoci. To była jedna z tych parnych, bezwietrznych nocy, jakie się tu zdarzają w lecie, kiedy powietrze jest ciężkie od zapachu trawy, przygniata piersi jak stos żelastwa i zdaje ci się, że z każdego oddechem wciągasz wąsy kukurydzy. W takie noce marzysz, żeby zagrzmiało i lunął deszcz, ale nigdy nie pada. Więc marzysz, żeby chociaż zerwał się wiatr, nie tylko dla ochłody, ale ponieważ wtedy łatwiej byłoby znieść ten szelest kukurydzy... wypychającej się z ziemi wszędzie dookoła z takim odgłosem, jakby artretyczny starzec usiłował wstać z łóżka, nie budząc żony.

Potem zauważyłem, że tym razem Ardelia jest nie tylko wściekła, ale również przerażona – ktoś jej napędził porządnego stracha. I zmieniała się szybciej. Spotkało ją coś takiego, że wrzuciła wyższy bieg. Właściwie nie wyglądała starzej; wyglądała mniej realnie. Włosy zrobiły się cieńsze, jak u dziecka. Prześwitywała przez nie czaszka. A na skórze jakby zaczęła wyrastać druga skóra... cieniutka, delikatna pajęczyna na policzkach, wokół nozdrzy, w kącikach oczu, pomiędzy palcami. Najlepiej było ją widać we wszystkich zmarszczkach i fałdkach skóry. Trzepotała lekko przy chodzeniu. Chcecie usłyszeć coś zwariowanego? Teraz, kiedy do miasta przyjeżdża jarmark, nie jestem w stanie podejść do żadnej budki z watą cukrową. Znacie te maszyny, które robią watę? Wyglądają jak wirujące pączki z dziurką. Sprzedawca wsadza patyczek i nawija na niego różowy cukier. Tak zaczynała wyglądać skóra Ardelii... jak cienkie pasemka waty cukrowej. Teraz chyba wiem, co widziałem. Robiła to samo, co gąsienica zmieniająca się w poczwarkę. Tkała wokół siebie kokon.

Przez jakiś czas stałem w drzwiach i patrzyłem, jak chodzi tam i z powrotem. Długo mnie nie zauważała. Miotła się, jakby wpadła w pokrzywy. Dwukrotnie walnęła pięścią w ścianę i przebiła ją na wylot... tapetę, tynk i szalówkę. Słyszałem trzask jakby pękających kości, ale nie zrobiła sobie krzywdy i nie było krwi. Za każdym razem wrzeszczała, lecz nie z bólu. Syczała jak rozzłoszczona kocica... tyle że pod tą złością krył się strach. I wykrzykiwała nazwisko zastępcy szeryfa.

„John Power! – wrzeszczy i łup! Przebija pięścią ścianę. – Niech cię szlag, Johnie Power! Ja ci pokażę wsadzać nos w moje sprawy! Chcesz mi się przyjrzeć? Świetnie! Ale ja ci pokażę, jak to zrobić! Ja ci pokażę, mój malutki!” Potem idzie dalej tak szybko, że prawie biegnie, tupie bosymi stopami tak mocno, że cały cholerny dom się trzęsie. Ciągłe mamrocze pod nosem. Później wyszczerza zęby, oczy jej się robią jeszcze czerwieniejsze i łup! – pięść przebija ścianę i z dziury wylatuje obłoczek tynku. „Nie waż się, Johnie Power! – warczy. – Nie waż się wchodzić mi w drogę!”

Ale wystarczyło zajrzeć jej w twarz, żeby wiedzieć, że ona się boi. Boi się, że zastępca szeryfa się odważy. A znając Johna Powera, wiedziałeś, że jest się czego bać. Był bystry i odważny. Dobry policjant i groźny przeciwnik.

Przy czwartym czy piątym okrążeniu wpadła do kuchni i nagle mnie zobaczyła. Wbiła we mnie wzrok i usta zaczęły się jej wydłużać na kształt rogu... tylko że teraz całe pokryte tymi pajęczymi, cienkimi nitczkami. Pomyślałem, że już po mnie. Jeśli nie mogła dorwać Johna Powera, weźmie mnie w zastępstwie.

Kiedy ruszyła do mnie, osunąłem się po kuchennych drzwiach jak kupka łachów. Zobaczyła to i przystanęła. Czerwony żar zgasł w jej oczach. Zmieniła się w jednej sekundzie. Zachowywała się, jakbym przyszedł na eleganckie przyjęcie koktajlowe, a nie zakradł się do jej domu o północy i zastał ją, jak biegnie na golasa i wybija dziury w ścianach.

„Davey! – woła. – Tak się cieszę, że przyszedłeś! Wypij drinka. Co tam, wypij dwa!”

Chciała mnie zabić... widziałem to w jej oczach... ale potrzebowała mnie, i nie tylko do towarzystwa. Potrzebowała mnie, żebym zabił Tansy Power. Wiedziała, że może załatwić gliniarza, ale chciała, żeby przedtem dowiedział się o śmierci córki. Do tego mnie potrzebowała.

„Nie ma dużo czasu – mówi. – Znasz tego zastępcę szeryfa, Powera?”

Powiedziałem, że raczej tak. Kilka razy mnie aresztował za picie w miejscu publicznym.

„Co o nim myślisz?”, pyta.

„Twardy z niego gość”.

„Pieprzę go i ciebie też!”

Wolałem na to nie odpowiadać. Tak wydawało się najrozsądniej.

„Ten cholerny dupek przyszedł dziś do biblioteki i zapytał o moje referencje. I dalej mnie wypytywał. Chciał wiedzieć, gdzie pracowałam, zanim przyjechałam do Junction City, gdzie chodziłam do szkoły, gdzie dorastałam. Szkoda, że nie widziałeś, jak na mnie patrzył, Davey. Ale ja mu pokażę, jak należy patrzeć na taką damę jak ja. Jeszcze zobaczysz”.

„Lepiej uważaj na tego Powera – uprzedzam ją. – On się niczego nie boi”.

„Właśnie że tak... boi się mnie. Tylko jeszcze o tym nie wie”, odpowiedziała, ale znowu strach błysnął w jej oczach. Facet wybrał najgorszy możliwy czas na zadawanie pytań... Ardelia przygotowywała się do snu i przemiany, i to ją osłabiało.

– Czy ci powiedziała, jak Power się zorientował? – spytała Sarah.

– To oczywiste – wtrącił Sam. – Dowiedział się od córki.

– Nie – zaprzeczył Dave. – Nie pytałem... nie ośmieliłem się, kiedy była w takim nastroju... ale wątpię, czy Tansy poskarżyła się ojcu. Myślę, że nie mogła... przynajmniej bezpośrednio. Bo widzicie, po wyjściu z biblioteki te dzieciaki zapomniały

wszystko, co im opowiadała... i co im tam robiła. Nie tylko zapominały, ona wkładała im do głów inne wspomnienia, fałszywe wspomnienia, więc wracały do domu wesole jak skowronki. Większość rodziców uważała, że ta kobieta to największe dobrodziejstwo dla Biblioteki Publicznej w Junction City.

Myślę, że Powera zaalarmowało to, co Ardelia zabrała jego córce, i na pewno przeprowadził solidne dochodzenie, zanim w ogóle poszedł do biblioteki. Nie wiem, jaką różnicę zauważył w Tansy, bo dzieci wcale nie były blade i apatyczne, jak ludzie na filmach, którym wampir wyssał krew, i nie miały śladów na szyjach. Coś im jednak zabierała, i John Power to wyczuł albo zauważył.

– Nawet jeśli coś zauważył, dlaczego podejrzewał akurat Ardelię? – zapytał Sam.

– Mówiłem wam, że gość miał nosa. Pewnie spytał Tansy o parę rzeczy... nie bezpośrednio, okrężną drogą, ma się rozumieć... i jej odpowiedzi wystarczyły, żeby go skierować na właściwy trop. Tamtego dnia, kiedy przyszedł do biblioteki, jeszcze nic nie wiedział, ale coś podejrzewał. Wystarczyło, żeby Ardelia dostała szału. Pamiętam, że najbardziej ją rozzłościło... i przestraszyło... to, jak na nią patrzył. „Pokażę mu, jak na mnie patrzeć”, powtarzała w kółko. Pewnie już od dawna nikt nie patrzył na nią naprawdę podejrzliwie, od dawna nikt nie wniuchał, jakie z niej ziółko. Założę się, że to ją najbardziej przeraziło. Przestraszyła się, że w końcu zaczęła tracić wyczucie.

– Mógł też rozmawiać z innymi dziećmi – podsunęła z wahaniem Naomi. – Porównał ich odpowiedzi i odkrył, że nie całkiem do siebie pasują. Może one nawet ją widziały na różne sposoby. Tak jak ty i Sam widzieliście ją w różny sposób.

– Możliwe... to wszystko jest możliwe. W każdym razie nastraszył ją tak, że zaczęła się śpieszyć.

„Jutro będę w bibliotece przez cały dzień – powiedziała mi. – Dopilnuję, żeby wiele osób mnie widziało. Ale ty... ty, Davey, złożysz wizytę w domu zastępcy szeryfa Powera. Zaczekasz, aż

dziecko zostanie samo... chyba nie będziesz musiał długo czekać... a wtedy ją złapiesz i zabierzesz do lasu. Rób z nią, co chcesz, ale na koniec musisz poderznąć jej gardło. Poderznij jej gardło i zostaw ją tam, gdzie ją znajdą. Chcę, żeby ten drań się dowiedział, zanim się z nim spotkam”.

Nie mogłem wykrztusić ani słowa. Pewnie lepiej dla mnie, że mi odebrało mowę, bo cokolwiek bym powiedział, źle by to przyjęła i mogłaby mi urwać łab. Więc tylko siedziałem przy kuchennym stole ze szklanką w ręku i gapiłem się na nią, a ona wzięła moje milczenie za zgodę.

Potem poszliśmy do sypialni. Ostatni raz. Pamiętam, jak myślałem, że nie dam rady tego zrobić, że przestraszonemu facetowi nie stanie. Ale poszło dobrze, niech mi Bóg wybaczy. Ardalia miała również taką magiczną moc. Robiliśmy to i robiliśmy, i w którymś momencie albo zasnąłem, albo straciłem przytomność. Następne, co pamiętam, to jak spychała mnie z łóżka bosą stopą, prosto w płamę porannego słońca. Było piętnaście po szóstej, w żołądku miałem wannę z kwasem, a głowa pulsowała bólem jak zaropiałe działo.

„Czas się wziąć do roboty – powiedziała. – Uważaj, Davey, żeby nikt cię nie zobaczył, kiedy będziesz wracał do miasta, i pamiętaj, co mówiłam. Załatw ją dziś rano. Zabierz ją do lasu i wykończ. Ukryj się i zaczekaj, aż się ściemni. Jeśli cię wcześniej złapią, nie będę mogła ci pomóc. Ale jeśli tu dotrzesz, będziesz bezpieczny. Jutro biblioteka jest zamknięta, dopilnuję jednak, żeby przyszło dwoje dzieci. Już je wybrałam, dwa najgorsze małe gnojki w całym mieście. Pójdziemy razem do biblioteki... one przyjdą... a kiedy ci głupcy nas znajdą, pomyślą, że wszyscy jesteśmy martwi. Tyle że ty i ja nie umrzemy, Davey; będziemy wolni. Zrobimy im kawał, co?”

Potem zaczęła się śmiać. Siedziała naga na łóżku, ja pełzałem u jej stóp, chory jak szczur po zjedzeniu trutki, a ona śmiała się, śmiała i śmiała. Twarz znowu zaczęła jej owadzić, ta trąbka wysuwała się jak róg na hełmie wikinga, a oczy zjeżdżały na boki. Poczułem, że żołądek podchodzi mi do gardła, więc

wypadłem stamtąd i wyrzygałem się w bluszcz. I ciągle słyszałem, jak się śmiała... śmiała... śmiała.

Wkładałem ubranie pod ścianą domu, kiedy mnie zawołała przez okno. Nie widziałem jej, ale słyszałem wyraźnie.

„Nie zrób mi zawodu, Davey – powiedziała. – Nie zrób mi zawodu, bo cię zabiję. I nie umrzesz szybko”.

„Nie zawiodę cię, Ardelio”, przyrzekłem, ale nie obejrzałem się na nią, wychyloną przez okno sypialni. Nie mogłem już na nią patrzeć. Dotarłem do kresu wytrzymałości. A jednak... chciałem z nią pójść, nawet gdybym miał wcześniej oszaleć, i myślałem, że jednak z nią pójdę. Chyba że planowała jakoś mnie wrobić, zostawić mnie z ręką w nocniku. Ona byłaby do tego zdolna. Ona byłaby zdolna do wszystkiego.

Ruszyłem przez kukurydzę z powrotem do Junction City. Zwykle po takich spacerach trochę trzeźwiałem i wypacałem najgorszego kaca. Ale nie tamtego dnia. Dwa razy musiałem się zatrzymać, żeby zwymiotować, a za drugim razem myślałem, że nigdy nie przestanę. Wreszcie przestałem, tylko że wszędzie na kukurydzy, gdzie klęczałem, widziałem krew. Zanim dotarłem do miasta, głowa pękała mi z bólu i widziałem wszystko podwójnie. Myślałem, że umieram, wciąż jednak pamiętałem, co mi powiedziała: „Rób z nią, co chcesz, ale na koniec musisz poderżnąć jej gardło”.

Nie chciałem skrzywdzić Tansy Power, ale wiedziałem, że i tak to zrobię. Nie mógłbym się oprzeć Ardelii... a wtedy czekałoby mnie wieczne potępienie. A co najgorsze, gdyby mówiła prawdę, żyłbym dalej... żyłbym niemal wiecznie, ze wspomnieniem mojego uczynku.

W tamtych czasach na stacji były dwa magazyny i rzadko używana rampa załadunkowa po północnej stronie drugiego magazynu. Wczołgałem się tam i zasnąłem na kilka godzin. Kiedy się obudziłem, czułem się trochę lepiej. Wiedziałem, że w żaden sposób nie powstrzymam Ardelii ani siebie, więc ruszyłem do domu Johna Powera, żeby znaleźć tę dziewczynkę i ją porwać. Przeszedłem przez centrum, nie patrząc na nikogo, i tylko

powtarzałem w myślach: „Umrze szybko... przynajmniej tyle mogę zrobić. Złamię jej kark jak zapalną, nawet nie poczuje”.

Dave ponownie wyciągnął chustkę i drżącą ręką otarł czoło.

– Dotarłem aż do sklepu Wszystko po Piętnaście Centów. Teraz go zamknęli, ale w tamtych czasach był na O’Kane Street, prawie na przedmieściu. Zostały mi do przejścia niecałe cztery przecznice i pomyślałem, że kiedy dojdę do domu Powera, zobaczę Tansy na podwórku. Będzie sama... a las jest niedaleko.

Ale spojrzałem w okno wystawowe tego taniego sklepu i zobaczyłem coś takiego, że stanąłem jak wryty. To był stos martwych dzieci, wytrzeszczone oczy, splątane ramiona, połamane nogi. Krzyknąłem cicho i zakryłem usta rękami. Mocno zacisnąłem powieki. Kiedy znowu spojrzałem, zobaczyłem stos lalek, które stara pani Seger rozkładała na wystawie. Spozstrzegła mnie i machnęła lalką: wynocha, ty stary pijusie. Nie odszedłem jednak. Dalej patrzyłem na te lalki. Próbowałem sobie tłumaczyć, że to tylko lalki; każdy to widzi. Ale kiedy jeszcze raz zamknąłem i otworzyłem oczy, to znowu były martwe ciała. Pani Seger układała trupki w oknie wystawowym taniego sklepu i nawet o tym nie wiedziała. Zorientowałem się, że ktoś próbuje przesłać mi wiadomość, może przekazać, że jeszcze nie jest za późno, nawet teraz. Może nie zdołam powstrzymać Ardelii, a może zdołam. A nawet jeśli nie dam rady, to przynajmniej nie pozwolę się zaciągnąć za nią do piekła.

Wtedy po raz pierwszy naprawdę się modliłem, Sarah. Modliłem się o siłę. Nie chciałem zabić Tansy Power, ale chciałem czegoś więcej: uratować ich wszystkich, jeśli zdołam.

Zawróciłem w stronę stacji Texaco, przecznicę dalej – teraz tam jest Piggly Wiggly. Po drodze podniosłem kilka kamyków z rynsztoka. Obok stacji benzynowej była budka telefoniczna... nadal tam chyba jest. Dotarłem na miejsce i wtedy sobie uświadomiłem, że nie mam ani centa. Ostatnią deską ratunku był otwór na zwroty. Pomacałem tam i znalazłem dziesięć centów. Od tamtego dnia, jeśli ktoś mi mówi, że nie wierzy w Boga,

wspominam, co czułem, kiedy wsadziłem palce w otwór i znalazłem tę dziesiątkę.

Chciałem zadzwonić do pani Power, ale zdecydowałem, że lepiej zadzwonić do biura szeryfa. Ktoś przekaże wiadomość Johnowi Powerowi, a jeśli on był taki podejrzliwy, jak twierdziła Ardelia, mógł podjąć odpowiednie kroki. Zamknąłem drzwi budki i odszukałem numer... wtedy jeszcze w budkach telefonicznych można było znaleźć książki telefoniczne, jeśli się miało szczęście. Zanim zadzwoniłem, włożyłem kamyki do ust.

Odebrał osobiście John Power i teraz myślę, że właśnie dlatego zginęli Patsy Harrigan i Tom Gibson... dlatego zginął sam John Power... i dlatego nie powstrzymano wtedy Ardelii. Spodziewałem się, że odbierze dyspozytorka, wtedy to była Hannah Verrill, że powiem jej, co mam do powiedzenia, a ona to przekaże zastępcy szeryfa.

Zamiast niej usłyszałem ten twardy „nie próbuj mi podskoczyć” głos. „Biuro szeryfa, mówi zastępca John Power, czym mogę służyć?” Mało nie połknąłem wszystkich kamyków, które miałem w gębie, i przez dobrą minutę nic nie mogłem wykrztusić.

On mówi: „Cholerne dzieciaki” i wiem, że zaraz odłoży słuchawkę.

„Czekaj! – powstrzymuję go. Przez te kamyki bełkotałem, jakbym miał usta zapchane watą. – Nie rozłączaj się pan!”

„Kto mówi?”, zapytał.

„Nieważne. Wywieź córkę z miasta, jeśli ci na niej zależy, i pod żadnym pozorem niech się nie zbliża do biblioteki. To nie żarty. Ona jest w niebezpieczeństwie”.

A potem odwiesiłem słuchawkę. Tak po prostu. Gdyby odebrała Hannah, pewnie powiedziałbym więcej. Podałbym nazwiska: Tansy, Toma, Patsy... i Ardelii. Ale przestraszyłem się go, bałem się, że jeśli zostanę na linii, spojrzy jakoś przez druty i zobaczy mnie w tej budce, śmierdzącego jak torba zgniłych brzoskwiń.

Wyplułem kamyki w garść i szybko wyszedłem z budki. Uwolniłem się spod władzy Ardelii... tyle przynajmniej sprawił ten telefon... ale wpadłem w panikę. Widzieliście kiedyś, jak ptak wleci do garażu i miota się dookoła, obija się o ściany, szaleje, żeby się wydostać? Tak się czułem. Nagle przestałem się martwić o Patsy Harrigan, o Toma Gibsona czy nawet o Tansy Power. Zdawało mi się, że Ardelia na mnie patrzy, że Ardelia wie, co zrobiłem, że mnie dopadnie.

Chciałem się ukryć... cholera, musiałem się ukryć. Ruszyłem po Main Street i zanim doszedłem do końca, już prawie biegłem. Do tego czasu Ardelia całkiem pomieszała mi się w głowie z Bibliotecznym Policjantem i Mrocznym Człowiekiem... tym, który prowadził walec drogowy i samochód z Głupim Jasiem w środku. Spodziewałem się, że wszyscy troje wyjadą na Main Street w starym buicku Mrocznego Człowieka i będą mnie szukać. Dobiegłem do magazynów kolejowych i znowu wczołgałem się pod rampę. Skuliłem się tam, cały rozdygotany, nawet trochę popłakiwałem, i czekałem, aż ona przyjdzie i mnie załatwi. Przez cały czas sobie wyobrażałem, że podniosę wzrok i zobaczę ją, jak zagląda pod betonową płytę rampy, oczy ma czerwone i wściekłe, usta wyciągają się w ten niby-róg.

Wpełzłem jak najgłębiej i pod zeschniętymi liśćmi i starymi pajęczynami znalazłem pół flachy wina. Zachomikowałem ją tam Bóg wie kiedy i całkiem o niej zapomniałem. Osuszyłem ją trzema długimi łykami. Potem zacząłem sięczołgać z powrotem do krawędzi rampy, ale w połowie drogi straciłem przytomność. Kiedy się ocknąłem, myślałem najpierw, że minęła tylko chwila, bo światło i cienie wyglądały prawie tak samo. Tylko głowa przestała mnie boleć i żołądek domagał się jedzenia.

– Przespałeś całą dobę? – domyśliła się Naomi.

– Nie, prawie dwie doby. Dzwoniłem do biura szeryfa około dziesiątej rano w poniedziałek. Kiedy się ocknąłem pod rampą, wciąż z pustą flaszką w ręku, było tuż po siódmej rano w środę. Tylko że ja właściwie nie spałem. Musicie pamiętać, że nie miałem za sobą całodniowego pijaństwa ani nawet tygodniowego

ciągu. Chlałem na umór prawie od dwóch lat, i to nie wszystko. Dochodziła Ardelia, biblioteka, dzieciaki i Godzina Bajek. To były dwa lata na karuzeli w piekle. Widocznie jednak chciałem przeżyć i nie zwariować, bo część mojego umysłu zdecydowała, że najlepiej wyciągnąć wtyczkę z kontaktu i na jakiś czas się wyłączyć. A kiedy się obudziłem, było po wszystkim. Nie znaleźli jeszcze ciała Toma Gibsona i Patsy Harrigan, ale i tak było po wszystkim. Wiedziałem o tym, zanim jeszcze wystawiłem głowę spod rampy. Czułem w sobie puste miejsce, jak dziurę po wyrwanym zębie. Tylko że to puste miejsce było w mózgu. I zrozumiałem. Ona odeszła. Ardelia odeszła.

Wypełzłem spod rampy i mało znowu nie zemdlałem z głodu. Zobaczyłem Briana Kelly'ego, który wtedy był spedytorem. Liczył worki z jakimś ładunkiem na drugiej rampie i odhaczał na podkładce. Jakoś do niego doczłapałem. Zobaczył mnie i skrzywił się z obrzydzeniem. Kiedyś stawialiśmy sobie drinki w Domino. Ta knajpa się spaliła na długo, zanim tu przyjechałeś, Sam, ale tamte czasy dawno minęły. Teraz widział tylko brudnego, śmierdzącego menela z kurzem i liśćmi we włosach, pijaka, od którego jechało szczynami i tanim winem.

„Zjeżdżaj stąd, tatuśku, bo wezwę gliny”, powiedział.

Tamtego dnia zrobiłem coś po raz pierwszy. Jeśli jesteś pijakiem, codziennie odkrywasz nowe lądy. Wtedy pierwszy raz zebrałem o pieniądze. Zapytałem, czy mógłby mi odpalić ćwierć dolara na kawę i tosta w jadłodajni przy szosie 32. Pogrzebał w kieszeni i wyciągnął trochę drobnych. Nie podał mi pieniędzy, tylko rzucił w moją stronę. Musiałem uklęknąć na żużlu i je pozbierać. Nie myślę, że zrobił to, żeby mnie upokorzyć. Po prostu nie chciał mnie dotykać. I wcale mu się nie dziwię.

Kiedy zobaczył, że podniosłem pieniądze, powiedział:

„A teraz się zmywaj, tatuśku. Jak cię tu znowu zobaczę, naprawdę wezwę gliny”.

„Tak jest”, rzuciłem i poszedłem w swoją drogę. Nawet mnie nie poznał. I dobrze.

W drodze do jadłodajni minąłem automat z gazetami i zobaczyłem w środku „Gazette” z tego dnia. Wtedy do mnie dotarło, że przespałem dwa dni, a nie jeden. Data niewiele dla mnie znaczyła... w tym okresie byłem trochę na bakier z kalendarzem... ale pamiętałem, że w poniedziałek rano Ardelia po raz ostatni wykopała mnie z łóżka i wtedy wykonałem telefon. Potem zobaczyłem nagłówki. Wyglądało na to, że przespałem największą sensację prasową w historii Junction City. Na jednej stronie napisano: TRWAJĄ POSZUKIWANIA ZAGINIONYCH DZIECI, obok zdjęć Toma Gibsona i Patsy Harrigan. Nagłówek na drugiej stronie głosił: KORONER OKRĘGOWY STWIERDZA: ZASTĘPCA SZERYFA ZMARŁ NA ATAK SERCA. Niżej znajdowało się zdjęcie Johna Powera.

Wziąłem jedną gazetę i zostawiłem pięciocentówkę na wierzchu stosu, bo tak się robiło dawniej, kiedy ludzie mieli do siebie większe zaufanie. Potem usiadłem na krawężniku i przeczytałem oba artykuły. Ten o dzieciach był krótszy. Rzecz w tym, że wtedy jeszcze nikt się o nie specjalnie nie martwił. Szeryf Beeman traktował to jak ucieczkę z domu.

Wybrała odpowiednie dzieciaki, nie ma co; to naprawdę była para urwisów, i dobrali się jak w korcu maku. Zawsze trzymali się razem. Mieszkali przy tej samej ulicy i w gazecie pisali, że tych dwoje podpadło tydzień wcześniej, kiedy matka Patsy przyłapała ich na paleniu papierosów w szopie za domem. Syn Gibsonów miał wuja nicponia, który mieszkał na farmie w Nebrasce, i Norm Beeman sądził, że właśnie tam się wybrali. Mówiłem wam, że nie był geniuszem. Ale skąd mógł wiedzieć? I w jednym miał rację: to nie były niezaradne dzieciaki, które wpadają do studni albo topią się w rzece. Ale ja wiedziałem, gdzie one są, i wiedziałem, że Ardelia znowu wygrała wyścig z czasem. Wiedziałem, że znajdą całą trójkę razem, i później tego dnia rzeczywiście znaleźli. Ocaliłem Tansy Power i ocaliłem siebie, ale niewielką w tym znalazłem pociechę.

Artykuł o Johnie Powerze był dłuższy. I już drugi, bo Powera znaleziono w poniedziałek późnym popołudniem. Wtorkowa

gazeta zamieściła jego nekrolog, ale nie podała przyczyny zgonu. Siedział za kierownicą wozu patrolowego niecałe dwa kilometry zachód od farmy Ordaya. Dobrze znałem to miejsce, bo tam zwykle skręcałem z drogi w kukurydzę, kiedy szedłem do Ardelii.

Łatwo mogłem wypełnić luki w tej historii. John Power nie lubił marnować czasu i pewnie od razu, jak tylko odwiesiłem słuchawkę w tej budce telefonicznej obok stacji Texaco, pojechał do Ardelii. Może najpierw zadzwonił do żony i kazał jej pilnować Tansy, dopóki nie da znać. Tego oczywiście nie było w gazecie, ale założę się, że tak zrobił.

Kiedy przyjechał, Ardelia się domyśliła, że na nią doniosłem i gra skończona. Więc go zabiła. Uściskała go na śmierć, jak pana Lavina. Twardy był z niego gość, jak mówiłem, ale klon też ma twardą korę, a jednak puści sok, jeśli się wbije siekierę dostatecznie głęboko. Ona pewnie wbiła bardzo głęboko.

Jak już nie żył, musiała go odstawić w radiowozie na miejsce, gdzie go znaleziono. Chociaż wtedy mało kto jeździł po Garson Road, i tak to wymagało sporo odwagi. Ale co innego mogła zrobić? Zadzwonić do biura szeryfa i zawiadomić, że John Power dostał ataku serca, kiedy z nią rozmawiał? Ściągnęłaby sobie na głowę dużo więcej pytań akurat wtedy, kiedy nie chciała zwracać na siebie uwagi. No i nawet Norm Beeman byłby ciekawy, dlaczego Johnowi Powerowi tak strasznie się śpieszyło do rozmowy z miejską bibliotekarką.

Więc wywiozła go po Garson Road prawie do farmy Ordaya, zaparkowała radiowóz w rowie, a potem wróciła do domu tym skrótem, którym ja zawsze chodziłem, przez kukurydzę.

Dave przeniósł wzrok z Sama na Naomi i z powrotem na Sama.

– Wiem, co zrobiła potem. Założę się, że zaczęła mnie szukać.

To nie znaczy, że wskoczyła do samochodu, krążyła po Junction City i zaglądała do moich zwykłych kryjówek. Nie musiała. Przez te wszystkie lata za każdym razem, kiedy mnie potrzebowała, pojawiała się tam, gdzie byłem, albo przysyłała do mnie któreś z dzieci z wiadomością na złożonej karteczce.

Nieważne, czy siedziałem na stosie skrzynek za fryzjernią, czy łowiłem ryby w strumieniu Grayling, czy po prostu leżałem pijany za magazynem kolejowym, wiedziała, gdzie mnie znaleźć. To był jeden z jej talentów.

Ale ostatnim razem, wtedy kiedy najbardziej chciała mnie znaleźć, nie udało jej się i chyba wiem dlaczego. Mówiłem wam, że po tym telefonie nie zasnąłem ani nawet nie zemdlałem; raczej jakbym zapadł w śpiączkę czy nawet umarł. Więc kiedy otworzyła to swoje wewnętrzne oko i zaczęła mnie szukać, nie mogła mnie zobaczyć. Nie wiem, ile razy tamtego dnia i tamtej nocy jej oko spoglądało dokładnie tam, gdzie leżałem, i nie chcę wiedzieć. Wiem tylko, że gdyby mnie znalazła, nie przysłałaby po mnie dzieciaka ze złożoną karteczką. Przyszłaby sama i nawet nie potrafię sobie wyobrazić, co by mi zrobiła za to, że pokrzyżowałam jej plany.

Pewnie i tak by mnie znalazła, gdyby miała więcej czasu, ale nie miała. Przygotowała już sobie plan, to po pierwsze. Po drugie, jej przemiana coraz bardziej przyśpieszała. Zbliżała się jej pora snu i nie mogła tracić czasu na szukanie mnie. Poza tym na pewno wiedziała, że w przyszłości będzie miała następną okazję. I teraz ta okazja nadeszła.

– Nie rozumiem, o co ci chodzi – powiedział Sam.

– Ależ rozumiesz – odparł Dave. – Kto zabrał książki, przez które wpadłeś w ten syf? Kto je oddał do przerobienia na pulpę razem z twoimi gazetami? Ja. Myślisz, że ona o tym nie wie?

– Sądzisz, że ona wciąż ciebie chce? – zapytała Naomi.

– Owszem, ale nie tak jak dawniej. Teraz chce mnie tylko zabić. – Odwrócił głowę i jego jasne, smutne oczy napotkały spojrzenie Sama. – Teraz chce ciebie.

Sam roześmiał się z zażenowaniem.

– Trzydzieści lat temu na pewno była z niej wystrzałowa sztuka, ale się zestarzała. Nie jest w moim typie.

– Chyba jednak nie rozumiesz – stwierdził Dave. – Ona nie chce się z tobą rznąć, Sam; ona chce być tobą.

Po dłuższej chwili Sam się odezwał:

– Zaraz. Zaczekaj.

– Słuchałeś mnie, ale nie potraktowałeś tego całkiem poważnie. – Dave mówił cierpliwie, lecz w jego głosie brzmiało zmęczenie, straszliwe zmęczenie. – Więc posłuchaj jeszcze trochę.

Kiedy Ardelia zabiła Johna Powera, odwiozła zwłoki dostatecznie daleko, żeby nie padło na nią podejrzenie. Potem działała dalej: po południu otworzyła bibliotekę, jak zawsze. Częściowo dlatego, że winowajca wygląda bardziej podejrzanie, jeśli nagle zmienia swój zwykły rozkład zajęć, ale nie tylko z tego powodu. Zaczynała się przemieniać i potrzebowała życia tych dzieci. Nawet mnie nie pytajcie dlaczego, bo nie wiem. Może zanim zapadła w sen zimowy, musiała się nazreć jak niedźwiedź. Wiem tylko tyle, że w tamten poniedziałek po południu odbyła się Godzina Bajek... Ardelia tego dopilnowała.

Podczas tej Godziny Bajek, kiedy wszystkie dzieci siedziały pogrążone w transie, w który je wprowadziła, powiedziała Tomowi i Patsy, żeby przyszli do biblioteki we wtorek rano, chociaż latem we wtorki i czwartki biblioteka była zamknięta. Kiedy przyszli, załatwiła ich, a potem zapadła w sen... w taki sen, który wygląda jak śmierć. A teraz, trzydzieści lat później, zjawiasz się ty, Sam. Znasz mnie, a Ardelia wciąż chce ze mną wyrównać rachunki, więc to początek... ale jest coś jeszcze lepszego. Ty wiesz o Bibliotecznej Policji.

– Nie wiem, skąd...

– Nie, nie wiesz, i dlatego tym bardziej się nadajesz. Bo tajemnice tak okropne, że ukrywamy je nawet przed sobą, to najlepsze tajemnice dla kogoś takiego jak Ardelia Lortz. I kolejne plusy: jesteś młody, jesteś kawalerem i nie masz przyjaciół. Prawda?

– Przyznałbym ci rację aż do dziś – powiedział Sam po chwili namysłu. – Myślałem, że jedyni przyjaciele, jakich miałem

w Junction City, wyjechali. Ale teraz uważam ciebie i Naomi za przyjaciół, Dave. Uważam was za bardzo dobrych przyjaciół. Najlepszych.

Naomi wzięła go za rękę i lekko uścisnęła.

– Doceniam to – powiedział Dave. – Ale to bez znaczenia, bo ona zamierza wykończyć również mnie i Sarah. Im więcej, tym lepiej, jak mi kiedyś powiedziała. Musi odebrać życie, żeby przetrwać czas przemiany... a przebudzenie też jest dla niej czasem przemiany.

– Twierdzisz, że ona zamierza jakoś opętać Sama? – zapytała Naomi.

– Trochę więcej niż opętać, Sarah. Wydaje mi się, że zamierza zniszczyć w Samie wszystko to, dzięki czemu jest Samem. Myślę, że zamierza go wydrążyć w środku, jak dzieciak wydrąża dynię, żeby zrobić latarnię na Halloween, a potem włoży go na siebie jak nowe ubranie. A wtedy... jeśli do tego dojdzie... on dalej będzie wyglądał jak mężczyzna, jak Sam Peebles, ale nie będzie już mężczyzną, podobnie jak Ardelia Lortz nigdy nie była kobietą. Chyba zawsze wiedziałem, że pod jej skórą kryje się coś nieludzkiego, jakiś stwór... jest w środku, ale na zawsze pozostanie obcy. Skąd pochodzi Ardelia Lortz? Gdzie mieszkała, zanim przyjechała do Junction City? Pewnie gdyby sprawdzić referencje, które pokazała panu Lavinowi, okazałoby się, że wszystkie są kłamstwem i że nikt w tym mieście, w którym zostały wystawione, nic nie wie. Sądzę, że los Johna Powera przypieczętowała zbytnia dociekliwość w tej sprawie. Ale myślę, że kiedyś żyła prawdziwa Ardelia Lortz – w Pass Christian w Missisipi... albo w Harrisburgu w Pensylwanii... albo w Portlandzie w Maine – i ten stwór nią owładnął i ubrał się w nią. Teraz znowu chce to zrobić. Jeśli na to pozwolimy, to za parę tygodni w jakimś innym mieście – w San Francisco w Kalifornii albo w Butte w Montanie, albo w Kingston w Rhode Island – pojawi się niejaki Sam Peebles. Miejscowi w większości go polubią. Szczególnie polubią go dzieci... chociaż

z niezrozumiałych powodów będą się go również bały, i nie będą mogły o tym mówić.

I oczywiście będzie bibliotekarzem.

ROZDZIAŁ 12

Samolotem do Des Moines

1

Sam spojrzął na zegarek i zdumiał się, że dochodzi piętnasta. Zaledwie dziewięć godzin zostało do północy, kiedy znowu pojawi się wysoki mężczyzna o srebrnych oczach. Albo Ardelia Lortz. Albo oboje razem.

– Jak myślisz, co powinienem zrobić, Dave? Pójść na miejscowy cmentarz, znaleźć zwłoki Ardelii i przebić jej serce kołkiem?

– Niezły wyczyn, gdyby ci się udało, ponieważ ona została skremowana – odparł Dave.

– Och – bąknął Sam.

Opadł na fotel z cichym, bezradnym westchnieniem. Naomi znowu wzięła go za rękę.

– W każdym razie nie będziesz niczego robił sam – oświadczyła stanowczo. – Dave mówi, że ona chce wykończyć również nas, nie tylko ciebie, ale nie o to chodzi. Przyjaciele pomagają sobie w kłopotach. O to chodzi. Bo po co ma się przyjaciół?

Sam podniósł jej rękę do ust i pocałował.

– Dziękuję, ale nie wiem, co możecie zrobić. Albo ja. Zdaje się, że nic nie można zrobić. Chyba że... – spojrzął z nadzieją na Dave'a. – Chyba że ucieknę?

Dave pokręcił głową.

– Ona... albo ono... widzi. Mówiłem ci. Pewnie gdybyś naprawdę przycisnął gaz do dechy i gdyby gliny cię nie złapały, przed północą dojechałbyś aż do Denver, ale Ardelia Lortz czekałaby na ciebie, kiedy wysiadłbyś z samochodu. Albo po

kolejnych paru kilometrach w ciemności spojrzalbyś w bok i zobaczył, że Biblioteczny Policjant siedzi obok ciebie na miejscu pasażera.

Na myśl o tym – o tej białej twarzy i srebrnych oczach, oświetlonych tylko zielonym blaskiem deski rozdzielczej – Sam zadrżał.

– No więc co?

– Myślę, że oboje wiecie, co najpierw trzeba zrobić – oznajmił Dave. Dopił resztę mrożonej herbaty i postawił szklankę na podłodze. – Zastanówcie się przez chwilę, to zrozumiecie.

Wszyscy troje popatrzyli na elewator zbożowy. W głowie Sama panował straszliwy zamęt; docierały do niego tylko oderwane strzępki opowieści Dave’a Duncana i lekko sepleniący głos Bibliotecznego Policjanta: „Nie chcę słuchać twoich żałofnych wymówek... Masz czas do północy... potem znowu przyjdę”.

To twarz Naomi nagle się rozjaśniła.

– Oczywiście! Co za głupota! Ale...

Zadała pytanie Dave’owi i Sam szeroko otworzył oczy, kiedy zrozumiał.

– Jest takie miejsce w Des Moines, jeśli dobrze pamiętam – powiedział Dave. – U Pella. Jeśli ktoś może pomóc, to oni. Zadzwonisz do nich, Sarah?

2

– Nawet jeśli oni to mają, nie zdążymy tam przed zamknięciem – powiedział Sam po jej wyjściu. – Mogę chyba spróbować...

– Wcale nie chciałem, żebyś jechał samochodem – odparł Dave. – Nie, ty i Sarah musicie polecieć z lotniska Proverbia.

Sam zamrugał.

– Nie wiedziałem, że w Proverbii jest lotnisko.

Dave uśmiechnął się.

– No... to może lekka przesada. Jest tam trzysta metrów ubitej ziemi, którą Stan Soames nazywa pasem startowym. Pokój frontowy u Stana to biuro Western Iowa Air Charter. Pogadajcie ze Stanem. Ma małego navajo. Zabierze was do Des Moines i wrócicie o ósmej, najpóźniej o dziewiątej.

– A jeśli go nie zastaniemy?

– To spróbujemy wykombinować coś innego. Ale myślę, że będzie w domu. Bardziej od latania Stan kocha tylko uprawę roli, a na wiosnę rolnicy nie zapuszczają się daleko. Pewnie powie, że nie może was zabrać, bo musi pracować w ogrodzie, powie, że powinniście byli się umówić kilka dni wcześniej, żeby mógł sprowadzić syna Carterów do pilnowania jego rasowych świń. Jeśli zacznie marudzić, powiedzcie mu, że przysłał was Dave Duncan i Dave mówi, że czas zapłacić za piłki baseballowe. Zapamiętasz?

– Tak, ale co to znaczy?

– Nie twój interes – burknął Dave. – Ważne, że was zabierze. A jak wylądujecie z powrotem, nie fatygujcie się tutaj. Ty i Sarah jedźcie prosto do miasta.

Sam poczuł, że znowu ogarnia go strach.

– Do biblioteki?

– Właśnie.

– Dave, to wszystko, co Naomi mówiła o przyjaźni, było bardzo miłe... i może nawet prawdziwe... ale odtąd chyba powinienem działać sam. Żadne z was nie musi w tym uczestniczyć. To ja jestem odpowiedzialny za jej przebudzenie...

Dave wyciągnął rękę i z zadziwiającą siłą chwycił Sama za nadgarstek.

– Jeśli naprawdę tak myślisz, to wcale mnie nie słuchałeś. Nie jesteś za nic odpowiedzialny. Ja mam na sumieniu śmierć Johna Powera i dwójki małych dzieci... nie wspominając o okropnościach, które przeżyło nie wiem ile innych dzieci... ale też nie jestem odpowiedzialny. Wcale. Nie dążyłem do związku z Ardelią Lortz, tak samo, jak nie dążyłem do trzydziestu lat pijaństwa. Jedno i drugie po prostu się stało. Ale ona żywi do

mnie urażę i wróci po mnie, Sam. Jeśli nie będę z tobą, kiedy się zjawi, najpierw odwiedzi mnie. I nie tylko mnie. Sarah miała rację, Sam. Ona i ja nie musimy trzymać się razem, żeby cię chronić; nasza trójka musi trzymać się razem, żeby chronić się nawzajem. Sarah wie o Ardellii, nie rozumiesz? Jeśli Ardelia jeszcze tego nie wie, dowie się, jak tylko się pojawi. Planuje wyruszyć z Junction City jako ty, Sam. Myślisz, że zostawi przy życiu kogoś, kto zna jej nową tożsamość?

– Ale...

– Żadnych ale – uciął Dave. – W końcu wszystko sprowadza się do prostego wyboru, który rozumie nawet taki stary pijak jak ja: przejdziemy przez to razem albo ona nas zabije.

Nachylił się do Sama.

– Jeśli chcesz ocalić Sarah przed Ardelią, nie zgrywaj bohatera, tylko przypomnij sobie, kim był twój Biblioteczny Policjant. Musisz sobie przypomnieć. Bo nie wierzę, że Ardelia może wcielić się w każdego. W tej sprawie jest tylko jeden zbieg okoliczności, ale decydujący: kiedyś ty też miałeś swojego Bibliotecznego Policjanta. I musisz odzyskać to wspomnienie.

– Staram się – rzucił Sam i wiedział, że to kłamstwo. Bo za każdym razem, kiedy zwracał myśli do

(chodź ze mną, synu... jeftem policjaaantem)

tego głosu, wzdrygał się i cofał. Czuł smak czerwonej lukrecji, której nigdy nie jadł i zawsze nie znosił... i to było wszystko.

– Musisz się bardziej postarać – oświadczył Dave. – Albo już po nas.

Sam głęboko wciągnął powietrze i wypuścił. Dave dotknął jego karku i łagodnie uściskał.

– To jest klucz – powiedział. – Może nawet odkryjesz, że to jest klucz do wszystkiego, co cię dręczyło przez całe życie. Do twojej samotności i smutku.

Sam spojrzał na niego zaskoczony. Dave się uśmiechnął.

– O tak. Jesteś samotny, jesteś smutny i zamykasz się przed ludźmi. Umiesz wstawiać gadkę, ale to pozory. Do dzisiaj byłem dla ciebie tylko Brudnym Dave'em, który raz na miesiąc zabiera

twoje gazety, ale ktoś taki jak ja dużo widzi, Sam. A swój pozna swego.

– Klucz do wszystkiego. – Sam się zamyślił. Ciekawe, czy takie wygodne rozwiązania istnieją naprawdę, nie tylko w poczytnych powieściach i reklamowanych filmach z postaciami Dzielnych Psychiatrów i Zaburzonych Pacjentów.

– To prawda – upierał się Dave. – Takie rzeczy mają straszliwą moc, Sam. Nie dziwię ci się, że nie chcesz tego szukać. Ale wiesz, że jeśli zechcesz, możesz odkryć prawdę. Wybór należy do ciebie.

– Tego też się nauczyłeś na mityngach AA?

– No, tam tego uczą, ale i tak zawsze to wiedziałem – odpowiedział z uśmiechem Dave.

Naomi wróciła na werandę. Uśmiechała się i oczy jej błyszczały.

– Śliczna jest, prawda? – zagadnął cicho Dave.

– Tak – przyznał Sam. – To prawda.

Doskonale zdawał sobie sprawę z dwóch rzeczy: że się zakochał i że Dave Duncan o tym wie.

3

– Facet sprawdzał tak długo, że zaczęłam się martwić, ale mamy szczęście – oznajmiła Naomi.

– Dobrze – stwierdził Dave. – Więc wy dwoje jedziecie do Stana Soamesa. Sarah, czy w ciągu roku szkolnego bibliotekę wciąż zamyka się o ósmej?

– Tak... na pewno.

– Więc zajrzę tam około piątej. Spotkamy się z tyłu, na rampie załadunkowej, między ósmą a dziewiątą. Lepiej bliżej ósmej... i bezpieczniej. Na litość boską, postarajcie się nie spóźnić.

– Jak się dostaniemy do środka?

– Nie martw się, ja się tym zajmę. Jedźcie już.

– Może powinniśmy zadzwonić stąd do tego Soamesa – zaproponował Sam. – Upewnić się, że jest w domu.

Dave pokręcił głową.

– To nic nie da. Cztery lata temu Stana rzuciła żona dla innego faceta. Twierdziła, że ożenił się ze swoją pracą. Zawsze to dobra wymówka dla kobiety, która ma chęć na zmianę. Dzieci nie mieli. Stan będzie na polu. No, ruszajcie. Szkoda dnia.

Naomi nachyliła się i pocałowała go w policzek.

– Dziękuję, że nam opowiedziałeś.

– Cieszę się, że to zrobiłem. Poczuję się dużo lepiej.

Sam wyciągnął rękę do Dave'a, ale zmienił zdanie. Schylił się i uściskał staruszkę.

4

Stan Soames był wysokim, kościstym mężczyzną o gniewnych oczach płonących w łagodnej twarzy, spalonej słońcem jak w lecie, chociaż kalendarzowa wiosna trwała dopiero niecały miesiąc. Sam i Naomi znaleźli go na polu za domem, tak jak zapowiedział Dave. Siedemdziesiąt metrów na północ od zabłoconej glebogryzarki, pracującej na jałowym biegu, Sam spostrzegł coś jakby polną drogę, ale ponieważ na jednym końcu stał mały samolot nakryty plandeką, a na drugim trzepotał rękaw przyczepiony do zardzewiałego słupa, założył, że patrzy na jedyny pas startowy lotniska Proverbiala.

– Nie da rady – powiedział Soames. – Mam prawie pięćdziesiąt hektarów do zaorania w tym tygodniu i nikt mnie nie wyręczy. Trzeba było zadzwonić dwa, trzy dni wcześniej.

– To sprawa życia i śmierci – powiedziała Naomi. – Naprawdę, panie Soames.

Soames westchnął i rozłożył ramiona, jakby chciał objąć całe gospodarstwo.

– Chcecie wiedzieć, co to jest sprawa życia i śmierci? – zapytał.

– To, co rząd robi takim farmom i takim ludziom jak ja. To jest, kurka wodna, sprawa życia i śmierci. Słuchajcie, w Cedar Rapids jest facet, który może...

– Nie mamy czasu jechać do Cedar Rapids – przerwał mu Sam.

– Dave nas uprzedził, że pan pewnie powie...

– Dave? – Stan Soames po raz pierwszy spojrział na niego z zainteresowaniem. – Jaki Dave?

– Duncan. Kazał mi powiedzieć, że czas zapłacić za piłki baseballowe.

Soames zmarszczył brwi. Ręce zacisnęły mu się w pięści i przez chwilę Sam myślał, że oberwie. Potem nagle Stan zaśmiał się i pokręcił głową.

– Po tylu latach Dave Duncan ni z tego, ni z owego wyskakuje z rachunkiem do zapłacenia! Niech mnie szlag!

Ruszył w stronę glebogryzarki. Po paru krokach odwrócił głowę i podniósł głos, żeby przekrzyczyć entuzjastyczne beczenie maszyny.

– Idźcie do samolotu! Ja tymczasem odstawię to draństwo! Uważajcie na kałużę przy brzegu pasa, bo pogubicie w niej cholerne buty!

Wrzucił bieg w glebogryzarkę. Zdawało się, że wciąż się śmieje, chociaż w tym hałasie Sam nie słyszał wyraźnie.

– Myślałem, że ten stary pijak się przekręci, zanim wyrównam z nim rachunki! – Z rykiem silnika pojechał w stronę stodoły.

Sam i Naomi wymienili spojrzenia.

– Co to wszystko miało znaczyć? – zapytała Naomi.

– Nie wiem... Dave mi nie powiedział. – Podał jej ramię. – Zechce pani pójść ze mną?

Wzięła go pod rękę.

– Dziękuję panu.

Starali się ominąć błotnistą kałużę, przed którą ostrzegwał Stan Soames, ale nie całkiem im się udało. Naomi zapadła się po kostkę i kiedy wyrwała stopę, pantofel został w błocie. Sam wyciągnął go, a potem nagle wziął Naomi na rękę.

– Sam, nie! – krzyknęła zaskoczona, ze śmiechem. – Złamiesz sobie kręgosłup!

– Nie ma strachu – zapewnił. – Jesteś lekka.

Naprawdę była lekka... aż zakręciło mu się w głowie. Zaniósł ją po łagodnej pochyłości pasa startowego do samolotu i postawił na nogi. Oczy Naomi, spokojne, jasne i przejrzyste, napotkały

jego wzrok. Bez namysłu pochylił się i pocałował ją. Zarzuciła mu ręce na szyję i oddała pocałunek.

Kiedy znowu na nią spojrział, trochę brakowało mu tchu. Naomi się uśmiechała.

– Możesz mnie nazywać Sarah, kiedy tylko zechcesz – powiedziała.

Sam roześmiał się i znowu ją pocałował.

5

Lot małym navajo ze Stanem Soamesem przypominał skoki na żabiej łasce. Rzucali ich na wszystkie strony w niespokojnych prądach wiosennego powietrza i Sam raz czy dwa pomyślał, że mogą się wymknąć Ardelii w całkiem nieprzewidziany sposób: rozsmarować się po polu kukurydzy.

Jednak Stan Soames wcale się nie martwił; ryczał na cały głos stare, trącące myszką ballady, jak *Sweet Sue* i *The Sidewalks of New York*, kiedy navajo pędził na złamanie karku do Des Moines. Oczarowana Naomi wyglądała przez okno na pola, drogi i domy w dole, osłaniając oczy dłońmi dla ochrony przed odblaskiem.

W końcu Sam klepnął ją po ramieniu.

– Zachowujesz się tak, jakbyś jeszcze nigdy nie leciała samolotem! – krzyknął poprzez cienkie jak u komara buczenie silnika.

Odwróciła się do niego na chwilę z szerokim uśmiechem, jak zachwycona uczennica.

– Bo nie leciałam! – odkrzyknęła i natychmiast wróciła do oglądania widoków.

– Coś takiego – mruknął Sam i kiedy samolot wykonał następny ogromny, wstrząsający skok, mocniej zacisnął pas bezpieczeństwa.

6

Było dwadzieścia po szóstej, kiedy navajo sfrunął z nieba i wylądował na okręgowym lotnisku w Des Moines. Soames podkołował do terminalu lotnictwa cywilnego, zgasił silnik i otworzył drzwi. Sam z lekkim rozbawieniem stwierdził, że czuje ukłucie zazdrości, kiedy Soames chwycił Naomi w tali, żeby pomóc jej zejść.

– Dziękuję! – wydyszała. Policzki miała mocno zarumienione, w oczach tańczyły iskry. – To było cudowne!

Soames uśmiechnął się i nagle wyglądał na czterdzieści lat, nie na sześćdziesiąt.

– Też to zawsze lubiłem – powiedział. – To lepsze niż odbijanie sobie nerek na glebogryzarcie przez całe popołudnie... muszę przyznać. – Przeniósł spojrzenie z Naomi na Sama. – Możecie mi powiedzieć, co to za pilna sprawa? Pomogę w miarę możliwości... zawdzięczam Dave'owi dużo więcej niż żabi skok z Proverbii do Des Moines i z powrotem.

– Musimy się dostać do miasta – powiedział Sam. – Do księgarni Pella. Mają dla nas dwie książki.

Stan Soames wytrzeszczył na nich oczy.

– Że co?

– Księgarnia Pella...

– Znam Pella – przerwał. – Nowe książki od frontu, stare z tyłu. Największy wybór na Środkowym Zachodzie, tak się reklamują. Jedno chcę wyjaśnić: wyciągnęliście mnie z ogrodu i kazaliście lecieć przez cały stan, żeby kupić dwie książki?

– To są bardzo ważne książki, panie Soames – powiedziała Naomi. Dotknęła szorstkiej ręki farmera. – W tej chwili to najważniejsza rzecz w moim życiu... i Sama.

– I Dave'a – dodał Sam.

– Jak mi powiecie, o co chodzi, będę w stanie zrozumieć?

– Nie – uciął Sam.

– Nie – powtórzyła Naomi z lekkim uśmiechem.

Soames głośno sapnął przez szeroki nos i wsadził ręce w kieszenie spodni.

– No, to chyba i tak bez znaczenia. Miałem u Dave’a dług od dziesięciu lat i czasami mocno mi ciążył na sercu. – Rozjaśnił się.
– No i zafundowałem ślicznej panience jej pierwszy lot samolotem. Jedyna rzecz ładniejsza niż dziewczyna po jej pierwszym locie to dziewczyna po jej pierwszym...

Urwał nagle i poszurał butami po asfalcie. Naomi dyskretnie spojrzała w stronę horyzontu. W tejże chwili podjechała cysterna z paliwem. Soames podszedł tam szybko i wdał się w ożywioną konwersację z kierowcą.

– Zrobiłaś spore wrażenie na naszym nieustraszonym pilocie – zauważył Sam.

– Może i tak. Czuję się wspaniale, Sam. Czy to nie wariactwo? Założył jej za ucho niesforny loczek.

– To jest zwariowany dzień. Najbardziej zwariowany dzień, jaki pamiętam.

Ale wtedy odezwał się wewnętrzny głos – wypłynął z głębin, gdzie wciąż poruszały się ogromne kształty – i powiedział, że to nie całkiem prawda. Był jeszcze jeden dzień równie zwariowany. Bardziej zwariowany. Dzień *Czarnej strzały* i czerwonej lukrecji.

Znowu wezbrała w nim dziwna, tłumiona panika i zamknął uszy na ten głos.

Jeśli chcesz ocalić Sarah przed Ardelią, Sam, nie zgrywaj bohatera, tylko przypomnij sobie, kim był twój Biblioteczny Policjant.

Nie pamiętam! Nie mogę! Nie... nie powinienem!

Musisz odzyskać to wspomnienie.

Nie wolno mi! To zabronione!

Musisz bardziej się postarać albo już po nas.

– Ja naprawdę muszę już iść do domu – wymamrotał Sam Peebles.

Naomi, która odeszła, żeby obejrzeć klapy samolotu, usłyszała go i zawróciła.

– Mówiłeś coś? – zapytała.

– Nic. Nieważne.

– Jesteś potwornie blady.

- Bardzo się denerwuję – rzucił z rozdrażnieniem.
- Wrócił Stan Soames. Pozdrowił kierowcę cysterny podniesionym kciukiem.
- Dawson mówi, że mogę wziąć jego samochód. Zawiozę was do miasta.
- Możemy zadzwonić po taksówkę... – zaczął Sam.
- Naomi pokręciła głową.
- Za mało czasu. Bardzo dziękujemy, panie Soames.
- A tam, drobiazg – odparł farmer i obdarzył ją chłopięcym uśmiechem. – Możesz mi mówić Stan. Jedziemy. Dawson mówi, że znad Kolorado przesuwa się niż. Chciałbym wrócić do Junction City, zanim się rozpada.

7

Księgarnia Pella, wielka jak stodoła, ulokowana na obrzeżach dzielnicy handlowej Des Moines, stanowiła całkowite przeciwieństwo sieciówek wyrastających w pasażach handlowych. Kiedy Naomi zapytała o Mike’a, skierowano ją do obsługi klienta, stanowiska umieszczonego jak punkt odprawy celnej pomiędzy działem sprzedającym nowe książki a znacznie większym ze starymi.

– Nazywam się Naomi Higgins. Rozmawiałam z panem wcześniej przez telefon?

– Ach, tak – powiedział Mike. Pogrzebał na zapchanych półkach i wyciągnął dwie książki. *Ulubione wiersze Ameryki* i *Poradnik mówcy* wydany przez Kenta Adelmęna. Sam Peebles nigdy w życiu tak się nie ucieszył z widoku dwóch książek. Musiał się powstrzymać, żeby nie wyrwać ich z rąk sprzedawcy i nie przytulić do piersi.

– *Ulubione wiersze* to łatwizna, ale *Poradnik mówcy* jest wyczerpany – powiedział Mike. – Z całą pewnością w żadnej innej księgarni stąd aż do Denver nie znajdziecie takiego ładnego egzemplarza jak ten... oczywiście oprócz egzemplarzy bibliotecznych.

– Obie wyglądają wspaniale – zapewnił Sam, głęboko poruszony.

– Czy to na prezent?

– Coś w tym rodzaju.

– Mogę je dla państwa ozdobnie zapakować; to zajmie tylko sekundkę.

– To nie będzie konieczne – odparła Naomi.

Łączna cena obu książek wyniosła dwadzieścia dwa dolary i pięćdziesiąt siedem centów.

– Nie mogę uwierzyć – powiedział Sam, kiedy wyszli z księgarni i ruszyli do miejsca, gdzie Stan zaparkował pożyczony samochód. Mocno trzymał torbę w jednej ręce. – Nie mogę uwierzyć, że to takie proste... tylko zwrócić książki.

– Nie martw się – powiedziała Naomi. – To nie będzie proste.

8

W drodze powrotnej na lotnisko Sam zapytał Stana Soamesa, czy może im opowiedzieć o Davie i piłkach baseballowych.

– Jeśli to coś osobistego, w porządku. Jestem tylko ciekawy.

Soames zerknął na torbę, którą Sam trzymał na kolanach.

– Ja też jestem trochę ciekawy tych książek – powiedział. – Dobijmy targu. Sprawa z piłkami zdarzyła się dziesięć lat temu. Opowiem wam o tym, jeśli wy za dziesięć lat opowiecie mi o tych książkach.

– Umowa stoi – odezwała się Naomi z tylnego siedzenia, a potem dodała coś, o czym pomyślał również Sam: – Oczywiście jeśli będziemy żyli.

Soames zaśmiał się.

– Taa... zawsze coś się może stać, prawda?

Sam kiwnął głową.

– Wypadki chodzą po ludziach.

– No pewnie. Jeden spotkał mojego jedynaka w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym roku. Lekarze mówili, że to

białaczka, ale naprawdę to był właśnie taki wypadek, o jakim mówiłeś.

– Och, tak mi przykro – powiedziała Naomi.

– Dzięki. Czasem myślę, że już to przebolełem, ale potem to mnie znowu dopada i daje w kość. Trzeba czasu, żeby się pogodzić z czymś takim, a z niektórymi rzeczami nigdy nie można się pogodzić.

Z niektórymi rzeczami nigdy nie można się pogodzić.

Chodź ze mną, synu... jeftem policjaaantem.

Ja naprawdę muszę już iść do domu... czy zapłaciłem karę?

Sam drżącą ręką dotknął kącika ust.

– No więc tak, znałem Dave’a od dawna, zanim to się zdarzyło – zaczął Stan Soames. Minęli znak drogowy z napisem: LOTNISKO 5 KILOMETRÓW. – Razem dorastaliśmy, razem chodziliśmy do szkoły, razem balowaliśmy w młodości. Tylko że ja się wyszumiałem i dałem sobie spokój. Dave dalej rozrabiał.

Soames pokręcił głową.

– Pijany czy trzeźwy, był najmilszym kompanem pod słońcem. Ale częściej bywał pijany niż trzeźwy i jakoś straciliśmy ze sobą kontakt. Chyba najgorszy okres miał pod koniec lat pięćdziesiątych. Wtedy pił na umór. Później zaczął chodzić na spotkania AA i trochę przyhamował... ale zawsze znowu wpadał w ciąg. Ożeniłem się w sześćdziesiątym ósmym i chciałem go poprosić na drużbę, ale się nie odważyłem. Akurat tym razem zjawił się trzeźwy... ale w tym względzie nie można mu było zaufać.

– Wiem, o czym mówisz – powiedziała cicho Naomi.

– No, raczej wątpię. – Stan Soames się zaśmiał. – Takie słodkie maleństwo jak ty nie ma pojęcia, jak potrafi się upodlić zdeklarowany moczymorda, ale uwierz mi na słowo. Gdybym poprosił Dave’a na świadka na ślubie, Laura... moja była... dostałaby pierdolca. Ale Dave przyszedł i spotykaliśmy się trochę częściej, kiedy w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym urodził się mój syn Joe. Dave jakoś lgnął do wszystkich dzieciaków w tamtych latach, kiedy próbował wyjść z nałogu.

Joey najbardziej na świecie kochał baseball. Szalał za tym... zbierał nalepki, opakowania z gumy do żucia... nawet mnie zamęczał, żebym założył antenę satelitarną, żebyśmy mogli oglądać wszystkie mecze Royalsów... kibicował Royalsom i Cubsom też... na WGN z Chicago. Zanim skończył osiem lat, znał przeciętną wynikową wszystkich graczy, którzy zaczynali u Royalsów, i rekordy wygranych i przegranych chyba każdego cholernego pitchera w American League. Dave i ja kilka razy zabraliśmy go na mecze. Całkiem jakby zafundować dzieciakowi wycieczkę z przewodnikiem po niebie. Dave zabrał go sam dwa razy, kiedy musiałem pracować. Laura panikowała z tego powodu... mówiła, że Dave się schleje jak świnia i zostawi chłopca, żeby się błąkał po ulicach Kansas City albo czekał na jakimś posterunku policji, aż ktoś się po niego zgłosi. Ale nic takiego się nie stało. O ile mi wiadomo, Dave nie brał alkoholu do ust, kiedy był z chłopcem.

Kiedy Joe zachorował na białaczkę, najbardziej rozpaczał, że lekarze zabronili mu chodzić na mecze przez cały rok, co najmniej do czerwca. Bardziej się tym martwił niż swoim rakiem. Raz Dave przyszedł go odwiedzić i mały się popłakał. Dave uściskał go i powiedział: „Nie szkodzi, że nie możesz chodzić na mecze, Joey; sprowadzę ci Royalsów”.

Joe wytrzeszczył na niego oczy i pyta: „To znaczy osobiście, wujku Dave?”. Tak go nazywał: „wujek Dave”.

„Tego nie mogę zrobić – mówi Dave. – Ale mogę zrobić coś prawie równie dobrego”.

Soames podjechał do bramy terminalu cywilnego lotniska i nacisnął klakson. Brama z hurgotem odsunęła się na prowadnicach i podjechali do zaparkowanego navajo. Zgasił silnik i siedział przez chwilę za kierownicą, wpatrzony we własne ręce.

– Zawsze wiedziałem, że ten drań ma talent – powiedział wreszcie. – Nie wiem tylko, jak on to zrobił tak cholernie szybko. Musiał zasuwać dniami i nocami, bo uwinął się w dziesięć dni... i wyszło mu super.

No, wiedział, że musi pracować szybko. Widzicie, lekarze powiedzieli mnie i Laurze prawdę, a ja powiedziałem Dave'owi. Joe nie miał szans na przeżycie. Za późno odkryli, co mu jest. Choroba szalała w jego krwi jak pożar prerii.

Jakieś dziesięć dni po złożeniu tej obietnicy Dave zjawił się w szpitalnym pokoju mojego syna i pod pachami trzymał dwie papierowe torby na zakupy. „Co tam masz, wujku Dave?”, pyta Joe i siada prosto w łóżku. Przez cały dzień był przybity... głównie dlatego, że wypadaly mu włosy; w tamtych czasach jeśli dzieciak nie miał długich kudłów, nikt go nie szanował... ale na widok Dave'a zaraz się rozjaśnił.

„Royalsów, oczywiście – odpowiada Dave. – Przecież ci mówiłem”.

I wysypał zawartość tych dwóch toreb na łóżko. Nigdy, nigdy w całym życiu nie widzieliście takiego wyrazu na twarzy małego chłopca. Jakby zapaliły się lampki na choince... i... cholera, nie wiem...

Stan Soames mówił coraz bardziej zachrypłym głosem. Zgiął się nad kierownicą pożyczonego buicka tak mocno, że uruchomił klakson. Wyciągnął z tylnej kieszeni wielką chustkę, wytarł oczy i wydmuchał nos.

Naomi też pochyliła się do przodu i pogłaskała Soamesa po policzku.

– Jeśli to za trudne dla pana, panie Soames...

– Nie – zaprzeczył i uśmiechnął się lekko. Sam patrzył, jak łza, którą Stan Soames pominął, spływa niezauważona po policzku, błyszcząc w popołudniowym słońcu. – Tylko tak wyraźnie go sobie przypominam. Jaki był. To boli, panienko, ale też sprawia radość. Jedno z drugim jest jakoś połączone.

– Rozumiem – powiedziała Naomi.

– Kiedy Dave przechylił te torby, wysypały się piłki baseballowe... ponad dwadzieścia. Ale to nie były zwykłe piłki, bo na każdej namalowano twarz. Twarz gracza z drużyny baseballowej Kansas City Royals z roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego. I to nie były żadne, jak im tam, karykatury.

Były równie żywe jak twarze, które dawniej malował Norman Rockwell na okładki „Saturday Evening Post”. Widziałem prace Dave’a, które powstały, zanim zaczął pić na potęgę, i były dobre, ale żadna się nie umywała do tego. Był tam Willie Aikens i Frank White, i U.L. Washington, i George Brett... Willie Wilson i Amos Otis... Dan Quisenberry spoglądający groźnie jak rewolwerowiec w jakimś starym westernie... Paul Splittorff i Ken Brett... nie pamiętam wszystkich nazwisk, ale tam był cały cholerny skład, włącznie z Jimem Freyem, trenerem.

A kiedy skończył malować, zanim dał te piłki mojemu synowi, zawiózł je do Kansas City i namówił wszystkich graczy oprócz jednego, żeby je podpisali. Ten jeden to był Darrell Porter, łapacz. Leżał w domu z grypą, ale obiecał podpisać piłkę ze swoją twarzą, jak tylko będzie mógł. I podpisał.

– O rany – powiedział cicho Sam.

– I to wszystko zrobił Dave... ten sam, którego ludzie w mieście wyśmiewają i przezywają Brudny Dave. Mówię wam, kiedy słyszę, jak tak mówią, i przypominam sobie, co Dave zrobił dla Joeya, kiedy mały umierał na białaczkę, mógłbym...

Nie dokończył, ale ręce zwinęły mu się w pięści na potężnych udach. A Sam – który do dzisiejszego dnia też tak przezywał Dave’a i śmiał się razem z Craigiem Jonesem i Frankiem Stephenem ze starego pijaka ciągnącego wózek na zakupy wyładowany gazetami – poczuł na policzkach gorący rumieniec wstydu.

– To było coś cudownego, prawda? – zapytała Naomi i znowu dotknęła policzka Stana Soamesa. Płakała.

– Żebyście widzieli jego twarz – powiedział marząco Soames. – Nie uwierzylibyście, jak on wyglądał, kiedy siedział w łóżku i patrzył na te wszystkie twarze z czapeczkami baseballowymi KC na okrągłych głowach. Nie potrafię tego opisać, ale nigdy tego nie zapomnę.

Żebyście widzieli jego twarz.

Pod koniec Joe czuł się bardzo źle, jednak nie tak źle, żeby nie oglądać Royalsów w telewizji... albo nie słuchać transmisji przez

radio. Porozkładał te piłki po całym pokoju, ale na parapecie okiennym obok łóżka miał miejsce honorowe. Tam ustawiał dziewięciu zawodników rozgrywających mecz, który właśnie oglądał albo którego słuchał przez radio. Jeśli Frey zmieniał miotacza, Joey zdejmował tę piłkę z parapetu i kładł rezerwowego. A kiedy kolejny zawodnik uderzał, Joe trzymał w rękach jego piłkę. Więc...

Stan Soames przerwał nagle i zakrył twarz chustką. Pierś mu się uniosła dwukrotnie i gardło zacisnęło się w szłochu. Potem znowu wytarł oczy i szybko wepchnął chustkę do kieszeni.

– Więc teraz wiecie, dlaczego dzisiaj zabrałem was do Des Moines i dlaczego zabrałbym was do Nowego Jorku, gdybyście tam musieli polecieć po te dwie książki. Nie mnie to zawdzięczacie, tylko Dave’owi. To niezwykły człowiek.

– Myślę, że pan także – powiedział Sam.

Soames obdarzył go uśmiechem – dziwnym, krzywym uśmiechem – i otworzył drzwi buicka Dawsona.

– No cóż, dziękuję – powiedział. – Dziękuję uprzejmie. A teraz musimy się śpieszyć, jeśli chcemy zdążyć przed deszczem. Niech pani nie zapomni książek, panno Higgins.

– Nie zapomnę – zapewniła Naomi, wysiadając z ręką ciasno owiniętą uchwytem torby. – Proszę mi wierzyć, nie zapomnę.

ROZDZIAŁ 13

Biblioteczny Policjant (II)

1

Dwadzieścia minut po wystartowaniu z Des Moines Naomi oderwała się od widoku – śledziła drogę 79, po której pędziły w obie strony samochody maleńkie jak zabawki – i odwróciła się do Sama. Przestraszyła się. Sam zasnął z głową opartą o okno, ale w jego twarzy nie było spokoju; wyglądał jak człowiek dręczony głębokim, skrywanym cierpieniem.

Spod jego zamkniętych powiek powoli płynęły łzy i ściekały po twarzy.

Schyliła się, żeby go obudzić, i usłyszała, jak mówi drżącym głosem małego dziecka:

– Czy mam kłopoty, proszę pana?

Navajo zanurkował w chmury gromadzące się nad zachodnim Iowa i samolotem zaczęło rzucać, ale Naomi ledwie to zauważyła. Jej dłoń zawisała na chwilę nad ramieniem Sama, potem się cofnęła.

Kim był TWÓJ Biblioteczny Policjant, Sam?

Kimkolwiek był, pomyślała Naomi, on go chyba znowu znalazł. Chyba teraz z nim jest. Przepraszam, Sam... ale nie mogę cię obudzić. Nie teraz. W tej chwili jesteś tam, gdzie powinieneś być... gdzie musisz być. Przepraszam, ale śnij dalej. I pamiętaj, o czym śniłeś, kiedy się obudzisz. Pamiętaj.

Pamiętaj.

2

We śnie Sam Peebles patrzył, jak Czerwony Kapturek wyrusza z piernikowej chatki, niosąc koszyk z pokrywką. Wybiera się do babci, gdzie czeka wilk, żeby zjeść dziewczynkę żywcem, zaczynając od stóp. Na końcu ją skalpuje, a potem długą drewnianą łyżką wyjada z głowy mózg.

Tylko że nic się nie zgadzało, bo w tym śnie Czerwony Kapturek był chłopcem, a piernikowy domek był jednopiętrowym bliźniakiem w St. Louis, gdzie mieszkał z matką po śmierci taty, a w koszyku nie było jedzenia. W koszyku była książka, *Czarna strzała* Roberta Louisa Stevensona, i Sam ją przeczytał, każdziutkie słowo, i nie wybierał się do babci, tylko do Biblioteki Publicznej St. Louis, oddział na Briggs Avenue, i musiał się śpieszyć, bo już cztery dni spóźnił się ze zwrotem.

To był sen obserwatora.

Sam patrzył, jak Mały Sam czeka na rogu Dunbar Street i Johnstown Avenue na zmianę świateł. Patrzył, jak chłopczyk przebiega przez ulicę z książką w ręku... koszyk teraz zniknął. Patrzył, jak Mały Sam wchodzi do kiosku przy Dunbar Street, a potem też był w środku, czuł zastarzałe, zmieszane zapachy kamfory, słodczy i tytoniu fajkowego, patrzył, jak Mały Sam podchodzi do kontuaru z pięciocentową paczuszką czerwonej lukrecji *Bycze Oko*, swojej ulubionej. Patrzył, jak chłopczyk ostrożnie wyjmuje banknot dolarowy, który mama wsunęła za obwolutę *Czarnej strzały*. Patrzył, jak sprzedawca bierze banknot i wydaje dziewięćdziesiąt pięć centów reszty... więcej, niż trzeba na zapłacenie kary. Patrzył, jak Mały Sam wychodzi z kiosku i przystaje na ulicy, żeby włożyć resztę do kieszeni, a potem rozrywa zębami opakowanie lukrecji. Patrzył, jak Mały Sam idzie dalej... już tylko trzy przecznice dzielą go od biblioteki... żując po drodze długie czerwone cukierki.

Próbował krzyknąć do chłopca:

„Uważaj! Uważaj! Wilk czeka, chłopczyku! Strzeż się wilka! Strzeż się wilka!”

Ale chłopczyk szedł dalej, zajadając czerwoną lukrecję; dotarł już na Briggs Avenue i przed nim wznosiła się biblioteka, wielki

gmach z czerwonej cegły.

W tym momencie Sam – Duży Sam – spróbował się wydostać z tego snu. Czuł, że Naomi, Stan Soames i prawdziwy świat znajdują się tuż za skorupą tego piekielnego jaja pełnego koszmarów, w którym został uwięziony. Słyszał buczenie silnika navajo przebijające się przez odgłosy ze snu: samochody na Briggs Avenue, ostre DRRRYŃ! DRRRYŃ! dzwonka rowerowego jakiegoś chłopaka, świergot ptaków w gęstych letnich koronach wiązów. We śnie zamknął oczy i zapragnął wrócić do świata poza skorupą, do prawdziwego świata. Więcej: poczuł, że może go osiągnąć, może rozbić skorupę...

Nie, powiedział Dave. Nie, Sam, nie rób tego. Nie wolno ci tego zrobić. Jeśli chcesz uratować Sarah przed Ardelią, nie możesz uciekać z tego snu. W tej sprawie jest tylko jeden zbieg okoliczności, ale decydujący: kiedyś ty też miałeś swojego Bibliotecznego Policjanta. I musisz odzyskać to wspomnienie.

Nie chcę wiedzieć. Nie chcę wiedzieć. Ten jeden raz był wystarczająco okropny.

Nic nie jest tak okropne jak to, co cię czeka, Sam. Nic.

Otworzył oczy... nie zewnętrzne, ale wewnętrzne. Oczy ze snu.

Teraz Mały Sam idzie betonową alejką, zbliża się do Biblioteki Publicznej od wschodniej strony, betonową alejką, która prowadzi do skrzydła literatury dziecięcej. Porusza się jakby w złowieszczo zwolnionym tempie, każdy krok jak posuwisty ruch wahadła w oszklonym wnętrzu wysokiego stojącego zegara, i wszystko jest wyraźne: drobinki miki i kwarcu błyszczące w betonie, radosne róże kwitnące obok alejki; zielony gąszcz krzaków wzdłuż boku budynku; bluszcz pnący się po murze z czerwonej cegły; dziwne i trochę niepokojące łacińskie motto *Fuimus, non sumus* wykute krótkim łukiem nad zielonymi drzwiami o grubych szybkach ze zbrojonego szkła.

I Biblioteczny Policjant stojący przy schodach też jest wyraźny.

Nie jest blady, tylko zarumieniony. Na czole ma czerwone, zaognione pryszczki. Nie jest wysoki, zaledwie średniego wzrostu, ale niezwykle szeroki w ramionach. Zamiast trencza ubrany jest w zwykły płaszcz; to bardzo dziwne, bo jest lato, upalny letni dzień w St. Louis. Może ma srebrne oczy; Mały Sam nie widzi, jakiego są koloru, ponieważ Biblioteczny Policjant nosi małe, okrągłe, ciemne okulary – okulary ślepcy.

To nie jest Biblioteczny Policjant! To wilk! Uważaj! To wilk! Biblioteczny WILK!

Ale Mały Sam nie słyszy. Mały Sam się nie boi. W końcu to biały dzień, a w mieście pełno jest dziwaków – czasami zabawnych dziwaków. Sam mieszka przez całe życie w St. Louis i nie boi się miasta. To się wkrótce zmieni.

Podchodzi do mężczyzny, a wtedy dostrzega bliźnę: cienką białą kreskę, która zaczyna się wysoko na lewym policzku, opada pod lewym okiem i kończy się na grzbiecie nosa.

„Cześć, synu”, mówi mężczyzna w okrągłych czarnych okularach.

„Cześć”, odpowiada Mały Sam.

„Możesz mi coś powiedzieć o tej kfiążce, zanim wejdiesz do środka?”, pyta mężczyzna. Głos ma łagodny i uprzejmy, bez cienia groźby. Lekkie seplenienie zniekształca jego wymowę i zmienia niektóre głoski „s” w dyftongi. „Widzisz, ja pracuję w bibliotece”.

„Ma tytuł *Czarna strzała* – odpowiada grzecznie Mały Sam. – I napisał ją pan Robert Louis Stevenson. On nie żyje. Umarł na tuber-ku-rozę. Jest bardzo dobra. Są w niej fajne bitwy”.

Chłopczyk czeka, żeby mężczyzna w małych, okrągłych czarnych okularach odsunął się i go przepuścił, ale mężczyzna w małych, okrągłych czarnych okularach wcale się nie odsuwa. Tylko się pochyla, żeby przyjrzeć się chłopcu. Dziadku, jakie masz małe, okrągłe czarne oczy.

„Jeszcze jedno pytanie – odzywa się mężczyzna. – Czy to przetrzymana książka?”

Teraz Mały Sam jest nieco wystraszony.

„Tak... ale tylko trochę. Tylko cztery dni. Wie pan, była bardzo długa, a ja jestem w Małej Lidze i na obozie letnim, i...”

„Chodź ze mną, synu... jeftem policjaaantem”.

Mężczyzna w płaszczu i czarnych okularach wyciąga rękę. Przez chwilę Sam chce uciekać. Ale jest dzieckiem; ten mężczyzna jest dorosły. Ten mężczyzna pracuje w bibliotece. Ten mężczyzna jest policjantem. Nagle ten mężczyzna – straszny mężczyzna z blizną, w okrągłych czarnych okularach – staje się uosobieniem Władzy. Nie uciekniesz przed Władzą; dopadnie cię wszędzie.

Sam podchodzi do niego potulnie. Zaczyna podnosić rękę – tę, w której trzyma paczuszkę lukrecji, teraz już prawie pustą – i w ostatniej sekundzie chce się cofnąć. Za późno. Mężczyzna chwytą go za rękę. Paczuszka lukrecji Bycze Oko spada na chodnik. Mały Sam nigdy więcej nie weźmie do ust czerwonej lukrecji.

Mężczyzna przyciąga go do siebie, jak wędkarz ciągnie na żyłce złowionego pstrąga. Ręka zaciśnięta jak imadło na nadgarstku Sama jest bardzo silna. To boli. Sam zaczyna płakać. Słońce wciąż świeci, trawa wciąż jest zielona, nagle jednak cały świat wydaje się odległy, niczym okrutny miraż, w który na chwilę pozwolono mu uwierzyć.

W oddechu mężczyzny czuje zapach pastylek odświeżających Sen-Sen. „Czy mam kłopoty, proszę pana?”, pyta, pragnąc każdą cząstką swej istoty, żeby mężczyzna zaprzeczył.

„Tak” – odpowiada mężczyzna. – Tak, masz kłopoty. WIELKIE kłopoty. I jeśli chcesz wyjść na proftą, synu, musisz robić dokładnie to, co mówię. Rozumiesz?”

Sam nie jest w stanie odpowiedzieć. Nigdy w życiu tak się nie bał. Patrzy tylko na mężczyznę szeroko otwartymi oczami, pełnymi łez.

Mężczyzna nim potrząsa.

„Rozumiesz czy nie?”

„Ta... tak!”, wyrzuca z siebie Sam. Czuje nieznośne parcie na pęcherz.

„Powiem ci dokładnie, kim jeftem – mówi mężczyzna, wydmuchując obłoczki Sen-Sen w twarz Sama. – Jeftem Bibliotecznym Policjantem z Briggs Avenue i moim obowiązkiem jeft karać chłopców i dziewczynki, którzy nie zwracają książek w terminie”.

Mały Sam płacze coraz głośniej.

„Mam pieniądze! – wykrztusza wśród szlochów. – Mam dziewięćdziesiąt pięć centów! Niech pan weźmie! Niech pan weźmie wszystko!”

Próbuje wyciągnąć drobne z kieszeni. W tej samej chwili Biblioteczny Policjant rozgląda się i nagle jego szeroka twarz się wyostrza, nagle staje się pyskiem lisa albo wilka, który zakradł się do kurnika, ale teraz wyczuł niebezpieczeństwo.

„Chodź! – mówi i szarpnięciem wciąga Małego Sama w gęste krzaki rosnące pod murem biblioteki. – Kiedy policjant ci mówi chodź, to znaczy CHODŹ!” Tu jest ciemno; ciemno i tajemniczo. W powietrzu unosi się ostry zapach jagód jałowca. Ziemię pokrywa ciemna ściółka. Sam płacze teraz bardzo głośno.

„Zamknij się!”, warczy Biblioteczny Policjant i mocno nim potrząsa. Kostki w nadgarstku Sama boleśnie trą o siebie. Głowa kiwa się na szyi. Dotarli do małej polanki w splątanych krzakach, gdzie jałowce zostały udeptane, paprocie połamane, i Sam rozumie, że Biblioteczny Gliniarz nie tylko zna to miejsce; on je przygotował.

„Zamknij się albo twoja kara to będzie dopiero początek! Zadzwoń do twojej matki i powiem jej, jaki byłeś niegrzeczny! Tego chcesz?”

„Nie! – łka Sam. – Zapłacę karę! Zapłacę, proszę pana, ale niech pan mi nie robi krzywdy!”

Biblioteczny Policjant obraca Małego Sama dookoła.

„Ręce wysoko na ścianę! Rozftaw nogi! No już! Szybko!”

Wciąż łkając, ale przerażony, że matka się dowie, że zrobił coś dostatecznie złego, żeby zasłużyć na takie traktowanie, Mały Sam wykonuje polecenia Bibliotecznego Policjanta. Czerwone cegły są chłodne, chłodne w cieniu krzaków, które napierają na tę stronę

budynku nieporządną, splątana masą. Sam widzi wąskie okienko na poziomie gruntu. To okienko bibliotecznej kotłowni. Gołe żarówki, osłonięte blaszanymi stożkami w kształcie chińskich kapeluszy, zwisają nad olbrzymim kotłem; rury wodociągowe rzucają cudacznie zagmatwane cienie jak ramiona ośmiornicy. Pod ścianą w głębi stoi woźny, tyłem do okna, odczytuje wskaźniki i notuje coś na podkładce.

Biblioteczny Policjant chwytając spodenki Sama i ściąga w dół. Razem z majtkami. Sam wzdryga się, kiedy chłód szczypie go w pupę.

„Fpokojnie – dyszy Biblioteczny Gliniarz. – Nie ruszaj się. Jak zapłacisz karę, synu, będzie po wszystkim... i nikt nie musi wiedzieć”.

Coś ciężkiego i gorącego przyciska się do pupy Sama. Mały Sam znowu się wzdryga.

„Fpokojnie”, powtarza Biblioteczny Policjant. Dyszy coraz mocniej; Sam czuje na lewym ramieniu gorące oddechy i zapach Sen-Sen. Strach go sparaliżował, ale nie tylko strach: wstyd. Zaciągnięto go w zarośla, zmuszono do odbycia tej groteskowej, niezrozumiałej kary, ponieważ spóźnił się ze zwrotem *Czarnej strzały*. Gdyby tylko wiedział, że kara będzie tak wysoka...!

Ciężka rzecz szturcha go w pupę, wpycha się między pośladki. Potworny, rozdzierający ból strzela w górę brzucha Małego Sama. Nigdy nie czuł takiego bólu, nigdy w życiu.

Upuszcza *Czarną strzałę* i wciska nadgarstki do ust, żeby stłumić krzyk.

„Fpokojnie”, dyszy Biblioteczny Wilk, jego ręce opadają na ramiona Sama, kołysze się w przód i w tył, do środka i na zewnątrz, w przód i w tył, do środka i na zewnątrz.

„Fpokojnie... fpokojnie... oooch! Fpokooooojnieeee...”

Dysząc i kołysząc się, Biblioteczny Gliniarz wbija to coś, jakby olbrzymi tłok z rozpalonej stali, w pupę Sama i wyciąga, wbija i wyciąga. Sam wytrzeszczonymi oczami wpatruje się w biblioteczną suterene, należącą do innego wszechświata, uporządkowanego wszechświata, gdzie takie okropności nigdy

się nie zdarzają. Patrzy, jak woźny kiwa głową, wtyka podkładkę pod pachę i idzie do drzwi na drugim końcu pomieszczenia. Gdyby woźny tylko trochę odwrócił głowę i odrobinę podniósł wzrok, zobaczyłby twarz spoglądającą na niego z okna, bladą chłopięcą buzię, wytrzeszczone oczy i resztki czerwonej lukrecji na ustach. Sam chciałby, żeby woźny tak zrobił – żeby go uratował, jak drwał uratował Czerwonego Kapturka – ale wie, że woźny tylko odwróciłby się z niesmakiem na widok następnego niegrzecznego chłopca, odbierającego sprawiedliwą karę z rąk Bibliotecznego Gliniarza z Briggs Avenue.

„Fpokooojnieeeeeee!”, szepcze-krzyczy Biblioteczny Wilk, podczas gdy woźny, nie oglądając się, wychodzi przez drzwi do reszty swojego uporządkowanego wszechświata. Wilk napiera jeszcze mocniej i przez jedną okropną sekundę ból staje się tak wielki, że Mały Sam jest pewien, że brzuch mu pęknie i to coś, co Biblioteczny Gliniarz wcisnął mu w tyłek, po prostu wyjdzie z przodu, wypychając kiszki.

Biblioteczny Gliniarz zwała się na niego w smrodzie kwaśnego potu, dysząc chrapliwie. Pod jego ciężarem Sam opada na kolana, a wówczas ogromny przedmiot – już nie taki ogromny – wysuwa się z niego. Sam czuje wilgoć na całej pupie. Boi się sięgnąć tam ręką. Boi się, że kiedy cofnie rękę, odkryje, że stał się Małym Krwawiącym Samem.

Biblioteczny Gliniarz nagle chwytą go za ramię i obraca twarzą do siebie. Jest jeszcze bardziej czerwony, na czole i policzkach widnieją nabrzmiałe, rozpalone pręgi, przypominające barwy wojenne.

„Popatrz na siebie! – mówi Biblioteczny Gliniarz. Twarz mu się ściąga w wyrazie pogardy i obrzydzenia. – Popatrz tylko na siebie, z opuszczonymi majtkami i siusiakiem na wierzchu! Podobało ci się, co? PODOBAŁO SIĘ!”

Sam nie może wykrztusić ani słowa. Może tylko łkać. Podciąga majtki i spodenki razem, tak jak je ściągnięto. Do środka nasypały się śmieci, które kłują go w obolały tyłek, ale to się nie liczy. Cofa się przed Bibliotecznym Gliniarzem, aż natrafia na

czerwoną ceglana ścianę biblioteki. Twarde gałęzie bluszczu szturchają go w plecy niczym koścista dłoń szkieletu. To też się nie liczy. Liczą się tylko wstyd, przerażenie i poczucie niższości, które teraz w nim wzbierają, a z tej trójcy wstyd jest największy. Wstyd jest nie do opisanania.

„Świntuch! – spluwa pogardliwie Biblioteczny Gliniarz. – Mały świntuch!”

„Ja naprawdę muszę już iść do domu – mówi Mały Sam urywanym głosem, wśród ochrypłych szlochów. – Czy zapłaciłem karę?”

Biblioteczny Gliniarz pełźnie do niego na czworakach, małe, okrągłe czarne oczy wpatrują się w twarz Sama niczym ślepe oczy kreta i sytuacja staje się jeszcze bardziej groteskowa. „On mnie ukarze jeszcze raz”, myśli Sam i wtedy coś w jego mózgu, jakiś przeciążony wspornik czy fundament, załamuje się z miękkim, niemal dosłyszalnym trzaskiem. Sam nie płacze, nie protestuje; jest już poza tym. Spogląda na Bibliotecznego Gliniarza z milczącą apatią.

„Nie – odpowiada Biblioteczny Gliniarz. – Puszczam cię wolno, to wszyftko. Zlitowałem się nad tobą, ale jeśli kiedyś komuś powiesz... komukolwiek... wrócę i zrobię to jeszcze raz. Będę cię karał, aż zapłacisz. I żebym cię tu więcej nie widział, synu. Zrozumiałeś?”

„Tak”, mówi Sam. Oczywiście on wróci i zrobi to jeszcze raz, jeśli Sam komuś powie. Będzie czekał w szafie późną nocą; pod łóżkiem; na drzewie niczym ogromna, koślawa wrona. Kiedy Sam spojrzy w zachmurzone niebo, zobaczy w chmurach wykrzywioną pogardliwie twarz Bibliotecznego Policjanta. On może być wszędzie; on będzie wszędzie.

Na tę myśl Sam czuje zmęczenie i zamyka oczy przed tym szalonym pyskiem kreta, przed wszystkim.

Biblioteczny Gliniarz znowu nim potrząsa i syczy:

„Co tak? Co tak, synu?”

„Tak, zrozumiałem”, odpowiada Sam, nie otwierając oczu.

Biblioteczny Gliniarz go puszcza.

„Dobrze. I lepiej nie zapomnij. Kiedy niegrzeczni chłopcy i dziewczynki zapominają, zabijam ich”.

Mały Sam długo siedzi pod murem z zamkniętymi oczami, czekając, aż Biblioteczny Gliniarz znowu zacznie go karać albo po prostu go zabije. Chce płakać, ale nie ma łez. Upłyną lata, zanim znowu zapłacze. W końcu otwiera oczy i widzi, że jest sam w kryjówce Bibliotecznego Gliniarza w krzakach. Biblioteczny Gliniarz odszedł. Został tylko Sam i książka, *Czarna strzała*, która leży otwarta na ziemi.

Sam zaczyna się czołgać na czworakach w stronę światła. Liście łaskoczą go po spoconej, zapłakanej twarzy, gałęzie drapią po plecach i chłuszczą obolały tyłek. Zabiera ze sobą *Czarną strzałę*, ale nie odniesie jej do biblioteki. Nigdy więcej nie pójdzie do biblioteki, do żadnej biblioteki, nigdy w życiu; obiecuje to sobie, wyczołgując się z miejsca kary. I składa jeszcze jedną obietnicę: nikt nigdy się nie dowie o tej okropności, ponieważ Sam zamierza o tym całkowicie zapomnieć. Wie, że potrafi. Potrafi zapomnieć, jeśli bardzo, bardzo się postara, i zamierza bardzo, bardzo się starać już od tej chwili.

Dociera na skraj zarośli i wygląda z nich ostrożnie jak małe ścigane zwierzątko. Widzi dzieci idące po trawniku. Nie widzi Bibliotecznego Gliniarza, ale to nic nie znaczy; Biblioteczny Gliniarz widzi jego. Od tego dnia Biblioteczny Gliniarz zawsze jest w pobliżu.

Wreszcie trawnik jest pusty. Mały Sam, chłopczyk w wygniecionym ubraniu, chyłkiem wypęła z krzaków. Ma brudną twarz i liście we włosach. Koszula wyciągnięta ze spodenek powiewa z tyłu. Wytrzeszczone oczy spoglądają nie całkiem przytomnie. Sam podkrada się do betonowych stopni, rzuca jedno zastraszone spojrzenie na tajemnicze łacińskie motto wyryte nad drzwiami, a potem kładzie książkę na stopniu troskliwie i z drzeniem niczym bezdomna dziewczyna, która podrzuca swoje bezimienne dziecko na obcym progu. Potem Mały Sam zaczyna uciekać: biegnie przez trawnik, zostawia za sobą oddział Biblioteki Publicznej St. Louis przy Briggs Avenue,

ale choćby biegł co sił w nogach, i tak nie ucieknie przed smakiem czerwonej lukrecji w gardle i na języku, słodkim i lepkiem, i choćby biegł co sił w nogach, Biblioteczny Wilk oczywiście biegnie razem z nim, Biblioteczny Wilk jest tuż za plecami, gdzie go nie widać, i Biblioteczny Wilk szepcze: „Chodź ze mną, synu... jeftem policjaaantem”, zawsze będzie to szeptał, przez wszystkie lata będzie to szeptał, w mrocznych snach, których Sam nie ośmiela się pamiętać, będzie to szeptał, i Sam zawsze będzie uciekał przed tym głosem, krzycząc: „Czy już zapłaciłem? Czy już zapłaciłem karę? O Boże, błagam, CZY JUŻ ZAPŁACIŁEM KARĘ?”. I zawsze otrzyma tę samą odpowiedź: „Kara nigdy nie będzie zapłacona, synu; nigdy nie będzie zapłacona.

Nigdy.

Nig...”.

ROZDZIAŁ 14

Biblioteka (III)

1

Przy końcowym podejściu do pasa startowego z ubitej ziemi, który Stan nazywał lotniskiem Proverbias, straszliwie rzucało. Navajo opadał, wymacując drogę przez masy wzburzonego powietrza, i wylądował z ostatnim irytującym podskokiem. Wówczas Sam wydał zduszony wrzask i gwałtownie otworzył oczy.

Naomi cierpliwie czekała na coś takiego. Nie zważając na pas bezpieczeństwa wrzynający się w talię, natychmiast się nachyliła i objęła Sama. Instynktownie próbował ją odepchnąć, ale zignorowała jego podniesione ręce i gorący, nieprzyjemny oddech przerażonego człowieka. W swoim czasie uspokajała wielu pijaków cierpiących na delirium tremens; to się niewiele różniło. Czuła jego serce, kiedy go przytuliła; zdawało się szarpać i miotać tuż pod koszulą.

– Już dobrze, Sam, już dobrze... to tylko ja, wróciłeś. To był sen. Wróciłeś.

Jeszcze przez chwilę próbował wcisnąć się w fotel. Potem opadł bezwładnie. Wyciągnął ręce i kurczowo przywarł do Naomi.

– Naomi – powiedział zachrypłym, zdławionym głosem. – Naomi, och, Naomi, o Jezu, jaki miałem koszmar, jaki okropny sen.

Stan wcześniej uprzedził przez radio, żeby ktoś zapalił światła lądowania na pasie startowym. Toczyli się teraz między dwoma szeregami świateł do końca pasa. Nie zdążyli jednak przed

deszczem; bębnił głucho po kadłubie samolotu. Z przodu Soames ryczał coś, co przypominało *Camptown Races*.

– Czy to był tylko koszmarny sen? – zapytała Naomi, odsuwając się od Sama, żeby spojrzeć w jego przekrwione oczy.

– Tak. Ale to była prawda. Sama prawda.

– Czy to był Biblioteczny Policjant, Sam? Twój Biblioteczny Policjant?

– Tak – szepnął i ukrył twarz w jej włosach.

– Czy wiesz, kto to jest? Czy teraz wiesz, kto to jest, Sam?

Po długiej chwili Sam szepnął:

– Wiem.

2

Kiedy wysiadali z samolotu, Stan Soames spojrzął na twarz Sama i natychmiast zaczął się kajać.

– Przepraszam, że tak rzucało. Naprawdę myślałem, że zdążymy przed deszczem. Ale przy przeciwnym wietrze...

– Nic mi nie będzie – uspokoił go Sam. Rzeczywiście już wyglądał lepiej.

– Tak, on zaraz dojdzie do siebie – potwierdziła Naomi. – Dziękujemy ci, Stan. Bardzo dziękujemy. I Dave ci dziękuje.

– No, skoro dostaliście, co trzeba...

– Dostaliśmy – zapewnił Sam. – Naprawdę.

– Obejdziemy dookoła pas – zaproponował Stan. – Dziś wieczorem wpadniecie w błoto po szyję, jeśli spróbujecie iść na skróty. Wstąpcie do mnie. Napijemy się kawy. Znajdzie się też kawałek szarlotki.

Sam spojrzął na zegarek. Było kwadrans po siódmej.

– Skorzystamy z zaproszenia kiedy indziej, Stan – powiedział. – Musimy natychmiast zawieźć te książki do miasta.

– Przynajmniej chodźcie się wysuszyć. Przemokniecie, zanim dojdziecie do samochodu.

Naomi pokręciła głową.

– To bardzo ważne.

– Taa... Po waszych minach widzę, że ważne. Tylko pamiętajcie, że obiecaliście mi opowiedzieć tę historię.

– Opowiemy – przyrzekł Sam. Spojrzał na Naomi i w jej oczach dostrzegł odbicie własnej myśli: „Jeśli przeżyjemy”.

3

Sam prowadził, walcząc z pragnieniem, żeby wcisnąć gaz do dechy. Martwił się o Dave’a, ale nic by nie pomogło, gdyby zjechał z szosy i wpakował wóz Naomi do rowu. Deszcz, w którym wylądowali, zmienił się w ulewę pędzoną porywistym wiatrem. Wycieraczki nie dawały sobie rady, nawet przełączone na maksimum, a przednie światła sięgały najwyżej na sześć metrów w mrok. Sam nie odważył się jechać szybciej niż czterdzieści na godzinę. Spojrzał na zegarek, a potem na Naomi, która trzymała na kolanach torbę z księgarni.

– Mam nadzieję, że zdążymy przed ósmą – powiedział. – Ale nie wiem.

– Postaraj się, Sam.

Przed nimi zamajaczyły reflektory, rozmyte jak światła dzwonu nurkowego. Sam zwolnił do dwudziestu na godzinę i prawie się otarł o dziesięciokołową ciężarówkę, która przemknęła obok z łoskotem – kolos ledwie widoczny w mokrej ciemności.

– Możesz o tym rozmawiać? O twoim śnie?

– Mogę, ale nie chcę – odparł. – Nie teraz. Nie w tej chwili.

Naomi po namyśle kiwnęła głową.

– W porządku.

– Powiem ci jedno: Dave miał rację, kiedy mówił, że dzieci najlepiej smakują... i miał rację, że ona karmi się strachem.

Dotarli do granicy miasteczka. Minęli jedną przecnicę i dojechali do pierwszego skrzyżowania ze światłami. Przez przednią szybę datsuna widzieli tylko rozmazaną jasnozieloną smugę tańczącą wysoko w powietrzu. Taka sama smuga tańczyła na gładkiej, mokrej nawierzchni.

– Muszę gdzieś wstąpić, zanim pojedziemy do biblioteki – oznajmił Sam. – Piggly Wiggly jest po drodze, prawda?

– Tak, ale jeśli chcemy spotkać się z Dave'em za biblioteką o ósmej, mamy mało czasu. W taką pogodę nie pojedziesz szybciej, choćbyś pękl.

– Wiem, ale to nie potrwa długo.

– Czego potrzebujesz?

– Nie jestem pewien – wyznał. – Ale chyba będę wiedział, kiedy to zobaczę.

Spojrzała na niego i po raz drugi zdumiała go jej seksowna, krucha uroda. Dlaczego wcześniej tego nie widział?

No, przecież się z nią umawiałeś, prawda? COŚ musiałeś wiedzieć.

Tylko że nie widział. Umawiał się z nią, bo była ładna, reprezentacyjna, wolna i w odpowiednim wieku. Umawiał się z nią, bo kawalerowie w miastach, które w rzeczywistości były tylko przerośniętymi miasteczkami, powinni chodzić na randki... jeśli oczywiście chcą sobie znaleźć miejsce w lokalnej społeczności biznesmenów. Jeśli nie chodzisz na randki, ludzie... niektórzy ludzie... mogą pomyśleć, że jesteś

(policjaaantem)

trochę dziwny.

Byłem trochę dziwny, pomyślał. Właściwie byłem bardzo dziwny. Ale jakikolwiek byłem, teraz jestem chyba trochę inny. I widzę ją. W tym rzecz. Naprawdę ją WIDZĘ.

Naomi z kolei uderzyła bladość jego ściągniętej twarzy i napięcie widoczne wokół oczu i ust. Wyglądał obco... ale już nie wydawał się przerażony. Pomyślała: Wygląda jak człowiek, który otrzymał szansę powrotu do swojego najgorszego koszmaru... z potężną bronią w ręku.

Pomyślała, że mogłaby się zakochać w tej twarzy, i poczuła się nieswojo.

– Ten przystanek... jest ważny, tak?

– Chyba tak.

Pięć minut później zaparkował przed sklepem Piggly Wiggly. Natychmiast wyskoczył i pobiegł w deszczu do drzwi.

W połowie drogi przystanął. Obok parkingu stała budka telefoniczna – niewątpliwie ta sama budka, z której Dave zadzwonił przed laty do biura szeryfa w Junction City. Ten telefon nie zabił Ardelii... ale przepędził ją na długi czas.

Sam wszedł do budki. Zapaliło się światło. Nic ciekawego; zwykła budka telefoniczna pomazana graffiti, z numerami nabazgranymi na stalowych ścianach. Książki telefonicznej nie było. Przypomniawszy sobie, jak Dave mówił: „...wtedy jeszcze w budkach telefonicznych można było znaleźć książki telefoniczne, jeśli się miało szczęście”.

Spojrzał na podłogę i zobaczył to, czego szukał. Opakowanie. Podniósł je, wygładził i odczytał etykietkę w mętym świetle: Czerwona Lukrecja BYCZE OKO.

Za nim Naomi wybijała niecierpliwy rytm na klaksonie datsuna. Sam wyszedł z budki z papierkiem w garści, pomachał jej i w ulewnym deszczu pobiegł do sklepu.

4

Sprzedawca w Piggly Wiggly wyglądał jak młody człowiek zahibernowany kriogenicznie w 1969 roku i odmrożony zaledwie przed tygodniem. Miał szkliste, zaczerwienione oczy ćpuna weterana i długie włosy, związane Jezusowym rzemykiem z surowej skóry. Na małym palcu nosił srebrny pierścionek z pacyfką. Spod firmowego fartucha wystawała luźna koszula w ekstrawagancki kwiecisty deseń. Znaczek przypięty do kołnierzyka głosił:

MOJA TWARZ ODJEŻDŻA ZA 5 MINUT
WSIADAJ!

Sam nie przypuszczał, żeby kierownik sklepu pochwalał taki wizerunek... ale w ten deszczowy wieczór kierownika nigdzie nie

było widać. Sam był jedynym klientem. Pod obojętnym, rozbawionym spojrzeniem sprzedawcy podszedł do regału ze słodyczami i zaczął zdejmować paczuszki czerwonej lukrecji. Wziął cały zapas – jakieś dwadzieścia sztuk.

– Na pewno ci wystarczy, kolego? – zapytał sprzedawca, kiedy Sam podszedł do lady i złożył na niej swój skarb. – W magazynie na zapleczu mamy jeszcze parę kartonów. Wiem, jak to jest, kiedy człowieka najdzie chęć na słodycze.

– To powinno wystarczyć. Podlicz to, dobrze? Śpieszę się.

– Taa, w tym zasranym świecie każdemu się śpieszy – mruknął sprzedawca. Z senną powolnością narkomana na permanentnym haju przesunął palcami po klawiszach kasy.

Na ladzie obok wystawionych kart baseballowych leżała gumka. Sam podniósł ją.

– Mogę to wziąć?

– Proszę bardzo, kolego... potraktuj to jako prezent ode mnie, księcia Piggly Wiggly, dla ciebie, lorda Lukrecji, w deszczowy poniedziałkowy wieczór.

Sam wsunął gumkę na nadgarstek ręki (zwisła jak luźna bransoletka). W tej samej chwili silny podmuch wiatru zatrzęsł budynkiem. Okna zabrzęczały, lampy zamigotały.

– Oho, kolego! – zawołał książę Piggly Wiggly, podnosząc wzrok. – Tego nie było w prognozie. Zapowiadali tylko opady. – Opuścił spojrzenie na kasę. – Piętnaście czterdzieści jeden.

Sam z gorzkim uśmiechem podał mu dwudziestkę.

– Kiedy byłem dzieckiem, to kosztowało dużo taniej.

– Inflacja daje w kość, i to jak – zgodził się sprzedawca. Powoli wracał do dziury ozonowej, w której przebywał, kiedy wszedł Sam. – Chyba naprawdę to lubisz, człowieku. Ja tam się trzymam dobrych starych batonów Mars.

– Lubię? – Sam zaśmiał się, chowając resztę. – Nie znoszę tego. To nie dla mnie. – Znowu się zaśmiał. – Powiedzmy, że to prezent.

Sprzedawca zobaczył wtedy coś w jego oczach i nagle zrobił wielki krok do tyłu, o mało nie przewracając stojaka z tytoniem.

Sam spojrział z zaciekawieniem na twarz sprzedawcy i postanowił nie prosić o reklamówkę. Pozbierał paczuszki, poupychał je byle jak po kieszeniach sportowej marynarki, którą nałożył przed tysiącem lat, i wyszedł ze sklepu. Celofan trzeszczał pracowicie przy każdym jego kroku.

5

Naomi przesunęła się za kierownicę i prowadziła przez resztę drogi do biblioteki. Kiedy wyjeżdżała z parkingu Piggly Wiggly, Sam wyjął dwie książki z reklamówki Pella i popatrzył na nie ze smutkiem. Tyle zamieszania, pomyślał. Tyle zamieszania z powodu tomiku przestarzałych wierszy i samouczka dla nieopierzonych mówców. Tylko że oczywiście wcale nie o to chodziło. Nigdy nie chodziło o książki.

Zdjął gumkę z ręki i naciągnął na książki. Potem wyjął portfel, wyciągnął pięciodolarowy banknot z szybko topniejącego zapasu gotówki i wsunął pod gumkę.

– Po co to?

– Kara. Tyle jestem winien za te dwie i jedną z odległej przeszłości... *Czarną strzałę* Roberta Louisa Stevensona. To zakończy sprawę.

Położył książki między siedzeniami i wyjął z kieszeni paczuszkę czerwonej lukrecji. Rozerwał celofan, a wtedy tamten dawny słodki zapach uderzył go od razu niczym mocny policzek. Z nosa przeniknął prosto do głowy, a z głowy runął do żołądka, który natychmiast skurczył się w śliską, twardą pięść. Przez jedną okropną chwilę Sam myślał, że zwymiotuje sobie na kolana. Widocznie pewne rzeczy nigdy się nie zmieniają.

Dalej jednak otwierał paczuszki czerwonej lukrecji i ugniatał w kulę giętkie, miękkie jak wosk laseczki. Naomi zwolniła na czerwonych światłach, a potem się zatrzymała, chociaż nic nie jechało z żadnej strony. Deszcz i wiatr chłostały mały samochód. Tylko cztery przecznice dzieliły ich od biblioteki.

– Sam, co ty wyprawiasz?

Ponieważ nie wiedział, co właściwie wyprawia, odparł:

– Jeśli Ardelia żywi się strachem, musimy znaleźć coś innego... coś, co jest przeciwieństwem strachu. Bo to będzie dla niej trucizną. Więc... jak myślisz, co to może być?

– No, raczej nie czerwona lukrecja.

Niecierpliwie machnął ręką.

– Skąd ta pewność? Podobno krzyżem można zabić wampira... takiego wysysającego krew... ale krzyż to tylko dwa podłużne kawałki drewna albo metalu, ustawione pod odpowiednim kątem. Równie skuteczna byłaby główka sałaty... gdyby jej odpowiednio użyć.

Światło zmieniło się na zielone.

– Gdyby to była zorganizowana główka sałaty – powiedziała z namysłem Naomi, ruszając.

– Właśnie! – Sam podniósł kilka długich czerwonych pasków.

– Mam tylko to. Może to śmieszne. Pewnie tak. Ale mam to gdzieś. To przeklęty symbol wszystkiego, co mi odebrał mój Biblioteczny Policjant: miłości, przyjaźni, poczucia przynależności. Naomi, przez całe życie czułem się odepchnięty poza nawias i nie wiedziałem dlaczego. Teraz wiem. A lukrecja to kolejna rzecz, którą mi zabrał. W dzieciństwie ją uwielbiałem. Teraz nie znoszę nawet jej zapachu. Nie szkodzi, jakoś to przeboleję. Ale muszę wiedzieć, jak jej użyć.

Sam toczył w rękach wałeczki lukrecji i stopniowo ugniatał je w lepką kulę. Myślał wcześniej, że zapach czerwonej lukrecji to najgorsze, co musi wytrzymać, ale się mylił. Gorszy był dotyk... a barwnik brudził mu palce i wnętrza dłoni złowieszczą ciemną czerwienią. Sam pracował jednak dalej, co jakieś pół minuty robiąc przerwy, żeby dodać do miękkiej masy zawartość następnej paczuszki.

– Może za bardzo kombinuję – powiedział. – Może przeciwieństwem strachu jest zwyczajna odwaga. Męstwo, jeśli wolisz bardziej wymyślne słowo. Czy to tyle? Czy to wszystko? Czy odwaga różni Naomi od Sarah?

Wydawała się zaskoczona.

– Pytasz mnie, czy rzucenie picia było aktem odwagi?

– Nie wiem, o co pytam, ale myślę, że trafiłaś całkiem blisko. Nie muszę pytać o strach. Znam strach; to uczucie, które ogranicza i wyklucza zmiany. Czy to był akt odwagi, kiedy rzuciłaś picie?

– Tak naprawdę nigdy nie rzuciłam – odparła Naomi. – Alkoholicy tak nie robią. Nie potrafią po prostu rzucić. Zamiast tego stosują różne sposoby odwracania uwagi. Nie wszystko naraz, śpiesz się powoli, żyj i daj żyć innym, takie rzeczy. A sedno jest takie: przestajesz wierzyć, że potrafisz kontrolować swoje picie. To bajka, kłamstwo, które sobie wmawiasz, i to właśnie musisz porzucić. Bajkę. Więc powiedz mi: czy to odwaga?

– Oczywiście. Chociaż nie odwaga żołnierza w okopach.

– Odwaga żołnierza w okopach – powtórzyła ze śmiechem. – Podoba mi się. Ale masz rację. To, co robię... co robimy... żeby nie wypić tego pierwszego kieliszka... to nie taki rodzaj odwagi. Nie ma w tym żadnego dramatyizmu, nie jak w *Straconym weekendzie* i innych tego typu filmach.

Sam przypomniał sobie straszliwą apatię, która go ogarnęła, kiedy został zgwałcony w krzakach obok oddziału Biblioteki Publicznej przy Briggs Avenue. Zgwałcony przez człowieka, który podawał się za policjanta. W tym również nie było żadnego dramatyizmu. Tylko brzydki kawał... idiotyczny brzydki kawał, który zrobił dziecku człowiek z poważnymi zaburzeniami umysłowymi. Sam przypuszczał, że w sumie powinien się uważać za szczęściarza: Biblioteczny Gliniarz mógł go zabić.

Przed nimi rozbłysły w deszczu okrągłe białe lampy oświetlające wejście do Biblioteki Publicznej w Junction City.

– Myślę, że prawdziwym przeciwieństwem strachu może być uczciwość – powiedziała z wahaniem Naomi. – Uczciwość i wiara. Jak to brzmi?

– Uczciwość i wiara – powtórzył cicho, smakując te słowa. Ścisnął w prawej dłoni lepką kulę czerwonej lukrecji. – Całkiem nieźle. W każdym razie muszą wystarczyć. Jesteśmy na miejscu.

Migotliwe zielone cyferki zegara na desce rozdzielczej wskazywały 7.57. Jednak zdążyli przed ósmą.

– Może lepiej zaczekajmy, aż wszyscy wyjdą, zanim pojedziemy od tyłu – zaproponowała Naomi.

– Doskonały pomysł.

Skęcili do pustej zatoczki po drugiej stronie ulicy, naprzeciwko wejścia do biblioteki. Lampy migotały delikatnie w deszczu. Drzewa szumiały mniej delikatnie; wiatr wciąż przybierał na sile. Szum dębów potężniał, jakby śniły, ale same złe sny.

Dwie minuty po ósmej przed bibliotekę podjechał minibus z wypchanym kotem Garfieldem i napisem TAXI MAMY za tylną szybą. Zatrąbił klakson i drzwi biblioteki – nawet w tym świetle mniej ponure niż przy pierwszej wizycie Sama, mniej podobne do ust ogromnego granitowego robota – natychmiast się otworzyły. Wyszło troje dzieciaków, z wyglądu gimnazjalistów. Szybko zeszli po stopniach i pobiegli chodnikiem do TAXI MAMY. Dwoje naciągnęło kurtki na głowy dla osłony przed deszczem. Boczne drzwi furgonetki odsunęły się z hurgotem i dzieci władowały się do środka. Sam usłyszał z oddali ich śmiech i pozazdrościł im. Pomyślał, jak to przyjemnie wyjść z biblioteki ze śmiechem na ustach. Dzięki mężczyźnie w okrągłych czarnych okularach to przeżycie go ominęło.

Uczciwość, pomyślał. Uczciwość i wiara. A potem powtórzył w myślach: Kara zapłacona. Kara zapłacona, do cholery. Rozerwał dwa ostatnie opakowania lukrecji i zaczął wgniatać ich zawartość w lepką, obrzydliwie pachnącą czerwoną kulę. Spojrzał na tył TAXI MAMY. Widział białe spaliny unoszące się i rozwiewane wiatrem. Nagle zrozumiał, co powinien zrobić.

– Raz, kiedy byłem w liceum – zaczął – patrzyłem, jak banda chłopaków zrobiła kawał innemu, którego nie lubili. W tamtych czasach najlepiej mi wychodziło patrzeć. Zabrali kawał

modeliny z pracowni plastycznej i zatkali rurę wydechową w jego pontiacu. Wiesz, co się stało?

Zerknęła na niego podejrzliwie.

– Nie... co?

– Rozwaliło tłumik. Pękł na dwie części. Połówki poleciały na obie strony jak odłamki szrapnela. Rozumiesz, tłumik to był słaby punkt. Pewnie gdyby spaliny cofnęły się aż do silnika, wysadziłyby cylindry z bloku.

– Sam, o czym ty mówisz?

– O nadziei – odparł. – Mówię o nadziei. Uczciwość i wiara muszą chyba trochę zaczekać.

TAXI MAMY ruszyło od krawężnika, reflektory przecinały srebrne linie deszczu.

Zielone cyferki zegara na desce rozdzielczej pokazywały 8.06, kiedy drzwi biblioteki znowu się otworzyły. Wyszli mężczyzna i kobieta. Mężczyzna walczył z guzikami płaszcza, trzymając pod pachą parasol. Był to niewątpliwie Richard Price; Sam rozpoznał go od razu, chociaż wcześniej widział tylko jedno jego zdjęcie w starej gazecie. Dziewczyna to była Cynthia Berrigan, biblioteczna pracownica, z którą rozmawiał w sobotę wieczorem.

Price powiedział coś do dziewczyny. Chyba się roześmiała. Sam stwierdził, że siedzi na fotelu pasażera wyprostowany jak struna, a wszystkie mięśnie niemal mu skrzypią z napięcia. Spróbował się odprężyć i odkrył, że nie może.

Dlaczego mnie to nie dziwi? – pomyślał.

Price rozłożył parasol. Osłonięci nim, szybko ruszyli chodnikiem. Po drodze dziewczyna zawiązywała na głowie plastikową nieprzemakalną chustkę. Rozdzielili się na końcu chodnika: Price poszedł do starej impali wielkości jachtu kabinowego, Berrigan skierowała się do yugo zaparkowanego pół przecznicy dalej. Price zakręcił na jezdni o sto osiemdziesiąt stopni (Naomi skuliła się zaskoczona, kiedy reflektory omiotły jej samochód) i zatrąbił klaksonem, mijając yugo. Cynthia Berrigan zatrąbiła w odpowiedzi i pojechała w drugą stronę.

Teraz zostali tylko oni, biblioteka i może Ardelia, czekająca na nich gdzieś w środku.

Razem ze starym przyjacielem Sama, Bibliotecznym Policjantem.

7

Naomi skręciła i powoli przejechała do Wegman Street. W połowie drogi do następnej przecznicy, po lewej stronie, obok niewielkiej przerwy w żywopłocie dyskretny znak informował:

TYLKO DOSTAWY DO BIBLIOTEKI

Wiatr uderzył tak silnie, że zakołysał datsunem, deszcz zabębnił w szyby głośno jak piasek. Gdzieś w pobliżu rozległ się donośny trzask, kiedy złamał się gruby konar albo małe drzewko. Potem odłamana część z głuchym hukiem spadła na jezdnię.

– Boże! – zawołała Naomi cienkim, pełnym napięcia głosem. – To mi się wcale nie podoba!

– Mnie też nie zachwyca – przyznał Sam, ale prawie jej nie słuchał. Wspominał, jak wyglądała tamta modelina. Jak wystawała z rury wydechowej samochodu. Rozdęta jak pęcherz.

Naomi skręciła przy znaku. Podjechali krótką alejką do małej utwardzonej strefy rozładunku. Samotna lampa sodowa wisiała nad kwadratem betonowej nawierzchni. Rzuciła ostre pomarańczowe światło; ruchliwe gałęzie dębów otaczających strefę rozładunku malowały szalony taniec cieni na tylnej ścianie budynku. Przez chwilę dwa z tych cieni połączyły się u podnóża rampy, tworząc niemal ludzki kształt; zupełnie jakby ktoś tam czekał pod spodem i teraz wypełzał, żeby przywitać gości.

Za sekundę czy dwie, pomyślał Sam, pomarańczowe światło lampy zabłyśnie w jego okularach... jego małych, okrągłych czarnych okularach... i on spojrzy na mnie przez przednią szybę. Nie na Naomi, tylko na mnie. Spojrzy na mnie i powie: „Cześć,

synu, czekałem na ciebie. Czekałem na ciebie przez te wszystkie lata. Teraz chodź ze mną. Chodź ze mną, ponieważ jestem policjantem”.

Rozległ się następny przeraźliwy trzask i ciężki konar runął na chodnik niecały metr od bagażnika datsuna, sypiąc dookoła kawałkami kory i przegniłego drewna. Gdyby wylądował na dachu, zgniótłby blachę jak puszkę po zupie.

Naomi wrzasnęła.

Wiatr, który wciąż się wzmaczał, wrzasnął w odpowiedzi.

Sam wyciągnął rękę, żeby ją objąć i uspokoić, kiedy drzwi z tyłu rampy uchyliły się i w szparze stanął Dave Duncan. Przytrzymał drzwi, żeby wiatr ich nie zatrasnął. Twarz starego człowieka wydawała się zbyt blada i niemal groteskowo wykrzywiona strachem. Wolną ręką gorączkowo do nich machał.

– Naomi, tam jest Dave.

– Gdzie...? A tak, widzę go. – Oczy jej się rozszerzyły. – Boże, wygląda okropnie!

Zaczęła otwierać drzwi. Wiatr szarpnął nimi, wyrwał jej z ręki, wdarł się do wnętrza datsuna jak małe tornado, poderwał papierki po lukrecji i zatańczył z nimi w zawrotnych kółeczkach.

Naomi cofnęła rękę w samą porę, ponieważ drzwi odbiły się i wracając, mogły ją uderzyć, nawet zranić. Potem znalazła się na zewnątrz, włosy rozpełtały własną burzę nad jej głową, spódnica momentalnie przemokła i przykleiła się do ud.

Sam pchnął drzwi po swojej stronie – otwierały się pod wiatr i musiał napierać na nie całym ciałem, żeby się wydostać z samochodu. Zdążył się zastanowić, skąd, u diabła, wzięła się ta burza; książe Piggly Wiggly twierdził, że prognozy nie zapowiadały takiej spektakularnej wichury. Tylko opady, powiedział.

Ardelia. Może to burza Ardelii.

Jakby na potwierdzenie, w krótkiej chwili ciszy usłyszał głos Dave’a:

– Pośpieszcie się! Wszędzie czuję jej cholerne perfumy!

Koncepcja, że zapach perfum Ardelii może poprzedzać jej materializację, z niejasnych powodów zaniepokoiła Sama.

W połowie drogi do rampy zorientował się, że chociaż ma ze sobą kulę czerwonej lukrecji o konsystencji smarków, książki zostały w samochodzie. Zawrócił, siłą otworzył drzwi i zabrał książki. W tej samej chwili zmieniło się światło – z jasnego, przenikliwego oranżu przeszło w biel. Sam zobaczył tę zmianę na skórze swoich rąk i przez chwilę oczy jakby zamarzły mu w oczodołach. Z książkami w ręku pośpiesznie wycofał się z samochodu i odwrócił.

Pomarańczowa lampa sodowa zniknęła. Zastąpiła ją staroświecka rtęciowa latarnia uliczna. Wokół rampy rosło teraz więcej drzew, tańczących i jęczących na wietrze; przeważały majestatyczne stare wiązy, z łatwością górujące nad dębami. Zmienił się także kształt samej rampy, a po tylnej ścianie biblioteki – jeszcze przed chwilą pustej – pięły się splątane łodygi bluszczu.

Witamy w 1960 roku, pomyślał Sam. Witamy w Bibliotece Publicznej Junction City w wersji Ardelii Lortz.

Naomi dotarła na rampę. Mówiła coś do Dave'a. Ten odpowiedział, potem obejrzał się przez ramię. Zadygotał. W tej samej chwili Naomi krzyknęła przeraźliwie. Sam, w rozwianej marynarce, rzucił się w stronę rampy. Wbiegając po stopniach, zobaczył, jak biała ręka wyłania się z ciemności i opada na ramię Dave'a. Wciągnęła go z powrotem do biblioteki.

– Łap drzwi! – krzyknął Sam. – Naomi, trzymaj drzwi! Nie pozwól im się zamknąć!

Ale tym razem wiatr im pomógł. Rozwarł drzwi na oścież. Uderzyły Naomi w ramię, aż się zatoczyła. Sam zdążył je złapać, kiedy się zamykały.

Naomi spojrzała na niego przerażona.

– To był ten człowiek, który przyszedł do twojego domu, Sam. Wysoki mężczyzna ze srebrnymi oczami. Widziałam go. Porwał Dave'a!

Nie było czasu do namysłu.

– Chodź.

Sam objął Naomi w talii i wciągnął do biblioteki. Za nimi wiatr ucichł i drzwi zatrzasnęły się z hukiem.

8

Znajdowali się w dziale katalogowania książek, mrocznym, ale nie całkiem ciemnym. Na biurku bibliotecznym stała mała lampka z abażurem wykończonym czerwonymi frędzlami. Za tym kawałkiem przestrzeni, zaśmieconym pudłami i opakowaniami (głównie zgniecionymi gazetami, zauważył Sam; w roku 1960 nie wynaleziono jeszcze polietylenowych kulek i folii bąbelkowej) zaczynały się regały. W jednym przejściu, pomiędzy ścianami książek, stał Biblioteczny Policjant. Założył Dave’owi półnelsona i trzymał go z niedbałą łatwością parę centymetrów nad podłogą.

Spojrzał na Sama i Naomi. Srebrne oczy zaśniły, sierp uśmiechu rozciął białą twarz. Wyglądał jak chromowy półksiężyc.

– Ani kroku dalej – ostrzegł. – Bo fkręcę mu kark jak kurczakowi. Ufłyszycie, jak trzaśnie.

Sam rozważał to, ale tylko przez chwilę. Czuł zapach saszetek lawendy, gęsty i mdlący. Na zewnątrz wiatr huczał i zawodził. Cień Bibliotecznego Policjanta tańczył na ścianie, chudy jak tyka. Przedtem nie miał cienia, przypomniał sobie Sam. Co to znaczy?

Może to, że Biblioteczny Policjant był teraz bardziej realny, bardziej obecny... ponieważ Ardelia, Biblioteczny Policjant i mroczny człowiek w starym samochodzie byli w rzeczywistości tą samą osobą. Istniała tylko ona, reszta to były po prostu twarze, które nakładała i zdejmowała równie łatwo, jak dzieciak przymierza maski na Halloween.

– Mam uwierzyć, że darujesz mi życie, jeśli będziemy się trzymać z daleka? – zapytał Sam. – Gówno prawda.

Ruszył w stronę Bibliotecznego Policjanta.

Na twarzy wysokiego mężczyzny pojawił się wyraz, który jakoś do niej nie pasował: zdziwienie. Policjant cofnął się o krok. Trencz załopotał wokół jego goleni, zaczepił o woluminy in folio, tworzące ściany wąskiej alejki.

– Ostrzegam cię!

– A ostrzegaj i niech cię szlag – odparł Sam. – Nie o niego ci chodzi. To ze mną masz sprawę, prawda? Dobra, zaczynaj.

– Bibliotekarka ma porachunki z tym starym! – oświadczył Policjant i zrobił następny krok do tyłu. Coś dziwnego się działo z jego twarzą i Sam dopiero po chwili zrozumiał, co takiego: srebrny blask w oczach Bibliotecznego Policjanta przygasał.

– Więc niech ona to załatwia. Ja mam porachunki z tobą, wielkoludzie, porachunki sprzed trzydziestu lat. – Wyszedł z kręgu światła rzuconego przez lampę na biurku.

– No dobra! – warknął Biblioteczny Gliniarz. Zrobił półobrót i odrzucił Dave’a Duncana w głąb alejki. Dave poleciał jak worek szmat. Wyrwał mu się pojedynczy skrzek strachu i zaskoczenia. Zanim dotarł do ściany, próbował się osłonić jedną ręką, ale bez przekonania, jakby w zamroczeniu. Zderzył się z gaśnicą zawieszoną obok schodów i Sam usłyszał głuchy trzask pękającej kości. Staruszek upadł, a ciężka czerwona gaśnica oderwała się od ściany i runęła prosto na niego.

– Dave! – krzyknęła rozpaczliwie Naomi i rzuciła się do Dave’a.

– Naomi, nie!

Ale ona nie zważała na nic. Biblioteczny Policjanta, który znów się uśmiechał, złapał Naomi za ramię, kiedy próbowała go wyminąć, i przyciągnął do siebie. Schylił głowę i na chwilę ukrył twarz w kasztanowych włosach na jej karku. Wydał dziwne, zdławione kasznięcie, a potem zaczął ją całować... przynajmniej tak to wyglądało. Wpił długie białe palce w jej ramię. Naomi krzyknęła jeszcze raz, a potem zawisła w jego uścisku.

Sam dotarł już do regałów. Chwycił pierwszą z brzegu książkę, wyszarpnął ją z półki, zamachnął się i rzucił. Przekoziołkowała w powietrzu z otwartymi okładkami,

szeleszcząc kartkami, i trafiła Bibliotecznego Policjanta w skroń. Wydał okrzyk zaskoczenia i wściekłości, podniósł wzrok. Naomi wyswobodziła się i zatoczyła na jeden z wysokich regałów, młócąc rękami, żeby złapać równowagę. Regał przechylił się, a potem runął ze straszliwym łoskotem, budząc echo. Książki sfruwały z półek, gdzie stały spokojnie może przez lata, i lądowały na podłodze z plaskaniem dziwnie przypominającym oklaski.

Naomi nie zważała na to. Podbiegła do Dave'a i upadła przy nim na kolana, powtarzając z płaczem jego imię. Biblioteczny Policjant odwrócił się w tamtą stronę.

– Do niej też nic nie masz – rzucił Sam.

Biblioteczny Policjant znowu odwrócił się do niego. Srebrne oczy zniknęły pod małymi czarnymi okularami, które nadawały jego twarzy ślepy, kreci wygląd.

– Trzeba było cię zabić za pierwszym razem – powiedział i ruszył w stronę Sama. Przy każdym jego kroku rozlegał się dziwaczny szelest. Sam spuścił wzrok i zobaczył, że skraj trencza zamiata podłogę. Biblioteczny Policjant stawał się niższy.

– Kara jest zapłacona – powiedział cicho Sam. Tamten przystanął, a Sam podniósł książki z pięciodolarowym banknotem pod gumką. – Kara jest zapłacona i zwróciłem książki. Wszystko skończone, ty dziwko... albo draniu... czymkolwiek jesteś.

Na zewnątrz wiatr wzniósł się w przeciągłym, głuchym wrzasku, który przemknął pod okapem dachu. Biblioteczny Policjant ukradkiem wysunął język, bardzo czerwony, bardzo spiczasty, i oblizał wargi. Na czole i policzkach wyskoczyły mu krosty. Skórę pokrywał tłusty pot.

Zapach lawendowej saszetki znacznie się nasilił.

– Nieprawda! – krzyknął Biblioteczny Policjant. – Nieprawda! To nie te książki pożyczyłeś! Ja wiem! Ten ftary pierdolony pijak zabrał książki, które pożyczyłeś! Zostały...

– ...zniszczone – dokończył Sam. Znowu ruszył w jego stronę. Zapach lawendy narastał z każdym krokiem. Serce mu waliło. –

Ja też wiem, czyj to był pomysł. Ale to są idealne egzemplarze zastępcze. Weź je. – Podniósł głos do krzyku. – Bierz, do cholery!

Wyciągnął książki przed siebie, a Biblioteczny Policjant sięgnął po nie białą ręką, oszołomiony i przestraszony.

– Nie, nie tak! – Sam podniósł książki wyżej. – Tak!

Spuścił je na twarz Bibliotecznego Policjanta... z całej siły. Nigdy w życiu nie czuł takiej głębokiej satysfakcji jak wtedy, kiedy *Poradnik mówcy* i *Ulubione wiersze Ameryki* walnęły Bibliotecznego Policjanta w nos. Okrągłe czarne okulary spadły na podłogę i ukazały się czarne oczodoły wypełnione białawym płynem. Z tej lepkiej mazi wypływały cienkie włókna i Sam przypomniał sobie opowieść Dave'a: *...na skórze jakby zaczęła wyrastać druga skóra.*

– Nie możesz! – wrzasnął Biblioteczny Policjant. – Nie możesz mnie skrzywdzić! Boisz się mnie! Poza tym podobało ci się! Podobało! Ty mały świntuchu, podobało ci się!

– Nieprawda – zaprzeczył Sam. – Wcale mi się nie podobało. Teraz bierz te książki. Bierz i spierdalaj. Bo kara jest zapłacona.

Trzasnął książkami w pierś Bibliotecznego Policjanta. Kiedy ten zacisnął na nich ręce, Sam kopnął go mocno kolanem w krocze.

– To za wszystkie inne dzieci – powiedział. – Za te, które zgwałciłeś, i za te, które ona zjadła.

Stwór zawył z bólu. Upuścił książki, zgiął się wpół i osłonił rękami krocze. Tłuste czarne włosy spadły mu na twarz i litościwie zasłoniły te puste, zapchane włóknami oczodoły.

Oczywiście, że są puste, zdążył pomyśleć Sam. Tamtego dnia nie widziałem jego oczu za okularami... więc ONA też ich nie widziała.

– Tym nie zapłacisz swojej kary – dodał. – Ale to dobry początek, nie?

Trencz Bibliotecznego Policjanta zaczął się marszczyć i falować, jakby zachodziła pod nim jakaś niewyobrażalna transformacja. A kiedy on... stwór... podniósł wzrok, Sam

zobaczył coś, co sprawiło, że cofnął się o krok z obrzydzeniem i zgrozą.

Mężczyzna, który pochodził w połowie z plakatu Dave'a, a w połowie ze wspomnień Sama, zmienił się w zdeformowanego karła. Karzeł stał się czymś jeszcze innym, ohydny hermafrodytą. Na jego twarzy i pod wybrzuszonym, drgającym tenczem szalała seksualna burza. Połowa włosów pozostała czarna; druga połowa przybrała odcień popielatoblond. Jeden oczodół wciąż zionął pustką; w drugim błyszczało nienawistnie dzikie niebieskie oko.

– Chcę ciebie – zasyczał karłowaty stwór. – Chcę ciebie i dostanę.

– Spróbuj, Ardelio – odparł Sam. – Zabawimy się...

Sięgnął do stwora, ale wrzasnął i cofnął rękę, jak tylko dotknął tencza. To wcale nie był płaszcz, tylko coś w rodzaju odrażającej luźnej skóry, w dotyku przypominającej zużyte, jeszcze wilgotne torebki z herbatą.

Stwór przemknął po pochyłym boku przewróconego regału i zeskoczył w ciemność po drugiej stronie. Zapach lawendowej saszetki nagle stał się dużo silniejszy.

Z mroku doleciał brutalny śmiech.

Kobięcy śmiech.

– Za późno, Sam – powiedziała. – Już za późno. Dokonało się.

Ardelia wróciła, pomyślała. Na zewnątrz rozległ się ogłuszający, rozdzierający trzask. Budynek zadrżał, kiedy runęło na niego drzewo, i światła zgasły.

9

Znajdowali się w całkowitej ciemności tylko przez sekundę, ale zdawało się im, że znacznie dłużej. Ardelia znowu się zaśmiała i tym razem jej śmiech dziwnie zahuczał, jakby go nadawano przez megafon.

Potem wysoko na ścianie zapaliła się lampa awaryjna. Białe światło padło na najbliższe regały i rozpędziło cienie jak kłębki

czarnej włóczki. Sam słyszał pracowite buczenie akumulatora lampy. Podszedł do Naomi, która wciąż klęczała obok Dave'a. Dwa razy o mało nie upadł, poślizgnąwszy się na stosach książek, które wysypały się z przewróconego regału.

Naomi podniosła na niego wzrok. Twarz miała bladą, zaszokowaną, zalaną łzami.

– Sam, on chyba umiera.

Sam ukląkł obok Dave'a. Stary miał oczy zamknięte, oddychał chrapliwie, nierówno. Cienkie strużki krwi wypływały mu z obu nozdrzy i jednego ucha. Na czole, tuż nad prawą brwią, widniało głębokie wgniecenie. Na ten widok Sam poczuł skurcz w żołądku. Jedna z kości policzkowych Dave'a najwyraźniej pękła i uchwyt gaśnicy odcisnął się po tej stronie twarzy jaskrawymi liniami krwawych sińców. Wyglądało to jak tatuaż.

– Musimy go zabrać do szpitala, Sam!

– Myślisz, że ona nas teraz wypuści? – zapytał.

Jakby w odpowiedzi, zza nierównego kręgu światła lampy awaryjnej wyleciała gruba książka – tom T *The Oxford English Dictionary*. Sam pociągnął Naomi do tyłu i oboje padli plackiem na zakurzoną podłogę. Cztery kilo *tautologii, tekstyliów, tornada* i *transkrypcji* przeleciało tam, gdzie jeszcze przed chwilą znajdowała się głowa Naomi, uderzyło w ścianę i rozpląszczyło się na podłodze jak oklapnięty namiot.

Z mroku dobiegł piskliwy śmiech. Sam dźwignął się na kolana i zdążył zobaczyć, jak zgarbiona sylwetka umyka alejką za przewróconym regałem. Ciągle się zmienia, pomyślał. Bóg jeden wie w co. Sylwetka odbiła w lewo i zniknęła.

– Załatw ją, Sam – powiedziała ochryple Naomi. Ścisnęła go za rękę. – Załatw ją, proszę.

– Spróbuję – obiecał.

Przestąpił nad rozrzuconymi nogami Dave'a i wszedł w głębszą ciemność za przewróconym regałem.

Świrował od tego zapachu – lawendowej saszetki i kurzu nagromadzonego przez lata na książkach. Ten zapach w połączeniu z wiatrem gwizdającym niczym pociąg towarowy sprawiał, że Sam czuł się jak podróżnik w czasie z powieści H.G. Wellsa... a sama biblioteka rozciągająca się wokół niego stała się wehikułem czasu.

Powoli szedł alejką, ściskając nerwowo w lewej ręce kulę czerwonej lukrecji. Książki otaczały go, zdawały się patrzeć na niego groźnie z góry. Regały przewyższały go dwukrotnie. Słyszał stukanie i skrzypienie swoich butów na starym linoleum.

– Gdzie jesteś?! – krzyknął. – Jeśli mnie chcesz, Ardelio, czemu po mnie nie przyjdiesz? Tu jestem!

Brak odpowiedzi. Ale niedługo będzie musiała wyjść, prawda? Jeśli Dave się nie mylił, zbliżała się do przemiany i czas jej się kończył.

Północ, pomyślał. Biblioteczny Policjant dał mi czas do północy, więc może tyle jej zostało. Ale to jeszcze ponad trzy i pół godziny... Dave nie wytrzyma tak długo.

Potem przyszła mu do głowy inna myśl, jeszcze mniej przyjemna: przypuśćmy, że kiedy on tu błądzi po ciemnych alejkach, Ardelia okrężną drogą wraca do Naomi i Dave'a?

Dotarł do końca przejścia, wytężył słuch; nic nie usłyszał i wślizgnął się w następne. Pusto. Usłyszał w górze cichy szelest i podniósł wzrok w samą porę, żeby zobaczyć, jak kilka ciężkich tomów wysuwa się z półki nad jego głową. Z krzykiem odskoczył do tyłu i spadające książki uderzyły go w uda. Zza regału dobiegł szaleńczy śmiech Ardelii.

Wyobraził ją sobie, uczepioną regałów niczym pająk napęczniały od trucizny, i jego ciało samo zaczęło działać, zanim zdążył pomyśleć. Obrócił się na piętach niczym pijany żołnierz usiłujący wykonać w tył zwrot i napał plecami na regał, który przechylił się pod jego ciężarem. Śmiech przerodził się we wrzask strachu i zaskoczenia. Sam usłyszał mięsiste łupnięcie, kiedy stwór zeskoczył ze swojej grzędy. Sekundę później regał runął.

Potem stało się coś, czego Sam nie przewidział: popchnięty regał upadł w poprzek alejki, siejąc książkami, i uderzył w następny. Drugi upadł na trzeci, trzeci na czwarty i teraz wszystkie przewracały się jak kostki domina w tej ogromnej, mrocznej sali, z hukiem i trzaskiem, rozsypując dzieła zebrane Marryata i kompletne wydanie *Baśni braci Grimm*. Ardelia znowu wrzasnęła i Sam rzucił się na przechylony regał, który wcześniej popchnął, Wdrapał się po nim jak po drabinie, kopniakami roztrzaskując książki, żeby znaleźć oparcie dla stóp, podciągając się jedną ręką.

Przeskoczył na drugą stronę i zobaczył białego, potwornie zniekształconego stwora, gramolącego się spod usypiska atlasów i przewodników turystycznych. Istota miała jasne włosy i niebieskie oczy, ale na tym kończyło się wszelkie podobieństwo do człowieka. Iluzje zniknęły. Była naga i tłusta, z kończynami zakończonymi ruchomymi szponami. Pod brodą zwisał jej mięsisty worek przypominający sflaczałe wole. Na całym ciele jeżyły się cienkie białe włókna. Było w tym coś koszmarnie owadziego i Sam nagle wybuchnął wrzaskiem – bezgłośnym, wewnętrznym, atawistycznym wrzaskiem, który zdawał się roznosić po jego kościach. Więc to jest to. Boże, dopomóż, to jest to. Czuł obrzydzenie, ale strach nagle ustąpił; łatwiej było wytrzymać, kiedy już widział stwora.

Potem istota znowu zaczęła się zmieniać i ten widok już nie przynosił ulgi. Stwór właściwie nie miał twarzy, ale pod wytrzeszczonymi niebieskimi oczami wyrosło coś na kształt rogu, wyciągało się coraz dalej niczym gruba słoniowa trąba. Oczy zjechały na boki i zrobiły się najpierw skośne, potem owadzie. Trąba węszyła głośno, sięgając do Sama.

Porastały ją falujące, zakurzone włókna.

Sam chciał się cofnąć – coś w nim wrzeszczało, żeby się cofnąć – ale większa część chciała zostać na miejscu. A kiedy dotknęła go mięsista owadzia trąbka, poczuł jej wielką moc. Ogarnął go letarg, przekonanie, że najlepiej stać spokojnie i pozwalać na wszystko. Wiatr przycichł, brzmiał jak odległe, senne

zawodzenie, dziwnie kojące, jak buczenie odkurzacza, kiedy Sam był malutki.

– Sam?! – zawołała Naomi, ale jej głos był daleki, nieważny. – Sam, nic ci nie jest?!

Czy zdawało mu się kiedyś, że ją kocha? To głupie. Wręcz śmieszne, jak się zastanowić... bo przecież w gruncie rzeczy to jest dużo lepsze.

Ta istota znała... wiele opowieści.

Bardzo ciekawych opowieści.

Całe plastyczne ciało białego stwora przelewało się teraz w trąbkę; karmiło ją sobą i trąbka się wydłużała. Stwór stał się rurowatym kształtem, reszta ciała obwisała, bezużyteczna i zapomniana jak wole pod brodą. Wszystkie siły witalne przeniósł na mięsistą trąbkę, przewód, przez który wchłonie w siebie życie i esencję Sama.

To było przyjemne.

Trąbka delikatnie prześlizgnęła się w górę po jego nogach, na krótko przywarła do krocza, potem uniosła się wyżej, pieściła brzuch.

Sam padł na kolana, żeby ułatwić jej dostęp do swojej twarzy. Oczy go zapiekły przelotnie i rozkosznie, kiedy zaczął z nich wypływać jakiś płyn... nie łyzy, gęstszy niż łyzy.

Trąbka zbliżyła się do jego oczu; widział w środku różowy płatek ciała, który łąpczywie otwierał się i zamykał. Ilekroć się otwierał, odsłaniał w głębi czarniejszą ciemność. Potem się skurczył, tworząc otwór w płątku, rurę wewnątrz rury, która powoli, zmysłowo przesunęła się po wargach i policzku Sama w stronę tej lepkiej wydzieliny. Zniekształcone ciemnoniebieskie oczy wpatrywały się w niego pożądliwie.

Ale kara została zapłacona.

Mobilizując resztki sił, Sam zacisnął prawą rękę na trąbce. Była gorąca i parząca, porastały ją cienkie, kłujące włókna.

Trąbka drgnęła i próbowała się wycofać. Sam o mało jej nie wypuścił, ale zacisnął palce i wbił paznokcie w ciało stwora.

– Masz! – krzyknął. – Masz, przyniosłem ci coś, suko! Przywiozłem aż ze wschodniego St. Louis!

Zamachnął się lewą ręką i wbił kulę czerwonej lukrecji w zakończenie trąbki, zatkał ją tak, jak dawno temu dzieciaki na parkingu zatkały rurę wydechową w pontiacu Tommy'ego Reeda. Stwór próbował wrzasnąć, ale wydał tylko zdławione buczenie. Potem znowu zaczął się wyrywać. Kula czerwonej lukrecji wystawała z konwulsyjnie drgającej trąbki jak krwawy pęcherz.

Sam dźwignął się na kolana, wciąż ściskając dygoczący, hałasujący kawał mięsa, i rzucił się na stwora-Ardelię. Wiła się i skręcała pod nim, próbowała go zrzucić. Tarzali się wśród stosów książek. Stwór był straszliwie silny. Sam raz spojrzał mu w oczy i niemal sparaliżowały go nienawiść i panika w tym spojrzeniu.

Potem poczuł, że stwór zaczyna puchnąć.

Puścił Sama i odpełznął do tyłu, dysząc. W zawałonej książkami alejce wyglądał teraz jak groteskowa piłka plażowa z trąbą, piłka pokryta cienkimi włoskami, które falowały jak wąsy wodorostów podczas przyptywu. Przetoczył się przez alejkę, trąbka nabrzmiała jak wąż strażacki zawiązany na supeł. Sam patrzył z fascynacją i zgrozą, jak stwór nazywający siebie Ardelią Lortz dusi się własnymi kipiącymi wnętrznościami.

Na rozciągniętej skórze wyskoczyła jasnoczerwona siatka naczyń krwionośnych. Wybałuszone oczy wpatrywały się w Sama z oszołomionym zdumieniem. Stwór uczynił ostatni wysiłek, żeby wypluć miękką kulę lukrecji, ale wcześniej szeroko otworzył trąbkę na przyjęcie pożywienia i lukrecja tkwiła mocno.

Sam zrozumiał, co się stanie, i w ostatniej chwili osłonił twarz ramieniem, zanim stwór eksplodował.

Strzępy niehumanoidalnego ciała poleciały na wszystkie strony. Strumienie gęstej krwi oblały ramiona, nogi i klatkę piersiową Sama. Krzyknął z obrzydzeniem i z ulgą.

Chwilę później lampa awaryjna zgasła i znowu pograżyli się w ciemnościach.

Ten moment ciemności również trwał krótko, ale dostatecznie długo, żeby Sam wyczuł zmianę. Poczuł to w głowie – wyraźne wrażenie, że poprzesuwane rzeczy wróciły na swoje miejsca. Kiedy oświetlenie awaryjne znowu się włączyło, tym razem zapaliły się cztery lampy. Akumulatory bzycały cicho, z zadowoleniem, zamiast głośno buczeć; bardzo jasne światło przepędziło cienie do najdalszych kątów. Sam nie wiedział, czy świat z 1960 roku, do którego się przenieśli, kiedy lampa sodowa zmieniła się w rtęciową, był rzeczywisty – ale wiedział, że ten świat przestał istnieć.

Przewrócone regały znowu stały prosto. W przejściu na podłodze leżały rozrzucone książki – kilkanaście – ale mógł je strącić, kiedy usiłował się podnieść. Na zewnątrz odgłosy burzy przycichły od wrzasku do pomruku. Drobnny deszczyk lekko bębnił o dach.

Stwór-Ardelia zniknął. Sam nie widział żadnych rozbryzgów krwi ani strzępków ciała na podłodze, na książkach czy na sobie.

Po Ardellii zostało tylko jedno: samotny złoty kolczyk, błyszczący w świetle.

Sam podniósł się chwiejnie i kopnął go w kąt. Potem zrobiło mu się szaro przed oczami. Zachwiał się i zacisnął powieki. Pomyślał, że zaraz zemdleje.

– Sam! – zawołała Naomi. Chyba płakała. – Sam, gdzie jesteś?

– Tutaj!

Chwycił się pełną garścią za włosy i mocno pociągnął. Głupie, możliwe, ale poskutkowało. Falująca szarość nie ustąpiła całkowicie, jednak się cofnęła. Dużymi, ostrożnymi krokami ruszył z powrotem do działu katalogowania.

To samo biurko, toporny kloc na grubych nogach, stało w tym samym miejscu, ale lampę ze staroświeckim abażurem ozdobionym frędzlami zastąpiła ergonomiczna jarzeniówka. Zamiast poobijanej maszyny do pisania i kołonotatnika, na blacie królował komputer Apple. A gdyby Sam jeszcze nie wiedział, do

jakiego czasu trafił, wystarczyłyby mu widok tekturowych pudeł na podłodze, pełnych folii bąbelkowej i taśm samoprzylepnych.

Naomi wciąż klęczała obok Dave'a na końcu alejki. Kiedy Sam do niej dotarł, zobaczył, że gaśnica (wyglądała tak samo, chociaż minęło trzydzieści lat) znowu wisi zamocowana na słupku... ale odbity ślad jej uchwytu wciąż widniał na czole i policzku Dave'a.

Stary miał otwarte oczy i uśmiechnął się na widok Sama.

– Nie... źle – wyszeptał. – Pewno nie... przypuszczałeś, że... stać cię na coś takiego.

W sercu Sama wezbrała ogromna ulga.

– Nie – przyznał. – Nie przypuszczałem. – Schylił się i przysunął do oczu Dave'a trzy palce. – Ile palców widzisz?

– Około... siedemdziesięciu czterech – szepnął Dave.

– Zadzwońię po karetkę – oznajmiła Naomi i chciała wstać, lecz Dave lewą ręką złapał ją za nadgarstek.

– Nie. Jeszcze nie. – Przeniósł spojrzenie na Sama. – Schył się. Muszę szeptać.

Sam nachylił się nad starcem. Dave położył mu drżącą rękę na karku. Połaskotał wargami płatek ucha Sama, który z wysiłkiem zachował spokój.

– Sam – szepnął. – Ona czeka. Pamiętaj... ona czeka.

– Co? – Sam czuł się kompletnie rozbity. – Dave, o czym ty mówisz?

Ale ręka Dave'a opadła. Patrzył na Sama, poprzez Sama, oddychając szybko i płytko.

– Idę – oznajmiła Naomi, wyraźnie zdenerwowana. – Na biurku w katalogach jest telefon.

– Nie – rzucił Sam.

Odwróciła się do niego. W jej oczach płonęła wściekłość, uniesiona warga odsłaniała równe białe zęby.

– Jak to nie? Zwariowałeś? On ma co najmniej pękniętą czaszkę! On...

– On odchodzi, Sarah – powiedział łagodnie Sam. – Już niedługo. Zostań przy nim. Jak przyjaciółka.

Spuściła wzrok i tym razem zobaczyła to, co Sam. Źrenica lewego oka Dave'a skurczyła się do rozmiarów główki od szpilki; prawa źrenica była wielka i nieruchoma.

– Dave? – szepnęła ze strachem. – Dave?

Ale Dave znowu patrzył na Sama.

– Pamiętaj – powtórzył. – Ona cze...

Oczy mu się rozszerzyły i zastygły. Pierś uniosła się jeszcze raz... opadła... i więcej się nie podniosła.

Naomi załkała. Przyłożyła jego rękę do swojego policzka i zamknęła mu oczy. Sam z trudem ukląkł obok niej i objął ją w talii.

ROZDZIAŁ 15

Angle Street (III)

1

Tej nocy i następnej Sam Peebles nie mógł zasnąć. Leżał rozbudzony w łóżku, zapaliwszy wszystkie światła na piętrze, i myślał o ostatnich słowach Dave'a Duncana: „Ona czeka”.

Drugiej nocy przed świtem uwierzył, że zrozumiał, co stary próbował mu przekazać.

2

Sam myślał, że Dave zostanie pochowany przy kościele baptystów w Proverbii, i trochę go zdziwiła wiadomość, że nawrócił się na katolicyzm gdzieś pomiędzy 1960 a 1990 rokiem. Nabożeństwo odprawiono w kościele Świętego Marcina jedenastego kwietnia, w wietrzny dzień, kiedy zza chmur przebłyskiwało chłodne wczesnowiosenne słońce.

Po pogrzebie na Angle Street odbyła się stypa. Kiedy Sam dotarł na miejsce, już prawie siedemdziesiąt osób kręciło się na parterze albo stało w małych grupkach. Wszyscy znali Dave'a, wszyscy mówili o nim z humorem, szacunkiem i niesłabnącą miłością. Popijali lemoniadę imbirową ze styropianowych kubków i pogryzali małe kanapki. Sam przechodził od grupki do grupki, zamieniając parę słów ze znajomymi, ale nigdzie się nie zatrzymywał. Prawie nie wyjmował ręki z kieszeni ciemnej marynarki. Po drodze z kościoła wstąpił do sklepu Piggly Wiggly i teraz w kieszeni spoczywało kilka celofanowych paczuszek, cztery długie i cienkie, dwie prostokątne.

Sarah nie było.

Chciał już wyjść, kiedy zobaczył Lukeya i Rudolpha siedzących razem w kącie. Pomiedzy nimi leżała tabliczka do cribbage'a, ale nie grali.

– Cześć, chłopaki – przywitał ich, podchodząc. – Pewnie mnie nie pamiętacie...

– Jasne, że pamiętamy – powiedział Rudolph. – Za kogo pan nas masz? Za parę sklerotyków? Pan jest przyjacielem Dave'a. Przyszedł pan tego dnia, kiedy robiliśmy plakaty.

– Racja! – potwierdził Lukey.

– Znalazłeś pan te książki, coś ich pan szukał? – zapytał Rudolph.

– Tak – odparł Sam z uśmiechem. – W końcu znalazłem.

– Racja! – wykrzyknął Lukey.

Sam wyjął cztery cienkie celofanowe paczuszki.

– Coś wam przyniosłem, chłopaki – powiedział.

Lukey spojrzał i oczy mu się zaświeciły.

– Slim jimy, Dolph! – zawołał z radosnym uśmiechem. – Patrz! Chłopak Sarah przyniósł nam pieprzone slim jimy! Cudnie!

– Ej, dawaj to, stary pijusie – warknął Rudolph i wyrwał mu prezenty. – Ten piździelec zeżre wszystko na jedno posiedzenie, a potem w nocy obesra łóżko, pan rozumiesz – wyjaśnił Samowi. Odpakował jednego slim jima i wręczył Lukeyowi. – Masz, popaprańcu. Resztę dla ciebie przechowam.

– Możesz zjeść jednego, Dolph. Śmiało.

– Nie bądź za cwany, Lukey. Po tym mam zgagę z obu końców.

Sam nie zwrócił uwagi na tę wymianę słów. Wpatrywał się w Lukeya twardym wzrokiem.

– Chłopak Sarah? Gdzieś to słyszał?

Lukey pochłonął jednym kęsem połowę slim jima i podniósł wzrok. Minę miał jednocześnie chytrą i rozbawioną. Przytknął palec do nosa i powiedział:

– Słyszysz się różne rzeczy, jak się jest w AA, słoneczko. Oj tak, różne rzeczy.

– On gównu wie, panie szanowny – oświadczył Rudolph, dopijając lemoniadę. – Tylko tak miele ozorem, bo lubi się wymądrzać.

– Chrzanisz głupoty! – wrzasnął Lukey i odgryzł następny kawałek slim jima. – Wiem, bo Dave mi powiedział! Wczoraj w nocy! Miałem sen i Dave tam był, i powiedział mi, że ten gość to ukochany Sarah!

– Gdzie jest Sarah? – zapytał Sam. – Myślałem, że tu będzie.

– Rozmawiała ze mną po nabożeństwie – oznajmił Rudolph. – Mówiła, że pan wiesz, gdzie ją później znaleźć, jeśli zechcesz. Żeś pan już ją tam widział.

– Ona bardzo strasznie lubiła Dave’a – powiedział Lukey. Nagle w oku zakręciła mu się łza i spłynęła na policzek. Otarł ją wierzchem dłoni. – Wszyscyśmy go lubili. Dave zawsze tak się starał. Wielka szkoda, wiesz pan. Naprawdę wielka szkoda.

I Lukey wybuchnął płaczem.

– Coś wam powiem. – Sam przykucnął obok niego i podał mu swoją chusteczkę. Też zbierało mu się na płacz i bał się tego, co musi teraz zrobić... albo spróbować zrobić. – W końcu mu się udało. Umarł trzeźwy. Cokolwiek ludzie powiedzą, trzymajcie się tego, bo to prawda. Umarł trzeźwy.

– Amen – zaintonował Rudolph z szacunkiem.

– Amen – zgodził się Lukey i oddał Samowi chusteczkę. –
Dzięki.

– Nie ma za co.

– A nie masz pan więcej tych pieprzonych slim jimów, co?

– Nie – odparł Sam z uśmiechem. – Wiesz, jak to mówią, Lukey: jeden to za dużo, a tysiąc nigdy nie wystarczy.

Rudolph się zaśmiał. Lukey uśmiechnął się... a potem znowu przytknął palec do nosa.

– To może ćwierć dolca... nie masz pan na zbyciu ćwierć dolca?

W pierwszej chwili Sam pomyślał, że poszła do biblioteki, ale to nie pasowało do informacji Dolpha. Był wprawdzie z Sarah w bibliotece raz, tej strasznej nocy, która wydawała się odległa o dekadę, ale byli tam razem; nie „widział” jej tam tak, jak się widzi kogoś przez okno albo...

Potem przypomniał sobie, kiedy rzeczywiście widział ją przez okno, tutaj, na Angle Street. Uczestniczyła w zebraniu na tylnym podwórzu, robiła to, co oni wszyscy robili, żeby zachować trzeźwość. Teraz przeszedł przez kuchnię jak tamtego dnia, witając się z kilkoma osobami. Burt Iverson i Elmer Baskin stali w jednej z grup, popijając poncz z lodami i słuchając z powagą jakiejś starszej kobiety, której Sam nie znał.

Zszedł po stopniach i przeciął podwórze, świadom, że serce znowu zaczęło mu walić. Wsunął ukradkiem rękę do kieszeni i tym razem wyłowił dwie pozostałe celofanowe paczuszki. Dwa opakowania czerwonej lukrecji Bycze Oko. Rozerwał je i zaczął ugniatać zawartość w kulę, dużo mniejszą niż tamta, którą zrobił w datsunie w poniedziałek wieczorem. Słodki cukrowy zapach był równie mdlący jak zawsze. Usłyszał z daleka nadjeżdżający pociąg i przypomniał sobie swój sen – ten, w którym Naomi zmieniła się w Ardelię.

Za późno, Sam. Już za późno. Dokonało się.

Ona czeka. Pamiętaj, Sam... ona czeka.

Czasami w snach jest dużo prawdy.

Jak ona przeżyła te wszystkie lata? Lata pomiędzy wtedy i teraz? Nigdy nie zadawali sobie tego pytania? Jak dokonywała przemiany z jednej osoby w drugą? O to też nigdy nie pytali. Może stwór, który wyglądał jak kobieta nazwiskiem Ardelia Lortz, pod warstwą iluzji przypominał larwy. Larwa przedzie kokon w rozwidleniu gałęzi, okrywa się ochronną skorupą, podczas gdy dojrzały osobnik odlatuje, żeby umrzeć. Larwa spoczywa nieruchomo w kokonie, czeka... zmienia się...

Ona czeka.

Sam szedł dalej, wciąż ugniatając małą, cuchnącą kulę zrobioną z tego, co Biblioteczny Policjant – jego Biblioteczny

Policjant – ukradł i zmienił w narzędzie koszmaru. Coś, co jakimś sposobem on ponownie zmienił, z pomocą Naomi i Dave’a, w narzędzie ocalenia.

Biblioteczny Policjant przyciska do siebie Naomi. Przywiera ustami do jej szyi, jakby chciał ją pocałować. Zamiast tego kaszle.

Wole na gardle stwora-Ardelii. Obwisłe. Opróżnione. Puste.

Proszę, niech nie będzie za późno.

Wszedł w rzadkie zarośla. Naomi Sarah Higgins stała po drugiej stronie, z założonymi na piersi rękami. Spojrzała na niego przelotnie; przeraziła go bladość jej policzków, udręczony wyraz oczu. Potem znowu przeniosła wzrok na tory. Pociąg się zbliżał. Wkrótce go zobaczą.

– Cześć, Sam.

– Cześć, Sarah.

Objął ją w talii. Nie protestowała, ale jej ciało pozostało sztywne, nieprzystępne. Proszę, niech nie będzie za późno, powtórzył w duchu i znowu pomyślał o Davie.

Zostawili go tam, w bibliotece, zablokowawszy gumowym klinem drzwi na rampę. Sam zadzwonił z automatu dwie przecznice dalej i zgłosił, że drzwi do biblioteki są otwarte. Rozłączył się, kiedy dyspozytor zapytał go o nazwisko. Więc znaleziono Dave’a i oczywiście orzeczono śmierć w wypadku, a ci mieszkańcy miasta, których to w ogóle obeszło, wyciągnęli wniosek łatwy do przewidzenia: jeszcze jeden stary pijaczyna odszedł do wielkiej speluny w niebie. Założyli, że zawędrował w alejkę z flaszką, zobaczył otwarte drzwi, wlażł do środka i po ciemku rozbił sobie głowę o gaśnicę. Koniec pieśni. Wyniki obdukcji, które wykazały zero alkoholu we krwi Dave’a, wcale nie zmieniły tej opinii – zapewne również wśród policjantów. Ludzie po prostu się spodziewają, że pijak umrze śmiercią pijaka, pomyślał Sam, nawet jeśli przestał pić.

– Jak się czujesz, Sarah? – zapytał.

Popatrzyła na niego ze znużeniem.

– Nie za dobrze, Sam. Bardzo niedobrze. Nie mogę spać... nie mogę jeść... po głowie chodzą mi okropne myśli... całkiem jak nie

moje... i chcę się napić. To jest najgorsze. Chcę pić... pić... i pić. Spotkania nie pomagają. Po raz pierwszy w życiu spotkania mi nie pomagają.

Zamknęła oczy i rozplakała się bezsilnie. Wydawała się straszliwie zagubiona.

– Nie – powiedział cicho. – Nie pomogą. Nie mogą pomóc. A ona pewnie chciałaby, żebyś znowu zaczęła pić. Ona czeka... ale to nie znaczy, że nie jest głodna.

Naomi otworzyła oczy i spojrzała na niego.

– Co... Sam, o czym ty mówisz?

– Chyba o wytrwałości. Wytrwałości zła. Jak ono czeka. Jakie jest przebiegłe, nieprzewidywalne, potężne.

Powoli podniósł rękę i rozwarł dłoń.

– Poznajesz to, Sarah?

Cofnęła się przed kulką czerwonej lukrecji na jego dłoni. Przez mgnienie oczy miała szeroko otwarte i czujne. Błyszczały nienawiścią i strachem.

Błyszczały srebrem.

– Wyrzuć to! – szepnęła. – Wyrzuć to świństwo!

Obronnym gestem podniosła rękę do karku, gdzie jej kasztanowe włosy spadały na ramiona.

– Mówię do ciebie – oświadczył stanowczo. – Nie do niej, ale do ciebie. Kocham cię, Sarah.

Znowu spojrzała na niego z ogromnym znużeniem.

– Tak – przyznała. – Może kochasz. Ale może powinieneś przestać.

– Chcę, żebyś coś dla mnie zrobiła, Sarah. Odwróć się do mnie plecami. Nadjeżdża pociąg. Patrz na ten pociąg i nie oglądaj się na mnie, dopóki ci nie powiem. Możesz to zrobić?

Uniosła górną wargę. Nienawiść i strach ponownie ożywiły jej mizerną twarz.

– Nie! Daj mi spokój! Odejdź!

– Czy tego chcesz? – zapytał. – Naprawdę? Powiedziałaś Dolphowi, gdzie mogę cię znaleźć, Sarah. Naprawdę chcesz, żebym odszedł?

Ponownie zamknęła oczy. Jej usta wygięły się w drżącą podkówkę cierpienia. Kiedy otworzyła oczy, były pełne grozy i błyszczały od łez.

– Och, Sam, pomóż mi! Coś jest nie tak i nie wiem, co się dzieje! Nie wiem, co robić!

– Ja wiem, co robić. Zaufaj mi, Sarah, i uwierz w to, co powiedziałaś, kiedy w poniedziałek jechaliśmy do biblioteki. Uczciwość i wiara. To jest przeciwieństwo strachu. Uczciwość i wiara.

– Ale to trudne – szepnęła. – Trudno zaufać. Trudno uwierzyć. Patrzył na nią spokojnie.

Nagle górna warga Naomi uniosła się, a dolna wywinęła i przez chwilę usta wyglądały niemal jak ryj.

– Pierdol się! – warknęła. – Pierdol się, ty złamasie, Samie Peebles!

Wciąż patrzył na nią spokojnie.

Przycisnęła ręce do skroni.

– Nie chciałam tego powiedzieć. Nie wiem, dlaczego to powiedziałam. Głowa mi pęka... Sam, moja biedna głowa! Pęka na pół!

Nadjeżdżający pociąg zagwizdał przed mostem na rzece Proverbia i wtoczył się do Junction City. Ten popołudniowy skład nie zatrzymywał się w drodze do rzeźni w Omaha. Sam już go widział.

– Zostało niewiele czasu, Sarah. Trzeba to zrobić teraz. Odwróć się i patrz na pociąg. Patrz, jak nadjeżdża.

– Tak – powiedziała nagle. – Zgoda. Rób, co chcesz, Sam. A jeśli zobaczysz... zobaczysz, że to nie działa... popchnij mnie. Popchnij mnie pod pociąg. Powiesz potem, że sama się rzuciłam... że popełniłam samobójstwo. – Spojrzała na niego błagalnie: śmiertelnie zmęczone oczy w wynędzniałej twarzy. – Oni wiedzą, że źle się czuję... ludzie z AA. Przed nimi się tego nie ukryje. Po jakimś czasie to niemożliwe. Uwierzą ci, jeśli powiesz, że się rzuciłam pod pociąg, i słusznie, bo nie chcę tak dalej żyć. Ale

rzecz w tym, Sam, że niedługo to się zmieni i będę chciała tak dalej żyć.

– Cicho bądź – rzucił. – Nie będziemy rozmawiać o samobójstwie. Patrz na pociąg, Sarah, i pamiętaj, że cię kocham.

Odwróciła się w stronę pociągu, który zbliżał się szybko, teraz oddalony najwyżej o półtora kilometra. Sięgnęła obiema rękami do karku i uniosła włosy. Sam pochylił się... i zobaczył to, czego szukał, przywierające wysoko do czystej białej skóry. Wiedział, że zaledwie centymetr niżej zaczyna się pień mózgu, i żołądek mu się skręcił z obrzydzenia.

Nachylił się do pęcherzowatej narośli. Pokrywała ją pajęczyna krzyżujących się białych nici, ale pod nimi znajdował się różowawy galaretowaty guz, który drgał i pulsował w rytm uderzeń serca Naomi.

– Zostaw mnie w spokoju! – wrzasnęła nagle Ardelia Lortz ustami kobiety, którą Sam pokochał. – Zostaw mnie w spokoju, ty draniu!

Ale ręce Sarah nawet nie drgnęły, tylko przytrzymały włosy w górze, zapewniając mu dostęp.

– Widzisz numer na lokomotywie, Sarah? – mruknął.

Zajęczała.

Wcisnął kciuk w miękką kulkę czerwonej lukrecji, zrobił zagłębienie trochę większe niż pasożyt przyczepiony do szyi Sarah.

– Przeczytaj mi numer, Sarah. Przeczytaj go.

– Dwa... sześć... och, Sam, głowa mnie boli... jakby wielka ręka rozdierała mi mózg na pół...

– Czytaj numer, Sarah – powtórzył i przyłożył lukrecję Bycze Oko do tej pulsującej ohydnej narośli.

– Pięć... dziewięć... pięć...

Delikatnie oblepił guz lukrecją. Nagle poczuł, jak stwór się wije i skręca pod warstwą słodkiej masy. A jeśli pęknie? Jeśli po prostu pęknie, zanim go zdejmę? To cała skoncentrowana trucizna Ardelii... a jeśli pęknie, zanim zdążę ją zdjąć?

Nadjeżdżający pociąg znowu zagwizdał. Gwizd zagłuszył okrzyk bólu Sarah.

– Spokojnie...

Sam zacisnął lukrecjowy okład i jednocześnie pociągnął. Udało się: stwór ugrzązł w lukrecji, pulsował i dygotał jak małeńkie chore serce. Na karku Sarah zostały trzy mikroskopijne ciemne dziurki, nie większe niż ślady ukłuć szpilką.

– Zniknęło! – zawołała Sarah. – Sam, zniknęło!

– Jeszcze nie – sprostował ponuro. Lukrecja znowu leżała na jego dłoni, pęcherzyk napierał na powierzchnię masy, próbował się uwolnić...

Pociąg z rykiem pędził teraz przez stację przeładunkową Junction City, stację, na której niegdyś niejaki Brian Kelly rzucił Dave’owi Duncanowi cztery monety, a potem kazał mu się zmywać. Niecałe trzysta metrów, zbliżał się szybko.

Sam odsunął Sarah i klęknął przy torach.

– Sam, co ty robisz?

– Masz, Ardelio – mruknął. – Spróbuj tego.

Przylepił pulsującą, pęczniejącą bryłkę czerwonej lukrecji do lśniącej stalowej szyny.

W głowie usłyszał wrzask nieopisanej furii i przerażenia. Cofnął się i patrzył, jak stwór uwięziony w lukrecji usiłuje się wyrwać. Słodka masa pękła... zobaczył w środku ciemniejszą czerwień próbująca się wydostać... a wtedy towarowy 2.20 do Omaha przejechał po niej jak zorganizowana burza walących tłoków i mielących kół.

Lukrecja zniknęła i przeraźliwy wrzask w głowie Sama urwał się jak ucięty nożem.

Sam cofnął się i odwrócił do Sarah. Słaniała się na nogach, oczy miała szeroko otwarte, oszołomione i radosne. Objął ją w talii i trzymał, kiedy wagony, platformy i cysterny mijały ich z łoskotem, a podmuch rozwiewał im włosy.

Stali tak, aż przejechał ostatni wagon i czerwone światelka pomknęły na zachód. Potem Sarah lekko odsunęła się od Sama – ale nie wychodząc z kręgu jego ramion – i spojrzała mu w oczy.

– Czy jestem wolna, Sam? Czy naprawdę się od niej uwolniłam? Czuję, że tak, ale trudno mi w to uwierzyć.

– Jesteś wolna – zapewnił. – Twoja kara też jest zapłacona, Sarah. Zapłacona na wieczne czasy.

Uniosła głowę i obsypała drobnymi pocałunkami jego usta, policzki i oczy. Sama nie zamknęła oczu; przez cały czas poważnie na niego spoglądała.

W końcu wziął ją za ręce i powiedział:

– Może wrócimy do środka, żebyś mogła się przywitać? Twoi przyjaciele będą się zastanawiać, gdzie jesteś.

– Mogą być również twoimi przyjaciółmi, Sam... jeśli zechcesz. Kiwnął głową.

– Chcę. Bardzo chcę.

– Uczciwość i wiara – powiedziała i dotknęła jego policzka.

– Oto właściwe słowa. – Pocałował ją jeszcze raz, a potem podał jej ramię. – Czy pójdzie pani ze mną?

Wzięła go pod rękę.

– Dokąd tylko pan sobie życzy. Dokąd pan sobie życzy.

Pod rękę ruszyli powoli przez podwórze w stronę Angle Street.

PIES Z APARATU

Przełożył Andrzej Szulc

*Pamięci Johna D. MacDonalda
Brakuje mi Ciebie, stary przyjacielu – i miałeś rację
w kwestii tygrysów*

4 PO PÓŁNOCY

Przedmowa do *Psa z aparatu*

Co jakiś czas ktoś mnie pyta: „Kiedy znudzą ci się te horrory, Steve, i napiszesz coś poważnego?”.

Kiedyś wierzyłem, że zawarta w tym pytaniu zniewaga jest niezamierzona, ale z biegiem lat przekonuję się, że jest wprost odwrotnie. Patrząc na twarze ludzi, którzy wyjeżdżają z czymś takim, i wyglądają wtedy na ogół niczym bombardierzy sprawdzający, czy ostatnia seria bomb poszła bokiem, czy trafiła prosto w wyznaczoną jako cel fabrykę albo skład amunicji.

Jest faktem, że prawie wszystko, co napisałem – a znalazło się wśród tego również dużo zabawnych rzeczy – pisane było w poważnym nastroju. Pamiętam, że bardzo rzadko siadałem do maszyny, zaśmiewając się z jakiegoś szalonego i dzikiego pomysłu, który właśnie wpadł mi do głowy. Nigdy nie będę Reynoldsem Price'em ani Larrym Woiwode'em – po prostu nie mam w sobie tego czegoś – ale nie oznacza to wcale, że nie obchodzi mnie, co robię. Muszę jednak robić to, co potrafię – jak ujął to kiedyś Nils Lofgren, „Muszę wypruć z siebie flaki... nigdy nie będę grał łatwych kawałków”.

Jeśli coś poważnym jest dla was tylko to, co rzeczywiste – w znaczeniu: coś, co mogło się naprawdę wydarzyć! – trafiliście pod niewłaściwy adres i powinniście bezwzględnie opuścić ten budynek. Wychodząc, pamiętajcie jednak, że nie ja jeden prowadzę tutaj praktykę; obok mieli swoje gabinety Franz Kafka, George Orwell, Shirley Jackson, Jorge Luis Borges, Jonathan Swift i Lewis Carroll. Zerkając na tablicę informacyjną w holu wejściowym, przekonalibyście się, że w dzisiejszych czasach pracują tu między innymi Thomas Berger, Ray Bradbury, Jonathan Carroll, Thomas Pynchon, Thomas Disch, Kurt

Vonnegut Jr., Peter Straub, Joyce Carol Oates, Isaac Bashevis Singer, Katherine Dunn i Mark Halpern.

Robię to, co robię, z najpoważniejszych powodów pod słońcem: z miłości, dla pieniędzy i z powodu obsesji. Opowieść o tym, co irracjonalne, jest najrozsądniejszym znanym mi sposobem opisanego świata, w którym żyję. Te historie służyły mi jednocześnie jako metafora i moralna busola; i w dalszym ciągu pozwalają najlepiej, jak to możliwe, przedstawić to, jak postrzegamy rzeczy, a także jak reagujemy – lub wstrzymujemy się od reakcji – na to, co postrzegamy. Eksplorowałem te terytoria najlepiej, jak umiałem, na tyle, na ile pozwalały mi inteligencja i talent. Nie jestem laureatem National Book Award⁹ ani Nagrody Pulitzera, ale jestem człowiekiem poważnym. Jeśli nie wierzysz w nic innego, przyjacielu, uwierz przynajmniej w jedno: kiedy biorę cię za rękę i zaczynam opowiadać, wierzę we wszystko, co mówię.

Wiele z rzeczy, które mam do opowiedzenia – tych Naprawdę Poważnych Rzeczy – jest związanych z małomiasteczkowym światem, w którym dorastałem i w którym nadal żyję. Opowiadania i powieści są modelami tego, co nazywamy kpiąco „prawdziwym życiem”, i uważam, że życie, jakie prowadzimy w małych miasteczkach, jest modelem tego – w mniejszej skali – co nazywamy ironicznie „socjetą”. Z tą ideą można oczywiście polemizować i polemika jest tu jak najbardziej na miejscu (w przeciwnym razie wielu literaturoznawców i krytyków musiałoby sobie poszukać innego zajęcia); twierdzą tylko, że pisarz potrzebuje jakiegoś rodzaju trampoliny, i bez względu na silne przekonanie, że opowieść może istnieć sama dla siebie, idea małego miasteczka jako społecznego i psychologicznego mikrokosmosu jest moja. Zacząłem eksperymentować z tego rodzaju rzeczami w *Carrie*, a na bardziej ambitnym poziomie kontynuowałem te próby w *Miasteczku Salem*, dopiero jednak w *Martwej strefie* naprawdę trafiłem w sedno.

Była to chyba pierwsza z moich opowieści dziejących się w Castle Rock (a Castle Rock tak naprawdę jest zwykłą dzielnicą

Jerusalem's Lot, tyle że niezamieszkaną przez wampiry). Po napisaniu *Martwej strefy* Castle Rock w coraz większym stopniu stawało się „moim miastem” w takim samym znaczeniu, w jakim mityczna Isola jest miastem Eda McBaina, a położona w Wirginii Zachodniej wioska Glory jest wioską Davisa Grubba. Wzywano mnie do Castle Rock raz po raz, abym eksplorował życie jego mieszkańców, a także geografię, która tworzy jego ramy – Castle Hill, Castle View, Castle Lake oraz oplatające miasto od zachodniej strony Town Roads.

Z biegiem lat coraz bardziej ciekawiło mnie – niemal urzekło – sekretne życie tego miasta oraz ukryte powiązania, które stopniowo się przede mną odsłaniały. Większa część tej historii jest nadal albo nienapisana, albo nieopublikowana: o tym, jak świętej pamięci szeryf George Bannerman stracił dziewictwo na tylnym siedzeniu samochodu swego ojca, jak męża Ophelii Todd zabiła pilśniarka i jak zastępca szeryfa Andy Clutterbuck stracił palec wskazujący lewej dłoni (odciął go wentylator i zjadł go ich pies).

Po *Martwej strefie*, która w jakiejś części jest historią chorego psychicznie Franka Dodda, napisałem nowelę pod tytułem *Ciało*, następnie *Cujo*, powieść, w której zacny szeryf Bannerman kopnie w kalendarz; następnie zaś szereg opowiadań i nowel na temat miasta (najlepsze z nich, przynajmniej moim zdaniem, to *Skrót pani Todd* i *Ciężarówka wuja Otto*). Wszystko to może bardzo cieszyć, ale urzeczenie fikcyjnym miejscem akcji nie jest najlepszą rzeczą dla pisarza. Okazało się nią dla Faulknera i J.R.R. Tolkiena, lecz parę wyjątków czasami tylko potwierdza regułę, a poza tym ja po prostu gram w innej lidze.

W związku z tym w pewnym momencie podjąłem decyzję – chyba najpierw w podświadomości, w której rozgrywają się wszystkie te Naprawdę Poważne Rzeczy – że pora pożegnać się z Castle Rock w stanie Maine, gdzie żyło i gdzie zmarło tylu moich ulubionych bohaterów. Co za dużo, to niezdrowo. Czas przenieść się gdzie indziej (może aż do sąsiedniego Harlow, ha,

ha). Ale nie chciałem wynieść się cichaczem; chciałem pozamykać wszystkie sprawy i załatwić to porządnie.

Stopniowo docierało do mnie, jak można to zrobić, i mniej więcej ostatnie cztery lata zajęło mi pisanie Trylogii Castle Rock – czy, jak wolicie, ostatnich opowieści z Castle Rock. Nie były pisane po kolei (czasami przychodzi mi do głowy, że „nie po kolei” to historia mojego życia), ale w tym momencie są już napisane i wydają się wystarczająco poważne... choć mam nadzieję, że nie oznacza to, iż są oschłe lub nudne.

Pierwsza z tych książek, *Mroczna połowa*, została wydana w 1989 roku. Choć przede wszystkim jest to historia Thada Beaumonta i duża część akcji rozgrywa się w mieście o nazwie Ludlow (tam właśnie mieszkali Creedowie ze *Smętarza dla zwierzaków*), to Castle Rock przewija się w tej książce i pojawia się w niej po raz pierwszy następca szeryfa Bannermana, niejaki Alan Pangborn. Szeryf Pangborn jest centralną postacią ostatniej części trylogii, długiej powieści pod tytułem *Sklepik z marzeniami*, która ma zostać wydana w przyszłym roku i zakończy mój romans z tym, co miejscowi nazywają The Rock.

Niniejsza minipowieść jest tkanką, która łączy te większe książki. W *Psie z aparatu* znajdziecie niewielu albo i żadnego z ważniejszych obywateli Castle Rock, poznacie za to Papcia Merrilla, którego siostrzeniec, Ace Merrill, jest miejscowym szwarczakiem (a także *bête noire* Gordiego LaChance'a z *Ciała*). *Pies z aparatu* przygotowuje również scenę na finałowy pokaz fajerwerków... i jest również, mam nadzieję, sam w sobie satysfakcjonującą opowieścią, taką, którą możecie czytać z przyjemnością, nawet jeśli guzik was obchodzi *Mroczna połowa* czy *Sklepik z marzeniami*.

Powinienem tu wspomnieć jeszcze o jednym: każda historia ma swoje własne sekretne życie, całkiem niezależne od miejsca akcji, a *Pies z aparatu* jest opowieścią o aparatach fotograficznych i fotografii. Mniej więcej przed pięciu laty moja żona Tabitha zainteresowała się fotografią, odkryła, że ma do niej dryg, i zajęła się nią na poważnie, ucząc się,

eksperymentując i przede wszystkim pstrykając bez końca zdjęcia. Ja osobiście robię złe zdjęcia (należę do tych facetów, którym zawsze udaje się uciąć głowy swoich modeli, sfotografować ich z otwartymi ustami albo jedno i drugie), darzę jednak wielkim szacunkiem tych, którzy robią dobre fotografie, i ten proces niezmiennie mnie fascynuje.

W trakcie swych eksperymentów moja żona nabyła polaroida, prosty model przystępny nawet dla takiego półgłówka jak ja. Zafascynował mnie ten aparat. Oczywiście widywałem i posługiwałem się polaroidami już wcześniej, ale nigdy się nad tym tak naprawdę nie zastanawiałem i nigdy nie przyglądałem się zdjęciom wychodzącym z tych aparatów. Im dłużej o nich myślałem, tym dziwniejsze mi się wydawały. Są w końcu nie tylko obrazami, ale uchwyconymi chwilami... i jest w nich coś bardzo osobliwego.

Ta historia przyszła mi do głowy w pewnym momencie, letniej nocy w 1987 roku, ale prawie cały rok się nad nią namyślałem. I chyba dość już o mnie. Miło było was znowu spotkać, ale to wcale nie znaczy, że pozwolę wam wracać do domu.

Najpierw musimy chyba wziąć udział w pewnym urodzinowym przyjęciu w miasteczku Castle Rock.

ROZDZIAŁ 1

Piętnastego września przypadają urodziny Kevina i dostał w prezencie dokładnie to, czego chciał: aparat Sun.

Kevin, o którym mowa, nazywał się Delevan, urodziny były piętnaste, a Sun to Polaroid model Sun 660, za pomocą którego młody adept fotografii jest w stanie zrobić wszystko z wyjątkiem kanapek z mortadela.

Były oczywiście i inne prezenty; jego siostra Meg dała mu rękawiczki z jednym palcem, które sama zrobiła na drutach; od babci z Des Moines dostał dziesięć dolarów, a ciotka Hilda przysłała – jak to czyniła zawsze – krawat bolo z okropną spinką. Pierwszy z nich przysłała, kiedy Kevin miał trzy latka, co oznaczało, że w szufladzie biurka miał już wcześniej dwanaście nieużywanych krawatów bolo z okropnymi spinkami i teraz dodał do nich ten – szczęśliwą trzynastkę. Nigdy żadnego nie włożył, ale nie wolno mu było ich wyrzucać. Ciotka Hilda mieszkała w Portlandzie. Nigdy nie przyjechała na żadne urodziny Kevina i żadne urodziny Meg, ale któregoś roku mogła postanowić, że to zrobi. Bóg jeden wie, że mogła; Portland leżał w odległości tylko osiemdziesięciu kilometrów na południe od Castle Rock. I przypuśćmy, że przyjechałaby i chciała obejrzyć Kevina w jednym z wcześniejszych krawatów (albo, jeśli o to chodzi, Meg w jednym z jej wcześniejszych szalików)? Przed niektórymi krewnymi można by się jakoś wytłumaczyć. Z ciotką Hildą było inaczej. Z ciotką Hildą związane były pewne szczególne nadzieje wynikające z dwóch zasadniczych faktów: była po pierwsze Bogata, a po drugie Stara.

Mama Kevina żywiła przekonanie, że pewnego dnia ciotka może COŚ zrobić dla Kevina i Meg. Należało się domyślać, że to

COŚ przybierze zapewne postać zapisu w testamencie po tym, jak ciotka Hilda nareszcie kopnie w kalendarz. Tymczasem zaś roztropniej było nie wyrzucać okropnych krawatów i równie okropnych szalików. Dlatego trzynasty krawat bolo (na którego spince widniał, zdaniem Kevina, dzięcioł) miał dołączyć do innych, a Kevin miał napisać ciotce liścik z podziękowaniem nie dlatego, by nalegała na to jego matka, i nie dlatego, by sądził i w ogóle dbał o to, że ciotka Hilda może pewnego dnia zrobić COŚ dla niego i dla jego młodszej siostry, ale ponieważ był z gruntu dobrze wychowanym i pozbawionym istotnych wad miłym chłopcem.

Podziękował rodzinie za wszystkie prezenty (dostał od rodziców również kilka innych, ale polaroid był naturalnie tym najważniejszym i cieszyli się, widząc, jak on się cieszy), nie omieszkał ucałować Meg (siostra udawała z chichotem, że ściera ślad całusa, ale była tak samo jak on uradowana) i zapewnił ją, że rękawiczki na pewno przydadzą mu się w zimie na nartach, lecz większą część uwagi poświęcał pudełku z aparatem i dołączonym do niego kasetom z filmami.

Dzielnie wytrwał przy urodzinowym torcie i lodach, choć było jasne, że świerzbią go ręce, by wziąć w ręce aparat i wreszcie go wypróbować. I kiedy tylko wypadało już to zrobić, nie wahał się ani chwili.

Wtedy właśnie zaczęły się kłopoty.

Kevin przeczytał instrukcję obsługi najuważniej, jak mógł, biorąc pod uwagę rozsadzającą go niecierpliwość. Następnie załadował aparat, a rodzina przyglądała się temu z oczekiwaniem i nieświadomymi do końca obawami (z jakiegoś powodu najbardziej upragnione prezenty są tymi, które najczęściej nie działają). Kiedy aparat dokładnie tak, jak zapowiedziano w instrukcji, posłusznie wypluł z górnej części kasety kwadratowy kartonik, rozległo się ciche zbiorowe westchnienie – bardziej leciutki powiew niż podmuch.

Na obudowie aparatu były przedzielone zygzakiem błyskawicy dwa małe światełka, jedno czerwone, drugie zielone.

Kiedy Kevin załadował aparat, zabłysło czerwone i paliło się przez kilka sekund. Rodzina patrzyła zafascynowana, jak aparat szuka światła. A potem czerwone światełko zgasło i zaczęło szybko migotać zielone.

– Jest gotów – powiedział Kevin takim samym pozornie nonszalanckim tonem, jakim Neil Armstrong oznajmił, że stawia właśnie pierwszy krok na Księżycu. – Może byście tak stanęli razem?

– Nie znoszę, jak robią mi zdjęcia! – zawołała Meg, zasłaniając twarz z przesadną obawą i uciechą, które potrafią zagrać tylko nieopierzone podlotki i naprawdę złe aktorki.

– Daj spokój, Meg – powiedział pan Delevan.

– Nie bądź gąską – mruknęła pani Delevan.

Meg opuściła ręce, zapomniała o swoich obiekcjach i cała trójka stanęła przy końcu stołu, na którym stały resztki urodzinowego tortu.

Kevin spojrział przez wizjer.

– Przysuń się bliżej do Meg, mamó – poprosił, dając znak lewą ręką. – Ty też, tato – dodał, tym razem dając znak prawą.

– Zgnieciecie mnie! – pisnęła Meg do rodziców.

Kevin przyłożył palec do przycisku zwalniającego migawkę i nagle przypomniał sobie ostrzeżenie, które wyczytał w instrukcji, o tym, jak łatwo jest uciąć głowy osób na fotografii. Ściąć im głowy, pomyślał i powinno go to rozśmieszyć, lecz z jakiegoś powodu przeszły mu po krzyżu ciarki. Stało się to tak szybko, że prawie sobie tego nie uświadomił. Podniósł nieco aparat. Teraz dobrze. Wszyscy mieścili się w kadrze.

– W porządku! – zaśpiewał. – Uśmiechnijcie się i powiedzcie „szybki numer”.

– Kevin! – zawołała matka.

Ojciec roześmiał się, a Meg wydała z siebie rodzaj szalonego chichotu, którego nie próbują udawać nawet złe aktorki; w tej szczególnej odmianie śmiechu prym nieodwołalnie wiodą dziewczynki między dziesiątym i dwunastym rokiem życia.

Kevin nacisnął przycisk.

Zasilany baterią w kasecie flesz skąpał pokój w szlachetnym białym świetle.

Jest mój, pomyślał Kevin, i to powinien być kulminacyjny punkt jego piętnastych urodzin. Ale ta myśl ponownie przyprawiła go o ciarki. Tym razem wyraźniejsze.

Aparat wydał odgłos będący czymś pośrednim między kwiknięciem i warkotem, dźwięk niedający się dokładnie opisać, lecz mimo to dobrze znany: dźwięk polaroida wypuszczającego z siebie coś, co może nie jest wielkim dziełem sztuki, ale często okazuje się bardzo przydatne i prawie zawsze zapewnia natychmiastową gratyfikację.

– Daj zobaczyć! – krzyknęła Meg.

– Spokojnie, pączusiu – powiedział pan Delevan. – Trzeba poczekać, aż zdjęcie się wywoła.

Meg wpatrywała się w sztywną szarą powierzchnię czegoś, co nie było jeszcze fotografią, z urzeczeniem kobiety spoglądającej w kryształową kulę.

Reszta domowników stanęła wokół niej i w pokoju wyczuwało się niepokój podobny do tego, który towarzyszył ceremonii ładowania aparatu: nieruchome tableau wstrzymującej oddech Amerykańskiej Rodziny.

Kevin poczuł w mięśniach straszliwe napięcie i tym razem nie mógł go zignorować. Nie potrafił tego wytłumaczyć... po prostu go opanowało. Najwyraźniej nie był w stanie oderwać wzroku od solidnego szarego kwadratu z białymi obrzeżami, które miały tworzyć ramkę fotografii.

– Chyba się widzę! – zawołała rozochociona Meg. – Nie, raczej nie – rzuciła po chwili. – Widzę chyba...

Patrzyli w kompletnym milczeniu, jak szarość się rozjaśnia, tak jak rozjaśnia się podobno przy odpowiednich wibracjach, fluktuacjach czy jak je tam zwać, kryształowa kula wróżki. Po chwili obraz stał się widoczny.

Pan Delevan przerwał ciszę.

– Co to takiego? – zapytał, nie zwracając się do nikogo w szczególności. – To ma być jakiś żart?

Chcąc obserwować proces wywoływania fotografii, Kevin postawił aparat trochę zbyt blisko skraju stołu. Meg zobaczyła, co przedstawia zdjęcie, i cofnęła się o krok. Na jej twarzy nie malował się lęk ani podziw, lecz zwyczajne zdziwienie. Odwracając się do ojca i podnosząc odruchowo rękę, zaczepiła o aparat i strąciła go ze stołu na podłogę. Pani Delevan patrzyła na wyłaniający się obraz jakby w transie, z wyrazem twarzy kobiety, która albo jest czymś głęboko zaintrygowana, albo czuje zbliżającą się migrenę. Na dźwięk uderzającego o podłogę aparatu wzdrygnęła się, cofnęła i cicho krzyknęła. Robiąc to, potknęła się o stopę Meg i straciła równowagę. Pan Delevan wyciągnął ku niej rękę i robiąc to, popchnął całkiem silnie do przodu Meg, która wciąż stała między nimi. Udało mu się nie tylko złapać żonę, lecz zrobić to z pewną gracją; przez chwilę tworzyli naprawdę miły dla oka obrazek: mama i tato pokazujący, że wciąż potrafią puścić się w tany, uchwyceni w finałowej figurze uduchowionego tanga, ona z ręką odrzuconą do tyłu i plecami wygiętymi w łuk, on nachylony nad nią w tej dwuznacznej męskiej pozie, w której, gdyby abstrahowało się od okoliczności, można by ujrzyć troskę lub żądzę.

Meg miała jedenaście lat i nie odznaczała się taką gracją. Poleciała w stronę stołu i walnęła w niego brzuchem. Uderzenie było tak mocne, że mogła sobie coś uszkodzić, na szczęście jednak przez ostatnie półtora roku brała trzy razy w tygodniu lekcje baletu w YWCA. Nie tańczyła z wdziękiem, ale lubiła balet i taniec wzmocnił mięśnie jej brzucha w wystarczającym stopniu, by zamortyzowały uderzenie równie skutecznie, jak dobre resory absorbują wstrząsy, jakim poddawany jest samochód na wyboistej drodze. Mimo to nazajutrz na skórze nad biodrami miała się pojawić czarno-siwa smuga. Siniaki najpierw zrobiły się fioletowe, potem żółte i zniknęły dopiero po jakichś dwóch tygodniach... zupełnie jak zdjęcie z polaroida, tyle że w odwrotnej kolejności.

W chwili gdy wydarzył się cały ten incydent w stylu Rube'a Goldberga, Meg nawet tego nie poczuła; walnęła po prostu

brzuchem o stół i krzyknęła. Stół przechylił się. Tort urodzinowy, który powinien pojawić się na pierwszej zrobionej nowym aparatem fotografii Kevina, zsunął się z blatu. Pani Delevan nie zdążyła nawet zawołać „Nic ci się nie stało, Meg?”, kiedy to, co zostało z tortu, z soczystym plaśnięciem spadło na aparat i na ich butach i listwie przypodłogowej wylądowały kawałki lukru.

Ze słodkiej brei wystawał podobny do peryskopu usmarowany holenderską czekoladą wizjer. To wszystko.

Wszystkiego najlepszego, Kevin.

...

Kiedy pani Delevan weszła wieczorem do salonu, wymachując dwoma spiętymi spinaczem, pozaginаныmi karteluszkami, Kevin i pan Delevan siedzieli na kanapie. Każdy z nich trzymał na kolanach otwartą książkę (ojciec *Najlepszych i najzdolniejszych*, syn *Strzelaninę w Laredo*), ale obaj wpatrywali się w aparat, który leżał w niełasce na stoliku do kawy pośród polaroidowych odbitek. Wszystkie zdjęcia przedstawiały najwyraźniej jedno i to samo.

Meg siedziała przed nimi na podłodze, oglądając na wideo wypożyczony film. Kevin nie wiedział jaki, ale ponieważ na ekranie biegało i wrzeszczało mnóstwo ludzi, domyślał się, że to horror. Megan miała do nich słabość. Rodzice uważali to za dowód jej złego smaku (zwłaszcza pan Delevan wściekał się na to, co nazywał „bezwartościowym chłamek”), ale tego wieczoru żadne z nich nie skomentowało tego ani słowem. Kevin domyślał się, że są po prostu wdzięczni, że przestała się skarżyć na posiniaczony brzuch i zastanawiać się na głos, jakie są dokładnie objawy pękniętej śledziony.

– Mam. Znalazłam je za drugim razem na dnie mojej torebki – oświadczyła pani Delevan, podając mężowi karteluszki: paragon ze sklepu J.C. Penney’s i potwierdzenie transakcji MasterCard. – Za pierwszym razem nigdy nie udaje mi się znaleźć takich rzeczy. Chyba nikomu się nie udaje. To jak prawo natury.

Biorąc się pod boki, przyjrzała się mężowi i synowi.

– Wyglądacie obaj, jakby ktoś zabił naszego kota – stwierdziła.

– Nie mamy kota – odparł Kevin.

– Wiesz, o co mi chodzi. To oczywiście przykra sprawa, ale szybko to załatwimy. W J.C. Penney's chętnie to wymienią...

– Nie jestem tego taki pewien – powiedział John Delevan. Wziął do ręki aparat, przyjrzał mu się z odrazą i niemal szyderczym uśmiechem, po czym odstawił na miejsce. – Wyszczzerbił się, spadając na podłogę. Widzisz?

Pani Delevan zerknęła przelotnie na aparat.

– Jeśli w J.C. Penney's nam go nie wymienią, jestem pewna, że zrobi to firma Polaroid. Bo przecież nie upadek spowodował to, co jest z tym aparatem nie w porządku. Pierwsze zdjęcie wygląda tak samo jak cała reszta, a Kevin zrobił je, zanim Meg zrzuciła aparat ze stołu.

– Nie chciałam – mruknęła Meg, nie odwracając się.

Na ekranie niepozorna postać – złośliwa lalka o imieniu, jeśli Kevin dobrze pamiętał, Chuckie – ścigała małego chłopca. Chuckie była ubrana w niebieski kombinezon i wymachiwała nożem.

– Wiem, kochanie. Jak twój brzuch?

– Boli – odparła Meg. – Mogłyby mi pomóc lody. Zostało trochę?

– Chyba tak.

Meg posłała matce swój najbardziej czarujący uśmiech.

– Przyniosłabyś mi?

– W żadnym wypadku – odparła uprzejmie pani Delevan. – Idź i sama sobie nałóż. I co to za okropności oglądasz?

– To *Dziecięca zabawa*. O lalce, która nazywa się Chuckie i ożyła. Bardzo fajne.

Pani Delevan pokręciła nosem.

– Lalki nie ożywają, Meg – oświadczył ojciec. Mówił bez przekonania, jakby z góry wiedział, że to przegrana sprawa.

– Chuckie ożyła – odparła Meg. – W filmach wszystko może się zdarzyć. – Zatrzymała obraz pilotem i poszła po lody.

– Dlaczego ona lubi oglądać ten chłam? – zapytał prawie żałośnie jej ojciec, zwracając się do żony.

– Nie wiem, kochanie.

Kevin wziął do jednej ręki aparat, a do drugiej wywołane zdjęcia – zrobił ich razem ponad dziesięć.

– Nie jestem pewien, czy chcę, żeby zwrócili mi pieniądze – powiedział.

Ojciec wbił w niego wzrok.

– Co takiego? Jezus Maria!

– Chodzi mi tylko o to, że, być może, powinniśmy się nad tym zastanowić – odparł ostrożnie Kevin. – To chyba nie jest jakaś zwyczajna wada. Gdyby zdjęcia wychodziły prześwietlone... albo niedoświetlone... albo po prostu nic by na nich nie było... to inna sprawa. Ale jak można uzyskać coś takiego? To samo zdjęcie, za każdym razem? Sami popatrzcie! I jest zrobione na dworze, podczas gdy my robiliśmy wszystkie w domu!

– To jakiś dowcip – rzekł ojciec. – To musi być dowcip. Powinniśmy po prostu wymienić to cholerstwo i zapomnieć o całej sprawie.

– Nie wydaje mi się, żeby to był dowcip – odparł Kevin. – Po pierwsze, to wszystko jest zbyt skomplikowane. Jak ustawić aparat, żeby za każdym razem robił to samo zdjęcie? Poza tym to nie ma sensu z psychologicznego punktu widzenia.

– No tak, z psychologicznego punktu widzenia – mruknął pan Delevan, spoglądając na żonę i przewracając oczami.

– Owszem, z psychologicznego punktu widzenia! Kiedy ktoś poczęstuje cię wybuchającym papierosem albo pieprzową gumą do żucia, zależy mu na tym, żeby przy tym być i mieć dobrą zabawę, prawda? Ale jeśli to nie ty z mamą postanowiliście mnie podpuścić...

– Twój ojciec nie należy raczej do podpuszczaczy – weszła mu w słowo matka, stwierdzając coś, co nie podlegało dyskusji.

Pan Delevan przyglądał się Kevinowi z zaciśniętymi ustami. Patrzył tak na niego zawsze, kiedy widział, że syn przechodzi na tę część boiska, gdzie najwyraźniej czuł się najlepiej: na jego

lewą stronę. Daleko, daleko w lewo. Kevin miał jakąś dziwną intuicję, szósty zmysł, który zawsze zadziwiał i wprawiał w zakłopotanie jego ojca. Pan Delevan nie wiedział, skąd się to wzięło, ale był przekonany, że nie ma tego po nim.

Westchnął i ponownie spojrzął na aparat. Z lewej strony obudowy odprysnął kawałek czarnego plastiku i na szkiełku wizjera pojawiła się nie grubsza od ludzkiego włosa mała rysa. Była tak cienka, że kompletnie zniknęła, gdy podnosiło się aparat do oka, by skadrować obraz, który i tak nie pojawiał się na odbitkach – zamiast tego pojawiało się na nich coś, co mogli obejrzyć na stoliku. Kolejnych kilkanaście przykładów tego czegoś leżało w jadalni. Czegoś, co przypominało zbiega z miejscowego schroniska dla zwierząt.

– No dobrze, więc co, w takim razie masz, do diabła, zamiar z tym zrobić? – zapytał. – Zastanówmy się nad tym racjonalnie, Kevin. Jaki jest praktyczny pożytek z aparatu, który robi przez cały czas to samo zdjęcie?

Chłopiec nie myślał jednak o praktycznych pożytkach. W gruncie rzeczy nie myślał o niczym. Zamiast tego coś odczuwał... i coś sobie przypominał. W momencie, kiedy naciskał migawkę, jedna wyraźna myśl

(jest mój)

wypełniła jego umysł równie całkowicie jak biały błysk flesza wypełnił oczy. Tej myśli, kompletnej, ale w jakiś sposób niewytłumaczalnej, towarzyszyła mieszanka potężnych emocji, których nadal nie potrafił do końca zidentyfikować... lecz wydawało mu się, że dominujące były lęk i podniecenie.

A poza tym... ojciec zawsze chciał patrzeć na różne rzeczy w racjonalny sposób. Nigdy nie był w stanie zrozumieć tego, co podpowiadała Kevinowi intuicja, i tego, dlaczego Meg interesowały zabójcze lalki o imieniu Chuckie.

Meg wróciła z wielką porcją lodów i puściła dalej film. Ktoś usiłował teraz przypiec Chuckie palnikiem, ale lalka znowu zaczęła wymachiwać nożem.

– Dalej się kłóćcie? – zapytała.

– Dyskutujemy – skorygował ją pan Delevan. Wargi miał zaciśnięte mocniej niż kiedykolwiek wcześniej.

– Tak, jasne – odparła Meg, siadając ponownie po turecku na podłodze. – Zawsze tak mówisz.

– Meg? – zagadnął ją uprzejmym głosem Kevin.

– Co?

– Jeśli zjesz tyle lodów, mając pękniętą śledzionę, w nocy czeka cię straszliwa śmierć. Oczywiście twoja śledziona może wcale nie być pęknięta, ale...

Siostra pokazała mu język i odwróciła się, żeby oglądać film.

Pan Delevan patrzył na syna jednocześnie z czułością i zniecierpliwieniem.

– Słuchaj, Kev... to twój aparat. Nie ma co do tego dwóch zdań. Możesz z nim zrobić, co chcesz. Ale...

– W ogóle cię nie interesuje, dlaczego on robi to, co robi, tato?

– Nie – odparł pan Delevan.

Tym razem to Kevin przewrócił oczami. Pani Delevan zerkała tymczasem to na jednego, to na drugiego, niczym ktoś, kto obserwuje całkiem niezły mecz tenisa. I było to niezbyt dalekie od prawdy. Przez lata obserwowała, jak mąż i syn przerzucają się słowami, i jeszcze się jej to nie znudziło. Ciekawiło ją, czy kiedykolwiek odkryją, jak bardzo są do siebie podobni.

– Chciałbym to sobie przemyśleć.

– W porządku. A ja chciałbym, żebyś wiedział, że mogę jutro wpaść do J.C. Penney's i to wymienić... to znaczy, jeżeli sobie tego życzysz i jeśli zgodzą się wymienić uszkodzony towar. Jeżeli chcesz go zachować, to też będzie w porządku. Ja w każdym razie umyвам ręce. – Żeby to zilustrować, pan Delevan energicznie zatarł dłonie.

– Przypuszczam, że nie interesuje was moja opinia – wtrąciła Meg.

– Masz rację – powiedział Kevin.

– Ależ oczywiście nas interesuje – wtrąciła się pani Delevan.

– Moim zdaniem, to nadprzyrodzony aparat – oznajmiła Meg, oblizując łyżkę z lodów. – Moim zdaniem, to Objawienie.

– To kompletny absurd – stwierdził natychmiast pan Delevan.

– Wcale nie – rzuciła Meg. – Tak się składa, że to jedyne pasujące wytłumaczenie. Nie uważasz tak, bo po prostu nie wierzysz w takie rzeczy. Gdyby objawił ci się duch, tato, nawet byś go nie zauważył. Jak sądzisz, Kev?

Kevin przez chwilę jej nie odpowiadał... nie był w stanie się odezwać. Miał wrażenie, jakby flesz zabłysnął po raz kolejny, tym razem nie przed jego oczami, ale gdzieś we wnętrzu głowy.

– Kev? Ziemia do Kevina!

– Myślę, że możesz mieć trochę racji, srajtku – powiedział powoli.

– Wielki Boże... – John Delevan wstał z fotela. – To zemsta Freddy’ego i Jasona: moje dziecko uważa, że jego urodzinowy aparat jest nawiedzony. Idę do łóżka, ale zanim to zrobię, chcę powiedzieć tylko jedno. Aparat, który robi stale zdjęcia tej samej rzeczy, zwłaszcza czegoś tak banalnego jak to, co widać na tych fotografiach, jest bardzo nudnym przykładem działania sił nadprzyrodzonych.

– Mimo to... – mruknął Kevin, podnosząc odbitki niczym nieodkryte karty w pokerowym rozdaniu.

– Myślę, że pora już, żebyśmy wszyscy poszli spać – oznajmiła zdecydowanym tonem pani Delevan. – Meg, jeśli naprawdę musisz obejrzeć do końca to arcydzieło sztuki filmowej, możesz to zrobić rano.

– Ale już się prawie kończy! – zawołała Meg.

– Zaprowadzę ją na górę, mamó – powiedział Kevin i piętnaście minut później, kiedy złośliwy Chuckie został skutecznie unieszkodliwiony (przynajmniej do następnego sequela), spełnił swoją obietnicę. Tej nocy nie mógł jednak długo zasnąć. Leżąc w swojej sypialni i słuchając jesiennego wiatru, który poszeptywał z liśćmi na dworze, zastanawiał się, co może sprawiać, że aparat stale robi to samo zdjęcie, i co to może oznaczać. Osuwając się w sen, uświadomił sobie, że podjął już decyzję: przynajmniej na jakiś czas wstrzyma się z oddaniem

polaroida. Jest mój, pomyślał znowu. Przewrócił się na bok, zamknął oczy i czterdzieści sekund później zapadł w głęboki sen.

ROZDZIAŁ 2

Zupełnie nie przejmując się cykaniem i tykaniem zegarów, które brzmiało tak, jakby było ich co najmniej pięćdziesiąt tysięcy, Reginald „Papcio” Merrill skierował snop światła z gadżetu jeszcze węższego niż lekarski oftalmoskop do wnętrza należącego do Kevina polaroida 660. Sam Kevin stał tuż obok niego. Okulary Papcia, których nie potrzebował do pracy z bliska, opierały się na jego łysej czaszce.

– Uhu... uhu – mruknął i wyłączył latarkę.

– To znaczy, że wie pan, co jest z nim nie tak? – zapytał Kevin.

– Nie – odparł Merrill i zamknął pustą teraz komorę na film. – Nie mam bladego pojęcia.

I zanim Kevin zdążył powiedzieć coś więcej, zegary zaczęły wybijać godzinę czwartą, w związku z czym przez dłuższą chwilę rozmowa, choć możliwa, wydawała się absurdalna.

„Chcę to sobie przemyśleć”, powiedział ojcu wieczorem w dniu, gdy skończył piętnaście lat – trzy dni temu – i to oświadczenie zaskoczyło ich obu. W dzieciństwie był znany z tego, że nad niczym się nie zastanawiał, i pan Delevan doszedł w głębi serca do przekonania, że Kevin bez względu na to, czy powinien, czy nie, nigdy nie będzie się zastanawiał nad różnymi rzeczami. Kusiło ich, tak jak często kusi ojców i synów, by wierzyć, że ich zachowanie i bardzo odmienne tryby rozumowania nigdy się nie zmienią, w związku z czym ich stosunki na zawsze pozostaną takie same... I dzieciństwo będzie dzięki temu trwało wiecznie. „Chcę to sobie przemyśleć” – te słowa kryły w sobie zapowiedź zasadniczych zmian.

Co więcej, jako człowiek, który szedł do tej pory przez życie, podejmując większość decyzji raczej instynktownie niż

w oparciu o namysł (a należał do tych szczęściarzy, którym instynkt prawie zawsze podpowiadał właściwe rozwiązanie – innymi słowy, do osób doprowadzających rozsądnych ludzi do szału), Kevin z zaskoczeniem i zdumieniem odkrył, że ma przed sobą autentyczny dylemat.

Po pierwsze: marzył o aparacie Polaroida i dostał go na urodziny, ale chciał przecież, do cholery, mieć aparat, który działa.

Po drugie: zaintrygowało go użyte przez Meg słowo „nadprzyrodzony”.

Jego młodsza siostra miała jeszcze zielono w głowie, ale nie była głupia i Kevin nie sądził, by użyła tego słowa lekkomyślnie lub bez zastanowienia. Ojciec, który należał raczej do plemienia Rozsądnych, nie Impulsywnych, wydrwił ją, Kevin jednak, przynajmniej na razie, nie był gotów pójść w jego ślady. To słowo. To fascynujące, egzotyczne słowo stało się cokołem, wokół którego jego myśli nie mogły przestać krążyć.

„Moim zdaniem, to Objawienie”.

Rozbawiło go (i nieco zasmuciło), że tylko Meg była dość bystra – albo dość odważna – by powiedzieć na głos to, co powinno się nasunąć im wszystkim, biorąc pod uwagę dziwność zdjęć, które wypluwał aparat, ale prawdę mówiąc, nie było to aż takie zdumiewające. Nie byli religijni: co trzy lata, kiedy ciotka Hilda przyjeżdżała na święta akurat do nich, a nie do innych krewnych, chodzili do kościoła w Boże Narodzenie i poza okazjonalnymi ślubami i pogrzebami to było wszystko. Jeżeli którekolwiek z nich naprawdę wierzyło w niewidzialny świat, to Megan; jej nigdy nie było dosyć chodzących trupów, ozywających lalek oraz samochodów budzących się do życia i rozjeżdżających ludzi, których nie lubiły.

Żadne z rodziców Kevina nie lubowało się w ezoteryce. Nie czytali swoich horoskopów w codziennej gazecie; komety i spadające gwiazdy nigdy nie były dla nich znakami od Wszechmogącego; podczas gdy inne małżeństwo mogło dostrzec twarz Jezusa na dnie brytfanny z enchiladą, John i Mary

Delevanowie widzieli tam tylko przypaloną enchiladę. Nic zatem dziwnego, że Kevin, który nigdy nie widział człowieka na Księżycu, bo ani matce, ani ojcu nie przyszło nigdy do głowy, by mu go pokazać, nie dostrzegał również możliwości nadprzyrodzonego objawienia w aparacie robiącym bez przerwy to samo zdjęcie bez względu na to, czy naciskało się migawkę w domu, na dworze czy nawet w ciemnym wnętrzu jego szafy. Dostrzegł ją dopiero, kiedy zasugerowała mu to siostra, która jako fanka Jasona napisała do niego kiedyś list i dostała w odpowiedzi opatrzoną autografem błyszczącą fotografię faceta w zakrwawionej hokejowej masce.

Kiedy możliwość została wskazana, trudno było ją wykasować; spróbuj przez następnych trzydzieści sekund nie myśleć o niebieskookim niedźwiedziu polarnym, powiedział kiedyś Dostojewski, ten sprytny stary Rosjanin, do swojego młodszego brata, kiedy obaj byli sprytnymi młodymi Rosjanami.

Niełatwa sprawa.

Przez następne dwa dni Kevin krążył zatem myślami wokół tego cokołu, starając się odczytać hieroglify, których w ogóle tam nie było, i zastanawiając się, na czym bardziej mu zależy: na aparacie, czy na możliwości Objawienia. Innymi słowy, czy chce aparatu Sun 660... czy człowieka na Księżycu.

Pod koniec drugiego dnia (nawet piętnastolatkiem, którzy aspirują do plemienia Rozsądnych, nie zmagają się z dylematami dłużej niż przez tydzień) zdecydował się na człowieka na Księżycu... przynajmniej na okres próbny.

Podjął tę decyzję na siódmej godzinie lekcyjnej w czytelniku i kiedy rozległ się dzwonek, sygnalizując zarówno koniec tej lekcji, jak i wszystkich zajęć, Kevin podszedł do nauczyciela, którego najbardziej szanował, pana Bakera, i zapytał, czy zna kogoś, kto reperuje aparaty fotograficzne.

– Nie chodzi mi o takiego zwykłego faceta ze sklepu fotograficznego – wyjaśnił. – Bardziej o kogoś... rozumie pan... myślącego.

– O filozofa przysłony? – zapytał pan Baker. Fakt, że mówił takie rzeczy, był jednym z powodów, dla których Kevin go szanował. Po prostu fajnie było wyrażać się w ten sposób. – Mędrca migawki? Alchemika apertury?

– Faceta, który dużo w życiu widział – odparł wymijająco Kevin.

– Papcio Merrill – powiedział pan Baker.

– Kto taki?

– Prowadzi Emporium Galorium.

– A, ten sklepik.

– Owszem. – Pan Baker wyszczerzył zęby. – Ten sklepik. To znaczy, jeśli szukasz kogoś w rodzaju starego fachmana.

– Chyba chodzi mi o kogoś takiego.

– Ma tam u siebie prawie wszystko – rzekł nauczyciel i Kevin nie mógł się z nim nie zgodzić.

Choć nigdy nie wszedł do środka, mijał Emporium Galorium pięć, dziesięć, a może nawet piętnaście razy w tygodniu (w miasteczku wielkości Castle Rock mijało się bardzo często prawie wszystko i, skromnym zdaniem Kevina Delevana, było to niezwykle nudne) i zaglądał do środka przez okna. Wnętrze było dosłownie zavalone aż po dach przedmiotami, w większości mechanicznymi. Ale jego matka określała ten sklep pogardliwym mianem „graciarni”, a ojciec mówił, że pan Merrill zarabia pieniądze, „naciągając letników”, więc Kevin nigdy tam nie wszedł. Gdyby chodziło tylko o fakt, że to „graciarnia”, mógłby tam zajrzeć; właściwie prawie na pewno by to zrobił. Lecz zachowywanie się w taki sam sposób jak letnicy albo kupowanie czegoś w miejscu, gdzie letnicy „dają się nabierać”, wydawało się nie do pomyślenia. Równie dobrze mógłby pójść do szkoły w damskiej bluzce albo spódniczce. Letnicy mogli robić, co chcieli (i robili to). Wszyscy byli pokręceni i załatwiali swoje sprawy w pokręcony sposób. Można było z nimi współistnieć. Ale być za nich brany? Nie, nie i jeszcze raz nie.

– Prawie wszystko – powtórzył pan Baker. – I większość z tego, co tam ma, sam naprawił. Uważa, że całe to udawanie

domorosłego filozofa, zsuwanie okularów na czubek głowy i prawienie mądrości pozwala mu nabierać ludzi. Nikt, kto go zna, nie wyprowadza go z błędu. Nie jestem pewien, czy ktoś ośmieliłby się wyprowadzić go z błędu.

– Dlaczego? Co pan ma na myśli?

Pan Baker wzruszył ramionami i na jego ustach zagościł krzywy uśmiezek.

– Papcio... to znaczy pan Merrill... macza tutaj palce w wielu sprawach. Zdziwiłbyś się.

Kevina nie obchodziło, w ilu sprawach i jak głęboko macza aktualnie palce Papcio Merrill. Letnicy już się wynieśli i jeśli skorzysta z punktu regulaminu zezwalającego wszystkim uczniom poza pierwszoklasistami zwolnić się dwa razy w miesiącu z ostatniej godziny lekcyjnej w czytelnicy, prawdopodobnie będzie mógł wślizgnąć się niepostrzeżenie do Emporium Galorium. W związku z tym zostało mu tylko jedno ważne pytanie.

– Mam do niego mówić „Papciu” czy „panie Merrill”?

– Mam wrażenie, że facet uśmierca każdego poniżej sześćdziesiątki, kto powie do niego „Papciu” – odparł z powagą nauczyciel.

Co ciekawe, Kevin miał wrażenie, iż pan Baker wcale nie żartuje.

...

– Naprawdę pan nie wie? – zapytał, kiedy zegary zaczęły cichnąć.

Nie wyglądało to tak jak na filmach, gdzie wszystkie zaczynają i kończą wybijać godzinę w tym samym momencie; to były prawdziwe zegary i Kevin domyślał się, że większość – podobnie jak inne urządzenia w Emporium Galorium – tak naprawdę wcale nie chodziła, ale poruszała się zrywami. Zaczęły w momencie, gdy jego kwarcowy seiko pokazywał 3:58, i stopniowo nabierały szybkości i wigoru (niczym stara

ciężarówka, która z jękiem i szarpnięciem wchodzi na drugi bieg). Może przez cztery sekundy wszystkie jednocześnie wybijały godzinę, dzwoniły, brzęczały i kukały, ale te cztery sekundy to było wszystko, na co było je stać, jeśli chodzi o synchroniczność. Poza tym to, co robiły potem, trudno było nazwać „cichnięciem”. Raczej poddawały się niczym woda spływająca w końcu z bulgotem przez otwór odpływowy, który jest prawie, lecz nie całkiem zatkany.

Kevin nie miał pojęcia, dlaczego jest taki rozczarowany. Czy naprawdę oczekiwał czegoś innego? Myślał, że Papcio Merrill, którego pan Baker nazywał domorosłym filozofem i starym fachmanem, wyciągnie jakąś sprężynkę i powie: „To właśnie to... to draństwo powodowało, że ten pies pojawiał się za każdym razem, kiedy nacisnąłeś migawkę. To taka psia sprężynka, jak w tych nakręcanych psach, które dziecko puszcza, żeby chodziły i szczekały. Jakiś żartowniś zawsze wkłada je do cholernych aparatów na linii montażowej Sun 660.

Tego właśnie się spodziewał?

Nie. Ale czegoś się przecież spodziewał...

– Nie mam bladego pojęcia – powtórzył wesoło Papcio, po czym sięgnął za siebie, wyciągnął z pojemnika w kształcie kubelkowego fotela fajkę kukurydzianą, taką samą jak ta, którą palił Douglas MacArthur, i zaczął ją nabijać tytoniem z kapciucha ze sztucznej skóry z wytłoczonymi słowami „Diabelskie zioło”. – Nie potrafię nawet rozłożyć tego maleństwa na części, wiesz?

– Nie potrafi pan?

– Nie – odparł Papcio, wesoły jak skowronek. Pociągnął kciukiem za mostek między soczewkami swoich bezoprawkowych okularów, które zsunęły się z jego łysej czaszki, i z cichym stuknięciem wskoczyły na swoje miejsce, zakrywając zaczerwienienia po obu stronach nosa. – Można rozłożyć na części te starsze – dodał, wyjmując z kieszeni kamizelki (oczywiście, że miał na sobie kamizelkę) zapalną Diamond Blue Tip i przyciskając grubym poźółkłym paznokciem prawego kciuka jej główkę. Tak, to był człowiek, który umiał z palcem

w nosie nabierać letników (zakładając, że nie był to palec ręki, którą najpierw wyjął z kieszeni, a następnie zapalił zapalniczkę) – Kevin widział to, choć miał dopiero piętnaście lat. Papcio Merrill miał swój styl. – Mam na myśli aparaty Polaroid Land. Widziałeś jedno z tych cudeniek?

– Nie – odpowiedział Kevin.

Papcio zapalił zapalniczkę za pierwszym razem, co oczywiście zawsze mu się udawało, i przystawił ją do kukurydzianej główki fajki. Wymawiając kolejne słowa, wysyłał małe dymne sygnały, które ślicznie wyglądały i straszliwie cuchnęły.

– O tak. Przypominały te staroświeckie aparaty, których ludzie tacy jak Mathew Brady używali przed końcem stulecia... w każdym razie zanim Kodak wprowadził pudełkowe aparaty Brownie, jeśli wolno mi tak powiedzieć (Kevin szybko przekonał się, że to ulubiona fraza Papcia; używał jej tak samo, jak niektóre dzieciaki w szkole używają „wiesz”, jako wzmacniacza, modyfikatora i kwalifikatora, a przede wszystkim w charakterze wygodnej pauzy na zebranie myśli). Trochę go odpicowali, dali chromy i prawdziwe skórzane panele po bokach, ale nadal wyglądał staroświecko, niczym aparat, którego ludzie używali do robienia dagerotypów. Kiedy otwierało się te starsze polaroidy, rozkładały się niczym harmonia, bo ich obiektywy potrzebowały piętnastu, a może nawet dwudziestu centymetrów, żeby wyostrzyć obraz. W porównaniu z kodakami z końca lat czterdziestych i początku pięćdziesiątych, tamte polaroidy wyglądały cholernie staromodnie i były podobne do tych starych dagerotypów pod jeszcze jednym względem: robiły tylko czarno-białe fotografie.

– Naprawdę? – zapytał Kevin, mimo wszystko zaciekawiony.

– No jasne! – odparł Papcio, wesoły jak sikorka. W błękitnych oczach, którymi mierzył Kevina zza okrągłych bezoprawkowych okularów, skrzyły się przez kłęby dymu jasne iskierki. Takie, które mogą sygnalizować albo dobry humor, albo chciwość. – Jeśli wolno mi tak powiedzieć, ludzie śmiali się z tych aparatów tak samo, jak śmiali się z volkswagenów garbusów na początku,

kiedy się tylko pojawiły... ale kupowali polaroidy, podobnie jak kupowali garbusy. Bo volkswageny paliły mało benzyny i nie psuły się tak często jak amerykańskie auta, a polaroidy robiły coś, czego nie potrafiły nie tylko kodaki, ale nawet nikony, minolty i leiki.

– Wykonywały natychmiastowe zdjęcia.

Papcio uśmiechnął się.

– No... niezupełnie. Chodzi mi o to, że kiedy pstryknąłeś swoją fotkę, musiałeś pociągnąć za klapkę, żeby ją wysunąć. Tamte aparaty nie miały silniczka, nie wydawały tego cichego lepkiego cmoktania tak jak nowoczesne polaroidy.

A więc istniało jednak idealne określenie tego dźwięku, trzeba było tylko trafić na Papcia Merrilla, żeby ci je podał: odgłos, który wydawały aparaty Polaroida, kiedy wypluwały z siebie swój produkt, to było ciche lepkie cmoktanie.

– A potem trzeba było jeszcze wyczekać – dodał Papcio.

– Wyczekać?

– No jasne! – odparł z entuzjazmem Papcio, radosny jak ranny ptaszek, który znalazł przysłowiowego robaka. – Tamte aparaty, jeśli wolno mi tak powiedzieć, nie miały tego automatycznego ustrojstwa z tyłu. Pociągało się za klapkę i z aparatu wychodził długi pasek, który trzeba było położyć na stole, czy gdzie tam chcesz, i odmierzyć sześćdziesiąt sekund na zegarku. Musiało być sześćdziesiąt albo coś koło tego. Jeśli odmierzyłeś mniej, miałeś niedoświetloną fotkę. Więcej, to fotka była prześwietlona.

– Kurczę – powiedział z szacunkiem w głosie Kevin. I nie był to udawany szacunek mający połechtać mile starego i skłonić go do skupienia się na temacie, którym nie były dawno zapomniane aparaty, będące w swoim czasie cudami techniki, ale jego własny aparat, cholerny zbuntowany Sun 660, leżący na stole roboczym razem z bebechami starego zegara siedmiodniowego po prawej i czymś, co w podejrzany sposób przypominało sztucznego penisa po lewej stronie. To nie był udawany szacunek, Papcio wiedział o tym i przyszło mu do głowy (Kevinowi by nie przyszło), jak nietrwały jest tak naprawdę ten wielki biały bóg

nowatorstwa; wystarczy dziesięć lat, pomyślał, by samo to określenie trafiło do lamusa. Ktoś, kto patrzył na zafascynowaną minę chłopca, mógłby dojść do wniosku, że słucha opowieści o rzeczach tak odległych w czasie jak drewniane sztuczne szczęki George'a Washingtona, a nie o aparacie, który jeszcze przed trzydziestu pięciu laty uważano za szczyt nowoczesności. Ale przed trzydziestu pięciu laty ten młodzieniec wciąż unosił się oczywiście w niebycie, będąc częścią kobiety, nieznającej jeszcze mężczyzny, który miał dostarczyć jego drugą połówkę.

– Między fotografią i jej spodem była, jeśli wolno mi tak powiedzieć, normalna mała ciemnia – podsumowywał Papcio, z początku powoli, ale rozkręcając się, w miarę jak górę brało jego w większości autentyczne zainteresowanie tematem (choć ani na chwilę nie zapominał, kim jest ojciec tego dzieciaka i jaką wartość może mieć dla niego sam dzieciak oraz te dziwne rzeczy, które wyprawiał jego aparat). – A pod koniec tej minuty odklejało się zdjęcie od spodu... Trzeba było to robić ostrożnie, bo było tam pełno tej podobnej do galaretki mazi i jeśli miałeś wrażliwą skórę, mogłeś się całkiem porządnie poparzyć.

– Niesamowite – mruknął Kevin. Miał szeroko otwarte oczy i wyglądał teraz jak dzieciak słuchający o dawnych dwuotworowych wygódkach, które Papcio i wszyscy jego koledzy z dzieciństwa (prawie wszyscy byli tylko kolegami; w dzieciństwie miał w Castle Rock niewielu przyjaciół – być może, już wówczas szykował się do kariery naciągacza, który nabiera letników, i inne dzieci w jakiś sposób to wyczuwały niczym niewyraźny zapach skunksa) uważali za coś oczywistego i załatwiali w środku lata jak najszybciej to, co mieli tam do załatwienia, bo jedna z os krążących zawsze na dole między spadającą z nieba manną i dwoma otworami będącymi tym niebem, mogła w każdej chwili wbić żądło w jeden z delikatnych chłopięcych pośladków, a robili to jak najszybciej w środku zimy, ponieważ ich delikatne chłopięce pośladki mogłyby zamarznąć na kość, jeśli się nie pośpieszyli. No cóż, pomyślał Papcio, to tyle, jeśli chodzi o Aparat Przyszłości. Minęło trzydzieści pięć lat i dla

tego dzieciaka jest to tak samo ciekawe jak stojący z tyłu podwórka sraczyk.

– Negatyw był z tyłu – podjął Papcio. – A pozytyw... pozytyw był oczywiście czarno-biały, ale niezwykle wyraźny, tak ostry i czysty, że niczego lepszego nie zobaczyłbyś nawet dzisiaj. Było też takie małe ustrojstwo, z tego, co pamiętam, nie dłuższe od szkolnej gumki; sączyły się z niego jakiegoś rodzaju chemikalia o zapachu eteru i trzeba było nim jak najszybciej przetrzeć zdjęcie, bo inaczej zwijało się jak rurka w środku srajtaśmy.

Kevin wybuchnął śmiechem, słysząc to pochodzące z innej epoki określenie.

Papcio umilkł i przez chwilę starał się na nowo zapalić fajkę.

– W przypadku tamtego aparatu – podjął, gdy mu się to udało – nikt poza ludźmi z Polaroida nie wiedział tak naprawdę, co tam się w środku działo... Ci ludzie, jeśli wolno mi tak powiedzieć, byli dokładni... ale to było urządzenie mechaniczne. Można je było rozłożyć na części.

Spojrzał z pewnym niesmakiem na aparat Kevina.

– I kiedy się psuło, trzeba było to po prostu zrobić. Facet przychodził z jednym z tych cudeniek i mówił, że nie działa. Będzie go musiał teraz wysłać do fabryki Polaroida, żeby coś z tym zrobili, jęczał, a to zajmie prawdopodobnie długie miesiące, i czy nie mógłbym rzucić okiem. „Cóż...”, odpowiadałem. „Pewnie nie da się nic zrobić, jeśli wolno mi tak powiedzieć, tak naprawdę na tych aparatach nie zna się nikt poza ludźmi z Polaroida, a oni są cholernie dokładni, ale co tam, mogę rzucić okiem”. Mówiłem tak, przez cały czas wiedząc, że to pewnie obłuzowana śrubka w obudowie migawki lub zerwana sprężynka. A może, do diabła, junior zapaćkał masłem orzechowym komorę filmu.

Jedno z jego jasnych ptasich oczu mrugnęło tak szybko i tak cudownie chytrze, że ktoś, kto nie wiedział, że mowa jest o letnikach, pomyślał Kevin, przypisałby to swojej paranoicznej wyobraźni albo, co bardziej prawdopodobne, w ogóle by tego nie zauważył.

– To była, jeśli wolno mi tak powiedzieć, idealna sytuacja – powiedział Papcio. – Jeśli udało ci się to naprawić, byłeś cholernym cudotwórcą. Zarobiłem, kurczę, osiem dolarów i pięćdziesiąt centów za to, że wyjąłem kilka małych kawałków czipsów spomiędzy przycisku i sprężyny migawki, mój synu, i kobieta, która przyniosła mi ten aparat, pocałowała mnie w usta. Prosto... w usta.

Kevin patrzył, jak Papcio znowu mruga za półprzezroczystą mgiełką sinego dymu.

– I oczywiście jeśli to było coś, czego nie potrafiłeś naprawić, nie mieli do ciebie żalu. Rzecz w tym, że tak naprawdę w ogóle się nie spodziewali, że uda ci się cokolwiek zrobić. Byłeś po prostu ostatnią deską ratunku, potem mogli już tylko włożyć aparat do pudełka, wypchać je gazetami, żeby nie rozbili go podczas transportu, i wysłać go do Schenectady. Natomiast ten aparat... – Papcio przemawiał rytualnym, pełnym odrazy tonem, który wszyscy domorośli filozofowie, czy to w złotym wieku w Atenach, czy w małomiasteczkowym sklepie ze starzyzną we współczesnym wieku mosiądza, przyswajają sobie, by wyrazić w oględny sposób swój pogląd na entropię. – Ten aparat nie został zmontowany, synu. On, jeśli wolno mi tak powiedzieć, został odlany. Mógłbym pewnie podważyć obiektyw i zrobić to, jeśli będziesz chciał. Zajrzałem już do komory na film, choć wiedziałem, że nie odkryję żadnej cholernej usterki, i rzeczywiście jej nie odkryłem. Poza tym jednak nie jestem w stanie nic zrobić. Mógłbym, jeśli wolno mi tak powiedzieć, wziąć młotek, zamachnąć się i go rozwalić, ale naprawić? – Papcio rozłożył ręce w kłębach fajczanego dymu.

– W takim razie będę chyba po prostu musiał... – „go oddać”, miał zamiar powiedzieć Kevin, lecz Papcio nie pozwolił mu dokończyć zdania.

– Tak czy owak, synu, pewnie o tym wiedziałeś. Chodzi mi o to, że jesteś bystrym chłopcem i widzisz chyba, kiedy coś nie daje się rozłożyć na części. Nie wydaje mi się, żebyś przyniósł tu ten aparat, żeby go naprawić. Moim zdaniem, wiesz, że nawet

gdyby dało się go rozłożyć, człowiek nie potrafi naprawić tego, co ta rzecz robi, w każdym razie nie śrubokrętem. Moim zdaniem, przyniosłeś go tutaj, żeby zapytać, czy wiem, co ta rzecz wyprawia.

– A wie pan? – zapytał Kevin, nagle cały spięty.

– Niewykluczone – odparł spokojnie Papcio Merrill, po czym pochylił się nad fotografiami. Było ich teraz razem dwadzieścia osiem, łącznie z jedną, którą zrobił przed chwilą Kevin, żeby zademonstrować, o co chodzi, i kolejną, którą zrobił Papcio, by zademonstrować to samemu sobie. – Są ułożone po kolei?

– Niezupełnie. Ale z grubsza tak. To ma jakieś znaczenie?

– Tak mi się wydaje – mruknął Papcio. – Każda jest trochę inna, prawda? Niewiele, ale jednak...

– Chyba tak – przyznał Kevin. – Na niektórych widzę różnicę, ale...

– Wiesz, które zdjęcie było pierwsze? Pewnie mógłbym to sam odgadnąć, ale czas to pieniądz, synu.

– To proste. – Chłopiec podniósł jedno ze zdjęć z nieuporządkowanej sterty. – Widzi pan ten lukier? – zapytał, wskazując małą brązową kropkę na białym obramowaniu fotografii.

– No jasne. – Papcio nie poświęcił plamce lukru wiele uwagi. Przyjrzał się uważnie fotografii i po chwili otworzył szufladę swego stołu roboczego, w której leżały porozrzucane narzędzia. Trochę z boku znajdował się przedmiot zawinięty w aksamitną szmatkę. Papcio wyjął go, odwinął z aksamitu duże szkło powiększające z przyciskiem w podstawce, nachylił się nad zdjęciem i wcisnął przycisk. Jasny snop światła padł na powierzchnię fotografii.

– Ekstra! – zachwycił się Kevin.

– No jasne.

Kevin zorientował się, że dla Papcia już go tam nie ma. Całą uwagę poświęcał fotografii.

Która, jeśli ktoś nie znał dziwnych okoliczności, w jakich powstała, w żadnym wypadku nie wydawała się zasługiwać na

tak wielkie zainteresowanie. Jak większość zdjęć zrobionych porządnym aparatem, na dobrej kliszy i przez fotografa wystarczająco inteligentnego, by nie zasłaniał obiektywu palcem, było wyraźne, zrozumiałe... i, jak tyle innych polaroidowych zdjęć, dziwnie pozbawione dramatyzmu. Można było na nim zidentyfikować i nazwać każdy przedmiot, lecz jego treść była równie płaska jak jego powierzchnia. Nie było zbyt dobrze skomponowane, ale to nie kompozycja decydowała o tym, że było nieudane, w nie większym w każdym razie stopniu niż realny dzień w realnym życiu można uznać za nieudany tylko dlatego, że w jego trakcie nie wydarzyło się nic, co nadawałoby się na temat choćby telewizyjnego filmu. Podobnie jak na tylu innych polaroidowych zdjęciach, widniejące na nim obiekty istniały tylko tam i nigdzie indziej, zupełnie tak samo jak puste krzesło na werandzie, pusta huśtawka na podwórku albo auto, które stoi bez pasażerów przy zwykłym krawężniku, nie mając nawet przebitej opony, która mogłaby uczynić je czymś ciekawym albo unikalnym.

Tym, co sprawiało, że to zdjęcie było nie w porządku, było poczucie, że jest nie w porządku. Kevin pamiętał zakłopotanie, które poczuł, ustawiając rodzinę do zdjęcia, i gęsią skórę na plecach, gdy przy błysku oświetlającego pokój flesza pomyślał: jest mój. To właśnie było nie w porządku i podobnie jak w przypadku człowieka na Księżycu, nie można go było przestać widzieć, kiedy już się go raz zobaczyło; tak samo, odkrywał teraz, nie sposób było przestać doznawać pewnych uczuć... a uczucia dotyczące tych fotografii były złe.

Tak jakby z tego zdjęcia, pomyślał Kevin, wiał wiatr... bardzo słaby i bardzo zimny wiatr.

Po raz pierwszy myśli, że to może być coś nadprzyrodzonego – że to jest część Objawienia – nie tylko go zaintrygowała. Po raz pierwszy zorientował się, że żałuje, że nie dał sobie po prostu siana. Jest mój – tak właśnie pomyślał, kiedy jego palec po raz pierwszy wcisnął przycisk migawki. Teraz zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem nie jest odwrotnie.

Boję się go. Boję się tego, co robi.

To go rozzłościło i niczym człowiek, który zgubił brylant w stercie piasku, pochylił się nad ramieniem Papcia Merrilla z mocnym postanowieniem, że bez względu na to, co zobaczy (oczywiście pod warunkiem, że zobaczy coś nowego, a nie sądził, by mu się to udało; oglądał te wszystkie fotografie już dość długo, by uznać, że zobaczył na nich wszystko, co było do zobaczenia), przyjrzy się temu, zbada to i w żadnym wypadku nie przestanie tego widzieć. Nie przestanie, choćby mógł... a smutny wewnętrzny głos podpowiadał mu bardzo wyraźnie, że czas, kiedy było to możliwe, bezpowrotnie minął.

Fotografia przedstawiała dużego czarnego psa stojącego na tle białego płotu, który już wkrótce mógł przestać być biały, chyba że ktoś w tym płaskim polaroidowym świetle pomalowałby go albo przynajmniej pobielił wapnem. Nie wydawało się to prawdopodobne; płot sprawiał wrażenie zaniedbanego i zapomnianego. Szczyty kilku sztachet były odłamane. Inne wisiały luźno na gwoździach.

Pies stał na chodniku przed płotem; obrócony zadem do patrzącego, z opuszczonym nisko długim kosmatym ogonem, obwąchiwał najwyraźniej jedną ze sztachet – chyba dlatego, pomyślał Kevin, że płot był tym, co jego tato nazywał „skrzynką kontaktową”, miejscem, przy którym wiele psów podnosiło łapę i przed udaniem się w dalszą drogę zostawiało mistyczne żółte strużki wiadomości.

Na Kevinie pies robił wrażenie bezpieczeństwa. Miał długie, zmierzwione i usiane rzepami futro, a jedno z uszu nosiło ślady dawnych potyczek. Rzucany przez niego cień był tak długi, że kończył się poza ramką, na zachwaszczonym trawniku po drugiej stronie płotu. Ten cień skłaniał Kevina do przekonania, że zdjęcie zostało zrobione albo niedługo po świetle, albo tuż przed zmierzchem; nie wiedząc, w którą stronę świata patrzył fotograf (jaki fotograf, ha, ha), można było tylko powiedzieć, że on (lub ona) musiał (lub musiała) stać kilka stopni na zachód albo na wschód w stosunku do psa.

W lewym rogu fotografii leżało na trawie coś czerwonego, co mogło być dziecinną gumową piłeczką. Ponieważ znajdowało się po drugiej stronie płotu, za jedną z kęp wymiętej trawy, trudno było mieć pewność.

I to było wszystko.

– Coś tu poznajesz? – zapytał Papcio, przesuwając powoli swoje szkło powiększające po powierzchni fotografii. Zad psa zwiększył się w pewnym momencie do rozmiarów pagórków porośniętych złowieszczą czarną, bujną roślinnością. Chwilę później trzy albo cztery obłazące z farby sztachety upodobniły się do słupów telefonicznych, a jeszcze później przedmiot za kępą trawy okazał się ponad wszelką wątpliwość dziecinną piłeczką (choć pod szkłem powiększającym Papcia bardziej przypominał piłkę futbolową); Kevin widział nawet wytłoczone w gumie gwiazdki, które ją zdobiły. A więc pod szkłem powiększającym Papcia udało się odkryć coś nowego i za chwilę Kevin miał zobaczyć bez tego szkła coś więcej. Ale jeszcze nie teraz.

– Jezu, nie – odparł. – Jakim cudem, panie Merrill?

– Bo mamy tu pewne rzeczy – wyjaśnił cierpliwie Papcio. Jego szkło nadal wędrowało po fotografii. Chłopcu przyszedł na myśl oglądany kiedyś film, na którym gliniarze wysłali w pościgu za uciekinierami z więzienia helikopter z punktowym reflektorem. – Pies, chodnik, płot ze sztachetami, który trzeba pomalować albo rozebrać, trawnik, o który trzeba zadbać. Chodnika nie ma za dużo... nie widać tu go całego i na zdjęciu nie widać domu, a nawet podmurówki, ale jeśli wolno mi tak powiedzieć, jest tam ten pies. Poznajesz go?

– Nie.

– A płot?

– Nie.

– A tę czerwoną gumową piłkę? Co mi o niej powiesz, synu?

– Nic. Ale patrzy pan tak, jakbym powinien ją znać.

– Patrzę, jakbyś mógł ją znać. Nie miałeś nigdy takiej piłki, kiedy byłeś brzdącem?

- Z tego, co pamiętam, nie.
- Mówiłeś, że masz siostrę.
- Megan.
- Nie miała podobnej piłki?
- Nie sądzę. Nigdy nie interesowałem się zbytnio zabawkami Megan. Miała kiedyś paletkę z doczepioną na gumce piłeczką, która była czerwona, ale w innym odcieniu. Ciemniejszym.
- No jasne. Wiem, jak wyglądały te piłeczki. Ta jest inna. I to na pewno nie wasz trawnik?
- Jezu. To znaczy nie, nigdy w życiu. – Kevin czuł się nieco urażony. Razem z tatą bardzo dbali o otaczający dom trawnik. Był soczyście zielony i nawet pod opadłymi liśćmi miał taki pozostać przynajmniej do połowy października. – Nie mamy zresztą płotu ze sztachetami – dodał. A nawet gdybyśmy mieli, nie wyglądałaby jak ta ruina, pomyślał.
- Papcio puścił przycisk w podstawce szkła, po czym z troskliwością graniczącą z rewerencją owinął je aksamitną szmatką i schował do szuflady, którą natychmiast zamknął. Uważnie przyjrzał się Kevinowi. Już wcześniej odłożył na bok fajkę i kłęby dymu nie zasłaniały teraz jego oczu, które były nadal przenikliwe, choć nie migotały w nich wesołe iskierki.
- Czy to nie mógł być, jeśli wolno mi tak powiedzieć, wasz dom, zanim się tam wprowadziliście? Jak sądzisz? Przed dziesięciu laty...
- Przed dziesięciu laty już tam mieszkaliśmy – odparł skołowany Kevin.
- A przed dwudziestu? Albo przed trzydziestu? Chodzi mi o to, czy poznajesz ukształtowanie terenu? Wygląda, jakby się trochę wznosił.
- Nasz trawnik od frontu... – Kevin przez chwilę głęboko się zastanawiał, a potem pokręcił głową. – Jest płaski. Jeśli już, to opada lekko w dół. Może dlatego na wiosnę, kiedy dużo pada, w piwnicy zbiera się woda.
- No jasne, to możliwe. A tylne podwórko?

– Nie ma tam chodnika – odparł Kevin. – A po bokach... – Nagle urwał. – Pan chce ustalić, czy mój aparat nie robi zdjęć z przeszłości! – powiedział i po raz pierwszy naprawdę poczuł, że ogarnia go strach. Dotknął językiem podniebienia i poczuł metaliczny smak.

– Tylko pytałem. – Papcio zabębnił palcami w blat obok fotografii. Kiedy się ponownie odezwał, ktoś mógłby pomyśleć, że mówi bardziej do siebie niż do Kevina. – Można rzec, że z dwoma gadżetami, które zwykliśmy traktować jako coś zupełnie zwyczajnego, zdarzają się od czasu do czasu cholernie dziwne rzeczy. Nie mówię, że na pewno się zdarzają, ale jeśli nie, na świecie jest chyba mnóstwo kłamców i pierwszej klasy hochsztaplerów.

– Z jakimi gadżetami?

– Z magnetofonami i aparatami Polaroida – odrzekł Papcio, jakby wciąż przemawiał do fotografii albo do samego siebie, jakby w zakurzonym i tykającym wnętrzu Emporium Galorium nie było wcale Kevina. – Weźmy choćby magnetofony. Wiesz, ilu ludzi twierdzi, że mają nagrane na taśmę głosy zmarłych?

– Nie – powiedział Kevin. Nie zależało mu specjalnie na tym, by ściszyć głos prawie do szeptu, ale tak właśnie się stało. Najwyraźniej z tego czy innego powodu zostało mu w płucach bardzo niewiele powietrza.

– Ja też nie – przyznał Papcio, trącając fotografię palcem. Toporny i sękaty, palec ów wydawał się stworzony do prymitywnych i niezgrabnych czynności i poruszeń, do szturchania ludzi, zrzucania wazonów ze skraju stołów i wywoływania krwotoku z nosa, gdyby jego właściciel próbował na przykład wydłubać z niego zaschnięty gil. Mimo to Kevin, który obserwował wcześniej dłonie tego człowieka, doszedł do wniosku, że w tym jednym palcu jest prawdopodobnie więcej gracji niż w całym ciele jego siostry Meg (i, być może, w jego własnym; Delevanowie nie słynęli raczej ze zwinnych stóp i dłoni, co było zapewne jedną z przyczyn, dla których, jak sądził, obraz ojca zgrabnie łapiącego upadającą matkę zapadł mu tak

głęboko w pamięć i mógł w niej pozostać już na zawsze). Palec Papcia Merrilla wyglądał, jakby w każdej chwili mógł strącić na podłogę wszystkie fotografie – i zrobić to nieumyślnie; tego rodzaju niezgrabny paluch zawsze szturchał, wywracał i wykręcał nieumyślnie – lecz nie zrobił tego. Zdjęcia prawie się nie poruszyły w reakcji na jego nerwowe machinacje.

Jest w tym coś nadprzyrodzonego, pomyślał ponownie Kevin i lekko zadrżał. To był autentyczny dreszcz, zaskakujący, niepokojący i wprawiający w zakłopotanie, nawet jeśli Papcio go nie zauważył.

– Ale mają nawet na to swoje sposoby – powiedział Papcio. – Kto? Niech mnie diabli, jeśli to wiem – dodał szybko, jakby Kevin go o to spytał. – Niektórzy z nich to chyba „parapsycholodzy”, w każdym razie tak się sami nazywają, ale, moim zdaniem, bardziej prawdopodobne jest, że większość po prostu się wygłupia, tak jak ci, którzy zabawiają się tabliczkami ouija na przyjęciach.

Papcio spojrział ponuro na Kevina, jakby zdał sobie nagle sprawę z jego obecności.

– Masz planszę ouija, synu?

– Nie.

– Brałeś kiedyś udział w seansie?

– Nie.

– Nie rób tego – rzekł jeszcze bardziej ponuro Papcio. – To cholerstwo jest niebezpieczne.

Kevin nie ośmielił się powiedzieć staremu, że nie ma zielonego pojęcia, czym jest jakaś tam plansza ouija.

– Tak czy owak, stawiają magnetofon, który ma rejestrować dźwięk, w pustym pokoju. To powinien być, jeśli wolno mi tak powiedzieć, stary dom, dom z historią, jeśli uda się taki znaleźć. Rozumiesz, co mam na myśli, kiedy mówię o domu z historią, synu?

– Chodzi o to, że... jest nawiedzany przez duchy? – zaryzykował Kevin. Zorientował się, że lekko się poci, tak samo,

jak pocił się za każdym razem, kiedy pani Whittaker zapowiadała w zeszłym roku klasówkę z algebry.

– Mniej więcej. Ci ludzie... najbardziej zależy im, żeby to był dom z historią przemocy, ale w gruncie rzeczy zadowolą się czymkolwiek, co uda im się znaleźć. Tak czy siak, nastawiają magnetofon i nagrywają to, co dzieje się w tym pustym pokoju. A potem, następnego dnia... jeśli wolno mi tak powiedzieć, zawsze robią to w nocy, nie zadowolisz ich, jeśli nie mogą tego zrobić po zmierzchu, najlepiej o północy... Więc następnego dnia puszczają to nagranie.

– Nagranie pustego pokoju?

– Czasami – w poważnym głosie Papcio mogły się nawet skrywać jakieś emocje – słysząc tam głosy.

Kevin ponownie zadrżał. Na cokole znajdowały się jednak jakieś hieroglify. Nie żeby od razu chciał je odczytać... ale cóż. Były tam.

– Prawdziwe głosy? – zapytał.

– Na ogół to tylko bujna wyobraźnia – odparł z lekceważeniem Papcio. – Choć raz czy dwa ludzie, którym ufam, mówili, że słyszeli prawdziwe głosy.

– Ale sam nigdy ich pan nie słyszał?

– Raz – rzucił Papcio i nie odzywał się tak długo, że Kevin uznał, że nie dowie się nic więcej. – To było jedno słowo – dodał w końcu Papcio. – Dźwięczne jak dzwon. Nagrane w salonie pustego domu w Bath. Pewien mężczyzna zabił tam w czterdziestym szóstym swoją żonę.

– Co to było za słowo? – zapytał Kevin, wiedząc, że nigdy się tego nie dowie, tak samo jak dobrze wiedział, że żadna siła na tym świecie, a już na pewno jego własna siła woli, nie powstrzyma go przed zadaniem tego pytania.

A jednak Papcio mu odpowiedział.

– Miska.

Kevin zamrugał.

– Miska?

– No jasne.

– Ale przecież to nic nie znaczy.
– Może znaczyć, jeśli się wie, że poderżnął jej gardło, a potem przytrzymał głowę nad miską, żeby zebrać krew – odparł spokojnie Papcio.
– O mój Boże!
– Tak jest.
– O mój Boże, naprawdę?
Papcio nie uznał za stosowne na to odpowiedzieć.
– To nie mogło być jakieś oszustwo?
Papcio wskazał cybuchem fajki leżące na stole fotografie.
– A to jest oszustwo?
– O mój Boże.
– Teraz jeśli chodzi o zdjęcia z polaroida – podjął Papcio niczym narrator, przechodzący dziarsko do następnego rozdziału powieści: *Tymczasem w innej części lasu...* – Widziałem zdjęcia przedstawiające ludzi, których, według innych sfotografowanych na nich osób, w ogóle tam nie było. Jest takie jedno... dość słynne... zrobione przez pewną damę w Anglii. Sfotografowała polujących na lisa myśliwych, którzy pod koniec dnia wracali do domu. Widać ich wszystkich, mniej więcej dwudziestu, przejeżdżających przez mały drewniany mostek wysadzaną drzewami wiejską drogą. Ci na przedzie zjeżdżają już z mostka. A po prawej stronie zdjęcia stoi przy drodze dama w długiej sukni i w kapeluszu z woalką, przez co nie widać dobrze jej twarzy, i trzyma na ramieniu torebkę. Widać nawet, że ma na piersi medalion, a może to jest zegarek. Kiedy kobieta, która zrobiła to zdjęcie, to zobaczyła, cholernie ją to przygnębiło, synu, i nikt nie może jej o to winić, bo jeśli wolno mi tak powiedzieć, miała zamiar zrobić zdjęcie tych myśliwych, którzy wracali do domu z polowania, i nikogo więcej, bo nikogo więcej tam nie było. Tyle że na zdjęciu jest ta dama. I kiedy przyjrzeć mu się naprawdę z bliska, ma się wrażenie, że widać przez nią drzewa.

On to wszystko zmyśla, podpuszcza mnie, i kiedy stąd wyjdę, będzie śmiał się ze mnie w kułak, pomyślał Kevin, zdając sobie

jednocześnie sprawę, że Papcio Merrill niczego takiego nie robi.

– Dama, która zrobiła to zdjęcie, odwiedziła jedną z tych wielkich angielskich rezydencji, które pokazują w telewizji edukacyjnej, i słyszałem, że kiedy pokazała to zdjęcie panu domu, ten zemdłał z wrażenia. To akurat chyba zmyślili. Pewnie tak. Na to wygląda, nie? Ale widziałem to zdjęcie w artykule obok namalowanego portretu prababki tego faceta i to mogła być ona, czemu nie. Nie można tego powiedzieć na pewno z powodu woalki, ale to mogła być ona.

– To też mogło być oszustwo – wtrącił słabym głosem Kevin.

– Owszem – zgodził się bez przekonania Papcio. – Ludzie robią najróżniejsze numery. Weźmy choćby mojego bratanka, Ace'a. – Papcio zmarszczył nos. – Skazali go na cztery lata w Shawshank, i za co? Włamał się do baru Mellow Tiger. Zszedł na złą drogę i szeryf Pangborn wpakował go za to do mamra. Mały gnojek dostał to, na co zasłużył.

Kevin w ogóle się nie odzywał, wykazując się w tym względzie wyjątkowym jak na jego wiek rozsądkiem.

– Ale kiedy na fotografiach ukazują się duchy, synu... lub, jak mówisz, to, co ludzie uważają za duchy... dzieje się to prawie zawsze na fotkach z polaroida. I prawie zawsze wydaje się dziełem przypadku. Podczas gdy na przykład latające spodki i tego Potwora z Lock Nest prawie zawsze widać na tych innych fotografiach. Tych, z którymi jakiś spryciarz może spróbować numerów w ciemni.

Papcio puścił do Kevina oko po raz trzeci, komentując w ten sposób wszystkie numery (jakikolwiek one były), jakich pozbawiony skrupułów fotograf może się dopuścić w dobrze wyposażonej ciemni.

Kevina kusilo, by zapytać, czy ktoś mógłby próbować numerów z planszą ouija, uznał jednak, że lepiej będzie trzymać gębę na kłódkę. Nadal wydawało się to najrozsądniejszą taktyką.

– Mówię to wszystko po to, żeby zapytać, czy widziałeś na tych polaroidowych zdjęciach coś, co wydaje ci się znajome.

– Ale ja nic takiego nie widziałem – odpalił chłopiec tak szczerze, że nie miał wątpliwości, że Papcio uzna to za kłamstwo. Do takiego właśnie wniosku dochodziła zawsze jego mama, gdy popełniając taktyczny błąd, pozwalał sobie na kontrolowaną żarliwość.

– No jasne, no jasne – mruknął Papcio, przyjmując jego odpowiedź z tak wielkim lekceważeniem, że Kevina prawie to zirytowało.

– No cóż – powiedział chłopiec po chwili, która mogłaby się wydać cicha, gdyby nie pięćdziesiąt tysięcy tykających zegarów. – To by było chyba na tyle?

– Może niekoniecznie – odparł Papcio. – Mam, jeśli wolno mi tak powiedzieć, pewien pomysł. Czy mógłbyś zrobić jeszcze trochę zdjęć tym aparatem?

– Ale po co? Wszystkie są takie same.

– O to mi właśnie chodzi. Wcale nie są.

Kevin otworzył, a potem zamknął usta.

– Dołożyłbym się nawet do filmu – zaproponował Papcio. – To znaczy w niewielkim stopniu – dodał, widząc zdumienie na twarzy Kevina.

– Ile zdjęć chciałby pan, żebym zrobił?

– No cóż... Masz już teraz ile... dwadzieścia osiem, tak?

– Tak, chyba tyle.

– Więc jeszcze trzydzieści – powiedział po chwili zastanowienia Papcio.

– Po co?

– Tego ci nie powiem. Nie w tej chwili. – Sięgnął do ciężkiej portmonetki, przymocowanej stalowym łańcuszkiem do szlufki paska. Otworzył ją, wyjął dziesięciodolarowy banknot, zawahał się i z widoczną niechęcią dodał dwie jednodolarówki. – To chyba pokryje połowę.

No jasne, pomyślał Kevin.

– Jeżeli naprawdę ciekawi cię, co za sztuczki wyczynia ten aparat, pokryjesz chyba resztę, prawda? – Oczy Papcia wpatrywały się w niego niczym oczy starego ciekawskiego kota.

Kevin zrozumiał, że facet jest przekonany, iż usłyszy odpowiedź twierdzącą; dla Papcia było czymś niewyobrażalnym, by powiedział „nie”. Jeśli powiem „nie”, po prostu tego nie usłyszy, pomyślał. „Dobrze, w takim razie umowa stoi”, powie i czy tego chcę, czy nie, wyląduję na ulicy z jego pieniędzmi w kieszeni.

No i miał przecież kasę, którą dostał na urodziny.

Mimo to nie mógł przestać myśleć o tym wietrze. Wietrze, który nie wiał z wierzchu, lecz ze środka tych fotografii, mimo ich oszukańczo płaskiej, oszukańczo lśniącej powierzchni. Czuł jego powiew mimo składanej przez nie niemej deklaracji: *Jesteśmy polaroidowymi zdjęciami i z powodów, których nie potrafimy wysłować ani nawet zrozumieć, pokazujemy tylko pozbawioną dramatyzmu powierzchnię rzeczy. Co to za wiatr?*

Kevin jeszcze przez chwilę wahał się pod spojrzeniem jasnych oczu łypiących zza bezoprawkowych okularów. *Nie zapytam cię, czy jesteś mężczyzną, czy cykorem, mówiły oczy Papcia Merrilla. Masz piętnaście lat i jeśli wolno mi tak powiedzieć, w tym wieku możesz jeszcze nie być mężczyzną, nie do końca, ale jesteś już, do cholery, za stary, żeby być cykorem, i obaj o tym wiemy. Poza tym nie jesteś nie wiadomo skąd; podobnie jak ja jesteś stąd.*

– Jasne – powiedział Kevin sztucznie lekkim tonem, którym nie oszukał ani siebie, ani Papcia. – Mogę chyba kupić film dziś wieczorem i przynieść fotografie jutro po szkole.

– Nie ma mowy – mruknął Papcio.

– Jutro pan nie otwiera?

– Nie – odparł Papcio i ponieważ Kevin był stąd, cierpliwie czekał. – Myślałeś, żeby pstryknąć od razu wszystkie trzydzieści zdjęć?

– Chyba tak. – Choć tak naprawdę Kevin wcale o tym nie myślał: uważał to za coś oczywistego.

– Nie chcę, żebyś zrobił to w ten sposób – uściślił Papcio. – Nie ma znaczenia, gdzie je pstrykniesz, ale ma znaczenie kiedy. Poczekaj, niech no się zastanowię.

Zastanowił się, a potem zapisał daty i godziny na kartce, a Kevin schował ją do kieszeni.

– No dobrze! – Papcio zatarł ręce tak energicznie, że zaszeleściły niczym dwa kawałki zużytego papieru ściernego. – Zobaczymy się mniej więcej za... trzy dni?

– Tak... chyba tak.

– Założę się, że i tak chętnie zaczekasz do poniedziałku po szkole – powiedział Papcio, puszczając do Kevina oko po raz czwarty, powoli, chytrze i w skrajnie upokarzający sposób. – Żeby twoi przyjaciele nie zobaczyli, jak tu wchodzisz, i jeśli wolno mi tak powiedzieć, nie robili ci z tego powodu przykrości.

Kevin zaczerwienił się, wbił wzrok w blat stołu roboczego i żeby zająć czymś ręce, zaczął zbierać polaroidowe zdjęcia. Kiedy był zakłopotany, a one nie miały czym się zająć, wyłamywał palce.

– Ja... – zaczął, chcąc wyrazić jakiś absurdalny protest, który nie przekonałby żadnego z nich, a potem nagle umilkł, wpatrując się w jedną z fotografii.

– Co jest? – zapytał Papcio. Po raz pierwszy, odkąd chłopiec do niego wszedł, w jego głosie pojawił się ludzki ton, ale Kevin nie usłyszał brzmiącego w nim lekkiego niepokoju. – Teraz to ty wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha, chłopcze.

– Nie – odparł Kevin. – Nie ducha. Widzę, kto zrobił te fotografie. Kto naprawdę je zrobił.

– O czym ty, u licha, mówisz?

Kevin pokazał mu cień. On, jego rodzice, Meg i najwyraźniej również pan Merrill brali wcześniej tę smugę za cień drzewa, którego nie było na zdjęciu. Ale to nie było drzewo. Kevin zobaczył to teraz, a tego, co się zobaczy, nie można już cofnąć.

Kolejne hieroglify na cokole.

– Nie rozumiem, do czego zmierzasz – rzekł Papcio, ale Kevin domyślał się, że stary wie, o co mu chodzi, i dlatego jest taki zbity z tropu.

– Najpierw niech pan spojrzy na cień psa – powiedział. – A potem jeszcze raz na ten tutaj. – Postukał palcem w lewą część

fotografii. – Na zdjęciu słońce wschodzi albo zachodzi. Dlatego wszystkie cienie są wydłużone i trudno powiedzieć, co je rzuca. Ale kiedy teraz spojrzałem, to stało się jasne.

– Co stało się jasne, synu? – Papcio sięgnął do szuflady, mając prawdopodobnie zamiar znów wyjąć z niej szkło powiększające z podświetlaczem... i nagle znieruchomiał. Okazało się, że już go nie potrzebuje. Dla niego też stało się to jasne.

– To cień mężczyzny, prawda? – zapytał. – Niech mnie wszyscy diabli, jeśli to nie jest cień mężczyzny.

– Lub kobiety. Nie sposób powiedzieć. To są nogi, jestem pewien, że to są nogi, ale mogą również należeć do kobiety w spodniach. Albo nawet do dziecka. Kiedy cienie są takie wydłużone...

– No jasne, nie sposób powiedzieć.

– Więc to cień osoby, która zrobiła to zdjęcie, prawda?

– No jasne.

– Ale to nie byłem ja – stwierdził Kevin. – Zdjęcie wyszło z mojego aparatu... wszystkie wyszły... ale to nie ja je zrobiłem. Więc kto je zrobił, panie Merrill? Kto je zrobił?

– Mów mi Papcio – powiedział machinalnie stary, wpatrując się w cień na zdjęciu i kiedy tych kilka zegarów, które nadal były w stanie się śpieszyć, zaczęło dawać sygnały innym, że choć są zmęczone, nadeszła pora, by wybić pół godziny, Kevin poczuł, jak coś w piersi pęcznieje mu z zadowolenia.

ROZDZIAŁ 3

Kiedy w poniedziałek po szkole Kevin pojawił się ponownie w Emporium Galorium z fotografiami, liście zaczęły zmieniać kolor. Był już piętnastolatkiem prawie od dwóch tygodni i przestało to mieć urok nowości.

Uroku nowości nie stracił za to cokolwiek z hieroglifami, to, co nadprzyrodzone, choć specjalnie sobie tego nie chwalił. Wykonał wszystkie fotografie według schematu, który dał mu Papcio, i skończywszy to robić, zobaczył wyraźnie – w każdym razie dość wyraźnie – dlaczego właściciel Emporium Galorium chciał, by wykonywać je w pewnych odstępach czasu: pierwsze dziesięć co godzinę, następną dziesiątkę co dwie godziny, a ostatnią co trzy. Kilka ostatnich zrobił tego dnia w szkole. Zobaczył również coś jeszcze, coś, czego żaden z nich nie mógł zobaczyć wcześniej, bo było to widoczne dopiero na ostatnich trzech zdjęciach. Przeraziło go to tak bardzo, że jeszcze przed pójściem do Emporium Galorium postanowił pozbyć się aparatu. Nie wymieni go; to była ostatnia rzecz, jakiej by pragnął, bo oznaczałaby, że musiałby oddać ten aparat i nie miałby już nad nim kontroli. Nie mógł na to pozwolić.

Jest mój, pomyślał wcześniej i ta myśl do niego wracała, ale nie była prawdziwa. Gdyby była – gdyby polaroid robił zdjęcia czarnego kundla przy płocie z białymi sztachetami tylko wtedy, gdy on, Kevin, naciskał przycisk – to co innego. Ale to wcale tak nie działało. Czymkolwiek była wredna tkwiąca w aparacie magia, nie on jeden mógł ją zainicjować. Takie same (a właściwie prawie takie same) fotografie robił jego ojciec, Papcio Merrill, a także Meg, kiedy Kevin pozwolił jej pstryknąć kilka zdjęć zgodnie ze sporządzonym przez Papcia schematem.

– Ponumerowałeś je tak, jak prosiłem? – zapytał Merrill, kiedy Kevin je przyniósł.

– Tak, od pierwszego do pięćdziesiątego ósmego – odparł chłopiec, po czym przerzucił stos fotografii, pokazując zakreślone kółkami liczby w dolnym lewym rogu każdej z nich. – Ale nie wiem, czy to ma jeszcze znaczenie. Postanowiłem pozbyć się tego aparatu.

– Pozbyć się go? Chyba żartujesz.

– Nie, bynajmniej. Mam zamiar rozbić go kowalskim młotem.

Papcio przyjrzał mu się tymi swoimi przenikliwymi oczkami.

– Naprawdę? – zapytał.

– Tak. – Kevin wytrzymał jego wzrok. – Tydzień temu śmiałybym się z takiego pomysłu, ale dziś się nie śmieję. Moim zdaniem, ten aparat jest niebezpieczny.

– No cóż, możesz mieć rację i wydaje mi się, że gdybyś chciał, mógłbyś przytwierdzić do niego laskę dynamitu i rozbić go w drobny mak. Jest twój, jeśli wolno mi tak powiedzieć. Ale może byś się z tym trochę wstrzymał? Jest coś, co chciałbym zrobić z tymi zdjęciami. Mogłoby cię to zainteresować.

– Co takiego?

– Wolałbym tego nie mówić. Na wypadek gdyby nic z tego nie wyszło. Ale pod koniec tygodnia mógłbym mieć coś, co pomogłoby ci zdecydować, co z tym fantem zrobić.

– Już zdecydowałem – odparł Kevin i stuknął palcem w coś, co pojawiło się na dwóch ostatnich fotografiach.

– Co to jest? – zapytał Papcio. – Przyglądałem się tej rzeczy przez szkło powiększające i powinienem chyba wiedzieć, co to jest... To jak nazwisko, które ma się na końcu języka, ale którego nie sposób sobie przypomnieć, jeśli wolno mi tak powiedzieć.

– Chyba będę mógł się wstrzymać mniej więcej do piątku – rzekł Kevin, który wolał nie odpowiadać na pytanie starego. – Ale naprawdę nie chcę tego przeciągać dłużej.

– Boisz się?

– Tak – odparł po prostu Kevin. – Boję się.

– Powiedziałaś rodzicom?

– Nie, nie zdradziłem im wszystkiego.

– Może powinieneś to zrobić. W każdym razie może zechcesz powiedzieć o tym ojcu, jeśli wolno mi tak powiedzieć. Będiesz miał czas o tym pomyśleć, kiedy ja załatwię to, co chcę załatwić.

– Bez względu na to, co pan chce zrobić, w piątek mam zamiar rozbić to młotkiem mojego taty – oznajmił Kevin. – W ogóle nie chcę już mieć żadnego aparatu. Ani polaroida, ani żadnego innego.

– Gdzie jest teraz?

– W szufladzie mojego biurka. I tam już pozostanie.

– Wpadnij w piątek do sklepu – powiedział Papcio. – I przynieś ze sobą ten aparat. Sprawdzimy ten mój mały pomysł i jeśli będziesz dalej chciał rozwalić to cholerstwo, sam dam ci solidny młotek. Za darmo. Mam nawet na zewnątrz pieniek, żebyś miał go na czym położyć.

– Umowa stoi – rzucił Kevin i uśmiechnął się.

– Swoją drogą, co powiedziałeś rodzicom o tym wszystkim?

– Że nie podjąłem jeszcze decyzji. Nie chciałem ich martwić. Zwłaszcza mamy. – Kevin posłał Merrillowi zaciekawione spojrzenie. – Dlaczego powiedział pan, że powinienem o tym powiedzieć ojcu? – zapytał.

– Kiedy rozbisz ten aparat, będzie na ciebie wściekły – wyjaśnił Papcio. – To nic strasznego, ale może cię poza tym uznać za głupca. Albo za kogoś w rodzaju starej panny wzywającej policję, kiedy zaskrzypi deska w podłodze, jeśli wolno mi tak powiedzieć.

Kevin trochę się zaczerwienił i westchnął, przypominając sobie, jak bardzo rozzłościł się ojciec, gdy padło słowo „nadprzyrodzony”. Wcześniej nie myślał o tym pod tym kątem, lecz teraz, kiedy to zrobił, uznał, że Papcio ma prawdopodobnie rację. Wolałby, żeby ojciec nie był na niego wściekły, lecz mógł z tym żyć. Ale myśl o tym, że tato mógłby go uznać za tchórza, za głupca lub za jednego i drugiego... to już była zupełnie inna para kaloszy.

Papcio uważnie go obserwował, odczytując te myśli z jego twarzy z taką samą łatwością, z jaką czyta się tytuły na pierwszej stronie tabloidu.

– Myślisz, że mógłby tu wpaść z tobą w piątek koło czwartej po południu? – zapytał.

– Nie ma mowy – odparł Kevin. – Tato pracuje w Portlandzie. Rzadko kiedy dociera do domu przed szóstą.

– Jeśli chcesz, mogę do niego zadzwonić – zaproponował Papcio. – Wtedy na pewno przyjdzie.

Kevin popatrzył na niego szeroko otwartymi oczami.

Papcio lekko się uśmiechnął.

– Znam go – mruknął. – Z dawnych czasów. Podobnie jak ty nie lubi o tym mówić i ja to rozumiem, ale znam go, jeśli wolno mi tak powiedzieć. Znam wielu ludzi w tym miasteczku. Zdziwiłbyś się, synu, gdybym ci powiedział ilu.

– Skąd pan zna mojego ojca?

– Wyświadczyłem mu kiedyś przysługę. – Papcio zapalił zapalną paznokciem kciuka i skrył oczy za taką ilością dymu, że nie sposób było poznać, czy maluje się w nich rozbawienie, sentyment czy pogarda.

– Jakiego rodzaju przysługę?

– To sprawa między nim a mną. Podobnie jak to – wskazał stertę fotografii – jest sprawą między mną i tobą. Jeśli wolno mi tak powiedzieć.

– No cóż... w porządku... chyba tak. Czy mam mu coś powiedzieć?

– Nic nie mów! – odparł swoim radosnym dyszkantem Papcio.

– Pozwól, że ja się wszystkim zajmę.

I przez chwilę, mimo kłębow dymu, Kevin widział w oczach Papcia coś, co wcale mu się nie spodobało. Po chwili wyszedł ze sklepu – głęboko skonsternowany chłopiec, który wiedział tylko jedno: chciał, żeby to się wreszcie skończyło.

...

Po jego wyjściu Papcio prawie przez pięć minut siedział w ciszy i bezruchu. Nie przejmując się tym, że zgasła mu fajka, położył dłoń obok sterty fotografii i zabębnił w blat palcami, które były prawie tak samo wyćwiczone i zdolne jak palce skrzypka koncertowego, udawały jedynie, że bardziej nadają się do kopania rowów i wylewania betonu. Kiedy dym się uniósł, oczy Papcia były chłodne jak lód ścinający grudniowe kałuże.

Nagle odłożył fajkę do futerału i zadzwonił do sklepu fotograficznego w Lewiston. Zadał dwa pytania i dwa razy udzielono na nie odpowiedzi twierdzącej. Papcio odłożył słuchawkę i ponownie zaczął bębnić palcami obok fotografii. To, co planował, nie było zbyt uczciwe wobec chłopca, ale młody Delevan uchylił rąbka czegoś, czego nie tylko nie rozumiał, lecz nie miał ochoty rozumieć.

Uczciwe czy nie, Papcio nie sądził, by mógł pozwolić chłopcu zrobić to, co tamten zamierzał. Nie wiedział, co sam zamierza, jeszcze nie, nie do końca, jednak mądrze było się przygotować.

Zawsze mądrze jest się przygotować.

Bębniąc w dalszym ciągu palcami po stole, zastanawiał się, co takiego zobaczył chłopiec. Najwyraźniej uważał, że Papcio się tego domyśli – lub może się domyślić – lecz jemu nic nie przychodziło mu do głowy. Chłopiec mógł mu to powiedzieć w piątek – albo i nie. Jeśli nie powie, zrobi to z pewnością jego ojciec, któremu Papcio pożyczył kiedyś czterysta dolarów na pokrycie pewnego przegranego zakładu dotyczącego meczu koszykówki (zakładu, o którym żona Delevana nie miała pojęcia). Oczywiście, jeśli będzie wiedział. W dzisiejszych czasach nawet najlepsi ojcowie nie wiedzą wszystkiego o swoich synach, gdy ci kończą piętnaście lat, ale, zdaniem Papcia, Kevin był bardzo młodym piętnastolatkiem i jego ojciec wiedział o nim prawie wszystko... albo mógł się tego dowiedzieć.

Zabębnił palcami, uśmiechnął się i wszystkie zegary zaczęły niechętnie wybijać godzinę piątą.

ROZDZIAŁ 4

W piątek o drugiej po południu Papcio Merrill zmienił wiszący w drzwiach sklepu napis OTWARTE na ZAMKNIĘTE, siadł za kierownicą swojego chevroleta z 1959 roku, od lat serwisowanego niezawodnie i całkowicie bezpłatnie w należącym do Sonny'ego warsztacie Texaco (co było konsekwencją kolejnej małej pożyczki, a Sonny Jackett był kolejnym obywatelem miasta, który wolałby przejść po rozżarzonych węglach aniżeli przyznać, że nie tylko zna, ale ma wielki dług wdzięczności wobec Papcia Merrilla; ten bowiem wybawił go z poważnej opresji w New Hampshire w 1969 roku), i pojechał do Lewiston, miasta, którego szczerze nienawidził, ponieważ miał wrażenie, że tylko dwie albo trzy ulice nie są w nim jednokierunkowe. Dotarłszy tam, zastosował strategię, do której uciekał się wyłącznie w Lewiston – nie wjeżdżał do centrum, ale dotarł gdzieś w jego pobliże, a potem zataczał spiralne kręgi tymi zasranymi jednokierunkowymi uliczkami, aż uznał, że jest już dość blisko, by wysiąść i resztę drogi pokonać na piechotę – wysoki i chudy łysy mężczyzna w okularach bez oprawek, czystych spodniach khaki z mankietami i wyprasowanymi na kant oraz w zapiętej pod samą szyję niebieskiej flanelowej koszuli.

Na wystawie sklepu fotograficznego Twin City widniał szyld przedstawiający komiksowego faceta, który walczy z wielką splątaną taśmą filmową i najwyraźniej przegrywa starcie. Wyglądał, jakby zaraz miał rzucić to wszystko w cholerę. Powyżej i poniżej obrazka umieszczone były słowa: MASZ JUŻ DOSYĆ? NAGRAMY TWOJE FILMY 8 MM (A TAKŻE ZDJĘCIA!) NA TAŚMĘ VIDEO!

Kolejny cholerny gadżet, pomyślał Papcio, otwierając drzwi i wchodząc do środka. Świat schodzi przez nie na psy.

Należał jednak do tych ludzi – przez nich też świat schodzi na psy – którzy nie mają nic przeciwko temu, by używać tego, czym gardzili, jeśli mogli na tym skorzystać. Porozmawiał krótko z ekspedientem i ten wezwał właściciela. Znali się od wielu lat (pewnie jeszcze z czasów, gdy Homer żeglował po ciemnym jak wino morzu, jak mógłby rzec jakiś mądrała). Właściciel zaprosił Papcia na zaplecze, gdzie golnęli sobie po jednym.

– To cholernie dziwne fotografie – stwierdził właściciel.

– Owszem.

– A taśma wideo, którą z nich nagrałem, jest jeszcze dziwniejsza.

– Żebyś wiedział.

– To wszystko, co masz mi do powiedzenia?

– Zgadza się.

– No to mam cię w dupie – odparł właściciel i obaj zarechotali piskliwym śmiechem starych mężczyzn. Stojący za ladą ekspedient skrzywił się.

Dwadzieścia minut później Papcio wyszedł stamtąd z dwoma przedmiotami: kasetą wideo i fabrycznie nowym aparatem Polaroid Sun 660, nadal w firmowym pudełku.

...

Po powrocie do sklepu zadzwonił do domu Kevina i nie zdziwił się, kiedy telefon odebrał John Delevan.

– Jeśli namieszałeś mojemu chłopakowi w głowie, zabiję cię, ty stara żmijo – oświadczył bez zbędnych wstępów Delevan i Papcio usłyszał dobiegający z oddali krzyk zranionego chłopca: „Taa-to!”.

Wyszczrzył zęby – powykrzywiane, zepsute i pożółkłe od nikotyny, ale na łysego Chrystusa, nadal jego własne – i gdyby Kevin zobaczył go w tej chwili, przestałby się zastanawiać, czy Papcio Merrill nie jest, być może, kimś więcej niż tylko

castlerockową wersją Domorosłego Łagodnego Starego Mędrca; Kevin wiedziałby to na pewno.

– Daj spokój, John – powiedział. – Próbowałem tylko pomóc twojemu synowi z tym aparatem. To wszystko, co starałem się zrobić. Tak jak pomogłem ci ostatnim razem, kiedy trochę za wcześnie uwierzyłeś w drużynę Seventy-Sixers, jeśli wolno mi tak powiedzieć.

Złowrogie milczenie, które zapadło po drugiej stronie słuchawki, oznaczało, że John Delevan miałby na ten temat wiele do powiedzenia, ale w pokoju był dzieciak, i to skutecznie zamykało mu usta.

– Daj spokój, twój mały o niczym nie wie – mruknął Papcio, jeszcze bardziej szczerząc zęby w mrocznym wnętrzu Emporium Galorium rozbrzmiewającym tykaniem zegarów i przesyconym zapachem starych czasopism i mysich bobków. – Powiedziałem mu, że tamta sprawa go nie dotyczy, w przeciwieństwie do tej, która dotyczy go jak najbardziej. Nie wspominałbym nawet w ogóle o tamtym zakładzie, gdybym znał jakiś inny sposób, żeby cię tu ściągnąć, jeśli wolno mi tak powiedzieć. I powinieneś zobaczyć, co mam, John, bo jeśli tego nie ujrzysz, nie zrozumiesz, dlaczego chłopak chce roztrzaskać aparat, który mu kupiłeś...

– Roztrzaskać?

– ...i dlaczego uważam, że to cholernie dobry pomysł. Więc przyjdiesz tu razem z nim czy nie?

– Nie jestem przecież, do diabła, w Portlandzie!

– Nie przejmujcie się wiszącym w drzwiach napisem ZAMKNIĘTE – powiedział Papcio łagodnym tonem człowieka, który od wielu lat przywykł stawiać na swoim i oczekuje, że jeszcze przez wiele lat nic się pod tym względem nie zmieni. – Po prostu zapukajcie.

– Kto, do diabła, dał mojemu synowi twoje nazwisko, Merrill?

– Nie pytałem go – odparł Papcio wciąż tym irytująco łagodnym tonem, po czym odłożył słuchawkę. – Wiem tylko tyle, że przyszedł – dodał, zwracając się do pustego sklepu. – Tak jak to zawsze robią.

...

Czekając na nich, wyjął z pudełka kupiony w Lewiston aparat i wcisnął je na samo dno kosza na śmieci stojącego obok jego stołu roboczego. Przyjrzał się w zamyśleniu polaroidowi i załadował dołączony do niego czteroklatkowy pakiet startowy. Zrobiwszy to, otworzył aparat, odsłaniając obiektyw. Po lewej stronie symbolu błyskawicy zapaliło się na krótko czerwone światełko, a potem zaczęło migać zielone. Papcio poczuł dreszcz niepokoju, co zresztą zbytnio go nie zdziwiło. Do odważnych świat należy, pomyślał i wcisnął migawkę. Zagracone wnętrze Emporium Galorium wypełniło na chwilę bezlitosne i niestosownie białe światło. Aparat cicho zacmokał i wypluł to, co miało się stać polaroidowym zdjęciem – idealnie adekwatnym, lecz mimo to czegoś pozbawionym: przedstawiającym płaski świat, w którym statki, zapuszczające się zbyt daleko na zachód, zsunęłyby się niechybnie w dół z dymiącej i zaludnionej przez potwory krawędzi ziemi.

Papcio wpatrywał się w nie z takim samym zahipnotyzowanym wyrazem twarzy, z jakim Delevanowie czekali na wywołanie pierwszego zdjęcia Kevina. Powtarzał sobie, że ten aparat nie robi przecież takiego samego numeru, to chyba oczywiste, a mimo to zeszytniał ze strachu i choć był z niego stary twardziel, gdyby w tym momencie zaskrzypiała któraś z klepek podłogi, z pewnością głośno by wrzasnął.

Ale klepka nie zaskrzypiała i wywołane zdjęcie przedstawiało wyłącznie to, co powinno przedstawiać: zmontowane i rozmontowane na części zegary, tostery, związane sznurkiem stosy czasopism, lampy z kloszami tak ohydny, że zachwycać się nimi mogły tylko damy z brytyjskich warstw wyższych, półki zastawione tanimi (sześć za dolca) wydaniem powieści o takich tytułach, jak *Po zmroku*, *kochanie*, *Ciało w ogniu* i *Mosiężna babeczka*, a dalej w głębi zakurzone okno wystawowe. Można było na nim odczytać wspaniałe litery EMPOR, resztę zasłaniał zarys pękatej komody.

Nie zobaczył żadnej czającej się istoty zza grobu, żadnej wymachującej nożem lalki w niebieskim kombinezonie. Zwykły aparat. Podejrzewał, że impuls, który kazał mu w ogóle zrobić zdjęcie – tylko po to, by je obejrzeć – świadczył o tym, jak głęboko ta cała sprawa zalażała mu za skórę.

Westchnął i ukrył odbitkę w koszu na śmieci. Otworzył szeroką szufladę stołu i wyjął z niej mały młotek. Przytrzymał aparat lewą ręką i zamachnął się młotkiem, zataczając nim niewielki łuk w gęstym od kurzu powietrzu. Nie użył dużej siły. Nie było takiej potrzeby. Dzisiaj nikomu już nie zależy na solidnym wykonawstwie. Mówi się o cudach nowoczesnej nauki, syntetykach, nowych stopach, polimerach i Bóg wie o czym jeszcze. To nie ma znaczenia. Szelc. Oto z czego naprawdę wszystko jest ostatnio wytwarzane, i człowiek nie musi się bardzo starać, żeby rozwalić aparat zrobiony ze szelcu.

Obiektiw pękł. Odpadły od niego kawałki plastiku i Papcio o czymś sobie przypomniał. Czy odprysk był z prawej czy lewej strony? Zmarszczył brwi. Z lewej. Tak mu się w każdym razie wydawało. I tak tego nie zauważą, a jeśli nawet, to sami prawie na pewno nie będą pamiętali z której. Ale Papcio nigdy nie polegał na tym, co jest prawie cholernie pewne. Mądrze jest się przygotować.

Zawsze.

Schował młotek, zmiotł małą zmiotką okruchy szkła i plastiku ze stołu na podłogę, po czym schował zmiotkę i wyjął ostro zatemperowany ołówek ciesielski oraz nóż tapicerski. Wyrysował dość wiernie, jak mu się zdawało, miejsce, w którym kawałek plastiku odprysnął od aparatu Kevina Delevana, gdy Meg zrzuciła go na podłogę, następnie zaś naciął je nożem. Kiedy uznał, że nacięcia są wystarczająco głębokie, schował nóż z powrotem do szuflady i zrzucił aparat ze stołu. To, co zdarzyło się raz, powinno wydarzyć się ponownie, zwłaszcza że naciął wcześniej linię pęknięcia.

Wyszło całkiem niezłe. Przyjrzał się uważnie aparatowi, który miał teraz nie tylko rozbity obiektiw, ale także odprysnięty

z boku kawałek plastiku, po czym pokiwał głową i schował go głęboko pod stołem roboczym. Następnie znalazł kawałek plastiku, który odprysnął od obudowy, i wyrzucił go do kosza, gdzie już wcześniej wcisnął pudełko i jedyne zrobione przez siebie zdjęcie.

Teraz pozostało mu tylko czekać na Delevanów. Papcio zaniósł kasetę wideo na górę, do swojego zagraconego mieszkania, położył ją na magnetowidzie, który kupił, by oglądać dostępne od niedawna w sprzedaży pornosy, po czym usiadł i zaczął czytać gazetę. W Pakistanie rozbił się samolot. Zginęło sto trzydzieści osób. Cholerni głupcy zawsze dają się zabić, pomyślał. Ale nic nie szkodzi. Nic złego się nie stanie, jeśli na świecie będzie trochę mniej brudasów. Następnie zajrzał do działu sportowego, żeby zobaczyć, jak spisują się Red Sox. Nadal mieli dużą szansę wygrać Dywizję Wschodnią.

ROZDZIAŁ 5

– Co to była za historia? – zapytał Kevin, kiedy szykowali się do wyjścia. Mieli cały dom dla siebie. Meg była na lekcji baletu, a w piątki pani Delevan grała zwykle w brydża z przyjaciółkami. Miała wrócić o piątej z wielką pizzą i wiadomościami, kto się rozwodzi albo przynajmniej się do tego przymierza.

– Nie twoja sprawa – odparł pan Delevan szorstkim tonem, w którym słycać było gniew i zakłopotanie.

Dzień był chłodny. Pan Delevan szukał swojej kurtki. Nagle znieruchomiał, odwrócił się i spojrzał na syna, który, również ubrany w kurtkę, trzymał w ręku polaroid.

– No dobrze – powiedział. – Nigdy wcześniej nie używałem takiej głupiej wymówki i chyba nie chcę tego robić teraz. Wiesz, o co mi chodzi?

– Tak – odparł Kevin. Wiem dokładnie, o czym mówisz, jeśli wolno mi tak powiedzieć, pomyślał.

– Twoja matka nic o tym nie wie.

– Nie powiem jej.

– Nie mów tak – przerwał mu ostro ojciec. – Nie idź tą drogą, bo już nigdy się nie zatrzymasz.

– Ale sam mówiłeś, że nigdy jej...

– Nie, nie powiedziałem jej – przyznał ojciec, odnajdując w końcu kurtkę i ją wkładając. – Nigdy mnie o to nie zapytała, a ja jej nie powiedziałem. Jeśli nigdy cię nie zapyta, ty też nie będziesz musiał jej mówić. Wydaje ci się to pewnie bzdurną zasadą?

– Szczerze mówiąc, tak – odparł Kevin.

– W porządku – rzekł pan Delevan. – W porządku, ale tak właśnie to załatwiamy. Jeśli sprawa kiedykolwiek wypłynie,

musisz... musimy się przyznać. Jeżeli nie, nie ma takiego obowiązku. Tak to załatwiamy w świecie dorosłych. Może to się wydawać popieprzone i czasami takie właśnie jest, ale tak to załatwiamy. Możesz się z tym pogodzić?

– Chyba tak.

– To dobrze. Chodźmy.

Ruszyli ramię przy ramieniu podjazdem, zapinając na suwaki kurtki. Wiatr zmierzwił przy skroniach włosy Johna Delevana i Kevin z pewnym zdumieniem i zakłopotaniem zauważył, że ojciec zaczyna siwieć.

– To nie było, swoją drogą, nic wielkiego – oznajmił pan Delevan. Mogło się zdawać, że mówi sam do siebie. – W przypadku Papcia Merrilla nigdy tak nie jest. To nie jest facet od wielkich spraw, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi.

Kevin pokiwał głową.

– Musisz wiedzieć, że to całkiem zamożny człowiek, choć nie zrobił majątku na tym sklepie ze starzyzną. To nasz miejscowy Shylock.

– Kto?

– Nieważne. Jeśli edukacja nie zeszła całkiem na psy, wcześniej czy później przeczytasz tę sztukę. Pożycza pieniądze na procent, który jest wyższy od tego, na co zezwala prawo.

– Dlaczego ludzie od niego pożyczają? – zapytał Kevin, kiedy szli w stronę śródmieścia pod koronami drzew, z których powoli opadały czerwone, purpurowe i złote liście.

– Ponieważ nie mogą wziąć pożyczki gdzie indziej – odparł cierpko ojciec.

– Chodzi o to, że nie mają zdolności kredytowej?

– Coś w tym rodzaju.

– Ale my przecież...

– Tak... Teraz powodzi nam się całkiem nieźle. Ale nie zawsze tak było. Zaraz po ślubie twojej mamie i mnie powodziło się dość marnie.

Pan Delevan przez chwilę się nie odzywał i Kevin nie przerywał milczenia.

– No więc znalazłem wtedy pewnego faceta, który był bardzo dumny z tego, jak radzili sobie w tamtym roku Celtics – podjął w końcu ojciec. Mówiąc, wpatrywał się we własne stopy, jakby bał się, że nastąpi na szparę między płytami chodnika, co jak wiadomo, przynosi pecha. – Mieli zagrać w play-offach przeciwko Seventy-Sixers z Filadelfii. Większość obstawiała zwycięstwo Celtics, ale nie tak mocno jak zwykle. Miałem przeczucie, że Seventy-Sixers zwyciężą, że to jest ich sezon.

Zerknął szybko na syna, robiąc to niemal ukradkiem, niczym ktoś, kto próbuje zwędzić w sklepie i schować do kieszeni płaszcz jakąś niewielką, ale wartościową rzecz, a potem znowu zaczął gapić się pod nogi. Szli w tym momencie z Castle Hill w stronę jedyne go w mieście skrzyżowania ze światłami na rogu Lower Main Street i Watermill Lane. Za skrzyżowaniem Castle Stream przecinał most, który miejscowi nazywali Blaszkami. Jego kratownica dzieliła ciemnobłękitne jesienne niebo na eleganckie geometryczne kształty.

– Wydaje mi się, że takie właśnie przeczucie, owa specyficzna pewność siebie, zatruwa dusze biedaków tracących swoje rachunki bankowe, swoje domy, samochody, a nawet ubranie, które zastawiają w kasynach i szulerniach. To przeświadczenie, że dostałeś telegram od samego Pana Boga. Dostałem go tylko ten jeden raz i dziękuję za to Bogu. Zakładałem się wtedy czasami dla żartu o wyniki meczów futbolowych albo rozgrywek World Series. Najwyżej o pięć dolarów, na ogół o znacznie mniej, o jakąś symboliczną kwotę, ćwierć dolara albo paczkę papierosów.

Tym razem to Kevin posłał ojcu ukradkowe spojrzenie, ale ten, choć tak bacznie wypatrywał szpar między chodnikami, spostrzegł je.

– Owszem, w tamtym okresie na dodatek paliłem papierosy. Teraz nie palę i nie zakładam się. To był ostatni raz. Ten ostatni raz mnie uleczył. Twoja matka i ja byliśmy wtedy małżeństwem dopiero od dwóch lat. Ty jeszcze się nie urodziłeś. Pracowałem jako asystent geodety i zarabiałem jakieś sto szesnaście dolarów tygodniowo. Tyle w każdym razie dostawałem na rękę, kiedy

państwo ściągnęło już swój haracz. Ten facet, który tak się ekscytował sukcesami Celtics, był jednym z inżynierów. Nosił nawet w pracy zieloną ocieplaną kurtkę Celtics, tę z koniczynką na plecach. Już tydzień przed play-offami powtarzał, że szuka kogoś dość odważnego i dość głupiego, żeby postawił czterysta dolarów na Seventy-Sixers, bo tyle właśnie ma wolnej forsy, która może przynieść mu godziwą dywidendę. Ten głos w moim wnętrzu był coraz bardziej natarczywy i w przeddzień rozpoczęcia rozgrywek podczas przerwy na lunch podszedłem do tego inżyniera. Bałem się tak bardzo, że serce o mało nie wyskoczyło mi z piersi.

– Bo nie miałeś czterystu dolarów – wtrącił Kevin. – Tamten facet miał, ale ty ich nie miałeś.

Patrzył teraz na ojca całkiem otwarcie; po raz pierwszy od wizyty u Papcia Merrilla kompletnie zapomniał o aparacie. To, co wyprawiał polaroid, zostało przesłonięte – przynajmniej na pewien czas – przez ten nowy, jeszcze bardziej zaskakujący fakt: jako młody mężczyzna jego ojciec popełnił coś spektakularnie głupiego, coś, co zdarza się innym mężczyznom i co równie dobrze mogłoby się zdarzyć i jemu, gdyby był zdany tylko na siebie i nie towarzyszył mu żaden dorosły członek plemienia Rozsądnych. Wyglądało na to, że ojciec przystał na krótko do plemienia Impulsywnych. Trudno było w to uwierzyć, ale czyż ta historia nie była tego najlepszym dowodem?

– Tak właśnie było.

– Ale założyłeś się z nim.

– Nie od razu – rzekł ojciec. – Powiedziałem, że, moim zdaniem, mistrzostwo zdobędą Seventy-Sixers, lecz czterysta dolarów to za duża stawka dla kogoś, kto jest tylko asystentem geodety.

– Ale nie powiedziałeś mi wprost, że nie masz tyle forsy.

– Niestety, Kevinie, wyglądało to jeszcze gorzej. Dałem mu do zrozumienia, że mam. Powiedziałem, że nie stać mnie na stratę czterystu dolarów, a to, delikatnie mówiąc, nie do końca odpowiadało prawdzie. Oznajmiłem, że nie mogę postawić takiej

sumy, skoro szanse są wyrównane... jak widzisz, w dalszym ciągu nie kłamałem, ale zbliżałem się niebezpiecznie do granicy kłamstwa. Dostrzegasz to?

– Tak.

– Nie wiem, co by było... prawdopodobnie do niczego by nie doszło... gdyby w tym momencie brygadzysta nie zadzwonił nagle na koniec fajrantu. Ale zrobił to, a inżynier podniósł ręce i powiedział: „Jeśli tego chcesz, synu, mogę ci zaproponować podwójną wygraną. Dla mnie to bez znaczenia. Te czterysta dolców i tak trafi do mojej kieszeni”. I zanim się zorientowałem, podaliśmy sobie dłonie na oczach co najmniej sześciu facetów i wpadłem jak śliwka w kompot, na dobre i na złe. I wracając wieczorem do domu starym fordem, którym wówczas jeździłem, i myśląc o twojej matce, o tym, jak by zareagowała, gdyby wiedziała, w co się wpakowałem, zjechałem na pobocze, otworzyłem drzwi i wyrzygałem się.

Harrington Street sunął powoli radiowóz. Prowadził Norris Ridgewick, a Andy Clutterbuck siedział na miejscu pasażera. Kiedy skręcali w Main Street, Clut uniósł dłoń, a John i Kevin Delevanowie unieśli w odpowiedzi swoje, rozleniwieni jesiennym słońcem, zupełnie jakby John Delevan nigdy nie siedział w otwartych drzwiach swojego starego forda i nie rzygał w przydrożny pył między stopami.

Przeszli na drugą stronę Main Street.

– Cóż... można powiedzieć, że dostałem to, za co zapłaciłem. Sixers prowadzili aż do ostatnich sekund meczu siódmej kolejki, kiedy to jeden z tych irlandzkich sukinsynów... zapomniałem, jak się nazywał... ukradł piłkę Halowi Greerowi i wrzucił ją do kosza. I w tym momencie z dymem poszło czterysta dolarów, których nie miałem. Kiedy wypłacałem następnego dnia wygraną temu cholernemu inżynierkowi, przyznał, że „pod koniec trochę się denerwowałem”. Tylko tyle. Mógłbym mu wyłupić oczy kciukami.

– Zapłaciłeś mu następnego dnia? Jakim cudem?

– Mówiłem ci, to było coś w rodzaju gorączki. Kiedy przybiliśmy zakład, gorączka minęła. Miałem cholerną nadzieję,

że wygram, ale wiedziałem, że muszę myśleć tak, jakbym miał przegrać. Stawka była o wiele wyższa niż samo czterysta dolarów. Pod znakiem zapytania stawała oczywiście moja praca; nie wiedziałem, co się stanie, jeśli nie będę mógł zapłacić temu facetowi. Był w końcu inżynierem, formalnie rzecz biorąc, moim szefem. Do tego wystarczająco podłym, żeby wylać mnie na zbity pysk, jeśli nie spłacę długu. Oficjalnie nie musiało wcale chodzić o zakład, mógł znaleźć jakiś inny powód, coś, co wlokłoby się za mną przez całe moje życie zawodowe. Ale nie to było najgorsze. W żadnym wypadku.

– A co?

– To, co wiązało mnie z twoją matką. Nasze małżeństwo. Kiedy jesteś młody i nie masz co do garnka włożyć, małżeństwo jest przez cały czas poddawane próbie. I nie ma znaczenia, jak bardzo się kochacie. Takie małżeństwo jest jak zaprzężony do ciężkiego wozu perszeron i wiesz, że kiedy będziesz stale obrywał od losu, ten koń padnie na kolana albo nawet wykopyrtnie się i zdechnie. Nie sądzę, żeby rozwiodła się ze mną z powodu zakładu o czterysta dolarów, ale cieszę się, że nie musiałem tego sprawdzać. Więc kiedy minęła mi gorączka, zorientowałem się, że założyłem się o coś więcej niż tylko czterysta dolarów. Stawką była cała moja cholerna przyszłość.

Zbliżali się do Emporium Galorium. Na skraju miejskiego skweru stała ławka i pan Delevan dał znak Kevinowi, żeby usiadł.

– To nie zajmie nam dużo czasu – powiedział i roześmiał się. Jego śmiech był stłumiony i zgrzytliwy, podobny do dźwięku, który słyhać, gdy niedoświadczony kierowca źle zmienia bieg. – Nawet po tylu latach ta sprawa jest zbyt bolesna, żebym miał ochotę się nad nią długo rozwodzić.

Mając przed sobą miejski skwerek ze stojącą pośrodku estradą dla muzyków, usiedli więc na ławce i pan Delevan opowiedział o tym, jak poznał bliżej Papcia Merrilla.

– Poszedłem do niego tego samego wieczoru, kiedy się założyłem – oznajmił. – Powiedziałem twojej matce, że idę po

papierosy. Wyszedłem po zmroku, więc nikt mnie nie widział. Mam na myśli ludzi z miasta. Wiedzieliby, że wpadłem w jakieś kłopoty, a ja tego nie chciałem. „Co taki fachman jak pan robi w takim miejscu jak to, panie Johnie Delevan?“, zapytał Papcio, kiedy wszedłem, a ja powiedziałem mu, co zrobiłem. „Założył się pan i już teraz chodzi panu po głowie, że przegra pan ten zakład“, odparł. „Chcę mieć pewność, że jeśli go przegram, nie przegram niczego więcej“, odparłem. To go rozśmieszyło. „Szanuję mądrych ludzi, powiedział. Sądzę, że mogę panu zaufać. Jeśli Celtics wygra, może pan do mnie przyjść. Załatwię z panem tę sprawę. Ma pan uczciwą twarz“.

– I to wszystko? – zdziwił się Kevin. W ósmej klasie uczyli się na lekcji matematyki o długach i wciąż większość z tego pamiętał. – Nie zażądał jakiegoś... eee... zabezpieczenia?

– Ludzie, którzy chodzą do Papcia, nie mają zabezpieczeń – odparł ojciec. – Nie jest takim lichwiarzem, jakiego pokazują na filmach; nie łamie ludziom nóg, jeśli nie spłacają długów. Ale ma swoje sposoby, żeby ich dyscyplinować.

– Jakie? – zainteresował się Kevin.

– Nieważne – mruknął John Delevan. – Kiedy skończył się ostatni mecz, poszedłem na górę, żeby powiedzieć twojej matce, że znów wychodzę po papierosy. Ale ona spała, więc nie musiałem przynajmniej kłamać. Pora była późna, przynajmniej jak na Castle Rock; minęła już dziesiąta, ale w jego sklepie nadal paliło się światło. Wiedziałem, że będzie się palić. Dał mi pieniądze w dziesięciodolarowych banknotach. Wyciągnął je ze starej puszki po margarynie Crisco. Same dziesiątki. Pamiętam to. Były pogniecione, ale je wygładził. Czterdzieści dziesięciodolarowych banknotów. Liczył je niczym kasjer w banku, pykając ze swojej fajki, z okularami nasuniętymi na czoło, i przez sekundę miałem ochotę wybić mu zęby. Zamiast tego mu podziękowałem. Nie masz pojęcia, jak ciężko jest czasem powiedzieć „dziękuję“. Mam nadzieję, że nigdy się nie dowiesz. „Rozumie pan warunki, prawda?“, zapytał, a ja odparłem, że tak. „To dobrze, rzekł. Nie mam co do pana obaw. Ma pan uczciwą

twarz, jeśli wolno mi tak powiedzieć. Niech pan idzie i załatwi sprawę z tym swoim kolegą z pracy, a potem niech pan załatwi sprawę ze mną. I niech pan się już więcej o nic nie zakłada. Wystarczy na pana popatrzeć, by wiedzieć, że żaden z pana hazardzista”. Wziąłem więc pieniądze, wróciłem do domu, schowałem je pod matę podłogową w starym fordzie, a potem położyłem się obok twojej matki i przez całą noc nie zmrużyłem oka, bo czułem się zbrukany. Następnego dnia dałem te dziesiątki inżynierowi, z którym się założyłem, a on przeliczył je, złożył, wsadził do kieszeni koszuli i zapiął klapkę, jakby cała ta forsa nie znaczyła dla niego więcej niż paragon za benzynę, który pod koniec dnia musiał oddać głównemu wykonawcy. „Porządny z ciebie facet, Johnny, powiedział, klepiąc mnie po plecach. Porządniejszy, niż myślałem. Wygrałem czterysta dolców, ale przegrałem dwadzieścia do Billa Untermeyera. Założył się ze mną, że przyjdiesz z kasą z samego rana, a ja twierdziłem, że zobaczę ją dopiero pod koniec tygodnia. Jeśli w ogóle”. „Spłacam swoje długi”, odparłem. „Spokojnie, chłopie”, rzucił, znowu klepiąc mnie po plecach, i w tym momencie chyba mało brakowało, żebym rzeczywiście wyłupił mu oczy kciukami.

– Jakie Papcio wyznaczył ci odsetki?

Ojciec spojrzał ostro na syna.

– Pozwolił ci tak się nazywać?

– Tak, a co?

– Lepiej na niego uważaj. To prawdziwa żmija – poradził Kevinowi pan Delevan, po czym westchnął, jakby zdawał sobie sprawę, że pozostawił pytanie syna bez odpowiedzi. – Dziesięć procent. Takie były odsetki.

– Ale to przecież nie tak du...

– Tygodniowo – dodał pan Delevan.

Kevin siedział przez chwilę oniemiały.

– To przecież nielegalne! – wykrztusił w końcu.

– Masz rację – przyznał oschle pan Delevan. Spojrzał na wykrzywioną w grymasie niedowierzania twarz syna i nagle się roześmiał. – Tak to już jest na tym świecie – powiedział, klepiąc

go po ramieniu. – Wcześniej czy później wszystkich nas wpędzi do grobu.

– Ale...

– Nie ma żadnego „ale”. Takie były koszty pożyczki i miał pewność, że ją spłacę. Wiedziałem, że w walcowni w Oxfordzie zatrudniają robotników na drugą zmianę. Mówiłem ci, że przygotowałem się do przegranej, i wizyta u Papcia nie była jedyną rzeczą, którą wykonałem w ramach tych przygotowań. Odbyłem rozmowę z twoją matką i powiedziałem, że, być może, jakiś czas tam popracuję. Chciała mieć w końcu nowszy samochód, być może przeprowadzić się do lepszego mieszkania i odłożyć coś w banku na wypadek, gdybyśmy wpadli w kłopoty finansowe.

Pan Delevan znowu się roześmiał.

– Cóż, właśnie w nie wpadliśmy, choć ona nie miała o tym pojęcia, a ja byłem gotów zrobić wszystko, żeby się nie zorientowała. Nie wiedziałem, czy mi się uda, czy nie, ale byłem gotów na wszystko. Matka zdecydowanie się sprzeciwiała. Uznała, że zabiję się, tyrając po szesnaście godzin na dobę. Uważała, że walcownie są niebezpieczne, stale czyta się o tym, że ktoś stracił rękę lub nogę albo nawet został zmiażdżony na śmierć w tych walcarkach. Powiedziałem, żeby się nie martwiła, wezmę pracę w sortowni za minimalną stawkę, bezpieczną siedzącą pracę, a jeśli naprawdę nie będę dawał rady, po prostu sobie odpuszczę. Mimo to nadal była przeciwna. Wymyśliła, że sama pójdzie do pracy, ale jej to wyperswadowałem. To była ostatnia rzecz, jakiej bym chciał, rozumiesz.

Kevin pokiwał głową.

– Obiecałem jej, że odejdę stamtąd za pół roku, najpóźniej po ośmiu miesiącach. Pojechałem tam więc i mnie zatrudnili, ale wcale nie w sortowni. Dostałem pracę w głównej hali, gdzie wrzucałem surowiec do maszyny, która wyglądała jak zamontowana na olbrzymiej pralce wyżymaczka. Robota była niebezpieczna, co tu kryć; jeśli człowiek się poślizgnął albo nie uważał... a trudno było przez cały czas uważać, takie to było

monotonne... mógł stracić jakąś część ciała lub nawet życie. Widziałem raz, jak facet stracił rękę w zgniatarce, i nie chciałbym nigdy więcej zobaczyć czegoś podobnego. Wyglądało to tak, jakby ładunek dynamitu wybuchł w wypełnionej mięsem gumowej rękawiczce.

– Jasna cholera – mruknął Kevin. Rzadko kiedy odzywał się w ten sposób w obecności ojca, ale ten chyba nie zwrócił na to uwagi.

– Tak czy owak, dostawałem tam dwa dolary i osiemdziesiąt centów za godzinę, a po dwóch miesiącach podwyższyli mi stawkę do trzech dolarów i dziesięciu centów – powiedział pan Delevan. – To było prawdziwe piekło. Pracowałem przez cały dzień przy budowie drogi... na szczęście zaczynała się dopiero wiosna i nie było upałów... a potem pędziłem do walcowni, wyciskając ze starego forda ostatki sił, żeby się nie spóźnić. Zdejmowałem moje ubranie khaki, wskakiwałem w dżinsy i podkoszulek i od trzeciej do jedenastej obsługiwałem walcarkę. Wracalem do domu koło północy i najgorsze były te wieczory, kiedy twoja matka na mnie czekała, co robiła dwa albo trzy razy w tygodniu, a ja musiałem udawać wesołego i pełnego wigoru, podczas gdy w rzeczywistości trudno mi było przejść po prostej linii, taki byłem zmordowany. Ale gdyby to odkryła...

– Kazałaby ci przestać.

– Owszem. Tak właśnie by zrobiła. Więc udawałem wesołka, sypałem żarcikami na temat sortowni, w której nie pracowałem, i zastanawiałem się czasami, co będzie, jeśli wpadnie jej do głowy, żeby któregoś wieczoru pojechać tam i przywieźć mi gorącą kolację albo coś w tym rodzaju. Udawanie szło mi całkiem nieźle, ale chwilami musiała się czegoś domyślać, bo powtarzała mi, że jestem głupcem, zabijając się za takie grosze... i naprawdę było tego, co kot napłakał, po tym jak państwo i Papcio ściągnęli już swój haracz. Tyle rzeczywiście mógł zarobić ktoś pracujący za minimalną stawkę w sortowni. Wypłata była w środę po południu i zawsze pamiętałem, żeby zrealizować czek, zanim dziewczyny z banku poszły do domu. Twoja matka nigdy

żadnego z nich nie widziała. Po pierwszym tygodniu zapłaciłem Merrillowi pięćdziesiąt dolarów... czterdzieści to były odsetki, dziesięć zwrot kwoty zadłużenia, w wyniku czego zostało mi jeszcze trzysta dziewięćdziesiąt dolarów długu. Byłem jak żywy trup. Przy budowie drogi siadałem w czasie przerwy na lunch w samochodzie, zjadałem kanapkę i spałem do momentu, gdy brygadzysta zadzwonił na koniec fajrantu. Nienawidziłem tego dzwonka. Po drugim tygodniu zapłaciłem Merrillowi pięćdziesiąt dolarów: trzydzieści dziewięć odsetek i jedenaście kwoty zadłużenia. Nadal byłem mu winny trzysta siedemdziesiąt dziewięć dolarów. Czułem się jak ptaszek, który dziobiąc dziubkiem, próbuje zrównać z ziemią górę.

W trzecim tygodniu o mało nie wpadłem do zgniatarki i tak bardzo mnie to przeraziło, że przestałem przysypiać i przyszedł mi do głowy pewien pomysł, więc generalnie chyba dobrze się stało. Musiałem rzucić palenie. Nie rozumiałem, dlaczego wcześniej na to nie wpadłem. W tamtych czasach paczka papierosów kosztowała czterdzieści centów. Wypalałem dwie dziennie. Mogłem zaoszczędzić pięć dolarów i sześćdziesiąt centów tygodniowo! Co dwie godziny mieliśmy przerwę na papierosa i zobaczyłem, że w mojej paczce tarytonów mam dziesięć, może dwanaście fajek. Wypalałem te papierosy przez półtora tygodnia i nigdy już nie kupiłem następnej paczki. W pierwszym miesiącu nie miałem pewności, czy mi się uda. Bywały dni, kiedy budzik dzwonił o szóstej rano i wiedziałem, że nie dam rady. Musiałem tylko przyznać się Mary i przyjąć z pokorą to, co mnie czeka. Ale kiedy zaczął się drugi miesiąc, uznałem, że chyba sobie poradzę. Do dzisiaj uważam, że zaważyło na tym te dodatkowe pięć dolarów i sześćdziesiąt centów tygodniowo; to i te wszystkie butelki zwrotne po piwie i zimnych napojach, które zbierałem na poboczu drogi. Główna kwota zadłużenia stopniała do trzystu dolarów, a to oznaczało, że w miarę upływu czasu mogę ją zmniejszać o dwadzieścia pięć, dwadzieścia sześć dolarów tygodniowo. A potem, pod koniec kwietnia, skończyliśmy budować drogę i dostałem tygodniowy

płatny urlop. Powiedziałem Mary, że szykuję się do odejścia z walcowni. Chwała Bogu, odparła, i spędziłem ten wolny tydzień, pracując w walcowni, ile tylko się dało, bo płacili półtorej stawki. Nie miałem ani jednego wypadku. Widziałem je, byłem świadkiem, jak przytrafiają się ludziom o wiele bardziej rześkim i o wiele mniej sennym niż ja, ale mnie nigdy nic się nie stało. Pod koniec tamtego tygodnia zapłaciłem Merrilowi sto dolarów i złożyłem wypowiedzenie w walcowni. Mój dług zmniejszył się do tego stopnia, że mogłem go spłacać z normalnych zarobków i twoja matka w ogóle się nie zorientowała.

Pan Delevan głęboko westchnął.

– Teraz już wiesz, skąd znam Papcia Merrilla i dlaczego mu nie ufam. Spędziłem dziesięć tygodni w piekle, a on wycisnął ze mnie ostatnie poty tymi dziesięciodolarówkami, które z pewnością wyjął za jakiś czas z tej czy innej blaszanej puszki i przekazał kolejnemu frajerowi, komuś, kto wpakował się w podobne kłopoty jak ja.

– Kurczę, ale ty musisz go nienawidzić.

– Nie – odparł pan Delevan, wstając z ławki. – Nie nienawidzę jego i nie nienawidzę siebie. To była po prostu gorączka. Mogło być gorzej. Mogło się przez to rozwalić moje małżeństwo i ani ty, ani Meg nigdy byście się nie urodzili. Albo sam mogłem zginąć. Papcio Merrill okazał się skutecznym lekarstwem. Bolesnym, lecz skutecznym. Trudno tylko wybaczyć to, w jaki sposób to robił. Brał ode mnie każdego cholernego centa, zapisywał go w notesie, który trzymał w szufladzie pod kasą, patrzył na moje podkrążone oczy i zwisające luźno z bioder spodnie i nie mówił ani słowa.

Podeszli do Emporium Galorium z wymalowanym na szybie przykurzonym złotym napisem, który zbyt długo blakł w popołudniowym słońcu, i fałszywą fasadą, jednocześnie bezczelną i oczywistą. Polly Chalmers zamiatała obok swój kawałek chodnika i rozmawiała z Alanem Pangbornem, szeryfem hrabstwa. Wyglądała świeżo i młodo z włosami ściągniętymi w koński ogon, a on wyglądał dzielnie i młodo

w elegancko uprasowanym mundurze. Ale nie wszystko jest takie, jak się wydaje; wiedział o tym nawet piętnastoletni Kevin. Szeryf Pangborn stracił tej wiosny w wypadku samochodowym żonę i najmłodszego synka, a Kevin słyszał, że pani Chalmers, choć taka młoda, cierpi na ciężki artretyzm i w ciągu kilku lat może zostać kaleką. Nie wszystko jest takie, jak się wydaje. Pod wpływem tej myśli ponownie spojrzął na Emporium Galorium... a potem na swój urodzinowy aparat, który wciąż trzymał w ręku.

– Oddał mi nawet przysługę – mruknął pan Delevan. – Pomógł mi rzucić palenie. Ale mu nie ufam. Bądź w stosunku do niego ostrożny. I choćby nie wiem co, pozwól, że to ja będę z nim rozmawiał. Niewykluczone, że znam go teraz trochę lepiej.

Weszli zatem do rozbrzmiewającego tykaniem zegarów, zakurzonego wnętrza, gdzie czekał na nich przy drzwiach Papcio Merrill w okularach nasuniętych na łysą czaszkę i z kilkoma asami, które nadal trzymał w rękawie.

ROZDZIAŁ 6

– Proszę, oto jesteście, ojciec i syn – powiedział Papcio, uśmiechając się i przyglądając im się z podziwem. Jego oczy migotały wesoło zza kłębow dymu z fajki i przez chwilę, choć był gładko ogolony, wydał się Kevinowi podobny do Świętego Mikołaja. – Ma pan wspaniałego syna, panie Delevan. Wspaniałego.

– Wiem – odparł pan Delevan. – Nie spodobało mi się, kiedy usłyszałem, że się z panem zadaje, bo chcę, żeby taki pozostał.

– Przykro mi to słyszeć – wyznał z leciutką przyganą w głosie Papcio. – I to z ust człowieka, który nie mogąc zwrócić się do nikogo innego...

– Tamta sprawa jest zamknięta – uciał pan Delevan.

– Jasne, jasne, jeśli wolno mi tak powiedzieć.

– Ale ta jeszcze nie jest.

– Będzie – zapewnił go Papcio i wyciągnął rękę do Kevina, a ten podał mu aparat. – Będzie już dzisiaj – dodał stary, obracając go w rękach. – To ciekawe ustrojstwo. Jakiego rodzaju ustrojstwo, nie wiem, ale pański syn chce je rozwalić, bo uważa, że jest niebezpieczne. „Nie chcesz chyba, żeby twój tato uznał cię za cykora?”, powiedziałem mu i to jedyny powód, dla którego poprosiłem, żeby cię tu ściągnął, John...

– Wolałem, kiedy zwracał się pan do mnie „panie Delevan”.

– W porządku – odparł Papcio i westchnął. – Widzę, że nie ma pan zamiaru się rozpogodzić i zapomnieć o tym, co było.

– Nie.

Kevin spoglądał z niepokojem to na jednego, to na drugiego mężczyznę.

– Właściwie to nie ma znaczenia. – Zarówno twarz, jak i tembr głosu Papcia zaskakująco szybko stwardniały i nie wyglądał już wcale jak Święty Mikołaj. – Kiedy powiedziałem, że nie trzeba wracać do przeszłości i że co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr, mówiłem serio... Chyba że ma to wpływ na to, co ludzie robią tu i teraz. Ale powiem jedno, panie Delevan: nie zaglądam ludziom w karty i dobrze pan o tym wie.

Wygłosił to imponujące kłamstwo z takim spokojem, że obaj w nie uwierzyli, i choć może się to wydać nieprawdopodobne, pan Delevan nawet trochę się zawstydził.

– Tamta sprawa była tylko między nami. Powiedział mi pan, czego potrzebuje, ja powiedziałem, czego chcę w zamian, dał mi to pan i na tym się to skończyło. Tu mamy inną sytuację – powiedział Papcio i wygłosił kolejne, jeszcze bardziej imponujące kłamstwo, kłamstwo tak gigantyczne, że po prostu trzeba było w nie uwierzyć. – Nic na tym nie skorzystam, panie Delevan. Chcę tylko pomóc pańskiemu synowi. Lubię go.

Papcio uśmiechnął się i Święty Mikołaj pojawił się z powrotem tak szybko i wyraźnie, że Kevin w ogóle zapomniał, że przez chwilę go nie było. Nie tylko to: John Delevan, który przez długie miesiące tyrał jak dziki i o mało nie zginął zgnieciony przez walcarkę, by zapłacić cenę, której ten człowiek domagał się od niego w ramach pokuty za chwilę szaleństwa... John Delevan również zapomniał o tym drugim obliczu Papcia.

Ten, mijając tykające zegary, poprowadził ich slalomem przez przesycone zapachem starych czasopism wnętrza i odłożył niedbałym ruchem aparat na stół roboczy nieco zbyt blisko jego krawędzi (podobnie jak zrobił to we własnym domu Kevin po pstryknięciu tamtego pierwszego zdjęcia), następnie zaś podszedł prosto do schodów, które prowadziły na górę, do jego małego mieszkania. Obok schodów opierało się o ścianę zakurzone stare lustro i Papcio spojrział w nie, by się upewnić, czy chłopiec albo jego ojciec nie zabiorą aparatu lub nie odsuną go dalej od krawędzi. Nie sądził, by którykolwiek z nich to zrobił, ale było to możliwe.

Zerknęli na aparat tylko przelotnie i na ustach prowadzącego ich na górę wąskimi schodkami Papcia ukazał się uśmiech, którego lepiej było nie oglądać. Jestem dobry, do diabła! – pomyślał, po czym otworzył drzwi i weszli do mieszkania.

...

Ani John, ani Kevin Delevan nie byli nigdy w prywatnych pomieszczeniach Papcia i John nie znał nikogo, kto zostałby tam zaproszony. Nie powinno to raczej dziwić; nikt nie nosił się nigdy z zamiarem nominowania Papcia na pierwszego obywatela miasta. Johnowi przemknęło przez myśl, że nie jest wykluczone, iż stary pierdziel ma jednak kilku przyjaciół – na świecie zdarzają się dziwniejsze rzeczy – ale nawet jeśli tak było, nie miał pojęcia, co to za jedni.

Natomiast Kevin myślał przez chwilę o swoim ulubionym nauczycielu, panu Bakerze. Zastanawiał się, czy on też nie wpadł kiedyś w kłopoty, z których mógł go wybawić tylko facet pokroju Papcia. Wydawało mu się to równie nieprawdopodobne, jak jego ojcu posiadanie przyjaciół przez Papcia... Lecz przecież zaledwie przed godziną nie wyobrażał sobie, że jego własny tato...

Nieważne. Lepiej było o tym nie myśleć.

Papcio rzeczywiście miał jednego albo dwóch przyjaciół (a w każdym razie znajomych), ale ich tu nie zapraszał. Nie miał takiego zamiaru. To była jego twierdza, miejsce, które odsłaniało prawdziwe oblicze gospodarza bardziej, niżby tego chciał. Miejsce, które chciało wyglądać schludnie, ale któremu nijak się to nie udawało. Widniejące na tapecie zacieki nie były po oczach, ale były brązowe i skryte niczym upiorne myśli dręczące niespokojne umysły. W staroświeckim zlewozmywaku leżały talerze z pozasychanymi resztkami jedzenia i chociaż stół był czysty, a kosz na śmieci przykryty pokrywką, w powietrzu unosił się prawie niezauważalny zapach sardynek i czegoś jeszcze – być może niemytych stóp. Odór tak samo zakonspirowany jak zacieki na ścianach.

Salon był maciupeńki. Tutaj nie śmierdziało sardynkami i (być może) niemytymi stopami, lecz starym dymem z fajki. Z okien rozpościerał się widok na mało malowniczą alejkę, która biegła na tyłach Mulberry Street, i choć szyby nosiły ślady mycia – a przynajmniej przecierania – to osiadający przez długie lata dym pozostawił w ich rogach warstwę lepkiego brudu. Miało się wrażenie, że wszędzie pod spłowiałymi pozaginаныmi dywanikami i za staroświeckim zwalistym fotelem i kanapą pozamiatane są i pochowane jakieś paskudztwa. Oba meble miały jasnozielony kolor i choć chciałoby się powiedzieć, że do siebie pasują, było to niemożliwe, ponieważ nie pasowały. Nie do końca.

Jedynymi nowymi rzeczami w salonie były duży dwudziestopięciocalowy telewizor Mitsubishi i stojący przy nim na niskim stoliku magnetowid. Po lewej stronie stolika stał regał, który przyciągnął wzrok Kevina, ponieważ był całkowicie pusty. Papcio uznał, że na czas wizyty lepiej będzie schować do szafy ponad siedemdziesiąt posiadanych przez niego pornosów.

Na telewizorze leżała jedna kasetka wideo w nieopisanym pudełku.

– Siadajcie. – Papcio wskazał powybrzuszaną kanapę, po czym podszedł do telewizora i wyjął kasetę z pudełka.

Pan Delevan przez chwilę z powątpiewaniem przyglądał się kanapie, jakby obawiał się, że może być zapchlona, i w końcu ostrożnie na niej usiadł. Kevin przycupnął obok niego. Strach powrócił, silniejszy niż wcześniej.

Papcio włączył magnetowid i wsunął do niego kasetę.

– Znam w mieście pewnego faceta – zaczął (dla mieszkańców Castle Rock i sąsiednich miejscowości miasto zawsze oznaczało Lewiston) – który od jakichś dwudziestu lat prowadzi sklep fotograficzny. Zainteresował się kasetami wideo, kiedy tylko pojawiły się na rynku, twierdził, że mają przyszłość. Chciał, żebym wszedł z nim do spółki, ale uznałem, że go pogięło. Cóż, w tym przypadku nie miałem racji, jeśli wolno mi tak powiedzieć, ale...

– Do rzeczy – przerwał mu ojciec Kevina.

– Właśnie próbuję to zrobić – odparł urażonym tonem Papcio, wybałuszając oczy. – Jeśli mi pozwolicie.

Kevin szturchnął lekko ojca w bok i pan Delevan już się nie odzywał.

– Tak czy owak, kilka lat temu mój znajomy odkrył, że wypożyczanie kaset ludziom, żeby je oglądali, to tylko jeden ze sposobów zarabiania pieniędzy na tych gadżetach. Jeśli zainwestuje się marne osiemset dolarów, można brać od ludzi filmy, a także zdjęcia i przegrywać je na kasetę. O wiele łatwiej je wtedy oglądać.

Kevin mimowolnie odchrząknął i Papcio uśmiechnął się i pokiwał głową.

– No właśnie. Zrobiłeś pięćdziesiąt osiem zdjęć tym swoim aparatem i wszyscy zauważyliśmy, że każde różniło się trochę od poprzedniego. Wiedzieliśmy chyba, co to oznacza, ale chciałem się o tym przekonać na własne oczy. Nie trzeba być niewiernym Tomaszem, żeby chcieć zobaczyć coś na własne oczy, jeśli wolno mi tak powiedzieć.

– Próbował pan nakręcić film z tych fotek? – zapytał pan Delevan.

– Nie próbowałem – odparł Papcio. – Nakręciłem go. A właściwie zrobił to ten mój znajomy w mieście. Ale to był mój pomysł.

– To jest film? – zapytał Kevin. Zrozumiał, co takiego wymyślił Papcio, i żałował nawet trochę, że sam na to nie wpadł, ale przede wszystkim wprowadził go w zdumienie (i zachwyt) ten pomysł.

– Zobaczcie sami. – Papcio włączył telewizor. – Pięćdziesiąt osiem zdjęć. Kiedy ten facet nagrywa fotografie swoim klientom, pokazuje zwykle każdą z nich przez pięć sekund... to dość długo, twierdzi, żeby dobrze się każdej przyjrzeć, i nie dość długo, żeby się znudzić, zanim pokaże się następna. Powiedziałem, że chcę, by każde z tych zdjęć widać było tylko przez sekundę i żeby nie było między nimi ściemnień.

Kevin przypomniał sobie coś, w co bawił się w podstawówce, kiedy skończyła się jakaś lekcja i miał chwilę czasu przed następną. Miał wtedy mały tani notesik, który nosił nazwę Rain-Bo-Skool-Pad, Tęczowy Bloczek, bo składał się najpierw z trzydziestu małych żółtych karteczek, potem z trzydziestu różowych, potem trzydziestu zielonych i tak dalej. Żeby się w to bawić, trzeba było zacząć od ostatniej karteczki i narysować na niej podnoszącego ręce ludzika w workowatych szortach. Na następnej kartce rysowało się takiego samego ludzika w takich samych szortach, tyle że tym razem jego ręce podniesione były trochę wyżej. I tak dalej na każdej kartce, aż ręce stykały się nad głową ludzika. Wtedy, jeśli miało się jeszcze trochę czasu, rysowało się go dalej, tyle że teraz z obniżającymi się rękami. A potem, przewracając bardzo szybko kartki, otrzymywało się prymitywny rodzaj kreskówki pokazującej boksera, który cieszy się ze zwycięstwa przez nokaut: podnosi ręce nad głowę, klaszcze, potrząsa nimi i w końcu opuszcza.

Kevin zadrżał. Ojciec spojrzał na niego.

– Nic mi nie jest – powiedział chłopak, kręcąc głową.

– Więc jeśli wolno mi tak powiedzieć, film będzie trwał tylko minutę – oświadczył Papcio. – Musicie uważnie patrzeć. Gotowi?

Nie, pomyślał Kevin.

– Chyba tak – powiedział pan Delevan. Nadal starał się sprawiać wrażenie gderliwego malkontenta, ale Kevin widział, że nie jest w stanie ukryć zainteresowania.

– Świetnie – mruknął Papcio Merrill i wcisnął przycisk PLAY.

...

Kevin powtarzał sobie bez przerwy, że głupio jest się bać, ale nic mu to nie pomogło.

Wiedział, co zobaczy, bo razem z Meg już wcześniej zauważyli, że polaroid nie reprodukuje stale niczym fotokopiarka tego samego obrazu. Już po krótkim czasie zorientowali się, że zdjęcia pokazują kolejne fazy ruchu.

– Popatrz – powiedziała Meg. – Ten pies się porusza!

Zamiast zareagować kolejnym przyjaznym, lecz irytującym docinkiem, jakim kwitował na ogół rewelacje młodszej siostry, Kevin był gotów się z nią zgodzić.

– Na to wygląda... – mruknął. – Ale nie można tego powiedzieć na pewno, Meg.

– Owszem, można – odparła.

Siedzieli w jego pokoju, Kevin przyglądał się ponuro aparatowi. Polaroid leżał pośrodku biurka obok odsuniętych na bok nowych podręczników, które miał zamiar obłożyć. Meg wygięła pałąk biurkowej lampy tak, żeby padające z niej światło utworzyło jasny krąg na środku podkładki. Odsunęła aparat na bok i położyła tam pierwsze zdjęcie, to z plamą lukru.

– Policz paliki między zadem psa i prawym brzegiem fotografii – powiedziała.

– To są sztachety, a nie paliki – sprostował.

– Nieważne. Policz je.

Kevin zrobił to. Widział cztery i część piątej, choć tę ostatnią zasłaniał prawie w całości zad psa.

– A teraz popatrz na to zdjęcie – poleciała Meg, pokazując mu czwartą fotografię. Teraz widział całą piątą sztachtę i część szóstej.

Wiedział zatem – a w każdym razie spodziewał się – że zobaczy coś podobnego do starego filmu animowanego i kreskówek, w które bawił się w podstawówce, kiedy dłużył mu się czas.

Ostatnie dwadzieścia pięć sekund taśmy rzeczywiście mogło to przypominać, choć, zdaniem Kevina, kreskówki, które rysował w drugiej klasie, były, prawdę mówiąc, lepsze... Bokser podnoszący i opuszczający ręce robił to w bardziej płynny sposób. Na ostatnich dwudziestu pięciu sekundach taśmy ruch odbywał się skokami i szarpnięciami, przy których dawne nieme filmiki z serii Keystone Kops mogły się wydawać arcydziełami współczesnej kinematografii.

Mimo to mieli do czynienia z ruchomymi obrazami i obserwowali je wszyscy – nawet Papcio – naprawdę urzeczeni. Obejrzeliby trwający minutę filmik trzy razy, nie odzywając się ani słowem. Słysząc było tylko ich oddechy: szybki i płytki Kevina, trochę głębszy jego ojca i lekko rżący Papcia, któremu flegma spływała do zapadniętej klatki piersiowej.

Natomiast pierwsze pół minuty...

Kevin spodziewał się chyba ruchu; ruch widać było na karteczkowej animacji i na wyświetlanych w sobotę rano filmach rysunkowych, które były tylko trochę ulepszoną formą tej pierwszej. Nie spodziewał się jednak, że pierwsze pół minuty taśmy nie będzie w ogóle przypominało tego, co widział, gdy przewracał szybko kartki notesu, ani nawet prymitywnych telewizyjnych kreskówek w rodzaju *Possible Possum*; w ciągu pierwszych trzydziestu sekund (dokładnie rzecz biorąc, dwudziestu ośmiu) jego pojedyncze polaroidowe zdjęcia wyglądały niczym prawdziwy film. Oczywiście nie jakiś hollywoodzki hit ani nawet niskobudżetowy horror z rodzaju tych, które wypożyczał czasami na prośbę Megan i puszczał na ich własnym magnetowidzie, kiedy rodzice wychodzili wieczorem na miasto; bardziej przypominało to fragment amatorskiego filmu zrobionego przez kogoś, kto dostał właśnie ośmiomilimetrową kamerę i nie nauczył się nią jeszcze dobrze posługiwać.

Na tych pierwszych dwudziestu ośmiu sekundach taśmy widać było, jak czarny kundel idzie prawie płynnie wzdłuż płotu, odsłaniając pięć, sześć, siedem sztachet. W pewnym momencie zatrzymał się nawet, żeby obwąchać jedną z nich i odczytać kolejny z psich telegramów. Następnie ruszył dalej z opuszczoną głową, zbliżając się do płotu i odwracając zadem do aparatu. I w połowie tej pierwszej części Kevin zauważył coś, czego nie dostrzegł wcześniej: fotograf najwyraźniej przesunął aparat, żeby nadal mieć psa w kadrze. Gdyby tego nie zrobił, pies wyszedłby po prostu z fotografii, zostawiając na niej sam płot. Sztachety widoczne na pierwszych dwóch albo trzech zdjęciach

z prawej strony zniknęły i na ich miejscu pojawiły się nowe sztachety z lewej. Można było to poznać, ponieważ szczyt jednej z dwóch wysuniętych najbardziej w prawo był złamany. Teraz nie było jej już w kadrze.

Pies zaczął znowu węszyć... a potem podniósł łeb. Jego zdrowe ucho wyprostowało się; to uszkodzone w jakiejś dawnej walce próbowało zrobić to samo. Nie było fonii, ale Kevin wiedział ponad wszelką wątpliwość, że pies zaczął warczeć. Coś albo kogoś wyczuł. Co albo kogo?

Spojrzał na cień, który uznali z początku za cień gałęzi albo słupa telefonicznego, i nagle się tego domyślił.

Łeb psa powoli się obrócił... i w tym momencie zaczęła się druga część tego dziwnego „filmu”, trzydzieści sekund szarpanej akcji, od której bolały oczy i głowa. Zdaniem Kevina, Papcio przewidział to, być może, nawet przeczytał wcześniej coś na ten temat. Tak czy owak, jego oczekiwania się potwierdziły i były zbyt oczywiste, by o tym mówić. Gdy zdjęcia robiono wprawdzie nie jedno po drugim, ale w krótkich odstępach czasowych, ruchome obrazy były prawie płynne. Nie do końca, ale prawie. Jednak kiedy czas między robieniem kolejnych fotografii się wydłużył, to, co widzieli, przyprawiało o mdłości, ponieważ oko chciało zobaczyć albo normalny film, albo szereg nieruchomych zdjęć, a nie widziało ani jednego, ani drugiego.

W tym płaskim polaroidowym świecie czas płynął do przodu. Nie w takim samym tempie, w jakim płynął w tym (prawdziwym?),

wówczas bowiem słońce zaszłoby już (albo wzeszło) trzy razy i cokolwiek zamierzał zrobić ten pies, byłoby już zrobione (zakładając, że w ogóle miał coś do zrobienia), a jeśli nie, po prostu by zniknął i na zdjęciu zostałyby tylko nieruchome i od dawna podniszczone sztachety płotu, strzegące nieciekawego trawnika. Ale czas tam płynął.

Łeb psa obracał się w stronę fotografa – tego, który rzucał cień – zupełnie jakby zwierzę wpadało w złość; jeszcze chwilę wcześniej pysk zasłonięty był przez opadające ucho, a potem

nagle ukazało się brązowo-czarne oko osadzone w okrągłej i nieco mętnej otoczce, która przypominała Kevinowi białko zepsutego jajka. Następnie zobaczył pół pyska z lekko ściągniętymi wargami, jakby pies szykował się, by zawarczeć lub zaszczekać, a na samym końcu trzy czwarte pyska, bardziej przerażające, niż ma prawo być pysk jakiegokolwiek psa, nawet bardzo złego. Siwa sierść przy mordzie sugerowała, że zwierzę nie jest już młode. W ostatnim momencie taśmy widać było, że rzeczywiście ściągnęło wargi i błysnęło między nimi coś białego, co Kevin uznał za kiel. Zobaczył to dopiero, gdy taśma została puszczona po raz trzeci. Jego uwagę przyciągnęło oko. Oko zabójcy. Widać było, że kundel jest bezpański. I że jest bezimienny; Kevin nie miał co do tego wątpliwości. Wiedział, że żaden polaroidowy mężczyzna, polaroidowa kobieta i polaroidowe dziecko nie nadało temu polaroidowemu psu imienia; to był przybłęda, który urodził się jako przybłęda, dorastał jako przybłęda i jako przybłęda się zestarzał: awatar wszystkich nienazwanych i bezdomnych psów, które kiedykolwiek przemierzały świat, zabijając kurczaki, wyjadając jedzenie ze śmietników (które dawno temu nauczyły się przewracać), śpiąc w przepustach i pod werandami opuszczonych domów. Nie był zbyt bystry, ale instynkt miał wyostrzony i krwawy. Mógł...

Kiedy Papcio Merrill się odezwał, Kevin był tak głęboko zaabsorbowany tym, co widział na ekranie, że o mało nie krzyknął.

– Człowiek, który zrobił te zdjęcia... o ile to w ogóle był człowiek, jeśli wolno mi tak powiedzieć... Co, waszym zdaniem, się z nim stało?

Papcio zatrzymał ostatnie zdjęcie pilotem. Przez ekran przebiegła linia zakłóceń. Kevin żałował, że nie przecina oka psa, ale była niżej. To oko gapiło się na nich, złowrogie, kretyńsko mordercze – nie, nie kretyńsko, nie do końca i właśnie to sprawiało, że było nie tylko straszne, ale przerażające – i nikt nie musiał odpowiadać na pytanie Papcia. Nie trzeba było więcej

zdjęć, żeby wiedzieć, co się zaraz zdarzy. Pies chyba coś usłyszał; oczywiście, że usłyszał, Kevin miał co do tego pewność. Usłyszał ciche lepkie cmokanie.

Następne zdjęcia pokażą, jak nadal się odwraca, a potem wypełnia coraz większą część każdego kadru, aż nie będzie na nich widać nic oprócz psa – żadnego zachwaszczonego trawnika, żadnego płotu, chodnika i cienia. Tylko pies.

Który miał zamiar zaatakować.

Który miał zamiar zabić, jeśli tylko zdoła.

– Chyba nie lubi, jak ktoś robi mu zdjęcia – zauważył Kevin, mając wrażenie, że jego głos wydobywa się z cudzego gardła.

Papcio parsknął śmiechem i zabrzmiało to tak, jakby ktoś łamał kolanem wiązkę chrustu na opał.

– Niech pan to cofnie – powiedział pan Delevan.

– Chce pan obejrzeć wszystko od początku?

– Nie. Tylko ostatnie dziesięć sekund.

Papcio cofnął pilotem taśmę i puścił ją ponownie. Pies obracał pysk krótkimi szarpnięciami niczym robot, który choć stary i zużyty, nadal jest niebezpieczny. Kevin chciał im powiedzieć: „Przestańcie. Dostyc tego. Po prostu przestańcie i zniszczmy ten aparat”. Ponieważ było coś jeszcze. Coś, o czym nie miał ochoty myśleć, ale wkrótce będzie musiał, czy tego chce, czy nie chce; czuł, jak to coś wynurza się w jego umyśle niczym szeroki grzbiet wieloryba.

– Jeszcze raz – rzucił ojcu. – Tym razem zdjęcie po zdjęciu. Może pan tak to puścić?

– No jasne – zapiał Papcio. – Ta cholerna maszyna potrafi robić wszystko z wyjątkiem prania.

Tym razem klatka po klatce, zdjęcie po zdjęciu. Teraz pies nie poruszał się jak robot, nie całkiem jak robot, ale jak jakiś dziwny zegar, jeden z eksponatów Papcia z dołu. Cyk. Cyk. Cyk. Wkrótce spojrzą znów w to bezlitosne, nie całkiem kretyńskie oko.

– Co to jest? – zapytał nagle pan Delevan.

– Gdzie? – rzucił Papcio, jakby nie wiedział, że chodzi o coś, o czym chłopak nie chciał mówić kilka dni wcześniej, o coś, co,

był tego pewien, przekonało go, że należy raz na zawsze zniszczyć aparat.

– Pod jego szyją – powiedział pan Delevan, pokazując palcem.
– Nie ma obroży ani identyfikatora, ale coś wisi na jego szyi na sznurku albo cienkiej lince.

– Nie wiem – odparł z niezmaconym spokojem Papcio. – Może pański syn wie. Młodzi mają lepszy wzrok od nas starych.

Pan Delevan spojrział na Kevina.

– Poznajesz to? – zapytał.

– Ja... – zaczął chłopiec i umilkł. – To jest bardzo małe.

Myślnami wrócił do tego, co powiedział mu ojciec, gdy wychodzili z domu. „Jeśli nigdy cię nie zapyta, nie będziesz musiał jej mówić... Tak to właśnie załatwiamy w świecie dorosłych”. A teraz zapytał, czy wie, czym jest ta rzecz pod szyją psa. Tak naprawdę Kevin nie odpowiedział wprost na jego pytanie; powiedział coś zupełnie innego. „To jest bardzo małe”. I rzeczywiście było małe. Tyle że on dobrze wiedział, co to takiego...

Jak nazwał to ojciec? Niebezpiecznym zbliżaniem się do granicy kłamstwa?

Właściwie dobrze tego nie widział. Ale wiedział, co to takiego. Oko tylko sugerowało; serce rozumiało. Tak samo jak rozumiało, że jeśli to prawda, aparat musi zostać zniszczony. Bezwzględnie.

W tym momencie ich gospodarzowi przyszedł do głowy świetny pomysł. Wstał i wyłączył telewizor.

– Zostawiłem zdjęcia na dole – powiedział. – Zabrałem je razem z taśmą. Przyglądałem się tej rzeczy przez szkło powiększające, ale nie mogłem jej rozpoznać... choć, do licha, wygląda znajomo. Zejdę tylko na dół po zdjęcia i po lupę.

– Możemy iść razem z panem! – zawołał Kevin i była to ostatnia rzecz, jakiej życzyłby sobie Papcio, ale w tym momencie, dzięki Bogu, wtrącił się pan Delevan i oznajmił, że chętnie obejrzy jeszcze raz taśmę po tym, jak przyjrzą się paru ostatnim zdjęciom przez szkło powiększające.

– To zajmie tylko chwilkę – rzekł Papcio i zanim którykolwiek z jego gości zdążył pomyśleć o tym, żeby zaprotestować, pomknął dziarsko na dół niczym ptaszek skaczący po gałązkach jabłoni.

Kevin nie zdążył o tym pomyśleć, bo w jego umyśle wynurzyła właśnie swój monstrualny grzbiet tamta inna myśl i chcąc nie chcąc, musiał ją przeanalizować.

Myśl była prosta jak grzbiet wieloryba – przynajmniej dla ludzi, którzy nie zajmują się zawodowo ich badaniem – i w podobny sposób kolosalna.

Właściwie nie była to myśl, lecz pewność. Wiązała się z tą dziwną płaskością, którą odznaczały się polaroidowe zdjęcia, z tym, że pokazywały przedmioty wyłącznie w dwóch wymiarach. Oczywiście dzieje się tak w przypadku wszystkich fotografii, ale te inne, nawet zrobione tak prostym aparatem jak Kodak 110, sugerują przynajmniej istnienie trzeciego wymiaru.

Natomiast przedmioty na jego fotografiach, pokazujących zresztą coś, czego ani razu nie zobaczył w wizjerze aparatu, były właśnie takie: płaskie, nieubłagane dwuwymiarowe.

Z wyjątkiem psa.

Pies nie był płaski. Pies nie był nieważny, nie był czymś, co się rozpoznaje, ale co nie wywołuje żadnych emocji. Pies nie tylko sugerował trzeci wymiar, ale naprawdę go posiadał, w podobny sposób, w jaki mają je hologramy albo filmy trójwymiarowe, do których oglądania używa się specjalnych okularów, nakładających na siebie podwójne obrazy.

To nie jest polaroidowy pies, pomyślał Kevin. Nie należy do świata, którego fotografie robi ten aparat. To szalona myśl, wiem o tym, ale taka jest prawda. Więc co to może oznaczać? Dlaczego mój aparat robi bez przerwy jego zdjęcia... i jaki polaroidowy mężczyzna albo polaroidowa kobieta naciska migawkę? Czy on albo ona w ogóle go widzi? Skoro to jest trójwymiarowy pies w dwuwymiarowym świecie, być może, on lub ona go nie widzi... nie może go widzieć. Mówią, że dla nas czas jest czwartym wymiarem i wiemy, że istnieje, ale go nie widzimy. Tak naprawdę nie czujemy nawet, jak upływa, choć czasami,

zwłaszcza kiedy nam się nudzi, wygląda na to, że chyba potrafimy to odczuć.

Ale szczerze mówiąc, wszystko to mogło nie mieć żadnego znaczenia i, tak czy owak, te pytania były dla niego za trudne. Istniały inne kwestie, które wydawały mu się ważniejsze, żywotne kwestie, być może nawet kwestie życia i śmierci.

Na przykład dlaczego ten pies był w jego aparacie?

Czy chciał czegoś właśnie od niego, czy od kogokolwiek? Z początku Kevin myślał, że chodzi o kogokolwiek, że może to być ktokolwiek, bo każdy mógł przecież robić te zdjęcia i za każdym razem pies przesuwał się dalej. Ale ta rzecz na jego szyi, ta rzecz, która nie była obrozą... wiązała się z nim, z Kevinem Delevanem, i z nikim innym. Czy pies chciał coś zrobić jemu? Jeśli odpowiedź na to pytanie brzmiała „tak”, można było sobie darować całą resztę, bo było cholernie jasne, czego chciał ten pies. Było to widać po jego posępnym oku i po kłach, które zaczynał szczyrzyć. Zdaniem Kevina, chodziło mu o dwie rzeczy.

Po pierwsze: uciec.

Po drugie: zabić.

Jest tam jakiś fotograf z aparatem, który, być może, nie widzi nawet tego psa, myślał Kevin. I skoro go nie widzi, możliwe, że pies nie widzi fotografa i ten jest bezpieczny. Ale jeżeli pies jest naprawdę trójwymiarowy, niewykluczone, że widzi to, co jest na zewnątrz... widzi każdego, kto używa mojego aparatu. Może to nie jestem ja albo niekoniecznie ja; może celem jest każdy, kto używa tego aparatu.

Ale był przecież ten przedmiot, który pies miał zawieszony na szyi. Jak to wytłumaczyć?

Pomyślał o ciemnych oczach kundla, którego można by uznać za kompletnie pozbawionego inteligencji, gdyby nie widoczne w nich złośliwe iskierki. Bóg jeden wiedział, jak ten pies w ogóle dostał się do polaroidowego świata, ale kiedy pstrykano mu zdjęcie, widział, co jest na zewnątrz, chciał się stamtąd wydostać i – Kevin wierzył w to z całego serca – zabić w pierwszej kolejności jego. Świadczyło o tym to coś, co miał na szyi; to coś

dowodziło, że jego chciał zabić w pierwszej kolejności. Ale co potem?

No cóż, po Kevinie mógł zabić każdego.

Absolutnie każdego.

W jakiś sposób było to podobne do jednej z tych gier, w które bawiliście się w dzieciństwie. Coś w rodzaju Kroku Olbrzyma. Pies szedł wzdłuż płotu. Nagle usłyszał odgłos robionego zdjęcia, to ciche lepkie cmoknięcie. Obrócił się i zobaczył... co? Swoją własny świat lub wszechświat? Świat lub wszechświat wystarczająco podobny do jego własnego, by uznał, iż może tam żyć i polować? To nie miało znaczenia. Teraz za każdym razem, gdy ktoś robi mu zdjęcie, pies będzie się zbliżał. Coraz bardziej i bardziej, aż... No właśnie, aż co? Aż jakoś się wydostanie?

– To głupota – mruknął Kevin. – Nigdy się nie wydostanie.

– Co takiego? – zapytał ojciec, który ocknął się z własnej zadumy.

– Nic. Mówiłem tylko do siebie.

I w tym momencie usłyszeli z dołu stłumiony, lecz wyraźny krzyk Papcia Merrilla, w którym zabrzmiały złość, konsternacja i zdumienie.

– Do stu tysięcy beczek z prochem! Niech to szlag!

Kevin i jego ojciec wymienili zaskoczone spojrzenia.

– Chodźmy zobaczyć, co się stało – powiedział pan Delevan i wstał. – Mam nadzieję, że nie upadł i nie złamał sobie ręki albo czegoś innego. To znaczy, w jakiejś mierze wcale by mnie to nie zmartwiło, ale... sam rozumiesz.

A może robił tam zdjęcia, pomyślał Kevin. Może na dole jest ten pies?

W głosie starego nie słyhać było jednak strachu i oczywiście nie było mowy o tym, żeby pies o rozmiarach przeciętnego owczarka niemieckiego mógł wyleźć z aparatu wielkości Sun 660 albo z jednej z odbitek. Równie dobrze można by próbować przeciągnąć pralkę przez dziurę po sęku.

Mimo to, schodząc za ojcem po schodach do mrocznego sklepu ze starzyzną, Kevin bał się za nich dwóch – a właściwie za

nich trzech.

...

Zbiegając po stopniach, Papcio Merrill był szczęśliwy jak krewetka podczas przyływu.

Gdyby nie dało się inaczej, był gotów podmienić aparaty w ich obecności. Mogłoby mu to przysporzyć pewnych problemów, gdyby miał do czynienia tylko z chłopcem, którego kilka lat dzieliło jeszcze od przekonania, że pozjadał wszystkie rozumy, ale co się tyczy jego ojca... Wyprowadzenie w pole tego szlachetnego osobnika nie byłoby trudniejsze od zwędenia butelki mleka niemowlakowi. Czy powiedział chłopcu o szambie, w jakie wpadł przed laty? Sądząc po tym, jak syn na niego patrzył – w nowy ostrożny sposób – chyba to zrobił. I co jeszcze opowiedział ojciec synowi? Pomyślmy. *Pozwolił, żebyś zwracał się do niego per „Papcio”?* To znaczy, że ma zamiar wyciąć ci jakiś numer. To na początek. A na dokładkę: *To chytra żmija, która czai się w trawie.* I oczywiście na koniec najważniejsze: *Pozwól, że to ja będę trzymał gadkę. Znam go lepiej od ciebie. Po prostu pozwól, że to za ciebie załatwię.* Ludzie pokroju Johna Delevana byli dla Papcia Merrilla tym samym, czym dla niektórych jest pieczony kurczak – smacznym, soczystym mięskiem, łatwo odchodzącym od kości. Wtedy przed laty Delevan miał jeszcze mleko pod wąsem i nigdy do końca nie zrozumiał, że to nie Papcio, lecz on sam założył sobie stryczek na szyję. Facet mógł pójść do żony, a ta zwróciłaby się do swojej starej ciotki, która spała na materacu wypchanym studolarowymi banknotami. Delevan zostałby na jakiś czas odstawiony na boczny tor, lecz w końcu darowano by mu winę. Lecz on nie tylko nie ocenił sytuacji w ten sposób, ale w ogóle nie starał się jej oceniać. A teraz wyłącznie dlatego, że minęło trochę durnego czasu, który przychodzi i odchodzi bez niczyjej pomocy, wydawało mu się, że wie wszystko, co trzeba wiedzieć o Reginaldzie Marionie Merrilla.

Co właściwie Papciowi bardzo odpowiadało.

W gruncie rzeczy mógł podmienić aparaty na oczach Delevana i ten nawet by tego nie zauważył – tak bardzo był pewien, że udało mu się rozgryźć starego Papcia.

Lecz tak było lepiej.

Nigdy nie zaprasza się Pani Fortuny na randkę – ma zwyczaj wystawiać facetów do wiatru właśnie wtedy, kiedy najbardziej jej potrzebują. Ale jeżeli zjawia się niezapowiedziana... Cóż, wtedy mądrze jest rzucić wszystko, co się akurat robiło, zabrać ją na miasto, nakarmić i napoić najhojniej, jak to możliwe. Ta suka zawsze daje dupy, kiedy się ją dobrze potraktuje.

Papcio podszedł więc szybko do swojego stołu roboczego, pochylił się i wyciągnął spod niego schowany w półmroku aparat z rozbitym obiektywem. Położył go na blacie, wyłowił z kieszeni kółko z kluczami (oglądając się szybko przez ramię, żeby sprawdzić, czy żaden z nich nie zdecydował się jednak zejść na dół) i wybrał mały kluczyk otwierający szufladę, która znajdowała się pod lewą połową stołu. Miał tam kilka złotych krugerrandów, klaser, w którym najmniej wartościowy znaczek w ostatnim katalogu Scotta był wyceniany na sześćset dolarów, wartość mniej więcej dziewiętnaście tysięcy dolarów kolekcję monet, dwa tuziny błyszczących zdjęć przedstawiających kobietę z zamglonymi oczami uprawiającą seks z kucykiem szetlandzkim oraz gotówkę w kwocie ponad dwóch tysięcy dolarów.

Gotówka, którą trzymał w blaszanych puszkach, służyła do udzielania pożyczek. John Delevan mógłby pewnie rozpoznać banknoty. Same pogniecione dziesiątki.

Papcio włożył aparat Kevina do szuflady, zamknął ją, schował klucze z powrotem do kieszeni, następnie zaś zrzucił (ponownie) aparat z rozbitym obiektywem z krawędzi stołu.

– Do stu tysięcy beczek z prochem! Niech to szlag! – zawołał dość głośno, by go usłyszeli.

Następnie przybrał odpowiednio przygnębioną i smutną minę i czekał, aż zbiegną na dół, żeby zobaczyć, co się wydarzyło.

– Papciu?! – zawołał Kevin. – Panie Merrill?! Dobrze się pan czuje?!

– Jasne – odparł Papcio. – Nic mi się nie stało, ucierpiała tylko moja cholerna duma. Ten aparat po prostu przynosi pecha. Pochyliłem się, żeby otworzyć szufladę z narzędziami, jeśli wolno mi tak powiedzieć, i strąciłem to cholerstwo na podłogę. Tyle że tym razem nie skończyło się tak dobrze. Nie wiem, czy mam cię przeproszać, czy nie. To znaczy i tak miałeś zamiar...

Papcio podał przepraszającym gestem aparat Kevinowi, a ten wziął go i przyjrzał się rozbitemu obiektywowi i roztrzaskanej plastikowej obudowie.

– Nie, nic nie szkodzi – powiedział, obracając aparat w dłoniach; nie robił tego jednak tak jak wcześniej, ostrożnie i niepewnie, jakby zbudowany był nie z plastiku i szkła, lecz z materiałów wybuchowych.

– Rozumiem, że oszczędziłem ci tylko kłopotu.

– Czułbym się lepiej... – zaczął Kevin.

– Jasne, jasne. Mam tak samo, jeśli chodzi o myszy. Możecie się ze mnie śmiać, ale jak złapię którąś w pułapkę i jest martwa, to i tak walę ją kijem od szczotki. Po prostu, żeby mieć pewność, jeśli wolno mi tak powiedzieć.

Kevin uśmiechnął się słabo i spojrzał na ojca.

– On mówi, że ma na podwórku pieniek do rąbania drewna, tato.

– Mam także całkiem niezły młotek w szopie, jeśli nikt go nie zwędził.

– Nie masz nic przeciwko, tato?

– To twój aparat, Kev. – Pan Delevan zerknął nieufnie na Papcia, ale było to spojrzenie, które świadczyło o tym, że nie ufa mu generalnie, a nie z jakiegoś konkretnego powodu. – Jeśli lepiej się dzięki temu poczujesz, to dobra decyzja.

– W porządku – rzucił Kevin. Miał wrażenie, jakby olbrzymi kamień spadał mu z ramion... Choć nie, właściwie ten kamień spadł mu z serca. Z rozbitym obiektywem aparat był z pewnością bezużyteczny... lecz wiedział, że odetchnie z ulgą dopiero wtedy, kiedy zobaczy jego szczątki wokół pieńka. Obracał go w rękach,

zaskoczony i rozbawiony tym, jak bardzo podoba mu się teraz, kiedy był uszkodzony.

– Powinienem panu chyba zwrócić pieniądze za ten aparat, panie Delevan – odezwał się Papcio, wiedząc dokładnie, jak tamten zareaguje.

– Nie – odparł pan Delevan. – Rozwalmy go i zapomnijmy, że ta wariacka historia w ogóle się wyda... – Nagle przerwał. – O mało nie zapomniałem... Mieliliśmy obejrzyć tych kilka ostatnich fotografii przez pańskie szkło powiększające. Chciałem sprawdzić, czy rozpoznam tę rzecz, którą pies ma na szyi. Wciąż wydaje mi się znajoma.

– Może zrobimy to, kiedy już rozbijemy aparat? Dobrze, tato? – zapytał Kevin.

– Jasne.

– A wtedy nie najgorszym pomysłem będzie spalenie samych zdjęć – wtrącił Papcio. – Możecie to zrobić w moim piecu.

– Uważam, że to świetny pomysł – powiedział Kevin. – Co o tym sądzisz, tato?

– Sądzę, że pani Merrill wychowała samych geniuszy – odparł jego ojciec.

– Wyobraźcie sobie, że było nas pięciu – oznajmił Papcio, uśmiechając się enigmatycznie zza kłębow sinego dymu.

...

Kiedy Kevin i jego ojciec szli do Emporium Galorium, niebo było jasnoblękitne: idealny jesienny dzień. Teraz, o wpół do piątej, zasnuło się chmurami i wyglądało na to, że przed zmierzchem może jeszcze popadać. Kevin poczuł, jak marzną mu dłonie: pierwszy prawdziwy jesienny ziąb. Gdyby został dłużej na dworze, mogłyby mu spierzchnąć, lecz on nie miał takich planów. Za pół godziny mama miała wrócić do domu i zastanawiał się już, co powie, widząc go z tatą, i co powie tato.

Ale tym będzie się martwić później.

Położył aparat na pieńku na małym podwórku, a Papcio Merrill podał mu duży młotek. Jego trzonek był gładki od częstego używania, a obuch zardzewiały, jakby ktoś nie raz lub dwa, lecz wiele razy zostawił go beztrosko na deszczu. Mimo to Kevin nie miał wątpliwości, że spełni swoje zadanie. Polaroid, z rozbitym obiektywem i poobijaną obudową, leżał kruchy i bezbronny na porysowanej i obtłuczonej powierzchni pieńka, na którym prędzej można by się spodziewać czekającego na porąbanie konaru jesionu albo klonu.

Chłopiec zacisnął palce na gładkim trzonku młotka.

– Jesteś pewien, że tego chcesz, synu? – zapytał pan Delevan.

– Tak.

– W porządku. – Ojciec zerknął na zegarek. – Więc zrób to.

Papcio stał z boku z fajką w zepsutych zębach i z dłońmi wsuniętymi w tylne kieszenie spodni. Spoglądał bacznie to na chłopaka, to na mężczyznę, ale nic nie mówił.

Kevin uniósł młotek i zadziwiony nagłą wściekłością, o którą wcale się nie podejrzewał, z całej siły się zamachnął.

Za mocno, pomyślał. W ogóle nie trafisz, będziesz miał szczęście, jeśli nie walniesz się w stopę, a ten aparat będzie tam dalej leżał, zwykły kawałek plastiku, który małe dziecko z łatwością rozdeptałoby na miazgę. A nawet jeśli nic sobie nie zrobisz, Papcio pośle ci wymowne spojrzenie. Nic nie powie; nie będzie musiał. Wystarczy, że na ciebie spojrzy.

Czy go trafię, czy nie, nie ma żadnego znaczenia. To są jakieś czary, to magiczny aparat i nie można go zniszczyć. Nawet jeśli trafię go w sam środek, obuch odbije się od niego, tak jak kule odbijają się od piersi Supermana.

I w tym momencie nie miał już czasu dłużej myśleć, bo obuch młotka zetknął się z powierzchnią aparatu. Kevin rzeczywiście zamachnął się o wiele za mocno, żeby w jakikolwiek sposób kontrolować uderzenie, ale miał szczęście. A młotek nie odbił się od aparatu i nie walnął Kevina między oczy, zabijając go na miejscu, jak to się mogło zdarzyć w finale horroru.

Sun 660 nie tyle nawet rozpadł się na części, ile wybuchł. Wszędzie fruwały kawałki czarnego plastiku. Długi prostokąt ze lśniącem czarnym kwadratem na końcu – zdjęciem, które nigdy już nie miało zostać zrobione – spadł na gołą ziemię przy pieńku i leżał tam wierzchem w dół.

Przez chwilę trwała tak kompletna cisza, że słyszeli nie tylko jadące Lower Main Street samochody, ale dzieci bawiące się w berka pół przecznicy dalej, na parkingu za sklepem Wardella, który zbankrutował przed dwoma laty i od tego czasu stał pusty.

– To by było na tyle – rzucił Papcio. – Zamachnąłeś się tym młotkiem jak legendarny drwal, Kevinie! Niech mnie kule biją, jeśli tak nie było! Nie ma takiej potrzeby – dodał, zwracając się do pana Delevana, który zbierał kawałki plastiku tak starannie, jak zbiera okruchy szkła ktoś, kto przypadkiem strącił ze stołu szklankę. – Co parę tygodni przychodzi do mnie chłopak i sprząta podwórko. Wiem, że nie jest tu może zbyt porządnie, ale gdyby nie on... to święci pańscy!

– W takim razie może powinniśmy przyjrzeć się tym fotografiom przez pańskie szkło powiększające – powiedział pan Delevan, prostując się, po czym wrzucił zebrane fragmenty do stojącego obok zardzewiałego piecyka i zatarł ręce.

– Nie mam nic przeciwko – odparł Papcio.

– A potem trzeba je spalić – dodał Kevin. – Niech pan o tym nie zapomni.

– Nie zapomnę. Ja też poczuję się lepiej, kiedy już ich nie będzie.

...

– Jezu! – mruknął pan Delevan. Siedział pochylony nad stołem roboczym Papcia Merrilla, przyglądając się przez podświetlone szkło powiększające przedostatniej fotografii. Na niej właśnie przedmiot wiszący na psiej szyi widać było najwyraźniej; na ostatnim zdjęciu przedmiot przechylił się w drugą stronę. – Spójrz na to, Kevinie, i powiedz mi, czy to jest to, o czym myślę.

Chłopiec wziął od ojca szkło powiększające i popatrzył. Wiedział oczywiście, co to jest, ale nie zrobił tego na odczepnego. Z podobną fascynacją Clyde Tombaugh musiał chyba przyglądać się po raz pierwszy fotografii Plutona. Tombaugh wiedział, że Pluton tam jest; z obliczeń wykazujących odchylenia orbit Neptuna i Uranu wynikało, że jego istnienie jest nie tylko możliwe, lecz oczywiste. Ale to, że się wie, że coś istnieje, a nawet, że się wie, czym jest, nie pomniejsza fascynacji, z jaką patrzy się na to po raz pierwszy.

Wyłączył podświetlenie i oddał lupę Merrillowi.

– Tak – zwrócił się do ojca. – To jest to, o czym myślisz. – Jego głos brzmiał tak samo płasko... tak samo płasko, jak płaskie były przedmioty w tym polaroidowym świetle, pomyślał i miał ochotę się roześmiać. Powstrzymał się nie dlatego, że byłoby to niestosowne (choć podejrzewał, że pewnie by było), lecz ponieważ odgłos jego śmiechu byłby taki... no właśnie, płaski.

Papcio odczekał chwilę, ale w końcu zrozumiał, że trzeba ich jakoś zdopingować.

– Rany, nie trzymajcie mnie tak długo w niepewności – powiedział. – Co to jest, do diabła?

Kevin nie chciał mu tego zdradzić wcześniej i nie chciał tego zrobić teraz. Nie było ku temu żadnego powodu, ale...

Nie bądź taki cholernie głupi! Bez względu na to, skąd bierze kasę, facet pomógł ci, kiedy potrzebowałeś pomocy. Powiedz mu, co to jest, spal te zdjęcia i wynoś się stąd, zanim wszystkie zegary zaczną wybijać piątą.

No właśnie. Jeśli będzie tu nadal sterczał, kiedy to się stanie, to będzie kropla, która przeleje czarę; po prostu kompletnie mu odbije i zawiozą go do szpitala na Juniper Hill, mającego na temat prawdziwych psów w polaroidowych światłach i aparatów, które robią stale takie same zdjęcia, tyle że te zdjęcia są niezupełnie takie same.

– Aparat Polaroida był prezentem urodzinowym – usłyszał, jak mówi tym swoim oschłym głosem. – To, co pies ma na szyi, to kolejny prezent.

Papcio powoli nasunął okulary na łysą głowę i zerknął z ukosa na Kevina.

– Nie bardzo za tobą nadążam, synu.

– Mam ciotkę – wyjaśnił Kevin. – Właściwie jest moja cioteczną babką, ale nie zwracamy się do niej „babciu”, bo twierdzi, że to ją postarza. Ciotka Hilda. Mąż ciotki Hildy zostawił jej dużo pieniędzy... mama mówi, że ponad milion dolarów, ale ciotka jest straszną kutwą.

W tym momencie przerwał, by ojciec miał możliwość zaprotestować, ale pan Delevan tylko kwaśno się uśmiechnął i pokiwał głową. Papcio Merrill, który wiedział wszystko na ten temat (prawdę mówiąc, nie było rzeczy w Castle Rock i jego okolicach, o której Papcio by nie wiedział), po prostu czekał spokojnie, aż chłopiec powie, co ma do powiedzenia.

– Co trzy lata przyjeżdża i spędza z nami Boże Narodzenie, i to jest jedyny czas, kiedy chodzimy do kościoła, ponieważ ona chodzi do kościoła. Kiedy do nas przyjeżdża, jemy dużo brokułów. Żadne z nas ich nie lubi i mojej siostrze chce się od nich rzygać, ale ciotka Hilda bardzo lubi brokoły, więc je jemy. Na liście naszych letnich lektur była taka książka, *Wielkie nadzieje*, i występuje tam bohaterka, która jest zupełnie jak ciotka Hilda. Uwielbia pokazywać krewnym, jaka jest bogata. Nazywa się Havisham i wszyscy tańczą tak, jak im zagra. My tańczymy i podejrzewam, że reszta naszej rodziny też to robi.

– Przy wujku Randym twoja matka nie wydaje się zbyt zgrabną tancerką – odezwał się niespodziewanie pan Delevan. Kevinowi wydawało się, że ojciec chciał sobie cynicznie zażartować, ale w jego głosie zabrzmiała autentyczna głęboka gorycz. – Kiedy ciotka Hilda gra w domu wujka Randy’ego, wszyscy wycinają hołubce aż pod sufit.

– Tak czy inaczej – podjął Kevin, zwracając się do Papcia – ciotka przysyła mi co rok na urodziny ten sam prezent. To znaczy każdy jest trochę inny, ale w gruncie rzeczy są takie same.

– Co takiego ci przysyła, chłopcze?

– Krawat bolo – odparł Kevin. – Taki, jaki noszą muzycy w staroświeckich big-bandach. Za każdym razem ma inną spinkę, ale to zawsze jest krawat bolo.

Papcio złapał szkło powiększające i pochylił się nad fotografią.

– Niech mnie dunder świśnie! – zakrzyknął, prostując się. – Krawat bolo! To jest to! Jak to się stało, że tego nie zauważyłem?

– Bo to nie jest rzecz, którą pies nosiłby normalnie na szyi – odparł płaskim głosem Kevin. Siedzieli u Papcia nie dłużej niż trzy kwadranse, ale miał wrażenie, jakby postarzał się o piętnaście lat. Pamiętał, że tego aparatu już nie ma, powtarzał sobie w myślach. Zostały z niego tylko drzazgi, których nie tylko wszyscy konni i wszyscy dworzanie, ale nawet wszyscy ludzie, którzy produkują aparaty fotograficzne w fabryce Polaroida w Schenectady, złożyć do kupy nie będą w stanie.

I chwala Bogu. Bo to był koniec całej historii. Nawet jeśli z tym, co nadprzyrodzone, Kevin miałby zetknąć się dopiero po osiemdziesiątce, to i tak byłoby za prędko.

– Poza tym spinka jest bardzo mała – zauważył pan Delevan. – Byłem przy tym, jak Kevin wyjmował krawat z pudełka, i wszyscy wiedzieliśmy, co to będzie. Jediną niewiadomą było to, co w tym roku będzie na spince. Żartowaliśmy na ten temat.

– Co jest na tej spince? – zapytał Papcio, wpatrując się znowu w fotografię... a w każdym razie na nią zerkając; Kevin mógł zeznać pod przysięgą w każdym sądzie, że wpatrywanie się w polaroidowe zdjęcie jest po prostu niemożliwe.

– Jakiś ptak – odparł. – Wydaje mi się, że dzięcioł. I to właśnie ma na szyi ten pies z fotografii. Krawat bolo z dzięciołem na spince.

– Jezus! – mruknął Papcio. Na swój dyskretny sposób był jednym z najlepszych aktorów na świecie, ale teraz nie musiał udawać zaskoczenia.

Pan Delevan zebrał nagle do kupy wszystkie polaroidowe zdjęcia.

– Wrzućmy te cholerne fotografie do pieca – powiedział.

...

Kiedy Kevin i jego ojciec wrócili do domu, było dziesięć po piątej i zaczęło mżyć. Na podjeździe nie było dwuletniej toyoty pani Delevan, ale musiała stać tam wcześniej. Liścik od matki Kevina leżał na kuchennym stole pod solniczką i pieprzniczką. Kiedy go rozłożył, ze środka wypadł dziesięciodolarowy banknot.

Kochany Kevinie

Przy partyjce brydża Jane Doyon zapytała, czy ja i Meg nie zjadłybyśmy z nią kolacji w Bonanzie, bo jej mąż wyjechał służbowo do Pittsburgha i siedzi sama w domu. Odparłam, że będziemy zachwycone. Zwłaszcza Meg. Wiesz, jak bardzo lubi być uważana za „jedną z dziewcząt”! Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko, by zjeść kolację w „dostojnej samotności”. Zamów sobie pizzę i jakiś napój, a ojciec niech zamówi coś dla siebie, kiedy wróci do domu. Nie lubi odgrzewanej pizzy i wiesz, że będzie miał pewnie ochotę na parę piw.

*Całusy
Mama*

Ojciec i syn spojrzeli na siebie, obaj myśląc: Tym akurat nie mamy powodu się przejmować i nie musieli tego mówić na głos. Najwyraźniej ani matka, ani Meg nie zauważyły, że samochód pana Delevana nadal stoi w garażu.

– Chcesz, żebym... – zaczął Kevin.

– Tak. Sprawdź to. Od razu – przerwał mu ojciec, dzięki czemu nie musiał kończyć zdania.

Chłopiec popędził, przeskakując po dwa stopnie, do swojego pokoju. Miał tam komodę i biurko. W najniższej szufladzie biurka było to, co określał w myślach mianem „rupieci”: rzeczy, których wyrzucenie wydawało mu się w jakiś sposób niedopuszczalne, choć tak naprawdę do niczego się nie nadawały. Był tam kieszonkowy zegarek jego dziadka, ciężki, grawerowany, wspaniały... i tak mocno przerdzewiały, że zegarmistrz w Lewiston, do którego zawieźli go z matką, spojrzął tylko na niego, pokręcił głową i odsunął z powrotem po ladzie. Były tam dwie pasujące do siebie spinki do mankietów i dwie nie

do pary, rozkładówka „Penthouse’u”, tanie wydanie książki pod tytułem *Sprośne żarty* oraz walkman marki Sony, z jakiegoś powodu połykający taśmę, którą miał odtwarzać. Po prostu rupiecie, nic więcej. Nie było lepszego słowa pasującego do tych rzeczy.

Leżało tam również oczywiście trzynaście krawatów bolo, które ciotka Hilda przysyłała mu od trzynastu lat na urodziny.

Wyjął je jeden po drugim, przeliczył, przekonał się, że jest ich dwanaście, przeszukał ponownie szufladę i policzył jeszcze raz. Nadal dwanaście.

– Nie ma go?

Kevin, który kucał przy biurku, krzyknął głośno i zerwał się na nogi.

– Przepraszam – odezwał się z progu pan Delevan. – To było głupie.

– Nic się nie stało – zapewnił go syn. Zastanawiał się przez chwilę, jak szybko może człowiekowi bić serce, nim po prostu eksploduje. – Jestem zwyczajnie spięty. To bez sensu.

– Wcale nie. – Ojciec posłał mu poważne spojrzenie. – Oglądając tę taśmę, tak się bałem, że miałem ochotę wsadzić sobie rękę do gardła i wcisnąć z powrotem na miejsce żołądek.

Kevin spojrzał na niego z wdzięcznością.

– Nie ma go tam, prawda? Tego z dzieciółem czy co tam, do cholery, miał przedstawiać?

– Nie. Nie ma.

– Trzymałeś aparat w tej szufladzie?

Kevin powoli pokiwał głową.

– Papcio... to znaczy pan Merrill powiedział, żebym dał mu od czasu do czasu odpocząć. To stanowiło część jego planu. – Jakaś myśl plątała mu się przez chwilę po głowie i zaraz umknęła. – Więc tam go chowałem.

– Rany – mruknął cicho pan Delevan.

– No właśnie.

Spojrzeli na siebie w półmroku i nagle Kevin się uśmiechnął. To było tak, jakby słońce wyjrzało zza gęstych chmur.

– Przypomniałem sobie, jakie to było uczucie – wyjaśnił. – Kiedy zamachnąłem się tym młotkiem tak mocno, że...

Ojciec też zaczął się uśmiechać.

– Myślałem, że urwiesz sobie cholerne...

– A potem tak głośno chrupnęło... CHRUP!

– I pieprzone szczątki poleciały we wszystkie strony...

– Łubud-u! – dokończył Kevin. – I po aparacie!

Zaczęli śmiać się razem w pokoju Kevina i chłopiec zorientował się, że prawie się cieszy – prawie – że wszystko to się wydarzyło. Poczucie ulgi było tak niewyobrażalne i tak doskonałe jak to, którego doznajesz, gdy przez szczęśliwy traf albo dzięki telepatii komuś udaje się podrapać swędzące miejsce na twoich plecach, tam gdzie nie byłeś w stanie podrapać się sam; ten ktoś trafia w sam środek, po prostu w dziesiątkę i przez krótką chwilę pod wpływem dotyku swędzi cię jeszcze bardziej, a potem te palce... och, cóż za błogosławiona ulga.

Tak samo było z aparatem i świadomością, że ojciec zdawał sobie ze wszystkiego sprawę.

– Już go nie ma – powiedział Kevin. – Prawda?

– Tak samo jak nie było Hiroszimy po tym, jak *Enola Gay* spuścił na nią atomówkę – odparł ojciec. – Rozbity na miazgę, jeśli wolno mi tak powiedzieć.

Kevin wbił w niego wzrok, a potem wybuchnął salwami – niemal paroksyzmami – niepowstrzymanego śmiechu. Ojciec nie pozostał mu dłużny. Niedługo potem zamówili okazałą pizzę. Kiedy dwadzieścia po siódmej do domu wróciły Mary i Meg Delevan, obaj nadal cicho chichotali.

– Wy dwaj wyglądacie, jakbyście nieźle nabroili – stwierdziła nieco zaintrygowana pani Delevan. W ich wesołości było coś, co kobiecej stronie jej natury – tej, która uaktywnia się najbardziej podczas porodu i poważnej katastrofy – wydało się lekko niezdrowe. Wyglądali i zachowywali się jak ludzie, którzy cudem uniknęli wypadku samochodowego. – Zechcecie powiedzieć paniom, co was tak śmieszy?

– Dwaj faceci są po prostu w dobrym humorze – wyjaśnił jej mąż.

– W powalająco dobrym humorze – podkreślił Kevin.

– Jeśli wolno nam tak powiedzieć – dodał ojciec, po czym spojrzeli na siebie i znowu zarechotali.

– Dlaczego oni się tak zachowują, mamó? – zapytała autentycznie skonsternowana Meg.

– Bo mają penisy, moja droga – odparła matka. – Powieś na wieszaku swój płaszcz.

...

Papcio Merrill wypuścił Delevanów, *père et fils*, ze sklepu i zamknął za nimi drzwi. Następnie zgasił wszystkie światła z wyjątkiem tego, które paliło się nad stołem roboczym, wyjął z kieszeni klucze i otworzył własną szufladę z rupieciami. Wyjął z niej należący do Kevina aparat Polaroid Sun 660 z odpryśniętym kawałkiem obudowy, lecz poza tym cały i nienaruszony, i uważnie mu się przyjrzał. Aparat przeraził zarówno ojca, jak i syna. Dla Papcia było całkiem oczywiste; jego też przeraził i nadal przerażał. Ale położyć coś takiego na pieńku i roztrzaskać w drobny mak? To byłoby szaleństwo.

Można przecież zarobić parę groszy na tym cholerstwie.

Zawsze można zarobić.

Papcio zamknął aparat z powrotem w szufladzie. Prześpi się z tym, a rano będzie wiedział, co robić dalej. Prawdę mówiąc, już teraz świtał mu w głowie pewien diabelsko szczywany pomysł.

Wstał, zgasił światło nad stołem i ruszył w półmroku w stronę schodów prowadzących do jego mieszkanek. Szedł na pamięć, stawiając bez wahania kroki w zagraconym wnętrzu.

W połowie drogi się zatrzymał.

Naszła go chęć, absurdalnie przemożna chęć, żeby wrócić i rzucić jeszcze raz okiem na aparat. Po co, na litość boską? Nie miał żadnego filmu do tego bezbożnego ustrojstwa... a nawet gdyby miał, nie zamierzał przecież nim robić żadnych zdjęć.

Jeżeli ktoś inny chciał pstryknąć parę fotek i zobaczyć, co dalej robi pies, chętnie mu go sprzeda. *Caveat emptor*, strzeż się, nabywco, powtarzał zawsze. Cholerny nabywca mógł się strzec lub nie, jego wola. Co do niego, miał wkrótce wejść do klatki z lwami, nie mając przy sobie nawet cholernego bicza i krzesła.

Mimo to...

– Daj spokój – powiedział ostro w ciemności, po czym, wzdrygając się na dźwięk własnego głosu i nie oglądając za siebie, ruszył na górę po schodach.

ROZDZIAŁ 7

Nazajutrz bardzo wczesnym rankiem Kevinowi Delevanowi przyśnił się koszmar tak straszny, że zapamiętał z niego tylko fragmenty, podobnie jak pamięta się urywki muzyki usłyszane w radiu ze zdezelowanym głośnikiem.

Wchodził do jakiegoś zapyziałego małego fabrycznego miasteczka. Najwyraźniej skądś wędrował, bo miał plecak. Miasteczko nazywało się Oatley i Kevin odnosił wrażenie, że leży w Vermoncie albo w północnej części stanu Nowy Jork. „Zna pan kogoś, kto szuka ludzi do pracy, tu w Oatley?” – zapytał starego faceta, który pchał wózek na zakupy po popękany chodniku. W wózku nie było żadnych artykułów spożywczych – wypełniały go jakieś stare graty i Kevin zdał sobie sprawę, że facet jest pijakiem. „Fynoś się! – wrzasnął pijak. – Fynoś się! Złodziej! Fieprzony złodziej! Fieprzony ZŁODZIEJ!”

Kevin puścił się biegiem i przeciął ulicę, bardziej bojąc się obłądu mężczyzny niż tego, że ktoś może uwierzyć, że on, Kevin, jest złodziejem. „To nie jest Oatley! – wołał za nim pijak. – To Hildasville! Fynoś się z miasta, fieprzony złodzieju!”

Wtedy uświadomił sobie, że nie trafił do Oatley, Hildasville ani do żadnego innego miasteczka, które ma normalną nazwę. Bo jak tak skrajnie nienormalne miasto mogło mieć normalną nazwę?

Wszystko – ulice, budynki, samochody, znaki drogowe i przechodnie – miało tylko dwa wymiary. Wszystko miało wysokość i szerokość... ale brakowało głębi. Minął kobietę, która wyglądała tak, jak mogłaby wyglądać nauczycielka baletu Meg, gdyby przybrała siedemdziesiąt kilo na wadze. Miała na sobie spodnie w kolorze gumy do żucia Bazooki i podobnie jak pijak

pchała wózek na zakupy. Wózek miał skrzypiące koło i pełno w nim było aparatów Polaroid Sun 660. Zbliżając się do Kevina, zmierzyła go podejrzliwym spojrzeniem, a potem, kiedy mijali się na chodniku, zniknęła. Jej cień nadal tam był i Kevin nadal słyszał rytmiczne skrzypienie, ale kobiety już nie było. I nagle znowu się pojawiła, z podejrzliwą miną na płaskiej twarzy, i zrozumiał, dlaczego na chwilę zniknęła. W świecie, gdzie wszystko było doskonale płaskie, nie istniał po prostu, nie mógł istnieć koncept, że „coś widać z boku”.

To Polaroidsville, pomyślał z ulgą, która była w dziwny sposób połączona z przerażeniem. A to oznaczało, że to tylko sen.

Nagle zobaczył płot z białymi sztachetami, psa i stojącego na jezdni fotografa. Na czubek głowy miał nasunięte bezoprawkowe okulary. To był Papcio Merrill.

„I co powiesz, synu? Znalazłeś go – powiedział dwuwymiarowy Papcio do Kevina, nie odrywając oczu od wizjera. – To ten pies, jak najbardziej. Ten, który rozerwał na kawałki tego dzieciaka w Schenectady. TWÓJ pies, jeśli wolno mi tak powiedzieć”.

W tym momencie Kevin obudził się we własnym łóżku, obawiając się, że krzyczał przez sen, ale w pierwszej chwili bardziej starając się upewnić, że jest tutaj cały, cały w trójwymiarze.

Był. Ale coś było nie w porządku.

Głupi sen, pomyślał. Opuść sobie, dlaczego nie możesz sobie odpuścić? Fotografie są spalone, wszystkie pięćdziesiąt osiem fotografii. A aparat rozbi...

Ta myśl pękła niczym lód, kiedy zdał sobie sprawę, że coś... że coś jest nie w porządku. To jeszcze nie koniec, pomyślał. To jeszcze...

Ale nim zdążył domyśleć myśl do końca, zapadł w głęboki, pozbawiony wizji sen. Nazajutrz rano w ogóle nie pamiętał tego koszmaru.

ROZDZIAŁ 8

Dwa tygodnie, które upłynęły od przywłaszczenia sobie polaroida Kevina Delevana, były najbardziej irytującym, wkurzającym i upokarzającym okresem w życiu Papcia Merrilla. Całkiem spora grupa mieszkańców Castle Rock mogłaby przyznać, że nikt w mieście bardziej na to nie zasługiwał. Nie żeby ktokolwiek w Castle Rock wiedział... i to była w zasadzie jedyna pociecha, jaką mógł sobie wyobrazić Papcio. Bardzo marna pociecha. Naprawdę marna, bez dwóch zdań.

Ale kto mógł pomyśleć, że Szaleni Kapelusznicy sprawią mu, mogą mu sprawić, tak gorzki zawód?

Kiedy dzieje się coś takiego, człowiek zastanawia się, czy nie zaczyna przypadkiem kapcanieć.

Niech Bóg broni.

ROZDZIAŁ 9

We wrześniu nie zastanawiał się w ogóle, czy uda mu się sprzedać polaroida; jedyne pytania brzmiały, jak szybko i za ile. Delevanowie posługiwali się słówkiem „nadprzyrodzone” i Papcio ich nie poprawiał, choć wiedział, że to, co robi aparat, parapsycholodzy uznaliby raczej za zjawisko paranormalne, nie nadprzyrodzone. Mógłby im to powiedzieć, ale gdyby to zrobił, mogli się obaj zacząć zastanawiać, jak to się stało, że właściciel małomiasteczkowego sklepiku ze starzyzną (dorabiający sobie na boku lichwą) wie tyle na ten temat. Prawda była następująca: wiedział tyle na ten temat, bo opłacało się tyle wiedzieć z powodu ludzi, których określał mianem Szalonych Kapeluszników.

Szalonymi Kapelusznikami były osoby, które rejestrowały za pomocą kosztownych urządzeń dźwięk w pustych pomieszczeniach i robiły to nie dla hecy albo żeby wyciąć komuś numer podczas zakrapianego przyjęcia, lecz ponieważ gorąco wierzyli w istnienie niewidzialnego świata i chcieli udowodnić jego istnienie albo równie gorąco pragnęli nawiązać kontakt z przyjaciółmi bądź krewnymi, którzy „odeszli” (tak właśnie o nich zawsze mówili, że „odeszli”; Szaleni Kapelusznicy nigdy nie mieli krewnych, którzy po prostu zwyczajnie umarli).

Szaleni Kapelusznicy mieli nie tylko plansze ouiija i z nich korzystali, ale odbywali regularne rozmowy z „przewodnikami duchowymi” na „tamnym świecie” (nigdy w niebie, piekle ani nawet w „miejscu wiecznego spoczynku”, ale zawsze na „tamnym świecie”), którzy kontaktowali ich z przyjaciółmi, krewniakami, królowymi, zmarłymi rockandrollowcami, a nawet z arcyłotrami. Papcio znał Szalonego Kapelusznika w Vermoncie, który dwa

razy w tygodniu rozmawiał z Hitlerem. Hitler powiedział mu, że to wszystko wielka ściema, tak naprawdę wezwał do zawarcia pokoju już w styczniu 1943 roku, ale ten sukinsyn Churchill odrzucił jego propozycję. Hitler zakomunikował mu także, że Paul Newman jest kosmitą, który urodził się w pieczarze na Księżycu.

Szaleni Kapelusznicy chodzili na seanse równie regularnie (i równie kompulsywnie) jak narkomani do swoich dealerów. Kupowali kryształowe kule i amulety, które gwarantowały szczęście; zakładali własne małe stowarzyszenia i odwiedzali domy cieszące się opinią nawiedzanych, aby obserwować tam całą gamę typowych zjawisk: ektoplazmę, stukające stoliki, unoszące się stoły i łóżka, zimne punkty i, oczywiście, same duchy. Rejestrowali to wszystko z entuzjazmem zagorzałych obserwatorów ptaków.

Większość świetnie się przy tym bawiła. Niektórzy trochę mniej. Do tych drugich należał facet z Wolfeboro, który powiesił się w osławionym Domu Tecumseha, gdzie w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych dziewiętnastego wieku pewien farmer pomagał swoim bliźnim w dzień i żywił się nimi w nocy, zasiadając przy elegancko nakrytym stole w piwnicy. Stół stał na klepisku, w którym odnaleziono kości i gnijące szczątki co najmniej dwunastu, a, być może, nawet trzydziestu pięciu młodych mężczyzn, wyłącznie włóczęgów. Facet z Wolfeboro zostawił krótki liścik obok swojej planszy ouija: *Nie mogę wyjść z domu. Wszystkie drzwi zamknięte. Słyszę, jak on je. Próbowałem waty. Bez skutku.*

I biednemu cierpiącemu na urojenia dupkowi pewnie rzeczywiście wydawało się, że to słyszy, pomyślał Papcio po tym, jak usłyszał tę opowieść z wiarygodnego źródła.

Był także pewien facet w Dunwich w stanie Massachusetts, któremu Papcio sprzedał kiedyś za dziewięćdziesiąt dolarów tak zwaną duchową trąbkę. Facet zabrał ją na cmentarz w Dunwich i musiał tam usłyszeć coś wyjątkowo nieprzyjemnego, bo kompletnie mu odbiło i już od sześciu lat siedział zamknięty

w wyściełanej celi. Kiedy szedł na ten cmentarz, miał czarne włosy; gdy jego krzyki obudziły tych, którzy mieszkali dość blisko, by je usłyszeć, i wezwano policję, były tak samo białe jak jego poblądła twarz.

Pewna kobieta w Portlandzie straciła oko, gdy sesja z planszą ouija zakończyła się totalną katastrofą... facet w Kingstone w Rhode Island stracił trzy palce prawej dłoni, kiedy zatrzasnęły się na nich tylne drzwi samochodu, w którym dwoje nastolatków popełniło kiedyś samobójstwo... a pewna starsza pani trafiła bez jednego ucha do szpitala Massachusetts Memorial po tym, jak jej równie stara kocica Claudette wpadła w szal podczas jednego z seansów...

Papcio w część tych opowieści wierzył, w inne nie, ale na ogół nie miał na ich temat zdania – nie dlatego, że nie dysponował twardymi dowodami, które świadczyłyby o ich prawdziwości lub fałszu, lecz ponieważ miał głęboko w dupie duchy, seanse, kryształowe kule, duchowe trąbki, wpadające w szal koty oraz osławiony korzeń Jana Zdobywcy. Gdyby ktoś pytał Reginalda Mariona „Papcia” Merrilla o zdanie, to wszyscy Szaleni Kapelusznicy mogli się zajebać na śmierć na Księżycu.

Pod warunkiem oczywiście, że jeden z nich przed wejściem na pokład następnego promu przekazałby mu odpowiednio wysoki czek za aparat Kevina Delevana.

Papcio nie nazywał tych entuzjastów Szalonymi Kapelusznikami z powodu ich szczególnych zainteresowań; nazywał ich tak, ponieważ w znakomitej większości – kusilo go nawet czasem, by powiedzieć: wszyscy co do jednego – byli zamożni, emerytowani i aż się prosili, żeby ich oskubać. Jeśli chciało się z nimi spędzić piętnaście minut, potakując i skwapliwie się godząc, kiedy zapewniali, że potrafią odróżnić fałszywe medium od prawdziwego już po wejściu do pokoju i nie muszą siadać razem z nim przy stoliku, albo jeśli spędziło się tyle samo czasu, słuchając z odpowiednią miną niewyraźnych odgłosów, które mogły być lub mogły nie być słowami nagranych na taśmę magnetofonową, można było im sprzedać

za sto dolców wart cztery dolary przycisk do papieru, mówiąc, że jakiś facet zobaczył na nim kiedyś twarz swojej zmarłej matki. Jeśli posłało im się przy tym uśmiech, wypisywali ci czek na dwieście dolców. Jeśli rzuciło im się słowo zachęty, pisali czek na dwa tysiące dolarów. A jeśli zrobiło się i to, i to, oddawali ci po prostu książeczkę czekową i pozwalali wpisać sumę, jaką uznałeś za stosowną.

To było proste jak odebranie cukierka bobasowi.

Aż do teraz.

...

Papcio nie miał w swojej szafce na akta segregatora z napisem SZALENI KAPELUSZNICZY, podobnie zresztą jak nie miał segregatora z napisem NUMIZMATYCY i FILATELIŚCI. Nie miał nawet szafki na akta. Najbardziej zbliżoną do niej rzeczą był sfatygowany stary notes z numerami telefonów, który nosił wszędzie w tylnej kieszeni (i który w ciągu wielu lat, podobnie jak portfel, wygiął się lekko, dostosowując się do kształtu jego kościstego pośladka). Papcio trzymał swoje akta tam, gdzie powinien je zawsze trzymać człowiek z jego branży: we własnej głowie. Było ośmiu pełnokrwistych Szalonych Kapeluszników, z którymi robił interesy od wielu lat, ludzi, którzy nie tylko otarli się lekko o okultyzm, ale zanurzyli się w nim po pachy. Najbogatszym z nich był emerytowany przemysłowiec, niejaki Cedric McCarty, mieszkający na swojej własnej wyspie mniej więcej dwadzieścia kilometrów od wybrzeża. Facet gardził łodziami i statkami i zatrudniał na pełen etat pilota, który woził go na stały ląd i z powrotem, kiedy tylko zachodziła taka potrzeba.

Papcio poleciał do niego dwudziestego ósmego września, dzień po przejęciu aparatu od Kevina (oczywiście nie uważał tego i nie mógł uważać za kradzież; chłopak miał przecież i tak zamiar rozbić go w drobny mak, a to, czego nie wiedział, z pewnością nie mogło mu zaszkodzić). Pojechał swoim starym,

ale idealnie utrzymanym samochodem na prywatne lądowisko na północ od Boothbay Harbor, a potem zazgrzytał zębami, zmrużył oczy i zacisnął z całej siły palce na stalowej kasetce z polaroidem Sun 660, kiedy beechcraft Szalonego Kapelusznika pomknął niczym narowisty koń po trawiastym pasie startowym i wzbił się w powietrze dokładnie w tej samej chwili, gdy Papcio nabrał stuprocentowej pewności, że spadną z klifu i rozbiją się na miazgę na sterczących w dole skałach. Odbył już dwukrotnie taką podróż i za każdym razem przysięgał, że nigdy więcej nie wejdzie do tej cholerne latającej trumny.

Trzęsąc się i podrygując, lecieli niecałe dwieście metrów nad głodnym Atlantykiem, a pilotowi nie zamykały się usta. Papcio kiwał głową i powtarzał „jasne, jasne” we wszystkich, jak mu się zdawało, odpowiednich miejscach, ale bardziej niż tym, o czym wesoło gwarzył pilot, przejmował się grożącym mu w każdej chwili nagłym zgonem.

A potem pojawiła się przed nimi wyspa ze swoim straszliwie, złowieszczo, samobójczo krótkim pasem startowym oraz rozległym domostwem z sekwojowego drewna i kamienia. Pilot dał nurka, zostawiając biedny, stary, zaciśnięty żołądek Papcia gdzieś w powietrzu nad nimi, po czym z głuchym łupnięciem uziemili, jakimś cudem dokołowali na miejsce, wciąż żywi i cali, i Papcio mógł znowu bezpiecznie uznać, że Bóg jest jednym z wielu wynalazków Szalonych Kapeluszników – przynajmniej do chwili, kiedy będzie musiał wrócić tym cholernym samolotem na stały ląd.

– Wspaniały dzień na latanie, prawda, panie Merrill? – zapytał pilot, rozkładając przed nim schodki.

– Najlepszy – mruknął Papcio, po czym pomaszerował do domu, w którego progu, uśmiechając się na myśl o tym, co zobaczy, stał gotów do oskubania świętodziękczynieniowy indor. Papcio obiecał, że pokaże mu „najbardziej zajebistą rzecz, jaką kiedykolwiek widział na oczy”, i Cedric McCarty wyglądał, jakby nie mógł się tego doczekać. Wystarczy, że raz zerknie na zdjęcie, myślał Papcio, i zaraz sięgnie po sałatę. Wracając czterdzieści

pięć minut później na stały ląd, prawie nie zwracał uwagi na podrygi, telepanie i wypruwające flaki skoki w dół, gdy od czasu do czasu beechcraft trafiał w dziury powietrzne. Był człowiekiem przywołanym do porządku i pogrążonym w głębokiej zadumie.

Wcześniej wycelował obiektyw w Szalonego Kapelusznika i zrobił mu zdjęcie. Kiedy czekali na jego wywołanie, Szalony Kapelusznik zrobił zdjęcie jemu... I czy kiedy błysnął flesz, Papcio czegoś nie usłyszał? Czy nie było to basowe, paskudne warczenie tego czarnego psa? A może wytwór jego wyobraźni? Najprawdopodobniej to drugie. W swoim czasie Papcio zrobił kilka wspaniałych interesów i nie zdołałby tego dokonać, gdyby nie miał bujnej wyobraźni.

A jednak...

Cedric McCarty, emerytowany przemysłowiec *par excellence* i Szalony Kapelusznik *extraordinaire*, czekał na wywołanie zdjęć z taką samą jak zawsze dziecinną niecierpliwością, ale kiedy się w końcu pojawiły, na jego twarzy ukazał się wyraz rozbawienia i chyba nawet lekkiej wzgardy. Niezawodna intuicja, którą Papcio rozwijał w ciągu niemal pięćdziesięciu lat, odpowiedziała mu, że żadne argumenty, pochlebstwa, a nawet zawołane aluzje, że ma innego klienta, który wprost ślini się, by kupić ten aparat – żadna z tych normalnie skutecznych technik tym razem nie zadziała. W umyśle Cedrica McCarty'ego zawisała wielka pomarańczowa tablica z napisem NICI Z TRANSAKCJI.

Ale dlaczego?

Na litość boską, dlaczego?

Na zdjęciu, które zrobił Papcio, ta jasna plamka, którą Kevin spostrzegł między wargami czarnego psa, stała się w wyraźny sposób zębem – choć „zab” to nie było właściwe słowo, choćby nie wiadomo jak naginać fakty. To był kieł. Na tym, które zrobił McCarty, widać było pojawiające się sąsiednie zęby.

Pierdolony pies ma paszczkę jak sidła na niedźwiedzie, pomyślał Papcio. Mimo woli wyobraził sobie własną rękę w tej paszczęce. Pies nie gryzł jej ani nie pożerał, ale rozrywał

w podobny sposób, w jaki zęby tarczowego rębaka rozrywają korę, liście i małe gałązki. Jak długo by to trwało? – pomyślał, po czym spojrział w te mętne oczy spozierające na niego z kosmatej mordy i zorientował się, że niedługo. A gdyby pies złapał go zamiast tego za krocze? A gdyby...

McCarty tymczasem coś powiedział i czekał na odpowiedź. Papcio ponownie skupił uwagę na facecie i w tym momencie zgasła w nim jakakolwiek nadzieja na sprzedaż. Szalony Kapelusznik *extraordinaire*, który chętnie spędziłby z tobą całe popołudnie, próbując wezwać ducha twojego drogiego zmarłego wujka Neda, gdzieś się ulotnił. Jego miejsce zajęło drugie wcielenie McCarty'ego: twardogłowy realista, którego nazwisko od dwunastu lat pojawiała się na liście najbogatszych Amerykanów magazynu „Fortune” – nie dlatego, że był lekkoduchem, który miał szczęście odziedziczyć jednocześnie mnóstwo kasy i uczciwy, zdolny personel pozwalający mu poprowadzić i rozwinąć firmę, lecz ponieważ był geniuszem w dziedzinie aerodynamiki. Nie był tak bogaty jak Howard Hughes, ale też nie sfiksował tak dokumentnie jak pod sam koniec Hughes. Kiedy chodziło o zjawiska paranormalne, facet był Szalonym Kapelusznikiem. Jednakże poza tą dziedziną był rekinem, przy którym ludzie pokroju Papcia Merrilla wyglądali niczym pływające w błotnistej kałuży kijanki.

– Przepraszam, panie McCarty – powiedział Papcio. – Mój umysł pracował przez chwilę na jałowym biegu.

– Mówiłem, że to fascynujące – oznajmił McCarty. – Zwłaszcza to subtelne zwrócenie uwagi na czas, który mija od jednej do drugiej fotografii. Jak to działa? Aparat w aparacie?

– Nie rozumiem, do czego pan zmierza.

– Nie, to nie aparat – dodał McCarty, mówiąc sam do siebie. Wziął do ręki polaroid i potrząsnął nim tuż przy uchu. – Raczej jakiś rodzaj przesuwniczy.

Papcio gapił się na faceta, nie mając pojęcia, o czym on nawija... wiedział tylko, że cokolwiek to jest, nie dobije z nim interesu. Cały ten cholerny lot, telepanie się małym

samolocikiem, wszystko na nic. Ale dlaczego? Dlaczego? Był tak pewien tego faceta, który gdyby powiedziano mu, że Most Brooklyński jest spektralną iluzją z „innego świata”, prawdopodobnie by w to uwierzył. Więc dlaczego?

– Ależ oczywiście, to szczeliny! – zakrzyknął McCarty, rozradowany jak małe dziecko. – Szczeliny! Wewnątrz obudowy jest okrągła taśma na rolkach z pewną liczbą wbudowanych szczelin. W każdej szczelinie znajduje się wywołane polaroidowe zdjęcie tego psa. Ciągłość akcji sugeruje – McCarty znów uważnie przyjrzał się zdjęciom – że pies mógł zostać wcześniej sfilmowany, a fotografie zrobiono z poszczególnych klatek. Kiedy naciskamy migawkę, zdjęcie wyskakuje ze swojej szczeliny i wysuwa się na zewnątrz. Bateria przesuwająca taśmę do następnej szczeliny i... *voilà!*

McCarty przestał się nagle uśmiechać i Papcio zobaczył przed sobą człowieka, który wyglądał, jakby doszedł do bogactwa i sławy po skrwawionych trupach konkurentów... i sprawiało mu to wielką frajdę.

– Joe odwiezie pana z powrotem – oznajmił chłodnym bezosobowym tonem przemysłowiec. – Muszę przyznać, że niezły z pana gagatek, panie Merrill – dodał i Papcio uświadomił sobie ze smutkiem, że ten człowiek nigdy już nie zwróci się do niego per „Papciu”. – W końcu powinęła się panu noga, ale przez dłuższy czas udawało się panu mnie nabierać. Na ile mnie pan naciągnął? Czy to wszystko były jarmarczne sztuczki?

– Nie naciągnąłem pana nawet na jednego centa – odparł Papcio, łącząc w żywe oczy. – Nie sprzedałem panu ani jednej rzeczy, w którą bym sam nie wierzył, i jeśli wolno mi tak powiedzieć, dotyczy to również tego aparatu.

– Przyprawia mnie pan o mdłości – powiedział McCarty. – Nie dlatego, że panu zaufałem; ufałem i innym, którzy okazali się oszustami i naciągaczami. Nie dlatego, że brał pan ode mnie pieniądze; nie było ich aż tyle, żeby to miało znaczenie. Przyprawia mnie pan o mdłości, ponieważ to właśnie tacy jak pan sprawiają, że badania naukowe zjawisk paranormalnych są

czymś, co tkwi w mrokach średniowiecza, czymś, z czego ludzie się naśmiewają i co uważa się za wyłączną domenę świrów i głupców. Jedyną pociechą jest to, że wcześniej czy później powinie wam się noga. Robicie się zbyt chciwi i próbowacie wcisnąć komuś coś tak żalospnego jak to. Nie chcę pana tu więcej widzieć, panie Merrill.

Papcio miał w ustach fajkę, a w drżącej ręce zapalną Diamond Blue Tip. McCarty wycelował w niego palcem, który gdy spojrzano się w jego lodowate oczy, wyglądał jak lufa pistoletu.

– A jeśli spróbuje pan tu zapalić to śmierdzące świństwo, każę Joemu wyrwać panu fajkę z ust i wrzucić jej zawartość w spodnie – oznajmił. – Więc jeśli nie chce pan stąd wyjść z płonąym chudym tyłkiem, proponuję...

– Co się z panem dzieje, panie McCarty? – jęknął Papcio. – Te zdjęcia nie wyszły z aparatu wywołane! Widział pan na własne oczy proces wywoływania!

– To emulsja, którą potrafi przygotować każdy dzieciak z zestawem małego chemika za dwanaście dolców – odparł chłodno McCarty. – Nie jest to dokładnie taki sam utrwalacz jak ten, którego używają w zakładach Polaroida, ale coś zbliżonego. Naświetla pan te swoje zdjęcia... albo robi pan je z klatek filmu, jeśli tak właśnie pan to wykombinował... następnie zabiera je pan do normalnej ciemni i maluje tym roztworem. Kiedy wyschną, ładuje je pan do aparatu. Wyskakując z niego, wyglądają jak typowe niewywołane jeszcze polaroidowe zdjęcia. Ciemnoszare kwadraty w białej obwódce. Następnie światło pada na tę emulsję domowego wyrobu, zachodzi reakcja chemiczna, emulsja wyparowuje i widzimy zdjęcie, które zrobił pan kilka godzin, kilka dni albo kilka tygodni wcześniej. Joe?

Zanim Papcio zdążył powiedzieć cokolwiek więcej, złapano go pod pachy i nie tyle wyszedł, co został wyprowadzony z przestronnego i przeszklonego salonu. I tak by zresztą nic nie powiedział. Dobry biznesmen musi wiedzieć, kiedy przegrał z kretelem – to kolejna rzecz, bez której trudno robić interesy. Mimo to miał ochotę krzyknąć przez ramię: „Jakaś durna cipa

z farbowanymi włosami i kryształową kulą, którą zamówiła w »Fate«, unosi w ciemnym pokoju książkę, lampę albo arkusz pieprzonej partytury, i sra pan po nogach z wrażenia, ale kiedy pokazuję panu aparat, który robi zdjęcia z jakiegoś innego świata, każe mnie pan złapać za kark i wyrzucić z domu! Naprawdę pojechało się panu w głowie! Ale to nic! Są jeszcze inne rybki w jeziorze!”.

I rzeczywiście były.

Piątego października Papcio wsiadł do swojego idealnie utrzymanego samochodu i pojechał do Portlandu, żeby złożyć wizytę Ropnym Siostram.

...

Ropne Siostry były dwiema mieszkającymi w Portlandzie identycznymi bliźniaczkami. Miały koło osiemdziesiątki, ale wydawały się starsze od Stonehenge. Kopały bez przerwy papierosy Camel i robiły to od ukończenia siedemnastego roku życia, o czym każdego chętnie informowały. Kiedy – co zdarzało się nader rzadko – opuszczały swoją utrzymaną w kolonialnym stylu rezydencję z czerwonej cegły, były wożone przypominającym karawan lincolnem continental z 1958 roku. Pojazdem tym kierowała czarna kobieta, trochę tylko młodsza od Ropnych Sióstr, która sprawiała wrażenie niemowy, ale mogła też być czymś o wiele bardziej osobliwym: jedną z niewielu autentycznie małomównych istot ludzkich, które Bóg powołał kiedykolwiek do życia. Papcio nie wiedział tego i nigdy o to nie zapytał. Robił interesy z dwiema paniami od prawie trzydziestu lat i czarna kobieta była u nich przez cały ten czas; prowadziła przeważnie samochód, czasami go myła, czasami kosila trawę albo przystrzygała żywopłot wokół domu, a czasami chodziła do skrzynki pocztowej na rogu z listami, które Ropne Siostry pisały Bóg wie do kogo (Papcio nie wiedział również, czy czarna kobieta kiedykolwiek weszła i czy w ogóle wolno jej było wchodzić do

domu, lecz nigdy jej tam nie widział), i przez wszystkie te lata nigdy nie słyszał, by ta cudowna istota się odezwała.

Kolonialna rezydencja stała w dzielnicy o nazwie Bramhall, która jest dla Portlandu tym, czym Beacon Hill dla Bostonu. W tym drugim mieście, krainie dorsza i fasoli, mówi się, że Cabotowie rozmawiają tylko z Lowellami, a Lowellowie rozmawiają tylko z Panem Bogiem, ale Ropne Siostry wraz z kilkorgiem żyjących jeszcze w Portlandzie ich rówieśników mogły zaświadczyć i spokojnie zaświadczały, że Lowellowie przerobili prywatne połączenie na telefon towarzyski kilka lat po tym, jak Deere'owie i współcześni im mieszkańcy Portlandu położyli pierwsze kable.

I oczywiście nikt o zdrowych zmysłach nie użyłby określenia „Ropne Siostry” w ich obecności, podobnie jak nikt o zdrowych zmysłach nie wsadziłby nosa w piłę taśmową, by pozbyć się uciążliwego swędzenia. Mówiło się o nich „Ropne Siostry”, kiedy pań nie było w pobliżu (i kiedy miało się pewność, że w towarzystwie nie ma jakiejś papli), ale tak naprawdę nazywały się panna Eleusippus Deere i pani Meleusippus Verrill. Ich ojciec, pragnąc popisać się jednocześnie żarliwą pobożnością i wielką erudycją, nadał im imiona dwojga z trojaczków, które wszystkie zostały kanonizowane... ale które były, niestety, płci męskiej.

Tak się złożyło, że mąż Meleusippus zginął dawno temu w bitwie w zatoce Leyte w 1944 roku, lecz ona zachowała jego nazwisko, co nie pozwalało na ułatwienie sobie zadania i zwracanie się do nich po prostu „panny Deere”. Nie, trzeba było ćwiczyć wymowę tych cholernych wykręcających język imion do momentu, gdy wychodziły z ust równie gładko jak gówno z nawoskowanego tyłka. Jeśli człowiek pomylił się choć raz, miały mu to za złe i można było na pół roku, a nawet na rok stracić dwie klientki. Jeśli pomylił się dwa razy, mógł już do nich nie dzwonić. Nigdy.

Papcio jechał, wioząc obok siebie na fotelu stalową kasetkę z polaroidem, i powtarzał po wielokroć półgłosem ich imiona:

– Eleusippus. Meleusippus. Eleusippus i Meleusippus. A jakże. Teraz w porządku.

Okazało się to jednak jedyną rzeczą, która była w porządku. Ropne Siostry podobnie jak McCarty nie miały najmniejszego zamiaru nabyć aparatu... chociaż wstrząśnięty tamtą odmową Papcio gotów był zadowolić się ceną obniżoną do połowy, czyli o dziesięć tysięcy dolarów niższą od tej, za którą pierwotnie chciał go sprzedać.

Stara czarna kobieta grabiła liście, odsłaniając trawnik, który choć zaczął się już październik, był nadal zielony jak filc na stole bilardowym. Papcio skinął jej głową. Stara spojrzała na niego jak na powietrze i dalej grabiła liście. Papcio wcisnął przycisk przy drzwiach i gdzieś we wnętrzu domu zabrzączał dzwonek. Słowo „rezydencja” w idealny sposób pasowało do domostwa Ropnych Sióstr. Chociaż nie było nawet w przybliżeniu tak duże jak niektóre inne domy w Bramhall, panujący w środku półmrok powodował, że robiło wrażenie o wiele większego. Odgłos dzwonka naprawdę wydawał się biec przez wiele pomieszczeń i korytarzy i w umyśle Papcia zawsze wywoływał wizję wywożącego zmarłych furgonu, przemierzającego ulice Londynu podczas zarazy, i jego woźnicy, który pociągał nieprzerwanie za dzwon i wołał: „Wynieście umarłaków! Wynieście umarłaków! Na miłość Chrystusa, wynieście umarłaków!”.

Ropna Siostra, która otworzyła mu drzwi mniej więcej trzydzieści sekund później, wydawała się nie tylko martwa, ale i zabalsamowana: mumia, w której usta ktoś wcisnął dla żartu żarzący się niedopałek.

– Merrill – przemówiła. Jej suknia była ciemnoniebieska, włosy w tym samym kolorze. Usiłowała zwracać się do niego tak, jak wielka dama zwraca się do domokrażcy, który przez pomyłkę zadzwonił do niewłaściwych drzwi, ale Papcio widział, że jest na swój sposób tak samo podekscytowana, jak był początkowo podekscytowany ten sukinsyn McCarty; chodziło o to, że Ropne Siostry urodziły się, dorastały i miały dokonać żywota w Maine, podczas gdy McCarty pochodził z jakiegoś zadupia na

Środkowym Zachodzie, gdzie sztuka lapidarności nie stanowi, jak widać, tak ważnego elementu wychowania dziecka.

W końcu holu, gdzieś przy wejściu do saloniku, mignął mu jakiś cień widoczny wyłącznie nad kościstym ramieniem siostry, która otworzyła drzwi. Druga siostra. Och, były z całą pewnością zaintrygowane. Papcio zaczął się zastanawiać, czy nie uda mu się jednak wycisnąć z nich dwunastu patoli. Może nawet czternastu.

Wiedział, że mógł powiedzieć: „Czy mam zaszczyt mówić z panną Deere czy z panią Verill?” i będzie to całkowicie poprawne i grzeczne, ale robił już wcześniej interesy z tymi dwiema ekscentrycznymi purchawami i zdawał sobie sprawę, że choć ta, co otworzyła drzwi, wyjawi mu po prostu, nie unosząc nawet brwi ani nie rozchylając nozdrzy, z którą z nich ma do czynienia, to jednak postępując w ten sposób, straci co najmniej tysiąc dolarów. Obie szczyły się swoimi dziwacznymi męskimi imionami i skłonne były spoglądać łaskawszym okiem na kogoś, kto próbował i komu się nie powiodło, niż na kogoś, kto wybrał tchórzliwe wyjście.

Modląc się więc w duchu o to, by teraz, gdy nadszedł odpowiedni moment, nie połamać sobie na tych dziwacznych sylabach języka, dał z siebie wszystko, i z radością przekonał się, że oba imiona padły z jego ust z podobną swadą, z jaką sprzedawca oleju węzowego namawia do kupna swego specyfiku.

– Czy mam przyjemność z panią Eleusippus czy z Meleusippus? – zapytał z miną, która sugerowała, że prawidłowe wymówienie ich imion nie przysparza mu więcej kłopotu, niż gdyby nazywały się Joan i Kate.

– Z Meleusippos, panie Merrill – odparła.

Ach, znakomicie, więc teraz był już PANEM Merrillem, i nie miał wątpliwości, że wszystko pójdzie tak dobrze, jak tylko można sobie życzyć – myśląc się w tej kwestii tak głęboko, jak tylko można się mylić.

– Dziękuję uprzejmie – odparł i zagłębił się w mroczne czeluście Dworu Deere’ów.

...

– O mój Boże – mruknęła Eleusippus Deere, kiedy zdjęcie zaczęło się rozjaśniać.

– Ale z niego bestia – rzuciła Meleusippus Verrill z autentycznym niepokojem i lękiem w głosie.

Pies stawał się coraz bardziej szkaradny, Papcio musiał to przyznać, i było coś, co jeszcze bardziej go martwiło: czas między poszczególnymi ujęciami najwyraźniej przyspieszył biegu.

Usadził Ropne Siostry do pokazowego zdjęcia na ich kanapie w stylu królowej Anny. Aparat błysnął jaskrawym białym światłem, zmieniając na jedną chwilę pokój z zawieszzonego między krainą żywych i krainą zmarłych czyśćca, w którym wegetowały te dwa relikty przeszłości, w coś płaskiego i jarmarcznego, podobnego do policyjnej fotografii muzeum, gdzie została popełniona zbrodnia.

Tyle że zdjęcie, które wysunęło się z aparatu, nie przedstawiało Ropnych Sióstr siedzących, niczym identyczne podpórki do książek, na kanapie w saloniku. Zdjęcie przedstawiało czarnego psa, który obrócił się tak, że stał teraz przodem do aparatu oraz fotografa mającego dość odwagi, by nadal pstrykać mu fotki. Teraz wszystkie jego zęby były obnażone we wściekłym morderczym grymasie, a pysk drapieźnie przechylony w lewo. Kiedy pies rzuci się na swoją ofiarę, ten pysk, pomyślał Papcio, będzie się nadal przechylał, osłaniając przed możliwym atakiem wrażliwą szyję i ustawiając łeb tak, że kiedy zęby zacisną się już na ciele ofiary, będzie mógł przekręcić go z powrotem i oderwać wielki kawał żywej tkanki.

– Jest taki okropny! – powiedziała Eleusippus, przyciskając dłoń do łuszczącej się na szyi skóry.

– Taki przerażający! – jęknęła Meleusippus, zapalając nowego camela od niedopałka poprzedniego. Ręka drżała jej tak mocno, że o mało nie przypaliła sobie przy tym lewego kącika popękanych i spierzchniętych ust.

– To kompletnie NIE-WY-tłumaczalne – oświadczył triumfalnym tonem Papcio.

Żałuję, że cię tu nie ma, McCarty, pomyślał. Ty żałosny dupku. Po prostu żałuję, że cię tutaj nie ma. Te dwie panie, które z niejednego pieca chleb jadły, wcale nie uważają, że ten cholerny aparat wyczynia tanie sztuczki!

– Czy to przedstawia coś, co wydarzyło się w przeszłości? – zapytała szeptem Meleusippus.

– Czy coś, co dopiero się wydarzy? – dodała Eleusippus równie nabożnym szeptem.

– Nie mam pojęcia – odparł Papcio. – Wiem tylko, że widziałem w życiu różne cholernie dziwne rzeczy, ale to bije je wszystkie na głowę.

– Wcale się nie dziwię! – zakrzyknęła Eleusippus.

– Ja też – dodała Meleusippus.

Papcio zamierzał już skierować rozmowę na temat ceny – co zawsze wymagało wielkiej delikatności, ale nigdy tak wielkiej jak w przypadku Ropnych Sióstr; kiedy zaczynały się twarde negocjacje, były drażliwe niczym panny obnoszące się ze swoim dziewictwem – którego z tego, co wiedział Papcio, przynajmniej jedna z nich dotąd nie straciła. Zastanawiał się właśnie, czy w tym wypadku dobra będzie preambuła „Szczерze mówiąc, nigdy nie przyszło mi na myśl, żeby sprzedać coś takiego, ale...” (akurat taki wstęp był starszy nawet od Ropnych Sióstr – choć kiedy człowiek dobrze im się przyjrzał, musiał stwierdzić, że prawdopodobnie niezbyt wiele – lecz gdy miało się do czynienia z Szalonymi Kapelusznikami, było to zupełnie nieistotne; w gruncie rzeczy lubili takie wstępy, podobnie jak małe dzieci lubią słuchać stale tych samych bajek) i w tym momencie Eleusippus kompletnie wyprowadziła go z równowagi, mówiąc:

– Nie wiem, jak moja siostra, panie Merrill, ale ja czułabym się nieswojo, oglądając cokolwiek, co ma nam pan... – tu nastąpiła krótka, bolesna przerwa – do zaoferowania w sensie biznesowym, dopóki nie odniesie pan... tego aparatu czy

czymkolwiek jest ten bezbożny przedmiot... z powrotem do swojego auta.

– Nie mogłabym się bardziej zgodzić – zaćwierkała Meleusippus, gasząc wypalonego do połowy camela w popielniczce w kształcie ryby, z której wysypywały się niedopałki.

– Fotografie duchów to co innego – zauważyła Eleusippus. – Jest w nich pewien...

– Majestat – dokończyła za nią Meleusippus.

– Tak jest! Majestat! Natomiast ten pies... – Jej siostrę przeszedł autentyczny dreszcz. – Wygląda, jakby mógł normalnie wyskoczyć z tej fotografii i pogryźć jedno z nas.

– Pogryźć nas wszystkich – rozwinęła jej myśl Meleusippus.

Dopóki nie usłyszał tej ostatniej wymiany zdań, Papcio był przekonany, że siostry zaczynają się po prostu targować i że robią to w podziw godnym stylu. Jednakże ton ich głosów harmonizujący z ich minami i figurami (jeśli można było powiedzieć, że mają jakiegokolwiek figury) nie pozwalał mu odrzucić uwag tych kobiet jako niewiarygodnych. Siostry nie miały wątpliwości, że aparat przejawia jakiś rodzaj paranormalnej aktywności... tyle że – jak na ich gust – była ona zbyt paranormalna. Nie targowały się; nie udawały; nie grały z nim w kulki, żeby obniżyć cenę. Kiedy oświadczyły, że nie interesuje ich ani ten aparat, ani dziwne rzeczy, które wyprawia, właśnie to miały na myśli. Nie chciały też zachować się wobec niego nieuprzejmie (bo w ich mniemaniu byłoby to nieuprzejmością), przypuszczając i w ogóle dopuszczając do siebie możliwość, że złożył im wizytę, by go sprzedać.

Papcio rozejrzał się po saloniku. Przypominał pokój starszej pani w horrorze, który oglądał kiedyś na wideo – w chłampie pod tytułem *Spalone ofiary*, gdzie wielki spasiony facet próbuje utopić syna w basenie, ale żaden z nich nie zdejmuje nawet ubrania. Pokój tamtej starszej pani był wypełniony, przepełniony, właściwie napakowany starymi i nowymi fotografiami. Stały w najprzeróżniejszych ramkach na stolikach i kominku i wisiało

ich na ścianach tyle, że trudno było nawet zobaczyć, jaki wzór mają pieprzone tapety.

Salonik Ropnych Sióstr nie był aż tak szkaradny, ale tu też było mnóstwo fotografii – może nawet sto pięćdziesiąt, co w tak niewielkim i mrocznym pomieszczeniu mogło sprawiać wrażenie, że jest ich trzy razy tyle. Papcio bywał tu dość często, by rzucić przelotnie okiem na większość, a pewne znał nawet lepiej, bo to on właśnie sprzedał je Eleusippus i Meleusippus.

Siostry miały o wiele więcej „fotografii z duchami”, jak nazywała je Eleusippus Deere, łącznie, być może, nawet tysiąc, ale najwyraźniej nawet one zdały sobie sprawę, że rozmiary saloniku są ograniczone przynajmniej w kategoriach przestrzeni, jeśli nie dobrego smaku. Pozostałe zdjęcia znajdowały się w innych czternastu pokojach rezydencji. Papcio widział je wszystkie. Należał do uprzywilejowanej garstki gości, którzy dostąpili zaszczytu czegoś, co Ropne Siostry określały z górnolotną skromnością mianem „zwiedzania”. Ale to tutaj, w saloniku, trzymały najcenniejsze „fotografie z duchami”, z najcenniejszą ze wszystkich, która przyciągała wzrok, stojąc samotnie na zamkniętym salonowym fortepianie Steinwaya przy wykuszowych oknach. Widać było na niej lewitujące nad trumną zwłoki, którym przyglądało się pięćdziesięciu, sześćdziesięciu przerażonych żałobników. Było to oczywiście szachrajstwo. Mogło to poznać dziesięcioletnie... do diabła, nawet ośmioletnie dziecko. W porównaniu z nim fotografie tańczących elfów, które tak urzekły pod koniec życia biednego Arthura Conan Doyle’a, mogły się wydać bardzo wyrafinowaną mistyfikacją. Tak naprawdę, rozglądając się po pokoju, Papcio dostrzegł tylko dwie fotografie, które nie zostały w oczywisty sposób sfabrykowane. Żeby odkryć, jaką zastosowano w nich sztuczkę, trzeba było im się dokładniej przyjrzeć. Tymczasem te dwie stare purchawy, które przez całe życie kolekcjonowały „fotografie z duchami” i uważały się za wielkie ekspertki w tej dziedzinie, zachowywały się niczym dwie nastolatki z horroru, kiedy pokazało im się nie zwykle paranormalne zdjęcie, ale cały cholerny aparat

fotograficzny, nie tylko wykonujący swoją sztukę, a potem mówiący pas (jak ten, który zrobił zdjęcie ducha kobiety obserwującej wracających do domu myśliwych), lecz powtarzający ją bez końca! A ile wydały do tej pory na eksponaty, które były zwykłym chłamedem? Tysiące? Dziesiątki tysięcy? Setki...?

– ...nam pokazać? – zapytała go Meleusippus.

Papcio Merrill wykrzywił usta w czymś, co musiało być całkiem niezłą imitacją Uśmiechu Pocziwego Prostaczka, bo na ich twarzach nie pojawiło się zdziwienie albo niedowierzanie.

– Wybaczcie mi, drogie panie, ale mój umysł pracował przez minutę albo dwie na jałowym biegu – powiedział. – W miarę upływu lat zdarza się to chyba nam wszystkim.

– Mamy osiemdziesiąt trzy lata i nasze umysły są czyste jak szyby w oknach – oznajmiła Eleusippus z wyraźną dezaprobatą.

– Jak szyby w świeżo umytych oknach – podkreśliła Meleusippus. – Pytałam, czy ma pan jakieś nowe fotografie, które chciałby nam pan pokazać... kiedy odniesie już pan oczywiście to szkaradzieństwo do samochodu.

– Już od wieków nie widziałyśmy naprawdę dobrych nowych zdjęć – powiedziała Eleusippus, zapalając następnego camela.

– W zeszłym miesiącu pojechałyśmy do Providence na Kongres Tarota i Zjawisk Paranormalnych Nowej Anglii – dodała Meleusippus – i chociaż prelekcje były ciekawe...

– ...i podnoszące na duchu...

– ...to wiele fotografii było oczywistymi fałszerstwami! Poznałoby to nawet dziesięcioletnie...

– ...siedmioletnie...

– ...dziecko! Dlatego... – Meleusippus urwała i jej twarz wykrzywiła się w wyrazie konsternacji, który mógł sprawiać jej ból (jeśli wzięło się pod uwagę, że mięśnie tej twarzy od bardzo dawna zastygły w wyrazie łagodnego zadowolenia i głębokiej wiedzy) – ...dlatego jestem zdumiona, panie Merrill. Muszę przyznać, że jestem zdumiona.

– Miałam właśnie zamiar powiedzieć to samo – oświadczyła Eleusippus.

– Dlaczego przyniósł pan to szkaradzieństwo? – zapytały Meleusippus i Eleusippus w idealnej harmonii, którą zakłócała tylko nikotynowa chryпка w ich głosach.

Pokusa, by oznajmić „Bo nie wiedziałem, jakie z was tchórzliwe stare raszple”, była tak silna, że przez krótką chwilę Papcio uwierzył, że rzeczywiście to powiedział, i czekał struchlały na rozbrzmiewający w mrocznym wnętrzu salonu bliźniaczy krzyk oburzenia, krzyk, który będzie rósł i rósł niczym jazgot wgrzających się w twarde sękate drewno zardzewiałych pił taśmowych, aż w końcu, w dreszczu wibracji rozprysnie się szkło w ramach wszystkich sfabrykowanych fotografii.

Wrażenie, że wypowiedział coś tak strasznego, trwało tylko przez ułamek sekundy, ale kiedy myślał o tym później w bezsenne noce, słuchając szeleszczących na dole zaspanych zegarów (podczas gdy należący do Kevina Delevana polaroid czaił się czujnie w zamkniętej szufladzie stołu roboczego), tamta chwila wydawała mu się znacznie dłuższa. Czasami żałował wówczas, że rzeczywiście tego nie zrobił, i zastanawiał się, czy nie odchodzi przypadkiem od zmysłów.

W rzeczywistości zrobił coś, co świadczyło o jego szybkim refleksie i niezawodnym instynkcie samozachowawczym. Wygarnięcie Ropnym Siostron, co o nich myśli, dałoby mu olbrzymią satysfakcję, ale byłaby to, niestety, satysfakcja bardzo krótkotrwała. Gdyby natomiast zdecydował się im w dalszym ciągu kadzić – a tego właśnie się spodziewały, ponieważ kadzono im przez całe życie (choć raczej nie robiło im to dobrze na cerę) – mógł liczyć, że jeśli nie zachorują na raka płuc, który powinien upomnieć się o jedną lub obie już przed kilkunastu laty, wyciągnie jeszcze od nich trzy albo cztery tysiączki, wciskając im kolejne „fotografie z duchami”.

Papcio miał oczywiście w archiwum w swojej głowie innych Szalonych Kapeluszników, nie było ich jednak aż tylu, jak mu się wydawało w dniu, kiedy wyruszał do Cedrica McCarty’ego.

Krótką weryfikacja wykazała, że dwóch zmarło, a jeden uczył się aktualnie wyplatania koszyków w mieszczącym się w północnej Kalifornii ekskluzywnym sanatorium dla osób, które były jednocześnie nieprzyzwoicie bogate i nieuleczalnie obłąkane.

– Właściwie przywiozłem ten aparat, żebyście mogły panie mu się przyjrzeć... – powiedział. – Wiem bowiem, jeśli wolno mi tak powiedzieć – dodał szybko, widząc malującą się na ich twarzach dezorientację – jak wielkie doświadczenie mają panie w tej dziedzinie.

Dezorientacja ustąpiła miejsca satysfakcji; siostry wymieniły między sobą porozumiewawcze spojrzenia i Papcio miał ochotę spryskać kilka paczek ich cholernych cameli płynem do rozpalania grilla, wetknąć im je w ciasne staropanieńskie tyłki i zapalić zapałkę. Wtedy by dopiero zadymiły. Zadymiłyby dokładnie jak zatkane kominy, jeśli wolno mu było tak powiedzieć.

– Pomyślałem, że mogłybyście panie dać mi radę, co powinienem zrobić z tym aparatem, jeśli wolno mi tak powiedzieć – zakończył.

– Zniszczyć go – odparła natychmiast Eleusippus.

– Ja użyłabym dynamitu – powiedziała Meleusippus.

– Najpierw kwasu, potem dynamitu – uściśliła Eleusippus.

– Święta racja – zakończyła Meleusippus. – Jest niebezpieczny.

Nie trzeba patrzeć na tego piekielnego psa, żeby to wiedzieć.

Mimo to popatrzyła; popatrzyły obie i na ich twarzach odmalował się identyczny wstręt i lęk.

– Czuć emanujące z niego czyste zło – powiedziała Eleusippus złowieszczym tonem, który powinien wzbudzać śmiech, ale wcale go nie wzbudzał, mimo że zabrzmiało to, jakby licealistka grała wiedznię z *Makbeta*. – Niech pan go zniszczy, panie Merrill. Zanim zdarzy się coś strasznego. Zanim, być może... niech pan zauważy, że mówię „być może”... on zniszczy pana.

– Ależ, moje panie – mruknął Papcio, zdając sobie z irytacją sprawę, że mimo wszystko czuje się trochę nieswojo – chyba

trochę przesadzacie. To w końcu tylko aparat, jeśli wolno mi tak powiedzieć.

– Podobnie jak plansza, która kilka lat temu wylupiała oko biednej Colette Simineaux – odezwała się cicho Eleusippus Deere.

– Była tylko kawałkiem dykty.

– Przynajmniej do momentu, kiedy ci głupi, głupi, GŁUPI ludzie nie położyli na niej palców i jej nie obudzili – dodała jeszcze ciszej Meleusippus.

Nic więcej nie zostało już chyba do powiedzenia. Papcio zabrał aparat – uważając, by wziąć go za pasek i nie dotykać samego urządzenia, choć powtarzał sobie, że robi to tylko ze względu na te dwie stare pindy – i wstał.

– No cóż, panie są ekspertkami – powiedział. Dwie starsze panie popatrzyły na siebie z dumą.

Tak jest: odwrót. Odpowiedzią był odwrót, przynajmniej na razie. Ale Papcio jeszcze nie skończył. Każdy ma swoją szansę, to jest pewne jak w banku.

– Nie chciałbym zawracać paniom dłuższej głowy i z całą pewnością nie chcę sprawiać ambarasu.

– Och, wcale pan nie sprawia! – zapewniła go Eleusippus, wstając.

– Ostatnio tak rzadko odwiedzają nas goście! – poskarżyła się Meleusippus, również wstając.

– Niech pan to odniesie do samochodu, panie Merrill – powiedziała Eleusippus. – A potem...

– ...wróci na herbatę.

– Herbatę i podwieczorek!

I chociaż Papcio niczego nie pragnął bardziej, niż się stamtąd wynieść (i dokładnie tak im powiedzieć: „Dziękuję, ale nie; chcę się stąd, kurwa, jak najszybciej wynieść”), grzecznie się uklonił i tak samo grzecznie przeprosił.

– Z przyjemnością bym został, ale, niestety, mam jeszcze inne spotkanie. Nie przyjeżdżam do miasta tak często, jak bym chciał. – Jeśli człowiek ma wygłosić jedno kłamstwo, równie dobrze może ich wygłosić dziesięć, mówił często Papciowi jego własny

papcio, i była to rada, którą młody Papcio wziął sobie do serca. Celowo spojrział na zegarek. – I tak już się zasiedziałem. Obawiam się, że całkiem sporo się przez was spóźnię, dziewczyny, ale przypuszczam, że nie jestem pierwszym facetem, którego to przez was spotkało.

Siostry zachichotały i na ich policzkach zakwitły identyczne rumieńce podobne do blasku bardzo starych róż.

– Ależ, panie Merrill! – zaczęła Eleusippus.

– Zaproście mnie następnym razem – dodał, uśmiechając się tak szeroko, że miał wrażenie, że zaraz szczeka wypadnie mu z zawiasów. – Zaproście mnie następnym razem, na lorda Harry’ego! Po prostu zaproście, to przekonacie się, że powiem „tak” prędzej niż koń skacze przez przeszkodę!

Papcio wyszedł na zewnątrz i kiedy jedna z nich zamknęła za nim szybko drzwi (może bały się, że od słońca wyblakną ich cholerne „fotografie z duchami”, pomyślał z goryczą), odwrócił się i pstryknął polaroidem starą czarnoskórą kobietę, która nadal grabiła liście. Zrobił to pod wpływem impulsu, podobnie jak człowiek o złych skłonnościach może pod wpływem impulsu skrócić na wiejskiej drodze, żeby zabić skunka lub szopa pracza.

Czarnoskóra kobieta podniosła górną wargę w gniewnym grymasie i ku osłupieniu Papcia autentycznie pokazała mu gest odczyniający zły urok.

Wsiadł do samochodu i cofnął się szybko podjazdem.

Auto wyjechało już do połowy na ulicę, kiedy jego wzrok padł przypadkiem na zrobione przed chwilą zdjęcie. Nie było jeszcze gotowe; jego powierzchnia miała mlecznobiały odcień, taki sam jak na wszystkich nie do końca wywołanych polaroidowych fotografiach.

Obraz był jednak na tyle wyraźny, że kiedy Papcio spojrział na zdjęcie, oddech stanął mu nagle w krtani niczym cichnąca nie wiadomo dlaczego bryza. Serce zamarło mu w piersi w pół uderzenia.

To, czego się spodziewał Kevin, właśnie się działo. Pies przestał się obracać i zaczął się właśnie w nieubłagany,

nieunikniony, nieodwołalny sposób zbliżyć do aparatu i do osoby, która go trzymała... choć tym razem to przecież on go trzymał, tak czy nie? To on, Reginald Marion „Papcio” Merrill, podniósł go i w przypływie złości zrobił zdjęcie starej czarnoskórej kobiecie, zupełnie niczym zlany pasem dzieciak, który strzela z wiatrówki do stojącej na słupku butelki po oranżadzie, ponieważ nie może oczywiście strzelić do ojca, chociaż, upokorzony i obolały po laniu, zrobiłby to o wiele chętniej.

Pies zbliżał się. Kevin wiedział, że do tego dojdzie, i Papcio też by to wiedział, gdyby miał okazję się nad tym zastanowić – choć kiedy myślał odtąd o tym aparacie, trudno mu było myśleć o czymkolwiek innym i przekonał się, że te myśli wypełniają coraz więcej jego czasu, zarówno na jawie, jak i we śnie.

Zbliża się, pomyślał Papcio z rodzajem paraliżującej grozy, którą może odczuwać stojący w ciemności człowiek, kiedy jakieś niewymowne i niewyobrażalne Coś zbliża się z ostrymi jak brzytwa kłami i pazurami. O mój Boże, zbliża się, ten pies się zbliża.

Ale on nie tylko się zbliżał; on się zmieniał.

Nie sposób było powiedzieć jak. Papcia bolały oczy, rozdarte między tym, co powinny widzieć, i tym, co naprawdę widziały, i ostatecznie jedyną rzeczą, jaką zauważył, było coś mało istotnego: wyglądało to, jakby ktoś wymienił obiektyw w aparacie, z normalnego na rybnie oko, tak że czoło psa z jego splątanymi kudłami wydawało się jednocześnie pęcznić i cofać, a w morderczych ślepiach migotały ledwie widoczne czerwone rozbłyski podobne do iskier, jakie pojawiają się czasem w oczach ludzi pod wpływem polaroidowego flesza.

Pies jakby się wydłużył, ale nie stał się przez to bardziej wysmukły; wprost przeciwnie, wydawał się bardziej masywny – nie grubszy, ale bardziej umięśniony.

I jego zęby były większe. Dłuższe. Ostrzejsze.

Papcio przypomniał sobie nagle należącego do Joego Cambera bernardyna, Cujo – tego, który zabił Joego, tego starego pijacynę

Gary'ego Perviera i Dużego George'a Bannermana. Pies dostał wścieklizny. Kobieta i mały chłopiec schronili się przed nim w samochodzie przy domu Cambera i po dwóch albo trzech dniach dzieciak zmarł. I teraz Papcio zaczął się zastanawiać, czy to właśnie widzieli w trakcie tych długich dni i nocy dzieciak i jego matka uwięzieni w nagrzanym wnętrzu samochodu; to albo coś podobnego, mętne czerwone ślepia i długie ostre kły...

Tuż obok zatrąbił niecierpliwie klakson.

Papcio krzyknął i jego serce nie tylko zaskoczyło, ale ruszyło z kopyta niczym silnik bolidu Formuły Pierwszej.

Jakaś furgonetka ominęła jego samochód, wciąż stojący w połowie na podjeździe i w połowie na wąskiej willowej uliczce. Jej kierowca wystawił przez otwarte okno pięść i pokazał mu środkowy palec.

– Pocałuj mnie w dupę, ty skurwysynu! – wrzasnął Papcio, po czym wycofał się do końca z podjazdu, ale tak chaotycznie, że uderzył kołem o krawężnik po drugiej stronie ulicy. Szarpnął gwałtownie kierownicą (wciskając przy tym niechcący własny klakson), po czym odjechał. Ale trzy przecznice dalej musiał się zatrzymać i przez dziesięć minut czekał, aż przestanie się cały trząść i będzie mógł ruszyć dalej.

To tyle, jeśli chodzi o Ropne Siostry.

...

Przez następne pięć dni Papcio analizował pozostałe nazwiska ze swojej listy. Jego cena wywoławcza, która wynosiła dwadzieścia tysięcy dolarów w przypadku McCarty'ego i spadła do dziesięciu tysięcy, kiedy pojechał do Ropnych Sióstr (choć i w jednym, i w drugim przypadku pertraktacje nie posunęły się na tyle daleko, by zdołał ją wymienić), spadała jeszcze bardziej, w miarę jak kończyli mu się klienci. Ostatecznie pozostał mu tylko Emory Chaffee i perspektywa realizacji zysku na poziomie dwóch i pół tysiąca.

Chaffee był chodzącym paradoksem: ze wszystkich Szalonych Kapeluszników, których poznał w swoim życiu Papcio – a było ich wielu i różnili się między sobą – Emory Chaffee był jedynym wyznawcą „tamtego świata” kompletnie pozbawionym wyobraźni. To, że tego rodzaju umysł mogły w ogóle zajmować kwestie „tamtego świata”, wydawało się zaskakujące; to, że wierzył w „tamten świat”, z trudem mieściło się w głowie; a to, że płacił niezłą forszę, by kolekcjonować przedmioty z nim związane, Papcio uznawał za coś absolutnie niepojętego. A jednak tak właśnie było i Papcio umieściłby go na swojej liście o wiele wyżej, gdyby nie irytujący fakt, że Chaffee był zdecydowanie najmniej zamożny w gronie tych, o których Papcio myślał jako o swoich „bogaty” Szalonych Kapelusznikach. Chaffee starał się dzielnie, choć niezbyt skutecznie, zachować nieroztrwonione jeszcze resztki wielkiej niegdyś rodzinnej fortuny. Stąd kolejne znaczne obniżenie przez Papcia ceny wywoławczej za polaroid Kevina.

A jednak, kombinował, podjeżdżając swoim samochodem pod budynek, który w latach dwudziestych był jedną z najelegantszych letnich rezydencji w Sebago’s Lake, a obecnie należał do najbardziej zaniedbanych tamtejszych całorocznych domów (dom Chaffeech w portlandzkiej dzielnicy Bramhall został już sprzedany za długi piętnaście lat wcześniej), jeśli ktokolwiek w ogóle kupi ten zasrany aparat, to będzie to właśnie Emory.

Jedyną rzeczą, która naprawdę go niepokoiła – i niepokój rósł, w miarę jak bezowocnie analizował kolejne pozycje na swojej liście – była konieczność zademonstrowania zdjęcia. Mógł do usranej śmierci opisywać to, co robił ten aparat, ale wiedział, że nawet taki stary dziwak jak Emory Chaffee nie wyłoży poważnej sumy na podstawie samego opisu.

Papcio dochodził chwilami do wniosku, że głupotą było poproszenie Kevina o zrobienie tych wszystkich zdjęć, by mógł z nich nagrać kasetę wideo. W gruncie rzeczy nie był jednak pewien, czy miało to jakiegokolwiek znaczenie. Czas upływał

również na tamtym świecie (bo, podobnie jak Kevin, Papcio zaczął o nim myśleć właśnie w ten sposób: jako o rzeczywistym świecie) i robił to znacznie wolniej niż na tym... Ale czyż nie przyśpieszał, w miarę jak pies zbliżał się do aparatu? Papcio uważał, że przyśpiesza. Ruch psa wzdłuż płotu był z początku prawie niewidoczny, a teraz chyba tylko ślepiec nie widziałby, że za każdym naciśnięciem migawki pies jest coraz bliżej. Widać było różnicę odległości, nawet kiedy robiło się dwa zdjęcia jedno po drugim. Zupełnie tak, jakby czas na tamtym świecie próbował... próbował w jakiś sposób dogonić i zrównać się z czasem tutaj.

Gdyby chodziło tylko o to, i tak byłoby fatalnie. Ale nie chodziło tylko o to.

To nie był pies, do cholery.

Papcio nie miał pojęcia, co to jest, ale wiedział na pewno, że to nie pies, podobnie jak wiedział na pewno, że jego matka leży na cmentarzu Homeland.

Wydawało mu się, że to pies, kiedy szedł, wężąc, wzdłuż płotu, który został teraz cztery metry z tyłu; wyglądał jak pies, chociaż wyjątkowo wredny, kiedy odwrócił łeb na tyle, że można się było dobrze przyjrzeć jego pyskowi.

Ale teraz nie przypominał Papciowi żadnego stworzenia, które kiedykolwiek żyło na bożej ziemi i prawdopodobnie również w piekle Lucyfera. Jeszcze bardziej martwiło go to, że ludzie, którym pokazywał te fotografie, najwyraźniej tego nie dostrzegali. Oczywiście wzdrygali się, oczywiście mówili, że to najbardziej szkaradny i wredny podwórkowy kundel, jakiego w życiu widzieli, ale na tym koniec. Żaden z nich nie odniósł wrażenia, że zbliżając się do fotografa, zbliżając się do obiektu, który mógł stanowić portal pomiędzy tym i tamtym światem, pies z polaroida Kevina zmienia się w jakieś monstrum.

Ale przecież on nigdy nie zdoła się tu przedostać, pomyślał znów Papcio (podobnie jak wcześniej Kevin). To stworzenie jest ZWIERZĘCIEM, być może, cholernie szkaradnym i nawet przerażającym, podobnym do tego, które dziecko wyobraża sobie

w swojej szafie po tym, jak mama zgasi światło, ale to przecież tylko ZWIERZĘ i jeśli coś w ogóle się zdarzy, będzie to wyglądało następująco: na ostatnim zdjęciu wszystko będzie rozmazane, ponieważ ten szatański pies skoczy, widać, że taki właśnie ma zamiar, i kiedy to się stanie, aparat przestanie działać, a jeśli nie przestanie, będzie robił zdjęcia, które po wywołaniu będą przedstawiać wyłącznie czarne kwadraty, bo nie sposób robić zdjęć aparatem, który ma rozbity obiektyw lub cały rozpadł się na kawałki, a jeśli osoba rzucająca ten cień upuści aparat, gdy ten szatański pies się na nią rzuci, co – moim zdaniem – zrobi z całą pewnością, wtedy aparat spadnie na chodnik i prawdopodobnie się rozbije. To dziadostwo jest przecież zrobione głównie z plastiku, a plastik i cement niezbyt się lubią.

Tymczasem Emory Chaffee wyszedł na swoją rozpadającą się werandę, z której spaczonych desek łuszczyły się płaty farby, a w osłaniających okna zardzewiałych siatkach o barwie zaschniętej krwi tu i tam ziały dziury; Emory Chaffee w dwurzędowej marynarce, która była kiedyś granatowa, ale prano ją już tyle razy, że nie różniła się kolorem od szarego uniformu windziarza; Emory Chaffee ze swoim cofniętym czołem, znikającym gdzieś wysoko pod nielicznymi włosami, jakie mu jeszcze zostały, i z uśmiechem w stylu „dzieńdoberek, co tam słyhać u szanownego pana dobrego, staruszku?”, w którym szczyrzył swe olbrzymie końskie zęby i wyglądał tak, jak wyglądałby, zdaniem Papcia, Królik Bugs, gdyby w katastrofalny sposób cofnął się w rozwoju umysłowym.

Papcio wziął aparat za pasek – Boże, jak on nienawidził tego ustrojstwa! – wysiadł z samochodu i z kolosalnym wysiłkiem odwzajemnił uśmiech, jakim powitał go ten facet.

W końcu to tylko interesy.

...

– Kawał paskudnego szczeniaka, nie sądzi pan?

Chaffee przyglądał się zdjęciu z polaroida, które było już prawie wywołane. Papcio wytłumaczył wcześniej, co takiego robi ten aparat, i zachęciło go szczere zainteresowanie Chaffeego. Następnie dał mu to ustrojstwo, prosząc, by sfotografował to, na co ma ochotę.

Emory Chaffee, szczerząc zęby w tym odrażającym końskim uśmiechu, skierował aparat na Papcia.

– Z wyjątkiem mnie – zaznaczył ten pośpiesznie. – Wolałbym raczej, żeby celował mi pan w głowę z dubeltówki, niż zrobił zdjęcie tym aparatem.

– Kiedy pan czymś handluje, naprawdę daje pan z siebie wszystko – stwierdził z podziwem Chaffee, ale posłuchał go i skierował obiektyw w stronę szerokiego panoramicznego okna z widokiem na jezioro, wspaniałym widokiem na okolicę tak samo bogatą, jak bogata była rodzina Chaffeec w tym złotym okresie, który zaczął się po pierwszej wojnie światowej i dobiegł końca gdzieś w latach siedemdziesiątych.

Nacisnął migawkę.

Aparat cicho zacmoktał.

Papcio skrzywił się. Odkrył ostatnio, że krzywi się za każdym razem, kiedy słyszy ten odgłos – to ciche lepkie cmoknięcie. Próbował powstrzymać swój mimowolny grymas i przekonał się z niepokojem, że nie potrafi.

...

– Tak, mój panie, to kawał cholernie paskudnej bestii! – powtórzył Chaffee po obejrzeniu wywołanego zdjęcia i Papcio z gorzkim zadowoleniem stwierdził, że z ust jego gospodarza zniknął już ten odrażający koński uśmiech. Aparat był w stanie działać przynajmniej tyle.

Mimo to było dla niego równie jasne, że facet nie widzi tego, co widział on. Przygotował się na taką ewentualność, lecz i tak był pod swoją obojętną jankeską maską poważnie wstrząśnięty. Wierzył, że gdyby Chaffeemu dana była moc (bo tym to chyba

było) ujrzenia tego, co on widział, głupi kutas dałby drapaką przez najbliższe drzwi.

Pies... to znaczy to nie był pies, już nie, ale trzeba go było przecież jakoś nazwać – nie skoczył jeszcze na fotografa, lecz się do tego szykował; jego zad i tylne nogi jednocześnie napinały się i zbliżały do anonimowego popękanego chodnika w sposób, który przypominał Papciowi podrasowane auto z młodym kierowcą za kółkiem: rwące się do startu, trzymane z trudem na końcówce sprzęgła przez tych kilka ostatnich sekund czerwonego światła, obrotomierz pokazujący sześć tysięcy obrotów na minutę, grube opony z głębokim bieżnikiem gotowe spalić asfalt w gorącym namiętym pocałunku.

Pysk psa trudno było w ogóle rozpoznać. Zmienił się w jakąś okropną rzecz z gabinetu osobliwości, w której tkwiło jedno ciemne złowrogie oko, nie okrągłe i nie owalne, lecz w jakiś sposób płynne niczym roztrzepane widelcem żółtko. Nos był czarnym dziobem z wywierconymi po obu stronach głębokimi rozszerzonymi nozdrzami. Czy z tych nozdrzy nie wydzielał się przypadkiem dym – podobny do pary buchającej z kominów wulkanu? Całkiem możliwe... a może Papcia poniosła tylko wyobraźnia.

To nie ma znaczenia, pomyślał. Trzeba tylko dalej naciskać migawkę albo pozwalać to robić głupcom takim jak ten, i na pewno się przekonamy.

On jednak nie chciał się przekonać. Spojrzał na to czarne zabójcze stworzenie, w którego zmierzwionej sierści tkwiło może nawet kilkadziesiąt zabłąkanych rzepów, stworzenie, które właściwie nie miało już futra, ale coś w rodzaju żywych kolców i ogon podobny do średniowiecznej maczugi. Skupił uwagę na cieniu, którego znaczenie dostrzegło tylko jakieś cholerne zasmarkane dziecko, i spostrzegł, że się zmienił. Jedna z nóg cienia cofnęła się chyba o krok – bardzo długi krok, nawet biorąc pod uwagę efekt zachodzącego lub wschodzącego słońca (raczej zachodziło; Papcio nabrał teraz pewności, że zachodzi; że na tamtym świecie wkrótce zacznie się noc, a nie dzień).

Fotograf na tamtym świecie zorientował się w końcu, że jego model nie ma zamiaru pozować do portretu; że to nigdy nie wchodziło w grę. Miał zamiar pożreć coś, nie pozować. Taki był od początku jego plan.

Pożreć coś i, być może, w sposób, którego nie rozumiał – uciec.

Przekonaj się! – pomyślał z ironią Papcio. Śmiało! Po prostu pstrykaj dalej zdjęcia! Przekonasz się, aż ci w pięty pójdzie!

– A z pana, mój panie, jest naprawdę nielichy sprzedawca! – mówił dalej Chaffee, ponieważ zamilkł tylko na moment; istoty o ograniczonej wyobraźni rzadko kiedy może powstrzymać coś tak trywialnego jak konieczność namysłu.

Papcio miał świeżo w pamięci to, co wydarzyło się w domu McCarty’ego, i nadal go to bolało.

– Jeśli uważa pan, że to podróbka... – zaczął.

– Podróbka? Skądże znowu! Skądże... znowu! – Koński uśmiech wykrzywił usta Chaffee’go w całym swoim odrażającym splendorze. Facet rozłożył szeroko ręce w geście oznaczającym „chyba pan żartuje”. – Obawiam się jednak, widzi pan, że nie dobijemy interesu, jeśli chodzi o ten artykuł. Przykro mi to mówić, ale...

– Dlaczego? – odpalił Papcio. – Skoro nie uważa pan, że ten cholerny aparat jest podróbką, dlaczego, do diabła, go pan nie chce? – Ze zdumieniem zdał sobie sprawę, że w jego głosie słyhać płaczącą, zawziętą furję. Nigdy jeszcze, w całej historii świata, nie było czegoś takiego, Papcio był tego pewien, i nigdy nie będzie. Mimo to prawdopodobnie nikomu nie zdoła opchnąć tego cholerstwa.

– Ale... – Chaffee zrobił niepewną minę, jakby nie wiedział, jak to wyrazić. Cokolwiek zamierzał powiedzieć, wydawało mu się to aż do bólu oczywiste. W tym momencie wyglądał jak sympatyczny, ale niezbyt lotny nauczyciel zerówki próbujący nauczyć cofnięte w rozwoju dziecko, jak wiąże się sznurowadła. – Ale przecież ten aparat nie robi nic...

– Jak to nie robi nic? – prawie wrzasnął Papcio. Trudno mu było uwierzyć, że do tego stopnia stracił nad sobą panowanie i tracił je nadal. Co się z nim działo? A dokładniej rzecz biorąc, co z nim robił ten kurewski aparat? – Nic nie robi? Jest pan ślepy? Robi zdjęcia tamtego świata! Robi zdjęcia, z których każde jest przesunięte w czasie w stosunku do poprzedniego bez względu na to, gdzie i kiedy robi pan je na tym świecie. A to... to stworzenie... to monstrum...

O Boże... No tak. W końcu mu się to przytrafiło. W końcu posunął się za daleko. Widział to po tym, jak patrzył na niego Chaffee.

– Ale to przecież tylko pies, nieprawdaż? – odezwał się jego gospodarz niskim, dodającym otuchy głosem. Takiego głosu używa się, żeby spróbować uspokoić szaleńca, kiedy pielęgniarki biegną do szafki, w której trzymają strzykawki i środki nasenne.

– A jakże – odparł powoli i ze zmęczeniem Papcio. – To tylko pies, nic więcej. Ale sam pan powiedział, że to kawał cholernie paskudnej bestii.

– Owszem, owszem, tak powiedziałem – przyznał Chaffee, godząc się z nim o wiele za szybko. Papcio miał wrażenie, że jeśli ten idiota uśmiechnie się jeszcze szerzej, będzie świadkiem, jak trzy czwarte jego głowy spada mu na kolana. – Ale chyba pan rozumie, panie Merrill... jakich problemów przysparza to kolekcjonerowi. Poważnemu kolekcjonerowi.

– Nie, obawiam się, że nie rozumiem – powiedział Papcio, chociaż po przeanalizowaniu całej listy Szalonych Kapeluszników, listy, która z początku wydawała się taka obiecująca, zaczął to rozumieć. W gruncie rzeczy powoli zdawał sobie sprawę z całej masy problemów, jakie Polaroid Sun 660 przysparzał poważnemu kolekcjonerowi. A co do Emory'ego Chaffeego... Bóg jeden wiedział, co myślał sobie Emory.

– Istnieje z całą pewnością coś takiego jak fotografie duchów – oświadczył Chaffee głębokim pedantycznym tonem, który sprawiał, że Papcio miał ochotę go udusić. – Ale to, co tu widzimy, to nie są fotografie duchów. To są...

– Jest chyba jasne jak cholera, że to nie są normalne fotografie!

– O to właśnie mi chodzi. – Chaffee zmarszczył lekko czoło. – Ale jakiego rodzaju to są fotografie? Trudno powiedzieć, prawda? Można tylko pokazać całkowicie normalny aparat, który robi zdjęcia psu najwyraźniej szykującemu się do skoku. A kiedy skoczy, zniknie z kadru. I wtedy może się zdarzyć jedna z trzech rzeczy. Aparat zacznie robić normalne zdjęcia, czyli zdjęcia rzeczy, na które skierowany jest obiektyw; albo nie zrobić już żadnych zdjęć, ponieważ zrealizował swój jedyny cel, którym było fotografowanie... można nawet powiedzieć, dokumentowanie... psa. Albo będzie dalej robić zdjęcia białego płotu i zaniedbanego trawnika. Przypuszczam – dodał po chwili Chaffee – że na czterdziestej... albo na czterechsetnej fotografii ktoś może tamtędy przechodzić, ale jeśli fotograf nie zmieni kąta robienia zdjęć, czego najwyraźniej nie zrobił na żadnym z dotychczasowych, zobaczymy tę przechodzącą osobę tylko od pasa w dół. Mniej więcej. Wybacz mi pan, że to powiem, panie Merrill, ale pokazał mi pan coś, czego nie spodziewałem się zobaczyć nigdy w życiu – dodał Chaffee, powtarzając słowa ojca Kevina, chociaż nie miał nawet pojęcia o jego istnieniu. – Niewytłumaczalne i prawie niepodważalne zjawisko paranormalne, które jest w gruncie rzeczy całkiem nudne.

To zaskakujące choć najwyraźniej szczerze stwierdzenie sprawiło, że Papcio przestał się przejmować tym, co Chaffee może sobie pomyśleć o jego zdrowiu psychicznym.

– Z tego, co pan widzi, to jest, pańskim zdaniem, to naprawdę zwyczajny pies? – zapytał.

– Naturalnie. Bezdomny kundel o wyjątkowo paskudnym charakterze – odparł lekko zaskoczony Chaffee i westchnął. – I całej tej historii nie można oczywiście traktować serio. To znaczy nie będą jej traktowali serio ludzie, którzy nie znają pana osobiście, panie Merrill. Ludzie, którym nie jest znana pańska uczciwość i solidność w tych kwestiach. Wygląda to na jakąś

sztuczkę, nie uważa pan? I to nawet niezbyt udaną. Coś w rodzaju dziecięcej Magicznej Kuli Numer Osiem.

Dwa tygodnie wcześniej Papcio stanowczo sprzeciwiłby się takiej interpretacji. Ale to było, zanim został wyproszony, a właściwie wyrzucony z domu tego sukinsyna McCarty'ego.

– Cóż, skoro to jest pańskie ostatnie słowo... – powiedział, wstając i biorąc aparat za pasek.

– Bardzo mi przykro, że fatygował się pan niepotrzebnie taki kawał drogi – odrzekł Chaffee... i nagle uraczył go znowu tym swoim potwornym uśmiechem, odsłaniając gumowate wargi i szczerząc lśniące od śliny wielkie zęby. – Kiedy pan przyjechał, miałem sobie właśnie zrobić kanapkę z mielonką. Ma pan może ochotę zjeść ze mną, panie Merrill? Nie chwaląc się, robię całkiem niezłe kanapki z mielonką. Dodaję trochę chrzanu i czerwonej cebuli... to mój sekret... a potem...

– Nie skorzystam – mruknął apatycznie Papcio. Podobnie jak w saloniku Ropnych Sióstr, pragnął tylko jak najszybciej stamtąd czmychnąć, znaleźć się jak najdalej od tego szczerzącego zęby idioty. Miał zdecydowaną alergię na miejsca, w których postawił wszystko na jedną kartę i przegrał. Ostatnio zrobiło się ich całkiem dużo. O wiele za dużo, do cholery. – Jestem już po obiedzie, jeśli wolno mi tak powiedzieć. Muszę wracać.

Chaffee głośno się roześmiał.

– Wielu pracowników trzodzi się w winnicach, ale plony będą obfite – powiedział.

Ostatnio nie za bardzo, pomyślał Papcio. Ostatnio nie zbierał żadnych pieprzonych plonów.

– Takie jest życie – odparł i w końcu wyniósł się z tego domu, w którym panowały ziało i wilgoć (Papcio nie potrafił sobie wyobrazić, jak mieszka się w takim domu na przykład w lutym) i unosił się mysi, stęchły odór wydzielany, być może, przez gnijące zasłony, okrycia kanap i takie tam... albo będący po prostu zapachem, który zostawiają po sobie pieniądze, kiedy spędziły dłuższy czas w jakimś miejscu, a potem je opuściły. Świeże październikowe powietrze przesycone leciutkim

zapachem jeziora i trochę silniejszą wonią sosnowych igieł jeszcze nigdy nie wydawało mu się tak wspaniałe.

Wsiadł do samochodu i uruchomił silnik. Emory Chaffee w przeciwieństwie do Ropnej Siostry, która odprowadziła go tylko do drzwi, a potem zamknęła je za nim szybko, jakby się bała, że słońce porazi ją i obróci w proch niczym wampira, wyszedł za nim na werandę, posłał mu swój durnowaty uśmiech i autentycznie do niego pomachał, jakby Papcio wyruszał w jakiś cholerny rejs transatlantykiem.

I zupełnie bez zastanowienia, podobnie jak bez zastanowienia pstryknął fotkę starej czarnej kobiecie (a przynajmniej chciał pstryknąć), Papcio sfotografował Chaffee'go i obracający się w ruinę dom, który był wszystkim, co pozostało z majątku rodziny.

Nie pamiętał, jak podniósł aparat z siedzenia, na które rzucił go z niesmakiem, jeszcze zanim zatrzasnął drzwi. Nie zdawał sobie nawet sprawy, że trzyma go w rękach i naciska migawkę, dopóki nie usłyszał cmoktania mechanizmu wysuwającego fotografię przypominającą język pokryty jakimś matowym szarym nalotem – być może, mleczkiem magnezowym. Ten dźwięk wydawał się teraz wprawiać w wibrację końcówki jego nerwów, sprawiając mu fizyczny ból podobny do tego, jaki się odczuwa, gdy coś zbyt zimnego albo zbyt gorącego dotyka świeżej plomby.

Kątem oka zauważył, że Chaffee zaśmiewa się, jakby to był najlepszy cholerny żart pod słońcem. Z furią i przerażeniem wyciągnął odbitkę ze szczeliny, powtarzając sobie, że tylko mu się wydawało, że słyszy trwające chwilę stłumione warczenie, dźwięk, jaki słychać, gdy zbliża się motorówka i masz głowę zanurzoną pod wodą; powtarzając sobie, że tylko mu się wydawało, że aparat na chwilę urósł w jego dłoniach, jakby jakaś olbrzymia drzemiąca w nim siła rozpychała go na boki. Otworzył schowek w desce rozdzielczej, wrzucił do środka odbitkę, a potem zamknął go tak szybko i gwałtownie, że złamał sobie do żywego mięsa paznokieć kciuka.

Ruszył do przodu tak nerwowo, że o mało nie zgasł silnik, a potem samochód o mało nie wyrznął w jeden z dwóch starych świerków, stojących przy domu po obu stronach podjazdu, i aż do końca tegoż podjazdu Papciowi zdawało się, że słyszy salwy bezmyślnego śmiechu Emory'ego Chaffeego: Hau! Hau! Hau! Hau!

Serce waliło mu w piersi i miał wrażenie, że w jego głowie miota się ktoś uzbrojony w potężny młotek. W zagłębieniach skroni pulsowały rytmicznie przebiegające tamtędy żyłki.

Stopniowo odzyskiwał nad sobą panowanie. Po ośmiu kilometrach mały człowieczek w jego głowie przestał walić na wszystkie strony młotkiem. Po piętnastu (pokonał już wtedy prawie połowę drogi do Castle Rock) puls wrócił mu do normalnego poziomu. *Nie spojrzysz na to zdjęcie*, powiedział sobie. **NIE SPOJRZYSZ.** *Niech to cholerstwo tam zgnije. Nie musisz go oglądać i nie musisz ich robić więcej. Czas spisać tę rzecz na straty. Czas zrobić to, co powinienes już na samym początku pozwolić zrobić temu chłopcu.*

Więc oczywiście, kiedy tylko dojechał do parkingu Castle View, z którego jak się zdawało, można było zobaczyć całe zachodnie Maine i połowę New Hampshire, zatrzymał się, zgasił silnik, otworzył schowek na rękawiczki i wyjął fotografię, którą zrobił tak samo nieświadomie jak ktoś, kto lunatykuje w nocy. Zdjęcie było oczywiście już wywołane; chemikalia, znajdujące się w tym oszukańczo płaskim kartoniku, zadziałały i jak zwykle wykonały skutecznie swoje zadanie. Dla polaroidowego zdjęcia nie ma znaczenia, czy dzieje się to po ciemku, czy w świetle.

Pies-nie-pies przysiadł już zupełnie na zadzie. Był niczym nakręcona maksymalnie sprężyna, odsunięty do tyłu cyngiel. Sterczące mu w paszczy zęby były tak wielkie, że wyszczerzenie ich nie było tylko oznaką złości, ale wynikało z czystej konieczności: jak tak wielkie zębiska mogły się kiedykolwiek schować pod tymi wargami? Jak mógł w ogóle cokolwiek przeżuwać? Był teraz bardziej podobny do jakiegoś dziwnego dzika niż do psa, ale tak naprawdę nie przypominał niczego, co

Papcio kiedykolwiek wcześniej widział. Od patrzenia na niego bolały go nie tylko oczy, ale cały umysł. Miał wrażenie, że zaraz zwariuje.

Dlaczego nie pozbyć się tego aparatu już teraz? – pomyślał nagle. Możesz to zrobić. Po prostu wysiądź, podejdź do tej balustrady i ciśnij go w dół. Będzie po wszystkim. Do widzenia.

Ale byłoby to działanie pod wpływem impulsu, a Papcio Merrill należał do plemienia Rozsądnych – należał do niego, jeśli wolno mi tak powiedzieć, całym ciałem i duszą. Nie chciał robić pod wpływem chwili niczego, czego by później żałował i...

Jeśli nie zrobisz tego teraz, będziesz później żałował.

Ale nie. Nie i koniec. Człowiek nie może postępować wbrew swojej naturze. To byłoby nienaturalne. Potrzebował czasu, żeby się zastanowić. Żeby się upewnić.

Poszedł na kompromis i wyrzucił tylko odbitkę, po czym szybko stamtąd odjechał. Przez minutę albo dwie miał chęć wymiotować, ale potem mu przeszło i poczuł się trochę bardziej sobą. Dotarłszy bezpiecznie do swojego sklepu, otworzył kluczem stalową kasetkę, wyjął z niej aparat, ponownie przejrzał klucze i wybrał ten do szuflady, w której trzymał „specjalne” rzeczy. Wizja stojącego na podwórku pieńka pojawiła się w jego umyśle z taką wyrazistością, z tak wiernie oddanymi wszystkimi szczegółami, że sama wyglądała jak fotografia.

Nie przejmuj się tym całym gadaniem, że człowiek nie może postępować wbrew swojej naturze, pomyślał. To bzdura i dobrze o tym wiesz. W ludzkiej naturze nie jest jedzenie ziemi, ale jeśli ktoś wyceluje ci w głowę z pistoletu i każe to zrobić, to na łysego Chrystusa, możesz jej schamać całą miskę. Wiesz, na co przyszła pora, kochasiu – pora, żebyś zrobił to, co powinienes od samego początku pozwolić zrobić chłopcu. W końcu nie jest tak, żebyś w to cokolwiek zainwestował.

Ale słysząc to, inna część jego umysłu zawyła w gniewnym proteście:

Jak to nie zainwestowałem? Przecież zainwestowałem całkiem sporo. Ten chłopak rozbił całkiem dobry aparat Polaroida! Może

o tym nie wiedział, ale nie zmienia to faktu, że jestem do tyłu na sto trzydzieści dziewięć dolców!

– Niech to wszystko szlag trafi – mruknął poirytowany. – Nie o to chodzi! Nie chodzi o pierdolone pieniądze!

Nie – nie chodziło o pierdolone pieniądze. Mógł przynajmniej przyznać, że nie w tym rzecz. Było go stać. Papcia było w istocie stać na bardzo wiele, w tym na własną rezydencję w portlandzkiej dzielnicy Bramhall i fabrycznie nowego mercedesa benza w garażu. Nigdy nie kupiłby sobie takich rzeczy – składał cent do centa i uważał swoje niemal patologiczne skąpstwo za zwykłą jankeską oszczędność – ale nie oznaczało to wcale, że nie mógłby ich kupić, gdyby miał taką fantazję.

Nie chodziło o pieniądze – chodziło o coś ważniejszego niż pieniądze mogą być. Chodziło o to, żeby nie dać się obedrzeć ze skóry. Papcio przez całe życie pilnował, żeby nie dać się obedrzeć ze skóry, a kiedy w nielicznych przypadkach jednak do tego doszło, czuł się jak człowiek, po którego odkrytej czaszce biegają czerwone mrówki.

Weźmy choćby sprawę pewnego cholernego szwabskiego gramofonu. Kiedy Papcio odkrył, że ten antykwariusz z Bostonu – nazywał się Donahue – dostał pięćdziesiąt dolców więcej, niż powinien dostać, za gramofon Victor-Graff z 1915 roku (który okazał się później znacznie bardziej pospolitym modelem z 1919 roku), nie spał z tego powodu przez wiele nocy, chwilami snując najprzeróżniejsze plany zemsty (każdy bardziej szalony i śmieszny od poprzedniego), chwilami przeklinając samego siebie, że okazał się takim głupcem, powtarzając sobie, że naprawdę musi z nim być niedobrze, skoro taki mieszcuch jak ten Donahue zdołał wystrychnąć na dudka Papcię Merrilla. A czasami wyobrażał sobie, że ten dupek opowiada swoim kumplom od pokera, jaka to była łatwizna, do diabła, tam na północy mieszkają same kmiotki; jego zdaniem, gdyby ktoś próbował sprzedać Most Brooklyński takiemu wiejskiemu ćwokowi jak niejaki Merrill z Castle Rock, to cholerny dureń

zapytałby tylko „Za ile?”. A potem Donahue i jego znajomkowie siedzący przy pokerowym stoliku (Papcio nie wiedział, dlaczego w swoich niezdrowych wizjach zawsze widział ich przy tym stoliku, ale tak właśnie było) odchylali się na oparcia krzeseł, zaciągali cygarami za dolara i ryczeli ze śmiechu niczym banda trolli.

Ta sprawa z polaroidem zżerała go niczym kwas, ale nie był jeszcze gotów pozbyć się aparatu.

Jeszcze nie.

Zwariowałeś! – krzyczał mu w głowie głos. – *Zwariowałeś, ciągnąc to dalej.*

– Niech mnie szlag, jeśli to przełknę – mruknął ponuro, zwracając się do tego głosu i do swojego pustego pogrążonego w półmroku sklepu, który tykał cicho niczym bomba w walizce. – Niech mnie szlag, jeśli to zrobię.

Ale to wcale nie oznaczało, że będzie wybierał się na kolejne cholerne wycieczki, próbując opchnąć komuś to sukinyństwo, i z całą pewnością nie oznaczało, że będzie nim robić kolejne zdjęcia. Oceniał, że w aparacie zostało najmniej trzy i najwyżej siedem „bezpiecznych” zdjęć, ale nie zamierzał tego sprawdzać. W żadnym wypadku.

Mimo to może jeszcze coś z tego wyjdzie. Nigdy nic nie wiadomo. I to cholerstwo nie mogło przecież zaszkodzić jemu i komukolwiek innemu, jeśli zamknie je na klucz w szufladzie.

– Nie ma mowy – zapewnił dziarsko Papcio sam siebie. Włożył aparat do szuflady, zamknął ją, schował z powrotem do kieszeni klucze, po czym podszedł do drzwi i z miną człowieka, który rozwiązał w końcu raz na zawsze jakiś palący problem, zamienił wiszący na nich napis ZAMKNIĘTE na OTWARTE.

ROZDZIAŁ 10

Papcio obudził się tej nocy zlany potem i wpatrywał się z lękiem w ciemność. Zegary zaczęły właśnie wybijać ze znużeniem kolejną godzinę.

Lecz to nie ten dźwięk go obudził, choć było to całkiem możliwe, ponieważ nie leżał na górze w swoim łóżku, ale był na dole, w sklepie. Emporium Galorium było mroczną pieczarą zaludnioną przez olbrzymie cienie. Ulicznym latarniom udało się przesłać przez brudne szyby akurat tyle światła, by stworzyć wrażenie, że coś czai się tuż za obrzeżami widzenia.

To nie zegary go obudziły; obudził go błysk flesza.

Papcio zdał sobie z przerażeniem sprawę, że stoi w piżamie przy swoim stole roboczym, trzymając w dłoniach polaroid Sun 660. „Specjalna” szuflada była otwarta. Wiedział, że chociaż zrobił tylko jedno zdjęcie, jego palec przez dłuższy czas wciskał spust migawki. Gdyby nie zwykły łut szczęścia – w kasecie z filmami została po prostu tylko jedna odbitka – zrobiłby ich o wiele więcej, nie tylko to jedno, które wystawało ze szczeliny na dole aparatu.

Papcio zaczął opuszczać ramiona – aparat trzymał wycelowany w stronę witryny sklepu, wizjer z cienkim jak włos pęknięciem przysunięty był do jego otwartego, śpiącego oka – ale kiedy dłonie znalazły się na wysokości klatki piersiowej, zaczęły drżeć, a mięśnie obsługujące stawy w łokciach po prostu puściły. Ręce opadły, zaciśnięte palce się otworzyły i aparat wpadł z powrotem do „specjalnej” szuflady. Zdjęcie, które zrobił, wysunęło się ze szczeliny, zaczepiło o skraj otwartej szuflady, przechyliło się najpierw w jedną stronę, jakby chciało podążyć w ślad za aparatem, a potem w drugą i sfrunęło na podłogę.

Atak serca, pomyślał nieskładnie Papcio. Zaraz będę miał pieprzony atak serca.

Próbował podnieść prawą rękę, żeby pomasować lewą stronę klatki piersiowej, ale ręka odmawiała mu posłuszeństwa. Znajdująca się na jej końcu dłoń dyndała bezwładnie niczym nieboszczyk na końcu stryczka. Obraz świata na zmianę rozmazywał się i wyostrzał. Dźwięk zegarów (te opieszale właśnie kończyły wybijać kolejną godzinę) zanikał gdzieś w oddali. A potem ból w piersi Papcia zmniejszył się, zrobiło się trochę jaśniej i zdał sobie sprawę, że w najgorszym razie straci tylko przytomność.

Spróbował usiąść na ruchomym krześle za stołem roboczym i czynność siadania, podobnie jak czynność opuszczania w dół aparatu, zaczęła się całkiem prawidłowo, ale zanim pokonał połowę drogi, inne mięśnie, te, które zawiadywały jego udami i łydkami za pośrednictwem kolan, również puściły, i nie tyle usiadł na krześle, ile się na nie zwalił. Krzesło potoczyło się pół metra do tyłu, walnęło w skrzynię wypełnioną starymi czasopismami „Life” i „Look” i zatrzymało się w miejscu.

Papcio opuścił głowę, tak jak powinno się podobno robić, gdy ktoś cierpi na zawroty, i minęło trochę czasu. Zarówno wtedy, jak i później nie miał najmniejszego pojęcia, ile dokładnie. Mógł się nawet przez chwilę zdrzemnąć. Ale kiedy podniósł z powrotem głowę, czuł się w zasadzie dobrze. Lekko łupało go w skroniach i w czole, prawdopodobnie dlatego, że zwieszając w ten sposób swój cholerny łeb, napompował go krwią, ale zorientował się, że może wstać, i wiedział, co musi zrobić. Skoro ta rzecz zawładnęła nim tak mocno, że kazała mu lunatykować, a potem zmusiła (jego umysł próbował buntować się przeciwko temu słowu, przeciwko temu „zmusiła”, ale zdusił ten bunt w zarodku) do zrobienia zdjęć, to chyba wystarczy. Nie miał pojęcia, czym jest ta cholerna rzecz, ale jedno było jasne: nie wolno było iść z nią na kompromis.

Pora, żebyś zrobił to, co powinienes dać zrobić chłopcu już na samym początku.

Tak. Ale nie teraz, nie w środku nocy. Był wyczerpany, zlany potem i wstrząsały nim dreszcze. Uznał, że w tej sytuacji wystarczy, że wdrapie się na górę do swojego mieszkania i nie będzie wymachiwał młotkiem. Przypuszczał, że może zrobić to, co trzeba, po prostu wyjmując aparat z szuflady i uderzając nim kilka razy o podłogę, ale istniała pewna głębsza prawda i powinien się jej podporządkować: tej nocy nie mógł się już zajmować tym aparatem. Rano przyjdzie na to odpowiedni moment... do tego czasu aparat nie wyrządzi przecież nikomu żadnej krzywdy. Nie było w nim filmu.

Papcio zasunął szufladę, zamknął ją na klucz, dźwignął się na nogi bardziej jak facet dobiegający osiemdziesiątki niż siedemdziesiątki i podreptał powoli w stronę schodów. Wchodził po nich po jednym stopniu, zatrzymując się na każdym i trzymając kurczowo jedną ręką balustrady (która nie była zbyt solidna), a w drugiej zaciskając zawieszony na stalowym kółku klucz. W końcu dotarł na górę. Kiedy zatrzasnęły się za nim drzwi, odzyskał chyba trochę sił. Poszedł do sypialni i położył się do łóżka, jak zwykle nie czując silnego żółtego zapachu potu i starości, który uniósł się z łóżka, gdy na nim legł – zmieniał pościel pierwszego dnia każdego miesiąca i uważał, że nie musi robić tego częściej.

Teraz pewnie nie zasnę, pomyślał, a potem zmienił zdanie. Owszem, zaśniesz. Zaśniesz, bo możesz zasnąć, a możesz zasnąć, bo jutro rano weźmiesz młotek, rozwalisz to cholerstwo na kawałki i wreszcie z tym skończysz.

Ta myśl i sen przyszły jednocześnie i Papcio przespał resztę nocy bez żadnych wizji, prawie się nie poruszając. Po przebudzeniu usłyszał ze zdumieniem, że zegary na dole, wszystkie co do jednego, wybiły późniejszą godzinę: nie siódmą, ale ósmą. Dopiero spoglądając na padające ukośnie na podłogę i ścianę światło, zdał sobie sprawę, że rzeczywiście jest ósma: po raz pierwszy od dziesięciu lat zasnął. A potem przypomniał sobie minioną noc. Teraz, w świetle dnia, cały epizod nie wydawał się już tak dziwaczny. Czyżby naprawdę o mało nie zemdleł? Może

to było zwyczajne osłabienie, które ogarnia lunatyka, kiedy niespodziewanie się obudzi?

Ale oczywiście to już koniec, prawda? Jasne poranne słońce nie mogło zmienić podstawowego faktu: chodził przez sen, zrobił przez sen jedno zdjęcie i pstryknąłby ich o wiele więcej, gdyby w kasecie było więcej odbitek.

Wstał, ubrał się i zszedł na dół, zamierzając rozwalić to cholerstwo na miazgę, zanim jeszcze wypije poranną kawę.

ROZDZIAŁ 11

Kevin pragnął, by jego pierwsza wizyta w dwuwymiarowym miasteczku Polaroidsville okazała się wizytą ostatnią, ale tak się nie stało. Przez trzynaście nocy ten głupi sen śnił mu się coraz częściej i częściej. Jeśli brał sobie wolną noc – *krótkie wakacje, Kevin, ale do rychłego zobaczenia, dobrze?* – następnej nocy miał skłonność pojawiać się dwukrotnie. Kevin wiedział teraz zawsze, że to sen, i kiedy tylko się zaczynał, mówił sobie, że musi się po prostu sam obudzić, *do diabła, po prostu sam się obudź!* Czasami budził się bezwiednie, a czasami przestawał po prostu śnić i zapadał w głębszy sen, ale nigdy nie udało mu się obudzić samemu.

To było teraz zawsze Polaroidsville – nigdy Oatley ani Hildasville, które stanowiły dwie pierwsze próby zidentyfikowania tego miejsca przez jego zbłąkany umysł. I podobnie jak fotografie, każdy sen posuwał akcję troszeczkę dalej. Najpierw facet z wózkiem na zakupy, który nie był teraz nigdy pusty, nawet na początku, lecz wypełniony najróżniejszymi gratami. W większości były to zegary, które pochodziły wszystkie z Emporium Galorium i wyglądały nie jak prawdziwe przedmioty, ale jak ich fotografie, wycięte z czasopism, a następnie wciśnięte w jakiś niemożliwy, paradoksalny sposób do wózka na zakupy, który, ponieważ był tak samo dwuwymiarowy jak to, co w nim było, nie miał szerokości i nie mógł ich pomieścić. A jednak tam były i starszy mężczyzna zazdrośnie się nad nimi pochylał, mówiąc Kevinowi, żeby się wynosił, że jest fieprzonym złodziejem... a teraz dodawał również, że jeśli nie odejdzie, to on poszczuje na niego psa Papcia. „Fobaczysz, że go pofczuję!”, krzyczał.

Następnie pojawiała się gruba kobieta, która nie mogła być gruba, ponieważ była płaska, ale i tak była gruba. Popychała swój wózek na zakupy wypełniony aparatami Polaroid Sun. Ona też zwracała się do niego, zanim ją minął. „Uważaj, chłopcze – mówiła donośnym, ale pozbawionym w ogóle melodii głosem kogoś, kto jest całkowicie głuchy. – Pies Papcia zerwał się ze smyczy i jest bardzo wredny. Zagryzł trzy albo cztery osoby na farmie Trentonów w Camberville, nim tu dotarł. Trudno jest zrobić mu zdjęcie, ale na pewno ci się to nie uda, jeśli nie będziesz miał aparatu”.

Kobieta pochylała się, żeby wyjąć jakiś aparat z wózka, i czasami nawet go brała, a Kevin wyciągał po niego rękę, nie wiedząc, dlaczego, jej zdaniem, powinien sfotografować psa i dlaczego miałyby to zrobić... A może starał się po prostu być grzeczny?

Tak czy owak, nie miało to większego znaczenia. Oboje poruszali się w dostojnym wolnym tempie podwodnych pływaków, jak czynią to często ludzie we śnie, i obojgu nie udawało się ze sobą zetknąć; śniąc tę część snu, Kevin często myślał o słynnym przedstawiającym Boga i Adama obrazie, który Michał Anioł namalował na sklepieniu Kaplicy Sykstyńskiej: każdy z nich z wyciągniętym ramieniem, wyciągniętą na końcu tego ramienia dłonią i dotykającymi się niemal – nie całkiem, ale niemal – palcami.

A potem kobieta na chwilę zniknęła, ponieważ nie miała szerokości, i kiedy pojawiała się ponownie, była już poza jego zasięgiem. Po prostu do niej wróć, myślał Kevin za każdym razem, kiedy sen dochodził do tego punktu, ale nie potrafił tego zrobić. Stopy niosły go spokojnie same dalej do obłazących z białej farby sztachet płotu, do Papcia i do psa... tyle że pies nie był już psem, ale jakimś straszliwym mieszańcem, który zionął żarem i dymem niczym smok i miał kły oraz wykręcony, pokryty szramami ryj odyńca. Papcio i pies jednocześnie odwracali się w jego stronę i Papcio trzymał przy prawym oku aparat – jego aparat, Kevin wiedział o tym, bo kawałek plastiku odprysnął

z boku obudowy. Lewe oko Papcio miał zmrużone. Okulary bez oprawek połyskiwały w słonecznym blasku na czubku jego głowy. Papcio i pies mieli wszystkie trzy wymiary. W tym zapuszczonym, niesamowitym wyśnionym przez Kevina miasteczku oni jedyni mieli trzy wymiary.

– To on! – krzyczał Papcio piskliwym przestraszonym głosem.
– To ten złodziej! Bierz go! Wypruj z niego pieprzone flaki, jeśli wolno mi tak powiedzieć!

I w tym momencie dzień rozjaśniała zimna błyskawica, Papcio wciskał migawkę i flesz, a Kevin odwracał się i rzucał do ucieczki. W tym punkcie sen się skończył, kiedy przyśnił mu się po raz drugi. Teraz, za każdym kolejnym razem, akcja posuwała się trochę dalej. Znowu poruszał się w powolnym tempie uczestnika podwodnego baletu. Czuł, że gdyby obserwował siebie z góry, rzeczywiście wyglądałby jak tancerz, z rękami obracającymi się niczym łopaty dopiero zaczynającego się kręcić śmigła, koszulą wykręcającą się wraz z jego ciałem, napinającą na brzuchu i piersi i wysuwającą się z tyłu ze spodni z chrzęstem przypominającym tarcie papieru ściernego.

Po chwili biegł już tą samą drogą, jaką tam przyszedł, stopy powoli się unosiły, płynęły sennie (*oczywiście, że sennie, a jak miałyby to robić, głuptasie?* – zauważał za każdym razem dokładnie w tym momencie) w dół i uderzały w popękany nijaki beton chodnika, podeszwy jego tenisówek spłaszczają się, przyjmując na siebie ciężar Kevina, i wzbijały małe obłoczki żwiru frunące tak powoli, że widać było pojedyncze drobinki obracające się niczym atomy.

Biegł oczywiście powoli, a pies Papcia, bezimienny bezpański Grendel – który przybył znikąd, niczego nie zapowiadał i istniał w podobnym sensie, w jakim istnieje cyklon, lecz mimo to istniał – powoli go ścigał... ale nie aż tak powoli.

Trzeciej nocy sen urwał się w momencie, kiedy w tym doprowadzającym do szaleństwa powolnym tempie Kevin zaczął obracać głowę, żeby zobaczyć, jak dużą jeszcze ma przewagę. Następnie sen wziął sobie na jedną noc wolne. Kolejnej nocy

przyśnił się dwa razy. W pierwszym Kevin miał głowę częściowo obróconą i widział ulicę po lewej stronie zmieniającą się w nicość, w miarę jak nią przebiegał; w drugim (z tego obudził go budzik, lekko spoconego i leżącego w zwiniętej pozycji embrionalnej tuż przy skraju łóżka) obrócił głowę w wystarczającym stopniu, by dostrzec psa, kiedy jego przednie łapy dotykały ziemi, i zobaczył, jak w betonie zostają po nich małe kratery, ponieważ pies wysunął pazury... a z tyłu każdego dolnego stawu łapy wystawała długa kostna narośl podobna do ostrogi. Mętne czerwonawe oko bestii utkwione było w Kevinie. Z jego nozdrzy ział i buchał ogień. Jezu Chryste, palą mu się GILE, pomyślał chłopiec i po przebudzeniu z przerażeniem słyszał, jak powtarza to bardzo szybko: „palą mu się gile, palą mu się gile, palą mu się gile”.

Noc po nocy pies coraz bardziej zbliżał się do uciekającego Kevina. Nawet kiedy chłopiec się nie oglądał, słyszał, jak bestia go dogania. Czuł falę ciepła w kroczu i wiedział, że jest wystarczająco wystraszony, żeby zlać się w spodnie, choć wszystkie emocje dochodziły do niego w ten sam rozwodniony, drętwy sposób, w jaki poruszał się w tym świecie. Słyszał, jak łapy psa uderzają w płyty chodnika, słyszał suche trzaski i chrzęst pękającego betonu. Słyszał gorące ziajanie i szum powietrza opływającego te potworne zębiska.

A tej nocy, kiedy Papcio obudził się i odkrył, że nie tylko lunatykował, ale zrobił przez sen przynajmniej jedną fotografię, Kevin usłyszał i po raz pierwszy poczuł oddech psa: poczuł owiewającą jego pośladki ciepłą falę powietrza podobną do parnego podmuchu przechodzącego przez stację metra, kiedy przejeżdża przez nią niezatrzymujący się pociąg szybkiej linii. Wiedział, że pies jest już dość blisko, by skoczyć mu na plecy, i to właśnie miało się wydarzyć w następnej kolejności: poczuje jeszcze jeden oddech, już nie tylko ciepły, ale gorący, gorący jak ostra niestrawność w czyimś gardle, a potem ta zakrzywiona żywa pułapka na niedźwiedzie wbije się głęboko w jego plecy między łopatkami, odrywając skórę i mięśnie od kręgosłupa...

I czy wtedy będzie mu się wydawało, że to tylko sen? Czy będzie mu się tak wydawało?

Obudził się z tego ostatniego snu dokładnie w tym samym momencie, kiedy Papiro dochodził do końca schodów prowadzących do jego mieszkania i przystanął na ostatnim stopniu. Tym razem Kevin obudził się, siedząc w łóżku wyprostowany jak struna, z kołdrą zwiniętą wokół pasa, skórą, która choć zlaną potem, była lodowato zimna, i z milionem małych sztywnych białych pryszczków gęsiej skórki pokrywających niczym stygmaty jego brzuch, pierś, plecy i ramiona. Gęsia skórka chyba nawet pokryła jego policzki.

I w tym momencie nie wrócił myślami do snu, w każdym razie nie bezpośrednio. Coś tu się nie zgadza, pomyślał. To zła liczba, jest trójka, a to przecież niemoż...

A potem położył się na wznak i niczym małe dziecko (bo nawet w wieku piętnastu lat był nadal dzieckiem i tego dnia miał nim jeszcze przez jakiś czas pozostać) zapadł z powrotem w głęboki sen.

Budzik obudził go o wpół do ósmej, tak jak to się zawsze działo w dni, kiedy chodził do szkoły, i zorientował się, że siedzi wyprostowany na łóżku z otwartymi szeroko oczami, widząc nagle, jak pasują do siebie kawałki układanki. Polaroid, który zniszczył, nie był jego aparatem i dlatego właśnie śnił mu się bez przerwy ten sam szalony sen. Papiro Merrill, ten przemiły stary domorosły filozof i naprawiacz aparatów, zegarów i innych małych urządzeń, wyprowadził w pole jego i ojca tak samo sprytnie i kompetentnie, jak grasujący na rzeczonym parowcu szuler ogrywa nowicjusza na starym westernie.

Ojciec...!

Usłyszał trzaśnięcie zamykanych na dole drzwi i wyskoczył z łóżka. W samej bieliźnie dał dwa susy w stronę drzwi, a potem zmienił zdanie, odwrócił się, otworzył na oścież okno i wrzasnął „Tato!” dokładnie w tej samej chwili, gdy ojciec wsiadał do samochodu, żeby pojechać do pracy.

ROZDZIAŁ 12

Papcio wyłowił z kieszeni kółko z kluczami, otworzył „specjalną szufladę” i wyjął z niej aparat, po raz kolejny trzymając go wyłącznie za pasek. Spojrzał z pewną nadzieją na przednią część polaroida, sądząc, że zobaczy rozbity obiektyw, i spodziewając się, że to cholerstwo będzie miało, jeśli można tak powiedzieć, wyłupione oko, lecz jego ojciec lubił powtarzać, że diabeł ma zawsze szczęście i najwyraźniej dotyczyło to również cholernego aparatu Kevina. W miejscu, gdzie odprysnął kawałek plastiku, odprysnęło go trochę więcej, ale to było wszystko.

Zamknął szufladę i obracając klucz w zamku, zobaczył zdjęcie, które zrobił przez sen, leżące na podłodze spodem do góry. Podobnie jak żona Lota, która nie mogła się powstrzymać, by się nie obejrzeć i nie spojrzeć na zagładę Sodomy, Papcio podniósł je i obrócił w swoich nieforemnych paluchach, które tak dobrze kryły przed światem swą zręczność.

Pies-nie-pies wzbił się w powietrze. Jego przednie łapy dopiero oderwały się od ziemi, ale wzdłuż zniekształconego kręgosłupa i w masie mięśni pod sierścią przypominającą wystające z czarnej stalowej szczotki sztywne druciki można było wyczuć całą kinetyczną energię, która zaczęła się uwalniać. Pysk i łeb były na fotografii właściwie nieco zamazane, bo bestia rozwarła szczęki i Papciowi wydawało się, że słyszy dochodzące ze zdjęcia niskie gardłowe warczenie, które zmieniało się powoli w ryk i przypominało dźwięk słyszany spod szkła. Rzucający cień fotograf próbował chyba cofnąć się o kolejny krok, ale jakie to miało znaczenie? Z nozdrzy bestii walił dym – to był dym, na sto procent – a jeszcze więcej buchało go z otwartej paszczyki, z niewielkiego miejsca, gdzie kończyła się paskudna palisada

zębów, i każdy mężczyzna cofnąłby się przed tak przerażającym widokiem, każdy mężczyzna próbowałby się odwrócić i uciec, lecz Papcio nie musiał długo patrzeć na to zdjęcie, by wiedzieć, że mężczyzna (oczywiście, że to był mężczyzna, może kiedyś był to chłopiec, kilkunastoletni chłopiec, ale do kogo należał teraz aparat?), który zrobił to zdjęcie zupełnie odruchowo, przypadkiem wciskając palcem migawkę... ten mężczyzna nie miał najmniejszych szans. Mógł ustać na nogach bądź się przewrócić, lecz zależało od tego tylko to, jak zginie: stojąc wyprostowany czy leżąc na plecach.

Papcio zgniótł fotografię w palcach i schował klucze z powrotem do kieszeni. Trzymając za pasek to, co było niegdyś polaroidem Sun 660 Kevina Delevana, a obecnie polaroidem Sun 660, który należał do niego, odwrócił się i ruszył na tyły sklepu; po drodze musiał tylko przystanąć, żeby wziąć młotek. I kiedy zbliżał się do drzwi prowadzących do szopy, pojedyncze światło fleszu, potężne, białe i bezgłośnie, błysnęło nie przed jego oczami, ale w jego umyśle.

Odwrócił się ponownie i teraz jego oczy były puste jak oczy człowieka, którego na jakiś czas oślepiło jaskrawe światło. Minął stół roboczy, trzymając teraz aparat w rękach na wysokości piersi, tak jak ktoś mógłby nieść urnę wotywną albo jakiś inny rodzaj religijnej ofiary bądź relikwii. W połowie drogi między stołem roboczym i frontem sklepu stała komoda zastawiona zegarami. Na lewo od niej był jeden z podtrzymujących konstrukcję budynku słupów i na wbitym tam haczyku wisiał kolejny zegar, imitacja niemieckiego zegara z kukułką. Papcio złapał go za daszek i ściągnął z haczyka, nie zwracając uwagi na ciężarki, które natychmiast splątały się łańcuszkami, i na wahadło, które pękło, kiedy jeden z łańcuszków próbował się wokół niego owinać. Małe drzwiczki pod daszkiem zegara otworzyły się na oścież; drewniany ptaszek wystawił na zewnątrz dziób i jedno zaskoczone oko, wydał pojedynczy zduszony dźwięk – kuuk! – jakby protestował przeciwko takiemu

brutalnemu traktowaniu, po czym schował się z powrotem do środka.

Papcio zawiesił aparat na pasku tam, gdzie wisiał zegar, po czym ruszył z powrotem na tyły sklepu. Jego oczy były nadal puste i zamglone. Trzymając zegar za daszek, kołysał nim machinalnie w przód i w tył, nie słysząc dobiegającego ze środka grzechotania ani zduszonych dźwięków, które mógł wydawać próbujący czmychnąć ptaszek. Nie zauważył nawet, kiedy jeden z ciężarków uderzył o krawędź starego łóżka, oderwał się i potoczył pod nie, zostawiając głęboki ślad w nienaruszanej od lat warstwie kurzu. Papcio poruszał się z bezmyślną, apatyczną determinacją robota. W szopie przystanął, by zabrać młotek z gładkim trzonkiem. Mając zajęte obie ręce, musiał użyć lewego łokcia, żeby podważyć haczyk, a potem pchnąć drzwi szopy i wyjść na podwórko.

Podszedł do pieńka, położył na nim imitację niemieckiego zegara z kukułką i stał nad nią przez chwilę z pochyloną głową, trzymając młotek w obu rękach. Jego twarz nadal była pusta, oczy zgaszone i zamglone, lecz jakaś część jego umysłu nie tylko jasno rozumowała, ale była przekonana, że cały Papcio rozumuje i postępuje w jasny sposób. Ta część widziała nie zegar z kukułką, który od początku był niewiele wart, a teraz w ogóle do niczego się nie nadawał. Ta część umysłu widziała przed sobą polaroid Kevina i naprawdę wierzyła, że zszedł na dół, wyjął aparat z szuflady i wyszedł prosto na podwórko, przystając tylko po to, żeby zabrać młotek.

I to ta część umysłu miała podsunąć mu później to, co zapamiętał... chyba że wygodnie byłoby mu zapamiętać coś innego. Albo w zasadzie cokolwiek innego.

Papcio Merrill podniósł młotek nad prawy bark i energicznie go opuścił – nie tak energicznie, jak zrobił to Kevin, lecz dość energicznie, by uzyskać zamierzony efekt. Obuch trafił prosto w daszek imitacji niemieckiego zegara z kukułką. Zegar nie tyle nawet pękł czy się rozpadł, ile rozprysnął; kawałki plastikowego drewna, a także małe trybiki i sprężynki poleciały na wszystkie

strony. Ale tym, co Papcio, patrząc na te małe kawałki, zapamiętał (chyba że oczywiście wygodniej byłoby mu zapamiętać coś innego), były fruujące wszędzie szczątki aparatu.

Wziął młotek z pieńka i przez moment mierzył niewidzącym zamyślonym wzrokiem bałagan. Kukułka, która w jego oczach wyglądała dokładnie jak kasetka z filmem, kasetka z filmem do polaroida, leżała na grzbiecie ze sterczącymi w powietrzu małymi drewnianymi nóżkami, robiąc wrażenie bardziej martwej, niż robił kiedykolwiek wrażenie jakikolwiek ptak poza kreskówkami, a mimo to jednocześnie w cudowny sposób nietkniętej. Papcio napatrzył się jej do woli, po czym ruszył z powrotem do szopy.

– No – mruknął bezgłośnie. – Całkiem nieźle.

Nawet ktoś, kto stałby tuż przy nim, mógłby nie dosłyszeć samych słów, ale z pewnością rozpoznałby ulgę, z jaką zostały wymówione.

– Sprawa załatwiona. Nie muszę się już tym dłużej przejmować. I co teraz? Tytoń do fajki, prawda?

Ale kiedy piętnaście minut później dotarł do sklepu przy drugim końcu przecznicy, to nie o tytoń do fajki poprosił sprzedawczynię (choć zapamiętał, że o to właśnie poprosił).

Poprosił o kasetę z filmami.

Z filmami do polaroida.

ROZDZIAŁ 13

– Spóźnię się do pracy, Kevinie, jeśli zaraz nie...

– Zadzwońisz do nich? Mógłbyś zadzwonić? Mógłbyś zadzwonić i powiedzieć, że się spóźnisz albo że w ogóle tam dziś nie dotrzesz? Gdyby to było coś naprawdę, naprawdę, NAPRAWDĘ ważnego?

– Co to za ważna sprawa? – zapytał ostrożnie pan Delevan.

– Mógłbyś?

W progu sypialni Kevina stała pani Delevan, tuż za nią Meg. Obie spoglądały ciekawie na mężczyznę w garniturze i wysokiego chłopca, który nadal miał na sobie tylko szorty.

– Przypuszczam, że chyba... tak, chyba mógłbym. Ale nie zrobię tego, dopóki nie dowiem się, o co chodzi.

– Chodzi o Papcię Merrilla – odparł Kevin, ścisząc głos i patrząc znacząco w stronę drzwi. – I o aparat.

Pan Delevan, który z początku wydawał się zdumiony tym, co syn wyprawia z oczami, podszedł do drzwi i mruknął coś do żony, a ta pokiwała głową. Następnie zamknął drzwi, nie przejmując się protestami Meg bardziej, niż przejmowałyby się trelami ptaszka siedzącego na telefonicznych drutach za oknem sypialni.

– Co powiedziałaś mamie? – zapytał Kevin.

– Że to są męskie sprawy. – Pan Delevan lekko się uśmiechnął.

– Wydaje jej się chyba, że chcesz porozmawiać o masturbacji.

Kevin zaczerwienił się.

Pan Delevan zrobił zaniepokojoną minę.

– Chyba tego nie robisz? To znaczy, wiesz, że...

– Wiem, wiem – odparł szybko Kevin. Nie miał zamiaru mówić ojcu (i nie wiedział, czy nawet gdyby chciał, zdołałby to

ubrać w odpowiednie słowa), że tym, co wytrąciło go na moment z równowagi, było odkrycie, że o waleniu konia wiedział nie tylko ojciec – co oczywiście nie powinno go tak bardzo dziwić, ale jednak zdziwiło, tak że w końcu zaczął się dziwić własnemu zdziwieniu – ale jakimś cudem również matka.

Nieważne. To wszystko nie miało nic wspólnego z koszmarami i z pewnością, która zrodziła się teraz w jego głowie.

– Chodzi o Papcia, mówiłem ci. I o złe sny, które miewam. Ale głównie o aparat. Ponieważ Papcio w jakiś sposób go ukradł, tato.

– Kevinie...

– Wiem, rozbiłem go na kawałki na pieńku. Ale to nie był mój aparat. To był jakiś inny. I nie to nawet jest najgorsze. Najgorsze jest to, że on nadal używa mojego i robi nim zdjęcia! I ten pies się wydostanie! A kiedy to robi, wydaje mi się, że mnie zabije. W tamtym innym świecie szykuje się już do sko...

Kevin nie zdołał dokończyć zdania i ponownie zadziwił sam siebie – tym razem wybuchając płaczem.

...

Kiedy Johnowi Delevanowi udało się uspokoić syna, była już za dziesięć ósma i pogodził się z tym, że spóźni się do pracy. Trzymał chłopca w ramionach – cokolwiek to było, naprawdę wstrząsnęło dzieciakiem, a jeśli rzeczywiście chodziło tylko o złe sny, pan Delevan podejrzewał, że u źródeł całej sprawy leżą jakieś problemy seksualne.

Kiedy Kevin przestał płakać i co jakiś czas łapał już tylko spazmatycznie powietrze, jego ojciec podszedł ostrożnie do drzwi i otworzył je, mając nadzieję, że Mary zabrała córkę na dół. Zrobiła to; korytarzyk był pusty. To mamy przynajmniej z głowy, pomyślał, po czym wrócił do syna.

– Możemy już porozmawiać? – zapytał.

– Papcio przywłaszczył sobie mój aparat – powiedział ochryplym głosem Kevin, wpatrując się w ojca

zaczzerwienionymi, nadal załzawionymi oczami. – W jakiś sposób go sobie przywłaszczył i go używa.

– I o tym są twoje sny?

– Tak... i jest coś jeszcze, co sobie przypomniałem.

– Kevin... to był twój aparat. Przykro mi, synu, ale był twój. Widziałem nawet małe odprysnięcie z boku.

– Musiał je jakoś wyłobić.

– To, co mówisz, wydaje się bardzo nacią...

– Wysłuchaj mnie – przerwał ojcu niecierpliwie Kevin. – Możesz mnie po prostu wysłuchać?

– Dobrze. W porządku. Słucham.

– Zapamiętałem, że kiedy wręczył mi aparat... kiedy wyszliśmy na podwórko, żeby go rozbić... Pamiętasz?

– Tak?

– Zerknąłem na małe okienko, na którym jest pokazane, ile jeszcze zostało zdjęć do zrobienia. I była tam cyfra trzy, tato! Cyfra trzy!

– No i co z tego?

– I w środku był film! Film! Wiem, bo pamiętam, jak jeden z tych lśniących czarnych kartoników wypadł na zewnątrz, kiedy rozbiłem aparat. Pofrunął w powietrze, a potem spadł na ziemię.

– Powtarzam: i co z tego?

– Kiedy dawałem aparat Papciowi, nie było w nim żadnego filmu. To z tego. Miałem zrobionych dwadzieścia osiem zdjęć. Poprosił, żebym zrobił jeszcze trzydzieści, łącznie pięćdziesiąt osiem. Gdybym wiedział, o co mu chodzi, może kupiłbym więcej, ale pewnie nie. Bałem się już wtedy tego aparatu...

– Rozumiem. Ja też się trochę bałem.

Kevin spojrzał z szacunkiem na ojca.

– Naprawdę?

– Tak. Mów dalej. Domyślam się, do czego zmierzasz.

– Chciałem powiedzieć, że dorzucił się do filmu, ale niezbyt dużo... nawet nie w połowie. To przeklęty sknerus, tato.

John Delevan słabo się uśmiechnął.

– Oczywiście, że jest sknerusem, chłopcze. Jednym z największych pod słońcem, jeśli wolno mi tak powiedzieć. Mów dalej i skończ to, co masz do powiedzenia. Tempus fugituje jak wariat.

Kevin spojrzał na zegar. Dochodziła ósma. Choć żaden z nich tego nie wiedział, za niecałe dwie minuty Papcio miał się obudzić i zająć swoimi sprawami, z których bardzo niewiele prawidłowo zapamięta.

– W porządku – podjął Kevin. – Chcę tylko powiedzieć, że nawet gdybym chciał, nie mógłbym kupić więcej filmów. Wydałem wszystkie pieniądze, jakie miałem, na trzy kasety. Pożyczyłem nawet dolca od Megan i później pozwoliłem jej za to pstryknąć dwa zdjęcia.

– Zużyliście we dwoje wszystkie odbitki? Co do jednej?

– Tak! Tak! Sam Papcio powiedział, że było ich pięćdziesiąt osiem! I po zrobieniu wszystkich zdjęć, które miałem zrobić, nie kupowałem już żadnych dodatkowych filmów. Kiedy przyniosłem mu aparat, był kompletnie pusty, tato! W małym okienku widać było liczbę zero! Widziałem to, pamiętam! Więc skoro to był mój aparat, jak to się stało, że kiedy zesliśmy na dół, w okienku była cyfra trzy?

– On nie mógłby... – Ojciec Kevina urwał i poczuł nagle nietypowe dla siebie przygnębienie; zdał sobie sprawę, że Papcio jak najbardziej mógłby to zrobić, a prawda była taka, że on, John Delevan, nie chciał w to wierzyć; i że nawet gorzkie doświadczenia nie zaszczepiają w dostatecznym stopniu przeciwko głupocie, i Papcio potrafił zamydlić oczy zarówno jemu, jak i jego synowi.

– Nie mógłby co? O czym myślisz, tato? Coś cię tknęło!

Pana Delevana rzeczywiście coś tknęło: przypomniał sobie, jak chętnie Merrill popędził na dół po oryginalne zdjęcia, żeby mogli wszyscy przyjrzeć się bliżej tej rzeczy zawieszanej na szyi psa, tej, która okazała się spinką najnowszego krawata Kevina od ciotki Hildy, z ptakiem będącym chyba dzięciołem.

„Możemy zejść razem z panem”, powiedział Kevin, kiedy Papcio zaproponował, że przyniesie zdjęcia, ale Papcio pobiegł sam, wesoły jak szczygiełek, wołając: „To zajmie tylko minutkę!” albo coś podobnego, tymczasem prawda była taka, pomyślał pan Delevan, że w ogóle nie zwracałem uwagi na to, co mówi i robi, tak bardzo chciałem obejrzeć jeszcze raz tę cholerną taśmę. Prawda była również taka: Papcio nie musiał nawet podmieniać aparatów na ich oczach, chociaż teraz, kiedy pan Delevan przejrzał na oczy, musiał przyznać, że stary sukinsyn, gdyby musiał, byłby pewnie gotów to zrobić i pewnie by mu się udało bez względu na to, że dobiegał siedemdziesiątki. Kiedy oni siedzieli na górze, a on zbiegł na dół, rzekomo tylko po to, żeby przynieść zdjęcia Kevina, mógł swobodnie podmienić dwadzieścia aparatów.

– Tato?

– Przypuszczam, że mógł to zrobić – powiedział pan Delevan.

– Ale po co?

Chłopiec tylko pokręcił głową. Nie wiedział po co. Ale to nie było ważne; panu Delevanowi zdawało się, że to wie, i odczuł coś w rodzaju ulgi. Może uczciwi ludzie nie muszą się stale na nowo uczyć najprostszycch prawd tego świata; może niektóre z tych prawd w końcu zapadają im w pamięć. Musiał tylko wypowiedzieć na głos pytanie, żeby znaleźć na nie odpowiedź. Po co Merrillowie tego świata cokolwiek robią? Dla zysku. To był powód, cały powód i nie było żadnych innych. Kevin chciał zniszczyć aparat. Po obejrzeniu wideokasety Papcia pan Delevan skłonny był się z nim zgodzić. Który z nich trzech był zdolny przyjrzeć się tej kwestii w dłuższej perspektywie?

No oczywiście, że Papcio. Reginald Marion „Papcio” Merrill.

John Delevan przez cały czas siedział na skraju łóżka Kevina, obejmując syna ramieniem. Teraz wstał.

– Ubierz się. Ja zejdę na dół i zadzwonię do pracy. Powiem Brandonowi, że pewnie tylko się spóźnię, ale niewykluczone, że w ogóle dziś do nich nie dojadę.

Wyobrażając sobie dokładnie, co powie Brandonowi Reedowi, pan Delevan nie był jednak tym zaabsorbowany tak bardzo, by nie dostrzec wyrazu wdzięczności na zatroskanej twarzy syna. Uśmiechnął się lekko, czując, że opuszcza go nietypowe dla niego przygnębienie. Tyle przynajmniej mu zostało: jego syn był jeszcze dość młody, by szukać u niego otuchy, a także uznać go za wyższą instancję, do której można się czasami odwołać ze świadomością, że przyniesie to pozytywny skutek; a on sam był jeszcze dość młody, by dodawała mu otuchy otucha syna.

– Uważam, że powinniśmy złożyć wizytę panu Merrillowi – powiedział, ruszając w stronę drzwi i zerkając na stojący na nocnej szafce zegar. Było dziesięć minut po ósmej i na tyłach Emporium Galorium młotek opadał właśnie na imitację niemieckiego zegara z kukułką. – Otwiera na ogół sklep koło wpół do dziewiątej. Zdążymy chyba w samą porę. To znaczy, jeśli się pośpieszysz.

Wychodząc z sypialni, na chwilę przystanął i na jego ustach pojawił się lodowaty uśmiech. Nie był skierowany do syna.

– Mam wrażenie, że powinien nam to i owo wyjaśnić, jeśli wolno mi tak powiedzieć – oznajmił i wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Kevin zaczął się szybko ubierać.

ROZDZIAŁ 14

Super Apteka La Verdiere's w Castle Rock była zdecydowanie czymś więcej niż zwykła apteka. Innymi słowy, stała się apteką dopiero w wyniku czyjegoś namysłu. Tak jakby ktoś w ostatnim momencie zauważył – powiedzmy, tuż przed wielkim otwarciem – że na szyldzie w dalszym ciągu figuruje słowo „Apteka”. Ten ktoś mógł sobie zakonotować, żeby powiedzieć komuś innemu, komuś w kierownictwie firmy, że oto stoją tutaj, otwierając kolejny sklep La Verdiere's i przez zwykłe zapomnienie znowu nie poprawili szyldu, by brzmiał prościej i bardziej prawidłowo, „Super Apteka La Verdiere's”... a potem zakonotowawszy to sobie, owa osoba, której zadaniem było dostrzeganie takich rzeczy, przesunęła o dzień lub dwa uroczyste otwarcie, żeby w najdalszej, najmroczniejszej i najbardziej zaniedbanej części długiego budynku mogli wcisnąć nie większe od budki telefonicznej stanowisko przyjmowania recept.

Tak naprawdę Super Apteka La Verdiere's bardziej niż cokolwiek innego przypominała podrasowany sklep z tandetą. Prawdziwym sklepem z tandetą był kiedyś w Castle Rock The Ben Franklin Store: długi, pogrążony w półmroku pasaż z kulistymi kłozami, które wisały na łańcuchach upstrzone muchami, odbijając się niewyraźnie w skrzypiącej, choć dość często froterowanej podłodze. Sklep wyzionął ducha w 1978 roku i ustąpił miejsca wypożyczalni i salonowi gier wideo o nazwie Galaxia i E-Z Video Rentals, gdzie we wtorek wypożyczali wszystko za pół ceny i nikt poniżej dwudziestu lat nie mógł wchodzić do sali na zapleczu.

W La Verdiere's sprzedawano to samo, co można było dostać w starym Benie Franklinie, ale tutaj cały asortyment skąpany był

w bezlitosnym świetle jarzeniówek Maxi-Glo, które nadawało każdemu artykułowi specyficzne niezdrowe lśnienie. Kup mnie! – wydawał się krzyczeć każdy produkt. Jeśli mnie nie kupisz, umrzesz! Albo umrze twoja żona! Lub dzieci! Czy twój najlepszy przyjaciel! Możliwe, że wszyscy naraz! Dlaczego? A skąd ja mam wiedzieć? Jestem tylko bezmyślnym towarem leżącym na prefabrykowanej półce w La Verdiere's. Ale nie wydaje ci się, że to prawda? Wiesz, że to prawda! Więc kup mnie i zrób to JUŻ... TERAZ!

Była tam alejka z pasmanterią, dwie alejki z artykułami pierwszej pomocy i paralekami oraz alejka z kasetami audio i wideo (zarówno czystymi, jak i nagranyymi). Był długi regał z czasopismami i tanimi książkami, gablota z zapalniczkami pod jedną z cyfrowych kas i gablota z zegarkami pod drugą (trzecia kasa kryła się w mrocznym zakątku, w którym sterczał samotnie farmaceuta). Większość działu z zabawkami wypełniały teraz halloweenowe słodycze (po Halloween zabawki miały nie tylko wrócić, ale ostatecznie zająć dwie alejki w oczekiwaniu na zbliżające się nieubłagane Boże Narodzenie). I jak coś, co wydaje się zbyt piękne, by funkcjonować w rzeczywistości inaczej niż tylko jako potwierdzenie, że istnieje jednak Przeznaczenie przez duże P i że to Przeznaczenie może na swój własny sposób świadczyć o istnieniu całego „tamtego świata”, którym Papiro nigdy dotąd się nie interesował (chyba że ten mógł mu przysporzyć profitów) i któremu Kevin Delevan nigdy wcześniej nie poświęcił nawet pobieżnej myśli, na głównej wystawie w przedniej części sklepu znajdowało się starannie zaaranżowane dzieło sztuki sprzedaży zatytułowane JESIENNY FESTIWAL FOTOGRAFII.

Aranżacja składała się z kosza kolorowych jesiennych liści wysypujących się na podłogę jasną kaskadą (ktoś mógłby zauważyć, że zbyt wielką, by mogła pochodzić tylko z tego jednego kosza). Pośród liści leżało sporo aparatów Kodaka i Polaroida – wśród tych drugich kilka egzemplarzy modelu Sun 660 – i wszelkiego rodzaju inny asortyment: kasety, albumy,

filmy i żarówki do fleszy. Pośrodku całego tego rogu obfitości stał staroświecki trójnog podobny do jednej z unoszących się nad ruinami Londynu marsjańskich machin śmierci H.G. Wellsa. Na trójnogu umieszczony był napis, który obwieszczał wszystkim zainteresowanym klientom, że w tym tygodniu mogą uzyskać SUPERRABAT NA WSZYSTKIE APARATY I AKCESORIA POLAROIDA!

O wpół do dziewiątej tego ranka, pół godziny po tym, jak La Verdiere's otworzył swoje podwoje, „wszyscy zainteresowani klienci” składali się wyłącznie z Papcia Merrilla. Nie zwracając uwagi na wystawę, pomaszerował on w stronę jedyne go czynnego stanowiska, gdzie Molly Durham kończyła właśnie wykladać zegarki na imitację aksamitu.

O nie, znowu idzie ten stary Gapiszon, pomyślała i skrzywiła się. Pomysł Papcia na naprawdę fajne spędzenie chwili czasu – trwającej z grubsza tyle samo co przerwa Molly na kawę – polegał na przyklejeniu się do lady, przy której pracowała (zawsze wybierał jej ladę, nawet jeśli musiał stać w kolejce; w gruncie rzeczy wydawało jej się, że nawet wolał, kiedy była kolejka), i nabyciu paczki tytoniu Prince Albert. Była to transakcja, którą normalny facet może załatwić w trzydzieści sekund, ale uważała za sukces, jeśli udało jej się spławić Gapiszona po mniej więcej trzech minutach. Facet trzymał wszystkie pieniądze w popękanej skórzanej portmonetce na łańcuszku i najpierw wyławiał ją z kieszeni – jak wydawało się Molly, zawsze masując sobie przy tym czule jaja – a następnie otwierał. Portmonetka niezmiennie cicho przy tym skrzypiała i szczerze mówiąc, człowiek spodziewał się ujrzeć wylatującą z niej ćmę, dokładnie taką, jaką przedstawiają autorzy komiksów o sknerusach. Na górze zawsze była w niej cała masa papierowych pieniędzy, banknoty, które wyglądały, jakby nikt nie powinien ich dotykać, jakby były pokryte zarazkami jakiejś wrednej choroby, a pod spodem brzęczący bilon. Papcio wyławiał jednodolarowy banknot, następnie zaś odsuwał na bok tym swoim grubym paluchem pozostałe banknoty, żeby dostać

się do monet – nigdy nie dawał dwóch dolarów, o nie, to zbyt szybko zakończyłoby całą sprawę – i to też trwało bardzo długo. Przez cały ten czas biegały mu oczy; zerkał czasem na sekundę albo dwie do portmonetki, ale przeważnie pozwalał, by paluchy same wybrały odpowiednie monety, podczas gdy oczy wędrowały po jej cyckach, brzuchu, biodrach, a potem znowu po cyckach. Ani razu po jej twarzy – nawet nie po ustach, które są tą częścią ciała dziewczyny, którą najbardziej chyba interesują się faceci; nie, Papcio Merrill był zainteresowany wyłącznie dolnymi fragmentami kobiecej anatomii. Kiedy ostatecznie dostawał swój tytoń – i bez względu na to, ile to trwało, Molly za każdym razem wydawało się trwać trzy razy za długo – i wynosił się ze sklepu, miała ochotę wejść na długo pod prysznic.

Wzięła się więc w garść, przywołała na twarz swój najlepszy uśmiech w stylu „jest dopiero wpół do dziewiątej i jeszcze przez siedem i pół godziny będę musiała szczerzyć zęby” i czekała przy ladzie na zbliżającego się Papcia. On się na ciebie tylko gapi, powtarzała sobie, faceci robią to, odkąd przestałaś być dzieckiem, i była to prawda, ale nie w tym przypadku. Ponieważ Papcio Merrill nie był podobny do większości facetów, którzy od mniej więcej dziesięciu lat wodzili wzrokiem po jej smukłej i ewidentnie przyjemnej dla oka supersylwetce. Częściowo wynikało to z faktu, że Papcio był stary, ale nie tylko. Prawda była taka, że niektórzy faceci tylko się na ciebie gapią, a inni – jest ich naprawdę niewiele – wydają się naprawdę obmacywać cię wzrokiem, i Merrill należał do tych drugich. Jego spojrzenie naprawdę zdawało się mieć ciężar; kiedy grzebał w tej swojej skrzypiącej staropanieńskiej portmonetce zawieszanej na niepasującym do niej męskim łańcuszku, Molly autentycznie czuła, jak jego oczy pełzają po jej ciele niczym kijanki, wspinając się na swoich nerwach wzrokowych po jej wypukłościach, a potem ześlizgując się miękko w doliny. Żałowała wtedy, że nie włożyła do pracy habitu zakonnicy. Albo jeszcze lepiej zbroi.

Ale jej matka lubiła powtarzać „Czego nie można uleczyć, trzeba jakoś znieść, moja droga” i Molly wiedziała, że dopóki ktoś

nie odkryje metody ważenia spojrzeń, żeby można było wyjąć spod prawa te rzucane zarówno przez młodych, jak i starych świntuchów, lub, co bardziej realne, dopóki Papcio Merrill nie zrobi wszystkim mieszkańcom Castle Rock uprzejmości, kopiąc w kalendarz, dzięki czemu można będzie zrównać z ziemią tę jego szkaradną pułapkę na turystów, musiała po prostu radzić sobie z tym, jak mogła najlepiej.

Tego dnia czekała ją jednak przyjemna niespodzianka – tak to w każdym razie wyglądało na początku. Łapczywy na ogół wzrok Papcia nie przypominał nawet spojrzenia normalnego klienta; jego oczy były zupełnie puste. Nie chodziło o to, że patrzył wskroś przez nią albo że jego wzrok padł na nią i odbił się. Molly miała wrażenie, że facet jest tak głęboko zatopiony w myślach, że jego normalnie penetrujące spojrzenie nawet do niej nie dotarło, doszło tylko do połowy drogi, a potem zgasło, tak jak to się dzieje, kiedy człowiek próbuje gołym okiem zlokalizować i obserwować gwiazdę na drugim krańcu galaktyki.

– Mogę panu w czymś pomóc, panie Merrill? – zapytała, wykręcając stopę, by móc szybko obrócić się i sięgnąć po leżące na półce paczki z tytoniem. W przypadku Papcia wykonywała zawsze tę czynność maksymalnie szybko, ponieważ obracając się i sięgając, czuła, jak jego wzrok pełza łapczywie po jej tyłku, opadając na chwilę niżej, by zająć się nogami, a potem unosząc się wyżej, żeby na koniec, zanim Molly z powrotem się obróci, optycznie ją uszczypnąć.

– Tak – odparł spokojnym, łagodnym tonem i sądząc po zainteresowaniu, jakie jej okazywał, równie dobrze mógłby przemawiać do bankomatu. Molly wcale to nie przeszkadzało. – Chciałbym kupić... – i tu padło słowo, którego nie dosłyszała, albo jakiś nieartykułowany bełkot. Jeśli to był bełkot, pomyślała z pewną nadzieją, być może, rozpadały się pierwsze elementy skomplikowanego systemu grobli, wałów i przepustów, którymi stary piernik chciał powstrzymać zbliżające się starcze otępienie.

Wydawało jej się, że powiedział tyfilmton, a takiego produktu nie mieli na składzie... chyba że to był jakiś lek na receptę.

– Słucham pana, panie Merrill?

– Film – rzekł tak wyraźnie i zdecydowanie, że Molly była więcej niż rozczarowana. Musiał to powiedzieć już za pierwszym razem i chyba to ją zawiódł słuch. Może to jej groble i wały zaczynały już przeciekać.

– Jakiego rodzaju film pan sobie życzy?

– Do polaroida. Dwie kasety.

Molly nie wiedziała dokładnie, co się tutaj dzieje, ale nie ulegało wątpliwości, że czołowy castlerockowy obleśny staruch nie był dzisiaj sobą. Nadal miał mętny wzrok, a to, jak mówił... coś jej przypominało, coś związanego z jej pięcioletnią siostrzenicą Ellen, tyle że nie mogła tego umiejscowić.

– Do jakiego modelu, panie Merrill?

Sama wydawała się sobie sztuczna i spięta, ale Papcio Merrill w ogóle tego nie zauważał. Przebywał w innym wymiarze.

– Do aparatu Polaroid Sun. Model sześćset sześćdziesiąt – wyrzucił z siebie po chwili zastanowienia, w trakcie której nie patrzył na nią, ale chyba na regał z papierosami za jej lewym ramieniem.

I nagle to do niej dotarło, dokładnie kiedy informowała go, że musi wziąć film z wystawy. Jej siostrzenica miała wielką wypchaną pandę, którą z powodów, jakie mogłaby prawdopodobnie zrozumieć tylko inna mała dziewczynka, nazwała Paulette. Gdzieś wewnątrz Paulette znajdował się elektroniczny obwód scalony i chip pamięci, w którym zmagazynowano około czterystu prostych krótkich zdań w rodzaju „Chciałabym się poprzytulać, a ty?” albo „Nie chcę nigdy zostać sama”. Za każdym razem, kiedy siostrzenica szturchała Paulette w jej włochaty pępek, po krótkiej pauzie można było usłyszeć jedno z owych uroczych zdań wypowiedzianych jednak tak wypranym z emocji głosem, że ich ton całkowicie zaprzeczał treści. Ellen uważała, że Paulette jest stuknięta. Zdaniem Molly, było w tej zabawce coś przyprawiającego o gęsią skórkę; cały czas spodziewała się, że kiedy za którymś razem Ellen szturchnie pandę w brzuch, ta

zaskoczy ich wszystkich (z wyjątkiem cioci Molly z Castle Rock), mówiąc, co naprawdę chodzi jej po głowie. Być może, „Kiedy pójdziecie dziś spać, chyba was zaduszę”, a może tylko „Mam nóż”.

Tego ranka Papcio Merrill brzmiał jak wypchana panda Paulette. Jego puste oczy były tak samo niesamowite jak oczy tej zabawki. Molly wydawało się dotąd, że przyjmie z ulgą każdą zmianę w jego zachowaniu. Myliła się.

Pochyliła się nad wystawą, choć raz zapominając o tym, że wypina tyłek, i próbowała jak najszybciej znaleźć to, czego chciał ten stary piernik. Była pewna, że kiedy się odwróci, Papcio będzie patrzył wszędzie, tylko nie na nią. Tym razem się nie pomyliła. Gdy wzięła do ręki filmy i ruszyła z powrotem (strząsając po drodze z jednego z pudełek kilka zabłąkanych liści), Papcio nadal gapił się na półkę z papierosami, na pierwszy rzut oka wpatrując się w nie tak uważnie, jakby robił remanent. Dopiero po kilku sekundach można było spostrzec, że tak naprawdę nie poświęca im żadnej uwagi, a w jego oczach widać niemal boską pustkę.

Proszę, wynieś się stąd, pomodliła się w duchu Molly. Proszę, zabierz tylko swoje filmy i idź. I cokolwiek jeszcze zrobisz, nie dotykaj mnie. Proszę.

Gdyby, wyglądając w ten sposób, jej dotknął, narobiłaby chyba krzyku. Dlaczego musi tu być tak pusto? Dlaczego nie pojawił się choćby jeszcze jeden klient, najlepiej szeryf Pangborn, a skoro szeryf najwyraźniej zaangażował się gdzie indziej, to ktokolwiek? Przypuszczała, że gdzieś na terenie sklepu jest aptekarz, pan Constantine, ale stanowisko przyjmowania recept wydawało się odległe o kilometr i chociaż wiedziała, że to niemożliwe, i tak było zbyt daleko, by pan Constantine zdążył do niej dobiec, gdyby stary Merrill postanowił jednak jej dotknąć. A może pan Constantine poszedł razem z panem Keetonem z biura radnego na kawę do Nan? Im dłużej rozważała tę możliwość, tym bardziej wydawała jej się prawdopodobna. Czyż

nie jest tak, że kiedy dzieje się coś naprawdę dziwnego, człowiek zawsze zostaje sam jak palec?

Facet musiał przechodzić jakieś załamanie nerwowe.

– Proszę bardzo, panie Merrill – usłyszała, jak mówi ze sztuczną niefrasobliwością. Położyła filmy na ladzie i stanęła za kasą, chcąc, żeby coś ją od niego oddzielało.

Ze spodni Pappia Merrilla wynurzyła się archaiczna skórzana portmonetka i zeszywniałe palce Molly nie wbiły prawidłowo zakupu, w związku z czym musiała skasować wpis i zacząć od nowa.

Pappio wyciągał do niej dwa dziesięciodolarowe banknoty.

Tłumaczyła sobie, że są pogniecione tylko dlatego, że były wciśnięte do tej małej portmonetki razem z innymi, prawdopodobnie nawet niestarymi, chociaż wyglądały na stare. Nie powstrzymało to jednak dzikiego galopu myśli. Umysł podpowiadał jej, że są nie tylko pogniecione, że są pogniecione i śliskie. Podpowiadał jej także, że „stare” nie jest właściwym słowem, że „stare” w ogóle nie wchodzi w grę. Do tych akurat środków płatniczych nie pasowało nawet słowo „antyczne”. To były prehistoryczne dziesiątki, wydrukowane w jakiś dziwny sposób jeszcze przed narodzeniem Chrystusa i przed wzniesieniem Stonehenge, zanim pierwszy niskobrewy i pozbawiony karku neandertalczyk wypełził ze swojej jaskini. Powstały w czasie, kiedy nawet Bóg był jeszcze dzieckiem.

Nie chciała ich dotykać.

Musiała ich dotknąć.

Facet chciał, żeby wydała mu resztę.

Zmobilizowawszy się, wzięła banknoty i najszybciej, jak to możliwe, włożyła je do przegródki kasy, uderzając się przy tym palcem tak mocno, że prawie zdarła sobie paznokcie. Normalnie sprawia to dotkliwy ból, ona jednak, w stanie skrajnego stresu, w ogóle go nie poczuła... Poczowała dopiero po jakimś czasie, kiedy przekonała samą siebie, że zachowywała się jak mała siksa tuż przed pierwszym okresem, i miała to sobie bardzo za złe.

W tamtym momencie skupiła się wyłącznie na tym, by jak najszybciej włożyć banknoty do kasy i przestać mieć z tym człowiekiem jakąkolwiek styczność, lecz później dobrze pamiętała, jakie były w dotyku. Miała wrażenie, jakby autentycznie pełzały i poruszały się pod opuszkami jej palców; jakby miliardy zarazków, prawie tak wielkich, że widać je gołym okiem, ślizgały się po nich, chcąc zarazić ją tym, na co chorował ten facet.

Który chciał, żeby wydała mu resztę.

Skupiła się na tym, zaciskając wargi tak mocno, że całe zsiniały; cztery jednodolarówki, które nie chciały, za żadne skarby nie chciały wysunąć się spod rolki przytrzymującej je w przegródce kasy. Do tego jedna dziesięciocentówka, ale... Jezusie przenajświętszy, w kasie nie było ani jednej dziesięciocentówki, i co się z nią, do diabła, działo, za jakie grzechy musi męczyć się tak długo z tym starym dziwakiem, któremu po raz pierwszy w życiu najwyraźniej śpieszyło się, żeby wyjść ze sklepu?

Wyłowiła pięciocentówkę, czując tak blisko siebie jego cichą, cuchnącą obecność (i będąc przekonana, że kiedy w końcu będzie musiała podnieść wzrok, zobaczy, że jest jeszcze bliżej, że pochyła się ku niej nad ladą), potem trzy, cztery, pięć centów... ale ostatni cent wpadł z powrotem do szuflady kasy, do przegródki z dwudziestopięciocentówkami, i musiała go ponownie wyławiać lodowatym zdrętwiałym palcem. O mało go znów nie wypuściła; czuła, jak pot spływa jej po karku i skrawku skóry między nosem i górną wargą. Następnie, zaciskając mocno monety w garści i modląc się, żeby nie wyciągnął w jej stronę ręki, żeby nie musiała dotykać jego suchej, gadziej skóry, ale wiedząc, w jakiś sposób wiedząc, że on właśnie to zamierza zrobić, podniosła wzrok i czując, że firmowy uśmiech La Verdiere's wykrzywia jej twarz w coś w rodzaju zastygłego krzyku, starała się przygotować nawet na to, tłumaczyła sobie, że to już prawie koniec i nie powinna się przejmować obrazem, który głupi uparty umysł podsuwał jej przed oczy, obrazem tej

suchej dłoni zaciskającej się nagle na jej ręce niczym szpony jakiegoś starego i straszego ptaka, nie drapieżnego, nie, nawet nie drapieżnego, ale ptaka padlinożercy; mówiła sobie, że nie widzi tych obrazów, nie, absolutnie nie, ale widziała je, tak czy owak, i wykrzywiając twarz w uśmiechu, który krzyczał tak samo rozpaczliwie, jak w gorącą parną noc krzyczy ofiara morderstwa, ujrzała, że sklep jest pusty.

Papcio zniknął.

Wyszedł, kiedy wydawała mu resztę.

Molly zaczęła się cała trząść. Jeśli potrzebowała namacalnego dowodu, że stary dziad nie jest sobą, miała go oto przed sobą. To był niezbity dowód, dowód nie do podważenia, dowód najczystszej próby: po raz pierwszy, odkąd pamiętała (i odkąd pamiętali mieszkańcy tego miasteczka, mogłaby się o to założyć i wygrałaby ten zakład) Papcio Merrill, który nie dawał napiwków nawet wtedy, gdy – co zdarzało się nader rzadko – był zmuszony zjeść coś w restauracji, w której nie dało się zamówić niczego na wynos, wyszedł ze sklepu, nie czekając na resztę.

Molly próbowała otworzyć dłoń i pozbyć się ściskanych w niej czterech jednodolarówek, pięciocentówki i czterech centów, ale z osłupieniem zdała sobie sprawę, że nie jest w stanie tego zrobić. Musiała rozprostować dłoń palcami drugiej dłoni. Reszta Papcia spadła na szklaną ladę i Molly odsunęła te pieniądze na bok, nie chcąc ich dotykać.

I nigdy już nie chciała widzieć na oczy Papcia Merrilla.

ROZDZIAŁ 15

Wychodząc z La Verdier's, Papcio miał nadal puste spojrzenie. Miał je, kiedy przecinał chodnik, trzymając w dłoni kasety z filmem. Zmieniło się i zastąpił je wyraz podejrzanego czujności, dopiero gdy zszedł z chodnika i zatrzymał się z jedną nogą nadal na krawężniku, a drugą pośród ciśniętych do ryzstoka niedopałków papierosów i pustych torebek po czipsach. Oto był kolejny Papcio Merrill, którego nie rozpoznałaby Molly, chociaż ci, których stary postawił kiedyś w sytuacji bez wyjścia, znali to jego wcielenie całkiem dobrze. Nie był to ani Merrill lubieżnik, ani Merrill robot, lecz Merrill zwierzę, które zwietrzyło trop. Nagle był znowu całkowicie obecny, tu i teraz, w sposób, na jaki rzadko pozwalał sobie publicznie. Tak jawne odsłanianie swojego prawdziwego oblicza nie było, zdaniem Papcia, dobrym pomysłem. Tego ranka jednak nie był panem samego siebie, a poza tym nikt go nie obserwował. Gdyby pojawił się ktoś taki, nie zobaczyłby Papcia domorosłego filozofa ani nawet Papcia ostrego gracza, lecz coś, co stanowiło kwintesencję tego mężczyzny. W tym momencie całkowitej, totalnej czujności Papcio sam upodobił się do bezpańskiego psa przybłądy, który kompletnie zdziczał i stojąc o północy w kurniku pośród pozagryzanych kur, bacznie strzygąc uszami i szczerząc ociekające krwią zęby, nasłuchuje odgłosów dobiegających z domu farmera i wyobraża sobie dubeltówkę z jej wielkimi czarnymi dziurami, które przypominają przewróconą na bok cyfrę osiem. Pies nie zna się na cyfrach, ale jeśli ma dostatecznie rozwinięty instynkt, nawet on może rozpoznać niewyraźny kształt wieczności.

Po drugiej stronie placu widział żółtą niczym mocz fasadę Emporium Galorium, odsuniętego nieco od swoich najbliższych sąsiadów – pustego budynku, w którym jeszcze na początku tego roku mieściła się miejska pralnia, a także od kafejki U Nan i pasmanterii Igła z Nitką prowadzonej przez prawnuczkę Evvie Chalmers, Polly, kobietę, o której opowiemy innym razem.

Przed wszystkimi sklepami przy Lower Main Street urządzono ukośne miejsca parkingowe i wszystkie były puste... z wyjątkiem jednego, które zajmował właśnie dobrze znany Merrillowi ford combi. W nieruchomym porannym powietrzu słyhać było wyraźnie cichy warkot jego silnika. A potem warkot ucichł, zgasły światła hamulcowe, a Papcio cofnął stopę, którą postawił na jezdni, wycofał się przezornie za róg La Verdier's i stanął tam tak samo czujny jak ów pies, zaalarmowany w kurniku przez odgłos, na który w morderczym szale mogłyby nie zwrócić uwagi psy nie tak stare i nie tak mądre jak on.

Z forda wysiadł od strony kierowcy John Delevan, a od strony pasażera chłopiec. Obaj podeszli do drzwi Emporium Galorium. Delevan zaczął niecierpliwie pukać, dość głośno, by dźwięk dotarł do Papcia tak samo wyraźnie jak wcześniej warkot silnika. Na chwilę Delevan przerwał, on i syn nasłuchiwali, a potem ojciec zaczął znowu pukać, a właściwie nie pukać, lecz walić w drzwi i nie trzeba było być cholernym jasnowidzem, żeby zorientować się, że facet jest wzburzony.

Wiedzą, pomyślał Papcio. W jakiś sposób się dowiedzieli. Dobrze przynajmniej, że rozwaliłem ten pieprzony aparat.

Stał jeszcze przez chwilę w miejscu... w jego nieruchomej twarzy poruszały się tylko oczy... a potem skręcił za rogiem La Verdier's w alejkę, która dzieliła sklep od sąsiadującego z nim banku. Zrobił to tak żwawo, że ktoś o pięćdziesiąt lat od niego młodszy mógłby mu pozazdrościć zwinności ruchów.

Dziś, uznał Papcio, roztropniej będzie wrócić do domu od zaplecza.

ROZDZIAŁ 16

Nadal nikt im nie otwierał, więc John Delevan podszedł do drzwi po raz trzeci i zaczął walić w nie tak mocno, że tkwiąca w nich szybka obluzowała się w skruszałym kucie i rozboleła go ręka. To właśnie ból ręki uświadomił mu, jaki jest wściekły. Nie żeby uważał, że jego wściekłość jest w jakikolwiek sposób nieuzasadniona, jeżeli Merrill rzeczywiście zrobił to, o co podejrzewał go Kevin. Im dłużej o tym myślał, tym bardziej był przekonany, że syn ma rację. Zdziwiło go jednak, że dopiero teraz zdał sobie z tego sprawę.

Dziś dowiem się chyba o sobie czegoś nowego, pomyślał i było w tym coś belferskiego. Pozwolił sobie na uśmiech i trochę się odprężył.

Kevin nie uśmiechał się i nie wydawał się odprężony.

– Wygląda na to, że zdarzyła się jedna z trzech rzeczy – zwrócił się pan Delevan do syna. – Albo Merrill jeszcze nie wstał, albo nie podchodzi do drzwi, albo zorientował się, że go rozszyfrowaliśmy, i zwiął z aparatem. – Tu przerwał i autentycznie się roześmiał. – Jest chyba i czwarta możliwość. Może umarł we śnie.

– Nie umarł. – Kevin stał, opierając czoło o brudną szybę drzwi, których wolałby nigdy w życiu nie przekraczać. Dłonie przystawił do oczu, żeby lepiej widzieć, bo wschodzące po lewej stronie placu słońce odbijało się ostro od szyby. – Popatrz.

Pan Delevan również osłonił dłońmi twarz i przytknął nos do szyby. Stali ramię przy ramieniu, plecami do placu, spoglądając w mroczne wnętrze Emporium Galorium niczym najbardziej zagorzali miłośnicy sklepowych wystaw.

– Wygląda na to, że nawet jeśli uciekł, nie zabrał ze sobą całego tego chłamu – odezwał się w końcu pan Delevan.

– Tak... ale nie o to mi chodziło. Widzisz to?

– Co takiego?

– Wisi na tym słupie. Obok którego stoi ta komoda z zegarami.

I pan Delevan po chwili to zobaczył: aparat Polaroida zawieszony na wbitym w słup haczyku. Miał nawet wrażenie, że widzi miejsce, w którym odprysnął plastik, chociaż mogło mu się tylko zdawać.

Wcale mu się nie zdawało.

Uśmiech zamarł mu na ustach, gdy zdał sobie sprawę, że zaczyna odczuwać to samo co syn: dziwną i niepokojącą pewność, że została uruchomiona jakaś prosta, lecz straszliwie niebezpieczna maszyna... i w przeciwieństwie do większości zegarów Papcia zadziała dokładnie na czas.

– Myślisz, że siedzi tam po prostu na górze i czeka, aż sobie pójdziemy? – zapytał na głos, choć w gruncie rzeczy mówił do siebie. Zamek robił wrażenie nowego i drogiego... ale mógłby się założyć, że gdyby jeden z nich... Kevin był prawdopodobnie w lepszej formie... walnął z całej siły w drzwi, stare drewno na pewno by ustąpiło. Zamek jest tylko tak dobry jak drzwi, w które go wstawiamy, pomyślał. Ludziom brakuje pomysłu.

Kevin odwrócił się do ojca. W tym momencie wyraz udręczonej twarzy syna poruszył Johna Delevana tak samo mocno, jak nie tak dawno Kevina poruszył wyraz twarzy ojca. Ciekawe, ilu ojców ma szansę zobaczyć, jak będą wyglądali ich synowie jako dorośli mężczyźni, pomyślał. Przecież nie zawsze będzie miał takie zbolące, ściągnięte rysy... Boże, mam nadzieję, że nie... ale tak właśnie będzie wyglądał. I Jezu... będzie z niego przystojny facet!

On także, podobnie jak Kevin, przeżył szczególną chwilę podczas tego wszystkiego, co się tutaj działo. Chwila była krótka, ale on też miał jej nigdy nie zapomnieć; zawsze będzie miał ją świeżo w pamięci.

– Co jest? – zapytał schrypniętym głosem Kevin. – Co jest, tato?

– Chcesz wyważyć drzwi? Bo ja nie mam nic przeciwko.

– Jeszcze nie. Nie sędzę, żebyśmy musieli. Nie sędzę, że on tu jest... ale jest gdzieś blisko.

Nie można wiedzieć takich rzeczy. Nikomu nie może się nawet wydawać, że wie.

Ale jego synowi wydawało się, że wie, i pan Delevan wierzył, że chłopak ma rację. Między Papciem i Kevinem istniała jakaś łączność. „Jakaś łączność”? Nie żartuj. Wiedział doskonale, co to za łączność. To był ten pierdolony aparat, który wisiał tam na ścianie i im dłużej to trwało, im dłużej czuł, że ta maszyna funkcjonuje, stukają przekładnie i obracają się bezmyślne okrutne trybiki, tym mniej mu się to podobało.

Trzeba rozwalić ten aparat, trzeba rozwalić ten aparat, przebiegło mu przez głowę.

– Jesteś pewien, Kevin? – zapytał.

– Spróbujmy wejść od tyłu. Sprawdzimy tylne drzwi.

– Jest tam furka. Na pewno ją zamyka.

– Może uda nam się przejść górą.

– Dobrze – odparł pan Delevan i ruszył za synem. Schodząc ze stopni Emporium Galorium i skręcając w alejkę, zastanawiał się, czy nie postradał przypadkiem zmysłów.

...

Okazało się jednak, że furka nie jest zamknięta. Papcio w którymś momencie zapomniał ją zamknąć i chociaż panu Delevanowi niezbyt podobał się pomysł przełazenia przez płot, co groziło bolesnym upadkiem lub fatalnym uszkodzeniem przyrodzenia, otwarta furka, nie wiadomo dlaczego, podobała mu się jeszcze mniej. Mimo to on i Kevin weszli przez nią na zaśmiecone tylne podwórko, którego urody nie poprawiły nawet świeżo spadłe październikowe liście.

Kevin ruszył pierwszy, wymijając sterty śmieci, które Papcio wyrzucił z domu, ale nie pomyślał o tym, żeby wywieźć je na wysypisko. Podeszli do pieńka mniej więcej w tym samym

momencie, kiedy Papcio wyszedł z podwórka pani Althei Linden i skręcił w Mulberry Street, przecnicę dalej na zachód. Miał zamiar iść Mulberry Street aż do biura zakładów drzewnych Wolf Jaw. Chociaż ciężarówki firmy krążyły już od pewnego czasu po drogach zachodniego Maine i mniej więcej od wpół do siódmej na kurczących się okolicznych terenach leśnych słychać było wizg i zawodzenie pił łańcuchowych, przed dziewiątą nikt nie powinien pojawić się w biurze, a został do niej jeszcze pełen kwadrans. Na tyłach małego dziedzińca zakładów drzewnych było wysokie drewniane ogrodzenie z furką, która była zamknięta, ale Papcio miał do niej klucz. Po jej otwarciu mógł wejść na własne podwórko.

Kevin podszedł do pieńka. Ojciec dogonił go, powiódł oczami za wzrokiem syna i zamrugał. Otworzył usta, żeby zapytać, o co w tym wszystkim, do diabła, chodzi, a potem je zamknął. Zaczynał domyślać się, o co, do diabła, w tym wszystkim chodzi, bez pomocy Kevina. To, że się tego domyślał, nie było dobre, nie było naturalne i wiedział z gorzkiego doświadczenia (w którym niebagatelną rolę odgrywał sam Reginald Marion „Papcio” Merrill, o czym nie tak dawno powiedział synowi), że robienie różnych rzeczy pod wpływem impulsu jest najlepszym sposobem, by podjąć złą decyzję i obudzić się z ręką w nocniku. Nie miało to jednak znaczenia. Chociaż nie myślał o tym w takich kategoriach, pan Delevan prawdopodobnie miał po prostu nadzieję, że kiedy to wszystko się skończy, będzie mógł ponownie poprosić o przyjęcie do plemienia Rozsądnych.

Z początku wydawało mu się, że patrzy na rozbite szczątki aparatu Polaroida. Oczywiście to tylko jego umysł szukał jakiejś racjonalności w tym, co się powtarzało; to, co leżało na pieńku i wokół niego, absolutnie nie przypominało aparatu firmy Polaroid ani żadnej innej. Wszystkie te trybiki i kółka mogły należeć wyłącznie do zegara. A potem zobaczył kukułkę i domyślił się nawet, jakiego rodzaju zegara. Otworzył usta, żeby zapytać Kevina, po jaką cholere Papcio wyniósł na dwór zegar z kukułką i zatłukł go młotkiem na śmierć. Następnie przemyślał

to i doszedł do wniosku, że właściwie nie musi pytać. Odpowiedź na to pytanie zaczęła się wyłaniać sama. Nie chciał, by się wyłoniła, wskazywała bowiem na niewyobrażalne, jego zdaniem, szaleństwo, ale to nie miało znaczenia; i tak już ją znał.

Zegary z kukułką na czymś się wieszają. Trzeba to robić z powodu ciężarków i wahadła. A na czym go powiesić? No, choćby na haku.

Na przykład na haku wystającym ze słupa.

Podobnym do tego, na którym wisiał polaroid Kevina.

Pan Delevan w końcu przemówił i wydawało mu się, że jego słowa dobiegają z oddali.

– Co jest z nim, do cholery, nie tak, Kevinie? Dostał obłądu?

– Nie dostał – odparł Kevin i kiedy tak stali nad pieńkiem, przyglądając się rozbitemu czasomierzowi, jego głos również wydawał się dochodzić z dużej odległości. – Został doprowadzony do obłądu. Przez aparat.

– Musimy go zniszczyć – oświadczył pan Delevan. Miał wrażenie, że te słowa dotarły do jego uszu długo po tym, jak je wypowiedział.

– Jeszcze nie – rzucił chłopak. – Najpierw musimy pójść do sklepu. Sprzedają je teraz ze specjalnym rabatem.

– Co sprzedają ze specjalnym...?

Kevin dotknął ramienia ojca. Ten popatrzył na niego. Chłopak miał podniesioną głowę i wyglądał jak jelen, który zwietrzył pożar. W tym momencie był nie tylko przystojny; był niemal boski, jak młody poeta w godzinie swojej śmierci.

– Co się stało? – zapytał zaniepokojony pan Delevan.

– Słyszałeś coś? – Czujność powoli ustąpiła miejsca wątpliwościom.

– Samochód przejeżdżający ulicą – odparł ojciec. O ile lat jestem starszy od swojego syna, zapytał nagle sam siebie. O dwadzieścia pięć? Jezu, czy nie nadeszła pora, by zacząć się stosownie do tego zachowywać?

Odsunął od siebie poczucie dziwności, próbując trzymać je na odległość ramienia. Rozpaczliwie szukał w sobie dojrzałości

i trochę jej znalazł. Ubieranie się w nią było niczym wkładanie podartego płaszcza.

– Jesteś pewien, że to był tylko samochód, tato?

– Tak. Jesteś za bardzo spięty, Kevinie. Weź się w garść, bo... – Bo co? Właściwie to wiedział i nerwowo się roześmiał. – Bo będziemy stąd zaraz wiali jak para królików.

Chłopiec przyglądał mu się przez chwilę w zamyśleniu jak ktoś, kto wybudza się z głębokiego snu, być może, nawet transu, a potem pokiwał głową.

– Chodź.

– Dlaczego, Kevinie? Czego ty chcesz? On może być na górze i po prostu nie odpowiada...

– Powiem ci, kiedy tam będziemy, tato. Chodź. – Syn prawie wywlókł ojca z zaśmieconego podwórka i pociągnął go za sobą wąską alejką.

– Chcesz mi urwać ramię? – zapytał pan Delevan, kiedy znaleźli się z powrotem na chodniku.

– On tam wrócił – wyjaśnił Kevin. – Chował się. Czekał, aż odejdziemy. Wyczułem go.

– On tam... – powtórzył ojciec i przerwał. – No dobrze... powiedzmy, że wrócił. Czysto teoretycznie przyjmijmy, że wrócił. Czy nie powinniśmy w takim razie tam poczekać i capnąć go za kołnierz? Gdzie był? – dodał po chwili.

– Po drugiej stronie płotu – odparł Kevin. Miał mętny wzrok. Panu Delevanowi coraz mniej się to podobało. – Już tam był. Ma to, czego potrzebuje. Musimy się pośpieszyć.

Powiedziawszy to, chłopiec ruszył w stronę krawężnika, mając zamiar przeciąć plac w stronę sklepu La Verdiere's. Ojciec wyciągnął rękę i złapał go niczym konduktor łapiący faceta, który próbuje wślizgnąć się do pociągu bez biletu.

– O czym ty mówisz, Kevinie? – zapytał.

I w tym momencie jego syn rzeczywiście to powiedział; popatrzył na niego i to powiedział:

– On się zbliża, tato. Chodzi o moje życie. – Patrzył błagalnie na ojca osadzonymi w pobladłej twarzy mętnymi,

niesamowitymi oczami. – Ten pies się zbliża. Włamanie się i zabranie aparatu nic nam nie pomoże. Jest już na to za późno. Nie zatrzymuj mnie, proszę. Nie budź mnie, proszę. Chodzi o moje życie.

Pan Delevan po raz ostatni spróbował się oprzeć temu zakradającemu się zewsząd szaleństwu... i dał za wygraną.

– Chodź – powiedział, biorąc syna pod łokieć i niemal ciągnąc go za sobą. – Cokolwiek to jest, załatwmy to do końca. Czy mamy dość czasu? – zapytał po chwili.

– Nie jestem pewien – odparł Kevin. – Chyba nie – dodał niechętnie.

ROZDZIAŁ 17

Papcio czekał za drewnianym płotem, obserwując Delevanów przez dziurę po sęku. Tytoń włożył do tylnej kieszeni, żeby mieć wolne dłonie i móc je zaciskać w pięści i prostować, zaciskać i prostować.

Jesteście na moim terenie, szeptał do nich jego umysł i gdyby jego umysł mógł zabijać, obaj byliby już martwi. *Jesteście na moim terenie, do cholery, jesteście na moim terenie!*

Powinien wezwać gliny i kazać im aresztować tych pięknoduchów z Castle View. To właśnie powinien zrobić. I zrobiłby to niechybnie, gdyby nie stali nad szczątkami aparatu, który chłopak miał zniszczyć z błogosławieństwem Papcia już dwa tygodnie temu. Pewnie udałoby mu się zamydlić im oczy i jakoś się z tego wykaraskać, ale wiedział, co o nim myślą w tym mieście. Pangborn, Keeton i cała reszta. Śmieć. Mają go za śmiecia i taka jest prawda.

Oczywiście dopóty, dopóki nie powinie im się noga, nie będą potrzebowali szybkiej gotówki i nie nadejdzie noc.

Zaciskał dłonie i je prostował. Zaciskał i prostował.

Delevanowie rozmawiali ze sobą, ale Papcio nie zamierzał ich podsłuchiwać. Jego umysł był dymiącym piecem. Litania, którą w duchu powtarzał, brzmiała teraz inaczej: *Są na moim cholernym terenie, a ja nie mogę na to nic poradzić! Są na moim cholernym terenie, a ja nie mogę na to nic poradzić! Niech to szlag! Niech ich szlag!*

W końcu sobie poszli. Słyszając skrzypienie zardzewiałej furtki przy alejce, Papcio otworzył kluczem tę w drewnianym płocie, wślizgnął się na podwórko i pobiegł do tylnych drzwi swojego domu; zrobił to z niepokojącą zwinnością jak na

siedemdziesięciolatka, przyciskając przy tym dłonią prawe udo, jak gdyby – zwinny czy nie – odczuwał tam silny reumatyczny ból. W rzeczywistości nic go nie bolało. Nie chciał po prostu, żeby zabrzączały głośno klucze albo bilon w jego portmonetce. Na wypadek gdyby Delevanowie byli nadal blisko i czaili się w miejscu, w którym nie mógł ich zobaczyć. Papcio wcale by się nie zdziwił, gdyby tak zrobili. Kiedy ma się do czynienia ze skunksami, można się spodziewać, że będą się zachowywały jak skunksy.

Wyciągnął klucze z kieszeni. Teraz zabrzączały i chociaż ten dźwięk był stłumiony, jemu wydał się bardzo głośny. Zerknął szybko w lewo, przekonany, że zobaczy rozdziawioną gębę tego smarkacza. Usta Papcia były wykrzywione w grymasie strachu, ale nie było tam nikogo.

Przynajmniej na razie.

Odnalazł właściwy klucz, wsunął go do zamka i wszedł do środka. Pamiętał, żeby nie otwierać drzwi zbyt szeroko, bo kiedy się to robiło, skrzypiały w nich zawiasy.

Wewnątrz przekręcił energicznie gałkę zasuwki i wszedł do Emporium Galorium. Znał jak własną kieszeń to mroczne wnętrze. Mógł z zamkniętymi oczami przemierzać te wąskie zagracone alejki... i faktycznie to wcześniej zrobił, choć w tym momencie, podobnie jak wiele innych rzeczy, wyleciało mu to z głowy.

W przedniej części sklepu było małe boczne okienko wychodzące na wąski zaułek, którym Delevanowie mogli się dostać na jego podwórko. Widać było przez nie również chodnik i kawałek miejskiego skweru.

Papcio podszedł do tego okienka, przeciskając się między stertami bezużytecznych, pozbawionych wartości czasopism, od których zalatywało muzealnym zapachem żółtego kurzu. Spojrzał na zaułek i zobaczył, że jest pusty. Zerknął w prawo i zobaczył, że Delevanowie przechodzą przez skwer tuż obok estrady. Ich widziane przez brudne pofalowane szkło sylwetki przypominały rybki w akwarium. Nie śledził ich długo wzrokiem

i nie podszedł do frontowego okna, żeby mieć lepszy widok. Domyślał się, że idą do La Verdiere's i ponieważ już tu byli, będą o niego pytać. Co powie im ta mała cipa za ladą? Że tam był i dopiero co wyszedł. Coś więcej?

Tylko tyle, że kupił dwie paczki tytoniu.

Papcio uśmiechnął się.

Za to go chyba nie powieszają.

...

Znalazł papierową brązową torebkę, wyszedł przez tylne drzwi, przystanął na chwilę przy pieńku, a potem, po zastanowieniu, podszedł do furtki od strony zaułka. To, że ktoś raz okazał się nieostrożny, nie oznacza, że tak będzie zawsze.

Po zamknięciu na klucz furtki wrócił z torbą do pieńka i pozbierał porzrzucone szczątki polaroida. Robił to najszybciej, jak się dało, ale starał się być przy tym uważny.

Zebrał wszystko z wyjątkiem małych okruchów i drzazg, w których trudno było dostrzec coś poza anonimowymi śmieciami. Technicy policyjni zdołaliby może zidentyfikować część tego, co zostawił; Papcio widział w telewizji programy kryminalne (oczywiście wtedy, kiedy nie oglądał swoich pornosów), w których ci korzystający z naukowych nowinek faceci chodzili po miejscu przestępstwa z małymi pędzelkami, odkurzacami, a nawet pęsetami i wkładali różne rzeczy do plastikowych torebek, lecz w biurze szeryfa Castle Rock nie mieli takich cudeniek. A Papcio wątpił, by szeryf Pangborn zdołał namówić policję stanową do przysłania mobilnego laboratorium kryminalistycznego, nawet gdyby ktoś nakłonił go do zadania sobie takiego trudu – nie do przestępstwa, które polegało na zwykłej kradzieży sprzętu, a to było wszystko, o co Delevanowie mogli go oskarżyć, jeśli nie chcieli wyjść na wariatów. Zabezpieczywszy teren, wrócił do środka, otworzył kluczem swoją „specjalną” szufladę, włożył tam brązową torebkę, zamknął szufladę i schował klucz do kieszeni. Ta sprawa była

zatem załatwiona. Papcio znalazł się również na nakazach rewizji. Prędzej śnieg spadnie w piekło, niż Delevanowie zdołają namówić Pangborna do zwrócenia się o nakaz rewizji do sądu hrabstwa. Nawet jeśli szeryf okazałby się dość szalony, by to zrobić, zanim załatwią całą tę papierkową robotę, szczątek cholernego aparatu dawno tu nie będzie. Próba pozbycia się ich już teraz była bardziej niebezpieczna niż pozostawienie ich w zamkniętej szufladzie. Delevanowie mogli tu wrócić i złapać go na gorącym uczynku. Lepiej było zaczekać.

Ponieważ na pewno tu wrócą.

Papcio Merrill wiedział to równie dobrze jak to, jak się nazywa.

Być może później, kiedy skończy się ta cała wrzawa, będzie mógł pójść do chłopca i powiedzieć: *No dobrze, niech ci będzie. Zrobiłem to wszystko, o co mnie posądzasz. A teraz może zostawmy to i udawajmy, że się nie znamy... dobrze? Stać nas na to. Może ci się wydawać, przynajmniej z początku, że nie, ale naprawdę nas stać. Bo pomyśl tylko: ty chciałeś rozbić ten aparat, ponieważ uważałeś, że jest niebezpieczny, a ja chciałem go sprzedać, ponieważ uważałem, że jest dużo wart. Okazało się, że to ty miałeś rację, a ja się myliłem, i to jest cała satysfakcja, jakiej będziesz kiedykolwiek potrzebował. Gdybyś znał mnie lepiej, wiedziałbyś dlaczego – w tym mieście nie ma wielu osób, które usłyszałyby ode mnie coś takiego. Mam to w genach, jeśli wolno mi tak powiedzieć, ale to nieważne; kiedy się myślę, chciałbym uważać się za wystarczająco wielkodusznego, żeby się do tego przyznać bez względu na to, jakie to bolesne. W ostatecznym rozrachunku, chłopcze, zrobiłem to, co ty zamierzałeś zrobić od samego początku. Wszyscy wylądowaliśmy na tej samej ulicy, jeśli wolno mi tak powiedzieć, i – moim zdaniem – nie powinniśmy do tego wracać. Wiem, co o mnie myślisz, a ty wiesz, co ja myślę o tobie, i żaden z nas nie będzie nigdy głosował na drugiego w wyborach na marszałka parady Czwartego Lipca, ale nic nie szkodzi. Możemy to chyba przeżyć? Chodzi mi tylko o to, że obaj cieszymy*

się, że tego przeklętego aparatu już nie ma, więc zamknijmy tę sprawę i rozejdźmy się w zgodzie.

Ale to wszystko mogło zdarzyć się później, a i tak stało pod dużym znakiem zapytania. Teraz nic by to nie dało, co do tego nie było wątpliwości. Delevanowie potrzebowali czasu, żeby ochłonąć. W tym momencie obaj marzyli tylko o tym, żeby rozerwać jego tyłek na strzępy podobnie jak

(pies na tym zdjęciu)

podobnie jak... zresztą nieważne. Ważne było, żeby wracając tutaj, zastali go w sklepie, pilnującego jak zwykle interesu i niewinnego jak baranek.

Ponieważ Delevanowie na pewno tu wrócą.

I wcale mu to nie szkodziło. Nie szkodziło, bo...

– Bo sytuacja jest pod kontrolą – szepnął Papcio. – To właśnie mam na myśli.

Podszedł do frontowych drzwi i przekręcił tabliczkę z napisem ZAMKNIĘTE na OTWARTE (po czym przekręcił ją szybko z powrotem, ale tego nie zauważył i w ogóle później nie pamiętał). W porządku: to na początek. Co teraz? Trzeba sprawić, by ten dzień wyglądał jak każdy inny. Kiedy wpadną tutaj, puszczając dym z uszu, gotowi umrzeć za coś, co i tak było już martwe jak gwóźdź, musiał być całkowicie zaskoczony, powtarzać, że nie ma zielonego pojęcia, o czym oni, do diabła, nawijają.

A zatem... co będzie najbardziej normalną rzeczą, jaką zastaną, wracając tutaj z szeryfem Pangbornem albo bez niego?

Wzrok Papcia spoczął na zegarze z kukułką wiszącym na belce obok tej eleganckiej komody, którą kupił na aukcji w Sebago przed miesiącem albo sześcioma tygodniami. Niezbyt ładny zegar został prawdopodobnie nabyty za kupony promocyjne przez jakiegoś biedaka, który starał się zaoszczędzić parę groszy (ludzie, którzy tylko STARALI SIĘ być oszczędni, byli – zdaniem Papcia – biednymi zabłąkanymi duszami, wędrującymi przez życie w stanie ciągłego i nie do końca uświadamianego rozczarowania). Mimo to, gdyby udało mu się

sprawić, żeby pochodził przez jakiś czas, może wcisnąłby go jednemu z tych narciarzy, którzy powinni pojawić się za miesiąc albo dwa, komuś, kto potrzebował zegara do swojego domku albo schroniska, ponieważ poprzedni stanął i zasnął na wieki, komuś, kto jeszcze nie zrozumiał (i prawdopodobnie nigdy nie zrozumie), że kolejny zakup nie jest rozwiązaniem, lecz kolejnym problemem.

Papcio będzie współczuł tej osobie i będzie targować się z nią najuczciwiej, jak wydawało mu się, że potrafi, ale nie mógł przecież rozczarować nabywcy. *Caveat emptor*, strzeż się nabywco, było nie tylko czymś, co wolno mu było powiedzieć, ale co często mówił, a poza tym musiał przecież z czegoś żyć, tak czy nie?

Tak. Siądzie więc teraz tutaj przy swoim stole roboczym i zajmie się tym zegarem, sprawdzi, czy uda się go uruchomić, a kiedy wrócą Delevanowie, zastaną go właśnie przy tej czynności. Może nawet w sklepie będzie się już wtedy kręcić kilku ewentualnych klientów; mógł mieć taką nadzieję, choć o tej porze roku interesy nigdy nie szły najlepiej. Tak czy owak, klienci będą wisienką na torcie. Ważne było, jakie to będzie sprawiać wrażenie: normalny facet, który nie ma nic do ukrycia, załatwiający normalne sprawy i podporządkowujący się normalnemu rytmowi swojego dnia.

Papcio podszedł do słupa i zdjął z niego zegar z kukułką, uważając, żeby nie poplątać łańcuszków z ciężarkami. Nucąc pod nosem, podszedł z nim do stołu, położył na blacie i sięgnął do tylnej kieszeni. Świeży tytoń. To też było dobre.

Uznał, że nie zaszkodzi, jeśli przy pracy zakurzy sobie fajkę.

ROZDZIAŁ 18

– Nie możesz wiedzieć, że on tu był, Kevinie! – protestował nadal słabo pan Delevan, kiedy weszli do La Verdiere’s.

Ignorując go, Kevin podszedł prosto do lady, przy której stała Molly Durham. Nie chciało się jej już wymiotować i czuła się o wiele lepiej. Cała ta historia wydawała jej się teraz trochę niepoważna, jak koszmar, po obudzeniu z którego myśli się po początkowej uldze: I ja bałem się czegoś takiego? Jak nawet we śnie mogło mi się kiedykolwiek wydawać, że to dzieje się naprawdę?

Ale kiedy stanął przed nią z pobladłą twarzą syn Delevanów, wiedziała, jak można się bać, tak, o tak, nawet rzeczy tak śmiesznych jak to, co zdarza się w snach, ponieważ została ponownie ciśnięta w swój własny koszmarny sen na jawie.

Chodziło o to, że Kevin Delevan miał prawie taki sam wyraz twarzy: jakby znajdował się gdzieś tak głęboko, że kiedy jego głos i spojrzenie w końcu do niej dotarły, wydawały się pozbawione mocy.

– Był tutaj Papcio Merrill – powiedział. – Co kupił?

– Proszę wybaczyć mojemu synowi – wtrącił pan Delevan. – Nie czuje się najłe...

Nagle zobaczył twarz Molly i urwał. Miała wygląd kogoś, kto właśnie zobaczył, jak fabryczna maszyna urywa ramię mężczyźnie.

– O! – jęknęła. – O mój Boże!

– Czy to był film? – chciał wiedzieć Kevin.

– Co mu się stało? – zapytała słabym głosem Molly. – Wiedziała, że coś jest nie tak, kiedy tu tylko wszedł. O co tu chodzi? Czy on... coś zrobił?

Jezus, pomyślał John Delevan. On wie. W takim razie to wszystko prawda.

I w tym momencie podjął cichą heroiczną decyzję: skapitulował. Całkowicie skapitulował i przekazał samego siebie oraz to, co można uznać i czego nie można uznać za prawdę, w ręce syna.

– To był film, prawda? – nie dawał za wygraną Kevin, karcąc ją spojrzeniem za wszystkie te fanaberie. – Film do polaroida. Stamtąd – dodał, wskazując wystawę.

– Tak. – Molly miała twarz bladą jak porcelana. Odrobina różu, którą nałożyła rano na policzki, odbijała się na niej jaskrawymi gorączkowymi plamami. – Był taki... dziwny. Jak gadająca lalka. Co mu się stało? Co...

Ale Kevin odwrócił się już od niej i spojrzał na ojca.

– Potrzebny mi jest aparat – wyrzucił z siebie. – W tej chwili. Polaroid Sun sześćset sześćdziesiąt. Mają je tutaj. Obniżyli nawet cenę. Widzisz?

Mimo podjętej decyzji pan Delevan czepiał się kurczowo ostatnich strzępów racjonalności.

– Dlaczego? – zaczął, ale Kevin nie pozwolił mu na więcej.

– Nie wiem dlaczego! – krzyknął i Molly Durham jęknęła. Nie chciała teraz wymiotować. Kevin Delevan przerażał ją, ale nie aż tak. W tym momencie chciała po prostu wrócić do domu, zakraść się do sypialni i naciągnąć kołdrę na głowę. – Ale musimy go mieć i nie mamy już prawie czasu, tato!

– Niech pani mi da jeden z tych aparatów – powiedział pan Delevan, wyjmując drżącą ręką portfel i nie zdając sobie sprawy, że Kevin biegnie już w stronę wystawy.

– Niech pan sobie weźmie – usłyszała drżący głos, który brzmiał zupełnie, jakby do niej nie należał. – Niech pan sobie weźmie i stąd idzie.

ROZDZIAŁ 19

Po drugiej stronie placu Papcio Merrill, przekonany, że niewinny jak baranek reperuje spokojnie tani zegar z kukułką, załadował właśnie do aparatu Kevina jedną z kaset z filmem. Zamknął aparat i rozległo się ciche lepkie cmokanie.

Cholerna kukułka rzezi, jakby miała zapalenie krtani. Chyba obsunął się trybik. No cóż, znajdziemy na to lekarstwo.

– Naprawimy cię – powiedział Papcio i podniósł aparat. Przystawił puste oko do wizjera z nie grubszą od ludzkiego włosa rysą, tak cienką, że z bliska w ogóle się jej nie widziało. Aparat wycelowany był w stronę wejścia do sklepu, ale nie miało to znaczenia; gdziekolwiek by się go skierowało, był wycelowany w pewnego czarnego psa, niepodobnego do żadnego stworzonego przez Boga psa, w małym miasteczku, z braku lepszego słowa nazwanym Polaroidsville, które również nie zostało przez Niego nigdy stworzone.

Błysek!

Rozległo się ciche lepkie cmokanie. Aparat Kevina wypluł ze swojego wnętrza nowe zdjęcie.

– No – mruknął z cichą satysfakcją Papcio. – Może nie tylko nauczę cię gadać, ptaszyno. Może, jeśli wolno mi tak powiedzieć, nauczę cię śpiewać. Nie obiecuję, ale bardzo się postaram.

Papcio wyszczerzył zęby w cierpkim uśmiechu i znowu wcisnął migawkę.

Błysek!

...

Byli w połowie placu, kiedy John Delevan zobaczył, jak w brudnych oknach Emporium Galorium pojawia się ciche białe światło. Samo światło było ciche, ale w ślad za nim, niczym wtórny wstrząs rozległ się niski mroczny łoskot, który wydawał się dochodzić ze sklepu ze starzyzną... ale tylko dlatego, że sklep ze starzyzną był jedynym miejscem, w którym mógł znaleźć ujście. Tym, skąd wydawał się emanować, było wewnątrz ziemi... a może chodziło o to, że tylko ziemia wydawała się wystarczająco dużym miejscem, by zrodzić właściciela takiego głosu.

– Biegnij, tato! – zawołał Kevin. – On zaczął to robić!

Błysk powtórzył się, rozjaśniając okna niczym zimne wyładowanie elektryczne. Towarzyszył mu znowu ten niski potężny pomruk, odgłos gromu dźwiękowego w tunelu aerodynamicznym, głos jakiegoś wyrywanego ze snu zwierzęcia, które było tak straszliwe, że wymykało się to rozumieniu.

Pan Delevan nie mógł się nie zatrzymać i prawie nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, otworzył usta, by powiedzieć synowi, iż światło tak potężne i tak jaskrawe nie może w żadnym wypadku pochodzić z wbudowanego w aparat polaroida flesza, lecz Kevin puścił się już biegiem przed siebie.

Pan Delevan też zaczął biec, wiedząc doskonale, co ma zamiar zrobić: musiał dogonić syna, złapać go za kołnierz i odciągnąć stamtąd, nim zdarzy się coś tak straszego, że nie potrafił sobie tego wyobrazić.

ROZDZIAŁ 20

Drugie zrobione przez Papcia zdjęcie wypchnęło ze szczeliny aparatu pierwsze, które poszybowało w stronę biurka i wylądowało na nim ze stuknięciem o wiele potężniejszym, niż można by się spodziewać po chemicznie przetworzonym kartonowym kwadraciku. Pies wypełniał teraz prawie cały kadr; na pierwszym planie był jego niesamowity łeb, czarne studnie oczu i dymiące, wypełnione zębami szczęki. Szybkość, z jaką się poruszał, a także coraz mniejsza odległość dzieląca go od obiektywu jeszcze bardziej popsowały ostrość. Jego wydłużona czaszka przypominała teraz kształtem pocisk albo łzę. Widać było tylko szczyty sztchet stojącego za nim płotu; resztę kadru wypełniały masywne barki bestii.

Na samym dole można było dostrzec lśniąca w promieniach słońca spinkę urodzinowego krawata Kevina, który nie tak dawno leżał w jego szufladzie obok aparatu.

– Prawie cię mam, skurwysynu – powiedział Papcio wysokim, łamiącym się głosem. Jego oczy oślepiło światło. Nie widział ani psa, ani aparatu. Widział wyłącznie pozbawioną głosu kukułkę, której naprawienie stało się jego życiową misją. – Zaraz mi tu zaśpiewasz, cholero! Nauczę cię śpiewać!

Błysk!

Trzecie zdjęcie wypchnęło ze szczeliny drugie; to poleciało w dół zbyt szybko, bardziej jak kamyk niż kawałek kartonu, przebiło starą postrzępioną podkładkę i rąbnęło w blat tak mocno, że z zaskoczonych drewna poszły drzazgi.

Na tym zdjęciu łeb psa był jeszcze bardziej nieostry; przeobraził się w długą okrytą sierścią kolumnę, co nadawało mu dziwną, prawie trójwymiarową formę.

Na trzecim zdjęciu, wciąż tkwiącym w szczelinie aparatu, pysk psa zdawał się w jakiś nieprawdopodobny sposób znowu odzyskiwać ostrość. Było to nieprawdopodobne, ponieważ znalazł się tak blisko aparatu, jak to tylko możliwe; tak blisko, że przypominał pysk jakiegoś morskiego potwora tuż pod tym kruchym meniskiem, który nazywamy powierzchnią.

– Cholerstwo nie jest jeszcze takie, jak trzeba – stwierdził Papcio.

Jego palec znów wcisnął migawkę polaroida.

ROZDZIAŁ 21

Kevin wbiegł po stopniach prowadzących do Emporium Galorium. Jego ojciec wyciągnął za nim rękę, ale udało mu się złapać tylko trzepoczący rąbek koszuli. Potknąwszy się, wylądował na otwartych dłoniach, które ześlizgnęły się z przedostatniego stopnia. Pod skórę wbiło mu się kilka drzazg.

– Kevinie!

Podniósł wzrok i na ułamek sekundy świat prawie zniknął w kolejnym z tych oślepiających białych błysków. Tym razem ryk był o wiele głośniejszy. To był odgłos, jaki wydaje oszalałe zwierzę tuż przed wyzwoleniem się z nadwątlonej klatki. Pan Delevan zobaczył syna z pochyloną głową, osłaniającego dłonią oczy przed białym blaskiem i zastygłego w stroboskopowym świetle, jakby sam zmienił się w fotografię. Zobaczył, jak szyby wystawowe pokrywają się zygzakowatą siatką pęknięć.

– Uważaj, Ke...

Szyby wypadły na zewnątrz, zasypując ich migotliwym deszczem okruchów i pan Delevan pochylił głowę. Poczul, jak odłamki szkła lądują na jego włosach i zostawiają draśnięcia na policzkach, ale żaden nie wbił się głęboko ani w niego, ani w chłopca; większość rozsypała się na niewielkie okruchy.

Rozległo się głośnie chrupnięcie. Pan Delevan podniósł głowę i zobaczył, że jego syn włamał się do środka dokładnie tak, jak on sam planował to zrobić wcześniej: uderzając barkiem w pozbawione szyby drzwi i wyrywając nową zasuwkę ze starego spróchniałego drewna.

– Kevinie, do jasnej cholery! – ryknął. Wstał, o mało znów się nie wywrócił, zaczepiwszy jedną nogą o drugą, a potem zerwał się i popędził w ślad za synem.

...

Coś stało się z tym cholernym zegarem z kukułką. Coś bardzo złego.

Wybijał bez przerwy godzinę – co już samo w sobie było niedobre, ale na tym nie koniec. Zegar coraz bardziej ciążył Papciowi w dłoniach... i wyglądało na to, że robił się również nieprzyjemnie gorący.

Papcio przyjrzał mu się i nagle z jego ust, które, miał wrażenie, ktoś mocno zesnurował, wyrwał się okrzyk przerażenia.

Zdał sobie sprawę, że został oślepiiony, i zdał sobie również nagle sprawę, że wcale nie trzyma zegara z kukułką.

Próbował rozluźnić śmiertelny uścisk, w którym jego ręce zacisnęły się na aparacie, i uświadomił sobie ze zgrozą, że nie jest w stanie rozprostować palców. Otaczające polaroid pole grawitacyjne zaczęło stawać się silniejsze. Sam cholerny aparat robił się w dodatku coraz gorętszy. Między rozczapierzonymi palcami Papcia zaczął się dymić szary plastik obudowy.

Palec wskazujący prawej ręki popęzł niczym okaleczona mucha ku czerwonemu przyciskowi migawki.

– Nie – wystękał Papcio. – Proszę... – jęknął błagalnie.

Ale palec wcale go nie słuchał. Dotarł do czerwonego przycisku i dotknął go dokładnie w tej samej chwili, kiedy Kevin wyłamał barkiem drzwi i wpadł do środka. Szkło z rozbitych szybek drzwi sypało się z brzękiem dookoła.

Papcio nie wcisnął migawki. Nawet oślepiiony, nawet czując, jak skóra na jego palcach zaczyna się tlić i przypalać, wiedział, że na pewno nie wcisnął przycisku. Ale kiedy jego palec do niego dopezł, pole grawitacyjne najpierw zwiększyło się dwa, a potem trzy razy. Starał się unieść palec i zsunąć go z przycisku. Przypominało to robienie pompek na planecie Jowisz.

– Rzuć to! – wrzasnął chłopak gdzieś spoza skrajów otaczającej Papcia ciemności. – Rzuć to! Rzuć to!

– Nie! – odkrzyknął Papcio. – Nie jestem w stanie, jeśli wolno mi tak powiedzieć!

Czerwony przycisk zaczął się sam zagłębiać.

Kevin stał na szeroko rozstawionych nogach, pochylony nad aparatem, który właśnie przynieśli z La Verdier's. Pudełko, w którym go sprzedawali, leżało u jego stóp. Chłopcu udało się wcisnąć przycisk, który otwierał przód aparatu na zawiasach, odsłaniając szeroką szczelinę do ładowania filmu. Właśnie próbował w nią wcisnąć jedną z kaset, która uparcie nie chciała wejść – tak jakby ten aparat też okazał się zdrajcą, być może, solidaryzując się ze swoim bratem.

Papcio ponownie wrzasnął, ale tym razem był to tylko nieartykułowany okrzyk strachu i bólu. Kevin poczuł w nozdrzach woń gorącego plastiku i przypiekanego mięsa. Podniósł wzrok i zobaczył, że polaroid się roztopia, autentycznie się roztopia w zastygłych w bezruchu dłoniach starego. Jego kwadratowa pudełkowata forma przekształcała się w dziwny zgarbiony kształt. Szkło wizjera i obiektywu również zmieniło się w plastik. Zamiast pęknąć lub wypaść z coraz bardziej bezkształtnej skorupy aparatu, wydłużały się i ociekały, stając się parą groteskowych oczu podobnych do tych, jakie ma maska w antycznej tragedii.

Ciemny plastik rozgrzany do masy podobnej do ciepłego wosku płynął gęstymi strugami po palcach i zewnętrznej stronie dłoni Papcia, żłobiąc w nich koryta. Plastik kauteryzował to, co spalił, lecz Kevin zobaczył krew wyciskaną przez te strugi i kapiącą na stół dymiącymi kroplami, które skwierczały niczym gorący tłuszcz.

– Kasetę z filmem jest nadal w opakowaniu! – ryknął pan Delevan zza pleców Kevina, wyrywając go z paraliżu. – Rozerwij je! Daj mi ją!

Ojciec wyciągnął do niego rękę, trącając go tak mocno, że chłopak o mało się nie wywrócił. Złapał kasetę z filmem, przedarł grubą folię, w którą była opakowana, i ją ściągnął.

– Pomocy! – zaskrzeczał Papcio i były to ostatnie koherentne słowa, jakie od niego usłyszeli.

– Szybko! – krzyknął ojciec, wciskając Kevinowi z powrotem do rąk nową kasetę z filmem. – Szybko!

Skwierczało przypalane mięso. Gorąca krew, która wcześniej kapiała na stół kroplami, teraz, kiedy w palcach i dłoniach Papcia zaczęły pękać większe żyły i tętnice, popłynęła całą kaskadą. Struga gorącego płynnego plastiku okrążyła lewy nadgarstek i biegnące tam tuż pod skórą żyły pękły, tryskając krwią niczym przez sparciałą uszczelkę, która najpierw zaczyna przeciekać w kilku miejscach, a potem rozsypuje się cała pod nieustającym rytmicznym naporem.

Papcio zawył jak zwierzę.

Kevin starał się ponownie wsunąć kasetę z filmem w szczelinę.

– Kurwa! – krzyknął, kiedy mu się to znów nie udało.

– Odwrotnie! – ryknął pan Delevan. Próbował odebrać chłopcu aparat, lecz on wyrwał mu się, zostawiając w rękach ojca wyłącznie strzęp koszuli. Wyciągnął kasetę z powrotem i przez krótką chwilę chybotąła się na opuszkach jego palców – które zwinęłyby się chyba w pięść i rozbiły ją na kawałki, gdyby spadła na podłogę.

W końcu złapał ją mocniej, obrócił, wsunął w szczelinę i zamknął przód aparatu, który wisiał bezwładnie na zawiasach niczym zwierzę z przetrąconym karkiem.

Papcio zawył ponownie i...

BŁYSK!

ROZDZIAŁ 22

Tym razem było tak, jakby ktoś stanął pośrodku słońca, które w nagłym zimnym wybuchu światła zmienia się w supernową. Kevin miał wrażenie, że ktoś autentycznie porwał jego cień i rzucił go na ścianę. Być może, było to choć w części prawdą, bo cała ściana za nim z wyjątkiem obszaru, na który padł cień, wydawała się spieczona i pokryła się w ułamku sekundy dziwnymi pęknięciami. Kontur cienia, wyraźny i wierny, jakby wycięto go w papierze, był tam wytatuowany z wysuniętym na kształt klina jednym łokciem, mimo że ramię, które rzuciło cień, zmieniło tymczasem swoją pozycję, gdy podniósł do twarzy nowy aparat.

Górna część aparatu w rękach Papcia oderwała się od obudowy z odgłosem przypominającym chrząknięcie gigantycznego grubasa. Pies zawarczał i tym razem basowy grzmot był dość głośny, dość wyraźny i dość bliski, by strzaskać szybki w cyferblatach zegarów i wznieść zachwycającej urody krystaliczne łuki z okruchów szkła, które posypało się z luster i ram obrazów.

Tym razem aparat nie zajęczał ani nie zacmokał; dźwięk, jaki wydał jego mechanizm, był przenikliwy i świdrujący niczym krzyk kobiety, która kona podczas porodu pośladkowego. Wysuwająca się i przepychająca przez wąski otwór kwadratowa odbitka parowała i dymiła. A potem sama ciemna szczelina zaczęła się topić, jej dolna część opadła jeszcze niżej, a górna uniosła się i całość wyglądała teraz niczym otwierająca się w ziewnięciu bezzębna szczęka. Na lśniącej powierzchni ostatniego zdjęcia nadal tkwiącego w rozszerzającym się ujściu

kanalu, przez który polaroid wydawał na świat swoje fotografie, tworzył się bąbel.

Kevin widział teraz wszystko przez mgłę śmigających migoczących punkcików, które zostawiła przed jego oczyma biała eksplozja. Pies z aparatu ponownie ryknął. Odgłos był teraz nieco cichszy, nie miało się wrażenia, że dobiega skądś z dołu, ale był zarazem bardziej morderczy, bo wydawał się bardziej realny, bardziej z tego świata.

Część roztapiającego się aparatu poleciała do tyłu, uderzając Papcia Merrilla w szyję i rozpryskując się w szary naszyjnik. Z tętnicy i z żyły szyjnej trysnęły nagle w górę i na boki jaskrawoczerwone spiralne potoki krwi i głowa Papcia opadła bezwładnie do tyłu.

Bąbel na powierzchni zdjęcia stale rósł. Samo zdjęcie kołysało się w rozwierającej się szczelinie w dolnej części zdekapitowanego aparatu. Krawędzie fotografii wyraźnie się rozłaziły, jakby nie znajdowała się już na kartonie, lecz na jakiejś elastycznej substancji w rodzaju dzianiny. To, jak wyginała się w przód i w tył w szczelinie, przypominało Kevinowi sposób, w jaki musiał wyginać stopy, by włożyć je do trochę za ciasnych kowbojskich butów, które dostał dwa lata wcześniej na urodziny.

Fotografia wbiła się brzegami w boki szczeliny i wyglądało na to, że się w niej zaklinuje. Ale polaroid nie był już ciałem stałym; właściwie w tym momencie nie przypominał zupełnie tego, czym był wcześniej. Krawędzie fotografii przecięły boki aparatu tak gładko jak zaostrzony obustronnie nóż przecina miękkie mięso. Przebiły się przez to, co było obudową polaroida, i w powietrze pofrunęły dymiące krople szarego plastiku. Jedna z nich spadła na rozsypującą się stertę roczników „Popular Mechanics” i wypaliła w niej tłącą się, dymiącą dziurę.

Pies zawył ponownie: paskudny gniewny głos stworzenia, które zamierzało tylko zabijać i drzeć na strzępy. Tylko to i nic więcej.

Zdjęcie zachwiało się na krawędzi opadającej, rozpuszczającej się szczeliny, która upodobniła się teraz do kielicha jakiegoś

zdeformowanego instrumentu dętego, a potem spadło na biurko z szybkością wrzuconego do studni kamienia.

Kevin poczuł zaciskającą się na ramieniu rękę.

– Co on robi? – zapytał ochryple jego ojciec. – Na Jezusa Przenajświętszego, Kevinie, co on robi?

– Rodzi się – usłyszał Kevin swój dobiegający z daleka, prawie obojętny głos.

ROZDZIAŁ 23

Papcio Merrill umarł odchylony na oparcie krzesła, tuż obok stołu, przy którym spędził tyle godzin, siedząc i paląc fajkę, siedząc i naprawiając różne urządzenia, by działały przynajmniej przez jakiś czas i mógł sprzedać to, co bezwartościowe, tym, którzy byli bezmyślni; a także siedząc i pożyczając po zachodzie słońca pieniądze tym, którzy byli impulsywni i nierozważni. Umarł, wpatrując się w sufit, z którego kapłała jego własna krew, rozpryskując się na policzkach i wpadając do otwartych oczu.

Krzesło przechyliło się nagle, bezwładne ciało runęło na podłogę i zabrzęczały klucze i bilon w portmonetce.

Na stole ostatnie polaroidowe zdjęcie żyło własnym życiem. Jego brzegi pęczniały i rozszerzały się i Kevin wyczuwał, że jakaś nieznana rzecz, jednocześnie żywa i martwa, jęczy w nie do opisanego straszliwych bólach porodowych.

– Musimy stąd uciekać – wysapał ojciec, pociągając go za ramię. Szeroko otwarte, rozgorączkowane oczy Johna Delevana były utkwione w tym powiększającym się, poruszającym zdjęciu, które teraz zajmowało już połowę stołu roboczego Merrilla i nie przypominało w ogóle fotografii. Jego brzegi wydymały się niczym policzki kogoś, kto próbuje ze wszystkich sił zagwizdać. Wysoki na trzydzieści centymetrów lśniący bąbel wyginał się i dygotał. Plamy dziwnych, niedających się opisać kolorów przebiegały po jego powierzchni, która zaczęła wydzielać jakiś rodzaj oleistego potu. Ryk, w którym brzmiały frustracja, determinacja i niepohamowany głód, przeszywał raz po raz umysł Delevana, doprowadzając go do szaleństwa.

Kevin wyrwał mu się, rozrywając koszulę na ramieniu. W jego głosie słychać było dziwny, głęboki spokój.

– Nie... on będzie nas po prostu ścigać. Moim zdaniem, chce mnie, bo gdyby chciał Papcia, to już go dorwał. Zresztą to ja byłem pierwszym właścicielem aparatu. Ale na tym nie skończy. Dorwie i ciebie. I niewykluczone, że nie zatrzyma się i na tym.

– Nie możesz nic zrobić! – krzyknął ojciec.

– Nieprawda. Mam jedną szansę – odparł Kevin, podnosząc aparat.

...

Brzegi zdjęcia dotarły do skraju stołu roboczego, ale zamiast zsunąć się z niego, zwinęły się w górę i nadal wykręcały się i rozprzestrzeniały. Teraz przypominały niesamowite skrzydła, które dziwnym trafem wyposażono w płuca i które próbowały w jakiś udręczony sposób oddychać.

Cała powierzchnia tej amorficznej, pulsującej rzeczy nadal się wydymała; to, co powinno być płaskie, stało się straszliwym tumorem, z którego kostropatych boków sączyła się ohydna ciecz, wydzielająca mdły odór salcesonu.

Warczenie psa, wściekły jazgot pragnącego zerwać się z więzi piekielnego ogara, teraz w ogóle nie ustawał i niektóre z zegarów zmarłego Papcia Merrilla zaczęły jakby w ramach protestu po wielekroć wybijać godzinę.

Pan Delevan nie pragnął już stamtąd za wszelką cenę uciec; czuł, jak ogarnia go głębokie i niebezpieczne zmęczenie, rodzaj śmiertelnej senności.

Kevin podniósł do oka wizjer aparatu. Tylko kilka razy brał udział w polowaniu na jelenie, ale pamiętał, jak to jest, gdy czekasz ze strzelbą w zasadzce, a inni myśliwi idą przez las w twoim kierunku, robiąc celowo jak najwięcej hałasu w nadziei, że wypłoszą zwierzynę spomiędzy drzew w stronę polany, na której siedzisz, mając wyznaczone bezpieczne pole strzału. Nie

musisz się przejmować, że ich trafisz; powinno cię obchodzić tylko to, żeby trafić jelenia.

Był wtedy czas, żeby się zastanowić, czy zdoła go trafić, kiedy – i jeżeli – jelen się pojawi. Czas, żeby zastanowić się, czy w ogóle będzie w stanie strzelić. Czas, kiedy można było mieć nadzieję, że jelen pozostanie tylko hipotetyczny, dzięki czemu nie będzie się poddanym próbie... i tak właśnie na ogół się działo. Kiedy ten jedyny raz jelen się pojawił, w zasadzce leżał znajomy ojca, Bill Roberson. Pan Roberson posłał kulę dokładnie tam, gdzie miał ją posłać, w punkt między szyją i barkiem, i poprosili strażnika łowieckiego, żeby sfotografował, jak stoją wokół zwierzęcia, dwunastoletniego byka, z którego ustrzelenia mógł być dumny każdy mężczyzna.

– Na pewno żałujesz, że to nie ty siedziałeś akurat w krzakach, synu? – zapytał strażnik łowiecki, mierzwiąc Kevinowi włosy (młody Delevan miał wtedy dwanaście lat i dopiero rok później, mniej więcej przed siedemnastoma miesiącami, zaczął szybko rosnąć, dzięki czemu miał teraz metr osiemdziesiąt wzrostu... a to oznaczało, że wtedy nie był jeszcze dość duży, by żywić urazę do faceta, który uparł się, by mierzwić mu włosy). Kevin pokiwał głową, nie zdradzając, jak bardzo się cieszy, że to nie on siedział akurat w krzakach i to nie z jego strzelby został oddany strzał... a gdyby okazało się, że ma dość odwagi, by strzelić, w nagrodę musiałby sprostać kolejnemu wymogowi: postarać się, żeby strzał był czysty. Nie wiedział, czy znalazłby w sobie dość odwagi, by strzelić ponownie do jelenia, gdyby strzał nie był czysty, i czy znalazłby w sobie dość siły, by iść śladem jego krwi i parujących odchodów i zakończyć to, co zaczął, jeśliby jelen uciekł.

Uśmiechnął się do strażnika, pokiwał głową, a ojciec wszystko to sfotografował i Kevin nie musiał mu nigdy mówić, że podnosząc brwi i czując na włosach rękę strażnika, myślał: Nie, nie żałuję. Świat obfituje w próby, ale dwanaście lat to za mało, żeby ich szukać. Cieszę się, że to był pan Roberson. Nie jestem jeszcze gotów, by poddawano mnie próbie męskości.

Ale teraz to on czekał w zasadzce, prawda? A zwierzę się zbliżało, prawda? I nie był to jakiś nieszkodliwy trawożerca. To była maszyna do zabijania, dość wielka i dość wredna, by połknąć w całości tygrysa. Zamierzała zabić Kevina i to miał być dopiero początek, a on jeden mógł ją powstrzymać.

Przyszło mu na myśl, żeby oddać polaroid ojcu, ale rozważał to tylko przez chwilę. Gdzieś w głębi duszy znał prawdę: przekazanie aparatu ojcu było równoznaczne ze skazaniem go na śmierć i popełnieniem samobójstwa. Ojciec w coś wierzył, ale nie było to dość konkretne. Aparat nie zadziałałby w jego rękach, nawet gdyby zdołał wyrwać się ze stuporu i wcisnąć migawkę.

Mógł zadziałać tylko w rękach Kevina.

Chłopiec czekał więc na chwilę próby, zerkając przez wizjer aparatu, jakby to była luneta karabinu, patrząc na fotografię, która nadal się powiększała i rozdymała coraz wyżej i szerzej ten lśniący płynny bąbel.

A potem zaczęło się właściwe przyjście na świat psa-nie-psa. Aparat nabrał jakby wagi i zmienił się w ołów, a bestia ryknęła ponownie głosem, który przypominał smagnięcie zakończonego stalową kulą bicia. Aparat zadygotał w rękach Kevina i chłopiec czuł, jak jego wilgotne, śliskie palce chcą się po prostu wyprostować i go puścić. Trzymając go dalej, ściągnął wargi w desperackim chorym uśmiechu. Spływający do oka pot sprawił, że przez chwilę zaczął podwójnie widzieć. Odrzucił do tyłu głowę, strząsając włosy z czoła i brwi, a potem znów przytknął oko do wizjera. Wnętrze Emporium Galorium wypełnił potężny trzask, jakby silne ręce rozrywały powoli ciężką tkaninę.

Lśniąca powierzchnia bąbla rozdarła się i na zewnątrz buchnął krwawy dym podobny do pary wydobywającej się z czajnika na tle czerwonego neonu.

Bestia znowu wydała z siebie gniewny morderczy ryk. Wypełnione zakrzywionymi zębami gigantyczne szczęki przebiły się przez wiotczącą bańkę niczym wynurzający się z morza pysk orki. Rozrywana i rozgryzana błona ustąpiła z głośnym gumowym plaśnięciem.

Zegary zaczęły jak szalone wybijać godzinę.

Ojciec złapał Kevina tak mocno, że zęby chłopaka zagrzechotały o plastikową obudowę polaroida i aparat o mało nie wypadł mu z rąk i nie roztrzaskał się o podłogę.

– Zastrzel go! – wrzasnął ojciec, przekrzykując ryk bestii. – Jeśli potrafisz go zastrzelić, zastrzel go. ZASTRZEL GO TERAZ, Jezu Chryste, on zaraz...

Kevin zdołał wyrwać się ojcu.

– Jeszcze nie – odparł. – Jeszcze nie teraz...

Na dźwięk jego głosu bestia zawyła i dała susa – skądkolwiek wychodziła – rozciągając jeszcze bardziej fotografię. Rozległo się najpierw skrzypienie, a potem ponownie dźwięk rozrywanej tkaniny.

I nagle pies z aparatu znalazł się na górze, jego czarny toporny łeb wyłonił się z dziury w rzeczywistości niczym jakiś dziwny peryskop cały z poskręcane metalu i migoczących lśniących soczewek, tyle że to, na co patrzył Kevin, nie było metalem, lecz skołtunioną sierścią, i to nie były soczewki, lecz szalone, wściekłe oczy bestii.

Pies zaczepił szyją o postrzępione krawędzie dziury, znowu zawył i z jego pyska trysnął żółto-czerwony płomień.

John Delevan cofnął się o krok i zderzył się ze stołem zawalonym grubymi egzemplarzami „Weird Tales” i „Fantastic Universe”. Stół przechylił się i wywrócił, a pan Delevan, młócąc bezradnie rękami powietrze, stracił równowagę i poleciał w ślad za nim. Pies z aparatu znowu zawył, po czym z niespodziewaną delikatnością pochylił łeb i szarpnął błonę, która go powstrzymywała. Błona pękła, a pies strzyknął w nią wąskim strumieniem ognia, zapalając ją i spopielając, następnie zaś dał kolejnego susa do góry i Kevin zobaczył, że na sznurku pod szyją nie ma już spinki do krawata, lecz podobne do łyżeczki narzędzie, którym Papcio Merrill czyścił swoją fajkę.

W tym momencie chłopca ogarnął chłodny spokój. Ojciec krzyczał ze strachu, próbując wyleźć spomiędzy nóg

przewróconego stołu, ale Kevin nie zwracał na to uwagi. Miał wrażenie, że krzyk ojca dochodzi do niego z wielkiej odległości.

Wszystko w porządku, tato, pomyślał, starając się lepiej skadrować szamoczącą się i wyłaniającą z otchłani bestię. Wszystko w porządku, nie widzisz? W każdym razie może być w porządku... ponieważ zmienił się noszony przez niego amulet.

Przyszło mu do głowy, że pies z aparatu ma być może swojego pana... i ten pan zdał sobie sprawę, że Kevin nie jest już pewną zdobyczą.

I, być może, w tym dziwnym nieistniejącym mieście Polaroidsville był również hycel; musiał być, bo inaczej skąd w jego śnie wzięłaby się gruba kobieta. To gruba kobieta powiedziała mu, co musi zrobić – zrobiła to albo z własnej inicjatywy, albo dlatego, że posłał ją tam hycel, żeby Kevin mógł ją zauważyć: dwuwymiarową kobietę z dwuwymiarowym wózkiem wypełnionym dwuwymiarowymi aparatami. „Uważaj, chłopcze. Pies Papcia zerwał się ze smyczy i jest bardzo wredny. Trudno jest zrobić mu zdjęcie, ale na pewno ci się to nie uda, jeśli nie będziesz miał aparatu”.

A teraz miał przecież aparat, czyż nie? Sprawa nie była pewna, w żadnym wypadku nie była pewna, ale przynajmniej go miał.

Pies zatrzymał się, obracając prawie od niechcienia łeb... i nagle jego mętne, płonące oczy spoczęły na Kevinie Delevanie. Czarne wargi rozchyliły się, obnażając potężne, zakręcone kły, i z dymiącego gardła dobyło się wysokie, przenikliwe, wściekłe wycie. Okrągłe lampy, które od niepamiętnych czasów oświetlały w nocy sklep Papcia, popękały jedna po drugiej i w powietrzu zawirowały odłamki obsranego przez muchy matowego szkła. Pies dał susa do przodu i jego szeroka pierś przedarła błonę między światami.

Palec Kevina dotknął przycisku migawki.

Pies znowu skoczył do przodu, wydostał na zewnątrz przednie łapy i te podobne do gigantycznych kolców, straszliwe kostne ostrogi zaczęły szorować po biurku, złościąc długie rysy

w twardym klonowym drewnie. Kevin słyszał drapanie wywijających młynka tylnych łap, które szukały oparcia tam niżej (czymkolwiek było to niżej), i wiedział, że to ostatnie sekundy, kiedy bestia jest uwięziona i zdana na jego łaskę; następny konwulsyjny sus pozwoli jej przeskoczyć nad stołem i precyzyjnie się przez dziurę, w której się szamotała, szybka niczym płynna śmierć, pokona dzielącą ich przestrzeń, zapali ognistym oddechem jego spodnie i ułamek sekundy później rozerwie jego ciepłe wnętrze.

– Uśmiechnij się, skurwielu – poinstruował ją bardzo wyraźnie Kevin, po czym wcisnął przycisk polaroida.

ROZDZIAŁ 24

Błysk flesza był tak jasny, że Kevin nie potrafił go sobie później wyobrazić; właściwie prawie w ogóle go nie pamiętał. Aparat, który trzymał w rękach, nie zrobił się nagle gorący ani się nie roztopił; rozległy się w nim trzy albo cztery zdecydowane trzaski, gdy rozprysnęły się soczewki korygujące i pękły albo po prostu rozpadły się sprężynki.

W białej poświacie zobaczył psa, zastygłego w bezruchu niczym na idealnym czarno-białym polaroidowym zdjęciu: z odrzuconym do tyłu łbem i każdą fałdą i zagłębieniem w zjeżonej sierści uchwyconymi niczym skomplikowana topografia doliny wyschłego potoku. Jego zęby straciły subtelny żółtawy pobłysk i były białe i brzydkie niczym stare kości w sterylnej jaskini, w której woda przestała płynąć przed tysiącami lat. Jedyne spuchnięte oko, pozbawione przez bezlitosny błysk ciemnej przekrwionej tęczówki, było białe jak oko w głowie greckiego popiersia. Dymiące smarki kapały z rozchylnych nozdrzy i spływały niczym gorąca lawa wąskimi kanałami między dziąsłami i odwiniętymi wargami.

Przypominało to negatyw wszystkich polaroidowych zdjęć, jakie zdarzyło się widzieć Kevinowi: nie kolorowy, ale czarno-biały, i nie dwu-, ale trójwymiarowy. Miał wrażenie, że patrzy na jedno z tych żywych stworzeń obróconych w kamień przez jedno nieostrożne spojrzenie na głowę Meduzy.

– Załatwiłem cię, skurwysynu! – krzyknął łamiącym się, histerycznym głosem i jakby potwierdzając to, zamrożone przednie łapy bestii puściły biurko i najpierw powoli, a potem gwałtownie zaczęły znikać w dziurze, z której wyszły. Zsuwały się z głuchym łoskotem niczym kamienna lawina.

Co by było, gdybym teraz podbiegł i zajrzał do tej dziury, pomyślał nagle Kevin. Czy zobaczyłbym ten dom, ten płot i starca pchającego wózek na zakupy i wpatrującego się szeroko otwartymi oczami w twarz olbrzyma – nie chłopca, lecz Chłopca – który gapi się na niego z osmalonej i postrzępionej dziury w zamglonym niebie? Czy wessałoby mnie tam do środka? Tak czy nie?

Zamiast tego rzucił aparat i zasłonił twarz dłońmi.

Tylko leżący na podłodze John Delevan zobaczył ostatni akt: to, jak poskręcana martwa błona skurczyła się i zwinęła w skomplikowany, lecz niepozorny węzeł wokół dziury, a potem zapadła się (albo dała się wessać) w głąb.

Towarzyszył temu szum powietrza, najpierw potężny, a później nieróżniący się wiele od świstu czajnika.

A potem błona wywróciła się na nice i po prostu zniknęła, zupełnie jakby nigdy nie istniała.

Podnosząc się powoli i z drżeniem na nogi, pan Delevan zobaczył, że ostatni odpływ (bądź przypływ, w zależności od tego, po której stronie dziury znajdował się obserwator) powietrza porwał podkładkę na biurko oraz inne polaroidowe zdjęcia, które pstryknął wcześniej stary.

Jego syn stał pośrodku sklepu, płacząc i zakrywając twarz dłońmi.

– Kevinie – powiedział cicho pan Delevan i wziął chłopca w ramiona.

– Musiałem zrobić mu zdjęcie – powiedział Kevin przez łyzy, nie odejmując dłoni od twarzy. – To był jedyny sposób, żeby się go pozbyć. Musiałem zrobić zdjęcie temu wrednemu sukinsynowi. Jeśli wolno mi tak powiedzieć.

– Tak. – Pan Delevan uściśnął go mocniej. – Tak i udało ci się.

Kevin przyjrzał się ojcu załzawionymi oczami.

– Właśnie w ten sposób musiałem go zastrzelić, tato. Rozumiesz?

– Tak – odparł ojciec. – Tak, rozumiem. – Pocałował Kevina w gorący policzek. – Wracajmy do domu, synu.

Zacisnął mocniej rękę na ramieniu chłopca, chcąc poprowadzić go w stronę drzwi, jak najdalej od dymiącego zakrwawionego trupa starego (Kevin chyba nic nie zauważył, pomyślał, ale na pewno zobaczy go, jeśli zostaniemy tu dłużej), i syn przez chwilę mu się opierał.

– Co powiedzą ludzie? – zapytał tak pruderyjnym i sztywnym tonem, że pan Delevan parsknął śmiechem, mimo że sam był kłębkim nerwów.

– Niech sobie mówią, co chcą – odpowiedział. – Nigdy w życiu nie zbliżą się nawet na kilometr do prawdy, a swoją drogą, nie sądzę, żeby ktokolwiek chciał ją odkryć. Tak naprawdę nikt zbyt go nie lubił – dodał po chwili.

– Nie chcę zbliżyć się nawet na kilometr do prawdy – szepnął Kevin. – Wracajmy do domu.

– Tak. Kocham cię, Kevinie.

– Ja też cię kocham – odparł ochryple chłopiec i zostawiając za sobą dym i odór staroci, o których lepiej nie pamiętać, wyszli w jasne światło dnia.

EPILOG

To były szesnaste urodziny Kevina i dostał w prezencie dokładnie to, co chciał: osobisty komputer WordStar 70 z edytorem tekstu. Zabawka kosztowała tysiąc siedemset dolarów i dawniej jego rodziców nie byłoby na nią nigdy stać, ale w styczniu, mniej więcej trzy miesiące po tamtym finałowym starciu w Emporium Galorium, zmarła spokojnie we śnie ciotka Hilda. Okazało się, że rzeczywiście zrobiła COŚ dla Kevina i Meg; w gruncie rzeczy zrobiła CAŁKIEM SPORO dla całej rodziny. Kiedy na początku czerwca został zatwierdzony testament, Delevanowie przekonali się, że są bogatsi niemal o siedemdziesiąt tysięcy dolarów... i to po opodatkowaniu.

– Jezu, jest wspaniały! Dziękuję! – zawołał Kevin i ucałował matkę, ojca i nawet siostrę Meg (która zachichotała, ale będąc o rok starsza, nie próbowała zetrzeć z policzka pocałunku. Kevin nie wiedział, czy jest to zmiana na lepsze, czy na gorsze.) Dużą część popołudnia spędził następnie w swoim pokoju, krzątając się przy komputerze i puszczając programy testowe.

Koło czwartej zszedł na dół i zajrzał do gabinetu ojca.

– Gdzie są mama i Meg? – zapytał.

– Pojechały na targ rękodzieła w... Kevinie? Co się stało, Kevinie?

– Lepiej chodź ze mną na górę – odparł głuchym głosem chłopak.

W drzwiach swojego pokoju zwrócił pobladłą twarz ku tak samo pobladłej twarzy ojca. Trzeba będzie zapłacić coś więcej, myślał pan Delevan, idąc za synem po schodach. Oczywiście, że trzeba. Czy nie tego właśnie nauczył się od Reginalda Mariona

„Papcia” Merrilla? Dług, który zaciągnąłeś, był tym, co cię bolało. Ale dopiero odsetki złamały ci grzbiet.

– Możemy dostać inny taki sam? – zapytał Kevin, wskazując laptop, który stał otwarty na jego biurku, rzucając na podkładkę mistyczny żółty prostokąt światła.

– Nie wiem – odparł pan Delevan, podchodząc do biurka. Syn stanął za nim, blady jak prześcieradło. – To znaczy, jeśli będziemy musieli...

Nagle umilkł, wpatrując się w ekran.

– Załadowałem edytor tekstu i wpisałem „W niszach mógł zjeść trufle koń bądź psy”¹⁰. Ale drukarka wydrukowała coś innego.

Pan Delevan przeczytał po cichu wydruk. Poczul, jak lodowacieją mu dłonie i czoło. Słowa były następujące:

Pies znów jest na wolności
Nie śpi.
Nie leni się.
Idzie po ciebie, Kevinie.

Pierwotny, zaciągnięty przez ciebie dług był tym, co cię bolało, pomyślał znowu. Ale dopiero odsetki złamały ci grzbiet. Ostatnie dwie linijki brzmiały:

Jest bardzo głodny.
I BARDZO zły.

- ¹ Abner Doubleday – amerykański oficer, który w 1839 roku rzekomo zorganizował pierwszy w historii mecz baseballu.
- ² Kiedy Stephen King pisał te słowa, benzyna w Stanach Zjednoczonych kosztowała już prawie trzy razy więcej.
- ³ Robert Burns, *Do myszy*, przeł. Stanisław Barańczak.
- ⁴ *Angle* – kąt, *Angle Street* – ulica Kątowa.
- ⁵ *Angel Street* – ulica Anielska.
- ⁶ *Junction* – stacja węzłowa.
- ⁷ Rod Serling (1924–1975) – amerykański scenarzysta i reżyser, zdobył sławę jako narrator w popularnym serialu telewizyjnym *Strefa mroku*.
- ⁸ Anna Mary Robertson Moses (1860–1961) – amerykańska malarka, przedstawicielka sztuki naiwnej.
- ⁹ National Book Award Stephen King otrzymał w 2003 r.
- ¹⁰ Autorem tego pangramu, czyli krótkiego zdania zawierającego wszystkie litery danego języka, za pomocą którego można sprawdzić działanie drukarki, jest Stanisław Jerzy Nowak.